Edward Rutherfurd

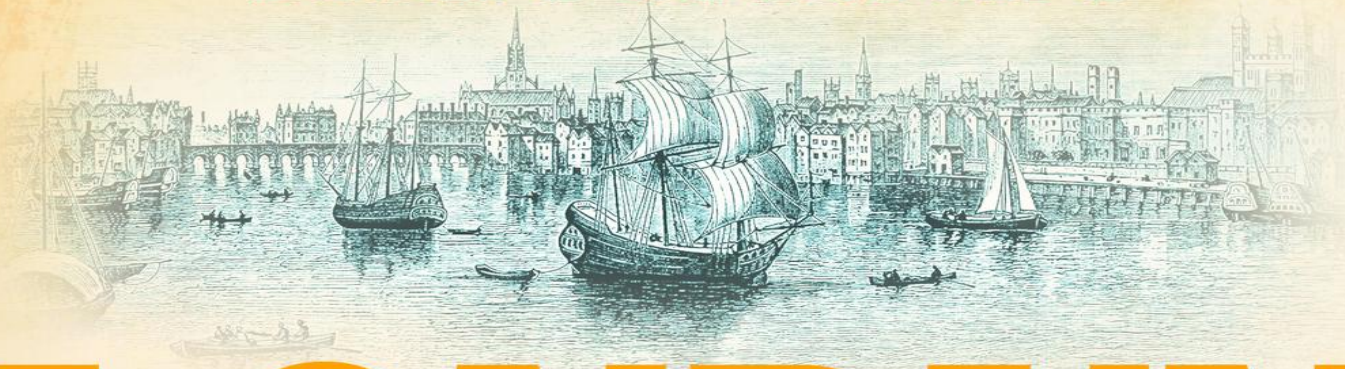

LONDYN

Edward Rutherfurd

LONDYN

Przełożyła Elżbieta Smoleńska

Wydawnictwo Czarna Owca
Warszawa 2016

Spis treści

Okładka

Strona tytułowa

Strona redakcyjna

WSTĘP

Rzeka

Londinium

Krzyż

Zdobywca

Tower

Święty

Burmistrz

Zamtuz

London Bridge

Hampton Court

Teatr Globe

Ogień Boży

Pożar Londynu

Katedra Świętego Pawła

Gin Lane

Lawendowe Wzgórze

Crystal Palace

„Cutty Sark”

Sufrażystka

Nalot

Rzeka

Podziękowania

Mapy

Przypisy końcowe

Tytuł oryginału
LONDON

Redakcja
Robert Sudół

Projekt okładki
Izabella Marcinkowska

Zdjęcia na okładce
mbbirdy © iStock, retroimages © iStock

Korekta
Maciej Korbasiński, Igor Mazur

Redaktor prowadzący
Anna Brzezińska

Copyright © Edward Rutherfurd 1997
Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Czarna Owca, 2016
Copyright © for the Polish translation by Elżbieta Smoleńska, 2016

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).
Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku.
Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiejkolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Wydanie I

ISBN 978-83-8015-251-9

Wydawnictwo Czarna Owca Sp. z o.o.
ul. Alzacka 15a, 03-972 Warszawa
www.czarnaowca.pl
Redakcja: tel. 22 616 29 20; e-mail: redakcja@czarnaowca.pl
Dział handlowy: tel. 22 616 29 36; e-mail: handel@czarnaowca.pl
Księgarnia i sklep internetowy: tel. 22 616 12 72; e-mail: sklep@czarnaowca.pl

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**.

Książkę dedykuję kuratorom i pracownikom
Museum of London, w którym ożywa historia.

WSTĘP

Londyn jest powieścią. Wszystkie opisywane tu rodziny, od Ducketów po Pennych, oraz ich udział w wydarzeniach historycznych są wytworami wyobraźni autora.

Starałem się osadzić losy moich bohaterów wśród historycznych postaci i wydarzeń, które miały albo mogły mieć miejsce. Bo na przykład nigdy nie dowiemy się, w którym miejscu Juliusz Cezar przekroczył Tamizę. Według mojej wiedzy stało się to prawdopodobnie w okolicach dzisiejszego Westminsteru. Znamy polityczne okoliczności, które doprowadziły do zbudowania katedry Świętego Pawła przez biskupa Melita w 604 roku, a ja pozwoliłem sobie umiejscowić to wydarzenie w ówczesnym saskim Lundewic. Wymyśliłem też okręg wyborczy St Pancras, w którym dużo później, w roku 1830, moi bohaterowie rywalizowali w wyborach.

Jednak od czasów normandzkiego podboju zachowało się tyle informacji dotyczących nie tylko historii samego Londynu, ale też losów niezliczonych pojedynczych ludzi, że żaden pisarz nie mógłby narzekać na brak materiałów. Wystarczyło jedynie w kilku miejscach dokonać niewielkich korekt pozwalających na prowadzenie wartkiej narracji.

Najważniejsze londyńskie budowle i kościoły zachowały swoje dawne nazwy do dziś. Wiele ulic nazywa się wciąż tak samo od czasów saskich. Gdy dochodziło do zmian, to albo umieszczałem stosowne wyjaśnienie

w tekście, albo – by nie wprowadzać niepotrzebnego zamieszania – używałem nazw, którymi posługujemy się współcześnie.

Dla potrzeb powieści wymyśliłem położenie kilku miejsc. Siedziba Cerdica znalazła się tam, gdzie dziś stoi hotel Savoy; dom przy szyldzie z bykiem, niedaleko kościoła St Mary-le-Bow, mógłby stać tam, gdzie znajduje się Williamson's Tavern; kościół Świętego Wawrzyńca Silversleevesa nieopodal Watling Street mógłby być jednym z wielu kościołów w tej okolicy, które spłonęły w Wielkim Pożarze; zamtuz Pod Psią Głową mógłby być jednym z dwudziestu domów publicznych działających przy Bankside.

Dogget i Ducket to dość powszechne nazwiska, często występujące w Londynie. Noszące je postaci historyczne – a zwłaszcza słynny Dogget, który ustanowił wyścig wioślarski na Tamizie Dogget's Coat and Badge Race – pojawiają się czasem na kartach książki i bez trudu można je odróżnić od postaci fikcyjnych. Pochodzenie nazwisk fikcyjnych rodów oraz ich dziedziczne znaki szczególne zostały wymyślone dla potrzeb tej książki.

Bull jest częstym angielskim nazwiskiem. Carpenter to typowe nazwisko wywodzące się od fachu – podobnie jak Baker, Painter, Tailor i dziesiątki innych [1]. Czytelnicy *Sarum* łatwo zauważą, że pojawiający się w tamtej powieści Masonowie są krewnymi Carpenterów. Innym częstym nazwiskiem jest Fleming – zapewne wskazuje ono na flamandzkie pochodzenie jego właścicieli. Meredith to nazwisko walijskie, a Penny zapewne hugenockie. Nieco rzadsze Barnikel, które też pojawia się na kartach *Sarum*, wywodzi się od wikingów i bardzo pięknej legendy. Wykorzystał je Dickens (Barnacle), ale raczej w niekorzystnym kontekście. Mam nadzieję, że choć trochę oddałem mu sprawiedliwość.

Natomiast nazwisko Silversleeves i jego długonosi właściciele zostali wymyśleni przeze mnie. W średniowieczu istniało znacznie więcej takich pięknych, opisowych nazwisk, które niestety zanikły. Silversleeves miało być powrotem do tej dawnej tradycji.

Każdy autor piszący o Londynie staje wobec problemu, jakim jest bogactwo materiałów. Każdy londyńczyk ma w mieście swój ulubiony zakątek. I często aż kusi, żeby zagłębić się w jakieś fascynujące historyczne zaułki. Niemal każda londyńska parafia mogłaby dostarczyć wystarczających informacji do napisania książki takiej jak ta. Ale ponieważ *Londyn* opowiada także – do pewnego stopnia – o historii Anglii, pozwoliłem sobie niektóre miejsca pominąć. Mam jedynie nadzieję, że mój wybór nie rozczaruje tych, którzy znają i kochają to wspaniałe miasto.

Rzeka

Kiedy jeszcze Ziemia była młoda, tę krainę wiele razy zalewały wody mórz.

Czterysta milionów lat temu, gdy kontynenty miały zupełnie inny układ, wyspa była częścią niewielkiego przylądka na północno-zachodnim skraju rozległego, bezkształtnego lądu. Przylądek wcinał się samotnie w bezkres oceanu. Był kompletnie pusty. Widziały go jedynie oczy Boga. Nie wędrowały po nim zwierzęta, ptaki nie unosiły się na nieboskłonie, nie było ryb w morzu.

W tych odległych czasach cofające się morze pozostawiło za sobą w południowo-wschodnim rogu przylądka nagi obszar grubej warstwy ciemnych łupków. Szare skały, milczące i wymarłe jak powierzchnia nieodkrytej planety, tu i ówdzie znaczyły płytkie sadzawki. Jeszcze starsze siły, ukryte głęboko pod warstwą łupków, wypiętrzyły górski łańcuch, łagodnie wznoszący się na wysokość siedmiuset metrów i przecinający pejzaż niczym ogromny falochron.

Przez długi czas miejsce to pozostawało szare, nagie i milczące, nieznane jak wieczna pustka przed narodzinami.

W ciągu kolejnych ośmiu epok geologicznych, kiedy kontynenty przesuwały się, wyrastały na nich górskie łańcuchy i stopniowo pojawiało się życie, żadne ruchy Ziemi nie zakłócały spokoju pasma łupkowych wzgórz. Ale morze wiele razy zalewało je i odsłaniało. Czasem wody były

zimne, a czasem ciepłe. Utrzymywały się tam przez miliony lat. I za każdym razem pozostawiały po sobie osad o grubości kilkuset metrów, aż w końcu łupkowe skały, chociaż przecież nie takie niskie, zostały przykryte, wygładzone i tak głęboko zagrzebane, że nie pozostał po nich ślad.

Gdy życie na Ziemi się rozwijało, gdy rośliny pokryły lądy, a w wodach zamieszkały zwierzęta, planeta dodawała kolejne warstwy, tym razem z organizmów, które sama powołała do życia. Wielkie morze, które ustąpiło mniej więcej w tym samym czasie, gdy wyginęły dinozaury, pozostawiło tak niewiarygodnie wielką ilość martwych resztek ryb i planktonu, że dzisiejszą południową Anglię i północną Francję pokryły pokłady kredy o grubości stu metrów.

I tak ponad pradawnym, pogrzebanym już łańcuchem gór wyłonił się nowy krajobraz.

Wyglądał zupełnie inaczej. W miarę jak kolejne morza przychodziły i odchodziły, z wnętrza przylądka utorowały sobie drogę ogromne rzeki, kredowa pokrywa przybrała kształt płytkiej doliny, szerokiej na trzydzieści dwa kilometry, której krawędzie ciągnęły się z północy na południe i która otwierała się na wschód jak wielka litera V. Rozmaite zalewy i powodzie nanosiły nowe warstwy żwiru i piasku, a morze tropikalne pozostawiło w środku doliny grubą pokrywę miękkiego osadu, który został później nazwany „londyńską gliną”.

W tym właśnie miejscu za milion lat miał powstać Londyn.

Ale nadal nie było tu śladu człowieka. Bo wprawdzie milion lat temu ludzie chodzili na dwóch nogach, ale nadal mieli małpie czaszki. Potrzebny był jeszcze jeden proces.

Epoki lodowcowe.

To nie formowanie się lodowych warstw na powierzchni Ziemi odmieniło lądy, ale ich zanikanie. Za każdym razem gdy lód zaczynał

topnieć, rzeki wzbierały, a ogromne lodowce, niczym powolne, geologiczne buldożery, żłobiły doliny, wyrównywały wzgórza i wypłukiwały żwir, który wypełniał utworzone przez nie koryta rzek.

W czasie zlodowaceń mały północno-zachodni cypel wielkiego lądu Eurazji był jedynie częściowo pokryty lodem. Lodowa ściana kończyła się tuż za północną krawędzią wydłużonego kredowego V. Gdy jednak tam dotarła, a miało to miejsce pół miliona lat temu, przyniosła jeden ważny skutek.

W owych czasach wielka rzeka płynęła ze środka przylądka na wschód, omijając od północy kredowe V. Kiedy jednak nasuwający się lód zagrodził jej drogę, skłębiony zimny nurt musiał sobie szukać innego szlaku; sześćdziesiąt pięć kilometrów na zachód od miejsca, gdzie kiedyś wznosił się łańcuch łupkowych skał, woda przerwała w najsłabszym punkcie kredową grań, tworząc wąski wąwóz znany dziś jako Goring Gap, i podążyła na wschód ku kredowemu V, doskonale ukształtowanemu na jej przyjęcie.

Tak narodziła się rzeka.

A pomiędzy jednym a drugim zlodowaceniem pojawił się człowiek. Nie da się dokładnie ustalić, kiedy się to wydarzyło. Gdy rzeka przedzierała się przez Goring Gap, neandertalczyk jeszcze nie istniał. Człowiek, jakiego znamy, wyewoluował dopiero po ostatniej epoce lodowcowej, niewiele ponad sto tysięcy lat temu. I gdy lodowa ściana cofała się, wkroczył do doliny.

Aż wreszcie, niecałe dziesięć tysięcy lat temu, wody z topniejącej arktycznej czapy lodu spłynęły na południe, zalewając równinę we wschodniej części przylądka. Przecięły kredowe wzgórza wielką literą J, tworząc u podstawy przylądka wąski kanał, który biegł na zachód w kierunku Atlantyku.

W ten sposób mały przylądek stał się wyspą, północną arką Noego, wolną, ale na zawsze zakotwiczoną przy wielkim kontynencie, którego kiedyś była częścią. Na zachodzie rozpościerał się Atlantyk, na wschodzie zimne Morze Północne, a wzdłuż południowego brzegu, skąd wysokie kredowe klify spoglądały na niedaleki kontynent, leżał Kanał Angielski [2]. I tak w otoczeniu północnych mórz powstała wyspa Brytania.

Wielkie kredowe V nie otwierało się już na wschodnią równinę, lecz na otwarte morze. Jego wąski lej stał się ujściem rzeki. Po wschodniej stronie ujścia kredowe wzniesienia skręcały na północ, mając na swojej wschodniej flance szeroki pas nizinnych lasów i moczarów. Od południa na jakieś sto kilkanaście kilometrów wystawał długi półwysep z wysokimi kredowymi wzgórzami i żyznymi dolinami, tworząc południowo-wschodni skraj wyspy.

Ujście rzeki miało szczególną cechę. Każdy przypływ nie tylko powstrzymywał nurt rzeki, ale wręcz go cofał. Morze wdzierało się w zwężające się ujście na znaczną odległość, przynosząc ogromne masy wody. Gdy przychodził odpływ, woda znów opadała. W rezultacie w dolnym biegu rzeki powstawały silne prądy pływowe, a różnica poziomów wody wynosiła ponad trzy metry. Skutki tych wahań były odczuwalne na wiele kilometrów w głąb lądu.

Odizolowaną wyspę zamieszkiwali już ludzie. A przez kolejne tysiąclecia docierali tu inni, pokonując wąskie, ale niebezpieczne morze. Wtedy tak naprawdę zaczyna się nasza historia.

Rok 54 przed naszą erą

Pięćdziesiąt cztery lata przed narodzeniem Chrystusa, pod koniec zimnej gwiaździstej nocy, nad brzegiem rzeki stało półkolem dwustu ludzi, czekając na świt.

Minęło dziesięć dni od nadejścia złowrogich wieści.

Z przodu, tuż na skraju wody, stało pięć postaci. Milczące i nieruchome, wyglądały w szarych szatach jak kamienie. Byli to druidzi, gotowi do odprawienia ceremonii z nadzieją, że ocali ona wyspę i ich świat.

Wśród tłumu zgromadzonego na brzegu znajdowały się trzy osoby, które oprócz nadziei i lęków związanych z nadchodzącym zagrożeniem skrywały w sobie straszną tajemnicę.

Chłopiec, kobieta i starzec.

Nad rzeką leżało wiele świętych miejsc. Ale nigdzie indziej duch wielkiej rzeki nie był tak silnie obecny jak tutaj.

Tu rzeka spotykała się z morzem. W dolnym biegu coraz szerszy nurt kolejnymi zakrętami przepływał przez otwarte mokradła, żeby piętnaście kilometrów dalej dotrzeć do biegnącego na wschód długiego ujścia i w końcu do Morza Północnego. W górnym biegu rzeka wiła się uroczo wśród pięknych lasów i gładkich, bujnych łąk. Ale tu, pomiędzy dwoma wielkimi zakrętami, rozciągał się najwspanialszy odcinek, długi na cztery kilometry, gdzie rzeka majestatycznie płynęła prosto na wschód.

Tu też odczuwało się pływy. Gdy wdzierające się do ujścia morze zmieniało kierunek nurtu, tor wodny miał szerokość ponad dziewięciuset metrów, a gdy woda opadała – zaledwie dwustu siedemdziesięciu. Pośrodku, w połowie drogi do południowego brzegu, gdzie z mokradeł wystawały małe wysepki, w rzeczny nurt wcinała się żwirowa mierzeja, przy niskiej wodzie tworząc cypel, a przy wysokiej stając się wyspą. Tłum zebrał się właśnie u szczytu tej mierzei. Naprzeciwko nich, na północnym brzegu, leżała osada, teraz opuszczona, nosząca nazwę Londinos.

Nawet o tej porze, wczesnym świtem, prastara osada była dobrze widoczna: dwa niskie żwirowe wzgórza o płaskich szczytach wznosiły się obok siebie na wysokość dwudziestu pięciu metrów. Pomiędzy nimi płynął

strumyk. Po lewej stronie, na zachodzie, większy strumień wpadał do szerokiego dopływu przecinającego północny brzeg.

Po wschodniej stronie wzgórz znajdowało się kiedyś małe grodzisko – jego niskie szańce mogły służyć jako wartownie, z których wypatrywano zbliżających się od ujścia łodzi. Na zachodnim wzgórzu druidzi czasem składali ofiary z wołów.

Nie było tu nic więcej. Porzucona osada. Święte miejsce. Plemienne siedziby leżały dalej na północ i na południe. Ludy, którymi władał wielki wódz Cassivelaunus [3], zamieszkiwały rozległe obszary powyżej ujścia. Plemiona Kantiów z długiego półwyspu na południe od ujścia nadały tamtym terenom nazwę Kent. Rzeka wytyczała między nimi granicę, a Londinos było ziemią niczyją.

Samo słowo Londinos było niejasne. Niektórzy mówili, że mieszkał tu człowiek o takim nazwisku. Inni twierdzili, że Londinos odnosi się do niewielkich umocnień na wschodnim wzgórzu. Ale prawdy nie znał nikt. W każdym razie nazwa pojawiła się w ciągu ostatniego tysiąclecia.

Znad ujścia rzeki wiał zimny wiatr. Rozchodził się słaby, ostry zapach błota i wodorostów. Gwiazda Poranna bladła, w miarę jak niebo nabierało niebieskiej barwy.

Chłopiec zadrżał. Stał tu już od godziny i zmarzł. Jak większość ludzi miał na sobie prostą wełnianą tunikę do kolan związaną w talii skórzanym paskiem. Za nim stała jego matka z niemowlęciem w ramionach. Chłopiec trzymał za rękę swoją młodszą siostrę Branwen. Przy takich okazjach to on miał jej pilnować.

Był bystrym, dzielnym dzieckiem i jak większość Celtów miał ciemne włosy i niebieskie oczy. Nazywał się Segovax, miał dziewięć lat. Jednak przy bliższym spojrzeniu w jego wyglądzie dało się zauważyć dwie niezwykłe cechy. Nad czołem wyrastało mu pasmo jasnych włosów, jakby

ktoś pomalował je białą farbą. To dziedziczne znamię pojawiało się w kilku rodzinach zamieszkujących wioski rozrzucone wzdłuż rzeki. „Nie martw się – mówiła mu matka. – Wiele kobiet uważa, że to oznacza szczęście”.

Druga właściwość była jeszcze bardziej niezwykła. Gdy chłopiec rozkładał palce, pomiędzy nimi, aż do pierwszego stawu, widać było cienką warstwę skóry przypominającą błonę pławną kaczek. To też była cecha dziedziczna, chociaż nie przejawiała się w każdym pokoleniu. Jakby któryś z pradawnych genów rybiego protoplasty człowieka postanowił przetrwać, przekazując ślad swojego wodnego pochodzenia. Rzeczywiście, chłopiec, z dużymi oczami i drobnym, żylastym ciałem, przywodził na myśl kijankę albo inne zwierzę zamieszkujące wody, ostatniego niedobitka sprzed nieskończonych eonów czasu.

Jego dziadek też miał ten szczególny znak. „Ale przecięli mu skórę, gdy był mały”, wyjaśnił ojciec Segovaxa żonie. Ona jednak wzdragała się na myśl o użyciu noża, więc chłopiec nie musiał się niczego obawiać.

Segovax spojrzał na swoją rodzinę. Mała Branwen była miłym dziecięciem, ale nad jej napadami złości nikt nie umiał zapanować. Chłopczyk w ramionach matki dopiero nauczył się chodzić i wymawiać pierwsze słowa. Matka, ostatnio czymś mocno przygnębiona, była blada. Jakże on ich kochał. Ale gdy patrzył teraz w dal, na jego twarzy pojawił się nieśmiały uśmiech. Na brzegu czekała prosta tratwa, a obok niej stało dwóch mężczyzn. Jeden z nich był jego ojcem.

Ojciec i syn, tak bardzo do siebie podobni. Ten sam kosmyk jasnych włosów, te same wielkie oczy. Twarz ojca, pokryta zmarszczkami przypominającymi łuski, przywodziła na myśl jakąś poważną, podobną do ryby istotę. Tyle wiedział o rzece, był takim mistrzem w zastawianiu sieci, że miejscowi nazywali go po prostu Rybakiem. Segovax zauważył, że inni mężczyźni w wiosce byli silniejsi od tego człowieka o zaokrąglonych

plecach i długich rękach, jednak w nikim nie było takiej dobroci i cichej determinacji. „Wyglądu to on nie ma – mówili wieśniacy – ale nigdy się nie poddaje”. Segovax wiedział, że matka uwielbia ojca. Tak jak on.

Właśnie dlatego poprzedniego dnia powziął śmiały plan, który – jeśli uda mu się go przeprowadzić – może go kosztować życie.

Poświata nad częścią horyzontu zaczęła drgać. Lada moment wzejdzie słońce, na rzece zatańczą długie, migotliwe promienie ze wschodu. Pięciu druidów, stojących twarzą do tłumu, zaintonowało pieśń. Ludzie słuchali.

Na sygnał wystąpiła do przodu jakaś postać. Był to potężnie zbudowany mężczyzna; jego kosztowna, zielona opończa, pokryta złotymi ozdobami i noszona z wielką dumą, świadczyła, że jest kimś ważnym. W dłoniach trzymał płaski, prostokątny metalowy przedmiot, którego wypolerowana powierzchnia lśniła we wzbierającym świetle. Wręczył przedmiot stojącemu w środku wysokiemu druidowi z białą brodą.

Druidowie odwrócili się w stronę jaśniejącego horyzontu, a najstarszy zrobił kilka kroków i wszedł na tratwę. W tej samej chwili czekający mężczyźni – ojciec Segovaxa i ten drugi – stanęli za nim i długimi drągami zaczęli wypychać tratwę na środek nurtu.

Pozostali czterej druidzi śpiewali pieśń, monotonny dźwięk tajemniczo się nasilał, niosąc się nad wodami za oddalającą się tratwą. Sto metrów. Dwieście.

Ponad wodą ukazał się ogromny czerwony łuk. Słoneczna tarcza rosła, zalewając rzekę złotym blaskiem. Wydawało się, że stojące na jej tle postacie czterech druidów stały się nagle olbrzymie, rzucając długie cienie na tłum.

Tratwa była już na środku rzeki, dwaj mężczyźni za pomocą długich drągów utrzymywali ją nieruchomo w nurcie. Dwa niskie wzgórza na północnym brzegu zalane były czerwonawym światłem. Wysoki druid,

niczym wyłaniający się z wód prastary siwobrody bóg morza, uniósł w górę metalowy przedmiot, który rozbłysnął w promieniach słońca.

Była to tarcza wykonana z brązu. Większość broni na wyspie wykuwano z żelaza, jednak starszy i łatwiej poddający się obróbce brąz wykorzystywano do wyrobu broni ceremonialnej, wymagającej wielkich umiejętności. A ta była prawdziwym dziełem sztuki, przysłanym za pośrednictwem najbardziej zaufanych dostojników przez samego wielkiego wodza Cassivelaunusa. Tarcza, pokryta wzorem wijących się linii i wykładana szlachetnymi kamieniami, była przykładem najlepszego kowalskiego rzemiosła Celtów, z którego wyspa słynęła. I stanowiła najcenniejszy dar, jaki wyspiarze mogli ofiarować bogom.

Potężnym zamachem druid rzucił tarczę na wodę. Rozbłyskując w świetle, zatoczyła w powietrzu łuk i spadła na świetlistą drogę rozłożoną przez słońce na rzece. Mały tłum wydał z siebie westchnienie, gdy rzeka w milczeniu przyjęła ofiarę.

Jednak stary druid zauważył, że dzieje się coś dziwnego. Zamiast zatonąć i zniknąć z oczu, brązowa tarcza zawisła tuż pod powierzchnią przejrzystej wody, migocząc w świetle. W pierwszej chwili starzec się zdziwił, jednak po chwili pojął, że przyczyna jest bardzo prosta. Metal ukuto bardzo cienko i ułożono na lekkim drewnie. Dopóki drewno nie nasiąknie, ceremonialna tarcza pozostanie tam, gdzie jest, pokryta jedynie cienką warstwą wody.

I jeszcze coś. Wraz ze wstającym świtem odwrócił się też prąd rzeki. Nurt nie płynął już w dół, do ujścia, ale w górę, do miejsca położonego o kilka kilometrów od Londinos. Tarcza powoli przesuwała się pod zimnymi, klarownymi falami, jakby przyciągana jakąś niewidzialną dłonią w kierunku wnętrza wyspy.

Starzec patrzył, zastanawiając się, co to może oznaczać. Zwiastowało zło czy dobro, zwłaszcza w obliczu potwornego zagrożenia?

Zagrożenie przyszło z Rzymu. Nazywało się Juliusz Cezar. W ciągu tysięcy lat, od czasu ustąpienia lodowca, Brytania stała się domem dla wielu ludów. Myśliwych, prostych rolników, budowniczych kamiennych świątyń takich jak Stonehenge, a w ostatnich stuleciach dla plemion należących do wielkiej celtyckiej kultury północno-zachodniej Europy. Wyspiarze prowadzili dostatnie życie, mieli poezję i pieśni bardów, bogactwo legend i opowieści, rzemiosło kowalskie na najwyższym poziomie. Mieszkali w solidnych okrągłych domach z drewna krytych ciepłą słomianą strzechą. Większe osady otaczały ostrokoły albo pierścienie wysokich wałów ziemnych. Uprawiano jęczmień i owies, hodowano bydło, pito piwo i mocny miód pitny. Przesłonięta północnymi mgłami wyspa pozostawała odległym miejscem.

A jednocześnie od wielu pokoleń znad słonecznego Morza Śródziemnego przybywali tu kupcy, przywozili z południa luksusowe dobra i wymieniali je na futra, niewolników i słynne psy myśliwskie. Ożywiony handel rozwijał się też w porcie na południowym wybrzeżu, gdzie miała ujście rzeka płynąca od strony starej, opuszczonej świątyni Stonehenge. Ale chociaż brytyjscy wodzowie lubili wino, jedwabie i rzymskie złoto, to zupełnie nie rozumieli świata, z którego pochodziły te zbytkowne towary i który leżał daleko za horyzontem.

A potem świat antyczny wydał z siebie największego awanturnika, jakiego znała historia.

Juliusz Cezar zapragnął przejąć władzę w Rzymie. Ażeby to zrobić, potrzebował podbojów. Niedawno dotarł na północy aż do Kanału Angielskiego i ustanowił nową rzymską prowincję Galię. A teraz skierował swój wzrok jeszcze dalej na północ, na zamgloną wyspę.

Przybył tu w zeszłym roku. Z niewielkimi siłami, głównie oddziałami piechoty, dobił statkami do wysokich klifów na południowo-wschodnim wybrzeżu. Brytyjscy wodzowie już wcześniej zostali ostrzeżeni, mimo to widok zdyscyplinowanych rzymskich oddziałów był wspaniały. Celtowie mieli dzielnych wojowników. Atakując błyskawicznie na koniach i rydwanach, kilka razy zaskoczyli Rzymian. Sztorm uszkodził flotę Cezara. Po serii potyczek i manewrów w rejonie nadmorskim Cezar musiał się wycofać. Wodzowie triumfowali. Bogowie zesłali im zwycięstwo. Wygnańcy ostrzegali: „To był jedynie rekonesans", ale większość Brytyjczyków nie chciała im wierzyć.

Potem jednak zaczęły nadchodzić kolejne wieści. Budowano nową flotę. W stan gotowości postawiono pięć legionów piechoty i dwa tysiące konnych. A dziesięć dni temu w Londinos zatrzymał się posłaniec z wiadomością dla wodzów. Krótką i konkretną: Cezar nadchodzi.

Ofiara została złożona. Tłum się rozproszył. Druidzi wracali do siebie, dwóch na południe, dwóch na północ. Ojciec Segovaxa miał zawieźć łodzią najstarszego z nich do siedziby leżącej pięć kilometrów w górę rzeki.

Pożegnawszy zebranych, starzec już zamierzał wsiąść do łodzi, ale odwrócił się i popatrzył na kobietę. Trwało to krótką chwilę. Potem dał znak rybakowi. Ruszyli w drogę.

Trwało to krótką chwilę, ale wystarczyło. Cartimanduę przebiegł dreszcz. Ludzie mówili, że stary druid wie wszystko. A jeśli to prawda? Oparłszy niemowlę na biodrze, popchnęła przed sobą Segovaxa i Branwen, kierując ich ku spętanym koniom. Postępuje słusznie? Przekonywała siebie w duchu, że tak. Tylko w ten sposób może ich wszystkich ocalić. Robi to, co musi. Ale rozpacz i niewyobrażalne wyrzuty sumienia nie opuszczały jej. Czy to możliwe, że stary druid, którego jej mąż wiózł na łodzi, domyślił się wszystkiego o dostojniku?

Przez kilka minut czekała przy koniach, dopóki nie pojawili się ludzie wielkiego wodza. On był wśród nich. Widząc ją, odszedł na bok.

Mały Segovax przypatrywał mu się z zainteresowaniem. To właśnie ten człowiek podał druidowi tarczę. Był krzepkim mężczyzną z czarną brodą, jego błękitne oczy patrzyły bystro i przebiegle. Wokół niego unosiła się aura władzy. Pod opończą nosił tunikę obramowaną lisim futrem. Ciężki torque – celtycki naszyjnik ze złota – był oznaką wysokiej rangi.

Chłopiec widział go już wcześniej. W ciągu ostatniego miesiąca ten potężny wojownik dwukrotnie odwiedzał okolicę, za każdym razem zatrzymując się w wiosce naprzeciwko Londinos.

– Musicie być gotowi – przykazał mężczyznom, obejrzawszy ich broń. – Wielki wódz Cassivelaunus oczekuje, że nasze siły zbiorą się w tym miejscu. Ja mam przygotować obronę.

A teraz matka Segovaxa, zostawiwszy Branwen i niemowlę pod opieką syna, podeszła do dostojnika, żeby z nim porozmawiać.

Mężczyzna przyglądał się jej uważnie. I jak to miał w zwyczaju, oceniał jej urodę. Już przy pierwszym spotkaniu zauważył, że jest niezwykłym stworzeniem. Gęste kruczoczarne włosy opadały jej na ramiona. Była szczupła, dość wysoka, ale miała dorodne piersi. O takich piersiach marzą mężczyźni. Widział jej miękki, kołyszący się chód. To też zauważył przy pierwszym spotkaniu. Zawsze poruszała się w ten sposób czy tylko w jego obecności?

– Czego? – odezwał się gburowato.

– Nasza umowa nadal obowiązuje?

Zerknął w kierunku dzieci, a potem skierował spojrzenie na czółno, którym jej mąż wiózł druida. Zdążyli odpłynąć daleko. Mąż o niczym nie wiedział. Dostojnik znów zaczął pożerać ją wzrokiem.

– Przecież już ci to mówiłem.

Wyobraził ją sobie za kilka lat. Blada twarz z wąskimi kośćmi policzkowymi zmizernieje, zmysłowe oczy się zapadną. Jej namiętność zamieni się w obsesję, a może w gorycz. Rozkołysane nastroje. Ale na najbliższe lata nada się doskonale.

– Kiedy? – spytała z ulgą, ale nerwowo.

Wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Niedługo.

– On nie może się o tym dowiedzieć.

– Moim rozkazom trzeba się podporządkować.

– Oczywiście. – Skinęła głową, ale nadal stała niepewnie. Jest jak dzikie zwierzątko, pomyślał. Nie do końca oswojone. Dał znak, że rozmowa dobiegła końca. Po chwili odjechał.

Cartimandua odwróciła się do swoich niewinnych dzieci, które nie miały pojęcia o jej strasznej tajemnicy. Ale niedługo się dowiedzą. A potem przyszła jej do głowy jeszcze bardziej przerażająca myśl. Czy wtedy nadal będą ją kochać?

Druid przeczesywał wzrokiem wodę, gdy czółno płynęło w górę nurtu. Czy tarcza wciąż unosi się na falach, czy też rzeka już ją przyjęła? Spojrzał też na skromnego człowieka przy wiosłach. Pamiętał jego ojca, miał zrośnięte błoną palce jak jego syn. A przedtem jego ojciec. Druid westchnął. Nie bez powodu ludzie z tych okolic nazywali go ojcem rzeki.

Był już bardzo stary, miał prawie siedemdziesiąt lat. Ale wciąż był silny, wciąż jego postać robiła wielkie wrażenie. Miał prawie sto dziewięćdziesiąt centymetów wzrostu – w porównaniu z większością mężczyzn był olbrzymem. Gęsta, siwa broda sięgała mu do pasa, na głowie z siwymi włosami nosił złotą opaskę. Jego szare oczy patrzyły czujnie. To on raz w roku składał ofiarę z wołu po zachodniej stronie bliźniaczych wzgórz Londinos; to on wznosił modły w świętych dąbrowach.

Nikt nie wiedział, kiedy na północnym zachodzie Europy pojawili się druidzcy kapłani, ale na Brytanii nigdy nie było ich tylu co teraz, w ciągu ostatnich lat bowiem licznie szukali schronienia na pokrytej mgłami wyspie. Powiadano, że brytyjscy druidzi są strażnikami czystej tradycji wywodzącej się z prastarych ustnych przekazów. Wnętrze wyspy kryło dziwne kręgi kamienne i świątynie tak stare, że nikt nie umiał nawet powiedzieć, czy zostały wzniesione ludzką ręką. Powiadano też, że dawno temu właśnie tam spotykali się druidzi. Jednak nad rzeką odprawiali swoje ceremonie głównie w małych drewnianych kapliczkach albo świętych gajach.

Ludzie mówili, że stary druid ma wyjątkową umiejętność. Wiele lat temu dostał od bogów dar jasnowidzenia.

Miał trzydzieści trzy lata, gdy pierwszy raz objawiła się ta zdolność. On sam nie umiał powiedzieć, czy była darem, czy przekleństwem. Czasem miał jedynie mgliste przeczucia, a czasem widział przyszłość z przerażającą jasnością. A czasem był ślepy jak każdy inny człowiek. W miarę upływu lat przestał traktować tę niezwykłą zdolność jako złą lub dobrą, uznał po prostu, że jest częścią naturalnego porządku.

Miał dom niedaleko. Na zachodnim skraju czterokilometrowego pasa rzeki znajdował się majestatyczny zakręt – nurt skręcał w prawo, kierując się na południe, by potem znów popłynąć na wschód. Właśnie tam, niedaleko północnego brzegu rzeki, rozwidlona rzeka stworzyła niską, prostokątną wyspę. Było to zaciszne miejsce, zarośnięte dębami, jesionami i akacjami. Druid mieszkał tu samotnie od trzydziestu lat w skromnej drewnianej chatce.

Często odwiedzał wioski nad rzeką, gdzie zawsze witano go z szacunkiem i częstowano jedzeniem. Czasem przyzywał nagle jakiegoś wieśniaka, na przykład ojca Segovaxa, żeby zawiózł go łodzią do świętego

miejsca oddalonego o wiele kilometrów w górę rzeki. Ale zazwyczaj dym unoszący się z komina świadczył, że czuwa na swojej wysepce, a jego milcząca obecność sprawiała, że okoliczna ludność uważała go za strażnika tych ziem, który niczym święty kamień, pomimo porastającego go mchu, trwa niezachwianie w zmiennych porach roku.

Wpływali właśnie w zakręt, mając przed oczami wysepkę, gdy starzec dojrzał tarczę. Nadal unosiła się tuż pod powierzchnią wody, migocząc miękko, pchana powoli przez nurt. Patrzył na nią przez dłuższą chwilę. Rzeka nie odrzuciła ofiary. Ale też jej nie przyjęła. Potrząsnął głową. Ten znak zgadzał się z widzeniem, które nawiedziło go miesiąc temu.

A tego ranka dar jasnowidzenia objawił mu jeszcze inne rzeczy. Nie zobaczył, co zamierza mały Segovax, ale zauważył rozdarcie Cartimandui. A teraz widział, co los zgotował wiosłującemu rybakowi. Oto miały nadejść wydarzenia większe i bardziej przerażające niż to, co podpowiadały mu wcześniejsze przeczucia. Nie rozumiał tego do końca. Zbliżali się do domu, a on nadal był głęboko zamyślony. Naprawdę bogowie prastarej Brytanii zostaną zniszczeni? A może miało się wydarzyć coś innego, czego nie umiał pojąć? Wszystko to było bardzo dziwne.

Segovax wyczekiwał tego przez całą wiosnę. Każdego dnia spodziewał się posłańców na spienionych koniach, każdej nocy wpatrywał się w gwiazdy, zastanawiając się, czy już przekroczyli morze. Ale nikt nie przybywał. Od czasu do czasu do wioski docierały pogłoski, że przygotowania ruszyły, ale do inwazji nie dochodziło. Można było odnieść wrażenie, że na wyspę powrócił spokój.

Osada, w której mieszkała jego rodzina, była piękna. Wewnątrz ogrodzenia z plecionej wikliny stało kilka okrągłych domów ze strzechą i glinianym klepiskiem, zmieściły się też dwie zagrody dla zwierząt i parę spichrzów na palach. Osada leżała nie na czubku mierzei, tam, gdzie

czekali druidzi, ale pięćdziesiąt metrów dalej. Gdy wody w rzece przybywało i mierzeja zamieniała się w wyspę, osada była odcięta od świata, ale nikomu to nie przeszkadzało. Wręcz przeciwnie, gdy pojawili się tu pierwsi mieszkańcy, jakieś dwadzieścia pokoleń wstecz, wodna ochrona została uznana za dobrodziejstwo. Samo podłoże, składające się ze żwiru tak samo jak bliźniacze wzgórza po drugiej stronie, było suche i dawało stopom mocne oparcie. Gdy przychodziło wiosenne ciepło, część mokradeł na południowym brzegu wysychała; pasły się tam konie i bydło; Segovax, jego młodsza siostra i inne dzieci bawili się na tych łąkach usianych jaskrami i pierwiosnkami. Ale przede wszystkim mały cypel pozwalał na połów ryb.

Rzeka była tu szeroka, płytka i przejrzysta. Obfitowała w rozmaite ryby. Najwięcej było pstrągów i łososi. Z cypla można było rozciągać sieci daleko w wodę. A chłopcy wyprawiali się czasem wzdłuż podmokłych brzegów do miejsc, gdzie łatwo było schwytać w pułapkę węgorze.

„Ci, który tu mieszkają – mawiał ojciec – nigdy nie będą głodni. Rzeka zawsze ich wykarmi”.

Czasem po rozstawieniu sieci Segovax siadał z ojcem na brzegu, patrząc na bliźniacze wzgórza w oddali. Obserwowali stały rytm przypływów i odpływów, każdego dnia prąd płynął od ujścia w górę rzeki, zatrzymywał się, a potem znów cofał ku morzu. Ojciec mówił wtedy z zadowoleniem: „Patrz, rzeka oddycha”.

Segovax uwielbiał spędzać czas z ojcem. Pragnął się od niego uczyć, a ojciec chętnie dzielił się z nim swoją wiedzą. Jako pięciolatek Segovax umiał już zastawiać sidła w pobliskim lesie. Zanim skończył siedem lat, fachowo układał strzechę z trzciny ścinanej na mokradłach. Rozciągał sieci, potrafił też stać nieruchomo na płyciźnie, czekając na rybę, którą po mistrzowsku trafiał zaostrzonym kijem. Znał mnóstwo opowieści

o niezliczonych celtyckich bogach, umiał wyliczyć przodków nie tylko własnej rodziny, ale też największych wodzów wyspy. A niedawno zaczął poznawać najważniejsze elementy ze skomplikowanej sieci małżeństw, rodowodów i ślubów lojalności, które na całej celtyckiej wyspie wiązały ze sobą plemiona, wodzów, wioski i rodziny więzami przyjaźni lub wrogości. „Takie rzeczy mężczyźnie należy się wiedzieć”, tłumaczył ojciec.

A od dwóch lat Segovax uczył się jeszcze jednej umiejętności. Ojciec zrobił mu włócznię. Nie zwykły zaostrzony kij na ryby, ale prawdziwą włócznię z lekkim drzewcem i metalowym końcem. „Jeśli chcesz zostać myśliwym i wojownikiem – mówił do syna z uśmiechem – musisz nauczyć się tym władać”. I zaraz dodał: „Ale bądź ostrożny”.

Każdego dnia chłopiec ćwiczył rzucanie do tarczy. Wkrótce umiał trafić w każde drzewo, które znajdowało się w jego zasięgu. A potem zaczął sobie szukać coraz trudniejszych celów. Zasadzał się na zające, ale bez skutku. A raz przyłapano go, gdy rzucał dzidą w cel przytwierdzony do patyka posłusznie trzymanego przez Branwen. Nawet jego spokojny ojciec wpadł wtedy w złość.

Ojciec był taki mądry. Ale gdy nieco się zestarzał, Segovax zauważył jeszcze coś. Ojciec, żylasty, ze szczupłą twarzą, potarganą nieco brodą i przygarbionymi plecami, nie miał tyle sił co inni mężczyźni. Jednak przy wszystkich wspólnych pracach w wiosce zawsze nalegał, by robić tyle co pozostali. Po wielogodzinnej harówce często był blady i wyczerpany, Segovax widział, że matka patrzy na niego z niepokojem. Ale gdy ludzie z osady siadywali latem przy wieczornym ognisku, nieco senni od piwa i miodu, to właśnie ojciec głosem cichym, lecz zadziwiająco głębokim jak na jego wątłą posturę, śpiewał im pieśni o ich ludzie, przygrywając sobie czasem na prostej celtyckiej harfie. W takich chwilach jego zmęczenie

gdzieś się rozpływało, a na twarzy pojawiał się wyraz magicznej łagodności.

I tak się stało, że Segovax w wieku dziewięciu lat, tak jak jego matka, nie tylko kochał i podziwiał ojca, ale wiedział też w głębi serca, że musi go chronić.

Ojciec sprawił mu tylko jeden zawód.

– Kiedy zabierzesz mnie do ujścia rzeki? – pytał co kilka miesięcy.

A ojciec odpowiadał:

– Niedługo. Kiedy nie będę taki zajęty.

Bo Segovax nigdy jeszcze nie widział morza.

– Ciągle mi tylko obiecujesz – skarżył się, a czasem trochę się dąsał.

W tych pogodnych czasach jedynym cieniem były złe humory matki. Zawsze miała zmienne nastroje, więc ani Segovax, ani jego siostra nie przejmowali się tym zbytnio. Ale ostatnio stała się trudna do zniesienia. Czasem bez powodu beształa dzieci, po chwili przytulała do siebie Brenwen, a zaraz potem kazała jej zmykać. A kiedyś, skrzyczawszy ich za jakieś przewinienie, zalała się łzami. Segovax widział też, że gdy ojciec jest w pobliżu, bladolica matka obserwuje go, niemal ze złością śledząc każdy jego ruch.

Po wiośnie nastało lato, a wieści o ruchach Cezara nadal nie nadchodziły. Być może rzymskie legiony gromadziły się za morzem, ale wioski nikt o tym nie zawiadamiał.

– Jeśli Rzymianie przybędą, to pojawią się też u nas? – spytał Segovax ojca.

– Tak – usłyszał spokojną jak zwykle odpowiedź. A po chwili ojciec dodał z westchnieniem: – Nie mają wyboru.

Powód był prosty.

Bród. Znajdował się niedaleko wyspy druida. Podczas odpływu można było przejść na południowy brzeg, bo woda sięgała tylko do piersi.

– W górnym biegu są też inne brody – tłumaczył ojciec. Ale to było najbliższe ujścia miejsce, gdzie dało się bezpiecznie przekroczyć rzekę. Od niepamiętnych czasów podróżni, schodząc ze starych szlaków, które biegły wzdłuż pokrywających wyspę kredowych wzgórz, zmierzali do tego miejsca. Jeśli Cezar wyląduje na południu i będzie chciał zaatakować rozległe terytorium Cassivelaunusa powyżej ujścia, to najprostsza droga zaprowadzi go do brodu.

„Niedługo tu będą”, powtarzał sobie chłopiec. I czekał przez jeden miesiąc. A potem kolejny.

Na początku lata miało miejsce wydarzenie, po którym, zdaniem Segovaxa, zachowanie matki stało się jeszcze dziwniejsze.

Zaczęło się całkiem niewinnie, któregoś popołudnia, od dziecięcej kłótni. Poszedł z Branwen na spacer. Trzymając się za rękę, minęli łąki na południowym brzegu i doszli do skraju lasu na zboczu. Przez jakiś czas się bawili, a potem jak zwykle Segovax zaczął ćwiczyć rzucanie włócznią. Wtedy go poprosiła.

O nic wielkiego. Kiedyś obiecał, że pozwoli jej rzucić włócznią. Nic więcej. Ale teraz odmówił. Gdy już było po wszystkim, nie pamiętał, czy dlatego, że była za mała, czy dlatego, że chciał się z nią podroczyć.

– Obiecałeś – zaprotestowała.

– Może. Ale zmieniłem zdanie.

– Tak nie wolno.

– Wolno.

Mała Branwen z drobnym, wysportowanym ciałem i jasnymi, niebieskimi oczami wspinała się na drzewa, na które on nie miał odwagi wejść, a jej gniewu nawet rodzice nie umieli poskromić.

– Nie wolno! – Tupnęła nogą. Twarz jej poczerwieniała. – Obiecałeś. Dawaj! – Sięgnęła po włócznię, ale Segovax sprytnie przerzucił ją do drugiej dłoni.

– Nie, Branwen. Jesteś młodsza i masz się mnie słuchać.

– Nie będę! – krzyknęła ze wszystkich sił w płucach. Jej twarz zrobiła się purpurowa, z oczu popłynęły łzy.

Chciała chwycić włócznię jeszcze raz, a potem zamachnęła się i z całych sił uderzyła go piąstką w nogę.

– Nienawidzę cię! – Wprost dławiła się ze złości.

– Nieprawda.

– Prawda! – wrzasnęła. Próbowała go kopnąć, ale ją powstrzymał. Uderzyła go w rękę i zanim zdążył ją złapać, zniknęła w lesie między drzewami.

Czekał przez jakiś czas. Znał swoją młodszą siostrę. Pewnie siedzi teraz na jakimś pniu i czeka, aż po nią przyjdzie. A wtedy nie będzie chciała się ruszyć, aż w końcu będzie musiał się przed nią tłumaczyć. Po namyśle jednak ruszył do lasu.

– Branwen! – zawołał. – Kocham cię. – Żadnej odpowiedzi. Przez dłuższy czas chodził po lesie. Nie mogła się zgubić, bo wystarczyło z dowolnego miejsca zejść ze wzgórza, by znaleźć się na łąkach i mokradłach nad rzeką. Pewnie się przed nim chowała. Wołał ją wiele razy. Cisza. Nasuwał się tylko jeden wniosek. Domyślał się, co zrobiła. Uciekła, pobiegła do domu i poskarżyła się rodzicom, że zostawił ją samą w lesie, gdzie mogło ją spotkać coś złego. Już kiedyś spróbowała tej sztuczki.

– Branwen! – zawołał jeszcze raz. – Kocham cię. – A potem mruknął pod nosem: – Zobaczysz, mała żmijo, odpłacę ci za to.

Wreszcie poszedł do domu. Ale jej tam nie było.

Jednak najdziwniejsze było zachowanie matki. Ojciec tylko westchnął i rzekł:

– Schowała się gdzieś, żeby go zdenerwować. – I wyruszył na poszukiwania. Jednak matka zareagowała zupełnie inaczej.

Zrobiła się blada jak kreda. Na jej twarzy odmalowało się przerażenie. A potem głosem ochrypłym od lęku krzyknęła:

– Szybko, musimy ją natychmiast znaleźć! Zanim będzie za późno!

Segovax na zawsze zapamiętał, jak na niego wtedy spojrzała. Prawie z nienawiścią.

Był najmniej lubiany w stadzie, nikt się z nim nie liczył, zawsze jadł jako ostatni. Także teraz, latem, kiedy jego bracia byli tak syci, że nawet nie polowali na napotkaną zwierzynę, on był wychudły i wyliniały. Gdy postanowił zejść ze wzgórz, żeby niżej poszukać jakichś resztek, nikt w stadzie go nie zatrzymywał, patrzyli na niego z obojętną pogardą. Tak więc tego popołudnia szary, wymizerowany cień sunął przez las w kierunku ludzkich siedzib. Kiedyś udało mu się tam złapać jakiś drób.

Ale widząc jasnowłosą dziewczynkę, zawahał się.

Wilki zazwyczaj nie atakowały ludzi, bały się ich. A za samotne łowy na człowieka, bez pozwolenia i pomocy stada, czekała go okrutna zemsta ze strony przywódcy. Ale przecież nikt nie musiał się o tym dowiedzieć. Kuszący kąsek, cały dla niego. Siedziała na zwalonym drzewie, odwrócona do niego plecami. Nuciła coś sobie, od niechcenia uderzając piętami o pień. Wilk podkradł się bliżej. Dziewczynka go nie słyszała.

Cartimandua wspinała się na wzgórze. Nadal była blada. Biegła. Wysłała męża inną drogą. Segovax, teraz już przestraszony, zniknął jej z oczu. Oddychała ciężko, ale to wzburzenie było niczym w porównaniu

z potwornym lękiem, który wypełniał jej umysł, pozostawiając w nim tylko jedną myśl.

Jeśli dziewczynka zginie, wszystko przepadnie.

Namiętność Cartimandui była straszna. Czasem wydawała się piękna, ale częściej przypominała ból, który nie chce odejść; czasem pusta i straszna, miotała nią, aż była bezsilna. Tak jak teraz. Biegnąc w górę zbocza, z promieniami słońca na policzku, czuła, że jej namiętność do męża nie ma granic. Pragnęła go. Chciała go chronić. Potrzebowała go. Nie umiała sobie wyobrazić życia bez niego. Rodzina z maleńkim dzieckiem nie poradziłaby sobie bez ojca. Poza tym Cartimandua była gotowa na kolejne dzieci. Tego też namiętnie pragnęła.

Nie miała złudzeń. W osadach nad rzeką już było więcej kobiet niż mężczyzn. Gdyby on zginął w walkach, miałaby nikłe szanse na znalezienie nowego mężczyzny. Namiętność popychała ją do działania; instynkt macierzyński i pragnienie, żeby ocalić rodzinę, pozbawiły ją skrupułów. Musiała taka być. Musiała podjąć straszną, tajemną decyzję, a wywołana nią udręka towarzyszyła jej przez całą wiosnę jak pełne wyrzutów echo.

Postąpiła słusznie? Powtarzała sobie, że tak. Dobiła dobrego targu. Może dziewczynka będzie szczęśliwa, zapewne będzie bogatsza. To koniecznie. Tak jest lepiej dla wszystkich.

Tylko że każdego dnia chciało jej się krzyczeć z rozpaczy.

A teraz – i to była ta straszna tajemnica, o której nikt nie wiedział – jeżeli coś się stanie Branwen, jej mąż zapewne straci życie.

Branwen usłyszała wilka, gdy znalazł się kilka metrów za nią. Odwróciła się i zobaczywszy go, krzyknęła. Obserwował ją, gotowy do skoku. Nagle zastygł, bo wydarzyło się coś dziwnego.

Branwen była przerażona, ale umiała błyskawicznie myśleć. Wiedziała, że jeśli zacznie uciekać, wilk w mgnieniu oka dopadnie ją swoimi

straszliwymi zębami. Co robić? Miała tylko jedną szansę. Jak wszystkie dzieci we wsi często naganiała bydło. A człowiek mógł zatrzymać nawet pędzącą krowę, wystarczyło, że zamachał rękami. Tak, mogła stawić czoło i temu zwierzęciu. Jeśli tylko nie okaże strachu.

Gdyby miała jakąś broń, choćby kij. Ale nie. Jej jedyną bronią było coś, czym często posługiwała się w domu i co prawie zawsze odnosiło skutek. Złość. Mogę udawać, że jestem zła, pomyślała. A najlepiej, gdyby mogła naprawdę wpaść w gniew. Wtedy by się nie bała.

I oto wilk stanął nagle naprzeciw drobnej dziewczynki z czerwoną twarzą wykrzywioną złością. Machała rękami i rzucała przekleństwa, które choć dla niego niezrozumiałe, doskonale wyrażały jej intencje. A co dziwniejsze, zamiast uciekać, ruszyła do przodu. Wilk cofnął się niepewnie o dwa kroki.

– Idź stąd! Wynocha! – krzyczała z furią. – Głupie zwierzę! Z drogi! – A potem, tak jak w domu, gdy naprawdę wpadała w szał, wrzasnęła z mocą: – Wynoś się!

Wilk cofnął się jeszcze bardziej. Zastrzygł uszami. A potem, wciąż obserwując ją uważnie, zatrzymał się.

Branwen klaskała w dłonie, krzyczała i tupała. Teraz była już naprawdę wściekła, ale jednocześnie próbowała ocenić swoje szanse. Zdobędzie się na odwagę, żeby ruszyć na wilka i zmusić go do ucieczki? Wystarczy, że on raz ją ugryzie, i będzie koniec.

Wilk wyczuł jej wahanie i zrozumiał, że to podstęp. Zrobił dwa kroki do przodu, zawarczał i przysiadł, gotowy do skoku. Zdesperowana dziewczynka ryknęła na niego wściekle. Ale stała w miejscu. Wilk przysiadł jeszcze bardziej.

I nagle za dziewczynką zauważył jeszcze jedną postać. Zamarł. Czyżby zbliżali się myśliwi? Zerknął na boki. Nie. Był tylko jeden człowiek.

Chłopiec. Nie chcąc porzucić tak łatwej zdobyczy, wilk przyczaił się ponownie. Chłopiec miał w ręku jedynie kij. Wilk zaatakował.

Rozdzierający ból w łopatce kompletnie go zaskoczył. Chłopiec rzucił kij tak szybko, że zwierzę nie zdążyło zareagować. Ból był ostry. Wilk zamarł. A potem poczuł, że nie może się poruszyć. Osunął się na ziemię.

Segovax nie chciał mówić dorosłym o wilku.

– Jeśli się dowiedzą – tłumaczył siostrze – napytam sobie biedy.

Ale Branwen nie mogła opanować podniecenia.

– Zabiłeś go! – krzyknęła radośnie. – Włócznią!

Zrozumiał, że to na nic.

Westchnął.

– Chodźmy do domu – powiedział. Zaczęli schodzić ze wzgórza.

Reakcja matki była zdumiewająca. W pierwszej chwili, gdy ojciec ucałował ich oboje i poklepał syna po plecach, nie powiedziała nic. Patrzyła na rzekę, jakby w ogóle nie cieszyła się ze szczęśliwego zakończenia. Ale gdy ojciec poszedł zdjąć skórę z wilka, wbiła w Segovaxa nawiedzony wzrok.

– Twoja siostra o mało nie zginęła. Zdajesz sobie z tego sprawę? – Patrzył ponuro w ziemię. Wiedział, że czekają go kłopoty. – Zostawiłeś ją samą i o mało przez to nie zginęła. Rozumiesz, co zrobiłeś?

– Tak, mamo. – Jasne, że rozumiał. Ale zamiast go skrzyczeć, Cartimandua wydała z siebie cichy jęk pełen rozpaczy. Nigdy wcześniej nie słyszał takiego dźwięku. Spojrzał na nią niepewnie. Wydawało się, że matka zapomniała o jego istnieniu. Kręcąc głową, przyciskała dziewczynkę do piersi.

– Nie rozumiesz. Nic nie rozumiesz. – Odwróciła się, zawyła jak jakieś zwierzę i ruszyła do wsi, zostawiając ich samych. Ani Segovax, ani Branwen nie wiedzieli, co o tym myśleć.

Straszny układ został zawarty wiosną, kiedy dostojnik od wielkiego wodza Cassivelaunusa po raz pierwszy przybył do wsi, żeby zaplanować obronę nad rzeką. I pewnie ten pomysł nie przyszedłby jej do głowy, gdyby nie luźna uwaga, którą rzucił do kobiet ze wsi, przeglądając broń mężczyzn.

– Jeśli Rzymianie podejdą do brodu, przeniesiemy was w górę rzeki. Czarnobrody kapitan nie chciał, żeby kobiety kręciły się w pobliżu pola bitwy. Jego zdaniem przeszkadzały i rozpraszały mężczyzn.

Ale ta uwaga dała jej do myślenia. A wieczorem, widząc, że jest nad rzeką sam, podeszła do niego.

– Powiedzcie mi, panie, czy w drodze w górę rzeki będziemy miały jakąś straż?

Wzruszył ramionami.

– Pewnie tak. A bo co?

– Tutejsi ludzie mają do mojego męża zaufanie – oznajmiła. – Najlepiej by było, żeby to on nam towarzyszył.

– Tak myślisz?

– Tak – powiedziała cicho. Widziała, że mężczyzna uśmiecha się do siebie jak ktoś, kto ma władzę i wie, jak rozumieć taką propozycję.

– A co byś zrobiła – spytał łagodnie, patrząc na pociemniałą wodę – żebym ja też tak pomyślał?

Nie spuszczała z niego wzroku. Znała swoje silne strony.

– Co tylko zechcecie – odpowiedziała.

Milczał przez dłuższą chwilę. Jak większość wojskowych dowódców nawet nie liczył kobiet, które ofiarowywały mu swoje ciało. Jedne brał, innych nie. Ale jego wybór ją zaskoczył.

– A ta jasnowłosa dziewczynka, która była dziś z tobą, to twoja córka?

Cartimandua skinęła głową.

Wystarczyło kilka chwil, by oddała mu małą Branwen.

Tak było najlepiej. Powtarzała to sobie tysiące razy. Oczywiście Branwen stanie się własnością kapitana. Jego niewolnicą. Będzie mógł ją sprzedać, zrobić z nią, co tylko będzie chciał. Ale dziewczynki wcale nie musi czekać zły los. Znajdzie się na dworze wielkiego Cassivelaunusa; a jeśli kapitan ją polubi, to może da jej wolność, może nawet wyda ją dobrze za mąż. Takie rzeczy już się zdarzały. Lepsze to niż wyczekiwanie w wiosce, gdzie wszystko było takie monotonne, przekonywała się w myślach Cartimandua. Jeśli tylko dziewczyna nauczy się powściągać swoją złość, dobrze na tym wszystkim wyjdzie.

A w zamian za to jej mąż nie będzie walczył z budzącymi postrach Rzymianami, lecz powędruje z nią w bezpieczne miejsce.

– Pójdziecie razem w górę rzeki – powiedział kapitan bez ogródek. – A pod koniec lata dostarczysz mi dziewczynę.

Na razie musiała jedynie ukrywać tę umowę przed mężem. On nigdy by się na coś takiego nie zgodził, ale gdy rzecz się dokona, będzie już za późno. U Celtów przysięga była święta.

Nic dziwnego, że od dnia, kiedy wilk o mało nie uśmiercił Branwen, Cartimandua nie spuszczała jej z oka.

Wieści o Juliuszu Cezarze wciąż nie nadchodziły.

– A może – powiedział kiedyś wesoło ojciec – on już nigdy się nie pojawi?

Lato mijało Segovaxowi szczęśliwie. Matka nadal popadała w dziwne, mroczne nastroje i nie puszczała biednej Branwen od siebie ani na krok, ale ojciec chętnie spędzał z nim czas. Oprawił jedną z wilczych łap i Segovax nosił ją teraz na szyi jako talizman. Każdego dnia ojciec uczył go jakiejś nowej umiejętności – jak polować, jak obrabiać drewno, jak przepowiadać pogodę. A kiedyś, w środku lata, ku jego zdziwieniu i wielkiemu zadowoleniu, oświadczył nagle:

– Jutro zabiorę cię nad morze.

Nad rzeką używano kilku rodzajów łodzi. Gdy ojciec zastawiał sieci albo przeprawiał się na drugi brzeg, zwykle brał czółno zrobione z dębowego pnia. We wsi były też tratwy. Zeszłego lata chłopcy zbudowali sobie jedną. Cumowali ją na długiej linie, a potem skakali z niej do roziskrzonej wody jak z platformy. Pływano również małymi łódkami ze skór rozciągniętych na drewnianym szkielecie, a kilka razy Segovax widział kupców płynących w dół rzeki w długich, wiosłowych łodziach z wysokimi burtami, które celtyccy wyspiarze też umieli budować. Ale na wyprawy takie jak ta wieś miała tylko jedną łódź. Zajmował się nią ojciec i trzymał ją zawsze pod przykryciem.

– Popłyniemy plecionką. Trzeba ją najpierw sprawdzić na rzece.

Łódź z plecionej wikliny! Miała krótką stępkę i szerokie ożebrowanie z lekkiego drewna. Ta delikatna konstrukcja była jedynym twardym materiałem użytym do zrobienia kadłuba. Szkielet pokryto warstwą mocno splecionej łoziny, a na niej, dla zapewnienia koniecznej szczelności, rozciągnięto skóry. Kupcy z wielu krajów od dawna podziwiali celtyckie wyroby z wikliny. To był jeden z powodów do dumy dla wyspiarzy.

Wiklinowa łódka, choć długa zaledwie na sześć metrów, miała jedno udogodnienie. Na środku stał niski maszt przymocowany sztagami, na którym można było rozpiąć żagiel z cienkiej skóry. Maszt był po prostu świeżo ściętym małym drzewem – wybierano je uważnie, żeby nie było zbyt ciężkie; na czubku musiało być naturalne rozwidlenie, do którego przywiązywano fały. Zgodnie ze zwyczajem na wierzchołku masztu zostawiano kilka ulistnionych gałązek, więc wiklinowa łódka wyglądała trochę jak drzewko albo krzew unoszący się na wodzie.

To prawda, była prymitywna, ale niezwykle wygodna. Elastyczna, ale wytrzymała. Na tyle lekka, by ją przenosić, i pomimo niewielkiego

zanurzenia na tyle stabilna, że można było wypływać nią na morze. Na rzece popychały ją wiosła i pływy, mały żagiel zaś był przydatnym dodatkowym źródłem napędu – nawet przy słabym tylnym wietrze wystarczał, żeby pokonać przeciwny prąd. Za kotwicę służył ciężki kamień w drewnianej klatce, wyglądający jak krab w koszyku.

Dokładnie obejrzeli łódź, postawili maszt i przez kilka godzin po południu pływali po rzece. W końcu ojciec powiedział z uśmiechem:

– Jest idealna.

Następnego dnia o świcie poziom wody w rzece doszedł do punktu kulminacyjnego, więc gdy tylko zrobiło się jaśniej, ojciec i syn zepchnęli łódkę z mierzei, żeby wykorzystać cofający się prąd, który przez wiele godzin mógł ich nieść w kierunku ujścia. Mieli szczęście, z zachodu wiała delikatna bryza, więc postawiwszy skórzany żagiel, mogli siedzieć i podziwiać mijane krajobrazy, sterując jedynie szerokim wiosłem.

Gdy wydostali się na środek nurtu, Segovax odwrócił się, żeby spojrzeć na matkę stojącą na skraju mierzei. Patrzyła na nich z pobladłą twarzą. Pomachał jej, ale nie zareagowała.

Jeszcze długo za Londinos koryto rzeki nie rozszerzało się; najpierw musieli dotrzeć – o czym chłopiec dobrze wiedział – do jednego z najbardziej niezwykłych miejsc długiego, krętego nurtu. W swojej podróży z wnętrza wyspy rzeka wiła się wielkimi zakolami, ale tuż za Londinos zaczynał się ciąg wielkich, ciasnych zakrętów, tworzących coś w rodzaju podwójnego S. Niecałe półtora kilometra od wschodniego wzgórza Londinos rzeka zawijała w kierunku północnym i zaraz zawracała, znów płynąc na południe. U dołu tego południowego zakrętu, zaledwie pięć kilometrów w prostej linii od wschodniego wzgórza, teren od południa wznosił się, tworząc piękne, rozległe zbocze. W tym miejscu rzeka znów

zawracała na północ, a półtora kilometra dalej znajdował się następny zakręt.

Gdy mijali kolejne pętle, ojciec patrzył z rozbawieniem na Segovaxa, rzucając od czasu do czasu pytanie:

– To gdzie jest teraz Londinos?

Czasem leżało po lewej stronie, czasem po prawej, a czasem z tyłu. Gdy w pewnej chwili chłopiec zupełnie stracił orientację, ojciec roześmiał się głośno.

– Londinos jest teraz na wprost nas, choć cały czas się od niego oddalamy – wyjaśnił.

Tę niezwykłą właściwość rzeki znali wszyscy tutejsi żeglarze.

Dzień był pogodny. Posuwali się w dół biegu, a Segovax zauważył, że woda w rzece jest tak czysta i przejrzysta, zupełnie jak w okolicach Londinos, że widać dno, czasem piaszczyste, a czasem pokryte błotem lub żwirem. Późnym rankiem zjedli placki owsiane od Cartimandui, popili je słodkawą wodą, którą czerpali dłonią wprost z rzeki.

Dopiero gdy rzeka stała się szersza, chłopiec zaczął sobie uświadamiać, czym jest wielkie kredowe V, w którym mieszkał całe życie.

W samym Londinos kredowe wzgórza nie były widoczne. Owszem, za wioską wznosiły się łagodne zbocza. Niskie pagórki ciągnęły się przez jakieś osiem kilometrów i kończyły wysoką granią, skąd roztaczał się rozległy widok. Jednak te pagórki, uformowane głównie z gliny, leżały wewnątrz zakrzywionego łuku kredowych wzniesień, zasłaniając ich widok od strony rzeki. Chłopiec znał też poprzecinane strumieniami lesiste zbocza na północnym brzegu, na których tle stały bliźniacze wzgórza. Widział wznoszące się za nimi tarasy oraz pasmo cypli i pagórków wysokich na prawie sto metrów, ciągnące się w dal. Nie zdawał sobie jednak sprawy

z istnienia wielkiej, kredowej skarpy, która za wzniesieniami z gliny i piasku zakręcała ku północnemu wschodowi.

Ale tu, kilkanaście kilometrów od Londinos, roztaczał się zupełnie inny widok. Po lewej stronie rzeki, skąd do północnej krawędzi wielkiego kredowego V było ponad pięćdziesiąt kilometrów, brzeg był niski i podmokły. Dalej, jak tłumaczył ojciec, leżały rozległe połacie lasów i moczarów, które ciągnęły się na setki kilometrów, porastając ogromny łuk lądu tworzący wschodnie wybrzeże wyspy aż po zimne Morze Północne.

– To wielkie tereny, chłodne i wilgotne – tłumaczył ojciec. – Bezkresne plaże. A wiatry, które wieją ze wschodu, znad morza, mogłyby cię przeciąć wpół. Tam mieszka wódz Cassivelaunus. – Pokręcił głową. – I dzikie, niepokorne plemiona. Tylko ktoś tak potężny jak on może nimi władać.

Chłopiec spojrzał na południowy brzeg. Cóż za kontrast! Rzeka zbliżała się tu do wielkiej ściany kredowego V. Płynęli wzdłuż stromego, wysokiego brzegu, za którym wznosiła się na ponad sto metrów potężna grań, ciągnąca się jak okiem sięgnąć na wschód.

– Tam jest Kent, ziemia, na której mieszkają Kantiowie – powiedział ojciec. – Gdybyś szedł przez parę dni tą granią, to w końcu dotarłbyś do wysokich białych klifów na końcu wyspy.

Potem opowiedział w szczegółach, jak wygląda długi, południowo-wschodni półwysep i że w pogodne dni można dojrzeć po drugiej stronie morza nową rzymską prowincję Galię.

– W dolinach pomiędzy wzgórzami są bogate gospodarstwa – dodał.

– A czy oni są tak samo dzicy jak plemiona na północ od ujścia? – spytał Segovax.

– Nie. – Ojciec się uśmiechnął. – Ale za to są bogatsi.

Przez jakiś czas płynęli w milczeniu – chłopiec przepełniony zachwytem, ojciec w głębokiej zadumie.

– A kiedyś – odezwał się w końcu ojciec – mój dziadek powiedział mi coś dziwnego. Gdy był mały, śpiewano piosenkę o tym, że dawno, dawno temu rósł tu wielki las. – Wskazał na wschód, w kierunku morza. – Ale potem przyszła wielka powódź i na zawsze ten las pogrzebała. – Umilkł. Obaj próbowali to sobie wyobrazić.

– I co jeszcze ci powiedział?

– Że w tamtych czasach, gdy pojawili się tu pierwsi ludzie, cała ziemia tam – wskazał na północ – była pokryta lodem. Wszystko było zamarznięte. Ten lód był jak ściana.

– I co się z nim stało?

– Chyba słońce go roztopiło.

Segovax spojrzał na północ. Nie umiał sobie wyobrazić tej zielonej krainy pokrytej zmarzliną.

– Czy ziemia może znów zamarznąć?

– A jak myślisz?

– To niemożliwe – powiedział Segovax stanowczo. – Słońce zawsze wschodzi.

Obserwował krajobraz, w miarę jak łódka płynęła w dół coraz szerszej rzeki. Ojciec patrzył z czułością na syna, modląc się bezgłośnie do bogów, by po jego śmierci chłopiec żył długo i płodził swoje dzieci.

Późnym popołudniem zobaczyli ujście. Pokonali właśnie duży zakręt. Rzeka miała już półtora kilometra szerokości.

– Chciałeś zobaczyć morze – powiedział ojciec cicho.

– Chciałem. – Tylko tyle mógł z siebie wydobyć.

Ujście było bardzo długie. Po lewej niski brzeg zataczał łuk, otwierając się jeszcze szerzej; po prawej aż po horyzont ciągnęły się kredowe skały Kentu. A pomiędzy nimi leżało otwarte morze.

Oczekiwał czegoś innego. Spodziewał się, że morze będzie opadać w stronę widnokręgu, tymczasem wydawało się, że otwarty bezkres wody unosi się, jakby ocean nie chciał pozostać na swoim miejscu, lecz spieszył rzece na powitanie. Segovax patrzył na morze, na wzburzone fale poprzecinane pasami ciemniejszej wody. Powietrze pachniało solą. Poczuł dreszcz podniecenia. Oto miał przed sobą wielką przygodę. Ujście było bramą, a Londinos, właśnie to sobie uświadomił, było nie tylko pięknym miejscem nad rzeką, ale też punktem początkowym podróży wiodącej do tego wspaniałego, otwartego świata. Patrzył na morze zatopiony w myślach.

– A tam, po prawej – odezwał się ojciec – płynie duża rzeka. – Wskazał na wysokie wybrzeże, gdzie kilka kilometrów za przylądkiem rzeka Medway, przecinając kredową grań, łączyła się z ujściem ich rzeki.

Płynęli w dół ujścia jeszcze przez godzinę. Prąd zwalniał, woda burzyła się coraz bardziej. Wiklinowa łódka podskakiwała na falach przelewających się przez burtę. Woda była teraz bardziej zielona, ciemniejsza. Dna nie dało się już zobaczyć. Chłopiec zaczerpnął dłonią trochę wody i przekonał się, że jest słona. Ojciec uśmiechnął się.

– Prąd się odwraca – powiedział.

Segovax zauważył ze zdziwieniem, że kołysanie łódki przyprawia go o mdłości. Skrzywił się, ale ojciec parsknął śmiechem.

– Niedobrze ci? Tam będzie jeszcze gorzej. – Machnął w kierunku morza. Chłopiec spojrzał niepewnie na odległe fale. – Nadal chcesz tam popłynąć? – spytał ojciec, odgadując jego myśli.

– Tak. Kiedyś.

– Na rzece jest bezpieczniej – zauważył ojciec. – Morze zabrało już wielu ludzi. Jest okrutne.

Segovax skinął głową. Nagle poczuł silne mdłości. Ale któregoś dnia, przysiągł sobie w myślach, dowie się, jak smakuje wielka przygoda, bez względu na wszystko.

– Czas wracać – powiedział ojciec. A po chwili dodał: – Mamy szczęście. Wiatr się zmienia.

Rzeczywiście. Wiatr najpierw ustał, a potem zaczął wiać z południowego wschodu. Rybak zawrócił łódź, żagiel załopotał. Ruszyli w powrotną drogę.

Segovax westchnął. Pomyślał, że to będzie najpiękniejszy dzień w jego życiu, tylko on z ojcem na łodzi i morze. Woda robiła się coraz spokojniejsza. Popołudniowe słońce wciąż świeciło ciepło. Zachciało mu się spać.

Segovax obudził się gwałtownie, czując, że ojciec go szturcha. Posuwali się bardzo wolno. Zamknął oczy przed godziną, a dopiero wpływali w rzeczny zakręt, zostawiając ujście za sobą. Obudziwszy się, wydał z siebie okrzyk zdziwienia.

– A teraz spójrz tam – mruknął ojciec, pokazując coś w odległości nie większej niż kilkaset metrów.

Z północnego brzegu płynęła duża tratwa. Dwudziestu mężczyzn popychało ją długimi drągami w poprzek nurtu. Segovax zauważył za nimi drugą tratwę. Ale najbardziej niezwykły był ich ładunek. Na każdej stał przymocowany linami wspaniały rydwan.

Celtycki rydwan był straszliwym pojazdem. Ciągnięty przez szybkie konie, dwukołowy, lekki i stabilny, woził wojownika w pełnym uzbrojeniu i dwóch pomocników. Niezwykle zwrotny, poruszał się błyskawicznie na polu bitwy, a jadący na nim ludzie miotali w prawo i w lewo włócznie albo strzelali z łuków. Czasem wojownicy przymocowywali do kół ostrza kos, które cięły na kawałki każdego, kto się zbliżył. Rydwan na tratwie był

wspaniały. Pomalowany na czerwono i czarno, błyszczał w promieniach słońca. Segovax patrzył zafascynowany. Ojciec zawrócił łódkę i popłynął za tratwami na południowy brzeg.

Ale pierwszy zachwyt chłopca był niczym w porównaniu z ekscytacją, która go ogarnęła, gdy zbliżyli się do brzegu, a ojciec zawołał nagle:

– Na bogów! Segovaxie, widzisz tego mężczyznę na czarnym koniu? – Chłopiec skinął głową. – To przecież sam Cassivelaunus.

Ojciec kazał Segovaxowi zaczekać przy łodzi, a sam zagadnął mężczyzn i pomógł im wyciągać tratwy na brzeg.

Chłopiec siedział obok ich małej łódki, przez rzekę przewieziono co najmniej dwadzieścia rydwanów i pięćdziesiąt wspaniałych koni. Tych największych mieli dosiadać wojownicy. Te mniejsze, ale równie szybkie, zaprzęgano do rydwanów. Widać było, że wszystkie pochodzą z dobrej hodowli. Przez rzekę przeprawiono też mnóstwo ludzi i całe wozy broni. Niektórzy wojownicy mieli na sobie kosztowne opończe w jaskrawych kolorach i złote ozdoby. Widok potężnych, dzielnych Celtów, jego rodaków, napełniał chłopca dumą. A potem sam wielki wódz – wysoki mężczyzna z długimi wąsami i w czerwonej opończy – przywołał ojca do siebie i zaczął z nim rozmawiać. Segovax widział, że ojciec klęka przed wodzem, że mówią coś do siebie, wódz uśmiecha się serdecznie, kładzie dłoń na ramieniu ojca, a potem daje mu małą broszę. Oto największy wódz na całej wyspie okazuje uznanie jego ojcu, odważnemu, ale przecież tylko zwykłemu wieśniakowi. Segovax aż pokraśniał ze szczęścia.

Ojciec wrócił późnym popołudniem. Uśmiechał się, ale myśli miał zaprzątnięte czymś innym.

– Czas na nas – powiedział. Segovax skinął głową z westchnieniem. Najchętniej zostałby tu na zawsze.

Wkrótce płynęli szybko rzeką; ojciec mocno pracował wiosłami. Patrząc wstecz, Segovax widział, jak na brzeg wyciągane są ostatnie tratwy.

– Czy to znaczy, że gotują się do walki? – zapytał.

Ojciec rzucił mu zdziwione spojrzenie.

– Nie domyśliłeś się, synu? – powiedział cicho. – Są w drodze na wybrzeże. – Wiosłował rytmicznie. – Rzymianie nadciągają.

Branwen patrzyła z ciekawością na matkę. Spała jeszcze, gdy ojciec i Segovax wypłynęli łodzią. Zapowiadał się spokojny i raczej nudny dzień. Przez cały ranek matka i inne kobiety plotły koszyki z wikliny; siedziały przed chatą, gawędząc cicho i patrząc na bawiące się nieopodal dzieci. I siedziałyby tak zapewne przez całe przedpołudnie, gdyby nie druid.

Przypłynął sam czółnem. Pojawił się jak zwykle nieoczekiwanie. Zgodnie z pradawnym obyczajem, nakazał wieśniakom przynieść koguta i trzy kurczęta na ofiarę, a potem polecił im udać się ze sobą do świętego miejsca po drugiej stronie rzeki. Podążyli za nim na tratwach i w skórzanych łódkach, nie wiedząc, jaka intuicja czy przeczucie kazało starcowi opuścić nagle jego wysepkę.

Nie skierowali się na wprost ku bliźniaczym wzgórzom Londinos, lecz do szerokiego strumienia, który opływał wzgórza od zachodniej strony. Wysiedli z łódek i przeszli do miejsca oddalonego o pięćdziesiąt metrów od brzegu. Nie było tu nic oprócz trzech szorstkich kamieni, sięgających człowiekowi do kolan, które stały wokół zagłębienia w ziemi.

Święta studnia. Nikt nie wiedział, kiedy ani dlaczego ją wykopano. Zasilał ją niewielki strumień. Mówiono, że mieszka w niej łagodna wodna boginka.

Wziąwszy jedno z kurcząt, druid wymamrotał modlitwę, a potem, na oczach ludzi, wprawnym ruchem podciął mu gardło i wrzucił do studni; po chwili usłyszeli, jak ptak wpada do wody.

Wrócili do łodzi, przedostali się na drugą stronę odnogi i zaczęli się wspinać na zachodnie wzgórze. Tutaj, tuż pod szczytem od strony rzeki, rozciągał się pas murawy z szerokim widokiem na wodę. Na środku znajdował się mały krąg wykopany na kilkanaście centymetrów w głąb ziemi. Miejsce rytualnego uśmiercania zwierząt. Druid złożył w ofierze koguta i dwa pozostałe kurczaki, spryskując krwią trawę wewnątrz okręgu i mówiąc półgłosem:

– Przelaliśmy dla was krew, bogowie rzeki, ziemi i nieba. Chrońcie nas w potrzebie.

Zabrał martwe ptaki i nakazawszy wieśniakom wracać do domu, ruszył w kierunku drugiego wzgórza, by tam samotnie obcować z bogami.

Mieszkańcy wioski nie mieli tu już nic do roboty. Spełnili swoje zadanie. Wsiedli do łodzi z uczuciem zadowolenia, że zrobili to, co do nich należało.

Z wyjątkiem Cartimandui.

Branwen nieprzerwanie obserwowała matkę. Zdawała sobie sprawę, że jej zachowanie jest dziwne.

Bo dlaczego Cartimandua, zamiast wsiąść do łodzi tak jak wszyscy, zaczęła nagle błagać jednego z mężczyzn, by zostawił jej skórzaną łódkę? Dlaczego teraz, kiedy mieszkańcy wioski przeprawili się już na południowy brzeg, wędrowały obie po wzgórzach, szukając druida, który zniknął tajemniczo? Dlaczego matka jest taka blada i zdenerwowana?

Dziewczynka nie mogła tego wiedzieć, ale powód był prosty. Nagłe pojawienie się kapłana i złożenie ofiar mogło oznaczać jedno. Za sprawą swoich niezwykłych mocy i kontaktu z bogami starzec zobaczył, że niebezpieczeństwo jest blisko. A więc nastała straszna godzina. Nadchodzili Rzymianie. Po raz kolejny Cartimanduę zalała fala dręczących wątpliwości.

A może popełniła błąd? Co powinna teraz zrobić? Nie wiedząc nawet, co powie ani o co zapyta, wróciła na wzgórze, żeby poszukać druida. On

udzieli jej najlepszej wskazówki, zanim będzie za późno.

Niosąc niemowlę i ciągnąc Branwen za rękę, przecięła zachodnie wzgórze i przeskakując po kamieniach, przeszła na drugą stronę potoku płynącego między bliźniaczymi wzniesieniami. Wspięła się na wschodni szczyt z nadzieją, że znajdzie tam kapłana. Ale nie, tam też go nie było. Już chciała zrezygnować, gdy nagle zobaczyła słup dymu wznoszący się z drugiej strony wzgórza. Ruszyła szybkim krokiem.

Wschodnie wzgórze Londinos nie schodziło równo ku rzece. Mniej więcej w połowie zbocze się zaokrąglało, a potem opadało stromo ku brzegowi. W ten sposób po południowo-wschodniej stronie wzniesienia powstało coś w rodzaju naturalnego amfiteatru – trawiasta platforma nad wodą stanowiła scenę, a stok wzgórza widownię. Scenę pokrywała darń i niskie krzewy. I właśnie tam, tuż nad wodą, druid rozpalił małe ognisko.

Cartimandua przyglądała mu się z góry, obawiając się podejść. Z dwóch powodów.

Po pierwsze, widziała, co starzec robi. Wyjął z martwych ptaków kości i włożył je do ognia. A to oznaczało, że czyni wróżby – był to jeden z najbardziej tajemnych celtyckich rytuałów, którego nie wolno było zuchwale zakłócać. A drugi powód dotyczył samego miejsca.

Kruki.

Od niepamiętnych czasów pofalowane wzgórza nad rzeką zamieszkiwała kolonia kruków.

Cartimandua wiedziała, że ptaki te, jeśli traktuje się je z szacunkiem, są dobrym znakiem. Mówiono, że ich potężne duchy mogą obronić celtyckie plemiona. Zapewne dlatego druid wybrał to miejsce na odczytanie przepowiedni. Ale mimo to Cartimandua zadrżała. Wielkie kruki z mocnymi dziobami zawsze budziły w niej strach. Wyglądały tak ponuro, niezdarnie machały skrzydłami i podskakiwały na murawie, wydając

z siebie ochrypłe krakanie. Jeśli odważy się tam zejść, któryś z nich w każdej chwili może chwycić ją straszliwymi szponami za rękę czy nogę i wbić się dziobem w ciało.

Druid podniósł głowę i ją zobaczył. Przez chwilę patrzył na nią, najwyraźniej zirytowany. A potem bez słowa skinął, by do niego podeszła.

– Zaczekaj tutaj – powiedziała do Branwen, podając jej niemowlę. – I nie ruszaj się stąd.

Wciągnęła głęboko powietrze w płuca i zeszła po zboczu obok kruków.

Branwen zapamiętała te długie minuty na całe życie. Bała się, stojąc na szczycie trawiastego stoku sama z maleńkim dzieckiem i patrząc na matkę i druida w dole. Widziała ze swojego miejsca Cartimanduę, ale czuła się nieswojo w tym pełnym grozy miejscu. I gdyby nie to, że ją też przerażały kruki, zbiegłaby do matki.

Widziała, że matka mówi coś z powagą do druida, a starzec powoli kręci głową. Potem chyba Cartimandua o coś go gorąco prosiła. W końcu starzec wyjął z ogniska kilka kości i uważnie je obejrzał. I coś powiedział. Nagle z dołu rozległ się straszliwy dźwięk, rozniósł się tak głośnym echem, że kruki poderwały się w powietrze, a potem opadły z gniewnym krakaniem. Taki straszliwy, żałosny lament mogło wydać z siebie zdesperowane zwierzę.

Ale to krzyczała Cartimandua.

Nikt nie odgadł jego tajemnicy. Segovax był z siebie zadowolony. Od ich powrotu w Londinos panował ożywiony ruch. Czarnobrody dostojnik zjawił się w wiosce jeszcze przed nimi, a ojca natychmiast wysłano do brodu w górze rzeki, gdzie byli już inni mężczyźni. I mieli tyle zajęć, że rodzina prawie wcale rybaka nie widywała.

Przygotowania toczyły się pełną parą. W dno brodu wbijano zaostrzone pale. Mężczyznom z wiosek leżących w promieniu wielu kilometrów nakazano ścinanie drzew na mocną palisadę, która miała stanąć wzdłuż brzegów wysepki druida.

Co dzień przychodziły nowe wieści. Ale nie były jednoznaczne.

„Wszystkie plemiona Brytów przysięgły, że pójdą za Cassivelaunusem", oznajmił jeden posłaniec, a inny dorzucił: „Celtyckie plemiona w Galii planują powstanie. Tutaj nadwerężymy siły Cezara, a oni odetną mu odwrót". „Niektórzy wodzowie zazdroszczą Cassivelaunusowi – ostrzegali mądrzejsi. – Nie wolno im ufać".

Początkowo nowiny były pomyślne. Cezar wylądował niedaleko białych klifów na południowym wybrzeżu i rozpoczął marsz przez Kent, ale bogowie wyspy uderzyli natychmiast. Tak jak poprzednim razem potężny sztorm o mało nie zniszczył rzymskiej floty, zmuszając najeźdźców do odwrotu i naprawienia uszkodzeń. A kiedy Cezar po raz drugi ogłosił wymarsz, Celtowie na szybkich rydwanach atakowali jego oddziały i zadawali im dotkliwe straty. „Nigdy nie dojdą do rzeki", mówili ludzie. Ale robót fortyfikacyjnych nie przerywano.

Segovax trwał w stanie zawieszenia – budzącym strach, ale jednocześnie ekscytującym. Był pewien, że Rzymianie wkrótce się pojawią. A wtedy przyjdzie czas na jego tajemny plan.

– Celtowie ich zniszczą – zapewniał z dumą siostrę.

Przekradał się brzegiem do miejsca, skąd mógł obserwować przygotowania. Drugiego dnia rano zaczęto spławiać w dół rzeki dodatkowe pnie drzew.

Cartimandua była rozdarta, lęk wprost ją obezwładniał. Zaczynała się denerwować, gdy Branwen od niej odchodziła. Kiedy niemowlę płakało, natychmiast do niego biegła. Gdy Segovax gdzieś znikał, a zdarzało się to

często, gorączkowo go szukała, a znalazłszy, przyciskała zakłopotanego chłopca do piersi.

Ale przede wszystkim nieustannie spoglądała w kierunku brodu, gdzie pracował jej mąż. Mężczyźni od dwóch dni zostawali tam nawet na noc i choć wraz z innymi kobietami zanosiła mu jedzenie, nie udało im się porozmawiać.

Gdyby tylko mogła to pojąć. Gdyby mogła zrozumieć, co się kryje w strasznych słowach druida.

Może nie powinna była o nic pytać. Wcale nie chciał z nią rozmawiać. Ale jej niepokój był tak silny, że nie umiała się powstrzymać.

– Powiedz mi – błagała – jaki los czeka mnie i moją rodzinę?

Druid wahał się, ale w końcu, niemal wzruszając ramionami, wyciągnął z ogniska kilka kości, obejrzał je uważnie i skinął głową, jakby zobaczył coś, czego i tak się spodziewał. Ale co to miało znaczyć?

– Darzysz miłością trzech mężczyzn – powiedział posępnie. – I jednego stracisz.

Straci? Którego? Mogło chodzić jedynie o męża, Segovaxa i najmłodszego syna. W jej życiu nie było innych mężczyzn. Druid na pewno miał na myśli męża. Ale przecież udało jej się go ocalić. Wszyscy razem popłyną bezpiecznie w górę rzeki.

Dzień po przybyciu czarnobrodego dostojnika, który nadzorował mężczyzn przygotowujących się do obrony, odszukała go.

– Czy umowa nadal obowiązuje? – zapytała.

– Już ci to mówiłem – odpowiedział zniecierpliwiony i odprawił ją gestem.

A więc co to mogło oznaczać? Czyżby Branwen miał się przydarzyć jakiś wypadek, który unieważni ich targ? Coś się stanie Segovaxowi albo niemowlęciu? Miotana udręką niepewności, czuła się jak zwierzę

schwytane w pułapkę, które próbuje ochronić raz jedno, raz drugie młode przed atakiem drapieżników kłapiących zębami.

W końcu, po kilku dniach niepewności, nadeszła wiadomość, że Cassivelaunus zgromadził oddziały, gotowy do walnej bitwy.

Wojownicy napływali szerokim strumieniem – piechurzy, konni, woźnice rydwanów. Kolejne oddziały, zgrzane i pokryte kurzem, stawały nad brodem.

Ludzie donosili o zdradzie, o dezercjach dowódców. „Rzymianie ich przekupili – mówili. – Oby spadła na nich klątwa bogów". Byli źli, ale nie przygnębieni. „Jedna porażka nic nie znaczy. Rzymianie jeszcze posmakują naszej zemsty". Ale gdy Segovax odważył się zapytać jednego z wojowników w rydwanie, jacy są Rzymianie, usłyszał szczerą odpowiedź: „Umieją trzymać szyk. Budzą strach".

Na południu nie zostały już żadne linie obrony. Teraz barierą miała być rzeka.

– Bitwa rozegra się tutaj – powiedział ojciec podczas jednej z nielicznych wizyt w wiosce. – I tu powstrzymamy Cezara.

Następnego dnia oznajmiono kobietom, że mają się przygotować do ewakuacji. „Wyruszycie jutro".

Następnego ranka Segovax bacznie obserwował, jak ojciec przypasuje miecz. Zazwyczaj miecz leżał w chacie zawinięty w skóry, dwa razy do roku ojciec wyjmował go i oglądał. Przy takich okazjach Segovaxowi wolno było go potrzymać, ale nie mógł dotykać ostrza. „Jeszcze zardzewieje", mówił ojciec. Starannie smarował miecz tłuszczem, a potem chował go do pochwy z drewna i skóry i jeszcze raz owijał skórami.

Miecz był typowym przykładem celtyckiej broni. Miał długie, szerokie ostrze z żelaza z podłużną pręgą. Na rękojeści był prosty jelec w kształcie

krzyża, głownię wyrzeźbiono w kształcie ludzkiej głowy groźnie patrzącej na wroga.

Segovaxa ogarnęło dziwne wzruszenie. Po wielu dniach morderczej pracy ojciec wyglądał na wycieńczonego. Przygięte plecy mówiły, że dokucza mu ból. Ramiona zwisały jeszcze bardziej niż zwykle. W jego dobrych oczach kryło się zmęczenie. A jednak, mimo że wątły i wrażliwy, był odważny. Niemal rwał się do walki. Z jego twarzy i całej postaci emanowała pełna determinacji męskość, górująca nad fizyczną słabością. Kiedy zdjął ze ściany tarczę i dwie włócznie, w oczach Segovaxa zamienił się w szlachetnego wojownika, co napełniło chłopca dumą.

Po tych przygotowaniach rybak odciągnął chłopca na stronę i odezwał się do niego z powagą:

– Jeśli coś mi się stanie, ty będziesz jedynym mężczyzną w rodzinie. Masz opiekować się matką, siostrą i bratem. Rozumiesz?

A potem przywołał Branwen. Zaczął jej mówić, że ma być grzeczna, ale niedorzeczność takich pouczeń rozśmieszyła go, więc tylko przytulił córkę i pocałował.

Wszystko było gotowe. Kobiety i dzieci siedziały w czterech dużych czółnach na końcu mierzei. Zapasy żywności i skromny dobytek załadowano na dwie tratwy. Mężczyźni stali nieopodal, czekając na rozkazy dowodzącego nimi dostojnika, który właśnie zbliżał się rzeką od strony palisady.

Po kilku chwilach czarnobrody kapitan stanął obok. Obrzucił mieszkańców wioski twardym spojrzeniem. Napotkał wzrok Cartimandui, która wraz z trójką dzieci stała w jednej z łodzi. Skinął niezauważalnie głową.

Przyjrzał się mężczyznom i szybko wyznaczył trzech spośród nich.

– Popłyniecie na łodziach jako straż. Mieszkańcy z innych wiosek mają się zebrać o pięć dni drogi w górę rzeki. Tam jest fort. I tam powiedzą wam, co dalej. – Spojrzał na męża Cartimandui. – Ty też popłyniesz z nimi. Będziesz dowodził. Każdej nocy macie wystawiać wartę. – Odwrócił się, chcąc odejść.

Zalała ją fala ulgi. Dzięki wam, bogowie. Przynajmniej na jakiś czas wszyscy będą bezpieczni. Zamierzała usiąść, gdy nagle zdała sobie sprawę, że mąż nie rusza się z miejsca.

Popatrzyła na inne kobiety i dzieci. Uśmiechnęła się. Zobaczyła wtedy, że mąż coś mówi. Zaczęła się wsłuchiwać.

– Nie mogę z nimi popłynąć.

Kapitan zmarszczył brwi. Przywykł do posłuszeństwa. Ale ojciec Segovaxa kręcił głową.

Co on mówi? Nagle zrozumiała. Jakże może się sprzeciwiać?

– To rozkaz – powiedział kapitan ostro.

– Ale ja złożyłem przysięgę. Parę dni temu – tłumaczył rybak. – Samemu Cassivelaunusowi. Przysiągłem, że będę z nim walczył pod Londinos.

Wszyscy to usłyszeli. Cartimandua zaczerpnęła gwałtownie powietrza, oblał ją lodowaty chłód. Nic jej nie wspomniał o przysiędze. Ale przecież od powrotu znad morza rzadko go widywała.

– Przysięgę? – Kapitan był wyraźnie zakłopotany.

– Dał mi zapinkę, spójrzcie tylko – mówił dalej rybak. – Kazał mi ją nosić podczas bitwy, żeby mógł mnie rozpoznać. – Wyjął broszę z sakiewki przywiązanej do paska.

Zapadła cisza. Kapitan patrzył na broszę. Może i miał przed sobą prostego wieśniaka, ale przysięga była rzeczą świętą. A przysięga złożona najwyższemu wodzowi… Nie miał wątpliwości, że zapinka pochodzi od

Cassivelaunusa. Spojrzał na Cartimanduę. Jej twarz miała barwę popiołu. Spojrzał na dziewczynkę. Ładna. Ale nic nie mógł na to poradzić. Umowa przestała obowiązywać.

Mruknął coś z irytacją i wskazał innego mężczyznę.

– Ty. Będziesz dowodził zamiast niego. Ruszajcie.

Patrząc na oddalającą się łódź, wiozącą jego żonę i dzieci, rybak poczuł smutek, ale i zadowolenie. Nie był tak silny jak inni mężczyźni –jego syn to widział. Ale teraz z pewnością usłyszał, i to przy wszystkich, że jego ojciec złożył przysięgę największemu wodzowi Brytów.

Łodzie posuwały się wolno. Gdy wpłynęli w zakręt, zobaczył gromadzące się wojsko. Całe rzędy rydwanów; za palisadą płonęły ogniska, przy których zbierały się grupki mężczyzn. „Mówią, że jutro, gdy przybędzie Cassivelaunus, będziemy tu mieli cztery tysiące rydwanów”, opowiadał mu ojciec. Chłopiec myślał z dumą, że ojciec należy teraz do tej wielkiej armii.

Zostawili za sobą bród i wysepkę druida, przez kilkaset metrów płynęli na południe. Potem rzeka znów zakręcała w prawo, więc chłopiec stracił z oczu miejsce bitwy. Oba brzegi były tu niskie i błotniste, zielone i aż ciężkie od wierzb.

Branwen oparła się głową o niego i zasnęła. Matka w milczeniu wpatrywała się w wodę.

Rzeka wiła się zakolami przez szeroką, płaską dolinę łąk i traw usianych gdzieniegdzie drzewami. W pewnej chwili Segovax zauważył, że zaczęli płynąć pod prąd. Fala przypływu nie docierała do tego miejsca. Morze nie sięgało aż tak daleko.

Tej nocy rozbili obóz pod wierzbami, a rano ruszyli dalej, teraz już w towarzystwie kobiet z innej wioski. I znów słoneczny dzień upłynął im na spokojnej żegludze. Nikt nie zauważył, że wraz z zapadnięciem zmroku

Segovaxa ogarnęło podniecenie. Nie mogli się przecież domyślać, że postanowił zrealizować swój tajemny plan.

Skradał się w ciemnościach. Na niebie nie było księżyca, ale gwiazdy świeciły jasno. Nikt się nie poruszył. Noc była ciepła. Tym razem rozbili obóz na długiej, wąskiej wyspie. O zachodzie słońca niebo przybrało ciemnoczerwoną barwę, zapowiadającą pogodny dzień. Wszyscy byli zmęczeni po podróży. Rozpalili duże ognisko, zjedli, a potem pokładli się do snu.

Usłyszał pohukiwanie sowy. Ostrożnie, trzymając w dłoni włócznię, zbliżał się do wody.

Mieszkańcy drugiej wioski nieśli ze sobą dwie skórzane łódki – jedna miała spiczasty dziób jak czółno. Gdy tylko ją zauważył, wiedział, że to jego szansa. Leżała teraz na błotnistym brzegu. Była tak lekka, że zdołał pociągnąć ją jedną ręką. Zaczął spuszczać ją na wodę, gdy usłyszał za sobą znajomy tupot drobnych stópek. Branwen. Westchnął. Ona chyba nigdy nie śpi.

– Co robisz?

– Ciiii!

– Dokąd się wybierasz?

– Do ojca.

– Żeby walczyć?

– Tak.

Przyjęła tę wiadomość w milczeniu.

– Zabierz mnie ze sobą – poprosiła po chwili.

– Nie. Masz zostać tutaj.

– Nie zostanę!

– Branwen, dobrze wiesz, że nie możesz ze mną jechać.

– Mogę.

– Nie umiesz walczyć. Jesteś za mała.

Mimo ciemności zauważył, że jej twarz czerwienieje, a dłonie zaciskają się w pięści.

– Jadę z tobą.

– To niebezpieczne.

– Nie szkodzi.

– Wszystkich pobudzisz.

– Nie obchodzi mnie to. Będę krzyczeć. – Ta groźba była bardzo realna.

– Proszę cię, Branwen. Pocałuj mnie.

– Nie!

Przytulił ją. Uderzyła go. A potem, zanim zdążyła kogokolwiek obudzić, zepchnął łódkę na wodę i wskoczył do środka. Po chwili, wiosłując z całych sił, zniknął jej z oczu w ciemnościach.

Udało się! Potajemnie zaplanował tę wyprawę, kiedy zaczęły dochodzić wieści o inwazji, zanim jeszcze druid złożył tarczę w ofierze. Każdego dnia ćwiczył się w rzucaniu włócznią, aż osiągnął taką biegłość, że niewielu dorosłych mogło mu dorównać. I wreszcie nadarzyła się sposobność. Będzie walczył u boku ojca. Jeśli pojawię się na początku bitwy, ojciec nie będzie mógł mnie odesłać, pomyślał.

Miał przed sobą całą noc. Poruszając się z prądem i pomagając sobie wiosłami, płynął dwa, a nawet trzy razy szybciej niż łodzie zmierzające w górę rzeki. Wydawało mu się, że brzegi zostają w tyle w szalonym pędzie.

Ale miał zaledwie dziewięć lat. Po godzinie jego ramiona osłabły, po dwóch zaczęły boleć. Jednak nie poddawał się. Minęły kolejne dwie godziny. Zatęsknił za snem. Jeszcze nigdy nie czuwał o tak późnej porze. Parę razy głowa mu opadała i wtedy budził się gwałtownie.

A gdyby tak, mówił do siebie w myślach, położyć się na chwilę, jednak instynkt ostrzegał go: jeśli to zrobisz, obudzisz się dopiero w południe. Zauważył, że gdy wyobraża sobie ojca, ten widok dodaje mu sił. I tak, pozwalając czasem odpocząć zmęczonym ramionom i myśląc jedynie o tym, że ojciec czeka na niego na polu bitwy, posuwał się uparcie coraz dalej. Będą walczyć ramię w ramię. Może nawet razem zginą. Niczego bardziej nie pragnął.

Z początkiem świtu był już w miejscu, gdzie docierał prąd pływowy. Na szczęście trwał odpływ, więc nurt niósł go szybko w kierunku Londinos i morza.

Słońce wzeszło, rzeka zrobiła się znacznie szersza. Po godzinie dotarł do znajomego zakrętu. Był tak podniecony, że zapomniał o zmęczeniu. Minął zakręt. Wyspa druida leżała niecałe półtora kilometra dalej. Zaskoczony wstrzymał oddech.

Na wprost niego Rzymianie przeprawiali się przez rzekę.

Cezar zgromadził do podboju Brytanii ogromne siły. Pięć świetnie zdyscyplinowanych legionów – blisko dwadzieścia pięć tysięcy ludzi, w tym dwa tysiące jazdy. W Kencie poniósł tylko nieznaczne straty.

Sojusz brytyjskich wodzów zaczynał się kruszyć. Cezar dysponował doskonałym wywiadem. Wiedział, że jeśli teraz uda mu się pokonać Cassivelaunusa, wielu dowódców przejdzie na jego stronę.

Jednak przeprawa przez rzekę była niełatwa. Celt pojmany poprzedniego dnia zdradził, że w dno powbijano zaostrzone pale. Palisada po drugiej stronie też była mocna. Ale Rzymianie mieli jedną znaczącą przewagę.

„Problem Celtów polega na tym – powiedział kiedyś Cezar do jednego ze swoich podkomendnych – że ich strategia jest niezgodna z taktyką. – Dopóki Celtowie nękali jego linie szybkimi atakami na rydwanach, nie dało się ich pokonać. I pewnie z czasem zmusiliby go do odwrotu. A zatem ich

strategią powinno być wyczekiwanie. – Ci głupcy chcą otwartej bitwy". A w takich bitwach Rzymianie zazwyczaj zwyciężali.

Wynikało to z ich dyscypliny i dobrego uzbrojenia. Kiedy legioniści formowali czworobok i chowali się za tarczami albo gdy mniejszy oddział zasłaniał się szczelnie tarczami od góry, celtycka konnica była właściwie bezradna, nawet rozpędzone rydwany z trudem przebijały się przez szyki Rzymian. Dlatego patrząc na zgromadzone na otwartym polu celtyckie siły, Cezar wiedział, że jego jedyną przeszkodą jest rzeka. Bez zbędnej zwłoki wydał rozkaz: Naprzód!

> Na rzece jest tylko jeden bród, a i on przysparza trudności.

Tak zanotował Cezar w swoich pamiętnikach. Przeprawa sama w sobie nie była trudna, jednak, jako wytrawny polityk i dowódca, Cezar nie zamierzał tego przyznawać.

> Natychmiast wydałem konnicy rozkaz do natarcia, piechota miała postępować za nimi. Ponad wodą wystawały im jedynie głowy, ale posuwali się z taką szybkością i zapałem, że piechurzy i kawaleria mogli zaatakować razem.

Nic dziwnego, że ani Cezar, ani nikt inny nie zauważyli małej łódki leżącej na błotnistym brzegu o jakieś kilkaset metrów w górę rzeki.

Dotarłszy na twardy grunt, Segovax był cały pokryty brunatnym błotem. Nie zwracał na to uwagi. Najważniejsze, że mu się udało.

Celtowie stacjonowali zaledwie półtora kilometra dalej. Co za widok! Wpatrywał się w tysiące postaci z nadzieją, że zobaczy wśród nich ojca. Ciągnąc za sobą włócznię, posuwał się powoli do przodu, a jego stopy wydawały cichy chlupot. Rzymianie cały czas przeprawiali się przez rzekę. Pierwsze oddziały już uformowały szyki na północnym brzegu. Celtowie wydali gromki okrzyk. Rzymianie milczeli. Chłopiec szedł uparcie dalej.

I wtedy się zaczęło.

Segovax nigdy wcześniej nie widział bitwy. Nie miał pojęcia, że powstaje potworne zamieszanie. Biegający we wszystkich kierunkach wojownicy, rydwany pędzące z taką szybkością, jakby za chwilę miały go stratować. Rzymianie wyglądali w błyszczących zbrojach jak straszliwe, rozgniewane zwierzęta. Segovax słyszał ze swojego miejsca przeraźliwy zgiełk. Słyszał łoskot oręża, słyszał wydawane przez dorosłych mężczyzn nieznośne dla uszu okrzyki bólu.

Ale przede wszystkim nie spodziewał się, że legioniści są tacy ogromni. Rzymski kawalerzysta, który nagle pojawił się w odległości stu metrów, pędząc cwałem przez łąkę, wyglądał jak olbrzym. Chłopiec przycisnął do siebie włócznię, czując się słaby i bezradny.

Zatrzymał się. Bitwa, teraz o kilkaset metrów od niego, zbliżała się coraz bardziej. Rydwany rozpierzchły się, trzy pędziły wprost na niego, a potem pomknęły w bok. Gdzie wśród tej jatki szukać ojca? Zaczął dygotać.

Kilku konnych goniło rydwan, który pędził dwieście metrów od niego.

Atak galopującej kawalerii to przerażający widok. Wprawia w drżenie nawet wyćwiczoną piechotę w bojowym szyku. Niezdyscyplinowany tłum zawsze ustępuje przed szarżującą jazdą. Nic dziwnego że chłopiec, widząc zbliżającą się armię, wpadł w przerażenie. Zaczął się cofać. W końcu uciekł.

Przygotowywał się do tego przez wiele tygodni. Wiosłował całą noc, żeby dołączyć do ojca. A teraz, gdy znalazł się sto metrów od niego, nie umiał przyjść mu z pomocą.

Przez dwie godziny stał nad rzeką, trzęsąc się ze strachu. Poniżej, na podmokłym brzegu, leżała jego łódka, do której gotów był wskoczyć, gdyby bitwa dotarła aż tutaj. Był przemarznięty i blady z przerażenia. Ten

dzień był jak najgorszy koszmar. Patrząc na toczącą się na łąkach bitwę, uświadomił sobie straszliwą prawdę: jest tchórzem.

„Żeby tylko ojciec tego nie zobaczył”, modlił się w myślach.

Ale nie musiał się tego obawiać. Gdy Rzymianie natarli po raz trzeci, ojciec zginął z mieczem w dłoni, tak jak przepowiedzieli bogowie.

Segovax nie ruszył się z miejsca przez cały dzień. Późnym popołudniem bitwa była skończona. Pokonani Celtowie uciekli na północ, gonieni przez rzymskich kawalerzystów, którzy bezlitośnie siekli mieczami każdego, kogo dopadli. Wczesnym wieczorem zwycięzcy rozbili obóz nieco dalej na wschód, w pobliżu bliźniaczych wzgórz Londinos. Ogromne pole bitwy, pokryte połamanymi rydwanami, porzuconą bronią i ciałami poległych, było upiornie ciche. I właśnie tam postanowił wyruszyć Segovax.

Może dwa razy w życiu widział śmierć człowieka. Dlatego nie był przygotowany na dziwną szarość i sztywność zwłok. Niektóre ciała były potwornie okaleczone, wiele miało poodcinane ręce lub nogi. Wokół unosiła się woń śmierci. Trupy leżały wszędzie: na łąkach, przy brodzie i palisadzie, w wodzie wokół wysepki druida. Jak odnaleźć ojca, o ile on tam w ogóle jest? A jeśli go nie rozpozna?

Słońce już czerwieniało, gdy natknął się na niego. Od razu go zauważył. Ojciec leżał na wznak nad wodą, jakby patrzył w niebo, otwarte usta nadawały jego łagodnej twarzy wyraz żałosnej pustki. Skóra przybrała już sinoszary kolor. Krótki, szeroki miecz jakiegoś Rzymianina zostawił w jego boku potworną ranę.

Chłopiec uklęknął przy nim. Rozpacz dławiła mu gardło, do oczu nabiegły łzy. Wyciągnął ręce i dotknął brody ojca. Targał nim taki szloch, że nie zauważył, że nie jest sam.

Obok stanął niewielki oddział Rzymian wraz z centurionem. Szukali na polu bitwy porzuconej broni. Widząc samotną postać, zbliżyli się.

– Hiena cmentarna – powiedział z pogardą jeden z legionistów.

Chłopiec odwrócił się, słysząc szczęk zbroi. Byli kilka metrów od niego.

Rzymscy żołnierze. Słońce lśniło na ich napierśnikach. Zabiją go. Albo wezmą do niewoli. Rozejrzał się gorączkowo. Nie było żadnych dróg ucieczki. Za sobą miał tylko rzekę. A gdyby rzucił się biegiem w tamtym kierunku? Spróbował odpłynąć? Dopadliby go, zanim zdążyłby wskoczyć do wody. Spojrzał w dół. Obok ojca leżał miecz. Segovax schylił się po niego. Stanął na wprost zbliżającego się centuriona.

Jeśli mam zginąć, pomyślał, to w walce.

Miecz był ciężki, ale chwycił go mocno, z zaciętym wyrazem twarzy. Centurion, zmarszczywszy lekko brwi, dał mu znak, żeby odłożył broń. Segovax pokręcił głową. Centurion był już bardzo blisko. Spokojnie wydobył krótki miecz z pochwy. Segovax był gotowy do walki, ale nie wiedział, co powinien zrobić. I wtedy centurion uderzył.

Cios był tak szybki, że chłopiec ledwo go zauważył. Rozległ się metaliczny dźwięk, miecz ojca wypadł mu z dłoni na ziemię, a całe ramię i nadgarstek przeszył rozdzierający ból. Na twarzy centuriona malował się spokój. Zrobił jeszcze jeden krok do przodu.

Teraz mnie zabije, pomyślał chłopiec. A więc zginę obok ojca. Tylko że gdy patrzył na szare zwłoki, śmierć już nie wydawała mu się pociągająca. Przynajmniej umrę w walce, pomyślał. Jeszcze raz niezdarnie sięgnął po miecz.

Zauważył z przerażeniem, że ledwo może go unieść. Nadgarstek bolał tak bardzo, że potrzebował teraz obu dłoni. Machając mieczem jak szalony, nie zdawał sobie sprawy, że centurion patrzy na niego z zimnym spokojem. Zamachnął się jeszcze raz i znów nie trafił. Wtedy usłyszał śmiech.

Był tak pochłonięty centurionem, że nie zauważył pojawienia się jeźdźców. Było ich sześciu, z ciekawością obserwowali całą scenę. Pośrodku stał

wysoki, łysy mężczyzna o surowej, inteligentnej twarzy. To właśnie on się roześmiał. Powiedział coś do centuriona i teraz śmiali się już wszyscy.

Segovax zaczerwienił się. Mężczyzna mówił po łacinie, więc nie zrozumiał jego słów. Pewnie z niego kpił. I pewnie chcieli popatrzeć na jego śmierć. Z największym wysiłkiem jeszcze raz zamachnął się mieczem.

Patrzył zaskoczony, bo centurion schował miecz do pochwy. Rzymianie odjeżdżali, zostawiając go przy zwłokach ojca.

Ale Segovax byłby jeszcze bardziej zdziwiony, gdyby wiedział, co Juliusz Cezar powiedział do swoich żołnierzy. „Ten młody Celt jest dzielny. Nie chce się poddać. Lepiej dajmy mu spokój, bo nas pozabija”.

Segovax zobaczył na tunice ojca broszę od Cassivelaunusa. Odpiął ją z czcią i zabrał razem z mieczem. Ruszył w powrotną drogę, zatrzymując się tylko na chwilę, by po raz ostatni spojrzeć na twarz ojca.

Od bitwy nad rzeką minęło kilka miesięcy, a Cezar nie zajął w tym czasie wyspy. Do dziś nie wiadomo, czy zamierzał ją podbić od razu – był zbyt przebiegły, żeby powiedzieć to jasno w swoich pamiętnikach.

Naczelnicy celtyckich plemion musieli złożyć mu ogromne daniny i dostarczyć zakładników. Cezar ogłosił triumfalne zwycięstwo. Ale jesienią wycofał się ze swoimi legionami do Galii, gdzie zaczynało wrzeć. Zapewne zdając sobie sprawę, że podbojów dokonuje za szybko i za daleko, postanowił umocnić swoją władzę w Galii, a wyspę zająć później. Dlatego życie na wyspie, przynajmniej na jakiś czas, wróciło do normy.

Przyszła wiosna, ale wbrew oczekiwaniom Cezar nadal się nie pojawiał. Latem Rzymianie też nie przybyli.

Z jednym wyjątkiem. Mieszkańcy wioski, wyszedłszy pewnego letniego poranka nad brzeg, ujrzeli dziwny widok. Rzeką płynął pękaty statek, długi na dwadzieścia kilka metrów, z wysoką rufą i niskim dziobem; na maszcie na śródokręciu wisiał wielki kwadratowy żagiel z płótna; do jego refowania

służyły linki porządnie przewleczone przez naszyte kółka. Niewielki trójkątny żagiel, rozpięty na mniejszym, pochylonym nad dziobem maszcie, dawał dodatkowy napęd. Gładkie burty zrobiono z desek przymocowanych do ożebrowania żelaznymi gwoździami. Statek miał nie jeden, lecz dwa stery umieszczone po obu stronach rufy.

Krótko mówiąc, patrzyli na typowy kupiecki statek starożytnego świata. Żeglarze o śniadej cerze i bogaty Rzymianin, który był jego właścicielem, wpłynęli na rzekę powodowani ciekawością.

Dobili do brzegu i przyjaźnie zwrócili się do wieśniaków. Wyjaśnili, że chcą zobaczyć miejsce, gdzie rozegrała się bitwa, o ile leży gdzieś niedaleko. Po krótkim wahaniu dwóch mężczyzn zgodziło się zaprowadzić ich do brodu i na wyspę druida. Obejrzeli je, po czym uznali, że w Londinos nie ma już nic wartego zainteresowania, i odjechali wraz z odpływem, zapłaciwszy wieśniakom srebrną monetę.

To wydarzenie nie miało żadnego historycznego znaczenia. Ot, krótka wizyta statku unoszonego znacznie potężniejszym prądem historii, który dla zaspokojenia ciekawości jakiegoś bogacza zboczył z ustalonej trasy w nieznane okolice.

Ale dla Segovaxa ten incydent znaczył bardzo wiele. Zafascynowany chłopiec przyglądał się dziwnemu statkowi, kusząco przycumowanemu do brzegu. Jak urzeczony wpatrywał się w srebrną monetę, wiedząc, że umieszczona na niej głowa jakiegoś boga nie jest jedynie ozdobą. Nie umiał jednak ocenić ani jej wartości, ani znaczenia. Ale przede wszystkim, patrząc za znikającą na rzece łodzią, wspominał ten cudowny dzień z ojcem, kiedy zobaczył otwarte morze.

– Teraz on tam płynie – mruknął. – I może kiedyś znów się u nas pojawi.

Zrodziło się w nim potajemne marzenie, by wsiąść na pokład i popłynąć w świat choćby z Rzymianami.

Z całej rodziny to właśnie Segovax cierpiał najbardziej. Ku jego wielkiemu zdziwieniu matka, po trzech miesiącach szalonej rozpaczy, niespodziewanie związała się z innym mężczyzną. Mężczyzna pochodził z innej wioski i był dobry dla dzieci. Ale ból nie opuszczał Segovaxa. I nie wiadomo, jak długo by to trwało, gdyby nie drobne wydarzenie, które miało miejsce pod koniec jesieni.

Wraz z nadejściem zimy Celtowie obchodzili wielkie święto Samhain, czas, gdy ziemię nawiedzały duchy. Wstawały z grobów i przychodziły do żywych, przypominając im, że zmarli zamieszkujący pradawne siedziby domagają się szacunku od każdego, kto wszedł na ich teren. Dni, kiedy przygotowywano uczty i składano ważne przysięgi, były ekscytujące, ale budziły strach.

Kilka dni po Samhain, w ciepłe, mgliste popołudnie, Segovax bawił się z Branwen na skraju mierzei. Po jakimś czasie siostra zostawiła go, mówiąc, że jest zmęczona. Chłopiec, ogarnięty nagłą falą smutku, usiadł na kamieniu i popatrzył na wzgórza Londinos na drugim brzegu.

Ostatnio często tu siadywał, zwłaszcza po przybyciu dziwnego statku. Patrzył, jak rzeka powoli oddycha w rytmie przypływów i odpływów, i to dawało mu ukojenie. O świcie złote promienie wschodzącego słońca padały na wschodnie wzgórze, a pod wieczór czerwona poświata po przeciwnej stronie oznaczała pożegnanie dnia. Miał wrażenie, że rytm życia i śmierci rozlega się tutaj wiecznym, niekończącym się echem. Dumał tak przez dłuższy czas, gdy nagle usłyszał kroki. To druid szedł w jego stronę.

Starzec bardzo osłabł ostatnimi czasy. Niektórzy mówili, że to zeszłoroczna bitwa podkopała jego siły. Ale mimo to nadal składał w okolicznych wioskach niezapowiedziane wizyty. Zauważywszy, że chłopiec jest sam, zatrzymał się.

Segovax zdziwił się, że druid chce z nim rozmawiać. Wstał grzecznie, ale starzec dał mu znak, by usiadł, a potem, co było jeszcze dziwniejsze, spokojnie zajął miejsce obok niego.

Segovax zawsze był przekonany, że obecność druida budzi powszechny lęk. Tymczasem stary kapłan roztaczał wokół siebie aurę kojącego spokoju. Rozmawiali przez dłuższy czas, starzec delikatnie zadawał pytania, a Segovax odpowiadał coraz pewniej, aż w końcu, z dziwnym uczuciem ulgi, opowiedział o strasznej bitwie, o wszystkim, co wtedy widział, a nawet o swoim tchórzostwie.

– Bitwy nie są dla dzieci. – Druid uśmiechnął się łagodnie. – I bynajmniej nie jesteś tchórzem, chłopcze. – Umilkł na chwilę. – Uważasz, że opuściłeś ojca w potrzebie? Że sprawiłeś mu zawód?

Segovax skinął głową.

– Ale on tam się ciebie nie spodziewał – zauważył starzec. – Nie powiedział ci, że masz się opiekować matką i siostrą?

– Powiedział. – A potem, nie mogąc się już powstrzymać i myśląc o tym, że matka związała się z innym mężczyzną, Segovax wybuchnął płaczliwie: – Ale ja go straciłem. Straciłem ojca. Na zawsze.

Przez dłuższą chwilę druid patrzył w milczeniu na rzekę. Wiedział, że rozpacz chłopca niczego nie zmieni, ale doskonale ją rozumiał. Smutek Segovaxa poruszył nim do głębi i przypominał o dręczących go od dawna troskach i tajemnicach.

Dziwna rzecz, ten dar jasnowidzenia. Czasem do druida przychodziła wyraźna wizja przyszłych wydarzeń – na przykład znał los rodziny rybaka na długo przed tym, nim pojawili się Rzymianie – ale z reguły jego niezwykła zdolność była nie tyle nagłą iluminacją, ile częścią rozległego procesu, szczególnym rozumieniem człowieczego losu, które w miarę upływu lat coraz częściej dawało o sobie znać. Dla większości ludzi życie

było jak długi dzień rozciągnięty pomiędzy świtem narodzin i zmierzchem śmierci, ale on widział to inaczej.

Dla starego druida życie na tej ziemi było coraz bardziej nierzeczywiste. Poza nim nie rozciągała się ciemność, ale coś świetlistego, bardzo realnego, coś, co zawsze znał, nawet jeśli nie umiał tego opisać, i do czego miał powrócić. Czasem bogowie z przerażającą jasnością pokazywali mu jakiś skrawek przyszłości, a wtedy wiedział, że musi strzec tej tajemnicy przed ludźmi. Zazwyczaj jednak kroczył niepewnie przez życie z niejasnym przeczuciem, że jest częścią ustalonego z góry planu i że tak było zawsze. Wierzył, że bogowie prowadzą go ku jego przeznaczeniu, a śmierć jest czymś ulotnym, częścią znacznie dłuższego dnia.

Ale niepokoiła go dziwna rzecz. Od dwóch lat bogowie dawali mu znaki, że nawet to większe przeznaczenie, ten otaczający go świat cieni zbliża się do kresu. Miał poczucie, że bogowie gotują się do odejścia. Czyżby zbliżał się koniec świata? A może, myślał, także bogowie, zupełnie jak ludzie, przemijają niczym liście spadające na ziemię?

A może, dumał, siedząc obok tego zwyczajnego chłopca z kosmykiem białych włosów i błoną między palcami, może bogowie są jak strumienie, które niewidzialnie wpadają do większej rzeki?

Delikatnie położył Segovaxowi dłoń na ramieniu.

– Przynieś mi miecz ojca – polecił.

Po chwili chłopiec wrócił z bronią. Druid chwycił miecz i jednym potężnym uderzeniem roztrzaskał go o kamień.

To był stary celtycki rytuał.

Podniósł kawałki miecza i objąwszy chłopca ramieniem, rzucił je do rzeki. Segovax patrzył, jak żelazo z głośnym pluskiem wpada do wody.

– Dość już twojej żałoby – powiedział druid łagodnie. – Teraz rzeka jest twoim ojcem.

Chłopiec miał ścisnięte gardło, ale zrozumiał. I wiedział, że to prawda.

Londinium

A.D. 251

Przy stole siedziało naprzeciwko siebie dwóch mężczyzn. Milczeli obaj, zajęci ryzykowną robotą.

Było letnie popołudnie – według rzymskiego kalendarza idy lipcowe. Na zewnątrz niemal pusta ulica, żadnego wiatru. W środku przytłaczający upał.

Jak większość pospólstwa mężczyźni ci nie byli ubrani w niewygodne rzymskie togi, lecz w proste tuniki do kolan z białej wełny, spięte na ramionach i przewiązane w talii sznurem. Wyższy miał też na sobie krótką pelerynkę, młodszy wolał zostawić nagie ramiona. Obaj nosili skórzane sandały.

Izba była skromna, typowa dla tej dzielnicy, w której wokół małych podwórek tłoczyły się kryte strzechą drewniane domy i warsztaty. Ściany izby z gliny i brzozowych witek pomalowane były na biało; w kącie stał duży stół, na stojaku leżały dłuta i siekiera, co oznaczało, że tutejszy lokator jest cieślą.

Panowała cisza. Jedynym dźwiękiem był zgrzyt pilnika w dłoni starszego mężczyzny. Jednak na zewnątrz, na końcu wąskiej uliczki, ktoś stał na czatach. Konieczny środek ostrożności. Za taką robotę groziła bowiem kara śmierci.

Nad rzeką, gdzie wypiętrzyły się dwa żwirowe wzgórza, wyrosło wielkie, otoczone murami miasto.

Pod czystym, błękitnym niebem rozłożyło się Londinium. Było tu pięknie. Stoki bliźniaczych wzgórz zamieniono w łagodne zbocza z eleganckimi tarasami. Na wschodnim szczycie stało okazałe forum, promienie słońca odbijały się bladym blaskiem od jego statecznych murów. Szeroka ulica wiodła z forum do solidnego drewnianego mostu na rzece. Na zachodnim wzgórzu, tuż poniżej szczytu, na tle nieba rysowała się owalna sylwetka wielkiego amfiteatru, a za nią, ku północnemu wschodowi, znajdowały się kwatery garnizonów. Poniżej, nad rzeką, powstały drewniane pomosty i magazyny, natomiast na wschodnim brzegu strumienia płynącego pomiędzy wzgórzami wytyczono piękne ogrody pałacu gubernatora. Całe miasto – świątynie i teatry, pokryte stiukiem wille i tanie domy czynszowe, dachy z czerwoną dachówką i ogrody – otaczały od strony lądu grube, wysokie mury z bramami wjazdowymi.

Miasto przecinały ze wschodu na zachód dwie główne arterie. Pierwsza wkraczała do miasta przez górną bramę zachodnią, przecinała oba wzgórza i docierała do wschodniej bramy. Druga prowadziła od dolnej bramy zachodniej i przez górną część zachodniego wzgórza schodziła do strumienia, mijając pałac gubernatora.

Tak właśnie wyglądało Londinium – dwa wzgórza połączone szerokimi ulicami i otoczone murem. Nabrzeże miało ponad półtora kilometra długości, a ludność liczyła dwadzieścia pięć tysięcy mieszkańców. Miasto istniało tu od blisko dwustu lat.

Rzymianie długo zwlekali z przybyciem na Brytanię. Po bitwie nad rzeką Cezar więcej się nie pojawił. A dziesięć lat później ten wielki zdobywca został zasztyletowany w rzymskim Senacie. I dopiero po upływie blisko stu

lat, w roku 43, cesarz Klaudiusz przekroczył morze, by podporządkować sobie i ucywilizować wyspę.

Podbój był szybki i ostateczny. W największych plemiennych siedzibach natychmiast powstały bazy wojskowe. Przeprowadzono przegląd ziem. Dość szybko sprytni rzymscy kolonizatorzy zainteresowali się miejscem, które Celtowie nazywali Londinos. Nie było stolicą żadnego plemienia. Podobnie jak w czasach Cezara najważniejsze celtyckie siedziby leżały dalej na wschód, po obu stronach długiego ujścia rzeki. Ale w tym właśnie miejscu znajdował się pierwszy bród pozwalający na przeprawę na drugi brzeg, więc w sposób naturalny to tutaj zbiegał się cały system dróg.

Jednak uwagę Rzymian przyciągnął nie tyle bród, ile szczególne ukształtowanie terenu nieopodal. Kiedy rzymscy budowniczowie ujrzeli na północnym brzegu dwa żwirowe wzgórza, a naprzeciwko nich, po drugiej stronie rzeki, wysuniętą mierzeję, nasunął się im oczywisty wniosek.

„Znaleźliśmy idealne miejsce na most”, donosili. Poniżej koryto rzeki rozszerzało się, powyżej brzegi były podmokłe. „Nurt jest tutaj dość wąski, a piaszczyste dno daje mocne oparcie pod budowę”. Na dodatek docierały tu prądy pływowe, dzięki czemu statki mogły z łatwością posuwać się w głąb lądu, a strumień pomiędzy wzgórzami tworzył u swojego ujścia małą zatoczkę, nadającą się na przystań dla mniejszych statków. „Mamy tutaj naturalny port”, kończyli swoją relację.

Rzekę nazwali Tamezis, a port Londinium.

Wiadomo było, że wraz z upływem czasu port stanie się głównym ośrodkiem życia na wyspie. Skupiał się tu handel, od tutejszego mostu rozchodziły się wszystkie drogi.

A rzymskie drogi miały kluczowe znaczenie. Lekceważąc pradawny system szlaków biegnących wzdłuż górskich grzbietów, rzymscy inżynierowie wytyczyli na całej wyspie proste drogi tłuczniowe, łączące

plemienne stolice i ośrodki administracyjne siecią, która nigdy nie została całkowicie zniszczona. Od białych klifów Dover na południowym wschodzie przez Canterbury i Rochester biegł gościniec znany jako Watling Street. Na wschodzie, powyżej szerokiej gardzieli ujścia, leżała droga do Colchester. Inna wielka droga prowadziła na północ, do Lincoln i dalej do Yorku; a na zachodzie, za Winchesterem, sieć dróg łączyła Gloucester, rzymskie uzdrowisko Bath z jego leczniczymi źródłami i ładne miasta targowe na cieplejszym południowym zachodzie.

Latem 251 roku w brytyjskiej prowincji panował spokój. Tak jak od dwustu lat. Jedynie na samym początku wielkie powstanie pod wodzą królowej Brytów Boudiki na krótko wstrząsnęło prowincją. Dumne plemiona Walii przez dłuższy czas wzniecały niepokoje na zachodzie wyspy, a Piktowie i Szkoci z północy nigdy nie dali się ujarzmić. Cesarz Hadrian wzniósł nawet wielki mur od jednego wybrzeża do drugiego, żeby zamknąć ich na wrzosowiskach i w górskich twierdzach. Ostatnio pojawiła się konieczność zbudowania na wschodnim wybrzeżu dwóch fortów morskich, które miały chronić mieszkańców przed atakami germańskich piratów.

Ale w coraz bardziej niespokojnym świecie rozrastającego się imperium, nękanego przez napaści barbarzyńskich plemion na wschodnich granicach i wewnętrzne konflikty polityczne, imperium, w którym co roku obwoływano co najmniej pięciu kolejnych cesarzy, Brytania jawiła się jako oaza pokoju i względnego dobrobytu. A Londinium było jej największym ośrodkiem handlowym.

Myśląc nad tym, co przed chwilą usłyszał od mężczyzny z pilnikiem, Juliusz niemal zapomniał o grożących im sankcjach prawnych. Wprawdzie Sekstus był jego wspólnikiem i przyjacielem, ale był też niebezpieczny.

Sekstus. Śniady mężczyzna z mocno zarysowaną szczęką. Dobiegał trzydziestu lat. Ciemne włosy zaczynały już rzednąć. Zarost na twarzy miał ogolony, a raczej, zgodnie z rzymskim zwyczajem, wyskubany, z wyjątkiem kręconych, bujnych bokobrodów, z których był bardzo dumny i które podobały się wielu kobietom. Środkową część twarzy miał lekko spłaszczoną, co zaburzało przyjemny wygląd i sprawiało, że ciemne oczy patrzyły jakby spod szerokiego gzymsu. Był dość niezdarny w obejściu, a ramiona sprawiały wrażenie cięższych, niż zamyśleli bogowie, przez co garbił się przy pracy i chodził rozkołysanym krokiem.

„Dziewczyna jest moja. Trzymaj się od niej z daleka”. Te słowa nieoczekiwanie przerwały milczenie towarzyszące ich pracy. Wypowiadając je, Sekstus nawet nie podniósł wzroku, ale dziwna stanowczość w jego głosie nakazała Juliuszowi ostrożność. I zaskoczyła go. Jak Sekstus się domyślił?

Starszy mężczyzna często zabierał Juliusza do karczmy i poznawał go z różnymi kobietami, ale zawsze był jego mentorem, a nie rywalem. A teraz taka niemiła niespodzianka. I ryzykowna. Spółka z Sekstusem w ich nielegalnym procederze była dla Juliusza jedynym źródłem tak potrzebnego dodatkowego dochodu. Narażanie tego na szwank byłoby głupotą. Do tego, pomyślał Juliusz, Sekstus doskonale umie posługiwać się nożem. Ale mimo to nie zamierzał się podporządkować.

Poza tym wysłał już do niej list.

Na widok Juliusza kobiety uśmiechały się. Ludzie często brali go za żeglarza; miał w sobie jakąś świeżość i niewinność typową dla marynarza, który właśnie zszedł z pokładu.

„Prawdziwy z niego mężczyzna”, mówiły kobiety ze śmiechem.

Miał dwadzieścia lat i wzrost poniżej średniego – nogi nieco za krótkie w proporcji do reszty ciała – ale był silny. Tunika bez rękawów częściowo

odsłaniała umięśniony tors, zahartowany od ćwiczeń. Juliusz chlubił się swoim ciałem. Był dobrym gimnastykiem, a w porcie, gdzie pracował przy rozładunku statków, zyskał też renomę obiecującego boksera. „Jeszcze nigdy nie pokonał mnie ktoś mojej postury”, twierdził.

„Można go rzucić na deski – mówili wyżsi mężczyźni z podziwem – ale on zawsze się podnosi”.

Miał niebieskie oczy. Jego nieco orli nos spłaszczał się nagle tuż poniżej grzbietu. Nie był to, jak niektórzy sądzili, skutek uprawiania boksu. „Taki już się urodziłem”, tłumaczył wesoło.

Juliusz miał dwa inne rzucające się w oczy znaki szczególne. Pierwszym było pasmo białych włosów, które – tak jak u jego ojca – wyrastało mu nad czołem wśród bujnych, ciemnych kędziorów. Drugim była błona między palcami dłoni. Nie przejmował się tym. W porcie przezywano go życzliwie Kaczką. Podczas walk na pięści często rozlegały się okrzyki: „Dalej, Kaczka! Dołóż mu, wrzuć go do wody!”. A niektórzy żartownisie kwitowali jego zwycięstwa kwakaniem.

Ale kobietom podobał się przede wszystkim jego charakter. W łakomie pożerających świat błękitnych oczach było coś wesołego, pełnego życia. A jedna dystyngowana młoda wdowa powiedziała podobno: „Smakowite jabłuszko, dojrzałe do zerwania”.

Juliusz nie zadurzył się w niej natychmiast. Minęły dwa miesiące od czasu, gdy z Sekstusem zobaczyli ją po raz pierwszy. Ale dziewczyna miała w sobie coś takiego, że nie dało się jej zapomnieć.

W porcie Londinium spotykało się najrozmaitszych ludzi. Statki przywoziły tu oliwę z Hiszpanii, wino z Galii, szklane wyroby znad Renu, bursztyn z germańskich ziem u wschodnich wybrzeży Bałtyku. Byli tu Celtowie, jasnowłosi Germanie, mieszkańcy południa Europy, Grecy, Żydzi i ciemnoskórzy mężczyźni z południowych wybrzeży Morza

Śródziemnego. Zwłaszcza niewolnicy pochodzili z najrozmaitszych stron świata. Obok rzymskiej togi widywało się kolorowe afrykańskie szaty albo egipskie ozdoby. Rzymskie cesarstwo było kosmopolityczne.

A mimo to dziewczyna rzucała się w oczy. Była o dwa lata starsza od Juliusza i niemal dorównywała mu wzrostem. Miała jasną cerę i płowe włosy, które nie były długie i upięte szpilkami jak u innych dziewcząt, lecz ciasno okalały jej głowę mocno skręconymi lokami. Właśnie te włosy i nieco szeroki nos wskazywały, że miała czarnoskórych przodków. Jej babkę przywieziono do Galii jako niewolnicę z rzymskiej prowincji Numidia [4] w Afryce. Dziewczyna miała drobne, bardzo białe zęby, dość nierówne. Jej niebieskie oczy w kształcie wielkich, zaokrąglonych migdałów patrzyły tajemniczo. Przy każdym kroku szczupłe ciało poruszało się z rytmicznym wdziękiem, którego były pozbawione inne kobiety w porcie. Dlatego złośliwie mawiały, że mąż kupił ją sobie w Galii, ale pewności co do tego nie miał nikt. Nazywała się Martina.

Miała szesnaście lat, gdy pewien kapitan statku postanowił się z nią ożenić. Sam był wtedy pięćdziesięcioletnim wdowcem z dorosłymi dziećmi. W zeszłym roku przeniósł się z Galii do Londinium.

Juliusz widział tego kapitana. Był potężnym mężczyzną o dość dziwnym wyglądzie. Miał całkowicie łysą czaszkę, a gęsta siateczka naczynek krwionośnych na twarzy i całym ciele wyglądała jak misterny tatuaż, nadając jego skórze niebieskawy odcień. Mieszkali z dziewczyną na południowym brzegu rzeki, w jednym z domków stojących wzdłuż traktów wiodących od mostu na południe wyspy.

W porcie prowadzono ożywiony handel. Pomimo zaawansowanego wieku kapitan wciąż był aktywny i często wypływał do Galii i do portów nad Renem. Teraz też go nie było.

Nadzieja Juliusza miała pewne podstawy. Sekstus cieszył się powodzeniem u kobiet. Był już kiedyś żonaty, ale owdowiał i najwyraźniej nie spieszył się z powtórną żeniaczką. Wspomniał Juliuszowi, nieco protekcjonalnie, że zamierza zdobyć żonę kapitana, ale Juliusz puścił to mimo uszu. Sekstus dowiedział się, kiedy kapitana nie ma w domu, i znalazł sposób, żeby niepostrzeżenie dostać się w nocy do środka. Miłosne podboje planował z wojskową precyzją. Ale dziewczyna się wahała. „Nęcenie zdobyczy to połowa przyjemności”, mawiał Sekstus, nie rezygnując ze swoich planów.

Dlatego Juliusz był mocno zdziwiony, gdy pewnego dnia dziewczyna, żegnając się z nimi przy moście, uścisnęła mu znacząco dłoń. A nazajutrz, mijając go na nabrzeżu, otarła się o niego lekko, ale rozmyślnie. Niedługo potem rzuciła niedbale: „Kobiety lubią dostawać prezenty”. Powiedziała to do Sekstusa, lecz Juliusz był pewien, że zerknęła przy tym właśnie na niego.

Nie miał wtedy pieniędzy, to Sekstus kupił jej słodycze. Po paru dniach spróbował porozmawiać z nią na osobności, uśmiechnęła się wprawdzie, ale odeszła, a potem całkiem go ignorowała.

Tak zaczęło się jego zauroczenie. Martina zaprzątała mu myśli. Kiedy rozładowywał łodzie, wśród takielunku widział jej zmysłowe oczy. Wyobraźnia podsuwała mu jej rytmiczny, niesamowicie uwodzicielski chód. Wiedział, że Sekstus zarzuca na nią sieć, ale ostatnio kapitan przebywał w domu, więc był pewien, że jego przyjaciel nie może się pochwalić sukcesem. Wyobrażał sobie, że to on wślizguje się do jej domu pod osłoną nocy. Im więcej czasu poświęcał takim myślom, tym bardziej jego zauroczenie zaczynało żyć własnym życiem. Ten cudowny piżmowy zapach – używała pachnideł czy to jej ciało wydzielało tę woń? Początkowo wydawało mu się, że Martina ma zbyt duże stopy, ale teraz uznał je za

zmysłowe. Pragnął dotknąć jej włosów, wziąć w dłonie jej głowę. Ale przede wszystkim myślał o jej szczupłym, gibkim ciele. Tak, chciał je lepiej poznać.

„Nadal byś jej pragnął, gdyby ci się nie wymykała? Warto sobie zadawać takie pytanie, gdy idzie o kobietę”. Juliusz nigdy nie wspominał rodzicom o dziewczynie, ale któregoś dnia ojciec rzucił znienacka tę uwagę. „Wiem dobrze, że jakaś kobieta cię zwodzi – mówił dalej. – Mam nadzieję, że jest tego warta”. Juliusz się roześmiał. Sam tego nie wiedział. Ale zamierzał się przekonać.

A ostrzeżenie Sekstusa? Dokonywanie zimnych kalkulacji nie leżało w naturze Juliusza. Za bardzo rozpierała go energia, żeby rozważał ryzyko swoich zachowań. Poza tym był nieuleczalnym optymistą. Doszedł więc do wniosku, że wszystko jakoś się ułoży.

Gruba dziewczyna siedziała na rogu ulicy. Wcale nie miała na to ochoty, ale dostała takie polecenie. Przyniosła ze sobą dwa składane zydle, na których usiadła powoli. Dali jej bochenek chleba, trochę sera i torbę fig. Na razie siedziała spokojnie w ciepłym słońcu. Opadło na nią trochę kurzu. Leżące u jej stóp okruchy i skórki wskazywały, że zjadła już chleb, ser i pięć fig.

Miała osiemnaście lat, ale osiągnęła rozmiary, które nawet u starszej kobiety byłyby imponujące. Pod dwoma pulchnymi podbródkami powoli rozwijał się trzeci. Miała szerokie usta z opadającymi kącikami, w których zebrała się teraz odrobina figowego soku. Siedziała z szeroko rozstawionymi nogami, a suknia luźno spływała jej na piersi.

Juliuszowi zawsze wydawało się, że grubi ludzie skrywają w sobie jakąś tajemnicę. Jak osiągnęli taką wagę? I dlaczego są nieustannie zadowoleni ze swojej tuszy? Dla młodego mężczyzny było to niezrozumiałe. Dlatego gdy czasem patrzył na grubą dziewczynę, zastanawiał się, czy za jej masywną biernością nie czai się złość. A może ta tajemnica sięga jeszcze

głębiej? Czasem można było wręcz odnieść wrażenie, że grubaska jest szczęśliwa, bo wie o wszechświecie coś, co dla reszty ludzkości jest tajemnicą. Siedzi, je i czeka. Ale na co? Kto mógł to wiedzieć. Jednak najbardziej niezrozumiałe było to, że gruba dziewczyna jest jego siostrą.

Rodzoną siostrą. Gdy skończyła dziewięć lat, zaczęła tyć, unikała gier sportowych i zabaw, które Juliuszowi i jego kolegom sprawiały przyjemność, co wprawiało w zakłopotanie całą rodzinę. „Nie mam pojęcia, jak ona się do tego doprowadziła”, mówił ojciec. Wprawdzie teraz był rumiany i nieco zaokrąglony, ale nigdy nie był gruby. Podobnie jak matka Juliusza. „Mój ojciec miał bardzo grubą ciotkę – mawiała. – Może ona ma to po niej?” Bez względu na przyczynę nikt nie miał złudzeń, że stan dziewczyny się zmieni. Miała coraz mniej wspólnych tematów z Juliuszem, właściwie z rzadka z kimś rozmawiała. Była jednak na tyle posłuszna, że bez zbędnych pytań siadała na straży, o ile dostawała coś do jedzenia.

Siedziała więc teraz, obserwując pustą uliczkę i od czasu do czasu zanurzając dłoń w torbie w poszukiwaniu kolejnej figi.

Wokół panował spokój. Z odległości pięciuset metrów, zza amfiteatru, rozległo się senne pomrukiwanie któregoś z lwów przywiezionych z dalekich krajów. Jutro miały się odbyć igrzyska. Będą walki gladiatorów, żyrafa z Afryki, walki z niedźwiedziami z walijskich gór i miejscowymi dzikami. Większość mieszkańców Londinium gotowa była tłoczyć się w amfiteatrze, byle tylko zobaczyć to wspaniałe widowisko. Nawet gruba dziewczyna zamierzała tam poczłapać.

Na rogu ulicy było gorąco. Grubaska czuła na sobie promienie słońca i leniwie podciągnęła sukienkę na piersiach. Została jej już tylko jedna figa. Wyjęła ją z torby, włożyła do ust, ugryzła, aż sok spłynął jej po brodzie. Wytarła ją wierzchem pulchnej dłoni, rzuciła skórkę na ziemię, a potem położyła pustą torbę na głowie, chroniąc się przed słonecznym żarem.

Siedziała, gapiąc się na bieloną ścianę naprzeciwko. Nie miała już nic do jedzenia, zaczynała się nudzić. Jaskrawa biel ściany raziła ją w oczy. Na ulicy nie było żywego ducha. Większość ludzi odbywała o tej porze sjestę.

Przymknęła powieki. Torba leżała na jej głowie. A po paru chwilach zaczęła rytmicznie unosić się i opadać.

Szli szybkim krokiem. Pięciu żołnierzy pod komendą centuriona, potężnego, korpulentnego mężczyzny o szpakowatych włosach. W tej spokojnej prowincji miał niewiele okazji, żeby się wykazać, ale rana od noża otrzymana w czasach awanturniczej przeszłości pozostawiła na prawym policzku bliznę, która nadawała mu wygląd weterana, a u podkomendnych wzbudzała lęk i respekt.

Na zakurzonych ulicach ich szybki marsz był ledwo słyszalny, ale o ich obecności ostrzegało ciche pobrzękiwanie krótkich mieczy o metalowe ćwieki na tunikach.

Juliusz sam był sobie winien. Gdy podczas bokserskiego starcia padał na deski i podnosił się po chwili, gotowy do dalszej walki, nigdy mu do głowy nie przyszło, by żywić do przeciwnika urazę. Podłość nie leżała w jego naturze, więc nie dostrzegał jej u innych. I to była jego słabość. Dlatego nie zwrócił uwagi na spojrzenie rywala, którego pokonał dziesięć dni wcześniej. Nigdy by nie podejrzewał, że ten człowiek zajrzy do jego beztrosko pozostawionej sakiewki i zobaczy w niej srebrną monetę.

> Juliusz, syn Rufusa, ten, który pracuje w porcie, ma srebrnego denara. Ciekawe, jak wszedł w jego posiadanie. Przyjaźni się z Sekstusem, cieślą.

Anonimowy list tej treści dotarł do władz. Oczywiście mógł to być donos bez znaczenia. Ale należało to sprawdzić.

Juliusz uśmiechnął się do siebie. W jego młodym życiu brakowało tylko jednej rzeczy: pieniędzy. Płaca, którą otrzymywał w porcie, była żałosna. Skapywało mu trochę grosza, gdy przyjaciele stawiali na niego w bokserskich walkach. Ale teraz on i Sekstus mieli się wzbogacić w najprostszy na świecie sposób.

Podrabiając pieniądze.

Sztuka fałszowania monet nie była trudna, ale wymagała precyzji. Prawdziwe monety wybijano. Czysty metalowy krążek wkładano pomiędzy dwie sztance – jedną na awers, drugą na rewers. Sztance były wygrawerowane, a ich rysunek odciskano – czyli wybijano – na krążku. Juliusz słyszał o fałszerzach, którzy posługiwali się tą metodą, produkując falsyfikaty najwyższej jakości. Oznaczało to jednak konieczność samodzielnego wygrawerowania sztancy, co znacznie przekraczało umiejętności jego i Sekstusa.

Dlatego większość fałszerzy wybierała metodę dającą mniej przekonujące efekty, ale za to łatwiejszą. Brali będącą w obiegu monetę – nową lub starą – i odciskali obie strony w miękkiej glinie. W ten sposób powstawały dwie połówki formy. Łączono je ze sobą, zostawiając z boku małą dziurkę, a kiedy glina była twarda i sucha, przez dziurkę wlewano roztopiony metal. Teraz wystarczyło skruszyć glinę, by otrzymać całkiem znośny falsyfikat.

– Oczywiście nikt się tak nie męczy dla jednej monety – tłumaczył Sekstus. – Pokażę ci, jak to się robi. – Ułożył trzy formy w trójkąt, z dziurkami skierowanym do środka. – Potem kładziesz na wierzchu kolejne trzy formy, o, tak – zademonstrował. – A potem jeszcze jedną warstwę. – Pokazał Juliuszowi, jak ułożyć wszystko w wysoką trójkątną kolumnę. – Teraz wystarczy jedynie napakować gliny dookoła i wlać do środka roztopiony metal, żeby wypełnił wszystkie formy.

Kiedy Sekstus zaproponował nielegalny interes, Juliusz był dość nieufny.

– To nie za duże ryzyko? – spytał.

Ale Sekstus jedynie spojrzał na niego.

– Mnóstwo ludzi to robi. A wiesz dlaczego? – Wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Bo jest za mało monet.

To była prawda. Od ponad stu lat cesarstwo rzymskie zmagało się z coraz wyższą inflacją. W rezultacie w obiegu było za mało pieniędzy. A skoro ludzie ich potrzebowali, to fałszerze mieli pełne ręce roboty. Bicie najtańszego, brązowego bilonu przez osoby prywatne nie stanowiło wykroczenia. Ale fałszowanie złotych i srebrnych monet o większej wartości było poważnym przestępstwem. Nie odstraszało to jednak od nielegalnego procederu i w rezultacie blisko połowa krążących na rynku srebrnych monet była prawdopodobnie fałszywa.

Sekstus zdobył gdzieś metal i stopił go. Juliusz zrobił formy i wlał do nich płynną rudę. Starszy przyjaciel udzielał mu wszelkich instrukcji, ale był dość niezdarny. Poza tym zawsze coś się nie udawało, a to ruda nie wpływała do foremek, a to foremki nie dawały się czysto odlepić od monet. A kilka razy połączył niewłaściwe połówki foremek i w rezultacie wyszły mu monety z rewersem niepasującym do awersu. Juliusz, pomimo błon między palcami, robił wszystko sprawnie i precyzyjnie. Dzięki niemu jakość fałszowanych przez nich monet bardzo się poprawiła.

– Ale jak to zrobić, żeby naprawdę wyglądały jak srebrne? – To było drugie pytanie Juliusza, na samym początku.

Sekstus parsknął śmiechem, wykrzywiając twarz.

– Nie muszą. W tych prawdziwych srebra prawie nie ma.

Cesarskim mennicom, które starały się przynajmniej częściowo zaspokoić popyt, brakowało cennego kruszcu, więc obniżały wartość

własnej waluty. Cenny srebrny denar zawierał teraz zaledwie cztery procent czystego srebra.

– Ja biorę mieszankę miedzi, cyny i cynku – wyjaśnił Sekstus. – Wygląda nieźle.

Ale dokładne proporcje zachował dla siebie.

Na stole leżał teraz cały stos monet, a dla młodzieńca, który zarabiał na życie rozładowywaniem statków, każdy taki denar był małą fortuną. Do tej pory, chcąc zachować ostrożność, zadowalali się fałszowaniem brązowych monet; srebrnych zrobili tylko kilka, bo nagły przypływ bogactwa mógł wzbudzić podejrzenia. Ale jutrzejsze igrzyska stanowiły doskonałą okazję do hazardu, więc posiadanie kilku srebrnych denarów dałoby się łatwo wytłumaczyć. Dlatego dziś poczynali sobie dość zuchwale. Juliusz obliczył, że jego działka, która wynosiła jedną trzecią, wystarczyłaby na założenie jakiegoś małego interesu.

Był tylko jeden problem. Jak wytłumaczyć się z tych pieniędzy rodzicom? Oni i tak niechętnie odnosili się do Sekstusa. „Trzymaj się od niego z daleka. Źle mu z oczu patrzy”, mówiła matka, czując wyraźną antypatię do jego przyjaciela.

No cóż, później rozwiąże ten problem. W tej chwili Juliusz wiedział jedno: następnego dnia, jeszcze przed igrzyskami, za świeżo zdobyte bogactwo kupi dziewczynie złotą bransoletkę.

A potem? No cóż, wszystko będzie zależało od niej. Dostała już jego list.

Jeszcze jedna rzecz nie dawała mu spokoju, dużo poważniejsza.

Od kilku miesięcy Rufus martwił się w skrytości ducha o syna. Kiedyś myślał, że chłopak zostanie legionistą tak jak on. W cesarstwie rzymskim nadal była to najlepsza i najpewniejsza droga kariery. Na emeryturę przechodziło się w stosunkowo młodym wieku z całkiem pokaźnymi oszczędnościami, wystarczającymi na otworzenie jakiegoś interesu. Jednak

Juliusz nie palił się do tego, więc Rufus nie naciskał. „Zacznie się obracać w złym towarzystwie, takim jak ten Sekstus”, ostrzegała matka, ale ona była pesymistką od urodzenia. „Jest jeszcze za młody, żeby się ustatkować”, odpowiadał jej Rufus. Ale ostatnio zaczęły go nękać wyrzuty sumienia. Najwyższy czas, żeby wziąć się za syna. Tylko jak?

Rufus był bardzo lubianym człowiekiem, należał do kilku bractw. A poprzedniego dnia usłyszał o świetnej okazji. „Mam dwóch znajomych – opowiadał z ożywieniem Juliuszowi – którzy mogliby cię wciągnąć do dobrego interesu. I daliby ci udziały”. Umówił z nimi Juliusza na dzisiejszy wieczór.

Przez całe przedpołudnie chłopak myślał o tym, że oprócz przypadającej mu części fałszywych monet pojawia się szansa na własny interes. I że być może Sekstus nie będzie mu już potrzebny. To był jeszcze jeden powód, by nie rezygnować z dziewczyny.

Miał wrażenie, że wszystko układa się pomyślnie.

Żołnierze pojawili się nagle, bez uprzedzenia. Gdzieś na zewnątrz rozległ się trzask, niespodziewany krzyk, a zaraz potem usłyszeli walenie w drzwi.

Wydawało się, że są wszędzie. Przez okno zauważył błysk słońca na hełmie. Nie czekając na odpowiedź, żołnierze zaczęli rąbać mieczami drzwi. Z drewna poleciały drzazgi. Juliusz poderwał się, a potem, po raz pierwszy w życiu, spanikował.

Zawsze mu się wydawało, że ludzie ogarnięci paniką biegają w kółko jak szaleni, a on wręcz przeciwnie, nie mógł wykonać żadnego ruchu. Zaczął bełkotać ochryple, patrząc bezradnie przed siebie. Trwało to może kilka sekund, ale miał wrażenie, że mijają godziny.

Natomiast Sekstus zareagował błyskawicznie. Skoczył na równe nogi, chwycił ze stołu torbę i jednym ruchem zgarnął do niej wszystko, co leżało na blacie – monety, formy, wszystko. Dopadł do szafki w kącie, otworzył ją

i opróżnił półki z foremek, kawałków rudy i zbioru monet, o którym Juliusz nie miał pojęcia.

Chwycił osłupiałego Juliusza za ramię i popychając przyjaciela do kuchni, wyjrzał przez okno. Mieli szczęście. Legioniści wysłani na tyły domu popełnili błąd – wpadli na sąsiednie podwórko. Z drugiej strony wielkiego stosu dachówek dochodziło walenie w drzwi i przekleństwa. Sekstus wcisnął torbę Juliuszowi i wypchnął go na dwór.

– Uciekaj! – syknął. – I schowaj to gdzieś.

Juliusz otrząsnął się w jednej chwili, wspiął się na mur, przeskoczył na podwórko na tyłach i wbiegł w gąszcz zaułków ciągnących się za domami. Z torbą ukrytą pod tuniką wyglądał, jakby był w ciąży.

W tym samym momencie żołnierze wyważyli drzwi i wpadli do środka. Sekstus mrugał sennie powiekami, jakby wyrwany z popołudniowej drzemki. Żadnych śladów fałszerstwa. Ale centurion nie dał się zwieść. Rzucił się na tyły domu.

Właśnie wtedy Juliusz popełnił karygodny błąd. Przebiegł może sto metrów, gdy usłyszał gardłowy okrzyk. Odwrócił się i zobaczył centuriona, który pomimo swojej tuszy wspiął się zwinnie na mur i zobaczywszy umykającą postać, wrzeszczał teraz do stojących na ziemi legionistów:

– To on! Wy dwaj, za nim!

Blizna nadawała jego twarzy przerażający wygląd. Juliusz rzucił się do ucieczki.

Zgubienie legionistów w labiryncie wąskich uliczek nie było trudne. Nawet z ciężką torbą biegł szybciej niż oni. Dopiero gdy zwolnił, sklął się w duchu, że się obejrzał.

– Skoro ja go widziałem – mruknął pod nosem – to on też mnie widział.

Kosmyk białych włosów był wystarczającą wskazówką. Gdy Juliusz się odwrócił, centurion akurat wydawał rozkazy żołnierzom, ale potem

podniósł wzrok.

– Wszystko zależy od tego, co zobaczy – dokończył półgłosem myśl.

Martina stała na południowym krańcu mostu. Letni dzień chylił się ku końcowi. Blask bijący od białych domów po drugiej stronie rzeki zbladł, zamieniając się w delikatną poświatę. Na bursztynowym niebie na zachodzie gromadziły się purpurowe obłoki. Lekki wiatr muskał jej policzki.

Trzymała w dłoni list, który dostarczył jej jakiś chłopiec. Juliusz bardzo starał się zachować równe i wyraźne pismo. List był po łacinie. I wytrącił Martinę z równowagi.

Tego rodzaju korespondencja, nawet pomiędzy prostymi ludźmi, nie była czymś niezwykłym. W rzymskim Londinium umiejętność czytania i pisania była normą. Mieszkańcy zazwyczaj mówili po celtycku, ale większość znała też łacinę, także w piśmie. Kupcy sporządzali w tym języku umowy, sklepikarze oznaczali towary, służba dostawała na piśmie polecenia, a mury pokrywały łacińskie graffiti. Ale to był w pewnym sensie liścik miłosny; Martina, czytając go kolejny raz, poczuła drżenie w całym ciele.

> Przyjdź jutro w południe, w czasie igrzysk, na most, a będę miał dla ciebie prezent. Myślę o tobie w dzień i w nocy. J.

Nie podpisał się pełnym imieniem – na wypadek, gdyby list trafił w niepowołane ręce – ale Martina i tak domyśliła się, kto jest autorem. Ten młody pięściarz. Pokiwała głową, zamyślona. Co powinna zrobić?

Czas mijał. Czerwone dachy, jasne ściany i kamienne kolumny skąpane w wieczornej poświacie wyglądały przytulnie i pogodnie. Skąd więc w niej ten smutek? Może to przez most. Solidna drewniana budowla na ciężkich palach, wspaniały przykład rzymskiej myśli inżynieryjnej, miała kilometr

długości. W promieniach zachodzącego słońca barwiących rzekę na winnoczerwony kolor długa i ciemna sylwetka mostu kojarzyła się Martinie z jej samotną podróżą przez życie. Gdy w Galii poznała kapitana, była sama jak palec. Jej rodzice nie żyli, a kapitan dał jej dom i poczucie bezpieczeństwa. Do tej pory była mu za to wdzięczna.

Z jaką dumą oprowadzał ją po mieście. Największy podziw wzbudziły w niej wychodzące w wodę drewniane nabrzeża. „To wszystko jest z dębiny – opowiadał kapitan. – W Brytanii rośnie tyle dębów, że z każdego drzewa biorą tylko najlepszy kawałek pnia, a resztę wyrzucają". Przespacerowali się szeroką ulicą prowadzącą od mostu do forum. Rynek wydał się Martinie imponujący, ale w prawdziwe zdumienie wprawił ją gmach zajmujący całą północną pierzeję. Była to bazylika, ogromna hala targowo-sądowa, w której zbierali się sędziowie i rada miasta. Martina patrzyła z zachwytem na nawę o długości prawie dwustu metrów. „Największa w całej północnej Europie", opowiadał mąż. Było tu tyle do oglądania: dziedzińce i fontanny w rezydencjach gubernatora, publiczne łaźnie, liczne świątynie, wielki amfiteatr. Myśl, że zamieszkała w takiej metropolii, wywoływała w niej ekscytujący dreszcz. „Rzym jest nazywany Wiecznym Miastem – powiedział kapitan. – A Londinium należy do Rzymu".

Nie umiała tego wyrazić, ale doskonale wyczuwała, co znaczy przynależeć do wielkiej kultury. Bo przecież klasyczna kultura Grecji i Rzymu obejmowała cały świat, od Afryki po Brytanię. Rzymskie łuki i frontony, kolumny i kopuły, kolumnady i całe place miały doskonałe proporcje, uczyły patrzącego wyczucia bryły i porządku w przestrzeni. Prywatne domy Rzymian z malowidłami, mozaikami i centralnym ogrzewaniem zapewniały wygodę i wytchnienie. W zacienionych świątyniach doskonała geometria kamienia spotykała się z tajemnicą sacrum. W Rzymie znane i nieznane splatało się ze sobą od wieków. Echa

rzymskich osiągnięć będą pobrzmiewać na całym świecie jeszcze przez dwa tysiące lat, a może nawet dłużej, dopóki przetrwa ludzkość. Dziewczyna nie umiała ubrać tego w słowa, ale instynktownie doceniała tę wielkość. Kochała Londinium.

Kapitan często wyprawiał się do Galii z brytyjską ceramiką, a wracając, przywoził wspaniałe samijskie misy zdobione wzorami we lwie głowy, wino w cedrowych beczkach, wielkie amfory pełne oliwy i daktyli. Te ostatnie trafiały głównie do domów bogaczy, ale kapitan zatrzymywał trochę dla siebie. A czasem sprzedawał też beczki ostryg łowionych w ujściu rzeki. „Zawożą je na stół samego cesarza w Rzymie”, mówił z dumą.

Gdy mąż wyjeżdżał, Martina lubiła chodzić na samotne spacery. Na przykład do wyspy w pobliżu brodu. Tam, gdzie kiedyś mieszkał druid, stała teraz piękna willa. Czasem Martina przechodziła przez górną bramę zachodnią i wędrowała trzy kilometry do dużego skrzyżowania, przy którym stał piękny łuk z marmuru. A kiedy indziej kierowała się na południe, ku wzgórzom, skąd roztaczał się wspaniały widok.

Niekiedy przychodziło jej do głowy, że jest nieszczęśliwa. Chociaż może tylko doskwierała jej samotność?

Często modliła się o dziecko. Pod szczytem zachodniego wzgórza stało kilka świątyń, w tym jedna poświęcona Dianie, ale bogini dziewica nie mogła jej pomóc. Większość kobiet zwracała się z tym do celtyckich bogiń matek zamieszkujących liczne kapliczki. Martina też to robiła, ale na próżno. Jedno z takich miejsc dawało jej szczególne ukojenie. Za niższą bramą zachodnią droga przecinała strumień i biegła obok świętej studni, siedziby celtyckiej bogini wody. Martinie wydawało się, że bogini ją słyszy i przyjmuje z miłością. Ale dziecka wciąż nie mogła się doczekać.

A któregoś wiosennego dnia zyskała pewność, że jest nieszczęśliwa.

Ich dom stał na południowych przedmieściach. Miejsce było naprawdę ładne. Drewniany most prowadził z północnego brzegu rzeki do czubka wychodzącej mu na spotkanie mierzei i dalej biegł na drewnianych podporach, dzięki czemu podczas przypływów, gdy mierzeja zamieniała się w wyspę, woda nie mogła go zalać. Po południowej stronie Tamizy podłoże było bagniste, więc drogę zbudowano na ułożonych na krzyż potężnych balach, a powierzchnię utwardzono ziemią i tłuczniem. Idąc drogą, Martina dojrzała na podmokłym brzegu robotników; zatrzymała się, żeby na nich popatrzeć.

Budowali umocnienia. Ogromna konstrukcja – wielkie kwadratowe jamy ocembrowane dębowymi belkami i wypełnione piachem – podczas przypływu wznosiła się ponad punkt najwyższego poziomu wody i wyglądała jak zapora. Patrząc na nią, Martina dostrzegła coś jeszcze. Umocnienia wdzierały się na kilkadziesiąt centymetrów w koryto rzeki, zwężając ją nieznacznie. Zwróciła na to uwagę jednemu z robotników, a on się uśmiechnął.

– To prawda, trochę jej zabraliśmy. A w przyszłym roku zabierzemy jeszcze więcej. – Roześmiał się w głos. – To tak jak z kobietą. Wykorzystujemy rzekę, a potem ją poskramiamy. Jak w życiu.

Przeszła na drugą stronę mostu, zastanawiając się nad usłyszanymi słowami. Mówiły o niej? Kapitan nigdy nie potraktował jej brutalnie. Ale też nie miał ku temu powodów. Gdy schodził na ląd, troszczyła się o niego posłuszna, młoda żona. Był dla niej dobry? Raczej tak. Nie mogła się uskarżać. Dotarłszy do skraju mostu, skręciła w prawo i ruszyła nabrzeżem na wschód, mijając przystanie i magazyny, aż w końcu znalazła się w miejscu, gdzie mury miejskie stykały się z rzeką.

Było tu cicho i spokojnie. Na załamaniu muru stał bastion, teraz opustoszały. Powyżej łagodny stok wschodniego wzgórza opadał, tworząc

u podnóża muru naturalne zagłębienie przypominające amfiteatr. Po murawie spacerowały kruki, jakby czekając na rozpoczęcie spektaklu.

Martina stała samotnie, patrząc na wznoszący się przed nią mur. Naprawdę było co podziwiać. Elewację wykonano z dokładnie wygładzonego jasnego wapienia spławianego rzeką z Kentu. Wnętrze muru, szerokiego u podstawy na prawie trzy metry, było wypełnione kamieniami i zaprawą murarską. Dodatkowe wzmocnienie stanowiły czerwone płyty ceramiczne ułożone w potrójnych warstwach w metrowych odstępach przez całą szerokość muru. Powstała w ten sposób wspaniała konstrukcja miała prawie sześć metrów wysokości, a na całej długości przecinały ją wąskie czerwone pasy.

I nagle Martina uświadomiła sobie z przerażającą jasnością, że wcale nie jest szczęśliwa, a jej życie stało się pułapką.

Pewnie trwałaby w tym do końca swoich dni, gdyby nie Sekstus.

Początkowo przyjmowała jego zaloty z rezerwą, ale potem zaczęła się zastanawiać. Wiedziała, że inne kobiety mające starszych mężów biorą sobie potajemnie kochanków. Sekstus był nieustępliwy, co jej trochę pochlebiało. Może wzbudził w niej podniecenie, a może miała już dość swojego smutku, w każdym razie ta myśl coraz wyraźniej w niej kiełkowała. A gdyby i ona miała kochanka?

Właśnie wtedy zaczęła myśleć o Juliuszu.

Nie tylko z powodu jego młodzieńczego wyglądu, jasnoniebieskich oczu i sprawności fizycznej. Pociągał ją jego delikatny, słonawy zapach, wygięcie silnych ramion przy pracy, błysk potu na skórze. Wystarczyło, że lekko popuściła wodze wyobraźni, a ogarniało ją niemal bolesne pragnienie, by ją posiadł. Zerwę kwiat jego niewinności, myślała z uśmiechem. Prowokowała go sprytnie, najpierw udając, że się do niego

zaleca, a potem wycofując się i flirtując z Sekstusem. Takie gierki sprawiały jej wielką przyjemność.

Otrzymawszy list, mruknęła pod nosem: „Mam cię”. Ale gdy w końcu nadeszła wyczekiwana chwila, poczuła lęk. A jeśli wszystko się wyda? Kapitan będzie bezlitosny. Naprawdę gotowa jest aż tak ryzykować dla tego młodzieńca? Słońce powoli zachodziło, a ona długo patrzyła na drugi brzeg, zastanawiając się, co zrobić.

Kapitan wyjechał. Udzielał jej się zmysłowy smutek zmierzchu. Dość już tej żałości, pomyślała. Tak, pójdzie jutro na most.

– Twój ruch.

Juliusz gwałtownie otrząsnął się z zamyślenia. Czyżby ojciec patrzył na niego podejrzliwie? Spróbował skupić się na planszy i powoli przestawił pionek.

Udało mu się bezpiecznie dotrzeć do domu. Przywitał go sielski widok. Matka i siostra przygotowywały w kuchni jedzenie na jutrzejszą ucztę dla sąsiadów, która miała się odbyć po igrzyskach. A on i ojciec jak zwykle zasiedli na składanych stołkach w największej izbie skromnego domu, żeby rozegrać partię warcabów. Jednak przez cały czas Juliusza dręczył strach, że nagle do środka wpadną żołnierze.

Zerknął w stronę kuchni. Po swojej szaleńczej ucieczce nie miał okazji porozmawiać z siostrą. Czy grubaska coś widziała?

Na ścianie w kuchni wisiały dwie kaczki. Na stole leżał połeć wołowiny – podstawowy produkt w brytyjskim jadłospisie, a obok stała miska pełna rzecznych ostryg i wiadro karmionych mlekiem i pszenicą ślimaków, które matka usmaży jutro w winie i oliwie. W płytkiej salaterce krzepł twaróg. Obok leżały przyprawy do sosu. Kuchnia, którą Rzymianie przywieźli ze sobą do Brytanii, była naprawdę smakowita: bażanty i daniele; figi i morwy; orzechy włoskie i kasztany; zielona pietruszka, mięta i tymianek;

cebula, rzodkiew, rzepa, soczewica i kapusta. Wyspiarscy Celtowie nauczyli się też przyrządzać ślimaki, perliczki, gołębie, żaby, a nawet popielice.

Matka i córka pracowały w ciszy. Starsza z kobiet, milcząca, ze skwaszoną miną, przygotowywała jedzenie. Gruba dziewczyna raz po raz próbowała uszczknąć jakiś kąsek, a matka, nie zmieniając wyrazu twarzy i nie przerywając wykonywanych czynności, wymierzała jej klapsy. Juliusz obserwował je przez chwilę. Matka zagląda do miski z węgorzami. Klaps. Sprawdziwszy, w jakim stanie są ryby, zabiera się do przygotowywania sosu i mówi coś do córki, a ta podchodzi do szafki. Klaps. Matka zbliża się do okna. Dziewczynie udaje się wcisnąć do ust kawałek świeżego chleba. Klaps. Dziewczyna z zadowoleniem przeżuwa smaczny kęs.

Czy siostra zauważyła żołnierzy? Wie, co się stało z Sekstusem? Powiedziała o wszystkim rodzicom? Juliusz nie miał pojęcia. Podejrzewał, że musi się czegoś domyślać. Kiedy ją o to zapytać?

Ostatnie godziny były straszne. Zgubiwszy pogoń, mógł wreszcie zastanowić się nad swoją sytuacją. Nie przyszło mu jednak do głowy, że to on, a nie Sekstus sprowadził na nich kłopoty. Czy jego przyjaciel trafił do więzienia? Juliusz nie miał odwagi wrócić do warsztatu. A jeśli Sekstus go zdradził? W drodze do domu zachowywał największą ostrożność. Jeżeli Sekstus go wydał, to żołnierze mogli już być na miejscu.

Uznał, że najlepiej zaczekać do rana, a potem poszukać Sekstusa na ulicach prowadzących do amfiteatru. A do tego czasu musi zachowywać się tak, jakby nic się nie stało.

Gdzie jednak ukryć torbę? Najlepiej w jakimś bezpiecznym miejscu, którego nikt nie skojarzy. I z którego łatwo będzie ją potem wydobyć. Szukał gorączkowo w myślach, jednak nic nie przychodziło mu do głowy.

Okrążając szczyt zachodniego wzgórza, mijał małą świątynię Diany i nagle zauważył stojące nieopodal piece garncarskie, a za nimi stos

potłuczonych garnków i innych odpadów, których od dłuższego czasu najwyraźniej nikt nie ruszał. Odczekał, aż znikną inni przechodnie, a potem podszedł do stosu skorup, wsunął pod nie torbę i oddalił się szybkim krokiem. Nikt go nie zauważył. Tego akurat był pewien. Wrócił do domu.

Nadal jednak czuł się niepewnie. A patrząc to na wesołą twarz ojca, to na matkę, wiedział, jaki jest tego powód.

Rufus był zawsze wesoły i skory do śpiewu, natomiast żona stanowiła jego przeciwieństwo. Ni to jasne, ni to siwe włosy nosiła upięte w ciasny kok. Jej szare oczy nigdy nie rozpalały się żywym blaskiem. Twarz, która w pamięci Juliusza zawsze wyglądała tak samo, była biała jak nieupieczone ciasto. Matka była dobrą kobietą i z pewnością kochała ich na swój sposób, ale rzadko się odzywała, a kiedy ojciec rzucał jakiś żart, nigdy się nie śmiała. Jakby z poczucia nudnego, ale utrwalonego obowiązku dźwigała ciężar jakichś okropnych wspomnień.

Celtowie mieli długą pamięć. Od czasów powstania królowej Boudiki przeciwko Rzymianom minęły zaledwie dwa stulecia, a rodzina matki pochodziła z tego samego plemienia co królowa. „Mój dziadek urodził się za panowania cesarza Hadriana, tego, który zbudował mur – mawiała matka. – A jego dziadek urodził się w roku wybuchu wielkiego powstania. Stracił oboje rodziców”. Jej dalecy krewni mieszkający w odległej wiosce nadal uprawiali ziemię tak samo jak ich celtyccy przodkowie i nie mówili ani słowa po łacinie. Nie było dnia, by matka nie rzuciła jakiejś ponurej uwagi. „Wszyscy Rzymianie są tacy sami. Prędzej czy później cię dopadną”. Juliusz słyszał te słowa od dzieciństwa jak litanię.

Stuk! Głośny dźwięk na planszy wyrwał go z zamyślenia. Znów kilka stuknięć i triumfalne uderzenie w stół.

– Zbiłem ci wszystkie piony! – Ojciec uśmiechał się od ucha do ucha. – Co, kobiety chodzą ci po głowie? – Zaczął składać planszę. – Za chwilę

musimy iść – dorzucił nieco poważniej, a potem zniknął w swojej izbie, żeby się przygotować.

Juliusz się wahał. Dzisiejsze spotkanie w świątyni ze znajomymi ojca było ważne. I to bardzo. Musi jakoś zapomnieć o tym, co się wydarzyło, i dobrze wypaść. „Pokaż, że jesteś odpowiedzialnym człowiekiem i chcesz się od nich uczyć. To wystarczy”, poradził wcześniej Rufus.

Juliusz próbował się skupić, ale przychodziło mu to z trudem. Zachował wszystkie możliwe środki ostrożności. Ale jedna rzecz nie dawała mu spokoju.

Torba. Przez cały wieczór nie mógł o niej zapomnieć; myśl, że tam ciągle leży, nie dawała mu spokoju. W pierwszej chwili przestraszył się, że żołnierze mogą po niego przyjść, więc najlepszym posunięciem wydawało mu się pozostawienie torby w miejscu, z którym nikt nie mógłby go powiązać. Teraz jednak przyszło mu do głowy, że żołnierze, podobnie jak całe miasto, przygotowują się do igrzysk, więc jest mało prawdopodobne, że się pojawią. A to znaczyło, że jest bezpieczny, przynajmniej dziś.

No ale torba! Owszem, dobrze ją ukrył. Ale jeśli jakimś cudem władze zechcą uprzątnąć śmieci? Albo jakiś włóczęga grzebiący w odpadkach znajdzie monety? Wyobraźnia wciąż podsuwała mu obraz torby i jej cennej zawartości.

Podjął szybką decyzję. Wymknął się po cichu z domu i ruszył szybkim krokiem na wzgórze z piecami garncarskimi. Nie miał daleko. Wokół prawie nie było ludzi, stos potłuczonych skorup krył się w cieniu. Przez chwilę sądził, że torba przepadła, ale w końcu ją znalazł. Wcisnął ją pod opończę i pobiegł do domu. Ostrożnie otworzył drzwi i od razu poszedł do swojej izby. Kobiety w kuchni nawet go nie zauważyły. Wsunął torbę pod łóżko, gdzie stały też dwie skrzynki z jego dobytkiem. Do jutra będzie tu bezpieczna. Chwilę później czekał już na ojca przy drzwiach.

Juliusz i jego ojciec szli przez miasto. Wieczór był pogodny i gwiaździsty. Ich dom znajdował się niedaleko niższej zachodniej bramy, więc skręcili w prowadzącą od niej szeroką ulicę, która przecinała zachodnie wzgórze i dalej biegła w dół aż do strumienia pomiędzy wzniesieniami.

Juliusz rzadko widział ojca zdenerwowanego, ale teraz wyczuwał jego niepokój.

– Dasz sobie radę – mruknął Rufus bardziej do siebie niż do syna. – Nie sprawisz mi zawodu. – A po chwili dorzucił: – To nie jest zamknięte spotkanie, inaczej nie miałbyś wstępu. – Lekko ścisnął Juliusza za ramię. – Tylko milcz i patrz.

Dotarli do strumienia i przeszli mostkiem na drugi brzeg. Przed sobą mieli pałac gubernatora. Ich cel znajdował się na końcu ulicy po lewej stronie.

W końcu z ciemności wyłonił się samotny budynek. Drzwi z obu stron oświetlały pochodnie. Ojciec westchnął z zadowoleniem.

Rufus był człowiekiem skromnym i spokojnym, ale dwie rzeczy napawały go dumą. Po pierwsze fakt, że jest obywatelem Rzymu.

Civis Romanus sum – jestem rzymskim obywatelem. W pierwszych dekadach rzymskiego panowania niewielu rdzennych wyspiarzy dostąpiło tego zaszczytu. Jednak powoli łagodzono różne obostrzenia, a dziadek Rufusa, mimo że był jedynie Celtem z prowincji, dzięki służbie w pomocniczym regimencie uzyskał upragniony status. Ożenił się z kobietą z Italii, więc Rufus miał prawo twierdzić, że w jego rodzinie płynie również rzymska krew. Gdy Rufus był jeszcze dzieckiem, cesarz Karakalla otworzył furtkę szeroko i od tamtej pory rzymskim obywatelem mógł zostać każdy wolny mieszkaniec cesarstwa. W rezultacie Rufus nie różnił się pod tym względem od skromnych kupców i sklepikarzy z sąsiedztwa. Ale nadal

z dumą powtarzał synowi: „My byliśmy rzymskimi obywatelami dużo wcześniej, pamiętaj o tym”.

Drugi powód do dumy, i to znacznie większej, znajdował się za drzwiami oświetlonymi blaskiem pochodni.

Rufus był członkiem świątynnej loży.

Spośród wszystkich świątyń Londinium, często znacznie większych, najpotężniejsza była świątynia Mitry. Stała pomiędzy dwoma wzgórzami, na wschodnim brzegu małego strumienia w odległości dwustu metrów od posiadłości gubernatora. Niedawno wzniesiony przysadzisty budynek miał prostokątny kształt i zaledwie osiemnaście metrów długości. Wejście znajdowało się od wschodu, po stronie zachodniej była niewielka apsyda z ołtarzem. Pod tym względem świątynia przypominała kościoły chrześcijańskie, w których w owych czasach ołtarze sytuowano przy zachodniej ścianie.

Cesarstwo rzymskie zawsze było tyglem różnych religii, ale w ciągu ostatnich dwustu lat coraz większą popularność zdobywały tajemnicze kulty i religie ze Wschodu, zwłaszcza chrześcijaństwo i kult Mitry.

Mitra – pogromca byka. Perski bóg niebiańskiego światła; kosmiczny wojownik prawości i uczciwości. Juliusz wiedział o nim wszystko. Mitra walczył o prawdę i sprawiedliwość w świecie, w którym – co było cechą wspólną wielu wschodnich religii – równe sobie zło i dobro zwierały się w odwiecznej walce. Zgodnie z legendą krew zabitego przez Mitrę byka przyniosła na ziemię życie i obfitość. Urodziny tego wschodniego boga obchodzono 25 grudnia.

Z Mitrą był związany tajemny kult, a jego wyznawcy przechodzili obrzędy inicjacyjne dostępne jedynie dla wybranych. Jednocześnie na mocy uświęconego rzymskiego zwyczaju składali w świątyni ofiary z małych zwierząt. Wiązał ich też swoisty kodeks honorowy nakazujący prawość,

uczciwość i męstwo. Nie wszyscy mogli zasiadać w loży. Oficerowie i kupcy, wśród których kult był szczególnie popularny, dbali o jego elitarność. Zaledwie siedemdziesiąt osób miało prawo wstępu do świątyni w Londinium. Rufus rzeczywiście mógł czuć się dumny z przynależności do tego ekskluzywnego bractwa.

Chrześcijanie, których liczba szybko rosła, byli zupełnie inni. Juliusz znał kilku, pracowali z nim w dokach, ale jak większość Rzymian uważał ich za żydowską sektę. Poza tym chrześcijaństwo przez ciągłe podkreślanie pokory i nadziei na lepsze życie po śmierci było religią niewolników i biedaków.

Juliusz nigdy wcześniej nie był w tej świątyni. Wyczuwał, że jego dzisiejsza obecność w bractwie stanowi coś w rodzaju sprawdzianu. Weszli do środka, a jemu nie pozostawało nic innego, jak żywić nadzieję, że zda ten egzamin pomyślnie.

Świątynia składała się z nawy środkowej i oddzielonych od niej filarami naw bocznych. Nawa środkowa, długa na piętnaście metrów i szeroka zaledwie na trzy i pół metra, miała drewnianą podłogę. Po bokach stały drewniane ławy. Wskazano im miejsca w ostatnim rzędzie. Juliusz rozglądał się wokół z ciekawością.

Migotliwe światło pochodni nie rozpraszało mroku w nawach bocznych. Do świątyni wchodzili kolejni mężczyźni i zajmowali miejsca w ławkach. Juliusz zauważył, że przyglądają mu się z uwagą, on jednak często nie mógł dostrzec ich twarzy. Na końcu nawy, w apsydzie, pomiędzy dwiema kolumnami stał piękny posąg Mitry. Bóg miał oblicze o wyrazistych rysach, w czym przypominał Apolla, oczy wzniesione ku niebu, a na głowie spiczastą czapkę frygijską. Przed posągiem znajdował się skromny kamienny ołtarz, na którym składano ofiary. W blacie miał wgłębienie, do którego spływała krew.

Świątynia powoli się wypełniała. Gdy przyszedł ostatni członek bractwa, drzwi zamknięto i zaryglowano. Wszyscy siedzieli w milczeniu. Mijały kolejne minuty. Juliusz był ciekaw, co się teraz wydarzy. Wreszcie na końcu świątyni pojawiło się pełgające światło lampy. Coś się poruszyło, dobiegł lekki szelest i z mroków bocznej nawy wyłoniły się dwie postacie. Wyglądały bardzo dziwnie.

Nakrycia głowy niemal całkowicie zasłaniały twarze. Jedna z postaci miała na sobie głowę lwa z grzywą zwisającą do ramion. Juliusz poczuł dreszcz na plecach.

Drugi mężczyzna był dużo wyższy. Przedziwne nakrycie głowy sięgało mu aż do kolan. Zrobione było z setek dużych piór, które szeleściły i skrzypiały cicho, i miało kształt ogromnego czarnego ptaka ze złożonymi skrzydłami i wielkim dziobem. Kruk.

– Czy on jest kapłanem? – spytał Juliusz szeptem.

– Nie, to jeden z nas. Ale prowadzi dzisiejszą ceremonię – odpowiedział Rufus.

Kruk szedł wzdłuż nawy pomiędzy ławkami. Poruszał się powoli, jego ogon ocierał się o kolana mijanych mężczyzn. Co kilka kroków zatrzymywał się i zadawał członkom bractwa rytualne zapewne pytania.

– Kto jest panem światła?

– Mitra.

– Czyja krew użyźnia ziemię?

– Byka, którego zabił Mitra.

– Kim jesteś?

– Sługą.

– Należysz do naszego grona?

– Aż do śmierci.

Doszedłszy do końca nawy, Kruk zaczął wracać. Juliuszowi wydawało się, że jego oczy, patrzące przez dziurki nad dziobem, zwracają się ku niemu ze szczególną uwagą. Przestraszył się, że Kruk zada mu jakieś pytanie, na które nie umiałby odpowiedzieć. Dlatego ucieszył się, gdy mężczyzna, rzuciwszy mu coś w rodzaju pożegnalnego spojrzenia, wrócił do ołtarza.

Ojciec pochylił się nieco, żeby szepnąć mu do ucha, ale jego słowa nie uspokoiły Juliusza:

– To między innymi z nim mamy się dziś spotkać.

Cała ceremonia nie trwała długo. Kruk kilka razy wezwał do modlitwy, Lew podał jakieś ogłoszenia dotyczące członków, a potem uroczystość zamieniła się w swobodne spotkanie towarzyskie. Mężczyźni zbierali się w nawie w małych grupkach.

Juliusz i ojciec trzymali się z tyłu. Stali pośród innych członków bractwa, prostych ludzi jak Rufus i tak samo jak on zadowolonych z przynależności do tego grona. Jednak Juliusz zauważył też kilku znaczących obywateli miasta.

– Bractwo ma w mieście wielkie wpływy – szepnął Rufus z dumą.

Czekali, rozmawiając cicho z tymi, którzy stali najbliżej. Mijały minuty. W końcu Juliusz poczuł, że ojciec trąca go łokciem.

– Idzie – powiedział półgłosem. – Dasz sobie radę – dorzucił nerwowo.

Juliusz spojrzał na koniec nawy.

Mężczyzna przebrany za Kruka miał potężną sylwetkę. Zdjął już kostium, a teraz szedł nawą, witając przybyłych władczym skinieniem głowy. W słabym świetle widać było jego szpakowate włosy, ale dopiero gdy podszedł bliżej, Juliusz zauważył przecinającą policzek bliznę. Ogarnęło go lodowate przerażenie.

Centurion świdrował go wzrokiem. Miał surowe spojrzenie. Juliusz czuł, że krew odpływa mu z twarzy. Teraz już wiedział, dlaczego Kruk przyglądał mu się z taką uwagą. Poznał mnie, przemknęło mu przez głowę. Już po mnie. Nie miał odwagi spojrzeć na ojca, który przedstawił go, śmiejąc się nerwowo.

W pierwszej chwili Juliusz jakby ogłuchł. Czuł jedynie na sobie wzrok centuriona. Dopiero po paru chwilach zorientował się, że żołnierz mówi coś do niego cichym głosem. Opowiadał o spławianiu towarów rzeką i o tym, że potrzebny im jest bystry młodzieniec, który będzie sprowadzał wyroby ceramiczne z wiosek położonych w głębi lądu. Obiecywał dobrą zapłatę. I możliwość prowadzenia handlu na własny rachunek. Czyżby jednak centurion go nie rozpoznał? Juliusz podniósł wzrok.

W osobie centuriona było coś dziwnego. Juliusz wyczuwał to wyraźnie, choć nie umiałby tego nazwać. Potężny mężczyzna patrzył na niego badawczo, ale w jego twardym spojrzeniu – Juliusz był co do tego pewny – kryło się coś jeszcze. Ludzie jego pokroju zajmowali się interesami, nie było w tym nic szczególnego. Legioniści otrzymywali wysoki żołd, więc po przejściu w stan spoczynku centurion z pewnością zamierzał zostać bogatym kupcem, a może nawet posiadaczem ziemskim. Służba w stolicy prowincji miała głównie charakter ceremonialny, czasem zdarzały się jakieś doraźne interwencje. Centurion więc miał czas na zajmowanie się interesami. Słuchając jego słów, Juliusz coraz bardziej utwierdzał się w swoim przekonaniu: szorstki legionista skrywał jakieś tajemnice. Może miały one związek z bractwem świątyni Mitry, a może z czymś innym. Tego Juliusz nie wiedział.

Nieco nerwowo odpowiadał na pytania. Czuł się niepewnie, ale starał się wypaść jak najlepiej. Centurion zachowywał kamienną twarz, a w końcu skinął głową.

– Chyba się nada – powiedział do Rufusa z uśmiechem. – Mam nadzieję, że kiedyś znów go do nas przyprowadzisz.

Rufus aż się zaczerwienił z zadowolenia.

– A jeśli chodzi o wspólne interesy – ciągnął centurion – to wyrażam zgodę. Ale chłopak będzie musiał pracować z moim plenipotentem. – Rozejrzał się niecierpliwie. – Gdzież on jest? A, tam. – Uśmiechnął się znowu. – Poczekajcie tutaj. Przyprowadzę go.

Ruszył w kierunku kilku mężczyzn stojących w cieniu.

Rufus uśmiechnął się szeroko do syna.

– Świetnie ci poszło, chłopcze. Zostałeś przyjęty – szepnął. Wyglądał tak, jakby tego wieczoru spełniło się jego największe marzenie.

Dlatego patrzył ze zdziwieniem na Juliusza, na którego twarzy zamiast radości pojawił się wyraz zaskoczenia i lęku. Co mu się stało?

Gdy tylko centurion się odwrócił, Juliusz zorientował się, kim jest jego pełnomocnik. Przez moment łudził się, że to niemożliwe, ale gdy mężczyźni podeszli bliżej, nie miał już żadnych wątpliwości. Oto w słabym świetle świątynnych lampek stał przed nim, z niebieskawą twarzą wykrzywioną uśmiechem, kapitan, mąż Martiny.

Gdy wracali ciemnymi ulicami do domu, na niebie świecił blady półksiężyc. Rufus był w wesołym nastroju. Nie ma to, mówił do siebie w myślach, jak ojcowska duma. Już dawno przestał wiązać nadzieje z córką, ale patrząc teraz na syna, naprawdę mógł sobie pogratulować.

Centurion zatrudnił chłopaka. Juliusz spodobał się też kapitanowi.

– Jesteś ustawiony do końca życia – oznajmił Rufus synowi. I wcale mu nie przeszkadzało, że młodzieniec jest nieco zamyślony.

Tak naprawdę Juliusz miał mętlik w głowie. Był wdzięczny bogom, że centurion go nie rozpoznał. Ale co z kapitanem? Podejrzewał, że właśnie wrócił z kolejnego rejsu, ale nie śmiał go o to zapytać. Zdążył wcześniej

zajrzeć do domu? Znalazł liścik? A może Juliusz powinien ostrzec Martinę, żeby zniszczyła kompromitujący dowód? Niestety, na to było za późno. Kapitan był już zapewne w drodze do domu.

Ale przede wszystkim czy powinien wdawać się w romans z żoną człowieka, od którego zależała jego przyszłość w interesach? Nawet gdyby wszystko dało się ukryć? Już sam ten pomysł wydał mu się absurdalny.

Jednocześnie wspomnienie jej ciała, jej zmysłowego, rytmicznego kroku nie dawało mu spokoju.

Gdy wrócili, w całym domu było ciemno. Matka i siostra już spały. Ojciec życzył synowi serdecznie dobrej nocy i też udał się na spoczynek. Przez jakiś czas Juliusz rozmyślał nad wydarzeniami minionego dnia, ale nie doszedł do żadnych wniosków. Poczuł zmęczenie, więc też postanowił pójść spać.

Z oliwną lampką w ręku wszedł do swojej izby i usiadł na łóżku. Rozebrał się. Ale zanim się położył, ziewnął i sięgnął pod pryczę, chcąc dotknąć torby. Zmarszczył brwi.

Zaniepokojony zerwał się z łóżka i klęknął na podłodze. Odsunął na bok skrzynki. Postawił obok siebie lampkę i spojrzał z niedowierzaniem.

Torba zniknęła.

W ciemności sunęła cicho jakaś postać. Na południowym brzegu rzeki było niewiele świateł. Mężczyzna przeszedł przez most i kierując się dalej na południe, minął duży zajazd dla podróżnych, łaźnię, a potem skręcił w prawo w wąski zaułek. Po południowej stronie rzeki, nie tak jak w Londinium, jedynie główna ulica była utwardzona tłuczniem. Dlatego stopy mężczyzny, obute w skórzane sandały, nie wydawały żadnego dźwięku na piaszczystej nawierzchni. Mężczyzna naciągnął opończę na głowę.

Zatrzymał się przed niewielkim domem. Słabe światło księżyca odbijało się od białych ścian. Wiedział, że frontowe drzwi są zamknięte na skobel. Okna miały pozamykane okiennice. Mężczyzna przemknął się na małe podwórko z tyłu.

Z budy wyskoczył pies i warknął, ale poznawszy swojego pana, uspokoił się. Przez dłuższą chwilę zakapturzony człowiek stał w milczeniu obok psa, chcąc się upewnić, że nikt się nie obudził. Potem wszedł na beczkę z deszczówką i z zadziwiającą zręcznością wspiął się na mur biegnący do narożnika domu. Ukośne promienie księżyca rysowały ciemne linie na krawędziach terakotowych dachówek, tworząc niesamowity geometryczny wzór. Mężczyzna przeszedł zwinnie po murze i zbliżył się do ciemnego kwadratu okna bez okiennic.

Kapitan wślizgnął się po cichu do swojego domu i podszedł do drzwi izby, w której spała Martina.

Podejrzewał ją od ponad miesiąca. Nie umiałby nawet powiedzieć dlaczego, ale w zachowaniu żony było coś dziwnego. Często chodziła zamyślona, z mniejszą ochotą spełniała małżeński obowiązek. Niby nic poważnego, ale… Ktoś inny na jego miejscu pewnie by to zlekceważył. Jednak matka kapitana była Greczynką i to po niej odziedziczył gniewną, pełną dumy zaborczość, która dawała o sobie znać we wszystkich kontaktach z ludźmi. „Na morzu jest łagodny jak baranek – mawiali ci, którzy z nim żeglowali. – Ale jeśli ktoś go oszuka, to krew zostanie przelana”.

Kapitan nie sądził, że żona go zdradziła. Jeszcze nie. Postanowił jednak upewnić się, więc zastosował starą sztuczkę wszystkich mężów: udawał, że wypływa w rejs.

Ostrożnie otworzył drzwi do izby.

Była sama. Łóżko oświetlało słabe światło księżyca. Jedna pierś Martiny była odkryta. Spojrzał na nią i się uśmiechnął. Świetnie. Nie oszukuje go. Patrzył na jej spokojny oddech. W pokoju nie było żadnych śladów obecności innego mężczyzny. Nie ma się czym martwić. Krępy kapitan obszedł pokój bezszelestnie jak kot, zerkając co kilka kroków na żonę. Nie wiedział jeszcze, czy sprawić jej niespodziankę i wślizgnąć się do łóżka, czy raczej wymknąć się po cichu i sprawdzić ją następnej nocy. Rozważając obie możliwości, zauważył na nocnym stoliku kawałek pergaminu. Wziął go do ręki i podszedł do okna.

Księżyc świecił wystarczająco jasno, by kapitan mógł odczytać list od Juliusza. Podpis nie zdradzał tożsamości autora, ale nie miało to znaczenia, bo podawał datę i miejsce schadzki. Kapitan odłożył liścik na miejsce i wyszedł z domu.

Choć raz matka Juliusza zdobyła się na stanowcze działanie.

Grubaska nie widziała żołnierzy. Nawet się nie obudziła, gdy przyszli. A potem, nie znalazłszy nikogo w warsztacie Sekstusa, poczłapała do domu. I tak była spóźniona. I właśnie to spóźnienie w połączeniu z dziwnym zachowaniem Juliusza wzbudziło matczyną czujność. Kilka klapsów wystarczyło, by córka wszystko wyznała: brat i ten drugi mężczyzna kazali jej wypatrywać żołnierzy na ulicy. Kobieta była już teraz pewna.

– Ten Sekstus wpakował go w tarapaty – mruknęła do siebie.

Dlatego gdy tylko Juliusz i Rufus wyszli z domu, przeszukała pokój syna. Od razu znalazła torbę wraz z przerażającą zawartością. Przez dłuższą chwilę nie mogła się otrząsnąć z szoku. Ale zaraz potem stwierdziła:

– Musimy się tego pozbyć.

Ale jak?

Chociaż raz ucieszyła się, że ma grubą córkę.

– Włóż to pod odzienie – rozkazała. Włożyła opończę i wyszły razem na ulicę.

W pierwszej chwili chciała wrzucić torbę do rzeki, ale to nie było takie proste. Na brzegu zawsze kręcili się ludzie. Poprowadziła więc córkę główną ulicą do zachodniej bramy. Bramy miasta powinny być zamykane o zmierzchu, jednak w ciepłe letnie noce nie przestrzegano tej zasady. Młodzi ludzie lubili spacerować po okolicy, nikt zatem nie zwrócił najmniejszej uwagi na kobietę z grubą dziewczyną. Nie uszły jednak daleko. Droga biegła przez mostek do kapliczki, gdzie mieszkała bogini wody, ale kręciło się tam kilka par. Po obu stronach traktu, tak jak przy innych bramach, znajdował się cmentarz.

– Oddaj mi torbę i wracaj – rozkazała matka. – I ani słowa nikomu, zwłaszcza Juliuszowi. Rozumiesz?

Odprowadziwszy córkę wzrokiem, skręciła na cmentarz. Szukała otwartego grobu, ale żadnego nie zauważyła. Doszła do krańca cmentarza, minęła górną zachodnią bramę i podążyła ścieżką biegnącą równolegle do miejskich murów.

Było tu cicho i spokojnie. Mur, przedzielony poziomymi czerwonymi pasami, sprawiał dość upiorne wrażenie. W odległości pięciu metrów od muru szeroki cień głębokiej fosy wyglądał jak rozciągnięta na ziemi czarna wstęga. Nie zauważyła strażników, a zatem nikt jej nie obserwował. Wolno okrążyła narożnik fortyfikacji i znalazła się po północnej stronie murów. Minęła zamkniętą bramę. Jakieś sześćset metrów dalej zobaczyła to, czego szukała.

Mała rzeczka pomiędzy dwoma wzgórzami rozgałęziała się w górnym biegu na kilka odnóg i w trzech czy czterech miejscach te niewielkie strumyki przepływały pod północnym murem specjalnie wydrążonymi kanałami. Wejście do każdego kanału zastawione było kratą. Kobieta

chciała wrzucić torbę do jednego z dopływów, ale przypomniała sobie, że kraty czyszczono regularnie, a kanały pogłębiano. Jednak nieco dalej zauważyła, że do biegnącej wzdłuż muru fosy ktoś wrzucił wielką kupę śmieci. O stan fosy nikt nie dbał, nigdy nie widziała, żeby uprzątano z niej brudy.

Rozejrzała się. Upewniwszy się, że nikt jej nie widzi, wrzuciła torbę. Usłyszała, jak ciężar uderza o dno obok innych odpadków.

Ruszyła dalej jakby nigdy nic. Dotarła do głównej północnej bramy, która była otwarta, i niezauważona weszła do miasta.

Juliusz patrzył na długą linię murów. Bezradnie opuścił ramiona, kręcąc głową. Poszukiwania okazały się bezowocne. Ponad krawędzią muru, na zboczu zachodniego wzgórza, widział krzywiznę najwyższych pięter amfiteatru. Ranek był pogodny, bezwietrzny i bezchmurny. W wielkiej czaszy amfiteatru będzie dziś gorąco.

Gdzie są te pieniądze? Wyszedł z domu o świcie, ale nadal nie miał najmniejszego pojęcia, co matka zrobiła z torbą.

A może to grubaska go okłamała? Chyba jednak nie. Była za bardzo przerażona, gdy w środku nocy podkradł się do jej łóżka, zasłonił dłonią usta i przyłożył nóż do szyi. Powiedziała, że matka wyrzuciła torbę przy zachodniej ścianie murów, ale jego trzygodzinne poszukiwania okazały się daremne. Wyszedł z miasta przez zachodnią bramę. Zajrzał do wszystkich zakamarków. Musiał jednak wracać. Miasto powoli się budziło. Niedługo ludzie zaczną tłumnie zdążać do amfiteatru. A on był bez grosza.

I co ma powiedzieć Sekstusowi? Wcześniej zamierzał poszukać go po drodze na igrzyska, ale teraz wcale nie chciał się na niego natknąć. Czy Sekstus mu uwierzy? A może będzie go podejrzewał o kradzież torby? Trudno powiedzieć. Nie uśmiechał mu się też powrót do domu, wolał nie stanąć oko w oko z matką.

– Najlepiej będzie, jak przeczekam do wieczora w jakimś ukryciu – mruknął do siebie. Może potem wszyscy będą w lepszym nastroju.

Ale co z dziewczyną? Obiecał jej prezent, a teraz nie miał pieniędzy. Jak z tego wybrnąć? Nic nie przychodziło mu do głowy. Poza tym cała ta sprawa była zbyt ryzykowna.

– Zresztą ona i tak pewnie nie przyjdzie na most – przekonywał sam siebie.

Zmarkotniał. Nie mając nic lepszego do roboty, usiadł na przydrożnym kamieniu, żeby się zastanowić.

Mijały minuty.

– Jestem bez grosza, lepiej dać sobie z tym spokój – pomrukiwał. Ale nadal nie umiał podjąć decyzji. A powoli zaczynała w nim kiełkować zupełnie inna myśl.

A jeśli dziewczyna przyjdzie na most? Całkiem możliwe, że ukryła gdzieś list. Kapitan zapewne niczego nie podejrzewa. Ona zaryzykuje, a on się nie pojawi? Naprawdę chce ją zawieść?

Pokręcił głową.

– Jeśli ja jej nie dostanę, to jakiś inny na pewno ją zdobędzie – rzucił półgłosem. Chociażby Sekstus.

Przypomniał sobie jej ciało. Pragnął jej. Wyobraził sobie, że czeka na niego sama na moście, i nagle ujrzał wszystko w zupełnie innym świetle. Serce zaczęło mu żywiej bić.

Każdy pięściarz w porcie wiedział, że Juliusz, nawet gdy przeciwnik powali go na deski, zawsze wstaje znowu do walki. Może było to niemądre, może wręcz nie miało sensu, ale za każdym razem jego wrodzony optymizm budził się tak łatwo i naturalnie jak wiosenne pąki.

Nie potrzebował wiele czasu, żeby się otrząsnąć. A po dłuższej chwili skinął głową z lekkim uśmiechem. W końcu uśmiechnął się od ucha do

ucha i wstał z kamienia.

Szybkim krokiem ruszył w kierunku bramy.

Martina wstała z samego rana. Sprzątnęła izbę, wyszczotkowała swoje krótkie włosy, umyła się i natarła skórę pachnidłem. Zanim się ubrała, uważnie obejrzała swoje ciało. Dotknęła drobnych, miękkich piersi, przesunęła dłońmi po jędrnych udach. Zadowolona zaczęła się ubierać. Włożyła nowe sandały. Doskonale wiedziała, że skóra wydziela delikatną woń, która w połączeniu z naturalnym zapachem jej ciała przyciąga mężczyzn. Na obu ramionach przypięła broszki z brązu. Zauważyła przy tym, że serce jej mocno bije, co dowodziło – jeśli jeszcze miała w tej kwestii jakieś wątpliwości – że chce się dziś kochać z Juliuszem.

Zawinęła w ściereczkę kilka słodkich ciastek, żeby nie zgłodnieć przez całe przedpołudnie, wyszła z domu i dołączyła do sąsiadów zmierzających przez most na igrzyska.

Od dawna nie czuła w sobie takiej lekkości.

Towarzyszyło mu dziwne wrażenie, że ma miasto tylko dla siebie. Był późny ranek, wydawało się, że wszyscy mieszkańcy są na igrzyskach. Od czasu do czasu z amfiteatru dobiegał donośny krzyk, ale poza tym brukowane ulice były tak ciche, że słyszał śpiew ptaków. Wędrował uliczkami w radosnym nastroju, z piekarni pachniało świeżo upieczonym chlebem, a z jakiejś niedalekiej kuchni napływała kusząca woń jedzenia. Po drodze mijał piękne domy bogaczy. Niektóre miały prywatne łaźnie, do wielu przylegały ogrodzone murem ogrody z drzewkami wiśni, morwami i jabłoniami.

Rozglądał się przez cały czas. W południe miał zobaczyć się z Martiną, a przecież obiecał jej prezent. Nie chciał iść na spotkanie z pustymi rękami.

Pozostawała mu jedynie kradzież.

Na pewno trafi się jakaś okazja. Wszyscy są w amfiteatrze. Wystarczy chwila, żeby wślizgnąć się do niepilnowanego domu i zabrać stamtąd jakąś błyskotkę. Nie lubił kraść, ale nie miał innego wyjścia.

Jednak nie było to takie łatwe, jak się spodziewał. Zakradł się do kilku skromnych domów, ale nie znalazł w nich nic interesującego. Domów bogaczy pilnowała służba i groźne psy. Dwa razy musiał salwować się ucieczką.

Nieco zniechęcony, ruszył w kierunku przystani. Spróbował po zachodniej stronie, lecz bez powodzenia. Minął most. Wszystkie składy we wschodniej części były pozamykane. Przeszedł obok małego targu rybnego, gdzie stragany opustoszały już o świcie. Po chwili znalazł się obok znacznie większego budynku. Zatrzymał się.

Cesarski magazyn. W odróżnieniu od innych był solidnie zbudowany z kamienia. Dzień i noc pilnowali go żołnierze. Trafiały tu towary przeznaczone dla gubernatora, garnizonu wojskowego i władz miejskich. Czasem były to bardzo cenne wyroby. Trzy dni wcześniej Juliusz pomagał przy rozładunku statku, który przywiózł kilka wielkich, oficjalnie zapieczętowanych skrzyń ze złotymi i srebrnymi monetami – miał to być żołd dla wojska. Każda skrzynia była niesamowicie ciężka, więc przeniesienie ich na nabrzeże zabrało tragarzom dużo czasu. Dla Juliusza, który umiał ocenić wartość takiego frachtu, był to najlepszy dowód potęgi i zasobności państwa. Niekiedy wydawało się, że cesarstwo ogarnia chaos, ale fundamentalna wielkość Wiecznego Miasta i jego dominiów wciąż mogła budzić podziw. Uśmiechnął się do siebie. Gdybym mógł zajrzeć do środka choć na chwilę, pomyślał, skończyłyby się moje problemy. Jednak wczoraj niewiele brakowało, a wpadłby w łapy żołnierzy, więc na razie wolał trzymać się z daleka od państwowego magazynu.

Ruszył szeroką ulicą w kierunku forum. No cóż, będzie musiał obyć się bez prezentu. Bez żadnej wyraźnej przyczyny skręcił w aleję prowadzącą do pałacu gubernatora. Bramy pilnowali dwaj strażnicy. Poza tym ulica była pusta.

Nagle zaświtała mu myśl. Pomysł był tak prosty i tak zuchwały, że aż szalony. Ale im dłużej go rozważał, tym bardziej był przekonany, że może się udać.

– Najważniejsze to wybrać odpowiedni moment – mruknął, chcąc dodać sobie odwagi.

Pałac gubernatora, w odróżnieniu od domów, do których Juliusz zaglądał wcześniej, był budynkiem publicznym. Na pewno cała służba, z wyjątkiem strażników, wymknęła się, żeby obejrzeć igrzyska. A nawet jeśli ktoś mnie zauważy, pomyślał, to jakoś się wywinę, powiem na przykład, że przyszedłem do gubernatora ze skargą. Plan wyglądał tak sensownie, że aż się uśmiechnął. Poza tym nikomu nie przyjdzie do głowy, że chcę okraść gubernatora. Skręcił za róg, żeby lepiej rozpoznać teren.

Od strony ulicy pałac był ogrodzony murem z wapienia. Na dziedziniec prowadziła bogato zdobiona brama. Przed nią, na marmurowym postumencie, umieszczono kamienny słup wielkości mężczyzny. Wyznaczał punkt, od którego mierzono odległość do wszystkich najważniejszych miejsc na południu wyspy.

Strażnik stał przed kamieniem, opierając się o niego plecami. Co kilka chwili ruszał wolnym krokiem w głąb pustej ulicy, zawracał i znów odpoczywał.

Juliusz obserwował go uważnie. Dwadzieścia pięć kroków w jedną stronę, krótka przerwa, dwadzieścia pięć w drugą. Policzył drugi i trzeci raz, chcąc się upewnić. Zawsze tak samo. Ocenił odległość. Powinien zdążyć.

Gdy tylko strażnik odwrócił się plecami, Juliusz wychylił się zza rogu i wykorzystując słup jako osłonę, podbiegł cicho do bramy i zniknął w jej cieniu, zanim żołnierz zdążył zawrócić.

Po chwili był już na dziedzińcu. Po przeciwnej stronie, pod portykiem, znajdowało się główne wejście do rezydencji. Drzwi były otwarte. Juliusz wszedł śmiało do środka. Znalazł się w innym świecie.

Chyba żadna inna cywilizacja nie wymyśliła lepszych domów dla bogaczy od rzymskich willi i miejskich rezydencji. Posiadłość gubernatora była tego najlepszym przykładem. Wysokie atrium z sadzawką wprowadzało atmosferę majestatycznego spokoju. Hypocaustum, skomplikowany system ogrzewania podłogowego, zapewniało w zimie ciepło. Kamień i marmur dawały latem ochłodę.

Podłogi, tak jak w wielu innych bogatych domach w Londinium, pokrywały mozaiki. Jedna przedstawiała Bachusa, boga wina, inna lwa, hol zdobiły delfiny, a wszędzie wiły się misterne wzory geometryczne.

Rozejrzawszy się z podziwem po reprezentacyjnych komnatach, Juliusz skierował się szybko do mniejszych pomieszczeń, bardziej kameralnych, ale równie pięknych. Ściany były tu pokryte płycinami w kolorach ochry, czerwieni i różnych odcieni zieleni, a te najniżej do złudzenia przypominały marmur.

Juliusz wiedział, czego szukać. Jakiegoś drobiazgu. Widok kosztownej biżuterii u żony marynarza wzbudziłby podejrzenia. Nie, to musi być coś prostego, skromnego. I na tyle małego, żeby właściciele uznali przedmiot za zgubiony.

Dość szybko znalazł odpowiednią rzecz. W jednej z sypialni zauważył na stoliku lustro z polerowanego brązu, srebrne szczotki do włosów i trzy broszki wysadzane szlachetnymi kamieniami. Był tam też piękny naszyjnik z oprawionych w złoto nieszlifowanych szmaragdów. Wiedział, że

szmaragdy pochodzą z Egiptu. Ogarnęła go pokusa, żeby ukraść naszyjnik. Nie dałby rady sprzedać kamieni – zanadto rzucały się w oczy – ale mógłby przetopić złoto. Jednak po chwili zrezygnował. Szkoda mu było niszczyć taką piękną biżuterię.

Tuż obok leżało coś w sam raz dla niego: prosta złota bransoletka bez żadnych znaków szczególnych. Takich bransoletek były w Londinium setki. Prezent w sam raz dla Martiny. Schował ją i szybko wyszedł.

W całym domu panowała cisza, na dziedzińcu nie było żywego ducha. Juliusz ruszył ku bramie, trzymając się jak najbliżej muru. Teraz pozostało mu jedynie minąć strażnika, który cały czas patrolował ulicę. Oby tylko nie przyszło mu do głowy zajrzeć na dziedziniec, modlił się w duchu. Stanął po wewnętrznej stronie bramy. Widział stąd plecy strażnika opartego o kamienny słup. Na ulicy nadal nie było nikogo. Zaczekał, aż strażnik odejdzie w lewą stronę, w kierunku strumienia. Wybiegł z bramy, skręcając w prawo.

I zastosował sprytną sztuczkę. Po przebiegnięciu kilku metrów zatrzymał się, odwrócił i tak szybko, jak tylko mógł, zaczął iść tyłem ze wzrokiem utkwionym w oddalającego się strażnika. Pięć, dziesięć, piętnaście szybkich kroków. I wtedy strażnik z nieznanych powodów odwrócił się wcześniej. Juliusz, zamiast uciekać, ruszył ku niemu, jakby dopiero teraz chciał podejść do bramy. Żołnierz spojrzał na niego ze zdziwieniem, nie rozumiejąc, skąd przybysz wyrósł nagle na ulicy, ale nie poświęcał temu większej uwagi. Mężczyźni minęli się obojętnie, pozdrawiając się skinieniem głowy. Po kilku minutach Juliusz był już w drodze na most.

Ciekawe, czy dziewczyna przyjdzie.

Sekstus szedł szeroką ulicą prowadzącą od forum do mostu. Miał ściągnięte brwi, a fakt, że nie udało mu się znaleźć Juliusza w amfiteatrze, nie

poprawił mu nastroju.

Czyżby jego młody przyjaciel go unikał? Nie przyszłoby mu to do głowy, gdyby nie uwaga, którą przypadkowo usłyszał poprzedniego dnia. Kiedy żołnierze wdarli się do jego domu, a potem wbiegli na podwórko, zorientował się, że musieli zauważyć Juliusza. Na szczęście przyjacielowi udało się uciec. A żołnierze nie zdążyli mu się dokładnie przyjrzeć. Jednak po kilku minutach podsłuchał rozmowę dwóch legionistów, którzy w sąsiedniej izbie przeszukiwali jego łóżko i pościel.

– Nic tu nie ma – burknął jeden z nich. – Ktoś nas nabrał. Wysłał list, bo może chciał się na tym typku zemścić.

– A ten młodszy? To on nam uciekł?

– Może tak, a może nie. Ale jest młody. Z szacownej rodziny. Jeśli ktoś naprawdę fałszuje monety, to raczej ten cieśla.

Młody. Z szacownej rodziny. Z całą pewnością chodziło im o Juliusza. Ten głupiec musiał się czymś zdradzić. Sekstus zaklął.

„Jeśli się do niego dobiorą – jęknął w duchu – to zacznie sypać. Będę skończony”.

Poprzedniego wieczoru nie odważył się pójść do domu Juliusza z obawy, że jest śledzony. Miał jednak nadzieję, że spotka go dziś w amfiteatrze. Ale przyjaciel nie pokazał się i to go poważnie zaniepokoiło. Czyżby wpadł w łapy żołnierzy? Wszystko im wyśpiewał? Rankiem zakradł się pod dom Juliusza, ale w środku nie było nikogo. Co to ma znaczyć? Licząc, że Juliusz poszedł do warsztatu, wrócił do siebie, a potem zajrzał na rynek. Teraz pozostawało mu jedynie powęszyć na nabrzeżu.

Nagle go zobaczył, zaledwie w odległości stu metrów. Młodzieniec najwyraźniej zmierzał na most. Sekstus ruszył za nim szybkim krokiem. Juliusz był tak zatopiony we własnych myślach, że zauważył przyjaciela dopiero, gdy ten znalazł się tuż za nim. Odwrócił się i twarz mu stężała.

Wzbudziło to czujność Sekstusa.

– Wszystko w porządku? – spytał.

Juliusz zawahał się, a potem z ociąganiem opowiedział mu o wszystkim.

Sekstus nie uwierzył w ani jedno słowo. Zawsze powtarzał z dumą, że jeszcze nikomu nie udało się wystrychnąć go na dudka. Ta historia brzmiała zupełnie nieprawdopodobnie. A do tego miał inne mocne poszlaki. Juliusz go unikał. Pieniądze zniknęły. Nasuwały się jedynie dwa wyjaśnienia. Albo Juliusz ukradł monety, albo go zdradził, a wtedy torba będzie stanowiła dowód w sądzie. Juliusz uniknie kary, zeznając przeciwko niemu.

Słuchając nieporadnych wyjaśnień, Sekstus zachowywał kamienną twarz. Nie odezwał się ani słowem. Na koniec oznajmił jedynie, że Juliusz jest podłym kłamcą.

Postanowił, że nie będzie się z nim cackał.

– Wyśpiewałeś im wszystko? – spytał bez ogródek.

– Ależ skąd!

Sekstus się zastanawiał. Prędzej czy później i tak się wszystkiego dowie. Wyciągnął nóż zza pasa.

– Do zachodu słońca pieniądze mają się znaleźć – powiedział ze spokojem. – Albo cię zabiję.

Odwrócił się na pięcie i odszedł.

Tuż przed południem na arenę wprowadzono gladiatora i niedźwiedzia. Gladiator sprawnie posługiwał się siecią. Stawiano dwa do jednego, że pokona bestię. Jednak po południu miał stoczyć walkę z drugim gladiatorem, wielokrotnym zwycięzcą, i w tym starciu stawiano pięć do jednego, że polegnie. Ktoś, kto obstawił w zakładach jego dwie wygrane, mógł zgarnąć dwudziestokrotność stawki. Najpierw oprowadzono po arenie niedźwiedzia. Widzowie byli w wesołych nastrojach. Napięcie i podniecenie rosły, gdy pojawiała się krew.

Martina podniosła się szybko ze swojego miejsca. Po drugiej stronie areny, w loży gubernatora i w sąsiednich rzędach, widziała mężczyzn w togach i kobiety w długich jedwabnych sukniach, z włosami upiętymi w misterne fryzury. Idąc ku schodom, czuła dreszcz podniecenia.

Może i zajmują najlepsze trybuny, pomyślała, ale żadna nie dostanie dziś tego co ja.

Po kilku chwilach wyszła z mrocznego tunelu na zalaną słońcem ulicę. Ruszyła w kierunku forum. Nie zauważyła kapitana, który wyłonił się z zacienionej bramy i podążył za nią.

Juliusz czekał. Zatrzymał się przy jednym z dwóch drewnianych słupów wyznaczających północny koniec mostu. Dochodziło południe.

Rozmowa z Sekstusem zaniepokoiła go. Wiedział, że przyjaciel nie rzuca słów na wiatr, ale jak on ma odzyskać torbę? Może matka zlituje się, gdy powie jej o groźbach Sekstusa? Mało prawdopodobne. Na razie jednak postanowił się tym nie martwić. Miał ważniejsze sprawy na głowie.

Z amfiteatru rozległy się okrzyki. Dźwięczała w nich nuta pogardy, co oznaczało, że zwierzę miało przewagę nad człowiekiem.

Juliusz spojrzał w kierunku ulicy. Dziewczyna niedługo powinna się pojawić. Na razie ulica była pusta, nabrzeże też. Czuł bicie własnego serca.

– Jeśli ona przyjdzie… – mruknął, ale nie dokończył.

Był pewien, że jeśli się dziś spotkają, to ją zdobędzie. Zadrżał z podniecenia. A mimo to gdzieś w środku denerwował się, i co dziwniejsze, miał cichą nadzieję, że Martina jednak się nie pojawi.

Mijały minuty. Dziewczyna nie przychodziła. Zaczynał godzić się z myślą, że dziś się nie spotkają. Może to i lepiej. Nagle dostrzegł ruch na nabrzeżu.

Nic specjalnego, kilku żołnierzy i wóz zaprzężony w osła. Patrzył na nich obojętnie. Byli coraz bliżej. Przemknęło mu przez myśl, że wóz musi

być ciężki, bo osioł potknął się i nie chciał dalej iść. Ale przecież osły to uparte zwierzęta. Zerknął ku wylotowi ulicy. Martina nadal nie nadchodziła.

Żołnierze byli dwieście metrów od niego. Jeden prowadził osła, dwóch szło z tyłu. Juliusz stał za drewnianym filarem, więc nie dostrzegli go. Ale on widział ich ukryte pod hełmami twarze. Jedna z nich wydała mu się znajoma.

Po chwili skojarzył. Żołnierzem zamykającym pochód był nie kto inny jak jego znajomy z poprzedniego dnia. Centurion. Spojrzał na niego z ciekawością. Z jakiego powodu centurion eskortuje zwykłą furmankę z osłem, i to w dodatku podczas igrzysk?

Wóz przykryto kawałkiem płótna. Lecz jeden róg obluzował się i Juliusz zobaczył wystającą szyjkę amfory. Żołnierze przewozili zapasy z państwowego magazynu do fortu. Pewnie wieczorem w koszarach odbędzie się uczta. Wózek skręcił w uliczkę pnącą się na wzgórze.

Wrócił myślami do Martiny. Ogarnęło go pożądanie. Gdzie ta dziewczyna się podziewa?

Nagle coś się wydarzyło. Na pierwszy rzut oka nic znaczącego. Gdy wóz skręcił w wąski zaułek, jedno z kół podskoczyło na wyboju i na ziemię wypadł maleńki przedmiot. Przez chwilę leżał na piasku. Jeden z żołnierzy podniósł go pospiesznie i wsunął pod plandekę. Jednak Juliusz zdążył zauważyć, że przedmiot zabłysł w promieniach słońca matowym blaskiem. A centurion rozejrzał się szybko, czy nikt ich nie widzi. Juliusz był pewien, że na jego twarzy malują się dwa łatwo rozpoznawalne uczucia: strach i świadomość przewiny. Bo z wózka wypadła przed chwilą złota moneta.

Złoto. Na wózku musiały być jego całe worki. Nic dziwnego, że osioł się potykał. Ale dlaczego żołnierze wiozą ukradkiem złoto opustoszałymi uliczkami miasta? Nasuwająca się odpowiedź była tak nieprawdopodobna,

że Juliuszowi trudno było ją przyjąć. Ale żadne inne wyjaśnienie nie było możliwe. Żołnierze ukradli złoto.

Stał nieruchomo, dopóki wózek nie zniknął mu z oczu. Przed sobą miał pustą ulicę – ani śladu dziewczyny. Nagle oblała go fala chłodu, myśli kłębiły mu się w głowie. Po chwili ruszył w kierunku zaułka.

Śledził ich, zachowując bezpieczną odległość. Przeskakiwał od jednego rogu do drugiego, podążając za nimi krętą trasą. Najwyraźniej starali się, żeby nikt ich nie zauważył.

Kilka razy się zawahał. Jeśli żołnierze ukradli złoto, to wiadomo, co zrobią, gdy zobaczą, że ich śledzi. Ale w głowie zaczął mu się rysować pewien plan. Na pewno żołnierze zamierzają ukryć worki. Gdyby udało mu się poznać kryjówkę, mógłby później potajemnie do niej zajrzeć. Wystarczyłaby jedna sakwa, żeby udobruchać Sekstusa. Już wyobrażał sobie uszczęśliwioną minę przyjaciela. Uderzyła go jeszcze jedna myśl. Uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Po co fałszować pieniądze, kiedy ma się prawdziwe? – zachichotał. A będąc posiadaczem takiego bogactwa, mógłby kupić Martinie wszystko.

Trasa, którą wybrali żołnierze, prowadziła wąskimi uliczkami na zboczu wschodniego wzgórza. Znalazłszy się przy jednej z dwóch głównych arterii przecinających miasto, mały konwój skręcił w lewo w wąską alejkę.

– Idą na zachód – mruknął do siebie Juliusz. – Ale dokąd?

Dla zachowania większej ostrożności postanowił pójść główną ulicą, licząc, że uda mu się namierzyć wóz przy kolejnych przecznicach.

Posuwał się równo z konwojem do pochyłości pomiędzy wzgórzami, gdzie wóz wyjechał na główną ulicę. Juliusz zatrzymał się, nie chcąc, żeby go zauważono. Żołnierze przeszli na drugą stronę i ruszyli w górę po przeciwległym zboczu. Nad nimi wyłaniała się potężna sylwetka amfiteatru. Nagle konwój skręcił w wąską uliczkę po lewej stronie

i zniknął. Juliusz rzucił się biegiem, bojąc się, że straci ich z oczu. Prawie ich doganiał.

I właśnie w tej chwili zobaczył Martinę.

Schodziła ze wzgórza. Poruszała się tym swoim kołyszącym krokiem. Uśmiechała się sama do siebie. Była w odległości dwustu metrów. Nie widziała go.

Stanął zaskoczony. A więc jednak postanowiła przyjść na schadzkę. Serce zabiło mu szybciej. Gdy na nią patrzył, jego wszystkie wątpliwości znikały. Jest taka piękna, myślał. I pragnie mnie. Może nawet mnie kocha. Przepłynęła przez niego fala radości i podniecenia. Miał wrażenie, że dotyka jej skóry, czuje zapach jej ciała. Najchętniej wybiegłby jej na spotkanie.

Ale jeśli to zrobi, straci cenny czas. Lada chwila wóz zniknie w labiryncie zaułków i podwórek. A on pożegna się ze złotem.

– Dziewczyna może poczekać – mruknął do siebie. – A złoto nie.

Wskoczył do najbliższej bramy.

Ostrożnie mijał jedną przecznicę za drugą, kierując się na zachód. Dotarł do eleganckiej ulicy z kolumnadą po jednej stronie. Pusto. Przeszedł na drugą stronę. Zobaczył wóz i osła w wąskiej alejce biegnącej obok świątyni Diany.

Nikt nie pilnował furmanki. Ani śladu żołnierzy. Czekał, schowany za rogiem. Nikt nie przychodził. Czyżby żołnierze porzucili cenny ładunek? To niemożliwe. Rozejrzał się. Przy uliczce ciągnęły się małe podwórka, warsztaty i składziki. Mogli być w każdym z nich. Zdążyli wyładować złoto czy był to jedynie krótki przystanek? Wciąż nikt się nie pojawiał.

Jeśli zabrali worki, rozważał w myślach, powinienem pomyszkować w okolicy, może gdzieś ich zobaczę. Dalsze czekanie nie ma sensu.

Ostrożnie podszedł do wózka.

Rozejrzał się. Żywego ducha. Podniósł plandekę i zajrzał pod spód.

Wóz był prawie pusty. Zostały jedynie trzy amfory i kawałki płótna na worki. Wsunął rękę i natrafił na coś twardego. Szarpnął. Ciężkie. Uśmiechnął się szeroko. Pomagając sobie drugą ręką, wyciągnął sakiewkę pełną monet.

Nie była duża. Mieściła się w dłoniach. Ale warta była fortunę. Nie musiał zaprzątać sobie głowy resztą. Tyle mu wystarczy. Lepiej wziąć nogi za pas.

Z tyłu rozległ się krzyk. Juliusz odwrócił się i zobaczył nadbiegającego żołnierza. Puścił worek i zrobił unik, chroniąc się za wózkiem. Rzucił się do ucieczki. Usłyszał drugi krzyk. A potem trzeci. To wołał centurion.

– Łapać go!

Prosto w zaułek. Skręt w lewo. W prawo. Po chwili był na głównej ulicy. Przebiegł na drugą stronę, wypatrując jakiejś wąskiej przecznicy. Znalazł lukę i pobiegł w głąb ile sił w nogach.

Widział złoto. Był świadkiem kradzieży. Żołnierze o tym wiedzieli. Musieli go zabić. Myśli błyskawicznie przelatywały mu przez głowę. Gdzie się przed nimi ukryć? Wciąż słyszał za sobą ich głosy. Wydawało się, że są po lewej i prawej stronie. Nagle zaświtał mu pewien pomysł. Tak, to jego jedyna szansa. Przyspieszył, dysząc ciężko. Ścigał go ciężki tupot kroków.

Martina czekała przy moście. Wokół nie było nikogo. Poniżej rzeka rozlewała się szeroko, przejrzysta woda migotała w promieniach słońca. Tuż pod powierzchnią pływały srebrne i brązowe ryby.

Ryby miały towarzyszy. Ona była samotna.

Martina była wściekła jak każda młoda kobieta, która przygotowuje się na pocałunki, a spotyka ją zniewaga. Czekała już od godziny. Od czasu do czasu z amfiteatru rozlegały się okrzyki zagrzewające gladiatorów do

walki. Nie lubiła przemocy, a dziś miała głowę zaprzątniętą czymś innym. Przysłał jej list i obiecał prezent. Wystawiła się na wielkie ryzyko, a spotkało ją upokorzenie, bo stoi jak głupia na moście i czeka nie wiadomo na co. W końcu wzruszyła ramionami. Może coś mu przeszkodziło.

– Wybaczę mu, jeśli się okaże, że złamał nogę – mruknęła. Nie pozwoli się tak traktować. Odpłaci mu pięknym za nadobne.

Humor jej się poprawił, gdy zobaczyła znajomą postać, która wyłoniła się z bocznej uliczki, zmierzając w jej kierunku.

Sekstus od razu zauważył, że Martina jest sama. Nie byłby sobą, gdyby do niej nie podszedł. A ona, widząc mężczyznę, którego odtrąciła dla wiarołomnego Juliusza, zareagowała spontanicznie: pocałowała go na powitanie. Miała nadzieję, że Juliusz to zobaczy, o ile jest w pobliżu. Dla pewności pocałowała Sekstusa jeszcze raz.

Mężczyzna był nieco zdziwiony takim ciepłym przyjęciem. Jednak w swojej zarozumiałości uznał, że to skutek jego zalotów. Z doświadczenia wiedział, że w takich okolicznościach lepiej nie pytać o powody. Uśmiechnął się miło.

Okazało się, że Martina wraca z mostu. Zapytał, czy widziała się tam z Juliuszem. Zaprzeczyła z cierpką miną.

– Pewnie ogląda igrzyska – podsunęła. – Masz ochotę tam pójść? – Wzięła go pod rękę.

Sekstus zgodził się chętnie. Powinien wprawdzie zająć się Juliuszem, ale nie chciał tracić takiej okazji. W drodze do amfiteatru umówili się na wieczór.

Jeśli nie trafię do więzienia, pomyślał, to dziś jeszcze będę w niebie.

– Lepiej, żeby nikt nas razem nie widział – powiedział wykrętnie, gdy znaleźli się u celu. – Do zobaczenia wieczorem.

Oddalił się, żeby zaczekać na Juliusza. Zacisnął dłoń na nożu.

Był ciepły wieczór. Nad pustoszejącym amfiteatrem unosiła się chmura kurzu wymieszanego z wonią potu. Tłum był usatysfakcjonowany. Ludzie mogli najeść się i napić do syta, widzieli lwy, byki, żyrafę i inne dzikie zwierzęta; widzieli, jak niedźwiedź rozszarpuje człowieka, dwóch gladiatorów poniosło śmierć na ich oczach. Wprawdzie Londinium leżało daleko od Rzymu, ale w takich chwilach, kiedy zasiadali pod kamiennymi łukami amfiteatru, patrząc na afrykańskie bestie i na walki gladiatorów, mieli wrażenie, że słoneczna Italia rozciąga się tuż za południowym horyzontem.

Juliusz wmieszał się w tłum. Tłum ocalił mu życie. Kiedy udało mu się wyprzedzić swoich prześladowców o sto metrów, przez mały brukowany placyk rzucił się do bramy prowadzącej do amfiteatru. Wbiegł po schodach na najwyższy taras. Akurat toczyła się walka gladiatorów. Ludzie wstali, czekając na śmiertelny cios. Juliusz zajął wolne miejsce. Nikt nie zwrócił na niego uwagi.

Spędził w amfiteatrze całe popołudnie. Wielokrotnie przeczesywał wzrokiem widownię, jakby spodziewał się pogoni. Bał się wyjść, bo może czekali na niego przy bramie. Ale teraz, idąc w tłumie, nie zauważył żadnego z prześladowców. Może nie zdążyli mu się dobrze przyjrzeć?

Udało mi się, pomyślał, uśmiechając się szeroko.

Ale co teraz? W domu zacznie się niedługo uczta dla sąsiadów. Rodzice pewnie zastanawiają się, gdzie się podziewa od rana. Po tym wszystkim, co go spotkało w ciągu ostatnich kilku godzin, najchętniej wróciłby do domu.

Nadal jednak pozostawała kwestia torby z fałszywymi pieniędzmi. Matka wiedziała o niej. Prędzej czy później będzie musiał z nią o tym porozmawiać. Z ojcem też. Niezbyt przyjemna perspektywa.

– Ale przynajmniej będzie musiała mi powiedzieć, co zrobiła z torbą – mruknął pod nosem. – Żeby Sekstus się ode mnie odczepił.

Juliusz westchnął. Sekstus dał mu czas do zachodu słońca. A słońce schodziło coraz niżej. Do rana będę musiał grać na zwłokę, pomyślał. Na szczęście umiał szybko myśleć i działać. Najpierw jednak Sekstus musi mnie znaleźć, dorzucił w duchu, wyszczerzając zęby w uśmiechu.

Szedł w tłumie wylewającym się z amfiteatru i szeroką aleją kierującym się w stronę wschodniego wzgórza. Znów pomyślał o Martinie. Czy ona gdzieś tu jest? Da się przeprosić? Może. Na razie nie tracił nadziei.

I przez cały czas nie mógł zapomnieć o workach ze złotem. Och, gdyby choć jedna sakiewka wpadła mu w ręce! Ten skarb jest gdzieś niedaleko, pewnie spoczywa w jakiejś piwnicy, być może o kilka metrów od miejsca, gdzie ostatnio widział wóz. To możliwe, że legioniści nadal go pilnują? Raczej nie. Jeśli ukradli monety, to przynajmniej przez jakiś czas będą się trzymali od tego miejsca z daleka.

Nagle zaświtała mu nowa myśl. Złodzieje z pewnością nie zamierzają pozostawić tam łupu na zawsze. Za parę dni wrócą po niego i przeniosą do kilku innych kryjówek. Lepiej nie trzymać takiego skarbu w jednym miejscu. Złoto nie pozostanie tam długo. Jeśli chcę je odnaleźć, pomyślał, to muszę się pospieszyć. Roześmiał się cicho. Chyba jednak nie wróci od razu do domu.

Skręcił w boczną uliczkę i wrócił do miejsca, w którym widział ostatnio wóz. W pobliżu kręciło się kilku przechodniów, ale żołnierzy nie zauważył. Rozejrzał się jeszcze raz. Wypatrzył kilka zakamarków nadających się na kryjówkę. Będzie musiał się włamać. Wkrótce zapadnie zmierzch. Potrzebna będzie lampa oliwna. Czas przystąpić do działania.

Nie zorientował się, że ktoś go śledzi.

Dopiero po zapadnięciu zmroku matka Juliusza zaczęła się niepokoić. Kolacja smakowała sąsiadom. Grubaska pochłonęła właśnie trzeciego

kurczaka. Jej mąż Rufus, z zaczerwienioną twarzą, opowiadał gościom jakąś zabawną historię. Ale gdzie jest Juliusz?

– Na pewno ugania się za jakąś panną – uspokajał ją Rufus, gdy sąsiedzi zasiedli do uczty. – Nie masz się o co martwić.

Tylko że Rufus nie wiedział o monetach. I co Sekstus miał z tym wspólnego? Nigdy nie lubiła tego typa.

Gwiazdy świeciły jasno, a Martina wciąż czekała. Nie umiała rozeznać się w swoich uczuciach. Minęła jej złość na Juliusza. Może spotkało go coś złego? Może zbyt pochopnie rzucała na niego oskarżenia?

Lada chwila miał się pojawić Sekstus.

Czuła podniecenie. W końcu był mężczyzną. W taką ciepłą noc myśl o mężczyźnie przyprawiała ją o dreszcz. Ale czy naprawdę go pragnęła? Przypomniała sobie jego głęboko osadzone oczy i krzaczaste bokobrody. Chyba jednak nie.

– Chcę tego młodego boksera – wyznała półgłosem.

Ale to Sekstus miał do niej przyjść. A gdy już się pojawi, łatwo się go nie pozbędzie. Westchnęła. Zupełnie pogubiła się w swoich uczuciach.

Nawet nad rzeką było ciepło. Mała łódka sunęła cicho w świetle gwiazd, niesiona nurtem zmierzającym na wschód, ku morzu. Minęła niezauważenie zakręt poniżej Londinium.

Na dnie łodzi leżało nieruchome ciało z twarzą zwróconą ku nocnemu niebu. Śmiercionośny nóż tak umiejętnie zadał ranę, że mężczyzna prawie nie krwawił. Zwłoki obciążono balastem, żeby mogły natychmiast zatonąć.

Jednak pozbycie się trupa tylko pozornie było łatwe. Rzeka miała swoje tajemne wiry i prądy, zachowywała się kapryśnie. Ciało wyrzucone w jednym miejscu mogło wypłynąć zupełnie gdzie indziej.

Ale kto mógł znać sekrety rzeki lepiej niż marynarz?

Zobaczywszy żonę z Sekstusem, kapitan zdziwił się w pierwszej chwili. Znał Sekstusa z widzenia, wiedział, jak się nazywa. A list, jak pamiętał, podpisany był literą J. Uznał jednak, że się pomylił. Nie J, ale niezdarnie nabazgrane S.

Zabił Sekstusa, gdy ten ciemnymi uliczkami podążał za Juliuszem.

Teraz musiał tylko zdecydować, co zrobić z Martiną. W pierwszym odruchu chciał ją ukarać, żeby popamiętała raz na zawsze. W kraju jego matki takie kobiety kamienowano. Ale był mądrzejszy. Trudno mu będzie znaleźć równie dobrą żonę. Zemścił się na jej kochanku. Na razie będzie ją dobrze traktował. Czas pokaże, co należy zrobić dalej.

Jesienią 251 roku wyszła na jaw kradzież znacznej ilości złotych i srebrnych monet.

Śledztwo prowadził centurion pod nadzorem jednego z najwyższych urzędników gubernatora. Jednak sprawców nie udało się wykryć.

Niedługo potem na rozkaz gubernatora centurion został nagle przeniesiony z kilkoma oddziałami do Caerleon w Walii, gdzie miał wspomagać odbudowę wielkiej fortecy. Daty jego powrotu nie wyznaczono.

Los sprzyjał Juliuszowi. Matka nigdy nie wspomniała o torbie, a tajemnicze zniknięcie Sekstusa rozwiązało problem.

Współpraca z kapitanem rozwijała się pomyślnie. Co więcej, kapitan, uznawszy, że pozbył się kochanka żony, ani przez chwilę nie podejrzewał, że Juliusz i Martina mają romans. Kiedy rok później jego statek zatonął podczas rejsu, Juliusz przejął jego interes i ożenił się z wdową.

Po przyjściu na świat ich drugiego syna Juliusz został pełnoprawnym członkiem świątyni Mitry, co niezwykle ucieszyło jego ojca.

W tym samym czasie w Rzymie pojawiło się kilku silnych władców, więc życie w Londinium, jak i w całym cesarstwie, płynęło spokojnie.

Ale jedna myśl nie dawała Juliuszowi spokoju. Wielokrotnie wracał w tamten rejon, nieustannie prowadził poszukiwania. Był pewien, że centurion nie mógł zabrać ze sobą ciężkiego skarbu. A zatem gdzieś niedaleko miejsca, w którym po raz ostatni widział wóz z osłem, znajdowała się kryjówka z workami monet, których wartość trudno było nawet oszacować. Mijały miesiące i lata, a Juliusz nie rezygnował z poszukiwań. W długie letnie wieczory stawał na nabrzeżu albo wielkim murze otaczającym Londinium i patrząc na zachodzące słońce, myślał: gdzie, na bogów, jest to złoto?

Krzyż

Rok 604

Kobieta patrzyła na morze. Jej długie włosy opadały luźno na myśliwską suknię trzepoczącą na wietrze. Jasne, jesienne słońce wciąż znajdowało się po wschodniej stronie nieba.

Ostatnie chwile jej wolności. Trzy dni spędziła w tych dzikich ostępach, które były jej schronieniem, ale teraz musiała wracać. I podjąć ostateczną decyzję. Jakiej odpowiedzi udzieli mężowi?

Był *haligmonath* – święty miesiąc, jak w krajach pogańskiej północy nazywano wrzesień.

Powyżej ujścia Tamizy linia brzegowa tworzyła ogromny, wygięty ku wschodowi łuk, który wdzierał się na ponad sto kilometrów w chłodne wody Morza Północnego. Kobieta widziała przed sobą bezkres szarych fal. Za nią aż po horyzont rozpościerały się płaskie moczary i wrzosowiska, lasy i łąki. Po prawej stronie bezludne plaże ciągnęły się na południe i osiemdziesiąt kilometrów dalej zaokrąglały się w szeroką gardziel uchodzącej do morza rzeki.

Kobieta nazywała się Elfgiva, co w języku anglosaskim znaczyło „dar wróżek”. Bogato haftowana szata świadczyła o szlachetnym urodzeniu. W wieku trzydziestu siedmiu lat dochowała się już czterech dorosłych synów. Miała jasną cerę, ładne rysy i błękitne oczy. W złotych włosach pojawiły się już siwe pasma, ale nadal była piękną kobietą. Mogłabym

urodzić jeszcze jedno dziecko, pomyślała. Może nawet córkę, której zawsze pragnęła. Ale co jej po córce, skoro stanęła przed strasznym wyborem?

Dwaj słudzy czekający przy koniach nie widzieli udręki malującej się na jej twarzy, ale domyślali się, co czuje. I żałowali jej. Cała wioska wiedziała, że po dwudziestu pięciu latach szczęśliwego małżeństwa pan i pani nagle się poróżnili.

– Ona jest dzielna – szepnął jeden stajenny. – Ale czy da sobie radę?

– Nie sprzeciwi się panu – odparł drugi. – Pan zawsze stawia na swoim.

– To prawda. Ale jest dumna – stwierdził pierwszy z podziwem.

Wśród Anglosasów kobiecie niełatwo było zachować dumę.

W ciągu ostatnich dwóch stuleci na wyspie zwanej Brytanią zaszły głębokie zmiany. Po pierwsze, gdy cesarstwo rzymskie ostatecznie upadło, Brytania przestała być jego prowincją. Po drugie, jak całe dawne cesarstwo, została najechana.

Barbarzyńskie plemiona zawsze atakowały granice Rzymu, jednak potężne państwo albo skutecznie odpierało najazdy, albo wchłaniało wrogów, czyniąc z nich najemników i osiedleńców. Jednak od 260 roku, kiedy rozrastające się cesarstwo podzieliło się na regiony, napływu nikt nie był w stanie już kontrolować. A około 400 roku rozpoczęła się wielka wędrówka ludów – liczne plemiona wschodniej Europy wędrowały na zachód, uciekając przed strasznymi Hunami z Azji. Proces przebiegał stopniowo. Jednak powoli Goci, Lombardowie, Burgundowie, Frankowie, Sasi, Bawarowie, Słowianie i inni osiedlali się na obrzeżach ziemi innych narodów, ustanawiali swoje plemienne terytoria, naruszając stary porządek i cywilizację Europy.

Tuż po roku 400 przyciśnięty do muru cesarz rzymski wycofał z Brytanii wszystkie garnizony, wysyłając miejscowym władzom suchą wiadomość: „Brońcie się sami”.

Początkowo wyspiarze dawali sobie radę. Skutecznie bronili się w obwarowanych portach i miastach przed atakami germańskich piratów. Po kilkudziesięciu latach brali nawet do służby germańskich najemników. Gdy jednak handel z kontynentem zaczął podupadać, sprawy przybrały gorszy obrót. Coraz liczniejsi miejscowi przywódcy i watażkowie rywalizowali ze sobą. A germańscy najemnicy słali do swoich ziomków za morzem wiadomości, że wyspa jest słaba i podzielona.

Germanie wywodzili się z plemion zamieszkujących nadmorskie rejony dzisiejszych Niemiec i Danii. Byli to głównie Anglowie, Sasi oraz spokrewnieni z nimi Jutowie. Większość miała jasne włosy i niebieskie oczy.

Napływali ciągłym strumieniem, opanowując Anglię ze wschodu na zachód. Czasem napotykali silny opór. Około roku 500 pewien wódz o rzymsko-brytyjskich korzeniach zmobilizował przeciwko nim południowo-wschodnią część kraju, a jego postać, odkryta przez kronikarzy dużo później, dała początek legendzie o królu Arturze.

Jednak mimo tych mężnych prób ocalenia dawnego świata wystarczyło sto pięćdziesiąt lat, by nowi przybysze stali się panami wyspy. Nie udało im się jedynie skolonizować leżących na zachodnich rubieżach Walii ani Szkocji. Powoli zanikały dawne łacińskie i celtyckie nazwy miast i rzek. Powstało kilka znaczących królestw. Anglowie władali na północy Nortumbrią i Mercją; Sasi mieli na zachodzie Wessex, w centrum Sussex, a na południu Kent. Ogromny nizinny obszar powyżej ujścia Tamizy podzielony został na dwie części: północną, zwaną Anglią Wschodnią, zajęli Anglowie, w południowej powstało saskie królestwo Essex.

Elfgiva wracała do męża z Anglii Wschodniej.

To był kraj jej dzieciństwa. Co roku odwiedzała grób ojca. Tym razem miała nadzieję, że wyprawa da jej siłę. I tak się stało. Jakże się czuła

szczęśliwa, wędrując po nadmorskich plażach i równinach poprzecinanych jedynie liniami niskich piaszczystych wydm schodzących nad samą wodę. Kochała słony wiatr od morza, ostry i orzeźwiający. Mówiono, że ten wiatr zapewnia mieszkańcom Anglii Wschodniej długowieczność.

Kawałek drogi w głąb lądu leżało cmentarzysko – skupisko kurhanów wysokich na może metr, rozrzuconych pomiędzy kępami janowca i drzewami nisko przykucniętymi od silnych wiatrów. Spędziła tam wiele godzin. W największym kurhanie spoczywał jej ojciec.

Jakże go kochała i podziwiała! Wyprawiał się daleko na północ i pewnego razu przywiózł sobie żonę ze Szwecji. Był tak znakomitym żeglarzem, że po śmierci pochowano go wraz z łodzią i wszystkimi insygniami. Nadal słyszała jego niski głos. Czy leżąc w grobie, wciąż marzył o wzburzonych morzach? Czy bogowie północy otaczali go opieką? Nie miała co do tego wątpliwości. Czyż nie byli jednej krwi? Czy jej lud nie nazwał dni tygodnia imionami bogów? Tuesday, czyli wtorek, wywodził się od Tiwa, boga wojny; Woden albo Wotan, jak Germanie nazywali najpotężniejszego z bogów, dał nazwę środzie – Wednesday; czwartek stał się Thursday, od Thora rzucającego gromy; a Friday, piątek, zawdzięczał swoją nazwę bogini miłości Frigg.

„Mój pradziad był najmłodszym bratem z królewskiego rodu – przypominał jej często ojciec. – Więc pochodzimy od samego Wodena”. Prawie wszystkie królewskie rody szczyciły się tymi korzeniami. I rzeczywiście czasem wydawało się, że ojciec czerpie swoje nieprzebrane siły z nieba i z morza.

Całe to dziedzictwo przekazał jej synom, gdy byli jeszcze w kołysce. Sama uczyła ich, że są dziećmi morza, wiatru i samych bogów. Co odpowiedziałby ojciec na haniebne żądanie jej męża? Stojąc przy kurhanie,

wiedziała, jaką usłyszałaby odpowiedź. Dlatego właśnie ta podróż, choć dodała jej sił, nie przyniosła ukojenia.

Mężczyzna i jego młoda, ładna żona stali w kręgu, otoczeni przez mieszkańców wioski. Byli przerażeni.

Tak jak wszyscy mieli na sobie proste koszule i wysokie skórzane buty obwiązane rzemieniem. Ale dwie kobiety już ściągały buty z dziewczyny. Za chwilę zedrą z niej koszulę.

Zbrodnię popełniono poprzedniego dnia. I od razu odbył się proces. Wyrok też wykonano by natychmiast, lecz starszyzna kazała go odłożyć, bo nie mieli węża. Ale teraz gada już złapano.

Drwal ostrożnie trzymał żmiję tuż za głową. Za chwilę zbliży ją do płonących węgli drzewnych, żeby ją rozdrażnić.

Obok pary skazańców leżał worek obciążony kamieniami. Dziewczyna będzie musiała do niego wejść, gdy zedrą z niej odzienie. Ktoś wrzuci do środka żmiję, ktoś zawiąże worek sznurem. I wszyscy będą patrzeć, jak targają nim konwulsje kąsanej kobiety. A potem na znak starszyzny wrzucą worek do rzeki, żeby zatonął.

Taką właśnie karę wymierzano kobietom za czary.

Ich wina była niepodważalna. Przyłapano ich na gorącym uczynku. Nikt się za nimi nie wstawił. Mężczyzna wprawdzie zapewniał, że jego żona nie miała z tym nic wspólnego, ale kto by na to zważał? Dopuścił się zbrodni zaraz po wyjściu z chaty, a ona była wtedy w środku. W oczach wsi to czyniło ją winną.

„Na pewno kazała mu to zrobić”, mówili niektórzy. „Nie próbowała go powstrzymać”, wyrokowali inni. Wychodziło na jedno. *Doom* – pradawne prawo Anglosasów było surowe i niezmienne.

– Do worka z nią! Do worka z nią! – wrzeszczał tłum.

Offa, młody mężczyzna, budził więcej współczucia, ale jego los i tak był przesądzony. To prawda, pokazał hart ducha. Sprawa była oczywista. Młoda żona Offy spodobała się jednemu z członków starszyzny, człowiekowi chytremu i podstępnemu. Chciał ją uwieść, a raz nawet próbował ją zgwałcić. Nie udało mu się, bo dziewczyna zaczęła krzyczeć. To wszystko. Nikomu nie stała się krzywda. Ale Offa kochał żonę i nie mógł znieść myśli, że stała się ofiarą takiej napaści. Niektórzy uważali, że postradał rozum.

Gdyby tylko pobił rywala, sprawa rozeszłaby się po kościach. Podobne spory pomiędzy zwaśnionymi stronami rozstrzygano, wyznaczając stosowne opłaty. Za obcięcie komuś palca – tyle i tyle; obcięcie ręki kosztowało więcej. Ale młodzieniec posunął się znacznie dalej. Nikt nie miał wątpliwości, że żona musiała go podjudzać. Bo poprzedniego dnia wyszedł z chaty i wbił igłę w ciało członka starszyzny. A to uznawano za czary.

Wbijanie igieł w kukły wrogów było powszechnym rytuałem magicznym. Niektórzy jednak wbijali igły wprost we wroga, a potem wznosili modły, by rana gniła i ropiała, i przyniosła śmierć. Offę oskarżono właśnie o tę potworną zbrodnię. Należał do wiejskiej biedoty, więc na uniknięcie kary nie miał szans.

Był niecierpliwym dwudziestoletnim młodzieńcem, szczupłym i umięśnionym, ale niższym niż większość krzepkich saskich wieśniaków. Tak jak oni miał niebieskie oczy, lecz odróżniał się od nich ciemnymi włosami. Wrodzona lotność myśli i popędliwość świadczyły, że w jego żyłach płynie celtycka krew. Miał dwa znaki szczególne: pasmo białych włosów nad czołem i dziwną błonę pomiędzy palcami obu dłoni. Na imię dano mu Offa, ale w wiosce wołano na niego Kaczor.

Minęło półtora wieku od czasów, gdy jego przodkowie, drobni kupcy, opuścili dawne rzymskie miasto Londinium. Po wycofaniu się rzymskich legionów służyli w straży miejskiej i bezsilnie patrzyli na upadek metropolii. A w 457 roku byli świadkami przybycia tysięcy uciekinierów z Kentu, szukających schronienia przed wielkimi siłami saskich rabusiów. Obroniły ich wtedy potężne mury wzmocnione dodatkowymi bastionami i solidny mur wzniesiony na nabrzeżu, ale były to ostatnie dni chwały miasta, początek końca, który rychło nastąpił. Sascy rolnicy zajmowali ziemię, miasta ich nie interesowały. Stara metropolia pustoszała i podupadała coraz bardziej. W miarę upływu lat rodzina Offy ubożała coraz bardziej, aż w końcu któreś pokolenie wyniosło się z Londinium. Dziadek Offy zarabiał na życie jako smolarz w lasach Essexu, a ojciec, człowiek wesoły i skory do śpiewu, został zaadoptowany przez saską wioskę. Pozwolono mu nawet ożenić się z miejscową kobietą. W ten sposób wieśniacy stali się rodziną Offy – innej nie miał.

Nie była to nawet wieś, raczej niewielka osada na polanie położonej nad jednym z licznych strumieni płynących kręto przez lasy i moczary ku Tamizie. Stało tu kilka krytych strzechą chat i długa drewniana stodoła. Były też dwa poletka – jedno czekało na żniwa, drugie leżało odłogiem – oraz łąka i pastwisko, na którym skubały trawę cztery krowy i koń z długą sierścią. Na brzegu czekała pomalowana na czarno łódka. Wokół rosły dęby, jesiony i brzozy. Świnie ryły miękkie leśne podłoże, szukając orzechów i żołędzi.

Półtora kilometra dalej biegła kiedyś droga łącząca Londinium ze wschodnim wybrzeżem, ale już dawno zarosła. Wioska nie była jednak całkowicie odcięta od świata, bo krętym leśnym traktem przybywali tu czasem wędrowcy, a przez strumień przerzucono drewniany mostek.

Offa należał do najbiedniejszych mieszkańców osady. W przeciwieństwie do większości chłopów nie miał nawet całego pola pod uprawę, czyli działki, którą mogła zaorać para wołów.

„Mam zaledwie jedną czwartą”, uprzedził swoją ukochaną, gdy jeszcze chodził do niej w zaloty. Żeby utrzymać się przy życiu, pracował dla innych. Lecz był wolnym człowiekiem. Chłopem w saskiej wiosce. Ale teraz, gdy tylko utopią jego żonę, spotka go straszna kara, gorsza niż śmierć.

„Niech idzie tam, gdzie wilki”, ogłosił naczelnik wioski. I żyje tak jak one – samotny i opuszczony. Wyrzutek. Taką właśnie straszliwą karę wymierzano wolnym ludziom. Wyrzutek nie miał żadnych praw. Każdy mógł go zabić. Nikt by go nie przyjął pod swój dach. Nikogo nie obchodził jego los. Tak mówiło *doom*, anglosaskie prawo.

Ricola, jego żona, była już naga. Spojrzała na niego. Jej zazwyczaj pogodna, okrągła twarz była bardzo blada. Wiedział, że go kocha, ale w jej spojrzeniu wyczytał co innego: To przez ciebie. Ja umrę, a ty nie.

Mężczyźni patrzyli na nią pożądliwie – i nic dziwnego. Miała młode ponętne ciało. Różowa skóra, resztki dziecięcej pulchności, miękkie, młode piersi. Dwóch mężczyzn trzymało otwarty worek. Saska sprawiedliwość była surowa.

– Wodenie, ocal nas – szepnął Offa, rozglądając się wokół z rozpaczą.

Przecież to niemożliwe, żeby ich życie w ten sposób dobiegło końca.

Elfgiva i jej ludzie jechali powoli. Mieli przed sobą zaledwie jeden dzień drogi, a ona wciąż nie podjęła decyzji. I nie chodziło tylko o wyparcie się wiary, tak drogiej jej sercu. Miała szczególny dar przewidywania, a złe przeczucia nawiedzały ją coraz częściej. Co to może znaczyć? Czyżby bogowie chcieli jej coś powiedzieć?

Niebo pokrywały posępne chmury. Zasłaniały słońce. Wędrowcy znajdowali się na dzikim pustkowiu – niskie drzewa, wypalona trawa, brunatne paprocie. Elfgiva zamyśliła się głęboko. Przypomniały jej się słowa ojca sprzed wielu lat: „Kiedy żeglarz wyrusza w morze, przygotowuje statek, wyznacza kurs i stawia żagiel. Nic więcej nie może zrobić. Nie wie, jakie sztormy napotka, jakie ziemie odkryje, nie wie nawet, czy wróci do domu. To jest właśnie przeznaczenie i musisz je przyjąć. Przed przeznaczeniem nie da się uciec”.

Wyrd – takim słowem Anglosasi nazywali przeznaczenie. *Wyrd* było niewidoczne, ale wszyscy mu podlegali. Nawet bogowie. Oni byli aktorami, a *wyrd* opowieścią. *Wyrd* kryło się ponad niebem i ponad górami, nad którymi przetaczało się echo gromu Thora. Nie było ani złe, ani dobre, było niepoznawalne. Wyłaniało się zewsząd – z ziemi, z rozkołysanego morza, z szarej otchłani nieba. Wszyscy Anglowie, Sasi i Normanowie wiedzieli, czym jest *wyrd* – decydowało o życiu i śmierci, nadawało ich pieśniom i poezji fatalistyczny ton.

O wszystkim przesądzi los.

– Postanowię, co mu odpowiedzieć, gdy się spotkamy – mruknęła Elfgiva. A w nocy pomodli się do Wodena i Frigg.

Dojechali do strumienia. Nurt był w tym miejscu głęboki. Gdyby chcieli przeprawić się na drugi brzeg, przemokłaby do suchej nitki. Elfgiva zaczęła szukać płytszego brodu. Nagle zauważyła mały mostek i dziwną grupę ludzi. Zmusiła konia do galopu.

Offa patrzył ze zdziwieniem na piękną kobietę – chyba bogowie przywiedli ją na to odludzie. Dosiadała wspaniałego rumaka.

– Co ona zrobiła? – Kobieta przyglądała się nagiej dziewczynie z ciekawością.

Naczelnik wioski wyjaśnił jej to w kilku słowach. Elfgiva obrzuciła wzrokiem gromadę ludzi. Zadrżała na widok żmii i worka. Ponownie przyjrzała się z uwagą młodej parze. Trafiła do tej ukrytej w lasach wioski przypadkiem. Dlaczego przeznaczenie przywiodło ją tu właśnie w tej chwili? Może po to, by ocaliła czyjeś życie. Wobec strasznego losu czekającego skazańców jej własne problemy jakby przybladły. Poczuła nawet coś w rodzaju zazdrości. Oni byli młodzi. A ten mężczyzna zapewne kocha swoją żonę do szaleństwa.

– Ile za nich chcecie?

– Słucham?

– Kupuję ich. Będą moimi niewolnikami.

Naczelnik wioski zawahał się. Prawo dopuszczało niewolę jako karę za niektóre przestępstwa. Nie był jednak pewien, czy w tym przypadku można zastosować tę zasadę.

Elfgiva wyjęła monetę z sakiewki wiszącej u pasa. Sasi nie bili własnych monet, posługiwali się walutą przywożoną przez zamorskich kupców. Moneta była ze złota. Wieśniacy patrzyli na nią pożądliwie. Wielu nigdy dotąd nie widziało złotej monety, ale naczelnik i kilku innych mężczyzn zdawali sobie sprawę z jej wartości.

– Chcecie ich oboje, pani? – spytał naczelnik. Wolałby, żeby naga dziewczyna skończyła w worku ze żmiją.

– Oboje.

Od razu się zorientował, czego pragnie wieś. Dał znak kobietom. Puściły dziewczynę, a ona ubrała się pospiesznie.

– Obciąć im włosy – rozkazała Elfgiva jednemu ze służących. W taki sposób naznaczała swoich niewolników. Offa i jego żona byli tak przerażeni, że poddali się potulnie temu zabiegowi. Elfgiva wręczyła naczelnikowi monetę.

– Teraz jesteście moją własnością – zwróciła się do młodych. – Macie iść za mną.

Przeprawili się mostkiem na drugą stronę strumienia.

Przez jakiś czas posuwali się w milczeniu. Offa zauważył, że kierują się na zachód.

– Dokąd zdążamy, pani? – spytał w końcu.

Elfgiva odwróciła głowę.

– Daleko. Do małej osady handlowej, o której pewnie nawet nie słyszeliście. – Uśmiechnęła się. – Nazywa się Lundenwic.

Bez względu na to, co ostatecznie miało zgotować jej przeznaczenie, los Elfgivy leżał w dłoniach potężnego człowieka, który podążał teraz równoległym szlakiem biegnącym trzydzieści kilometrów na południe.

„Elfgivie nie brak odwagi, ale z Cerdikiem nikt nie wygra”, mawiali zgodnie ci, którzy znali jej męża. To, co wydarzyło się poprzedniego dnia, i to, co Cerdic zaplanował nazajutrz, rozwiewało wszelkie wątpliwości: „Elfgiva nie ma szans”.

Cerdic jechał jednostajnym tempem. Wprawdzie od żony dzieliło go teraz trzydzieści kilometrów w linii prostej, ale równie dobrze mógłby być na drugim końcu świata. Znajdował się bowiem po przeciwnej stronie ujścia Tamizy, wśród wielkich kredowych wzgórz Kentu.

Kontrast pomiędzy dwoma brzegami wielkiej rzeki był ogromny. W Anglii Wschodniej teren był płaski i nizinny, natomiast Kent przecinały biegnące ku wschodowi łańcuchy wzgórz, które na końcu swojej wędrówki opadały w morze stromymi klifami. Pomiędzy pasmami wzgórz leżały szerokie doliny, wschodnią część półwyspu pokrywały rozległe, pofałdowane łąki, a zachodnią gęste lasy, pola i sady.

Elfgiva pochodziła z dzikiego, nieokiełznanego wybrzeża. Cerdic z uporządkowanego Kentu.

Jego rodzina przybyła do zachodniej części Kentu w czasach, gdy Sasi i Jutowie zakładali tu swoje pierwsze osiedla. Do dziś te włości były ich gniazdem rodowym, jednak Cerdic, gdy był jeszcze młody, zbudował nową siedzibę w osadzie Lundenwic nad Tamizą. Kupował dostarczane przez kupców towary, wysyłał je dalej, wyprawiał się z parą jucznych koni do najdalszych zakątków wyspy. Handel zapewnił mu bogactwo.

Cerdic był typowym Sasem – potężnym, szorstkim w obejściu mężczyzną o jasnych włosach i niebieskich oczach. Miał bujną brodę, ale włosy na głowie zaczynały mu już rzednąć. Gdy wpadał w złość – a miał krewki temperament – czerwieniał na twarzy, jakby za chwilę miała go dopaść apopleksja. Jednocześnie szeroka germańska twarz z wystającymi kośćmi policzkowymi świadczyła o jego wyrachowaniu i bezwzględnej sile. „Jest silny jak byk i twardy jak dąb”, mawiali jego ludzie. Powszechnie uważano też, że podobnie jak jego ojciec dożyje późnego wieku: „Ta rodzina jest za przebiegła, żeby pospiesznie odchodzić z tego świata”.

Cerdica wyróżniały dwie cechy. Pierwszą było to, że nigdy nie łamał danego słowa. W handlu stanowiło to wielką zaletę. Drugi rys charakteru wywoływał czasem u jego przyjaciół podszytą drwiną wesołość, ale najczęściej budził podziw, a nawet lęk.

Według Cerdica na każdą kwestię można było spojrzeć tylko z dwóch stron. Każda decyzja – bez względu na to, czy dotyczyła działania, oceny drugiego człowieka czy przesądzania o czyjejś winie lub niewinności – była albo dobra, albo zła. A gdy Cerdic podjął decyzję, jego inteligentny umysł zatrzaskiwał się jak żelazna pułapka. „W jego oczach świat jest czarno-biały. Żadnych odcieni szarości”, mawiali jego towarzysze.

To nie wróżyło dobrze jego żonie. Cerdic wracał właśnie z Canterbury, z dworu swojego pana króla Etelberta [5].

A król Etelbert był chrześcijaninem.

Gdy przodek Offy Juliusz fałszował w Londinium monety, chrześcijaństwo było wciąż stosunkowo niewielką sektą, niekiedy prześladowaną. Jednak w następnym stuleciu, po nawróceniu się cesarza Konstantyna, stało się religią państwową, której stolicą mianowano Rzym. W Brytanii i innych prowincjach budowano kościoły, zazwyczaj w miejscach starych świątyń pogańskich. Brytyjski Kościół nabrał znaczenia. Jeszcze kilkadziesiąt lat po wycofaniu się Rzymian brytyjscy biskupi jeździli do dalekich krajów na synody. „Ale to my płaciliśmy za ich podróż, bo byli bardzo biedni", przypominali biskupi w Italii.

Jednak przybyli później Anglosasi byli zatwardziałymi poganami. Chrześcijanie stawiali im opór, lecz odcięci od głównego centrum religijnego, utracili wpływy. Na ponad sto lat.

Nie wszystko jednak zostało stracone. W Brytanii pojawili się misjonarze. Z Irlandii nawróconej nieco wcześniej przez świętego Patryka przybywali celtyccy mnisi – ludzie silnej wiary, przywiązani do celtyckiej sztuki. Na północy wyspy, niedaleko granicy ze Szkotami, wznoszono klasztory. Ale prawie cała Anglia nadal pozostawała we władaniu nordyckich bogów. Lecz teraz to miało się zmienić.

Bo oto w roku 597 papież powierzył mnichowi Augustynowi misję nawrócenia Anglosasów na prawdziwą wiarę. Augustyn przybył wprost do Canterbury na południowo-wschodnim skrawku Kentu.

Canterbury miało dogodne położenie. Usadowione na niewielkim wzgórzu na krańcu półwyspu jeszcze za czasów Rzymian stało się ważnym ośrodkiem mającym połączenie z najważniejszymi portami Kentu, takimi jak Dover, które od kontynentu europejskiego dzieliło zaledwie trzydzieści kilometrów. Dla wędrowców przybywających z Europy Canterbury było pierwszym znacznym miastem. Ale ważniejsze od geografii wydawało się to, że król Etelbert ożenił się z frankońską księżniczką, której naród już

wcześniej przyjął chrześcijaństwo. I to właśnie osoba królowej sprawiła, że Kościół skierował swoją uwagę na Canterbury. W owych czasach obowiązywała prosta zasada: „Wystarczy nawrócić króla, reszta poddanych pójdzie za nim”.

„A tobie, mój drogi Cerdicu, ufam bezgranicznie”. Zaledwie wczoraj siwobrody król Etelbert położył mu dłoń na ramieniu. Królowa Berta uśmiechała się z aprobatą. To prawda, mogli mu ufać. W końcu jego przodkowie byli lojalnymi towarzyszami pierwszych królów Kentu. A król Etelbert ofiarował jego ojcu pierścień – najbardziej wymowny symbol więzi pana z poddanym. „Zawsze jesteś mile widziany na naszym dworze”, zapewniła królowa.

Wedle miary starożytnego świata siedziba królów Kentu była mała i wręcz prostacka. Tam, gdzie kiedyś stało rzymskie forum, świątynia, łaźnie i inne kamienne budowle, znajdowało się ogrodzone palisadą obejście z długim, podobnym do stodoły domem z bali krytym wysoką strzechą. Tak wyglądał dwór króla Etelberta. W niewielkiej odległości widać było inne skromne obejście, tam jednak stała na środku budowla bardziej godna uwagi. Wprawdzie mniejsza niż królewski dwór i też podobna do stodoły, ale wzniesiona z kamienia.

Katedrę w Canterbury zbudował mnich Augustyn. W owym czasie był to chyba jedyny kamienny budynek w całej Anglii. Można było go uznać za prymitywny, ale jego powstanie stanowiło punkt zwrotny w historii wyspy.

– Mając taką placówkę w Canterbury – powiedziała królowa żarliwie – możemy rozpocząć dzieło apostolskie.

Cerdic zobaczył wtedy, jak ambitny jest to plan. Misjonarze mieli wyruszyć na północ wzdłuż wschodniego wybrzeża. Ale najpierw należało umocnić pozycje po obu stronach ujścia Tamizy, co oznaczało, że po władcy Kentu wiarę chrześcijańską ma przyjąć król Essexu.

– To mój bratanek – tłumaczył Etelbert. – Chętnie się nawróci przez szacunek dla mojej osoby. Ale – król skrzywił się lekko – niektórzy jego poddani mogą stawiać opór. – Spojrzał uważnie na Cerdica. – Jesteś lojalnym poddanym Kentu. I prowadzisz handel na północnym wybrzeżu, w Lundenwic, czyli na terytorium mojego bratanka. Chcę, żebyś okazał misjonarzom wszelką pomoc.

Cerdic skinął głową.

– Tak jest.

– Pojawi się tam biskup i zbuduje nową katedrę – dorzuciła królowa Berta z zapałem. – Powiemy mu, że może na ciebie liczyć.

Cerdic się ukłonił. Przypomniał sobie jednak, że król Essexu ma kilka siedzib. Zapytał więc:

– A gdzie ten biskup zamierza zbudować swoją świątynię?

Król się roześmiał.

– Mój drogi przyjacielu, widzę, że nie zrozumiałeś. – Pomimo uśmiechu miał poważny wzrok. – Katedra powstanie w Lundenwic.

Wczesnym wieczorem Cerdic dotarł do celu, który wyznaczył sobie na ten dzień. Po wyruszeniu z Canterbury jechał dawnym rzymskim traktem – dziś zarośniętym krzakami i trawą – prowadzącym do ujścia rzeki Medway. Leżała tu skromna saska osada Rochester. Jednak zamiast podążać traktem dalej, w kierunku dawnego Londinium, Cerdic skierował się w głąb lądu. Pokonał strome pasmo wzgórz przecinające północny Kent, aż w końcu dotarł na wyżynę na południu. Uśmiechnął się. Był u siebie.

Okoliczne ziemie od stu lat należały do rodziny Cerdica. Tuż poniżej szczytów leżała wioska, nieco dalej stał kryty strzechą dwór, a za nim dziedziniec otoczony zabudowaniami gospodarskimi. Stamtąd teren obniżał się i długim, zalesionym stokiem schodził na dno doliny. Miejsce to nosiło nazwę Bocton.

W skład rozległych włości wchodziły pola, jabłoniowe sady i dąbrowy. Był tu kamieniołom, w którym Rzymianie wydobywali kiedyś twardy wapień.

Gdy Cerdic stawał w tym miejscu, na jego twarzy pojawiał się łagodny uśmiech szczęścia. Powodem był niewiarygodnie piękny krajobraz. Patrząc na południe, widać było dużą zalesioną dolinę, szeroką na trzydzieści kilometrów, zwaną Weald. Tym widokiem, najpiękniejszym w całej południowej Anglii, mogło się cieszyć kilka innych posiadłości położonych na paśmie wzgórz. Mówiąc „Jestem u siebie”, Cerdic miał na myśli nie tylko dom, ale przede wszystkim wspaniałą panoramę.

Ale dziś nie przybył tu po to, żeby podziwiać widoki. Nazajutrz zamierzał złożyć wizytę w innej posiadłości. Celu nie wyjawił jednak nikomu.

Offa i Ricola zaskakująco szybko doszli do siebie po strasznych przeżyciach. Pogodzili się z losem i jeszcze przed przybyciem do nowego domu odzyskali dobry humor.

– Nie zostaniemy niewolnikami na długo – zapewniał Offa. – Już ja coś wymyślę.

Ricola, choć była bardziej rozsądna, chętnie w to uwierzyła.

Już następnego dnia Offę wysłano do mężczyzn pracujących przy sianokosach.

– Będzie cię pilnował nadzorca mojego męża. Masz go we wszystkim słuchać – poleciła Elfgiva.

Ricola miała pomagać kobietom.

Początkowo oboje byli tak zapracowani, że nie mieli czasu, by rozmyślać o swojej sytuacji. Ale Offa obserwował wszystko uważnie. Lundenwic podobało mu się coraz bardziej.

Nie było to miejsce ważne na mapie Anglii. Pobliski bród umożliwiał wprawdzie przeprawę przez rzekę, ale osada leżąca na plemiennym pasie ziemi niczyjej pomiędzy saskimi królestwami, Kentem i Essexem, nie miała szczególnego znaczenia.

Sasi, którzy za czasów młodości ojca Cerdica założyli tu niewielką osadę, nie interesowali się opustoszałymi ruinami Londinium na pobliskich wzgórzach. Nie zapuszczali się też w okolice leżące nieco dalej w górę rzeki, do małej wyspy w pobliżu brodu, bo tamtejszy teren był podmokły. Wybrali miejsce w połowie drogi między wyspą i wzgórzami. Rzeka tworzyła tu zakręt, a północny brzeg opadał łagodnie ku wodzie. Sasi zbudowali przystań, a samo miejsce nazwali Lundenwic. *Lunden* pochodziło od starej celtycko-rzymskiej nazwy Londinos, a *wic* w języku Anglosasów oznaczało „port” albo „placówka handlowa”.

Powyżej drewnianego pomostu stało kilka budynków otoczonych mocnym ogrodzeniem z wikliny: stodoła, obora, dwa spichlerze i dom Cerdica. Wszystkie zabudowania, zarówno mniejsze, jak i większe, były parterowe i miały kształt prostokąta. Drewniane ściany o wysokości zaledwie półtora metra umocniono od zewnątrz pokrytymi darnią nasypami. Kryte strzechą dachy były strome i wysokie na sześć metrów. Do każdego domu prowadziły solidne drewniane drzwi. W siedzibie samego Cerdica wchodziło się na drewnianą podłogę pokrytą sitowiem. Wnętrze było ciepłe i przestronne, choć dość ciemne, bo przy zamkniętych drzwiach światło wpadało jedynie przez otwory w dachu, którymi uchodził dym z umieszczonego na środku paleniska. Tu właśnie wszyscy domownicy zbierali się na posiłki. Oprócz siedziby pana w osadzie było kilka niedużych chat – w najmniejszej zakwaterowano Offę i Ricolę.

Miejsce było naprawdę piękne. Trawiasty północny brzeg wypiętrzył się na tyle, że widać było z niego duży odcinek rzeki i mokradła po drugiej

stronie. Na prawo, w odległości półtora kilometra, znajdował się bród, a na lewo, w tej samej odległości, pomiędzy drzewami przeświecały ogromne rzymskie ruiny. Z południowego brzegu naprzeciwko wysuwała się żwirowa mierzeja.

– To najlepsze miejsce do łowienia ryb – powiedział któryś z mężczyzn.

Po potężnym rzymskim moście, który kiedyś spinał tu oba brzegi, pozostały jedynie gnijące pale.

Lundenwic było małe, ale Offa wkrótce się przekonał, że panował tu zadziwiający ruch.

– Pan spędza więcej czasu tutaj niż w Bocton – słyszał od ludzi.

Z dalekich miejsc w głębi lądu przybywały do Lundenwic liczne łodzie, a od ujścia Tamizy przypływały nawet statki Normanów, Fryzów i Germanów. W składach leżała ceramika, bele wełny, pięknie kute miecze i wyroby saskiego kowalstwa. Były też budy dla psów.

– Ciągle pytają nas o psy myśliwskie – wyjaśnił nadzorca.

Ale największą ciekawość Offy wzbudził dom stojący na uboczu. Też był przysadzisty i kryty strzechą, ale znacznie dłuższy i węższy od pozostałych. Miał tak niski dach, że w środku ledwo można było stać. Po obu stronach znajdowały się niewielkie zagrody jakby dla świń lub drobnego inwentarza. Do słupów przymocowano łańcuchy.

– Te łańcuchy są do czego? – spytał Offa.

Nadzorca spojrzał na niego z ukosa.

– Dla naszego najcenniejszego towaru. To na nim pan bogaci się najbardziej – odpowiedział cicho.

Offa zrozumiał. Zarówno przed przybyciem Rzymian, jak i teraz wyspa słynęła z niewolników. Sprzedawano ich w całej Europie. Sam papież, jeszcze zanim wysłał Augustyna do Brytanii, zobaczywszy na targu

jasnowłosych niewolników, miał podobno zawołać: „To nie są Anglowie, ale aniołowie!”.

Niewolników nie brakowało. Jedni trafiali w niewolę po przegranych wojnach, które czasem wybuchały pomiędzy rozmaitymi anglosaskimi królestwami. Inni karani byli w ten sposób za przestępstwa. Jednak większość spotykał ten los nie z powodu wojen czy najazdów okrutnych handlarzy, lecz dlatego, że z biedy sprzedawały ich własne rodziny.

– Fryzyjczycy co roku przyjeżdżają po towar – powiedział nadzorca. – Macie szczęście, że to pani was kupiła. Gdybyście należeli do pana, odpłynęlibyście na najbliższym statku – dorzucił z uśmiechem.

Cerdic przedstawił Elfgivie swoje ultimatum drugiego dnia po powrocie. Zrobił to na osobności. Nawet ich synowie nie wiedzieli o tej rozmowie. Wyłuszczył sprawę krótko i bez ogródek.

– Jeśli nie będziesz mi posłuszna, wezmę sobie drugą żonę.

– Oprócz mnie?

– Nie. Zamiast ciebie.

Te słowa zapiekły Elfgivę do żywego. Wiedziała, że jej mąż się nie cofnie.

Nikt nie mógł mu tego zabronić. Anglosaskie prawo dotyczące kobiet mówiło wyraźnie: żona jest własnością męża. Zapłacił za nią. Mógł poślubić więcej żon, jeśli taka była jego wola. A jeśli ona dopuściła się cudzołóstwa, miał prawo ją wygnać, a rywal musiał mu to wynagrodzić, dostarczając nową kobietę. Mężowi wolno było też oddalić żonę, a na jej miejsce wziąć sobie nową.

Co nie znaczy, że wszystkie kobiety żyły w ucisku. Elfgiva znała takie, które umiały okręcić sobie mężów wokół palca. Ale prawo stało po stronie Cerdica.

– Twój wybór – ciągnął Cerdic. – Gdy biskup przyjedzie, będziesz musiała się ochrzcić, nasi synowie też. Jeśli odmówisz, będę miał wolną rękę. Zrobisz, jak będziesz chciała.

We własnych oczach Cerdic postępował uczciwie i etycznie. Dla niego sprawa była prosta. Jako wierny poddany króla Etelberta ochrzcił się na początku roku. Współczuł żonie, ale jej obowiązkiem było posłuszeństwo. Przez tyle lat bardzo się kochali, więc jej odmowa tym bardziej go zabolała. Im dłużej się nad tym zastanawiał, tym mniej miał wątpliwości: z tej sytuacji były dwa wyjścia, dobre i złe. Albo białe, albo czarne. Elfgiva powinna znać swoje powinności. Dalsze dywagacje są bezcelowe, czy się to komuś podoba, czy nie.

Oczywiście Cerdic nie wiedział, że Kościół chrześcijański nie pochwala ani poligamii, ani rozwodów. Ale to nie była jego wina. Misjonarze, mimo że byli ludźmi odważnymi i gotowymi do największych poświęceń, kierowali się pragmatyzmem, więc w kwestii odwiecznych zwyczajów wyznawali prostą zasadę: „Najpierw niech się nawrócą, potem będziemy zmieniać ich obyczaje”. Wykorzenienie poligamii wśród Anglosasów nie udało się misjonarzom jeszcze przez kilka następnych pokoleń.

Mówiąc o nowej żonie, Cerdic miał na myśli córkę właściciela włości przylegających do Bocton.

„Liczyłem, że wydam ją za któregoś z twoich synów, a nie za ciebie”, powiedział ojciec wybranki, gdy Cerdic zjawił się u niego poprzedniego dnia. W końcu umówili się, że jeśli Cerdic oddali żonę, dziewczyna przypadnie jemu, a jeśli nie – jego najstarszemu synowi. Dziewczyna była ładna, miła i rozsądna. Wychowała się w Kencie, gdzie przestrzegano prawa. Zgodziła się na chrzest.

Powinienem był od razu ożenić się z kimś takim jak ona, myślał Cerdic, jadąc z Bocton do Lundenwic. Nie sprawiałaby mi takich kłopotów jak

Elfgiva, dzika i nieokiełznana jak wybrzeża Anglii Wschodniej.

Do tego dziewczyna była młoda. Czyżby o to też mu chodziło? W obecności tej świeżej piętnastolatki czuł, że krew żywiej krąży mu w żyłach. Obawiał się utraty sił witalnych? Nie, zapewniał siebie w myślach, to mi jeszcze nie grozi przez długie lata. Gdyby Elfgiva zachowywała się jak na żonę przystało, nie musiałaby się niczego obawiać.

Słysząc upokarzające ultimatum, Elfgiva pochyliła głowę. Nawet nie zapytała, kim jest druga kobieta. Nie odezwała się ani słowem.

Następnego dnia Cerdic postanowił rozmówić się z synami.

Czekał na to spotkanie z pewną niecierpliwością. Oczywiście uważał, że synowie powinni mu się podporządkować, a zarazem byłby rozczarowany, gdyby nie okazali żadnego sprzeciwu.

Są jak młode byczki, powtarzał sobie. Ale ja nadal mam dość siły, by ich poskromić. Więc teraz, stojąc przed nimi, mówił ostro i stanowczo. Nie chciał jeszcze ujawniać, czym zagroził ich matce. Zapowiedział jedynie przybycie biskupa i przedstawił prośbę króla Etelberta.

– Jesteśmy jego poddanymi – przypomniał. – Dlatego przyjmiecie nową religię tak jak ja.

Czterej młodzieńcy wyglądali na zakłopotanych. Zapewne omawiali wcześniej tę kwestię między sobą, bo spojrzeli na najstarszego, krzepkiego dwudziestoczterolatka, a ten przemówił w ich imieniu:

– Czy wyrzeczenie się naszych bogów jest rzeczywiście powinnością wobec króla?

– Jego bogowie są naszymi bogami. A ja jestem jego poddanym. Król Essexu przyrzekł już posłuszeństwo Etelbertowi – powiedział Cerdic zachęcająco.

– Słyszeliśmy o tym. Ale jego synowie odmówili, nie zamierzają pójść w ślady ojca. Oświadczyli, że nie będą czcić nowego boga.

Cerdic poczerwieniał na twarzy. Nie wiedział o tym, ale w lot pojął, czym to grozi.

– Książęta Essexu będą posłuszni rozkazom ojca – stwierdził stanowczo.

– Jak możesz od nas wymagać, byśmy oddawali cześć tamtemu bogu? – wybuchnął najstarszy syn. – Podobno pozwolił przybić się do krzyża, dał się zabić. Co z niego za bóg? Mamy porzucić Thora i Wodena dla kogoś, kto nie potrafił walczyć?

Cerdic miał dość mgliste pojęcie o wierze chrześcijan; ta kwestia też go niepokoiła.

– Ojciec Chrystusa zsyła potopy i rozdziela morza – powiedział. – A król Franków, od kiedy został chrześcijaninem, zaczął odnosić zwycięstwa. – Zauważył, że te słowa nie przekonują synów. – To sprawka waszej matki – mruknął i odprawił ich gestem dłoni.

Tydzień później Elfgiva otrzymała znak.

Wybrała się na konną przejażdżkę z najmłodszym synem Wistanem. Tak jak zawsze pojechała w górę rzeki ku małej wyspie leżącej obok brodu. Lubiła to miejsce. Niewielka rzymska willa na dawnej wyspie druida zniknęła pod grubą warstwą roślinności, pozostała jedynie wąska dróżka prowadząca do brodu. Rosły tu gęste krzaki jeżyn, dlatego Sasi używali nazwy Thorney, Ciernista Wyspa. Elfgivę przyciągał tutaj duch smutku i melancholii.

Dzień był pogodny, po błękitnym niebie sunęły białe obłoki, rzucając na rzekę ruchome cienie. Wiał chłodny wiatr, więc Elfgiva otuliła się grubą opończą z brązowej wełny. Na uniesionej lewej dłoni miała skórzaną rękawicę. Siedział na niej zakapturzony ptak z zakrzywionymi szponami i ostrym dziobem.

Jak wiele kobiet z wysokich anglosaskich rodów lubiła polowania z sokołami. A na Ciernistej Wyspie łowy zawsze były udane. Chętnie

zabierała ze sobą Wistana. Miał dopiero szesnaście lat i ze wszystkich synów to on był najbardziej do niej podobny. Gdy starsi bracia wyruszali na polowania, dołączał do nich z ochotą, ale lubił też wędrować samotnie i rzeźbić w drewnie. Elfgivie wydawało się, że Wistan kocha ją najbardziej ze wszystkich synów. Zauważyła też, że sprawa nowej religii głęboko go niepokoiła, podczas gdy starsi protestowali jedynie z przekory. Postanowiła go przekonać.

– Wistanie, musisz być posłuszny ojcu. To twój obowiązek.

– Posłucham go, jeśli ty też tak zrobisz – odparł.

Pokręciła głową.

– To zupełnie co innego. Jestem starsza.

– A więc chcesz mu się sprzeciwić? – zapytał.

Nie doczekał się odpowiedzi.

Znajdowali się już na wyspie. Elfgiva zdjęła sokołowi kaptur. Niesamowite piękno złocistych ślepi ptaka zaparło jej dech. Sokół natychmiast rozłożył skrzydła i z niewiarygodną lekkością wzbił się w górę. Patrzyła za nim z zazdrością.

Wznosił się coraz wyżej, wolny jak nadrzeczny wicher. Szybował po niebie, podtrzymywany wiatrem niczym morski żagiel. Nagle zanurkował i bezgłośnie spadł na swoją ofiarę.

Elfgiva patrzyła, jak sokół chwyta ptaka. Na widok nieszczęśnika trzepoczącego bezsilnie skrzydłami, przytrzymywanego przez mocne szpony, ogarnął ją smutek i nawiedziło złe przeczucie. Oto jak okrutne jest życie, jak kruche. W nagłym przebłysku całkowitej jasności zrozumiała wszystko.

Unoszący się w powietrzu sokół był wolny. Tak jak Cerdic. Była pewna, że przyjęcie nowej wiary jest dla niego jedynie wymówką, żeby się od niej odwrócić, ale nawet jeśli się myliła, nie miało to znaczenia. Coś w nim

umarło. Oddalił się od niej i poczuł smak wolności, a to wystarczyło, żeby do głosu doszła natura, bezlitosna i bezwzględna. Nawet jeśli teraz ulegnę, myślała, za rok czy dwa znajdzie inny pretekst. Albo zatrzyma mnie, ale weźmie sobie też młodsze żony. Nic mnie nie uratuje, tak jak tego ptaka w szponach sokoła. Nie dlatego, że Cerdic jest okrutny, ale dlatego że tak jak sokół ulegnie naturze.

Tak chciało *wyrd*. Mówiła jej to cała pradawna pogańska mądrość nordyckich bogów.

Co ma w takim razie zrobić? Nie ulegać. Jeśli Cerdic oddali ją za dochowanie wierności dawnym bogom, to ona przynajmniej ocali godność. Patrząc na zlatującego sokoła, wydała z siebie bezgłośny, słyszany od stuleci krzyk zamężnych kobiet: Możesz mi odebrać miłość, ale godności mi nie odbierzesz.

W drodze powrotnej do domu jeszcze raz napomniała Wistana:

– Bez względu na to, co się stanie, przyrzeknij, że będziesz posłuszny ojcu.

Więcej nie chciała już nic powiedzieć.

Offa nieustająco snuł plany ucieczki, ale napotkał niespodziewaną przeszkodę w osobie własnej żony.

Dziesiątego dnia po jego przybyciu do Lundenwic Wistan i jeden z jego braci wyruszyli łodzią do oddalonego o kilka kilometrów gospodarstwa, skąd mieli odebrać zapasy. Offa popłynął razem z nimi. Za zakrętem rzeki, na którym znajdował się bród, po obu stronach ciągnęły się mokradła usiane małymi wysepkami.

– Na prawo masz Kredową Wyspę – pokazywał Wistan. W języku anglosaskim na określenie malutkiej wyspy używano słowa *eye*, oko. A nazwa „Chelch eye”, kredowa wyspa, brzmiała jak „Chelsea”.

– Naprzeciwko jest wyspa Badrica. – „Badric eye” Wistan wymawiał jak „Battersea”.

Nad oboma podmokłymi brzegami Tamizy było dużo takich oczek oraz jeszcze mniejszych wysepek zwanych *eyot*.

Pojawiały się też liczne osady – pojedyncze gospodarstwa i całe wioski. One także nosiły charakterystyczne saskie nazwy. Te, które odnosiły się do wioski, miały końcówkę *-ham*. Nazwy mniejszych domostw kończyły się na *-ton*, a nazwy rzecznych przystani na *-hythe*. Gdy minęli Kredową Wyspę, Wistan wskazał na północny brzeg, gdzie nad drzewami unosił się dym.

– To jest wioska Fulla, Fullaham – wyjaśnił. – A tam – wskazał wzniesienie leżące jakieś trzy kilometry na północ – jest osada Kensinga, Kensington.

Płynęli w górę rzeki, a Offa patrzył z zachwytem na żyzne ziemie pokryte bujną roślinnością. Za podmokłą niziną ścieliły się łąki, pastwiska, a jeszcze dalej łagodne stoki wzniesień.

– Czy te ziemie ciągną się daleko? – spytał Wistana.

– O, tak – brzmiała odpowiedź. – Pewnie aż do samych źródeł rzeki.

Dlatego po powrocie Offa oświadczył Ricoli:

– Ucieknijmy. Tam, w górze rzeki, da się przeżyć. Jeśli dotrzemy wystarczająco daleko, na pewno znajdziemy dach nad głową.

Ale ku jego zdziwieniu Ricola stanowczo zaprotestowała.

Offa już dawno zauważył, że jego żona, mimo młodego wieku, ma niezależną i buntowniczą naturę. Podobało mu się to. Wesoło przekomarzała się z innymi mężczyznami. A któregoś razu, ku jego przerażeniu, rzuciła lekceważącą uwagę samemu nadzorcy. Zabrzmiało to jednak tak dowcipnie, że mężczyzna jedynie pokręcił głową.

– Ta to nie da sobie w kaszę dmuchać – powiedział ze śmiechem.

Dlatego Offa był pewny, że będzie jej zależało na odzyskaniu wolności tak samo jak jemu. Bardzo się pomylił.

– Chyba oszalałeś – rzuciła. – Mamy włóczyć się po lasach? Żeby nas wilki zjadły?

– Tam nie ma lasów. Jest inaczej niż w Essexie.

Pokręciła głową.

– To nie ma sensu.

– Ale tu jesteśmy niewolnikami!

– I co z tego? Najadamy się do syta.

– Nie chcesz być wolna? – zapytał.

– Nie za bardzo – odpowiedziała bez wahania. – Bo czym jest wolność? – dorzuciła, widząc jego zaskoczenie. – W wiosce byliśmy wolni, a i tak o mało mnie nie utopili. – Zadrżała na wspomnienie worka ze żmiją. – Nawet jeśli uciekniemy, to i tak nie będziemy wolni. Będziemy wyrzutkami. Szczerze mówiąc – uśmiechnęła się – ta niewola wcale nie jest taka zła.

Brzmiało to rozsądnie. Jednak z drugiej strony pojęcie wolności przemawiało do Offy z potężną siłą, mimo że nie umiał wyrazić tego słowami. Była to pierwotna potrzeba – tęsknił za wolnością jak ryba za wodą.

– Nie chcę być niewolnikiem – powiedział po prostu.

Nie wracali już do tego tematu.

Tymczasem Offa znalazł sobie inne zajęcie. Kilka dni po wyprawie w górę rzeki kilku mężczyzn wybrało się na ryby na małą mierzeję na południowym brzegu. Offie pozwolono popłynąć z nimi.

To było doskonałe miejsce na połów. Rosnące na mierzei krzewy i drzewa dawały rybakom świetną osłonę. Można tu było zastawiać sieci i zarzucać liny z przynętą. W przezroczystej wodzie śmigały srebrne

grzbiety ryb. Ale uwagę Offy przyciągnął inny widok – ogromna warownia Londinium.

Widok rzeczywiście był niezwykły. Wprawdzie mur zbudowany nad brzegiem przez ostatnich mieszkańców miasta rozpadł się w wielu miejscach, ale upiorne ruiny rozrzucone na obu wzgórzach wciąż były otoczone przez mocne fortyfikacje.

– Dziwne miejsce – zauważył jeden z mężczyzn, podążając za jego wzrokiem. – Mówią, że zbudowali to olbrzymi.

Offa milczał.

O tej rzymskiej metropolii wiedział więcej niż zwykli Sasi. Co nie było dziwne. Jego przodkowie wynieśli się stąd zaledwie cztery pokolenia wstecz. Wprawdzie on i jego ojciec mieli jedynie mgliste pojęcie o wyglądzie miasta, ale słyszeli, że jest ogromne i że stoją tu wspaniałe budowle z kamienia. I wiedzieli coś jeszcze. To prawda, może przekazywana w jego rodzinie opowieść była jedynie legendą, ale tak jak każda legenda stanowiła kuszącą mieszaninę zmyślenia i prawdy. Od trzech stuleci ojcowie przekazywali synom niezwykłą historię.

– Mój dziadek zawsze mówił, że w mieście są dwa wzgórza – opowiadał ojciec. – Na zachodnim jest ukryte złoto. Wielki skarb.

– Gdzie na wzgórzu? – dopytywał Offa.

– Niedaleko szczytu. Ale nikomu nie udało się go odnaleźć.

I oto teraz miał przed sobą miasto i jego dwa wzgórza.

Gdy mężczyźni zajęli się łowieniem ryb, wsiadł do łódki i przeprawił się na drugi brzeg.

Londinium wyludniło się ponad sto lat wcześniej. Jednak ogromne fortyfikacje z czerwonymi poziomymi pasami, mimo że nadwątlone zębem czasu, wciąż wyglądały imponująco. Dwie zachodnie bramy zachowały się w doskonałym stanie. Pomiędzy nimi wystawały z murów potężne bastiony.

Nad bliższym szczytem górował ogromny kamienny amfiteatr z poszarpanym wyłomem z jednej strony. Stał na tle nieba jak przygarbiony strażnik, który zdawał się mówić: Rzym tu jeszcze wróci.

Strumień po zachodniej stronie nosił teraz saską nazwę Fleet, chociaż nieco dalej, w górnym biegu, nazywano go Holebourne. Offa wspiął się po zboczu i wszedł przez bramę do miasta.

Miasto duchów. Przed sobą miał szeroką rzymską arterię, teraz pokrytą trawą i mchem, które tłumiły odgłos kroków. Sasi nie zdawali sobie sprawy ze znaczenia Londinium, więc nie zajęli miasta. Ale od czasu do czasu przechodzili tędy, a nawet przepędzali bydło, więc starą pajęczynę rzymskich ulic, uliczek i zaułków pokryła nowa sieć. Ścieżki i szlaki wydeptane w zrujnowanym mieście przez bydło prowadziły na ogół prostą drogą od jednej bramy do drugiej, jednak napotykając przeszkody, jak choćby amfiteatr, wiły się i zakręcały w dziwnych miejscach, sprzecznych z logiką planów rzymskich budowniczych.

Offa był całkiem sam. Wszedł na wyżej położony teren w południowo-wschodniej części miasta, ale wycofał się szybko, zobaczywszy kruki. Podążył dalej nad strumykiem płynącym pomiędzy wzgórzami, a gdy strumyk zniknął pod północnym murem, wspiął się na gzyms, skąd mógł wyjrzeć na drugą stronę. Zbudowane przez Rzymian kanały były od dawna niedrożne, więc pustkowie po drugiej stronie zamieniło się w błotniste moczary.

Zszedłszy znów na nabrzeże, zauważył niezwykle interesującą rzecz. Zniszczone pomosty znajdowały się pod wodą, a przecież zbudowano je w taki sposób, że dało się po nich chodzić suchą nogą. Czy to miasto się zapadło, czy poziom wody się podwyższył?

Zaobserwowane przez Offę zjawisko miało dwie przyczyny. Po pierwsze, arktyczna czapa lodowa, która rozrosła się podczas ostatniej

epoki lodowcowej, powoli topniała, przez co poziom mórz i wód w rzekach się podnosił. Po drugie, w wyniku przesuwania się ogromnych płyt geologicznych południowo-wschodnia część Brytanii chyliła się w kierunku morza. Połączone działanie obu czynników sprawiało, że poziom wody w Tamizie w okolicach ujścia podnosił się co sto lat średnio o dwadzieścia centymetrów. Juliusz, przodek Offy, fałszował monety w roku 250, a od tamtego czasu woda w rzece podniosła się o ponad siedemdziesiąt centymetrów.

– Gdzie jest złoto? – zawołał Offa, jakby spodziewał się, że miasto udzieli mu odpowiedzi.

Przeszukał zagadkowe ruiny świątyni Mitry, wrócił do forum, skąd ruszył szeroką aleją w stronę zachodniego wzgórza. Mijał zwalone kolumnady, zburzone domy, z których przez otwory okienne wyrastały drzewa, zaglądał w zakrzewione zaułki, jakby rozmieszczenie i wygląd pamiątek z przeszłości mogły mu podsunąć wskazówkę. Od czasu do czasu zamykał oczy i mamrotał modlitwę do Wodena, a potem zaczynał krążyć w kółko z nadzieją, że bóg pokaże mu właściwy kierunek.

Do wyszukiwania wody używa się różdżki, myślał. Może w ten sam sposób da się znaleźć ukryte pod ziemią złoto? Ale jaka różdżka byłaby do tego najlepsza? Jeszcze przez ponad godzinę kręcił się po okolicy. W końcu zaczęło zmierzchać.

– Ja tu jeszcze wrócę – mruknął pod nosem.

Nareszcie miał jakiś cel. Znany był z tego, że nigdy się nie poddaje. Postanowił nie mówić o swoich poszukiwaniach nikomu, nawet Ricoli.

Zbliżał się koniec *haligmonath*, świętego miesiąca.

Ricola nie chciała opuszczać Lundenwic z jeszcze jednego powodu: czuła coraz bliższą więź ze swoją panią.

Elfgiva też ją polubiła. Może dlatego, że dziewczyna była nowym mieszkańcem w osadzie, może dlatego, że ją też los ciężko doświadczył, a może dlatego, że Elfgiva zawsze marzyła o córce. Często przyzywała ją do siebie pod różnymi pretekstami – czasem, by dotrzymywała jej towarzystwa, ale najczęściej kazała jej szczotkować sobie włosy i zaplatać warkocz, do czego Ricola miała szczególny talent. I chętnie to robiła.

Przy okazji uważnie obserwowała swoją panią – nigdy wcześniej nie znała wysoko urodzonej kobiety. Wyróżniał ją nie tylko strój – długa, przepasana w talii szata zamiast prostej tuniki – ale i sposób zachowania. Na czym polegała ta różnica?

– Złości się i śmieje tak jak ja. Może nie jest tak gadatliwa, ale inne kobiety też są małomówne – tłumaczyła Ricola mężowi. – A mimo to jest inna. Chyba po prostu jest wielką panią.

– Wiem, o co tu chodzi – oznajmiła po jakimś czasie. – Ona zachowuje się tak, jakby była nieustannie obserwowana.

– Jasne, obserwują ją ludzie, którzy pracują dla pana – zgodził się Offa.

– Wiem. I myślę, że ona też zdaje sobie z tego sprawę. Ale – Ricola zmarszczyła brwi – to nie wszystko. Jej przecież nie obchodzi, co sobie o niej pomyślę. Jestem tylko jej niewolnicą. Ale nawet gdy jesteśmy same, wie, że jest obserwowana. Ja to czuję.

– Może wie, że obserwują ją bogowie?

– Może. Ale moim zdaniem to chodzi o jej rodzinę. O jej zmarłego ojca, dziadka, o wszystkich przodków z wielu pokoleń. Pilnuje się na każdym kroku, bo myśli, że na nią patrzą. Tak uważam. – Skinęła głową z zadowoleniem. – I śmiem twierdzić, że kiedy chodzi po osadzie jak ty czy ja, to razem z nią idą wszyscy przodkowie aż do boga Wodena. Są w jej umyśle przez cały czas. Na tym polega bycie wielką panią.

Offa spojrzał na żonę z zastanowieniem. Zrozumiał, co ma na myśli.

– Chciałabyś być taka jak ona? – zapytał.

Ricola roześmiała się w głos.

– I mieć taki ciężar na swoich barkach? Wolałabym skończyć w worku ze żmiją!

Offa zachichotał, słysząc to zdroworozsądkowe wyznanie.

– Mówię ci, ona ma ciężkie życie – dorzuciła Ricola poważnie. – Sama widziałam. Wspominałam ci, że pan ją czymś skrzywdził. Nie wiem, co to było, ale ona bardzo cierpi. Ale nic nie mówi, bo jest wielką panią.

– Nic nie możemy na to poradzić – mruknął Offa.

– Nic – przytaknęła Ricola. – Niestety.

Gdy Elfgiva dopuściła Ricolę do nowych zajęć, więź między nimi pogłębiła się jeszcze bardziej.

W tych dawnych czasach anglosaskie kobiety słynęły z robótek ręcznych, ale haft zarezerwowany był dla najwyżej urodzonych. Z prostej przyczyny – potrzebne materiały były drogie i trudno dostępne. Ricola siadywała wieczorami u stóp Elfgivy i zafascynowana patrzyła, jak jej pani pracuje w świetle kaganka.

– Najpierw bierzesz kawałek lnianego płótna – tłumaczyła Elfgiva. – Na królewskim dworze haftuje się na jedwabiu. Na tkaninie trzeba narysować wzór. – Ku zaskoczeniu Ricoli Elfgiva nie sięgnęła po rysik, lecz posłała po Wistana. – On ma lepszą rękę niż ja – wyjaśniła.

Rzeczywiście, Wistan rysował przepięknie. Najpierw ze środka pociągnął w dół długą krętą linię.

– To będzie łodyga – wyjaśnił.

Potem dorysował wyrastające z niej mniejsze łodyżki i różne gatunki liści i kwiatów. W rezultacie na lnianym płótnie powstało małe dzieło tak podobne do rzeczywistości, że rośliny wyglądały jak żywe, a jednocześnie tak abstrakcyjne, że przypominało orientalne wzory.

Teraz Wistan naszkicował kilka gwiazd i ozdobił rysunek prostym cieniowaniem. A na koniec, zostawiwszy wolną przestrzeń wokół rośliny, zaczął rysować bordiurę. To też wymagało mistrzowskich umiejętności. Spod jego ręki wychodziły geometrycznie ułożone kwiaty, ptaki, zwierzęta, magiczne symbole – splatały się ze sobą misternie jak ogniwa bransolety. Po wewnętrznej stronie obrzeża, niczym krokusy wychylające się wiosną z chłodnej ziemi, wyrastały dziwne rośliny o delikatnie zwiniętych listkach i niskie drzewka, zmysłowe i niezłomne – wdzierały się na wolną przestrzeń, jakby chciały powiedzieć: sztuką rządzi ład, ale natura zawsze zwycięży. Była to esencja anglosaskiego ducha.

Dopiero teraz Elfgiva naciągnęła płótno na ramę i przystąpiła do żmudnej pracy. Zaczęła od środka.

Ściegiem krzyżykowym wypełniała listki.

– Kiedy Fryzyjczycy przyjeżdżają po niewolników – tłumaczyła, nawlekając jedwabne nitki w różnych odcieniach zieleni na igły z brązu – zawsze przywożą mi jedwab z południa.

Najwyraźniej nie była zadowolona z efektu, bo w kilku miejscach dodała też złotą nitkę i kilka drobnych perełek. Potem wzięła gruby sznurek z zielonego jedwabiu, ułożyła go na wijącej się łodydze i przyszyła zieloną nitką. Na koniec wokół głównych zarysów dodała kilka kolorowych linii.

– Teraz zajmiemy się obrzeżem. – Uśmiechnęła się. – To nam zajmie wiele miesięcy.

Zauważywszy, że Ricola ma zwinne palce, Elfgiva pozwalała jej czasem wyhaftować kilka ściegów. Z rozbawieniem patrzyła na zachwyt młodej niewolnicy. Zgodziła się nawet, by Offa mógł przyjść i zobaczyć, czym się zajmują.

A Ricola nieustannie przyglądała się swojej pani, podziwiając jej wytworne maniery, i każdego dnia zadawała jakieś nowe pytania –

o suknie, o życie na dworze, o posiadłość w Bocton – budując z odpowiedzi coraz większy obraz. Jednocześnie starała się być jak najbardziej użyteczna.

– Chcesz, żebyśmy byli wolni – przypomniała mężowi. – A jeśli pani nas polubi, to może kiedyś da nam wolność. – Rozpromieniła się. – Musimy zdobyć się na cierpliwość. Czasem warto poczekać.

Elfgiva też grała na zwłokę. Cerdic zranił ją głęboko, ale szybko zrozumiała, że musi ukryć swój ból. „Jeśli twojemu mężowi zdarzy się pobłądzić – powiedziała jej kiedyś stara kobieta – masz tylko jedno wyjście". Żeby przytrzymać męża, który zaczął rozglądać się za innymi kobietami, trzeba go jak najszybciej zwabić do łoża. A potem powtarzać to jak najczęściej. Wszelkie inne środki podpowiadane przez rozum albo moralność są bezowocne. Elfgiva zastosowała się do starej mądrości. Nie dąsała się, nie kłóciła, nie tchnęła chłodem, lecz każdego wieczoru po wieczerzy starała się uwieść i zaspokoić Cerdica. Kilka razy budziła się o świcie w jego ramionach, leżała wówczas cicho, wsłuchując się w śpiew ptaków i myśląc, że skoro udało się jej go zadowolić, to chociażby z przyzwyczajenia, tego największego sojusznika wszystkich małżeństw, on zostanie przy niej. I nawet teraz, pomimo wieku, modliła się do bogów swoich przodków: „Dajcie mi jeszcze jedno dziecko". Albo: „Dajcie mi więcej czasu. Oby ten biskup jeszcze tu nie przyjeżdżał".

Tak minął kolejny miesiąc.

Sasi nazywali listopad krwawym miesiącem, *blodmonath*. Przed nadejściem zimowych śniegów bito woły, ostatnie liście, szorstkie od przymrozków, opadały z drzew na ziemię i twardniały po jesiennych deszczach.

Na początku *blodmonath* do osady przypłynął statek. Przybywał z frankońskich ziem położonych nad Renem. Offa miał pomagać przy

rozładunku. Po raz pierwszy widział prawdziwy dalekomorski okręt. Sasi mieli wprawdzie mocne i wytrzymałe tratwy, a nawet szerokie łodzie wiosłowe, jednak ten statek przewyższał je pod każdym względem.

Najbardziej intrygującą częścią była stępka. Stercząca ponad rufą drewniana krawędź opuszczała się łagodnym łukiem do wody, przechodziła dołem wzdłuż pokładu i wreszcie wynurzała się jako wspaniały dziób wygięty dumnie nad wodą. Offa patrzył z zachwytem.

– Zupełnie jak te powyginane linie, które rysowaliście, panie, do haftów pani Elfgivy – powiedział do stojącego obok Wistana.

Wistan przytaknął.

Do stępki przymocowane były wręgi, a na nich burty ułożone z desek przybijanych gwoździami na zakładkę. Statek miał smukłą sylwetkę, ale szerokie śródokręcie zapewniało mu dużą ładowność. Znajdowały się na nim dwa niewielkie pokłady, rufowy i dziobowy, oraz jeden maszt z reją, na której rozpinano żagiel. Ale główny napęd nadawało mu sześć par długich wioseł.

Offa miał przed sobą okręt wikingów. Sasi przybyli na wyspę na podobnych łodziach. Pod jedną z nich, na wschodnioangielskim wybrzeżu, pochowano ojca Elfgivy.

Ładunek też budził ciekawość: piękna, toczona na kole szara ceramika, pięćdziesiąt ogromnych dzbanów z winem, a dla króla sześć skrzyń wypełnionych dziwnym przezroczystym tworzywem, którego Offa nigdy wcześniej nie widział.

– To szkło – wyjaśnił mu jeden z marynarzy.

Na ziemiach położonych nad Renem wino i szkło znane były od czasów rzymskich.

W ten właśnie sposób Offa po raz pierwszy w życiu poczuł, czym jest wielkie dziedzictwo mające swoje korzenie za morzem. Jego przodkowie

byli tego dziedzictwa częścią, z niego wyłoniło się otoczone murami miasto, dawniej tętniące życiem, a dziś opustoszałe, miasto, po którym tak lubił wędrować.

Kilka dni później jeszcze mocniej zetknął się ze światem Rzymu.

Znów wymknął się do pustego miasta i spędził dwie godziny na zachodnim wzgórzu. Ponieważ uznał, że ma dużo czasu – może nawet całe życie, pomyślał ponuro – postanowił poprowadzić metodyczne poszukiwania. Za każdym razem skupiał się na niewielkim wybranym kawałku terenu, dokładnie go penetrował, dopóki nie zyskał pewności, że poznał wszystkie zakamarki. Dopiero wtedy ruszał dalej.

Tamtego popołudnia w połowie zbocza od strony rzeki znalazł obiecujący dom z piwnicą. Przyklęknął i zrobioną na poczekaniu łopatą rozgarniał gruz, gdy nagle wydało mu się, że słyszy czyjeś nawoływania. Wstał i spojrzał w górę.

Z tej strony grzbiet był bardziej odsłonięty. Piece do wypalania terakoty już dawno się rozpadły, jednak o ich obecności świadczyły liczne wystające z ziemi płytki i dachówki. Z małych świątyń pozostały jedynie kamienne kikuty, na których kiedyś opierały się kolumny. Ten skrawek terenu przypominał trawiasty podest, z którego roztaczał się widok na rzekę.

Zobaczył tam dwóch mężczyzn. Jeden pilnował koni, a drugi, niski, ubrany w czarną szatę do kolan, chodził w tę i z powrotem, jakby czegoś szukał. Offę nawiedziło złe przeczucie: na pewno też szukają skarbu. Ciekawe, skąd o nim wiedzą. Chciał schylić się i zniknąć im z oczu, ale człowiek w czerni obejrzał się i go zauważył.

Offa zaklął w duchu. I co teraz? Mężczyzna wskazał go palcem. Mają konie, pomyślał Offa, nie dam rady uciec.

– Lepiej rżnąć głupka – mruknął pod nosem i ruszył powoli w ich kierunku.

Mężczyzna w czerni wyglądał dziwnie. Był niewysoki, miał gładko wygoloną, nalaną twarz i siwe włosy z tonsurą na czubku głowy. Ależ on jest podobny do jajka!, pomyślał Offa.

Gdy podszedł bliżej, drobne rysy mężczyzny i małe uszy jeszcze bardziej pogłębiły to wrażenie. Offa gapił się na niego szeroko otwartymi oczami, jednak mężczyzna się uśmiechnął.

– Jak ci na imię? – zagadnął. Mówił po angielsku, jak Anglosasi nazywali swój język, ale z dziwnym akcentem, którego Offa nie umiał rozpoznać.

– Offa, panie. A wam? – spytał śmiało.

– Mellit [6].

Zmarszczył brwi, słysząc dziwne imię, a potem się rozejrzał.

– Pewnie jesteś ciekaw, co ja tutaj robię – rzucił domyślnie dziwny mężczyzna.

– Owszem, panie.

Mellit pokazał mu w odpowiedzi kontur, który zaczął układać z kamieni. Wyglądało to jak zarys fundamentów jakiejś niewielkiej prostokątnej budowli.

– Tu ją zbuduję – oznajmił.

Miejsce rzeczywiście było ładne; rozciągał się stąd widok w trzech kierunkach.

– Co zbudujecie?

Dziwny człowiek znów się uśmiechnął.

– *Cathedralis* – odpowiedział, posługując się łacińskim słowem. – Świątynię prawdziwego Boga – dodał, widząc zmieszanie na twarzy Offy.

– Wodena?

Mężczyzna pokręcił głową.

– Chrystusa.

Wtedy Offa zrozumiał, kogo ma przed sobą.

W Lundenwic wszyscy już wiedzieli, że przybędzie do nich gość z Canterbury. Biskup czy ktoś taki. W każdym razie jakaś ważna persona. Offa patrzył ze zdziwieniem na mnicha w czarnym habicie. Nie wygląda na kogoś ważnego, pomyślał. Ale na wszelki wypadek lepiej uważać.

– A z czego zamierzacie budować, panie? – zapytał. Przypuszczał, że przyjdzie mu dowozić w to miejsce ogromne ilości drewna.

– Z tych kamieni – odpowiedział Mellit, wskazując leżące wokół pozostałości budowli i terakotowe płytki.

Ale dlaczego tutaj?, zastanawiał się w myślach Offa. Przypomniał sobie jednak, jak nadzorca bydła opowiadał mu, że niedaleko stąd składano kiedyś ofiary z byków, więc uznał, że znajdują się w sakralnej części miasta. Skinął głową.

– A ty co tutaj robisz? – spytał nagle przybysz.

Offa zrobił się czujny.

– Nic takiego, panie. Rozglądam się.

– Szukasz czegoś? – Mężczyzna się uśmiechnął. Offa zauważył, że w jego ciemnych, łagodnych oczach pojawił się błysk zaciekawienia. – Może mógłbym ci pomóc? – dorzucił Mellit łagodnie.

Co ten człowiek wie? I kiedy tak chodził w tę i z powrotem ze wzrokiem utkwionym w ziemię, naprawdę wyznaczał jedynie zarys przyszłej budowli? Dowiedział się o zakopanym złocie? Zaproponował bezinteresowną pomoc czy próbuje wybadać, co Offa wie? Ten biskup to sprytny człowiek, lepiej zachować ostrożność.

– Muszę już wracać do swojego pana – mruknął Offa. Zaczął się oddalać, wiedząc, że Mellit cały czas go obserwuje.

Dlaczego biskup postanowił zbudować katedrę w opuszczonej warowni, w pobliżu osady oddalonej od świata?

Odpowiedź była prosta i leżała w Rzymie.

Papież wysłał Augustyna z misją chrystianizacyjną do Brytanii, lecz przykazał mu, by nie bawił długo w Canterbury. Wprawdzie frankońska księżniczka ofiarowała misjonarzom gościnę, ale poza tym Kent nie był wart szczególnego zainteresowania. Papież zamierzał nawrócić całą wyspę. A co wiedział o Brytanii? Że w dawnych czasach była prowincją Rzymu.

„Kroniki mówią wyraźnie – tłumaczył mu archiwista. – Wyspa była podzielona na dwie prowincje, a każda miała swoją stolicę: na północy York, na południu Londinium. Londinium miało wyższą rangę". A kiedy Augustyn i jego towarzysze zaprotestowali, donosząc, że miasto jest opustoszałe, a król Kentu okazuje najdalej idącą pomoc, z Rzymu przyszła stanowcza odpowiedź: „Król będzie miał biskupa w Canterbury. Ale wy macie jak najszybciej wznieść kościoły w Yorku i w Londinium". Rzymska tradycja musi zostać zachowana.

Właśnie dlatego biskup Mellit znalazł się wśród ruin. Mnich umiał dostrzec dobre strony papieskiej decyzji. W pobliżu znajdowała się ruchliwa osada, a jednocześnie katedra miała powstać w obrębie potężnych, majestatycznych murów. Samo miejsce, położone wśród starych świątyń, budziło podziw. A kościół wzniesiony przez Mellita miał stać się katedrą. Jej patrona też już wybrano.

Katedra będzie pod wezwaniem Świętego Pawła.

Tego wieczoru biskup zatrzymał się we dworze Cerdica. Towarzyszył mu niewielki orszak: trzech służących, dwóch młodych księży i stary szlachcic od króla Etelberta. Cerdic chciał wydać z tej okazji wielką ucztę, ale mnich stanowczo odmówił.

– Jestem zmęczony – wyznał. – I chcę jak najszybciej ruszyć w drogę do króla Essexu. Wrócę jednak za miesiąc, będę nauczał i chrzcił. Wtedy wydacie ucztę.

Zapowiedział, że następnego ranka odprawi mszę w miejscu, gdzie powstanie kościół. Cerdicowi udało się jedynie uprosić biskupa i jego towarzyszy, by na tę noc zajęli jego dwór. Sam z rodziną poszedł spać do stodoły.

Dzień wstał jasny i pogodny. Wczesnym rankiem biskup Mellit zaprowadził towarzyszy do pustego miasta. Jeden z młodych księży zabrał ze sobą bukłak z winem, a drugi torbę z jęczmiennym chlebem. Szlachcic z dworu Etelberta niósł prosty drewniany krzyż wysoki na dwa metry. Gdy dotarli na wzgórze, wbił krzyż w ziemię. Mellit i dwaj młodzi księża zaczęli się przygotowywać do odprawienia mszy.

Cerdic rozglądał się z zadowoleniem. Oto za chwilę na oczach całej rodziny on i stary szlachcic przyjmą komunię. Napawało go to dumą.

– Na północnym brzegu Tamizy tylko ja jestem ochrzczony – powiedział do szlachcica.

Kiedy katedra zostanie zbudowana i poświęcona, to z całą pewnością zawitają tu królowe Kentu i Essexu ze swoimi dworami. A wtedy on, jako ten, który pomagał biskupowi w budowie, zajmie wśród nich honorowe miejsce.

Irytowało go tylko jedno. Poprzedniego wieczoru synowie zapytali go, czy muszą pojawić się na uroczystości.

– A jaki macie powód, żeby odmówić? – zapytał.

– Chcieliśmy wybrać się na polowanie – odpowiedzieli lekko.

Cerdic wpadł w furię.

– Pójdziecie ze mną i będziecie zachowywać się jak należy! – ryknął. A gdy młodzieńcy poprosili, by wyjaśnił im znaczenie ceremonii, wrzasnął ze złością: – Nieważne, co to znaczy. Macie okazać szacunek swojemu ojcu i królowi. Ani słowa więcej.

Ale patrząc teraz na nich, na ich najlepsze szaty, porządnie przyczesane włosy i brody, uznał, że wystawiają mu dobre świadectwo. Przystąpił do mszy w dużo lepszym humorze.

Nabożeństwo nie trwało nazbyt długo. Mellit wygłosił krótkie kazanie, w którym wychwalał charakter króla Kentu i wyraził radość, że mogą w tym miejscu oddawać cześć Bogu. Po anglosasku mówił dobrze, płynnie i swobodnie. Cerdic kiwał z uznaniem głową. A potem nadeszła chwila komunii. Konsekrowano wino i chleb. Nastąpił cud Eucharystii. Cerdic z dumą wystąpił do przodu obok szlachcica, który też był już ochrzczony.

I wtedy Elfgiva, nie rozumiejąc nic z tych obcych obrzędów, ale chcąc sprawić przyjemność mężowi, który być może nadal ją kochał, ponagliła synów:

– Idźcie za ojcem i róbcie to co on.

Posłuchali jej niechętnie.

Czterej synowie Cerdica, czerwieniąc się nieco, zrobili kilka kroków do przodu i zatrzymali się przed księdzem udzielającym komunii. Zerkając na siebie niepewnie, przyklęknęli i czekali na swoją kolej. Cerdic nie spodziewał się tego, więc zauważył ich dopiero wtedy, gdy wstał i usłyszał głos biskupa.

– Zostaliście ochrzczeni?

Młodzieńcy spojrzeli na niego nieufnie. Mellit ponowił pytanie. Domyślił się, że nie.

– Czego chce ten wygolony dziwoląg? – mruknął najmłodszy.

– Daj nam trochę magicznego chleba – odezwał się najstarszy. – Tak jak naszemu ojcu. – Wskazał na Cerdica.

Mellit patrzył na niego ze zdziwieniem.

– Magicznego chleba?

– Właśnie. – Nie wiedząc, że postępuje niewłaściwie, sięgnął do naczynia trzymanego przez biskupa.

Mellit zrobił krok w tył. Ogarnęła go złość.

– Tak traktujesz hostię? Nie masz szacunku dla ciała i krwi naszego Pana! – krzyknął. A widząc, że czterej młodzieńcy zupełnie nie rozumieją, o co mu chodzi, odwrócił się z wściekłością do Cerdica.

– To tak wychowujesz swoich synów, głupcze? – wrzasnął tak głośno, że echo odbiło się od murów. – Tak okazujesz szacunek swojemu najwyższemu władcy?

Myśląc, że biskupowi chodzi o króla Kentu, Cerdic poczerwieniał ze wstydu i upokorzenia.

Zapadła zatrważająca cisza. Spojrzał na synów.

– Co wy tu robicie? – rzucił przez zaciśnięte zęby.

Najstarszy wzruszył ramionami.

– To ona kazała nam podejść po chleb. – Wskazał matkę.

Cerdic znieruchomiał na dłuższą chwilę. Był wzburzony. Nie pouczył odpowiednio swoich synów, nie umiał zapanować nad rodziną, do tego jeszcze sam nie do końca rozumiał znaczenie komunii. Robił to co jego król. Wydawało mu się, że to wystarczy. Ale teraz został zbesztany na oczach królewskiego wysłannika, upokorzony przez biskupa, wyszedł na głupca i słabeusza. Nigdy tak o sobie nie myślał. Poczuł straszliwy ból. W gardle mu zaschło, twarz poczerwieniała. Krztusząc się, gestem nakazał synom, by podnieśli się z klęczek. A potem podszedł do Elfgivy. Spojrzał na nią i pojął, że to jej wina. Nie doszłoby do tego, gdyby nie jej nieposłuszeństwo i brak lojalności. Posłużyła się synami, żeby okryć go wstydem. Przemknęło mu przez myśl, że nie zrobiła tego celowo, ale to i tak nie miało znaczenia. Ona była wszystkiemu winna.

Z rozmysłem uderzył ją otwartą dłonią w twarz.

– Widzę, że nie chcesz być już moją żoną – powiedział cicho.

Podszedł do konia, wsiadł i zjechał ze wzgórza.

Kilka godzin później na trakcie prowadzącym z Lundenwic ukazało się pięciu jeźdźców. Zmierzali ku strumieniowi nazywanemu Fleet, który płynął pod zachodnimi murami miasta. Jednak zamiast przejechać na drugą stronę po drewnianym moście, ruszyli kawałek dalej w górę strumienia. Zsiedli z koni. Na porośniętym murawą brzegu czekali na nich Mellit i jego księża. Czterej młodzi mężczyźni, obserwowani przez Cerdica, rozebrali się i na polecenie księży wskoczyli kolejno do lodowatej wody.

Biskup Mellit okazał miłosierdzie. Trzymał ich w wodzie zaledwie krótką chwilę i nakreśliwszy nad każdym znak krzyża, pozwolił im się osuszyć i ubrać. Zostali ochrzczeni.

Cerdic przyglądał się temu ze spokojem. Po kompromitacji podczas mszy z najwyższym trudem udało mu się przekonać rozwścieczonego biskupa, żeby nie wyjeżdżał natychmiast. A Mellit, uznawszy w końcu, że przysporzy to jego sprawie większej korzyści, zgodził się zostać kilka godzin dłużej, żeby odprawić ważną ceremonię dla młodych pogan.

– Ośmielę się twierdzić, że już niedługo przyjdzie nam chrzcić ludzi znacznie gorszych – powiedział z uśmiechem do swoich księży.

Patrząc na ociekających wodą synów, Cerdic miał jeszcze jeden powód do zadowolenia. Wściekłość, którą wylał na nich po powrocie do osady, odniosła skutek. Pokazał, kto jest panem i władcą. Nie wspominając już ani słowem o polowaniu, potulnie przystąpili do chrztu.

Ale pewna osoba nie była świadkiem tej sceny.

Elfgiva pozostała sama we dworze, płacząc w ukryciu.

Wieść gruchnęła następnego dnia. Do Kentu wysłano posłańca z wiadomością: pan chce pojąć nową żonę. Elfgiva zostanie oddalona.

Osada była wstrząśnięta, mimo że spór między państwem trwał od kilku tygodni. Nikt jednak nie ośmielił się powiedzieć słowa. Cerdic był ponury i milczący. Elfgiva była przeraźliwie blada, ale zachowywała się z godnością, którą wszyscy respektowali. Niektórzy zastanawiali się, czy zostanie w osadzie na przekór Cerdicowi. Inni uważali, że wróci do Anglii Wschodniej.

Jednak to nie odtrącenie ani nawet upokorzenie najboleśniej ugodziło Elfgivę. Największym ciosem było nie to, co się stało, lecz to, do czego nie doszło.

Liczyła na to, że synowie staną w jej obronie. Albo przynajmniej zaprotestują. Ale oni zbyli to milczeniem.

Owszem, trzej najstarsi przyszli do niej po kolei. Owszem, współczuli jej. I radzili, żeby też się nawróciła, bo może wtedy uda jej się pogodzić z mężem. Ale nie mówili tego z nadzieją.

– Ich strach przed ojcem jest silniejszy niż miłość do mnie – zauważyła półgłosem, patrząc któregoś dnia samotnie na rzekę. – I podejrzewam nawet, że bardziej kochają polowanie niż własną matkę.

Z wyjątkiem szesnastoletniego Wistana. Gdy przyszedł do niej na rozmowę, był pogrążony w rozpaczy. Kipiał ze złości na ojca, aż Elfgiva musiała mu tłumaczyć, by ze względu na nią nie prowokował Cerdica i nie doprowadzał go do większej wściekłości.

– Przecież nie możesz się temu podporządkować! – rozpaczał.

– Nic nie rozumiesz.

– I nie chcę tego rozumieć – powiedział na zakończenie.

Trzy dni po tej rozmowie Cerdic wracał samotnie z Thorney. Ku swojemu zdziwieniu zobaczył na ścieżce Wistana. Syn najwyraźniej czekał tu na niego.

Zrobił groźną minę i zbliżył się do chłopca, witając go lekko zauważalnym skinieniem głowy. Spodziewał się, że to chłodne przyjęcie zmusi Wistana do milczenia. Ten jednak się nie cofnął.

– Ojcze, muszę z tobą porozmawiać – powiedział stanowczo.

– Nie mam zamiaru z tobą rozmawiać. Zejdź mi z drogi. – U większości ludzi ten władczy ton wywoływał drżenie, ale młodzieniec nie zamierzał ustąpić.

– Chodzi o matkę. Nie wolno ci jej tak traktować.

Cerdic był krzepkim mężczyzną. Miał też żelazną siłę charakteru i umiał egzekwować swoją wolę. Ludzie się go bali. Spojrzał groźnie na syna.

– To sprawa tylko między nami! – ryknął. – Zamilcz!

– Nie, ojcze, nie będę milczał.

– Będziesz mi posłuszny. A teraz zejdź mi z drogi!

Był dużo potężniejszy, więc odepchnął chłopaka i wściekły ruszył przed siebie.

Ten chłopak jest najlepszy ze wszystkich, zauważył w myślach.

Ale zdania o Elfgivie nie zmienił.

Wysłany przez Cerdica umyślny wrócił po czterech dniach, przywożąc odpowiedź od ojca dziewczyny: panna młoda przybędzie do Bocton dwa tygodnie po zimowym święcie Jul.

Cerdic i Elfgiva mieli zwyczaj przenosić się do Bocton na długo przed świątecznymi obchodami. Jednak otrzymawszy wiadomość, Cerdic oznajmił:

– W tym roku będziemy obchodzić Jul w Lundenwic. A potem przeniosę się na zimę do Bocton.

Jego decyzja nie pozostawiała wątpliwości. Stary porządek dobiegł końca. Nadchodziły nowe czasy.

Mieszkańcy osady na swój sposób dostosowywali się do nowej sytuacji. Zmiana nastrojów była niezauważalna, ale w miarę upływu czasu nie dało się jej zaprzeczyć.

Elfgiva wciąż tu mieszkała. Cerdic nie odesłał jej, więc formalnie wciąż była jego żoną. Jednak ludzie coraz częściej zachowywali się tak, jakby już jej nie było. Gdy wydawała jakieś polecenie, byli posłuszni, ale w ich spojrzeniach widziała, że bardziej myślą o tym, jak zadowolić nową panią.

– Zaczynam się czuć we własnym domu jak gość – mruknęła kiedyś pod nosem. – I to taki, który zasiedział się zbyt długo – dodała z gorzką ironią.

Wszyscy zastanawiali się, kiedy wyjedzie, ale ona cały czas nie podjęła decyzji, co powinna zrobić. Miała brata w Anglii Wschodniej, ale nie widziała go od wielu lat. W wiosce oddalonej o kilka kilometrów od jej rodzinnego domu mieszkali dalecy krewni. Może tam?

– Przecież Cerdic nie wyrzuci mnie do lasu! – zawołała z rozpaczą.

Zauważyła jednak, że ogarnia ją coraz większe zniechęcenie. Zdecyduję przed samym Jul, pomyślała.

Cerdic też nic nie mówił. Nie wiedziała, czego on oczekuje ani jak zamierza się o nią zatroszczyć. Niby wciąż była jego żoną, ale trwała w dziwnym stanie zawieszenia.

Ricola spędzała coraz więcej czasu ze swoją panią. Elfgiva była małomówna i pełna godności, jednak czasami, gdy samotność stawała się nie do zniesienia, zwierzała się niewolnicy. Ricola widziała, że rośnie przepaść między małżonkami.

– Pan już z nią nie sypia – opowiadała Offie. – Jestem tego pewna.

Z niezwykłą czułością i delikatnością szczotkowała i zaplatała Elfgivie włosy. A gdy któregoś razu pani wyznała, że nie wie, co ze sobą począć, zapytała łagodnie:

– Skoro pan chce was oddalić, to dlaczego nie poczynił żadnych przygotowań?

– To proste – odpowiedziała Elfgiva ze smutnym uśmiechem. – Dobrze go znam. On jest rozważnym kupcem. Odeśle mnie dopiero wtedy, gdy będzie miał przy sobie nową żonę. Ani chwili wcześniej.

– Ja bym odeszła sama – wyrwało się Ricoli.

Elfgiva milczała.

Ten stan niepewności niósł ze sobą jeszcze jeden problem.

– Jeśli ona stąd wyjedzie, to co się stanie z nami? – spytał któregoś wieczoru Offa. Był skonsternowany. – Kupiła nas. Czy to znaczy, że będziemy musieli pójść za nią?

– A cóż by innego! – zawołała Ricola z oburzeniem, zaskoczona mocą swoich słów. – Ocaliła mi życie – dodała, jakby chcąc wytłumaczyć ten emocjonalny wybuch. Spojrzała na Offę. – A ty chcesz zostać przy niej? – spytała.

Offa był zaskoczony tym pytaniem i nie umiał udzielić odpowiedzi. Dokąd Elfgiva ich zabierze? Przypomniał sobie gęste lasy Essexu. Nie miał ochoty tam wracać. Niewiele wiedział o zimnych, otwartych przestrzeniach Anglii Wschodniej. A potem przypomniał sobie żyzną dolinę Tamizy i złoto ukryte w opustoszałym mieście.

– Nie wiem – powiedział w końcu. – Nie mam pojęcia.

Mijały kolejne dni. W życiu Ricoli miały miejsce dwa drobne wydarzenia, o których nikomu nie wspomniała. Pierwsze dotyczyło Cerdica.

Było to tydzień po chrzcie jego synów. Zatrzymał na Ricoli wzrok. Właściwie nic szczególnego. Wychodziła z głównego domu, pochylając głowę w niskich drzwiach, a on zbliżał się od przystani. Minęli się, a on spojrzał na nią uważnie.

Nie zdziwiło jej to ani specjalnie nie poruszyło. Była zmysłową kobietą i lubiła tę swoją cechę. Od tygodnia nie miał kobiety, pomyślała, gdy się mijali. Nie zaniepokoiła się też, gdy następnego dnia wydarzyło się to samo. Uznała jednak, że lepiej będzie schodzić mu z drogi. I lepiej, żeby Offa nie dowiedział się o tym, dodała w myślach, uśmiechając się do siebie.

Druga okoliczność była dużo przyjemniejsza. Pod koniec *blodmonath* zorientowała się, że jest w ciąży. Poczekam jeszcze miesiąc, żeby mieć pewność, pomyślała uradowana. Z pewnym niepokojem zaczęła się jednak zastanawiać, gdzie i z czego będą żyć, gdy dziecko przyjdzie na świat.

Offa pracował sumiennie, żeby zadowolić swojego pana. Kilka razy udało mu się wymknąć do opuszczonego miasta. Sklecił sobie kilof i łopatę i przekopywał nimi miejsca, w których mógł być ukryty skarb. I właśnie po jednej z tych potajemnych wypraw zauważył, że do osady dostarczono nowy towar.

Sześciu niewolników. Przyprowadził ich nieokrzesany, odrażający handlarz, jednak Cerdic przywitał go uprzejmie.

– Późno przyjechałeś w tym roku – zauważył.

Postawnych ciemnowłosych mężczyzn przywiązano do liny. Wyglądali na wycieńczonych i przygnębionych.

– Król Nortumbrii najechał w zeszłym roku Szkotów – wyjaśnił handlarz. Uśmiechnął się szeroko. – To jeńcy. Gdy wyruszałem z północy, miałem ich ponad setkę. Tylko tylu mi zostało.

– Najgorsze resztki?

– Sami zobaczcie. Nie są tacy źli.

Cerdic obejrzał ich uważnie. Nie miał większych zastrzeżeń.

– Wyglądają na zdrowych – przyznał. – Ale będę musiał ich karmić przez całą zimę. Handel niewolnikami ruszy dopiero wiosną.

– Mogą dla was pracować.

– Jak śniegi przyjdą, to i pracy będzie niewiele.

– To prawda. Ile za nich zapłacicie? – Kupcy lubili robić interesy z Cerdikiem, bo mówił szczerze i nie tracił czasu. Offa zauważył, że dwaj mężczyźni idą razem do dworu. Niedługo potem handlarz odjechał.

Na razie jeńcy zamieszkali w domku dla niewolników. Na noc skuwano im nogi, a za dnia po dwóch przyuczano do pracy: spławiali drewno albo remontowali składy. Offa przyglądał się im ze współczuciem, zastanawiając się, jaki los ich czeka.

Dopiero po upływie całego dnia zorientowano się, że Wistan zniknął. Nikt nie wiedział, dokąd pojechał. Wspomniał jedynie jednemu z braci, że wybiera się na polowanie. Dziwne, bo nigdy nie polował sam. A kiedy nie wrócił na noc, Elfgiva zaczęła się martwić.

– Na pewno chodzi o jakąś dziewczynę – powiedział Cerdic oschle. – Wróci.

Ale następnego dnia spochmurniał, bo Wistan też się nie zjawił.

– Wyjechał bez pozwolenia. Będzie musiał się z tego wytłumaczyć.

Kolejny dzień i kolejna noc minęły bez żadnych wieści.

Wistan wstał przed świtem. Gdy niebo zaczynało blednąć, przekroczył bród niedaleko Ciernistej Wyspy. Prawie suchy wydostał się na drugi brzeg, bo koń musiał płynąć jedynie na niewielkim odcinku przeprawy. Dalej droga prowadziła na południe, ku wznoszącym się nad mokradłami zboczom. Później Wistan skręcił na wschód i podążał równolegle do rzeki.

Dzień był chłodny i bezchmurny. Jadąc przez dębowe lasy, chłopiec widział na przeciwległym brzegu niewyraźne kontury opuszczonego miasta. Dzieliły go od niego trzy kilometry. Teren zaczynał się wznosić, tworząc pasma coraz wyższych wzgórz. Wreszcie nad horyzontem wzeszło słońce i przed Wistanem ukazała się wspaniała rozmigotana rzeka, krętym

nurtem zmierzająca ku morzu. Nad brzegiem, u podnóża długiego stoku, leżała maleńka wioska Greenwich. Dalej, gdzie łańcuch wzgórz poszerzał się, rzadkie dębowe lasy ustępowały miejsca rozległym wrzosowiskom. Wistan jechał teraz dawną rzymską drogą porośniętą trawą. Nazajutrz po południu powinien dotrzeć do Rochester.

Zamierzał spotkać się z dziewczyną.

Przenocował w Bocton. A wczesnym rankiem ruszył dalej, zatrzymując się jedynie na krótką chwilę, by z zachwytem popatrzeć na panoramę Weald.

Znał rodzinę dziewczyny, ale jej samej nie widział od kilku lat. A wtedy, pomyślał cierpko, była takim samym chudym dzieciakiem jak ja. Wciąż nie mógł uwierzyć, że ojciec ma się z nią ożenić.

Dotarł do celu późnym przedpołudniem. Zatrzymał się jednak wśród drzew w pewnej odległości od zabudowań. Czekał. W końcu ją zobaczył. Wyszła z domu i szczęśliwym zrządzeniem losu podążyła ścieżką biegnącą niedaleko jego kryjówki.

Przypuszczał, że to ona. Gdy się przybliżyła, z trudem ją rozpoznał, oto bowiem chuda dziewczynka zamieniła się w kobietę. Do tego bardzo piękną. Była prawie tego samego wzrostu co on. Miała delikatny meszek nad górną wargą, jasne włosy zaplecione w warkocz i błękitne oczy o inteligentnym spojrzeniu. Nie skończyła nawet piętnastu lat. Gdy znalazła się dziesięć metrów od niego, odważył się ją w końcu zawołać.

– Edith!

Nie przestraszyła się na widok młodzieńca, który wyrósł przed nią na ścieżce, była jednak zaskoczona. Przyjrzała mu się ze spokojem.

– My się chyba znamy – powiedziała w końcu, uśmiechając się. – Wistan, prawda? – Skinął głową. – Co ty tutaj robisz? – zaciekawiła się. – I dlaczego chowasz się w lesie?

– Obiecasz, że nikomu nie powiesz o moim przyjeździe?

– Jak chcesz.

– Przyjechałem, bo… – Westchnął głęboko, zdając sobie sprawę, że za chwilę wypowie okropne słowa. – Przyjechałem, żeby ci powiedzieć, że cię nie chcemy.

Rozmawiali prawie godzinę. Bez trudu skłoniła go do zwierzeń. Z ulgą zauważył, że się nie rozzłościła.

– A więc przybyłeś, bo chcesz uratować swoją matkę, tak? – podsumowała rozmowę. – Ale opowiedziałeś mi tyle o swoim ojcu, że chyba chciałeś ocalić również mnie – dodała z uśmiechem.

Zmieszał się, a Edith zachichotała. Nagle rozległy się nawoływania.

– Idź stąd – powiedziała szybko. – Natychmiast. Szukają mnie.

Skinął głową. Dziewczyna odwróciła się i ruszyła w stronę zabudowań.

– Co teraz zrobisz? – zawołał za nią półgłosem.

Ale ona zniknęła już między drzewami.

Nastał czwartek, dzień Thora, władcy piorunów.

Od powrotu Wistana do osady minął tydzień. Cerdic dał prawdziwy popis wściekłości, zagroził nawet synowi chłostą, ale słysząc jego nieporadne wyjaśnienia, że wybrał się na polowanie, spotkał przyjaciół, a potem zgubili się na bezdrożach, uśmiechnął się pod nosem.

– Mówiłem, że wybrał się do jakiejś panny – rzucił do nadzorcy bydła.

I kilka razy posłał chłopakowi znaczące spojrzenie.

Tego dnia nadeszły wieści, niespodziewane jak grom z jasnego nieba. Przyobiecana narzeczona zmieniła zdanie. Posłaniec od jej ojca, wyraźnie zakłopotany, wytłumaczył, że zaszło nieporozumienie. Dziewczyna nie przybędzie.

Cerdic już wcześniej zauważył, że jego najmłodszy syn jest zdenerwowany. A teraz, widząc jego pobladłą twarz, domyślił się

wszystkiego. W trakcie wściekłej kłótni prawda wyszła na jaw. Cerdic wpadł w szał i chwycił bicz. Zatłukłby chłopaka na śmierć, gdyby Wistan nie uciekł po kilku uderzeniach.

Ale co teraz? Rozważał przez chwilę, czy nie posłać po dziewczynę ponownie i nie zmusić jej ojca do dotrzymania umowy, ale uznał, że byłoby to poniżej jego godności. Poza tym po co upierać się przy małżeństwie z młodą kobietą, która już zaczyna sprawiać kłopoty? Mało miał problemów z tak lojalną przecież Elfgivą?

Przez kilka dni chodził rozeźlony po osadzie. Wistan rozsądnie nie pokazywał mu się na oczy. Jednak złość powoli ustępowała, a w jej miejsce pojawiło się zmęczenie. Mimo wszystko Cerdic tęsknił za dawnym małżeństwem, w którym znajdował czułość i pociechę. W każdym razie, pomyślał cierpko, lepsze to niż uganianie się za dzierlatkami, które co chwila zmieniają zdanie.

Kilka razy spojrzał życzliwie na Elfgivę, ale nie dała mu żadnego znaku, w jego obecności była zimna, sztywna i odrętwiała.

Tydzień później pojawił się we dworze i zastał tam żonę w towarzystwie niewolnicy. Oznajmił jej ze spokojem, że jeśli zechce pójść w ślady swoich synów i się ochrzcić, zaprzestanie poszukiwań nowej żony i przyjmie ją z powrotem.

– Zastanów się nad tym do jutra – powiedział łagodnie.

Po chwili jednak wybiegł rozwścieczony jak nigdy wcześniej.

Elfgiva odmówiła.

Ricola patrzyła oniemiała na swoją panią.

– To szaleństwo – powiedziała w końcu.

Jeszcze tydzień wcześniej takie słowa w ustach niewolnicy byłyby nie do pomyślenia, ale w ciągu ostatnich dni wiele się wydarzyło.

Wieczorami Elfgiva popadała w rozpacz, zalana łzami. Ricola była wtedy przy niej. I to do niej Elfgiva zwróciła się po pomoc, gdy Wistan uciekł do lasu przed wściekłością ojca. Ricola wysłała Offę, żeby go odnalazł, a potem ukryła chłopaka na noc w swojej chatce. „Tutaj nikt go nie będzie szukał”, zauważyła, uśmiechając się szeroko. Gdy rankiem Cerdic udał się na przystań, potajemnie przyprowadziła Wistana do matki. I słyszała jego błagania: „To ja sprawiłem, że dziewczyna nie przybędzie. Dasz się teraz ochrzcić i wrócisz do ojca?”.

Dlatego Elfgiva teraz nie zbeształa swojej niewolnicy za bezczelność. Wpatrywała się w milczeniu w ogień.

Bo prawdę powiedziawszy, nie wiedziała, co począć. Wzruszyły ją błagania syna i to, co dla niej zrobił. Czy po takich dowodach miłości może mu odmówić? Ale to nie było takie proste. Czy coś się naprawdę zmieniło? Proszą mnie dziś, żebym uległa, myślała. Mówią, że wszystko będzie dobrze. Ale co wydarzy się jutro? Czy Cerdic nie zacznie oglądać się za innymi kobietami? Znów będę przez to przechodzić, tylko z jeszcze większym bólem?

Słuchała przekonywań Ricoli.

– Jeśli się nie nawrócisz, to on na pewno zacznie szukać sobie innej żony. Nie pozwoli zrobić z siebie głupca. Może pewnego dnia oddali cię, ale lepiej zaryzykować niż już dziś skazywać się na wygnanie. – Młoda kobieta pokręciła głową. – Darowanemu koniowi nie patrzy się w zęby. Nie masz nic do stracenia.

– Poza godnością.

Ricola miała sceptyczną minę. Ale dla piętnastolatki lub niewolnicy, pomyślała Elfgiva, godność nie znaczy tak wiele.

Siedziały w milczeniu przez dłuższą chwilę. W końcu Elfgiva, czując coraz większe zmęczenie, odesłała niewolnicę. Ricola zatrzymała się

w drzwiach.

– Ten twój mąż nie jest taki zły – powiedziała śmiało. – Jeśli go odtrącisz, to pamiętaj, że jest wiele kobiet, które chętnie go wezmą. – Miała nadzieję, że te słowa dadzą jej pani do myślenia.

Święto Jul było coraz bliżej, a w mieszkańców Lundenwic wstępowało jakby nowe życie. Offa wraz z innymi mężczyznami wciągnął do dworu wielką kłodę, która miała wolno płonąć przez kolejne dni. Słońce wprawdzie odeszło, ale tu, na ziemi, światło tlącego się paleniska miało przetrwać aż do powrotu wiosny. Ricola pomagała kobietom. Na świąteczną ucztę gromadzono mięso saren i jeleni, ze spiżarni znoszono wielkie garnki owocowych konfitur – z jabłek, gruszek i jeżyn. Przygotowywano też napitki, między innymi *morat* – saski specjał sporządzany z miodu i soku jeżynowego.

A im bliżej było do uczty, tym bardziej kobiety plotkowały przy pracy, zastanawiając się, czy Elfgiva będzie obchodzić święto ze wszystkimi.

A Elfgiva była rozdarta jak nigdy. Coraz częściej nawiedzały ją miłe wspomnienia z minionego roku. Nie miała dokąd pójść. Cerdic oschłym tonem ponowił swoją propozycję. Gotowa była przyjąć jego warunki. Rozumiała, czym są dla niego duma i poczucie obowiązku. Ale czy ona nie ma prawa do dumy i szacunku?

Gdyby chociaż zechciał mnie o to poprosić, powtarzała z żalem w myślach. Gdyby okazał serdeczność, a nawet trochę skruchy. Ale nie, zostawił ją samą sobie jak jakieś zwierzątko przywiązane do drzewa w środku burzy.

Właśnie w tym czasie Ricola wymyśliła plan, który miał ocalić jej panią. Plan dokładnie odzwierciedlał jej sposób widzenia świata: odwoływał się do zmysłów, był praktyczny i jednocześnie odważny, żeby nie powiedzieć zuchwały. Offa wpadł w przerażenie, gdy się o nim dowiedział.

– Teraz to ty zwariowałaś! – krzyknął.

– Uda się, zobaczysz – przekonywała go. – Jestem pewna. Jeśli tylko przeprowadzimy go umiejętnie. – Uśmiechnęła się. – Pomyśl o tym, co ona dla nas zrobiła. Poza tym co mamy do stracenia?

– Wszystko – odpowiedział.

Wysłannik króla Etelberta pojawił się niespodziewanie. A przywieziona przez niego wiadomość wprawiła Cerdica w lekką irytację.

– Biskup Mellit wraca, tak jak zapowiedział. Będzie głosił nauki – obwieścił posłaniec. – Macie zebrać wszystkich ludzi z okolicy, żeby mogli go wysłuchać.

– Teraz? – zawołał Cerdic. – Dlaczego akurat w samo Jul?

Zrobił jednak, co mu kazano. Gdy dwa dni później biskup przybył w towarzystwie dziesięciu księży i kilkunastu dostojników z Kentu, czekał już na niego kilkusetosobowy tłum wieśniaków z okolicznych wiosek.

– Dziś mamy sobotę – oznajmił Mellit. – Jutro będę nauczał, a potem udzielę chrztu.

Reszta dnia upłynęła na gorączkowych przygotowaniach. Szykowano dla gości miejsca do spania – we wszystkich zabudowaniach rozkładano snopki słomy i przykrywano je derkami. Ze spiżarni znoszono ogromne połcie wołowiny. Zajęci byli wszyscy, nawet Elfgiva, która zarządzała wszystkim tak jak dawniej, na co Cerdic patrzył z wielkim podziwem. Wistan pojawił się w osadzie, a ojciec, widząc go przy ciężkiej pracy, unikał zadrażnień.

Jednak drobny zgrzyt o mało nie zepsuł odświętnej atmosfery. Towarzyszący Mellitowi mnisi zaczęli patrzeć podejrzliwie na tę krzątaninę zapowiadającą wielką ucztę, niestosowną zarówno podczas adwentowego postu, jak i w dniu bożonarodzeniowej wigilii. Jednak Melitt uśmiechnął się tylko.

– Nie czas się tym martwić – uspokajał ich. – Nie wiem jak wy, ale ja zjem dziś obfity posiłek z naszymi saskimi przyjaciółmi – dorzucił, wywołując tym jeszcze większe zgorszenie.

Jak zapowiedział, tak zrobił.

W sobotnie przedpołudnie biskup Mellit w otoczeniu wielkiego tłumu wkroczył do pustego miasta i wspiął się na wzgórze, na którym miała stanąć katedra Świętego Pawła. Nie przyniósł ze sobą chleba na komunię, zabrał za to szczególny przedmiot, który niesiono na przedzie.

Był to ogromny drewniany krzyż. Już sama jego wielkość była imponująca – wbity w ziemię miał wysokość ponad trzech i pół metra i nadawał temu miejscu godność prawdziwej świątyni. Jednak największe wrażenie wywoływała wspaniała rzeźba.

Na krzyżu wisiała figura Chrystusa z szeroko rozpostartymi ramionami. Spojrzenie pustych, wydrążonych oczu wyrażało zarówno ustanowiony w Rzymie porządek piekła i nieba, jak i srogie nordyckie poczucie przeznaczenia. Ale uwagę zgromadzonych Sasów przykuło przede wszystkim wspaniałe rękodzieło. Figurę Zbawiciela otaczały cudownie wyrzeźbione geometryczne wzory złożone z roślin, ptaków i zwierząt – tak misternie przeplatające się motywy, stanowiące wspaniały przykład anglosaskiej sztuki, od dawna były ich powodem do chwały. A teraz, połączone z symbolami chrześcijaństwa, miały głosić chwałę anglosaskiego Kościoła.

„Nie niszczyć tego, co jest głęboko zakorzenione, ale przejmować jako swoje” – tak brzmiała jedna z zasad misjonarzy.

Właśnie dlatego biskup Mellit przybył do Lundenwic w czasie obchodów saskiego święta Jul. Tak samo postąpił Kościół chrześcijański kilka wieków wstecz, zamieniając pogańskie, nieco frywolne Saturnalia

w swoje święto. A dzień urodzin perskiego boga Mitry, wypadający 25 grudnia, stał się dniem narodzin Chrystusa Pana.

„Skoro Anglosasi są przywiązani do swojego Jul – tłumaczył Mellit mnichom – to musimy zrobić z niego chrześcijańskie święto”.

Stojąc teraz przed drewnianym saskim krzyżem, Mellit obserwował uważnie zgromadzony tłum.

Byli tu wszyscy. Rolnicy, pasterze, nawet Offa i Ricola. Przyszła też Elfgiva. Nie wiedząc, kogo zostawić na straży w osadzie, Cerdic nakazał przyprowadzić również niewolników pojmanych na północy – stali spętani z tyłu.

A więc ci prości ludzie, niemal sami poganie, zostaną moją trzódką, pomyślał Mellit. I być może będą czasem przychodzić do małej kamiennej katedry, którą zbuduję w środku opustoszałej warowni. Trzeba ich kochać i troszczyć się o nich, a jeśli Bóg okaże łaskę, także dawać im przykład.

Biskup był realistą, ale także człowiekiem głębokiej wiary. Zawsze powtarzał swoim księżom: „Nasz Pan zbawił świat. Ale wasze zadanie jest dużo skromniejsze. Jeśli uda wam się ocalić chociaż jedną duszę, to znaczy, że dobrze się sprawiliście”.

– Bóg jeden wie, którą z tych dusz uda nam się ocalić – mruknął półgłosem, patrząc z uśmiechem na wieśniaków.

Offa przyglądał się wszystkiemu zafascynowany. Nabożeństwo nie było długie. Księża odśpiewali kilka psalmów i responsoriów po łacinie, więc niczego nie zrozumiał. Śpiew był dziwnie nosowy, a wśród tych szarych ruin brzmiał smutno i niepokojąco. Offa znudził się i już miał wymknąć się przed zakończeniem ceremonii, gdy nagle jego uwagę przykuł jajogłowy mnich, który zaczął przemawiać do zebranych nie po łacinie, lecz po angielsku, w języków Anglosasów.

I to jak przemawiał! Offa był zdumiony. Wiedział, że dziwny ksiądz zna język wyspiarzy, ale tego się nie spodziewał. Zapewne uczył się od bardów, którzy śpiewali na królewskim dworze, pomyślał.

Anglosaska angielszczyzna była przepiękna. Różnorodne połączenia samogłosek nadawały jej szczególną nastrojowość i poetycką powtarzalność dźwięków. Germańskie spółgłoski szeptały, trzeszczały i zderzały się ze sobą. Pojedyncze wersy strof, nawet tych uroczystych, miały różne akcenty i różną długość, zgodną z naturalnym rytmem opowiadanej przez poetę historii. Był to język nordyckich sag, język ludzi związanych z morzem, rzeką i lasem. Gdy bardowie śpiewali pieśni, słuchacze czuli uderzenia toporów, widzieli padających pod ciosami herosów, tropili jelenie w gęstwinie, słyszeli śpiew ptaków i uderzenia łabędzich skrzydeł o wodę. Sztuka poetycka nie polegała na układaniu rymów, lecz na mistrzowskim użyciu aliteracji, której ten mocny język wyjątkowo sprzyjał, na wydobywaniu ogromnego bogactwa powtórzeń działających na wyobraźnię.

Kaznodzieja doskonale opanował ten kunszt. Przemawiał prosto i łagodnie. Mówił o przybyciu Pana na ziemię: oto Bóg w ludzkim ciele otworzył ludziom drogę do cudownego miejsca, które nazwał niebem. Nie tylko poległym w bitwie herosom, nie tylko królom i szlachetnie urodzonym, ale także biedakom, kobietom, dzieciom, a nawet niewolnikom takim jak Offa. Niewiarygodne.

A kim jest ten Bóg? Bohaterem, ale też kimś więcej, tłumaczył Mellit. Jest jak Frejr [7], ale znacznie go przewyższa. Urodził się w zimie, właśnie w tych dniach. Przyszedł na świat w chłodzie i mroku, ale przyniósł ze sobą obietnicę wiosny, obietnicę wiecznego życia.

Offa wiedział, że Frejr to bóg młody, dobry i powszechnie kochany.

– Bóg Wszechmogący jest młodym bohaterem, Frejrem wszystkich ludzi – mówił biskup żarliwie, sięgając po wyobrażenia z anglosaskich wierzeń. – On zmywa nasze grzechy wodą życia.

I ten Frejr, którego nazywał Chrystusem, został ukrzyżowany.

– Powiesili Go na krzyżu, ale On powstał z martwych! – zawołał donośnie Mellit. – Poświęcił się, żeby odkupić nasze grzechy i dać nam życie wieczne.

Wiedział, jak przemówić do słuchaczy.

Dlaczego ten Frejr musiał zginąć na krzyżu? Tego Offa nie do końca zrozumiał. Ale słowa biskupa zawierały jasne przesłanie. Oto ten młody bóg oddał się w ofierze za nich wszystkich. Dziwne, ale jednocześnie wspaniałe. Po raz pierwszy w życiu Offa miał wrażenie, że przeznaczenie nie musi być ponure i niepoznawalne jak *wyrd*, ale może rozpraszać lęki i dawać nadzieję na szczęście. Aż zadrżał z niewysłowionej radości.

A skoro Chrystus poświęcił się dla nas – to miała być istota dzisiejszego kazania Mellita – to musimy pokazać, że jesteśmy tego warci, też musimy być gotowi do poświęceń, do pojednania z bliźnimi.

– Nie ma miejsca na wzajemną wrogość, na nieustępliwość, na urazy – mówił Mellit. – Jeśli poróżniłeś się z sąsiadem, sługą albo żoną, idź do nich i napraw to. Wybacz im i sam poproś o wybaczenie. Nie myśl o sobie. Bądź gotów poświęcić swoje pragnienia. Bóg obiecał, że będzie nas chronił i przeprowadzi nas przez mroki śmierci, jeśli w Niego uwierzymy.

Na koniec wyrecytował donośnie strofę inspirowaną anglosaską poezją:

Na szczycie wzgórza, na oczach niebios
Nasz Pan zawisł na drzewie krzyża.
I świat zapłakał nad wojownikiem bez skazy
A mroczny cień przesłonił słońce.
Za nas oddał życie i krew swą przelewał
Król wszystkiego stworzenia Chrystus Ukrzyżowany.

Oczarowany tłum oniemiał. A potem podniósł się szmer, jak ciche westchnienie. Słowa rzymskiego księdza poruszyły wszystkich do głębi.

Offa patrzył z zachwytem. Czy słowa o pojednaniu i wybaczeniu nie odnoszą się do Cerdica i jego żony? A reszta? Nie do końca to zrozumiał, ale ku swojemu wielkiemu zdziwieniu miał wrażenie, że obietnica nieba, wezwanie do poświęceń są skierowane do niego. Drżąc ze wzruszenia, pozostał na swoim miejscu aż do końca nabożeństwa.

Gotowe na chrzest owieczki biskup poprowadził nie nad Fleet za murami miasta tak jak poprzednim razem, ale nad mały potok płynący pomiędzy dwoma wzgórzami. Pod surowym spojrzeniem Cerdica wszyscy jego domownicy na znak Mellita wystąpili do przodu. Offa, Ricola, a nawet zdezorientowani niewolnicy z północy zanurzyli się w wodzie, a ci, którzy mieli tę przykrość za sobą, patrzyli na nich z zadowoleniem. Cerdic, jego synowie i dostojnicy z Kentu, ochrzczeni wcześniej, przyglądali się wszystkiemu z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku.

Dopiero na koniec ceremonii Cerdic spojrzał surowo na Elfgivę.

Nie umiała rozeznać się w swoich uczuciach, bo mimo wewnętrznego sprzeciwu była tak samo wzruszona jak Offa. Biskup przemówił wprost do jej serca. Czyżby istniała gdzieś nadzieja większa niż ta, którą mogli ofiarować nordyccy bogowie, posępni i okrutni? Czy to możliwe, że zapisane w niebiosach przeznaczenie jest przesycone miłością, niosącą ukojenie nieszczęśnikom takim jak ona? Gdyby była tu sama, gdyby nie czuła na sobie wzroku Cerdica, wystąpiłaby do przodu z innymi. Ale on patrzył na nią twardo i bezwzględnie jak zawsze. Zawahała się. Mam mu ulec, pomyślała, on niczego więcej nie chce.

Biskup Mellit wyszedł ze strumienia i ruszył wprost ku niej. Zauważył jej rozdarcie, zauważył ponurą minę Cerdica i przypomniawszy sobie

przykrą scenę między nimi, której był świadkiem kilka tygodni wcześniej, stanął obok Elfgivy i gestem przywołał jej męża.

– Chcesz przyjąć chrzest, Elfgivo? – spytał łagodnie.

– Takie jest życzenie mojego małżonka.

Mellit się uśmiechnął.

– Ochrzczę twoją żonę, przyjacielu – zwrócił się do Cerdica – kiedy poprosi mnie o to z potrzeby serca. Dopiero kiedy sama tego zapragnie, a wierzę, że tak się stanie, nie wcześniej. A ty, Cerdicu, masz okazać chrześcijańskie miłosierdzie – dodał bardziej stanowczym tonem. – Wtedy ona chętniej będzie ci posłuszna.

Wrócił do swoich obowiązków, wierząc, że taki przykład wyrozumiałości z jego strony pozwoli zbliżyć się małżonkom do siebie na nowo.

Cerdic usilnie prosił Mellita, by zechciał pozostać w Lundenwic do następnego dnia, ale biskup, mimo że był to Dzień Pański, chciał jak najszybciej ruszać dalej.

– Nasi bracia spodziewają się nas dziś wieczorem w Essexie – usprawiedliwiał się. – Mamy przed sobą długą drogę.

Niedługo potem ruszył z orszakiem przez miasto, kierując się ku wschodniej bramie. Cerdic i cała reszta wracali powoli ścieżką prowadzącą do Lundenwic. Pochód zamykał Offa.

Pod wieczór się ociepliło. A po słowach biskupa w osadzie zapanował jakiś szczególny spokój. Offie wydawało się, że twarze kobiet i mężczyzn jakby złagodniały. Tak, jego pan też ma otwarte serce i tej nocy na pewno pogodzi się z żoną. Przecież słowa biskupa wzruszyły go tak samo jak innych. Jednak ze smutkiem zauważył, że Cerdic udaje się na spoczynek do jednej z chat, zostawiając Elfgivę samą.

Późną nocą leżał przytulony do Ricoli, wciąż przeżywając wydarzenia minionego dnia.

– Myślałem o naszym panu i pani – szepnął.

– I co?

– Tak dużo jej zawdzięczamy. Ocaliła nam życie.

– Masz rację.

– Źle się stało. Musimy coś z tym zrobić.

– Chodzi ci o mój plan?

– Nie wiem. Ale nie możemy tego tak zostawić.

Największe obchody święta Jul wypadały w wigilię najkrótszego dnia w roku, dwa dni po wyjeździe Mellita.

Ten czas nazywano północą roku. Słońce świeciło tylko przez kilka godzin. Z zachodu napływały szare chmury i zawisały nad rzeką jak ciężki koc. Mężczyźni ustawiali we dworze stoły na mocnych stojakach i gromadzili opał przy palenisku. Wszyscy byli zgodni, że jeszcze przed końcem uczty rozpęta się śnieżyca. Rzeczywiście, koło południa niebo po zachodniej stronie przybrało pomarańczowy odcień zwiastujący opady śniegu.

Ricola była bardzo zajęta. Piekła chleb, robiła owsiane placki i pomagała kobietom przekręcać rożen z wielkimi płatami dziczyzny. Dym z paleniska uchodził przez otwór w dachu, mięso powoli piekło się nad ogniem, wydzielając smakowity zapach. Wykonywała wszystkie czynności niemal machinalnie, bo cały czas rozmyślała nad swoim planem. A im dłużej się nad tym zastanawiała, tym bardziej była pewna, że się uda bez względu na to, co Offa o tym myśli.

Jej plan, który tak przeraził męża, opierał się na dwóch prostych podstawach.

Pierwszą była jej wiedza o mężczyznach. A drugą przekonanie, że rozumie swoją panią.

– Wiem już wszystko – tłumaczyła Offie. – Przyglądałam się jej. Nie potrafi podjąć decyzji. Już myślała, że go straciła, a teraz widzi, że może go odzyskać. Chciałaby mu ulec, ale tak bardzo boi się odtrącenia, że nie umie wykonać pierwszego kroku. A on też tego nie zrobi, bo… – Szukała w myślach wytłumaczenia, rozważając wszystkie możliwości. – Bo to mężczyzna. – Uśmiechnęła się. – A wiesz, jaka ona jest? – Wstała i niezwykle przekonująco odegrała scenkę, w której kobieta nie może się zdecydować, czy wskoczyć do rzeki, czy nie. – Jest już bardzo blisko. Trzeba ją jedynie lekko popchnąć. – Uśmiechnęła się znowu. – Lekko popchnąć, nic więcej.

– I kto niby miałby to zrobić? – spytał Offa.

– My – odpowiedziała z powagą.

Właśnie teraz przyszła pora na wprowadzenie planu w życie.

– Rozgryzłam ją – oświadczyła Ricola. – A z nim pójdzie nam łatwo.

– A jeśli się nie uda? Jeśli coś pójdzie nie tak? – Już sama taka myśl była dla Offy przerażająca.

– Uda się – zapewniła go. – Tylko musisz zrobić to, co ci powiem.

Na ucztę przybyło kilkanaście osób. Chętnie przyjmowali zaproszenia Cerdica i korzystali z jego gościny.

We dworze zapalono mnóstwo kaganków. Przy długim stole było tłoczno. Nawet niewolnicy – Offa, Ricola i czterech innych – mogli dołączyć do wspólnej biesiady. Wszyscy mieli już rozweselone, zaczerwienione od piwa twarze. Jeden z pasterzy uraczył zgromadzenie piosenką. Gdy światło dnia zaczęło przygasać, spadł śnieg, który najpierw pokrył słomiany dach białym pudrem, a potem powoli stopniał. Na niebie wciąż gorzała pomarańczowa poświata.

Niepokój nie opuszczał Offy. W uszach dźwięczały mu słowa Ricoli: „Głuptasie, przecież to nic strasznego. Ostatnio rzucał na mnie okiem. To normalne. Ale my możemy to wykorzystać, nie rozumiesz?”.

Czy jego żona ma rację? Widział w jej planie głównie niebezpieczeństwo, ale go uspokajała: „Pani Elfgiva jest moją przyjaciółką. Nie będzie na mnie zła. Jeśli nic nie zrobimy, a ona zostanie odesłana, to czeka nas marny los. Pójdziemy z nią na tułaczkę albo spotka nas coś jeszcze gorszego”.

Przed nabożeństwem nie chciał się zgodzić. A teraz nie mógł pojąć, jak to się stało, że zmienił zdanie. Czyżby uznał, że powinni zaryzykować dla kobiety, która ocaliła im życie? A może kazanie biskupa zrodziło w nim dziwne przekonanie, że za sprawą tego wspaniałego nowego boga wszystko dobrze się ułoży? Wystarczy wierzyć w Niego, mówił Mellit. Więc Offa wierzył. O, tak, Frejr będzie miał nad nimi pieczę.

Jednak teraz ogarnęły go wątpliwości. Próbował odpędzić te myśli od siebie. Ale gdy miłe ciepło pieczonego mięsa i moc korzennego piwa powoli rozeszły się po jego ciele, przyznał Ricoli rację. To będzie nic nieznaczące zdarzenie. Jeśli się uda, to dobrze, a jeśli nie, to żadna krzywda nikomu się nie stanie. Sięgnął po drewniany kubek i napił się więcej piwa.

Jego pan też pił dużo. Wyglądał na zadowolonego, ale nie tracił czujności. Elfgiva, która zdaniem Offy wyglądała w złotym naszyjniku równie pięknie jak dużo młodsze kobiety, podawała gościom miód pitny i piwo. Dziękowano jej i wznoszono toasty na jej cześć, zapewniano o przyjaźni i lojalności. Wszystko wyglądało jak należy.

Offa zauważył, że Cerdic, zarumieniony od miodu, kilka razy spogląda na Elfgivę. Niech ona też na niego spojrzy, modlił się w duchu. Nawet niewielki znak pokory mógłby wiele zmienić. Gdyby okazała mu dziś

posłuszeństwo, plan Ricoli stałby się zbędny i wszyscy mogliby spokojnie udać się na spoczynek.

Jednak Elfgiva, od której właściwie wszystko zależało, nie dała Cerdicowi żadnego znaku. A on sposępniał. Wszyscy inni mężczyźni spędzą tę noc u boku swoich żon. Offa westchnął. Więc jednak będą musieli wprowadzić w życie swój plan. Zamyślił się, patrząc tępo przed siebie.

Pod koniec uczty Ricola wykonała pierwszy ruch.

Ludzie wchodzili i wychodzili. Mężczyźni, napełnieni piwem, wymykali się na chwilę na dwór. Kilka par, najedzonych i zarumienionych od napitków, wytoczyło się przez drzwi, nie mając zamiaru wracać. Kiedy Cerdic wyszedł, Ricola i Offa, niezauważeni przez nikogo, wymknęli się za nim.

Niedługo potem Cerdic, wracając do swego dworu, zauważył młodą niewolnicę. Stała sama przy drzwiach chatki. Słabe światło płonącego w środku kaganka wydobywało z ciemności zarys jej sylwetki i nadawało jasnym, krótkim włosom dziwny blask. Ładniutka, pomyślał. Wełniana chusta zsunęła się jej z ramion, odsłaniając drobne, kształtne piersi. Było zimno, ale jej to najwyraźniej nie przeszkadzało. Cerdic się zatrzymał.

– Gdzie twój mąż?

Skinęła głową, wskazując drzwi chatki.

– Śpi. Może do rana wytrzeźwieje.

Uśmiechnął się.

– Będziesz w nocy sama?

Spojrzała na niego.

– Na to wygląda – powiedziała z ledwo zauważalnym wahaniem.

Wydawało się, że Cerdic chce odwrócić się i odejść, ale nie, patrzył na nią uważnie. Czuł, jak ogarnia go ciepła fala podniecenia. Inni mężczyźni położą się dziś spać ze swoimi kobietami, a on, ich pan, będzie samotny.

Czy tak powinno być?

Plan był prosty. Wręcz prymitywny. Ale niepozbawiony sensu.

– Musimy tylko sprawić, żeby zobaczyła, jak on za mną idzie. Nic więcej.

– Ale ona będzie miała ci to za złe – oponował Offa.

– Nie będzie. – Ricola pokręciła głową. – O ile dobrze to przeprowadzimy. On jest spragniony kobiety. I ona dobrze o tym wie. Ja będę udawała przestraszoną, bo to w końcu mój pan. A ty masz ją jedynie przyprowadzić. Powiedz, że cię przysłałam, bo potrzebna mi pomoc.

– Zezłości się na ciebie.

– Może. Ale on nadal jest jej mężem. Ona nie pozwoli, żeby na jej oczach gził się w łóżku z niewolnicą. Na pewno zechce to ukrócić. A jako kobieta będzie miała tylko jeden sposób.

– Sama pójdzie z nim do łóżka?

– Doskonale wie, że może go mieć dla siebie. Ale będzie musiała wybrać: albo wyciągnie do niego rękę, albo on legnie za inną. Wóz albo przewóz. Przecież jest jego żoną. Dlatego będzie musiała działać. Poza tym – dodała Ricola rozsądnie – gdyby rzeczywiście miała go dosyć, to dawno by jej tu nie było.

I na tym właśnie polegał plan. Musieli jedynie skłonić Elfgivę do działania.

Ukryty w stodole Offa próbował przeniknąć wzrokiem ciemności. Stali zaledwie dwadzieścia kroków od niego, więc widział ich dość dobrze w słabym świetle padającym przez otwarte drzwi chaty. Ricola świetnie odgrywała swoją rolę – śmiała się z jakiegoś żartu Cerdica, lekko odrzucając do tyłu głowę. Zachowywała się miło, serdecznie, nawet zalotnie, ale nie prowokująco. Wiedziała, że Offa wślizgnął się do stodoły.

Miał proste zadanie, ale musiał działać szybko.

W dworze było gorąco. Od powietrza gęstego od dymu zapiekły go oczy. Kaganki i płomień paleniska oświetlały wnętrze ciepłym blaskiem. Tak jak przewidywał, musiał się przychylać, żeby dostać się do miejsca, gdzie siedziała Elfgiva. Długi stół zajmował niemal całe pomieszczenie. A w połowie drogi przejście blokowali dwaj pasterze, którzy jeden na drugim zapadli w pijacki sen. Nie mogąc ich ominąć, przelazł po nich. Nawet tego nie zauważyli.

W końcu stanął przy Elfgivie, gotowy wygłosić kwestię, którą Ricola kazała mu wielokrotnie przećwiczyć. Pochylił się lekko do przodu.

Jednak ona, pochłonięta rozmową ze starym rolnikiem znad rzeki, odprawiła niewolnika gestem dłoni. Następnie, widząc jego upór, kazała mu zaczekać. Uprzejmie słuchała starca, który opowiadał jakąś niekończącą się historię. Dopiero gdy jego przodek zabił w bitwie trzech wrogów, w tym znaczącego wodza z północy, Elfgiva spojrzała na niewolnika, który okazywał coraz większe zniecierpliwienie.

Offa miał przekazać prostą wiadomość: „Przysyła mnie żona. Błaga panią o pomoc. Nie chce obrazić pana”. Lojalna służąca w krępującej sytuacji. Resztę zostaw jej, powtarzała Ricola.

Ale czas mijał. A rolnik zaczynał już kolejną opowieść, tym razem o braciach przodka. Offa był wyraźnie zdenerwowany. A kiedy w końcu zirytowana Elfgiva odwróciła się do niego, całkiem się pogubił.

– Moja żona… – zaczął.

– Nie będzie mi już dziś potrzebna – powiedziała, gotowa wrócić do przerwanej rozmowy.

– Nie, pani. Ale moja żona…

– Nie teraz!

– Moja żona – zaczął znowu, ale w zdenerwowaniu zapomniał wyuczonej kwestii: „Wasz mąż i moja żona…”, więc wskazał jedynie na drzwi.

Elfgiva zmarszczyła brwi.

– O co ci chodzi? – Uśmiechnęła się do rolnika przepraszająco.

– Przysłali mnie po panią – wykrztusił zakłopotany.

Wzruszyła ramionami i przeprosiwszy rozmówcę, ruszyła do drzwi.

Czemu Offa tak długo zwleka? Ricola dokładnie wszystko zaplanowała. Chciała rozognić Cerdica, ale nie zamierzała pozwolić, by posunął się za daleko. Lecz czas mijał, a on był coraz bardziej podniecony. Nie wiedziała, co robić. Mężczyzna położył jej dłoń na ramieniu. Albo odtrąci jego zaloty, czym z pewnością wzbudzi jego złość, albo…

Nadal nikt nie przychodził. Cerdic uśmiechał się pożądliwie. Skrzywiła się lekko, próbując odsunąć jego dłoń, szukającą już jej piersi. Jeszcze nie teraz, chciała krzyknąć. Jeszcze nie teraz!

Pochylił się, żeby ją pocałować.

Gdy Elfgiva wyszła na mroczny dziedziniec, od razu zauważyła w drzwiach chaty dwie postacie. Jej mąż całował niewolnicę, która nie stawiała żadnego oporu. Na ziemi leżała wełniana chusta. W końcu oderwali się od siebie. Cerdic zauważył Elfgivę i się uśmiechnął – po części przepraszająco, po części z satysfakcją. A dziewczyna, udając, że odpycha go od siebie, patrzyła na swoją panią z przerażeniem.

Elfgiva miała w głowie tylko jedno. Jak brzmiały zuchwałe słowa tej niewolnicy? „Jest wiele kobiet, które chętnie go wezmą”. Najwyraźniej mówiła także o sobie.

Elfgiva wzruszyła ramionami. Owszem, poczuła się zraniona. Była wściekła. Ale jeśli jej małżonek ma ochotę zabawiać się z niewolnicą,

pomyślała z gorzką pogardą, to ona nie będzie mu tego zabraniać. Godność jej na to nie pozwala. Ignorując Offę i całującą się parę, odwróciła się i odeszła. Młody niewolnik podążył za nią, próbując jej coś powiedzieć. Nie chciała go słuchać.

Biedna Ricola nie miała pojęcia o jednym. Jej pani wprawdzie zwierzała się jej w chwilach smutku i przygnębienia, ale jako wysoko urodzona dama nigdy nie zapominała, że ma do czynienia ze zwykłą niewolnicą. A niewolnica nie mogła przecież być jej rywalką. Co najwyżej powodem do zażenowania. Niewolnica była częścią majątku, przedmiotem, którym właściciel mógł się zabawić przez jedną noc, a potem wyrzucić, jeśli taka była jego wola. Więc w tych okolicznościach Elfgiva nie musiała zaprzątać sobie tym głowy.

Wróciła do stołu i usiadła obok gadatliwego rolnika. I odprawiła Offę gestem dłoni.

Gdy młodzieniec wyszedł na dwór, Cerdic i Ricola zniknęli już bez śladu.

Ta noc dłużyła się Offie niemiłosiernie. Wiatr ustał. Młody niewolnik przesiedział pierwsze godziny na progu chaty, patrząc na kolejne postacie wychodzące z dworu albo zataczające się po dziedzińcu. Od czasu do czasu dochodziły do niego ciche śmiechy upojonych piwem ludzi. Wsłuchiwał się w nie, próbując zgadnąć, czy należą do Ricoli i Cerdica.

Ricola nie mogła nic zrobić. Dobrze o tym wiedział. Nawet gdyby się opierała, Cerdic był od niej silniejszy. Poza tym niewolnice nie miały żadnych praw. Ironia losu ugodziła go boleśnie. Dawniej, gdy mieszkali w wiosce, jako wolny człowiek mógł się sprzeciwić naczelnikowi. Miał przynajmniej prawo domagać się zadośćuczynienia. Ale gdy stracił wolność, był bezsilny.

Aż jęknął, myśląc o swojej głupocie.

Przez jakiś czas żywił złudną nadzieję, że Ricola wymknie się Cerdicowi. Może będzie zbyt pijany, może uda jej się uciec. Ale ta nadzieja szybko zgasła. Mijały kolejne godziny, a Ricola nie wracała.

W pierwszej chwili, wbrew wszelkiemu rozsądkowi, gotowy był ich szukać. Gdzież mogą być? W stodole? W którejś z chat?

– Ale nawet gdybym ich znalazł, to co miałbym zrobić? – mruknął do siebie. – Wbić mu igłę? – Pokręcił głową, myśląc o tym, że plan Ricoli od początku był jednym wielkim szaleństwem. – Gdyby nie biskup i jego kazanie, nigdy bym się na to nie zgodził. A ten jego bóg na nic się nie przydał.

Przyszło mu do głowy, że ukrzyżowany Frejr jest tak samo bezsilny jak on.

Ricola leżała zamyślona w objęciach Cerdica. Jej umysł krążył pomiędzy mężem a Elfgivą. Co ta noc zmieni w ich życiu? Delikatnie przesunęła dłonią po piersi kochanka. Chciała już iść do siebie, ale Cerdic, pogrążony w półśnie, przyciskał ją do siebie ramieniem. A o świcie przebudził się całkowicie.

Ricola wiedziała jedno. Nosiła w sobie nowe życie, które należało tylko do niej i do Offy. I bez względu na wszystko musiała to życie chronić.

Gdyby Ricola mogła zobaczyć swoją panią w szarym świetle zimowego poranka, byłaby bardzo zdziwiona.

Elfgiva nie mogła zasnąć. Przewracała się niespokojnie z boku na bok. Raz po raz przed oczami przesuwały się jej wydarzenia minionego wieczoru. W miejsce złości pojawiło się inne uczucie. Żal. Czemu go nie powstrzymałam?, powtarzała w myślach. A potem dodawała, jakby była kimś innym: był twój, a ty go odtrąciłaś.

Czuła ból, a jednocześnie było jej żal męża. Wiedziała o jego potrzebach, ale nie chciała ich uznać. Co nią kierowało? Wierność swoim bogom. Lęk przed upokorzeniem. Duma. Ale czy ta duma przyniosła jej szczęście? Czy upokorzenie byłoby gorsze niż obecny zamęt? A ci wszyscy bogowie przodków, Woden, Thor i Tyr, przynieśli jej dziś jakieś ukojenie? O, nie.

Tuż przed brzaskiem otuliła się grubym futrem i zeszła na brzeg rzeki, która w ciemnościach miała czarną barwę. Elfgiva skuliła ramiona i usiadła na pomoście, wpatrując się w wodę.

Co na jej miejscu zrobiłby ojciec? Postawiłby żagiel i popłynął ku dalekim lądom, zaufałby swoim bogom i dzielnie stawił czoło wzburzonemu morzu. Ale jej ojciec był mężczyzną. W jaśniejącym świetle dnia postać starego żeglarza bladła coraz bardziej. A gdy czerń rzeki zmieniła się w szarość, Elfgiva wstała i jakby zachęcona głosem ojca, wyprostowała się i ruszyła szybkim krokiem ku osadzie.

Mimo wszystko Ricola miała rację. Jej podstęp przyniósł oczekiwane skutki, choć później, niż się spodziewała. Elfgiva postanowiła odzyskać męża.

– Pójdę za twoim nowym bogiem. Powiedz swojemu kapłanowi, że może mnie ochrzcić – oświadczyła Elfgiva stanowczo.

Cerdic przyjął te słowa z radością i uczuciem ulgi.

– A tej niewolnicy masz się pozbyć – dodała.

Uśmiechnął się i objął ją czule.

– Masz się jej pozbyć – powtórzyła.

Wzruszył ramionami, jakby sprawa była bez znaczenia.

– Jak sobie życzysz. Zresztą ona i tak należy do ciebie.

Nikt nie wiedział, że w mrokach tej zimowej nocy do Lundenwic zbliża się jeszcze jeden gość.

Gdy nad długim ujściem Tamizy jaśniał świt, smukły statek sunął w górę rzeki, niesiony prądem przypływu. Wczesnym rankiem wszedł w wielkie zakole leżące poniżej osady.

Na dziobie stał niski, krzepki mężczyzna, niecierpliwie wypatrujący przystani w Lundenwic. Wyglądał na czterdzieści kilka lat. Miał okrutny wyraz twarzy i nieregularną, krótko przyciętą siwiejącą brodę. Spośród wszystkich fryzyjskich kupców tylko on mógł wyruszyć w rejs w taką niesprzyjającą porę roku. A to dlatego, że był odważny, sprytny i chciwy. Kupował towar tanio, bo właściciele nie chcieli ponosić kosztów jego utrzymywania przez całą zimę. Poza tym tylko on dostarczał produkty, których pilnie potrzebowano jeszcze przed nadejściem wiosny. Handlował głównie ludźmi. Znany był we wszystkich portach północnej Europy. „Tylko ten szczwany Fryzyjczyk potrafi zimą dostarczyć niewolników", mawiano.

Przybił do Lundenwic w południe.

Cerdic uśmiechnął się, widząc fryzyjski statek.

– Wiedziałem, że się pojawi – rzucił do nadzorcy.

– Od początku liczyliście na to, panie – odpowiedział nadzorca z uśmiechem.

– To prawda. – Targując się o niewolników z północy, dał kupcowi do zrozumienia, że będzie musiał żywić ich przez całą zimę, dzięki czemu udało mu się uzyskać dobrą cenę. – Ale nigdy nie powiedziałem, że nie uda mi się ich sprzedać. Wspomniałem tylko, że handel niewolnikami zaczyna się wiosną.

– Oczywiście.

Cerdic nigdy nie kłamał.

Późnym popołudniem Fryzyjczyk obejrzał niewolników i zaproponował dobrą cenę. Zaskoczyło go, że Cerdic, w geście dobrej woli, zaproponował mu za niewielką dopłatą jeszcze dwoje ludzi, kobietę i mężczyznę.

– Chcę się ich pozbyć – rzucił krótko. – Ale nie będą sprawiać wam kłopotów.

– Biorę – oznajmił kupiec i skuł parę łańcuchem razem z pozostałymi.

Jednak pojawił się pewien drobny kłopot. O zachodzie słońca dziewczyna zaczęła krzyczeć, że musi porozmawiać ze swoją panią. Pani najwyraźniej nie chciała mieć z nią do czynienia, więc handlarz niewolników, przed udaniem się na wieczerzę z Cerdikiem, uciszył swój nowy nabytek kilkoma uderzeniami bata. Zamierzał odpłynąć po nocnym odpoczynku, wraz z porannym odpływem.

Anglowie i Sasi nazywali najdłuższą noc w roku *modranecht*, nocą matki.

Cerdic i Elfgiva już od dawna nie spali ze sobą. Nic więc dziwnego, że dla niego pojednanie było jak powrót do domu. Ona zaś czuła, że wśród głębokiego mroku coś otwiera się w niej na nowo. Coś cudownego i tajemniczego.

Obudziła się z uśmiechem na twarzy.

Statek miał odpłynąć lada chwila. Był to typowy okręt wikingów, z podniesionym kilem, podobny do tego, który Offa rozładowywał jesienią. Niewolnicy siedzieli w środkowej, najszerszej części pokładu, gdzie mogli nawet wyciągnąć nogi. Kostki skuto im kajdanami, żeby nie sprawiali kłopotów.

Ricola rozpaczliwie wyczekiwała pomocy. Przez całą noc miała nadzieję, że uzyska przebaczenie. Chciała porozmawiać z Elfgivą. Potrzebowała jedynie kilku chwil, a wtedy mogłaby jej wszystko wyjaśnić. Była tego pewna. Ale rankiem ludzie Cerdica pojmali ją i Offę, a pani

gdzieś zniknęła. Dla Elfgivy i jej małżonka los dwojga niewolników stał się nagle sprawą zupełnie nieistotną. Gdy Ricola zaczęła krzyczeć, próbując przekazać wiadomość komuś z osady, Fryzyjczyk okrutnie ją wychłostał. Potem nikt już nie pojawił się w chatce niewolników. Nikt.

Ale przecież ktoś musi się nad nią zlitować. Jeśli nie Elfgiva, to przynajmniej Wistan. Podejrzewała, że nie bez powodu zostali przez wszystkich opuszczeni. Elfgiva albo Cerdic musieli wydać stosowne rozkazy. Nikomu nie wolno było zbliżyć się do Ricoli i do Offy. Nikomu nie wolno było z nimi rozmawiać. Mieli zniknąć z osady.

Och, gdyby tylko mogła powiedzieć swojej pani, że jest w ciąży. Elfgiva na pewno okazałaby jej współczucie – jak kobieta kobiecie. O świcie wydało jej się, że słyszy na zewnątrz jakiś ruch i ludzkie głosy. Nadzieja odżyła w niej na nowo. W drodze pomiędzy kwaterą dla niewolników a fryzyjskim statkiem musi przekazać wiadomość Elfgivie! Musi jej to powiedzieć, nawet za cenę razów bata.

Minęła godzina. Przez szparę pod drzwiami wsączało się światło dnia. Po chwili drzwi się otworzyły i do środka wszedł Fryzyjczyk. W milczeniu zostawił im placki owsiane do jedzenia i wodę. Po jakimś czasie pojawił się znowu, tym razem w towarzystwie czterech marynarzy, którzy wyprowadzili niewolników na zewnątrz.

Tak jak się spodziewała, na przystani zebrało się kilka osób chcących zobaczyć nieszczęśników po raz ostatni. Zauważyła pasterza, nadzorcę i kobiety, z którymi codziennie pracowała. Ale nie było nikogo z rodziny Cerdica, nawet żadnego z synów. Być może obserwowali ich z ukrycia.

Na szczycie zbocza Ricola minęła z bliska kobietę, z którą zazwyczaj gotowała jedzenie.

– Jestem w ciąży – szepnęła. – Powiedz to wielmożnej Elfgivie. Pospiesz się!

– Nie gadać! – krzyknął Fryzyjczyk.

Ricola popatrzyła na kobietę błagalnie.

– Nie słyszałaś? – jęknęła. – Jestem w ciąży.

Niemal w tej samej chwili poczuła na ramieniu piekący ból, a zaraz potem Fryzyjczyk chwycił ją za kark i pchnął do przodu. Z trudem odwróciła głowę, żeby spojrzeć na kobietę jeszcze raz. Ta stała jednak nieruchomo, z pobladłą twarzą, na której malował się przestrach.

Coś odwróciło uwagę Fryzyjczyka. Puścił kark niewolnicy i ruszył szybkim krokiem do przodu. Ricola właśnie mijała nadzorcę.

– Jestem w ciąży! – zawołała. – Przekaż to wielmożnej pani. Jestem w ciąży!

Patrzył na nią tak, jakby była przedmiotem. Trzask! Bat znów spadł ze świstem na jej plecy. Raz i drugi. Owinął się wokół szyi. Zaczęła krzyczeć z bólu.

Przestała nad sobą panować. Nie miała już nic do stracenia. Nawet godności. Ból przestał się liczyć.

– Jestem w ciąży! – wrzasnęła na cały głos. – Elfgivo! Jestem w ciąży! Zrozum! W ciąży! Będę miała dziecko!

Czwarte uderzenie spadło na ranę pozostawioną przez pierwsze. Bicz wbił się głęboko w ciało. Ricola niemal straciła przytomność. Podtrzymały ją jakieś silne ramiona, czuła, że wloką ją ku przystani.

– Dziecko… Będę miała dziecko – bełkotała. Jej ciałem wstrząsały paroksyzmy bólu.

Nikt się nie poruszył.

Posadzono ją na statku. Powoli dochodziła do siebie. Marynarze niespiesznie ładowali towary. Fryzyjczyk, zajęty kierowaniem swoimi ludźmi, najwyraźniej o niej zapomniał. Jakby jej wybuch w ogóle się nie wydarzył.

Ale jej rozpaczliwy krzyk rozniósł się po całej osadzie. Ktoś musiał go usłyszeć, Elfgiva albo przynajmniej ktoś z jej rodziny. Ricola spojrzała na siedzących przed nią niewolników z północy. Ich zastygłe twarze wyrażały jedynie rezygnację. Nie mieli nadziei. Trafią do jakiegoś frankońskiego gospodarstwa albo do jednego z portów Morza Śródziemnego. Będą tam pracowali aż do utraty sił, a potem też, tyle że jeszcze ciężej. A kiedy już całkowicie stracą na wartości, staną się niepotrzebni. Chyba że szczęście się do nich uśmiechnie.

A jaki los czeka ciężarną kobietę? Pozwolą jej zostać z mężem? Obawiała się, że nie. Co będzie z dzieckiem? Może ktoś, kto ją kupi, pozwoli mu żyć? Ale najczęściej… Nie, nie miała odwagi o tym myśleć. Bo najczęściej, powiadali ludzie, właściciel topił dziecko zaraz po urodzeniu. Z dziecka nie ma żadnego pożytku.

Jej wzrok padł na wysoki, zakrzywiony dziób statku. Wyglądał jak wielkie, zimne ostrze bezwzględnie tnące wody. Albo przerażający dziób drapieżnego ptaka. Spojrzała na brzeg.

Lundenwic. Już nigdy nie postawią stopy na brytyjskiej ziemi. To tutaj Anglowie i Sasi sprzedawali w niewolę swoich synów i córki. Szare, ponure Lundenwic. Nienawidziła tego miejsca tak samo jak ludzi spokojnie stojących na trawiastym brzegu.

– Zabierają nas, a oni nic? Naprawdę jest im to obojętne?

Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że od poprzedniego wieczoru nie rozmawiała z Offą. Biedny Offa. Najpierw wbił igłę w ciało naczelnika wioski, a potem zgodził się na jej nieszczęsny plan. Offa, ojciec jej dziecka, skazanego teraz na niechybną śmierć. Pokręciła głową z rezygnacją i spuściła wzrok. Dlatego nie zauważyła Elfgivy, idącej zboczem na przystań.

Elfgiva usłyszała.

Ale na przystań przywiódł ją nie tylko krzyk Ricoli. W tę długą, zimową noc matki między nią a Cerdikiem wydarzyło się coś szczególnego – rozbłysła iskra szczęścia. Kiedy Elfgiva obudziła się rankiem i przeciągając się, poczuła pocałunek męża, zalała ją fala nowego, tajemniczego ciepła. I to właśnie ono sprawiło, że rozpaczliwe krzyki niewolnicy wzruszyły jej serce.

Niedługo potem para oszołomionych nieszczęśników znalazła się na powrót w osadzie. Stanęli przed swoimi właścicielami przy wejściu do krytego strzechą dworu.

Nie doszło jednak do rozmowy. Próbowali się tłumaczyć, ale Elfgiva nakazała im milczenie.

– Cieszcie się, że nie odpłynęliście na statku z niewolnikami – oznajmiła krótko. – Ale to nie jest wasz jedyny powód do szczęścia. Zwracam wam wolność. Możecie iść, gdzie chcecie. Tylko żeby nigdy więcej wasza noga nie postała w Lundenwic. – Po tych słowach odprawiła ich władczym gestem.

Cerdic obserwował parę opuszczającą osadę. Przez chwilę kusiło go, żeby dać dziewczynie jakiś upominek. Uznał jednak, że to niedobry pomysł.

Po południu zaczął padać śnieg i szybko pokrył cienką warstwą brzegi rzeki.

Offa i Ricola nie odeszli daleko. Poniżej brodu, na wyspie nazywanej Ciernistą, Offa zbudował w zaroślach prymitywny szałas. Śnieg przyszedł mu z pomocą. Zanim zapadł zmierzch, znaleźli schronienie w maleńkiej chatce z gałęzi umocnionych śniegiem, przypominającej igloo. Przy wejściu rozpalili ogień. Na szczęście mieli ze sobą trochę jedzenia – od jakiejś kobiety dostali owsiane placki i resztki mięsa z uczty, co powinno

im wystarczyć na kilka dni. Jednak tuż po zmroku w ich małym obozowisku pojawił się zakapturzony jeździec. W świetle ogniska zobaczyli twarz Wistana.

– To dla was – powiedział z uśmiechem, zrzucając na ziemię ciężki ładunek przytroczony do siodła. Był to udziec sarny. – Przyjadę rano, żeby sprawdzić, czy czegoś wam nie brakuje – rzucił na pożegnanie.

I tak oto młodzi wygnańcy zaczęli nowe życie w leśnej głuszy.

– Teraz już możemy zapuścić włosy – powiedział Offa z uśmiechem. – Nie jesteśmy niewolnikami.

Z tłuszczu sarny zrobił coś w rodzaju maści, którą posmarował poraniony kark i ramiona Ricoli. Krzywiła się z bólu, ale nie protestowała.

Nie wspominali o nocy, którą Ricola spędziła z Cerdikiem. Jednak Offa poczuł ulgę pomieszaną z radością, gdy żona potwierdziła, że jest w ciąży. W tej sytuacji wtargnięcie Cerdika do jego życia przestało się liczyć.

– Przetrwamy tu kilka dni – powiedział. – A potem coś wymyślę.

Rzeka jest długa. Płynie przez żyzną dolinę. Rzeka się o nich zatroszczy.

Tej zimy nad rzeką poczęło się jeszcze jedno życie. Pod koniec drugiego miesiąca roku Elfgiva była już pewna, że jest w ciąży.

– To się stało w *modrenacht* – oznajmiła uradowanemu mężowi. Miała też przeczucie, choć zachowała je dla siebie, że dziecko będzie dziewczynką.

Wiedziała też, że czeka ją jeszcze jedna powinność. W czwartym miesiącu roku, gdy Anglowie i Sasi obchodzili pradawne święto Eostre [8], przybył biskup Mellit, by nadzorować budowę małego kościoła katedralnego pod wezwaniem Świętego Pawła. Prace postępowały szybko. Cerdic i okoliczni rolnicy dostarczyli dodatkowych robotników, którzy pod okiem mnichów wznieśli z rzymskiego budulca skromną, prostokątną świątynię zakończoną okrągłą apsydą. Z braku dostatecznych umiejętności

przykryli ją jedynie drewnianym dachem. Ze szczytu zachodniego wzgórza kościół wyglądał wspaniale.

I właśnie tuż przed świętem Eostre Cerdic poprowadził żonę nad brzeg strumienia Fleet. Elfgiva uklękła, a biskup Mellit dokonał ceremonii chrztu, polewając jej głowę wodą.

– Elfgiva oznacza „dar Elfów” – powiedział z uśmiechem. – Dlatego chrzczę cię nowym imieniem. Od tej pory będziesz się nazywać Godiva, „Dar od Boga”.

Tego samego dnia Mellit wygłosił dla mieszkańców Lundenwic kazanie, w którym wyjaśnił im przesłanie Męki Pańskiej i opowiedział, jak po ukrzyżowaniu wspaniały Frejr powstał z martwych. To wielkie święto chrześcijańskiego kalendarza jest niezwykle ważne, mówił biskup, i zawsze wypada o tej porze roku. Z tego właśnie powodu w języku angielskim święto to zyskało pogańską nazwę *Easter*.

Nawracanie Anglosasów na chrześcijaństwo i odbudowa dawnego rzymskiego Londinium – nazwanego przez Sasów Lunden – nie przebiegały bez przeszkód.

Mniej więcej dziesięć lat później, po śmierci króla Kentu i króla Essexu, mieszkańcy obu prowincji wystąpili przeciwko nowej religii, zmuszając biskupów do ucieczki.

Ale Kościół katolicki nie oddał łatwo władzy. Biskupi szybko wrócili. A w ciągu następnego stulecia wielcy misjonarze, tacy jak biskup Erkonwald, docierali do najdalszych zakątków wyspy, a Kościół anglosaski wraz z postaciami wybitnych świętych stał się chlubą chrześcijaństwa.

W ciągu kolejnych stuleci osada Lundenwic rozrosła się do rozmiarów znaczącego portu. Wiele lat później, za czasów króla Alfreda, została na krótko przejęta przez wrogów. Dawną placówkę, leżącą o półtora kilometra na zachód, nazywano wtedy starym portem – *auld wic* – albo Aldwych. Ale

to miało się wydarzyć w odległej przyszłości. Dla kilku pokoleń potomków Cerdica otoczone murami Londinium było miejscem, w którym powstało kilka kościołów i skromny dwór. Także na zachodnim wzgórzu stanęło kilka domów. Córka Godivy chodziła tam w dzieciństwie na spacery. Do końca życia pamiętała, że widywała wesołego rybaka z pasmem białych włosów nad czołem, który z mierzei po drugiej stronie przeprawiał się łódką do Londinium. Towarzyszyła mu gromadka dzieci, które krążyły potem wśród ruin, wpatrując się uważnie w ziemię.

Nie byli jednak skorzy do rozmowy. Dlatego nigdy nie dowiedziała się, czego szukali.

Zdobywca

Rok 1066

W dzień Objawienia Pańskiego, 6 stycznia roku 1066, na małej wyspie Thorney leżącej niedaleko londyńskiego portu zgromadzili się najwięksi mężowie anglosaskiego królestwa, żeby wziąć udział w niezwykłych wydarzeniach. Kogo tam nie było! Stigand, arcybiskup Canterbury, Witan, czyli królewska rada, najznamienitsi mieszkańcy Londynu… Czuwali tu od dwóch tygodni.

Samo miejsce też było niezwykłe.

Od wielu pokoleń na małej wyspie niedaleko brodu siedzibę mieli mnisi. Wraz z niewielką grupą wiernych korzystali z kościółka pod wezwaniem Świętego Piotra. Teraz jednak nad rzeką pojawiła się nowa budowla. Czegoś podobnego Anglia nie widziała od czasów rzymskich. Nowa świątynia z białego kamienia, zbudowana na planie krzyża na rozległym terenie otoczonym murem, przyćmiewała nawet stojący na pobliskim wzgórzu kościół Świętego Pawła. A ponieważ klasztor na wyspie Thorney leżał na zachód od Londynu, nazywano go „kościołem zachodnim”, West Minster. Stąd nowe opactwo zyskało miano Westminster Abbey.

Zaledwie dwanaście dni wcześniej, w dzień Narodzenia Pańskiego, wątły siwobrody król Edward, dla którego opactwo było dziełem życia, patrzył z dumą, jak arcybiskup konsekruje kościół. Za swoją bogobojną pracę miał otrzymać od potomnych przydomek Wyznawca. Teraz jednak

czuwanie dobiegło końca. Jego dzieło dopełniło się. Mógł udać się na wieczny spoczynek. Króla Edwarda pochowano rankiem w opactwie. A wychodzący ze świątyni wielmożowie zdawali sobie sprawę, że patrzą na nich oczy całego chrześcijaństwa.

Od papieskiego dworu w Rzymie po norweskie fiordy dla nikogo nie było tajemnicą, że angielski król umiera. I nie zostawia męskiego potomka. Na tę chwilę przygotowywali się najrozmaitsi awanturnicy w Normandii, Danii i Norwegii, a na wszystkich dworach północy powtarzano jedno pytanie: Kto przejmie koronę?

Z ukrycia obserwowała ich zakapturzona postać.

Na zewnątrz, pod osłoną murów opactwa, stali dwaj mężczyźni w grubych opończach. Powiadano, że łączy ich nierozerwalna przyjaźń, ale człowiek w kapturze w to nie wierzył. Wrogość jest wieczna. A przyjaźni nigdy nie można być pewnym. Zwłaszcza w takich czasach.

Zaczął sypać śnieg. Członkowie Witanu przeszli przez dziedziniec, kierując się do długiego, niskiego budynku, który służył jako królewska rezydencja i w którym mieli teraz dokonać wyboru nowego króla. Poniżej rzeka zaczynała się burzyć, co oznaczało, że zaraz się odwróci prąd pływu. Trzy kilometry dalej, za błotnistą równiną leżącą nad wielkim zakrętem Tamizy, w padającym śniegu majaczyły mury Londynu i długi drewniany dach saskiej katedry Świętego Pawła.

Mężczyzna po lewej był dobrze zbudowanym czterdziestolatkiem z rzednącymi włosami, ale za to jasną gęstą brodą. Tak jak jego przodek Cerdic, który z osady zwanej dziś Aldwych wysyłał za morza niewolników, miał szerokie barki, dużą, germańską twarz i błękitne oczy, które z odległości stu kroków potrafiły ocenić, czy ktoś próbuje go oszukać na wadze towaru. Emanowały z niego siła i opanowanie. Uchodził za człowieka bardzo nieufnego – jedni uważali to za zaletę, inni za wadę. Ale

nigdy nie złamał danego słowa. Jego jedyną słabością były bóle kręgosłupa, które zawdzięczał upadkowi z konia. Szczycił się jednak, że jedynie jego najbliżsi wiedzą o jego cierpieniu. Nazywał się Leofric i był londyńskim kupcem.

Leofric był rosłym mężczyzną, ale to jego towarzysz mógł uchodzić za prawdziwego olbrzyma. Duńczyk Hrothgar miał bujne rude włosy i ogromną rudą brodę – szeroką na pół metra i długą na metr. Ten zwalisty potomek wikingów bez trudu podnosił jedną ręką dorosłego człowieka. Gdy walił pięścią w stół, silni mężczyźni bledli ze strachu; ryk jego głosu sprawiał, że na ulicy pospiesznie zatrzaskiwano drzwi domów. Jednak mimo to cieszył się sympatią sąsiadów, co zapewne wynikało z jego pochodzenia. Oto dwa wieki wcześniej jego prapradziadek zyskał sławę nieustraszonego wikinga, który nie chciał zabijać dzieci. Rozkaz wydawany przez niego przed każdą bitwą: *Bairn ni Kel!* – „Nie zabijać dzieci!” – stał się nawet jego przydomkiem. Jeszcze pięć stuleci później jego potomkowie nosili nazwisko Barnikel. A ponieważ mieszkał na wschodnim wzgórzu Londynu i prowadził handel na przystani Billingsgate, mówiono na niego Barnikel z Billinsgate.

Zielona opończa Sasa była obszyta futrem z wiewiórek, ale niebieską opończę Barnikela zdobiło kosztowne futro gronostajów. Pochodziło z Rosji, będącej pod panowaniem wikingów, i było oznaką bogactwa. Sas miał spory dług wobec zamożnego Duńczyka, ale cóż to znaczy wobec przyjaźni? Najstarsza córka Leofrica miała w przyszłym roku wyjść za mąż za syna wikinga.

Napawało to Barnikela wielką radością. Za każdym razem gdy widział dziewczynę, jego wielka twarz łagodniała i pojawiał się na niej uśmiech. „Masz szczęście, że wybrałem ci ją na żonę”, powtarzał synowi z zadowoleniem. Hilda miała zaledwie czternaście lat, ale doskonale

opanowała sztukę prowadzenia gospodarstwa, umiała czytać, a jej ojciec zapewniał, że zna się na handlu nie gorzej niż on. Rudowłosy Duńczyk traktował ją jak córkę. Z niecierpliwością czekał, aż młodzi razem będą zasiadać przy rodzinnym stole. „Już ja dopilnuję, by mój syn dobrze się o ciebie troszczył”, mówił serdecznie. „A co się tyczy długu Leofrica – zwierzał się żonie – to na razie mu o tym nie wspominam, ale po ślubie daruję mu go w całości”.

Witan obradował w królewskiej rezydencji, a dwaj mężczyźni czekali, przytupując z zimna.

Człowiek w kapturze obserwował ich uważnie. Doskonale wiedział, że tego dnia mają się czego obawiać, jednak według niego to Sasowi groziło większe niebezpieczeństwo. Los Duńczyka go nie obchodził, ale na Sasie mu zależało. Dzień wcześniej wysłał Leofricowi wiadomość, lecz jeszcze nie dostał odpowiedzi. Leofric będzie musiał zareagować.

– A wtedy – mruknął – wpadnie w moje sidła.

Sas i Duńczyk. Gdyby jednak ktoś zapytał ich, jaki kraj uważają za swoją ojczyznę, obaj bez wahania odpowiedzieliby, że są Anglikami. Żeby to zrozumieć, a także pojąć wagę wyboru, przed którym stanęła królewska rada, należałoby przyjrzeć się pewnym wydarzeniom z historii tej części świata.

W ciągu czterech stuleci po misjonarskiej wyprawie świętego Augustyna do Brytanii liczne anglosaskie królestwa – z wyjątkiem Szkocji i Walii – powoli łączyły się w jedno państwo zwane Anglią. Jednak za panowania króla Alfreda niewiele brakowało, żeby Anglia została zniszczona.

Już od kilku wieków kraje północnej Europy były celem najazdów nieustraszonych wikingów. Ci skandynawscy wojownicy – Szwedzi, Norwegowie i Duńczycy – byli także kupcami, odkrywcami i piratami. Wyruszali z dalekich fiordów i nadmorskich portów i na swoich słynnych

statkach przemierzali oceany, zakładając kolonie w Rosji, Irlandii, Normandii, nad Morzem Śródziemnym, a nawet w Ameryce. Handlowali futrami, złotem i wszystkim, co im wpadło w ręce – od Arktyki po Italię. Błękitnoocy, rudobrodzi, świetnie władali ciężkimi mieczami i potężnymi toporami. Dużo pili, wiązali się przysięgami wierności i przybierali budzące lęk imiona, jakby byli bohaterami ze starych nordyckich sag: Ragnar Długowłosy, Dumny Pogromca Tostiga.

Wikingowie, którzy w IX wieku przetoczyli się przez Anglię, byli w większości Duńczykami. Zdobyli i spalili obwarowany murami Londyn i gdyby nie król Alfred, zajęliby całą wyspę. Alfred stoczył z nimi wiele zwycięskich bitew, jednak Duńczycy wciąż okupowali niemal wszystkie angielskie terytoria leżące na północ od Tamizy.

Zasiedlane przez nich ziemie nazywano Danelaw. Mieszkająca tam angielska ludność musiała podporządkować się duńskim prawom i obyczajom. To jednak nie było szczególnie dotkliwe. Duńczycy, lud nordycki, mówili podobnym językiem, a nawet nawracali się na chrześcijaństwo. Ale gdy na rządzonym przez Sasów południu biedniejsi wieśniacy stopniowo stawali się chłopami pańszczyźnianymi, niestroniący od grabieży Duńczycy byli bardziej otwarci i pozwalali chłopom zachować wolność osobistą. Gdy potomkowie Alfreda odzyskali w końcu władzę nad Danelaw i zjednoczyli Anglię, feudałowie z południa mawiali często ze wzruszeniem ramion: „Nie warto dyskutować z tymi z północy. Oni pilnują swojej wolności”.

Ten okres w dziejach północnej Europy był bardzo burzliwy i tuż przed rokiem 1000 Duńczycy znów najechali bogatą wyspę.

Tym razem mieli więcej szczęścia. Anglią nie władał już Alfred, ale jego nieudolny potomek Etelred. Ponieważ nie umiał słuchać doradców, zyskał przydomek Bezradny. Co roku wypłacał Duńczykom kontrybucję –

danegeld – aż w końcu Anglicy, mając tego dość, uznali duńskiego króla za swojego władcę. „Skoro już mam płacić daninę, to niech przynajmniej będzie porządek”, mawiał dziadek Leofrica.

I się nie rozczarował. Król Kanut, który wkrótce został koronowany na króla Danii i Anglii, panował długo i udanie. Poddani bali się jego siły, ale podziwiali zdrowy rozsądek. Na królewskim dworze życzliwie przyjmowano nie tylko duńskie rody, jak choćby Barnikelów, ale też dziadka Leofrica i wielu innych saskich wielmożów. Kanut rządził Anglią sprawiedliwie, zaprowadził w kraju jedność, pokój i zapewnił mieszkańcom dobrobyt. Po nim na tron wstąpił jego syn i gdyby nie jego przedwczesna śmierć, po której Witan wybrał na króla pobożnego Edwarda z anglosaskiej linii, kraj pozostałby częścią połączonego królestwa Anglii i Danii.

Mariaż obu kultur, duńskiej i angielskiej, okazał się szczególnie udany w szybko rozwijającym się nadrzecznym porcie zwanym teraz Londynem. Miasto leżało na styku duńskiej i saskiej Anglii, więc właśnie tutaj obie tradycje w sposób naturalny łączyły się i mieszały. Zgromadzenie wszystkich mieszkańców, zwoływane trzy razy do roku biciem wielkiego dzwonu przy wielkim krzyżu obok katedry Świętego Pawła, wciąż nosiło saską nazwę *folkmoot*. Ale sąd, w którym ojcowie miasta stanowili prawo regulujące handel i rzemiosło, nosił nazwę duńską, *hustings*. Część drewnianych kościołów miała za patronów saskich świętych, na przykład Etelburgę, a inne poświęcano Skandynawom, na przykład Olafowi czy Magnusowi. A przy prowadzącej do Westminsteru długiej drodze leżała wiejska parafia złożona z osiadłych tu w dawnych czasach wikingów nazywana St Clement Danes.

Duńczyka Barnikela i Anglika Leofrica połączyło w ten zimowy poranek to samo pragnienie: obaj chcieli mieć angielskiego króla.

Myliłby się jednak ten, kto by sądził, że król Edward noszący bogobojny przydomek Wyznawca był władcą czczonym i szanowanym. Miał małostkowy charakter i uznawano go za cudzoziemca. Z urodzenia był Sasem, ale wychował się we francuskim klasztorze i poślubił Francuzkę. Londyńscy notable, mimo że od wieków utrzymywali bliskie kontakty z osiadłymi w mieście cudzoziemskimi kupcami, nie pogodzili się z tym, że królewski dwór został opanowany przez Francuzów. A opactwo przelało czarę goryczy. Saskie świątynie były skromnymi budowlami z drewna, ozdobionymi misterną snycerką. Nieliczne kamienne kościoły wyglądały, jakby zamierzano je zbudować z drewnianych bali. Tymczasem potężne kolumny opactwa i zaokrąglone łuki naśladowały surowy styl romański, powszechny w Europie. W Anglii ten styl był obcy.

Lecz największą zniewagą była osoba Wilhelma z Normandii.

Witan miał do wyboru trzech kandydatów. Jedynie bratanek króla Edwarda pochodził z prawego łoża, ale był jeszcze dzieckiem – do tego wychowywanym za granicą przez matkę cudzoziemkę – więc nie miał w Anglii zwolenników.

– On się nie nadaje – utrzymywał Leofric.

Drugi kandydat, Harold, nie pochodził wprawdzie z królewskiej rodziny, ale był świetnym dowódcą i cieszył się poparciem innych wielmożów.

Trzecim kandydatem był Normandczyk.

Wikingowie skolonizowali północne wybrzeża Francji już wiele pokoleń wstecz. Ich potomkowie stopili się z lokalną społecznością, mówili po francusku, ale nadal, jak dawni wikingowie, pragnęli podbojów. Ostatni książę Normandii, nie mając prawowitego dziedzica, wyznaczył na swojego następcę nieślubnego syna.

Wilhelm z Normandii – bezwzględny, ambitny, napędzany poczuciem niższości z powodu swojego pochodzenia – był groźnym przeciwnikiem.

Wżeniwszy się w rodzinę żony Edwarda Wyznawcy, uznał, że ma szansę wstąpić na tron po bezdzietnym monarsze. Rozgłaszał wszem wobec, że król Edward obiecał mu tron.

– Znając króla, gotowy jestem w to uwierzyć – zauważył Barnikel ponuro.

Teraz jednak obaj mężczyźni umilkli. Witan opuszczał salę narad.

– Wysłuchaj naszych pokornych modlitw i pobłogosław sługę swego, którego z uniżonym oddaniem wybraliśmy na króla Anglów i Sasów. – Dostojnicy wygłaszali modły, trzymając koronę nad głową nowego monarchy. Potem król złożył przysięgę, przyrzekając poddanym pokój, porządek i miłosierdzie. W końcu biskup, przywołując Abrahama, Mojżesza, Jozuego i króla Salomona, jeszcze raz poprosił Boga o błogosławieństwo i namaściwszy władcę, włożył mu na głowę koronę i wręczył berło będące oznaką władzy oraz laskę jako symbol sprawiedliwości.

Tradycyjna ceremonia koronacji odbyła się zaledwie kilka godzin po śmierci króla Edwarda, po raz pierwszy w Westminster Abbey. Leofric i Barnikel z nadzieją witali błękitnookiego, potężnego monarchę z ciemną brodą, który śmiałym wzrokiem patrzył z wysokości tronu.

Tak, Harold będzie dobrym saskim królem.

Gdy po zakończeniu ceremonii wychodzili z opactwa, Barnikel z Billingsgate popełnił wielki błąd.

Człowiek w kapturze, obserwujący ich przez cały czas, zatrzymał się przy wrotach. Zsunął kaptur na ramiona, odsłaniając głowę.

Miał dziwny wygląd. Gdy tak stał blisko potężnej kolumny, można go było wziąć za posąg, ciemną bryłę z kamienia. Czarna opończa otulała go jak skrzydła ptaka. Miał gładko wygoloną twarz i włosy ostrzyżone krótko

nad uszami zgodnie z normandzką modą. Ale najbardziej rzucał się w oczy jego niezwykłych rozmiarów nos. Nie tyle szeroki, ile długi, nie spiczasty, lecz zaokrąglony na końcu, nie czerwony, ale dziwnie błyszczący. Gdy mężczyzna pochylał głowę, wydawało się, że nos zagłębia się w fałdy jego opończy jak dziób złowróżbnego kruka.

Wierni wychodzili na zewnątrz, ale on trwał na swoim miejscu. Dwaj przyjaciele dopiero teraz go zauważyli. Ukłonił im się.

Leofric odwzajemnił pozdrowienie.

Ten Sas umie zachować ostrożność, pomyślał mężczyzna. Tym lepiej. Ale Duńczyk, zadowolony z wyboru nowego króla, spojrzał na niego pogardliwie.

– Dzięki Bogu mamy angielskiego króla – warknął. – Więc lepiej nie wtykaj swojego wielkiego francuskiego nochala w nasze sprawy.

Dziwny mężczyzna nic nie odpowiedział. Nie lubił, gdy ludzie czynili przytyki do jego wyglądu.

Leofric przyglądał się córce. Skrzywił się. Po całym dniu na zimnym powietrzu kręgosłup mocno mu dokuczał. Ale to nie ból wywołał grymas na jego twarzy.

Wyglądała tak niewinnie. A on zawsze uważał się za przyzwoitego człowieka, który nigdy nie łamie danego słowa. I za dobrego ojca. Wolno mu ją teraz zdradzić?

Siedział na mocnej dębowej ławie. Przed sobą, na stole na koziołkach, miał dymiącą lampkę oliwną. Pomieszczenie było obszerne, z drewnianymi ścianami pokrytymi z grubsza wapienną zaprawą. Na jednej z nich wisiała duża haftowana makata przedstawiająca polowanie na jelenia. Trzy małe okna zasłaniała gęsto tkana olejowana tkanina. Podłogę pokrywały maty z sitowia. Ze stojącego na środku dużego piecyka wypełnionego rozżarzonym węglem drzewnym unosił się dym, który uchodził przez otwór

w dachu. Pod podłogą znajdowała się piwnica, gdzie przechowywano zapasy. Podwórze otaczały zabudowania gospodarcze, z boku rósł sad. Dwór stanowił nieco wygodniejszą wersję starej siedziby Cerdica w Aldwych.

Leofric wrócił myślami do propozycji, którą otrzymał poprzedniego dnia. Nie był pewien, co ona oznacza, mógł jedynie snuć przypuszczenia. A jeśli jego domysły są słuszne? Ma jakieś inne wyjście? Niestety, żadne rozwiązanie nie przychodziło mu do głowy. Z przerażeniem myślał o tym, co przyjdzie mu uczynić.

– Hildo! – Przywołał ją gestem.

Podeszła posłusznie.

Śnieg przestał padać. Nad spokojnym Londynem wisiał jedynie gruby całun chmur.

Wprawdzie najważniejsza królewska siedziba znajdowała się w leżącym na zachodzie Winchesterze, ale to Londyn był ruchliwym miastem. Mieszkało tu dziesięć tysięcy ludzi – kupcy, rzemieślnicy, duchowni. Prastara metropolia powoli wróciła do życia jak wielki, zaniedbywany przez wieki ogród. Król Alfred odbudował rzymskie mury obronne. Wzgórza, na których pojawiły się dwie saskie wioski z placami targowymi, pokryła sieć wąskich uliczek. Powstała przystań i nowy drewniany most. Bito też monety. Ale z powodu krytych strzechą domów, stajni, drewnianych kościołów i błotnistych uliczek Londyn nadal przypominał duże miasto targowe.

Zachowały się jednak resztki rzymskiej przeszłości. Wciąż widać było zarys dwóch głównych arterii przecinających miasto. Jedna wkraczała przez zachodnią bramę, zwaną teraz Ludgate, przecinała zachodnie wzgórze poniżej katedry Świętego Pawła i kończyła się na nadbrzeżnym stoku wschodniego wzgórza, na saskim placu targowym zwanym East Cheap.

Linia drugiej arterii nie była już tak wyraźna. Jej początek wyznaczała brama Newgate. Ulica omijała od północy katedrę Świętego Pawła i dalej biegła wzdłuż długiego rynku West Cheap, ale dotarłszy na wschodnie wzgórze, znikała wstydliwie pośród stajni i obór. Saski trakt prowadził stąd na szczyt wzniesienia, które z powodu leżących tam uprawnych pól zwano Cornhill, „zbożowym wzgórzem”.

Po wielkim forum nie pozostał żaden ślad. O istnieniu amfiteatru świadczył jedynie zarys niskich, porośniętych jesionami murów, wśród których wyrosły saskie zabudowania. Jedynie tu i ówdzie pojawiał się fragment zburzonego łuku osłonięty wiklinowym płotem albo kamienna kolumna przytulona do słomianego dachu jakiegoś warsztatu.

Największą budowlą w mieście był długa, podobna do stodoły saska katedra Świętego Pawła z wysokim drewnianym dachem. Tuż przy niej zaczynał się najbardziej barwny fragment miasta – zapełniony straganami rynek West Cheap.

Od południowej pierzei wydłużonego rynku, obok małego kościółka poświęconego Maryi Pannie, biegła dróżka prowadząca do starej studni, przy której znajdowało się zamożne domostwo. Nikt już nie pamiętał, dlaczego bramę ozdabia ciężki szyld przedstawiający byka. Ale to właśnie z powodu owego wizerunku o właścicielu siedziby, bogatym saskim kupcu Leofricu, mówiono, że mieszka „pod bykiem”.

Stanęła przed nim potulnie. Ubrana była w prostą wełnianą sukienkę. Rzeczywiście, udane z niej dziecko. Uśmiechnął się. Zaraz, ile to ona ma lat? Trzynaście? Jej piersi dopiero niedawno zaczęły nabierać kobiecych kształtów. Zgrabne łydki opinały skórzane nogawice przewiązane cienkimi rzemieniami. Może kostki są nieco za grube, ale to w końcu nie jest jakaś znacząca wada, pomyślał Leofric. Dziewczynka miała szerokie, pozbawione wszelkich trosk czoło i jasne, niezbyt gęste włosy, ale jej

błękitne oczy patrzyły niewinnie, co dodawało jej szczególnego uroku. Czy w jej ciele płonął już żar? Trudno powiedzieć. Ale to i tak chyba nie ma znaczenia.

O ich problemie świadczył przedmiot leżący obok na stole. Był to niewielki, dwudziestocentymetrowy patyk z nacięciami różnej głębokości i szerokości. Karby oznaczały długi. Leofric był o krok od bankructwa.

Jak do tego doszło? Jak większość poważnych londyńskich kupców prowadził handel w dwóch kierunkach. Za pośrednictwem pewnego kupca w Caen w Normandii sprowadzał francuskie wino i inne towary. A flandryjskim tkaczom dostarczał angielską wełnę. Niestety, w ostatnich czasach jego transakcje nadmiernie się rozrosły. Nawet niewielkie wahania cen wina lub wełny odbijały się na jego kieszeni. Niedawno cały ładunek wełny zatonął na morzu. Ledwie poradził sobie z tym problemem dzięki pożyczce od Barnikela. „Ale nadal jestem winien Becketowi z Caen za ostatnią dostawę wina – wyznał żonie. – Trudno, będzie musiał poczekać na swoje pieniądze”.

Bocton, majątek ziemski w Kencie, pozostawało w posiadaniu rodziny. Wielu zamożnych londyńskich kupców miało takie posiadłości. Barnikel też wydzierżawiał duży majątek w Essexie. Gdyby nie dochody z Bocton, Leofric byłby zmuszony do zamknięcia interesów.

A teraz pojawiło się kolejne zagrożenie.

„Jeśli Anglia zostanie zaatakowana, a Harold przegra – tłumaczył żonie – wiele majątków, w tym także mój, zostanie skonfiskowanych przez zwycięzcę”. Tak czy inaczej, plony przepadną. A przy jego mocno nadwerężonych finansach mogłoby to oznaczać plajtę.

Leofric zamyślił się. Spojrzał w mroczny kąt izby, gdzie siedziała jego żona z dziesięcioletnim synem. Gdyby tylko Edward był o dziesięć lat starszy, mógłby go dobrze ożenić i w ten sposób zadbać o jego przyszłość.

Gdyby tylko nie musiał zapewnić córce posagu. Gdyby tylko nie narobił takich długów. Jakiż ten chłopiec jest do niego podobny! Musi zabezpieczyć mu odpowiedni majątek.

A teraz jeszcze ta wiadomość, dziwna i niepokojąca. Ile ten długonosy Normandczyk wie o jego sprawach? I dlaczego chce mu pomóc? A ta jego propozycja…

Leofric nie przywykł do rozważania moralnych dylematów. Dla niego, tak samo jak dla jego przodków, człowiek mógł postąpić albo dobrze, albo źle. Koniec. Ale ta sprawa nie była taka prosta. Spojrzał na Hildę i westchnął. Powinna mieć proste, spokojne życie. Wolno mu poświęcić córkę, żeby zapewnić majątek synowi? Wielu mężczyzn byłoby gotowych rozważyć taką możliwość. W całej Europie, nie tylko wśród Anglosasów, kobiety wszystkich warstw społecznych były wykorzystywane jako karta przetargowa.

– Będę potrzebował twojej pomocy – zaczął.

Mówił cichym głosem, a ona słuchała w milczeniu. Czego się po niej spodziewał? Liczył, że dziewczyna zaprotestuje? Jej potulna odpowiedź wprawiła go w przygnębienie.

– Skoro potrzebujesz mojej pomocy, ojcze, to zrobię wszystko, co zechcesz.

Podziękował jej ponuro i odprawił ruchem dłoni.

Nie, nie wolno mi tego zrobić, pomyślał. Musi być jakieś inne wyjście. Ale jednocześnie jakiś przeklęty głos w umyśle szepnął ostrzegawczo: nigdy nie wiadomo, co się wydarzy.

Z zadumy wyrwał go głos sąsiada:

– Leofricu! Wyjdź szybko i spójrz na niebo!

Wpatrywał się w szachowe figury, jakby mogły się poruszyć z własnej woli. W świetle świecy jego długi nos rzucał cień na szachownicę.

Wrócił myślami do wydarzeń z dzisiejszego popołudnia. Już dawno zaplanował kolejne kroki, przewidział wszystkie możliwości. Musiał tylko poczekać na odpowiedni moment. Ale skoro czekał od dwudziestu pięciu lat, to mógł sobie pozwolić na cierpliwość.

– Twój ruch – przypomniał. Siedzący naprzeciwko młodzieniec wyciągnął rękę.

Obaj synowie byli do niego podobni. Obaj mieli ponure usposobienie i zmagali się z przekleństwem rodzinnego nosa. Ale Henri, w odróżnieniu od swojego grubszego, bardziej przysadzistego brata, odziedziczył po ojcu bystry umysł. Ralph nie wrócił jeszcze do domu. Pewnie pił w jakiejś karczmie. Henri wykonał ruch na szachownicy.

Nie wiadomo, kiedy szachy przywędrowały do Anglii, wiadomo, że grał już w nie król Kanut. Wywodziły się z krajów Orientu, a w Europie zostały poddane drobnym zmianom. Wschodni wezyr stał się królową, a para wspaniałych słoni z palankinami na grzbietach – czyli figury dziwne dla Europejczyków – ustąpiła miejsca dwóm gońcom.

Dom, w którym rozgrywano partię szachów, wyróżniał się w saskim Londynie, albowiem był jednym z nielicznych kamiennych budynków. Stał tuż poniżej katedry Świętego Pawła, na szczycie stromego zbocza opadającego ku Tamizie. Okolica uchodziła za zamożną, mieszkali tutaj kościelni dostojnicy i wielu miejskich notabli. Właściciel domu też musiał być ważną osobistością.

Przybył do Londynu ćwierć wieku wcześniej z normandzkiego miasta Caen, gdzie jego przodkowie byli kupcami. Takich imigrantów jak on było więcej. Niedaleko ujścia strumienia płynącego pomiędzy wzgórzami znajdowały się dwie ogrodzone przystanie. Ta leżąca od wschodu należała do kupców niemieckich. Po zachodniej stronie mieszkali kupcy francuskojęzyczni, przybyli z normandzkich miast, z Rouen i Caen.

Zajmowali się lukratywnym importem wina, otrzymali sporo handlowych przywilejów, a wielu z nich osiadło w Londynie na stałe.

Czy on też zostałby tu na zawsze, gdyby w Caen nie odtrąciła go dziewczyna? Był pewien, że są sobie przeznaczeni; pokochał ją, gdy była jeszcze dzieckiem. Co go tak w niej zachwyciło? Mały zadarty nosek, tak różny od jego wielkiej narośli? Po tylu latach tylko ten szczegół pamiętał wyraźnie, ale ostre wspomnienie zadanego bólu pozostało i jak gwiazda przewodnia kierowało jego wszystkimi poczynaniami.

A najgorsze było to, że utracił ją przez Becketa. Jego rodzina już od wielu pokoleń żywiła nienawiść do konkurujących z nią kupców. I nie chodziło tylko o handel. Becketowie umieli działać szybko i sprawnie, mieli bystre umysły i wiele osobistego uroku. I jakby tego było mało, postępowali bezwzględnie, co w połączeniu z głęboko zakorzenionym egotyzmem budziło powszechną irytację, a u rodziny wielkonosego Normandczyka wręcz odrazę.

Uważał dziewczynę za swoją. Ale pewnego dnia usłyszał przypadkiem, jak za rogiem rozmawia z młodym Becketem. Śmiali się.

„I jak ty będziesz się z nim całować? Z takim nosem to niemożliwe. Jest jak przeszkoda nie do pokonania, jak niezdobyta forteca. Owszem, mógłby budzić podziw jako góra. Ale mówią, że od czasów potopu Noego żaden mężczyzna z ich rodziny nie całował się z kobietą”.

Wycofał się niepostrzeżenie. Miał wtedy piętnaście lat. Następnego dnia dziewczyna potraktowała go lodowato. A rok później wyszła za Becketa za mąż. Od tamtej chwili życie w rodzinnym mieście stało się dla niego nie do zniesienia.

Lata panowania Edwarda Wyznawcy mógł uznać za udane. W Londynie ożenił się, wzbogacił, na kosmopolitycznym dworze Edwarda nawiązał

pożyteczne znajomości, został nieocenionym darczyńcą katedry Świętego Pawła i uchodził w mieście za ważną osobistość.

Zyskał też nowe nazwisko.

Wydarzyło się to pewnego ranka, niedługo po ślubie. Chodząc pomiędzy straganami na West Cheap, przystanął przy długim stole, przy którym pracowali złotnicy. Przez dłuższą chwilę z wielkim zainteresowaniem przyglądał się ich pracy. A kiedy zamierzał już odejść, jakiś głos zawołał: „Patrzcie, ten to jest bogaty. Ma srebrne rękawy”.

Srebrne rękawy. Te słowa dźwięczały mu w myślach. Dobre na nazwisko dla zamożnego człowieka, do tego bez najmniejszego związku z jego wielkim nosem. Srebrne rękawy – Silversleeves. Tak, to jest nazwisko bogacza.

„I niedługo będzie jak najbardziej uzasadnione”, oświadczył żonie.

Patrząc na szachownicę, Silversleeves pozwolił sobie na słaby uśmiech. Kochał szachy za ich walkę o władzę i tajemniczą harmonię. A lata handlu nauczyły go wyszukiwania podobnych wzorów i kombinacji w interesach. Odnajdywał je i umiał się nimi posługiwać. Patrzył na ludzkie relacje – te delikatne i te pełne okrucieństwa – jak na skomplikowaną rozgrywkę.

Lubił grać z synem. Henri nie posiadł jeszcze umiejętności strategicznego myślenia, ale był doskonałym taktykiem, umiejącym dostrzegać niespodziewane rozwiązania. Silversleeves próbował nauczyć tego swojego młodszego syna, ale Ralph z trudem nadążał za przebiegiem partii, a gdy Henri spoglądał na niego z lekceważeniem, wdawał się z nim w żałosne kłótnie.

Ralph nie spełniał oczekiwań, ale Silversleeves nigdy nie okazywał mu swojego zawodu. I jak wielu ojców traktował głupszego syna z opiekuńczą czułością, starając się, by bracia pozostawali w przyjacielskich stosunkach.

„Majątek podzielę między nich po równo”, zapewniał żonę.

Ale to Henri miał przejąć po nim interesy. Już dziś młodzieniec doskonale się orientował w sprawach produkcji wina, jego transportowania i przechowywania. Znał też wszystkich klientów ojca. W wolnym czasie, jak choćby podczas gry w szachy, Silversleeves dzielił się z nim głębszymi przemyśleniami. A że tego dnia miał głowę pełną obliczeń z ostatnich dni, postanowił poruszyć najważniejszy temat.

– Zastanawiam się nad pewną interesującą kwestią – zaczął. – Chodzi o dłużnika. – Spojrzał uważnie na syna. – Jak myślisz, Henri, kto jest silniejszy, człowiek z pieniędzmi czy człowiek z długami?

– Ten z pieniędzmi.

– Załóżmy w takim razie, że ktoś ma u ciebie dług, ale nie może go spłacić.

– W takim razie jest bankrutem – oświadczył Henri chłodno.

– Ale jednocześnie ty stracisz to, co mu pożyczyłeś.

– Chyba że przejmę płatności, które należą się jemu. Ale jeśli tego będzie niewiele, to rzeczywiście stracę.

– A więc dopóki on jest tobie winny pieniądze, to ty masz się czego obawiać, prawda? – Widząc, że Henri kiwa głową, ciągnął: – Załóżmy, że ten człowiek tak naprawdę może ci zapłacić, ale nie chce. Teraz ty się boisz jego, bo skoro on może zapłacić, a tego nie robi, to znaczy, że on nie boi się ciebie.

– Zgoda.

– Świetnie. Powiedzmy, że bardzo potrzebujesz tych pieniędzy. On proponuje umowę: zwróci ci mniej, niż pożyczył. Zgodzisz się?

– Pewnie będę musiał.

– Rzeczywiście. Ale czy nie jest tak, że w ten sposób on by na tobie zarobił? Można więc powiedzieć, że dzięki temu długowi zyskał nad tobą przewagę.

– To zależy od tego, czy nadal zamierza prowadzić ze mną handel – oświadczył Henri.

Silversleeves pokręcił głową.

– To zależy od wielu rzeczy. Od terminu, od tego, na ile jesteście sobie nawzajem potrzebni, czy macie inne możliwości i kto ma potężniejszych przyjaciół. To kwestia ukrytych zabezpieczeń. Jak przy partii szachów. – Umilkł na dłuższą chwilę. – Zapamiętaj sobie, Henri. Ludzie handlują dla zysku. Napędza ich chciwość. Ale gdy w grę wchodzą długi, pojawia się lęk. A lęk jest silniejszy niż chciwość. Prawdziwą siłą, bronią, która pokona każdego, jest dług. Głupcy szukają złota. Mądrzy ludzie patrzą na długi i zobowiązania. To jest klucz do wszystkich interesów. – Uśmiechnął się, wyciągając rękę. – Szach-mat.

Silversleeves miał na myśli dużo większą partię. Rozgrywkę, w której najpotężniejszą bronią miał być dług i którą potajemnie prowadził od dwudziestu pięciu lat przeciwko Becketowi z Caen. A teraz gotował się do zadania miażdżącego ciosu. I zamierzał posłużyć się przy tym osobą Leofrica. Musi jedynie jeszcze trochę poczekać. No i ten Duńczyk. Potężny, rudobrody gbur, który obraził go poprzedniego dnia. Barnikel miał w tej rozgrywce drugorzędne znaczenie, był zwykłym pionkiem, ale mógł się przydać. Ukryta symetria całego planu była tak doskonała, że i dla Barnikela znajdzie się miejsce.

Nagle Henri poderwał się z miejsca, podbiegł do okna i zawołał:

– Ojcze, spójrz! Coś świeci na niebie!

W ciągu kilku ostatnich godzin chmury rozwiały się, odsłaniając zimowe niebo usiane gwiazdami, wśród których jedna stanowiła niezwykły widok.

Zawisła na niebie z długim ogonem rozłożonym jak szeroki wachlarz. Mieszkańcy całej Europy, od Irlandii po Rosję, od szkockich wysp po

skaliste wybrzeża Grecji, patrzyli z przerażeniem na brodatą gwiazdę, zastanawiając się, co zapowiada taki znak.

Pojawienie się komety Halleya w styczniu 1066 roku zostało zanotowane w wielu kronikach tamtych czasów. Powszechnie wierzono, że to zła wróżba, zwiastująca jakiś kataklizm. A mieszkańcy Anglii, zagrożonej z wielu stron, mieli poważne powody do obaw.

Chłopiec z pasmem białych włosów nad czołem jak zafascynowany patrzył na wielką kometę. Nosił imię Alfred, po wielkim królu. Miał czternaście lat i właśnie podjął decyzję, która rozzłościła jego ojca, a matkę napełniła wielkim smutkiem.

Teraz matka trąciła go łokciem.

– Nie powinieneś wyjeżdżać. Ta gwiazda to znak, Alfredzie. Lepiej zostań w domu.

Parsknął śmiechem, a jego błękitne oczy rozbłysły.

– Mamo, naprawdę myślisz, że Bóg Wszechmogący zesłał tę gwiazdę, żeby mnie ostrzec? Że cały świat spogląda teraz w niebo i mówi: „O, Bóg przestrzega Alfreda, żeby nie wyruszał do Londynu”?

– A jeśli tak właśnie jest?

Pocałował ją. Była prostą, pełną czułości kobietą. Bardzo ją kochał. Ale już podjął decyzję.

– Poradzicie sobie z ojcem. Jeden syn wystarczy do pomocy w kuźni. Ja nie mam tu nic do roboty.

Okolicę oświetlał jasny blask komety. Trzydzieści kilometrów na zachód od Londynu teren był płaski i nizinny. Tamiza wiła się wśród żyznych pól i łąk, które zimą lśniły srebrzyście w świetle gwiazd. Leżała tu wioska Windsor, będąca częścią królewskich posiadłości. W tym jednostajnym krajobrazie wyróżniało się jedynie pobliskie wzgórze, które wznosiło się nad brzegiem niczym wieża strażnicza. Ich rodzina osiadła tu za panowania

króla Alfreda. Wcześniej mieszkali w lasach rosnących na północ od Londynu, ale uciekli stamtąd przed wikingami, którzy plądrowali okolicę. Nigdy nie żałowali tej decyzji, bo ziemia, na którą przybyli, była żyzna i mogli zarobić na swoje utrzymanie.

Mieli też inny powód do radości, o którym ojciec chłopca często przypominał: „Jeśli będziemy szukali sprawiedliwości, możemy udać się do samego króla. Zapamiętaj to sobie na zawsze, Alfredzie, jesteśmy wolnymi ludźmi”.

To miało ogromne znaczenie. W owych czasach Anglia pod wieloma względami przypominała inne państwa północno-zachodniej Europy. Kraj był podzielony na hrabstwa, w których władzę sprawował szeryf, królewski urzędnik zajmujący się poborem podatków i nadzorujący wymiar sprawiedliwości. Z kolei każde hrabstwo było podzielone na tak zwane setki [9], w których skład wchodziły liczne majątki. Należały one do królewskich lenników i drobniejszych posiadaczy ziemskich, którzy podobnie jak europejscy panowie sprawowali nad chłopami władzę sądowniczą.

Jednak o ile w Europie wieśniacy byli albo niewolnikami, albo ludźmi wolnymi, to w Anglii ich status prawny był zaskakująco skomplikowany. Znajdowali się wśród nich niewolnicy traktowani jak zwykły majątek ruchomy oraz chłopi pańszczyźniani przywiązani do ziemi i poddani swojemu panu. Byli ludzie wolni, płacący jedynie czynsz dzierżawny lub zobowiązani do konkretnych świadczeń, oraz półwolni, również płacący dzierżawę. Pomiędzy nimi istniało wiele kategorii pośrednich. Nikt nie mógł powiedzieć, że jego położenie jest stałe i niezmienne. Chłop pańszczyźniany czasem uzyskiwał wolność, a człowiek wolny, gdy nie starczało mu na opłacenie czynszu i podatku, popadał niekiedy w niewolę.

Zachowane zapiski sądowe pokazują, że podobne zmiany społeczne zachodziły często w oszałamiającym tempie.

Jednak rodzina Alfreda miała jasno określoną pozycję. Poza krótkim i dawno zapomnianym okresem, kiedy ich przodek Offa trafił do niewoli u Cerdica, szczycili się statusem ludzi wolnych. Owszem, byli prostymi kmieciami i mieli jedynie niewielki skrawek ziemi. „Ale płacimy za czynsz pieniędzmi, srebrnymi pensami – przypominał ojciec Alfreda. – Nie pracujemy dla naszego pana jak pańszczyźniani”.

Dlatego Alfred, jak każdy wolny człowiek w kraju, z dumą nosił symbol swojej pozycji: przypięty do pasa piękny, nowy sztylet.

Jego dziadek i ojciec byli wioskowymi kowalami. W wieku siedmiu lat Alfred umiał podkuwać konie. A jako dwunastolatek wymachiwał młotem równie dobrze jak jego starszy o dwa lata brat. „Wcale nie trzeba być dużym i silnym – powtarzał im ojciec. – Liczą się umiejętności. To narzędzia mają wykonywać pracę za was”. Alfred był pojętnym uczniem. A błona między palcami dłoni – cechę tę odziedziczył po dziadku – wcale mu w tym nie przeszkadzała. Gdy skończył czternaście lat, mógł się chwalić, że w kowalstwie jest równie dobry jak jego brat.

– W naszej wiosce nie ma pracy dla dwóch kowali – zauważył trzeźwo. – Rozglądałem się też po okolicy. Byłem w Windsorze, w Eton, a nawet w Hampton. I nic. Dlatego – wypiął dumnie pierś – wyruszam do Londynu.

Prawdę powiedziawszy, niewiele wiedział o Londynie. W końcu nigdy tam nie był. Ale już od dzieciństwa słyszał powtarzane w rodzinie słowa: „W Londynie leży zakopane złoto”. Dlatego w jego wyobraźni miasto nabrało niezwykłych, wręcz magicznych cech. „Naprawdę jest tam złoto?”, pytał często rodziców.

– Pewnie wydaje ci się, że znajdziesz skarby – rzucił ojciec lekceważąco.

Może i znajdę, pomyślał Alfred z irytacją. A gdy matka zapytała nieśmiało, kiedy chce wyruszyć, poczuł nagły przypływ natchnienia:

– Jutro z samego rana.

Może rzeczywiście ta gwiazda przemawiała do niego?

Przed Wielkanocą 1066 roku królestwo Anglii ogarnął niepokój. Saska flota pospiesznie przygotowywała się do patrolowania wybrzeży. Sam król przejął nad nią dowództwo.

Co dzień napływały nowe wieści. Bękart Wilhelm, książę Normandii, szykował się do inwazji. Wokół niego gromadzili się rycerze z całej Normandii i krajów ościennych.

– A najgorsze jest to – obwieścił Leofric Barnikelowi – że jak powiadają ludzie, Wilhelm ma błogosławieństwo papieża.

Coraz większym zagrożeniem byli też skandynawscy piraci i rozbójnicy. Jedyne pytanie brzmiało: kiedy i gdzie nastąpi pierwszy atak?

Czasy były niepewne. Wczesnym rankiem, gdy po mroźnej nocy na ulicach z głębokimi koleinami leżał jeszcze szron, Barnikel wracał do domu od Leofrica.

Minął właśnie niewielki strumień między bliźniaczymi wzgórzami – który nazywano teraz Walbrook, jako że wpływał do miasta przez północne mury – gdy nagle jego wzrok napotkał żałosny widok.

Uliczka, którą szedł, ciągnęła się równolegle do jednej z dawnych rzymskich arterii. Na prawo, na wschodnim brzegu Walbrook, stał kiedyś pałac gubernatora. Miejsce wspaniałych dziedzińców, po których wszelki ślad zaginął, zajęła przystań niemieckich kupców. Przy ulicy patrolowanej przed wiekami przez strażników stały stragany i warsztaty rzemieślników wytwarzających świece. Jedyną pamiątką cesarskiej świetności był zagadkowy obiekt.

Stary słup wyznaczający odległości do różnych miast rzymskiego cesarstwa jakimś cudem przetrwał. Sterczał uparcie na skraju ulicy jak pień prastarego dębu, który zapuścił tu korzenie ponad dziewięć wieków wcześniej. Mieszkańcy, nie mając pojęcia, że ten znany im, a jednak dziwny kamień pochodzi z czasów antycznych, nazywali go – nie bez szacunku – „Kamieniem Londyńskim”.

I właśnie przy Kamieniu Londyńskim Barnikel zauważył małą, żałosną postać.

Alfred nie jadł już od trzech dni. Przycupnął przy kamieniu, otulając się brudną wełnianą opończą. Miał bladą twarz, palce stóp zdrętwiały mu z zimna. Gdyby mógł się gdzieś ogrzać, na przykład przy jakimś piecu, na pewno zaczęłyby go boleć.

Przez pierwszy miesiąc uporczywie szukał pracy w Londynie. Tylko że niczego nie znalazł i nie miał żadnych przyjaciół, którzy mogliby go wesprzeć. Nim skończył się drugi miesiąc, żebrał o jedzenie. Potem był już bezdomnym włóczęgą. Londyńczycy nie byli złymi ludźmi, ale włóczędzy stanowili zagrożenie dla społeczności. Alfred obawiał się, że wkrótce ktoś doniesie na niego władzom. Zaciągną go przed sąd Hustings i co potem? Nie umiał sobie tego wyobrazić. Dlatego słysząc zbliżające się ciężkie kroki, skulił się jeszcze bardziej. Dopiero gdy jakiś głos zwrócił się do niego, podniósł głowę i zobaczył nad sobą największego mężczyznę, jakiego w życiu spotkał.

– Jak się nazywasz?

Wymówił cicho swoje imię.

– Skąd jesteś?

– Z Windsoru.

– Czym się zajmujesz?

Udzielił kolejnej odpowiedzi, po której padły następne pytania. Czy jest wolny? Kiedy ostatnio jadł? Czy dopuścił się już kradzieży? Nie. Wziął tylko jeden placek owsiany, który upadł na ziemię. Pytania ciągnęły się niczym katechizm, aż w końcu rudobrody olbrzym prychnął. Alfred nie miał pojęcia, co to może oznaczać.

– Wstawaj.

Wstał posłusznie. A potem osunął się bezwładnie. Pokręcił głową i spróbował jeszcze raz, ale nogi znów odmówiły mu posłuszeństwa. Nagle poczuł – bardziej zdziwiony niż przestraszony – że potężny Duńczyk podnosi go z ziemi i przerzuca sobie przez ramię jak worek mąki, a potem rusza szybkim krokiem, nucąc jakąś melodię.

Niedługo potem Alfred znalazł się w dużym domu ze spadzistym dachem. A co najważniejsze, siedział przed wielkim piecem, na którym milcząca, siwowłosa kobieta o okrągłej twarzy grzała dużą miskę rosołu pachnącego jak wszystkie najlepsze przysmaki razem wzięte.

Alfred rozejrzał się po izbie. Wszystko wydawało mu się wielkie, od dębowego krzesła po masywne dębowe drzwi i wiszący na ścianie dwuręczny topór bojowy. Duńczyk stał po przeciwnej stronie pieca, więc Alfred niezbyt dobrze go widział.

– Nakarmimy cię, młody przyjacielu – odezwał się w końcu Barnikel. – Ale potem wrócisz do domu. Zrozumiałeś?

Nie miał zamiaru odpowiadać, ale ponieważ Duńczyk ponowił pytanie, a on nie chciał kłamać, zebrał się w sobie i pokręcił głową.

– Co takiego? Sprzeciwiasz mi się?

Zabrzmiało to jak ryk. Alfred przestraszył się, że jego wybawca zmieni zdanie i odmówi mu strawy. Jednak znalazł w sobie dość odwagi, by powiedzieć:

– Nie sprzeciwiam się wam, panie. Ale nie wrócę do domu.

– Umrzesz z głodu. Dobrze o tym wiesz.

– Dam sobie radę. – Wiedział, że to niedorzeczność, ale nie znalazł innych słów. – Ja się nie poddam, panie.

Odpowiedział mu głośny krzyk. Alfred był pewien, że potężny wiking chce go uderzyć, ale nic takiego się nie stało.

Kobieta zaczęła nalewać rosół do mniejszej miski. Skinęła na niego, by usiadł przy stole. Usłuchał, a potężny mężczyzna zbliżył się do niego.

– No i co o nim myślisz? – rzucił Duńczyk do żony.

– Biedne z niego dziecko – odpowiedziała łagodnie.

– Biedne. A mimo to – Alfred usłyszał, jak Duńczyk parska śmiechem – ten chłopak nosi w sobie serce bohatera. Słyszysz? Serce potężnego wojownika. – Z głośnym śmiechem klepnął Alfreda w plecy tak mocno, że ten o mało nie wpadł twarzą do miski z rosołem. – A wiesz dlaczego? Bo się nie podda. Właśnie mi to powiedział. Z całą powagą. Ten smyk się nie podda!

Żona Barnikela westchnęła.

– Czy to znaczy, że u nas zostanie?

– Oczywiście! – Zwrócił się teraz do chłopca: – Znajdę ci jakieś zajęcie, Alfredzie.

Przez całe lato saska flota krążyła po Kanale Angielskim. Zdarzył się tylko jeden atak, na Sandwich w Kencie, ale został szybko odparty. Wilhelm Normandczyk nadal czekał za morzem.

Jednak mimo czyhającego za horyzontem niebezpieczeństwa te miesiące były dla Alfreda najszczęśliwszym okresem życia.

Szybko oswoił się z rodziną Duńczyka. Żona Barnikela była surowa, ale traktowała go życzliwie. Ich starsze dzieci miały już żony i mężów, jedynie najmłodszy, osiemnastoletni syn, który miał się ożenić z córką Leofrica,

wciąż mieszkał w rodzinnym domu. Rosły i krzepki, był bardziej milczącą podobizną swojego ojca. Uczył Alfreda wiązania żeglarskich węzłów.

Barnikel chętnie zabierał chłopaka do miasta. Jego dom wychodził na trawiasty stok wschodniego wzgórza, gdzie gromadziły się kruki i gdzie stał saski kościół pod wezwaniem Wszystkich Świętych. Każdego ranka Barnikel szedł do Billingsgate, żeby przejrzeć ładunek na małych statkach – wełnę, zboża albo ryby. Alfredowi podobało się na przystani; unosiła się tu woń ryb, smoły i wodorostów. Ale najbardziej lubił chodzić na zachodnie wzgórze, gdzie mieszkał Leofric. A że nie był już bezdomnym włóczęgą, z radością wędrował od katedry Świętego Pawła przez West Cheap, gdzie każda docierająca do rynku uliczka miała swoją specjalność – była więc ulica Rybna, Piekarska, Drewniana, Serowarska, aż do Drobiowej. I na każdej rozlegały się okrzyki nie tylko sprzedawców ryb, chleba, drewna czy sera, ale także sprzedawców korzennych przypraw, szewców, złotników, kuśnierzy, szczotkarzy i wielu innych. Dziwiła go tylko jedna rzecz, a mianowicie liczne chlewy pomiędzy straganami. Tego się nie spodziewał po wielkim mieście, ale Barnikel wszystko mu wyjaśnił.

– Świnie zjadają śmieci.

Dzięki Barnikelowi Alfred coraz lepiej poznawał charakter Londynu. Pod wieloma względami miasto wciąż przypominało wieś. Saskie osady nie zajmowały całego terenu w obrębie murów, były tu także sady i pola. Poza miastem leżały duże majątki ziemskie, będące własnością króla, jego najwyższych dostojników oraz Kościoła. Podobne włości znajdowały się także w samym mieście.

– Londyn składa się z okręgów – tłumaczył Duńczyk. – Po dziesięć na każdym wzgórzu. Niektóre z nich należą do prywatnych właścicieli.

Wymienił kilka nazwisk dostojników świeckich i kościelnych.

Ale Londyn rządził się też własnymi prawami. Każdego dnia Alfred dowiadywał się od Barnikela czegoś nowego i za każdym razem wprawiało go to w zdziwienie.

– Miasto jest tak bogate, że płaci więcej podatków niż całe hrabstwa – stwierdził Barnikel.

A potem z dumą wymienił listę swobód nadanych miastu: ulgi w handlu, prawo do połowu ryb na Tamizie, prawo do polowań na całym terenie hrabstwa Middlesex i wiele innych.

Miasto urzekło Alfreda, ale z innego powodu. W atmosferze Londynu było coś nieuchwytnego, ale wyraźnie wyczuwalnego. Alfred nie umiał opisać tego słowami. Aż pewnego dnia przypadkowa uwaga Barnikela podsunęła mu właściwą odpowiedź.

– Mury Londynu sięgają aż do morza – powiedział Duńczyk.

Tak, pomyślał chłopak. O to właśnie chodzi.

Otoczona murami osada, leżąca na skraju długiego ujścia Tamizy, od wielu pokoleń była domem dla kupców i żeglarzy z całej Europy. Wprawdzie przybysze przestrzegali praw ustanowionych przez duńskich i saskich królów, ale nie lubili, gdy ktoś się wtrącał do ich spraw. Zakładali gildie, które ustalały zasady handlu i miały własną straż. Byli świadomi swojej wartości dla każdego władcy i umieli z tego korzystać. Dziadek Barnikela, zamożny kupiec, który trzy razy wyruszał w rejs do krajów Morza Śródziemnego, otrzymał tytuł szlachecki. Barnikelowie od trzech pokoleń służyli jako dowódcy Gildii Obronnej, która była w stanie wystawić znaczną liczbę zbrojnych. Nawet król Kanut czuł respekt przed potężnymi murami miasta. „Żaden najeźdźca nie zdobędzie Londynu – chełpili się kupcy. – I żaden król nie będzie prawdziwym królem bez naszej zgody”.

Alfred wyczuwał w tym specyficzną dumę.

„Bo my, jako obywatele Londynu – tłumaczył Duńczyk – jesteśmy ludźmi wolnymi”.

Zgodnie ze starym londyńskim zwyczajem każdy niewolny kmieć, który zbiegł do miasta i mieszkał tu przez rok i jeden dzień, odzyskiwał wolność. Niektórzy posiadacze ziemscy mieli swoich niewolników, ale prawie wszyscy terminatorzy, tacy jak Alfred, byli wolni. Jednak słowo to znaczyło w mieście znacznie więcej. Kupiec, który uiścił opłatę wjazdową, albo rzemieślnik, który zakończył terminowanie, stawał się wolnym obywatelem miasta. Miał prawo prowadzić handel, wystawiać stragany, sprzedawać swoje towary i głosować w zgromadzeniu mieszkańców. Płacił królewskie podatki. Tymczasem inni, bez względu na to, czy przybywali z sąsiedniego hrabstwa czy z zamorskich krajów, uważani byli za „cudzoziemców” – nie mogli prowadzić handlu, dopóki nie uzyskali obywatelstwa. Nic więc dziwnego, że londyńczycy wysoko cenili sobie swoją wolność. A Alfred, czując u swego boku sztylet, z radością myślał o tym, że on też będzie należał do tego grona.

Po tygodniu, gdy odzyskał siły, Barnikel oznajmił mu z samego rana:

– Od dziś idziesz do terminu.

Zaprowadził go do części miasta leżącej tuż za wschodnią bramą. Nad strumykiem wpływającym tu do Tamizy stały liczne warsztaty. Gdy zbliżyli się do długiego drewnianego budynku, Alfred usłyszał znajomy dźwięk młota uderzającego o kowadło. Był pewien, że trafi do terminu u kowala. Dopiero gdy weszli do środka, serce zabiło mu mocniej.

Znajdowali się w warsztacie płatnerskim.

Dla chłopaka wychowanego w rodzinie kowali płatnerz był księciem wśród rzemieślników. Alfred patrzył jak oniemiały na kolczugi, hełmy, tarcze i miecze.

Podszedł do nich mistrz, wysoki, przygarbiony mężczyzna o kościstej twarzy. Jego niebieskie oczy spoglądały przyjaźnie, ale gdy zauważył u swojego nowego ucznia dziwną błonę pomiędzy palcami, odwrócił się do Barnikela.

– Da sobie radę z robotą? – spytał niepewnie.

– Da – potwierdził Duńczyk stanowczo.

I tak Alfred został terminatorem.

Jeszcze nigdy w życiu nie był taki szczęśliwy. Jako najmłodszy wśród uczniów dostał na początek poślednie prace – przynosił wodę ze strumienia, podtrzymywał ogień i dmuchał w miechy. Robił wszystko bez szemrania, więc nikt nie zwracał na niego szczególnej uwagi.

Pierwszego dnia wieczorem udał się wraz z innymi na nocleg do chaty dla terminatorów. Zazwyczaj uczniowie nie otrzymywali zapłaty, ale mieszkali za darmo u swojego mistrza. Jednak płatnerz, który był wdowcem, wolał inne rozwiązanie. Jego siostra miała na zboczu Cornhill dom podzielony na czynszowe izby. Obok stały zabudowania gospodarcze, w których zakwaterowano hałaśliwych terminatorów.

Płatnerz miał w swoim warsztacie ośmiu innych uczniów w różnym wieku i podczas pracy Alfred mógł im się przyjrzeć. Jeden uderzał młotem nierówno. Inny zbyt mocno ściskał obcęgi, a jeszcze inny nieumiejętnie posługiwał się dłutem. Alfred od razu to zauważył, ale nic nie powiedział.

Trzeciego dnia otrzymał samodzielne zadanie: miał opiłować kawałek metalu i wyklepać wgnieciony hełm. Wykonał pracę sumiennie, a mistrz przyjął ją bez słowa.

Jednak następnego dnia zawezwał go do pomocy innemu uczniowi, starszemu o rok. Alfred przytrzymywał hełm, a drugi chłopak wbijał nity.

– Niech teraz ten nowy spróbuje – powiedział mistrz po dłuższej chwili.

Zamienili się miejscami. Alfred zabrał się do nitowania, lecz spartaczył robotę. Płatnerz prychnął z irytacją.

– Pokaż mu, jak to się robi – rzucił do starszego ucznia i odszedł.

Jeśli Alfred myślał, że na tym sprawa się zakończy, to bardzo się mylił. Wieczorem, gdy terminatorzy zbierali się do wyjścia, mistrz przywołał go do siebie.

– Dlaczego to zrobiłeś? – spytał cicho, pochylony nad kowadłem.

– Nie rozumiem, panie.

– Obserwowałem cię. Trzymasz młot, jakby był zrośnięty z twoją ręką. Specjalnie sknociłeś te nity. Dlaczego?

Alfred spojrzał na niego uważnie.

– Od kiedy pamiętam, pracowałem w kuźni u ojca – powiedział w końcu. – Ale jestem tu nowy, a przedtem o mało nie umarłem z głodu. Barnikel przyprowadził mnie do was. Jeśli inni uczniowie zaczną mi zazdrościć, to mogą mnie gnębić. Nie dadzą mi tu wytrzymać. – Uśmiechnął się ponuro. – Niech myślą, że to oni mnie uczą. Dopóki się nie zaprzyjaźnimy.

Zarumienił się z obawy, że może to wyglądać na zarozumialstwo.

– Jestem tylko kowalem – dorzucił szybko. – I chcę się wyuczyć na płatnerza.

Mistrz pokiwał głową.

– Przykładaj się do pracy, Alfredzie – powiedział cicho. – Zobaczymy, co będzie dalej.

Przez następne tygodnie Alfred uczył się rzemiosła. Pracując w warsztacie, zauważył coś, co dla losów anglosaskiego królestwa miało ogromne znaczenie. Flota przygotowywała się do obrony wyspy na morzu, nie towarzyszyły temu jednak odpowiednie działania na lądzie.

– Już od zimy spodziewamy się ataku, a nikt nie jest przysposobiony – stwierdził ze zdziwieniem.

Angielskie królestwo nie miało ani stałej armii, ani oddziałów najemników. Siłę zbrojną stanowił *fyrd* – zaciągani w poborze chłopi i właściciele ziemscy. Co dzień pojawiał się w warsztacie jakiś zdezorientowany Sas, przynosząc broń do pilnej naprawy: a to tępy miecz lub topór bojowy, a to okrągłą tarczę z pasami, które wymagały wymiany. Alfred nie mógł uwierzyć, że są aż tak niezorganizowani.

Ale przede wszystkim przynosili zbroje.

W owych czasach w Anglii, podobnie jak w całej Europie, używano kolczug. Sposób ich wyrabiania, znany już w epoce brązu, był prosty i wygodny. Małe metalowe kółka, zazwyczaj o średnicy jednego centymetra, łączono ze sobą, tworząc sięgającą do kolan koszulę. Kolczugi były luźne i elastyczne, dzięki czemu – w odróżnieniu od późniejszych zbroi płytowych – można je było przerabiać i dopasowywać do różnych rozmiarów. Wiele przynoszonych kolczug należało do ojców obecnych właścicieli. Były kosztowne – zwykli żołnierze piechoty nie mogli sobie na nie pozwolić – więc przechowywano je z wielką pieczołowitością.

Miały jednak dwie wady. Ulegały uszkodzeniom, a przede wszystkim, ze względu na dużą powierzchnię tak wielu elementów, łatwo poddawały się korozji. Alfred, jako najmłodszy, miał zająć się ich żmudnym czyszczeniem. Od tej pory, gdy w warsztacie pojawiał się ktoś ze zniszczoną kolczugą, wśród innych terminatorów rozlegał się wesoły okrzyk:

– Alfredzie! Rdza!

Mimo to był zadowolony. Pozostali uczniowie szybko przyjęli go do swojego grona. Barnikel też o nim nie zapominał. Co tydzień zapraszał go do siebie na suty obiad, a Alfred, mimo że w domu bogacza był tylko

biednym terminatorem, czuł się częścią rodziny. Poznał też córkę Leofrica, która często tam zaglądała. Zachwycił się jej łagodną prostotą i latem zaczął się w niej podkochiwać.

Jednak pod koniec czerwca jego życie w warsztacie uległo zmianie.

Mieli zrobić tuzin nowych kolczug. Alfred patrzył na nowe zadanie z ekscytacją, ale mistrz klął na krótki termin, pozostali uczniowie też narzekali po cichu.

Wyplatanie kolczugi zaczynano od bardzo nieprzyjemnej pracy, a mianowicie od wciągania drutu na kółka. Jakże Alfred tego nie lubił! Długą sztabę żelaza rozgrzewano w palenisku, a kiedy dostatecznie zmiękła, wkładano koniec do stalowego ciągadła z odpowiednim otworem w środku. Przeciąganie zaczynał najcięższy uczeń. Potem cały proces powtarzano, używając ciągadeł z coraz mniejszymi otworami, aż do otrzymania cienkiego pręta. Ostatni etap należał do Alfreda. Trzymając koniec drutu przytroczonymi do skórzanego pasa szczypcami, ciągnął go z całych sił do tyłu jak w zabawie w przeciąganie liny. Od tego wysiłku bolały go wszystkie mięśnie.

Po skończeniu pracy miał iść z resztą uczniów do karczmy na piwo, ale mistrz go zatrzymał.

– Musisz mi pomóc – oświadczył krótko.

Terminatorzy roześmiali się ze współczuciem, gdy płatnerz opryskliwie nakazał chłopakowi pilnować miechów. Jeszcze przez dwie godziny Alfred musiał wykonywać drobne prace porządkowe, dopiero wtedy mógł wrócić do domu.

To samo powtórzyło się następnego dnia, jednak tym razem mistrz zatrzymał też innego młodszego ucznia. Wyznaczył im drobne zadania, które zajęły im prawie trzy godziny.

Wytwarzanie kolczugi fascynowało Alfreda. Praca była prosta, a jednocześnie wymagała precyzji. Najpierw nawijano drut na metalowe wrzeciono i przecinano w odpowiednich miejscach, otrzymując otwarte kółka. Następnie kółka ściskano tak, by końce na siebie zachodziły. Potem kółka rozgrzewano, żeby stały się plastyczne, gorące wkładano do formy i dwoma uderzeniami młota spłaszczano zachodzące na siebie końcówki. Teraz za pomocą odpowiednich szczypców jeden z uczniów przebijał otwór w spłaszczonym miejscu.

– Tutaj będzie nit – objaśnił Alfredowi.

Następnie inny uczeń rozchylał delikatnie końcówki, łączył kółka ze sobą i zanurzał je w wiadrze z olejem.

– Tylko olej, nic innego – napominał mistrz. – Żelazo włożone do wody schładza się za szybko i staje się kruche.

Prace te wykonywano z taką precyzją, że wszystkie kółka miały jednakową średnicę. Różnice między nimi rzadko przekraczały trzy dziesiąte milimetra. I to właśnie wprawiało Alfreda w zdumienie.

Kiedy kolejny raz mistrz kazał mu zostać w warsztacie dłużej, dwóch terminatorów zaproponowało, że go zastąpią. Jednak płatnerz szybko uciął sprawę.

– Brudne prace należą do najmłodszego.

Po godzinie przywołał Alfreda do siebie. Nie rozgadując się, kazał mu samodzielnie wykonać kolejne czynności: nawijanie i cięcie drutu, ściskanie kółek, dziurkowanie, łączenie ogniw. Zwracał uwagę na błędy i kiwał głową, gdy Alfred umiał je poprawić. W końcu poprowadził chłopaka do dużego stołu stojącego na środku warsztatu.

– A teraz patrz – powiedział.

Wyplatanie kolczugi można było porównać do pracy najlepszego krawca. Najpierw mistrz ułożył otwarte kółka w rzędy, tak aby każde

można było połączyć na skos z czterema innymi – dwoma u góry i dwoma u dołu. Kolczuga przypominała długą koszulę z rękawami do łokci. Przód i tył miały u dołu rozcięcia, umożliwiające jazdę konno. Górna część kończyła się zsuwanym na ramiona kapturem. Rozcięcie przy szyi zawiązywano cienkimi rzemieniami. Zazwyczaj na przedzie kaptura znajdowała się przymocowana paskiem osłona chroniąca dolną część twarzy.

O ile jednak krawiec mógł ciąć i składać tkaninę, to płatnerz musiał układać pierścienie geometrycznie, co przypominało wzór dziewiarski. Na przykład w pewnym miejscu jedno z kółek łączono z pięcioma ogniwami, nie z czterema, a gdzie indziej zostawiano luźne. Jednak całość tworzyła splot tak ciasny i misterny, że odmienne połączenia były właściwie niedostrzegalne.

Przez kilka kolejnych godzin Alfred patrzył jak urzeczony na pracę mistrza, który pokazywał mu geometrię splotu, miejsca wymagające większej wytrzymałości i te, które miały gwarantować swobodę ruchu. A wszystko na przykładzie metalowej koszuli, która chroniła wojowników od ponad tysiąca lat.

– Zawsze zabijaj nity od zewnątrz – tłumaczył mistrz w świetle lampy. – Sam zobacz dlaczego.

Alfred przeciągnął dłonią po kolczudze. Rzeczywiście, na zewnątrz nity były szorstkie, a w środku, tam gdzie stykały się ze skórzaną podszewką, były gładkie jak tkanina.

Na główkach kilku nitów mistrz odcisnął swój znaczek. Kolczuga była prawie gotowa.

Pozostał jeszcze ostatni krok. Żelazo używane przez średniowiecznych płatnerzy było stosunkowo miękkie, dlatego należało je utwardzić poprzez zahartowanie. Mistrz zwinął kolczugę z pokruszonym węglem drzewnym

i ułożył ją w żelaznej skrzynce, którą wstawił do paleniska. Wkrótce skrzynka rozżarzyła się na czerwono.

– Żelazo i węgiel działają na siebie – wyjaśnił. – W rezultacie żelazo zamienia się w stal. Ale nie wolno rozgrzewać żelaza zbyt długo, bo stanie się kruche – ostrzegł. – Chodzi o to, żeby na powierzchni było twarde jak diament, a w środku pozostało elastyczne.

Zdradziwszy chłopcu tajniki swojego rzemiosła, pozwolił mu pójść do domu.

Od tego czasu Alfred co najmniej raz w tygodniu zostawał dłużej w warsztacie. Inni terminatorzy myśleli, że dmucha wtedy w miechy albo zajmuje się wyciąganiem drutu, tymczasem mistrz uczył go technik i umiejętności zastrzeżonych dla terminatorów z najdłuższym stażem. Często pracowali do późnych godzin. Nikomu nie wspominali o tych nocnych spotkaniach, jednak Alfred podejrzewał, że Barnikel wie o wszystkim.

Przyczyną wydarzeń, które miały na zawsze odmienić oblicze Anglii, był fakt pozornie nieistotny, za to godny pożałowania. We wrześniu, miesiącu żniw, załogi saskich statków oświadczyły, że wracają do domów. Król Harold nie dał rady ich powstrzymać.

I oto któregoś ranka Alfred, Barnikel i Leofric patrzyli, jak do przystani w Billingsgate przybija ostatni statek angielskiej floty. Doskonale wiedzieli, że od tej chwili anglosaskie królestwo stoi dla najeźdźców otworem.

Wróg uderzył niemal natychmiast.

Inwazja zaplanowana przez Wilhelma Normandzkiego była udana pod każdym względem. Porę wybrano doskonale. Dwa tygodnie po zawinięciu angielskiej floty do portów król Norwegii najechał północne wybrzeża Anglii i zdobył York. Król Harold pospieszył na północ, gdzie udało mu się zgnieść nieprzyjaciół. Niestety, jego armia znalazła się w odległości

czterystu kilometrów od południowych wybrzeży, na które błyskawicznie uderzył Wilhelm.

Miał niezbyt liczne, lecz znakomicie wyszkolone wojsko. Jego elitę stanowiły oddziały dowodzone przez największych możnowładców noszących sławne nazwiska, jak choćby de Montfort, jednak w większości byli to nieposiadający ziemi rycerze z Normandii, Bretanii, Francji, Flandrii, a nawet z południa Włoch. Powiewał nad nimi papieski sztandar, bo Wilhelm zawsze gorliwie wspierał Kościół. Jego armia wylądowała w zatoce Pevensey i w pobliżu niewielkiej osady Hastings zbudowała drewniano-ziemny fort, skąd natychmiast rozesłano zwiadowców.

Alfred mgliście zapamiętał wydarzenia, które rozegrały się w ciągu kolejnych dni. Król wrócił do Londynu. Miasto gotowało się do obrony. Staller – dowódca Gildii Obronnej – i jego podwładni powoływali do służby wszystkich sprawnych fizycznie mężczyzn. Barnikel co dzień wpadał do warsztatu płatnerskiego z nowymi zamówieniami, więc pracowali także nocą.

Ale jedna scena zapisała się w pamięci Alfreda jasno i wyraźnie. Wydarzyło się to wieczorem w domu Barnikela. On i Leofric wrócili właśnie z narady króla z radą miasta. Duńczyk był wzburzony, a Sas zatroskany.

– Dlaczego on zwleka? – wykrzykiwał Barnikel. – Powinniśmy uderzyć od razu!

Leofric nie podzielał jego zapału.

– Wojsko jest wyczerpane po marszu na południe. Ludziom, których wystawiliśmy, nie brakuje odwagi, ale nie łudźmy się, nie mogą się równać z dobrze wyszkolonymi najemnikami. Gdybyśmy jednak spalili plony na całym terenie od Londynu do morza i zniszczyli im transport, to

moglibyśmy wziąć ich głodem. A potem – dorzucił ponuro – wycięlibyśmy wszystkich w pień.

– Nasza rodzina woli stanąć do walki – burknął z niesmakiem Barnikel.

Alfred przekonał się wkrótce, że również najmądrzejsi doradcy Harolda zalecali ostrożność.

Jednak niedługo potem, 11 października, jeszcze przed przybyciem połowy posiłków z wszystkich hrabstw, król Harold wyruszył z Londynu na południe, mając pod komendą siedem tysięcy żołnierzy. Powody tej decyzji nie są do końca jasne. Honorowe miejsce w pochodzie królewskiej armii zajmował staller, Barnikel uzbrojony w swój dwuręczny topór i oddziały wystawione przez londyńczyków. W wyprawie wziął też udział syn Barnikela. Leofric musiał zostać w domu z powodu dokuczliwego bólu kręgosłupa.

Pomimo wzmożonych wysiłków nie wszyscy żołnierze z londyńskich oddziałów byli dobrze uzbrojeni. Alfred zauważył na przykład, że jeden, z głupkowatym uśmiechem przyklejonym do twarzy, niesie okiennicę zamiast tarczy.

Leofric ciągle się wahał.

Wieczorem, godzinę po nieszporach, udał się na zachodnie wzgórze do spokojnej dzielnicy tuż poniżej katedry Świętego Pawła. Król i jego armia wyruszyli z miasta kilka dni wcześniej. Od tego czasu nie przyszły od nich żadne wieści. W mieście panowała atmosfera nerwowego wyczekiwania.

Długi drewniany dach saskiej katedry wznosił się nad krytymi strzechą domami. Po lewej stronie znajdował się strzeżony dziedziniec londyńskiej mennicy. Na wprost wąska alejka usiana pożółkłymi liśćmi zbiegała stromo ku rzece. Z pobliskiej katedralnej warzelni dochodził słaby zapach piwa i w wilgotnym nieruchomym powietrzu mieszał się z zapachem drzewnego

dymu. Rozdzwoniły się kościelne dzwony. Niebo na zachodzie poczerwieniało, przybierając barwę purpury jak na opończy bogacza.

Dom Silversleevesa wyglądał okazale. Kamienny dwór nie był może duży, ale solidny, do drzwi prowadziły szerokie schody. Leofric wszedł powoli na stopnie, pełen najgorszych przeczuć.

Silversleeves i jego dwaj synowie powitali go uprzejmie. Dziwne, ale w domowym zaciszu ich gładko wygolone twarze i wielkie nosy aż tak bardzo nie rzucały się w oczy. Leofric włożył zieloną szatę do kolan uszytą z najlepszej tkaniny, ale nie uszło jego uwagi, że szaty Normandczyków były dłuższe i bardziej wytworne.

Na końcu izby płonął ogień. Wysokie okno umieszczone w ścianie naprzeciwko miało w ramkach zielone niemieckie szkło, a nie olejowany pergamin jak w domu Leofrica. Ściany ozdabiały kosztowne tkaniny. Na stole zamiast dymiących lampek stały duże, drogie świece z pszczelego wosku o słodkim zapachu.

W izbie było już kilku innych gości – flamandzki kupiec, złotnik, którego Leofric niezbyt dobrze znał, i dwaj księża z katedry Świętego Pawła. Od razu zauważył, że dwaj ostatni traktowali gospodarza ze szczególnym respektem. W kącie najbardziej oddalonym od paleniska siedziało na dębowej ławie trzech biednych, wychudzonych mnichów, którzy obserwowali całą scenę z żałosnym zainteresowaniem. Leofric nie umiał odgadnąć powodu ich obecności.

Silversleeves przeprosił go i oddalił się do innych gości, zostawiając go w towarzystwie swoich synów. Stali przy ogniu, więc Leofric mógł im się dobrze przyjrzeć. Henri, który od razu nawiązał uprzejmą rozmowę, wyglądał na sympatycznego człowieka. Ralph sprawiał przeciwne wrażenie – był milczący, zakłopotany, ponury, jakby natura wzmocniła w nim

najgorsze rodzinne cechy. Miał długi, niekształtny nos, dziwnie podpuchnięte oczy i powykręcane, niezdarne ręce.

Spoglądał podejrzliwie na Leofrica.

A Leofric wiedział tylko, że jeden z tych młodzieńców chce ożenić się z jego córką.

Ta myśl tak wytrąciła go z równowagi, że przez kilka chwil trwał w stanie dziwnego oszołomienia i nie do końca docierało do niego, o czym Henri z takim ożywieniem rozprawia.

– To wielki dzień dla naszej rodziny – mówił. – Ojciec będzie budował kościół.

Kościół! Leofric zrobił się czujny. Spojrzał na Henriego z ciekawością.

– Wasz ojciec ufunduje kościół?

Młodzieniec przytaknął skinieniem głowy.

A więc Normandczyk jest naprawdę bogaty, znacznie bogatszy, niż Leofric sądził. Nic dziwnego, że księża odnosili się do niego z taką estymą.

Miasto miało już ponad trzydzieści kościołów. W większości były to typowe saskie budowle z drewnianymi ścianami i glinianą podłogą, niektóre bardziej przypominały kaplice. Ale rodzina, która fundowała kościół, musiała dysponować prawdziwą fortuną.

Jak się okazało, Silversleeves kupił niedawno kawałek gruntu przy Watling Street, tuż powyżej Vintry – kwartału z licznymi magazynami wina.

– Patronem kościoła będzie święty Wawrzyniec – oznajmił Henri. Uśmiechnął się. – I odważę się powiedzieć – dorzucił lekko – że skoro w okolicy nie ma innej świątyni pod tym wezwaniem, to ta będzie nazywana Świętym Wawrzyńcem Silversleeves.

Zwyczaj nazywania kościoła dwoma imionami, upamiętniającymi zarówno świętego, jak i fundatora, powoli zakorzeniał się w mieście.

Ale to nie wszystko. Jak wyjaśnił młody człowiek, tego dnia miała też miejsce uroczysta ceremonia dotycząca samego kupca.

– Mój ojciec przyjął święcenia kapłańskie – oświadczył Henri z dumą. – Będzie mógł odprawiać nabożeństwa.

Takie rzeczy zdarzały się dość często. Podczas panowania Edwarda Wyznawcy, pomimo wielkiej pobożności samego władcy, Kościół angielski pogrążył się w głębokim cynizmie. Owszem, nadal był potężną instytucją. W całym kraju miał rozległe majątki ziemskie, a niektóre klasztory przypominały małe królestwa. Nawet król tracił władzę nad zbiegiem, który szukał schronienia w kościele. Ale to wszystko nie miało nic wspólnego z moralnością. Wielu księży otwarcie żyło w konkubinatach, oddawało kościelne dobra dzieciom – w spadku albo jako posagi. Bogaci kupcy przyjmowali święcenia i mogli nawet ubiegać się o godność kanonika katedry Świętego Pawła. I właśnie bogobojna nadzieja ukrócenia tych nadużyć kazała papieżowi dać błogosławieństwo Wilhelmowi i jego planom podboju wyspy.

Jednak Leofric nie miał najmniejszych wątpliwości, że bez względu na plany i zamierzenia papieża Silversleeves stał się bardzo ważną osobistością.

Po kilku minutach księża i flamandzki kupiec wyszli, więc Silversleeves podszedł do swojego gościa.

– Mam nadzieję, że zechcecie zjeść z nami wieczerzę – powiedział uprzejmie. – Będziemy mieli czas na rozmowę.

Zza zasłony wyłoniły się trzy służące i rozłożyły na stole wielki biały obrus. Ustawiły też dwa fajansowe dzbany, noże, łyżki, miski i naczynia do picia. Gdy skończyły, Silversleeves zaprosił Leofrica gestem do zajęcia miejsca.

Według kościelnego kalendarza tego dnia wypadał post. Ludzie pobożni jedli wieczorem skromny posiłek złożony z warzyw, chleba i wody. Sliversleeves został księdzem, więc Leofric spodziewał się potraw prostych i oszczędnych. Jednak nie docenił swojego gospodarza. Ten spojrzał na siedzących w kącie mnichów i skinął, by podeszli bliżej.

– Ci dobrzy ludzie będą pościć za nas i odprawią w naszym imieniu pokutę – oświadczył beztrosko. Wręczył mnichom po srebrnym pensie i odprawił ich gestem. A potem zmówił modlitwę dziękczynną.

Na początek podano rosół z kapłona przyprawiony korzeniami.

Zgodnie ze zwyczajem owych czasów biesiadnicy siedzieli po jednej stronie stołu, jedzenie podawano z drugiej, jakby przez ladę. Leofrica posadzono po prawej ręce Silversleevesa, a dalej usiadł Ralph. Henri zajął miejsce na lewo od ojca. Rosół zaserwowano w dużych czarach z uchami, po jednej dla dwóch gości. Tak się więc złożyło, że Leofric sięgał łyżką do tej samej miski co Ralph.

Ależ to było nieprzyjemne! Obracając się w porcie wśród brodatych Skandynawów, przywykł do najróżniejszych manier i zwyczajów, jednak z jakichś powodów krople zupy cieknące z kącika ust Ralpha napełniały go szczególnym obrzydzeniem. A do tego jeszcze młody człowiek, nie chcąc okazać się gburem, podsuwał mu swój kielich, który Leofric oczywiście musiał przyjąć.

Mimo wszystko jedzenie było wyśmienite. Silversleeves wydawał uczty jak francuski szlachcic. Po bulionie podano gęstą zupę z porów, cebuli i innych warzyw gotowanych w mleku, a następnie zająca w winie. Zgodnie ze zwyczajem długi obrus służył też biesiadnikom jako serweta do wycierania ust. I czy to z powodu bałaganu czynionego przez Ralpha, czy też może gospodarz chciał jedynie podkreślić przepych swojego domu, obrus zmieniano po każdym daniu, jak na królewskim dworze.

Silversleeves był wybrednym smakoszem. Często płukał palce w miseczce z wodą różaną. Jadł wolno, odgryzając niewielkie kęsy. Ale mimo tych wytwornych manier pochłaniał ogromne ilości jadła. Wino podane w dwóch fajansowych dzbanach też było znakomite – pochodziło z okolic Paryża i w Londynie było najbardziej cenione. Leofric nie pił dużo, ale i to wystarczyło, by trzy nosy współbiesiadników, kiwające się w świetle świec nad jedzeniem, wydały mu się jeszcze dłuższe niż wcześniej.

Na koniec na stole pojawił się deser – budyń z kaszy pszenicznej na mleku z figami, orzechami i korzennym winem. Dopiero teraz Silversleeves postanowił poruszyć sprawę, która ich tu zgromadziła.

Nie zaczął wprost. Najpierw rozmawiali przez chwilę o inwazji Wilhelma i o tym, jakich wieści mogą się spodziewać.

– Oczywiście znam wielu ludzi Wilhelma, w końcu jestem Normandczykiem – powiedział Silversleeves w zadumie. Wymienił de Montforta, Mandeville’a i kilku innych zauszników księcia. – Ale bez względu na to, kto wygra, my nadal będziemy prowadzić interesy – dorzucił.

Co do tego Leofric miał poważne wątpliwości.

Silversleeves milczał przez dłuższą chwilę, pozwalając Sasowi trwać w jego niewesołych myślach. A potem gładko przeszedł do rzeczy.

– Jeden z moich synów – zaczął z uśmiechem – chciałby poślubić waszą córkę. – I zanim Leofric znalazł jakąś stosowną odpowiedź, ciągnął dalej: – Nie oczekujemy żadnego posagu, dla nas liczy się wasz honor i dobre imię.

Leofric wstrzymał oddech. Te uprzejme słowa zaskoczyły go. Ale za chwilę zdziwił się jeszcze bardziej.

– Miałbym też dla was interesującą propozycję. Jeśli dojdzie do ślubu, gotowy jestem przejąć wasze zobowiązania wobec Barnikela i Becketa. Nie

będziecie musieli zaprzątać sobie tym głowy. – Silversleeves zagłębił nos w kielichu z winem, patrząc taktownie na obrus.

Leofric nie mógł wydusić z siebie słowa. Wprawdzie gdy Silversleeves zaoferował w swoim liście znaczącą pomoc, od razu się zorientował, że ma do czynienia z potężnym człowiekiem, jednak obecna propozycja przeszła jego najśmielsze oczekiwania.

– Ale dlaczego? – wykrztusił w końcu.

Silversleeves obdarzył go czymś w rodzaju ckliwego uśmiechu.

– Chodzi o miłość – powiedział cicho.

Pozbyłby się wszystkich długów. A do tego przymierze z Normandczykiem pozwoliłoby mu zachować ziemską posiadłość, gdyby okazało się, że Wilhelm zwycięży.

– Który z waszych synów pragnie mojej córki? – spytał szorstko.

Silversleeves sprawiał wrażenie zaskoczonego.

– Nie wiecie? Henri.

Leofricowi kamień spadł z serca. Na szczęście nie chodziło o Ralpha. Był tak zadowolony, że nie zauważył chłodu w spojrzeniu Henriego.

Perspektywa była bardzo kusząca, ale Leofric wciąż się wahał. Przecież dał Barnikelowi słowo. I wtedy po raz pierwszy w życiu, bo przecież był człowiekiem o nieposzlakowanej uczciwości, przyszła mu do głowy niegodziwa myśl. Oto jeśli jakimś zrządzeniem losu Duńczyk albo jego syn polegnie w walce, to on będzie zwolniony z obietnicy, co pozwoli mu uratować majątek.

– Zastanowię się – powiedział niepewnie. – Obawiam się jednak…

– Nie musicie się spieszyć – wtrącił Silversleeves gładko, wznosząc puchar. – Ale jest jeden drobny warunek – dorzucił.

Leofric nie doczekał się dalszego ciągu, bo w tej chwili z hukiem przez drzwi wpadł jeden z mnichów. Silversleeves spojrzał na niego zirytowany,

ale braciszek krzyknął z przejęciem:

– Król nie żyje! Książę Normandii go pokonał!

– Gdzie?

– Nad morzem. Niedaleko Hastings.

Bitwa pod Hastings, która odmieniła dzieje Anglii, rozegrała się w sobotę 14 października.

Wilhelm wykorzystał swoją przewagę w każdej dziedzinie. Uderzył pierwszy, zaskakując Harolda. Miał oddziały znakomitych łuczników i świetnie wyszkoloną jazdę, a takich właśnie sił brakowało angielskiemu królowi. Poza tym Anglicy zajęli pozycję na dość wąskim wzgórzu, co ułatwiło łucznikom atak powodujący ogromne straty przeciwnika.

Bitwa trwała cały dzień. Łucznikom nie udało się przełamać obrony Anglików. Atakująca konnica nie dała rady wojownikom uzbrojonym w dwuręczne topory, których uderzenia łatwo przebijały kolczugi. Jazda się cofnęła i gdyby nie interwencja samego Wilhelma, poszłaby w rozsypkę.

W ciągu następnych godzin jazda nacierała dwukrotnie, po czym pozorowała ucieczkę. Część Anglików rzucała się w pogoń stokiem wzgórza, wpadając w ten sposób w pułapkę. Anglicy ponosili coraz większe straty, ale mimo to gdy zmierzch zaczynał zapadać, ich linie obronne wciąż utrzymywały szyk. I pewnie udałoby im się wytrwać do nocy, gdyby nie pojedyncza strzała – jak mówią, wypuszczona przypadkiem – która ugodziła króla Harolda w oko. Nieco później król otrzymał śmiertelny cios.

To był koniec. Ciężko rannego stallera zniesiono z pola bitwy. A razem z nim zeszła niewielka grupa wojowników, którzy walczyli pod królewskim sztandarem. Wśród nich był Barnikel i jego syn.

Dwa miesiące później, w słoneczny grudniowy poranek, przed katedrą Świętego Pawła, gdzie przed chwilą obradowała rada miejska, rozegrała się dziwaczna scena, której świadkami było kilkuset londyńczyków.

Barnikel z Billingsgate był purpurowy na twarzy. Patrzył z wściekłością na Leofrica i głosem, który dał się słyszeć na West Cheap, ryknął jedno straszliwe słowo:

– Zdrajca!

Duńczyk była wściekły nie tylko na saskiego kupca, ale i na całe zgromadzenie.

Dni i tygodnie po bitwie pod Hastings były bardzo nerwowe. Wilhelm nie mógł od razu wykorzystać swojej przewagi, gdyż miał mocno osłabione wojsko, do tego w obozie szerzyły się choroby. Musiał czekać na posiłki z kontynentu. Tymczasem w Londynie pojawiły się w końcu oddziały z północy i innych hrabstw. Witan pospiesznie wyznaczył prawowitego następcę króla – został nim przebywający za granicą bratanek Edwarda.

– Dlaczego ich nie atakujemy? – wściekał się Barnikel.

Nawet dla Alfreda sytuacja była oczywista. W mieście znajdowało się mnóstwo ludzi pod bronią, lecz nikt nie kwapił się do przejęcia dowództwa. Rannego stallera transportowano wszędzie na noszach. Szlachta z północy zaczynała przebąkiwać o powrocie do domu. Nawet do terminatorów docierały pogłoski, że arcybiskup Canterbury potajemnie paktuje z Normandczykiem.

W końcu 1 grudnia Wilhelm wyruszył. Przednia straż jego wojsk, posuwających się starą rzymską drogą zwaną Watling Street przez Canterbury i Rochester, dotarła do południowego krańca londyńskiego mostu. Bramy miasta były zamknięte. Normandczycy wycofali się, ale wcześniej podpalili zabudowania na południowym brzegu.

– Wilhelm jest za sprytny, żeby zaatakować most – zauważył Leofric. – Będzie nas osłabiał, aż w końcu złamie.

Taki też był plan normandzkiego księcia. Powoli, oskrzydlając miasto, przeprawił się w okolicach Windsoru na drugą stronę rzeki, a następnie zatoczył łuk na północy, paląc po drodze napotkane gospodarstwa.

– Jeszcze parę dni, a znajdzie się na naszych ziemiach – zauważył Leofric ponuro.

W połowie grudnia w obozie Wilhelma złożył wizytę arcybiskup i dowódca Gildii Obronnej.

– Miasto negocjuje warunki – stwierdził Leofric.

Rzeczywiście, wkrótce ustalono warunki kapitulacji. Wszystkie dawne prawa i przywileje miejskie miały zostać zachowane. Wilhelm będzie traktował londyńczyków jak ojciec. I tego ranka przy katedrze Leofric, kierując się ponurą, wynikającą ze zdrowego rozsądku koniecznością, bez wahania wyraził swoje zdanie: „Powinniśmy przyjąć jego propozycję”.

Nawet staller go poparł. Londyn zamierzał poddać się Wilhelmowi, a Barnikel nie mógł nic na to poradzić.

– Zdrajca! – ryknął jeszcze raz Duńczyk. A po chwili wrzasnął tak, że usłyszało go pół Londynu: – A tę swoją córkę możesz sobie zatrzymać! Mój syn nie ożeni się z dzieckiem zdrajcy! Słyszałeś?

Tak, Leofric usłyszał. A w obecnej sytuacji, mimo że to go wcale nie ucieszyło, uznał takie rozwiązanie za zrządzenie losu.

– Jak sobie życzysz – rzucił na odchodne.

Trzy dni później Barnikelowi dostarczono wiadomość o zaręczynach Hildy z Henrim Silversleevesem. Przez dłuższą chwilę nie mógł w to uwierzyć.

– Sam mu powiedziałeś, że jej nie chcemy. Nie wyraziłeś zgody na nasze małżeństwo – zauważył ze smutkiem jego syn.

– Przecież powinien wiedzieć, że nie mówiłem tego poważnie – jęknął Duńczyk, ale zaraz potem zrozumiał, że Leofric dobrze o tym wiedział.

I wtedy Barnikela z Billingsgate ogarnął prawdziwy szał.

Wszyscy mieszkańcy Billingsgate byli zgodni, że coś podobnego nie zdarzyło się w całym ich życiu. Nawet najstarsi ludzie, którzy pamiętali panowanie króla Kanuta i przysięgali, że widzieli na własne oczy Etelreda Bezradnego, nigdy nie byli świadkami takich scen. Ludzie stawali w otwartych drzwiach swoich domów albo wychylali się przez okna; ryzykanci, którzy przybiegli z przystani, stanęli w odległości trzydziestu kroków od drzwi Barnikela, gotowi do natychmiastowej ucieczki.

Atak szału Duńczyka trwał ponad godzinę. Rodzina wróciła do domu dopiero następnego dnia. Nikt nie był w stanie powstrzymać sąsiadów, którzy koniecznie chcieli zajrzeć do środka, żeby zobaczyć skalę zniszczeń. A było na co popatrzeć.

Trzy beczki z piwem, siedem fajansowych dzbanów, sześć drewnianych półmisków, dwa łóżka, kocioł, pięć drewnianych zydli, piętnaście garnków z konfiturami, skrzynia – wszystko roztrzaskane w drobny mak. Trzy haki na mięso i metalowy rożen pogięte tak, że nie nadawały się już do użytku. Połamany drzewiec dwuręcznego topora. Nieco mniejszym zniszczeniom uległy stół, trzy drewniane okiennice, dwie pary dębowych drzwi i ściana do spiżarni.

Wszyscy orzekli, że nawet skandynawscy przodkowie Barnikela, którzy przybyli tu na łodziach wikingów, przyjęliby to z uznaniem.

Koronację Wilhelma Zdobywcy na króla Anglii wyznaczono na dzień Bożego Narodzenia 1066 roku. Ceremonia odbyła się w kościele opactwa westminsterskiego.

Silversleeves i Leofric stali obok siebie. Ślub ich dzieci miał się odbyć latem tego roku. Leofric uwolnił się od długów. A w zamian musiał spełnić tylko jeden warunek narzucony przez Normandczyka: zaniechać handlu z Becketem z Caen i od tej pory sprowadzać wino za pośrednictwem Silversleevesa. Uczynił to z pewnym żalem, choć cena nie była wygórowana.

Dwa dni po koronacji Alfred, spotkawszy przypadkiem Barnikela na East Cheap, stwierdził, że nowy normandzki król zamierza zostać panem Londynu.

– Poczekaj, a sam się przekonasz – usłyszał w odpowiedzi.

Trochę go to zdziwiło, zwłaszcza że Duńczyk wypowiedział to ostrzeżenie z niespotykanym spokojem. Dlatego Alfred zaczął się zastanawiać, co mogą znaczyć te słowa.

Tower

Rok 1078

Nad rzeką, u podnóża stoku zamieszkiwanego przez kruki, wyłaniała się nowa konstrukcja.

W tym południowo-wschodnim zakątku miasta zawsze panował spokój. Stare rzymskie mury schodziły do Tamizy, a zbocze wzgórza tworzyło nad wodą naturalny amfiteatr. Nieliczne zachowane fragmenty rzymskich budowli wyglądały jak strażnicy albo aktorzy antycznej tragedii zamienieni w kamień. Unosiły się nad nimi chrapliwe nawoływania kruków, wyczekujących na rozpoczęcie kolejnego przedstawienia na trawiastej scenie. Jednak przyszło im czekać bardzo długo, bo grę wznowiono dopiero po tysiącu lat.

Za czasów króla Wilhelma.

Oto na osłoniętym terenie powstały ziemne szańce, zza których powoli wyłaniała się nowa budowla. Już same jej fundamenty świadczyły, że będzie ogromna.

Wznoszono ją z szarego kamienia. Nosiła nazwę Tower.

Po zdobyciu Anglii król Wilhelm popełnił wytłumaczalny błąd.

Nadal miał kilku rywali do korony, ale uznał, że przybyła z nim szlachta, dość nieliczna, osiądzie na wyspie i będzie żyła pokojowo obok Anglików.

Tak się przecież stało za panowania Kanuta, który był Duńczykiem. A sam Wilhelm, choć mówił po francusku, czyż nie był Normanem?

Podejmowane przez niego działania miały pojednawczy charakter. Anglia zachowała saskie prawo zwyczajowe, a Londyn przywileje. Wprawdzie skonfiskowano niektóre posiadłości ziemskie – co było w średniowieczu zwyczajem powszechnym – i przekazano je zwolennikom Wilhelma, jednak znaczna część angielskiej szlachty uratowała swoje majątki.

Dlaczego więc ci przeklęci Anglicy nie mogli postępować rozsądnie? Od dwunastu lat król musiał ciągle odpierać jakieś ataki. Najpierw kilkakrotnie buntowali się Anglicy; pojawiło się też zagrożenie od strony Szkocji. Duńczycy dopuszczali się najazdów. Kilka razy wydawało się, że Wilhelm utraci swoje nowo zdobyte królestwo. Anglosaska szlachta, pozornie oddana władcy, raz po raz okazywała się wiarołomna. Nękany ze wszystkich stron Normandczyk sprowadzał z zagranicy coraz więcej najemnych rycerzy, których musiał wynagradzać ziemiami zabieranymi saskim zdrajcom. W ciągu dziesięciu lat zajęli oni miejsce dawnej angielskiej szlachty. „Anglicy mogą mieć pretensje tylko do siebie”, powtarzał nie bez słuszności król.

W tym czasie pojawiła się też nowinka techniczna, która na zawsze odmieniła oblicze wyspy.

Początkowo normandzki zamek w Londynie był skromną konstrukcją – solidną, drewnianą wieżą wzniesioną na wysokim ziemnym kopcu i otoczoną palisadą. Była to *motte*, typowa normandzka rycerska rezydencja. Prosta, ale wytrzymała, sprawowała władzę nad przylegającym do niej grodem. Podobne budowle powstały wcześniej w Warwick, Yorku, Sarum i wielu innych angielskich miastach. Ale co do Londynu i Colchester – dwóch miejsc mających kluczowe znaczenie dla obrony kraju od

wschodu – plany były dużo bardziej ambitne. Miały tam powstać potężne wieże warowne – nie z drewna, ale z kamienia. Londyńczycy jednoznacznie odczytali ten przekaz: „Waszym panem jest król Wilhelm”.

Był ranek. Świeciło gorące sierpniowe słońce. Na placu budowy nad rzeką robotnicy uwijali się jak mrówki.

Ralph Silversleeves trzymał w ręku bicz. Młody robotnik, patrząc na niego błagalnie, podał mu jakiś mały przedmiot, jakby składał ofiarę bogu.

– Sam to zrobiłeś?

Chłopak skinął głową. Silversleeves z uwagą oglądał przedmiot. Naprawdę niezwykła robota. Bez dwóch zdań. Znów spojrzał na nędzną postać. Sprawiało mu przyjemność, że życie tego człowieka spoczywa w jego rękach.

Ralph zawsze pochwalał normandzki podbój wyspy. Wcześniej uchodził w rodzinie za głupka. Miał wprawdzie odziedziczyć połowę ojcowskiego majątku, ale rodzinny interes został przeznaczony bratu. Podziwiał go. Marzył, żeby być taki jak on. Wiedział jednak, że to niemożliwe. Nie nadawał się do niczego, a ludzie się z niego śmiali.

Jednak od kiedy na tronie zasiadł Wilhelm, wiele się zmieniło. Ojciec znalazł Ralphowi posadę u nie byle kogo, bo u samego Geoffreya de Mandeville, głównego królewskiego namiestnika w mieście. Po raz pierwszy w życiu Ralph poczuł się kimś ważnym. I wcale mu nie przeszkadzało, że de Mandeville wykorzystuje go do poślednich prac, często wymagających okrucieństwa. „Jestem Normandczykiem”, mógł w końcu powiedzieć. Należał do nowej elity. A od roku był nadzorcą w londyńskiej Tower.

– No i co ja mam z tobą począć, Osricu? – powiedział lodowato.

Miał dopiero szesnaście lat, ale deformacja ciała i wszystko, co w życiu wycierpiał, sprawiły, że wyglądał na istotę pozbawioną wieku. Miał krótkie, pałąkowate nogi, krótkie, grube palce i smutne oczy osadzone w nieproporcjonalnie dużej czaszce.

Pochodził z wioski na zachodzie Anglii, z okolic miasta Sarum. Wkrótce po podboju kraju wieś przeszła w ręce jednego z największych arystokratów Wilhelma. I pewnie nowy właściciel nigdy by się nie dowiedział o istnieniu Osrica – którego krewni byli prostymi rzemieślnikami żyjącymi na rozległych włościach wśród setek innych chłopskich rodzin – gdyby nie głupota chłopaka, która kazała mu przeciągnąć linę przed jadącym konno rycerzem. Koń potknął się, a rycerz złamał rękę. Za taki występek groziła śmierć, ale król Wilhelm, pragnąc zaskarbić sobie wdzięczność angielskich poddanych, nakazał swoim stronnikom okazywanie łaskawości. Dlatego Osricowi jedynie rozpłatano nos.

Pośrodku smutnej twarzy widniała teraz bezkształtna, sinoczerwona masa. Oddychał przez usta. I nienawidził wszystkich Normandczyków.

Arystokrata odesłał go do majątku Chelsea, położonego w górę rzeki od Londynu. A rok później zarządca sprzedał Osrica innemu feudałowi, właśnie Goeffreyowi de Mandeville. I teraz chłopak nie wiedział, czy jest jeszcze chłopem pańszczyźnianym, czy już niewolnikiem. Ale jednego był pewny: jeśli narazi się Ralphowi Silversleevesowi, to ten obetnie mu uszy.

Czekał nerwowo na wyrok gburowatego nadzorcy.

Stojąc w palącym słońcu, miał wrażenie, że znajdują się w jakiejś wielkiej, tajemniczej kuźni. Trawiaste wzniesienie przypominało wielkie zielone kowadło, a stukanie młotków ciesielskich odbijające się cichym echem od wzgórza przywodziło na myśl elfy i ich kowali.

Wyżej leżała Tower. Od wschodu otaczały ją stare rzymskie mury, a od zachodu i północy wał ziemny i palisada pozostałe po drewnianym forcie. Na tym wielkim dziedzińcu znalazło się też miejsce dla warsztatów, składów i stajni.

Na rzece stały przycumowane trzy wielkie drewniane barki. Jedna była pełna żwiru i kamieni, na drugiej piętrzył się twardy wapień z Kentu, a na trzeciej leżał jasny twardy kamień z Caen. Całe gromady mężczyzn ciągnęły wyładowane ręczne wózki znad rzeki aż do fundamentów Tower.

A fundamenty były potężne. Sama wieża warowna miała stanąć na planie kwadratu o boku ponad trzydziestu metrów. Widok coraz głębszych fundamentów wprawiał Osrica w przygnębienie. Wydawało mu się, że powstający wykop nie ma końca. Był długi i głęboki, ale najbardziej zadziwiała jego szerokość – mury Tower miały mieć u podstawy aż osiem metrów. Gdy murarze stukali w kowadło Londynu, w tej ogromnej jamie znikały całe barki kamieni niczym roztopiona ruda wlewana do wielkiej otwartej formy.

To była mordercza praca. Od wielu miesięcy Osric wciągał na wzniesienie wózek za wózkiem, a kręgosłup niemal pękał mu z wysiłku. Czasem, z twarzą czerwoną od upału i zmęczenia, z ustami i oczami pełnymi kurzu, próbował zatrzymać się i odpocząć chociaż na chwilę, ale trzask bicza Ralpha albo kopniak od któregoś z karbowych kazał mu wracać do pracy. Jego grube dłonie, najpierw poobcierane do krwi, teraz były pokryte odciskami. Przy życiu trzymało go tylko to, że mógł patrzyć na cieśli.

Na budowie takiej jak ta pracy dla cieśli było w bród. Potrzebowano drewnianych ramp, podnośników i rusztowań. A w niedalekiej przyszłości także belek i desek podłogowych. W każdej wolnej chwili Osric kręcił się koło stolarzy i obserwował ich. Było to działanie instynktowne. Wszyscy

rzemieślnicy w wiosce wywodzili się z jego rodziny, więc w sposób naturalny lgnął do tych ludzi. A cieśle, widząc jego umiejętności, nie tylko go nie przeganiali, ale czasem pokazywali mu nawet tajniki swojego fachu.

Och, jakże tęsknił za taką pracą! I właśnie to pragnienie natchnęło go do śmiałego kroku. Dzięki życzliwości jednego z cieśli od trzech tygodni wprawiał się na resztkach drewna, aż w końcu zrobił coś, z czego mógł być dumny. Nic wielkiego, ot, dwa połączone ze sobą niewielkie klocki, ale połączenie było tak dobrze przemyślane i wykonane, że niejeden cieśla podpisałby się pod taką pracą.

I właśnie to była ofiara, którą błagalnym gestem złożył w dłonie Ralpha Silversleevesa.

– Mógłbym pracować z cieślami, panie?

Ralph z zamyśleniem obracał przedmiot w dłoniach. Z pewnością Mandeville byłby zadowolony, gdyby okazało się, że jego niewolnik jest zdolnym rzemieślnikiem. A i tak ten przysadzisty chłopek z dużą głową i rozpłatanym nosem nie nadaje się do ciężkiej pracy. Jeszcze chwila, a marzenie Osrica by się spełniło. Gdyby nie fatalny błąd.

– Więc myślisz, że nadajesz się na cieślę? – spytał Ralph bez specjalnego zainteresowania.

A Osric, myśląc, że przysłuży się to jego sprawie, odparł żarliwie:

– O, tak, panie. Mój starszy brat jest dobrym rzemieślnikiem. Jestem pewien, że mógłbym mu dorównać. – Zaskoczyło go, że przez twarz nadzorcy przebiegł gwałtowny grymas, jakby spazm bólu.

Biedny Osric. Nie zdawał sobie sprawy, że trafił w czułe miejsce. Jeśli ja nigdy nie dorównam mojemu zdolnemu starszemu bratu, pomyślał Ralph, to dlaczego tej kreaturze miałoby się to udać?

Długonosy Normandczyk ogłosił swój wyrok spokojnie, z ponurym zadowoleniem.

– Twój brat jest cieślą. Ale ty, mój mały przyjacielu, pozostaniesz jedynie jucznym zwierzęciem.

A potem, bez żadnej przyczyny, uderzył chłopaka biczem w twarz i odesłał go do roboty.

Przy stole siedzieli naprzeciwko siebie dwaj mężczyźni. Przez dłuższą chwilę milczeli, rozmyślając o swoich ryzykownych poczynaniach. Obaj mogliby powiedzieć: „Jeśli nas złapią, zginiemy”.

Spotkali się w domu Barnikela stojącym obok kościoła Wszystkich Świętych i spoglądającym teraz z góry na rozrastającą się Tower. A powód był prosty. Prowadzili przestępczy proceder od dziesięciu lat i oto po raz pierwszy Barnikel wyznał szczerze:

– Martwię się.

A potem wyjaśnił, w czym tkwi problem.

Patrząc wstecz, Alfred czasem dziwił się, jak łatwo dał się w to wciągnąć. Na początku nie do końca rozumiał, co się dzieje. Wszystko zaczęło się dziesięć lat wcześniej, latem, po nagłej śmierci żony Barnikela. Przyjaciele natychmiast przyszli mu z pomocą, na zmianę dotrzymując mu towarzystwa. Alfred, zachęcany przez dzieci Duńczyka, też do nich dołączył. I któregoś wieczoru, gdy zbierał się już do wyjścia, Barnikel położył mu wielką dłoń na ramieniu i mruknął do ucha:

– Zrobisz coś dla mnie? Ale uprzedzam, to niebezpieczne zadanie.

Nawet się nie zastanawiał. W końcu miał u kupca wielki dług wdzięczności.

– Rozumie się – odparł.

– Płatnerz, twój mistrz, wszystko ci wyjaśni – powiedział Barnikel.

Czasy były wtedy niespokojne. Król Wilhelm nie umocnił jeszcze swojego panowania. Wzburzony Mandeville co rusz ogłaszał w Londynie zakaz wychodzenia po zmroku na ulicę. Miejski garnizon rozrastał się, więc

płatnerze mieli mnóstwo zleceń. Dlatego Alfred i mistrz często pracowali do późnych godzin.

– Ja mam jeszcze coś do zrobienia – oznajmił któregoś jesiennego wieczoru mistrz. – Ale ty, Alfredzie, możesz już iść. – A kiedy Alfred zaoferował pomoc, dodał cicho: – To jest zamówienie od Barnikela. Nie musisz zostawać.

Na chwilę zapadła cisza. Ale Alfred zrozumiał.

– Zostanę – powiedział.

Od tamtej pory często zostawali w warsztacie do późna. Nie budziło to niczyich podejrzeń, bo otrzymywali dużo zamówień od Mandeville'a. Mimo wszystko zachowywali ostrożność. Ryglowali drzwi i zawsze mieli pod ręką legalnie wyrabiane uzbrojenie, które mogliby pokazać w razie niespodziewanej rewizji.

Dla Alfreda była to wspaniała okazja do doskonalenia umiejętności. Robił dziesiątki hełmów, mieczy, tarcz i grotów. Cały czas ukrywał swoją biegłość przed innymi terminatorami, którzy wprawdzie dostrzegali jego postępy, ale do głowy by im nie przyszło, że wieczorami pracuje u boku mistrza jak równy z równym. Wytworzoną broń gromadzili w schowku pod podłogą, ale Alfred głowił się nad jednym: w czyje ręce ma trafić ten oręż?

Którejś nocy Barnikel przyprowadził konie juczne, zabrał całe uzbrojenie i odjechał w nieznane. Niedługo potem na północy i wschodzie kraju wybuchł wielki bunt wspierany przez Duńczyków. A w Anglii Wschodniej rozgorzało powstanie pod wodzą mężnego Herewarda, nazwanego później Banitą.

Wilhelm bezlitośnie zgniótł rebelię i spustoszył wiele ziem na północy kraju. Cztery lata później Duńczycy przypuścili ponowny atak. A w tym roku plotki o możliwych rozruchach zaczęły krążyć ze zdwojoną siłą, bo

Wilhelm zmagał się z buntem wywołanym przez swojego syna w Normandii.

Alfred zauważył jednak interesującą rzecz. Zamówienia na broń nie przychodziły podczas powstań, ale z kilkumiesięcznym wyprzedzeniem.

Co wcale go nie zaskoczyło. Wioski i osiedla wikingów tworzyły żywą do dziś wielką sieć, umożliwiającą kontakty kupców ze wszystkich zakątków Europy, od Arktyki po Morze Śródziemne. Morskie szlaki prowadziły od ujścia Tamizy na północ, tam, gdzie głos starych sag wciąż był słyszalny, a wieści rozchodziły się szybko. Barnikel dużo wiedział.

A teraz, gdy król wyprawił się do Normandii, wydawało się, że Barnikel znów był dobrze poinformowany. W ciągu ostatnich trzech miesięcy wyrabiali włócznie, miecze i ogromne ilości grotów do strzał. W czyje ręce miała trafić ta broń? Czy Hereward Banita, jak niektórzy wierzyli, wciąż ukrywa się w lasach? Czy wikingowie przygotowywali łodzie do kolejnej wyprawy? Tego oczywiście nie wiedział nikt, ale król budował kamienną Tower, a Mandeville miał podobno szpiegów na każdej ulicy. Alfred uważał, że obaj są wolni od podejrzeń, ale Barnikel był najwyraźniej zatroskany.

Przez ostatnie dziesięć lat życie Alfreda bardzo się zmieniło. Był już w pełni wykwalifikowanym płatnerzem, a niedługo miał przejąć warsztat po starym mistrzu. Cztery lata wcześniej ożenił się i miał już trójkę dzieci. I był dużo bardziej ostrożny. Oczywiście jeśli w wyniku rebelii król Wilhelm straciłby tron, a jego miejsce zająłby Duńczyk, to potajemna praca Alfreda zostałaby sowicie wynagrodzona. Barnikel często to powtarzał. Ale jeśli się myli?

– Nie mogę już przewozić broni jucznymi końmi – tłumaczył Barnikel. – To zbyt ryzykowne. Wszędzie kręcą się szpicle. Musimy coś wymyślić.

I wtedy Alfred coś zaproponował.

Duńczyk pokiwał głową z zastanowieniem.

– Może się udać – powiedział. – Ale potrzebujemy dobrego, zaufanego cieśli. Znasz kogoś takiego?

Dwa dni później Hilda zeszła ze wzgórza od katedry Świętego Pawła i minąwszy Ludgate, znalazła się za murami miasta. Był pogodny, letni wieczór.

Tower nie była jedynym królewskim zamkiem w Londynie. Na zachód od miasta, tuż obok bramy położonej najbliżej rzeki, wznoszono dwa znacznie mniejsze forty. Jednak ich przytłaczająca obecność nie popsuła Hildzie nastroju. Kobieta uśmiechała się, albowiem szła na spotkanie z kimś, kogo nazywała swoim kochankiem.

Na szczęście nigdy nie kochała swojego męża. Nie przeżyła bolesnego zawodu, bo od początku wiedziała, kim jest, i nie miała złudzeń.

A jakim człowiekiem był Henri Silversleeves? Na pewno inteligentnym i pracowitym. Hilda widziała, jak mąż prowadzi interesy. Brakowało mu strategicznych umiejętności ojca, ale był za to mistrzem błyskawicznego ciosu. Pogardzał Ralphem, lecz traktował go uprzejmie.

„Nie pojmuję, dlaczego ojciec chce mu zostawić połowę swojej fortuny – powiedział kiedyś do żony. – Na szczęście mój braciszek nie ma dzieci”. Hilda wiedziała, że jego jedyną miłością jest majątek. Traktował go jak warowny zamek, którego musi strzec i nie może oddać w obce ręce. A dbał o rodową fortunę tak umiejętnie i skutecznie, że jego ojciec spędzał coraz więcej czasu w Hatfield, leżącej o dzień jazdy od Londynu ziemskiej posiadłości otrzymanej od króla.

Rodzina Hildy dzięki jej małżeństwu osiągnęła swój cel. Gdy król Wilhelm skonfiskował większość ziem w Kencie, jej ojciec – tak jak się spodziewał – utracił Bocton. Na szczęście Silversleeves przyszedł mu z pomocą. Wolny od długów Leofric zgromadził znaczny majątek, który

miał przypaść Edwardowi, bratu Hildy. Dlatego Hilda często myślała, że postąpiła słusznie.

Czy sama odniosła jakąś korzyść? No cóż, mieszkała w kamiennym domu niedaleko katedry Świętego Pawła. Henri dał jej dwoje dzieci, chłopca i dziewczynkę. Dbał o nią. Zaspokajał jej potrzeby. I gdyby nie ten lód w sercu, naprawdę byłby wspaniałym mężem.

„Należycie do najważniejszych ludzi w mieście", zauważył kiedyś Leofric. To prawda. Miała nawet okazję poznać samego króla, rodzina Silversleevesów kilkakrotnie była bowiem w Westminsterze na audiencjach z okazji Zielonych Świątek. Król Wilhelm, otyły, rumiany mężczyzna o przenikliwym spojrzeniu, odezwał się do niej po francusku – dzięki mężowi władała tym językiem całkiem biegle, a jej odpowiedzi tak go zadowoliły, że zwrócił się do całego dworu:

– Patrzcie tylko, oto ten młody Normandczyk i jego żona Angielka są żywym dowodem, że nasze narody mogą żyć zgodnie obok siebie. – A potem obdarzył ją promiennym uśmiechem.

– Świetnie wypadłaś – szepnął Henri i Hilda była z siebie naprawdę dumna.

Jednak to, co wydarzyło się w podobnych okolicznościach rok później, napełniło ją goryczą.

Leofric miał do normandzkiego króla podejście pragmatyczne. „Bynajmniej mnie to nie cieszy, ale Wilhelm jest naszym władcą, więc musimy to wykorzystać", mawiał. A dowiedziawszy się, że król szuka sokołów do polowań, zadał sobie wiele trudu – wykosztował się też niemało – żeby znaleźć wspaniałą parę jastrzębi. Kiedy Hilda z małżonkiem otrzymali kolejne wezwanie na audiencję, przyniósł im ptaki. „Ofiaruj je Wilhelmowi ode mnie", powiedział do córki.

Patrzyła więc zadowolona, jak słudzy męża wnoszą przed królewskie oblicze dwie ciężkie klatki.

– Tak pięknych jastrzębi jeszcze nie widziałem! – zawołał uszczęśliwiony król. – Skąd je macie?

Nie zdążyła nawet zebrać myśli, gdy Henri, nie mrugnąwszy okiem, odparł:

– Szukałem ich po całym kraju. – A potem uśmiechnął się do niej.

W obecności króla nie mogła zarzucić mężowi kłamstwa. Patrzyła jedynie na niego ze zdumieniem. A po chwili poczuła zimne ukłucie bólu i zrozumiała, że coś w niej umarło. Może byłaby gotowa mu wybaczyć, gdyby nie ten uśmiech.

A teraz, idąc na spotkanie z kochankiem, była pewna, że z Henrim łączy ją jedynie poczucie obowiązku. Nic więcej.

Tuż za mostkiem przerzuconym przez Fleet, tam, gdzie kiedyś znajdowała się święta studnia, stał obecnie mały kamienny kościółek poświęcony Brygidzie, celtyckiej świętej łączonej często z wodami i podmokłymi miejscami. Mężczyzna, który zatrzymał się przy kościele, czekał cierpliwie.

Barnikel z Billingsgate był zakochany.

Podbój Anglii okazał się dla niego bolesnym ciosem. Normandczycy skonfiskowali jego ziemie w Essexie. Przez jakiś czas obawiał się, że straci wszystko, ale na szczęście udało mu się utrzymać interesy w Londynie, a Silversleeves – co niepomiernie go zdziwiło – sumiennie wypłacał mu procenty od długu Leofrica. Nawet jego najmłodszy syn, którego ze szczerego serca przeznaczył na męża dla Hildy, znalazł doskonałą partię. Chłopak mieszkał teraz u swojego teścia, po którym miał przejąć interesy. „Mógł nas spotkać dużo gorszy los”, mawiała jego żona. Umarła jednak niespodziewanie, co na długie miesiąca wpędziło Duńczyka w głęboką rozpacz.

Od tamtej pory dwie rzeczy trzymały go przy życiu. Potajemna walka z normandzkim najeźdźcą, którą przysiągł prowadzić do końca swoich dni. Oraz Hilda.

Początkowo oboje byli wobec siebie wstydliwi, oboje ubolewali nad rozpadem dawnej rodzinnej przyjaźni. Jednak po ślubie syna Barnikela w ich przypadkowych spotkaniach na West Cheap było dużo mniej zakłopotania, a czasem nawet zatrzymywali się na chwilę, aby wymienić kilka uprzejmych słów. A wypatrzywszy, dokąd Hilda chodzi co wieczór na przechadzki, Barnikel nabrał zwyczaju spacerowania przy mostku o tych samych porach. Przez długi czas, nawet wiele lat po śmierci żony, wydawało mu się, że żywi do młodej kobiety jedynie ojcowskie uczucia. Hilda dużo wcześniej domyśliła się prawdy, jednak nie dała tego po sobie poznać.

I tylko raz, pięć lat wcześniej, odważył się na coś więcej. Pewnego dnia Hilda sprawiała wrażenie smutnej i zmęczonej.

– Czy ten twój mąż się nad tobą znęca? – zapytał nieoczekiwanie.

Roześmiała się cierpko.

– Nie. Ale gdyby nawet, to co mógłbyś zrobić?

Straciwszy panowanie nad sobą, Barnikel przysunął się bliżej i powiedział z pasją:

– Zabrałbym cię od niego.

Ona jednak pokręciła głową.

– Nie mów mi więcej podobnych rzeczy, bo przestaniemy się widywać – szepnęła.

Posłuchał.

Ich związek niewinnych kochanków trwał już od lat. Wiedziała, że od męża może się spodziewać jedynie niedoskonałej miłości, więc uczucie starszego, mądrego mężczyzny miało dla niej wielką wagę. Natomiast

Barnikel znajdował swoistą radość w roli wiernego konkurenta, zwłaszcza że cały czas mógł żywić pewne nadzieje.

Lekkim krokiem wyszedł Hildzie na spotkanie i razem ruszyli na zachód w kierunku Aldwych i starego kościółka jego nordyckich przodków St Clement Danes.

Wyglądało na to, że piwnice Tower będą naprawdę ogromne. A coraz większe fundamenty wyraźnie pokazywały zarys potężnej budowli.

Gdy patrzyło się od strony rzeki, można już było wyobrazić sobie wielką salę zajmującą lewą połowę. Prawa połowa była podzielona na dwie części: dwie trzecie powierzchni z tyłu przeznaczono na prostokątną komnatę, a w południowo-wschodnim narożniku, od frontu, wydzielono mniejsze pomieszczenie. Tu miała powstać kaplica.

Budowniczym tej potężnej konstrukcji był Gundulf, wybitny normandzki mnich architekt, którego niedawno sprowadzono do Anglii i obwołano biskupem Rochester. Gundulf przywiózł ze sobą rozległą wiedzę o wznoszeniu twierdz w Europie, a król Wilhelm już wcześniej wyznaczył go do prac przy kilku budowach. W Colchester w hrabstwie Essex powstawała bliźniacza siostra Tower.

Osric nienawidził swojej morderczej pracy, ale mimo to szczegóły wznoszonej budowli budziły jego zachwyt. Najniżej znajdowały się piwnice, które od strony rzeki nie wyrastały ponad poziom gruntu, jednak z powodu nachylenia stoku ich tylna część schodziła głęboko pod ziemię.

Kamień układano warstwami: najpierw kentyjski wapień, jedynie z grubsza ciosany, potem krzemień wzmacniający mur, wreszcie znów wapień. Wszystko wiązano zaprawą sporządzaną z różnych dostępnych materiałów. Ręcznymi wózkami przywożono z okolicy rzymskie kafle i dachówki, które Osric wraz z innymi robotnikami roztłukiwał na drobne

części, a potem ucierał na proszek, będący składnikiem cementu. Zaprawa, do której używano proszku z dachówek, miała czerwonawy odcień.

„Spójrzcie, Tower powstaje na angielskiej krwi”, mawiali ponuro wyrobnicy.

Biały kamień z Caen przeznaczano do budowy narożników i na ozdoby.

„Jest wyjątkowo twardy – tłumaczył Osricowi karbowy. – A jego jasny kolor sprawia, że budowla wygląda porządniej”.

W miarę jak piwnice się rozrastały, Osric zauważył kilka innych szczegółów. Pomiędzy poszczególnymi pomieszczeniami znajdowały się przejścia, ale do piwnicy można było dostać się jedynie krętymi schodami usytuowanymi w północno-wschodniej wieży. A gdy zapytał nadzorcę o okna, ten uśmiechnął się i wskazał dwie szczeliny umieszczone w najwyższej części zachodniej ściany.

– Popatrz na nich – powiedział, wskazując pracujących murarzy.

Osric szybko zorientował się, że powstające otwory mają kształt klinów zwężających się na zewnątrz.

– Ale tu nie ma miejsca na okno – zauważył.

– To będzie szpara nie większa niż dłoń mężczyzny – wyjaśnił ze śmiechem jeden z murarzy. – Nikt się przez nią nie prześlizgnie.

Osrica zaciekawiło coś jeszcze. W zachodnim, największym pomieszczeniu znajdował się głęboki dół. Osric dość szybko dowiedział się, jakie ma być jego przeznaczenie, bo Ralph kazał mu zejść na dno.

– Kop – rozkazał opryskliwie. A gdy chłopak nieopatrznie zapytał, jak głęboko, zaklął siarczyście i warknął: – Aż dokopiesz się do wody, głupku.

Wprawdzie Tamiza płynęła tuż obok, a nad brzegiem znajdowała się studnia, ale królewski zamek musiał mieć w swoich murach własne ujęcie wody. Dzień po dniu Osric schodził do dołu, na linie spuszczano mu kilof i łopatę, a potem odbierano kolejne wiadra wykopanej ziemi. Wdzierał się

coraz dalej do trzewi wzgórza, aż w końcu natrafił na wodę. Po zmierzeniu okazało się, że studnia ma trzynaście metrów głębokości.

Ale prawdziwym przerażeniem napełniło go coś innego.

Dzień po tym, jak bezlitośnie odrzucił prośbę Osrica o przyłączenie do cieśli, Ralph wrzasnął do chłopaka:

– Ej, ty, skoro tak dobrze idzie ci kopanie dołów, to mam dla ciebie robotę. Tunel, mój mały Osricu. Coś w sam raz dla ciebie.

Każda duża fortyfikacja musiała mieć kanał odpływowy. A ten w Tower został bardzo sprytnie pomyślany. Zaczynał się w rogu piwnicy, niedaleko studni, i schodził pod ziemią łagodnie, aż po czterdziestu pięciu metrach docierał do rzeki. Podczas odpływu kanał pozostawałby prawie suchy, natomiast w czasie przypływu wody Tamizy wdzierałyby się do środka i wypłukiwały nieczystości.

Wykop był niski i wąski, z trudem mieściło się w nim kilku drobnych nieszczęśników takich jak Osric, którzy w kucki kruszyli ziemię oskardami. Pracowali każdego dnia po wiele godzin. Luźną ziemię wyciągano workami na zewnątrz, a cieśle budowali umocnienia zabezpieczające strop przed zawaleniem. Po tygodniach tego morderczego znoju mieli pojawić się murarze, żeby obłożyć ściany wykopu kamieniem. Osric nawet nie chciał myśleć, jak długo to może potrwać. Czuł się jak ślepy kret w norze, a plecy bolały go w dzień i w nocy.

Tydzień później podjął kolejną próbę odzyskania wolności.

Gundulf, biskup Rochester, był potężnym łysym mężczyzną o nalanej twarzy. Miał okrągłą figurę i mówił okrągłymi zdaniami. Ale poruszał się żywo i energicznie, co świadczyło, że cechuje go bystrość umysłu, która czyniła z niego doskonałego zarządcę. Stojący przed nim nierozgarnięty nadzorca być może budził jego niechęć albo rozbawienie, ale żadne z tych

uczuć nie odmalowało się na twarzy biskupa. Wiedział, że musi zachować się dyplomatycznie.

Właśnie dokonał zmian w projekcie londyńskiej Tower. Ralph Silversleeves będzie musiał ją przebudować.

W pierwszej chwili Ralph nie mógł w to uwierzyć. Patrzył na rosnące z każdym dniem ogromne fundamenty. Naprawdę ten tłusty biskup każe mu usunąć tę straszliwą ilość kamienia? Naprawdę ma zacząć budowę od początku?

– Chodzi jedynie o południowo-wschodni narożnik, mój przyjacielu – powiedział biskup pojednawczo.

– Ależ to jest dwadzieścia pięć barek kamienia! – zakrzyknął Ralph z furią. – Na miłość boską, po co?

Powód zmian był prosty. Siostrzany zamek w Colchester miał w tym samym miejscu półkolisty występ spoglądający ku wschodowi. Gundulf uznał, że wygląda to dobrze, więc postanowił przenieść to samo rozwiązanie do Londynu.

– Zrozum, w ten sposób powstanie apsyda królewskiej kaplicy – ciągnął biskup beznamiętnie. – To będzie wspaniała budowla. Król już jest zachwycony – dorzucił.

Na twarzy mało rozgarniętego nadzorcy nie pojawiła się żadna oznaka, że te ostatnie słowa do niego dotarły.

– To opóźni prace o całe tygodnie. A może nawet miesiące – powiedział obrażonym tonem.

– Królowi bardzo zależy, żeby prace postępowały szybko – odparł biskup uprzejmie, lecz stanowczo. Właściwie wyraził się delikatnie: po całym dziesięcioleciu niepokojów w Anglii Wilhelm chciał, żeby nowy kamienny zamek w Londynie został skończony bez najmniejszej zwłoki.

– To niemożliwe – mruknął Ralph. Nie znosił, jak mądrzejsi od niego coś mu nakazywali.

Gundulf westchnął, a potem wyprowadził celny cios:

– Niedawno wspominałem królowi, że jesteś chętny do pracy. I że się do niej nadajesz. Niedługo znów będę z królem rozmawiał.

Ralph wzruszył ramionami, bo nawet on zauważył ukrytą w tych słowach groźbę.

– Jak sobie chcecie – mruknął, zbierając się do odejścia.

– Powiem królowi – podsumował biskup gładko, chcąc dopiec gburowatemu nadzorcy – że skończysz prace w zaplanowanym wcześniej terminie. Nie stracimy ani jednego dnia! – zawołał beztrosko. – Król bardzo się ucieszy.

Chwilę potem Osric podjął kolejną próbę.

Często widywał tęgiego biskupa, gdy ten przychodził sprawdzić, jak postępują prace.

Jak wielu innych wysokich dostojników Gundulf zachowywał pozory rubasznej uprzejmości, ułatwiającej poruszanie się w polityce i życiu publicznym. Przechadzając się po placu budowy, nawet niewolników witał łaskawym skinieniem głowy, bo przecież nic go to nie kosztowało.

Dlatego właśnie biedny Osric, całymi dniami ryjący w ciemnym tunelu, związał z jego osobą swój plan.

Całą duszą i ciałem pragnął być rzemieślnikiem. Ta tęsknota przybierała nawet fizyczne objawy w czubkach palców. Nie mógł się przecież mylić. Chyba że ta katorżnicza praca ma być karą za grzechy wymierzoną przez samego Boga. Tylko że Ralph Silversleeves nie pasował do roli bożego wysłannika, bardziej przypominał diabła. Natomiast biskup Gundulf, który wszystkim rządził, był duchownym i wyglądał na dobrego człowieka. A do duchownego mógł się zwrócić nawet nisko urodzony wyrobnik.

Osric uznał więc, że nie ma nic do stracenia.

Czekał jedynie na odpowiednią okazję. A kiedy po skończonej pracy w tunelu zobaczył biskupa, postanowił zaryzykować. Pobiegł do warsztatu cieśli, chwycił swoje skromne dzieło i nieśmiało zbliżył się do Gundulfa.

Duchowny spojrzał zdziwiony na drobną, umazaną ziemią postać, która z powagą trzymała w dłoniach kawałek drewna. Mimo to odezwał się życzliwie:

– Czego chcesz, mój synu?

– Sam to zrobiłem. Chcę być cieślą – powiedział szybko Osric.

Gundulf z łatwością domyślił się wszystkiego. Od razu zauważył, że mały niewolnik ma zręczne ręce. Spojrzał w kierunku ciesielskich warsztatów. Może warto wysłać tam chłopaka i zobaczyć, do czego się nadaje. Już miał podjąć decyzję, gdy nagle za jego plecami rozległ się gniewny okrzyk.

Ralph.

Natychmiast pojął, o co chodzi. Zmiana planów budowy wzbudziła w nim złość, a widok podłego niewolnika rozmawiającego z Gundulfem za jego plecami dolał oliwy do ognia. Podbiegł do biskupa, a jego wściekły wrzask zamienił się w ryk.

– Mówi, że chce być cieślą – zauważył Gundulf spokojnie.

– Wykluczone!

– Rzemieślnicze zdolności to dar od Boga – stwierdził biskup. – Należy je wykorzystywać.

Wtedy Ralph doznał olśnienia.

– Nie rozumiecie, panie. Jemu nie wolno ufać, nie wolno mu dawać ostrych narzędzi. Trafił tutaj, bo próbował zabić jednego z królewskich rycerzy. Rozpłatali mu za to nos.

– Nie wygląda na groźnego.

– Ale jest niebezpieczny.

Gundulf westchnął. Nie dowierzał nadzorcy. Jednak sprawił mu już dziś wystarczający kłopot. A prace w Tower muszą się toczyć bez przeszkód.

– Jak uważasz – powiedział, wzruszając ramionami.

Rozmawiali po francusku, więc Osric nie rozumiał ani słowa, ale odgadł, że jego ostatnia nadzieja na odmianę losu prysła.

Kilka chwil później Ralph chwycił go brutalnie za ucho i pociągnął do wykopu.

– Myślałeś, że zostaniesz cieślą wbrew mojej woli?! – krzyczał. – No to się rozejrzyj. Do końca życia będziesz rył w ziemi i w kamieniach, nędzny robaku. Aż ci pęknie kręgosłup. – Uśmiechnął się złowieszczo. – Twoim życiem, Osricu, będzie Tower. I tutaj przyjdzie po ciebie śmierć, bo ja już dopilnuję, byś został tu do końca swoich dni. – Wrzucił go do kanału. – Masz kopać jeszcze jedną zmianę – warknął.

Ralph Silversleeves był tak skupiony na sobie, że nie zwrócił uwagi na stojących wokół ludzi. Ale nawet gdyby ich zauważył, to obecność Alfreda nie wydałaby mu się niczym niezwykłym.

Alfred pojawił się w Tower nie bez powodu. Kazano mu wykuć wielkie metalowe kraty do studni i kanału ściekowego. Przyszedł, żeby zobaczyć wielkość wykopów.

Patrzył na całą scenę i przysłuchiwał się wrzaskom Ralpha z umiarkowanym zainteresowaniem. A gdy Silversleeves się oddalił, podszedł do wylotu tunelu. I wtedy zauważył na ziemi drewniane klocki, które wypadły z dłoni Osricowi, gdy Ralph wrzucał go do kanału. Podniósł je ostrożnie.

Wieczorem, po długiej rozmowie z Osrikiem, oznajmił Barnikelowi:

– Chyba znalazłem odpowiednią osobę.

– Możemy mu zaufać? Dasz za niego głowę?

– Tak.

– Ale po co on to zrobi? Czego chce?

Alfred uśmiechnął się szeroko.

– Chce się zemścić.

Zemsta miała słodki smak. Plan był ryzykowny, ale Osric nie stracił pewności siebie. Poza tym czuł się dumny.

Nocą wymknął się potajemnie z baraku obok Tower, w którym zakwaterowano robotników. Na szczęście do domu Barnikela nie było daleko. Miał tam pracować z Alfredem w dużej szopie na tyłach podwórka. Jego krótkie, grube palce, kierowane jakąś przedziwną intuicją, po kilku próbach i błędach stworzyły prawdziwe dzieło sztuki stolarskiej – tak staranne, tak zmyślne i tak zwodnicze, że Alfred nie mógł powstrzymać okrzyku zachwytu:

– Ależ z ciebie prawdziwy rzemieślnik!

Osric miał tak przebudować wóz Barnikela, aby dało się w nim ukryć broń. Ale zamiast skonstruować skrytkę pod dnem pojazdu, znalazł inne, wprost genialne rozwiązanie.

– Podczas przeszukania najpierw zajrzą pod dno – stwierdził nie bez racji.

Dlatego podłogę zostawił nienaruszoną, a zamiast tego skupił się na tworzących ramę belkach. Pracując jak natchniony, wydrążył je z największą ostrożnością, zachowując ich zewnętrzny wygląd, wszystkie przerwy i przesuwne płyciny. Jego robota była tak precyzyjna, że w powstałych skrytkach dało się ukryć znaczną ilość rozłożonych na części mieczy oraz grotów włóczni i strzał. A kiedy skończyli, schowki były całkowicie niewidoczne.

– Teraz można powiedzieć, że ten wóz jest zbudowany z broni! – zakrzyknął Barnikel z zadowoleniem i przytulił małego cieślę tak mocno,

że o mało go nie udusił.

Duńczyk zapowiedział Alfredowi, że wyruszy z towarem w następnym tygodniu.

Dwa dni później Hilda przypadkiem natknęła się na Ralpha. Szła od Ludgate ku katedrze Świętego Pawła. Była w złym nastroju.

Jej złość nie miała nic wspólnego ze szwagrem. Chodziło o haftowanie.

Za czasów panowania króla Wilhelma powstały najsłynniejsze tkaniny ozdobne. A tkanina z Bayeux, jak ją nazywano, nie była tak naprawdę dziełem sztuki tkackiej, ale wełnianym haftem na dziesiątkach zszytych ze sobą kawałków płótna. Miała zaledwie pół metra szerokości, była zaś długa na siedemdziesiąt metrów. Widniało na niej sześćset ludzkich postaci, trzydzieści siedem statków i tyle samo drzew oraz siedemset zwierząt. A przedstawiała podbój Anglii przez Wilhelma.

Był to pierwszy znany w historii przykład państwowej propagandy. Kolejne fragmenty tkaniny niczym komiks ukazywały z perspektywy normandzkiego władcy dziesiątki scen i wydarzeń prowadzących do podboju Anglii i w szczegółach opowiadały przebieg bitwy pod Hastings. Tkaninę zamówił przyrodni brat króla Odon, który jako biskup Bayeux otrzymywał wprawdzie pokaźne dochody, ale dał się też poznać jako żołnierz i administrator równie bezwzględny i ambitny jak sam król. Haftem zajmowały się angielskie kobiety, głównie z Kentu, a wykonane przez nie fragmenty zszywano później w większe całości.

To wspaniałe dzieło nie bez powodu budziło w Hildzie złość. Nie miała najmniejszej ochoty brać w tym udziału, ale Henri kazał jej dołączyć do innych dam, które spotykały się u króla w Westminsterze.

„Odon będzie zadowolony”, stwierdził Henri, mimo że biskup otrzymał połowę ziem w Kencie, a jeden z jego rycerzy przejął posiadłość przodków

Hildy w Bocton. Henri doskonale o tym wiedział, ale specjalnie go to nie obchodziło. Tkanina i przedstawione na niej wydarzenia boleśnie przypominały jej o utracie rodzinnego gniazda, o podboju kraju i o wielu latach podporządkowywania się zimnemu, cynicznemu mężowi.

Dlatego wracając tego przedpołudnia z Westminsteru, wciąż czuła złość.

Wtedy zobaczyła Ralpha.

Wyraźnie był czymś podekscytowany. Jego matowe zazwyczaj oczy błyszczały, na grubo ciosanej twarzy malowało się ożywienie. Bez pytania zrównał się z nią krokiem.

– Chciałabyś poznać jedną tajemnicę? – spytał.

Hildzie często było żal Ralpha. Po części dlatego, że Henri nim gardził, ale głównie dlatego, że wciąż nie znalazł sobie żony.

Żadna go nie chciała. Od czasu do czasu przechodził mostem na południowy brzeg Tamizy, gdzie mieszkały ladacznice, ale mawiano, że nawet one niechętnie przyjmowały jego grubiańskie zaloty. Czasem Hilda proponowała, że poszuka mu żony, ale Henri zawsze ją powstrzymywał. „Jak się ożeni, to będzie miał spadkobierców majątku – przypominał. A któregoś dnia zauważył cierpko: – To ja zajmuję się pieniędzmi rodziny. I zamierzam żyć dłużej niż on”. Dlatego patrząc na idącego obok niej Ralpha, zmusiła się do uśmiechu.

Gdyby nie spotkał swojej szwagierki tuż po rozmowie z samym Mandeville’em, z pewnością nie byłby taki gadatliwy. Lubił Hildę. „Nie jestem taki głupi, jak się Henriemu wydaje”, zwrócił się kiedyś do niej żałosnym tonem. A teraz, w przypływie ekscytacji, nie mógł się powstrzymać, żeby się czymś nie pochwalić.

– Otrzymałem bardzo ważną misję – oznajmił.

Rozmowa między Ralphem a Mandeville’em trwała krótko, ale dotyczyła ważnych spraw. Głównym zajęciem Mandeville’a było zbieranie

informacji. Wiedział o wszystkim, co działo się w południowo-zachodniej części Anglii. I jak powiedział Ralphowi, istniały poważne powody do obaw, że w kraju znów wybuchną niepokoje.

„Według mnie ci buntownicy, którzy wzniecili rebelię trzy lata temu, dostawali broń z Londynu – oznajmił. – Więc musimy położyć temu kres”.

Mandeville uznał, że do przeprowadzenia zaplanowanej operacji potrzebuje kogoś podejrzliwego, mało rozgarniętego i bezwzględnego.

„Będziesz się mógł wykazać – powiedział, wyłuszczywszy Ralphowi cały plan. – Ale bądź cierpliwy. I znajdź sobie jakichś szpiegów”.

„Rozbiorę na części każdy wyjeżdżający z Londynu wóz!”, zawołał ochoczo Silversleeves.

„Wręcz przeciwnie – pohamował go Mandeville. – Masz rozluźnić kontrole wywożonych z miasta towarów. – Uśmiechnął się. – Ta sztuczka uśpi ich czujność. Tymczasem rozstawisz w lasach swoich ludzi. Jeśli zauważą jakiś podejrzany transport, mają go śledzić. Nie zależy nam na przechwyceniu broni, ale na dotarciu do buntowników. I przede wszystkim nikomu o tym nie mów. Zrozumiałeś?”

Zrozumiał. Został obdarzony zaufaniem. Otrzymał tajną misję. Gdy szedł przez miasto, rozpierała go duma. Nic więc dziwnego, że zobaczywszy Hildę, postanowił się pochwalić.

– Tobie mogę powiedzieć, bo jesteśmy rodziną.

Gdyby nie emocje związane z tkaniną z Bayeux, wyznania Ralpha wcale by jej nie zainteresowały. Ale patrząc na jego szeroką twarz, tak podobną do oblicza jej męża, choć bardziej brutalną, pomyślała o swoich nieszczęsnych rodakach, którzy mieli wpaść w jego pułapkę i zginąć. Poczuła, że ogarnia ją obrzydzenie.

Miała tego wszystkiego dość – Henriego, Ralpha, Normandczyków i ich rządów. I była bezradna. Ale nie, mogła coś zrobić.

– Pewnie jesteś z siebie dumny – powiedziała do Ralpha na odchodnym.

W przyszłym tygodniu miała wyjechać na miesiąc do posiadłości teścia w Hatfield. Bynajmniej jej to nie cieszyło. Dlatego umówiła się na wieczór na spacer z Barnikelem, ostatni raz przed długą rozłąką.

Spotkali się przy kościółku Świętej Brygidy i jak zwykle ruszyli do Aldwych. A po drodze Hilda opowiedziała mu o wszystkim, czego dowiedziała się od Ralpha.

– Wiem, że nie darzysz Normandczyków sympatią – dodała. – Dlatego jeśli znasz kogoś, kogo należałoby ostrzec, to przekaż mu tę wiadomość.

Widząc zaniepokojenie na twarzy Barnikela, trafnie odgadła, że jego opór wobec normandzkiej władzy sięga znacznie głębiej, niż początkowo sądziła. Pod wpływem nagłego impulsu chwyciła go za ramię.

– Drogi przyjacielu, czy mogłabym ci jakoś pomóc? – spytała cicho.

Droga prowadząca z Londynu na północ przecinała najpierw błotniste łąki i pola, a dalej, gdzie teren zaczynał się wznosić, biegła wśród lasów, mijając starą saską wioskę Islington.

Dziesięć dni po spotkaniu z Mandeville’em Ralph Silversleeves wyjechał z lasu, kierując się na południe. Towarzyszyło mu kilkunastu konnych. Ralph aż gotował się z bezsilnej wściekłości.

Właśnie odbył spotkanie ze swoimi ludźmi. Ale jego szpiedzy nie mieli się czym pochwalić.

– Znaleźliśmy tylko nędzne widły – powiedział któryś gderliwie.

– Może ktoś ich uprzedził? – rzucił inny.

– Niemożliwe! – wrzasnął Ralph.

A gdy jeden z nich ośmielił się zapytać: „Czy ty w ogóle wiesz, co robisz?”, uderzył go z wściekłością.

Czuł wyraźnie, że jadący za nim ludzie nie mają do niego zaufania. Był pewien, że ktoś wyprowadził go w pole, choć nie miał pojęcia, jak to się

mogło stać. Zaczął nawet podejrzewać swoich własnych szpiegów.

Nagle zobaczyli wóz.

Wyglądał podejrzanie. Duży, przykryty plandeką, z pewnością wiózł ciężki ładunek, bo cały trzeszczał, a ciągnęły go aż cztery konie. Obok woźnicy siedziała zakapturzona postać.

Ralph wpadł w amok. Przed chwilą jeszcze załamany i wzburzony, teraz poczuł, że nareszcie się wykaże. Zapominając o instrukcjach Mandeville'a, podjechał pędem do wozu i wrzasnął do woźnicy:

– Stać, zdrajcy! Pokażcie, co tam macie! – krzyczał. – Nędzne psy!

Ściągnął cugle, a wtedy tajemnicza postać na koźle zsunęła kaptur i spojrzała na niego z bezbrzeżną pogardą. Była to Hilda.

– Ty głupcze! – zawołała tak głośno, że usłyszeli ją podkomendni Ralpha. – Henri zawsze mi powtarzał, że jesteś durniem. – Ściągnęła plandekę, pokazując niewinny ładunek. – Dzbany z winem! – krzyknęła. – Dar od twojego brata dla waszego ojca. Wiozę je do Hatfield. – Zrobiła ruch, jakby chciała uderzyć go biczem. Gest był tak przekonujący, że Ralph cofnął się szybko i aż posiniał na twarzy.

Ludzie Ralpha wybuchnęli śmiechem. A on, wściekły i upokorzony, kazał im ruszać za sobą i nie spojrzawszy nawet do tyłu, popędził w kierunku Londynu.

Pięć tygodni później przy kościele Świętej Brygidy Barnikel z Billingsgate złożył niewinny pocałunek na czole swojej nowej konspiratorki.

W dobrych nastrojach ruszyli nad rzeką.

Żadne z nich nie zauważyło, że tym razem są śledzeni.

Rok 1081

Osric zbliżał się już do dwudziestej rocznicy urodzin, gdy po raz pierwszy zainteresował się kobietą. Dziewczyna miała szesnaście lat.

Nie powiedział o niej nikomu. Nawet swojemu przyjacielowi Alfredowi.

Stanowili obaj dziwną parę. Alfred zdobył już tytuł mistrza płatnerskiego rzemiosła. Jasny kosmyk nad czołem stał się prawie niewidoczny, bo włosy mu posiwiały. Nabrał tuszy. Władczym tonem wydawał polecenia swoim uczniom, a żona i czwórka dzieci słuchali go we wszystkim.

Nie zapomniał jednak, że dawno temu Barnikel uratował go od śmierci głodowej. I starał się spłacić ten dług, dlatego pomagał Osricowi. Przynajmniej raz w tygodniu dostarczał mu obfity posiłek, a kilka razy próbował wykupić go z niewoli. Niestety Ralph zawsze wymyślał jakieś przeszkody.

– Przykro mi – mówił Alfred. – Nic nie mogę na to poradzić.

Nienawiść Ralpha do młodego niewolnika, choć pozbawiona racjonalnych podstaw, pogłębiała się, aż przeszła w dziwną obsesję.

– Czasem wydaje mi się, że cię prawie kocham – powiedział kiedyś Ralph z szyderczą pogardą.

Traktował młodego wyrobnika jak żywy przedmiot, któremu może zadawać ból, gdy tylko przyjdzie mu na to ochota. Nienawiść Osrica sprawiała mu satysfakcję. Tak samo jak udaremnianie jego kolejnych prób odzyskania wolności.

– Nie martw się, zostaniesz ze mną na zawsze.

Była drobnej postury. Miała długie ciemne włosy z przedziałkiem pośrodku głowy i bladą cerę. Jedynie usta – małe i czerwone – nadawały kolor jej

twarzy. Osric nie mógł tego wiedzieć, ale wszystkie te cechy świadczyły, że w jej żyłach płynie krew Celtów i Rzymian.

Robotnicy mieszkali w drewnianych barakach ustawionych nad rzeką po wewnętrznej stronie dawnego rzymskiego muru. Każdy mógł urządzić swoją kwaterę, jak chciał. Jednym, na przykład Osricowi, wystarczało słomiane posłanie. Inni, zwłaszcza ci, którzy mieli żony, budowali z kawałków drewna i snopków słomy prymitywne przepierzenia, które miały im zapewnić trochę prywatności. W rezultacie w wielu miejscach osiadły już całe rodziny. Robotnicy stanowili wielobarwne zbiorowisko. Jedni byli chłopami pańszczyźnianymi, przysłanymi przez właścicieli ziemskich w ramach spłaty daniny dla króla, inni – niewolnikami. Wielu, tak jak Osric, nosiło ślady różnych okaleczeń, będących karą za popełnione przestępstwa. Porządku nie pilnował nikt. Ralpha nie obchodziło, jak wyrobnicy żyją między sobą, pod warunkiem że stawiali się do pracy.

Ojciec dziewczyny był kucharzem, więc na szczęście nie musieli głodować. Ale po jego śmierci dwa lata wcześniej życie stało się ciężkie. Matka wykonywała różne dorywcze prace, lecz była chorowita i miała powykrzywiane od reumatyzmu ręce. Dziewczyna wiedziała, że oprócz niej nikt się matką nie zajmie. Chore wyrobnice, pozbawione opieki rodziny, szybko umierały.

Miała na imię Dorkes.

Po raz pierwszy zauważył ją w grudniu. Prace budowlane prowadzono w Tower bez względu na pogodę, ale zima była tego roku wyjątkowo sroga, więc któregoś dnia, dwa tygodnie przed Bożym Narodzeniem, wydano polecenie: „Przerwać prace”.

– Jak jest taki mróz – tłumaczył majster – mokra zaprawa zamarza na lód, a potem kruszy się.

Następnego dnia część robotników odesłano do rodzinnych wiosek, a pozostali otrzymali nowe zadanie:

– Trzeba przykryć mury.

Wznoszone ściany należało ocieplić od góry, co było morderczą, ale konieczną pracą. Do tego śmierdzącą, bo wykorzystywano w niej ogrzane odchody zwierząt wymieszane ze słomą. Wkrótce ogromne szare mury pokryły warstwy słomy i gnoju.

Każdego dnia Osric mył się po pracy, nawet gdy było zimno, więc często schodził nad Tamizę i wskakiwał w ubraniu do wody, a potem szybko wracał do baraku, gdzie rozbierał się i suszył swoje łachmany przy ogniu. I właśnie na początku zimy zauważył, że ktoś jeszcze o świcie lub o zmierzchu schodzi nad wodę, żeby się umyć. Dorkes.

Była bardzo czysta i bardzo nieśmiała. Najpierw tylko to w niej zauważył. Oraz że wyglądała jak dziewczynka. Mała myszka, pomyślał i uśmiechnął się do niej. Ale zaraz o niej zapomniał. Miał inne sprawy na głowie.

Przez ostatnie trzy lata Barnikel i Alfred nie mieli dla niego żadnej roboty. Poza niewielkimi rozruchami na północy w Anglii panował spokój. Nadzieje, które Barnikel wiązał z dostarczaną bronią, najwyraźniej spełzły na niczym. Jednak Osric podejrzewał, że stary Duńczyk wciąż potajemnie gromadzi uzbrojenie.

Sam nie uskarżał się na swój los. Owszem, każdego dnia harował jak wół – ciągnął wózki z kamieniami, nosił wiadra z budulcem dla murarzy, dostarczał cieślom drewno – ale z czasem znalazł sobie dodatkowe zajęcie.

Po tym, jak zrobienie skrytek w wozie Barnikela ujawniło jego niezwykłe zdolności, zaczął zbierać na budowie porzucone resztki drewna, a czasem udawało mu się wyprosić u cieśli kawałki drewnianych bali. Wieczorami przy świetle płomieni z paleniska zajmował się rzeźbieniem.

Prawie co tydzień spod jego palców wychodziło coś nowego – jakaś figurka albo zabawka – i wkrótce nawet cieśle nazywali go „małym rzemieślnikiem”. Mówili to z życzliwością i niejakim rozbawieniem, jakby był ich maskotką. Nie należał przecież do ich cechu, wciąż był tylko jucznym zwierzęciem. Jemu to jednak nie przeszkadzało, a oni często pokazywali mu swoją robotę i tłumaczyli tajniki rzemiosła.

Najdziwniejsze było to, że ponure mury Tower fascynowały Osrica, choć stały się jego więzieniem.

Ogromne piwnice zostały już ukończone, przykryto je deskami opartymi na wielkich belkach; jedynie pomieszczenie w południowo-wschodnim narożniku otrzymało kamienne sklepienie. Prowadzące do piwnic kręte schody odgrodzono solidnymi drzwiami z dębu i żelaza, zamykanymi na duży klucz, który wykonał Alfred.

– Tam będzie składowana broń dla całego londyńskiego garnizonu – wyjaśnił Osricowi majster.

Mury budowli pięły się szybko w górę. Do głównego wejścia w południowej fasadzie prowadziły od zewnątrz wysokie drewniane schody. Ściany wyrastające nad ziemię były niemal tak grube jak te w piwnicy, miały jednak dziwne wgłębienia i liczne nisze prowadzące do wąskich okien.

Zwłaszcza dwa takie miejsca zaciekawiły Osrica.

W zachodniej ścianie głównej sali znajdowała się szeroka na trzy metry wnęka – można było do niej wejść jak do małej izby. Patrząc ze środka w górę, widziało się czterometrowy kanał zakończony małym otworem wychodzącym na zewnątrz.

– Na co to jest? – spytał Osric murarzy.

– Na ogień – odpowiedzieli ze śmiechem, rozbawieni jego ciekawością. – Nad tym pomieszczeniem będzie królewska komnata. A że król nie chce

paleniska na środku, bo dym przedostawałby się przez szpary w podłodze, kazał zbudować ten wielki kominek. Takie same mają we Francji. Drugi budujemy w komnacie wschodniej.

I tak oto pierwsze kominki, jakie pojawiły się w Anglii, powstały właśnie w Tower. Nie miały jednak przewodów wentylacyjnych – dym wydostawał się przez otwór w ścianie.

Dwie wnęki w północnej ścianie również budziły ciekawość. Były to wchodzące w głąb muru wąziutkie korytarze. Każdy z nich kończył się małą niszą, w której stała kamienna ławka z dziurą.

– Spójrz przez dziurę – powiedział do Osrica jeden z murarzy.

Był tam krótki pionowy odpływ, który urywał się po zewnętrznej stronie muru na wysokości sześciu metrów nad ziemią.

– Francuzi mówią na to *garderobe* – tłumaczył murarz. – Domyślasz się, co się tutaj robi? – Kiedy Osric skinął głową, ciągnął: – Do odpływu wstawimy drewnianą rynnę, która będzie wystawać poza obręb muru. Żeby to, co spadnie do kloaki, nie pobrudziło ściany. A kloakę wykopiesz później.

Osric zastanawiał się przez chwilę.

– Będzie wiało po tyłku.

Murarz się roześmiał.

– To celowe, żeby ludzie za długo tu nie siedzieli.

Wydarzyło się to w czerwcu. W zasadzie nic wielkiego. Ot, pewnego ciepłego wieczoru kilku mężczyzn popijało nad rzeką, a Dorkes akurat przyszła się umyć. Nie zabawiła długo, nabrała wody w dłonie i przetarła twarz. Gdy szła z powrotem ze wzrokiem wbitym w ziemię, jeden z mężczyzn, już lekko pijany, próbował objąć ją w talii.

– Mam cię, myszko! – zawołał. – Teraz daj nam całusa.

Inna dziewczyna zaśmiałaby się albo zażartowała, ale Dorkes nie wiedziała, jak się postępuje z pijanymi mężczyznami. Opuściła głowę jeszcze niżej, próbując się uwolnić. Tamten zarechotał, sięgając do drobnych piersi dziewczyny.

Wtedy coś zmiotło go z nóg.

Widząc, co się święci, Osric nie próbował nawet przemówić pijanemu do rozumu, ale od razu rzucił się na niego z taką siłą, że przewrócił go na ziemię, choć był od niego dwa razy mniejszy. Przez chwilę sądził, że wszyscy pijacy dopadną go i wrzucą do rzeki, ale usłyszał jedynie gromkie śmiechy.

– Ten mały stolarzyna umie się bić! – rozległy się okrzyki. – Hej, Osricu, nie wiedzieliśmy, że to twoja panna.

Od tamtej pory często żartowali sobie z niego na budowie.

– Jak tam twoja dziewczyna, Osricu?

To dlatego zaczął się jej uważniej przyglądać.

Miał ku temu wiele sposobności. Czasem widywał ją wczesnym rankiem, gdy schodziła nad rzekę. Akurat było lato, więc miała na sobie jedynie prostą sukienkę. Jak wszystkie kobiety zanurzała się w wodzie w ubraniu, więc gdy wychodziła na brzeg, doskonale widział zarysy jej ciała. Nie była płaska jak deska, jak mu się wcześniej wydawało, miała drobne, kształtne piersi.

Wieczorami, gdy siadywała z matką przy ogniu, znajdował sobie jakieś miejsce nieopodal i przyglądał się jej twarzy. I wkrótce jej blady, niepozorny profil wydał mu się piękny.

Ale nie tylko wygląd dziewczyny zwrócił jego uwagę. Była nieśmiała, lecz z milczącą determinacją opiekowała się matką, która z powodu postępującej choroby z każdym miesiącem coraz mniej nadawała się do pracy. Dorkes umiała zachować godność, nie żebrała, lecz imała się

różnych zajęć, za które dostawała a to trochę jedzenia, a to jakieś ubranie, dzięki czemu nie popadły z matką w ostateczną nędzę.

Po tym, jak się za nią wstawił, dziewczyna traktowała go życzliwie. Czasem gawędzili ze sobą albo chodzili na małe przechadzki. Matka Dorkes, wychudzona kobieta z palcami powykręcanymi chorobą, przyglądała się im z daleka, ale poza smutnym skinięciem głową nie odezwała się do niego ani słowem, więc trudno mu było zgadnąć, co myśli o ich znajomości. Dorkes zauważyła, że z jej powodu inni mężczyźni żartują sobie z Osrica, ale najwyraźniej jej to nie przeszkadzało. Pomimo łagodnego uśmiechu wciąż była pełna rezerwy – albo z powodu wrodzonej nieśmiałości, albo z innej przyczyny.

Zakochał się w niej w lipcu. Sam nie wiedział dlaczego. Patrząc na nią któregoś wieczoru, poczuł nagle, że ogarnia go fala tkliwej czułości. A następnego dnia wszędzie jej wypatrywał. W nocy śnił o niej. Obudził się z przeświadczeniem, że jego życie nabrałoby sensu, gdyby mógł je z nią dzielić.

– Zaopiekowałbym się nią – mruknął do siebie. Ta myśl napełniła go taką radością, że nawet nędzny barak, w którym mieszkali robotnicy, stał się nagle przyjaznym miejscem.

Kilka dni później natknęli się na Ralpha Silversleevesa.

Wczesnym rankiem, jeszcze przed rozpoczęciem pracy, Ralph miał zwyczaj obchodzić teren budowy. Do baraków mieszkalnych zaglądał z rzadka. Za to zawsze okrążał od zewnątrz Tower, prężąc się z dumy, jakby to był jego zamek. I właśnie w takiej chwili zauważył dwójkę młodych ludzi wracających od strony rzeki.

Ralph słyszał już wcześniej żartobliwe uwagi na temat Osrica i jego dziewczyny, ale patrzył na małego robotnika jak na nędzne zwierzę pociągowe, więc trudno mu było uwierzyć, że jakakolwiek dziewczyna

zwróciła na niego uwagę. Dlatego zdziwił się bardzo, widząc ich razem. A więc to prawda? Ten żałosny Osric znalazł sobie kobietę, a on, Ralph, nie? Owładnięty nagłą zazdrością, spojrzał uważnie na dziewczynę.

– Czemu to zadajesz się z takim wymoczkiem? – rzucił. A potem zwrócił się do Osrica. – Lepiej zostaw tę ślicznotkę w spokoju. Pewnie czuje się zażenowana w towarzystwie kogoś, kto ma tak paskudną twarz. – Uderzył go biczem po plecach i ruszył w swoją stronę.

Przez chwilę nie odzywali się do siebie.

– Jego nie warto słuchać – szepnęła w końcu Dorkes.

Osric wiedział, że Ralph jest jego wrogiem, ale słowa Normandczyka tak nim wstrząsnęły, że nic nie odpowiedział.

Po odpływie nad brzegiem Tamizy zostawały liczne oczka czystej wody. Jeszcze tego samego dnia po południu, kiedy słońce świeciło tak mocno, że w wodzie odbijało się błękitne niebo, Osric zszedł samotnie nad rzekę.

Minęło tyle lat, że w końcu zapomniał o bólu rozciętego nosa, przywykł do dziwnego oddychania, przestał też zajmować się swoim wyglądem. Zresztą w świecie praktycznie pozbawionym szyb i luster trudno mu było zobaczyć gdzieś swoje odbicie. Teraz jednak patrzył ze zdziwieniem na twarz widoczną w tafli nieruchomej wody.

Po chwili wybuchnął płaczem.

Nie zdawał sobie sprawy, że włosy już mu się przerzedziły. Zapomniał, że zamiast nosa ma siną bliznę, która nadaje jego twarzy groteskowy wygląd. Patrząc na swoją zbyt dużą głowę, zgarbione ciało i szpetną plamę na twarzy, miał ochotę zawyć z rozpaczy, ale stłumił ten odruch z obawy, że ściągnie na siebie uwagę.

– Jestem odmieńcem – szepnął.

Upokorzony powlókł się do pracy.

W następnych dniach za każdym razem, gdy widział Dorkes, miał ochotę zakryć dłońmi swoją ohydną twarz. Ale nigdy nie zauważył z jej strony najmniejszej nawet niechęci czy obrzydzenia. Jeśli ukrywała te uczucia, to robiła to bardzo umiejętnie. Uśmiechała się do niego tak jak zawsze.

Osric zaczął też spoglądać na innych mężczyzn, oceniając ich wady. Jeden kulał, inny miał zmiażdżoną rękę, a jeszcze inny sączącą się ranę. Więc może jednak, pocieszał się, nie jestem taki najgorszy.

Gdyby tylko mnie pokochała, marzył w skrytości ducha. Troszczyłby się o nią. Oddałby za nią życie.

W tym stanie ducha minęły mu kolejne trzy tygodnie.

Murarze budowali teraz kryptę w kaplicy. Była obszerna, miała piętnaście metrów długości i mieściła się we wschodniej apsydzie. Właśnie przystąpiono do układania sklepienia.

Osric lubił przyglądać się tym pracom. Najpierw cieśle wyciosali z drewna wielkie półokrągłe łuki, które ustawiono na rusztowaniach jak rząd wygiętych mostów. Potem na górę wspinali się murarze, którzy układali na podporach kamienie w kształcie klinów, szerokim końcem do góry. Dzięki temu, gdy wszystkie kamienie znalazły się na swoim miejscu, łuk stanął solidnie o własnych siłach.

Któregoś ranka Osric usłyszał, jak murarze gderają na „jeszcze jedną przeklętą zmianę”. Chwilę później pojawił się Ralph, który zirytowanym tonem kazał mu pójść po kilof. Wkrótce okazało się, że czeka go ciężka praca.

Mur pomiędzy kryptą a salą we wschodniej części Tower miał blisko siedem metrów grubości. Najpierw od strony krypty murarze wyżłobili w ścianie wąski przesmyk, a potem Osric i trzech innych mężczyzn zabrali się do usuwania gruzu wypełniającego wnętrze muru, tworząc coś w rodzaju niszy. Jednocześnie cieśle ustawiali stemple i prowizoryczny

strop zabezpieczający mur od góry. Pracowali całymi dniami jak górnicy wdzierający się w skalną ścianę, aż w końcu maleńka nisza miała powierzchnię półtora metra kwadratowego.

– Przypomina jaskinię – zauważył Osric ze skrzywioną miną.

Było to trafne porównanie, albowiem mury w średniowiecznych zamkach nie służyły jedynie do oddzielania jednych pomieszczeń od drugich. Stanowiły odrębne elementy, w których można było tworzyć przejścia i tajemne pomieszczenia.

– Tu będzie skarbiec – wyjaśnił Ralph. – Na wszystkie kosztowności.

Do skarbca miały prowadzić grube dębowe odrzwia.

Wczesną jesienią pewnej pochmurnej niedzieli Osric wyznał swoją miłość.

Przy starym rzymskim murze biegnącym obok Tower znajdowały się schody prowadzące na blanki. Tego dnia nie prowadzono tu żadnych prac, więc Osric i Dorkes wspięli się na górę, żeby popatrzeć na rzekę. Było cicho i spokojnie. A gdy znaleźli się sam na sam, Osrica tak wzruszyła delikatna postać dziewczyny, że objął ją delikatnie w talii.

Dorkes zesztywniała. Odwrócił się, żeby na nią spojrzeć, ale się cofnęła. Popatrzyła niespokojnie na niego, a widząc jego smutne, szczere oczy, potrząsnęła głową i łagodnie, ale stanowczo odsunęła jego rękę.

– Nie rób tego, proszę.

– Myślałem, że…

Jeszcze raz pokręciła głową, biorąc głęboki wdech.

– Jesteś dobrym człowiekiem, Osricu, ale… – Jej ciemne oczy patrzyły na niego spokojnie. – Ja cię nie kocham.

Skinął głową, czując, że w gardle zbiera się gorąca rozpacz.

– Chodzi o…? – chciał powiedzieć: „Chodzi o moją twarz?”, ale nie umiał dokończyć.

– Idź już, proszę. No idź – ponagliła go.

Zrozumiał, a jakże. Zszedł po schodach i wrócił do baraku. A potem siedział długo na posłaniu, płacząc bezgłośnie nad swoim losem.

Pewnie by się zdziwił, gdyby wiedział, że stojąca wciąż na murach dziewczyna czuje jeszcze większy smutek niż on. A powodów jej rozdarcia nigdy by się nie domyślił.

Na początku Dorkes rzeczywiście zauważyła jego zniekształconą twarz, ale potem rzadko o tym myślała. Podziwiała jego odwagę i lubiła łagodność. Jednak często myślała ze smutkiem, że i tak niewiele wyniknie z ich znajomości. Osric nie miał bowiem nic. Pierwszy lepszy wioskowy chłop miał jakąś chatę i kawałek ziemi. A Osric? Tylko posłanie ze słomy. Jakie życie go czeka? Ma do samej śmierci ciągnąć wózki z kamieniami pod okiem Ralpha Silversleevesa? A ona? Przecież musi opiekować się niedołężną matką. Z mężczyzną u boku nie będzie to możliwe. Widywała ordynarne pary kopulujące w barakach, obdarte, wygłodzone dzieci taplające się w błocie. „Żyją jak robactwo – powiedziała kiedyś matka. – Uważaj, żeby ciebie to nie spotkało”.

Miała nadzieję, że wpadnie w oko jakiemuś rzemieślnikowi albo chłopu przysłanemu do pracy przy Tower. A jeśli nie, to sama zajmie się matką jak najlepiej. Co potem? Może nie jest mi pisane długie życie, myślała.

Dlatego w stosunku do Osrica postępowała ostrożnie. Chciała okazać biedakowi dobroć, nie dając nadziei. A tego ranka zrobiła i powiedziała to, co musiała. Patrząc na długie mury miasta i potężną Tower, przeklinała swój los, który zamknął ją w tym ponurym więzieniu.

Przede wszystkim wiedziała, że musi dołożyć starań, żeby Osric nie domyślił się tajemnicy, którą tak skrzętnie ukrywała od wielu tygodni. Kochała go.

Gdy w następnych dniach spotkali się kilka razy, uśmiechali się do siebie jak zawsze, ale rozmawiali niewiele. Żadne nie chciało okazać swoich uczuć. Wydawało się, że oboje uznali sprawę za zakończoną. Były to jednak tylko pozory.

Żona Alfreda pierwsza zauważyła zmianę w zachowaniu Osrica. Zazwyczaj jego cotygodniowe spotkania z rodziną płatnerza były pełne śmiechu i radości. Alfred zbudował sobie przy warsztacie nowy, solidny dom z obszerną izbą na dole i poddaszem podzielonym na dwie części – jedną dla siebie i małżonki, drugą dla szóstki dzieci. Uczniowie i terminatorzy spali w budynku gospodarczym na tyłach podwórza.

Żona Alfreda, córka rzeźnika, była serdeczną, wesołą kobietą. Zarządzała gwarnym gospodarstwem domowym z łatwością i pewnością siebie, miała kochającego męża i o jedno dziecko więcej, niż sobie wymarzyła. W domu Alfreda Osric mógł oderwać się od swojej szarej codzienności, więc zazwyczaj miał wtedy dobry humor, często zjawiał się też z jakąś zabawką wyrzeźbioną dla dzieci. „Jesteś dla niego jak matka”, mawiał Alfred do żony. „No i dobrze – odpowiadała. – Bóg mi świadkiem, że on potrzebuje matki”.

I właśnie to ona zauważyła pod koniec lata, że Osric się zmienił. Był roztargniony, niewiele jadł. Podsunęła nawet mężowi myśl, że być może chłopak się zakochał, jednak Alfredowi wydało się to mało prawdopodobne. Ale kiedy jesienią Osric przestał się odzywać, stracił apetyt i był blady jak śmierć na chorągwi, płatnerzowa zaniepokoiła się nie na żarty.

– To mi się bardzo nie podoba – oznajmiła Alfredowi. – Idź do Tower i popytaj. Może się czegoś dowiesz.

Kilka dni później Alfred znał już prawdę.

– Podobno zawarł bliższą znajomość z jakąś dziewczyną. Widziałem ją. Całkiem ładna, choć raczej nie rzuca się w oczy. Nawet udało mi się z nią porozmawiać.

– I co?

– Są tylko przyjaciółmi. Tak mi powiedziała.

Ale żona pokręciła głową.

– Sama z nią porozmawiam.

Następnego wieczoru Osric przyszedł do nich na kolację. Zachowywał się dość dziwnie.

Nadal był blady, ale tchnął wewnętrznym ożywieniem, jakby nosił w sobie jakąś tajemnicę. Jedyne wyjaśnienie, uznała żona Alfreda, to że udało mu się pogodzić z dziewczyną.

Nigdy przedtem tyle nie jadł. Gdy gospodyni podała garnek z duszonym mięsem, wziął aż cztery dokładki. Wypił trzy wielkie kufle piwa. Zjadł dwa razy więcej niż najbardziej żarłoczny z terminatorów.

– Patrzcie, Osric zaraz pęknie! – wołały dzieci.

– Zbierasz na coś siły? – dopytywał Alfred.

– Owszem, muszę dziś zjeść tyle, ile tylko dam radę – odpowiedział Osric, ale nie wyjaśnił, o co mu chodzi.

Wyszedł od płatnerza bardzo z siebie zadowolony, a nocą, leżąc na słomianym posłaniu, z uśmiechem rozważał swój plan.

Następnego ranka Ralph robił swój codzienny obchód. Nad rzeką unosiła się mgła. W barakach zaczynał się ruch, na dziedzińcu widać było niewyraźne postacie; ich głosy i pokasływania tłumiła lepka wilgoć powietrza. Nawet potężny zarys Tower majaczył niewyraźnie jak statek widomo, który w gęstej mgle zabłąkał się na brzeg.

Ralph mruknął z irytacją. Minioną noc spędził z kobietami z południowego brzegu. Owszem, umiały rozładować jego fizyczne napięcie, ale dostarczały mu coraz mniej przyjemności. Rozdrażniony wracał o świcie przez most.

Poza tym miał też inny powód do rozdrażnienia.

Gdzie, do diabła, podział się jego bicz? Dwa dni temu zniknął. Ralph odłożył go tylko na chwilę; pomimo straszliwych gróźb żaden z robotników nie przyznał się, że go widział. Przez tyle lat tak się do niego przyzwyczaił, że teraz, nie mając go w dłoni, czuł się dziwnie, jakby stracił pewność siebie.

– Jeśli go szybko nie znajdę – pomrukiwał z irytacją – to sprawię sobie nowy.

Jak zwykle minął baraki mieszkalne i zgodnie ze swoim zwyczajem okrążał Tower, zerkając od czasu do czasu na zbocze, jakby chciał sprawdzić, czy mieszkające tam kruki nadal stoją na straży spowitych mgłą ciemnych, wilgotnych murów.

Tuż za zakrętem zobaczył swój bicz.

Leżał na ziemi pod murem, najwyraźniej nieuszkodzony. Zapewne złodziej przestraszył się i w ten sposób postanowił go zwrócić.

Ralph uśmiechnął się lekko. Podszedł i pochylił się, żeby go podnieść.

Osric czekał już od godziny.

Jego plan był ryzykowny, ale obmyślając go przez cały tydzień, często powtarzał sobie, że przecież nie ma nic do stracenia. Dorkes go odtrąciła. Nic dobrego już go w życiu nie czeka. Co mogli mu zrobić? Skrzywdzili go już wystarczająco. A uderzenie w nadzorcę, który tak go upokorzył, przyniesie mu pewną satysfakcję.

Patrząc ze swojej kryjówki, wyczekał na najlepszy moment na zadanie ciosu. Wziął głęboki wdech, napiął mięśnie i mruknął przez zaciśnięte zęby:

– Teraz.

Wysiłek z poprzedniego wieczoru nie poszedł na marne. Wypełniony po brzegi żołądek o mało nie pękł. Miękkie, ciepłe odchody, które teraz z niego wystrzeliły i spadły z *garderobe* przy północnej ścianie Tower, były największą kupą, jaką w życiu zrobił. Powstrzymywał się już tak długo, że stolec miał wspaniałą konsystencję. Był miękki, ale zwarty, spadał w ciszy prosto na obrany cel.

Chwilę później Osric zerknął w dół przez rynnę. Z zachwytem stwierdził, że jego ładunek wylądował precyzyjnie na głowie nadzorcy.

Z dołu dobiegł okrzyk zgrozy. A potem drugi, jeszcze bardziej przeraźliwy, bo oszołomiony Ralph położył dłoń na głowie i poczuł smród. Spojrzał w górę, ale sprawcy już nie było.

Wrzeszcząc z wściekłości, Normandczyk okrążył budynek i popędził schodami na górę. Wpadł do *garderobe*, pobiegł do głównej sali i do krypty, zajrzał nawet do ciemnego skarbca. Nikogo. Ryknął jak opętany i chciał szukać dalej, ale nagle zaświtała mu straszliwa myśl.

Za chwilę w Tower pojawią się pierwsi murarze. Zobaczą go upapranego cuchnącym łajnem. Stanie się pośmiewiskiem nie tylko Tower, ale i całego Londynu. Z jękiem rozpaczy wybiegł z budynku i popędził do miasta.

Osric czekał. Zapierając się mocno nogami o ściany, czekał w kryjówce w kanale nad kominkiem trzy metry nad podłogą. Z uśmiechem słuchał wrzasków Ralpha. Słyszał jego oddalające się kroki.

Po jakimś czasie zszedł na dół.

Kilka dni później żona Alfreda zagadnęła Dorkes. Dziewczyna zdziwiła się i kiedy szły razem w kierunku Billingsgate, była nieufna, udzielała wymijających odpowiedzi, ale stopniowo, widząc serdeczność

i zrozumienie starszej kobiety, zaczęła się otwierać. W końcu wyznała wszystko.

Ale najbardziej zaskakujące było to, co wydarzyło się później.

Kobieta wyjaśniła, że ona i jej mąż są przyjaciółmi Osrica i że Alfred wielokrotnie próbował go wykupić.

– Może nawet kiedyś mu się uda – dorzuciła optymistycznie.

A potem złożyła propozycję.

– Zaopiekujemy się twoją matką. Nawet Ralph chętnie pozbędzie się pary bezużytecznych rąk. Dopilnujemy, żeby miała co jeść, a jeśli Ralph pozwoli, zabierzemy ją do siebie do domu.

– Ale… – Dziewczyna się zawahała. – Jeśli będę miała dzieci, a Osric…

– A Osric umrze? – dokończyła kobieta. – No cóż – wzruszyła ramionami. – Na pewno nie będą głodować. – Umilkła na chwilę. – Może dostaniesz jakąś lepszą propozycję. Jeśli tak się stanie, to ją przyjmij. Ale nasza też coś znaczy. – Uśmiechnęła się. – Mój mąż jest płatnerzem. I cieszy się poważaniem.

Kiedy wracały do Tower, Dorkes milczała. Nie wiedziała, co o tym myśleć ani co odpowiedzieć. Była młoda i bardzo zmęczona.

– Dziękuję wam. Zgadzam się – rzekła na koniec.

A kilka dni później, gdy w baraku płonął wieczorny ogień, Osric zobaczył, że w blasku płomieni zbliża się do niego drobna postać.

Matka Dorkes przeniosła się do domu płatnerza dopiero po roku. Przez ten czas ukończono główną kondygnację Tower, nad którą układano teraz wielkie dębowe krokwie.

Osric i Dorkes urządzili sobie jak najlepiej kąt w baraku, gdzie nikt im nie przeszkadzał. Nie odbyła się żadna ślubna ceremonia, nie połączył ich żaden oficjalny sakrament, ale podobni im ludzie tego nie oczekiwali.

Mieszkańcy baraku po prostu nazywali Dorkes kobietą Osrica, a jego jej mężczyzną. To wystarczyło.

Niedługo po przeprowadzce matki Dorkes cichutko wyznała Osricowi, że spodziewa się dziecka.

Mijały kolejne miesiące. Alfred i jego żona coraz bardziej utwierdzali się w przekonaniu, że postąpili słusznie. Uznali wręcz, że życie w Londynie, nawet pod normandzkim panowaniem, jest całkiem znośne.

I pewnie mogliby żyć spokojnie, gdyby nie pewien dręczący ich problem. Alfred zdawał sobie sprawę, że jeśli go nie rozwiąże, to wszyscy na tym ucierpią.

Pewnego ranka późną jesienią 1083 roku kupiec Leofric, zamieszkały przy West Cheap obok znaku z bykiem, zatrzymał się pod swoim domem.

Dwie rzeczy przykuły jego uwagę, obie tak bardzo interesujące, że kręcił głową w jedną i drugą stronę, żadnej nie chcąc stracić z oczu.

Pierwszą był w połowie ukończony kościół.

Wilhelm Zdobywca wprowadził do Anglii nie tylko kamienne zamki, ale także coś znacznie ważniejszego: Kościół europejski. Obiecał papieżowi, że w zamian za błogosławieństwo zreformuje Kościół angielski, a danego słowa zawsze dotrzymywał. Dlatego przy pierwszej sposobności usunął saskiego arcybiskupa Canterbury, a na jego miejsce mianował Lanfranka, wybitnego duchownego z Normandii. Dokonawszy inspekcji swojej nowej owczarni, Lanfrank wydał krótki werdykt: „To hańba!”. I zabrał się do porządków.

Kilka lat wcześniej w West Cheap wybuchł pożar. Dom Leofrica ocalał, ale mały saski kościółek pod wezwaniem Najświętszej Maryi Panny na końcu uliczki spłonął doszczętnie. A teraz arcybiskup Lanfrank nakazał go odbudować. Miał to być jego kościół w Londynie.

I oto w połowie targu, tuż za straganami kupców bławatnych, sukienników i sprzedawców wstążek powstawała mała, lecz piękna świątynia. Budowano ją z kamienia na planie kwadratu, tak jak Tower. Krypta, niemal w całości wyniesiona ponad poziom gruntu, była już prawie ukończona. Świątynia miała główną nawę z czterema przęsłami i dwie nawy boczne. Nawet sklepienie było kamienne, jednak budowniczy wykorzystywali także znajdowane w pobliżu rzymskie cegły. I właśnie łuki i łukowe sklepienia tego małego kościoła robiły na londyńczykach największe wrażenie – podobnie jak łuki opactwa westminsterskiego były utrzymane we wspaniałym stylu romańskim. A że w swoich zaokrągleniach rzeczywiście przypominały napięty łuk, świątynię nazywano Świętą Marią od łuków, St Mary-le-Bow.

Każdego dnia co najmniej przez godzinę Leofric obserwował postępy prac. Owszem, kościół był normandzki, stał niemal za progiem jego domu, ale mimo to mu się podobał.

Jednak drugi widok z każdą chwilą wprawiał go w coraz większe zdziwienie.

Po północnej stronie Cheap, jakieś sto metrów dalej ciągnęła się wąska uliczka kupców żelaznych. I tam, na rogu, od co najmniej pięciu minut czaiła się dziwna postać. Mężczyzna miał kaptur na głowie, garbił się, jakby chciał ukryć swój wzrost i zapewne tożsamość. Spod kaptura wystawał koniec bujnej rudej brody.

Czego on tu szuka? Za uliczką kupców żelaznych znajdowała się już tylko nowa dzielnica zwana od swoich mieszkańców dzielnicą żydowską.

Oprócz rycerzy i żołnierzy Wilhelm Zdobywca sprowadził do Anglii normandzkich Żydów. Stanowili uprzywilejowaną grupę. Nie mogli imać się większości rzemiosł, więc korzystając z królewskiej ochrony, wyspecjalizowali się w udzielaniu kredytów. Co oczywiście nie znaczy, że

londyńscy kupcy nie mieli pojęcia o finansach. Pożyczanie pieniędzy na procent od dawna było znane w Londynie i w każdym innym mieście, w którym prowadzono handel i obracano pieniądzem. Leofric, Barnikel i Silversleeves również udzielali oprocentowanych kredytów. Ale cała wyspecjalizowana w finansach społeczność była czymś nowym w tym angielsko-duńskim mieście.

Czemu Barnikel się tu kręci? Był dziwnie ubrany i zachowywał się co najmniej zastanawiająco.

Zapuszczał się kawałek w uliczkę, zatrzymywał się i powłócząc nogami, wracał w to samo miejsce, znów odwrót, ruszał kilka kroków do przodu i pod wpływem nagłego impulsu cofał się ponownie. Leofric patrzył na to zaniepokojony, a kiedy sekwencja tych dziwnych manewrów powtórzyła się trzykrotnie, przestraszył się, że jego przyjaciel postradał zmysły. Ruszył ku niemu, ale Barnikel chyba go zauważył, bo z niezwykłą zwinnością rzucił się biegiem w jedną z bocznych uliczek i zniknął między straganami. Leofric rozdziawił usta, zastanawiając się, co też Duńczyk knuje.

Prawdę odkryła Hilda, kiedy następnego dnia wybrała się z Barnikelem na zwykłą przechadzkę do St Clement Danes.

Jej spokojne, stateczne życie toczyło się po staremu. Urodziła jeszcze jedno dziecko. Choć los przyniósł jej wiele rozczarowań, z wiekiem łagodniała. A niewinne schadzki z Barnikelem nad brzegiem Tamizy były jej jedyną przyjemnością.

Ostatnio jednak zauważyła, że jej stary przyjaciel się zmienił. Nie tylko coś go trapiło, ale też nagle mocno się postarzał. W rudej brodzie pojawiało się coraz więcej siwych włosów, a delikatne drżenie rąk wskazywało, że wieczorami za dużo pił.

Hilda dowiedziała się od ojca o dziwnym zachowaniu Barnikela w okolicach dzielnicy żydowskiej, więc uznawszy, że nadeszła

odpowiednia chwila, łagodnie spytała Duńczyka, w czym rzecz. Początkowo nie chciał jej nic powiedzieć. Ale gdy dotarli do małej zniszczonej przystani w Aldwych i przysiedli na kamieniu, Barnikel popatrzył ze smutkiem na Tamizę i wyznał wszystko.

Jego długi rosły i rosły. Hilda podejrzewała, że jedną z przyczyn mogła być jego konspiracyjna działalność, ale nie zapytała o to wprost. Po podbiciu kraju przez Wilhelma wielu duńskich kupców nie wytrzymało konkurencji z Normandczykami. A ostatnio na londyńczyków nałożono wysokie podatki, które miały sfinansować budowę królewskich zamków. Barnikel nie był jeszcze zrujnowany, ale potrzebował pieniędzy.

– Będę musiał pójść do dzielnicy żydowskiej – mówił ponuro. – Do tej pory to ja udzielałem kredytów, sam nigdy nie pożyczałem pieniędzy. – Najwyraźniej bardzo go to trapiło.

– Czy Silversleeves nie jest ci coś winien? – spytała, mając w pamięci stary dług ojca.

Barnikel skinął głową.

– Spłaca odsetki.

– Nie możesz zażądać, żeby spłacił całość?

– Żeby się domyślił, że jestem w potrzebie? – odparł Barnikel podniesionym tonem. – Mam się przed nim płaszczyć? Nigdy! – zagrzmiał. – Prędzej pójdę do Żydów.

Hilda pomyślała, że mężczyźni są jednak bardzo próżni. Ale zaraz przyszło jej do głowy pewne rozwiązanie.

Jeszcze tego samego dnia zjawiła się u ojca.

– Pójdź do Silversleevesa – poprosiła. – Nie mów mu, że Barnikel jest w tarapatach ani że wiesz to ode mnie. Możesz mu powiedzieć, że ten stary dług leży ci na sumieniu i chciałbyś, żeby go spłacił. On się zgodzi. A Barnikel niczego się nie domyśli.

Leofric skinął głową. Żegnając się z córką, spojrzał na nią z zadumą.

– Darzysz go uczuciem, prawda? – spytał.

– Tak – odpowiedziała krótko.

Leofric nie spuszczał z niej wzroku. Od kilku lat zastanawiał się, co łączy Hildę z Duńczykiem, ale nie miał odwagi zapytać.

– Żałuję, że kazałem ci poślubić Henriego – powiedział cicho.

Spojrzała mu w oczy.

– Wcale nie żałujesz – rzekła. I zaraz się uśmiechnęła. – Ale zrób to, o co cię proszę.

Niedługo potem doszło do rozdźwięku między Alfredem a Barnikelem. Rozmawiali w cztery oczy.

Był wieczór, stali w głównej izbie w domu Barnikela. Niewiele się tu zmieniło. Wielki dwuręczny topór wciąż wisiał na ścianie. Można by to uznać za kolejne spotkanie dwóch przyjaciół, gdyby nie stanowcze słowa Alfreda, po których oczy Barnikela zaczęły rzucać złowrogie błyski.

– Nie ma mowy. – Po raz pierwszy w życiu Alfred odmówił swojemu przyjacielowi i patronowi.

Do Barnikela znów dotarły wieści zza morza. Nie jakieś plotki czy pogłoski, ale poparte faktami informacje. Pod koniec 1083 roku król Wilhelm miał poważne powody, by obawiać się o swoje panowanie w Anglii.

Na północy Europy zawiązywano przeciwko niemu groźny spisek. Miał on swoje źródło w Danii, gdzie nowy król Kanut zatęsknił za podbojami wikingów. Jego wysłannicy prowadzili rozmowy z konkurentami Wilhelma, zawistnym królem Francji i awanturniczym królem Norwegii.

Zdobywca nie mógł nawet polegać na własnej rodzinie. Jego syn Robert, wspierany przez króla Francji, już raz się zbuntował, a niedawno Wilhelm

musiał wtrącić do więzienia swojego przyrodniego brata Odona, wojowniczego biskupa Bayeux, którego podejrzewał o zdradę.

– Jeśli wszyscy wystąpią przeciwko Wilhelmowi, to nawet on nie da im rady – ekscytowali się duńscy wysłannicy.

Barnikel, co oczywiste, był tymi wieściami zachwycony. Owszem, tonął w długach. Starzał się.

– Ale za rok czy dwa na angielskim tronie znów zasiądzie Kanut! – krzyknął z zapałem do Alfreda. – Nie rozumiesz?

Jednak Alfred wcale nie był przekonany.

Już od dawna znajomość z rudobrodym Duńczykiem budziła jego niepokój. Ostatni raz wysłali transport broni pięć lat wcześniej. Przez ten czas w Anglii panował spokój. A Alfred został zaufanym mistrzem płatnerskim w Tower. Zrobił nawet kolczugę dla Ralpha i miecz dla samego Mandeville’a. Utrzymywał rodzinę i mógł jej zapewnić bezpieczny byt.

To prawda, raz na miesiąc czy dwa Barnikel zamawiał u niego uzbrojenie. Niezbyt dużo. Tylko tyle, by zamówienie dało się wykonać bez wzbudzania podejrzeń. Nielegalną broń chował w skrytkach umieszczonych w warsztacie pod podłogą. Nie przyznawał się do tego żonie, ale spełniał prośby Barnikela w poczuciu lojalności. Jestem mu to winien, powtarzał sobie w myślach. Jednak czas mijał, rodzina się rozrastała, więc kolejne zlecenia przyjmował z coraz większą niechęcią. A miesiąc wcześniej, gdy przejrzał zawartość schowków, przeraził się. „Tego wystarczy dla stu zbrojnych”, szepnął. I po raz pierwszy w życiu wpadł w prawdziwą panikę. A jeśli Normandczycy przeszukają warsztat i znajdą broń? Nijak się przed nimi nie wytłumaczy.

– Boję się – wyznał Barnikelowi.

– W takim razie jesteś tchórzem.

Alfred wzruszył ramionami. Za bardzo lubił Duńczyka, żeby te słowa go dotknęły. Poza tym chciał z nim omówić inną kwestię.

– Myślę też, że to się staje zwykłą stratą czasu – stwierdził. – Spójrzmy prawdzie w oczy – ciągnął spokojnie. – Większość Anglików pogodziła się z panowaniem Wilhelma. Wątpię, by chcieli walczyć za Duńczyków.

Barnikel ryknął wściekle. Nie mógł jednak temu zaprzeczyć. Londyn zawsze stawiał warunki kolejnym władcom. Ale w ciągu ostatnich dziesięciu lat Anglicy z wiejskich okolic wielokrotnie walczyli przeciwko rebeliantom ramię w ramię ze znienawidzonymi Normanami. A przyczyna była prosta: wzniecane powstania groziły zniszczeniem zbiorów.

– Jesteś zwyczajnym zdrajcą – oświadczył Barnikel ze złością.

Alfred żachnął się.

– Jak w takim razie nazwiesz swoje dzieci? – warknął.

To było celne uderzenie. Alfred doskonale wiedział, że dorośli już synowie Duńczyka wcale nie rwali się do konspiracyjnej działalności. „Będziemy Duńczykami, gdy przybędzie tutaj król Danii – powiedział kiedyś najmłodszy z synów. – Wcześniej nie”. Całkiem rozsądna postawa, jednak Barnikel był głęboko zawiedziony.

Dlatego Alfred, widząc jego ból, uległ w końcu i zgodził się spełnić jego prośbę. Ale miał złe przeczucia.

Barnikel z Billingsgate bardzo się zdziwił, gdy w grudniu otrzymał od Silversleevesa uprzejme zaproszenie.

Nie ulegało wątpliwości, że długonosy Normandczyk stał się bardzo zamożnym człowiekiem. Przy bramie stał uzbrojony strażnik. Dwaj zakrystianie pracowali pilnie przy stole stojącym w głównym pomieszczeniu okazałego, murowanego domu. Silversleeves był kanonikiem katedry Świętego Pawła. Sam arcybiskup Lanfrank złożył mu wizytę. I mimo że ten surowy reformator uważał kupca w stanie

duchownym za hańbę dla Kościoła, to był wystarczająco mądry, by poprzestać jedynie na suchym upomnieniu hojnego kanonika i fundatora kościoła Świętego Wawrzyńca Silversleevesa. To wszystko imponowało Barnikelowi, choć starał się tego nie okazać.

Normandczyk przywitał go z największą uprzejmością, zaprosił do zajęcia miejsca i opuściwszy wzrok, zaczął mówić z wielką powagą:

– Od dawna myślę o tym, Hrothgarze Barnikelu, że mam do spłaty dług, który zaciągnął u ciebie Leofric. Jak pewnie zauważyłeś, zawsze na czas wywiązywałem się ze swoich zobowiązań.

Barnikel skinął głową. Nie lubił Normandczyka, ale musiał przyznać, że przez te dziesięć lat spłacał procenty co do grosza.

– Już od jakiegoś czasu nosiłem się z zamiarem uiszczenia całego długu – ciągnął Silversleeves. – Ale kwota jest znaczna. – Barnikel spojrzał na niego podejrzliwie. Słyszał o tym, że Normandczyk zmuszał wierzycieli do przyjmowania mniejszych sum, niż był im winien. Jednak ku jego zdziwieniu Silversleeves ciągnął beznamiętnie: – Ale teraz jestem w stanie zwrócić ci całość, o ile zaakceptujesz moją propozycję. – Podniósł głowę i się uśmiechnął.

Barnikel był tak zaskoczony, że przez chwilę nie mógł wykrztusić słowa. Zwrot długu w całości? Przypomniał sobie swoją żenującą wyprawę do dzielnicy żydowskiej. On, który nigdy nie cofał się przed walką, nie zdołał zebrać się na odwagę, żeby pójść tam jeszcze raz.

– Co masz na myśli? – rzucił szorstko.

Silversleeves podniósł z podłogi pergamin i rozłożył go na stole.

– Coś, co powinno cię zainteresować – oznajmił. – Posiadłość, która mi niedawno przypadła. Może ją znasz. Nazywa się Deeping.

Duńczyk znał ją doskonale, więc zdziwił się jeszcze bardziej.

Deeping leżało na wschodnim wybrzeżu, jakieś dwadzieścia pięć kilometrów od majątku, który utracił po normandzkim podboju. Sam nigdy tam nie był, ale słyszał, że ziemie w pasie nadmorskim są żyzne, a leżąca przed nim saska karta nadania wskazywała, że wartość posiadłości mogła przewyższać wartość długu.

– Przemyśl to sobie, nie ma pośpiechu – powiedział Silversleeves. – Ale gdybyś był zainteresowany, to mam już gotową umowę.

Barnikel spojrzał na niego, a potem na pergamin.

– Biorę – powiedział.

Najwyraźniej los się do niego uśmiechnął.

Przez cały następny rok Barnikel widział świat w nowym świetle. Był to groźny blask, ale dla Duńczyka każdy odległy grzmot, każdy słaby błysk nad horyzontem niósł ze sobą zapowiedź ognia, za którym tak tęskniła jego dusza wikinga.

Zimą podniesiono podatki. Szczególnie dotknęły one londyńczyków, ale objęły też wioski. Napięcie rosło przez cały 1084 rok. Wzmacniano obronę na wschodnim wybrzeżu. Krążyły pogłoski, że wielka duńska flota wypłynie latem w morze.

Wczesną wiosną 1085 roku w Londynie gruchnęła wieść: „Król Wilhelm sprowadza z Normandii armię najemników". W mieście wprowadzono zakaz wychodzenia na ulicę po zmroku. Podczas jednego ze spacerów Hilda ostrzegała Barnikela: „Ralph wystawia szpiegów na każdej ulicy".

Lecz on tym bardziej cieszył się z tego, co miało nadejść.

Bo Alfred mylił się, kiedy mówił, że opór wobec władzy Normandczyków wygasł. Barnikel znał blisko sześćdziesięciu ludzi, którzy przyłączyliby się do buntu, gdyby nadeszły sprzyjające okoliczności. Część z nich pochodziła z Kentu, gdzie chciwość Odona wzbudziła wielką niechęć wobec normandzkich rządów, inni byli duńskimi kupcami jak on

sam – po podboju boleśnie odczuli rosnące wpływy kupców z kontynentu; byli też wśród nich wywłaszczeni Sasi, mający nadzieję na odzyskanie swoich ziem.

Trzeba tylko zaczekać na odpowiednią chwilę, powtarzał sobie z satysfakcją Barnikel. A wtedy będę gotowy.

Niestety, w maju plany legły w gruzach. Uderzenie przyszło z niespodziewanej strony.

Osric był szczęśliwym człowiekiem. Urodziła mu się zdrowa córeczka, źródło wielkiej radości. A dzięki Alfredowi i jego żonie miała co jeść i w co się odziać. Do pełni szczęścia brakowało Osricowi tylko jednego.

„Może kiedyś doczekamy się także chłopca”, mówił do Dorkes.

W pewnym sensie pogłębiający się kryzys polityczny również przyczynił się do poprawy jego życia. Roboty w Tower szły szybko i zgodnie z planem, a nadzór Ralpha, któremu Mandeville powierzył też inne obowiązki, ograniczał się jedynie do codziennej krótkiej inspekcji. Robotnicy i murarze odetchnęli z ulgą.

Mury Tower pięły się coraz wyżej. Najwspanialej prezentowała się górna kondygnacja.

„Nazwałem ją królewskim piętrem”, mawiał Osric.

Kondygnacja miała tak naprawdę podwójną wysokość. Kilka wieków później dodano w połowie jeszcze jeden poziom, ale teraz komnaty wystrzeliwały w górę na trzynaście metrów. Zachodnią połowę zajmowała wielka sala, w części wschodniej znajdowała się królewska komnata. Wokół obu pomieszczeń na wysokości siedmiu metrów miała biec wewnętrzna galeria przypominająca krużganek, po której mogliby spacerować dworzanie, spoglądając przez małe okienka na Tamizę albo patrząc przez normandzkie łuki na sale poniżej. Powstały też kolejne *garderobe* i jeszcze jeden kominek we wschodniej komnacie. Natomiast ogromna sala główna

miała być ogrzewana w tradycyjny sposób, za pomocą umieszczonego pośrodku wielkiego pieca.

W południowo-wschodnim narożniku znajdowała się wspaniała kaplica, prosta w formie, z okrągłą apsydą we wschodniej ścianie. Podwójny rząd grubych filarów dzielił ją na krótką nawę główną i dwie nawy boczne. Powyżej biegła galeria. Kaplica miała półokrągłe łuki, przez wąskie okienka sączyło się światło, zalewając szary kamień miłym blaskiem. Poświęcono ją świętemu Janowi. Właśnie tutaj, w surowej, pozbawionej ozdób kaplicy umieszczonej w potężnej zamkowej wieży nad rzeką najmocniej unosił się duch Wilhelma, normandzkiego zdobywcy Anglii.

Główne łuki sklepienia były już prawie ukończone, gdy pewnego wiosennego wieczoru Osric otrzymał nieoczekiwaną wiadomość. Barnikel chciał się z nim widzieć.

Dwóch ludzi pomieszało szyki Duńczykowi. Pierwszym był Ralph Silversleeves.

Przygotowania do oczekiwanej inwazji z Europy toczyły się pełną parą. Król Wilhelm nie tylko sprowadzał z kontynentu najemników, nakazał też Mandeville’owi przysposobić mieszkańców Londynu. A to oznaczało nowe zadania dla Ralpha.

Tym razem gburowaty Normandczyk rozumnie zabrał się do roboty. Jego ludzie chodzili od domu do domu, szukając broni. Konfiskowali każdy element rynsztunku, a właścicieli uprzedzali, że za ukrywanie czegokolwiek grożą surowe kary. Działali szybko i skutecznie. Jedyną bronią, która nie wpadła w ich ręce, był wielki dwuręczny topór Barnikela. Duńczyk ukrył go ku przerażeniu całej rodziny.

Większość oręża była w złym stanie, znoszono więc uszkodzone miecze, tarcze i kolczugi do płatnerzy, którzy naprawiali je pod czujnym okiem strażników. Potem broń miała trafić do strzeżonego składu.

– A na koniec przeszukam też warsztaty płatnerzy, żeby sprawdzić, czy czegoś nie ukryli – pochwalił się Ralph któregoś wieczoru rodzinie.

– A gdzie złożycie całą broń? – spytała Hilda.

Uśmiechnął się szeroko.

– W Tower – odparł.

Po raz pierwszy wielki kamienny zamek miał się na coś przydać. W czasie trwania budowy londyński garnizon kwaterował w Ludgate i kilku innych fortach, ale ogromne zamykane piwnice świetnie nadawały się na magazyn. Dla większej pewności Ralph kazał zamontować dodatkowe drzwi u stóp krętych schodów. Ciężki zamek był dziełem Alfreda.

– Muszę jedynie postawić straże przy górnych drzwiach – oznajmił Ralph.

Król Wilhelm byłby zadowolony, wiedząc, że jego zamek już się okazał użyteczny.

Nazajutrz Hilda powiedziała o wszystkim Barnikelowi.

Barnikel i Alfred od dawna obawiali się przeszukania w warsztacie. Ale to żona Alfreda postawiła sprawę na ostrzu noża.

Któregoś dnia zajrzała późnym wieczorem do warsztatu i przyłapała męża, gdy akurat chował w skrytce miecz. W pierwszej chwili wpadła w przerażenie, ale potem zmusiła męża do wyznania wszystkiego i postawiła twarde ultimatum:

– Nie będziesz już więcej pomagał Barnikelowi. A broń ma stąd zniknąć.

Alfred szybko przekonał się, że jego uległa zazwyczaj żona jest w tej kwestii nieprzejednana.

– Jeśli nie posłuchasz, odejdę – zagroziła.

W głębi ducha Alfred był zadowolony, że może pod tym pretekstem wycofać się z ryzykownej działalności. Ale okazało się to dość skomplikowane.

– Żołnierze Ralpha stoją przed warsztatem. Jego szpiedzy są wszędzie. Gdzie mamy teraz schować broń? Nawet gdybym chciał utopić ją w rzece, to jak mam ją stąd wywieźć?

Ani on, ani Barnikel nie wiedzieli, co robić, aż w końcu Duńczyk rzucił, przypomniawszy sobie pomysłowość Osrica:

– Poprośmy o pomoc naszego małego stolarza. Może on nam coś podpowie.

Osric wysłuchał ich uważnie, a potem przedstawił swój pomysł. Stary Duńczyk wybałuszył oczy ze zdumienia, a potem ryknął gromkim śmiechem.

– Ten plan jest tak zuchwały, że musi się udać!

Stuk, stuk. Najciszej, jak mógł. Dźwięk małego młotka uderzającego w dłuto niósł się w ciemnościach wielkiej piwnicy. Stuk, stuk. Od czasu do czasu wstrzymywał oddech, jakby nie dowierzając, że grube mury Tower wytłumią ten odgłos.

Szur, szur. Delikatnie wydłubał zaprawę. Stuk, cichy szmer. Powoli wysunął kamień. I wszystko w czarnych ciemnościach lochu pod kryptą, jedynie przy słabym świetle lampki oliwnej. Stuk, stuk, brzdęk, brzdęk, Osric niczym pracowity gnom drążył jamę w trzewiach potężnej normandzkiej wieży.

Pomysł podsunął mu skarbiec, który zbudował trzy lata wcześniej.

„Mur przy krypcie ma prawie siedem metrów grubości – wyjaśnił Barnikelowi. – Jeśli miejsca wystarczyło na skarbiec, to także niżej, w murze piwnicy, da się wydrążyć niszę”.

Po dokładnych obliczeniach Barnikel i Alfred ustalili, że potrzebna im będzie kryjówka o wymiarach półtora na dwa i pół metra.

„Dajcie mi na to tydzień”, oświadczył Osric.

Stuk, stuk. Pracował nieprzerwanie przez całą noc.

Z łatwością wślizgnął się wieczorem do pustej Tower. Alfred dał mu klucz do piwnicznych drzwi. Ale czasu było niewiele. Spiskowcy obawiali się, że gdy tylko żołnierze zaczną zwozić do piwnicy broń, Ralph postawi pod drzwiami straż. Dlatego Osric pracował nocami, a kończył na godzinę przed świtem. Ostrożnie usuwał z muru kamienie, wczołgiwał się w powstały otwór i wyjmował ze środka żwir i gruz. Wkładał je do worka, który przenosił przez kryptę, wschodnią komnatę, większą zachodnią salę, a na koniec wrzucał zawartość do studni. Kończąc pracę, na nowo układał kamienie w murze, umocowując je warstwą świeżej zaprawy. Liczył, że w mroku piwnicy nikt tego nie zauważy. Uprzątał ślady na podłodze i wychodził.

Powtarzało się to co noc. Za dnia był wprawdzie śpiący i zmęczony, ale nikt się niczego nie domyślił.

Martwiła go tylko jedna rzecz.

– Boję się, że zatkam studnię tym gruzem – zwierzył się Barnikelowi.

Na szczęście wiadro spuszczane co dzień na linie gładko zanurzało się w wodzie. A pod koniec tygodnia Osric miał już gotową niszę, w której mógł stać wyprostowany.

Teraz pozostało jeszcze jedno zadanie.

Ostatniego wieczoru zamiast do skrytki udał się do dużej zachodniej piwnicy. Kanał odpływowy w rogu przykrywała mocna żelazna krata wykonana przez Alfreda. Zamocowano ją na zawiasach, by w razie potrzeby mieć dostęp do kanału. Osric otworzył zamek kluczem otrzymanym od Alfreda i zsunął się w głąb. Kanał był tak wąski, że szedł zgięty wpół. Wybrał odpowiednią porę. Akurat był odpływ, więc w kanale było prawie sucho. Napotkał po drodze jedynie kilka szczurów.

Po pięćdziesięciu metrach dotarł do wylotu nad brzegiem rzeki. Tu też zamontowano grubą kratę. Nie miała zamka, więc Osric przez całą noc kuł

mur, aż w końcu udało mu się ją wyważyć. Umocował ją ponownie, jednak tym razem jedynie za pomocą cienkiej warstwy zaprawy. Teraz wystarczyłyby dwa umiejętne uderzenia młotem, a kratę dałoby się otworzyć z dowolnej strony. Osric wrócił do piwnicy, zamknął górną kratę i wyszedł.

Od tej chwili mógł dostać się do lochów Tower od strony rzeki przez wilgotny wąski tunel.

– Ralph na to nie wpadnie – zapewniał przyjaciół. – Poza tym tylko ja i szczury mamy powód, żeby wchodzić do Tower.

Trzy dni później zwieziono do Tower broń. Wszystko poszło sprawnie. Z każdego warsztatu płatnerskiego wyjechały trzy naładowane wozy.

Tylko Alfred nie był gotowy na czas. Zirytowani żołnierze odjechali. Wrócili tuż przed zmierzchem. Broń, starannie zawinięta w natłuszczone płótno, już czekała. Mogli zabrać ładunek. Było tego nawet więcej, niż się spodziewali, więc ruszyli pospiesznie do zamku. Alfred im towarzyszył.

Potrzeba było wielu ludzi, żeby po krętych schodach znieść ciężkie pakunki do piwnicy. Dlatego gdy Alfred władczo krzyknął do stojącego nieopodal Osrica, by też pomógł, nikt nie zwrócił na to uwagi. Nawet Ralph, który osobiście nadzorował dowóz broni, niczego nie podejrzewał.

Gdy wieczorem zamykano drzwi do piwnicy pilnowanej przez strażnika, nikt nie zauważył, że Osric znikał.

Pracował przez całą noc. Z największą ostrożnością. Po cichu, posługując się narzędziami przemyconymi przez Alfreda, wyjął kamienie maskujące wejście do tajemnej skrytki. A potem zaczął przenosić broń.

Alfred sprytnie to zaplanował. W każdym zwoju z bronią znajdował się drugi, zawierający nielegalny rynsztunek. A po ich usunięciu liczba pakunków wciąż pozostawała ta sama. Osric wyjmował po kolei miecze,

groty do włóczni i pozostały oręż i przenosił je do skrytki. Skończył dwie godziny przed świtem. Ułożył kamienie w murze i umocował je zaprawą.

Dalej plan był prosty. Osric musiał jedynie otworzyć zamek w kracie nad kanałem odpływowym, wejść do środka, przełożyć rękę przez pręty, zamknąć kratę, dojść kanałem do wylotu nad rzeką i wydostać się na zewnątrz.

Jednak przedtem należało zrobić jeszcze parę rzeczy. Najpierw obrzucił piaskiem wejście do skrytki, żeby zamaskować świeżą zaprawę. Potem z lampką w ręku obszedł wszystkie kąty, żeby sprawdzić, czy nie pozostał jakiś ślad jego obecności. Dopiero tuż przed świtem uznał, że może wyjść. Był w połowie drogi przez zachodnią piwnicę, gdy nagle usłyszał za sobą odgłos otwieranych dębowych drzwi przy schodach.

Ralph nie mógł spać. Był zbyt podekscytowany. Król osobiście wyraził zadowolenie z przebiegu całej operacji, a on postanowił jeszcze raz o świcie obejrzeć rezultaty swojej pracy.

Trzymając nad głową pochodnię, przemierzał wypełnioną bronią piwnicę. Rozglądał się z uśmiechem. Piękny zbiór. I bezpieczny.

Wtedy zobaczył Osrica. Biedak siedział na klepisku i spał oparty o ścianę. Co on tu, do diabła, robi? Ralph przysunął mu pochodnię do twarzy, Osric zamrugał i otworzył oczy. Na jego twarzy pojawił się uśmiech.

– Dzięki Bogu, żeście przyszli, panie – powiedział.

Najwyraźniej siedział tu od poprzedniego dnia.

– Wrzeszczałem i waliłem w drzwi – opowiadał. – Ale nikt mnie nie słyszał. Zamknęli mnie na całą noc.

Ralph rozejrzał się podejrzliwie, a potem go obszukał. Ten pokurcz chyba mówi prawdę, pomyślał. Jak inaczej mógł się tutaj znaleźć? Poza tym co by tutaj robił? Długonosy Normandczyk był tego ranka

w doskonałym humorze, więc zrobił rzecz zupełnie do niego niepodobną. Zażartował.

– No i widzisz, Osricu, zostałeś pierwszym więźniem Tower! – zawołał i puścił go wolno.

Ale Barnikel miał jeszcze większe powody do zadowolenia.

– Broń jest tam, gdzie nikt nie będzie jej szukał – cieszył się. – A my mamy do niej dostęp.

Jego triumf nie trwał jednak długo.

W czerwcu Londyn był już pełen najemników. Każdego dnia spodziewano się inwazji. Atmosfera w mieście nie była tak napięta nawet w pamiętnym roku 1066. Nadszedł lipiec. A potem sierpień. Żołnierze pojawiali się w mieście i znikali. Każdy żagiel na wodach Tamizy mógł zwiastować zagrożenie. Aż huczało od plotek.

– Ciągle ich nie ma. Nic z tego nie rozumiem – zrzędził Barnikel.

A potem powoli pojawiały się zaskakujące wieści. „Coś się dzieje. Nastąpiła jakaś zwłoka. Kanut nie przybędzie”.

Anglia czekała, ale na horyzoncie nie pojawił się ani jeden okręt wikingów.

Załamanie się wielkiej duńskiej wyprawy z 1085 roku, która w przypadku powodzenia mogła zagrozić normandzkiemu panowaniu, wciąż pozostaje zagadką. Ogromna flota czekała w pogotowiu. Nowo wybrany król Kanut aż rwał się do wojny. I nagle pojawiły się jakieś nieporozumienia. Nigdy nie wyjaśniono, jak i za czyją sprawą do nich doszło. Następnego roku Kanut został zgładzony. Nie wiadomo, czy chodziło o wewnętrzne konflikty, czy o spisek sprytnie zaaranżowany przez agentów Wilhelma. Tak czy inaczej, flota nie wypłynęła z portów.

Jesień dobiegła końca, Tower rosła z każdym dniem. Nadeszło zimne Boże Narodzenie. Barnikel z trudem brnął przez śnieg ku brzegowi Tamizy.

Przed sobą widział jedynie ciemny, posępny zarys kamiennej bryły. Był zmęczony i zniechęcony.

A wiosną los zgotował mu ponurą niespodziankę.

Jeszcze jesienią Barnikel zaczął podejrzewać, że jest oszukiwany. Tuż po dniu świętego Michała poprosił o czynsz za dzierżawę ziem w Deeping, ale zarządca przysłał mu śmiesznie małą sumę. A kiedy Barnikel zażądał wyjaśnień, otrzymał zupełnie niezrozumiałą wiadomość.

– Albo ten jegomość jest głupcem, albo mnie bierze za głupca! – ryknął. I gdyby nie duże opady śniegu, natychmiast pojechałby do Deeping, żeby przywołać tamtego do porządku. Wyruszył wczesną wiosną, gdy tylko śniegi stopniały.

Podróż trwała kilka dni. Najpierw musiał pokonać gęste lasy ciągnące się za Londynem, a potem przemierzyć rozległą dziką nizinę Anglii Wschodniej. Wiał wilgotny, przenikliwy wiatr.

Gdy Barnikel zbliżał się do celu, wiatr ustał, a niebo nieco przejaśniało. Dotarł do Deeping w pogodny marcowy poranek.

Rozglądał się po okolicy, nie wierząc własnym oczom.

– Co tu się, do diabła, stało? – pytał nadąsanego zarządcę.

Ten odparł jedynie:

– Sami przecież widzicie.

Wioska nie stała już pośród rozległych pól i łąk, ale trwała samotnie na cyplu oblewanym z trzech stron przez słone wody Morza Północnego.

– W tym roku woda zabrała kolejne pięćdziesiąt metrów lądu – burknął zarządca. – Według mnie za dwa lata wioska zniknie całkowicie. Zalało osiem kilometrów wybrzeża. Oto wasz majątek, panie – dorzucił. Na jego pociągłej bladej twarzy malował się wyraz ponurej satysfakcji. – Cały zabrało morze.

– Ten podły Silversleeves to oszust! – ryknął Barnikel. – Jakaś klątwa ciąży nade mną.

Ale dlaczego, dlaczego morze się podniosło?, zastanawiał się w największym zdumieniu.

Tyle że to nie poziom wód się podniósł. To prawda, wskutek topnienia resztek lodu pozostałych po ostatniej epoce lodowcowej minimalnie podniósł się poziom mórz na północy Europy, ale prawdziwym powodem zalewania lądu było inne długotrwałe zjawisko: przechylanie się wyspy. Powolny przechył geologiczny sprawiał, że wschodnie wybrzeże Anglii osuwało się coraz niżej, a poziom wody w ujściu Tamizy się podnosił. Morze, na którym kiedyś panowali skandynawscy przodkowie Barnikela, zagarniało niżej położone tereny.

Duńczyk patrzył na wschód, przeklinając ocean, a jeszcze bardziej przebiegłego Silversleevesa. Wiedział, że jest bezsilny.

– Podpisałem umowę i złożyłem na niej swoją pieczęć – jęknął. Dokument obowiązywał. A on dał się podejść jak dziecko.

Pewnie byłby jeszcze bardziej zdezorientowany, gdyby poznał prawdziwe przyczyny swojej klęski.

Silversleeves, biorąc na siebie dawno temu zobowiązania Leofrica wobec Becketa, kupca z Caen, realizował plan polegający na potajemnym przejęciu całego handlu dawnego rywala z Londynem. Tuż przed Bożym Narodzeniem, kiedy Becketowi należały się pieniądze za sześć dostaw, sprytny kanonik katedry Świętego Pawła nagle wstrzymał wszystkie płatności i wysyłkę towarów. „I to – tłumaczył swojemu starszemu synowi – powinno go zrujnować jeszcze przed Wielkanocą”. A Barnikela dołączył do tego planu z powodu jego obraźliwej uwagi sprzed dwudziestu lat. Niczym architekt, który postanawia dobudować boczną kaplicę, by dopełnić symetrię i tak doskonałej już budowli.

Mądrzejszy, biedniejszy i nagle postarzały – Barnikel wracał do Londynu z przytłaczającym przeświadczeniem, że Normandczycy wygrali. Dotarłszy do swojego domu w Billingsgate, nie zdemolował żadnych drzwi, ale położył się do łóżka i nie wychodził z niego przez trzy tygodnie, pijąc zdecydowanie za dużo piwa. Oprzytomniał nieco, gdy Hilda – którą wpuścił dopiero za trzecim razem – własnoręcznie ugotowała mu pożywny rosół.

W 1086 roku Wilhelm Zdobywca, król Anglii, powodowany między innymi koniecznością zapewnienia sobie dodatkowych dochodów, zapoczątkował jedno z najbardziej niezwykłych przedsięwzięć administracyjnych. Był to nie tylko dowód jego zapobiegliwości, ale także władzy nad podległymi mu feudałami. Żaden inny średniowieczny władca nie poważył się na podobny krok.

Był to Domesday [10] – wielki spis przeprowadzany na terenie całego kraju. Wilhelm zarządził go w Boże Narodzenie 1085 roku. Królewscy urzędnicy mieli dotrzeć do każdej wioski, wymierzyć wszystkie pola i ocenić ich wartość, zliczyć wszystkich wolnych ludzi, chłopów pańszczyźnianych, a nawet wszystkie sztuki bydła. „Nie pominęli ani jednej świni”, mawiali ludzie z podziwem i niechęcią jednocześnie. Wyniki spisu miały stanowić dla Wilhelma podstawę do naliczania podatków – bardziej efektywnego systemu nie wymyślono aż do czasów nam współczesnych.

Wilhelm znajdował się w szczęśliwym położeniu. Europejscy panowie feudalni, którzy w większości niechętnie poddawali się królewskiej władzy, nigdy nie zgodziliby się na taką inspekcję. Wilhelm w Normandii nie podjąłby takiej próby. Ale Anglia to co innego. Nie tylko, jak twierdził, była jego własnością z racji podboju, ale większość posiadaczy ziemskich stanowili jego zwolennicy, połączeni z nim rozmaitymi więzami i dlatego posłuszni. Wilhelm mógł sobie na wiele pozwolić.

Pewnego kwietniowego poranka Alfred, mistrz płatnerski, przybył do wioski leżącej niedaleko Windsoru, którą opuścił jako chłopiec. Już od kilku lat nosił się z zamiarem odwiedzenia rodziny, a teraz, zbliżając się do znajomego zakola rzeki, poczuł wzruszenie.

W ciągu kilku lat po podboju jego ojciec brał w dzierżawę od dworu kolejne kawałki ziemi, za które płacił czynsz w gotówce. Gdy zmarł, część ziemi przypadła Alfredowi. Alfred płacił czynsz, a jego brat dbał, by ziemia nie leżała odłogiem. Takie rozwiązanie zapewniało płatnerzowi z Londynu dodatkowy dochód, a jednocześnie pozwalało zachować więź z rodzinną wsią. Wiedząc, że spisowi rachmistrze dotrą wkrótce w okolice Windsoru, Alfred postanowił zjawić się na miejscu i dopilnować, by jego prawa do ziemi zostały właściwie zapisane.

Miał przed sobą piękny widok. Rozległe pole zostało już zaorane. Skiby obsiano, a teraz – żeby przykryć ziarno i uchronić je przed ptakami – zaczęło się bronowanie. Cztery silne konie ciągnęły po wilgotnej ziemi wielką, drewnianą ramę z kolcami. Biegła za nią gromadka dzieci, rozkrzyczanych i rzucających kamieniami, żeby odstraszyć stada wygłodniałych ptaków.

Stara kuźnia z drewnianym dachem i ojcowskie kowadło stały na miejscu jak za dawnych czasów, w powietrzu unosił się ostry, znajomy zapach węgla drzewnego. Nic się nie zmieniło.

Choć nie do końca. Brat i jego rodzina przywitali go ciepło, ale w ich zachowaniu było coś, czego nie umiał nazwać, a co wzbudziło jego niepokój. Chodzi o napięcie między bratem a jego żoną? A może to raczej mina winowajcy malująca się na twarzy brata? Niestety, nie zdążył o to zapytać, bo pojawili się rachmistrze.

Było ich trzech: dwóch francuskich urzędników i jeden londyńczyk służący za tłumacza. Oprowadzał ich królewski zarządca. Nic im nie

umknęło.

Do kuźni zajrzeli na sam koniec. Jeden z rachmistrzów wraz z tłumaczem był jeszcze na łąkach, a drugi w towarzystwie zarządcy obchodził chaty. Najwyraźniej spieszno mu było ruszyć w dalszą drogę. Spojrzał pytająco na zarządcę.

– Dobry poddany – pochwalił zarządca, wskazując na brata Alfreda. – Sumiennie odpracowuje czynsz dzierżawny.

Alfred spojrzał na niego ze zdziwieniem. Jak można tak się pomylić?

– Przecież płacisz czynsz. – Szturchnął brata łokciem. Ale on zrobił jedynie głupkowatą minę, a rachmistrz zanotował coś na swojej tabliczce.

– A ten? – Teraz patrzyli na Alfreda.

– Nazywam się Alfred. I jestem płatnerzem. W Londynie – powiedział pewnym, stanowczym głosem. – Jestem wolnym obywatelem. Płacę czynsz w gotówce.

Zarządca skinął głową, potwierdzając sposób płatności. Rachmistrz miał to zapisać, ale odwołał go jego towarzysz, chcąc mu pokazać coś na łące. Korzystając z jego nieobecności, Alfred zwrócił się do brata:

– Co to ma znaczyć? Zostałeś chłopem pańszczyźnianym?

I wtedy wszystko się wydało. Ciężkie czasy, mało pracy i dużo gęb do nakarmienia. Brat mówił o tym ze smutkiem, właściwie bez przekonania. Na koniec wzruszył jedynie ramionami.

Alfred doskonale go rozumiał. Ludzie wolni płacili czynsz. Musieli też płacić podatki na rzecz króla. I często zdarzało się, że wolny kmieć, nie mogąc wywiązać się z tych obciążeń, spłacał należność pracą, stając się chłopem pańszczyźnianym.

– W końcu co to za różnica? – bąknął brat.

Tak naprawdę niewielka. Ale Alfredowi szło o coś innego. O to, że brat się poddał. Spojrzał na bratową. W jej oczach kryła się oczywista myśl:

gdyby ten bogaty płatnerz z Londynu oddał nam swoją ziemię, której przecież nie potrzebuje, to wiodłoby nam się lepiej.

W tym momencie Alfred poczuł coś dziwnego. Była to częsta reakcja człowieka zamożnego stykającego się z biedą najbliższych krewnych. Poczuł, jak wzbiera w nim nagła złość – może wynikała ze skąpstwa, może z pierwotnego instynktu przetrwania, może z lęku przed skalaniem. A może była zwykłym zniecierpliwieniem. Jakiś wewnętrzny głos podpowiadał mu, że on też umarłby z głodu, gdyby nie Barnikel, ale szybko go uciszył. Wykorzystałem szansę ofiarowaną przez los, pomyślał. Popatrzył na rodzinę z niechęcią.

– Dobrze, że ojciec tego nie widzi – powiedział.

Francuski rachmistrz wrócił, ale nie zadawał więcej pytań. Obrzucił szybkim spojrzeniem pozostałe chaty i zaczął gotować się do odjazdu. Niemal w ostatniej chwili przypomniał sobie, że miał coś zanotować o mężczyźnie z pasmem białych włosów nad czołem. Co on do diabła powiedział?

– Ci przeklęci Anglicy – mruknął. – Zawsze muszą coś namieszać.

Wielki spis był dokładny, ale francuscy rachmistrze, którzy musieli zebrać wszystkie dane, często byli zdezorientowani. Pytali na przykład: „Ten człowiek jest wolny, odpracowuje pańszczyznę czy jest niewolnikiem?”, a w odpowiedzi otrzymywali skomplikowany opis dziwnych, często nieprecyzyjnych umów ukształtowanych przez czas i obyczaje, umów, których nawet miejscowi często nie potrafili rozwikłać. Jak mieli przedstawić te niejasne anglosaskie pojęcia w sposób jednoznaczny, wymagany w sporządzanym przez nich dokumencie? Często uciekali się więc do dość ogólnych terminów, których status prawny z założenia był niejasny. Jedną z takich właśnie kategorii był *villanus* – pańszczyźniak. Pojęcie to w owych czasach nie miało żadnego prawnego

znaczenia – nie oznaczało ani niewolnika, ani człowieka wolnego, lecz po prostu wieśniaka.

Rachmistrz zmarszczył brwi. Nie mógł sobie przypomnieć, co takiego powiedział mężczyzna z pasmem białych włosów, ale zapamiętał, że człowiek, który stał obok i który wyglądał jak jego brat, był chłopem pańszczyźnianym. Westchnął z rezygnacją i wpisał *villanus*. I tak oto Alfred został uwieczniony w spisowych księgach jako drobna, bezimienna pomyłka. Wtedy nie wydawało się to istotne.

Rok 1087

W sierpniu 1086 roku na zamku w Sarum odbyło się symboliczne spotkanie. Król Wilhelm otrzymał Księgi Rozliczeń – jak nazwano opasłe tomy z wynikami spisu ziem, ludzi i zwierząt – oraz przyjął od poddanych hołd. Była to okazja do hucznego świętowania, ale wyczuwało się aurę smutku. Król się starzał. Był tak tęgi, że gdy dosiadał konia, stękał donośnie. Nadal miał wielu wrogów, a najgroźniejszym był zawistny król Francji. Nic dziwnego, że patrząc na starego i schorowanego Wilhelma, najwięksi dostojnicy państwa z niepokojem myśleli o przyszłości.

Niewielu poddanych kochało króla, ale wszyscy się go bali. Był okrutny, lecz umiał zaprowadzić porządek w kraju. Dlatego wszyscy zadawali sobie pytanie, jaki los czeka Anglię i Normandię po śmierci wielkiego Zdobywcy.

Na schedę liczyli jego synowie. Robert – ponury i kapryśny. Wilhelm, z racji koloru włosów zwany Rudym – sprytny i okrutny. Oraz najmłodszy Henryk – przebiegły i nieprzewidywalny. Był jeszcze Odon, biskup Bayeux – wtrącony do więzienia ambitny przyrodni brat Zdobywcy. Nikt nie miał wątpliwości, że po śmierci króla Anglii rozgorzeje między nimi bezwzględna walka. I tego właśnie wszyscy się obawiali.

Wiosną sprawy przybrały jeszcze gorszy obrót. Na zachodzie kraju bydło zaatakowała zaraza, która szybko się rozprzestrzeniała. Pod koniec wiosny przyszły wielkie burze, grożące zniszczeniem plonów. Król Wilhelm prowadził kolejną wojnę w Europie, więc jego urzędnicy próbowali narzucić nowe podatki.

Dlatego londyńscy kupcy, zastanawiając się nad rozwojem wypadków, rozważali różne możliwości. W ciągu kolejnych miesięcy przeprowadzono wiele potajemnych rozmów. Uczestniczył w nich – oczywiście – Barnikel.

W każdym zakątku świata nawet w najmroczniejszych czasach może rozbłysnąć promyk światła. Tak się właśnie stało wiosną 1087 roku, gdy Osric dowiedział się, że Dorkes znów jest w ciąży.

To miało być ich trzecie dziecko. Po pierwszej córce urodziła im się druga, niestety zmarła tuż po porodzie. Ale ta nowa istotka, tak energicznie kopiąca Dorkes od środka, wydawała się zupełnie inna. Osric zauważył też, że jego ciężarna małżonka jest odmieniona. Dlatego nabrał pewności: narodzi się syn.

Syn. Osric nie skończył jeszcze trzydziestu lat, ale w tamtych ciężkich czasach wyrobnicy nie żyli długo. Starości mógł doczekać bogaty kupiec żyjący w wygodnym domu. Osric nie dożyłby nawet czterdziestu lat. Już wypadły mu trzy zęby.

Marzył o synu, który zdąży dorosnąć przed śmiercią ojca. Który mógłby liczyć na lepsze życie.

– Jeśli będzie miał więcej szczęścia niż ja – mówił Osric do Dorkes – to zostanie cieślą.

– Jak mu damy na imię? – spytała.

Osric zastanawiał się przez chwilę.

– Damy mu imię największego angielskiego króla. Alfred.

Najbardziej zaskakująca zmiana tamtego roku dotyczyła Ralpha Silversleevesa.

W sierpniu, kiedy kolejna silna burza zniweczyła wszelkie nadzieje na dobre plony, Ralph oświadczył, że się żeni.

Swoją wybrankę poznał jeszcze w maju. Była potężną blondynką, córką niemieckiego kupca mieszkającego na nabrzeżu u ujścia Walbrook. Jej ojciec mógł się pochwalić całkiem pokaźnym majątkiem. Dziewczyna miała okrągłą twarz, duże niebieskie oczy, wielkie dłonie, wielkie stopy oraz – jak wesoło opowiadała każdemu, kto był skłonny jej słuchać – wielki apetyt. Uważała się za kobietę zdrową i silną, a jako że w wieku dwudziestu lat była jeszcze panną, zobaczywszy Ralpha, uznała, że gotowa jest zaakceptować nawet jego nieporadność. A Ralph, widząc zadowolenie ojca i pełne zdumienia niedowierzanie brata, poczuł się szczęśliwy jak nigdy dotąd.

Na łańcuszku zawieszonym na szyi z dumą nosił otrzymany od narzeczonej talizman przedstawiający lwa gotowego do skoku. Tak właśnie wyglądał w jej oczach. Ślub zaplanowano na Boże Narodzenie.

Dziewczyna miała na imię Gerda.

Tego lata także w rodzinie Silverleevesów zaszła zmiana. Postępowała tak powoli i niezauważalnie, że nie wywołała żadnej zmarszczki na gładkiej powierzchni ich życia.

W czerwcu Hilda zorientowała się, że mąż ją zdradza. Nie umiała stwierdzić, kiedy to się zaczęło. Przepaść między nimi pogłębiała się coraz bardziej, aż któregoś dnia uznała, że żadne z nich nie chce już jej zasypać. Podejrzewała, że w grę mogą wchodzić inne kobiety. A któregoś czerwcowego wieczoru Henri wyszedł, zapowiadając, że nie wróci na noc.

Leofric niedomagał już od jakiegoś czasu, więc Hilda została u niego w domu Pod Bykiem. Kilka dni później Henri znów nocował poza domem.

Wtedy była już pewna.

Przełom był nieuchronny, ale tego akurat nikt się nie spodziewał.

Po burzach, które zniszczyły zbiory, przyszła susza i upały. We wrześniu pola i lasy wyschły na pieprz, więc pojawiła się groźba pożarów.

Pod koniec lata 1087 roku podczas oblężenia jakiegoś mało znaczącego francuskiego zamku Wilhelm, książę Normandii i król Anglii, został ranny. Rana ropiała. Szybko stało się jasne, że Wilhelm umiera.

Przy jego łożu zebrała się cała rodzina. Robert otrzymał Normandię; Wilhelm Rudy – Anglię, a najmłodszy Henryk – pieniądze. Odon, przyrodni brat umierającego władcy, został wypuszczony z więzienia. Był to początek trwającego przez wiele pokoleń okresu zawiści, intryg i morderstw. Kilka dni później, po długiej podróży w upale przez cały kraj ciało Wilhelma Zdobywcy dotarło do rodowego kościoła w Caen. Rozkładające się zwłoki były tak rozdęte, że gdy na siłę wpychano je do trumny, rozerwały się z wielką siłą. Kawałki wnętrzności i zgniłego truchła obryzgały gapiów.

Tymczasem Rudy przekroczył Kanał Angielski. Chciał jak najszybciej koronować się na króla Anglii.

Dwa tygodnie później mała grupa mężczyzn przybyła do domu Barnikela przy kościele Wszystkich Świętych. Duńczyk uśmiechnął się, usłyszawszy, z czym przychodzą.

– Owszem, mam, czego wam trzeba – powiedział. – Wszystko trzymam pod kluczem.

Potem, w największej tajemnicy, posłał po Osrica.

Nie zdawał sobie sprawy, że jego przydział życiowego szczęścia już się wyczerpał.

Ralph Silversleeves nie mógł uwierzyć w taki uśmiech losu. Jeśli wszystko się powiedzie, zasłuży na uznanie nowego normandzkiego króla.

Zdawał sobie sprawę z sytuacji politycznej, bo Mandeville wytłumaczył mu to wszystko z wielką cierpliwością. „Robert będzie próbował odebrać Anglię Rudemu, bo chce być takim samym potężnym władcą jak jego ojciec. Prawdopodobnie Odon stanie po jego stronie. A wtedy Robert będzie mógł liczyć na rycerstwo z Kentu. O ile wiem, wielu innych baronów też nie lubi Rudego, więc chętnie do niego dołączą. Zapewniam cię, że w Londynie jest mnóstwo takich, którzy będą ich wspierać, o ile zobaczą w tym swoją korzyść. Ale – ciągnął Mandeville – większość szeryfów i cała wiejska Anglia woli, by władał nimi król Anglii, a nie książę Normandii. Dlatego my popieramy Rudego. – Spojrzał zimno na Ralpha. – Naszym zadaniem jest zapewnienie spokoju w Londynie. Musimy wykryć spiskowców. Odnaleźć ich broń. Jeśli nam się uda, Rudy będzie umiał okazać nam wdzięczność”.

Dzień po tej rozmowie pojawiły się nieoczekiwane informacje. Ralph przemyślał wszystko dokładnie, a potem wezwał kilkunastu swoich szpiegów.

– Zastawimy na nich pułapkę. I wszystkich schwytamy – oświadczył.

Uśmiechnięty Osric stał nad brzegiem rzeki. Wszystko szło zgodnie z planem.

Za nim wznosiła się ciemna bryła Tower. Królewskie piętro było niemal ukończone. Na budowę dostarczono już jedną z wielkich dębowych belek, na których miał się opierać dach. Odpowiednie drzewa udało się znaleźć dopiero osiemdziesiąt kilometrów za Londynem i teraz spławiano je po kolei rzeką. Kończenie dachu miało potrwać jeszcze dwa lata, ale już teraz wielki ponury zamek zdawał się mówić, że mimo swego normandzkiego

rodowodu ma takie same prawa do tego miejsca jak kruki zamieszkujące tu od celtyckich czasów.

Osric rozejrzał się dookoła. Wylot kanału prowadzącego do Tower był dobrze ukryty, na dodatek zasłaniały go chaty cieśli. Łódź Barnikela mogła zacumować tuż przy kracie i nikt by nawet nie zauważył załadunku. Otwarcie kraty zabierze ledwie chwilę. Potem trzeba będzie przejść kanałem do górnej kraty. Klucz do zamka dał mu Alfred.

Barnikel zostanie na straży przy łodzi, a on wyniesie broń ze skrytki. Gdy wstanie świt, będą już daleko w dole rzeki. I nikt nawet się nie domyśli, co się stało.

Nie wiedział, do kogo broń ma trafić. Nie pytał. Wystarczyło mu zapewnienie Duńczyka, że jest potrzebna. Uznał, że niewiele ryzykują. Jeszcze jeden cios zadany normandzkiemu królowi.

„Poza tym – oznajmił Barnikelowi – to mój najlepszy prezent z okazji urodzin syna”.

Poród był tuż-tuż. Przed dwoma dniami wydawało się, że Dorkes zaczyna rodzić. Za tydzień chłopak z pewnością pojawi się już na świecie. Oboje z Dorkes nie mieli wątpliwości: to będzie syn.

Operacja w Tower została zaplanowana na następny wieczór. Osric czekał na nią z niecierpliwością.

Tego samego wieczoru Henri wyszedł z domu, zapowiadając, że nie wróci na noc. Hilda zostawiła więc dzieci pod opieką służących, a sama postanowiła pójść do ojca. Spędziła tam godzinę na miłej pogawędce, a potem wyszła na przechadzkę po West Cheap.

W drodze powrotnej niedaleko kościoła St Mary-le-Bow zauważyła Gerdę, która do niej pomachała. Hilda westchnęła. Mając w żyłach saską krew, lubiła niemieckich kupców, uczciwych i pracowitych. Lubiła też

swoją przyszłą szwagierkę, ale jej towarzystwo ją męczyło. A tego dnia Gerda wprost kipiała od nadmiaru energii.

Hilda spytała ją o Ralpha.

– On jest cudowny. Właśnie się z nim widziałam. – Gerda uśmiechnęła się szeroko na to wspomnienie. – Taki mądry. – Nie zauważywszy zdumionej miny Hildy, wzięła ją za rękę i pociągnęła pod ścianę kościoła. – Zabronił mi komukolwiek mówić – szepnęła – ale przecież jesteśmy rodziną. – Rozejrzała się dookoła, sprawdzając, czy nikt ich nie podsłuchuje. – Umiesz dotrzymać tajemnicy?

Nad małym kościółkiem Wszystkich Świętych rozbłysły pierwsze gwiazdy, a ciemne cienie otoczyły Tower mrocznym pierścieniem. Hilda weszła cicho do domu Barnikela.

Przyglądała mu się przez chwilę, gdy obchodził izbę, zapalając światła. W jego bujnej brodzie było więcej włosów siwych niż rudych. Gdy przekazała mu niepokojącą wiadomość, w pierwszej chwili wydał się stary i zmęczony. Ale teraz jakby na nowo odzyskał siły. Sięgnął po stojący na stole dzban i nalał wino do dwóch kielichów.

Patrzyła na niego ze współczuciem i podziwem.

– Co teraz zrobisz? – spytała.

To biedny chłop z leśnej głuszy w Essexie naprowadził Ralpha na ślad. Znaleziono u niego miecz i odwieziono go do zamku w Colchester. A tam poddano go dokładnym przesłuchaniom, żeby ustalić, skąd wziął broń. Wieśniak długo się opierał, ale gdy zmiażdżyli mu stawy wszystkich palców, zaczął mówić.

Miecz był jego własnością od dawna, od czasów, gdy mieszkał w lasach z żołnierzami Herewarda Banity. Ale od tamtych walk minęło ponad piętnaście lat. „Żaden z tamtych towarzyszy już nie żyje”, mówił.

Potem strażnicy z Colchester przewieźli biedaka do Londynu, żeby Ralph mógł go sam przepytać. Wieśniak nie miał wiele więcej do powiedzenia. Przyznał, że broń pochodzi z Londynu, gdzie buntownicy mieli swojego zaufanego człowieka. Zarzekał się, że nie zna jego nazwiska. Ale tuż przed śmiercią przypomniał sobie jeden szczegół: „Miał rudą brodę”.

Nie było to zbyt pomocne. W tym anglo-duńskim mieście wielu mężczyzn miało rudy zarost. Rude brody zdarzały się też wśród Normandczyków. Ale gdy Ralph zebrał razem wszystkie poszlaki i informacje, w jego umyśle pojawił się wyraźny obraz.

Człowiek nienawidzący Normandczyków; członek dawnej Gildii Obronnej; przyjaciel płatnerza Alfreda. Coraz wyraźniej widział kolejne elementy układanki, aż w końcu ryknął z wściekłością: „Oszukali mnie! Ale teraz już mi się nie wymkną”, dodał, uśmiechając się z mściwą satysfakcją.

Kazał zastawić pułapkę.

– Przyjdą jutro o świcie. Przeszukają twój dom, twój skład w Billingsgate i warsztat Alfreda. Jeśli znajdą broń, nie wywiniecie się. A jeśli nie, wyślą za wami szpiegów, licząc, że gdzieś ich doprowadzicie – powiedziała Hilda z niepokojem.

Duńczyk słuchał, kiwając głową.

– Niczego nie znajdą – powiedział w końcu. – A gdyby mieli nas śledzić… – Wzruszył ramionami. – Będziemy musieli zmienić plan.

Potem opowiedział jej wszystko o Osricu i skrytce w Tower.

Słuchając go, coraz wyraźniej widziała grożące spiskowcom niebezpieczeństwo.

– Dlaczego to robicie? – spytała.

Nie musiał wiele wyjaśniać. Gdyby królem został Robert, miałby pod swoim panowaniem ogromne terytoria.

– A on nie jest taki jak jego ojciec.

Władza Normandczyków byłaby dużo słabsza. A wtedy… Wciąż żyli spadkobiercy starej angielskiej dynastii. Oraz krewni króla Harolda. Przez chwilę opisywał jej różne możliwe rozwiązania, aż w końcu pokręciła z uśmiechem głową.

– Ty się nigdy nie poddasz, prawda?

Roześmiał się jak młodzieniec.

– Jestem na to za stary. Stary człowiek umiera, gdy się podda.

– Naprawdę czujesz się taki stary? – spytała szczerze zaintrygowana.

– Czasem. – Uśmiechnął się. – Ale nie przy tobie.

Zarumieniła się, wiedząc, że to prawda.

Na środku izby stał piec, w którym palił się słaby ogień. Barnikel dorzucił kilka polan, a potem spoczął na wielkim dębowym krześle i skinął na Hildę, żeby usiadła obok na ławie. Przez chwilę trwali w milczeniu. Zauważyła, że gdy się uspokajał, jego twarz nie tyle młodniała, ile nabierała życia. Przypominał starego wspaniałego lwa, który pomimo wieku nie utracił siły. Sączył wino zamyślony.

Przemknęło jej przez myśl, że to dziwny wieczór. Zrobiła wszystko, co w jej mocy. Może powinna już wyjść. Ale nie miała na to ochoty. Jej mąż włóczył się nie wiadomo gdzie. Po chwili, nadal nie mówiąc słowa, przysunęła ławkę bliżej, pochyliła się i oparła mu głowę na ramieniu.

Nie poruszył się. A po chwili poczuła na włosach jego dużą sękatą dłoń. Zdziwiła ją delikatność tej pieszczoty. I ukojenie, które ze sobą niosła. Teraz ona zaczęła się bawić jego brodą. Usłyszała zduszony śmiech.

– Chyba wiele kobiet robiło to przede mną – powiedziała cicho.

– Kilka – odpowiedział.

– Szkoda, że… – Nie dokończyła.

– Czego szkoda?

Zamierzała powiedzieć: „Szkoda, że nie wyszłam za mąż za twojego syna”. Ale zamiast tego odparła:

– Nie, nic.

Nie nalegał.

Zastanawiała się nad swoim życiem. Przed oczami stanął jej Henri. Nie chciała o nim myśleć. Przyszło jej do głowy, że wolałaby zostać żoną tego starszego odważnego mężczyzny o czułym sercu. I nagle, chcąc mu to okazać, odwróciła się i patrząc mu z uśmiechem w oczy, pocałowała go w usta.

Zadrżał. Pocałowała go jeszcze raz.

– Jeśli nie przestaniesz, to… – szepnął.

– Nie przestanę – powiedziała wesoło, zaskakując samą siebie.

Barnikel nie kochał się z kobietą od dawna. I pogodził się z myślą, że już nigdy nie będzie mu to dane. Ale gdy podniósł się i wziął w ramiona tę młodą kobietę, którą najpierw pokochał jak córkę, znikły jego wszystkie obawy i wątpliwości.

Hilda po raz pierwszy poczuła smak powolnych, delikatnych pieszczot starszego mężczyzny, po raz pierwszy ktoś rozbudził w niej namiętność tak czule i z taką miłością.

Została u niego do świtu. A potem, przemykając uliczkami, wróciła do ojcowskiego domu i wślizgnęła się cicho do izby.

I tak oto, po kilkunastu latach oczekiwania, dopełniła się ostatnia miłość Barnikela.

Wczesnym rankiem Hilda wyszła chyłkiem od ojca i tak jak poprosił ją Barnikel, przekazała dwie wiadomości. Jedną Alfredowi, a drugą Osricowi.

Nie miała pojęcia, że przez cały czas jest śledzona.

Późnym rankiem Ralph Silversleeves z kilkoma zbrojnymi zjawił się w składzie Barnikela w Billingsgate. Uprzejmie poinformował Duńczyka, że musi dokonać rewizji, a ten tylko wzruszył z irytacją ramionami i pozwolił im robić swoje. Trzech żołnierzy udało się do jego domu obok kościoła Wszystkich Świętych.

Przeszukanie było dokładne i gruntowne. Trwało ponad dwie godziny, ale w południe Ralph musiał skapitulować. W tym samym czasie przybył posłaniec z warsztatu Alfreda. Tam też niczego nie znaleziono.

– Mam nadzieję, że to cię uspokoiło – powiedział Barnikel cierpko do Ralpha, a ten zrobił minę, jakby się z tym zgadzał.

Jednak Silversleeves był głęboko przekonany, że został wyprowadzony w pole.

– Ta broń musi gdzieś być – powiedział do swoich ludzi, gdy po wyjściu od Duńczyka dotarli na nabrzeże. – Będziemy dalej szukać.

I tak też uczynił. Zaczął przeszukiwać ładunki w porcie, czym doprowadził do wściekłości przewoźników wynajmujących łodzie. Dokonał szczegółowej rewizji w czterech innych składach. A potem ruszył ze swoimi ludźmi w kierunku East Cheap, zaglądając po drodze do wózków sprzedawców i na stragany. Kupcy najpierw byli przerażeni, ale szybko zaczęli z niego drwić. Ralph, który zawsze obawiał się śmieszności, nie zwracał na to uwagi. Zdecydowany, poczerwieniały, parł dalej, posuwając się na wschód w kierunku Tower.

Wczesnym popołudniem w rodzinie Osrica pojawiła się nowa istota. A on był tak szczęśliwy, że przez kilka długich minut stał przed barakiem, bez słowa patrząc w niebo nad Tower.

Miał rację. Urodził mu się syn.

Barnikel niepokoił się. Przez całe popołudnie nie wychodził z domu. Tyle rzeczy wydarzyło się w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin, że czuł się zmęczony. Nie mógł jednak dłużej wytrzymać w zamknięciu, więc postanowił przejść się na East Cheap, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza.

Wciąż było ciepło, choć niebo na zachodzie przybrało kolor głębokiej purpury. Straganiarze pakowali już swoje kramy. Na samym końcu targu zobaczył Alfreda, który spokojnie szedł ku niemu.

Obaj musieli podjąć błyskawiczną decyzję. Ktoś mógł ich śledzić, więc rozsądek nakazywał, żeby zachowywali się w sposób niewzbudzający podejrzeń. Zamierzali się minąć, wymieniając jedynie uprzejme skinienia głowami, i pewnie tak by zrobili, gdyby nie drobna postać, która akurat w tej chwili podbiegła do nich i zaczęła szarpać ich niecierpliwie za rękawy.

Był to Osric. Kręcił się tu już od jakiegoś czasu odurzony szczęściem. Jeszcze o świcie Hilda przykazała mu, żeby unikał Barnikela, ale widząc swoich przyjaciół razem, zapomniał o ostrożności i podbiegł do nich z rozpromienioną twarzą.

– Panie! – krzyknął. – Alfredzie, muszę wam coś powiedzieć. – A gdy Alfred zatrzymał się, a Barnikel spojrzał na niego, wyrzucił z siebie: – Mam syna! – Potem uśmiechnął się tak promiennie, jakby wszyscy trzej stanęli właśnie u wrót raju.

Płatnerz i Duńczyk, którzy z powodu własnych trosk zapomnieli o rodzinnych problemach Osrica, przytulili ze śmiechem małego cieślę.

Tej nocy księżyc nie świecił, a coraz silniejszy wiatr z zachodu przyniósł cienką warstwę chmur, które przesłoniły gwiazdy. Po ciemnej rzece sunęła łódź. Jedynym widocznym światełkiem było niewielkie ognisko płonące gdzieś na zachodnim wzgórzu.

Łódź wbiła się miękko w muł tuż przy wylocie kanału odpływowego.

Osric był sam. Po otrzymanej rankiem wiadomości od Barnikela nic innego nie mógł zrobić. Skoro Duńczyk jest śledzony, to nie powinien wychodzić z domu. Sam też dam sobie radę, pomyślał Osric.

Starannie przycumował łódź do pala, a potem zabrał się do wyjmowania kraty. Po kilku chwilach wcisnął się do kanału. Płosząc po drodze szczury, ostrożnie czołgał się przez ciemny tunel, coraz bardziej zagłębiając się w czarną otchłań brzucha Tower. Wspiął się po linie do górnej kraty i sięgając ręką przez pręty, otworzył zamek. Tak się dostał do piwnicy.

Hilda siedziała w fotelu. Trzymała w dłoniach robótkę z haftem, ale nie mogła się skupić. Henri wrócił do domu wczesnym rankiem. Zapytał uprzejmie o zdrowie jej ojca, ale poza tym rozmawiali niewiele. Przez cały dzień czekała w napięciu. Teraz próbowała zająć się haftowaniem, a Henri grał w szachy z młodszym synem, od czasu do czasu rzucając żonie obojętne, chłodne spojrzenia.

O zmierzchu w okolicach West Cheap wybuchł pożar, który objął kilka domów. Takie nieszczęścia zdarzały się w Londynie często, więc Hilda nie zaprzątała sobie tym głowy.

Dwie godziny po zapadnięciu zmroku z wizytą zjawił się Ralph. Serce zabiło jej mocniej.

Cały Londyn już wiedział o jego porannych wyczynach na East Cheap. Henri był tym rozbawiony, Hilda denerwowała się, ale oboje milczeli. Ralph, gburowaty jak zawsze, był raczej zamyślony, a nie zirytowany. Skinąwszy głową na powitanie i sięgnąwszy po dzbanek z winem, usiadł na ławie naprzeciwko Henriego i spojrzał ponuro w ogień.

– Mam problem, bracie – powiedział w końcu. Hilda poczuła, jak oblewa ją lodowate zimno.

– Jaki?

Ralph upił łyk wina i powoli podniósł wzrok.

– Szpieg – powiedział spokojnie. – I to w moim otoczeniu. – Hildzie drżały ręce. – Bo widzisz – mówił dalej Ralph – dziś o mało nie wpadła mi w ręce duża ilość broni. Jestem pewien, że gdzieś ją schowali.

– Może popełniłeś błąd.

– To możliwe – przyznał Ralph. – Ale przeczucie podpowiada mi, że ktoś uprzedził spiskowców.

– Ale kto?

Ralph milczał przez chwilę.

– Ktoś, kto znał moje plany. – Spojrzał na Hildę. – Jak myślisz, kto mógł to zrobić?

Hilda poczuła, że blednie. Położyła dłonie na kolanach i popatrzyła na Ralpha. On coś wie czy po prostu rzucił niewinne pytanie? A może blefuje, żeby zastawić pułapkę? Ale dlaczego miałby ją podejrzewać? Jej umysł pracował jak szalony.

– Nie mam pojęcia – powiedziała. Starała się zachować spokój, ale bała się, że głos jej zadrży.

Patrzyli teraz na nią obaj, Ralph i Henri. Najchętniej wyszłaby z izby, zostawiając ich samych, ale wiedziała, że nie może tego zrobić. Nie wiadomo, jak by się to skończyło, gdyby nie przybycie niespodziewanego gościa.

Była to Gerda. Z policzkami zaróżowionymi od wieczornego spaceru, uśmiechnęła się na ich widok. Nieświadoma napięcia panującego w izbie, podeszła do Ralpha, pocałowała go i wybuchnęła śmiechem, gdy zaczerwienił się z zażenowania. Na chwilę ujęła w dłonie jego talizman.

– Pożar rozlewa się coraz szerzej – oznajmiła. Hilda modliła się w myślach, że ta uwaga odwróci przebieg rozmowy. Ale tym razem jej modlitwa nie została wysłuchana.

– Więc nie aresztowałeś tego rudego brodacza? – zwróciła się Gerda do Ralpha.

– Coś mi przeszkodziło – burknął.

– Jeszcze go dopadniesz. Prawda, Hildo? On jest taki sprytny.

Hilda zdała sobie sprawę, że znów wszyscy na nią patrzą. Tępo patrzyła na młodą Niemkę. To jakaś straszliwa pułapka? Czy Gerda zdążyła już powiedzieć Ralphowi, że Hilda wiedziała o jego planach? A może zrobi to teraz?

– Widziałam go i jego dwóch przyjaciół na East Cheap – ciągnęła Gerda ku coraz większemu przerażeniu Hildy. – Śmiali się i obejmowali.

Ralph spojrzał na nią ze zdziwieniem.

– Jakich przyjaciół?

– Tego płatnerza. Na imię mu chyba Alfred. I tego liliputa z dużą głową. Tego bez nosa. – Roześmiała się. – Pewnie myślą, że ich nie złapiesz, ale bardzo się mylą. – Pocałowała Ralpha w głowę. – Idę teraz do ojca – dorzuciła radośnie.

Po jej wyjściu w izbie zapadła cisza, nikt nie odezwał się ani słowem. Hilda wpatrywała się w swoją robótkę. Miała wrażenie, że jej umysł wiruje jak szalony. Jak Gerdzie udało się zobaczyć Osrica i jego przyjaciół? Aż bała się myśleć, czym to się może skończyć. Spojrzała na Ralpha.

Siedział nieruchomo ze wzrokiem utkwionym w ogień. Wydawało się, że zapomniał o jej obecności, twarz mu zastygła w bolesnym grymasie. Jak mógł przeoczyć to ogniwo? Przecież wszystko było takie oczywiste! Barnikel przyjaźnił się z Alfredem. Alfred przyjaźnił się z Osrikiem. Osric został kiedyś w piwnicach Tower. W piwnicach, gdzie zgromadzono broń. W piwnicach, do których zamki wykonał Alfred.

Nagle zobaczył wszystko jak na dłoni. Nie wiedział jeszcze, jak to zrobili. Ani dlaczego. Ale zerwał się z miejsca z okrzykiem:

– A, łotry! Rozumiem. Wiem, gdzie ukryli broń!

– Gdzie? – spytał Henri spokojnie.

– W Tower! – wrzasnął Ralph. – Idę tam – dorzucił ku przerażeniu Hildy.

Wypadł z domu. Henri ruszył za nim.

Hilda biegła co sił. W ciemnościach wydawało jej się, że frunie nad ziemią. Minęła długi cień katedry Świętego Pawła i pędziła dalej wzgórzem w kierunku Walbrook.

Zdawała sobie sprawę, że musi się bardzo spieszyć. Może już jest za późno. Ale bez względu na grożące jej niebezpieczeństwo wiedziała, dokąd iść. Nawet jeśli ktoś ją śledził.

Musi powiedzieć o wszystkim Barnikelowi. On jakoś temu zaradzi.

Pochłonięta swoją misją nie zauważyła, że pożar, który wybuchł wczesnym wieczorem, rozprzestrzenił się po West Cheap i ogarnia domy na wschodnim wzgórzu.

Nie dostrzegła też czegoś znacznie bardziej dziwnego. Jej śladem podążała bezszelestnie jakaś postać.

Hilda minęła mostek na Walbrook i ruszyła ulicą Świecarzy. O tej porze było tutaj pusto. Dyszała tak ciężko, że nie słyszała innych odgłosów. Paliło ją w piersiach. Przystanęła na chwilę przy Kamieniu Londyńskim, żeby złapać oddech i złagodzić kłujący ból w boku. Pochyliła się, opierając dłonie na kolanach.

Dała się zaskoczyć. Silne dłonie chwyciły ją za ramiona, ktoś zarzucił jej opończę na głowę. Zanim zdążyła krzyknąć, napastnik wciągnął ją w zaułek.

Szło mu szybciej, niż się spodziewał. Niemal od razu wpadł we właściwy rytm. Najpierw wyjął ze skrytki całą broń i zgromadził przy kracie.

Spuszczanie jej na linie do kanału też nie było takie trudne, zajęło mu to najwyżej pół godziny. A potem przenosił kolejne tobołki przez ciemny kanał i układał je przy kracie nad brzegiem.

Nie minęły dwie godziny i Osric zaczął załadunek broni na łódź.

Nagle coś go zastanowiło. Za każdym razem gdy dochodził do zewnętrznej kraty, wydawało mu się, że niebo na zewnątrz coraz bardziej jaśnieje. Wprawdzie stracił nieco rachubę czasu, ale wiedział, że północ jeszcze nie minęła. A więc nie mógł to być blask świtu. Gdy w końcu Osric wydostał się na błotnisty brzeg, przeżył wstrząs.

Niesiony wiatrem pożar, który wybuchł na zachodnim wzgórzu, nabrał straszliwej siły. Nie dość, że drewniane domy były suche jak pieprz; nie dość, że wiatr roznosił płomienie, to po osiągnięciu punktu krytycznego ogień wytworzył swój własny podmuch. W jedną z jesiennych nocy 1087 roku ogromny pożar opanował miasto. Z trzaskiem i rykiem dotarł na wschodnie wzgórze, przeniósł się zboczem ponad Tower i wdarł w okolice kościoła Wszystkich Świętych.

Wydostawszy się z tunelu, Osric najpierw usłyszał dochodzący z miasta hałas. Głuchy, ciągły grzmot. Dopiero gdy podszedł do łodzi i się odwrócił, zobaczył, co się dzieje.

Widok był przerażający. Ogień syczał, trzaskał, buchał iskrami, skakał w górę i niczym jeden wielki płomień rozlewał się po zboczu powyżej Tower. Tu i tam nagle unosił się, błyskał jak wielki, niewidzialny, ukryty za wzgórzem smok, ział ogniem, łapczywie pożerającym miasto. A na tle tego ognistego kręgu wyrastała ciemna, potężna bryła Tower.

Jednak Osric musiał się spieszyć. Nie zwracając uwagi na błyskające płomienie, po raz ostatni dał nura do ciemnego tunelu.

Ralph schodził szybko ze wzgórza. Wyżej widział ogromną sylwetkę Tower oświetloną łuną pożaru.

Niestety, po drodze ciągle coś go zatrzymywało. Na zachodnim wzgórzu dwukrotnie musiał zwolnić, żeby pokierować ludźmi próbującymi powstrzymać ogień. Miał wiele wad, ale umiał działać. Żeby ocalić jeden z domów, ustawił żołnierzy z garnizonu w Ludgate w łańcuch i kazał im podawać wiadra z wodą czerpaną ze studni.

– Polewajcie dachy! – krzyczał do mieszkańców ulicy Drobiowej.

Przy Walbrook podjął jeszcze jedną próbę opanowania ognia. Ale wielki czerwony potwór, sycząc i plując iskrami, przeskakiwał z jednej strzechy na drugą. Uznawszy w końcu, że walka jest beznadziejna, Ralph pobiegł uliczkami wśród tłumów ogarniętych paniką ludzi. Pędził ku wielkiej, posępnej, pogrążonej w milczeniu Tower, czując na plecach żar płomieni i słysząc tuż za sobą huk ognia.

Kilkoma susami pokonał drewniane schody. Nie patrząc za siebie na zbliżające się płomienie, wszedł do głównej sali i zawołał straż.

Cisza. Ruszył w kierunku piwnicznych schodów. W żelaznym uchwycie paliła się pochodnia, ale strażnika nie było. Na pewno poszedł popatrzeć na pożar. Ralph zaklął. Chwycił pochodnię, otworzył drzwi i zaczął schodzić po krętych stopniach.

Rozejrzał się po piwnicy, ale nic nie zauważył. Po chwili zobaczył otwartą kratę do kanału. A więc tutaj są! Wyjął miecz i czekał, aż ktoś się pojawi. Nikt nie wychodził. Ralph nadal czekał, nasłuchując. W końcu, bojąc się, że spiskowcy uciekną, ostrożnie opuścił się na dół. Trzymając w jednej ręce pochodnię, a w drugiej miecz, ruszył długim tunelem.

Załadował do łodzi prawie połowę broni. Niedługo powinien uporać się z całą robotą. Potem będzie musiał jeszcze raz zajrzeć do piwnicy, żeby sprawdzić, czy nic po drodze nie zgubił. Zaczynał się przypływ. Tym lepiej. Łatwiej będzie zepchnąć ciężką łódź z błotnistego brzegu.

Pochylony układał włócznie w łodzi, gdy nagle usłyszał za sobą jakiś dźwięk, odwrócił się i zobaczył, że z tunelu wyłania się długonosa twarz Ralpha Silversleevesa.

Normandczyk wyprostował się z uśmiechem.

– Sam jesteś, Osricu? – spytał i się rozejrzał. – Chyba tak. – I widząc zdumioną minę cieśli, ciągnął: – Aresztuję cię w imieniu króla. – Zrobił kilka kroków do przodu i przystawił mu ostrze miecza do brzucha. – Myśleliście, że uda się wam mnie oszukać? – syknął. – Ale już niedługo wszystko mi wyśpiewasz, gdy tam trafisz. – Skinął głową w kierunku Tower.

Płomienie ognia sięgały coraz wyżej. Od strony kościoła Wszystkich Świętych rozległ się głośny huk i sypnął snop iskier. Czerwony blask oświetlił twarz Normandczyka, bladą i okrutną.

Wtedy biedny Osric popełnił fatalny błąd. Wskoczył niezdarnie na łódź i sięgnął po broń. Chwilę później zwrócił ku Ralphowi trupio bladą twarz. Jego duże oczy wydawały się większe niż zwykle, kryła się w nich ostateczna determinacja. W ręce trzymał włócznię.

Ralph przyglądał mu się bez lęku. Kaleki cieśla zaatakował wściekle, Silversleeves zrobił krok w tył. Zaczekał, aż Osric wygramoli się na brzeg, a potem cofał się krok za krokiem, coraz bardziej odciągając przeciwnika od wypełnionej bronią łodzi.

Jakże żałośnie wyglądał Osric. Z jego oczu i całej postaci biła nienawiść, tłumiona nienawiść człowieka, który przez dwadzieścia lat doświadczał przemocy i upokorzeń. Ralph nawet go rozumiał. Nie odrywał wzroku od grotu włóczni. Jeszcze jeden krok w tył. Był już w połowie ścieżki, co dawało mu znaczną przewagę. Wznoszące się nad Tower języki ognia migotały czerwonym blaskiem na ostrzu włóczni, ukazując wyraźnie broń, a jednocześnie oślepiając biednego cieślę.

Osric znów zaatakował.

Ralph z łatwością odparł cios. Szybkim ruchem miecza odciął grot. Osricowi zostało w rękach gołe drzewce.

– No i co teraz, mały człowieczku? – syknął Silversleeves. – Zabijesz mnie tym kijem?

Biedny Osric. Na jego pucołowatej twarzy malował się ból, oczy patrzyły z desperacką powagą. W miejscu nosa widniała rozmazana plama, w dłoni miał jedynie pozbawioną ostrza rękojeść włóczni. Nie chciał się jednak poddać i zrobił jeszcze jeden krok w przód, mierząc w Normandczyka kikutem broni.

Ralph uśmiechnął się szeroko.

– Chciałbyś mnie zabić, żeby uniknąć tortur? – warknął. – Taki masz plan? – Zachichotał. Chciał dopaść Osrica żywcem, ale jego przerażenie sprawiało mu przyjemność.

Podniósł miecz.

Osric patrzył z lękiem. I ze zdziwieniem. Przeląkł się błyskającego ostrza? Zbliżającej się śmierci? Wielkiej, czerwonej fali ognia, która właśnie uniosła się nad Tower? Ralph wziął zamach.

Ale to nie ogień ani połyskująca klinga sprawiły, że Osric zamarł w bezruchu. Zobaczył bowiem rozwianą rudą brodę, parę błyszczących oczu i wielką, otoczoną aureolą ognia postać, która wyłoniła się z mroku, przesłaniając Tower. Człowiek ten, niczym nordycki bóg zemsty, wzniósł wojenny topór i zadał nim straszliwy cios, roztrzaskując Normandczykowi czaszkę i przecinając klatkę piersiową na pół.

Barnikel przybył w samą porę.

Pół godziny później pochowali Ralpha.

Był to pomysł Osrica, choć obaj uznali to za swoją powinność. Zawinęli zwłoki w natłuszczoną tkaninę i przenieśli kanałem do niszy, która służyła

im za kryjówkę na broń. Potem Osric starannie zamurował wejście i usunął wszystkie ślady. Z zadowoleniem myślał, że Normandczyk zostanie tu już na wieki. Wyszli kanałem, zamykając za sobą obie kraty.

Osric wypłynął na rzekę, udając się w kierunku miejsca, gdzie miał przekazać broń. Barnikel tymczasem wrócił do miasta. Jego dom przy kościele Wszystkich Świętych stał już w płomieniach. Nie dało się go uratować. Ogień rozlał się po całym mieście, od straganów przy targu aż po Cornhill. Przechodząc przez Walbrook, Barnikel usłyszał krzyk:

– Święty Paweł się pali! Ogień schodzi coraz niżej!

Uśmiechnął się. Trzymał bowiem w dłoni talizman z łańcuszkiem, który zerwał z rozpłatanej szyi Ralpha. Wiedział już, co z nim zrobić.

Jedno z tamtej nocy pozostało tajemnicą.

– Jakim cudem się tu znalazłeś? – spytał Osric, gdy nieśli z Barnikelem zwłoki Ralpha do kryjówki.

Duńczyk się uśmiechnął.

– Dostałem wiadomość. Pędziłem co sił w nogach. Ralpha nie było w Tower, więc przybiegłem nad brzeg. Zdążyłem w ostatniej chwili.

– Ale kto ci przysłał wiadomość? – dopytywał cieśla.

– A, o to ci chodzi. Rzeczywiście, mieliśmy szczęście. – Barnikel pokiwał głową. – Przyszedł posłaniec. Od Hildy.

To właśnie było największą tajemnicą.

Rok 1097

Tajemnica doczekała się wyjaśnienia dziesięć lat później, pewnego letniego wieczoru. Hilda siedziała w największej izbie swojego domu przy katedrze Świętego Pawła.

Patrząc wstecz na swoje życie, dochodziła do wniosku, że ma powody do zadowolenia. Nie mogła się uskarżać na to, co wydarzyło się w ciągu ostatniego dziesięciolecia. Osric zmarł, ale czasami widywała jego syna, który mieszkał teraz z rodziną Alfreda. Barnikel też już nie żył. Ale i to wyszło w sumie na dobre. Miesiąc po wielkim pożarze z 1087 roku Duńczyk miał poważny wylew – akurat był wtedy na przystani Billingsgate – który pozbawił go życia. Rok później w Kencie i Londynie wybuchła oczekiwana rebelia, lecz została krwawo stłumiona. „Dzięki Bogu, że tego nie doczekał, bo na pewno zrobiłby z siebie głupca”, myślała często Hilda.

Starego Silversleevesa też już nie było na świecie. Dwa miesiące wcześniej, pewnego deszczowego kwietniowego wieczoru, jakiś kupiec przyniósł mu list. A po godzinie sługa zauważył, że jego pan wciąż siedzi nieruchomo przy stole, jakby cały czas czytał doręczoną wiadomość. Jednak pan już nie żył.

Kanonik katedry Świętego Pawła został pochowany w ufundowanym przez siebie kościele Świętego Wawrzyńca uroczyście i z honorami. A trzy dni później do jego murowanego domu wprowadzili się Henri z Hildą. Dopiero teraz, w ciągu kolejnych tygodni, Hilda się przekonała, jak wielką fortunę zostawił im w spadku stary kupiec.

W kraju panował pokój, bo Wilhelm Rudy rządził pewną ręką. Niedawno zbudował sobie w Westminsterze wielki pałac, doskonale pasujący do opactwa Wyznawcy. Kazał też umocnić warownię przy Ludgate. Patrząc z dziedzińca swojego domu, Hilda widziała, jak tam, gdzie kiedyś stała strawiona przez pożar saska katedra Świętego Pawła, wyłania się zarys wznoszonej z kamienia potężnej normandzkiej katedry, która wkrótce miała zdominować panoramę miasta, jak Tower zdominowała nabrzeże.

Widok katedry za każdym razem przypominał Hildzie o tamtym wielkim pożarze i kazał wracać myślami do dziwnych tajemnic.

W zgliszczach katedry odnaleziono talizman Ralpha. Co Ralph tam robił? I kto przetrzymywał Hildę tamtej nocy przez całe dwie godziny tylko po to, żeby niespodziewanie uwolnić ją przy Walbrook, gdzie mogła jedynie patrzeć, jak połowa Londynu staje w ogniu? Nigdy nie udało jej się rozwikłać tych zagadek.

Dzieci były już dorosłe, więc często spędzała wieczory tylko z mężem. Już dawno nauczyli się uprzejmie ignorować siebie nawzajem, przez co łatwo tolerowali swoją obecność.

Hilda spokojnie haftowała, a Henri siedział przy ojcowskiej szachownicy , grając sam ze sobą. Jednak tego wieczoru Hilda była zdenerwowana. Powodem był dom, tak przynajmniej jej się wydawało. Nigdy nie czuła się dobrze w surowym dworze z kamienia. Najchętniej przeniosłaby się gdzieś, znalazła jakąś bardziej przytulną siedzibę. Miała o to do męża pretensje, więc od czasu do czasu rzucała mu pełne niechęci spojrzenie.

Henri zauważył to, ale dopiero po wykonaniu dwudziestu ruchów na szachownicy spokojnie odwrócił się do żony.

– Powinnaś lepiej ukrywać swoje myśli – rzekł.

– Nie masz najmniejszego pojęcia, o czym myślę – warknęła i zajęła się swoją robótką. – Nic o mnie nie wiesz – dorzuciła po chwili.

Pochylił się nad szachownicą. Na jego twarzy malował się słaby uśmiech.

– Wiem. I to nawet więcej, niż mogłoby ci się wydawać.

– Na przykład?

Milczał przez dłuższą chwilę.

– Na przykład to, że byłaś kochanką Barnikela – powiedział w końcu cichym głosem. – I że pomogłaś mu dopuścić się zdrady.

Zapadła cisza przerywana jedynie stukaniem pionów na planszy.

– Nie rozumiem, co masz na myśli.

Henri nie odrywał wzroku od szachownicy.

– Pamiętasz tamten wielki pożar? Jestem pewien, że tak. Tuż przed pożarem zostałaś u Barnikela na noc.

Wstrzymała gwałtownie oddech.

– Skąd o tym wiesz?

– Kazałem cię śledzić – powiedział spokojnie. – Śledziłem cię przez wiele lat.

– Dlaczego? – Poczuła, jak oblewa ją zimny pot.

Henri wzruszył ramionami.

– Bo jesteś moją żoną – odparł, jakby to wszystko wyjaśniało.

Wróciła myślami do tamtej nocy, gdy wybuchł pożar.

– Ktoś mnie wtedy uwięził – powiedziała, marszcząc brwi.

– Owszem. – Henri się uśmiechnął. – Domyśliłem się, że biegniesz do Barnikela. To było zbyt ryzykowne. Mogli cię aresztować. – Umilkł na chwilę. – Poza tym wszystko samo świetnie się ułożyło. Twój udział nie był potrzebny.

– Nie rozumiem.

– Ralph nie powinien chcieć się żenić.

– Ralph? Przecież on zginął w katedrze.

– Niezupełnie. Podejrzewam, że natknął się w Tower na twojego przyjaciela Barnikela. – Henri znów się uśmiechnął. – Ojciec często powtarzał, że gdy gram w szachy, moja strategia pozostawia nieco do życzenia, ale taktykę mam dobrą. Miał rację. Bo widzisz, moja droga żono – ciągnął po chwili – to ty podsunęłaś mi tę szansę. Gdy zamierzałaś

ostrzec Barnikela, a moi ludzie cię schwytali, przyszło mi do głowy, że i tak mogę przekazać ostrzeżenie. Posłałem do Duńczyka swojego człowieka. A on powiedział, że przychodzi od ciebie, i kazał mu pójść do Tower i zabić Ralpha. A ponieważ Ralph zniknął, to widocznie mu się udało. – Mistrz taktyki westchnął nieznacznie. – Albo Ralph zaaresztowałby twojego kochanka, albo twój kochanek zabiłby Ralpha. Obie możliwości były dla mnie korzystne.

– To ty zabiłeś Ralpha.

– Nie. Zrobił to Barnikel.

– Ale z ciebie łotr.

– Być może. Zauważ jednak, że gdyby Ralph się ożenił i doczekał dziedzica, to twoje dzieci dostałyby o połowę mniejszy spadek.

– Twoje miejsce jest w więzieniu.

– Nie dopuściłem się żadnego przestępstwa. Czego akurat o tobie nie da się powiedzieć, moja droga.

Wstała. Poczuła mdłości. Musi wydostać się z tego przeklętego domu.

Zeszła zboczem do Ludgate, dostała się na drugą stronę Fleet i minęła kościółek Świętej Brygidy. Lekki wiatr rozwiewał jej włosy. Zatrzymała się dopiero przy starej przystani w Aldwych.

Usiadła na ziemi i patrząc na rzekę opływającą łagodnym łukiem Westminster, a potem zmierzającą majestatycznie ku milczącej Tower, myślała o swoich zamożnych dzieciach i minionych latach. I ku swojemu wielkiemu zdziwieniu zauważyła, że złość jej minęła.

Pomyślała, że tak właśnie przejawia się w jej osobistym życiu normandzki podbój.

Byłaby zapewne zdziwiona, gdyby w tej chwili widziała męża.

Wciąż siedział przy szachownicy. Ale skończywszy partię, sięgnął po kawałek pergaminu. To właśnie ten list otrzymał jego ojciec tuż przed

śmiercią. Henri przeczytał go po raz kolejny. Na jego twarzy malował się spokój, ale usta wykrzywił lekki uśmieszek.

List mówił, że rodzina Becketów z Caen zamierza przenieść się do Londynu.

Święty

Rok 1170

Czerwcowy poranek, Pałac Westminsterski. W długiej komnacie przylegającej do wielkiej sali królewskiej było cicho i spokojnie.

Kilku dworzan przy drzwiach rozmawiało przyciszonymi głosami. Pośrodku stało przy blatach siedmiu pisarzy pochłoniętych swoją pracą. Gęsie pióra skrzypiały na pergaminie, atrament w razie potrzeby donosili mnisi z Westminsteru. Spod przeciwległej ściany, gdzie przy stole siedzieli najpotężniejsi możnowładcy Anglii, dochodził dziwny stukot. Mężczyźni przestawiali na planszy pionki warcabów.

Biły od nich majestat i powaga. Budzili wręcz strach. Królewski skarbnik, justycjariusz, biskup Winchesteru, mistrz Thomas Brown. Drżeli przed nimi możnowładcy i szeryfowie.

W połowie sali, oparty o ścianę, stał milczący młody człowiek z bardzo długim nosem. Mężczyźni przy stole znali go doskonale. Bardzo obiecujący urzędnik. Ale czemu w ten piękny, ciepły dzień jego twarz jest trupio blada?

Mężczyzna nazywał się Pentecost Silversleeves.

„Wiedzą. Patrzą na niego. Wiedzą, co się wydarzyło poprzedniego wieczoru”.

Pałac Westminsterski. W ciągu stu lat po normandzkim podboju mała wyspa Thorney, która stała się czymś w rodzaju królewskiej siedziby nad

rzeką, nabrała wspaniałego wyglądu. Otaczał ją mur, a przez Tyburn, opływający ją strumień, przerzucono kilka mostków. Potężne opactwo Edwarda Wyznawcy wciąż górowało nad okolicą, ale teraz miało towarzystwo w postaci skromnego normandzkiego kościoła pod wezwaniem Świętej Małgorzaty, który służył przyległej parafii.

Westminster zyskał na znaczeniu kilka lat wcześniej, gdy papież kanonizował Edwarda Wyznawcę. I teraz Anglia, podobnie jak Francja i kilka innych krajów, miała świętego z królewskiej rodziny. Wokół jego grobowca, przeniesionego na środek opactwa, powstało sanktuarium, a Westminster mogło od tej pory uchodzić za duchowe serce królestwa.

Największe zmiany zaszły jednak na samym brzegu rzeki, gdzie stanął wielki pałac.

Przebudowany przez Wilhelma Rudego Westminster Hall był jedną z największych królewskich budowli w Europie. Długa na siedemdziesiąt trzy metry sala miała wysokie okna na normandzką modłę i dwa rzędy filarów podpierających ogromny drewniany dach. Była tak obszerna, że jednocześnie mogły w niej obradować trzy składy sądowe. Za salą znajdowały się dziedzińce oraz komnaty należące do mieszkalnej części królewskiej siedziby. Król zazwyczaj objeżdżał swoje włości, ale rozrastająca się coraz bardziej administracja pracowała w Westminsterze. A najbardziej znanym i jednocześnie budzącym największy lęk urzędem był ten, który zebrał się właśnie teraz.

– Niech będzie sto.

Mistrz Thomas Brown mówił cicho. Jeden z pomocników przesunął pion na szachownicy. Sąd obradował beznamiętnie, natomiast siedzący u skraju stołu szeryfowie kiwali nerwowo głowami. Po królewskim tronie ten wielki stół był drugim najważniejszym meblem w całym królestwie.

Wyglądał rzeczywiście dziwnie. Długi na trzy metry i szeroki na półtora, miał wokół brzegów rant wysoki na cztery palce, przez co przypominał stoły do hazardu. Przykrywała go czarna tkanina podzielona białymi liniami na kwadraty. Stąd też wzięła się nazwa obradującego przy nim trybunału: Exchequer [11].

Każdy przesuwany na stole pion, w zależności od zajmowanego miejsca, mógł oznaczać tysiąc funtów, dziesięć, a nawet skromnego srebrnego pensa, który stanowił ekwiwalent dziennej płacy robotnika. Tkanina w kratę była więc niczym innym jak liczydłem, prymitywnym komputerem pozwalającym na obliczanie i analizowanie dochodów i wydatków państwa.

Dwa razy w roku, wiosną w Wielkanoc i jesienią w dniu świętego Michała, do Westminsteru zjeżdżali się szeryfowie ze wszystkich angielskich hrabstw i składali sprawozdania finansowe.

Najpierw w jednej z zewnętrznych komnat liczono srebrne pensy zwożone workami przez szeryfów i sprawdzano ich jakość. Dwadzieścia tuzinów pensów odpowiedniej jakości ważyło funt. A ponieważ na określenie angielskiego pensa Normandczycy używali słowa *esterlin*, które przybrało łacińską postać *sterlingus*, wyższa jednostka waluty zyskała nazwę funt szterling.

Następnie każdy szeryf otrzymywał leszczynowy patyk z nacięciami oznaczającymi wpłaconą przez niego sumę pieniędzy. Tuż powyżej uchwytu patyk rozcinano wzdłuż na pół i każda ze stron otrzymywała swoisty dowód wpłaty.

Po ostatecznej akceptacji skarbnika transakcję zapisywali skrybowie.

Była to czasochłonna procedura. Najpierw wyliczenia zapisywano rylcem na drewnianych tabliczkach pokrytych woskiem, a dopiero potem przepisywano na czysto na pergaminie.

W owych czasach pergamin był materiałem tanim i łatwo dostępnym. To prawda, welin – najcieńszy, pozbawiony plam i zanieczyszczeń pergamin otrzymywany ze skór cielęcych – był znacznie rzadszy i nieporównanie droższy, ale spisywano na nim jedynie ilustrowane księgi albo malowano obrazy. Do sporządzania zwykłych dokumentów wykorzystywano skóry bydła, owiec, a nawet wiewiórek, a tych było w bród. W Anglii pergamin był tańszy niż atrament. „Najlepszy jest pergamin owczy – mawiał mistrz Thomas Brown – bo widać na nim każdą próbę fałszerstwa”.

Angielski system zapisów finansowych miał jedną szczególną cechę, niespotykaną nigdzie indziej. Zazwyczaj pergaminowe karty składano w księgi. Wyniki wielkiego spisu zarządzonego przez Wilhelma Zdobywcę uwieczniono w wielkich tomach pod nazwą Domesday Book. Jednak w kolejnych pokoleniach z niewiadomych przyczyn królewskie dokumenty zaczęto przechowywać w zwojach zwanych Pipe Rolls.

W owych czasach monety trzymano w skarbcu – zwanym przez urzędników z łacińska thesaurusem – w Winchesterze, dawnej stolicy króla Alfreda. Ale zanim tam dotarły, gromadzono je w Pyx – kaplicy w opactwie przylegającym do królewskiego pałacu.

Tak właśnie działał Exchequer, królewski Trybunał Skarbu.

„Czyżby wydobywał się z niego jakiś głos? Wykrzykiwał straszliwą prawdę? Przyłożył dłonie do ust, żeby za wszelką cenę przytrzymać język za zębami.

Koszmar poprzedniej nocy”.

Pentecost Silversleeves był bardzo dziwnym młodzieńcem.

I wcale nie chodziło o jego biblijne imię, bo z powodu religijnego odrodzenia, które w poprzednich pokoleniach przetoczyło się przez Londyn, było ono dość popularne. Jego ojciec, wnuk Henriego, obecnie

głowa rodu Silversleevesów, wolałby imię bardziej normandzkie, ale pewna owdowiała ciotka, która została mniszką, zapowiedziała, że zostawi spadek jedynie dziedzicowi o takim imieniu. Tak więc został Pentecostem.

Wyglądał jak wszyscy mężczyźni w jego rodzinie: ciemne włosy, wielki, długi nos i ponure spojrzenie. Ale natura postanowiła zadać Pentecostowi kilka innych bolesnych ciosów. Garbił się, biodra miał szersze niż barki i w ogóle uchodził za słabeusza. W dzieciństwie nie potrafił nawet złapać piłki, nigdy w życiu nie dał rady zawisnąć na rękach. Ale fizyczną ułomność wynagradzały mu niezwykłe talenty umysłu.

Gdy mistrz Thomas Brown robił sprawdziany młodym urzędnikom – „Trzydziestu pięciu rycerzom należy wypłacać pięć pensów dziennie przez sześćdziesiąt dni. Jaki będzie całkowity koszt?" albo: „Hrabstwo Essex jest winne trzysta funtów. Wypłaty należą się czterdziestu siedmiu rycerzom. Ile wypadnie na każdego z nich?" – Silversleevesowi nie wolno było odpowiadać. Nie potrzebował ani liczydeł, ani tabliczki. Natychmiast znał odpowiedź. Znał całą zawartość Pipe Rolls, i to nie dlatego, że się tego z mozołem uczył – po prostu taką miał pamięć.

Z takimi zdolnościami mógłby być najlepszym uczniem, ale jakoś mu się to nie udawało. Najpierw rodzice wysłali go do szkoły przy katedrze Świętego Pawła, potem do kolejnej, a w końcu do niewielkiej szkółki otwartej właśnie przy kościele St Mary-le-Bow. W żadnej nie osiągnął sukcesu. „Wszystko za łatwo mu przychodzi, więc nie chce się przykładać", narzekali nauczyciele.

Wysłano go więc do Paryża, gdzie można było spotkać największych uczonych. Wykładał tam sławny Abelard, dopóki potajemny romans z Heloizą nie sprowadził na niego hańby i kary w postaci kastracji. A paru Anglików, choćby John z Salisbury, którzy studiowali w Paryżu, zdobyło najwyższe stanowiska i stało się mistrzami pióra. Paryż był wielką szansą.

Ten, kto skończył tam studia, otrzymywał kurtuazyjny tytuł *magister* – mistrz. Jednak Silversleevesowi nigdy nie udało się ukończyć studiów. Wyjechał na krótko do Italii, a potem wrócił do domu. Nikt nie nazywał go mistrzem.

Jaką miał wiedzę? Zdołał opanować podstawowe trivium: gramatykę, czyli znajomość łaciny, retorykę i dialektykę. Od czasów cesarstwa rzymskiego była to w Europie podstawa wykształcenia, wspólny język kultury łacińskiej. Pentecost studiował także quadrivium, czyli muzykę, arytmetykę, geometrię i astronomię, co oznaczało, że poznał nieco dorobek Euklidesa i Pitagorasa, umiał nazwać gwiazdozbiory i jak wszyscy w jego czasach uważał, że Słońce oraz planety wirują zgodnie ze skomplikowanym wzorem wokół Ziemi. Potrafił cytować Biblię – po łacinie – żeby wzmocnić swoje racje w dyskusjach. Potrafił przywołać kilka na wpół zapomnianych herezji. Prawo znał na tyle dobrze, że mógł wykazać opatowi, ile jest winien królewskiemu skarbcowi. W Italii był na wykładzie z anatomii. Nieobca mu była myśl Platona i Arystotelesa. Krótko mówiąc, miał niezbędną wiedzę, ale nic ponadto.

Kim więc był, nie mogąc nazwać się magistrem? Odpowiedź była prosta. Pisarzem sądowym, który wstąpił do stanu duchownego.

Co nie powinno dziwić. W świecie, w którym niewielu ludzi umiało czytać i pisać, całe szkolnictwo znajdowało się w rękach Kościoła. Dlatego młody człowiek, który zdobył jakieś wykształcenie, nierzadko golił sobie tonsurę i przyjmował niższe święcenia.

Oficjalnie Silversleeves był diakonem. Mógł się ożenić, prowadzić interesy, w zasadzie mógł robić, co chciał. Po jakimś czasie, o ile taka byłaby jego wola, zostałby dopuszczony do wyższych święceń. Ale już teraz mógł się cieszyć wszystkimi przywilejami duchownego.

Kościół, jako spadkobierca cesarstwa rzymskiego, miał w Europie ogromne wpływy. Każdy wykształcony człowiek, bez względu na to, czy był świętym, czy łajdakiem, prawdziwym uczonym, czy umiał jedynie wydukać po łacinie *Modlitwę Pańską*, za naukę musiał dziękować Kościołowi. Od czasu do czasu w Kościele zdarzały się schizmy, niemiecki cesarz próbował zgłosić własnego kandydata na tron Stolicy Apostolskiej, ale papież nadal był bezpośrednim następcą świętego Piotra. I z mocy swojej władzy, starszej niż jakakolwiek władza świecka, mógł upominać feudalnych królów. Biskupi byli równi możnowładcom. W społeczeństwie feudalnym obowiązywały ostre podziały klasowe, ale ktoś zdolny, nawet jeśli był synem nisko urodzonego chłopa pańszczyźnianego, mógł dzięki Kościołowi wejść na same szczyty społecznej drabiny – a przy okazji służyć Bogu.

Ta specyficzna relacja państwa z wyedukowaną warstwą duchownych miała jeszcze jedną cechę. Dzięki otrzymywanym przez stulecia darowiznom Kościół stał się w całej Europie największym posiadaczem ziemskim. Wprawdzie w ciągu stu lat po podboju Wilhelma niemal cała wolna ziemia przeszła w ręce feudalnych rodów, ale majątki kościelne były źródłem ogromnych dochodów dla ówczesnego wyższego duchowieństwa. Gdy król chciał kogoś wynagrodzić, przyjaciela albo sługę, rozwiązanie było gotowe: „Zróbmy z niego biskupa”.

W ten sposób powstał ów szczególny układ. Niektóre diecezje obejmowali ludzie godni i pobożni, ale często trony biskupie przypadały najwierniejszym sługom króla albo politykom. Obecny biskup Winchesteru był zarówno krewnym króla, jak i graczem politycznym. Salisbury, Ely i kilka innych diecezji z reguły obejmowali zasłużeni królewscy urzędnicy. Wielu innych czerpało dochody z mniej ważnych stanowisk –

archidiakonatów i kanonii. Thomas Becket, obecny kanclerz Anglii i arcybiskup Canterbury w jednej osobie, wiernie służył królowi.

Reformatorzy nie pochwalali takich praktyk, ale cały Kościół przymykał na nie oko.

Więc być może pewnego dnia także Silversleeves mógłby zostać biskupem?

„Po co w ogóle z nimi poszedł? Przecież nawet ich nie lubił.

To prawda, nie lubił ich, ale pochodzili z największych rodzin kupieckich tak jak on. Raz w miesiącu ruszali w miasto. W czarnych kapturach. Z mieczami i sztyletami. Raz poszli do zamtuzów po drugiej stronie rzeki. Przystawili dziwce ostrze do piersi. Każdy ją brał po kolei. Nic jej nie zapłacili. Ale ich przeklinała! Albo ten wieśniak, którego spotkali w lesie. Urządzili mu niezłą przejażdżkę na jego własnym wozie. Noc była księżycowa. Chłop tak się przeraził, że wziął ich za upiory. Wrzucili go do strumienia i zostawili. Ależ mieli zabawę.

Nie robili nikomu krzywdy. Cała młodzież tak dokazywała. Takie czasy. Nikt nie traktował tego poważnie. Im bardziej zuchwale sobie poczynali, tym lepiej.

Dlaczego się do nich przyłączył?

»Wyglądasz jak baba!«, krzyczeli za nim w szkole. I wyśmiewali go. »Zachowujesz się jak baba!« Chciał im pokazać. Dołączył do najbardziej awanturniczej bandy. Wszystko uchodziło im na sucho.

Do wczoraj.

»Musimy zrobić coś niezwykłego«. To powiedział Le Blond. »W końcu dziś jest dzień koronacji«.

Koronacja. Odbywała się w szczególnej atmosferze. I pewnie gdyby nie to, nie poszedłby potem z nimi pić. Dałby sobie spokój.

Wszyscy się upili. Inaczej przecież nie pomyliliby domów. Dobry Boże. Nie poszli do piekarza. Wpadli do płatnerza. Miał na sobie kolczugę i był silny jak kowal. Walczył zaciekle. A chcieli mu tylko ukraść koszulę. Zdobyć trofeum.

A potem ten uczeń. Chłopak z wielkimi oczami i nożem. A potem… Nie umiał nawet o tym myśleć. Miał kurczowo zaciśnięte palce. Spróbował je rozluźnić.

Nikt go nie widział. Uciekli. Podniósł się wrzask i wrzawa. Rozpierzchli się. Przecież nikt nie mógł go zauważyć".

Koronacja, która odbyła się poprzedniego dnia, 14 czerwca 1170 roku, w opactwie westminsterskim, była szczególna z dwóch powodów. Po pierwsze, młodzieniec, który otrzymał koronę, nie był tak naprawdę królem.

Po panowaniu synów Zdobywcy, Wilhelma Rudego i Henryka I, po okresie feudalnej anarchii, kiedy o władzę walczyli spadkobiercy z żeńskiej linii, angielski tron przypadł wyjątkowemu człowiekowi. Henryk II odziedziczył Anglię i Normandię po swojej matce, wnuczce Zdobywcy. Dzięki spektakularnemu małżeństwu objął panowanie nad rozległymi terenami w Akwitanii w południowo-zachodniej Francji, w tym nad bogatym regionem Bordeaux. Po ojcu odziedziczył żyzną Andegawenię, leżącą pomiędzy jego dobrami w Normandii a dobrami jego żony. W ten sposób król Anglii stał się panem feudalnego imperium ciągnącego się wzdłuż europejskich wybrzeży Atlantyku od Hiszpanii po Szkocję, zagrażającego nawet zawistnemu królowi Francji.

Henryk II odziedziczył po ojcu jeszcze dwie inne rzeczy. Pierwszą było dziwne rodowe nazwisko. Powiadano, że któryś z jego przodków nosił na kapeluszu nie pióro, lecz kwiat, gałązkę żarnowca. Po francusku *plante à genêt*. Po angielsku Plantagenet.

Odziedziczył też rodzinny temperament. Był błyskotliwy, niecierpliwy, a pracując nad umocnieniem swojej władzy i powiększeniem imperium, zatrzymywał się w jednym miejscu nie dłużej niż na kilka dni. Rządził znakomicie. Zaczął reformowanie angielskiego sądownictwa, dając poddanym królewskie sądy, w których – w odróżnieniu od trybunałów wyznaczanych przez feudalnych baronów – zasiadali kompetentni urzędnicy. Był surowym władcą. Połowa szeryfów drżała ze strachu, gdy w tym roku nagle pojawiali się u nich rachmistrzowie Exchequeru. Nic dziwnego, że ojciec Silversleevesa często go napominał: „Jeśli będziesz pracował i służył królowi, będziesz miał u stóp cały świat".

Plantagenetowie mieli też drugie oblicze. Byli bezwzględni i przebiegli nawet jak na owe niebezpieczne czasy. Ludzie czasem mawiali, że pochodzą od samego diabła. „Przysłał ich diabeł i do diabła powrócą", powiedział kiedyś posępnie Bernard z Clairvaux. O ich atakach złości krążyły legendy.

Henryk II miał czterech porywczych synów. Chcąc jeszcze za życia wyznaczyć następcę angielskiego tronu i w ten sposób zapobiec anarchii, zwołał do opactwa westminsterskiego rodzinę i możnowładców, żeby byli świadkami koronacji najstarszego syna. „Może to zapewni porządek wśród jego potomków", szeptali z nadzieją poddani.

Ale w uroczystej ceremonii najdziwniejsza była nieobecność arcybiskupa Canterbury, który powinien dokonać koronacji. Thomas Becket uciekł z kraju.

„Becket. Przeklęte nazwisko. Przeklęta rodzina. Powalić ich, a oni i tak podnoszą głowy jak węże.

Ciemna noc. To dlatego pomyślał o Beckecie. Inna ciemna noc, dawno temu. Inna zbrodnia. Straszliwa.

Dopuściła się jej jego rodzina? Byli urodzonymi złoczyńcami?

Nie, to niemożliwe. Jeśli przeklęci Becketowie przywiedli kogoś do złego czynu, to sami sobie byli winni. Właśnie tak”.

Wrogość pomiędzy Becketami a Silversleevesami nie tylko przetrwała od poprzedniego stulecia, lecz jeszcze się pogłębiła.

Kiedy Gilbert Becket, zamożny kupiec bławatny, przeniósł się z rodziną do Londynu, Silversleevesowie wciąż mieszkali w ogromnym domu z kamienia przy katedrze Świętego Pawła. Byli bogaci, dumni i cieszyli się szacunkiem. A gdy wyniośle nazwali nowych przybyszów „intruzami”, nikt nie zwrócił na to uwagi. Co wcale nie było dziwne. W owych czasach wśród najznamienitszych obywateli Londynu można było znaleźć wielu przyjezdnych z Francji, Flandrii czy Italii. Nazwiska takie jak Le Blond i Bucherelli zyskiwały angielskie formy – Blunt i Buckerell. Becketowie wprowadzili się do obszernego domu przy West Cheap, tuż poniżej dzielnicy żydowskiej. Kupili też kilka innych domów. Rośli w siłę. A gdy Gilbertowi Becketowi powierzono jeden z ważniejszych miejskich urzędów, mimo że dziadek Pentecosta spodziewał się, że przypadnie on jemu, zadawniona niechęć między rodami zamieniła się w żywą nienawiść.

Kto był sprawcą pożarów? Pierwszy wybuchł w domu Becketa w dniu, gdy na świat przyszedł jego syn Thomas. Drugi, wiele lat później, pojawił się w innym miejscu, strawił niemal całe ich mienie. A potem zaczęły krążyć plotki. „To sprawka Silversleevesów – szeptali ludzie. – To oni podłożyli ogień. Zrujnowali Becketów”. Na rodzinę Silversleevesa padł głęboki cień podejrzeń. Ojciec Pentecosta zawzięcie zaprzeczał oskarżeniom, lecz plotki szerzyły się coraz bardziej. A to natchnęło ich ponurą myślą: „To sami Becketowie rozsiewają takie pogłoski. Będą nas nimi dręczyć po wieki”. Młody Pentecost czuł się dotknięty do żywego, choć przyszło mu do głowy pytanie: a może to prawda?

Becketowie parli dalej. Londyńczycy doskonale pamiętali Thomasa Becketa z młodości. Thomas z Londynu, tak lubił o sobie mówić. Był takim samym leniem jak młody Silversleeves i nigdy nie uzyskał tytułu magistra. Został urzędnikiem, dał się poznać z jak najlepszej strony, mimo że jego ojciec popadł w ruinę. A miał do tego talent. Potrafił zdobywać przyjaciół, których później porzucał, jak skwapliwie podkreślali Silversleevesowie. Potem przyjął go do siebie arcybiskup Canterbury. Thomas oczarował króla. Umiał to robić, był wysoki i przystojny, miał eleganckie maniery i bystre spojrzenie. Musiał dobrze służyć swoim panom, bo ku zaskoczeniu całego Londynu w wieku zaledwie trzydziestu siedmiu lat mianowano go kanclerzem Anglii.

Pewnego razu Pentecost widział go z całym orszakiem na West Cheap. Becket miał na sobie opończę wykończoną gronostajami i tunikę wysadzaną drogimi kamieniami. Nawet jego towarzysze wyglądali jak książęta. „On umie się elegancko nosić – zauważył ponuro ojciec Pentecosta. A potem dorzucił z irytacją: – Nawet króla nie stać na takie fanaberie”.

Mianowanie Becketa kanclerzem wzbudziło zdziwienie, ale w prawdziwe osłupienie wprawiło wszystkich wyniesienie go na stanowisko arcybiskupa Canterbury siedem lat później. Thomas, świecki sługa króla, prymasem Anglii? I jednocześnie kanclerzem?

„Król chce mieć w ręku Kościół – stwierdził ojciec Pentecosta. – A dzięki Becketowi może mu się to udać”. Szokujące, choć dość prawdopodobne.

Potem wydarzyło się coś zadziwiającego. Pentecost doskonale pamiętał, jak któregoś dnia, wróciwszy do domu, zastał na dziedzińcu tłum ludzi rozprawiających o czymś z ożywieniem.

„Becket zwrócił się przeciwko królowi”.

Czasem zdarzały się spory między królem a arcybiskupem. Od stu lat w całej Europie toczyła się dyskusja o zakresie władzy Kościoła i państwa. Czy wielcy feudalni biskupi są poddanymi króla, czy nie? Czy papieżowi wolno pozbawić króla tronu? Padały ostre słowa, nieposłusznych karano ekskomuniką. W Anglii król Wilhelm Rudy tak bezwzględnie traktował świątobliwego arcybiskupa Anzelma, że ten wyjechał z kraju na kilka lat. Henryk II, ze swoim porywczym charakterem, też mógł prowokować takie konflikty. Ale Becket? Zaufany króla?

Przychodziły zaskakujące wieści. „Wyrzekł się wszelkich zbytków. Żyje jak prosty mnich". Czyżby ambitny i światowy londyńczyk zrobił się nagle pobożny? Z jakich powodów wdał się z królem w gwałtowny spór na temat praw Kościoła, po czym wyjechał z kraju?

„Dla mnie to oczywiste – oświadczył ojciec Pentecosta. – Zachował się jak Becket. Uznał, że wystąpi teraz w nowej roli. I afiszuje się z tym jak zawsze".

Tak czy inaczej, dyskusja ta toczyła się już od kilku lat. Dwaj ludzie, związani kiedyś przyjaźnią, stali się zaciekłymi wrogami. Właśnie dlatego król Henryk nakazał, by koronacji dokonał arcybiskup Yorku, choć była to prerogatywa arcybiskupa Canterbury. To złośliwe posunięcie było przemyślane. Stanowiło dla Becketa wielką zniewagę.

„Biedny Becket – zauważył Silversleeves z nieukrywaną satysfakcją. – Musiało go to zaboleć. Ciekawe, co teraz zrobi".

Zapewne Pentecost Silversleeves nadal rozważałby w myślach tę kwestię, gdyby nie nagłe zamieszanie przy drzwiach.

Niski, przysadzisty mężczyzna z krótko przyciętą ciemną brodą i pasmem białych włosów nad czołem przedarł się przez dworzan i wpadł z hukiem do sali. Miał na sobie jaskrawozieloną tunikę i zielone rajtuzy. Z jego twarzy – czerwonej tak samo jak buty z miękkiej skóry – buchała

złość, przez co przypominał oburzonego koguta. Tuż za nim szli dwaj potężni strażnicy sądowi.

Zdumieni skrybowie znieruchomieli z piórami w dłoniach. Dworzanie nie wiedzieli, co robić. Poważni dostojnicy przy stole, zaskoczeni tym niesłychanym wtargnięciem, przyglądali się wszystkiemu bez słowa. Ale płatnerz nie zwracał na nich uwagi.

– To on! – wrzasnął. – To on! Brać go! – Z wściekłością wskazał na Pentecosta.

Zapadła niezręczna cisza.

– O co jest oskarżony? – rozbrzmiał potężny głos justycjariusza, reprezentującego samego króla.

Odpowiedź odbiła się od ścian głuchym echem:

– O morderstwo.

Potężny mężczyzna o nalanej twarzy rozejrzał się z zadowoleniem. Pozostali obecni skłonili się z szacunkiem. Alderman Sampson Bull odpowiedział im uśmiechem. Zapowiadał się najszczęśliwszy dzień w jego życiu.

Alderman Sampson Bull ubrał się na czerwono. Miał długą czerwoną togę, czerwone pończochy, czerwoną tunikę ze złotymi mankietami, czerwony skórzany pas, a na głowie duży czerwony beret. Rumiane policzki i mocną szczękę pokrywał dwudniowy jasny zarost. Jedynie oczy były niebieskie. Z potężną sylwetką i wysuniętą głową przypominał byka, co bardzo pasowało do jego nazwiska [12].

Nazwisko nie pojawiło się od razu. Po normandzkim podboju jego rodzina chętnie przyjęła zwyczaj dodawania imienia ojca z przedrostkiem „Fitz” do imienia syna. Syn Leofrica nazywał się więc Edward FitzLeofric, wnuk – Richard FitzEdward, a z kolei syn Richarda – Simon FitzRichard. Ale taki system miał jedną wadę. Gdy w jakimś rodzie żyły trzy lub cztery

pokolenia, wprowadzało to pewne zamieszanie. A ponieważ rodzina Leofrica zawsze mieszkała przy szyldzie z bykiem, często tak ich właśnie nazywano – Bull.

Sampson Bull był ważną osobistością. Dwa lata wcześniej, po śmierci swojego ojca, został głową rodu. Miał zaledwie trzydzieści lat, a już był bogatym kupcem bławatnym – handlował wełną i tkaninami – i aldermanem, czyli członkiem rady miejskiej. Rajca miejski – nie byle co! Londyński samorząd, który przyjmował właśnie uregulowaną postać, miał trzy poziomy. Najniższym była gmina, często bardzo mała, w której jednak mogli zamieszkiwać znamienici obywatele. Większe znaczenie miały okręgi, których było blisko dwadzieścia. Każdy okręg miał wardmote, małą radę złożoną z najważniejszych obywateli. Ci zaś wchodzili w skład większej rady miejskiej. Elitę stanowili jednak rajcy, wybierani po jednym z każdego okręgu. Zdarzało się, że byli właścicielami znacznych terenów w swoim okręgu i często piastowali to stanowisko dożywotnio. Organizowali milicję komunalną. I to właśnie oni, podobnie jak feudalni panowie, tworzyli potężną, najbardziej wpływową część miejskiego samorządu. Sampson Bull należał do tego grona.

Londyn, którym władało to środowisko, bardzo się rozrósł. Przy drogach wychodzących z miasta pojawiło się wiele nowych domów, a od zachodu, już za Newgate, tam gdzie płynął Fleet zwany teraz Holborn, nowe granice miasta wyznaczały kamienne słupy zwane rogatkami. Ale choć handlem i życiem Londynu zawiadywali dziś dumni kupcy, tacy jak Sampson Bull, to nad miastem nadal górowały posępne budowle, które niczym wieczni strażnicy przypominały o normandzkim podboju: fortyfikacje Ludgate na zachodzie i Tower na wschodzie. Londyńskie zamki, należące do króla i jego możnowładców, wciąż mówiły poddanym: „Macie być posłuszni”.

Rajca Bull zakończył obrady wardmote i odprawił jej członków gestem. Nie myślał teraz o królu. Jego uwagę zajmowała dużo przyjemniejsza sprawa. Wchodząc niedługo potem na wzgórze Cornhill, z lubością obracał ją w myślach.

Bocton. Już niedługo je odzyska.

Minęło sto lat od czasów, gdy Sas Leofric utracił majątek swoich przodków w Kencie na rzecz niejakiego St Malo, zwolennika Wilhelma Zdobywcy. I wydawało się, że stracił go na zawsze. Ale dwadzieścia lat wcześniej młody Jean de St Malo wyruszył na drugą krucjatę, zastawiwszy posiadłość, by zdobyć potrzebne na wyprawę środki. Krucjata okazała się katastrofą, rycerz powrócił do domu bez spodziewanych łupów i po kilku latach zmagań musiał w końcu się poddać. Bocton przeszło w ręce jego wierzyciela. A on poprosił rajcę o spotkanie, żeby zapoznać go z sytuacją.

Był niskim, schludnym, elegancko ubranym mężczyzną. Miał na sobie czarną jedwabną opończę i jarmułkę. Nazywał się Abraham.

„Dałem wam znać, gdy tylko zorientowałem się, że Bocton należało do waszej rodziny – oznajmił Abraham. – Ja i tak nie mogę tego majątku zatrzymać dla siebie”.

„I Bogu dzięki”, powiedział Bull z szerokim uśmiechem.

W Londynie było wielu lichwiarzy. Rozwijający się handel, transakcje na wielką skalę zawierane w rozległym imperium Plantagenetów, zamorskie krucjaty – na wszystko potrzebne były pieniądze. Pochodziły nie tylko od lichwiarzy z Normandii, Italii i Francji, ale też od zakonów rycerskich, od templariuszy, a w Anglii od społeczności żydowskiej. Wszyscy oni działali podobnie, z jednym wszakże wyjątkiem. Większość kredytodawców posiadała majątki ziemskie, templariusze specjalizowali się w ich zarządzaniu, lecz Żydom nie wolno było posiadać ziemi. Gdy więc żydowski bankier przejmował czyjeś włości, musiał je sprzedać.

Abraham wymienił cenę. Bull ją przyjął, ale zastrzegł, że będzie mógł zapłacić dopiero, gdy jego statek powróci z wyprawy handlowej.

„Bocton znów będzie nasze”, oświadczył żonie i dzieciom. To był jego największy sukces.

Obawiał się, czy statek wróci szczęśliwie do portu? Nie. Miał zaufanie do Abrahama, że ten zgodzi się poczekać? Całkowite. Jego słowo wiele ważyło. Czy coś go w tej transakcji niepokoiło? No cóż, w głębi ducha jedna uporczywa myśl nie dawała mu spokoju.

Nie powiedział o niczym swojej matce. Tym problemem zajmie się kiedy indziej.

Na Cornhill szedł w określonym celu. Dotarłszy na szczyt, spojrzał z góry na to, co tego ranka stanowiło dla niego drugi powód do radości.

Mały żaglowiec. Większość towarów wciąż przywozili zza morza cudzoziemscy kupcy, ale w poprzednim miesiącu Bull stał się posiadaczem statku, jednym z nielicznych w Londynie. Na wodach wciąż widywano smukłe łodzie wiosłowe należące do wikingów, lecz jego statek przypominał te z południa Europy, będące dziś w częstszym użyciu. Z szerokim kadłubem, o dużym zanurzeniu, napędzany siłą grotżagla, był mało zwinny i powolny, miał ster umocowany pod kątem do rufy, przez co manewrowano nim trochę jak rzeczną łódką z wiosłem sterowym. Ale kogi – bo tak nazywały się te statki – nie wymagały licznej załogi, dawały sobie radę przy każdej pogodzie i przewoziły ogromne ładunki.

We wnętrzu tego statku znajdowała się jedna trzecia majątku Bulla w postaci wełny wysyłanej do Flandrii. Gdy statek powróci z jedwabiem, przyprawami i innymi dobrami luksusowymi, Bull zarobi tyle, że będzie mógł zapewnić rodzinie taki status, jaki nie był im dany od czasów normandzkiego podboju.

Z jaką godnością niewielka koga mijała Tower! Bull wspiął się aż na sam szczyt Cornhill, żeby zobaczyć ten rozległy widok – lśniącą wstęgę Tamizy zmierzającej do ujścia. Statek znajdował się na początku prostego odcinka rzeki i z wolna zbliżał się do szerokiego zakrętu.

I wtedy wydarzyło się coś dziwnego. Statek się przechylił. Po chwili dziób skierował się ku południowemu brzegowi; koga zaczęła obracać się jak szalona, a potem, jakby uchwycona jakąś niewidzialną dłonią, stanęła.

Rajca Bull natychmiast zrozumiał, co się dzieje. Wydał z siebie okrzyk wściekłości, który usłyszano zapewne aż przy Wszystkich Świętych, a może nawet nad rzeką.

– Sieci! – wrzasnął. – Do diabła z królem!

Zbiegł ze wzgórza.

Ten obrazoburczy okrzyk wyrażał uczucia, które podzielali chyba wszyscy londyńscy rajcowie. Należne miastu prawa do połowu ryb już dawno temu zostały przekazane posiadaczom najważniejszych urzędów. Dziś dysponował nimi nie kto inny jak królewski sługa – konstabl londyńskiej Tower. Wody Tamizy obfitowały w ryby, więc prawa połowowe były cennym przywilejem, a udzielanie ich miało po prostu zapewnić konstablowi jak największe zyski. W rezultacie szerokie koryto rzeki przecinały sieci, groble, rozmaite pływające zapory, żaki i więcierze. Co miesiąc zdarzały się z tego powodu awarie statków. Zamożni kupcy nieustannie wnosili skargi do samego króla, ale w odpowiedzi otrzymywali jedynie mgliste obietnice, a sieci i groble pozostawały na miejscu.

Późnym popołudniem koga znalazła się z powrotem na przystani – miała złamany ster, a naprawa mogła potrwać co najmniej dzień. Jak się okazało, sieci należały do rudowłosego sprzedawcy ryb nazwiskiem Barnikel, którego Bull ledwo co znał i który zauważył nie bez racji:

– Przykro mi z powodu waszego statku, ale zapłaciłem konstablowi mnóstwo pieniędzy, żeby móc zastawiać tu sieci.

Trudno było z tym dyskutować.

Bull wiedział jedno. I tak jak jego przodkowie, dla których każda sytuacja była albo czarna, albo biała, dobra albo zła, nie miał najmniejszych wątpliwości. Został oszukany. Król i jego konstabl, lekceważąc władze miasta, stworzyli niesprawiedliwy system, który był niczym innym jak wymuszaniem haraczu. Bull stał samotnie na przystani i patrzył w stronę Tower.

– Ja ich jeszcze powstrzymam, przysięgam – powiedział półgłosem.

Wydawało się, że los już wystarczająco zepsuł najpiękniejszy dzień w życiu rajcy Bulla. On w każdym razie tak myślał, kiedy zmęczony wracał wieczorem do domu. Najwyraźniej nie docenił mocy Opatrzności.

Cała rodzina wyczekiwała go niecierpliwie na progu. Podejrzewał, że martwią się o statek, więc oznajmił im krótko, że ster będzie gotowy następnego dnia. Wtedy matka pokręciła lekko głową.

– Nie o to chodzi – powiedziała. – Tylko się nie złość, Sampsonie – dodała, widząc jego zaniepokojone spojrzenie.

– Co się stało?

– Chodzi o twojego brata.

Wszystko zaczęło się, gdy miał siedemnaście lat. Czyli przed dziesięciu laty. Teraz drżał, stojąc przed rozwścieczonym opatem.

– Łamiesz śluby! – zagrzmiał opat.

Trząsł się cały, ale nie zamierzał ulec.

Michael był człowiekiem uczciwym i prostodusznym. Trzy lata młodszy od Sampsona, bardzo różnił się od swojego brata. Wysoki i szczupły, z wygoloną tonsurą i szeroką saską twarzą, której rysy złagodziły modlitwa

i medytacja, był cichy i łagodny w obejściu. A mimo to wiedział, że się nie podda, choć miał przeciwko sobie cały klasztor.

Dlaczego został mnichem? Czy był to jedynie młodzieńczy bunt przeciwko ojcu, jego grubiaństwu i ciągłym rozmowom o pieniądzach? Nie do końca. Pod tym względem ojciec nie był gorszy od innych. Może Michaelem wstrząsnęła bezwzględność Sampsona, którego jako dziecko tak bardzo podziwiał? A może udzieliła mu się wiara i pobożność matki, która co dzień modliła się do Najświętszej Panny?

Nie. Popchnął go do tego wewnętrzny głos, narastające poczucie pustki otaczającego świata, potrzeba odrzucenia wulgarności i znalezienia czystej prostoty. I tak jak każdy pielgrzym pragnie dotknąć w kaplicy drzazgi z drzewa Świętego Krzyża, tak Michael pragnął czuć każdego dnia Bożą obecność. Wiedział jednak, że w normalnym świecie nie będzie to możliwe.

Michael nie był pod tym względem wyjątkiem. Kościół toczył spory z królami i zawierał z nimi różne kompromisy, a jednocześnie już od kilku pokoleń przez Europę przetaczała się fala religijnego przebudzenia. Od wybrzeży Morza Śródziemnego aż po wrzosowiska północnej Anglii powstawały proste wspólnoty religijne i owcze farmy zakładane przez potężne klasztory cysterskie, którymi kierował surowy mnich Bernard z Clairvaux. Wybuchła żarliwa miłość do Najświętszej Marii Panny. Drogi prowadzące do świętych miejsc wypełniały tłumy pielgrzymów. A przede wszystkim chrześcijański świat dał się porwać nawoływaniom do odebrania Ziemi Świętej Saracenom i od siedemdziesięciu lat angażował się w kolejne krucjaty.

To poruszenie obecne było również w Londynie. W mieście biły dzwony, a czas określano nie godzinami, ale porami odprawiania klasztornych nabożeństw. Wokół miasta powstawały nowe kościoły. Nad Tamizą, w pobliżu Aldwych, zakon templariuszy budował swoją wielką

siedzibę, którą już teraz nazywano świątynią – Temple. Obok opactwa westminsterskiego stanął szpital pod wezwaniem Świętego Jakuba. Rozkwit pobożności był tak wielki, że ponad jedna piąta ludności Londynu należała do zakonów lub zgromadzeń religijnych.

Kiedy więc Michael oznajmił, że chce zostać mnichem, ojciec był zawiedziony, ale nie zaskoczony. A gdy po kilku miesiącach zauważył, że jego syn trwa w swoim postanowieniu, znalazł mu miejsce wśród mnisiej arystokracji: u benedyktynów w Westminsterze. Oczywiście ofiarował im za to sowity datek. „Tuż obok jest królewski pałac. A wielu mnichów zaszło naprawdę wysoko”, zauważył przy okazji z nadzieją. Tak oto Michael przeżył w opactwie westminsterskim, wśród mnichów w czarnych habitach, dziesięć szczęśliwych lat.

Kochał szary Westminster z jego wielką salą, kochał tę szczególną atmosferę wynikającą z bliskości klasztornych krużganków, królewskiej kaplicy i królewskiej administracji. Lubił wędrować po okolicznych łąkach i patrzeć na płynącą Tamizę. Żył w ciszy i spokoju, a jednocześnie w samym centrum najważniejszych wydarzeń.

Był szczęśliwy, gdy złożył śluby zakonne. „Te trzy śluby – tłumaczył mu stary mnich – już na resztę życia będą twoimi towarzyszami na drodze do Boga. Pierwszym jest ubóstwo. Dlaczego ślubujemy ubóstwo?”

„Bo nasz Pan powiedział: »Tam skarb twój, gdzie serce twoje«. I powiedział też: »Sprzedaj, co posiadasz, i chodź ze mną«”.

„Właśnie. Nie da się jednocześnie kochać Boga i dóbr doczesnych. A ślub czystości?”

„Kto podąża za tym, co cielesne, zaniedbuje duszę”.

„Ślub posłuszeństwa?”

„Żebym zrezygnował ze swojej dumy i pragnień”.

„I żeby prowadzili cię mądrzejsi od ciebie. Potrzebujesz na swojej drodze przewodnika. – I starzec przypomniał mu, że w świecie chrześcijańskim takie śluby składają wszyscy mnisi. – Śluby są jak najlepsi przyjaciele. Jeśli dochowasz im wierności, będą cię chronić”.

Brat Michael uczciwie przestrzegał ślubów. Cenił je ponad wszystko na świecie. Wprawdzie widział czasem, że nie wszyscy mnisi w Westminsterze zachowują czystość, nie wszyscy są posłuszni, a nawet ubodzy, ale kładł to na karb zwykłej ludzkiej ułomności i tym bardziej modlił się za nich i za siebie.

Jakże był szczęśliwy, gdy rok po jego wstąpieniu do zakonu papież, zapoznawszy się z przygotowanym przez opactwo *Żywotem Edwarda Wyznawcy* i innymi dokumentami, wysłuchał w końcu próśb mnichów i kanonizował króla. Michael kochał księgi, więc gdy przydzielono go do innych pisarzy kopiujących manuskrypty, bardzo się ucieszył. A że był lojalnym mnichem, radował go rosnący prestiż opactwa. „Jesteśmy starsi niż katedra Świętego Pawła – zapewniali go braciszkowie. – Sam święty Piotr przybył do Brytanii i założył tu klasztor”. Czuł wielkie religijne wzruszenie na myśl, że stoi na ziemi poświęconej jeszcze w czasach apostołów.

Ale w miarę upływu czasu coraz więcej go niepokoiło.

Czy opactwo, wchodząc w posiadanie coraz rozleglejszych włości, nie bogaciło się zanadto? Czy mnisi nie żyli zbyt wygodnie? Co się stało ze ślubem ubóstwa? Czy skrybowie, pokazując mu z dumą dokumenty z kolejnymi nadaniami dla opactwa, nie przypisywali im nadmiernego znaczenia?

Latami odsuwał te wątpliwości od siebie. Życie w Westminsterze było takie przyjemne. Po co je kwestionować? Ale dwa miesiące wcześniej miało miejsce dziwne zdarzenie.

Od wielu lat pracował w skryptorium, kopiując manuskrypty. Okazało się nawet, że ma ładne pismo. Ale przechowywaniem klasztornych dokumentów zajmowali się skrybowie wyżsi rangą. Dlatego Michael poczuł się zaszczycony, gdy któregoś ranka jeden z nich poprosił go o pomoc. Trzymał w ręku kartę praw, która – co Michael od razu zauważył – pochodziła od jednego z saskich królów.

„Co mam zrobić?", zapytał. Odpowiedź wielce go zdumiała.

„Masz ją postarzyć – polecił mnich spokojnie. – No wiesz, trochę piasku, oliwy i solanki. – Uśmiechnął się. – Od razu będzie stara".

I wtedy brat Michael zrozumiał.

W ciągu najbliższego miesiąca przejrzał prawie wszystkie karty praw i nadań przechowywane w opactwie. Chciał się jak najwięcej dowiedzieć, zadawał więc naiwne pytania i spędzał wiele godzin w maleńkiej pracowni. Wreszcie udał się do samego opata i oświadczył z największą powagą:

„Odkryłem, że co najmniej połowa dokumentów w opactwie to fałszerstwa".

Nigdy w życiu miał nie zapomnieć tego, co się stało potem.

Opat wybuchnął śmiechem.

Tak naprawdę sprawy miały się znacznie gorzej, niż Michael przypuszczał. Wspaniały *Żywot Edwarda Wyznawcy* był niemal w całości wymyślony. I nie istniały najmniejsze dowody na to, że opactwo jest starsze od katedry Świętego Pawła. Ale prokurowanie ich musiało być zgodne z wolą Bożą.

Dlatego mnisi sfałszowali dokumenty. Nieustannie pojawiały się nowe akta. Podobne praktyki – zwłaszcza w klasztorach benedyktynów – były w owych czasach na porządku dziennym, ale mnisi z opactwa westminsterskiego stali się w tym procederze prawdziwymi mistrzami. Nadania ziemskie, królewskie rozporządzenia o zwolnieniach z podatków, nawet bulle papieskie – niektóre były podrobione tak doskonale, że

oszustwa wychodziły na jaw dopiero po wielu stuleciach. A wszystkie potwierdzały przywileje opactwa i jego niewiarygodnie stary rodowód.

Kilka dni po pierwszej rozmowie z opatem ten sam mnich znów poprosił Michaela o pomoc. Ale tym razem Michael odmówił.

W ciągu kolejnych tygodni jego życie w klasztorze stało się nie do zniesienia. Nieustannie przypominano mu o ślubach posłuszeństwa i lojalności. A on modlił się o wskazówkę. Lecz wciąż dręczyły go wątpliwości.

Przecież te wszystkie dokumenty mają powiększać przywileje i majątek opactwa, tłumaczył sobie w myślach. Jak to się ma do ślubów ubóstwa? A ja, czy mogę być posłuszny nakazom, które kłócą się z moim sumieniem? Wszyscy wiedzieli, że stracił łaskawość zwierzchników. Dlatego pozostało mu tylko jedno wyjście. Jeszcze raz stawił się przed obliczem opata.

– Odchodzę – powiedział spokojnie.

– Pycha przez ciebie przemawia – zagrzmiał opat. – Kim jesteś, żeby nam się sprzeciwiać? – A potem, jakby kierowała nim jedynie dobra wola, zaczął tłumaczyć z rozsądkiem: – Nie pojmujesz? Robimy to wszystko na Bożą chwałę. Pisząc historie żywotów świętych, chcemy nie tylko powiedzieć ludziom, co się wydarzyło, ale także wydobyć i pokazać Boski plan, żeby lepiej go zrozumieli. A zatem jeśli wolą Boga jest, by prawa opactwa i jego pochodzenie były szeroko znane, to naszym obowiązkiem jest dostarczenie dowodów, aby grzesznicy mogli przyjąć prawdę”.

Ale Michael nie umiał się z tym zgodzić. Przesądził pragmatyzm i zdrowy rozsądek jego saskich przodków. Albo coś jest starym dokumentem, albo nie. Albo ktoś mówi prawdę, albo kłamie.

– Przykro mi, ale chcę opuścić klasztor – powtórzył.

– A dokąd pójdziesz?

Brat Michael opuścił głowę. Już wcześniej o tym pomyślał. Wyjawił swoje zamiary, a wtedy opat, który miał duże doświadczenie życiowe, spojrzał na niego ze zdziwieniem.

– Chyba postradałeś zmysły – oświadczył.

Tłum ucichł. Pora była jeszcze wczesna. Dzwony z pobliskiego klasztoru właśnie skończyły bić na tercję. Na znak strażnika Henry Le Blond z ociąganiem zsunął z ramion opończę i zrobił krok do przodu. Drżał, mimo że był ciepły letni poranek.

Ukryty w tłumie Pentecost Silversleeves przyglądał się temu z przerażeniem.

Stali na otwartym polu leżącym tuż za północno-zachodnim narożnikiem miejskich murów. Błotniste podłoże wyschło w słońcu na popiół, przez co miejsce wyglądało jak wielki plac apelowy. Od zachodniej strony teren opadał ku wąwozowi, w którym płynął strumień Holborn nazywany dzisiaj Fleet. Pośrodku rosło kilka wiązów, a przed nimi znajdowała się sadzawka dla koni.

Było to Smithfield. W soboty odbywały się tutaj końskie targi, czasem przy wiązach wieszano skazańców. Obok sadzawki, wokół której zgromadził się czterystuosobowy tłum, toczył się jakiś ważny przewód sądowy.

Poza nagim mężczyzną z przepaską na biodrach nad brzegiem sadzawki stało dwóch innych młodzieńców, dwóch strażników, kilkunastu rajców, szeryf oraz justycjariusz Anglii we własnej osobie.

Pewien mistrz rzemieślniczy został zaatakowany w swoim domu, jednego z jego uczniów zabito. Sprawcy byli znani, każdy z nich bowiem, licząc na złagodzenie wyroku, oskarżał pozostałych. Do zbrodni doszło w dniu koronacji, co tak rozzłościło króla, że kazał swojemu

przedstawicielowi osobiście zająć się sprawą. „Wyrok ma zapaść w ciągu trzech dni”, nakazał.

Justycjariusz skinął głową, a wtedy strażnicy związali mężczyźnie ręce i nogi. Następnie, chwyciwszy za kostki i ramiona, podnieśli go i zaczęli nim kołysać.

– Raz! – ryknął tłum. – Dwa! Trzy!

Ciało Le Blonda zakreśliło w powietrzu łuk i z pluskiem wpadło do wody. Tłum umilkł nagle, patrząc wyczekująco.

Henry Le Blond przechodził próbę wody.

W Anglii było kilka rodzajów procesów sądowych. W sprawach cywilnych ludzie wolni mogli dochodzić swoich praw przed bezstronnymi sędziami przysięgłymi, ale w przypadku poważnych przestępstw – takich jak zabójstwo czy gwałt – za które groziła nawet kara śmierci, uważano, że rozstrzygnięcie o winie nie może zależeć od ułomnych ludzkich ocen. I mimo że wielu duchownych nie pochwalało takich metod, sprawiedliwość – tak jak przed wiekami – oddawano w boskie ręce. Gdy oskarżoną była kobieta, musiała wziąć w dłonie rozżarzone żelazo. Potem sędziowie sprawdzali, czy oparzenia goją się, czy ropieją od wyrzutów sumienia. Wobec mężczyzn stosowano dużo szybszą próbę wody. Była ona bardzo prosta. Gdyby Le Blond utrzymał się na powierzchni, oznaczałoby to, że jest winien.

Przejście przez taką próbę nie było łatwe. Zatonięcie dowodziło niewinności. Żeby opaść na dno, poddany próbie nieszczęśnik musiał wypuścić z płuc całe powietrze. A wtedy jego życie zależało od tego, czy zostanie w porę wyciągnięty na powierzchnię. Większość podejrzanych z przestrachu instynktownie brała głęboki wdech i utrzymywała się na wodzie. Tłum czekał w ciszy. A potem wydał z siebie ryk.

Henry Le Blond pływał na powierzchni.

„To powinien być on. Powinien być teraz z Le Blondem i dwoma innymi. Dobry Boże!”

Ale Pentecost Silversleeves był wolny z prostego powodu: miał święcenia.

Spośród wszystkich przywilejów należnych osobom duchownym najbardziej korzystne było prawo do procesu przed sądem kościelnym, i to bez względu na rangę podejrzanego i powagę przestępstwa. System ten stwarzał okazję do wielu nadużyć i właśnie ta kwestia była powodem ostrego sporu między Henrykiem II a jego byłym przyjacielem Becketem.

„Sądy kościelne albo uniewinniają swoich, albo wymierzają im byle pokutę, to wszystko. Bronicie w ten sposób najgorszych łotrów!”, wykrzykiwał ze złością król.

„Przywileje Kościoła są święte – odpowiadał Becket. – To kwestia zasad”.

Owszem, winni największych zbrodni mieli być pozbawiani święceń i przekazywani sądom królewskim. „Ale ty nawet temu się sprzeciwiasz – argumentował król. – To oburzające”. Wielu rozumnych członków Kościoła przyznawało mu rację. Mimo to Becket nie chciał ustąpić, wolał pozostawać na wygnaniu i kwestia ta wciąż nie mogła doczekać się rozwiązania.

Proces Pentecosta Silversleevesa miał miejsce poprzedniego dnia. Pospiesznie zwołane posiedzenie odbyło się w siedzibie biskupa Londynu przy katedrze Świętego Pawła. Była to przygnębiająca procedura.

Gilbert Foliot, biskup Londynu, był arystokratą. Jedwabne szaty, wychudła, pożółkła twarz przypominająca naciągnięty na czaszkę stary pergamin. Dłonie szczupłe niczym szpony. Szkoda mu było czasu na zajmowanie się zarówno oskarżonymi o przestępstwa klerykami, jak i Becketem, którego uważał za prostackiego głupca. Skierował swój

jastrzębi wzrok na długonosego, trzęsącego się skrybę. Czuł do niego pogardę. „Powinienem cię przekazać królowi. Zasługujesz na wyrok śmierci”, zauważył oschle. Ale tak naprawdę nie mógł tego zrobić.

W sądach kościelnych wciąż obowiązywała stara zasada składania zeznań pod przysięgą. Jeśli oskarżony kleryk twierdził, że jest niewinny, i przedstawił na to godnych szacunku świadków, nie można było go skazać. Mimo że wszyscy pozostali sprawcy, poddani znacznie surowszemu królewskiemu wymiarowi sprawiedliwości, potwierdzili winę Pentecosta, rodzina Silversleevesów przywołała dwóch księży, archidiakona i trzech rajców – wszyscy mieli u kupców dług wdzięczności albo po prostu zostali zaszantażowani – którzy zeznali pod przysięgą, że Pentecost nie mógł się znajdować na miejscu zbrodni.

„Nie pozostaje mi więc nic innego – oznajmił Foliot, patrząc z pogardą na Silversleevesa i jego świadków – jak uznać twoją niewinność. Nie mogę cię przekazać królewskiemu sądowi. Pozwolę sobie jednak zachować własny pogląd na tę kwestię – dorzucił z chłodną groźbą w głosie. – I zapowiadam: ani ty, ani żaden z twoich kłamliwych świadków nie może się spodziewać żadnego awansu w tej diecezji”. Odprawił ich gestem.

Dwaj pozostali też wypłynęli na powierzchnię. A zatem wszyscy byli winni. Z rozkazu króla egzekucja miała być wykonana natychmiast. Silversleeves zadrżał.

Dostrzegł przysadzistą postać z pasmem białych włosów. Mężczyzna znajdował się zaledwie dziesięć metrów od niego i właśnie się odwrócił. Silversleeves pochylił się, ale człowiek z jasnym kosmykiem zauważył go i po chwili przepchnął się już przez tłum. Ucieczka była bezsensowna. Silversleeves zamarł.

Płatnerz Simon był przywiązany do rodzinnej tradycji. Mieszkał w domu pradziada i pracował w tym samym rzemiośle. Posiadał kilka kawałków

ziemi w wiosce pod Windsorem, za które płacił czynsz. I był dumny ze swoich umiejętności, które dały mu tytuł mistrza płatnerskiego.

Daleko mu jednak było do bogatych kupców, rajców, którzy władali rozwijającym się miastem. „Oni nie brudzą sobie rąk ciężką pracą tak jak my – mawiał. – Nawet nie dotykają swoich towarów. A połowa ich dzieci uważa, że praca jest poniżej ich godności. Biorą siebie za szlachetnie urodzonych. – Po tych słowach zazwyczaj spluwał. – Ale nimi nie są. To zwykli kupcy, w niczym nie lepsi ode mnie”.

Napaść młodych bandziorów i zabójstwo jego ulubionego ucznia wstrząsnęły nim do głębi. Lecz oprócz żalu czuł też wściekłość, bo ten występek był dowodem na pogardę wobec ludzi takich jak on. „Oni nie są czymś lepszym od nas – pieklił się. – To zwykli złoczyńcy”. Zamierzał im to udowodnić – sprawiedliwości musiało stać się zadość. Przybył do Smithfield, żeby się zemścić.

Patrząc na skazanych i wiedząc, co ich czeka, poczuł jednak wyrzuty sumienia.

– Uczynili rzecz straszną – mruknął do siebie. – Ale mimo wszystko to biedacy.

Potem zobaczył Silversleevesa.

Nie spieszył się, nie robił zamieszania. Powoli przesuwał się w ciżbie, aż w końcu stanął tak blisko długonosego młodzieńca, że niemal otarł się brodą o jego ucho.

– Jesteś zwyczajną gnidą. I dobrze o tym wiesz – szepnął. – Masz na sumieniu morderstwo tak jak oni. Ale jesteś jeszcze gorszy. Bo oni zginą, a ty nie, judaszu. Podły tchórz z ciebie.

Silversleeves zesztywniał.

– Gnida – szepnął Simon i odszedł.

Pentecost został, żeby zobaczyć egzekucję. Jak zahipnotyzowany patrzył z przerażeniem na trzech skazańców. Poprowadzono ich nagich ku wiązom, gdzie z najwyższych gałęzi zwisały już sznury. Widział, jak zakładają im pętle na szyje, jak wśród wrzasków tłumu kat pociąga liny, jak zrozpaczone twarze jego przyjaciół wykrzywiają się w potwornym grymasie i czerwienieją, a potem robią się sine, jak postacie drgają konwulsyjnie, jak któraś z opasek biodrowych żałośnie spada na ziemię. Wreszcie trzy ciała zawisły bezwładnie, obracając się powoli na słabym wietrze.

Godzinę później Pentecost wszedł do sali. Sędziowie trybunału skarbowego wciąż mieli pełne ręce roboty. Zazwyczaj o tej porze roku wielkanocna sesja była już zamknięta, ale z powodu koronacji księcia pozostało jeszcze dużo do zrobienia. Pentecost z ulgą wrócił do swoich obowiązków, byle tylko odciągnąć myśli od egzekucji.

Było tu cicho i tak normalnie. Skrybowie pochyleni nad pulpitami, lekki gwar rozmów i stukot pionków przy dużym stole. Dopiero po chwili zorientował się, że cisza jest jednak nienaturalna. Skrybowie starannie go ignorowali. Spojrzał na dworzan przy drzwiach – oni też najwyraźniej czuli się niezręcznie. Wiedział, co to oznacza: skrępowanie wynikające z obecności wyrzutka. Próbował nie zwracać na to uwagi, ale nie wytrzymał i po chwili wyszedł. Z opuszczoną głową krążył wokół Pałacu Westminsterskiego, starając się uporać z obrazami tłoczącymi się w umyśle.

Rodzice dowiedzieli się o wszystkim… Matka, wysoka, blada, wstrząśnięta, niezdolna pojąć, jak jej syn mógł się dopuścić takiego czynu. Ojciec, przerażający w milczącej złości, ale niezwykle skuteczny, gdy przyszło do oczyszczenia syna z zarzutów. Proces. Wzrok biskupa. Zwłoki obracające się na wietrze. Cisza w wielkiej sali, gdzie zbierał się Exchequer.

Jego kariera duchowna była skończona, przynajmniej dopóki żył Foliot. Ale Exchequer? Tu też nie ma czego szukać? I to tylko z powodu jednego młodzieńczego nierozważnego czynu? Za wcześnie, by znać odpowiedź na te pytania.

– Może wszystko jakoś się ułoży – mruknął.

Skręcił w szeroki korytarz i zobaczył dwóch malarzy przy pracy.

Ściany wielu komnat wokół Westminster Hall pokrywano obecnie malowidłami. Na tej akurat widniały pouczające sceny z życia królów i proroków ze Starego Testamentu. Pośrodku znajdowało się niedokończone koło.

Łatwo było zgadnąć, że dwaj malarze to ojciec i syn. Obaj byli niscy, o pałąkowatych nogach, mieli grube palce, duże okrągłe głowy i poważne spojrzenie. Patrzyli na niego spokojnie, gdy zatrzymał się, żeby podziwiać ich dzieło.

– Co to za koło? – zapytał.

– To koło fortuny, panie – odparł ojciec.

– A cóż ono oznacza?

– Dobre pytanie. Znaczy tyle, że człowiek może wspiąć się na szczyty, a potem równie szybko spaść na dno. Albo na odwrót. Życie jest jak to koło, nieustannie się obraca. To nas uczy pokory, panie. Bo nawet jeśli zostaliśmy wyniesieni, to los może nas strącić na dół.

Silversleeves pokiwał głową. Każdy wykształcony człowiek wiedział, czym jest koło fortuny. Rzymski filozof Boecjusz, bardzo poważany w ówczesnym szkolnictwie, wtrącony do więzienia w wyniku politycznej klęski, zalecał stoicką postawę wobec odmian losu; to on porównał ludzką dolę do nieustannie obracającego się koła. Jego poglądy stały się tak popularne, że nawet prości ludzie, którzy nie znali jego imienia, wiedzieli, czym jest koło fortuny. Pentecost uśmiechnął się pod nosem. Cóż za trafne

porównanie. On też musi podejść z filozoficznym spokojem do tego, co go spotkało. Znalazł się na dnie, ale koło niedługo się obróci. Ruszył dalej.

Chwilę później wszedł do Westminster Hall. Zatrzymał się, widząc zbliżającą się grupę mężczyzn. Było ich sześciu, bogato odzianych. Szli szybko, próbując dotrzymać kroku idącemu pośrodku. Silversleeves rozpoznał go. Wstrzymał oddech i skrył się za filarem.

Król Henryk II, w odróżnieniu od swoich dworzan, był ubrany skromnie, w zielone rajtuzy i zielony bezrękawnik, jak zwykły myśliwy. Średniego wzrostu, mocnej budowy, pewnie łatwo by się roztył, gdyby nie jego niespożyta energia. Tego dnia też był pełen werwy i jak zawsze nic nie uchodziło jego uwadze.

Być może gdyby Pentecost nie próbował skryć się za kolumną, nic by się nie wydarzyło. Przywierając do szarego normandzkiego kamienia, usłyszał surowy głos:

– Przyprowadzić mi tego człowieka!

Król Henryk nie lubił, gdy ktoś się przed nim chował.

Po chwili Pentecost stanął przed jego obliczem.

Pracował w Pałacu Westminsterskim już od jakiegoś czasu, ale nigdy nie widział monarchy z bliska. Henryk Plantagenet władał nie tylko Anglią, a nawet gdy był na wyspie, zawsze podróżował do różnych miejsc, chętnie polując po drodze.

Piegowata twarz. Krótko przycięte, przyprószone siwizną rude włosy. Dobry Boże, przecież to prawnuk samego Zdobywcy! Dłonie nerwowo obracające kawałek sznura. Dłonie wybuchowego Plantageneta. Przerażające połączenie. Świdrujące szare oczy.

– Kim jesteś?

– Skrybą, panie.

– Dlaczego się chowasz?

– Nie chowam się. – Głupie kłamstwo.

– Nie powiedziałeś, jak ci na imię.

– Pentecost, panie.

– Jaki Pentecost? Skąd?

Dość uników.

– Silversleeves, panie.

– Silversleeves. – Henryk Plantagenet zmarszczył brwi, szukając w pamięci. Przypomniał sobie. – Silversleeves. Nie jesteś jednym z tych łotrów, którzy napadli mojego płatnerza?

Pentecost zbladł pod lodowatym spojrzeniem króla.

– Czemu cię dziś nie powieszono? – Henryk zwrócił się do dworzan. – Wykonano egzekucję?

Skinęli głowami.

– Dlaczego ten nie trafił na stryczek? – mówił dalej. – No, dlaczego nie zawisłeś z innymi?

– Jestem niewinny, panie.

– A kto tak powiedział?

– Biskup Londynu.

Król Henryk milczał przez chwilę. A potem tuż pod jego lewym uchem pojawił się rumieniec, który szybko rozlał się na całą twarz. Z nosa wydobył się dźwięk przypominający parsknięcie. Silversleeves zauważył, że dworzanie zaczynają się cofać.

– Kleryk przestępca – syknął król. Łajdak, który umknął sprawiedliwości, chroniąc się pod skrzydłami Kościoła. To był konflikt, który zatruł jego przyjaźń z Becketem. I ten kleryk przestępca czai się w jego własnym pałacu? Król znowu prychnął.

Po chwili Silversleeves miał wątpliwą przyjemność zobaczyć na własne oczy coś, z czego słynęła królewska rodzina: wybuch wściekłości

Plantageneta.

– Wąż! – Czerwona twarz Henryka pociemniała jeszcze bardziej, przybierając kolor ochry, wyglądała jak cudem ożywiona drewniana rzeźba z któregoś z królewskich grobowców. Nabiegłe krwią oczy rzucały ogniste błyski. Władca przysunął się do Pentecosta tak blisko, że niemal go dotykał, i zaczął mówić po francusku, lekko przez nos, a jego chrapliwy szept narastał do wściekłego wrzasku.

– Ty długonosy skurwysynu! Ty kłamliwy, niedopieczony księżulku! Myślisz, że unikniesz szubienicy? – Coraz bardziej podnosił głos. – Myślisz, że oszukasz króla, ty nadęta ropucho? Tak myślisz? – Spojrzał mu prosto w oczy. – No, odpowiadaj!

– Nie, panie.

– To dobrze! – Teraz już krzyczał. – Bo nie unikniesz kary. Przysięgam ci na rany Chrystusa! Już ja dopilnuję, żeby twój proces odbył się ponownie. I żaden Kościół ci nie pomoże. Będziesz wisiał, aż zgnijesz. Rozumiesz? – W Henryku kipiała cała wściekłość Plantagenetów. – Posmakujesz mojej sprawiedliwości, ty worku gnoju! Przekonasz się, jak pachnie śmierć! – Te ostatnie słowa nie były już krzykiem, ale wydobywającym się z trzewi wrzaskiem, odbijającym się echem od ścian Westminster Hall.

Pentecost Silversleeves odwrócił się i umknął. Nie panował nad sobą. Pędził przez Westminster Hall, mijając Trybunał Spraw Pospolitych i Trybunał Ławy Królewskiej [13], i przez żebrowane drzwi wypadł na dziedziniec. Uciekał dalej, zostawiając za sobą opactwo; przebiegł po śluzie na drugą stronę Tyburn, brzegiem Tamizy dotarł do Aldwych, ale nie zatrzymał się tam, minął Temple, wspiął się na wzgórze Ludgate, aż w końcu schronił się w kościele St Mary-le-Bow. Siedział tam rozdygotany przez ponad godzinę.

Było ciepłe późnowrześniowe popołudnie. Na ławce przed budynkami zajmującymi wschodnią część Smithfield siedzieli mężczyzna z kobietą. Czekali. Mężczyzna miał na sobie szary habit. Był to brat Michael.

Kobieta miała urodę wiecznie młodej dwudziestodwulatki. Była niska i krępa; jej wiecznie zmarszczone brwi wyrażały życzliwą determinację; lewe oko patrzyło z lekkim łobuzerskim zezem; jedynie rude, zaczesane do tyłu włosy pozwalały przypuszczać, że pochodzi z rodziny Barnikelów. Za jej determinacją kryła się jednak lekka niepewność. „Muszę się dobrze zastanowić – mawiała często. – Bo jeśli nie, to wszystko mi się pomyli". Ale to nie pozbawiało jej innej wyraźnej cechy charakteru: miała swoje zdanie i umiała się go trzymać. Ona też nosiła szary habit. Na imię jej było Mabel.

Budynki z tyłu były stosunkowo nowe. Niecałe pięćdziesiąt lat wcześniej pewien dworzanin i światowiec, kochany przez króla za inteligencję i dowcip, ni z tego, ni z owego doświadczył wizji, po której zrezygnował ze spraw doczesnych, ufundował klasztor i szpital pod wezwaniem Świętego Bartłomieja. Klasztor był duży i bogaty, szpital zaś skromny.

Siostra Mabel i brat Michael pracowali w szpitalu.

– Może on jednak nie przyjdzie – odezwała się. Nie bała się o siebie, ale o Michaela. „Uważaj – ostrzegała go życzliwie. – On ma czarne serce. Wrota piekieł już były dla niego otwarte, czarty go tam wciągną". Zdaniem Mabel człowiek, na którego czekali, był największym łotrem w Londynie. A oni mieli ocalić jego duszę.

– Przyjdzie – powiedział Michael łagodnie. Uśmiechnął się. – Matka go zmusi. Nie boję się, bo wiem, że mnie ochronisz – dorzucił, widząc jej niespokojne spojrzenie.

Mabel Barnikel była siostrą handlarza ryb, którego sieci uszkodziły statek rajcy Bulla. Ludzie często się z niej śmiali, nie traktując jej poważnie. Mabel była skromna i cicha.

Już od najmłodszych lat uważnie słuchała każdego, kto wydał jej się mądry, próbując pojąć dziwny świat wokół. A gdy w końcu dobrze coś zrozumiała, trzymała się tego z uporem rozbitka, który trafia na tratwę pośrodku wzburzonego morza.

Gdy miała trzynaście lat, w okresie dojrzewania, dowiedziała się, że grozi jej ogień piekielny. Powód był prosty. Taka się urodziła.

„Nieszczęście tkwi w tym – mawiała rzeczowo – że jestem kobietą”.

To proboszcz ją przekonał. Przy okazji kazania o Adamie i Ewie wygłosił pod adresem kobiet surowe ostrzeżenie: „Niewiasty, jeśli chcecie ocalić swoje dusze, pamiętajcie o Ewie. Kobiety ze swojej natury są płoche, mają grzeszne ciała i skłaniają się ku grzechom śmiertelnym. To im piekło zagraża szczególnie”.

Mabel szanowała siwowłosego kapłana. Kazanie zaniepokoiło ją, więc gdy spotkała go następnym razem, poprosiła o dokładniejsze wyjaśnienia. „Ojcze, dlaczego kobiety są bardziej skłonne do grzechu?”

Starzec uśmiechnął się łagodnie. „Taka już jest ich natura, dziecko. Bóg uczynił je słabszą płcią. – To stare przekonanie wywodziło się od samego świętego Pawła. – Mężczyzna został stworzony na podobieństwo Boże, moje dziecko. Nasienie mężczyzny przekazuje to doskonałe podobieństwo. Kobieta jest jedynie naczyniem, w którym owo nasienie dojrzewa, dlatego stoi niżej od mężczyzny. Oczywiście może zasłużyć na niebo, ale ponieważ jest gorsza, ma przed sobą trudniejszą drogę”.

Mabel zastanawiała się nad tym przez kilka dni. Parę kwestii wciąż nie dawało jej spokoju, więc jeszcze raz zwróciła się do dobrodusznego księdza, przepraszając za swoje pomieszanie: „Jeśli nasienie mężczyzny

niesie doskonałe Boże podobieństwo, to jak to się dzieje, że rodzą się zarówno kobiety, jak i mężczyźni?”.

Ksiądz wcale się nie rozgniewał, tylko łagodnie położył jej rękę na głowie. „Bardzo dobre pytanie. Otóż część nasienia jest wybrakowana. Ale, i to jest największy cud Boskiego stworzenia, takie naczynia są konieczne, żeby rodzaj ludzki mógł przetrwać. To wszystko?”

„Zastanawiałam się też, ojcze – ciągnęła z pokorą – jak to się dzieje, że wiele dzieci jest podobnych do matki, choć pochodzą tylko z nasienia ojca?”

Z ulgą zauważyła, że ksiądz uśmiecha się promiennie. „Zaprawdę, Boska Opatrzność jest niezwykła. Myślisz, moje dziecko, jak lekarz. Na twoje pytanie nie ma ostatecznej odpowiedzi, ale wielki filozof Arystoteles – uśmiechnął się, bo te słowa były dowodem jego uczoności – twierdził, że gdy nasienie rozwija się w łonie kobiety, nienarodzone dziecko pije płyny matki. Więc należy rozumieć, że w tym kryje się przyczyna”.

„Ostatnie pytanie, ojcze – powiedziała potulnie. – Skoro kobietom tak trudno osiągnąć zbawienie, to co powinnam zrobić?”

Ksiądz zmarszczył brwi, nie dlatego jednak, że był poirytowany, ale dlatego, że nie znał odpowiedzi.

„Trudno powiedzieć – zawyrokował w końcu. – Módl się szczerze. I we wszystkim bądź posłuszna mężowi. – Umilkł na chwilę. – Niektórzy mówią, moje dziecko, że tylko dziewicom będzie łatwo dostać się do nieba. Ale to nie jest droga dla wszystkich”.

Z tej życzliwej rozmowy Mabel zrozumiała trzy rzeczy: że kobiety są gorsze, że nadawałaby się na lekarza i że dziewictwo jest najprostszą drogą do nieba. Większość jej współczesnych zgodziłaby się bez wahania z pierwszym i ostatnim stwierdzeniem.

Nic więc dziwnego, że kilka lat później, nie mogąc znaleźć męża, zgodnie ze swoją szczerą naturą zapragnęła pójść do klasztoru. Natknęła się jednak na przeszkodę, która wydawała się nie do przezwyciężenia. „Nasza rodzina to zwykli sprzedawcy ryb”.

Po latach chwały w czasach wikingów rodzina Barnikelów stopniowo biedniała, co było nieuniknione. Po normandzkim podboju osiadłe w Londynie stare duńskie rody straciły swoją pozycję, wypierane przez kupców napływających z Normandii i portów hanzeatyckich. Teraz Barnikel z Billingsgate był handlarzem ryb. Nie sprzedawał na ulicy, chociaż miał stragan, ale handlował rybami i innymi towarami wysyłanymi za morza. Był człowiekiem bogatym i poważanym, choć zdarzały mu się napady gniewu, ale podobnie jak inni handlarze ryb zajmował na drabinie społecznej taką samą pozycję jak bogatsi rzemieślnicy, czyli znacznie niższą niż kupcy prowadzący handel hurtowy – Bull czy Silversleeves.

Czemu jednak stanowiło to przeszkodę? W owych czasach wśród dorosłych mieszkańców kraju było dużo więcej kobiet niż mężczyzn. A w pokoleniu Mabel różnica ta zwiększyła się jeszcze bardziej, głównie z powodu znacznej liczby mężczyzn wstępujących do klasztorów i wybierających – przynajmniej w teorii – życie w celibacie. Można by zatem przypuszczać, że kobiety będą tak samo licznie wdziewać zakonne szaty.

Tak się jednak nie działo. Owszem, istniały duże klasztory żeńskie, ale było ich niewiele i wymagały dużego wiana, przez co dostęp do nich miały jedynie szlachcianki i krewne bogatych kupców. Kościół katolicki wychwalał pojedyncze bogobojne damy, ale widząc w kobietach wyłącznie „gorsze naczynia”, nie był zainteresowany rozwojem żeńskich zakonów. A w domach prostych kupców i rzemieślników każda para kobiecych rąk do pracy była bardzo cenna.

Dlatego Mabel, z powodu niskiego urodzenia, trudno było służyć Bogu.

Była jednak uparta. Usłyszała o klasztorze, w którym przyjmowano świeckie siostry do wykonywania poślednich prac. Niektóre zakony rycerskie przyjmowały nawet zakonnice do opieki nad chorymi i rannymi. W końcu znaleziono dla niej miejsce w szpitalu należącym do bogatego klasztoru Świętego Bartłomieja. Nie musiała wnosić żadnej opłaty wstępnej.

Była tu szczęśliwa. Lubiła zajmować się chorymi. Znała wszystkie zioła lecznicze – te skuteczne i nieskuteczne – których używano w szpitalu, i ciągle rozglądała się za nowymi. Trzymała w spiżarni cenne słoiczki, flasze i skrzyneczki. „Mniszek jest na oczyszczenie krwi – tłumaczyła. – Rzeżucha na łysienie, krzyżownica na gorączkę, lilia wodna na dyzenterię". Od bogatych kanoników regularnie odwiedzających klasztor przynosiła najcięższej chorym święconą wodę, pomagała inwalidom w mozolnej wędrówce przez całe miasto, byle tylko mogli dotknąć jakiejś świętej relikwii, będącej ich jedyną nadzieją na wyzdrowienie, a już na pewno na życie wieczne.

Potem pojawił się brat Michael. Gdy zobaczyła go po raz pierwszy, na początku czerwca, była pewna, że ma przed sobą człowieka świętego. No bo dlaczego syn zamożnego kupca przenosi się z opactwa westminsterskiego nie do bogatego klasztoru, tylko wybiera biedny szpital? Mabel podziwiała jego spokojny, pełen godności sposób bycia i to, że czytał książki i był mądry.

Minął miesiąc, potem drugi, a ona zauważyła, że nie wszyscy podzielają tę opinię. Niektórzy, między innymi jego niegodziwy brat, uważali go za głupca. Złościło ją to. „Oni na niego nie zasługują", mruczała pod nosem. I dlatego – nadal go podziwiając – zaczęła się nim opiekować.

Teraz jednak brat Michael patrzył w kierunku bramy miejskiej i machał ręką.

– Idzie – powiedział łagodnie. Zbliżał się rajca Bull.

Najbardziej niegodziwy człowiek w całym Londynie był w bardzo złym nastroju.

Nie przyszedłby, gdyby nie matka. Błagała go o to od wielu tygodni. „Chcę, żebyś przed moją śmiercią pojednał się z Michaelem". A gdy odpowiadał z irytacją, że przecież ona jeszcze nie umiera, mówiła: „Nie znasz dnia ani godziny". W końcu nie mógł tego dłużej wytrzymać.

Dlaczego matka staje po stronie Michaela? Zawsze tak było, od dnia, gdy się urodził. On nigdy nie miał o młodszym bracie dobrego zdania. Patrzył na niego z pogardą, kiedy wstąpił do klasztoru w Westminsterze. Ale gdy w czerwcu Michael opuścił klasztor, złość Sampsona nie miała granic. „Wszystkie darowizny poszły na marne!", wykrzykiwał. I od tamtej pory nie odezwał się do brata ani słowem.

Lecz matka nalegała na spotkanie z Michaelem z innego powodu. Sampson dobrze o tym wiedział.

Chodziło o Bocton. Pomimo zwłoki spowodowanej uszkodzeniem steru przez sieci statek szczęśliwie powrócił z zamorskiej wyprawy. Negocjacje z Abrahamem przeciągnęły się, ale ostatecznie umowa miała zostać podpisana następnego dnia. I to był dla jego pobożnej matki wielki wstrząs.

„Przecież to grzech! – protestowała. – Czeka cię za to potępienie wieczne". Wielu londyńczyków przyznałoby jej rację.

Krzyżowiec uważany był za świętego pielgrzyma gotowego ponieść męczeńską śmierć w słusznej wojnie prowadzonej w imię Boże. W oczach Kościoła udział w krucjacie obmywał z grzechów i zapewniał miejsce w raju. Przejmowanie majątków zrujnowanych krzyżowców było w owych

czasach na porządku dziennym, jednak wielu ludzi uważało to za ciężki grzech i domagało się praw chroniących krzyżowców przed wierzycielami.

„Nie godzi się w ten sposób wykorzystywać krzyżowca. I do tego w zmowie z Żydem!” Matka załamywała ręce.

A potem, nie mogąc nic wskórać, potajemnie spotkała się z Michaelem.

W pierwszej chwili Michaelowi wydawało się, że wszystko dobrze się ułoży.

Sampson Bull, mimo swoich licznych wad, dotrzymywał danego słowa. Obiecał, że przyjdzie i pojedna się z bratem. Postara się. Przygotował się na tę mękę i nawet zmusił się do uśmiechu.

Od dawna nie przychodził do klasztoru Świętego Bartłomieja, więc rozglądał się z niejakim podziwem. W skład klasztoru wchodził duży normandzki kościół, krużganki, refektarz i bogato urządzone budynki zakonne. Konwent otrzymywał wielkie darowizny, a do tego czerpał znaczne zyski z dużego targu sukiennego, który odbywał się w Smithfield każdego sierpnia, w dniu świętego Bartłomieja. Członkowie zgromadzenia, zwani kanonikami regularnymi, stanowili małą, ale łatwo rozpoznawalną społeczność żyjącą w dużym komforcie.

Sam kościół był wspaniałą budowlą z szeroką, wysoką nawą, potężnymi kolumnami, rzymskimi łukami i kolebkowym sklepieniem. Po wschodniej stronie, za ołtarzem, znajdował się niezwykle piękny chór oddzielony półokrągłą ażurową ścianą złożoną z dwóch poziomów kolumn i łuków. Do tego przytulnego wnętrza sączyło się wczesnojesienne światło i nawet porywczy rajca uległ owej szczególnej atmosferze będącej połączeniem normandzkiej siły i orientalnego ciepła, które kojarzyły się z hostią, kielichem i rycerzami wyruszającymi do Ziemi Świętej.

Bull starał się być miły, ale gdy coś go irytowało, nie umiał się opanować. Drażniły go widok bosych stóp brata i ciche klapanie jego

sandałów na kamiennych płytach. I dlaczego ta Barnikelówna z lekkim zezem patrzy na niego z taką niechęcią? Szli krużgankiem, a Sampson już ciężko sapał.

Potem nastąpił moment, którego Bull bardzo się obawiał: weszli do szpitala.

Szpital pod wezwaniem Świętego Bartłomieja był oddzielony od klasztoru. Pracujący w nim bracia i siostry nie należeli do kanoników regularnych, ale do znacznie biedniejszego zakonu dla ludu. Główny budynek, do którego Michael właśnie ich wprowadzał, był długim, surowym dormitorium przypominającym krużganek. Na końcu znajdowała się skromna kaplica.

Szpital Świętego Bartłomieja, jak większość takich przybytków, na początku służył za hospicjum, miejsce odpoczynku dla znużonych pielgrzymów i podróżnych. To się jednak szybko zmieniło. Michael i Mabel byli dumni ze swojej trzódki pięćdziesięciu chorych. Było tu trzech ślepców, kilka kalek, zniedołężniałe staruszki. Byli chorzy na febrę, kobiety z czyrakami oraz inne przypadki najrozmaitszych chorób i dolegliwości. Zgodnie ze zwyczajem owych czasów w jednym łóżku leżały po dwie lub trzy osoby. Rajca patrzył na to z przerażeniem.

– Są tu trędowaci? – zapytał. Zaledwie miesiąc temu okazało się, że jeden z piekarzy sprzedających na straganie chleb chorował na trąd.

– Jeszcze nie.

Bull poczuł dreszcze. Co on tutaj robi? I co w tym odrażającym miejscu robi jego brat, jakby nie mógł podtrzymywać honoru rodziny w jakimś szacownym klasztorze?

Wyszli na świeże powietrze i wtedy Michael wykonał pierwszy ruch. Taktownie, co musiał przyznać nawet rajca. Wziął brata pod ramię i odciągnął go kilka kroków od Mabel.

– Drogi bracie, wiem, że matka nie dawała ci spokoju – powiedział przyjaznym tonem. – Ale moje serce uradowało się na twój widok. Dlatego wybacz mi – ciągnął z uśmiechem – że podejmę próbę ocalenia twojej duszy.

Bull uśmiechnął się cierpko.

– Więc myślisz, że pójdę do piekła?

– Skoro pytasz, to muszę przyznać, że tak.

– A nie chciałbyś, żeby Bocton wróciło do rodziny?

– Właśnie rodzinna duma zaślepia cię i prowadzi do grzechu, kochany bracie.

– Jeśli ja nie kupię Bocton, zrobi to ktoś inny.

– Ale to nie znaczy, że postąpi słusznie.

Zawrócili i zbliżali się powoli do Mabel. Na chwilę zapomnieli o jej obecności. I wtedy właśnie Bull westchnął i kręcąc głową, wypowiedział straszne słowa:

– To pięknie, że mnie pouczasz, bracie Michaelu, ale obawiam się, że tracisz czas. Nie boję się potępienia. Bo tak naprawdę nie wierzę w Boga.

Mabel aż odebrało dech.

Podobne oświadczenia nawet w tamtych religijnych czasach nie były rzadkością. Wielu ludzi miało wątpliwości. Dwa pokolenia wstecz król Wilhelm Rudy nie ukrywał swojego sceptycyzmu wobec Kościoła i jego religijnych nauk. Różni mędrcy i kaznodzieje wciąż musieli wynajdywać rozmaite dowody na istnienie Boga. Przekonanie Bulla, że Kościół ze swoimi dobrami, specjalnymi sądami i tym, co zdołał przez stulecia zgromadzić, jest po prostu dziełem człowieka, stanowiło dowód jego nieustraszonej – choć nieco brutalnej – uczciwości, która była też cechą Michaela.

Mabel myślała jednak inaczej. Dla niej Bull był chciwy, pogardzał swoim bogobojnym bratem, a do tego zamierzał z pomocą Żyda obrabować krzyżowca! I to było ostateczne potwierdzenie jego nikczemności.

Jedną z zalet Mabel – przynajmniej w oczach Michaela – było to, że zawsze mówiła, co myśli. Ale nawet on był nieco zaskoczony, gdy utkwiwszy spojrzenie w tęgim rajcy, wybuchnęła:

– Jesteś niegodziwcem! Trafisz do piekła tak jak Żydzi. Wiesz o tym, prawda? – Pogroziła mu palcem, jakby była gotowa napomnieć samego diabła. – Powinieneś się wstydzić. Dlaczego nie przekażesz pieniędzy na szpital, zamiast okradać pielgrzymów, którym nawet do pięt nie dorastasz?

Wpatrywała się w niego tak mocno, jakby spodziewała się, że Bull przyzna jej rację.

Pomyliła się.

Od miesięcy wysłuchiwał narzekań matki. A teraz musiał znosić nie tylko pouczenia Michaela, lecz jeszcze napastliwość wariatki, której brat o mało nie zniszczył mu statku. Tego było aż nadto. Krew napłynęła mu do twarzy. Wcisnął głowę między ramiona jak szarżujący byk.

– Do diabła z waszym szpitalem, z waszymi trędowatymi i starymi jędzami pokrytymi brudem! Do diabła z waszymi mnichami, głupimi krzyżowcami i obłudnymi księżmi! Mam was wszystkich gdzieś. I powiadam ci, bracie – ryknął – gdybym miał się nawrócić na jakąś religię, to wolałbym zostać żydem!

Nie powiedział nic oryginalnego. Tą samą groźbą posłużył się król Wilhelm Rudy, gdy biskupi zanudzali go swoimi skargami. Ale Mabel była wstrząśnięta. Zanim Bull wypowiedział słowo „żyd”, zdążyła się przeżegnać siedem razy.

Lecz Sampson jeszcze nie skończył. Pożegnalny cios, wymierzony po chwili milczenia, ugodził brata.

– Byłeś głupcem od urodzenia. I taki pozostałeś. Co zrobiłeś ze swoim życiem? Nie zarabiasz pieniędzy, bo złożyłeś śluby ubóstwa. Nigdy nie miałeś kobiety, bo złożyłeś śluby czystości. Nigdy nie myślisz o sobie, bo złożyłeś śluby posłuszeństwa. I po co? Tego nie wie nikt. – A potem dorzucił, jakby coś go nagle natchnęło: – Co więcej, nie chce mi się wierzyć, że dotrzymasz tych głupich ślubów. – Uśmiechnął się ze złością. – Powiem ci, co zrobię. Zapiszę to nawet w swoim testamencie. Kiedy będziesz na łożu śmierci, przyślij po mnie albo po moich następców. Jeśli przysięgniesz przed Bogiem i księdzem, że od dziś do końca życia nie złamiesz ślubów, to ja przekażę Bocton klasztorowi. Natychmiast.

Po tych zaskakujących słowach odwrócił się i ruszył w kierunku miejskiej bramy.

– Dobry Boże – westchnął Michael.

Jesienią 1170 roku do Anglii zaczęły napływać nieoczekiwane i zaskakujące wieści.

Kilka dni po spotkaniu z biednym Silversleevesem król Anglii Henryk II pospieszył do Normandii, gdzie spotkał się z przebywającym na wygnaniu arcybiskupem Canterbury. Wskutek upokorzenia, jakim było dokonanie koronacji następcy angielskiego tronu bez jego udziału, Becket pojednał się w końcu z królem. Wkrótce gruchnęły plotki, że wraca do kraju. Ale biskup zwlekał z przyjazdem.

Dla Silversleevesów był to bardzo trudny czas. Pentecost nie miał odwagi pokazać się w Trybunale Skarbowym przy jesiennym poborze podatków. W nowych okolicznościach wszystko było możliwe. Albo król odstąpił od karania kleryków oskarżonych o przestępstwa, albo Becket oddał ich pod królewskie sądy. Silversleeves próbował zasięgnąć języka w Normandii, ale bez skutku. Minął październik i listopad. W końcu na początku grudnia z Kentu nadeszła wieść: „Becket przybył”.

Nie przybył jednak jak pokorna owca. Wprawdzie pogodził się z królem, ale nie z biskupami, którzy go znieważyli, koronując księcia pod jego nieobecność. W ciągu paru dni ekskomunikował biskupa Sarum i Gilberta Foliota, wyniosłego biskupa Londynu. W kościelnych kręgach podniosła się wrzawa: „Lepiej by było, gdyby nie wracał”, protestowali oponenci. Foliot i jego zwolennicy wysyłali do Normandii posłańców, którzy mieli powiadomić króla, co się dzieje w jego państwie.

Silversleevesowie przekupili jednego z posłańców, żeby ich o wszystkim informował.

Wczesnym popołudniem 30 grudnia 1170 roku Pentecost Silversleeves, ubrany w kilka warstw ubrań dla ochrony przed chłodem, odpychając się długim kijem, sunął po lodzie na przywiązanych rzemieniami do stóp wygładzonych i pokrytych woskiem kościach z wołowych goleni. Jeździł na łyżwach.

Londyńskie lodowisko znajdowało się tuż za północnym murem. Osiemset lat po odejściu Rzymian stare przepływy pod murem wciąż były zatkane śmieciami, wskutek czego nieosuszany teren za miastem zamienił się w bagno. Grząski i wilgotny latem, zimą zamarzał, tworząc lodowisko, na które chętnie zaglądali londyńczycy. Miły to był widok. Jakiś mężczyzna sprzedawał nawet pieczone kasztany. Ale Pentecost wcale się nie cieszył.

Posłaniec z Normandii przyniósł złą wiadomość.

– Król zamierza aresztować Becketa. Foliot wygrał – oznajmił mu ojciec z samego rana. – Nie wygląda to dobrze. Foliot nienawidzi oskarżanych kleryków tak samo jak Henryk.

– Może król zdążył o mnie zapomnieć?

– Nie. Wciąż o tobie mówi. Nic tu nie wymyślimy – oświadczył ojciec ponuro. – Powinieneś udać się na wygnanie.

Matka zaczęła płakać.

Udać się na wygnanie? Czyli wyjechać z kraju. Tylko w ten sposób przestępca mógł umknąć sprawiedliwości. Ale dokąd miał się udać? Na pewno nie do krajów będących pod panowaniem Henryka.

– Wybierz się na pielgrzymkę do Ziemi Świętej – zaproponowała jego pobożna matka. Ale taka wyprawa nie pociągała Pentecosta.

Odpychał się kijem markotnie, a słońce zachodziło powoli. Nagle zza murów wybiegł człowiek, wykrzykując nowinę, która jeszcze przez miesiąc miała przetaczać się przez całą Europę.

– Becket nie żyje! Zabili go ludzie króla!

Pentecost popędził do domu, żeby spytać, co to może oznaczać.

Arcybiskupa Thomasa Becketa zamordowano przed ołtarzem w katedrze Canterbury podczas nieszporów 29 grudnia roku Pańskiego 1170. Klasztorni historycy, którzy w owych czasach uznawali dzień Bożego Narodzenia za początek roku, często podają datę 1171. Szczegóły tego zajścia nie są do końca jasne.

Czterech pomniejszych baronów, należących do oddziału mającego aresztować Becketa, wysforowało się przed resztę. Stanęli przed biskupem i w strasznym zamieszaniu go zabili. Słyszeli wcześniej, jak w ataku szału Henryk przeklina Becketa, więc uznali, że monarcha będzie zadowolony z takiego rozwoju wypadków.

Ale to, co nastąpiło później, wstrząsnęło całą Europą. Gdy przerażeni mnisi zaczęli zdejmować szaty z ciała biskupa, z największym zdziwieniem odkryli, że dumny prałat nosił pod spodem szorstką włosiennicę. Do tego rojącą się od wszy. Wtedy zobaczyli go w zupełnie innym świetle. Dostojnik Kościoła, dawny kanclerz, a obecnie męczennik, był w głębi ducha skromnym człowiekiem. Niczego nie udawał. Jego porzucenie spraw doczesnych miało znacznie głębsze podstawy, niż ktokolwiek mógł

przypuszczać. „Był prawdziwym pokutnikiem”, orzekli mnisi. Synem Kościoła.

Wieść szybko się rozniosła. W Londynie uznano kupieckiego syna za męczennika. Wkrótce powtarzała to cała Anglia, głośno domagając się wyniesienia go na ołtarze. Podobny chór głosów rozległ się w Europie. Papież, który zdążył już ekskomunikować zabójców i ich wspólników, uważnie wsłuchiwał się w te nawoływania.

Dla Henryka II była to katastrofa. „Może i król jest niewinny, ale ponosi za to odpowiedzialność”, stwierdzili najwyżsi duchowni. Żeby uciszyć wzbierającą burzę, Henryk wyruszył na wyprawę do Irlandii. A w sprawie kościelnych przywilejów, które od dawna stanowiły kość niezgody między nim a Becketem, milczał jak trusia.

Jesienią 1171 roku rodzina Silversleevesów miała wielki powód do radości.

– Osobiście rozmawiałem z justycjariuszem i biskupem Londynu – oznajmił ojciec Pentecosta. – Wojna króla z Kościołem się skończyła. Henryk boi się nawet wspominać o oskarżanych klerykach. Jesteś bezpieczny. Możesz nawet wrócić do Exchequera.

Po raz pierwszy od wielu pokoleń byli wdzięczni komuś z rodu Becketów.

Siostra Mabel nigdy nie wątpiła, że świat jest pełen cudów. Boska Opatrzność czuwała nad wszystkim. Zaskakujące objawienie świętości Becketa było dla Mabel jeszcze jednym przejawem wspaniałego planu, którego nawet nie próbowała pojąć.

Według niej nawet rzucona w gniewie obietnica rajcy Bulla, której Michael nie potraktował dosłownie, była aktem wiary. Wiedziała, że brat Michael jest dobrym człowiekiem. Wiedziała, że Bull nie powinien przejmować Bocton.

– Jeszcze zobaczysz – zapewniała Michaela. – Szpital dostanie ten spadek.

– Ale dopiero wtedy, gdy będę na łożu śmierci – przypomniał jej ze spokojem.

– Właśnie – odpowiedziała wesoło.

Jednak nawet ona nie umiała pojąć dziwnego zdarzenia, do którego doszło pewnego kwietniowego poranka roku Pańskiego 1172.

Wybrała się do Aldwych. Dowiedziała się, że jest tam człowiek chory na trąd, ale nie mogła go znaleźć. Wracała do szpitala przez puste Smithfield, gdy nagle zobaczyła niezwykły widok.

Oto od zachodniej strony placu zbliżała się procesja, i to dość liczna. Przepiękny kondukt pogrzebowy. Na czele jechali rycerze i damy na koniach z bogatą uprzężą. Obok nich biegli minstrele z fletami i tamburynami. Wszyscy uśmiechali się radośnie. Dalej szedł długi pochód pospólstwa. Ale kim oni są? W jakim celu zgromadził się ten barwny tłum? Mabel śmiało wysunęła się do przodu, chcąc zapytać o to któregoś z jeźdźców, ale wszyscy mijali ją, jakby jej nie widzieli.

Po chwili zobaczyła coś dziwnego. Tuż przed bramą miejską mieniąca się kolorami ciżba jakby rozpływała się w powietrzu.

Mabel patrzyła uważnie. Nie, nie pomyliła się. Jeźdźcy i konie rozpływali się, jakby znikali w niewidzialnej mgle albo zapadali się pod ziemię. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że końskie kopyta nie wydają żadnego dźwięku.

Wtedy zrozumiała. Ma wizję.

Słyszała wcześniej o takich przypadkach. Jak wszyscy. Ale nigdy nie przypuszczała, że sama tego doświadczy. Ku swojemu zdziwieniu wcale się nie przestraszyła. Jeźdźcy, choć prawie mogła ich dotknąć, wyglądali, jakby przebywali w swoim własnym świecie. Niektórzy nie byli rycerzami

i damami, tylko prostymi ludźmi. Zobaczyła wśród nich znajomego kamieniarza i sprzedawczynię wstążek. Dostrzegła nawet jednego z pacjentów szpitala, ubranego w błyszczącą białą szatę; na jego wychudzonej twarzy malowała się dziwna błogość.

Po jeźdźcach pojawiło się mnóstwo ludzi. Wyglądali zupełnie inaczej – kobiety i mężczyźni z różnych sfer, od krzykliwej przekupki po zrujnowanego lorda. Szli pieszo, mieli na sobie łachmany, byli bladzi i wymizerowani. Nie biegli przy nich minstrele, ale przedziwne stworzenia, jakich Mabel nigdy jeszcze nie widziała. Przypominały istoty ludzkie, ale miały długie ptasie nogi ze szponami zamiast stóp i zakręcone ogony. Kroczyły obok tłumu, od czasu do czasu szturchając ludzi trójzębami, trzymanymi w umięśnionych rękach. Ich ludzkie twarze o ostrych rysach były czerwone, zielone, a nawet nakrapiane.

– To chyba demony – mruknęła Mabel. Zrobiła krok do przodu i zaczepiła jednego z biało-zieloną twarzą. – Co to za procesja? – spytała.

Tym razem miała więcej szczęścia.

– To dusze ludzkie – odparła dziwna istota nosowym głosem.

– Czy oni zmarli?

– Nie. Żyją. – Demon zawahał się. – Ci z przodu idą do nieba. A ci – wskazał na opuchniętego mnicha – trafią do piekła.

– Popełnili jakieś straszne czyny? – spytała.

– Nie wszyscy. Niektórzy dopiero je popełnią. – Wydał z siebie cienki ptasi skrzek. – Ale już wpadli nam w ręce. Wiedziemy ich na pokuszenie, a potem ku śmierci. – Ruszył dalej.

– Czy któregoś da się jeszcze ocalić? – zawołała za nim.

Nie odwrócił się, jedynie zaśmiał się ochryple.

– Niewielu – odkrzyknął. – Naprawdę niewielu.

Patrzyła na pogrążonych w smutku pielgrzymów. Widziała wśród nich licznych znajomych, więc modliła się za każdego. Parę razy zawołała, żeby ich ostrzec, ale najwyraźniej nikt jej nie słyszał. A potem zobaczyła rajcę Bulla. Jechał na koniu, dosiadając go tyłem. Jak zwykle ubrany był na czerwono, a jego potężna postać emanowała siłą. Dłonie i twarz miał jednak pokryte czyrakami. Pokręciła z żalem głową. Wiedziała, że Bull trafi do piekła, nawet nie próbowała się do niego odezwać.

Na to, co zobaczyła potem, nie była jednak przygotowana.

Tuż za otyłym rajcą kroczyła znajoma postać z przeraźliwie smutną twarzą. Mabel aż wstrzymała oddech. To był brat Michael.

Jak to możliwe? Szedł wolno i ostrożnie, jak to miał w zwyczaju. Spuścił głowę – nie, nie w zamyśleniu. To był wstyd i rozpacz. Jak zahipnotyzowany wpatrywał się w jakiś punkt przed sobą. Co on takiego zrobił? Zawołała do niego. Zaczęła biec obok pochodu, powtarzając nawoływania. W pewnej chwili wydawało jej się, że podniósł głowę, jakby ją usłyszał, ale zaraz jakaś niewidzialna siła pociągnęła go dalej.

Mabel stała przy drodze, pogrążona w myślach. Nie mogła uwierzyć, że brat Michael popełnił śmiertelny grzech. A więc chyba dopiero go popełni?

I zaraz przyszło jej do głowy, że skoro on jest skazany na piekło, to ona też. Wpatrywała się w idący tłum dusz, ale choć bardzo się starała, nie zobaczyła siebie.

Wizja znikła.

Burmistrz

Rok 1189

Król Anglii Henryk II zmarł latem 1189 roku. Koronowany przez niego następca odszedł z tego świata jeszcze przed nim, więc na tronie zasiadł jego drugi syn Ryszard.

I tak kolejne lata zaczęły obrastać legendą. W całej historii Anglii nie ma chyba bardziej znanych postaci niż Robin Hood i chciwy szeryf Nottingham, król Ryszard uczestniczący w wyprawie krzyżowej i jego niegodziwy brat Jan. Ta piękna baśń ma swoje źródło w faktach.

Jednak prawdziwe relacje historyczne z tamtego okresu są znacznie bardziej interesujące. A najważniejsze wydarzenia rozgrywały się właśnie w Londynie.

Gdziekolwiek przybył, wieści szybko się rozchodziły. Także teraz, w sierpniowy poranek, przed nową bramą zebrał się już mały tłum, który chciał go powitać. A najbardziej podekscytowany był chłopak stojący w pierwszym rzędzie.

David Bull wyglądał tak jak jego ojciec, gdy miał trzynaście lat: jasne włosy, okrągła twarz, rumiane policzki i niebieskie oczy, patrzące teraz z zapałem.

Przed sobą miał bramę do Temple. Spośród wszystkich religijnych budowli, tak licznie wyrastających w Londynie, największe wrażenie robiły

siedziby dwóch zakonów krzyżowych. Te religijno-wojskowe wspólnoty zaspokajały rozmaite logistyczne potrzeby związane z prowadzeniem świętej wojny. Na północ od Smithfield usadowili się joannici, odpowiedzialni za szpitale. A tu, na zboczu powyżej Tamizy, w połowie drogi biegnącej od kościoła Świętej Brygidy do Aldwych, ciągnęły się tereny należące do templariuszy – potężnego zakonu dostarczającego krzyżowcom pieniędzy i zaopatrzenia. Przez bramę widać było nową solidną świątynię z kamienia – jak wszystkie kościoły zakonu zbudowana była na planie koła. A ze świątyni w każdej chwili mógł wyjść największy bohater chrześcijaństwa – król Ryszard Lwie Serce.

W każdej epoce najpopularniejszymi bohaterami byli wojownicy. Jednak od kilkudziesięciu lat w stylu życia ówczesnej Europy zachodziły subtelne zmiany. Dzięki krucjatom rycerstwo zaczęła otaczać aura religijności. Nowa rozrywka w postaci turniejów stała się okazją do wielkich przyjęć i gali. A na francuskojęzycznych dworach Prowansji i Akwitanii pojawiła się moda na ballady i opowieści o dworskiej miłości, szerzyły się wykwintne maniery nieznane wcześniej w północnych krajach. Zgodnie z nowym kanonem rycerz doskonały musiał być nie tylko wojownikiem, ale także pielgrzymem i kochankiem. Modlił się do Najświętszej Panny, a jego niespełnionym marzeniem było odnalezienie Świętego Graala. Potykał się konno na kopie i śpiewał ballady. To wszystko tworzyło odurzającą mieszankę waleczności, dworskich manier i erotyzmu. Rodziła się kultura rycerska, której najpełniejszym wyrazem była legenda o królu Arturze i rycerzach Okrągłego Stołu, tłumaczona właśnie z łaciny i francuskiego na angielski.

Ryszard Lwie Serce był ideałem nowej epoki.

Wychowany na światowym dworze swojej matki w Akwitanii, pisał ballady jak minstrel. Uwielbiał potykać się w turniejach, był znakomitym

wojownikiem, znał się na oblężeniach i budowaniu zamków. Ludzie mu najbliżsi widzieli jego próżność i okrucieństwo, ale nawet oni ulegali jego niezaprzeczalnemu urokowi i doceniali zdolności przywódcze. Za namową templariuszy i tych, którzy dzielnie opierali się Saracenom w Ziemi Świętej, miał wkrótce wyruszyć na najświętszą rycerską wyprawę – nową krucjatę.

Krucjata. Po jej ogłoszeniu ucichła nawet zadawniona zawiść pomiędzy tronem francuskim a Plantagenetami. Na czas wyprawy krzyżowej król Francji i Ryszard zawarli braterstwo. A wyjazdowi króla towarzyszyła mistyczna aura – mówiono, że Ryszard zabiera ze sobą Excalibura, słynny magiczny miecz króla Artura.

Kraj ogarnęła radość. Ostatnie lata panowania starego króla były pełne smutku. Głosy protestu po śmierci Becketa przybierały na sile, aż w końcu biedny Henryk musiał odbyć pokutę – został publicznie wychłostany w Canterbury. Becketa obwołano świętym. Potem zmarła ukochana metresa króla, piękna Rozamunda. Jego żona i dzieci zwróciły się przeciwko niemu; dwaj synowie, w tym następca tronu, zmarli. Ale oto smutkom nastał kres, bo bohaterski Ryszard przybył do Anglii na koronację.

Cały Londyn wpadł w ekstazę. Patrząc spod Temple w kierunku Tamizy, David widział flotyllę statków, na których wraz z królem wyruszał na krucjatę oddział londyńczyków – nie szlachetnie urodzonych, ale synów kupieckich rodzin, takich jak on. Nic dziwnego, że każdy chciał zobaczyć bohaterskiego króla na własne oczy.

Drzwi do kościoła zaczęły się otwierać. Rozległy się wiwaty. Ze świątyni wyszedł szybkim krokiem wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna. Towarzyszyło mu tylko sześciu rycerzy. Jego jasne włosy zalśniły w słońcu. Pewnym krokiem podszedł do konia i nie postawiwszy nawet stopy na

plecach giermka, który pochylił się, żeby mu pomóc, szybko wskoczył na siodło.

David patrzył jak urzeczony na twarz Plantageneta. I jakby za sprawą czarów Ryszard Lwie Serce, przejeżdżając przez bramę, omiótł wzrokiem zgromadzony tłumek. Zobaczywszy chłopca, spojrzał mu prosto w oczy i się uśmiechnął. Doskonale wiedział, że to wystarczy, aby chłopak był mu oddany do końca życia. Spiął wierzchowca ostrogami i popędził do Westminsteru.

Dopiero po dłuższej chwili David Bull, nadal patrząc na oddalającą się postać, szepnął:

– Muszę wyruszyć z nim na krucjatę. – A przypomniawszy sobie wybuchy ojcowskiej złości, mruknął: – Stryj Michael mi pomoże. On porozmawia z ojcem.

Obserwator stojący pół godziny później na London Bridge zobaczyłby osobliwy i przygnębiający widok. Oto do Londynu zbliżał się długonosy mężczyzna na srokatym perszeronie, prowadząc za sobą wytworną damę na pięknym wierzchowcu i dwa juczne konie. Mężczyzną był Pentecost Silversleeves, a damą Ida, wdowa po rycerzu. Nie mogła powstrzymać płaczu, co nie powinno dziwić, albowiem wkrótce miała zostać sprzedana.

Patrząc na wyłaniające się z przodu miasto, Ida miała wrażenie, że cały świat zamienił się w kamień. Otoczony murami Londyn przypominał ogromne więzienie. Po lewej wznosił się kamienny fort Ludgate. Po prawej, niemal przy samej rzece, trwała niezmiennie szara sylwetka Tower. Nic tylko kamień. Na tle dwóch niskich, obrośniętych domkami wzgórz rysowała się ciemną linią normandzka katedra Świętego Pawła, posępna i odpychająca. Wystarczyło spojrzeć w bok ponad drewnianą barierką, żeby zobaczyć masywne filary powstającego nowego mostu, który – jak łatwo zgadnąć – też miał być z kamienia. W porannej ciszy, przerywanej cichym

stukotem kopyt na drewnianym moście rozpiętym nad spokojnymi wodami Tamizy, rozlał się dźwięk dzwonu – poważny, posępny, jakby on też wydobywał się z kamienia i wzywał skamieniałe serca do skamieniałej modlitwy.

Ida miała trzydzieści trzy lata. Była córką rycerza i wdową po rycerzu, co wyrażał jej wygląd i sposób zachowania. Ciemne, zebrane w kok włosy przykrywał wdowi kwef. Za zasłoną kryła się ładna, pociągła twarz, a pod suknią z trenem i szerokimi rękawami – szczupłe ciało o jasnej skórze, drobne piersi i długie nogi. Nie była wyniosła, ale zawsze uważała się za damę. Dlaczego więc jej los nie obchodził nikogo, nawet króla Ryszarda? Oto bowiem z rozkazu króla ten długonosy urzędnik wiezie ją na ślub z jakimś prostackim kupcem, o którym nie wiedziała nic poza imieniem: Sampson Bull.

„Chyba możesz mi coś o nim powiedzieć”, prosiła Silversleevesa poprzedniego dnia.

„Ludzie mówią, że jest bardzo wybuchowy”, powiedział jedynie po dłuższej chwili zastanowienia.

Dlaczego ją to spotkało? Powód był prosty. Dzięki sprawnemu zarządzaniu państwem przez swego ojca król Ryszard Lwie Serce był jednym z najbogatszych monarchów świata chrześcijańskiego – znacznie bogatszym niż jego rywal król Francji. Ale krucjaty pochłaniały ogromne sumy. Gdy dwa lata wcześniej papież ogłosił trzecią krucjatę, która miała wyzwolić Jerozolimę z rąk muzułmańskiego władcy Saladyna, Henryk II wprowadził nowy podatek, tak zwaną dziesięcinę saladyńską. Ale i to nie wystarczyło, więc jeszcze przed swoim przybyciem król Ryszard nakazał trybunałowi skarbowemu ściąganie pieniędzy w gotówce.

Ryszard nie lubił Anglii i po raz pierwszy przybył na wyspę dopiero na koronację. „W Anglii jest zimno i ciągle pada – miał powiedzieć swoim

zausznikom. – Ale – dodał wesoło – kochamy ją za znaczne dochody, które nam przynosi”.

To dlatego latem 1189 roku wszystko było na sprzedaż: szeryfostwa, przywileje handlowe, zwolnienia z podatków. „Znajdźcie mi kupca, a sprzedam mu nawet Londyn”, rzucił kiedyś monarcha. Do królewskich zasobów zaliczały się też liczne dziedziczki majątków i wdowy, które wskutek powiązań wynikających z podległości lennych znajdowały się pod protekcją Ryszarda i którymi mógł rozporządzać zgodnie ze swoją wolą. Gdy więc król pilnie potrzebował pieniędzy, sprzedawał wysoko urodzone damy tym, którzy dawali najwięcej.

Silversleeves doskonale to rozumiał. Ida była już siódmą z kolei wdową, którą w ciągu ostatnich sześciu tygodni udało mu się znaleźć i sprzedać. Ta transakcja napawała go dumą. Ida była biedna, nie miała majątku. Nadawała się do sprzedaży tylko dlatego, że bogaty wdowiec Sampson Bull chciał mieć szlachetnie urodzoną żonę. A Silversleeves się o tym dowiedział. Ślub Idy z Bullem miał pomóc w sfinansowaniu trzeciej wyprawy krzyżowej, więc Pentecost, widząc jej łzy, zauważył chłodno:

– Nie ma co płakać. Przynajmniej sprzedano was w dobrej sprawie.

Wjechali na West Cheap i minęli kolorowe stragany. Gdy zbliżyli się do małego normandzkiego kościoła St Mary-le-Bow, Silversleeves odwrócił się, wskazując grupkę kupców przy drzwiach.

– To on – powiedział. – Ten ubrany na czerwono.

Ida zemdlała, zobaczywszy prostacką, rumianą twarz i tęgą sylwetkę swojego przyszłego męża.

Pentecost patrzył obojętnie, jak kilku przechodniów próbuje ją ocucić, ale tak naprawdę los nieszczęsnej wdowy już go nie obchodził. Jego myśli zajmowały sprawy dużo ważniejsze. Przede wszystkim jego własna kariera.

Po raz pierwszy od dwudziestu lat przyszłość rysowała się w jasnych barwach. Nie dość, że jego odwieczny wróg król Henryk odszedł z tego świata, to jeszcze otworzyła się przed nim wspaniała, nieoczekiwana szansa. Znalazł protektora.

William Longchamp wszystko zawdzięczał sobie i swojej pracy. Twardy, skuteczny, szalenie ambitny, zdobył wysoką pozycję u Plantagenetów i zgromadził ogromny majątek. Gdy poznał Silversleevesa, planował kolejne ważne posunięcie. I potrzebował do tego kogoś, kto będzie od niego całkowicie zależny.

Pentecost nigdy nie mógł pojąć, dlaczego jego zwierzchnicy w trybunale skarbowym nie mają do niego zaufania bez względu na to, jak bardzo się stara. Dlatego był wniebowzięty, gdy Longchamp nieoczekiwanie przyjął go do siebie.

– Kiedy mu się dobrze przysłużę, będziemy bogaci – opowiadał z przejęciem żonie.

Nie, nie był biedny. Po śmierci ojca, kilka lat wcześniej, wszedł w posiadanie wielkiego majątku. Ale miał też coraz bardziej ambitną żonę i trójkę dzieci, które – mimo że najstarszy syn nie skończył nawet szesnastu lat – ciągle pytały, jaki spadek przypadnie im w udziale. Dlatego wiadomość, którą poprzedniego dnia przekazał mu jego pan, wprawiła go w niezwykłe podniecenie.

– Longchamp zostanie kanclerzem Anglii – obwieścił rodzinie. – Będzie musiał sporo zapłacić za to stanowisko, ale transakcja jest właściwie pewna.

Żona ucałowała go.

– I pomyśleć tylko, co będzie mógł wtedy dla nas zrobić! – wołały dzieci, klaszcząc w ręce.

Był tylko jeden problem. Za niecałe dziesięć dni Ryszard Lwie Serce miał zostać koronowany na króla Anglii. A zaraz potem wyruszyć na bohaterską krucjatę do Ziemi Świętej. Tylko czy z niej powróci? Wielu ludzi miało co do tego wątpliwości. Śmierć zbierała ogromne żniwo wśród krzyżowców. Niektórzy ginęli w walce, ale najwięcej umierało z powodu chorób i wypadków podczas długiej i niebezpiecznej podróży na Wschód. A nawet jeśli Ryszard przeżyje, to czy będzie miał do czego wracać? Im bardziej Silversleeves się nad tym zastanawiał, tym bardziej go to niepokoiło.

Sytuacja w imperium Plantagenetów była złożona. Na ogromną schedę po królu Henryku czekało trzech kandydatów: Ryszard, jego brat Jan oraz ich bratanek Artur. Niemal całe królestwo przypadło Ryszardowi, Artur otrzymał Bretanię, a Jan, skryty i ponury, dostał jedynie kilka bogatych posiadłości, w tym część ziem na zachodzie Anglii. Musiał jednak złożyć obietnicę, że nie pojawi się na wyspie, gdy jego brat wyprawi się z kraju. Z perspektywy Jana najgorsze było to, że w razie śmierci Ryszarda całe imperium trafi w ręce młodocianego Artura.

Nieobecność Ryszarda w kraju rodziła poważne zagrożenia. Opuszczone królestwo. Niezadowolony brat króla. I kilka innych kwestii, które należało wziąć pod uwagę. Silversleeves rozważał to wszystko i miał coraz więcej obaw.

Ale jednego był pewien. Bez względu na to, co się wydarzy, do jakich dojdzie zdrad i oszustw, on musi znaleźć się po właściwej stronie. Wizja awansu, o którym kiedyś marzył, stawała się coraz wyraźniejsza. Tak, będzie musiał zachować ostrożność. Wielką ostrożność.

– A w odpowiedniej chwili zrobię to, co trzeba – zapewnił żonę.

Było wczesne popołudnie. Siostra Mabel weszła do katedry Świętego Pawła, żeby wyspowiadać się jak zwykle. Tym razem rzeczywiście miała

powód.

Od czasu pamiętnej wizji sprzed wielu lat wiedziała, że diabeł ma plany wobec nieszczęsnego brata Michaela, a może nawet wobec niej. Naturalnie miała świadomość, że jej przyjaciel jest mężczyzną, ale młody mnich wiódł niezwykle surowe i ascetyczne życie. Jednak wąż zdążył już podnieść głowę i zaskoczył ją podstępnie.

Wydarzyło się to w sobotni poranek. Na koński targ zjechały się do Smithfield tłumy ludzi. Przechadzali się z Michaelem, podziwiając konie w zagrodach. Zbierali się właśnie do powrotu do szpitala, gdy nagle wśród tumultu rozległ się kobiecy krzyk. Odwrócili się i zobaczyli, jak ludzie rozpierzchają się przed pędzącym gniadym ogierem. Koń galopował wprost na nich. Brat Michael nie zastanawiał się ani chwili. Stanął ogierowi na drodze i chwycił go za uzdę. Koń parł dalej. Z pomocą rzucili się dwaj inni mężczyźni. Ludzie wokół krzyczeli, powstało zamieszanie, rozległ się trzask rozrywanej tkaniny. Po chwili brat Michael, z szerokim uśmiechem na twarzy, odprowadził ogiera do stajni. Z jego sutanny pozostały strzępy.

I wtedy Mabel zdała sobie sprawę, że nigdy wcześniej nie widziała jego ciała. Wiedziała, że jest wysoki i szczupły, ale gdy tak szedł roześmiany, zrzuciwszy z siebie podarty habit, zobaczyła świetnie zbudowanego, umięśnionego mężczyznę o doskonałych proporcjach. Widok ten poruszył ją do głębi, niemal fizycznie.

„Dobry Boże, ależ on jest piękny”, szepnęła do siebie.

Po raz pierwszy w życiu siostra Mabel poczuła pożądanie. Wiedziała, że zesłał je diabeł. Modliła się dniem i nocą. Starała się nie myśleć o mężczyźnie ukrytym pod habitem, ale na próżno. Spotykała go co dzień. Od trzech tygodni na każdym kroku wyczuwała jego obecność, przesłaniającą jej wszystko inne. Słyszała jego kroki, czuła zapach potu na mankietach sutanny, widziała potargane kosmyki włosów. A potem te

wszystkie doznania połączyły się w miłość tak głęboką, że traciła oddech, gdy Michael wchodził do izby. Była tak bezradna wobec zalewających ją uczuć, że postanowiła się wyspowiadać.

Wyznała swój grzech pod jednym z pogrążonych w mroku, wysokich łuków katedry Świętego Pawła.

– Doszło do czegoś między wami? – spytał młody, nieco zaskoczony ksiądz.

– Nie, ojcze – odpowiedziała ze smutkiem.

– Módl się do Najświętszej Marii Panny – przykazał. – I zrób w sercu postanowienie, że nie zgrzeszysz.

Czekała go niespodzianka. Mabel była pobożna, lecz kierowała się też zdrowym rozsądkiem właściwym ludziom, którzy zajmują się chorymi.

– To na nic – powiedziała. – Bo i tak zgrzeszę.

Młody ksiądz zaczął się zastanawiać mimo woli, co z tego wyniknie.

Przez trzy dni Ida robiła, co mogła, żeby do ślubu nie doszło. Spotkał ją przerażający los. I nie chodziło tylko o to, że Bull był tęgim, prostackim, obcym mężczyzną. Byłaby tak samo nieszczęśliwa, gdyby jej się spodobał. Powodem udręki nie był charakter czy wygląd Bulla, ale to, że pochodził z nieodpowiedniej klasy społecznej.

Dyshonor – tak nazywano przymusowe małżeństwa dziedziczek majątków i wdów z ludźmi niższego stanu: córki arystokraty ze zwykłym szlachcicem, córki szlachcica z prostym rycerzem, a nawet – jak w przypadku Idy – córki skromnego rycerza z bogatym kupcem. Nic gorszego nie mogło jej spotkać. Czuła się poniżona.

Poszła do Exchequera i porozmawiała z samym justycjariuszem, ale nikt nie przejął się jej losem. Czyżby nie miała żadnych wpływowych przyjaciół?

Została jeszcze jedna słaba nadzieja. Niewielki fort na zachód od Ludgate nazywany zamkiem Baynarda od dawna był w posiadaniu potężnego feudalnego rodu Fitzwalterów, z którymi łączyły ją więzy pokrewieństwa. Wprawdzie dalekie, ale nic innego jej nie pozostało. Musiała tam pójść.

Przyjął ją młody rycerz. Pan był zajęty. Wyjaśniła, że jest jego krewną i że sprowadza ją pilna sprawa. Poradził, żeby zjawiła się za godzinę. Poszła do Świętej Brygidy, żeby się pomodlić, ale po powrocie otrzymała jedynie uprzejme przeprosiny: „Lord Fitzwalter wyjechał". Następnego dnia rozmawiała jedynie z odźwiernym; on też poradził, by przyszła nazajutrz. Postanowiła poczekać przy wejściu, ale po godzinie poinformowano ją, że rozminęła się z lordem. Najwyraźniej lord nie miał ochoty na spotkanie z ubogą krewną. Przegrała.

Ceremonia odbyła się w St Mary-le-Bow. Na szczęście trwała krótko. W kościele zjawiła się jedynie najbliższa rodzina. Ida była nawet zadowolona, że niemal w milczeniu wrócili do domu Bulla.

Jeszcze raz zaczęła w myślach rozważać swoją sytuację. Patrząc na Bulla, czuła zniechęcenie. Na jego twarzy nie widziała żadnych uczuć poza satysfakcją. I nie myliła się. Odzyskawszy Bocton, Bull spełnił marzenie swojego życia, a poślubiwszy Idę, dodał herb do majątku. Nie tylko był posiadaczem swojej dawnej saskiej posiadłości, ale powoli zbliżał się do wyższych normandzkich sfer, które go stamtąd wyparły. Nie był w tym odosobniony. Kilku innych londyńskich kupców zawarło podobne małżeństwa. „Dzięki niej – tłumaczył Davidowi – tobie też znajdziemy jakąś szlachciankę za żonę. Już w następnym pokoleniu Bullowie z Bocton staną się tak potężni jak nigdy wcześniej". Nic dziwnego, że Sampson był z siebie zadowolony.

Matka Bulla okazała się miłą, pobożną kobietą, która nie miała jednak zwyczaju dużo mówić. Większą nadzieję dawał David, młody chłopak, który przyglądał się jej nieśmiało. Od razu zauważyła, że jest odważnym, prostodusznym młodzieńcem, któremu doskwiera samotność. Gdy zwróciła się do niego łagodnie, mówiąc, że jest jej przykro z powodu śmierci jego matki i że spróbuje mu ją jakoś zastąpić, zauważyła łzy w jego oczach. Wzruszyła się.

Ale prawdziwą niespodzianką okazał się brat Michael. Aż trudno uwierzyć, że tępy kupiec może mieć taką rodzinę. Spojrzała w dobre, inteligentne oczy Michaela i do razu go polubiła. Czas wydobył całe piękno z jego twarzy. Dostrzegła jego niewinność. Zawsze podziwiała duchownych, dobrze się czuła w ich towarzystwie, więc zaczęła go usilnie prosić, żeby wkrótce znów ich odwiedził. Mnich aż się zaczerwienił.

Nie uwalniało jej to jednak od spełnienia małżeńskiego obowiązku. Bull wykazał się sprytem. Zdawał sobie sprawę z uczuć Idy, wiedział, jak niechętna jest temu małżeństwu, ale to go bynajmniej nie zniechęciło. Potraktował to jak wyzwanie. Gdy więc znaleźli się sami w sypialni, gdy musiała mu się oddać, nie spieszył się. Pierwszej nocy Ida, wiedząc, że w sąsiedniej izbie śpi chłopiec, pozwoliła mu na wszystko bez słowa. Drugiej nocy, oblana potem, zagryzła z całych sił wargi. A trzeciej, nie mogąc się powstrzymać, krzyknęła z rozkoszy. Gdy zasnęła, Sampson spojrzał na jej ciało z ponurym zadowoleniem.

– Teraz, moja pani, już wiesz, czym jest dyshonor – mruknął.

Król Ryszard Lwie Serce został koronowany rankiem 3 września 1189 roku w opactwie westminsterskim. Pod jednym względem uroczystość była szczególna. Mężny krzyżowiec przestraszył się nagle, że świętej ceremonii zagrażają czary, i dzień wcześniej nakazał, aby koronacja odbyła się

w atmosferze wyjątkowej czystości. „Kobiety i Żydzi nie mają wstępu”, ogłosił.

Michael się wahał. Powtarzał sobie, że chodzi mu o chłopca. Po co w ogóle obiecał, że porozmawia z Sampsonem o wyprawie krzyżowej? Wiedział z góry, że to bezowocne, że jedynie rozzłości brata.

W ciągu ostatnich lat ich stosunki uległy poprawie. Sampson nadal nie okazywał Michaelowi szacunku, ale przynajmniej pogodził się z jego powołaniem. Tuż przed śmiercią matka wezwała do siebie Michaela i wręczyła mu całkiem pokaźną sumę. „Chcę, żebyś wykorzystał te pieniądze dla zbożnych celów w imieniu naszej rodziny – powiedziała. – Boleję, że Sampson jest zbłąkaną duszą, ale tobie mogę zaufać. Przechowaj je, dopóki nie będziesz wiedział, co z nimi zrobić. Jestem pewna, że Bóg cię poprowadzi”. Od lat był strażnikiem tych pieniędzy. Z przyjemnością myślał o tym, że będzie mógł je przeznaczyć na zbożny cel. Spodziewał się, że brat będzie protestował, ale Sampson, dowiedziawszy się o wszystkim, tylko się roześmiał. A gdy rok wcześniej umarła mu żona, Michael odwiedzał go niemal co dzień, żeby pocieszyć jego i małego Davida. Pewnego dnia brat spojrzał na niego ze skruchą i powiedział: „Muszę przyznać, Michaelu, że postąpiłeś nad wyraz szlachetnie”. O, nie, Michael wcale nie miał ochoty wdawać się teraz z nim w kłótnie.

Ale było coś jeszcze.

Od tamtej rozmowy minęło prawie dwadzieścia lat, lecz zuchwałe słowa Sampsona wciąż dźwięczały mu w uszach. „Nie chce mi się wierzyć, że dotrzymasz tych głupich ślubów”. Ale on ich nie złamał. Ślubu ubóstwa łatwo było dotrzymać, szpital i tak nie miał żadnego majątku. Ślub posłuszeństwa też nie sprawiał problemów. Dochowanie czystości? O, z tym było nieco trudniej. Kobiety czasem go kusiły, zwłaszcza na

początku. Ale po tylu latach przywykł do celibatu, widząc w nim nawet pewną dogodność. Praca dawała mu radość. Chyba jestem po bezpiecznej stronie, pomyślał, kiedy skończył czterdzieści lat. Więc skąd to wahanie na progu domu brata? Czyżby instynkt ostrzegał go przed niebezpieczeństwem?

Koronacja odbyła się bez zakłóceń. Sampson Bull uczestniczył w nabożeństwie w opactwie westminsterskim, a gdy król Ryszard udał się ze świtą na ucztę do Westminster Hall, wrócił do domu na znacznie skromniejszy posiłek, na który zaprosił brata.

Rozmowa przy stole toczyła się wesoło. Michael kilka razy zauważył, że bratanek spogląda na niego wyczekująco, ale nie chciał się spieszyć. Sam patrzył na Idę. Jak układa się jej małżeństwo z jego grubiańskim bratem? Jest szczęśliwa? Trudno było odgadnąć jej myśli. Dopiero gdy posiłek zbliżał się do końca i nie można było już dłużej tego odkładać, Michael poruszył temat krucjaty. Potem wstrzymał oddech.

O dziwo, Bull nie okazał złości. Odchylił się na krześle, przymknął na chwilę oczy i się uśmiechnął.

Prawdę powiedziawszy, spodziewał się czegoś podobnego. Miasto ogarnęła gorączka krucjatowa. Chłopcy w wieku Davida często ulegali porywom religijnym, które z czasem mijały. Ale jeśli chłopak jest żądny przygód, to nawet lepiej. Bull otworzył oczy.

– A więc chcesz wyruszyć do Ziemi Świętej – powiedział. A potem zwrócił się łagodnie do Michaela: – Tak bardzo ci zależy, mój bracie, żeby chłopak zginął?

Michael się zaczerwienił.

– Ależ co ty mówisz!

– Wielu nie wraca z Ziemi Świętej – zauważył kupiec rzeczowo. – Ale ty pewnie chciałbyś ocalić jego duszę. A o to w Londynie dużo trudniej,

prawda?

Kupiec westchnął. Często zastanawiał się, dlaczego ludzie uganiają się za ideami, lekceważąc materialną rzeczywistość. Wśród tych, którzy wyruszali na krucjaty, byli zarówno uczciwi pielgrzymi, jak i żądni łupów awanturnicy. Wielu nawet nie docierało do Ziemi Świętej, bo umierali z powodu chorób albo – jak podczas ostatniej krucjaty – w walkach z innymi chrześcijanami. I prawie wszyscy tracili majątki. Gdzie w tym wszystkim są ideały? Rozwiewały się po drodze.

Ale w tej właśnie chwili David zyskał niespodziewanego sojusznika. Ida lubiła go coraz bardziej. Myśl, że mógłby zginąć podczas wyprawy krzyżowej, przerażała ją, lecz jako córka rycerza doskonale rozumiała chłopca. Poprzedniego dnia wyjawił jej swoją tajemnicę, a ona odpowiedziała: „Chyba jesteś za młody”. Zaczerwienił się ze wstydu, więc pożałowała swoich słów. Dlatego teraz wtrąciła spokojnie:

– Uważam, że powinieneś wyrazić zgodę. – Po raz pierwszy sprzeciwiła się mężowi. Zastanawiała się, co teraz nastąpi.

Bull nie zareagował od razu. Z namysłem zmarszczył brwi.

– Sprzedano cię wbrew twojej woli, pani, właśnie z powodu krucjaty, a mimo to ich popierasz? – powiedział z nutą okrucieństwa w głosie.

– Chodzi o zasady – odpowiedziała z dumą. A potem, z całym spokojem, uśmiechnęła się do Michaela.

Jaka ona piękna, pomyślał. Jaka szlachetna. Z tą urodą, jasną cerą, dużymi, ciemnymi oczami w najmniejszym stopniu nie pasowała do kupieckiego domu. Zauważył, że David też patrzy na nią z uwielbieniem.

A ona, widząc ich podziw, popełniła błąd. Zwróciła się bowiem do męża z nutą lekkiej wzgardy:

– Chodzi o zasady, ale ty tego nie rozumiesz.

Jeśli nawet mąż zasłużył na te słowa, to stanowiły zniewagę. Ida natychmiast pojęła, że posunęła się za daleko. Bull milczał przez chwilę. A potem poczerwieniał.

– Nie, nie rozumiem – powiedział groźnie.

Zauważyła, że żyły nabrzmiewają mu na czole. Że Michael i David patrzą z niepokojem. Zadrżała z lęku, bo zdała sobie sprawę, że po raz pierwszy doświadczy słynnego gniewu Bulla. Nie wiadomo, co by się stało, gdyby nie służący, który wpadł do komnaty jak burza, wywracając w pośpiechu dzban z winem.

– Panie! – krzyknął. – Zamieszki w mieście!

Ulicą biegli ludzie. Michael minął szybkim krokiem West Cheap i skręcił w boczny zaułek, skąd dochodziły krzyki. Jeden z krytych słomą drewnianych domów stał w płomieniach. Na ziemi leżał martwy mężczyzna. I wtedy Michael ich zobaczył.

Była ich niemal setka – mężczyzn, kobiet i dzieci. Niektórzy wyglądali na zwykłych złodziejaszków, ale zauważył też dwóch szanowanych kupców, kilku terminatorów, żonę krawca i dwóch młodych pisarczyków. Wyłamywali drzwi do domu. Ktoś zdążył rzucić na dach pochodnię. Ochrypły głos krzyknął:

– Z drugiej strony! Nie pozwólcie im uciec!

Zapytał jednego z kupców, co się dzieje.

– Zaatakowali króla w Westminsterze. Ale nie martwcie się, bracie, dopadniemy ich.

Żydzi.

Powodem londyńskiego pogromu z 1189 roku była głupia pomyłka. Gdy Ryszard i jego rycerze ucztowali, przywódcy żydowskiej społeczności przybyli do Westminsteru, żeby złożyć dary nowemu królowi. A ponieważ

kobietom i Żydom nie wolno było uczestniczyć w koronacji, straż przy drzwiach uznała to za atak i podniosła krzyk. Najbardziej krewcy dworzanie sięgnęli po miecze. Zaatakowali. Kilku Żydów straciło życie. Podniósł się tumult i w ciągu godziny w mieście zaczęły się zbierać grupy ludzi.

Do wywołania zamieszek wystarczyło niewiele. W mieście ogarniętym gorączką wyprawy krzyżowej pretekst nasuwał się sam.

– Na co nam krucjaty, skoro sami pozwalamy niewiernym opływać w dostatki w Londynie! – krzyknął kupiec ze złością. Odwrócił się do tłumu. – To jest nasza krucjata, ludzie. Śmierć niewiernym!

W tej właśnie chwili z domu wyszedł Żyd – starzec o niebieskich oczach i pociągłej twarzy z długą, siwą brodą. Miał na sobie czarny chałat. Widząc tłum przed drzwiami, pokręcił głową i zaczął mamrotać modlitwę. Ale modlitwa nie mogła go ocalić.

Motłoch zaryczał. I ruszył.

Michael dopiero teraz zdał sobie sprawę, kim jest starzec. Był to Abraham, Żyd, który sprzedał jego bratu Bocton.

Nie wahał się ani chwili, nie miał wyboru. Zaczął przepychać się do przodu. Ludzie, widząc mnicha, ustępowali mu z drogi i po chwili stanął obok starca. Podniósł rękę, jakby chciał ich powstrzymać.

– To jak, braciszku, sam go zabijesz czy my mamy to zrobić?! – zawołał jakiś głos.

– Nikt go nie zabije. Wracajcie do domów.

– Dlaczego? Przecież niewiernych należy zabijać!

– Właśnie, bracie – wtrącił kupiec. – Wyjaśnij nam, dlaczego mamy tego nie robić?

Dziwne, ale w pierwszej chwili nie wiedział, co odrzec. Zwykłe poczucie człowieczeństwa mówiło mu, że tak się nie godzi, ale tym

argumentem nie ocaliłby Abrahama. Czyż celem wszystkich chrześcijan nie była walka z niewiernym, z muzułmanami, żydami i heretykami? Nie mogąc zebrać myśli, spojrzał bezradnie na starca, a ten mruknął:

– Czekamy na odpowiedź, bracie.

I wtedy, niech Bogu będą dzięki, olśniło go. Wielki mnich Bernard z Clairvaux, niezmordowany założyciel klasztorów, człowiek, który wywołał poprzednią krucjatę i którego obwołano świętym, sam Bernard głosił: „Napisane jest, że ostatecznie także Żydzi nawrócą się na prawdziwą wiarę. A jeśli będziemy ich zabijać, nie nawrócą się nigdy".

– Sam święty Bernard mówił, że Żydów nie należy krzywdzić! – krzyknął. – Trzeba ich wszystkich nawrócić. – Spojrzał triumfalnie na starca.

W tłumie wyczuwało się wahanie. Wtedy Michael, wznosząc oczy do nieba, zrobił coś niesłychanego.

– Poza tym to i tak bez znaczenia! – zawołał. – Znam tego człowieka. On już się nawrócił.

Nie czekając na odpowiedź, chwycił starca za ramię, przecisnął się z nim przez tłum i ruszył w kierunku West Cheap. Nie obejrzał się ani razu.

– Skłamałeś – stwierdził Abraham.

– Przepraszam.

Starzec wzruszył ramionami.

– Jestem Żydem – powiedział cierpko. – Nigdy ci nie wybaczę.

Michael nie zdawał sobie sprawy, że to był gorzki żydowski żart.

Wciąż nie byli bezpieczni. Motłoch, pewnie plądrujący teraz dom Abrahama, mógł w każdej chwili znów zaatakować. Po mieście grasowały też inne bandy. Michael zastanawiał się gorączkowo.

– Zabiorę cię do mojego brata – powiedział w końcu.

Spotkała go niemiła niespodzianka. Przy St Mary-le-Bow natknęli się na Bulla w towarzystwie Pentecosta Silversleevesa. Sampson, dowiedziawszy się o zajściu, rzucił krótko:

– Nie chcę, żeby mi spalili dom. Idź z nim gdzie indziej.

– Przecież ty go znasz, kupiłeś od niego Bocton! – zaprotestował Michael. – Mogą go zabić.

Bull był niewzruszony.

– Za duże ryzyko. Przykro mi. – Odwrócił się plecami.

Ku zaskoczeniu mnicha to Pentecost Silversleeves podsunął im rozwiązanie.

– Zabiorę go do Tower. Konstabl zapewnia Żydom ochronę. Chodźcie.

Gdy Michael powiedział, że przynajmniej urzędnik trybunału skarbowego okazuje ludzkie uczucia, Silversleeves spojrzał na niego beznamiętnie.

– Niczego nie rozumiesz – powiedział chłodno. – Chronię go, bo Żydzi stanowią ruchomy majątek króla.

Nie wszyscy Żydzi mieli tyle szczęścia. Motłoch napadał, plądrowano domy bogatych cudzoziemców. Gdy rozeszły się wieści o londyńskich zamieszkach, do podobnych aktów okrucieństwa doszło w innych miastach. Najstraszniejsza rzecz wydarzyła się w Yorku, gdzie spalono żywcem całą kongregację. Król Ryszard wpadł we wściekłość i nakazał surowo ukarać sprawców, jednak po londyńskim pogromie z września 1189 roku znaczenie społeczności żydowskiej stopniowo malało, co miało tragiczne konsekwencje w następnych stu latach.

Z tamtego wieczoru Michael zapamiętał nie rozgniewany tłum czy Abrahama. W jego umyśle zapisał się obraz bladej, dumnej twarzy, ciemnych oczu i długiej białej szyi.

Siostra Mabel była szczęśliwą kobietą. Po części dlatego, że na początku roku w jej życiu pojawiło się dziecko.

Nie własne. Ale pokochała je jak swoje.

Mabel niczego nie robiła połowicznie. Gdy płatnerz Simon zmarł nagle, pozostawiając młodą żonę i maleńkiego syna, nie tylko wspierała wdowę, ale praktycznie zaadoptowała chłopczyka. Tak się złożyło, że jej brat miał czwórkę dzieci, więc któregoś dnia pojawiła się u niego z niemowlęciem na rękach.

– Nasze maluchy będą miały się z kim bawić.

Chłopczyk miał na imię Adam. Z powodu błony między palcami i białego pasma włosów Barnikelowie przezwali go Kaczorkiem. I tak już zostało: Adam Ducket.

Mabel była zadowolona z takiego rozwiązania. Odwiedzała Adama i jego matkę niemal codziennie, a młoda wdowa przyjmowała jej pomoc z wielką wdzięcznością.

– Mąż miał dwie córki z poprzedniego małżeństwa – tłumaczyła Mabel. – Ale one są już zamężne i nie sądzę, by chciały się nami zająć.

Jednak wdowa po Simonie i tak miała dużo szczęścia. Większość prostych londyńskich rzemieślników posiadała jedynie narzędzia. Warsztat płatnerski przeszedł wprawdzie w ręce nowego mistrza, ale Simon zostawił żonie w spadku niewielki, czteroizbowy domek niedaleko Cornhill, więc kobieta dawała sobie radę, wynajmując dwie izby i pracując ciężko jako szwaczka.

Nie był to cały spadek. Za sprawą Mabel wydarzyło się coś pozornie nieistotnego, co przyniosło jednak nieoczekiwane skutki dla rodziny Ducketów. Sprawa dotyczyła niewielkiego kawałka ziemi pod Windsorem.

Wdowa nigdy nie mogła pojąć, dlaczego jej mąż był tak przywiązany do kilku akrów przynoszących znikomy dochód. „Tę ziemię posiadał mój

ojciec, a przed nim jego dziadek – mawiał często Simon. – Nasza rodzina żyła tam jeszcze za czasów króla Alfreda”. Najwyraźniej cenił wysoko dziedzictwo przodków. Co roku pokonywał trzydzieści kilometrów, żeby zapłacić należny czynsz i namówić dalekich krewnych – którzy wciąż nie wyzwolili się z pańszczyzny – do pracy na jego roli. Tuż przed śmiercią Simon wymógł na żonie przyrzeczenie.

– Obiecaj mi, że nigdy nie pozbędziesz się tej ziemi. Zachowaj ją dla Adama.

– Ale co ja mam z nią robić? – pytała wdowa. – Nawet nie wiem, jak tam pojechać.

Odpowiedź na wątpliwości przyniósł pewien ranek, gdy Mabel przyjechała do Cornhill małym wozem pożyczonym od brata.

– Trochę śmierdzi rybą – przyznała – ale wystarczy. Pojedziesz do Windsoru. My przez ten czas zajmiemy się dzieckiem.

Tak oto matka Adama wybrała się w drogę, żeby zabezpieczyć dziedzictwo syna.

Dotarła do wioski drugiego dnia podróży. Miejsce niewiele się zmieniło od czasów wielkiego spisu. Przy drodze zauważyła mężczyznę z pasmem białych włosów nad czołem, więc od razu zauważyła, że to krewny jej męża. Wyglądał nieco podejrzanie, ale szybko się uspokoiła, bo się okazało, że jest głową rodziny, w dodatku ma dla niej korzystną propozycję.

– Nie będziesz musiała przyjeżdżać co roku – oświadczył. – Nie ma takiej potrzeby. Będziemy obrabiać ziemię jak do tej pory. Gdy sprzedamy plony, w twoim imieniu zapłacimy zarządcy czynsz. A potem ktoś z nas przyjedzie do Londynu, żeby się z tobą rozliczyć. – Uśmiechnął się. – Mam dwóch synów i córkę, którzy chętnie wybiorą się do miasta. Byłbym wdzięczny, gdyby mogli zatrzymać się u ciebie na parę dni.

Nazajutrz ustalono wszystko z zarządcą i wdowa mogła wrócić do domu zadowolona, że ktoś zdjął jej z barków ten kłopot.

Wrzesień upłynął Idzie całkiem znośnie. Dom, którym teraz zarządzała, powiększono znacznie w ciągu ostatnich kilku dziesięcioleci. Jak większość siedzib kupieckich był zbudowany z drewna i zaprawy. Bull prowadził interesy na parterze, na pierwszym piętrze znajdowała się główna izba i sypialnia, a na strychu spał David i służba. Dom miał specyficzny wygląd, typowy dla większości ówczesnych londyńskich budynków.

Wynikało to z konstrukcji poszczególnych kondygnacji. Pierwsze piętro miało większą powierzchnię niż parter, przez co wystawało o kilkadziesiąt centymetrów nad ulicę. Kolejne piętro było jeszcze bardziej wysunięte – choć dwupiętrowe budynki stanowiły w owych czasach rzadkość – przez co niektóre uliczki przypominały wąskie tunele.

Dom Bulla wyróżniał się także tym, że przewieszona część wyższej kondygnacji opierała się na poziomych balach wykonanych z ogłowionych dębowych konarów. Konary były nieobrobione, często zostawała na nich kora, więc choć wytrzymałe, w wielu miejscach miały nieregularne kształty. W rezultacie dom wydawał się przekrzywiony, jakby miał się zawalić, mimo że w rzeczywistości mógł przetrwać nawet kilkaset lat – pod warunkiem że nie strawiłby go ogień.

Ogień stanowił wielkie zagrożenie. Często wybuchały pożary. Tego roku wydano więc nakaz przebudowy parterów domów z użyciem cegły lub kamienia oraz zastąpienia słomianych strzech dachówkami albo mniej łatwopalnym budulcem. Jednak Sampson Bull oświadczył: „Ani myślę się z tym spieszyć. To będzie kosztować majątek”.

Ida miała pełne ręce roboty, ale przywykła do zarządzania majątkiem. Nie dość, że nadzorowała służbę i innych robotników, to jeszcze musiała wspomagać męża w pracy. Szybko nauczyła się oceniać jakość wełny

w workach, beli sukna i zwojów sprowadzanego z zagranicy jedwabiu, tak samo jak kiedyś pilnowała, by zboże było dojrzałe, a bydło dostawało dobrą paszę. Na szczęście służba odnosiła się do niej przychylnie. Dwie dziewczyny pracujące w kuchni najwyraźniej ucieszyły się, że nareszcie mają panią domu, a którejś soboty Bull zabrał ją do Smithfield, gdzie kupili piękną młodą klacz.

Ale najwięcej radości dawał jej David. Szybko się zaprzyjaźnili. W dzień chodził do szkoły przy pobliskiej katedrze Świętego Pawła, wieczory zaś spędzali razem. Widać było wyraźnie, że przez ostatni rok chłopak nie miał z kim porozmawiać. Wystarczyło, że go wysłuchała, a on od razu nabrał do niej zaufania.

No i był oczywiście brat Michael. Za jej usilną namową przychodził do nich raz w tygodniu na obiad. W skrytości ducha żałowała, że nie zjawia się częściej.

Nie minęły nawet dwa tygodnie od koronacji, gdy Bull oznajmił niespodziewanie, przerywając spokojny rytm codziennego życia:

– Pojedziemy na kilka dni do Bocton.

Na miejsce dotarli o zmierzchu. Pokochała Bocton od pierwszej chwili. Rycerz, który tu zamieszkiwał, pozostawił skromny murowany dwór z pięknym dziedzińcem i dużymi drewnianymi zabudowaniami gospodarczymi. Jej poprzednie włości wyglądały podobnie. Ale prawdziwy zachwyt czekał ją nazajutrz, gdy tuż po wschodzie słońca spojrzała na wspaniałą, rozległą dolinę Weald. Piękny widok zapierał dech w piersiach.

– To miejsce zawsze należało do nas – powiedział cicho Bull. – Dopóki nie pojawił się król Wilhelm.

Przez krótką chwilę Ida poczuła, że łączy ją z nim więź.

Krótki pobyt w Bocton sprawił jej przyjemność, mimo że wywołał sprzeczne emocje. Z jednej strony była zadowolona, że Bull jest

właścicielem takiego majątku, a jednocześnie to boleśnie przypominało jej o tym, co straciła. I zapewne ów żal sprawił, że tuż po powrocie do Londynu popełniła pierwszy poważny błąd w małżeństwie z Sampsonem.

Było to w dzień świętego Michała. Akurat wracała do domu po południu, gdy usłyszała podniesione głosy. Weszła do środka i zobaczyła trzy osoby. Poczerwieniałego Sampsona Bulla, który siedział przy dębowym stole, brata Michaela i pobladłego Pentecosta Silversleevesa z lekko wzgardliwą miną. Nagle słowa męża wytrąciły ją z równowagi.

– Jeśli król Ryszard tak ma rządzić, to niech idzie do diabła! – grzmiał kupiec. A potem dorzucił: – Londyn obwoła sobie innego króla.

Ida zbladła, bo zabrzmiało to jak zdrada.

Powód wściekłości Bulla był prosty. Szło o podatki. Stosunki króla z miastem zawsze były trudne, choć wyznaczone określonymi granicami. Miasto płaciło roczny podatek gruntowy. Gdy król był słaby, mogło negocjować obniżenie stawki oraz wybierać szeryfów – poborców. Gdy władza królewska się umacniała, podatek rósł i to król mianował szeryfów, zasięgając opinii mieszkańców. To najwięksi londyńscy notable decydowali, w jaki sposób podatek zostanie ściągnięty. Ostateczne ustalenia ogłaszano w dzień świętego Michała.

– Czy ty wiesz, co ten przeklęty Ryszard zrobił? – pieklił się Bull. – Nie ma szeryfów. Przysłał swoich nadzorców, takich jak ta marionetka. – Wskazał na długonosego urzędnika. – Nawet nie zapytawszy nas o zgodę! Chcą nas ogołocić ze wszystkiego, krwiopijcy. Co za niesprawiedliwość!

Ten opis w zasadzie odpowiadał rzeczywistości. Silversleeves, zgodnie ze starą zdroworozsądkową zasadą, właśnie zażądał od kupca szokującej sumy. „Najlepiej zacząć wysoko – uznali członkowie trybunału skarbowego – a potem trochę ustąpić”. Przecież trzeba było zebrać pieniądze na królewską krucjatę.

Lecz dla przedstawicieli rycerskiego stanu zdrada była niedopuszczalna.

– Uważaj, co mówisz o królu – powiedziała Ida do męża z przyganą w głosie.

W następnych miesiącach Michael czynił sobie wyrzuty. Gdyby ją wtedy wyprowadził z izby, nie usłyszałaby całej rozmowy. Powinienem był przewidzieć, jak to się potoczy, myślał. Nic jednak nie zrobił – również dlatego, że ten spór go zaciekawił. A Ida nie przypuszczała, że usłyszy takie straszne słowa.

Bo oto jej mąż z całym spokojem odezwał się do urzędnika:

– Król jest głupcem. Londyńscy baronowie nie pozwolą się tak traktować.

Wiedziała, że najbogatsi mieszczanie chętnie nazywali się baronami, ale uważała to za głupie i pretensjonalne. Oczekiwała ostrej reakcji królewskiego urzędnika, ale się zawiodła. Silversleeves wiedział swoje. Silny władca, taki jak Wilhelm Zdobywca albo Henryk II, mógł dyktować miastu swoje warunki, ale w okresie anarchii sprzed panowania Henryka, pamiętanym jeszcze przez wielu ludzi, to właśnie londyńczycy zapewniali równowagę sił w królestwie. Poza tym Pentecost był sprytny i choć chciał jak najlepiej przysłużyć się swojemu panu, to wolał nie robić sobie zbyt wielu wrogów, zwłaszcza w tych niepewnych czasach. Ku zaskoczeniu Idy usiadł przy dębowym stole naprzeciwko Bulla i powiedział niemal przepraszającym tonem:

– Jak wam pewnie wiadomo, Ryszard nic nie wie o Anglii i wcale o nią nie dba.

– W takim razie będzie miał miasto przeciwko sobie.

– Król jest dziś silny – zauważył Silversleeves. – Dlatego uważam, że będziecie musieli zapłacić.

– W tym roku owszem. Ale w przyszłym może już nie. A potem – Bull spojrzał mu w oczy – zobaczymy. – Wzruszył ramionami. – Jeśli dopisze nam szczęście, król zginie podczas krucjaty.

Ida aż wstrzymała oddech. Nie dość, że Silversleeves nie zaprotestował, to jeszcze pochylił się do przodu i zapytał konfidencjonalnie:

– Wszyscy wiemy, że to błąd, ale powiedzcie mi uczciwie, jak ostro Londyn może zareagować?

Bull zastanawiał się przez chwilę. A potem odezwał się poważnym tonem, patrząc Silversleevesowi prosto w oczy:

– Jeśli król nie będzie przestrzegał zasad, jeśli unieważni prawo zwyczajowe, to my się na to nie zgodzimy.

Ida uznała te słowa za głupie. Pentecost – za przerażające. Prawo zwyczajowe było w Anglii wszystkim. Obowiązywało w każdym dworze i w każdej wsi jak królestwo długie i szerokie, mimo że nie zostało spisane. Nawet normandzcy zdobywcy byli na tyle mądrzy, że nie ważyli się go tknąć. Podobnie prawa zwyczajowe Londynu nie zostały formalnie ustanowione, ale od czasów Wilhelma przestrzegali ich wszyscy królowie. Ten kodeks regulował życie saskich i nordyckich mieszczan. Normy prawa zwyczajowego były elastyczne, ale miały swoje granice. Ich złamanie oznaczało koniec wspólnoty. Ida jedynie się tego domyślała. Pentecost wiedział o tym od kołyski.

A potem Bull rzekł coś, co dla Idy zabrzmiało jeszcze osobliwiej, ale z czasem użyte przez niego słowo stało się dla niej zrozumiałe i odrażające jednocześnie.

– Zdziwiłbym się, gdyby to nie doprowadziło do komuny.

Silversleeves zbladł.

Komuna miejska. Ida miała tylko mgliste pojęcie, co to oznacza, choć taki typ władzy samorządowej nie był nowy. Starożytne miasto Rouen

w Normandii było komuną przez pół wieku, podobny ustrój miało kilka innych europejskich miast. W przeszłości londyńscy baronowie kilka razy postulowali takie rozwiązanie, ale bez większego powodzenia.

Komuna była marzeniem każdego mieszczanina. Miasto stawało się bowiem samorządne i praktycznie niezależne od monarchy – państwo w państwie, wybierające swojego zarządcę, którego nazywano burmistrzem. Europejskie komuny miały jeszcze jedną cechę, o której Silversleeves doskonale wiedział.

Dochody króla brały się z trzech głównych źródeł. Pierwszym był roczny podatek gruntowy pobierany ze wszystkich hrabstw. Dwa pozostałe obejmowały podatki nakładane sporadycznie i przeznaczane na konkretne cele wyznaczane przez króla i jego radę. Zaliczały się do nich daniny będące formalnie darami od panów feudalnych dla króla oraz podatek pogłówny płacony przez wszystkich ludzi wolnych, zwłaszcza mieszkających w miastach.

W średniowiecznej Europie komuna była traktowana jak pojedynczy feudalny baron. Burmistrz przekazywał królowi podatek gruntowy w wysokości ustalonej według własnego uznania. Podobnie płacono daniny. Ale ponieważ komuna równała się jednemu baronowi, a w obrębie murów miejskich żyło tysiące wolnych ludzi, podatku pogłównego nie sposób było ściągnąć. Mieszkańcy miasta nie byli bowiem poddanymi króla, lecz należeli do barona o nazwie Londyn. Można było więc uznać komunę za swojego rodzaju raj podatkowy dla zwykłych ludzi. Nic dziwnego, że urzędnik trybunału skarbowego myślał o tym z obawą.

– A ty byłbyś za komuną? – spytał.

– Tak – odpowiedział Bull krótko.

Ida przysłuchiwała się tej nieprawomyślnej rozmowie z rosnącym przerażeniem. Za kogo ci aroganccy kupcy się uważają? Gdyby nie wizyta

w Boston, która przypomniała jej o dawnym życiu, być może zachowałaby milczenie. Gdyby była wdową po wielkim możnowładcy, znającą potęgę największych europejskich miast, być może umiałaby zachować roztropność. Ale była jedynie wdową po prowincjonalnym rycerzu, do tego niezbyt bystrą. Wiedziona więc jedynie uprzedzeniami swojej warstwy społecznej, zwróciła się do męża z pogardą:

– Mówisz o królu. Jesteśmy mu winni posłuszeństwo. – A widząc zdziwione spojrzenia, wybuchnęła: – I wy nazywacie siebie baronami?! Jesteście zwykłymi kupcami! I do tego rozmawiacie o komunie. Co za zuchwałość! Ale król was zmiażdży. I racja będzie po jego stronie. Macie płacić podatki i robić to, co się wam każe. Zapominacie, gdzie wasze miejsce – dorzuciła na koniec.

Te słowa, przepełnione bólem jej upokorzenia, miały im przypomnieć, że bez względu na traktowanie ona i tak pozostanie damą. Wzburzona i zaczerwieniona, poczuła dumę. Nawet nie przyszło jej do głowy, że mówi niedorzeczności.

Bull milczał dłuższą chwilę, patrząc obojętnie na ciężki dębowy stół. W końcu się odezwał:

– Widzę, moja pani, że popełniłem błąd, ożeniwszy się z tobą. Nie wiedziałem, że jesteś aż tak głupia. Ale jako moja żona winna mi jesteś posłuszeństwo. Precz.

Odwróciła się. Była blada i drżała na całym ciele. Stojący przy drzwiach David przyglądał się jej uważnie.

W ciągu następnych tygodni ich stosunki bardzo się ochłodziły. Oboje czuli się zranieni i jak inni małżonkowie widzący pogardę u drugiego odnosili się do siebie z wrogą obojętnością.

Brat Michael nadal ich odwiedzał. Próbował ich rozweselić za wszelką cenę. Modlił się też za nich, choć widział, że nie przynosi to widocznych

rezultatów. Ida zastanawiała się, co David zrozumiał z tamtej burzliwej rozmowy. Wyjaśniło się to po kilku dniach, gdy usiedli razem w izbie.

– Czy mój ojciec jest niegodziwym człowiekiem? – spytał. A gdy zaprzeczyła, dodał: – Ale przecież nie powinien występować przeciwko królowi?

– Nie powinien – przyznała szczerze. Nie chciała jednak rozwijać tego tematu.

W owym czasie mimo wszystko miała powód do skromnej satysfakcji. Wprawdzie lord Fitzwalter nie zatroszczył się o nią przed ślubem, ale przy każdej okazji podkreślała, że łączą ją z nim więzy pokrewieństwa. I któregoś dnia, po wyjściu z mszy w katedrze Świętego Pawła, tak zręcznie zbliżyła się do niego, że nie miał wyjścia – musiał ją zauważyć, a nawet pozdrowić. Często nazywała go swoim kuzynem, przez co ci znajomi męża, którym takie rzeczy imponowały, czuli się w jej obecności nieco onieśmieleni. A to sprawiało jej wielką przyjemność.

Nadeszła zima. Na początku grudnia król Ryszard przeprawił się do Normandii. W Anglii panował spokój.

Pewnego zimowego wieczoru siostra Mabel o mało nie sprowadziła wiecznego potępienia na brata Michaela. W każdym razie tak to wspominała po latach.

Zima w Londynie była mroźna i wszyscy szukali ciepłego kąta. W klasztorze Świętego Bartłomieja obchodzono Boże Narodzenie. Zapadł zmierzch, na niebie świecił rogalik księżyca. Dachy pokrył płaszcz śniegu; dziedziniec skrzył się na biało. Po wieczornej komplecie kanonicy udali się na ucztę. Podawano łabędzia, wino z korzeniami, trzy gatunki ryby i słodycze. Nawet pacjenci szpitala pożywiali się jakimiś kąskami przy świetle dymiących kaganków. Wszędzie zapanował radosny nastrój.

Nic więc dziwnego, że siostra Mabel, wypiwszy może nieco więcej, niż powinna, miała zarumienione policzki. I nic dziwnego, że gdy mijali w krużganku piecyk, zaproponowała Michaelowi, aby przysiedli na chwilę w cieple.

Żar z węgla drzewnego rzucał wokół ciepły blask. Michael też był w dobrym humorze. Rozmawiali przez chwilę o swoich bliskich i w pewnym momencie Mabel zapytała, czy kiedykolwiek kochał kobietę.

– Owszem – przyznał. Tak mu się wydawało. – Ale ślubowałem temu. – Wskazał na budynek klasztoru.

– A ze mną nikt nie chciał się ożenić – zwierzyła się.

Potem zachichotała i podciągnęła habit nad kolano.

– Zawsze myślałam, że mam niezłe nogi – powiedziała. – A ty jak sądzisz?

Jej noga była silna, pulchna, pokryta piegami i zaskakująco skąpym owłosieniem, prawie niewidocznym, bo jasnego koloru. Wielu uznałoby ją za całkiem ładną. Michael przyglądał się przez chwilę.

Zamiary Mabel były oczywiste, ale on wcale się nie oburzył. Wręcz przeciwnie, był wzruszony. Wiedząc, że to jej pierwsze i zapewne ostatnie zaloty w życiu, pocałował ją delikatnie w czoło.

– To prawda, masz ładne nogi, Mabel. Dzięki nim możesz służyć Bogu.

Wstał powoli i minąwszy krużganek, opuścił klasztor Świętego Bartłomieja i zniknął w ciemnościach Smithfield.

Dwa dni później, pocieszywszy się myślą, że diabeł czyhający na Michaela tym razem odszedł z niczym, oznajmiła wesoło spowiednikowi:

– Mój los jest przesądzony. Pójdę do piekła i nic na to nie poradzę. Ale brat Michael wciąż jest niewinny.

W ostatni wieczór grudnia odbyło się potajemne spotkanie.

W pewnym domu niedaleko Kamienia Londyńskiego zjawiło się siedmiu mężczyzn; przybyli oddzielnie, pilnując, by nikt ich nie zauważył po drodze. Wszyscy byli rajcami. Ich rozmowa trwała godzinę. Nie tylko ustalili priorytety, ale także obmyślili strategię i taktykę.

– Najpierw musimy zająć się podatkiem gruntowym – oznajmił przywódca, co spotkało się z ogólną aprobatą. Ale mieli też do rozważenia kilka innych, znacznie poważniejszych kwestii.

Na sam koniec ktoś zauważył, że będą potrzebowali donosiciela.

– Znam odpowiedniego człowieka – powiedział Sampson Bull po chwili zastanowienia. – Zostawcie to mnie. – A gdy rozległy się pytania, kogo ma na myśli, uśmiechnął się tylko. – Silversleevesa – odpowiedział.

Kilka dni później w Londynie pojawił się posłaniec, który przyniósł wieści ważne i przerażające.

Na angielskim wybrzeżu wylądował brat króla Jan.

Kwiecień 1190 roku

Pentecost Silversleeves przyglądał się rodzinie Barnikelów. Nie pałali do niego sympatią, ale to nie miało znaczenia. Oni się nie liczyli. Krępy rudowłosy handlarz rybami i jego dzieci, jakaś kobieta trzymająca za rękę małego chłopca i ta dziwna siostra Mabel.

– To niesprawiedliwe – zaprotestowała ta ostatnia.

Wiedział o tym.

– Zapłaciłem za sieci – przypomniał handlarz.

– Obawiam się – powiedział Pentecost układnie – że odszkodowanie nie wchodzi w grę.

– A zatem inne prawo jest dla bogaczy, a inne dla biednych – stwierdziła Mabel z niesmakiem.

Silversleeves się uśmiechnął.

– Owszem – przytaknął.

Sieci na Tamizie. Stary problem. Nie, sieci Barnikela nie uszkodziły ponownie statku Bulla, ale kupiec, zobaczywszy je któregoś dnia na rzece, wpadł we wściekłość. Odbył rozmowę z Silversleevesem, który z kolei szepnął słowo kanclerzowi i już następnego dnia nakazano usunąć sieci, mimo że Barnikel – wprawdzie nie biedak – sporo zapłacił za prawo rozstawiania ich w tym miejscu.

Zaraz potem Silversleeves pospieszył do Bulla, żeby go poinformować o pomyślnym załatwieniu sprawy. Co było naturalne, jako że od trzech miesięcy rajca Sampson Bull był jego największym przyjacielem.

Wszystko zaczęło się powoli, prawie niezauważalnie. Najpierw pojawiły się jedynie mgliste pogłoski, ale umiał odczytywać znaki i w marcu miał już pewność. Jan.

Dlaczego król Ryszard ustąpił i pozwolił młodszemu bratu na przyjazd do Anglii? Bo nim pogardzał. Rzeczywiście, w porównaniu z resztą rodziny Jan nie wypadał dobrze. Jego ojciec miewał ataki szału, a on sam ataki epilepsji. Ryszard był wysoki, jasnowłosy i otaczała go aura bohatera, natomiast Jan był krępy, niski, miał niecałe sto sześćdziesiąt centymetrów wzrostu i nie mógł się pochwalić wojennymi sukcesami. Czasem miewał przebłyski inteligencji, ale działał nerwowo i bez planu, więc Ryszard go nie szanował. Ale jak wszyscy Plantageneci Jan zazdrościł bratu korony.

Pozornie nie robił nic. Ryszard wciąż przebywał w Europie, gdzie gromadził wojsko i naradzał się przed krucjatą ze swoim towarzyszem królem Francji. Jan nie opuszczał swoich posiadłości w zachodniej Anglii. Podobno spędzał czas na polowaniach. Ale Silversleeves nie dał się zwieść. Wiedział, że Jan czeka, by w odpowiednim momencie uderzyć. Wiadomo w kogo.

W jego protektora, Longchampa.

Początkowo wszystko układało się po ich myśli. Kanclerz wykazywał się wielkim sprytem i pod nieobecność króla stał się najpotężniejszym człowiekiem w Anglii. Za gorliwą służbę wynagrodził Pentecosta paroma beneficjami. Przyszłość rysowałaby się w świetlanych barwach, gdyby nie pewien problem.

– Longchamp jest arogancki. A to niedobrze – tłumaczył Pentecost żonie. – Narobił sobie wrogów. – Kanclerz nie krył swojej pogardy dla kilku wielkich feudalnych rodów. – A oni będą chcieli się go pozbyć.

Żona się zaniepokoiła.

– Nie możesz im na to pozwolić. On jest dla nas zbyt cenny.

Pojawiały się kolejne ostrzeżenia, drobne, ale złowieszcze. Gdy kanclerz naraził się jakiemuś rycerzowi lub baronowi, ten od razu – jak głosiła wieść – udawał się do Jana. Krążyły też inne pogłoski. „Podobno agenci Jana są już w Londynie”, powiedział mu jeszcze w styczniu jeden z kupców, ale nie chciał wymienić nazwisk. Pentecost zachowywał czujność, nie wpadł jednak na żaden trop.

Na szczęście zaprzyjaźnił się z Bullem.

Nawet nie pamiętał, jak do tego doszło. Wskutek jakiegoś kurtuazyjnego zaproszenia od kupca? Kilka przypadkowych spotkań w mieście? Gdyby Pentecost głębiej się nad tym zastanowił, to musiałby dojść do wniosku, że inicjatywa wyszła od Bulla. Tak czy inaczej, było mu to na rękę. „On wie, co się dzieje w mieście – tłumaczył żonie. – Ta znajomość bardzo mi się przyda”.

Próbował zaprzyjaźnić się z rodziną Bulla. Idzie okazywał uprzejmość. Nie zapałała do niego sympatią, ale traktowała go łagodniej, gdy za każdym razem kłaniał się jej głęboko, nazywając damą. Z Davidem poszło mu łatwiej. „Służę samemu królowi”, powtarzał ciągle. Zabrał go nawet do Exchequera. „Tu pilnujemy królewskich interesów”, wyjaśnił. Tylko Bull

był zawsze niezadowolony. Jednak incydent z sieciami miał pokazać potężnemu rajcy, że Silversleeves i jego pan, Longchamp, stoją po jego stronie. Pentecost oczekiwał w zamian jednego: „Mów mi o wszystkim, co się dzieje w mieście”.

Zbierając się do wyjścia, Pentecost zauważył nagle, że chłopczyk trzymający kobietę za rękę wygląda dziwnie znajomo. Ściągnął brwi i po chwili zorientował się, co przyciągnęło jego uwagę: dziecko miało biały kosmyk włosów nad czołem.

– Czyj to syn? – zapytał.

Mabel nie widziała powodów, by ukrywać prawdę.

W drodze do Bulla Pentecost popadł w głębokie zamyślenie. Nie miał pojęcia, że płatnerz Simon osierocił syna. Uznał to za pomyślną okoliczność, którą mógł obrócić na swoją korzyść. Syn czy ojciec – nieważne. Chłopak był jeszcze mały, więc Pentecost miał dużo czasu, żeby obmyślić odpowiednie posunięcie. Po paru chwilach na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

Nie spodziewał się, że zastanie Bulla w tak posępnym nastroju. Kupiec podziękował mu za pomoc w pozbyciu się sieci i ująwszy go pod ramię, oznajmił:

– Powinieneś o czymś wiedzieć.

Silversleeves zbladł jak kreda.

W maju brat Michael zrozumiał, że sprawa jest przegrana. Właśnie w maju pojawił się cudzoziemiec.

Nazywał się Gilbert de Godefroi i był rycerzem. Niedaleko zachodniego zamku w Sarum miał dwór zwany Avonsford. Zatrzymał się u Bulla.

Nie było to nic dziwnego. Zwykli pielgrzymi nocowali w hospicjach, a rycerze zazwyczaj znajdowali gościnę w kupieckich domach. Gdy więc Godefroi pokazał list od pewnego kupca z West Country, Bull nie miał

innego wyjścia, jak zaprosić go do siebie. Rycerz spał w głównej izbie, a jego giermek w stajni.

Gilbert de Godefroi wyruszał na krucjatę i w Londynie kończył ostatnie przygotowania. Był wysokim mężczyzną w średnim wieku, smutnym i poważnym, dość oschłym w obejściu. Widywali go rzadko, bo wstawał co dzień przed świtem, żeby zdążyć na jutrznię, pierwsze nabożeństwo odprawiane w katedrze Świętego Pawła, a potem jechał do Westminsteru albo trenował konie w lasach w Islington. Wieczorem jadł skromną wieczerzę i udawał się na spoczynek. Na opończy nosił czerwony krzyż oznaczający krzyżowca. Był znakomitym rycerzem. Oraz wdowcem.

Godefroi mieszkał u Bulla już cztery dni, gdy brat Michael zobaczył go po raz pierwszy podczas rodzinnego posiłku. Dystyngowane maniery rycerza wywarły na nim wielkie wrażenie. David był nim wprost zachwycony. Nawet Bull mówił mniej niż zwykle. Lecz najbardziej zaskakująca zmiana zaszła w Idzie.

Nikogo nie dziwiło, że dbała o rycerza, w końcu był ich gościem. Jemu pierwszemu podawała jedzenie, co można było uznać za przejaw uprzejmości. Zrozumiałe było też to, że jak na prawdziwą damę przystało, ubrała się w powłóczyste szaty. Chodziło jednak o coś więcej. Zachowywała się jak przybysz w obcym kraju, który w końcu spotyka kogoś, kto mówi w tym samym języku. A przekaz kryjący się w słowach wypowiadanych do rycerza był aż nadto czytelny: „Oni i tak tego nie zrozumieją”. Wydawało się, że zupełnie zapomniała o mężu. Nawet mnie przestała zauważać, pomyślał Michael.

Rycerz prawie się nie odzywał, ale Michael wyszedł mocno zaniepokojony. Martwiło go, że Ida uważa jego brata za głupca. Sama przy okazji wystawiając się na pośmiewisko.

Tak naprawdę sprawy miały się jeszcze gorzej. Gdy rycerz pojawił się w ich domu, Ida od pierwszej chwili próbowała wzbudzić jego zainteresowanie. Wyjaśniła, kim jest i jak została upokorzona. Opowiedziała o swoim pochodzeniu z nadzieją, że zadzierzgną więź. Gdy wieczorem udawała się z Bullem do sypialni, patrzyła wielkimi, ciemnymi oczami na Godefroi, jakby chciała powiedzieć: „Ratuj mnie”. Próbowała nawet modlić się razem z nim. Bull przyglądał się temu w milczeniu.

Tydzień później Michael uznał, że sytuacja stała się naprawdę poważna. Postanowił działać. Dlatego przez kolejne dni pojawiał się u brata pod różnymi pretekstami. I wpadał w coraz większe przygnębienie.

Ida zabiegała o względy rycerza, ale to młody David wprost zapałał do niego miłością. Chodził za nim krok w krok. Patrzył, jak Godefroi ćwiczy z mieczem i wekierą, pomagał jego giermkowi, starszemu od niego zaledwie o parę lat, czyścił rycerzowi zbroję, żeby nie zaszła rdzą. Jak urzeczony patrzył na jego tarczę z białym łabędziem na czerwonym tle. Zwyczaj pokazywania herbów podczas turniejów rycerskich rozprzestrzenił się w ciągu minionych kilkudziesięciu lat – dla chłopca był to kolejny dowód, że Godefroi jest bohaterem. Jeszcze bardziej umocnił się w tym przekonaniu, gdy rycerz zamienił z nim kilka słów. A gdy dosiadł swojego wspaniałego rumaka, David ujrzał przed sobą półboga.

Pewnego poranka David, Michael i Ida patrzyli, jak Godefroi wyjeżdża konno z dziecińca.

– Jak ja bym chciał mieć takiego ojca – powiedział chłopak, zwracając się do macochy.

Ida się roześmiała. A potem padły bardzo bolesne słowa:

– Nie bądź głuptasem. Spójrz na swojego ojca. Przecież od razu widać, że on jest tylko kupcem. Szlachcicem trzeba się urodzić – stwierdziła Ida

z westchnieniem. Zaraz dorzuciła, chcąc pocieszyć Davida: – Znajdziemy ci odpowiednią żonę. Może twój syn zostanie rycerzem.

I tak syn londyńskiego kupca dowiedział się, że nie tylko jego potężny ojciec postępuje niewłaściwie, nie tylko stoi niżej od feudalnego rycerza, ale jeszcze sam Bóg stworzył go gorszym. Wcześniej nie miał o tym pojęcia.

Była to prawda. Rządy Normandczyków i Plantagenetów doprowadziły w całej Anglii, z wyjątkiem Londynu, do ogromnych zmian społecznych. Anglosaski szlachcic szczycił się przodkami wojownikami, ale jego szlacheckość wywodziła się z bogactwa. Człowiek posiadający dużo ziemi mógł uważać się za szlachcica. Podobnie jak bogaci londyńscy kupcy. Gdy wybuchała wojna, szlachta wyruszała do boju na czele oddziałów rekrutowanych ze swoich włości.

Lecz anglosaską szlachtę wyparli normańscy zdobywcy, którzy trzymali się z dala od Anglików. Oprócz majątku w Avonsford Godefroi miał też ziemię w Normandii. Mówił po angielsku, ale jego ojczystym językiem był francuski. Nie prowadził swoich kmieci na wojnę, bo niewyszkolone chłopskie wojsko stało się bezużyteczne. Ryszard Lwie Serce miał żołnierzy zaciężnych – twardych łuczników z Walii i siejących strach harcowników, najemników z Europy. Zdarzali się biedni rycerze. Bull dysponował majątkiem dwukrotnie większym niż Godefroi, ale to ten drugi należał do europejskiej rycerskiej arystokracji, wielkiej kasty połączonej więzami pokrewieństwa, której członkowie patrzyli na innych z pogardą. To nowe pojęcie szlachectwa, zakorzenione na wyspie, stało się przekleństwem angielskiego społeczeństwa.

Sampson Bull wiedział, że dzięki jego sprytowi i zaradności z czasem jego rodzina będzie mogła wżenić się i wkupić w taką szlachtę. Ida też to wiedziała, lecz bardzo nad tym ubolewała. Jednak David, patrząc na

rycerza, widział bajkowy świat. Własny ojciec był w jego oczach człowiekiem pospolitym i niegodziwym. Dlatego pogardzał nim w skrytości ducha. Tak Ida odwdzięczyła się mężowi.

Michael dostrzegł to i bardzo nad tym bolał. A przy następnej wizycie u brata przeżył prawdziwy wstrząs.

Po jedzeniu wyszedł na dziedziniec z Davidem i Sampsonem. W domu panowała cisza. Ida podobno sprawdzała zapasy w spiżarni, rycerz został sam. Przypadek sprawił, że Michael, wróciwszy do izby na chwilę, zobaczył ich razem.

Godefroi był milczący i nieporuszony jak zwykle. Ida stała naprzeciwko niego, mówiła coś cicho. A potem wyciągnęła rękę i dotknęła jego ramienia. Ten drobny gest wystarczył, żeby Michael wszystko zrozumiał. Pobladł i wycofał się niepostrzeżenie.

Tej nocy miał straszny sen. Widział ich splecione ciała, jej długą szyję odchyloną w ekstazie, widział, jak ona oddaje się rycerzowi. Widział jej ciemne oczy, długie włosy rozrzucone na piersiach. Słyszał jej zduszony krzyk. Obudził się ogarnięty przygniatającą, lodowatą udręką. Usiadł wyprostowany, a potem przez pięć nocnych godzin, które dzieliły go od świtu, chodził w tę i z powrotem po celi, nieustannie mając przed oczami obraz Idy kochającej się z rycerzem na wszystkie sposoby.

Gdy wstał majowy dzień i rozśpiewał się chór ptaków, Michael ruszył przez Smithfield ku katedrze Świętego Pawła. Przy drzwiach stało już kilka pobożnych dusz przyzywanych dźwiękiem dzwonu na jutrznię. Do świątyni zbliżał się Godefroi.

Bogobojny rycerz wysłuchał w spokoju Michaela. Nie okazał zdziwienia.

– Oskarżasz mnie o cudzołóstwo, mnichu? – spytał chłodno. – Uważasz, że powinienem opuścić dom twojego brata? Ja nie widzę takiej potrzeby. –

Odwrócił się i wszedł do katedry.

Michael przyłożył dłonie do czoła. Czyżby się pomylił? Może jego podejrzenia wobec tego pobożnego rycerza są niesłuszne? Zdezorientowany wrócił do klasztoru.

Trzy dni później Gilbert de Godefroi był gotowy do wyprawy. Ida ofiarowała mu rękawiczkę, która miała być jego talizmanem podczas wędrówki – dworski gest przynależny do świata rycerzy. Ale Gilbert odmówił przyjęcia daru.

– Jestem pielgrzymem do Ziemi Świętej – powiedział, patrząc na Idę poważnie.

Brat Michael odetchnął z ulgą.

Po odjeździe rycerza Ida i David popadli w apatię. David się rozchorował, przez co ucierpiała jego nauka w szkole. Dlatego latem Sampson poprosił Michaela o pomoc.

Nikt nie nazwałby Davida człowiekiem wykształconym, ale niewątpliwie chłopak był ciekawy świata, a stryja darzył wielkim szacunkiem. „Jesteś taki mądry”, mawiał ze szczerym podziwem, dlatego Michael chętnie dzielił się z nim swoją wiedzą.

A dysponował wiedzą typową dla średnio wykształconego człowieka tamtych czasów – była to mieszanka faktów i legend wyniesiona z biblioteki w opactwie westminsterskim, do której chętnie zaglądał. Umiał wymienić królestwa, z których pozszywana była Europa, porty i rzeki na kontynencie, największe miasta i święte miejsca. Umiał opowiadać o Rzymie i Ziemi Świętej. Na granicach średniowiecznego świata jego wiedza zacierała się, przechodziła w legendę.

– Na południe od Ziemi Świętej leży Egipt – opowiadał Davidowi – z którego Mojżesz wywiódł Żydów i poprowadził ich przez pustynię.

A u ujścia wielkiego Nilu leży Babilon. – Tak w średniowieczu nazywano Kair.

– A gdy się płynie w górę Nilu? – dopytywał niecierpliwie chłopiec.

– Wtedy można dotrzeć aż do Chin – mówił mnich pewnie, albowiem przeczytał to w jakiejś księdze.

Opowiadał też bratankowi o historii Londynu.

– Miasto założono dawno, dawno temu. Wcześniej nawet niż Rzym. Zbudował je wielki bohater Brutus, który potem wyruszył na wędrówkę i założył starożytną Troję. – A potem opowiedział, jak Rzymianie przybyli do miasta i jak je opuścili, i jak król Alfred odbudował miejskie mury.

– A jak się nazywali królowie przed Alfredem? – spytał chłopiec.

– Anglia miała wielu starożytnych władców – odpowiedział mnich. – Dwaj najsławniejsi żyli dawno, dawno temu. Pierwszym był król Artur z rycerzami Okrągłego Stołu.

– A kim był ten drugi?

– Drugi to stary król Cole [14]. – Michael był tego pewien. Przecież tak mówiły historyczne księgi.

Tym naukom często przysłuchiwała się Ida.

Można było się spodziewać, że w pogodny jesienny dzień siostra Mabel będzie w dobrym nastroju. Tak jednak nie było. Powód złości krył się w małym kościele, do którego właśnie zajrzała.

Piękny kościółek Świętego Wawrzyńca Silversleevesa stał na wąskiej parceli pomiędzy warsztatem powroźnika a piekarnią. U stóp wzgórza, gdzie zbocze schodziło do Tamizy, znajdowały się składy normandzkich winiarzy, a za nimi widać już było rzekę. Kościółek zbudowano z kamienia, jedynie dach był drewniany. Sklepienie miało aż cztery przęsła, dzięki czemu – gdyby kongregacja bardzo się rozrosła – w skromnej świątyni mogłaby się zmieścić nawet setka wiernych.

Tutejszy wikary był biednym, schorowanym człowiekiem z żoną i dwójką dzieci. Ponieważ przyjął święcenia, anielsko cierpliwa kobieta, z którą żył pod jednym dachem, nie była formalnie jego żoną, lecz konkubiną. Jednak nawet najbardziej surowi parafianie nie uważali tego za grzech śmiertelny. Większość londyńskich wikarych żyła z kobietami – inaczej umarliby z głodu.

Parafia Świętego Wawrzyńca Silversleevesa nie różniła się od innych. To Silversleevesowie powoływali wikarego, który czerpał dochody z datków i darowizn. Jeśli nikt w rodzinie nie chciał objąć tego stanowiska, oddawano je krewniakowi lub znajomemu. Wikary zajmował się też kilkoma innymi kościołami, z których czerpał dochód. Żeby sprostać wszystkim obowiązkom, wyznaczał swojego zastępcę, któremu wypłacał nędzne grosze. Było tego tak niewiele, że gdyby nie zarobki żony, ów zastępca nie miałby co włożyć do garnka.

Takim właśnie wikarym w kościele Świętego Wawrzyńca był trzydziestopięciolatek z rzadkimi siwymi włosami. Cierpiał na zawroty głowy. Jego żona, która pracowała w pobliskiej piekarni, była silniejsza, ale miała żylaki. A dwie córki o ziemistej cerze przypominały dwie złamane świeczki. Mieszkali wszyscy w zatłoczonym domu na tyłach kościoła. Byli tak biedni, że dwa lata wcześniej nawet Silversleevesowie ulitowali się i dali im szylinga na Boże Narodzenie.

Mabel zaglądała do nich jak najczęściej. A tego dnia, spędziwszy kilka godzin przy moździerzu w swojej spiżarni, przyniosła wikaremu wyciąg z glistnika na szwankujący wzrok i petunię na zawroty głowy. Zabrała też jałowiec na spuchnięte nogi żony, a dla zarobaczonych dziewczynek chleb na serwatce. Spędziła u nich godzinę, pocieszając ich i tłumacząc, jak zażywać leki. A gdy wyszła, miała w głowie tylko jedną myśl: „Ten podły Silversleeves musi coś z nimi zrobić. Już ja go przekonam”.

Od razu poszła do niego, ale go nie zastała.

– Już ja cię znajdę – mruknęła i ruszyła prężnym krokiem w kierunku Smithfield.

Zobaczyła go, gdy tylko dotarła na otwarty plac. Stał przy wejściu do kościoła Świętego Bartłomieja zajęty rozmową z bratem Michaelem.

– Mam cię – szepnęła z zadowoleniem. Szła szybko, a koszyk obijał jej się o nogi. I nagle, gdy była niecałe dwadzieścia kroków od mężczyzn, stanęła jak wryta. Nie mogła uwierzyć własnym oczom.

Tuż za tamtymi dwoma stała dziwna, biało-zielona postać z ptasią twarzą, zakrzywionym ogonem i trójzębem w dłoni. Poznała ją od razu: to ten sam demon, z którym rozmawiała wiele lat temu w swojej wizji. A teraz – nie mogła się mylić – na jego twarzy zakończonej dziobem malował się triumf. Przyszedł po Silversleevesa, pomyślała bez żalu. Dobrze mu tak.

Jednak przyjrzawszy się lepiej, dostrzegła z przerażeniem, że biało-zielony demon wcale nie patrzy na Silversleevesa, lecz długimi ramionami obejmuje niczego nieświadomego Michaela.

Tuż po dniu świętego Michała siedmiu mężczyzn spotkało się potajemnie u rajcy Sampsona Bulla. Wszyscy uznali zgodnie, że ich gospodarz zasługuje na uznanie.

– Doskonale sobie poradziłeś z tym Silversleevesem – orzekli. Rzeczywiście, nawet Bull uważał, że rozegrał to po mistrzowsku.

I wcale nie musiał kłamać. Żaden Bull nie posunął się nigdy do łgarstwa.

– Najwyżej trochę podkoloryzowałem – przyznał. A Pentecost chętnie we wszystko wierzył.

Wiosną Bull uprzedził Silversleevesa, że wysłannicy Jana rozpoczęli pertraktacje z kilkoma ważnymi rajcami. Z przyjemnością patrzył, jak ta wiadomość wywołuje u niego przerażenie. Owszem, odbyły się potajemne rozmowy, ale Janowi wciąż brakowało determinacji, a rajcowie robili

jedynie mgliste aluzje na temat wspólnoty interesów. Jednak przekonawszy Pentecosta, że przygotowania do spisku toczą się pełną parą, Bull zmusił go do działania.

„Nie mam najmniejszych wątpliwości, że po wprowadzeniu tego ogromnego podatku miasto stanie po stronie Jana i wesprze jego atak na twojego pana”, ostrzegał.

Od tamtej pory Bull miał już Silversleevesa na haczyku. Za jego pośrednictwem przekazywał kanclerzowi informacje, że znieważanie Londynu może być wielkim zagrożeniem. Pentecost spotykał się z Bullem niemal co tydzień i niecierpliwie wypytywał go o najnowsze wieści, na co krępy kupiec udzielał odpowiedzi mało konkretnych, ale za to budzących niepokój: „Jan jest wszędzie”. Albo: „Longchamp ma się czego obawiać”.

Silversleeves pracował bardzo sumiennie. Latem do rajców zaczęły docierać sygnały, że ich przedsięwzięcie przynosi spodziewane efekty. A kilka dni wcześniej, podczas jesiennego posiedzenia trybunału skarbowego, nadeszła wspaniała wiadomość.

„Wszystko! – zawołał Bull triumfalnie. – Mamy wszystko, czego chcieliśmy. Nowy królewski podatek zniesiony. Gruntowy obniżony do dawnej stawki. Wybieramy dwóch szeryfów”.

Silversleevesowi oświadczył z powagą: „Londyn jest twoim dłużnikiem”. A gdy Pentecost zaczął niecierpliwie wypytywać o szczegóły, powiedział: „Po co Londyn ma wspierać Jana, skoro Longchamp jest naszym przyjacielem?”.

Silversleeves mógł spać spokojnie tylko dlatego, że nie było go na spotkaniu w domu przy Kamieniu Londyńskim. Nie słyszał, jak przywódca grupy, pogratulowawszy Bullowi, oświadczył z chłodnym uśmieszkiem: „A teraz, przyjaciele, pozostaje nam czekać”.

Właśnie tego dnia otrzymał wiadomość, że Ryszard Lwie Serce opuścił Europę i wypłynął na Morze Śródziemne. Stamtąd nie mógł się już cofnąć.

Matka Adama nie doczekała się żadnych wieści od rodziny w Windsorze. Pomimo umowy nikt nie pojawił się w Londynie, więc nie dostała żadnych pieniędzy. Po upływie roku obiecała sobie, że za parę miesięcy pojedzie do nich i sama się wszystkim zajmie. No, może nie za parę miesięcy, ale za rok. W końcu była to daleka droga.

„Twój ojciec miał na wsi kawałek ziemi – oznajmiła Adamowi, gdy ten skończył pięć lat. – Należą nam się z tego tytułu pieniądze". Chłopiec niewiele z tego zrozumiał, a z czasem w ogóle o tym zapomniał.

Jesienią David Bull miał nawrót choroby. Zbladł i wychudł tak bardzo, że jego ojciec mocno się zaniepokoił. „Bullowie nigdy nie chorują", mówił stanowczo. Jednak stan chłopca się pogarszał. Próbowano wszystkiego, także leczniczych ziół Mabel. Nie wiadomo, czy to dzięki nim, czy za sprawą modłów Micheala, ale wydawało się, że David powraca do zdrowia. Minął grudzień. Lecz w styczniu był nawrót choroby.

Najpierw spadł śnieg, potem nadeszły przejmujące chłody; ulice Londynu pokrył lód, który posypywano popiołem. Michael co dzień chodził do domu przy kościele St Mary-le-Bow, a jego ciężkie buty chrzęściły na śniegu. Wydawało się, że żadne zioła Mabel nie ocalą Davida; nawet nieczuły kupiec mówił ze łzami w oczach: „Nasz ród wygaśnie". Pod koniec miesiąca chłopiec, blady niczym duch, nie wstawał już z łóżka. Ida starała się dodać mu otuchy: „Nie poddawaj się, Davidzie. Pamiętaj, że miałam ci znaleźć szlachetnie urodzoną żonę". Do Michaela szepnęła z rozpaczą: „Kocham go jak własnego syna. Ale chyba tylko twoje modlitwy mogą uchronić go przed śmiercią".

Michael modlił się każdego dnia. Coraz częściej jego brat klękał obok. David przyglądał im się obojętnie albo przysypiał. Mnich straciłby całą nadzieję, gdyby nie to, że widział w chłopcu ostatnią nitkę życia, cieniutki promień słońca, i na tym skupiał swoją uwagę. Gdybym na blade, wychudzone ciało Davida sprowadził snop światła, gdyby chłopiec poczuł, jak wypełnia go ożywcze ciepło, gdybym mógł tego dokonać, myślał Michael, to albo odleciałby na skrzydłach jak anioł, albo wyzdrowiał.

Skoro jednak Davidowi pisana była śmierć, to Michael chciał go przynajmniej na nią przygotować. Okazało się to łatwiejsze, niż sądził. Chłopak chętnie podejmował rozmowę – może bał się śmierci, a może skłaniała go do tego bliskość osoby duchownej. Pytał o niebo, piekło i diabła. A któregoś dnia zaczął się głośno zastanawiać:

– Jeśli moja dusza dąży do Boga, to dlaczego kocha świat, który jest tak odległy od niebios? Czy to znaczy, że diabeł przejął nade mną władzę?

– Nie – odpowiedział mnich. – Doczesne pragnienia, dążenia królów i ich dworów, żądza bogactwa, nawet miłość do kobiety – przez myśl przemknęła mu Ida – są jedynie wypaczeniem twojej tęsknoty za tym, co wieczne. To ziemska ułuda, przesłaniająca dwór dużo wspanialszy, dwór Boga.

– Skoro tak jest, to dlaczego boję się opuścić świat? – spytał chłopiec.

– Nie masz się czego bać, jeśli jesteś gotowy i dobrze służyłeś Bogu – odparł Michael.

– Szkoda, że nie udało mi się wyruszyć na krucjatę – westchnął David. – Niczego dobrego nie dokonałem.

Nazajutrz zaczął wypytywać stryja o jego życie. Co go popchnęło ku religijności?

– Chyba powołanie – odpowiedział Michael. – Pragnąłem być bliżej Boga – przyznał szczerze.

David nie chciał dłużej rozmawiać, wyglądał na bardzo osłabionego. Mimo to uparcie trzymał się życia, dzień po dniu. Tydzień później zrobiło się nieco cieplej. David nadal się nie poddawał, a jego stryj modlił się niemal bez przerwy.

Któregoś dnia, bez żadnej wytłumaczalnej przyczyny, Michael poczuł wyraźnie, że chłopiec nie umrze. Zwierzył się Idzie, a ta tak się wzruszyła, że go pocałowała. Gdy rano wracał do klasztoru, na skrawku zielonej trawy przy katedrze Świętego Pawła zobaczył przebiśniegi.

W połowie lutego siostra Mabel w końcu zrozumiała sens swojej wizji. Tego dnia znów odwiedziła rodzinę wikarego. Jej liczne próby przekonania Silversleevesa, aby wspomógł biedaków, spełzły na niczym, więc sama robiła, co w jej mocy. Potem postanowiła zajrzeć do Davida Bulla. Energicznym krokiem doszła do domu kupca i znalazłszy się w izbie, zobaczyła całą trójkę przy oknie. I w tej chwili pojęła wszystko.

Tym razem nie zobaczyła demona, a jedynie trzy ludzkie postacie. David siedział przy stole, pochylony nad piękną księgą. Michael siedział obok niego i prowadząc dłoń chłopca po skomplikowanej kaligrafii, wyjaśniał mu trudny fragment łacińskiego tekstu. Ida zajmowała miejsce naprzeciwko, nie dotykała pobożnego mnicha, ale patrzyła na niego z uwielbieniem. Mabel przyglądała się temu z przerażeniem, zobaczyła bowiem sprzeczną z naturą miłość, której nie byli świadomi.

Dała Davidowi lekarstwo i wyszła, nie wiedząc, jak ma postąpić. Modliła się, lecz nie otrzymała żadnej wskazówki. A wieczorem, spotkawszy w klasztorze Michaela, powiedziała bez ogródek:

– Strzeż się wyrodnej miłości, Michaelu.

Michael nie zwykł wpadać w złość, choć w tej chwili o mało nie wybuchnął. Ale przypomniał sobie nieporadne zaloty Mabel w dniu Bożego Narodzenia i ogarnęło go współczucie. Kieruje nią zazdrość, pomyślał, ale

po co mówić jej to wprost? Jego uczucia do Idy nie budziły w nim najmniejszych obaw.

– Wszyscy powinniśmy się strzec – napomniał ją łagodnie. – Bądź pewna, że ja też to czynię. Ale więcej nie zwracaj się do mnie w ten sposób, siostro.

Oddalił się, a biedna Mabel mogła jedynie wrócić do swojej celi i znów się modlić.

Lipiec 1191 roku

Koszmar stał się rzeczywistością. Był nawet straszniejszy, niż Pentecost sobie wyobrażał.

Książę Jan dobrze wykonał swoje zadanie. Na początku roku niemal każdy baron w Anglii żywił jakąś urazę do kanclerza, a ten nie miał dobrych stosunków z Janem. Wiosną Jan zaczął działać.

Najpierw wysunął roszczenia do jednego z zamków na południu kraju. Potem pewien wpływowy szeryf z północy wypowiedział kanclerzowi posłuszeństwo. A w marcu posłaniec przyniósł do Londynu złowieszczą wiadomość: „Jan przejął zamek Nottingham”. Była to jedna z największych fortec w Midlands. „Jan poluje w lesie Sherwood, jakby już był królem”, szeptano. Co rusz nadchodziły nowe pogłoski. Jan podróżował po kraju i zdobył zwolenników w połowie hrabstw. Jeden z baronów zgromadził groźne siły na granicy z Walią. Po Londynie krążyły dwa pytania: „Czy kanclerz da radę stawić czoło królewskiemu bratu?” i „Czy Jan zaatakuje Londyn?”.

Silversleeves obserwował mężczyzn pracujących obok Tower. Już wcześniej pospiesznie zbudowali wokół podzamcza nowy i posępny mur, a na zewnątrz wykopano wielki rów. Jednak Pentecost, patrząc na te ulepszenia, czuł jedynie zniechęcenie. Był może Longchamp był

utalentowanym administratorem, ale – jak zauważył kiedyś jeden z robotników – nie znał się na budowaniu fortyfikacji. Nawet Pentecost widział, że fundamenty muru są za płytkie, a sam mur zbyt wątły, żeby oprzeć się silnemu natarciu. Rów miał być fosą, ale próba jego zalania wodą kilka dni wcześniej okazała się katastrofą. Na dnie ostało się tylko kilka centymetrów błota. A tydzień wcześniej w East Cheap doszło do drobnych rozruchów, jakby ktoś prowadził przygotowania do poważniejszych zajść. Zamieszki szybko stłumiono, lecz Pentecost podejrzewał, że stali za nimi agenci Jana.

Czy kanclerz mógł liczyć na lojalność londyńczyków? Przecież dał im wszystko, czego chcieli. Ale brakowało mu taktu. Miesiąc wcześniej podczas nieprzemyślanych prac wokół Tower zniszczono sad należący do jednego z rajców. „A potem ja musiałem do niego pójść i za wszystko przepraszać”, żalił się Silversleeves.

„Londyn wciąż jest wierny królowi bez względu na to, czy lubi Longchampa, czy nie”, zapewniał go Bull.

Ale gdzie był król Ryszard? Żeglował po niebezpiecznych morzach czy dotarł już do Ziemi Świętej? Czy nadal był wśród żywych? Tego nie wiedział nikt. Lwie Serce nie przysyłał też żadnych wieści.

To była dziwna wiosna dla Michaela. Wszędzie wyczuwało się niepokój. Król przebywał bardzo daleko. Jego brat Jan knuł i spiskował. A mimo to, jakby za sprawą jakiejś cudownej alchemii, Michael był szczęśliwy. Bo David Bull wracał do zdrowia.

Michael i Ida często zabierali chłopca na przechadzki. Początkowo David robił tylko kilka kroków. Ale pod koniec marca on i mnich chodzili już tak szybko, że Ida wołała za nimi ze śmiechem:

– Wy obaj idźcie sobie przodem! Nie dam rady za wami nadążyć!

Pewnego ciepłego dnia pod koniec kwietnia, gdy mijali Aldwych, zobaczyli kilku młodzieńców skaczących odważnie z brzegu do rzeki. Ku wielkiemu zdziwieniu stryja David podbiegł do nich, zrzucił odzienie i też skoczył. Michael krzyknął wprawdzie, żeby go powstrzymać, ale widok silnego, szczupłego ciała bratanka napełnił go radością. Bojąc się, żeby chłopak znów się nie przeziębił, wytarł go energicznie po kąpieli i udzieliwszy reprymendy, objął bratanka ramieniem, aby go ogrzać. Szybkim krokiem wrócili do domu.

Pomimo przebłysków dobrego nastroju David często popadał w zadumę. Lubił modlić się z Michaelem i zadawał mu wiele pytań na temat wiary. Kilka razy przyznał ze smutkiem:

– Bóg darował mi życie. Tylko jaki miał w tym cel?

A gdy w maju Ida i Bull przenieśli się na miesiąc do Bocton, wymówił się od wyjazdu, tłumacząc, że wiosna to najpiękniejsza pora roku w Londynie. Czas spędzał głównie ze stryjem.

Michael nie umiał powiedzieć, kiedy nabrał pewności, co powinien uczynić. Może było to tego dnia, gdy David wskoczył do Tamizy? A może kilka dni po wyjeździe Bulla i Idy, gdy przyszedł do domu i zastał chłopca zatopionego w modlitwie. Wiedział jedno: nie wyda duszy Davida na potępienie. Skoro Bóg przywrócił go do życia, to miał jakiś szczególny zamysł. Michael gotów był spełnić swój obowiązek, nawet gdyby miało to doprowadzić do rozdźwięku między nim a Sampsonem.

– Ocalę go – postanowił.

A potem doznał olśnienia. Jeśli takie są Boże zamiary, to Opatrzność dała mu narzędzie, żeby je urzeczywistnić: spadek po matce. Okoliczności doskonale pasowały do jej ostatnich słów. Pieniądze posłużą wzmacnianiu wiary w ich rodzinie! „Będziesz wiedział, co z nimi zrobić”, tak właśnie powiedziała. Tak, teraz już wiedział to z całą pewnością.

W połowie czerwca, nie mówiąc o tym nikomu, udał się do opactwa westminsterskiego, poprosił opata o rozmowę i dopełnił koniecznych formalności.

Był bardzo zadowolony. W młodości miał wiele zastrzeżeń do tego, co działo się w opactwie, ale teraz straciły one znaczenie. Był pewien, że Ida pochwali jego szlachetne postępowanie. Po całym życiu spędzonym na posłudze w szpitalu Świętego Bartłomieja czuł, że on też zasługuje na odpoczynek. Pozostało mu tylko opiekować się Davidem. A hojna darowizna, której Sampson Bull inaczej by nie przekazał, pozwoli im wstąpić do Westminsteru i zapewni im tam wygodne utrzymanie. Uznał to za palec Opatrzności.

Pewnego majowego wieczoru, gdy księżyc zbliżał się do pełni, z czystym sumieniem i radosnym sercem Michael zwrócił się do bratanka:

– Moim zdaniem otrzymałeś powołanie do duchownego stanu. Zgadzasz się z tym?

David, słysząc te słowa z ust pobożnego człowieka, którego darzył wielkim podziwem, i sam mając wiele młodzieńczych wątpliwości, zaczerwienił się ze szczęścia.

– O, tak, czuję powołanie! – zawołał z wdzięcznością.

Serce Michaela przepełniła miłość, jakiej nigdy dotąd nie doświadczył.

– Mógłbyś wstąpić do klasztoru w Westminsterze. Będę ci tam towarzyszył jako twój przewodnik – zaproponował.

Do tej pory Michael nie zwierzył się nikomu ze swoich planów. Czekał na powrót brata i Idy. Nie miał złudzeń, że Bull wpadnie w złość. Wydawało mu się jednak, że jego niewierzący brat, który o mało nie stracił jedynego syna, na starość zmiękł i złagodniał. Zamierzał mu powiedzieć, że w klasztorze chłopak będzie bezpieczny, a on sam będzie mógł go tam odwiedzać.

A Ida? No cóż, ona na pewno będzie uradowana i wdzięczna losowi, że jej pasierb znajdzie miejsce na łonie Kościoła. Dlatego gdy nadeszła wieść, że w czerwcu wracają do domu, z niecierpliwością czekał na moment, gdy przekaże im te wspaniałe nowiny.

– Coś ty najlepszego narobił!

Nigdy wcześniej nie widział jej w takim stanie. Jej blada twarz o szlachetnych rysach była zacięta. Duże ciemne oczy patrzyły na niego z obrzydzeniem, jakby był kmieciem zasługującym na śmierć za zuchwałość.

– Dzieło Boga… – zaczął.

– David ma zostać mnichem? A jak będzie miał dzieci?

– Wszyscy jesteśmy dziećmi Boga – odparł zmieszany.

– Bóg nie potrzebuje mojego pasierba – powiedziała ze złością i pogardą. – David będzie miał szlachetnie urodzoną żonę.

Patrzył na nią z przerażeniem, które powoli zamieniało się w gniew.

– Wyżej stawiasz rodzinną dumę niż Boga i szczęście swojego syna?

– Nie tobie to oceniać, stary wścibski prawiczku! – krzyknęła. – Wynoś się z tego domu, wracaj do swojej celi i do swoich kalek!

Wstrząśnięty Michael wycofał się niepewnie. A godzinę później, po krótkiej rozmowie z mężem, który zajął takie samo stanowisko, Ida wyjechała do Bocton, zabierając ze sobą Davida.

Michael był tak oszołomiony, że spotkawszy Mabel po południu w klasztorze, zwierzył się jej ze wszystkiego.

– Nie mogę tego pojąć – mruknął, kręcąc głową.

Dopiero wtedy spotkało go prawdziwe upokorzenie.

– Próbowałam cię ostrzec – powiedziała Mabel ze współczuciem, ale stanowczo. – Przed miłością, która jest sprzeczna z naturą.

– Ja już jej dawno nie kocham – odparł Michael, myśląc o patrzących z pogardą oczach Idy.

Mabel zmarszczyła brwi.

– Jej? Chodzi ci o Idę?

– A o kogóż by? – Popatrzył na nią zdziwiony.

– O Davida! Nie zakochałeś się w nim, ty lubieżny staruchu? – Zachichotała, jakby było w tym coś zabawnego.

To oburzające, wręcz odrażające podejrzenie tak nim wstrząsnęło, że na dłuższą chwilę odebrało mu mowę. A potem poczuł, jak wzbiera w nim wielka złość, ale zanim ubrał ją w słowa, zobaczył przerażającą prawdę, otwierającą się przed nim jak wielka, zimna otchłań, do której osuwa się nie tylko fala złości, ale całe jego życie. Jego niewinność nie pozwalała mu tego wcześniej dostrzec.

Zgięty wpół pod wpływem wstydu i bólu, wstał i poszedł do swojej celi, powłócząc nogami jak starzec.

David odzyskał całkowicie zdrowie w Bocton. Pokochał stary dwór i rozległe widoki, odbywał z ojcem długie wędrówki po polach i lasach, czytał z Idą baśnie o rycerzach, a ona znakomicie czuła się w roli pani na włościach. Być może duchy przodków przekazały mu część swojej potężnej mocy. Jeszcze nigdy nie był taki szczęśliwy.

To samo dało się powiedzieć o Idzie i Sampsonie. Najwyraźniej choroba Davida i wściekłość Idy na biednego Michaela zbliżyły ich do siebie. Gdy rozmawiali o przebudowie starego dworu, gdy oglądali sad albo po prostu siadali razem w słońcu na ławce, patrząc na dolinę Weald, po raz pierwszy czuli się jak mąż i żona. Nikt już nie wspominał kupieckiej mentalności Bulla – chyba że temat sam się pojawiał, gdy Ida obiecywała Davidowi, że znajdzie mu odpowiednią żonę – ale i wówczas rajca był tym bardziej

rozbawiony niż zirytowany. A tego lata działo się na świecie tyle, że kwestia powołania Davida szybko zeszła na dalszy plan.

Niepokoje wzniecane przez podstępnego księcia Jana ucichły. W lipcu arcybiskup Rouen doprowadził do zawarcia pokoju między Janem a Longchampem. W Anglii znów zapanował spokój. Król Ryszard był cały i zdrowy, a w sierpniu nadeszła wiadomość, że poślubił piękną księżniczkę, która – w co nikt nie wątpił – da mu dziedzica, tak wyczekiwanego przez wiernych poddanych.

Pewnego dnia z Londynu przyjechał Silversleeves, żeby odbyć z kupcem rozmowę. David przysłuchiwał się temu z wielkim zaciekawieniem.

– Czy Ryszard, żeniąc się z tą księżniczką, postąpił słusznie? – spytał Bull.

– W sumie można tak powiedzieć – stwierdził Silversleeves. – Ona pochodzi z Nawarry, która leży na południe od Akwitanii Ryszarda. Ten sojusz zabezpiecza południowe ziemie króla przed francuskim atakiem. Moim zdaniem to słuszne posunięcie.

David zdziwił się nieco. Nie był głupcem, ale tak jak jego sascy przodkowie lubił stawiać sprawy jasno. Albo ktoś jest twoim przyjacielem, albo wrogiem. Nie może być jednocześnie jednym i drugim.

– Ale przecież król Ryszard i król Francji przyrzekli sobie braterstwo, prawda? – wtrącił. – Wyruszyli na krucjatę jako bracia.

Silversleeves uśmiechnął się blado. Zważywszy na to, że ogromne imperium Plantagenetów ciągnęło się wzdłuż zachodniej granicy Francji, francuskiego króla i władcę Anglii mogła łączyć co najwyżej krótkotrwała przyjaźń.

– Został przyjacielem Ryszarda tylko na chwilę – odpowiedział Pentecost.

David posmutniał.

– Ja mógłbym oddać życie dla króla Ryszarda – powiedział szczerze. – A wy?

Silversleeves zawahał się na mgnienie oka.

– Ależ oczywiście. Jestem poddanym króla – zapewnił z uśmiechem.

Jednak kilka dni później, przygotowując się do powrotu do Londynu, David zapomniał o tej rozmowie, albowiem przesłoniła ją niezwykła wiadomość będąca dowodem, że w roku trzeciej krucjaty sam Bóg zsyła Anglikom i ich dzielnemu królowi nadzieję.

Wieści nadeszły z Glastonbury, gdzie w podziemiach starego opactwa mnisi odkryli grób ze szczątkami króla Artura i jego żony Ginewry. Czy można sobie wyobrazić bardziej wymowny cudowny znak?

Nie mógł dłużej zwlekać. Piątego października Pentecost Silversleeves był bliski paniki, stanu, którego doświadczył wiele lat temu. W lewej dłoni trzymał pilny nakaz stawiennictwa od swojego pana i protektora, a w prawej inny kawałek pergaminu. Oba wzbudzały w nim przerażenie. I z obu wyzierało straszliwe pytanie: w którą stronę się zwrócić? Wciąż się wahał.

Kryzys pojawił się dość niespodziewanie w połowie września i z jego powodu jesienne posiedzenie trybunału skarbowego przeniesiono o siedemdziesiąt kilometrów w górę Tamizy, do Oksfordu. Ale nawet w tym cichym mieście, zamieszkanym przez wielu uczonych, Silversleeves nie zaznał spokoju.

Przyczyną jego nieszczęsnych kłopotów był bękart, którego mianowano arcybiskupem Yorku.

Oczywiście nie po raz pierwszy nieślubny syn króla zostawał biskupem. W ten sposób zapewniano źródło dochodu i zajęcie. Król Henryk II miał wielu potomków z nieprawego łoża i wyniesienie jednego z nich do takiej godności nie byłoby niczym szczególnym, gdyby nie to, że nowy

arcybiskup był otwartym zwolennikiem Jana, a na dodatek Ryszard wyraźnie zakazał mu przyjazdu do Anglii.

Gdy więc miesiąc wcześniej bękart znalazł się w Kencie, kanclerz całkiem słusznie domagał się od niego złożenia przysięgi wierności. A spotkawszy się z odmową, popełnił błąd: wtrącił go do więzienia.

To była sprytnie zastawiona pułapka, stwierdził Pentecost. A jego pan dał się w nią wciągnąć. Ku zadowoleniu Jana podniósł się krzyk oburzenia. Arcybiskup, choć szybko go uwolniono, został uznany za męczennika, zupełnie tak samo jak Becket. Jan i jego zwolennicy protestowali, a wielka rada, która zebrała się między Londynem i Oksfordem, wezwała Longchampa do złożenia wyjaśnień.

– Tym razem go dopadną – jęknął Silversleeves.

Jednak pewności nie miał. Wielu członków rady traktowało Jana podejrzliwie. Kanclerz wciąż miał pod komendą kilka zamków, w tym ten w Windsorze. I jak zwykle o wszystkim miał rozstrzygnąć Londyn. Kogo poprze miasto? Silversleeves wcale się więc nie zdziwił, że jego pan każe mu pilnie wracać.

A drugi pergamin?

Na pierwszy rzut oka wyglądał jak jeden z wielu protokołów trybunału skarbowego. Ale przyjrzawszy się bliżej, można było zauważyć zręczną karykaturę kanclerza wpisaną w duży inicjał w rogu. Prawdziwe dzieło sztuki, do tego złośliwe. Grube rysy Longchampa podkreślono tak bardzo, że wyglądał jak ordynarny, tłusty gargulec. Ciekło mu z ust, jakby się czymś przejadł. Rysunek nie był nawet prześmiewczy, lecz pogardliwy i obraźliwy. Żaden pisarz w Exchequerze nie odważyłby się go umieścić, gdyby nie miał całkowitej, absolutnej pewności, że los kanclerza jest przesądzony.

– Co oni wiedzą, czego ja nie wiem? – zastanawiał się Pentecost na głos.

Ale na pergaminie było coś jeszcze gorszego. Na marginesie obok inicjału widniała druga karykatura – pies prowadzony przez kanclerza na smyczy. Miał chciwy pysk, z którego ciekła ślina, i długi nos. Silversleeves nie mógł się mylić – zobaczył siebie.

A więc jego los też uznali za przesądzony. Jeśli mieli rację, to powinien jak najszybciej odsunąć się od swojego protektora. I to bez wahania. Zaczął przypominać sobie wszystkie działania kanclerza. Czy da się wśród nich znaleźć jakieś sekretne wykroczenia, które mógłby wyjawić jego wrogom? I to takie, w które sam nie byłby uwikłany? Najwyżej ze dwa lub trzy, ale to musi wystarczyć. Jeśli jednak Longchamp przetrwa, a on go opuści, to nigdy w życiu nie doczeka się już żadnej nagrody. Przez kilka pełnych udręki minut zastanawiał się nad swoją przyszłością.

A potem wyjął nóż, ostrożnie odciął róg pergaminu z obraźliwym rysunkiem i wyszedł. Wieczorem był już w drodze do Londynu.

Siódmego października w południe Ida miała godzinę dla siebie. Z przyjemnością odpoczywała po pełnych niepokoju dwóch ostatnich dniach.

Najpierw do Londynu przybył Longchamp z oddziałem zbrojnych. Tego dnia zajmował się umacnianiem fortyfikacji w Tower. Jego ludzie patrolowali ulice. A rano gruchnęła wieść, że wieczorem zjawi się w mieście rada, książę Jan, rycerstwo i żołnierze. „Zamierzają usunąć kanclerza”, donosił posłaniec.

Ale czy pójdzie im łatwo? Gdyby miasto dochowało wierności zwolennikom Ryszarda i zamknęło bramy, rada nie mogłaby nic zrobić. Ida nie dbała o los Longchampa, ale on przynajmniej był lojalny wobec króla. „A nie ma nic gorszego od tego zdrajcy Jana”, oświadczyła mężowi.

Bull wyszedł z domu dwie godziny wcześniej. Zwołano zebranie wszystkich rajców i innych znamienitych obywateli Londynu, żeby

postanowić, jak odnieść się do postanowień rady. Ida z niecierpliwością czekała na powrót męża.

I była też inna kwestia, o której nie powiedziała.

Gdy usłyszała czyjeś kroki na dziedzińcu, pomyślała, że to na pewno nadchodzi Sampson. Dlatego zdziwiła się bardzo na widok Silversleevesa. Jeszcze nigdy nie widziała go w takim stanie.

Bull mijał szybkim krokiem katedrę Świętego Pawła. Miał na sobie ciemnoniebieską opończę z kołnierzem obramowanym gronostajami. Jego twarz nie wyrażała żadnych uczuć, ale w głębi duszy był uradowany. Wszystko potoczyło się zgodnie z planem.

Spotkanie rajców miejskich odbyło się za zamkniętymi drzwiami. Przedyskutowano obecną sytuację, omówiono kilka różnych strategii. Ich siódemka była dobrze przygotowana. Od wielu miesięcy dyskretnie urabiali swoich kolegów, co teraz przyniosło owoce. Ich argumenty były przekonujące. Wiedzieli, co i jak zrobić. Uczestnicy zebrania jednomyślnie ich poparli. Posłaniec właśnie wyjeżdżał z miasta przez Ludgate.

Uzgodniono też, że wskazana jest największa dyskrecja. Nie wolno ujawniać swojej pozycji przetargowej. Spotkanie należy zachować w całkowitej tajemnicy.

– A potem – mruknął Bull z wielką satysfakcją – nadejdzie nasz dzień.

Zdziwił się, zastawszy w swoim domu Silversleevesa. Już na pierwszy rzut oka było widać, że biedak jest w pożałowania godnym stanie. Od godziny chodził po dziedzińcu w tę i z powrotem, czekając na powrót Bulla. Podbiegł do kupca, błagając go o wieści.

Bull myślał gorączkowo.

– Wybierasz się do Longchampa? – spytał. Silversleeves skinął głową. – W takim razie możesz mu powiedzieć, że Londyn jest lojalny.

Kilka chwil później uspokojony urzędnik trybunału skarbowego był już w drodze do Tower. Bull został sam ze swoimi myślami.

Skłamałem?, zastanawiał się. Nie, Bullowie nigdy nie kłamią.

– Powiedziałem tylko, że Londyn jest lojalny – oświadczył na głos.

Nie powiedział jedynie, wobec kogo.

Tuż po zapadnięciu zmroku David zobaczył dziwny mały pochód. Przez całe popołudnie wypatrywał z Ludgate nadciągających sił. Niczego nie zauważył, choć ludzie mówili, że oddziały dotarły już do Westminsteru. O zmierzchu zamknięto bramy.

Dokąd więc ludzie z pochodniami i latarniami prowadzili dwudziestu zakapturzonych mężczyzn? Zauważył ich przy katedrze Świętego Pawła i teraz podążał za nimi zboczem w kierunku Walbrook. Przy Kamieniu Londyńskim pochód się zatrzymał. Trzech jeźdźców zniknęło w uliczce po drugiej stronie, kilku innych zsiadło z koni. Zaciekawiony David podszedł bliżej. Oprócz nich na ulicy nie było nikogo. Jeźdźcy stali blisko siebie, nie miał odwagi odezwać się do nich, jednak po chwili zauważył potężną postać z latarnią, która oddzieliła się od grupy i ruszyła w kierunku ciemnego zaułka. David pobiegł za mężczyzną i dotknąwszy jego ramienia, zapytał cicho:

– Możesz mi powiedzieć, panie, kim są ci ludzie?

Mężczyzna odwrócił się i wtedy ku swojemu wielkiemu zdziwieniu zobaczył w świetle latarni grubo ciosaną twarz ojca.

– Wracaj do domu! – syknął Bull tak samo zaskoczony. – Później ci o wszystkim opowiem – dorzucił stłumionym głosem.

David już miał odejść, lecz się zawahał.

– Ale kim oni są, ojcze? – szepnął.

Osłupiał, słysząc odpowiedź.

– To książę Jan, głupcze. A teraz już idź.

Ida z ulgą przyjęła oświadczenie męża, że on i jego towarzysze pozostaną wierni królowi. W skrytości ducha pogratulowała nawet sobie. Najwyraźniej jej wpływ przyniósł dobre efekty. Może i Bull był prostym kupcem, ale zachował resztki przyzwoitości. Wieczorem zamierzała go za to pochwalić.

A przy okazji poruszy pewną ważną kwestię.

Kiedy jednak David wrócił wieczorem do domu i opowiedział, co się stało, nie mogła w to uwierzyć.

– Musiałeś coś pomylić – uznała.

Ale gdy minęła godzina, a potem druga, zaczęła się zastanawiać. Co to może oznaczać? Gdzie się podziewa jej mąż? Na samą myśl, że Sampson sprzymierzył się z podstępnym Janem, pobladła i stężała. A gdy w końcu Bull wrócił do domu, utkwiła w nim spojrzenie swoich ciemnych oczu.

– Gdzie byłeś? – spytała cichym, lodowatym głosem.

Spojrzał na nią i na Davida, ale nie stracił rezonu.

– Zawarłem umowę – odpowiedział krótko.

– Jaką umowę?

– Najlepszą w historii Londynu – odparł radośnie.

– Umawiałeś się z tym zdrajcą Janem?

– Owszem, z Janem. – Czyżby jego spokój skrywał pogardę?

– Z wrogiem króla. Co to za umowa?

Bull nie zwracał uwagi na ton głosu żony, jakby zupełnie nie dbał, co ona o nim myśli.

– Jutro książę Jan oficjalnie wkroczy do miasta wraz z królewską radą – powiedział swobodnie. – Otworzymy bramy i przywitamy go. A potem miasto poprze księcia i radę i złożą Longchampa z urzędu. Jeśli okaże się to konieczne, siłą wejdziemy do Tower.

– A co potem?

– Dołączymy do rady i przysięgniemy uznać Jana za następcę króla Ryszarda.

– To potworność! – krzyknęła Ida. – W ten sposób już teraz oddajecie Anglię w ręce Jana.

– Nie według prawa. Bo zgodnie z prawem rządzić będzie rada. Ale praktycznie będzie tak, jak mówisz.

– Czemu to zrobiłeś? – spytała głosem ochrypłym i pełnym przerażenia.

– Chodzi ci o umowę? Zapewniam cię, że jest wyjątkowo korzystna. – Uśmiechnął się. – W zamian za przychylność miasta w tych trudnych czasach książę Jan dał nam coś, na co od dawna zasługujemy.

– To znaczy?

– Komunę, moja droga. Londyn jest teraz komuną. Jutro wybierzemy burmistrza. – Uśmiechnął się szeroko. – Londyn będzie wolnym miastem.

Ida zaniemówiła. Nie umiałaby sobie nawet wyobrazić tak cynicznej podłości. Szczęśliwe letnie tygodnie w Bocton odeszły już do odległej przeszłości. Nie panowała już dłużej nad sobą.

– Londyn będzie komuną? – krzyknęła. – Żeby kupcy mogli się pysznić, nazywać się baronami i udawać, że burmistrz jest królem? Za to sprzedałeś Anglię Janowi z piekła rodem? – Patrzyła na niego z wściekłością. – Jesteś zdrajcą! – wrzasnęła.

Bull wzruszył ramionami i się odwrócił. Dlatego nie zauważył, że David, za łzami w oczach, patrzył na swego ojca nie tylko ze zdziwieniem, ale po raz pierwszy w życiu z nienawiścią. Po chwili chłopak wybiegł z domu.

Pentecost przemierzał ciemne ulice z czterema innymi jeźdźcami. Postanowił wziąć udział w patrolu, mając nadzieję, że dowie się czegoś. Jednak wszędzie panował spokój.

Spotkanie z Longchampem dodało mu otuchy. Kanclerz był złym człowiekiem o ordynarnych rysach twarzy, ale jego chłodna determinacja zasługiwała na podziw. Wszystkim swoim zamkom zapewnił dobrą obronę. Wydał odpowiednie dyspozycje w Tower. „Masz dopilnować, żeby z mojego rozkazu wszystkie bramy miasta pozostały zamknięte o świcie", przykazał Silversleevesowi. Pentecost pomógł mu nawet ułożyć początek listu do Richarda, opisujący ze szczegółami knowania Jana. „Jeśli tak jak mówisz, miasto stanie po naszej stronie, to Jan się przestraszy. A wtedy, drogi przyjacielu – dorzucił Longchamp z uśmiechem – znajdziemy ci jeszcze jeden majątek". Ta perspektywa jedynie dodała Silversleevesowi odwagi.

Patrol dotarł do podnóża Cornhill i miał właśnie zawrócić w kierunku Tower, gdy od strony rzeki nadjechało trzech rycerzy. Pentecost patrzył obojętnie, jak dowódca patrolu, zadowolony, że nareszcie trafiło im się jakieś zajęcie, kazał im podać nazwiska. Zdziwiło go, gdy jeden z rycerzy zawahał się przez chwilę, a potem rzucił:

– A wy kim jesteście?

– Ludźmi kanclerza. Podajcie wasze nazwiska.

Znów zapadła chwila milczenia. Jeden z rycerzy coś mruknął, drugi się roześmiał.

– Nazywam się William de Montvent, dobry człowieku. A twój pan jest nędznym psem!

Ludzie Jana. Co to znaczy? Pentecost nie miał czasu na zastanowienie. Odgłos wyciąganych mieczy, blady błysk stali w ciemnościach, tętent nacierających koni.

Wszystko potoczyło się tak szybko, że Pentecost nie zdołał zapamiętać kolejności zdarzeń. Widząc pędzących do ataku rycerzy, zawrócił wierzchowca, żeby uciec. Ale bruk był bardzo nierówny. W panice szarpnął

wodzami tak gwałtownie, że koń poślizgnął się i przewrócił. Na szczęście nie przygniótł go swoim ciężarem.

Zanim zdążył się podnieść, dwaj rycerze odjechali już na sto metrów. Usłyszał brzęk stali. Podniósł wzrok. Trzeci, z mieczem w dłoni, patrzył na niego chłodno.

– Masz ochotę na mały pojedynek? – Roześmiał się. – W takim razie zejdę z konia.

Powoli uniósł się z siodła.

Przerażony Pentecost nie był w stanie myśleć. Wstał niezdarnie i wyciągnął miecz. Zsiadając z konia, rycerz przez moment był odwrócony plecami. Silversleeves wyprowadził cios. Miał szczęście. Miecz zagłębił się w bok przeciwnika. Pchnięcie było celne.

Rycerz osunął się z krzykiem na ziemię. Pentecost patrzył na niego przerażony. Śmiertelnie ranny jęczał cicho. Silversleeves rozejrzał się, nie wiedząc, co robić. Patrol i rycerze zdążyli już zniknąć za rogiem.

Od strony West Cheap z ciemności wyłoniła się jakaś postać. Pentecost przyjrzał się jej badawczo i aż mruknął ze zdziwienia. Ulicą szedł David Bull. Silversleeves się zawahał. Powinien się skryć? Za późno. Chłopak rozpoznał go i przyspieszył kroku. Na widok leżącego mężczyzny zaczerpnął gwałtownie powietrza w płuca.

– Napadł na mnie – powiedział szybko Silversleeves.

Pobladł bardziej niż umierający rycerz, gdy usłyszał odpowiedź chłopca.

– Panie! – zawołał David. – Stała się rzecz straszna. Mój ojciec i inni rajcy sprzedali Londyn księciu Janowi.

Silversleeves patrzył na niego wybałuszonymi oczami.

– Jesteś pewien?

– Sam mi to powiedział. Miasto będzie komuną. – Chłopak był bliski płaczu. Spojrzał z rozpaczą na Pentecosta. – A więc to koniec?

Silversleeves musiał natychmiast działać. Z ulgą zauważył, że rycerz skonał. Rozejrzał się. Dwaj pozostali na pewno wrócą po swojego towarzysza. Czy ktoś był świadkiem zabójstwa? Chyba nie.

– Nie wszystko jeszcze stracone – zapewnił chłopaka. – Kanclerz jest w mieście. Mamy ludzi.

– A więc wystąpicie przeciwko Janowi? – David się rozpromienił. – Będziecie walczyć za króla Ryszarda?

– Oczywiście. A ty?

– Zawsze! – zawołał David.

– To dobrze. Weź mój miecz. – Silversleeves podał mu broń. – A ja wezmę jego oręż. – Pochylił się po miecz rycerza. Jeszcze raz rozejrzał się po ulicy. Wszędzie panowała cisza.

A potem szybkim ruchem wbił Davidowi miecz w serce.

Błyskawicznie wcisnął z powrotem miecz w martwą dłoń rycerza i ruszył na poszukiwania swojego wierzchowca. Na szczęście koń nie ucierpiał po upadku. Silversleeves okrążył kwartał i z pobliskiego zaułka patrzył na rozwój wypadków.

Tak jak się spodziewał, rycerze pogonili patrol do Tower, a teraz wrócili po towarzysza. Ze swojej kryjówki słyszał ich głosy.

– Dobry Boże! Zabił go ten chłopak.

– Zaatakował go z tyłu, spójrz.

– Ale zanim nasz towarzysz skonał, zdążył zabić tę małą bestię.

Odjechali, zabierając ze sobą zwłoki.

Niedługo potem Pentecost pojawił się w domu Sampsona Bulla.

– Chcę cię prosić o przysługę. Nie trzymam już z Longchampem. On jest skończony. Wstawisz się za mną u Jana i członków rady? Po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiłem?

Bull poczuł lekkie wyrzuty sumienia, że wcześniej zachował się podstępnie.

– Dobrze. Zrobię, co będę mógł – odparł niechętnie.

– Jesteś moim prawdziwym przyjacielem.

– Aha, mój syn wyszedł jakiś czas temu z domu. Nie widziałeś go aby?

– Nie – odparł Pentecost. – Nie widziałem.

Siódmego października 1191 roku miało miejsce wydarzenie doniosłe dla historii Londynu. Mieszkańcy miasta, czyli pradawny folkmoot, wezwani biciem dzwonu katedry Świętego Pawła, zebrali się na placu, gdzie w obecności wielu możnowładców i księcia Jana rada zdjęła kanclerza Longchampa z urzędu. Jana ogłoszono następcą tronu. Oznajmiono też, że Londyn staje się komuną. Z własnym burmistrzem. To rozporządzenie miało być później zatwierdzone przez króla Ryszarda – o ile powróci on żywy z krucjaty.

Podczas tej radosnej ceremonii Sampson Bull stał z dala od swoich towarzyszy, którzy starali się nie widzieć, że jego potężnym ciałem wstrząsa szloch.

Gdy w nocy śmierć jego syna wyszła na jaw i wrócił do domu ze zwłokami Davida, w rozpaczy obarczył winą Idę.

– To ty buntowałaś go przeciwko mnie, to ty kładłaś mu do głowy bzdury! – krzyczał z bólem. – Patrz, do czego doprowadziłaś! Wynoś się z mojego domu! Na zawsze! – ryknął, a kiedy odmówiła, uderzył ją.

Miała takie wyrzuty sumienia i była tak wstrząśnięta rozpaczą męża, że nie zaprotestowała. Nie powiedziała słowa, tylko zatoczyła się, a on uderzył ją ponownie, wybijając jej dwa zęby.

Ale gdy zamierzył się znowu, powiedziała błagalnie:

– Nie bij mnie. – Dopiero wtedy wyznała mu to, o czym wiedziała od niedawna. – Jestem w ciąży.

O dziwo, pogrążony w rozpaczy Bull zwrócił się po pociechę do Michaela.

Rok 1215

Zamek w Windsorze wyglądał wspaniale. Zbudowany w poprzednim stuleciu, zajmował porośnięte dębami wzgórze i prężył się nad schodzącymi ku Tamizie łąkami jak strażnik. Z zamku roztaczał się wspaniały widok na okoliczne wioski. Ponad linią lasu wzniesienie opasywał wysoki mur z blankami. W porównaniu z ponurą kwadratową Tower królewski zamek w Windsorze sprawiał senne, niemal przyjemne wrażenie.

Silversleeves odjechał z zamku zaledwie na pięć kilometrów, ale już tego żałował. Gdy wyruszał o poranku, świeciło czerwcowe słońce, ale teraz rozpadało się na dobre. W strugach szumiącego deszczu, z kroplami wody zbierającymi się na czubku długiego nosa, wyglądał naprawdę żałośnie.

Wszyscy młodzi urzędnicy trybunału skarbowego słyszeli tego dnia powtarzane słowa: „Ten stary Silversleeves to pajac”. Nie chodziło o podeszły wiek. Taki wielki herold Anglii, jeden z najważniejszych urzędników w królestwie, w wieku siedemdziesięciu lat wciąż walczył konno. Ale biedny Silversleeves z przygarbionymi ramionami i nosem, który na starość wydawał się jeszcze dłuższy, Silversleeves, który po pół wieku pracy w Exchequerze nie doczekał się żadnego awansu, był przedmiotem drwin. Wciąż krążyła w kilku zabawnych wersjach opowieść o tym, jak król Henryk II wypędził go z Westminsteru. A historie jego zmiennych sojuszy opowiadano ku przestrodze. Gdyby nie to, że znał na pamięć wszystkie zwoje Exchequera i umiał błyskawicznie dokonywać skomplikowanych obliczeń, już dawno zostałby odesłany na emeryturę.

Pocieszał się jednak, że wciąż jest ważnym graczem, skoro zaproszono go na wielką naradę, która zebrała się trzy dni wcześniej na łąkach pod zamkiem Runnymede.

Ryszard Lwie Serce nie był dobrym królem. Nigdy nie pojawił się w Anglii. Kiedy zginął w bitwie, a na tronie zasiadł jego brat Jan, wielu ludzi miało nadzieję, że sprawy potoczą się w dobrym kierunku. Nikt nie przypuszczał, że panowanie Jana przyniesie tyle problemów. Najpierw zamordował swojego bratanka, młodego Artura z Bretanii. Potem, w kolejnych nieprzemyślanych wojnach, stracił niemal wszystkie ziemie dawnego imperium ojca po drugiej stronie Kanału Angielskiego. Henryk spierał się z Becketem, Jan zaś tak bardzo pokłócił się z papieżem, że został obłożony interdyktem. Przez wiele lat nie odprawiano w Anglii mszy świętych, trudno było nawet o godny pogrzeb. Na koniec Jan obraził tylu angielskich feudałów, że najbardziej zdeterminowani podnieśli bunt, by przywołać króla do porządku.

Tak powstała Magna Carta, Wielka Karta Praw, do której przestrzegania król Jan zobowiązał się przysięgą złożoną trzy dni wcześniej pod Runnymede.

Pod wieloma względami Karta była dokumentem zachowawczym. Większość zobowiązań nakładanych na króla oraz podstawowych swobód gwarantowanych poddanym wywodziła się z dawnych norm obowiązujących w feudalnym społeczeństwie i ze starego angielskiego prawa zwyczajowego. Jan zobowiązywał się do ich przestrzegania. Wprowadzono jednak pewne udoskonalenia. Wdów nie wolno było zmuszać do zamążpójścia, jak zmuszono Idę. Nie wolno było wtrącać ludzi do więzienia bez procesu. Pojawiły się też uregulowania prawdziwie radykalne. Zamiast dawnej rady – grupy arystokratów, którzy chcieli doradzać królowi – buntownicy wymogli ustanowienie Rady Królewskiej,

w której skład wchodziło dwudziestu pięciu dostojników wymienionych z nazwiska, w tym arcybiskup Canterbury i burmistrz Londynu. Rada musiała pilnować przestrzegania Karty przez monarchę. Gdyby tak się nie stało, miała prawo pozbawić go korony.

– To niesłychane! – oburzał się Silversleeves w rozmowie z jednym ze zbuntowanych baronów. – Jeszcze nigdy żaden władca nie uległ takim żądaniom. Przecież Anglia stanie się w ten sposób komuną. Baronowie będą mieli status rajców, a król będzie miał taką władzę jak burmistrz.

– W pełni się z tym zgadzam – odpowiedział szlachcic. – Właśnie Londyn natchnął nas takim pomysłem.

Londyn też został wymieniony w Karcie. O dziwo, rajcy, choć strzegli swoich przywilejów, nie żądali prawa do zachowania komuny. Powody takiej postawy wyjaśnił Silversleevesowi Bull.

– Chodzi o podatki. – Uśmiechnął się. – Szybko przekonaliśmy się, że skoro komuna jest traktowana jak jeden baron, to mieszkańcy mogą się domagać, by bogaci płacili większą część. Ale jeśli król obłoży podatkiem każdego oddzielnie, rajcy mniej na tym ucierpią. Już tak bardzo nie zależy nam na komunie.

Lecz na mianowaniu burmistrza zależało im nadal.

– Tego nie damy sobie odebrać – zapewnił go Bull.

W Karcie znalazło się też pozornie drobne postanowienie. Nosiło numer XXXIII. „Wszystkie jazy i sieci mają być całkowicie usunięte z Tamizy, z Medway i z całej Anglii z wyjątkiem morskiego wybrzeża”. Po czterdziestu latach wyczekiwania rajca Sampson Bull odniósł zwycięstwo nad królem.

Rozglądając się za jakimś schronieniem, Silversleeves skręcił w drogę prowadzącą do wioski, w której wcześniej nigdy nie był. Podjechał do jednej z chat i zażądał gościny. Przyjęto go niechętnie. Gdy nieco się

osuszył, zauważył coś dziwnego: ojciec rodziny miał nad czołem pasmo białych włosów. Przesiedział u nich godzinę, a kiedy deszcz przestał padać, złożył wizytę zarządcy majątku, do którego należała wioska.

Wracając pod wieczór do Londynu, uśmiechał się pod nosem.

Los dobrze obchodził się z Adamem Ducketem. Adam był członkiem skromnego cechu rybaków, co dawało mu jednak szanowaną pozycję. To prawda, zaznał też smutku. Siedem lat wcześniej przy porodzie zmarła jego żona, ale dawny protektor Barnikel miał córkę w wieku odpowiednim do zamążpójścia. Ślub Adama i Lucy zaplanowano na wiosnę.

Pewnego pochmurnego popołudnia w listopadzie w domu Adama na Cornhill pojawił się posłaniec z dziwną wiadomością. Nie tyle dziwną, ile wręcz niedorzeczną.

Było to wezwanie do stawienia się przed sądem w Husting za dwa tygodnie.

– Nic złego nie zrobiłem – tłumaczył Adam posłańcowi. – O co chodzi?

Wszystkiego dowiedział się następnego dnia u burmistrza. Nie mógł uwierzyć własnym uszom.

Sąd w Husting zazwyczaj zbierał się w poniedziałki. Posiedzenia odbywały się w niezbyt dużym kamiennym budynku ze stromym drewnianym dachem w dzielnicy zwanej Aldermanbury, tuż powyżej kwartału żydowskiego. Zabudowa była tu rzadsza niż w innych częściach miasta, a uliczki biegły łukiem. Jeszcze kilka pokoleń wstecz widać było zarysy dawnego rzymskiego amfiteatru, teraz zupełnie zapomnianego. Gmach sądu, w którym zebrali się rajcy i burmistrz, nosił nazwę Guildhall.

Był chłodny listopadowy poranek. Adam Ducket, mając obok siebie Mabel i Barnikela, siedział naprzeciwko burmistrza i rajców Londynu. Był tu też jego oskarżyciel, Silversleeves.

Ostatnie dziesięć dni minęły jak przedziwny sen. Oskarżenie pojawiło się znienacka, a złożył je człowiek, którego Adam ledwo znał z widzenia. Nie był nawet oskarżony o przestępstwo. Chodziło o coś zupełnie niepojętego. „Twierdzą, że nie jestem tym, kim jestem – opowiadał Mabel. – A ja nie mogę udowodnić swojej tożsamości”.

Próbował. Nazajutrz po tym, jak usłyszał zarzuty, pojechał do wioski pod Windsorem. Ale ku jego wielkiemu zdziwieniu dalecy krewni, u których nigdy wcześniej nie był, ani zarządca majątku nie potwierdzili jego niewinności. „Gdyby tylko moja matka żyła! Może ona by coś wiedziała”, rozpaczał. Nikt nie mógł mu pomóc.

Zaczął Silversleeves. Chudy i przygarbiony, zazwyczaj ściągał na siebie kpiny, ale teraz był w swoim żywiole, bo umiał mówić przekonująco.

– Szanowni sędziowie, moje oskarżenie jest oczywiste – oświadczył. – Oto stoi przed wami sprzedawca ryb Adam Ducket, rzekomy obywatel miasta. Moim obowiązkiem jest donieść wam, że podaje się za kogoś innego, niż jest w istocie. Owszem, nazywa się Adam Ducket. Ale nie jest obywatelem tej szlachetnej komuny. – Przy ostatnim słowie ukłonił się głęboko z szacunkiem. – Adam Ducket nie jest wolnym człowiekiem. To chłop pańszczyźniany.

Londyńscy dostojnicy westchnęli znużeni.

– Przedstaw nam swoje dowody.

Podobne oskarżenia o poddaństwo były na porządku dziennym, londyńskie sądy od wielu pokoleń rozpatrywały podobne sprawy. Zgodnie z prawem poddany chłop mógł uciec do miasta i stawał się wolnym człowiekiem, jeśli przez rok i jeden dzień nikt się po niego nie zgłosił. Jednak takich zbiegów było niewielu i jeżeli nie mieli pieniędzy, traktowano ich jak włóczęgów. Poza tym londyńczycy musieli zapewnić pracę swoim rodzinom i krewnym, musieli chronić swoje cechy. Byli

dumni ze swojego miasta. A stary obyczaj mówił wyraźnie: wolni obywatele Londynu nie przyjmują do swojego grona ludzi niewolnego stanu. „Jesteśmy baronami – głosili – a nie zbiegłymi kmieciami”. A już nie do pomyślenia było, żeby chłop poddany udawał obywatela.

Sędziowie wyczuwali jednak, że w tej sprawie chodzi o osobistą zemstę, dlatego zachowywali czujność.

– Obyś miał w ręku mocne dowody – przestrzegał burmistrz.

Miał. Niezwłocznie na świadka powołał krewnego Adama, którego przywiózł aż z Windsoru. A potem zarządcę majątku. Obaj przysięgli, że Adam posiadał ziemię po przodkach, nie płacił jednak czynszu w gotówce, ale go odpracowywał.

– Tak jak my – oświadczył kuzyn.

W pewnym sensie była to prawda. Matka Adama, a później on, od wielu lat nie interesowali się ziemią, krewni zaczęli więc odpracowywać czynsz za działki Adama, zamiast płacić gotówką, a skromne zyski zostawiali dla siebie. Zarządca mieszkał w majątku od dwunastu lat i nie pamiętał, żeby było inaczej. Opłatą za ziemię Adama zawsze była pańszczyzna. A zatem on sam, mimo że mieszkał w Londynie, pozostawał chłopem pańszczyźnianym. Było to może sprzeczne ze zdrowym rozsądkiem, ale w feudalnym świecie takie formalne podejście miało duże znaczenie.

– Słyszałem, że moi krewni świadczą pańszczyznę, ale my zawsze byliśmy ludźmi wolnymi – protestował Ducket. Niestety, tydzień wcześniej zmarł jedyny mieszkaniec wioski, który to pamiętał i mógłby potwierdzić jego słowa.

Silversleeves zadał ostateczny cios.

– Sprawdziłem to w księgach wielkiego spisu króla Wilhelma – oświadczył beznamiętnie. – Nie ma tam ani słowa o wolnej dzierżawie. Ich rodzina zawsze świadczyła pańszczyznę.

Gdyby nawet Silversleeves wiedział, że półtora wieku wcześniej normandzki rachmistrz w pośpiechu popełnił błąd, nie zapisując przodków Ducketa jako ludzi wolnych, nic by go to nie obeszło.

Burmistrz milczał. Rajcy patrzyli ponuro. Wreszcie przemówił Sampson Bull.

– Coś mi tu śmierdzi. Ojcem tego człowieka był płatnerz Simon, szanowany obywatel. – Spojrzał surowo na Pentecosta. – Z którym, o ile mnie pamięć nie myli, Silversleeves miał zatarg. Skoro Ducket jest synem Simona, to z mocy prawa jest wolnym obywatelem miasta. Ot i wszystko.

Rozległy się westchnienia ulgi. Ta sprawa budziła powszechne wątpliwości.

Lecz Silversleeves nie bez powodu był urzędnikiem trybunału skarbowego.

– Jeśli Simon był obywatelem miasta, to zapewne niesłusznie. Ale to nie ma znaczenia. Bo w chwili obecnej Adam Ducket świadczy pańszczyznę za użytkowanie ziemi. Czyli teraz jest chłopem pańszczyźnianym. – Umilkł, przyglądając się sędziom uważnie. – Chyba nie będziemy zmieniać starych praw i nie uczynimy obywatelem człowieka niewolnego?

Nawet Bull nie mógł się temu sprzeciwić. Ducket nie był człowiekiem wolnym, to nie ulegało wątpliwości. A sprytna uwaga Silversleevesa o zmienianiu uświęconego obyczaju zamknęła wszystkim usta.

– Adamie Ducket, bardzo mi przykro – odezwał się burmistrz. – To paskudna sprawa i zapewne nie ty ponosisz winę. Ale człowiek poddany nie może być obywatelem miasta. Musisz wyjechać.

– A moja praca? Jestem sprzedawcą ryb.

– Obawiam się, że będziesz musiał wszystko zostawić – odpowiedział burmistrz. – Nie jesteś obywatelem miasta.

Po wyjściu z sądu Adam spojrzał bezradnie na Mabel i Barnikela.

– I co ja mam teraz zrobić?

– Pomożemy ci – obiecał Barnikel.

– A co z Lucy?

I wtedy Mabel, mimo że zawsze traktowała go jak syna, przemówiła głosem Londynu.

– To straszne, Adamie, ale nie możesz ożenić się z Lucy – powiedziała ze smutkiem. – Nie jesteś wolnym człowiekiem.

W ten sposób Pentecost Silversleeves po wielu latach dokonał wreszcie zemsty.

Rok 1224

Trudno było zaprzeczyć, że świat zmierza w dobrym kierunku. Po siedemdziesięciu pięciu latach intensywnego życia siostra Mabel miała prawo czuć się szczęśliwa.

W Anglii panował pokój. Po długim sporze z baronami król Jan umarł niespodziewanie, pozostawiając małoletniego syna, który miał sprawować władzę z pomocą rady. Rada rządziła dobrze. Swobody zapisane w Wielkiej Karcie zostały dwukrotnie potwierdzone. Londyn miał burmistrza. Podatku ziemskiego nie dało się uniknąć, nie narzucano jednak innych obciążeń, bo król nie prowadził wojen i nie potrzebował pieniędzy na wojsko. „Nawet z papieżem nie toczymy sporu”, mawiała Mabel pogodnie.

W Londynie pojawiły się nowe udogodnienia. Największe wrażenie robiła ogromna wieża wzniesiona na przecięciu nawy głównej i transeptu katedry Świętego Pawła. Przełamała długi zarys budowli, dzięki czemu ponura sylwetka świątyni, górująca nad zachodnim wzgórzem jak ciężka stodoła, zyskała lekkość i wdzięk. Ale jeszcze większym powodem do zadowolenia było dla Mabel pojawienie się nowych wspólnot zakonnych,

zupełnie niepodobnych do wcześniejszych. Mnisi zajmowali się obecnie budowaniem skromnych siedzib. Byli to franciszkanie i dominikanie.

„Podobają mi się – stwierdziła Mabel. – Nie stronią od ciężkiej pracy". Franciszkanie, naśladując w ubóstwie swojego patrona, pomagali biedakom. Dominikanie poświęcali się głoszeniu słowa Bożego. Mabel bardziej lubiła franciszkanów. „Wszystko da się naprawić – powtarzała. – O ile nie będziemy się lenić". Z takim przesłaniem podjęła się tego dnia swojej misji.

Wyglądali naprawdę dziwnie, gdy wlekli się krok za krokiem. Mabel, jak zawsze pełna energii, choć nie tak żwawa jak dawniej, i tyczkowata postać, sztywno stawiająca kroki, uczepiona jej ramienia. Silversleeves był chudy i blady, garbił się, jakby ktoś przeciął go wpół, a mimo to nie miał zamiaru żegnać się z tym światem.

Zupełnie stracił wzrok, więc raz w tygodniu Mabel zabierała go na przechadzkę. „Nie możesz tu siedzieć całymi dniami – mówiła, gdy odwiedzała go w jego kamiennym domu poniżej katedry Świętego Pawła. – Musisz wychodzić, bo inaczej w ogóle przestaniesz się ruszać". Ich wyprawy składały się z dwóch części. Najpierw Silversleeves jechał na kucu, a potem Mabel kazała mu spacerować. Wreszcie odprowadzała go z powrotem do domu.

Ale tego dnia, prowadząc Pentecosta ku rzece, miała inny cel. Chciała mu pokazać most.

Ze wszystkich zmian, które zaszły w mieście za jej życia, ta była największa. Tam, gdzie pięćdziesiąt lat wcześniej Ida widziała ze starego drewnianego mostu masywne kamienne filary, wyłaniała się nowa przeprawa. Była już niemal ukończona. Jej budowa trwała bardzo długo. Potężne filary udało się spiąć mostem dopiero po trzydziestu latach, ale konstrukcję zniszczył pożar i prace trzeba było zacząć od nowa. Teraz

jednak roztaczał się przed nimi wspaniały widok. Tamizę przecinało dziewiętnaście wielkich kamiennych łuków. Most, który się na nich opierał, poszerzono niedawno na tyle, że zaczęły się na nim pojawiać domy, mimo to na ulicy zostawało miejsce na dwa wozy. Na środku mostu stanęła mała murowana kaplica poświęcona świętemu Tomaszowi Becketowi, męczennikowi związanemu z miastem.

Zostawili kuca przy kościele Świętego Magnusa i ruszyli wolno przez most.

– Gdzie my jesteśmy?

– Nieważne.

– Co to za ulica?

– Droga do nieba. Albo do piekła.

Silversleeves zmarszczył brwi.

– Chcę wracać.

– Zawsze tak mówisz. – Szturchnęła go lekko w bok.

– Znów coś knujesz – powiedział gderliwie. Miał rację. Mabel wyznaczyła sobie konkretny cel. I zamierzała go zrealizować. Jej misja miała związek z biednym wikarym z kościoła Świętego Wawrzyńca Silversleevesa.

Wikary nie żył od dawna, podobnie jak jego żona. Jedna z córek była inwalidką i leżała w szpitalu, druga zaś mieszkała w nędznej ruderze obok kościoła, ledwo wiążąc koniec z końcem. Rodzina Silversleevesów odmówiła jej wszelkiej pomocy. Mabel protestowała, nachodziła Pentecosta i jego dzieci, ale nic nie wskórała. Tak ją to rozsierdziło, że niemal przestała odwiedzać starca, lecz w skrytości ducha potraktowała to jak wyzwanie. „Już ja coś od nich wyciągnę dla tej biedaczki”, poprzysięgła sobie. A ponieważ bardzo polubiła kapliczkę na moście, postanowiła ściągnąć tam dziś Silversleevesa.

Wprowadziła go do środka i posadziła na ławce.

– Gdzie my jesteśmy?

– W kościele. A teraz słuchaj. – Powiedziała mu szczerze, co myśli o bezwzględnym traktowaniu wikarego. A zakończyła tak: – Nie przywrócę ci wzroku, starcze. Na to nie ma żadnych ziół. Ale mogę sprawić, że zobaczysz wreszcie swoje grzechy. Teraz uklęknij i módl się dopóty, dopóki nie obiecasz, że pomożesz córce wikarego.

– A jeśli tego nie zrobię?

– To cię tu zostawię.

Niechętnie osunął się na kolana. Mabel usiadła w innej ławce i zaczęła się modlić do świętego męczennika.

Cud – bo siostra Mabel nie umiała sobie tego inaczej wytłumaczyć – wydarzył się po kilku chwilach. Z głębokiej modlitwy wytrącił ją okrzyk Silversleevesa.

– Ja widzę!

– Co widzisz?

Starzec wpatrywał się w swoje dłonie.

– Ja widzę!

Podeszła do niego. Rzeczywiście, widział. Mabel się przeżegnała.

– Święty wyprosił dla nas cud.

Na twarzy Silversleevesa pojawił się mimowolny, niemal dziecięcy uśmiech, który przerodził się w cichy chichot.

– Zaiste! To cud. Ja widzę!

– Czy teraz dasz coś tej biednej kobiecie?

– Tak – powiedział oszołomiony. – Chyba tak. – Rozejrzał się po kaplicy. – Niesamowite. Ja naprawdę widzę. – Zmarszczył brwi. – Co to za kaplica? Byłem tu już kiedyś?

– To kaplica Świętego Tomasza.

– Tomasza?

– Becketa. A kogóż by?

Miesiąc później Michael, otoczony czułą opieką Mabel, odszedł spokojnie z tego świata. Nie musiał wzywać brata, żeby wymóc na nim spełnienie dawnej obietnicy. Bull od dawna hojnie wspierał szpital Świętego Bartłomieja.

Pomodliwszy się nad ciałem Michaela, Mabel wyszła na klasztorny dziedziniec. Dopiero wstawał świt, ale bez trudu rozpoznała postać, która pojawiła się na krótką chwilę w południowo-wschodnim rogu. Demon z długim ogonem wyraźnie odwrócił głowę, żeby na nią spojrzeć. Przybył po swoją zdobycz, lecz z zadowoleniem zauważyła, że odchodzi z pustymi rękami.

Zamtuz

Rok 1295

Zapewniały ją, że nazajutrz wciąż będzie dziewicą. Ale koło południa zaczęła się niepokoić.

Listopad był pochmurny. Dziewczyna, owinięta w szal, przesiedziała cały poranek na ławce przed burdelem. Po drugiej stronie rzeki widziała nabrzeże, a powyżej katedrę Świętego Pawła. Po lewej, pomiędzy Tamizą a Ludgate, tam gdzie kiedyś stał fort Baynarda, ciągnęły się teraz rozległe tereny przejęte przez dominikanów. Zwykle ten widok sprawiał jej przyjemność, ale tego dnia odnosiła wrażenie, że niesie jakąś groźbę. Dziewczyna nazywała się Joan i miała piętnaście lat.

Była drobnej postury; zaczesane do tyłu ciemne włosy odsłaniały owalną twarz o gładkiej jasnej cerze. Miała małe stopy i dłonie, których miękkość zdradzała lekką pulchność ciała, dla wielu mężczyzn bardzo pociągającą. Oczy, patrzące spokojnie i poważnie, wskazywały, że należy do rodziny pracowitych rzemieślników wywodzących się od Osrica, który dawno temu pracował przy budowie Tower.

Ale to przestało mieć znaczenie w chwili, gdy wczesnym rankiem podjęła straszną decyzję i przeszła na drugą stronę rzeki. Kiedy ojciec się o tym dowie, już nigdy się do niej nie odezwie. Matka też. Nie miała żadnych wątpliwości. Ale gotowa była to znieść, gotowa była poświęcić

dom, rodzinę, resztki reputacji, żeby tylko uratować życie ukochanego mężczyzny. Jutro go ocali. Oby tylko wytrzymał do jutra.

Na południowym brzegu Tamizy, naprzeciwko katedry Świętego Pawła, na skrawku osuszonych mokradeł zwanym Bankside, stał rząd osiemnastu zamtuzów, jak wówczas nazywano domy publiczne. Jedne były dużymi domami z wewnętrznym dziedzińcem i ogrodem schodzącym do Maiden Lane. Inne, wysokie i wąskie, sprawiały ponure wrażenie – wystające wyższe piętra z bali i zaprawy murarskiej wyglądały, jakby uginały się pod ciężarem gromadzonej latami rozpusty. W tych rozmaitych przybytkach, dzierżawionych i prowadzonych przez zarządców, uprawiało swój proceder prawie czterysta prostytutek.

Mniej więcej pośrodku stał zamtuz Pod Psim Łbem – średniej wielkości, ze ścianami pomalowanymi na czerwono, stromym dachem krytym strzechą i wielkim szyldem przedstawiającym głowę psa z ogromnym jęzorem. Tu właśnie miała zamieszkać Joan. Na końcu uliczki, patrząc w górę rzeki, stał duży, częściowo murowany budynek. Nosił nazwę Castle upon the Hoop. Na przeciwległym krańcu, za ostatnim zamtuzem, wznosiła się kamienna budowla z przystanią: londyński dwór biskupa Winchesteru. W jej obrębie mieściło się małe, ale zatłoczone więzienie nazywane Clink – ciupą.

Cały ten teren, dwór, więzienie, osiemnaście domów publicznych oraz płynące z nich dochody należały do biskupa.

Ziemi za południowym krańcem London Bridge nigdy nie uważano za część miasta. Od czasów Rzymian, które już dawno odeszły w niepamięć, droga z Dover i Canterbury łączyła się tu z innymi szlakami z południa i biegła na drugą stronę rzeki. W czasach saskich osadę nazwano Southwark – tworzyła własną gminę niezależną od Londynu. Dlatego stała się schronieniem dla bezdomnych włóczęgów i wszystkich, którzy byli na

bakier z prawem. Przy moście działał targ. Nieco dalej na zachód, spod kościoła pod wezwaniem Świętej Marii Overie, odbijał prom na drugi brzeg. Jeszcze dalej stał biskupi dwór i ciągnęło się Bankside. A kiedy pojawiły się domy publiczne? Powiadano, że powstały wraz z utworzeniem gminy. Co mogło być prawdą, bo nadal określano je saską nazwą: *horhus*.

Majątek biskupa w Southwark był bardzo rozległy. Przypominał charakterystyczne dla dawnego Londynu prywatne okręgi, stanowiąc wielki majątek feudalny, w którym jedynym panem i władcą był biskup. A ponieważ takie kompetencje nazywano „swobodami", cały majątek – nawet w oficjalnych dokumentach – nosił dziwną nazwę Liberty of the Clink – „wolność ciupy".

Liberty of the Clink była dobrze zarządzana, podobnie jak osiemnaście burdeli. Półtora wieku wcześniej, za panowania Henryka II, biskup Winchesteru, który akurat był wówczas także arcybiskupem Canterbury, stwierdził: „W moich zamtuzach panuje bałagan". I wraz z pomocnikami sporządził szczegółową listę zaleceń, po łacinie i po angielsku, które zachowano w diecezjalnej bibliotece dla przyszłych pokoleń. Dokument kończył się słowami: „Z szacunku dla Boga i w zgodzie z chwalebnymi prawami tej ziemi". Zalecenia okazały się tak dobre, że gdy Londyn otrzymał pozwolenie na zakładanie własnych domów publicznych na Cock's Lane, niedaleko klasztoru Świętego Bartłomieja, wykorzystano je w całości, a prostytutki nazywano „gąskami z Winchesteru". Jednym z pomocników odpowiedzialnych za sformułowanie owych zaleceń – choć nie wiadomo, czy brał w tym udział osobiście – był nie kto inny jak sławny londyńczyk Tomasz Becket.

Ale oto zbliżał się do niej zarządca zamtuza z żoną. On był tęgim, łysiejącym mężczyzną z czarną, zawsze przetłuszczoną brodą. Jego żona,

krępa i przysadzista, miała owalną, żółtawą twarz przypominającą spocony ser. Na ich widok domyśliła się wszystkiego.

– Przecież mi obiecaliście… – wybuchnęła.

Ale oni tylko się uśmiechnęli. Była zdana na ich łaskę.

Rozejrzała się z rozpaczą dookoła. To siostry Dogget wpadły na ten pomysł. Obiecały ją chronić. Przecież nie mogły jej zostawić na pastwę tych ludzi. Naprawdę nie mogły?

– Klient na ciebie czeka, skarbie – powiedziała kobieta.

Wszyscy w Southwark znali siostry Dogget. Jedna miała na imię Isobel, a druga Margery, ale nikt – nawet zarządca burdelu Pod Psim Łbem, gdzie pracowały – nie umiał ich odróżnić. Isobel i Margery były bliźniaczkami jednojajowymi.

Wysokie i żylaste, miały bujne czarne włosy, duże ciemne oczy i proste zęby, a gdy wybuchały śmiechem, ich niskie głosy brzmiały jak ryk osła. Szczupłe sylwetki i ciężkie piersi jednak sprawiały, że roztaczały wokół siebie zmysłową aurę. Nie tylko to je wyróżniało: obie miały nad czołem pasmo białych włosów.

Zawsze ubierały się tak samo, mówiły tak samo, w burdelu wynajmowały sąsiednie pokoje, w których sprzedawały swoje ciała. A gdy klient wyrażał takie życzenie, zgadzały się – ze skromną zniżką – na igraszki we troje, mogące trwać całą noc, jeśli klientowi starczyło sił.

Siostry Dogget należały do małego klanu, który opanował Southwark i którego obecność w tym miejscu była skutkiem małego, ludzkiego błędu. Osiemdziesiąt lat wcześniej biedny Adam Ducket stracił status człowieka wolnego i podjął wtedy nieroztropną decyzję. Zraniony i rozgoryczony, odrzucił pomoc Barnikelów. „Jeśli nie chcą mi dać za żonę swojej córki, to nic od nich nie chcę”, oświadczył ze złością. Miesiąc po procesie znalazł się w Southwark. Założył stragan na targu, ale splajtował. Potem pracował

w gospodzie, ożenił się z jedną z tamtejszych posługaczek i dochował się z nią gromady dzieci, które biegały boso po ulicach. I tak w ciągu jednego pokolenia dumny ród skromnych londyńskich mieszczan stoczył się do społecznych nizin, które od niepamiętnych czasów spotykało się we wszystkich dużych miastach na całym świecie. Siostry należały do pięcioosobowej rodziny i miały kilkunastu bliższych i dalszych krewnych. Wszyscy mieszkali w Southwark i wszyscy byli weseli, pełni energii. Nie cieszyli się dobrą opinią.

Nosili nazwisko Ducket – z wyjątkiem sióstr. Z powodu swojej profesji stały się znane w okolicy. Najbardziej kojarzono je z ich miejscem pracy, dlatego nazywano je „dziewczynami z Psiego Łba”. Stąd wziął się przydomek, który nawet brzmiał podobnie do ich prawdziwego nazwiska: Dogget [15]. Niektórzy Ducketowie, wstydząc się reputacji sióstr, byli z tej zmiany zadowoleni. A dziewczęta przyjęły ją z radością. Bez cienia wstydu przedstawiały się jako siostry Dogget.

Były pogodne i życzliwe, a najbardziej na świecie kochały ryzyko. Dlatego gdy dwa dni wcześniej natknęły się przy katedrze Świętego Pawła na zalaną łzami Joan, zaciekawiły się i kazały jej wszystko opowiedzieć. „Musimy jej pomóc”, stwierdziły zgodnie. I wymyśliły niezwykły plan – mogła na to wpaść Isobel, ale mogła też Margery – który wiązał się z dużym ryzykiem, lecz jak dotąd toczył się gładko. Joan skrupulatnie odegrała swoją rolę.

I pewnie wszystko skończyłoby się dobrze, gdyby nie to, że w ciągu ostatniej godziny siostry zupełnie o niej zapomniały. Margery miała własne kłopoty.

– Boli? – Siostry znalazły ustronne miejsce na wzgórzach półtora kilometra od Bankside. A teraz patrzyły z niepokojem na małą rankę.

– Piecze – przyznała Margery.

– No to złapałaś – stwierdziła Isobel. – Zauważą.

Strażnicy sądowi i pomocnicy biskupa raz w miesiącu badali wszystkie dziewczyny. Jeśli któraś miała jakikolwiek ślad choroby, była wyrzucana z Liberty. Nie pomagały nawet łapówki. Większość londyńczyków była zdania, że gdy burdelami zarządza Kościół, to badania prostytutek są prowadzone uczciwie i rzetelnie. A Margery niewątpliwie nabawiła się dzikiego świerzbu.

Była to odmiana kiły, łagodniejsza od szczepu, który pojawił się kilka stuleci później. Nie wiadomo, kiedy choroba trafiła do Brytanii. Być może przywlekli ją krzyżowcy, ale istnieją poszlaki wskazujące, że szerzyła się na wyspie już w czasach saskich.

Były bezradne. Jeśli Margery zostanie wyrzucona z burdelu, straci źródło utrzymania.

– Szkoda, że król pozbył się wszystkich Żydów – powiedziała.

Bo najlepszy był stary doktor, każdy w Bankside by to potwierdził. Wielu londyńczyków go pamiętało. W ogóle najlepsi lekarze wywodzili się ze społeczności żydowskiej – nie wiadomo, czy dlatego, że mieli dostęp do prastarej wiedzy antyku i Bliskiego Wschodu, czy dlatego, że byli lepiej wykształceni i nie ulegali przesądom. Stary doktor z Bankside umiał leczyć dziki świerzb rtęcią. Teraz nikt już tego nie potrafił.

W Londynie nie ostał się ani jeden Żyd. Po pogromie w dniu koronacji Ryszarda antyżydowskie nastroje się nasilały. Pierwotną przyczyną prześladowań nie była jednak bankierska działalność Żydów. Wprawdzie niektórzy filozofowie Kościoła głosili, że pożyczanie pieniędzy na procent jest lichwą, a więc grzechem, to jednak taki brak elementarnej wiedzy ekonomicznej nie był powszechny, nawet w Kościele. Administratorzy biskupich majątków i opaci największych klasztorów pożyczali od Żydów na potęgę. W ten sposób sfinansowano na przykład niedawny wielki remont

opactwa westminsterskiego. Gdy kilku żydowskim finansistom jako zabezpieczenie pożyczki zaproponowano relikwie pewnego świętego, zapewniające stały dopływ pielgrzymów, wywołało to najwyższe zdumienie.

Prześladowania Żydów miały trzy przyczyny. Pierwszą była wynikająca z przesłanek religijnych antyżydowska kampania, którą Kościół od dawna prowadził w Europie. Drugą – wrogość wielu baronów i innych dłużników, którzy musieli spłacać wysokie odsetki od pożyczek. Trzecią był sam król. Panowanie Henryka III, syna Jana, trwało pięćdziesiąt lat; jego syn Edward zasiadał na tronie od lat dwudziestu pięciu. Obaj często potrzebowali pieniędzy. Uznali więc, że najprostszym sposobem ich zdobycia jest obłożenie Żydów grzywnami. Były one jednak tak częste i tak dotkliwe, że z czasem wszyscy żydowscy bankierzy popadli w ruinę. Ich miejsce stopniowo zajmowali lichwiarze wyznania chrześcijańskiego, zwłaszcza wywodzący się z największych banków Italii, popieranych przez Watykan. Żydzi stali się królowi niepotrzebni. I tak w 1290 roku, w akcie dogodnej pobożności, Edward, król Anglii, anulował wszystkie długi wobec Żydów i wyrzucił ich ze swojego królestwa, sprawiając wielką przyjemność papieżowi.

W tym także lekarzy. Bez nich i ich rtęci los sióstr Dogget rysował się ponuro. Nic dziwnego, że całkowicie zapomniały o biednej Joan, której życie wywróciły do góry nogami.

Martin Fleming siedział nieruchomo w swojej celi. „Lepiej się pomódl”, powiedział mu rano dozorca więzienny. Próbował ze wszystkich sił, ale żadne słowa nie przychodziły mu do głowy. Myślał tylko o tym, że jutro go powieszą. Co z tego, że jest niewinny?

Martin był niewiele wyższy od dziewczyny, którą kochał. Ale ludzie nie zwracali uwagi na jego wzrost, lecz na dziwną sylwetkę. W miejscach

anatomicznych zaokrągleń miał wgłębienia. Klatka piersiowa była zapadnięta, a twarz przypominała wklęsłą łyżkę. Był tak wątły i rachityczny, że nikt nie podejrzewał w nim siły woli i determinacji. Niewiele osób wiedziało, że ma w sobie upór niewzruszony jak skała.

Nazwisko Martina świadczyło o tym, że jego przodkami byli przybysze z Flandrii. W Londynie mieszkało wielu Flemingów. Ten zamorski kraj między Francją a Niemcami, słynący z wyrobu tkanin, był nie tylko istotnym partnerem handlowym Anglii. Pochodziło też stamtąd wielu imigrantów. Flamandzcy najemnicy, kupcy, tkacze i rzemieślnicy – czasem nazywani byli Flemingami, ale częściej przyjmowali angielsko brzmiące nazwiska – z łatwością wtapiali się w tutejsze środowisko. Zazwyczaj dobrze im się wiodło. Ale nie rodzinie Martina. Jego ojciec był ubogim rogownikiem. Jego praca polegała na ścieraniu i polerowaniu rogu, aż do uzyskania cienkich, przezroczystych płytek, które wykorzystywano jako osłony w latarniach. Zarabiał na tym marne grosze. Dlatego gdy przed Martinem zarysowały się obiecujące możliwości, to on najbardziej zachęcał syna: „Przyjmij tę ofertę. Ja ci w niczym nie pomogę”. Martin miał objąć niskie stanowisko, ale ojciec mówił: „Nigdy nie wiadomo, jak taki człowiek cię wynagrodzi”.

O ile w ogóle wynagrodzi.

Początkowo Martin tak bardzo był zadowolony z posady u Włocha, że nie zauważał różnych niedogodności. Włoch był bogatym lichwiarzem, jednym z tych, którzy zajęli miejsce Żydów; miał siedzibę przy wąskiej uliczce u podnóża Cornhill, która – jako że wielu Włochów pochodziło z Lombardii – zyskała nazwę Lombard Street. Pracodawca Martina był wdowcem, mieszkał sam, bo jego syn prowadził rodzinne interesy w Italii. Wykorzystywał Martina do rozmaitych posług. Płacił dobrze, choć niechętnie.

„Zawsze uważa, że go oszukuję”, narzekał Martin. Czy to dlatego, że Włoch słabo mówił po angielsku, czy dlatego, że z natury był bardzo nieufny, zawsze znalazł powód do wymówek. Wysyłał Martina z wiadomością, a potem wypominał mu, że gdzieś się szwendał. Kazał kupić na targu jedzenie, po czym upierał się, że Martin zatrzymał sobie część pieniędzy. „Powinienem był od niego odejść”, stwierdził później Martin. Ale tego nie zrobił. Bo głowę miał zaprzątniętą czymś innym.

Joan była inna od wszystkich dziewcząt.

W wieku osiemnastu lat Martin zauważył, że większość kobiet śmieje się z jego wątłej postury. W dniu święta wiosny, gdy wielu młodych terminatorów dostawało całusa, a czasem nawet coś więcej, on nie dostawał nic. A kiedyś kilka dziewczyn wprost zaczęło z niego szydzić na ulicy. „Nigdy się nie całował. I pewnie nie umie!”, krzyczały.

Inny chłopak na jego miejscu byłby zdruzgotany. Ale Martin – kierowany wewnętrzną dumą – powtarzał sobie, że nimi pogardza. Bo niby kim one są? Jedynie kobietami. Kobiety są kapryśne i skłonne do grzechu – czyż nie tak mówią księża na kazaniach? A te ich uśmiechy, pocałunki, piękne ciała – wzruszał ramionami. To wszystko jest dziełem szatana. Im dłużej się nad tym zastanawiał, tym bardziej utwierdzał się w swoim przekonaniu. Gdy stał się dojrzałym mężczyzną, wciąż nieznającym smaku pocałunku, stwierdził z poczuciem niewzruszalnej pewności: „Kobiety są nieczyste. Nie zależy mi na nich”.

Ojciec Joan był uczciwym rzemieślnikiem. Zajmował się malowaniem wymyślnych drewnianych siodeł dla bogaczy i szlachty. Pomagali mu w tym dwaj synowie. Był przekonany, że jego rozsądna córka wyjdzie za mąż za kogoś pokroju swoich braci. Co takiego zobaczyła w młodym Flemingu, który nie miał żadnej przyszłości? Ojciec zniechęcał ją do niego, jak mógł, tak przecież postąpiłby każdy rozumny rodzic. Ale dziewczyna

trwała przy swoim w milczeniu, i to z bardzo prostego powodu: czuła się kochana. Wręcz wielbiona.

Martin przepracował u Włocha pół roku, gdy zauważył ją po raz pierwszy. Miał coś załatwić na nabrzeżu winiarzy, szedł więc w kierunku West Cheap. Zobaczył ją u wylotu Bread Street, siedzącą przed warsztatem ojca. Co kazało mu się zatrzymać i zagadać do niej? Nie umiał tego wytłumaczyć. To musiał być jakiś wewnętrzny głos. Nazajutrz znów poszedł tą samą trasą. I następnego dnia też.

Joan nie przypominała innych dziewcząt. Cicha i skromna. I nie widziała w nim nic śmiesznego. Gdy patrzyła na niego swoimi poważnymi oczami, czuł się prawdziwym mężczyzną. A przede wszystkim, co szybko zauważył, nie miał żadnego rywala. Mogła należeć tylko do niego. „Ona jest niewinna”, przekonywał sam siebie. Co było prawdą. Joan nigdy dotąd nie całowała się z chłopakiem.

Zaczął się do niej zalecać. Brak rywali dodawał mu potrzebnej pewności siebie. A im pewniej się czuł, tym bardziej był wobec niej opiekuńczy. Nigdy wcześniej nie przyszło mu do głowy, że jest silny. W niektórych mężczyznach pierwsze zaloty budzą zarozumiałość, która każe im rozglądać się za innymi zdobyczami. Ale Martin wiedział, że kobiety są nieczyste i nie wolno im ufać – żadnej z wyjątkiem Joan. Widział w niej coraz więcej zalet i coraz bardziej upewniał się, że nigdy z niej nie zrezygnuje. Nie było tygodnia, żeby nie przyniósł jej jakiegoś podarunku. Gdy była szczęśliwa, dostosowywał się do jej nastroju; gdy robiła się smutna, starał się ją pocieszyć. Jeszcze nikt nie poświęcał jej tyle uwagi. Nic dziwnego, że po pół roku postanowili wziąć ślub.

Ale jak mieli sobie poradzić? Malarz siodeł mógł dać młodym niewiele, a ojciec Martina nic. Ojcowie się spotkali i pokręcili ze smutkiem głowami. „On mówi, że nie chce żadnej innej”, tłumaczył rogownik przepraszająco.

„Tak samo Joan – odpowiedział ojciec dziewczyny. – I co z tym zrobić?” W końcu uzgodniono, że młodzi poczekają dwa lata, bo może przez ten czas Martin znajdzie lepszą posadę. „Kto wie – powiedział ojciec Joan z nadzieją – może jednak zmienią zdanie”.

Ale potem wydarzyło się coś strasznego.

W pewnym sensie Martin na to zasłużył. Prawo mówiło wyraźnie: po zapadnięciu zmroku zwykli mieszkańcy musieli pozostawać w domach. Służba mogła przebywać na ulicach jedynie za pozwoleniem swojego pana. Nawet gospody zamykano. Taka „godzina policyjna” była czymś powszechnym w średniowiecznych miastach. Ale oczywiście nikt jej nie przestrzegał. Bo oprócz dwóch żołnierzy przy bramach i pojedynczych strażników w każdym okręgu nie miał jej kto egzekwować.

Pewnego październikowego wieczoru Martin, korzystając z nieobecności swojego pana, wymknął się do gospody. Gdy po dwóch godzinach wrócił do ciemnego domu, zaskoczył złodziei. Było ich dwóch. Usłyszał ich już od progu. Myśląc tylko o obronie własności swojego pryncypała, pobiegł na tyły domu. Narobił takiego hałasu, że złodzieje rzucili się do ucieczki. Zaczął ich więc gonić. Na ulicy jeden z nich upuścił mały worek. Wkrótce zniknęli mu z oczu. Martin podniósł pakunek i ruszył do domu.

Jednak po chwili natknął się na strażnika, który zapytał go, czy ma pozwolenie na przebywanie na ulicy po zmroku. A potem przeszukał worek.

Włoch wrócił nazajutrz. Nie uwierzył, że Martin nie chciał go obrabować. W worku znajdowało się kilka złotych ozdób, które trzymał w skrytce. Biedny Martin nie miał żadnych szans. „Już wcześniej przyłapałem go na próbie kradzieży”, oświadczył lichwiarz przed sądem.

To wystarczyło, aby sędziowie wydali wyrok. Za kradzież groziła kara śmierci.

Miasto miało trzy duże więzienia, wszystkie przy zachodnich murach: Fleet, Ludgate, w którym osadzano głównie niewypłacalnych dłużników, oraz Newgate. Składały się z kilku pomieszczeń zatłoczonych do granic możliwości. Obowiązywały proste zasady: więźniowie płacili dozorcy za jedzenie albo dostawali je przez kratę od rodziny. W innych przypadkach zwyczajnie głodowali, chyba że ktoś się nad nimi ulitował albo dozorca dał im trochę chleba i wody.

Martin Fleming przebywał w Newgate od tygodnia. Jedzenie przynosiła mu rodzina. Joan też odwiedzała go co dzień, ale on nie miał już żadnej nadziei. Bogacze kupowali u króla ułaskawienie – dla takich jak on nieosiągalne. Nazajutrz czekała go śmierć.

Dlatego zdziwił się, gdy usłyszał wiadomość od Joan, przekazaną przez jej brata.

– Kazała ci powiedzieć, że jutro wszystko dobrze się skończy.

– Nie rozumiem.

– Ani ja. Ale powiedziała jeszcze coś. Nie daj się zwieść pozorom. Zrób tak, jak ona ci każe. Stanowczo. Mam ci to powtórzyć. Nie daj się zwieść pozorom i zaufaj jej.

– Gdzie ona jest?

– Nic więcej nie wiem. Kazała mi uprzedzić rodzinę, że nie wróci na noc. Po prostu zniknęła.

– Więc nie wiesz, o co w tym chodzi?

– Nie mam pojęcia. – Brat Joan wzruszył ramionami i wyszedł.

Jak to się może jutro dobrze skończyć?, zastanawiał się Martin. Śmiercią?

Jakiś czas wcześniej – może godzinę przed południem – wysoki jasnowłosy mężczyzna przed trzydziestką stanął przed drzwiami na pierwszym piętrze domu Williama Bulla. Służący wskazał mu drogę. Ale nagle, wobec perspektywy tego, co go czekało, stracił resztki odwagi. Zawahał się. Zza drzwi dobiegło stęknięcie. Zapukał niepewnie.

William Bull siedział w toalecie, nie zwracając uwagi na pukanie. Rozmyślał.

Toaleta wybudowana na górnym piętrze domu Pod Bykiem była wspaniała. Nieduże kwadratowe pomieszczenie z oknem zasłoniętym okiennicą, ze ścianami i drzwiami wyłożonymi zielonym suknem, z podłogą pokrytą warstwą świeżej perfumowanej trzciny. Sam sedes, zakończony kanałem odpływowym z trzymetrowym spadkiem, wykonano z polerowanego marmuru. Na wierzchu leżała gruba czerwona poduszka z otworem pośrodku, haftowana w czerwone, zielone i złote kwiaty i owoce. Król Henryk III był namiętnym propagatorem higieny, dzięki czemu oprócz wielu kościołów zbudował ogromną ilość *garderobe*, czyli ubikacji. Szlachta, chcąc nadążać za modą, szła jego śladem, a ojciec Bulla, londyński rajca i baron, też kazał zainstalować taki przybytek. William, kupiec dumny ze swoich dokonań, siedział na sedesie jak na tronie.

Było to miejsce dobre także do rozmyślań. Tego ranka William Bull miał się nad czym zastanawiać. Przede wszystkim musiał podjąć dwie decyzje: jedną błahą i jedną ważną. Tak ważną, że mogła odmienić całe jego życie. O dziwo, po zaskakujących wydarzeniach poprzedniego dnia, ta doniosła decyzja okazała się łatwa.

Stęknął i powziął postanowienie.

Znów to pukanie. Zmarszczył brwi.

– Wejść, do diabła.

W domu wiedziano, że Bull ma zwyczaj prowadzić rozmowy w swoim sanktuarium. Jednak na widok gościa poczerwieniał z gniewu.

– A, to ty – warknął. – Zdrajca.

Kuzyn aż się skrzywił.

Elias Bull był dziesięć lat młodszy od Williama. W odróżnieniu od tęgiego kupca był szczupły, nie miał plamistej cery i szerokiej szczęki. Był tkaczem, ale nie wiodło mu się dobrze.

– Nie nachodziłbym cię – wyznał przy ostatnim spotkaniu – gdyby nie chodziło o moją żonę i dzieci. Jak sam wiesz, nasz dziadek zostawił mojemu ojcu marne grosze. – Prosił jedynie o małą pomoc. – A czy to słuszne, że grzechy ojca spadają na syna?

– Oczywiście – odparł William szczerze zdziwiony.

Długie panowanie Henryka III nie przysłużyło się rodzinie Bullów. Wszystko szło dobrze, dopóki w imieniu małoletniego króla krajem rządziła rada. Nie było dużych wojen. Angielski handel wełną kwitł. A pod rządami burmistrza i rady miejskiej Londyn rozwijał się i bogacił. „Szkoda, że ten chłopak musiał dorosnąć – mawiał z żalem ojciec Williama. – A najgorsze, że w jego żyłach płynie krew Plantagentów”. Bo czy którykolwiek Plantagenet nie marzył o imperium? Młody Henryk miał Anglię oraz Akwitanię, ale chciał mieć znacznie więcej.

W końcu gorzko tego pożałował, tak samo jak jego ojciec Jan: kolejne zagraniczne kampanie, bardzo kosztowne, zakończyły się fiaskiem; wielu baronów, pod wodzą wielkiego Szymona de Montfort, zbuntowało się i doprowadziło do powstania nowej rady, która rządziła królem, jakby znów był dzieckiem. Montfort zwołał wielkie zgromadzenie baronów, rycerzy, a nawet mieszczan, nazwane parlamentem. Przez kilka lat wydawało się nawet, że w Anglii rozwinie się nowy rodzaj władzy królewskiej poddanej

kontroli wielkiej rady. Jednak w tym całym zamieszaniu wydarzyło się coś strasznego.

W Londynie rozruchy wybuchały już wcześniej. Ale te były inne. Nie wzniecili ich biedacy ani porywczy terminatorzy. Na czele buntu folkmootu przeciwko bogatym rodom takim jak Bullowie stanęli szacowni obywatele – sprzedawcy ryb, garbarze, handlarze i rzemieślnicy. Przez miasto przetaczały się zamieszki, a jakaś banda, dowodzona przez młodego rozwścieczonego sprzedawcę ryb nazwiskiem Barnikel, wyważyła drzwi do domu Bulla i spróbowała podłożyć ogień. Co gorsza, Montfort pozwolił tym radykałom usunąć rajców ze stanowisk i wybrać nowych, podobnie prostackich jak oni sami. W końcu jednak został zabity, król odzyskał pełnię władzy, a kontrolę nad Londynem przejął dawny patrycjat.

Najgorsze jednak było to – na samą myśl Bull wciąż zaciskał gniewnie pięści – że brat jego ojca przyłączył się do buntowników. Wielu młodych idealistów lub oportunistów z patrycjuszowskich rodzin postąpiło podobnie. „Nic ich nie rozgrzesza – grzmiał ojciec Williama. – Zdrajca zawsze pozostanie zdrajcą”. Buntownik został na zawsze wykluczony z rodziny. A teraz, już trzeci raz w tym roku, podły syn tego zdrajcy znów natrętnie prosi o pomoc. Ale po chwili Bull się rozpromienił i aż stęknął z radości. Podjął już decyzję, więc ta wizyta była mu na rękę. Robię się bezwzględny, pomyślał. Nie widział jednak powodu, żeby odmówić sobie małej zemsty.

Wpatrując się niewzruszenie w swoją nieświadomą niczego ofiarę – a w tej pozycji i w tym miejscu przypominał wielką, przerażającą ropuchę – powiedział szorstko:

– Dam ci trzy marki, jeśli zejdziesz mi z oczu.

Taka suma wystarczyłaby na wykarmienie rodziny przez jakiś czas, ale w niczym nie zmieniała ich położenia. Elias się obruszył.

– Ale jeśli znajdziesz mnie tu za rok… – William wzruszył ramionami. – To może nawet dam ci twoją część spadku. A teraz wynoś się! – wrzasnął nagle. – I zamknij za sobą drzwi.

Zaskoczony Elias wyszedł.

Okrucieństwo tego żartu wynikało z decyzji, którą William podjął w tajemnicy.

Za rok już go tu nie będzie. Bullowie opuszczą Londyn. Na zawsze.

Nic w tym dziwnego. Już jego ojciec mawiał: „Londyn zrobił się nie do zniesienia”. A główny powód niezadowolenia, poza rebelią, można było streścić jednym słowem: imigranci. Kwitnący Londyn, doświadczający w tym stuleciu wspaniałej koniunktury, musiał się rozrastać. Strumień imigrantów zamienił się w prawdziwy zalew: Włosi, Hiszpanie, Francuzi, Flamandowie, Niemcy z coraz liczniejszych portów Hanzy, nie wspominając o kupcach i rzemieślnikach zjeżdżających z różnych części kraju. Co gorsza, wszyscy ci przybysze, z wyjątkiem Niemców, trzymających się oddzielnie, mieszali się i żenili z miejscowymi rzemieślnikami, którzy stali się przekleństwem za czasów Montforta. „Ci prostaccy parweniusze i cudzoziemcy zaczynają nas wypierać”, utyskiwali przedstawiciele starych rodów.

William stracił wszelkie złudzenia po tym, co wydarzyło się na rok przed śmiercią króla Henryka. Iglica wieży kościoła St Mary-le-Bow zawaliła się podczas burzy, uszkadzając dom należący do Bulla. W innych okolicznościach szkody zostałyby szybko usunięte, ale ojciec Williama zwlekał, a potem postanowił sprzedać nieruchomość. Rok później dom oraz trzy inne siedziby będące własnością Bullów zajęli wspólnie farbiarz z Pikardii i handlarz skór z hiszpańskiej Kordoby. Potem na pobliskim Garlick Hill zamieszkali wulgarni garbarze. Takie pozorne drobiazgi były znakami czasu. Aż wreszcie dom Bullów, wcześniej należący do

arystokratycznej parafii St Mary-le-Bow, stał się częścią maleńkiej parafii Świętego Wawrzyńca Silversleevesa. Przecież taki podły kościółek nie był ich godzien! Nie dało się ukryć, że status rodziny się obniża.

Długie panowanie Henryka III było dla nich trudnym okresem, ale dwadzieścia lat rządów Edwarda stało się prawdziwym koszmarem. Edward I robił imponujące wrażenie. Wysoki i silny, miał szlachetną twarz z falującą brodą, a jego jedynymi ułomnościami była opadająca lewa powieka i seplenienie. Energiczny prawodawca i zręczny dowódca, odznaczał się zarówno inteligencją, jak i sprytem. Nie bez powodu nazywano go lampartem. Po żałosnych rządach ojca umiał narzucić swoją wolę i robił to z żelazną konsekwencją. Na ogół odnosił sukcesy. Podporządkował sobie Walijczyków, wzniósł na ich ziemiach ogromne zamki i osadził na tronie pierwszego angielskiego księcia Walii. Wkrótce miał wyruszyć na północ, żeby zgnieść Szkotów. W swoim królestwie nie darzył sympatią jedynie dumnych rajców Londynu, którzy wybierali własnego burmistrza, uważając, że mogą wynosić do władzy królów.

Zaatakował podstępnie. Który bowiem kupiec mógłby powiedzieć, że Edward jest jego wrogiem? Król ustanawiał sprawiedliwe prawo, które ułatwiało handel. Spłacał długi, upraszczał podatki, a nowe, rozsądne cło na eksportowaną wełnę można było przerzucić na zagranicznych klientów. „Spójrzcie jednak, co po cichu wyrządził nam, patrycjuszom – mówił William. – Oddał najlepszą część handlu winem w ręce kupców z Bordeaux, największymi sprzedawcami wełny są Włosi albo ludzie w West Country”. Jego ojciec z dużym zyskiem sprzedawał luksusowe towary królewskiemu urzędowi zwanemu Wardrobe, ale William nie mógł już sprzedać nic. „Zostałem pominięty i zlekceważony – stwierdził z goryczą. – Lampart nas przechytrzył”.

Ale to był dopiero początek. Ostateczny atak, który rozpoczął się dziesięć lat wcześniej, okazał się niszczący. Oto nagle, pod pretekstem naprawy prawa i zaprowadzenia porządku, król Edward odwołał burmistrza Londynu i wprowadził własnego zarządcę. Rajcy osłupieli. Nie otrzymali jednak żadnego wsparcia od londyńczyków. A potem Edward przystąpił do działania. Posypały się kolejne rozporządzenia: rejestry, sądy, wagi i miary – wszystko zostało zreformowane z właściwą Edwardowi gruntownością. „Być może nasze rządy były nieco niemrawe – przyznał Bull. – Ale król dał cudzoziemcom prawa handlowe, które należały się nam!", zagrzmiał na koniec. Trybunał skarbowy przeniósł się niespodziewanie do Guildhall, gdzie zawsze obradował sąd Husting. Gdy dwa lata wcześniej rajcy w końcu zaprotestowali – „Co z odwiecznymi przywilejami Londynu?" – zarządca Londynu jak gdyby nigdy nic pozbawił ich stanowisk, a na ich miejsce powołał nowych ludzi wybranych przez Exchequera. „A wiecie, kim oni są? – pieklił się Bull. – To handlarze ryb, garbarze i inni śmierdziele". Buntownicy Montforta wrócili na scenę.

Ale nawet wtedy stara gwardia się nie poddała. W końcu rządzili Londynem od wieków. Wielu spoglądało na Bulla – postać szanowaną, o reputacji nieskażonej sprawowaniem jakiegokolwiek urzędu – jak na potencjalnego przywódcę. William postanowił podjąć to wyzwanie.

Rok wcześniej król Edward, szukając funduszy na planowaną szkocką kampanię, posunął się za daleko. Bez zapowiedzi podniósł cło na wełnę. Ten nowy podatek, zwany *maltote*, był tak dotkliwy, że zaprotestował cały Londyn. Miasto wciąż wrzało, gdy w okręgu Bulla niespodziewanie zwolniło się stanowisko rajcy miejskiego.

Jednak Bull postępował rozważnie. „Gdy żył jeszcze mój ojciec – tłumaczył rodzinie – znaczna część okręgu należała do nas, więc stanowisko rajcy było niemal pewne". Teraz jednak nie mógł na to liczyć.

Schowawszy dumę do kieszeni, umizgiwał się do drobnych kupców i rzemieślników. Zyskał nawet akceptację królewskiego zarządcy. A jeden z nowych ordynarnych rajców zwierzył mu się w tajemnicy: „Potrzebujemy kogoś z taką reputacją jak ty”. Dzień wyborów się zbliżał, a Bull nie miał żadnego rywala.

Wybory odbyły się poprzedniego dnia. Bull pojawił się w Guildhall w pięknych, nowych szatach. Był zadowolony, a świadomość rodowych korzeni dodawała mu godności i napawała dumą.

Sędzia Exchequera odprawił go jednak gestem, zachowując jedynie pozory uprzejmości. „Nie jesteś nam potrzebny – oświadczył dworsko. – Wybraliśmy kogoś innego”. A gdy zaskoczony Bull zaprotestował – „Przecież nikt nie wyraził sprzeciwu!” – sędzia rzucił krótko: „Nowy rajca nie pochodzi z twojego okręgu, ale z Billingsgate”. Człowiek z zewnątrz. Takie rzeczy czasem się zdarzały.

„Kto to?”, spytał upokorzony.

„Barnikel”, padła nonszalancka odpowiedź.

Barnikel. Ten przeklęty, nisko urodzony handlarz ryb! Barnikel z Billingsgate rajcą z okręgu Bulla! William stał przez dłuższą chwilę przed Guildhall, z trudem zbierając myśli.

A teraz, rozważając ponownie całą sytuację, był pewien: sprawy zaszły za daleko.

Zapadła ważna decyzja: czas wyjeżdżać.

Była jeszcze druga decyzja, mniej istotna.

Sprawa była łatwa i przyjemna. Wiadomość z Bankside brzmiała intrygująco. Pod Psim Łbem mieli dziewicę. Prawdziwa rzadkość. Powiedziano o tym jedynie najbardziej cenionym klientom. Z rzadka odwiedzał domy publiczne, ale jako patrycjusz zawsze mógł liczyć na szczególne względy i oczywiście na dyskrecję.

Dlaczego więc się wahał? Dopadły go wyrzuty sumienia. Ale czy naprawdę miał powody? I jakby w odpowiedzi na to pytanie rozległo się łomotanie do drzwi, a zaraz potem płaczliwy głos. Jęknął w duchu.

– Co ty tam robisz? – To była jego żona.

– A jak myślisz? – zagrzmiał.

– Przestań. Siedzisz tu już od godziny. – Czy tak się należy zwracać, pomyślał, do wytwornego kupca w średnim wieku? – Wiem, co tam robisz! – krzyczała żona. – Zastanawiasz się.

Westchnął. Kłótnie pomiędzy jego prababką Idą a jej mężem stały się rodzinną legendą, ale dotąd żaden Bull nie musiał znosić takiej żony.

– Słyszałam! – wrzasnęła. – Westchnąłeś.

Przez dwadzieścia lat próbował ją pokochać. Powtarzał sobie co dzień, że przecież dała mu troje zdrowych dzieci. Nie pomogło i kilka lat wcześniej zrezygnował. Skwaszona, wychudła, natrętna, narzekała, gdy wychodził do miasta, i dręczyła go, gdy siedział w domu. Czy to dziwne, myślał, że czasem potrzebuję zaznać pociechy na Bankside? Żeby przerwać jałową kłótnię, postanowił powiedzieć jej o swojej decyzji.

– Wyjeżdżamy z Londynu. Zamieszkamy w Bocton. – Umilkł, a słysząc jej gwałtowne westchnienie, dodał: – Na stałe.

Plan Bulla nie był niczym nadzwyczajnym. W przeszłości londyńscy kupcy często przenosili się na stare lata do swoich włości, ale teraz wielu jego rówieśników, w obliczu silnej konkurencji, porzucało handel i zamieniało się w ziemskich posiadaczy. Dzięki Bogu Bull wciąż był majętnym człowiekiem. Po prostu dokupi więcej ziemi.

Po drugiej stronie drzwi rozległ się okrzyk niedowierzania.

– Nienawidzę wsi! – Uśmiechnął się. Dobrze o tym wiedział. – Zostaję w Londynie – oświadczyła.

– Ale nie w tym domu – powiedział lekkim tonem. – Sprzedaję go.

– Komu?

To akurat nie nastręczało problemu. W szybko rozwijającym się mieście jedno szczególnie rzucało się w oczy: coraz większa liczba szynków. Londyn miał około siedemdziesięciu tysięcy mieszkańców i prawie trzysta karczem, w których podawano napitki i jedzenie, oraz tysiąc browarów, w których można było wypić dzban piwa. Część tych przybytków miała pokoje noclegowe dla licznych podróżnych odwiedzających miasto, a ich właściciele często dorabiali się dużych majątków. Zaledwie miesiąc wcześniej pewien jegomość, właściciel dwóch gospód, zagadnął Bulla: „Gdybyś chciał sprzedać swój dom, to zapłacę ci dobrą cenę”. Dlatego William ochoczo zaspokoił ciekawość żony:

– Sprzedaję dom karczmarzowi.

– Ty potworze! – Rozpłakała się. Bull wzniósł oczy do nieba. – Ty okrutniku.

– Wychodzę – powiedział, modląc się o ciszę. Ale milczenie zapadło tylko na krótką chwilę, bo potem rozległo się żałosne zawodzenie.

– Wiem, dokąd się wybierasz. Masz jakąś kobietę.

Tego już było za wiele.

– Bóg mi świadkiem, że chciałbym mieć! – ryknął w odpowiedzi, waląc pięściami w haftowaną poduszkę. – Mam ci powiedzieć, gdzie idę? Idę po miejskich strażników. A kiedy już ich przyprowadzę, to założymy ci uzdę sekutnicy. Poprowadzą cię w niej przez miasto. Oto gdzie się wybieram.

Uzda sekutnicy nie była niczym przyjemnym. Kłótliwe kobiety skazywano czasem na noszenie żelaznej maski z ostrym szpikulcem, który wbijał się w język przy każdym jego ruchu. Kobiety w uzdach wystawiano na widok publiczny podobnie jak złoczyńców zakutych w dyby. Słysząc płacz żony, Bull się zawstydził.

Podjął decyzję. Miał już tego dosyć. Więcej nie zdzierży. Chwilę później minął żonę i wyszedł z domu. A tuż po południu zjawił się w zamtuzie na Bankside i w towarzystwie uśmiechniętej burdelmamy podszedł do Joan.

Był pierwszy, jak go zapewniono.

Joan patrzyła na Williama Bulla.

Wyglądał na jakieś czterdzieści lat. Był krzepkim, tęgim mężczyzną o rumianej twarzy. Miał na sobie pelerynę i skórzane wysokie buty z mankietem wywiniętym na grubej łydce. Sprawiał wrażenie człowieka nieznoszącego sprzeciwu. Zdążył już zapłacić dzierżawcy burdelu za przyjemność pozbawienia jej dziewictwa.

Wokół panował spokój. O tej porze w zamtuzach było niewielu klientów, prostytutki albo spały, albo zajmowały się swoimi sprawami. I ani śladu sióstr Dogget.

Nagle poczuła złość.

– Ty podły kłamco, obiecałeś mi, że do jutra nie będę miała klientów! – krzyknęła do zarządcy burdelu.

Bull spojrzał pytająco na burdelmamę.

– Nie zwracaj na nią uwagi, panie – powiedziała. – Trochę się denerwuje. A ty – syknęła do Joan – rób, co ci każę.

– A jeśli odmówię?

– Odmówisz? – prychnął zarządca.

– Nic nie rozumiesz, kochaniutka – wpadła mu w słowo żona. Wykrzywiła twarz w matczynym uśmiechu. – To wpływowy człowiek. I dobry klient.

– I co z tego?

Uśmiech zniknął. Małe oczy osadzone w podobnej do sera twarzy patrzyły zimno.

– Uważaj, bo dostaniesz baty.

– Nie macie prawa tak mnie traktować.

Zgodnie z obowiązującą umową dziewczyny płaciły za wynajęcie pokoju w burdelu. Poza tym – przynajmniej w teorii – mogły robić, co chciały. Jednak w praktyce były pod wieloma względami zależne od zarządcy.

– Może i nie. – Mężczyzna był lodowato spokojny. Gdy zrobił krok do przodu, poczuła woń stęchłego jedzenia bijącą z jego brody. – Ale mamy prawo zawołać królewskiego strażnika, który w ciągu godziny wyrzuci cię z Liberty. A wtedy nie znajdziesz tu żadnej pracy.

Nie mogła do tego dopuścić.

– Dobrze, zgadzam się. – Odwróciła się do Williama, zmuszając się do uśmiechu.

Drewniane schody pięły się po zewnętrznej ścianie domu. Na każdym z dwóch pięter znajdowały się trzy izby przedzielone drewnianymi przepierzeniami. William i Joan weszli na drugie piętro. Wewnątrz było ciemno. Kilka kroków w głąb wąskiego korytarza znajdowały się wewnętrzne schody, bardziej przypominające drabinę. Joan zaczęła wspinać się po omacku.

Jej pokoik mieścił się na strychu przy ścianie szczytowej. Był mały, ale nie przylegała do niego inna klitka, z której dobiegałyby jęki czy stękanie. Górną połowę niewielkiego okna przesłaniał pergamin, a dolną okiennica. Gdy rano Joan otworzyła okiennicę i poczuła na twarzy chłodne, wilgotne powietrze, dostrzegła po drugiej stronie rzeki dachy dominikanów, a nawet skrawek dachu więzienia Newgate. Świadomość, że widzi miejsce, w którym jest Martin, dodała jej otuchy.

Kiedy się wprowadziła, sitowie na podłodze śmierdziało, bo nikt nie wymienił go od wielu miesięcy. Zarządca zgodził się dać jej świeże pokrycie, choć zrzędził, że to niepotrzebny wydatek. Dzięki temu izba była

całkiem przyjemnym miejscem jak na taki przybytek. Kupiec nieco się zasapał, wchodząc na górę.

Za łóżko służył siennik wypchany słomą, leżący na środku podłogi. Joan zdjęła szal. Nie zdążyła sobie jeszcze sprawić sukni w paski, przynależnej kobietom jej profesji; była ubrana w prostą lnianą koszulę z długimi rękawami, na którą narzuciła kaftan bez rękawów w kwiatowy wzór. Zdjęła z głowy opaskę i rozpuściła włosy. A potem podeszła do okna i otworzyła okiennicę. Zadrżała, stojąc plecami do kupca. Czy on to widzi?

Myślała tylko o jednym. Jak to odwlec? Przecież musi być jakaś droga ratunku.

– Naprawdę jesteś dziewicą? – usłyszała za plecami.

Skinęła głową, nie odwracając się.

– Boisz się? – Kupiec miał szorstki głos. Czy jednak nie pobrzmiewała w nim nuta skrępowania? Ślad poczucia winy? Odwróciła się.

Zdążył już zdjąć pelerynę i właśnie rozpinał koszulę na piersi. Najwyraźniej nie zamierzał zwlekać. Spojrzała na jego surową, okrągłą twarz, próbując dopatrzyć się w niej życzliwości.

– Nie będzie tak źle – powiedział.

I wtedy powzięła pewną myśl. Tak, to jedyny sposób, żeby obrócić tę sytuację na swoją korzyść. Szansa jest naprawdę niewielka, ale jeśli będzie sprytna, to może kupiec wyrazi zgodę.

– Chciałabym, żebyś coś dla mnie zrobił – powiedziała.

Spojrzał na nią. Wyjawiła mu, co przyszło jej do głowy.

– Co takiego? – Przyglądał się jej z osłupieniem, ale wcale nie się przelękła.

– Wszystko ci wytłumaczę.

Godzinę po południu krzepki mężczyzna z szerokim uśmiechem na twarzy wypadł ze starego królewskiego pałacu, podbiegł do swojego konia,

wskoczył na siodło i odjechał w kierunku miasta, zostawiając za sobą górującą sylwetkę opactwa westminsterskiego.

W 1295 roku opactwo przedstawiało dziwny widok, bo gdy pobożny król Henryk III postanowił je przebudować, pechowo się przeliczył. Mimo że zebrał duże sumy od Żydów, mimo że zastawił klejnoty przeznaczone do okazałej kaplicy Świętego Edwarda Wyznawcy, i tak zabrakło mu funduszy. Wspaniała wschodnia część kościoła, chór, transepty i niewielka część nawy wznosiły się majestatycznie, wystrzeliwując w górę gotyckimi łukami. Ale zaraz potem nawa opadała gwałtownie do poziomu starej normandzkiej świątyni Wyznawcy. Taki stan rzeczy utrzymywał się od dwudziestu pięciu lat: dwa kościoły w dwóch różnych stylach połączone bez ładu i składu. Musiało minąć jeszcze sto lat, żeby prace wznowiono, a ukończono je dopiero po kolejnym stuleciu. W czasie panowania dwunastu angielskich królów kościół koronacyjny wyglądał jak plac budowy.

Lecz gdyby nawet Waldus Barnikel obejrzał się za siebie, to i tak nie dostrzegłby w sylwetce opactwa nic niewłaściwego. Tego dnia w jego oczach wszystko było doskonałe. „Jestem najszczęśliwszym człowiekiem w Londynie”, oświadczył przed chwilą królowi.

Waldus Barnikel z Billingsgate był okrągły jak piłka. Jakby natura, uwięziwszy nadzwyczajną siłę i temperament jego przodków w mniejszej przestrzeni, doszła do wniosku, że w obliczu takiej ilości buzującej energii jedyną nadzieją na uniknięcie wybuchu jest umieszczenie jej w idealnej, solidnie zbudowanej kuli. Barnikel był gładko ogolony, a rude włosy opadały mu na kark. Na głowie miał futrzaną czapkę. I tchnął pewnością siebie.

Miał ku temu powody. Oto zwykli sprzedawcy ryb wprowadzili swoje bractwo cechowe na same wyżyny! On sam już nosił czerwone szaty rajcy

miejskiego. Wszyscy tytułowali go teraz wielmożnym panem. A po upokorzeniu dumnego Bulla, którego nienawidził przez całe życie, powiedział tylko: „To miód na moje serce”. Nawet majątek Bulla nie robił dziś na nim wrażenia. Barnikel był bowiem bogatym człowiekiem.

Droga do bogactwa była typowa dla ludzi jego profesji. Tuż po panowaniu króla Jana rodzina zakupiła małą łódź rybacką, a potem drugą. Zanim Waldus przyszedł na świat, mieli już skład na nabrzeżu Billingsgate, a na targu duży stragan z sześcioma sprzedawcami. Jednak przede wszystkim, podobnie jak kilku innych obrotnych sprzedawców ryb, nie ograniczali swoich interesów do Londynu. W niewielkim, ale ruchliwym porcie Yarmouth, położonym na wschodnim wybrzeżu o sto sześćdziesiąt kilometrów od miasta, Barnikelowie mieli dwie łodzie rybackie i połowę udziałów w statku towarowym przynoszącym duże zyski. To właśnie w Yarmouth Waldus poznał swoją żonę i zdobył majątek, a także był świadkiem szczególnego historycznego wydarzenia.

Przez kolejne stulecia po normandzkim podboju Anglia Wschodnia zachowała swój pradawny charakter. Owszem, przybywali tu obcy – głównie flamandzcy tkacze, których umiejętności okazały się bardzo użyteczne. Ale rozległe połacie łąk, lasów i moczarów pozostały dawną Danelaw – krainą Anglów i Duńczyków, kupców i osadników; odciętą od reszty królestwa i niezależną, otwartą jedynie na silne wschodnie wiatry nadlatujące znad huczącego morza. Podobnie jak cały kraj, także Anglia Wschodnia wzbogaciła się w tym stuleciu; a przede wszystkim zaczęła eksportować własne wełniane tkaniny, noszące nazwy od wiosek, w których je wyrabiano: Kersey i Worsted.

Kiedy więc Barnikel poznał w Worsted bogatą pannę, tak jak on mającą w żyłach krew wikingów, było oczywiste, że się z nią ożeni. Dzięki temu

małżeństwu jego majątek powiększył się dwukrotnie. A gdy sprowadził żonę do Londynu, jej rodzina też się tutaj przeniosła.

W ostatnim pokoleniu wielu kupców z Anglii Wschodniej osiadło w Londynie. „Ludzie nawet mówią teraz inaczej – zauważył kiedyś Barnikel. – Zupełnie jakbym słyszał moich teściów!” Nie zauważył jednak, że ta niewielka zmiana londyńskiego akcentu była objawem szczególnego kaprysu historii. Oto bowiem pod koniec XIII wieku w Londynie znów pojawili się potomkowie wikingów – tym razem nie jako wojowniczy żeglarze, lecz solidni, zamożni kupcy.

Barnikel był bogatym kupcem. Oczywiście nadal sprzedawał ryby, ale jego statki przywoziły też futra i drewno z nadbałtyckich krajów, zboże, a nawet wino. Wczoraj został rajcą, a dziś? Nigdy się nie spodziewał takiego wezwania, jakie dostał rano. Wezwał go do siebie sam król Edward.

Zaledwie parę chwil wcześniej stał przed wysokim, siwobrodym monarchą, który patrzył mu prosto w oczy.

„Jesteś mi potrzebny – powiedział król. – W moim parlamencie”. Sprzedawca ryb aż się zaczerwienił, nie mogąc uwierzyć, że spotkał go taki zaszczyt. Barnikel członkiem parlamentu!

Decyzja Edwarda I o zwoływaniu dwa razy w roku parlamentów – jak je nazywał – była dowodem sprytu i przenikliwości. Król, pamiętając o upokorzeniu swojego ojca i dziadka, których upór wyniósł baronów do władzy, wykazał się większą mądrością. Nikt nie mógł mu zarzucić, że sprawuje rządy, nie zasięgając rad. Gdy należało rozstrzygnąć ważną kwestię, zwoływał nie tylko baronów, ale też inne strony, których nowe rozporządzenia mogły dotyczyć. Gdy dotyczyły Kościoła – zapraszał przedstawicieli duchowieństwa; gdy dotyczyły handlu – zapraszał mieszczan; gdy dotyczyły służby wojskowej – zasięgał opinii miejscowych rycerzy. A czasem zbierał u siebie wszystkich. Owszem, zdarzało się, że

król samodzielnie ustalał prawa, konsultując się jedynie z najbliższymi doradcami. Ale nigdy nie posuwał się za daleko. Parlament zawsze miał mocny głos doradczy.

I tak jak król wykorzystał drobnych kupców dla osłabienia władzy burmistrza Londynu i jego oligarchów, tak samo zwołując parlamenty – i wprowadzając ustawy – ograniczał władzę panów feudalnych. Podobne zabiegi mogły przynieść mu powodzenie także w relacjach z Kościołem – chociaż w mniejszym zakresie. I tak za panowania Edwarda I pojawiła się wspaniała instytucja parlamentu. Nie po to jednak – broń Boże! – by przekazać władzę w ręce ludu, ale po to, by wzmocnić długie polityczne ramię króla.

Los zrządził, że dzień wcześniej przedstawiciel jednej z gmin zachorował. „Dlatego posłałem po ciebie", oznajmił król z uśmiechem.

Oczywiście niebezinteresownie. Barnikel nie był głupcem. Jeśli król zapraszał kupców do parlamentu, to znaczyło, że chciał opodatkować miasta. A skoro gotów był schlebiać świeżo mianowanemu rajcy, to znaczyło, że podatki miały być wysokie. No cóż, trudno.

Zwrócił się właśnie do Barnikela, wezwał go z nazwiska.

Trudno się dziwić, że Barnikel chciał to uczcić. Wiedział już, co ma zrobić. Tuż przed wyjazdem do króla on też otrzymał wiadomość z Bankside. O dziewicy. Podążał tam teraz z wielką ochotą.

Zazwyczaj Waldus Barnikel chodził raz w tygodniu do domu publicznego Pod Psim Łbem. Był jego klientem od pięciu lat. I zawsze sypiał z jedną z sióstr Dogget.

Bawiło go to, bo znał w mieście złotnika, szanowanego, ale pozbawionego poczucia humoru, o takim samym nazwisku. „Idę odwiedzić twoje kuzynki po drugiej stronie rzeki", żartował czasem z niego.

Tego dnia zamierzał wybrać się do Bankside. Król Edward, ze swoją przenikliwością, doskonale rozumiał – a potwierdziła to potem historia wszelkich zgromadzeń ustawodawczych – że prostytutki i polityków zawsze ciągnie ku sobie. „Jeśli rycerze i posłowie zaczną się kręcić po mieście, to oddadzą się rozpuście, a z tego będą tylko kłopoty”. Dlatego na czas obrad parlamentu w Westminsterze wszystkie burdele w Bankside, przynajmniej oficjalnie, miały być zamknięte.

Do tego jeszcze ta ekscytująca wiadomość o dziewicy. „Ten kąsek trafi się mnie”, mruczał Barnikel coraz bardziej podniecony. A siostrze Dogget da jakiś upominek, żeby nie było jej przykro.

Po drodze zatrzymał się na krótko w pewnym miejscu. Szeroka, błotnista droga, biegnąca od Westminsteru równolegle do rzeki, jakiś kilometr za opactwem skręcała wraz z łukiem Tamizy w prawo i dalej już ciągnęła się prosto przez całe miasto. I właśnie na tym zakręcie stał wysoki, pięknie rzeźbiony monument z kamienia zwieńczony krzyżem. Barnikel zmówił tu krótką modlitwę.

Krzyż stał od pięciu lat, czyli od śmierci żony Edwarda, której król – co było rzadkością wśród monarchów – był wierny i głęboko oddany. Królowa zmarła na północy kraju i wielki kondukt żałobny przywiózł jej zwłoki do Westminsteru. Po drodze kondukt zatrzymywał się dwanaście razy na nocleg. Ostatni postój, przed uroczystym wjazdem do opactwa, wypadł właśnie tutaj, na zakręcie drogi. Na każdym z tych przystanków król Edward, w dowód swojego oddania, kazał wystawić kamienny krzyż. A ponieważ to miejsce nosiło staroangielską nazwę Charing, oznaczającą zakręt, wzruszający mały monument nazwano Charing Cross – krzyż na zakręcie.

Barnikel bardzo szanował królową. Ale przy krzyżu zatrzymał się dlatego, że tego samego dnia, gdy go ustawiono, jego ukochana żona, która

dała mu siedmioro dzieci, zmarła przy kolejnym porodzie. Żadna inna kobieta nie mogła jej dorównać – nie ożenił się powtórnie i zamiast tego wolał chodzić raz w tygodniu do Bankside. Zawsze przystawał przy Charing Cross na krótką modlitwę. Jego żona była wesołą i pogodną niewiastą. Nie miałaby mu tego za złe. Szarpnął cugle, poganiając konia do biegu.

Isobel i Margery wracały do zamtuza, ale nadal nie wiedziały, co robić. Były już u doktora w Maiden Lane. Za niewielką sumę obiecał trzymać język za zębami, potwierdził jednak ich najgorsze obawy. „To trąd", oznajmił. Tak nazywano wszystkie zaraźliwe wypryski. Wykąpał Margery w białym winie, a potem dał jej maść, zaklinając się, że wyleczy chorobę. „Najważniejszym składnikiem maści jest koźla uryna – oświadczył lekkim tonem. – Działa za każdym razem". Podziękowały mu, choć wciąż miały wątpliwości.

– Może wyjadę na jakiś czas – zastanawiała się Margery. Jeszcze nigdy nie rozstawała się z siostrą. – Zapłacę za pokój, zresztą i tak jutro obraduje parlament, więc będziemy zamknięci.

W rzeczywistości dzierżawca burdelu przyjmował potajemnie gości, zapewniając im usługi sióstr.

– A ja będę się modlić – powiedziała Isobel.

Była pobożną dziewczyną. Kościół traktował swoje prostytutki w szczególny sposób. Pozwalał im na przyjmowanie komunii, ale nie zgadzał się na pochówek w poświęconej ziemi. Isobel nigdy nie mogła zrozumieć, dlaczego zmarli są bardziej narażeni na moralne potępienie niż żywi. Tak czy inaczej, wierzyła, że Bóg odpuści jej grzechy popełniane w nieprzyjaznym świecie i po śmierci da jej zbawienie. Wiedziała zarazem, że muszą utrzymać chorobę Margery w tajemnicy.

– Nie możesz dziś pracować – stwierdziła. – A jutro coś wymyślimy.

Zaabsorbowane tą sprawą, całkowicie zapomniały o Joan. Przypomniały sobie dopiero, gdy znalazły się przed Psim Łbem. Stanęły jak wryte, widząc dziewczynę między dwoma mężczyznami a dzierżawcą burdelu. Najwyraźniej stało się coś strasznego.

Waldus Barnikel wpadł we wściekłość. Bull uśmiechał się spokojnie, a dzierżawca był wyraźnie zakłopotany.

– Miałeś mi dać dziewicę! – zagrzmiał świeżo upieczony rajca.

– Jeszcze rano nią była – tłumaczył się dzierżawca. – Miałeś przyjść wcześniej, wielmożny panie.

– Przyszedłbym, ale wezwał mnie król Edward. – Barnikel spojrzał z pogardą na Bulla. – Na rozmowę o parlamencie. – Wyjaśnił, na czym polega jego wyższość nad dumnym patrycjuszem.

– Została wzięta tylko raz – powiedział dzierżawca, zerkając nerwowo na Bulla.

– Ja ją wziąłem – oświadczył Bull z satysfakcją.

Nowy rajca i zarazem członek parlamentu spojrzał na niego z gniewem.

– I ja miałbym ją wziąć po tym wypierdku?! – ryknął, spoglądając wilkiem na znienawidzonego patrycjusza. Dzierżawca zląkł się, że kłótnia skończy się bijatyką. Bullowi wystarczyła bezradna furia Barnikela.

– Byłem pierwszy – powiedział obojętnie.

– Ty kundlu! – wrzasnął Barnikel do dzierżawcy. – To tak traktujesz hojnego klienta? Bóg mi świadkiem, że następnym razem pójdę gdzie indziej.

– A więc nie chcesz jej? – spytał Bull.

– Ona jest już do niczego! – ryknął Barnikel. Umilkł, nie wiedząc, co robić. Chciał uczcić ten dzień i pragnął kobiety. Widząc jednak dziewczynę u boku swojego odwiecznego wroga, który zdążył go ubiec, uniósł się dumą. Nie zamierzał jej tknąć nawet palcem. Ale co teraz?

W tej samej chwili zauważył siostry Dogget.

– Wezmę jedną z nich – powiedział gburowato. – Tę, co zawsze.

– Czyli którą? – Dzierżawca był tak zdenerwowany obrotem spraw, że na chwilę się pogubił.

Barnikel rzucił mu wściekłe spojrzenie.

– Jak to którą? Margery.

Siostry spojrzały na siebie skonsternowane. Obie myślały tylko o jednym. Jeśli rajca zarazi się od Margery, wszyscy drogo za to zapłacą. Barnikel obróci burdel w perzynę. A one zostaną wygnane. Nie miały czasu tego omówić. Isobel zrobiła krok do przodu.

– Zawsze wolał mnie od mojej siostry – powiedziała z uśmiechem. – Chodźmy na górę, olbrzymie.

To się powinno udać. Już dawno temu Margery opowiedziała jej w szczegółach o preferencjach Barnikela.

Prawdziwa Margery, bo to ona została na dole, zaczęła się gorączkowo zastanawiać, jak się wytłumaczyć przed Joan. Przecież przyrzekły, że jej pomogą i będą ją chronić. A tymczasem proszę, do czego doszło!

Jednak ku swojemu zdziwieniu nie dojrzała w oczach dziewczyny żadnego wyrzutu. Mało tego, Joan się roześmiała. A potem pocałowała Bulla w usta.

– Odprowadzę cię do mostu – powiedziała.

Joan rozstała się z Bullem przy moście. Miała szczęście. I to duże szczęście. Wielu mężczyzn, usłyszawszy jej opowieść, wyśmiałoby ją albo jej nie uwierzyło. Ale nie Bull. Najpierw oniemiał ze zdziwienia. A potem pokręcił głową i rzekł: „Jeszcze nigdy nie widziałem takiej odwagi. – Parsknął śmiechem. – Dobrze. Pomogę ci. Naprawdę myślisz, że ci się uda?”.

„Nie mam innego wyjścia”, odpowiedziała szczerze.

Prawo mówiło jasno. Oprócz ułaskawienia był tylko jeden sposób na uratowanie skazańca przed stryczkiem. O prawo do niego musiała wystąpić dziwka.

Należało przestrzegać ustalonej procedury. Kobieta musiała pojawić się publicznie przed sędziami, ubrana w pasiastą suknię z kapturem, oficjalny strój kobiet lekkich obyczajów, i trzymając w dłoniach pokutne świece, zaofiarować się więźniowi jako jego przyszła żona. Jeśli skazaniec zgodził się na małżeństwo, odzyskiwał wolność, a ślubu udzielano niezwłocznie. Kościół, choć sam prowadził burdele, pochwalał takie ratowanie grzesznych dusz, więc władze też zajmowały podobne stanowisko. Zanotowano jednak tylko kilka takich przypadków – nie wiadomo, czy dlatego, że prostytutki niechętnie zamieniały dochodową profesję na życie u boku biedaka, czy też dlatego, że mężczyźni woleli stryczek niż ożenek z upadłymi niewiastami.

Na tym właśnie polegał plan sióstr Dogget. Joan musiała na jeden dzień zostać prostytutką. Powinna zatrudnić się Pod Psim Łbem, a strażnik sądowy musiał wpisać jej nazwisko do stosownych dokumentów. Potem mogła ratować ukochanego. Siostry Dogget uznały swój pomysł za najlepszą przygodę w całym życiu.

„Tylko że ja nie mogę oddać się mężczyźnie – zaprotestowała Joan. – Nie umiałabym tego zrobić. – Potrząsnęła głową. – A Martin… – Dlatego nie miała odwagi zdradzić mu szczegółów swojego planu. Nigdy by się nie zgodził. Pomyślała o smutnej, ale jednocześnie dumnej twarzy narzeczonego. – On by nigdy… – Zawiesiła głos.

„Ochronimy cię – obiecały siostry. – Już my znajdziemy sposób, żebyś po takiej nocy nadal była dziewicą. – Aż zachichotały na samą myśl o tym. – Ale to będzie żart! – zawołały”.

Zagrożeniem dla planu były wątpliwości samej Joan. Władze zapewne nie będą wnikać, dlaczego spędziła w burdelu tylko jeden dzień. W końcu pokazanie się w sukni ladacznicy było hańbą na całe życie. Gdyby jednak wyszło na jaw, że nie spała z żadnym klientem, sprawy mogłyby przybrać niekorzystny obrót. Martwiła się tym całe przedpołudnie, ale nie znalazła innego rozwiązania.

Wpadła na ten pomysł, stojąc na maleńkim strychu naprzeciwko rumianego kupca. Nie mogła mieć pewności, czy wysłuchawszy jej, ulituje się nad nią, czy weźmie ją siłą. I czy w razie czego zaświadczy, że wywiązała się ze swojej powinności.

Williamowi Bullowi cała ta sytuacja wydawała się niewiarygodna. Co za odwaga, pomyślał, patrząc na drobną postać. Zgodził się jej pomóc.

– Mój Boże, ten twój wybraniec jest prawdziwym szczęściarzem – powiedział. – Ale muszę cię uprzedzić – dorzucił po chwili, myśląc z lekkim zakłopotaniem o swojej żonie. – Gdybym musiał zeznać przed sędziami, że cię posiadłem, to wolałbym to zrobić dyskretnie. To by się dało załatwić. Może jednak wystarczy, że burdelmama to poświadczy.

– Jest jeszcze coś – powiedziała Joan. – Gdy już uwolnią Martina, musisz mu o wszystkim powiedzieć. Nie chcę, żeby myślał…

Bull się uśmiechnął.

– Oczywiście – zapewnił ją.

Lecz nawet on nie przewidział tego cudownego zbiegu okoliczności, jakim było pojawienie się przeklętego sprzedawcy ryb. I ta jego wściekła mina, gdy okazało się, że Bull zdążył posiąść dziewczynę wcześniej.

Ten przypadek był tak niezwykły, a smak zemsty tak słodki, że Bull, idąc przez most, czuł się, jakby posiadł tego dnia kilkanaście dziewic.

Może nawet pójdę do łóżka z żoną, pomyślał, bo był w tak dobrym nastroju.

Joan, równie zadowolona, niespiesznie wracała do burdelu. Najpierw poszła kawałek dalej nad rzeką, pokręciła się po targu, zajrzała do kościoła Świętej Marii Overie i przed figurą Najświętszej Dziewicy pomodliła się za Martina Fleminga.

Była pewna, że tego dnia nikt już nie będzie jej napastował. Poza tym siostry Dogget wróciły i obiecały ją chronić. Zapadał wczesny listopadowy zmierzch, gdy stanęła przed drzwiami burdelu.

Dionysius Silversleeves wpatrywał się w lwa, warcząc i szczerząc zęby. Lew potrząsnął skołtunioną grzywą i też obnażył kły. Silversleeves podszedł bliżej i znów zawarczał. A potem wziął głęboki oddech i odchyliwszy do tyłu wąską głowę jak wąż gotujący się do ataku, skoczył do przodu z odsłoniętymi zębami, wydając ni to ryk, ni to skrzek.

Lew wpadł w furię. Walił przednimi łapami w pręty klatki, warczał z wściekłością, a w końcu w największej udręce zaryczał tak głośno, że echo przetoczyło się wokół Tower.

Silversleeves aż kwiknął z zachwytu.

– Wcale nie żartujesz, prawda? – burknął. – Pewnie najchętniej byś mnie zeżarł.

Ten rytuał odprawiał codziennie, wracając z pracy. Niewiele rzeczy w życiu sprawiało mu większą przyjemność.

Dionysius Silversleeves skończył dwadzieścia dziewięć lat. Był chudy, miał ciemne włosy, długi nos, rumiane policzki, dziwnie błyszczące oczy i trądzik.

Nabrzmiałe czerwone krosty były wszędzie: na karku, czole, na ramionach, wokół brody i na całym nosie. Kiedy się napił, nos aż się od nich świecił. Gdy Dionysius był młodszy, rodzice zapewniali go, że ta przypadłość minie. Tak się jednak nie stało. „To przez humory w moim ciele – mawiał Dionysius z wesołym uśmiechem. – Gorąco i suchość.

Ogień”. Być może to niezrównoważone połączenie żywiołów kazało mu co wieczór drażnić lwa.

Pierwszy londyński ogród zoologiczny mieścił się przy bramie miejskiej, nad brzegiem rzeki po zachodniej stronie Tower. Założono go za czasów ostatniego monarchy, a pokazywano w nim dzikie zwierzęta, które europejscy władcy traktowali jak rozrywkę i z upodobaniem ofiarowywali sobie nawzajem w darze. Kilka lat wcześniej był tu niedźwiedź polarny w łańcuchach, dar od króla Norwegii. Londyńczycy chętnie przyglądali się, jak zwierzę łapie ryby w Tamizie. Był też słoń, lecz niestety niespodziewanie zdechł. Ale zawsze można było obejrzeć lwy i lamparty, trzymane w klatkach obok bastionu nazywanego teraz Lwią Wieżą.

Menażeria nie była jednak jedyną nowością w mieście. Olbrzymia forteca nad rzeką bardzo się zmieniła w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat. Dawna wieża warowna Wilhelma Zdobywcy stała teraz pośrodku rozległego otwartego terenu. Otaczały go potężne mury z blankami i bastionami przypominającymi miniaturowe zamki. Był to wewnętrzny dziedziniec. Za murami ciągnął się szeroki korytarz, tak zwany zewnętrzny dziedziniec, zamknięty z trzech stron – z wyjątkiem tej, która schodziła ku rzece – drugą linią murów. Dostępu do murów broniła szeroka i głęboka fosa. Dzięki niej tereny Tower zamieniły się w niedostępną wyspę, na którą można było dostać się suchą stopą jedynie po zwodzonym moście. Podobne zamki otoczone pierścieniami murów Edward zbudował w Walii. Budowla była tak potężna i wspaniała, że jej ogólny zarys nigdy już się nie zmienił.

Pobożny Henryk III uznał, że stojąca pośrodku stara normańska wieża warowna powinna zyskać nowy wygląd, i kazał pokryć całą fasadę wapiennym bielidłem. Zniknął szary kamień i od tej pory londyńczycy mogli podziwiać wspaniały biały zamek, z dumą spoglądający ku rzece.

I nawet gdy białe wapno już zmyło się i wytarło, wieżę Zdobywcy nazywano Białą Wieżą.

Królewską mennicę, która od niepamiętnych czasów mieściła się obok katedry Świętego Pawła, przeniesiono do Tower zaledwie dziesięć lat wcześniej. Urządzono ją w kilku ceglanych barakach, wzniesionych na zewnętrznym dziedzińcu. Silversleeves spędzał tu całe dnie. Był szczęśliwy. Mennica w Tower była jedną z sześciu mennic w królestwie i z całą pewnością najważniejszą. Monety zużywały się, kwitnący handel potrzebował pieniędzy, a waluta z czasów panowania poprzedniego władcy straciła na wartości, dlatego król Edward chciał za wszelką cenę wprowadzić do obiegu bilon, który wsparłby angielski handel i podniósł renomę jego królestwa w całej Europie.

Jako pisarz oddelegowany do mennicy Silversleeves znał jej pracę na wylot. Była tu probiernia, w której sprawdzano jakość monet dostarczanych do trybunału skarbowego. Robota polegała na starannym ważeniu monet i kruszcu, roztapianiu ich, a potem mieszaniu z płynnym ołowiem, który zabierał na dno wszystkie zanieczyszczenia, co pozwalało na dokładną ocenę zawartości srebra. Były też ogromne kadzie z roztopionym metalem, na których widok czerwona twarz Silversleevesa czerwieniała jeszcze bardziej. Były formy do odlewania gładkich monet i sztance, w które mincerze uderzali zręcznie młotkiem. „Jedno uderzenie, jedna nowa moneta”, mruczał Dionysius z zadowoleniem, przechadzając się po salach, w których rozbrzmiewał rytmiczny stukot.

Było też specjalne pomieszczenie, w którym liczono monety: ćwierćpensówki, pensy, srebrne pensy oraz najnowszy składnik angielskiej waluty – ciężkie monety o wartości czterech pensów. W mennicy było gorąco, panował ciągły ruch i gwar, a przede wszystkim wyrabiano tu

pieniądze, które Dionysius Silversleeves darzył wielką miłością – z tych wszystkich powodów uważał swoją pracę za pomyślne zrządzenie losu.

Ale przede wszystkim był człowiekiem wolnym od wszelkich trosk. Miał dwóch starszych braci i to oni musieli zapewnić rodzinie męskich potomków. Silversleevesowie nie byli wprawdzie tak zamożni jak kilka pokoleń wstecz, nie zajmowali się już handlem winem, ale wystarczało im pieniędzy, żeby zaopiekować się owdowiałą matką.

Gdy więc Dionysius kończył wieczorem pracę, mógł oddawać się swojej ulubionej rozrywce: uganiał się za kobietami.

Czyli korzystał z usług ladacznic. Inne kobiety nawet nie chciały na niego spojrzeć, choć kilka razy próbował się zalecać. Ale na dziwki zawsze miał ochotę. Był znany we wszystkich burdelach na Bankside i na Cock's Lane. A raz w miesiącu zapuszczał się nawet na Gropeleg Lane, wąską uliczkę odchodzącą od West Cheap, gdzie mieszkały prostytutki pracujące bez stosownych zezwoleń. „Zawsze przychodzi nie w porę", gderały.

Teraz jak zwykle szedł na Bankside. Tego dnia jednak spodziewał się czegoś wyjątkowego.

Dziewicy Pod Psim Łbem.

Wiedział, że dzierżawca burdelu przysłał mu wieść po długim namyśle. Bynajmniej się tym nie przejął. Przysunął się ze śmiechem do prętów klatki.

– Dziś w nocy będę miał dziewicę – powiedział do lwa. – A ty siedź sobie w klatce.

Przemknęło mu przez myśl, że do tej pory dziewczyna pewnie już straci dziewictwo, ale co tam. Po co wybijać nowe monety, jeśli nikt ma ich nie używać? Chwilę później przeszedł przez zwodzony most.

Zapadł zmrok. Rozległ się dzwon oznaczający zakaz wychodzenia z domu po zmroku. Promy stały już na kotwicach po londyńskiej stronie Tamizy –

tak nakazywał przepis uniemożliwiający złodziejom z Southwark przedostawanie się przez rzekę do miasta. Na London Bridge wystawiono wartę, mieszkańcy przygotowywali się do kolejnej spokojnej nocy pod ochroną królewskich strażników.

Pod Psim Łbem rozpalano lampy. W ich świetle pomalowane na czerwono ściany przybierały barwę ochry. Drewniany szyld skrzypiał, kołysząc się na lekkim wietrze, który nadciągnął wraz z przybyciem Silversleevesa.

Dzierżawca burdelu zdążył już o nim zapomnieć. Grzał się przy piecu stojącym na środku długiej, niskiej izby, w której dziewczyny czekały na klientów. Prawie wszystkie były już na górze, bo późnym popołudniem zjawiło się kilku mężczyzn, w tym dwóch posłów do parlamentu, którzy chcieli zażyć trochę uciech przed oficjalnym zamknięciem domów publicznych. W izbie pozostały dwie kobiety. Jedną z nich była Isobel Dogget. Siedziała samotnie na ławie, gdy do środka wszedł Silversleeves. Spojrzał w prawo i w lewo, uśmiechnął szeroko i zapytał:

– No i gdzie jest ta twoja dziewica?

Dzierżawca spojrzał niepewnie na Isobel, ale ta pokręciła głową.

– Przykro mi, panie, ale jest zajęta. Poza tym dzwonili na nocny zakaz. Spóźniłeś się.

Gdy zapadał nocny zakaz, a promy zawijały do przystani, dziewczynom i ich klientom nie wolno było wychodzić do świtu na ulice. Jeśli Joan miała klienta, to znaczyło, że będzie zajęta przez całą noc.

– Może chcesz jakąś inną?

Silversleeves się rozejrzał.

– Te stare wiedźmy? Je mogę mieć zawsze. Przyszedłem po jakiś świeży kąsek. – Wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Posłuchaj, jak tylko ona skończy,

powiedz jej klientowi, żeby sobie wziął za darmo jakąś inną. Ja płacę. A ją oddasz mnie. Co ty na to?

Dzierżawca zawahał się i znów pokręcił głową.

Gdyby nie krótkie wahanie, gdyby nie szybkie spojrzenie rzucone Isobel, Silversleeves zapewne pogodziłby się z przegraną. Ale zauważył to i na jego twarzy pojawił się przebiegły grymas.

– Co to za sztuczki?! – wrzasnął. – Coś przede mną ukrywasz. Chcesz mnie oszukać?

O Silversleevesie można było powiedzieć wiele złego, ale nie to, że jest tępy. Podszedł do dzierżawcy. W blasku padającym od pieca jego krosty wyglądały jak czarne dziury.

– Mógłbym ci narobić kłopotów – powiedział cicho. Chwycił mężczyznę za brodę i pociągnął lekko. – Mógłbym na przykład powiedzieć komuś o libacji, którą urządzasz w przyszłym tygodniu.

Mieli się na niej zjawić posłowie do parlamentu. Oczywiście liczyli na zabawę z kobietami. Było to wbrew prawu, o czym dzierżawca zapomniał. Ale Silversleeves wszystko wiedział.

– Nie chcę kłopotów – mruknął brodacz.

– Ani ja – przytaknął Dionysius. – A więc dasz mi tę dziewczynę czy nie?

Dzierżawca wzruszył ramionami. Nie widział powodu, dlaczego ta mała, skoro już tak dobrze zaczęła, nie miałaby pracować jak inne.

– Ale ona już nie jest dziewicą – zastrzegł na wszelki wypadek. – Miała po południu klienta.

– Nie szkodzi. A kto nim był?

Dzierżawca zawahał się, ale wolał nie ryzykować kolejnego zatargu.

– Kupiec Bull – powiedział niechętnie.

– Naprawdę? – Silversleeves parsknął śmiechem. – Stary cap. A teraz idź i ją przyprowadź. Powiedz, że czeka dobry klient.

Dzierżawca się odwrócił.

– Ona jest chora. – Isobel Dogget podniosła się z miejsca. W jej ochrypłym głosie brzmiała złość. – Daj jej spokój, ty pryszczu.

Silversleeves wytrzeszczył oczy.

– A tej co się stało? I tylko bez wyzwisk, bo arcybiskup da ci grzywnę.

– Idź do diabła. Mówię ci, że ona jest chora.

– Bull szorstko się z nią obchodził? – zakpił.

– Nie twoja sprawa. Nie dostaniesz jej w swoje łapska. Zostaw ją w spokoju! – krzyknęła do dzierżawcy.

Ale on miał już tego dosyć.

– Ani myślę. Masz ją tu przyprowadzić – rozkazał.

Dionysius zarechotał.

Joan i Margery siedziały na poddaszu. W świetle lampki Joan przymierzała pasiastą suknię Margery, którą miała nazajutrz włożyć. Suknia była o wiele za długa, więc obcięły ją i niezdarnie obrębiły.

– Będziemy z ciebie dumne – powiedziała Margery ze śmiechem. – Może my też znajdziemy sobie mężów na szubienicy – dorzuciła, widząc w progu Isobel.

Gdy usłyszały, co się stało, zaklęła siarczyście, a biedna Joan zbladła jak kreda.

– Nie zrobię tego – jęknęła. – Nie po tym wszystkim.

– Nawet go jeszcze nie widziałaś – westchnęła ponuro Isobel.

– Musimy coś wymyślić – oznajmiła Margery.

Siostry usiadły na sienniku i oparły podbródki na dłoniach. Joan wydawało się, że siedzą tak całą wieczność. Potem zaczęły coś szeptać. Po

chwili rozległ się ochrypły śmiech. I znów szepty. Spojrzały wesoło na Joan.

– Mamy plan – powiedziała Isobel. Albo Margery.

Wprowadziły ją w szczegóły.

– Ona zaraz przyjdzie – powiedziały, siadając na ławie po obu stronach Dionysiusa. – Przysięgam na Boga – dorzuciła jedna, widząc jego podejrzliwe spojrzenie. – Już schodzi – zapewniła go druga.

– Przydałoby się coś do jedzenia – stwierdziła Margery.

– I wino – dodała Isobel.

– Zjedzmy wieczerzę! – zawołały chórem.

Dzierżawca burdelu zmarszczył brwi. Jedzenie i napitki wolno było sprzedawać jedynie w gospodach, nie w domach publicznych. Ale Silversleeves uśmiechnął się i wyciągnął z sakiewki kilka nowych monet.

– Nie jadłem od rana – powiedział. – Do dziewek potrzebny jest pełny brzuch.

Dzierżawca oddalił się niechętnie, a po chwili wrócił z dzbanem wina i chlebem. Zapowiedział, że jego żona zaraz przyniesie miskę z wołowiną.

– Do dna, dziewczyny! – zawołał Dionysius.

– Ale będzie zabawa! – odpowiedziały i napełniły jego kielich.

Wkrótce burdelmama postawiła na stole wielką miskę z jedzeniem. Pachniało smakowicie. Silversleeves pochylił się i z przyjemnością pociągnął nosem. A potem zaczął jeść.

Dziewczyna wciąż nie przychodziła, lecz nie zwracał na to uwagi. Może jeszcze nie skończyła obsługiwać klienta? Może spała? Nieważne. Siostry obiecały, że się pojawi, a nie spodziewał się, żeby odważyły się go oszukać.

A może jednak… Gdy ponownie napełniły mu kielich, przyszło mu do głowy, że skoro tak uparcie bronią przed nim tej dziewicy, to może chcą go upić do nieprzytomności. Uśmiechnął się pod nosem. Miał wiele wad, ale

nie słabą głowę. Mógł wypić dwa takie dzbany. I nadal poradziłby sobie z kobietą. Zjadł całą wołowinę. Przyniosły mu wielki placek z jabłkami. Też go pochłonął i posłał Margery po dziewczynę.

– Już dość się naczekałem – oznajmił.

Isobel dolała mu wina.

Margery wróciła po chwili uśmiechnięta.

– Zaraz zejdzie – powiedziała, nalewając wina. A czas upływał, opróżnili już drugi dzbanek, może zbyt szybko, i Silversleeves zaczął się złościć.

– Do diabła – mruknął. – Sam ją przyprowadzę.

I wtedy ją zobaczył. Aż odebrało mu mowę.

Jej długie włosy spływały luźno. Drobne stopy miała obute w sandały. Czerwona jedwabna koszula – najlepsze ubranie Isobel – niemal odsłaniała jej piersi, z wysokiego rozcięcia z boku wyłaniała się nieco pulchna noga o jasnej skórze. Pod koszulą nie było nic. Nawet dzierżawca nie mógł powstrzymać głośnego westchnienia, a jego żona bacznie przyglądała się Joan.

Joan uśmiechnęła się do Silversleevesa, podeszła śmiało, usiadła mu na kolanach i spojrzawszy na stół, oświadczyła:

– Jestem głodna.

Silversleeves się rozluźnił. Dziewczyna należała do niego. Rzeczywiście smakowity kąsek. Spojrzał na burdelmamę.

– Daj więcej jadła! – krzyknął. – I wina!

Czas mijał. Dionysius zdał sobie sprawę, że nigdy w życiu nie był taki szczęśliwy. Nigdy w życiu nie miał takiej świeżej, czystej kobiety. Bo na pewno ją dziś posiądzie. Siedziała mu na kolanach i obejmowała go za szyję. Wyglądało na to, że jej się spodobał. Jego zwykła agresywna wesołość zamieniała się w serdeczną jowialność.

– Przepraszam, że musiałeś na mnie czekać – powiedziała dziewczyna. – Ale mamy dla siebie całą noc.

To prawda. Był tak szczęśliwy, że oczekiwanie wcale mu się nie dłużyło. Miał wrażenie, że izba jest skąpana w miłym, ciepłym blasku.

– Muszę przyznać – szepnęła mu po chwili do ucha – że trochę się denerwuję.

Wzruszyło go to wyznanie. Poklepał ją po udzie.

– Nie musimy się spieszyć – odparł. A nawet zaśpiewał jej piosenkę.

Potem śpiewali wszyscy. Wypili więcej wina, dziewczyna oparła czoło na jego ramieniu. Nawet jemu zaczęło się trochę kręcić w głowie. Musiało już być bardzo późno – stracił rachubę czasu – gdy usłyszał trzaskanie okiennic. Rozejrzał się.

– Co to było? – spytał.

– Wiatr – odpowiedział dzierżawca, krzywiąc się. – Ze wschodu.

Jakby na potwierdzenie jego słów okiennica znów się poruszyła.

Dionysius wstał. Dziewczyna drzemała. Zatoczył się lekko.

– Idziemy na górę – oznajmił.

Potykając się, dziewczyna ruszyła za nim. Z niewiadomego powodu siostry Dogget nie odstępowały ich na krok.

Gdy wyszli na dwór, buchnęło zimne powietrze. W ciągu kilku godzin surowa listopadowa noc znad Morza Północnego rozlała się nad równinami Anglii Wschodniej i przypłynęła ujściem Tamizy do Londynu. Silversleeves wyszedł z ciepłej, zadymionej izby, a że wypił więcej, niż myślał, chłód aż przygiął go do ziemi. Latarnia przy wejściu zgasła. W głowie mu wirowało. Oparłszy się ręką o ścianę, ruszył po omacku do schodów.

Cały czas trzymał Joan za nadgarstek.

– Chodź, moja śliczna – usłyszał swój osobliwie płaczliwy głos. – To droga do raju.

Zaczął gramolić się po schodach.

Dlaczego wszystko jest takie dziwne? Ciemność jak sadza. Zawodzenie wiatru. Skrzypiące, chwiejące się schody. Wydawało mu się, że cały dom z niewytłumaczalnych powodów zaczyna się poruszać. Jakby razem z szyldem i schodami uniósł się nad Bankside i wirującym lotem zmierzał ku ciemnemu niebu. Ostatkiem sił Silversleeves zwalczył dziwne doznania.

I jeszcze te dwie kobiety. Siostry Dogget.

Dwie blade, zwiewne sylwetki niczym duchy przyzywają go, przyciągają do siebie. Na podeście jedna z nich chwyciła go za ramię, krzycząc:

– Chodź ze mną! Chodź ze mną do łóżka, kochany.

Szarpnęła go dwa albo trzy razy, poczuł, jak przywiera do niego szorstką tkaniną sukni. Odepchnął ją. A potem ta druga, gdy znaleźli się w ciemnym korytarzu na drugim piętrze, zarzuciła mu nagle ręce na szyję, popchnęła obok schodów prowadzących na strych, wreszcie – nawet nie wiedział, jak jej się to udało – wciągnęła go do izby i mimo że wciąż trzymał Joan za rękę, szepnęła bezładnie:

– Weź mnie. Och, bierz mnie, jak tylko chcesz.

Niemal musiał się z nią siłować, uwolnił się dopiero, gdy upadła na podłogę. Słyszał jakieś głosy, uderzenia, czyjeś kroki, a potem zapadła cisza.

Wreszcie, wciąż trzymając Joan w ciemnościach, cofnął się do wąskich schodów na poddasze, popchnął dziewczynę przed sobą i potrząsnąwszy głową, żeby zachować przytomność, ruszył za nią.

W małym pokoiku na poddaszu panowały całkowite ciemności. Przez chwilę wydawało mu się, że zemdleje. Ale usłyszał ją, leżała już na sienniku na środku podłogi. Ruszył w kierunku odgłosów, lecz potknął się i upadł.

Leżał przez chwilę, nie mogąc się poruszyć. Dobry Boże, pomyślał, czy ja w ogóle dam radę? Pomacał wokół ręką. Wyczuł nogę dziewczyny pod jedwabną tkaniną.

– Poczekajmy do rana – usłyszał jej szept. Przez dłuższą chwilę tak kręciło mu się w głowie, że gotów był się zgodzić. Ale potem się uśmiechnął.

– O nie. Teraz już mi się nie wymkniesz – mruknął.

Opuścił rękę. Tak, da radę. Postękując sennie, pieścił ją przez chwilę, a potem podniósł się i z pijackim zadowoleniem, coraz bardziej podniecony, szybko wykorzystał swoją przewagę. Wydał z siebie jeszcze jeden jęk zadowolenia, który zamienił się w przeciągłe westchnienie, a potem zsunął się z dziewczyny i zasnął. To było wszystko.

Chwilę później drzwi cicho otworzyły się i zamknęły.

Gdy obudził się rankiem, zdążył jeszcze zobaczyć, jak dziewczyna wychodzi z izby. Uśmiechnęła się do niego na pożegnanie.

W niewielkim tłumie zgromadzonym przy Newgate panował dobry nastrój. Powieszenie pięciu złodziei, nawet jeśli nie byli wielkimi złoczyńcami, wciąż stanowiło świetną rozrywkę. Nie dało się zaprzeczyć, że większość mieszkańców lubiła oglądać takie egzekucje. Do Westminsteru zjechali już posłowie do parlamentu, więc zapowiadał się dzień pełen atrakcji.

Brama więzienia wciąż była zamknięta, ale dwukołowy wózek już czekał na skazańców. Był to dziwny pojazd – niski, z dwoma szprychowymi kołami, zaprzężony w konia. Miał wysokie drewniane burty, których stojący skazańcy przytrzymywali się podczas jazdy. Tłum mógł się im dobrze przyjrzeć, gdy wóz wolno przemierzał krótką trasę do Smithfield. Zdarzało się czasem, że ku uciesze gawiedzi wóz robił mały objazd po najbliższych uliczkach.

William Bull się rozejrzał. Tuż obok bramy zauważył grupkę ludzi o smutnych, dziwnie zapadniętych twarzach. Domyślił się, że to rodzina Martina Fleminga. Nieopodal stało kilku niskich rzemieślników. Ich okrągłe głowy były nieproporcjonalnie duże w stosunku do reszty ciała. Zapewne rodzina Joan. Świeciło słońce. Wiatr ustał, ale wciąż było zimno.

Po prawej, nieco na uboczu, ale w miejscu zapewniającym dobry widok, stała wysoka postać ubrana na czarno. Bull odgadł, że to jest Lombardczyk, który chciał zobaczyć, jak sprawiedliwości staje się zadość. Albo raczej jak dopełnia się zemsta. Bull owinął się szczelniej opończą, przytupując z zimna.

Brama więzienia zaczęła się otwierać. Przez tłum przebiegł pomruk zniecierpliwienia. Wreszcie pojawił się jeden z królewskich sędziów, rycerz, który miał nadzorować egzekucję, a za nim szeryf. Podeszli do swoich koni, trzymanych za uzdy przez stajennych. Po chwili ukazali się strażnicy więzienni, a na końcu skazańcy. Czterech biednych rzemieślników i jeden – sądząc z wyglądu – włóczęga. Rzemieślnicy mieli na sobie koszule, kamizelki i wełniane skarpety albo rajtuzy. Włóczęga był bosy, a jego ciało okrywały pozszywane łachmany. Nie związano im rąk, ale każdy miał na kostce kajdany przypięte do łańcucha. W milczeniu weszli na wóz, najpierw oni, a potem strażnicy. W tłumie rozległy się pojedyncze okrzyki dodające otuchy:

– Odwagi, John!

– Wszystko będzie dobrze, stary.

Martin Fleming był trzeci z kolei.

Zauważył swoją rodzinę, ale popatrzył na nich ze smutną obojętnością. Nic więcej. A oni, pogrążeni w rozpaczy, milczeli. Przesunął wzrokiem po tłumie, jakby kogoś wypatrywał.

Stajenny stanął przy koniu, gotów ruszyć na miejsce kaźni. Ale nagle z tyłu rozległ się dziwny pomruk, ludzie zaczęli się rozstępować. Szeryf patrzył na to zamieszanie z irytacją, a po chwili na jego twarzy pojawiło się zaskoczenie. Powiedział coś do sędziego, a ten odwrócił się w siodle, żeby spojrzeć. Ich zdziwienie było niczym w porównaniu z reakcją Martina Fleminga, który pobladły patrzył z przerażeniem na zbliżającą się ku niemu postać.

Joan szła wolno, ale pewnie. Miała na sobie białą pasiastą suknię, upokarzający strój ladacznicy. W obu dłoniach trzymała długie świece, znak pokuty. Mimo zimna była boso. Zatrzymała się przy wozie.

– Nazywam się Joan i jestem pospolitą dziewką – powiedziała głośno i wyraźnie, aby wszyscy ją słyszeli. – Martinie Flemingu, czy pojmiesz mnie za żonę? – Patrzyła mu prosto w oczy z niemym błaganiem: „Pamiętaj. Pamiętaj, co ci przekazałam. Nie masz się czego bać”.

Zaskoczeni ludzie umilkli na chwilę, a potem rozległ się przytłumiony gwar. Patrzyli na nią wszyscy: więźniowie, strażnicy i stajenny. Szeryf i sędzia wymienili spojrzenia.

– I co teraz? – spytał pierwszy.

– Do diabła, nie mam najmniejszego pojęcia – odpowiedział rycerz. – Słyszałem o tym zwyczaju, ale nigdy nie myślałem, że coś takiego mnie spotka.

– Czy tak mówi prawo?

Rycerz zmarszczył brwi.

– Chyba tak. – Spojrzał na Martina jakby ze współczuciem, a potem nagle się uśmiechnął. – Będę o tym opowiadał swoim wnukom.

Ktoś w tłumie krzyknął. Rycerz się odwrócił. Przy wozie stanął krępy, niski mężczyzna. Był blady z oburzenia i gestykulował gwałtownie.

– To moja córka! – krzyknął. – Jesteśmy porządną rodziną! – Odpowiedziały mu śmiechy i gwizdy. – Do wczoraj mieszkała w domu.

– Jeden dzień wystarczy! – zawołał ktoś w tłumie.

– Przysięgam, ona jest dziewicą – zapewniał gorączkowo malarz siodeł.

Tłum zarechotał. Joan patrzyła Martinowi prosto w oczy.

Ojciec miał rację. Nie tknął jej ani Bull, ani Silversleeves. Plan się powiódł. Gdy Dionysius szarpał się w ciemności z jedną z sióstr Dogget, druga pobiegła do pokoiku na poddaszu, włożyła na siebie jedwabną koszulę i położyła się na sienniku. Joan weszła do izby przed Silversleevesem i natychmiast ukryła się w kącie. Przesiedziała tam, wstrzymując oddech, dopóki Dionysius nie zasnął. W stanie upojenia nie zauważył, że posiadł inną kobietę niż ta, którą chciał. A rankiem siostry, siedząc w izbie na dole, aż zanosiły się od śmiechu: „Udało się! Ale kawał!”.

„Przyjdziemy, żeby zobaczyć, jak ratujesz swojego chłopaka od stryczka”, obiecały. Ale się nie pojawiły. Z prostego powodu: spały smacznym snem.

Patrząc z góry na Joan i jej wzburzonego ojca, sędzia odezwał się stanowczym tonem:

– Albo jest ladacznicą, albo nie jest, jedno z dwojga. Nieważne, jak długo. Możesz udowodnić, że jesteś dziewką? – zwrócił się łagodnie do Joan.

Skinęła głową.

– Pracuję Pod Psim Łbem w Bankside. Możecie zapytać zarządcę w majątku biskupa.

Sędzia zerknął na szeryfa.

– Możemy wsadzić chłopaka na powrót do więzienia, dopóki wszystkiego nie sprawdzimy. A jeśli się okaże, że ona kłamie, i tak go

powiesimy.

Szeryf skinął głową. Cała sytuacja zaczęła go bawić.

Nagle rozległ się wściekły ryk. To Lombardczyk zrozumiał, na co się zanosi.

– Nie! – krzyknął, przepychając się do przodu. – Ta dziewczyna… – Szukał odpowiedniego słowa. – Nie dziewka. Ona i tak z nim ślub. To gra. *Commedia*. – Spojrzał z furią na Fleminga. – On jest złodziej! On wisieć!

Sędzia popatrzył na Włocha bez cienia sympatii.

– I co ty na to? – zwrócił się niechętnie do Joan.

Pomoc przyszła z najmniej oczekiwanej strony. Z tłumu wyłoniła się czerwona pryszczata twarz. Silversleeves uśmiechał się szeroko.

Wcześniej nikt nie zauważył jego obecności. Prawdę powiedziawszy, nie zamierzał zjawić się przy Newgate, nawet nie pamiętał, że tego dnia miała się odbyć egzekucja. Szedł do Westminsteru, żeby przysłuchiwać się obradom parlamentu, gdy obok katedry Świętego Pawła zobaczył strumień ludzi zmierzających do Newgate. Zjawił się w samą porę, akurat gdy Joan podchodziła do wozu ze skazańcami. Słyszał cały spór, a teraz, wielce ożywiony i zachwycony, że ma w tym swój udział, postanowił popisać się przed tak liczną widownią. Cały Londyn będzie o mnie mówił, pomyślał, występując do przodu.

– To prawda, panie! – zawołał do sędziego. – Nazywam się Dionysius Silversleeves, pracuję w królewskiej mennicy. – Teraz wszyscy będą znali go z nazwiska. – Ona jest dziwką. Miałem ją dziś w nocy. – Zauważywszy Williama Bulla, wskazał go palcem. – On też! – Uśmiechnął się z zadowoleniem.

Joan wpadła w przerażenie. Tego plan nie przewidywał. Namyślała się gorączkowo. To prawda, chciała, żeby wzięli ją za prostytutkę, ale to Bull miał ich przekonać. I to dyskretnie. Wtargnięcie Silversleevesa wytrąciło ją

z równowagi; dopadła ją rozpacz i poczucie winy. Biedny Martin! Co on teraz myśli? Patrzyła na niego, z całego serca pragnąc, aby jej zaufał.

Usłyszała głos sędziego.

– Zapomnieliśmy o czymś. – Mężczyzna skierował spojrzenie na Martina. – Wygląda na to, że ta kobieta jest dziewką. A zatem pytam cię, czy chcesz się z nią ożenić? Bo jeśli tak, to będziesz wolny – dodał łagodnie. – Nie zawiśniesz na szubienicy.

Martin patrzył przed siebie.

Nie wiedział, co odrzec. Nie był nawet w stanie myśleć. Zdążył się już pogodzić, że idzie na śmierć, i oto nagle widzi swoją ukochaną, niewinną Joan w odrażającej sukni. Było to tak niewiarygodne, że przez dłuższą chwilę w ogóle nie rozumiał, co się dzieje. „Nie daj się zwieść pozorom”. Tak brzmiała jej wiadomość. Ale jak to możliwe? „Musisz jej zaufać”. Bardzo tego chciał. I pewnie uwierzyłby jej pomimo wszystko, gdyby nie to, co zobaczył w jej twarzy. Nie mógł się mylić. Poczucie winy i zagubienie. Patrzyła na niego z rozpaczą, poruszając bezgłośnie ustami, ale on już wiedział, jak wygląda straszliwa prawda.

Była dziwką. Zrobiła to dla niego. Nie miała innego wyjścia. Ale była dziwką. W godzinę śmierci za zbrodnię, której nie popełnił, Bóg zesłał mu tę przerażającą potworność. Nawet nie próbował zrozumieć takiego bezwzględnego okrucieństwa. Jedyna kobieta, której odważył się zaufać, okazała się taka jak inne. A nawet gorsza. Wszystko jest brudem, pomyślał. Zalała go fala goryczy. Spojrzał w górę na zimne, przejrzyste niebo. Wiedział już, co powinien zrobić. Dość. Miał już tego dość.

– Nie, panie – powiedział. – Nie chcę jej.

– Nie! Nic nie rozumiesz! – krzyczała Joan, ale wóz już ruszył.

– Sprawa zamknięta – oświadczył sędzia.

Co miała robić? Jak go przekonać? Chciała pobiec za wozem, ale przytrzymały ją czyjeś silne ramiona. Szarpnęła się.

– Puśćcie mnie! – krzyczała. Dlaczego ją trzymają? Kim oni są? Odwróciła się i zobaczyła surowe twarze ojca i braci.

– To koniec.

Zemdlała.

William Bull pędził co koń wyskoczy.

Nie był zadowolony, że Silversleeves publicznie go zdemaskował, ale nie miał o to pretensji do Joan. Nie rozumiał też, co się stało. Czyżby ten urzędnik z mennicy odebrał jej dziewictwo? Jeśli tak, to musiał to zrobić siłą. Tak czy inaczej, Bull wyczuwał w tym jakąś nieczystą grę.

Wiedział jedno: dał jej słowo. „Przyrzekłem, że jej pomogę", mruczał przez zęby. Dlatego musiał spróbować. Mimo że został już tylko jeden sposób. I to z niewielkimi szansami na powodzenie. „Zawiśnie jako ostatni – powiedział sędzia. – Daję ci godzinę".

Zamierzał poprosić o królewską łaskę. Mógł jej udzielić zarządca Londynu. A on przebywał w parlamencie.

W Pałacu Westminsterskim roiło się od ludzi. Kręcili się tu możnowładcy i pomniejsi baronowie w kosztownych szatach, rycerze i tędzy posłowie – jak on – w ciężkich futrach i pelerynach. Nikt nie odważył się go zatrzymać.

Miał za mało czasu, żeby obmyślić jakiś plan.

– Muszę się widzieć z zarządcą Londynu! – krzyknął. – Gdzie on jest?

Przez dłuższą chwilę przepychał się w tłumie, aż w końcu jakaś pomocna dusza wskazała koniec sali, gdzie ustawiono małe podium przykryte fioletowym suknem. Zobaczył zarządcę rozmawiającego z samym królem.

– No cóż – mruknął, krzywiąc się lekko. – Słowo się rzekło…

Król Anglii, Edward I, patrzył beznamiętnie, jak tęgi kupiec, który w stanie wielkiego wzburzenia odważył się przerwać rozmowę monarchy, przekonuje zarządcę. Pomyłka sądowa. Uniżona prośba o łaskę. Takie rzeczy się zdarzają. Kat już czekał. Nic dziwnego, że kupiec aż się spocił. Skazańcem był jakiś biedak, nawet niespokrewniony z londyńskim patrycjuszem, gotowym zapłacić za ułaskawienie. Bardzo dziwne.

– I co? – przerwał mu król. – Okażemy łaskę?

– Raczej nie – powiedział zarządca niepewnie. Wiedział, że król darzy go zaufaniem. Ale nie lubił bogatego kupca. – Ofiarą rabunku jest Lombardczyk. Bardzo go to wzburzyło.

– Lombardczyk? – Edward spojrzał groźnie na Bulla, który lekko zbladł. A potem padł miażdżący wyrok: – Moi cudzoziemscy kupcy muszą się czuć bezpieczni. Odmawiam. – Odprawił Bulla gestem dłoni.

– To jeden z tych patrycjuszy, których wasza wysokość chciał złamać – powiedział zarządca, gdy Bull zniknął im z oczu. – Mądra decyzja.

A więc wszystko stracone. Bull wracał powoli do miasta z poczuciem klęski. Biedna dziewczyna. I biedny jej nieszczęsny kochanek. William minął Charing Cross i skręcił na zachód, bo tak prowadziła droga. Nie lubił się poddawać, ale czuł się bezradny. Gdyby był człowiekiem wierzącym, to pewnie pomodliłby się o natchnienie.

Gdy dojechał do Aldwych, zobaczył grupę jeźdźców. Tam gdzie kiedyś mieli swoje gospodarstwo jego przodkowie, stały dziś piękne, nowe budowle. Za panowania poprzedniego monarchy teren otrzymał wuj króla, włoski hrabia Sabaudii, i stąd jego rozległą rezydencję nazywano pałacem Savoy. Przed wejściem do pałacu jeźdźcy zatrzymali się na chwilę, aby przywitać się z kilkoma innymi. Byli to, Bull od razu zauważył, londyńscy rajcy jadący na obrady parlamentu. Ci sami, którzy zajęli miejsce jego i jego przyjaciół. Jeszcze jedno świadectwo bolesnej bezradności.

– Gdyby któryś z tych przeklętych posłów wstawił się za chłopakiem, to najpewniej nie spotkałby się z odmową – mruknął pod nosem. Już chciał zawrócić konia, żeby się na nich nie natknąć, gdy nagle wśród nich zauważył Barnikela. – A ten to nawet rozmawiał z królem. – Zaklął, przypominając sobie wydarzenia poprzedniego dnia.

Nagle zaświtała mu pewna myśl. Martin Fleming miał jeszcze jedną maleńką szansę. Potrzebny był człowiek, który umiałby wpłynąć na zmianę królewskiej decyzji.

– Do diabła! – zaklął znowu. – Do diabła i do krocset! – To z pewnością nie będzie przyjemne. – Ale przecież chodzi o życie – przekonywał sam siebie.

Podjechał pokornie do sprzedawcy ryb.

– Co, jeszcze jeden błaga mnie o łaskę dla tego chłopaka? – Król patrzył ze zdziwieniem na Barnikela. – Kim on jest, że ma takich orędowników?

Barnikel nie dał się zbić z tropu. Los Fleminga nieszczególnie go obchodził, wiedział jednak, ile kosztowało Bulla zwrócenie się do niego o pomoc. Jeśli uda mu się spełnić prośbę i tym samym pokazać swoją wyższość nad dumnym kupcem, to tym lepiej.

– Szybko prosisz mnie o przysługę, panie rajco – zauważył chłodno król, patrząc na niego spod opadającej powieki. – Zapewne wiesz, że królewska pomoc ma swoją cenę.

Barnikel skłonił głowę.

– Tak, wasza wysokość.

Król Edward się uśmiechnął.

– Czekają nas pracowite obrady. Pamiętaj, drogi Barnikelu – dodał wymownie – że liczę na ciebie.

Sprzedawca ryb też się uśmiechnął.

– Oczywiście, wasza wysokość.

Król wezwał pisarza sądowego.

– Jedź z nim – rozkazał. – I lepiej się pospieszcie.

Kwadrans później zaskoczony Martin Fleming, któremu kat zdążył już założyć stryczek na szyję, zobaczył pędzących jeźdźców, Williama Bulla, rajcę Barnikela i królewskiego pisarza. Usłyszał okrzyk:

– Ułaskawienie od króla!

Kilka dni później w kościółku Świętej Marii Overie w Southwark odbył się ślub Martina i Joan.

Martin uwierzył na nowo w czystość swojej żony. Ale dopiero po długiej rozmowie z Bullem udało mu się zdławić przerażenie, które odczuwał na myśl, że Joan gotowa była udawać dziwkę z burdelu. Ich rodziny nie umiały się z tym pogodzić i nikt z bliskich nie pojawił się na ślubie.

Dlatego u boku Martina stał rajca Barnikel, a pannę młodą wprowadził do kościoła William Bull. Druhnami były siostry Dogget. Ksiądz, widząc ich wszystkich, pomyślał, że nigdy nie uczestniczył w podobnej ceremonii.

A najzabawniejsze było to, że spośród obecnych w kościele mężczyzn jedynie Martin Fleming nigdy nie spał z żadną z frywolnych sióstr.

Następnego dnia Margery i Isobel wyjechały z Londynu. Powód wyjazdu był tak chwalebny, że nawet biskup nie mógł się sprzeciwić – wyruszały na pielgrzymkę do Canterbury.

Przez całą podróż Margery stosowała maść otrzymaną od medyka. I, o dziwo, gdy wróciły do Londynu, objawy choroby zniknęły.

Parlament z 1295 roku, z powodu swojego składu nazywany często „parlamentem wzorcowym”, zakończył obrady przed Bożym Narodzeniem. Baronowie i rycerze zgodzili się na podatek w wysokości jedenastej części ich majątku ruchomego, duchowieństwo płaciło dziesiątą część, a mieszczaństwo, poruszone pełną pasji przemową lojalnego rajcy Barnikela, wspaniałomyślnie zgodziło się na jedną siódmą.

Być może rajca wpadłby w dobry humor, gdyby wiedział, że zostanie ojcem – właśnie tego dnia Isobel Dogget nabrała pewności.

– Na pewno jestem w ciąży, i to z nim, bez dwóch zdań – oznajmiła siostrze.

Niedługo po Bożym Narodzeniu Dionysius Silversleeves zaczął się skarżyć na pieczenie intymnych części ciała.

Przespał się z Margery, a nie z Isobel.

London Bridge

Rok 1357

Średniowiecze wkraczało w ostatnią fazę swojego rozkwitu. W zmieniającym się świecie dwie rzeczy były absolutnie pewne. Po pierwsze, życie ludzkie jest kruche i nietrwałe. Wojny, choroby, nagła śmierć podążały za człowiekiem jak cień. Po drugie, i to dawało pewną pociechę, istnieje stały porządek wszechświata. Opisał go dwanaście wieków wcześniej Ptolemeusz, wielki astronom starożytności. A taki mędrzec nie mógł się mylić.

Centrum wszechświata stanowiła Ziemia. I choć prości ludzie uważali, że jest płaska – nawet niektórzy żeglarze bali się, że można spaść z jej krawędzi w otchłań – to uczeni wiedzieli, że Ziemia jest kulą. Otaczały ją koncentryczne sfery, przezroczyste, a więc niewidoczne dla oka, po których poruszały się planety: niepokojący Księżyc, szybki Merkury, piękna Wenus, Słońce, wojowniczy Mars, groźny Jowisz i posępny Saturn. Krążyły wokół Ziemi w skomplikowanym tańcu, którego szlaki astronomowie umieli już wytyczyć. Dalej znajdowała się kolejna sfera z osadzonymi w niej gwiazdami – one też się obracały, tyle że bardzo wolno. „A poza nimi – głosili uczeni – roztacza się sfera jeszcze większa, której ruch nadaje obrót wszystkim pozostałym. Sfera ta, nazywana *primum mobile*, poruszana jest ręką Boga”.

Niebiosa nie były dla ludzi sprawą obojętną. Komety i spadające gwiazdy uznawano za przepowiednie zsyłane przez Boga. I chociaż Kościół traktował astrologię jak pogański przesąd, to większość chrześcijan przywiązywała wagę do znaków zodiaku. Każda planeta miała własne cechy, a jej wpływ na ludzi był niezaprzeczalny. Cała materia była zbudowana z czterech żywiołów – powietrza, ognia, ziemi i wody. Dlatego istniały cztery pory roku, a w ludzkim organizmie krążyły cztery humory, czyli płyny. W stworzonym przez Boga wszechświecie wszystko łączyło się w mistyczny sposób.

A skoro Ziemia stanowiła centrum tego uporządkowanego wszechświata, to gdzie leżał punkt, który byłby środkiem całego układu? W tej kwestii obowiązywały różne opinie. Jedni uważali, że sercem wszechświata jest Rzym, a inni że Jerozolima. Chrześcijanie ze Wschodu upierali się przy Konstantynopolu, a Saracenowie przy Mekce. A gdyby ktoś zapytał o to londyńczyka, uzyskałby natychmiastową odpowiedź. Centrum wszechświata jest London Bridge.

Most był nie tylko przeprawą przez rzekę. Zbudowana sto pięćdziesiąt lat wcześniej długa platforma oparta na dziewiętnastu kamiennych łukach była potężną konstrukcją. Środkiem biegła droga na tyle szeroka, że mieściły się na niej dwa wozy. Po obu stronach stały rzędy wysokich, zakończonych szczytami domów, wystających nad wodę. W kilku miejscach domy były połączone kładkami dla pieszych. Tylko jedno przęsło nie miało zabudowy – działało jako most zwodzony, pod którym mogły przepłynąć nawet statki z bardzo wysokimi masztami. Na moście stały dwie ogromne bramy. W jednej „cudzoziemcy” wjeżdżający do miasta płacili myto. Wewnątrz znajdowała się stara kaplica Świętego Tomasza Becketa.

Most miał też inną niezwykłą cechę. Filary wspierające łuki były tak potężne, że tworzyły coś w rodzaju tamy. Przemieszczający się w górę rzeki

prąd przypływu był prawie niezauważalny. Ale gdy pływ się odwracał, woda niesiona podwójną siłą – odpływu i samego nurtu rzeki – napotykała przeszkodę. Poziom Tamizy po zachodniej stronie mostu podnosił się o parę metrów, a pomiędzy filarami tworzyły się spienione kanały wody pędzącej z furią w dół. Czasem jacyś śmiałkowie wypuszczali się łódkami na te kaskady, ale była to niebezpieczna rozrywka. Wystarczył maleńki błąd, a łódka wywracała się i nawet najlepsi pływacy tonęli w odmętach.

Na moście wystawiano na widok publiczny głowy zdrajców zatknięte na pikach. Największe zwycięstwa fetowano wspaniałymi procesjami. London Bridge stanowił nie tylko centralny punkt miasta, ale i całej Anglii.

Był słoneczny majowy dzień. Przysadzistą sylwetkę Gilberta Bulla opinała sięgająca do pasa tunika i niebiesko-zielone rajtuzy.

Most udekorowano girlandami. Na jednym końcu, bliższym miasta, czekał już burmistrz i rajcy w futrach i czerwonych szatach. Przed nimi niesiono dwie miejskie buławy, złotą i srebrną. Dostojnikom towarzyszyli starsi cechów – niektórzy w barwach cechowych, inni z chorągwiami z oznaczeniem swojego rzemiosła. Byli też kanonicy ze Świętego Pawła, franciszkanie, dominikanie, mnisi, zakonnice i księża z ponad stu parafii, ubrani tak bogato, jak tylko pozwalała im reguła. A wszelkie możliwe punkty obserwacyjne zajęły tysiące gapiów liczących na to, że uda im się zobaczyć niezwykły widok.

Król Francji przybywał do Londynu jako więzień.

W ciągu ostatnich dziesięcioleci odwieczny konflikt pomiędzy Francją a Plantagenetami wszedł w nową fazę, którą historycy nazwali później wojną stuletnią. Plantageneci twierdzili, że dzięki kolejnym małżeństwom i genealogii mają prawo do tronu francuskiego. I choć Francuzi odrzucali te roszczenia, angielscy władcy od pokoleń dodawali do swojego królewskiego herbu *fleur-de-lys*, kwiat lilii.

Anglia odnosiła kolejne sukcesy. Król Edward III, godny wnuk wielkiego Edwarda I, do którego był nawet podobny, gromił Francuzów na potęgę. Jego najstarszy syn, mężny Czarny Książę, który poprowadził angielskich rycerzy i łuczników do zwycięstw pod Crécy i Poitiers, został okrzyknięty największym bohaterem od czasów Ryszarda Lwie Serce. Anglia umocniła swoje panowanie nad ziemiami Akwitanii i winnicami Bordeaux, a jakby tego było mało, port w Calais – po tym jak zakuci w łańcuchy mieszczanie błagali o życie Edwarda i jego małżonkę – przeszedł w ręce Anglików, stając się magazynem i posterunkiem celnym dla prężnie rozwijającego się angielskiego handlu wełną.

Przede wszystkim jednak wojny przynosiły ogromne zyski. Angielscy kupcy bez przeszkód handlowali z Flandrią, hanzeatyckimi portami nad Bałtykiem, z Italią i Bordeaux. Na dostawach dla wojska też można było zarobić. Łupy zdobywane na pokonanych Francuzach i okupy wnoszone za pojmanych rycerzy były tak wielkie, że przez wiele lat król Edward nie musiał nakładać żadnych podatków na poddanych.

A dziś, w piękny majowy dzień, król Francji, którego rok wcześniej pojmano w bitwie, zjawiał się w Londynie jako więzień. Bohaterski Czarny Książę, godny przywódca nowego rycerskiego zakonu ustanowionego przez swojego ojca, rycerzy podwiązki, jechał obok francuskiego monarchy, traktując go z układną uprzejmością, jakby był jego giermkiem. Nic dziwnego, że londyńczycy tłumnie wylegli na powitanie kwiatu rycerstwa. „Francuzi zapłacą za swojego króla ogromny okup”, powtarzano w mieście.

Gdy pochód zrównał się z burmistrzem, Gilbert Bull podjął decyzję. Odwrócił się do stojącej obok kobiety.

– Postanowiłem, że się z tobą ożenię.

Spojrzała na niego.

– A ja nie mam nic do powiedzenia?

– Nie – odpowiedział uprzejmie.

Uśmiechnęła się. Chciała męża, który będzie podejmował wszystkie decyzje. On też się uśmiechnął, bo właśnie takiej uległej żony szukał.

William Bull, przeprowadziwszy się sześćdziesiąt lat wcześniej do Bocton, zaprzestał handlu i zajął się włościami. Jego syn i wnuk też poświęcili się życiu na wsi. Jednak w następnym pokoleniu urodziło się dwóch synów, a majątek był tylko jeden. Ten problem wymagał rozwiązania. W Europie majątki czasem dzielono, ale angielscy władcy uznali, że utrudnia to ściąganie podatków, więc coraz usilniej domagali się wprowadzenia primogenitury, czyli prawa do dziedziczenia jedynie przez starszego syna. A skoro Bocton miał przypaść starszemu, co począłby jego młodszy brat Gilbert?

Droga do kariery duchownej była otwarta. Ale w owych czasach celibat księży obowiązywał, a na takie życie młody Bull nie miał szczególnej ochoty. W grę wchodziła również kariera wojskowa. W wieku czternastu lat Gilbert walczył z Czarnym Księciem pod Crécy. Wojna zapewniała emocje, ale była też strasznym doświadczeniem, Gilbert miał okazję przekonać się na własne oczy, czym tak naprawdę jest średniowieczna wojaczka. „Gdy nie toczą się żadne bitwy – opowiadał ojcu po powrocie – żołnierze i ich dowódcy wałęsają się po Francji. Jeśli nie znajdę sobie możnego protektora, który zapewni mi awans, to skończę jak zwykły rozbójnik”.

„W takim razie wracaj do Londynu”, orzekł ojciec.

Handel. I pod tym względem Anglia była wyjątkowa. Gdy francuski szlachcic żenił się z córką kupca, a wielu tak czyniło, chętnie brał kupieckie pieniądze, lecz handlem nie chciał się zajmować. Chociaż królowie z dynastii Plantagenetów sprowadzali do Anglii rycerzy, którzy wyznawali podobne przekonania i nadal stanowili znaczną część arystokracji, takie

obce postawy nigdy się jednak nie upowszechniły. Zaledwie sto lat po normandzkiej inwazji kupiec Bull odzyskał rodowy majątek Bocton. A sto lat później William Bull osiadł tam na stare lata. Już przed narodzinami Gilberta Bullowie z Bocton przestali się różnić czymkolwiek od reszty szlachty, do której należeli normandzcy rycerze i inni byli rajcy, mieszkający w okolicznych majątkach. Wszyscy mówili po francusku i po angielsku, umieli napisać coś po łacinie, świadczyli ze swoich ziem służbę rycerską, zazwyczaj w gotówce, czyniąc pewien wyłom w arystokratycznych uprzedzeniach. Wiedzieli, skąd pochodzi ich bogactwo, a ich młodsi synowie, którzy wracali do Londynu i tam próbowali się dorobić, wciąż byli uważani za dżentelmenów. Czasem oferowano im stanowiska na dworze albo wysyłano na zagraniczne misje. I mimo że Anglia wciąż była państwem feudalnym, zróżnicowane społeczeństwo Anglosasów i Duńczyków powoli umacniało się na nowo.

Gilbert Bull wyjechał do Londynu. Handlował lnem i sprowadzał z zagranicy inne tkaniny. Został kupcem bławatnym. Mając pieniądze i rodzinne koneksje, szybko się dorobił. A teraz wybrał sobie żonę.

Nie mógł podjąć bardziej roztropnej decyzji. Córka znanego złotnika powiązanego ze szlachtą miała duży posag. Była niską kobietą o miłej aparycji. Wprawdzie ciemne cienie pod oczami nadawały jej twarzy wyraz zmęczenia, ale nadrabiała to wesołym usposobieniem. Podzielała zdanie Gilberta we wszystkich sprawach, więc zapowiadała się na dobrą żonę. Czekało ich szczęśliwe życie.

Gilbert Bull był sympatyczny. Wszyscy uważali go za człowieka godnego zaufania. Jak inni Bullowie nigdy nie łamał danego słowa. Lubił czytać książki w domowym zaciszu i interesował się matematyką, ale umiał zapanować nad tymi ciągotami. Czy zatem jego uporządkowany świat miał jakieś skazy? Owszem, jedną: mroczne wspomnienie, wspólne wielu innym

ludziom, przez które był nadmiernie ostrożny i zbyt mocno pragnął kontrolować otaczającą go rzeczywistość. Ale jak sam czasem mawiał z typową dla siebie logiką: nikt nie jest doskonały.

Rok 1361

Była wiosna, Słońce znajdowało się w znaku Byka. Od dwóch dni planeta Wenus wschodziła wieczorem nad horyzontem, płonąc miłosnym blaskiem.

Wczesnym rankiem spadł lekki deszcz, ale teraz wilgotny wietrzyk z południa przesuwał po jasnoniebieskim niebie puszyste białe obłoki. Po drugiej stronie rzeki Londyn lśnił w ciepłych promieniach słońca, nad ziemią unosiły się opary mgły. Dwaj mężczyźni stali na południowym końcu mostu, patrząc na niemowlę.

Dzieciątko siedziało na skraju drogi oparte o pustą beczkę. Wyglądało na najedzone i owinięte było w czysty biały szal. Nie płakało, jednak w pobliżu nie było nikogo, kto wyglądałby na jego rodziców.

– Chyba je porzucono – powiedział młodszy z mężczyzn. Nie miał jeszcze dwudziestu lat, ale mógł się poszczycić czarną kozią bródką, okrągłą, inteligentną twarzą i rozumnym spojrzeniem. Jego towarzysz skinął głową. Ten, kto zostawił dziecko, z pewnością liczył, że jakiś przechodzień się nad nim ulituje.

– Całkiem mały brzdąc.

– Na moje oko ma ze trzy miesiące – powiedział Bull.

– Gilbercie, on patrzy na ciebie! – Niemowlę wyglądało na chłopczyka. A teraz z wyraźnym zainteresowaniem gapiło się na krępą postać Bulla. – Szkoda by było go zostawić – ciągnął mężczyzna. Niechciane dzieci czasem topiono w rzece.

Bull westchnął. Miał duży dom. Mógł przygarnąć malca.

– Wziąłbym go do siebie, ale ryzyko… – Nie musiał nawet kończyć zdania. Obaj wiedzieli, co ma na myśli.

Dziecko mogło przynieść śmierć.

Mroczne wspomnienia. Sprzed trzynastu lat. Astronomowie ostrzegali przed nieszczęściem, ale nikt ich nie słuchał.

Rok wcześniej plony nie obrodziły i wielu biedaków w Londynie głodowało. Przyszła sroga zima. A po niej deszcze, padało bez przerwy. Woda w Tamizie wezbrała i podeszła w pół drogi do Ludgate. Deszcz wypełniał strumienie spływające z Cornhill i rynsztoki w West Cheap; zalewał ścieki, podwórka i zamieniał ulice w czarne błoto; wdzierał się do krypt i topił szczury; wypełniał piwnice mułem, którego ostra woń przedostawała się przez podłogi. Deszcz wsiąkał do najgłębszych korzeni miasta. Nawet Londyn nie mógł wchłonąć tyle wilgoci, więc gdy ulewy ustały, żółtawe słońce wzbiło złe opary, które rozchodziły się wszędzie jak upiorny, wilgotny, cuchnący oddech.

A potem, na początku lata 1348 roku, nadeszła zaraza.

Epidemia spustoszyła już znaczną część Europy i szerzyła się z niewiarygodną szybkością. Czarna śmierć spadła na Anglię, zabijając prawie jedną trzecią mieszkańców. Uderzała nagle i niespodziewanie. Najpierw pojawiały się straszne rany i obrzęk, po nich gorączka, zatkane płuca, a po kilku dniach śmierć w męczarniach.

W dniu, w którym choroba dotarła do Londynu, Gilbert wyjechał do Bocton i pozostawał tam z rodzina przez miesiąc. Na rozkaz ojca majątek był praktycznie odcięty od świata. Nikomu nie wolno było opuszczać dworu ani przyległej wioski, nie wpuszczano też nikogo z zewnątrz. Mogli jedynie czekać, patrząc na rozległą dolinę Weald. Dzięki Bożej opatrzności zaraza ich ominęła.

Gilbert wrócił do Londynu, ale świat nie był już taki jak dawniej. Czarna śmierć zebrała tak obfite żniwo, że na wsi brakowało rąk do pracy. Właściciele ziemscy za wszelką cenę szukali siły roboczej, przez co stary system poddaństwa załamał się i nigdy się już nie odrodził. W miastach wyludniły się domy i całe ulice. Ale dla Gilberta najstraszniejsze było to, że zaraza zabrała jego ukochaną i całą jej rodzinę. Nikt nawet nie wiedział, gdzie ich pochowano.

Pomimo tak strasznej traumy miasto szybko dochodziło do zdrowia. Handel kwitł. Przybywali nowi imigranci. Ziejącą pustkę wypełniały dzieci tych, którzy przeżyli. Wydawało się, że życie znów toczy się normalnie. Ale zaraza nie zniknęła, tylko znalazła sobie kryjówkę. Przez ponad trzysta lat straszliwa plaga wielokrotnie wracała niespodziewanie, siała w mieście zniszczenie i równie nagle słabła. Nikt nie wiedział, czy przyczajała się w zakażonych trzewiach miasta, czy przynosiły ją z chmurami wilgotne wiatry. Niedawno ucierpiało kilka londyńskich parafii. W Southwark zmarło wielu chorych. A jeśli to dziecko zostało porzucone, to istniało duże prawdopodobieństwo, że jego rodzice umarli na dżumę. Bull nie miał odwagi dotknąć malca.

– Od tygodnia nikt nie zachorował – powiedział jego przyjaciel. – Gdyby dziecko złapało zarazę, to już by nie żyło. Sam bym je wziął, gdyby nie to, że jestem kawalerem.

Bull nadal się wahał.

Nie zauważyli nadjeżdżającego wozu. Ani kałuży. Młodszy mężczyzna odskoczył zwinnie na bok, ale Bull miał mniej szczęścia. Po chwili patrzył z rozpaczą na ochlapaną błotem tunikę.

I wtedy dziecko się roześmiało.

Mężczyźni przyglądali mu się ze zdziwieniem. Nie, nie pomylili się. Na małej okrągłej buzi malowało się rozbawienie.

– Co za uroczy berbeć – powiedział młodszy mężczyzna. – Gilbercie, przecież go tak nie zostawisz.

Bull wziął niemowlę na ręce.

Niedługo potem rozstali się na środku mostu. Bull wpatrywał się w małe zawiniątko.

– No i proszę, co ja przez niego mam – mruknął z uśmiechem.

Jego przyjaciel, którego znał już od kilku lat, był młodszym urzędnikiem w służbie królewskiej, chociaż jego ojciec i dziadek handlowali winem. Bull przypuszczał jednak, że wcześniej jego przodkowie zajmowali się szewstwem – wskazywało na to ich nazwisko, pochodzące od francuskiego słowa oznaczającego buty: *chaussures*. To prawda, darzył Geoffreya Chaucera wielką sympatią.

– Ty nazywasz się Ducket. My nazywamy się Bull.

Zapamiętał to zdanie, bo po raz pierwszy ktoś się tak do niego zwrócił. Kupiec wydawał mu się wielki i potężny, przemawiał stanowczo, ale życzliwie. Do tej chwili chłopiec sądził, że należy do rodziny. Teraz jednak zrozumiał, że jest inaczej. Było to w dniu, gdy skończył pięć lat, a Bullom urodziła się córka.

Kim więc był? To Chaucer odkrył jego tożsamość pięć dni po tym, jak znaleziono go na moście. „Trochę rozpytywałem wśród ludzi – opowiadał Bullowi – i okazało się, że sąsiedzi znaleźli go w domu wynajmowanym przez ubogą rodzinę nazwiskiem Ducket. Wszystkich zabrała zaraza. To cud, że mały w ogóle przeżył. Tak jak przypuszczaliśmy, zostawili go na moście z nadzieją, że ktoś go przygarnie”. Musieli jeszcze dowiedzieć się jego imienia. Zazwyczaj chrzczono noworodki tuż po narodzinach, ponieważ nieochrzczone dzieci nie miały wstępu do nieba, a śmiertelność wśród niemowląt była wysoka. „Pytałem w pobliskich kościołach – oznajmił Chaucer – ale niczego się nie dowiedziałem”. Gdy zaczęli się

zastanawiać, co zrobić, uśmiechnął się szeroko. „Dajmy mu na imię Geoffrey – powiedział. – Będę jego ojcem chrzestnym”.

Zgodnie ze zwyczajem chłopiec został bierzmowany w wieku trzech lat. Potem rzadko widywał swojego ojca chrzestnego, bo Chaucer często wyjeżdżał. Ale mimo że mały Geoffrey był zwykłym podrzutkiem, miał szczęśliwe dzieciństwo. Bull traktował go sprawiedliwie, a jego żona, choć chłodna w obejściu, była dla niego jak matka. Martwiło go więc tylko jedno.

Był dziwny. Miał białe pasmo włosów, na które ludzie się gapili. Ale jeszcze dziwniejsza była skóra między palcami dłoni. Często spoglądał ukradkiem na dłonie innych ludzi, żeby sprawdzić, czy wyglądają podobnie. Ale nie. Któregoś dnia dowiedział się, że pomocnica kucharki, gruba dziewczyna, z którą rzadko rozmawiał, też nazywa się Ducket, więc zapytał ją z przejęciem:

– Jesteśmy rodziną?

Ale ona ugryzła kawałek piernika i mruknęła:

– A bo ja wiem…

Dom Gilberta Bulla stał pośrodku mostu, po zachodniej stronie. Miał cztery piętra i wysoki spadzisty dach. Zbudowano go z bali i zaprawy, a ciemne, dębowe belki ozdobiono – jak w innych bogatych domach – misterną snycerką. Z wystających naroży spoglądało kilkanaście gargulców z obliczami ludzi i zwierząt. Na parterze mieścił się kantor. Na pierwszym piętrze znajdowała się okazała izba z dużym kominkiem – jej wielkie okna wychodziły na rzekę. Górną część okna wypełniały małe płytki z zielonkawego szkła. W kominku palił się węgiel. Dawał więcej ciepła niż drewno, mniej dymił, a przywożono go statkami z północy. Wyżej znajdowały się izby sypialne, a na samej górze poddasze. Kucharka

spała w kuchni na parterze, a Geoffrey Ducket, służba i terminatorzy na strychu.

Jego ulubionym miejscem była kuchnia. Wielki rożen obok paleniska, na którym zawsze płonął ogień; poczerniały ze starości żelazny imbryk; ogromna kadź, którą napełniano co rano wodą wyciąganą wiadrem z Tamizy; skórzany zbiornik z żywymi rybami, z których kucharka przyrządzała posiłki; ciężki dzban z miodem używanym do słodzenia potraw; cebrzyk z marynatami i szafka na przyprawy, do której lubił zaglądać, żeby wąchać dziwne aromaty.

A raz w miesiącu z ciekawością przyglądał się, jak kobiety robią pranie. Na środek kuchni wystawiano duże drewniane koryto, nalewano do niego gorącej wody, dodawano sodę kaustyczną i popiół drzewny. Lniane koszule i prześcieradła moczono w korycie, wygniatano, płukano, a potem przepuszczano kilkakrotnie przez wyżymaczkę, aż robiły się sztywne jak deska. Kucharka pokazywała mu też, jak się czyści futra.

– Biorę wino i ziemię fulerską. – Podsuwała mu glinkę pod nos, a on aż odskakiwał do tyłu, czując ostrą woń amoniaku. – Potem dodaję trochę soku z zielonych winogron. I proszę, schodzą wszystkie plamy.

Lubił stawać przy drzwiach kuchennych, żeby patrzeć na handlarzy ulicznych, rozwożących swoje towary zaraz po tercji. Bawił się też w rzucanie patyków. Rzucał je z małego dziedzińca, skąd nabierano wodę z Tamizy, a potem pędził na podwórko po drugiej stronie mostu – przebieganie przez ruchliwą drogę było niebezpieczne – i patrzył, jak wypływają spod mostu.

Jednak najbardziej lubił spędzać czas ze swoim bohaterem.

W domu zazwyczaj mieszkało kilku terminatorów, ale byli zbyt zajęci, żeby zwracać uwagę na małego podrzutka kręcącego się po kuchni. Z wyjątkiem jednego. Był dziesięć lat starszy od Ducketa, miał ciemne

oczy, ciemne kręcone włosy i zachowywał się z pełną uroku beztroską. Chłopiec patrzył w niego jak w obraz. Młodzieniec pochodził ze starej szlacheckiej rodziny; ojciec wysłał go do Londynu, aby dołączył do kupieckiej elity miasta. Kucharka często mawiała z uznaniem: „Proszę, oto prawdziwy dżentelmen”. Jednak Richard Whittington [16] wciąż był tylko uczniem. W dawnych czasach obywatelstwo miejskie przechodziło z ojca na syna, a bogacze mogli je kupić. Obecnie dostawało się je niemal wyłącznie za pośrednictwem gildii. Cechy ustalały reguły, normy jakości, warunki pracy, ceny dla każdego rzemiosła. Jedynie członkowie cechów mogli prowadzić działalność rzemieślniczą i kupiecką. A do tego gildie podporządkowały sobie władze okręgów i radę miejską. Cechy prostych rzemieślników i największe cechy kupieckie, jak cech kupców bławatnych, walczyły o wpływy. I to one rządziły Londynem.

Whittington lubił małego Ducketa. Podrzutek był wesołym dzieckiem i Richard często się z nim bawił. Uczył go zapasów i boksu, a dość szybko zauważył rzecz szczególną: „Można go pokonać, a on i tak nie rezygnuje – mówił z uznaniem. – Ten maluch nie lubi się poddawać”.

Czasem zabierał go do miasta. Zaraza uśmierciła wielu mieszkańców, ale mimo to Londyn tętnił życiem. Panował tu cudowny chaos. Oto w jakimś zaułku stał wspaniały szlachecki dom, z jedwabnym proporcem z herbem trzepoczącym w oknie, a zaraz obok wisiały stłoczone drewniane szyldy piekarzy, rękawiczników i karczem. Nawet dom Czarnego Księcia stał na ulicy, na której roiło się od sprzedawców ryb, a przy bramie wisiały wiklinowe kosze pełne ziół, które miały zabić nieprzyjemną woń. Bogacze, średniacy i biedacy kłębili się obok siebie, świeckość mieszała się ze świętością. Katedrę Świętego Pawła oddzielał od miasta mur, ale kamieniczki czynszowe stojące wokół kościoła pod wezwaniem Świętego Wawrzyńca Silversleevesa wyludniły się po epidemii i popadły w ruinę,

cały zaś teren zamienił się w wysypisko śmieci, na którym biedacy urządzili sobie wielką latrynę. Bił stąd taki odór, że wikary pospiesznie odprawiał nabożeństwa, przytykając sobie chusteczkę do nosa.

Któregoś razu Whittington i mały Ducket wybrali się na daleką wycieczkę. Chcieli zobaczyć, skąd miasto czerpie wodę pitną.

Woda w Tamizie miała często słony smak, więc nie zawsze nadawała się do picia. Dawniej londyńczycy brali wodę z miejskich strumieni, Walbrook albo pobliskiego Fleet, jednak obecnie zagrażało to zdrowiu. Do Walbrook trafiały nie tylko odpady z warsztatów garbarskich, ale też nieczystości z coraz liczniejszych *garderobe* instalowanych w domach stojących nad strumieniem. A Fleet zamienił się w brudny ściek. W górnym biegu powstały garbarnie i to za ich sprawą rzeczka cuchnęła moczem i amoniakiem. Przy Seacoal Lane rozładowywano barki z węglem, przez co na wodzie osiadał czarny pył. A obok Newgate rzeźnicy wrzucali do strumienia zwierzęce wnętrzności i inne resztki. Gdy Fleet dopływał do młyna wodnego stojącego przy ujściu do Tamizy, wyglądał wprost obrzydliwie.

Dlatego na środku West Cheap stanął dziwny budynek przypominający miniaturową wieżę warowną. Z umieszczonych po bokach ołowianych rur płynęła nieustannie czysta woda, dostarczana niewielkim akweduktem. Wieża nosiła nazwę Great Conduit, „Wielki Wodociąg”. Pewnego niedzielnego popołudnia Whittington i Ducket podążyli aż do źródełka, z którego doprowadzano wodę i które leżało na zboczu tuż powyżej Westminsteru.

Chłopiec patrzył na to wszystko szeroko otwartymi oczami, ale jego idol ciągle na coś narzekał.

– Ohyda! – mówił, gdy trafiali na miejsca takie jak dziedziniec kościoła Świętego Wawrzyńca. – To trzeba uprzątnąć!

Albo o Great Conduit:

– Jeden wodociąg dla takiego dużego miasta? Przecież to za mało. Albo oni coś z tym zrobią, albo ja. – A gdy Ducket zapytał, jak zamierza tego dokonać, młodzieniec odpowiedział z całym spokojem: – Zostanę burmistrzem.

– A jak się zostaje burmistrzem? – zaciekawił się któregoś dnia chłopak.

Whittington wskazał niski budynek stojący na Cheap tuż poniżej miejsca, od którego zaczynała się kiedyś dzielnica żydowska.

– Wiesz, co to jest? – spytał.

Tam, gdzie dawniej mieszkała rodzina Tomasza Becketa, stała teraz piękna kaplica z dużą salą na pierwszym piętrze.

– Tu się spotyka cech kupców bławatnych – wyjaśnił Whittington. – Najpierw trzeba zostać członkiem cechu, potem starszym cechu, a na końcu wybierają cię na burmistrza. Najważniejsze to dostać się do gildii.

Ducket spojrzał na budynek, przekonany, że bycie kupcem bławatnym, takim jak Bull i Whittington, to najwspanialsza rzecz na świecie.

Gdy Geoffrey Ducket miał siedem lat, posłano go do szkoły przy kościele St Mary-le-Bow. Trochę się tego obawiał, ale już na początku spotkała go przyjemna niespodzianka. Wprawdzie dzieci uczyły się czytać i pisać po łacinie, ale lekcje odbywały się po angielsku.

Bull był tym wstrząśnięty. W rozmowie, której chłopiec nie słyszał, zwierzał się Whittingtonowi:

– Za moich czasów obowiązywała łacina i rózga. Do czego to doszło!

– We wszystkich szkołach zaczynają uczyć po angielsku, panie. – Młody dżentelmen się roześmiał. – Nawet na dworze mówią po angielsku.

Ale kupiec nie dał się przekonać.

– Dla podrzutka wystarczy – mruknął.

Bull miał córkę. Bujne, ciemne włosy, jasna cera, lekko wydłużony nosek, małe czerwone usta i szaroniebieskie oczy. Podczas chrztu ksiądz z wielką powagą nadał jej imię Teofania – tak brzmiała łacińska forma. Ale później nazywano ją już tylko prostym angielskim zdrobnieniem Tiffany. Bull ją uwielbiał.

Ducket zwrócił na nią uwagę, gdy skończyła pięć lat, a Whittington wyprowadził się z domu. W ciągu kolejnych lat dotrzymywał dziewczynce towarzystwa, pamiętając, jak dobrze traktował go Whittington, i chcąc odwdzięczyć się za to losowi. Poza tym sprawiało mu przyjemność, że ktoś patrzy na niego z podziwem i ufa mu we wszystkim. Rezygnował nawet z własnych rozrywek, piłki czy zapasów, żeby pobawić się z dziewczynką w chowanego albo – i to lubiła najbardziej – sadzał ją sobie na ramionach i biegał w tę i z powrotem po moście. Zabierał ją czasem na ryby, łapali wtedy pstrągi albo łososie, których w rzece było w bród.

London Bridge był miejscem, w którym młodzi mężczyźni mogli wykazać się brawurową wręcz odwagą. Pewnego dnia, gdy Ducket miał jedenaście lat, Whittington rzucił niedbale:

– Jeśli chcecie zobaczyć coś ciekawego, to obserwujcie jutro rano rzekę.

Nazajutrz Ducket stanął przy wielkim oknie na pierwszym piętrze, trzymając Tiffany za rękę. Dzień był pogodny, Tamiza migotała w promieniach słońca, ale dziesięć metrów niżej woda kłębiła się i z przerażającym rykiem spadała w przesmyk między kamiennymi filarami.

– Czy nic mu się nie stanie? – szepnęła Tiffany.

– Pewnie, że nie. – Chciał ją uspokoić, ale sam miał wątpliwości. Może nie powinienem był jej zabierać, pomyślał.

Do mostu zbliżała się długa łódź z trzema młodymi mężczyznami. Jednym z nich był Whittington – stał na rufie, sterując łodzią za pomocą

pojedynczego wiosła, jakby to była najprostsza rzecz na świecie. Dobry Boże, ależ on wspaniale wyglądał! Tuż przed mostem spojrzał w górę, uśmiechnął się i pomachał wesoło. Na szyi miał niebieską chustkę. A potem spokojnie ustawił dziób łodzi na środku łuku i ruszył.

Dopiero teraz Ducket zorientował się, że za ich plecami stał Bull. Miał surową minę.

– Szczeniacka głupota – mruknął, ale Ducket dosłyszał uznanie w jego głosie. – Chodźcie, zobaczymy, czy udało mu się przeżyć – dorzucił, gdy łódź zniknęła pod mostem.

Przeszli przez ulicę na drugą stronę.

Whittington zdążył już odpłynąć dość daleko, prawie na wysokość Billingsgate. Zdjął z szyi chustkę i powiewał nią triumfalnie nad głową. Tiffany patrzyła szeroko otwartymi oczami. Odwróciła się do Ducketa.

– Też byś to zrobił?

Roześmiał się.

– Raczej nie.

– A zrobiłbyś to dla mnie? – nalegała.

Dał jej całusa.

– Dla ciebie tak – powiedział.

Gdy Ducket skończył dwanaście lat, Bull wezwał go do dużej izby na pierwszym piętrze.

– Niedługo będziesz mógł pójść do terminu – powiedział z uśmiechem. – Zastanów się, co chciałbyś robić. Masz wolny wybór.

Chłopak czekał na tę wielką chwilę od wielu lat.

– Ja już to wiem! – zawołał. – Chcę być kupcem bławatnym. – Tak jak Whittington. I jak Bull. Patrzył ufnie na Bulla i dopiero po dłuższej chwili zauważył, że uśmiech zniknął z jego twarzy.

Gilbert Bull był inteligentnym człowiekiem. Przez moment wydawało mu się, że chłopiec jest bezczelny, ale zaraz zrozumiał: on po prostu niczego nie rozumie. Jak mu to powiedzieć? Uznał, że lepiej nie zostawiać mu złudnej nadziei.

– To niemożliwe – powiedział. – Do naszej gildii mogą należeć tylko ludzie majętni. Gdybyś nazywał się Whittington albo… – Miał już powiedzieć „Bull”, ale ugryzł się w język. Wprawdzie nawet w elitarnej gildii kupców bławatnych zdarzali się biedni uczniowie, ale nie chciał tam wprowadzać swojego podrzutka. – A ty nie masz pieniędzy – powiedział beznamiętnie. – Musisz nauczyć się jakiegoś fachu.

Odesłał chłopca, każąc mu przemyśleć sprawę.

Ducket szybko otrząsnął się z przygnębienia. Już po kilku dniach chodził po mieście, zaglądając do różnych warsztatów, jak zawsze wesoły i jak zawsze wszystkiego ciekawy.

– Rzeczywiście, jest z czego wybierać – mruczał pod nosem.

Rękawicznicy robili rękawiczki. Siodlarze – siodła, rymarze – uprzęże. Bednarze wyrabiali beczki, łucznicy – łuki. Kuśnierze zajmowali się futrami. Garbarze wyprawiali skóry – ale smród z garbarni zniechęcił go do tego fachu. No i byli też sklepikarze – piekarze, mleczarze, sprzedawcy ryb, sprzedawcy warzyw. Właściwie każdy zawód mu się podobał.

Ostateczna podpowiedź przyszła z niespodziewanej strony.

Ducket zdawał sobie sprawę, że Chaucer, przyjaciel Bulla, jest jego ojcem chrzestnym, ale rzadko o nim myślał. Pewnie dlatego, że prawie go nie widywał. Słyszał jednak, jak Gilbert od czasu do czasu wspomina o jego awansach. Syn kupca zajmującego się handlem winem zaczynał jako zwykły paź, a potem przechodził przez kolejne stopnie dworskiej kariery, dając się poznać jako człowiek przydatny i sympatyczny. To ostatnie przychodziło mu łatwo, miał bowiem pogodne usposobienie.

– On nigdy nie wpada w złość – zauważył pewnego dnia Bull.

– Ale kiedyś przewrócił mnicha – przypomniała mu żona.

– E tam, wszyscy studenci robią takie psoty – odpowiedział.

Chaucer wziął udział w kilku wyprawach wojennych, a raz trzeba go było wykupić z niewoli. Poznał prawo na tyle dobrze, że nadawał się na każde oficjalne stanowisko. I miał też szczególny talent: żeby sprawić przyjemność jakiejś damie albo uświetnić ważną uroczystość, składał po francusku zgrabny wiersz. Ostatnio zaczął również tłumaczyć poezję na sfrancuziałą wersję angielskiego, którą posługiwano się na dworze – próba była śmiała, ale uznano ją za uroczą. Dołączono go do misji dyplomatycznej, żeby wzbogacił swoje doświadczenie. A niedawno spotkało go kolejne duże wyróżnienie.

Na wielkim eleganckim dworze Edwarda III młode arystokratki wydawano często za obiecujących dworzan z klas średnich. Chaucer, lubiany przez wszystkich syn kupca, miał się ożenić z córką flamandzkiego rycerza.

– Ależ on ma piekielne szczęście! – zawołał Bull z radością.

Owo szczęście polegało na tym, że siostra jego żony, Katherine Swynford, była uznaną kochanką samego Jana z Gandawy, najmłodszego syna króla.

Wielu młodzieńców z królewskich rodów zapuszczało modne długie, opadające wąsy. Jan z Gandawy był niższy i tęższy od swojego brata Czarnego Księcia, ale mimo to robił wrażenie, a z pewnością był tak samo inteligentny. Pierwsze małżeństwo dało mu ogromne włości księstwa Lancaster, a drugie, z hiszpańską księżniczką, pozwoliło mu rościć sobie prawa do tronu kastylijskiego. Lecz jego największą miłością, której oddał się jak prawdziwy mąż, była Katherine. Można więc powiedzieć, że Geoffrey Chaucer wżenił się do królewskiego rodu Plantagenetów.

Jan z Gandawy miał swoją siedzibę w pałacu Savoy niedaleko Aldwych. Pewnego letniego dnia Ducket i mała Tiffany przechodzili tamtędy, dyskutując o wyższości rzeźnictwa nad wytwórstwem łuków. Nagle wyrósł przy nich mężczyzna z kozią bródką, który zobaczywszy u chłopca białe pasmo włosów, zagadnął z uśmiechem:

– Jak się miewa mój chrzestny syn?

Ducket opowiedział mu o swoich rozterkach, a on oznajmił niemal bez wahania:

– Chyba będę coś dla ciebie miał.

Tydzień później wszystko było już załatwione. Ducket przygotowywał się do przeprowadzki z domu na London Bridge do siedziby swojego nowego pana. Wyruszał wesoło w letni poranek, zaopatrzony przez żonę Bulla w zapasowe rajtuzy i dwie nowe lniane koszule. Nie odjeżdżał wprawdzie daleko, zaledwie półtora kilometra od mostu, ale i tak żegnał się z rodziną. Mała Tiffany stała przy drzwiach.

– Będziesz do mnie przyjeżdżał co tydzień? – spytała. Obiecał, że tak. – A będziesz za mną tęsknił? Co dzień?

– Jakżeby inaczej.

Potem długo jeszcze patrzyła na jego oddalającą się postać.

Geoffrey Chaucer się uśmiechnął.

– Twój nowy pan to dobry człowiek – powiedział do chłopca. – Ale ma dość niezwykły dom.

Nic więcej nie chciał zdradzić.

Rok 1376

Był wiosenny deszczowy poranek. Pani Barnikel, widząc swoją jedenastoletnią córkę na małżeńskim łożu, przygotowywała się do kłótni.

Nie było to zwykłe łoże, ale najcenniejszy mebel w całym domu. Wielkie łoże z baldachimem. Dębowe. Sypiała na nim po kolei ze swoimi dwoma mężami. W gospodach Southwark obstawiano pięć do dwóch, że w ciągu siedmiu lat pojawi się trzeci. Pierwszy, jak mawiano, zmarł z wyczerpania. Łoże miało gruby materac wypełniony puchem. U jego stóp stał duży drewniany kufer z żelaznymi okuciami, w którym przechowywano pościel. Kiedy pani Barnikel przysiadała na nim, żeby domknąć wieko, w środku robiło się tak ciasno, że nieszczęsne pchły, które nie zdążyły na czas wyskoczyć, zdychały z braku powietrza.

Przyglądała się przez dłuższą chwilę dziewczynce kulącej się pod jej spojrzeniem.

– Blada jesteś – powiedziała ponuro. Umilkła, szukając odpowiednich słów. – Wyglądasz – ryknęła nagle – jakby cię trzymali pod garnkiem!

Ale nie to było jej prawdziwym zmartwieniem. Czemu szybko dała wyraz.

– Ten twój chłopak, ten stolarz, on się do niczego nie nadaje. – Spojrzała twardo na dziewczynkę. – Lepiej o nim zapomnij – mruknęła czule. – Od razu zrobi ci się lepiej.

Patrząc na dziewczynkę, pani Barnikel westchnęła bezgłośnie. Ależ ta Amy jest podobna do swojego ojca. Może trochę mocniej zbudowana, ale miała taką samą szczupłą, zapadłą twarz i była tak samo małomówna.

John Fleming i pani Barnikel nie wyglądali jak małżeńska para. I wielu ludzi nie przypuszczało, że ten mężczyzna z podobną do łyżki twarzą i wiotką posturą długo z nią wytrzyma. Dlaczego postanowiła wyjść za niepozornego sklepikarza zaledwie po roku wdowieństwa – to było chyba największą zagadką w uporządkowanym i przewidywalnym świecie drobnych rzemieślników.

W wieku trzydziestu lat pani Barnikel wciąż była atrakcyjną kobietą. O pół głowy wyższa do Fleminga, związywała swoje ciemnorude włosy z tyłu jak Amazonka. I nawet Bull, który miał cięty język, musiał przyznać, że urody jej nie brakuje. I bynajmniej nie była cicha. Jej głos niósł się po całej ulicy albo ochrypłym jękiem zdradzał intymne tajemnice. Raz w miesiącu upijała się, a gdy ktoś stanął jej wtedy na drodze, potrafiła ryknąć jak wiking na polu bitwy. A przede wszystkim uwielbiała ubierać się w barwne szaty.

Czasem sprowadzało to na nią kłopoty. Od czasów panowania Edwarda I obowiązywały liczne zasady dotyczące strojów. Wszyscy to akceptowali. Na przykład kolor czerwony należał się tylko rajcom i każdy kupiec uważał noszenie takich szat za zuchwałość. Podobnie żona kupca nigdy nie pokazałaby się w wymyślnej fryzurze ani nie włożyła powłóczystej jedwabnej sukni jak dama dworu. Zasady te naruszały czasem jedynie najbardziej modne zakonnice, które zimą chętnie zapominały o ślubach ubóstwa i wykańczały swoje habity kosztownymi futrami. Ale pani Barnikel nic sobie z tych przepisów nie robiła. Jeśli jakaś fryzura, jakiś kolorowy jedwab albo drogie futro wpadły jej w oko, nie odmawiała go sobie. Gdy strażnik miejski przychodził ze skargą do Fleminga, ten wzruszał jedynie ramionami, mówiąc: „Sam jej to powiedz”. A wtedy strażnik odchodził jak niepyszny.

Jej córka zainteresowała się Benem Carpenterem w ubiegłym roku. Dziewczyna była jeszcze młoda, a Carpenter nie ukończył terminu, ale pani Barnikel wolała nie ryzykować. Wiele dziewcząt wychodziło za mąż w wieku trzynastu lat, a zaręczyny, nawet wśród prostych ludzi, zdarzały się dużo wcześniej. Musiała to natychmiast ukrócić.

– On jest do niczego – oświadczyła stanowczo.

– Ale to mój krewny – zaprotestowała dziewczynka. Co w zasadzie było prawdą. Jeden z wnuków malarza siodeł, którego córka osiemdziesiąt lat wcześniej uratowała od śmierci młodego Fleminga, został stolarzem i wziął sobie nazwisko od swojego fachu [17]. Powstały w ten sposób dwie gałęzie rodu, malarzy i cieśli, obie daleko spokrewnione z Amy. Słysząc to, pani Barnikel jedynie parsknęła.

– Tacie on się podoba – nie dała za wygraną dziewczynka.

Na tym polegał problem. Z jakiegoś powodu Fleming zapałał sympatią do poważnego rzemieślnika. Gdyby nie to, pani Barnikel odesłałaby młodzieńca z kwitkiem. Postawiła sobie jednak za punkt honoru szanowanie zdania męża w kwestiach dotyczących córki.

– On ci się podoba tylko dlatego, że jest pierwszym chłopcem, który zwrócił na ciebie uwagę – tłumaczyła. – To wszystko.

Często nie potrafiła zrozumieć córki. Sama wywodziła się z Barnikelów z Billingsgate. W wieku trzynastu lat poślubiła właściciela gospody. Wkrótce owdowiała, a jako szesnastolatka wyszła za mąż za Fleminga. Miała taką siłę charakteru, że nikt nie nazywał jej inaczej jak Barnikel. I nawet rajcy dodawali tytuł „pani”, jakby była żoną miejskiego dostojnika. „Gdybym tego nie zrobił, obcięłaby mi głowę!”, śmiał się Bull.

Po pierwszym mężu odziedziczyła gospodę „U George’a” w Southwark, którą od piętnastu lat sama prowadziła. Należała do cechu piwowarów.

W ówczesnym Londynie takie rzeczy nie były rzadkością. Wdowy często przejmowały rodzinne interesy, niejeden szynk przy którejś z bocznych uliczek prowadziła kobieta. Kobiety przyjmowano do niektórych cechów, pozwalano im terminować w zawodach wymagających tkania albo szycia. Gdy wdowa wychodziła za mąż za rzemieślnika innej profesji, zazwyczaj rezygnowała ze swojego fachu. Ale pani Barnikel

oświadczyła, że rezygnować nie zamierza, czemu żaden z piwowarów nie ośmielił się sprzeciwić.

Amy nie interesowała się prowadzeniem gospody, wolała pomagać w domu. Gdy matka wspominała o wyborze jakiegoś zawodu, kręciła głową, mówiąc: „Chciałabym wyjść za mąż”. Kiedy pani Barnikel widywała Carpentera z jego pałąkowatymi nogami, okrągłą twarzą, poważnymi oczami i głową nieproporcjonalnie dużą do reszty ciała, mruczała pod nosem: „Boże, ależ on jest nijaki”. Domyślała się, że właśnie dlatego Amy zwróciła na niego uwagę.

– Już lepszy jest ten młody Ducket – powiedziała. Spodobał jej się mężowski uczeń. Może nie miał najlepszego wyglądu, do tego był podrzutkiem, ale podziwiała jego pogodny charakter. Dziewczyna też go lubiła, lecz jak dotąd nie dała sobie wybić z głowy smutnego stolarza. – A z Carpenterem jest dużo większy problem – dorzuciła.

– Nie rozumiem?

– Dziewczyno, opamiętaj się! Przecież on jest pomylony. Ma coś z głową. Wystawisz się na pośmiewisko.

Słysząc to, Amy zalała się łzami i wybiegła z pokoju. Pani Barnikel zwątpiła, czy powinna była mówić takie rzeczy.

Osiemnastoletni James Bull był chlubą swojej rodziny. Wysoki, krzepki, jasnowłosy, o mocno zarysowanej szczęce – jego sascy przodkowie natychmiast rozpoznaliby w nim swojego człowieka. Spojrzenie jego błękitnych oczu mówiło, że we wszystkim, co robi, jest bezwzględnie uczciwy. Nie tylko nigdy nie złamał obietnicy, ale nawet nie przyszło mu to do głowy. Słowem, które najlepiej oddawało jego charakter, było „prostolinijny”.

Jego rodzina miała sklep żelazny, ale to on prowadził cały interes. Rodzice polegali na nim całkowicie, rodzeństwo podziwiało go i choć od

trzech pokoleń sklep zapewniał jedynie skromne utrzymanie, wszyscy święcie wierzyli, że James dokona czegoś większego. „Każdy ma do niego zaufanie”, mawiała matka z uzasadnioną dumą.

Lecz nawet rodzice z niepokojem myśleli o jego zamiarze złożenia wizyty Gilbertowi Bullowi. Minęło ponad osiemdziesiąt lat od ostatniego spotkania kupców żelaznych z bogatymi Bullami z Bocton. Należało się liczyć z kolejnym upokorzeniem. Plan Jamesa, który miał odmienić los rodziny, zachwycił jego rodzeństwo, ale ojciec, człowiek spokojny i dobrze ułożony, miał obawy.

Jednak James nie tracił rezonu.

– Jeśli się przekona, że jestem uczciwy, nie będzie się sprzeciwiał – tłumaczył.

I tak oto pewnego wiosennego poranka James wyruszył na London Bridge.

Gilbert Bull wracał do domu z Westminsteru. Było mu ciężko na duszy.

Długie panowanie Edwarda III zbliżało się do końca, ale niestety nie był to koniec godny. Co się stało z zeszłorocznymi zwycięstwami? Poszły na zmarnowanie. Francuzi odzyskali niemal wszystkie terytoria zdobyte przez Czarnego Księcia. Ostatnia wyprawa francuska okazała się kosztowną stratą czasu, Czarny Książę zachorował w jej trakcie, a latem zmarł w Anglii jako bankrut. Natomiast król, w głupim zauroczeniu, wziął sobie młodą kochankę, Alice Perrers, która w sposób typowy dla kobiet jej pokroju wtrącała się do pracy sędziów, czym doprowadzała ich do wściekłości, oraz wydawała pieniądze z podatków na własne zachcianki, co nie podobało się kupcom.

Ale głównym powodem przygnębienia Bulla był parlament, który właśnie zakończył obrady.

Zwyczaj zwoływania parlamentów, sprytnie wykorzystywany przez Edwarda I, za długiego panowania jego wnuka Edwarda III zamienił się w stały element życia politycznego. Utarło się, że te wielkie zgromadzenia dzielono na trzy części. Duchowieństwo miało swoją konwencję, król i rozszerzona rada baronów, zwana właściwym parlamentem, obradowali zazwyczaj w tak zwanej „malowanej sali" Pałacu Westminsterskiego, a posłowie z poszczególnych hrabstw i mieszczanie, zwani nieco protekcjonalnie Izbą Gmin, gromadzili się w ośmiokątnym kapitularzu opactwa westminsterskiego, gdzie czekali na wezwanie izby wyższej.

Izba Gmin też uległa pewnym zmianom. W poprzednim stuleciu przedstawicieli miast powoływano z rzadka, w zależności od potrzeb. Teraz jednak stali się pełnoprawnymi członkami zgromadzenia. Co najmniej dwadzieścia pięć gmin miejskich przysyłało swoich przedstawicieli, którzy czasem przewyższali liczebnie szlachtę. Londyn miał czterech posłów, Southwark dwóch. W ostatnich latach wprowadzono kolejną nowość. Wyjazdy posłów do Westminsteru były kosztowne, bo obrady ciągnęły się niekiedy tygodniami, więc niektóre miasta wyznaczały londyńskich kupców na swoich reprezentantów. „W końcu oni też są kupcami – mówili nie bez racji. – Wiedzą, co leży w naszym interesie". I tak oto posłami wielu miast zostawali nie zalęknieni prowincjusze, lecz londyńczycy. Bogaci, z rozległymi koneksjami wśród szlachty, mający za sobą długą tradycję londyńskiej niezależności. Tacy jak Gilbert Bull. Tego roku reprezentował miasto z West Country.

Nie był jednak zadowolony, że się tego podjął. Wprawdzie historycy nazwali parlament z 1376 roku Dobrym Parlamentem, ale patrzeli na to z innej perspektywy. Dla tych, którzy brali udział w obradach, było to smutne wydarzenie.

Wszyscy mieli powody do złości. Państwo przegrało wojnę i potrzebowało pieniędzy; Kościół, posiadający jedną trzecią angielskich ziem, czuł presję chciwego papieża domagającego się kolejnych danin.

Jeszcze przed przemówieniem kanclerza Bull zorientował się, że sesja będzie trudna. Zazwyczaj tylko kilku posłów składało prośby o rekompensaty albo wnosiło skargi, jednak w tym roku niemal każdy miał ze sobą gruby zwój pergaminu. Panowała atmosfera nerwowego wyczekiwania. Członkowie Izby Gmin zasiedli do obrad w kapitularzu, tłocząc się pod ścianami, a potem złożyli przyrzeczenie: „Nasze rozmowy pozostaną poufne, żeby wszyscy mogli swobodnie powiedzieć, co im leży na sercu”. Mimo to Bull zdziwił się niepomiernie, gdy pewien pośledni szlachcic z prowincji podszedł do mównicy i spokojnie oświadczył: „Panowie, pieniądze, na które zgodziliśmy się w zeszłym roku, zostały roztrwonione. Dlatego uważam, że dopóki nie otrzymamy rzetelnego rozliczenia, nie powinniśmy zapłacić ani pensa więcej”.

Schorowany król, częściowo sparaliżowany po udarze, nie pojawił się w sali obrad. W jego zastępstwie przedstawicieli Izby Gmin przyjął następnego dnia Jan z Gandawy. Zazwyczaj przed królem i baronami stawało pokornie dwóch lub trzech posłów, ale tym razem nie dość że Izba wybrała swojego przewodniczącego, to jeszcze stanęła za nim w całości jak potężny, groźny zastęp. To nie wszystko. Przewodniczący, zwracając się do Jana po francusku, jak wymagały tego okoliczności, spokojnie oświadczył, że Izba Gmin nie jest zadowolona ze sposobu wydawania państwowych funduszy. „Mówiąc krótko, panie, niektórzy przyjaciele i ministrowie króla sprzeniewierzyli pieniądze. Dlatego domagamy się, żeby się z nich rozliczyli”. Dopóki to się nie stanie, mówił dalej przewodniczący, Izba Gmin nie będzie rozmawiać o przyznaniu królowi jakichkolwiek pieniędzy. To nie była prośba. To było postanowienie. Zuchwałość nie do pomyślenia.

Ale król był słaby i Izba Gmin mogła triumfować.

Pat trwał już dwa tygodnie. Izba Gmin oskarżyła ministrów, a ci zostali uznani za winnych i pozbawieni stanowisk. Doprowadziła nawet do tego – i to była największa zuchwałość – że kochankę starego króla, która niewątpliwie zdążyła się wzbogacić, usunięto z dworu. Stawianie oskarżeń przez Izbę Gmin szybko znalazło francuską nazwę – *ampeschement*, co oznaczało wstyd. Stąd powstało angielskie słowo *impeachment*.

Był to kolejny krok milowy w kształtowaniu się ustroju Anglii. Tak jak kiedyś Londyn zapewnił sobie własnego burmistrza, a baronowie Kartę Praw, tak teraz Izba Gmin narzuciła swojego przewodniczącego i wprowadziła zasadę impeachmentu. Początek długiej drogi do nowoczesnej demokracji był wybrukowany nie ideami, lecz oportunizmem i kolejnymi buntami w sprawie podatków.

Jednak wracając do domu ostatniego dnia obrad Dobrego Parlamentu, Bull czuł przygnębienie. Widok starego króla atakowanego przez posłów Izby Gmin przypomniał mu o jego własnej śmiertelności. Poza tym nie podobała mu się panująca w parlamencie atmosfera, bo naruszała ustalony porządek wszechświata. Nie był więc w dobrym nastroju, gdy w domu zastał Jamesa Bulla.

James od razu przystąpił do rzeczy.

– A więc chcesz powiedzieć – odparł bogaty kupiec – że gdy ożenisz się z moją jedyną córką, a ja umrę, to mój majątek pozostanie w rodzinie? Bo chyba nazywasz się Bull, prawda?

Prostolinijny młodzieniec skinął głową.

– Uznałem, panie, że to dobry pomysł.

– A gdybym miał jeszcze syna? Chyba że twoim zdaniem jest to mało prawdopodobne.

James spojrzał na niego lekko zmieszany.

– To się już chyba nie zdarzy, panie – odpowiedział.

Po narodzinach Tiffany Bull jeszcze trzy razy miał nadzieję na męskiego potomka. Ale jego żona, która często niedomagała, za każdym razem poroniła. Jednak w głębi duszy nie pożegnał się z nadzieją na syna, bo, przynajmniej w teorii, nie było jeszcze za późno. Spojrzał na młodego człowieka z niechęcią i na długą chwilę umilkł. Zapatrzył się na Tamizę.

– Jestem wdzięczny, że wziąłeś moją osobę pod uwagę – powiedział w końcu. – Jeśli będę cię potrzebował, poślę po ciebie. A teraz do widzenia.

Gdy James Bull wrócił do domu, otoczyła go rodzina, dopytując niecierpliwie, jak przebiegła rozmowa.

– Nie jestem pewien. Ale chyba nieźle – powiedział, wciąż nieco zdezorientowany.

Geoffrey Ducket polubił zarówno swojego mistrza Johna Fleminga, jak i pracę na straganie z artykułami spożywczymi. Chaucer namówił Bulla, żeby po ukończeniu terminu wypłacił chłopcu niewielką sumę.

– A wtedy – tłumaczył potem Chaucer Ducketowi – albo Fleming przekaże ci interes, albo zaczniesz coś na własną rękę.

Niedawno stara kompania kupców korzennych, którzy zajmowali się handlem przyprawami, połączyła się z grupą kupców sprzedających hurtowo artykuły spożywcze. Powstała w ten sposób nowa gildia spożywców była duża i potężna. Wraz ze sprzedawcami ryb rywalizowała z kupcami bławatnymi i sukiennikami o najwyższe stanowiska w mieście. John Fleming zaliczał się do jej najskromniejszych członków.

Miał niewielki kram na West Cheap, ale towary trzymał w małym składziku na tyłach gospody „U George’a”. Każdego ranka on i Ducket wyruszali z Southwark, pchając jaskrawo pomalowany wózek przez London Bridge. Wracali, gdy dzwon z kościoła Mary-le-Bow oznajmiał

koniec handlu. Ducket chował skromny zarobek do małej skrytki umieszczonej pod podłogą w składziku.

Jakże lubił to pomieszczenie! Mógł się po nim poruszać z zamkniętymi oczami, otwierał różne worki i skrzynki, i po zapachu rozpoznawał ich zawartość. Był tu szafran, goździki, szałwia, rozmaryn, czosnek i tymianek. Były orzechy laskowe i włoskie, a jesienią kasztany, była sól przywożona ze wschodniego wybrzeża i suszone owoce z Kentu. No i oczywiście małe woreczki z niezwykle cennym czarnym pieprzem.

– Przywożą go aż z Orientu przez Wenecję – mawiał Fleming. – To złoto naszego fachu, zapamiętaj sobie Geoffreyu Duckecie. Najczystsze złoto. – Po czym spoglądał gdzieś niewidzącym wzrokiem.

Był bardzo skrupulatny. Ważył wszystko z największą starannością na małej wadze, którą ustawiał na straganie.

– Jeszcze nigdy nie pozwano mnie do sądu targowego. – Miał na myśli niewielki trybunał, który zajmował się skargami na sprzedawców i kupujących. Fleming nikogo nie oszukał na wadze, nawet na jednego goździka.

Pewnego dnia, niedługo po tym, jak Ducketa przyjęto do terminu, na targu przyłapano sprzedawcę wystawiającego nieświeże ryby. Geoffrey widział, jak nieszczęśnika poprowadzono przez całe West Cheap. Dwóch strażników niosło za nim kosz z rybami. Na końcu ulicy Drobiowej, naprzeciwko Cornhill, stały drewniane dyby. Zakuto w nie sprzedawcę, a śmierdzące ryby spalono mu pod nosem. Wypuszczono go dopiero po godzinie.

– E, to nie takie straszne – stwierdził Ducket.

Ale Fleming spojrzał na niego z wielką powagą i pokręcił głową.

– Pomyśl tylko, jaki to wstyd. Ja bym czegoś podobnego nie przeżył.

Niedługo potem Ducket zauważył jeszcze jedną dziwną cechę swojego mistrza. Fleming nie miał żadnych książek, pewnie zresztą nie dałby sobie rady z francuskim czy łaciną – bo tylko w tych językach je pisano – ale wiedza go fascynowała i chętnie wdawał się w rozmowę z każdym, kto ją posiadł.

– Czas spędzony z wykształconym człowiekiem nigdy nie jest czasem straconym – mawiał z przekonaniem. A gdy padała wzmianka o chrzestnym ojcu Ducketa, Chaucerze, stwierdzał: – Oto człowiek wybitny. Powinieneś go jak najczęściej odwiedzać.

Gospoda „U George'a" była jedną z kilkunastu karczem stojących przy głównej ulicy Southwark zwanej Borough. I choć do biskupich domów publicznych na Bankside było niedaleko, to wszystkie gospody były szanowanymi przybytkami mającymi stałych klientów. Zaglądali tu też podróżni przyjeżdżający do Londynu w interesach oraz pielgrzymi zmierzający starą drogą do Rochester i Canterbury. Za gospodą znajdował się mały browar. Nad głównym wejściem, zgodnie z ówczesnym zwyczajem, wisiała mocna tyczka, a na niej mała lisia kita. Wewnątrz mieściła się duża sala, w której biedniejsi podróżni mogli zostawać na noc. Bogatsi spali w izbach rozmieszczonych na trzech piętrach wokół małego podwórka. Wieczorami w gospodzie było zawsze tłoczno.

„U George'a" rządziła pani Barnikel. Rano widywano ją często, jak wychodzi z małego browaru, gdzie – jak większość karczmarzy – warzyła własne piwo. Wieczorami siadywała za kontuarem, przy którym podawano napitki. Pod blatem, w zasięgu ręki, miała ciężką dębową pałkę na wypadek, gdyby któryś z gości chciał wszcząć awanturę. Przed nią stał wielki stary kufel w kształcie człowieka w szatach rajcy. Pani Barnikel odgrywała rolę mistrzyni ceremonii, a Amy pomagała obsługiwać gości. Flemingowi nie wolno było nic robić.

– On ma swoją pracę, a ja mam swoją – mawiała pani Barnikel.

Lecz największą przyjemność sprawiało jej warzenie piwa. Czasem pozwalała Ducketowi popatrzeć. Mieliła kupiony na nabrzeżu słód – „To wysuszony jęczmień”, tłumaczyła chłopakowi – a potem wrzucała go do wielkiej kadzi, którą dopełniała wodą nalewaną z miedzianego czajnika. Gdy napar wykiełkował, chłodzono go w korytach, po czym przelewano do innej kadzi.

Gdy pani Barnikel podchodziła z wiaderkiem drożdży, zaczynał się prawdziwy cud. Drożdże wywoływały fermentację, w wyniku której powstawała piana i – to właśnie było cudem – jeszcze więcej drożdży.

– Jak piwo się uwarzy, sprzedajemy drożdże piekarzom – mówiła pani Barnikel. A potem, pomrukując z zadowolenia, wdychała gęsty, mocny aromat i dokładała więcej drożdży. – Manna z nieba – wzdychała. – Bóg jest łaskawy.

Mocne jęczmienne piwo pani Barnikel było znane w całej okolicy.

Ducket polubił też małomówną Amy, ale przez pierwsze dwa lata nie spędzali ze sobą dużo czasu. W końcu on był tylko prostym terminatorem, a ona nieśmiałą jedenastolatką. Gdy jednak w jej życiu pojawił się Carpenter, nabrała nieco pewności siebie, a ich znajomość przerodziła się w luźną przyjaźń. Czasem wybierali się we trójkę do Clapham albo Battersea, a w ciepłe letnie popołudnia chodzili kąpać się w rzece. Niedawno Geoffrey doszedł do wniosku, że Amy jest nawet całkiem ładna, lecz więcej nie zaprzątał tym sobie głowy.

Pewnego dnia, niedługo po zakończeniu obrad parlamentu, wybrali się na wycieczkę do Finsbury Fields. Był to kawałek osuszonego terenu tuż za północnymi murami miasta, gdzie londyńczycy ćwiczyli się w łucznictwie.

W owych czasach widywano już prymitywną broń palną, ale podstawowym uzbrojeniem Anglików wciąż były łuki z najlepszego

angielskiego cisu, które siały spustoszenie pod Crécy i Poitiers. Londyńczycy wystawiali wspaniały oddział łuczników. Carpenter chciał kiedyś zostać jego członkiem. Ducket przyglądał się z ciekawością, jak młody stolarz przyjmuje odpowiednią postawę – łuk w dłoni, ramię wyciągnięte, plecy proste – czekając niecierpliwie na wypuszczenie pierwszej strzały.

Ale nic się nie działo. Niski młodzieniec stał nieruchomo.

– Kiedy w końcu strzelisz? – spytał Ducket.

– Później. – A widząc niepewną minę Ducketa, dodał po dłuższej chwili: – Pociągnij mnie za rękę.

Ducket wzruszył ramionami i wykonał polecenie. Ku jego zdziwieniu ramię Carpentera się nie poruszyło. Szarpnął jeszcze raz. I znów nic. Ducket był całkiem silny, ale nie udało mu się zmienić postawy łucznika.

– Jak ty to robisz? – spytał.

– To kwestia ćwiczeń – odpowiedział Carpenter. – I cierpliwości. – A gdy Ducket zapytał, jak długo może tak stać, odparł: – Nawet godzinę.

– Teraz ty spróbuj – zaproponowała Amy.

Po dwóch minutach Ducket zaczął kręcić się niespokojnie, a w końcu miał dość.

– Dłużej nie wytrzymam – stęknął.

Carpenter nadal stał nieruchomo. Amy patrzyła na niego z uwielbieniem.

Gdy wrócili do domu, pani Barnikel, z rękami założonymi na piersi, czekała niecierpliwie na Ducketa.

– Muszę z tobą porozmawiać – oznajmiła. Wbiła w niego złowrogie spojrzenie. – Jak myślisz, jak taki młody człowiek jak ty może się w życiu urządzić?

– Ciężką pracą – odpowiedział, ale spotkało się to z pogardliwym parsknięciem.

– Powinieneś w końcu dorosnąć. Należy ożenić się z córką swojego pana. Łóżko! – ryknęła. – Tam się wszystko załatwia. Połóż się do bogatego łóżka, a będziesz urządzony na całe życie.

Ducket wciąż nie rozumiał, o co jej chodzi, dopiero kolejne słowa rozwiały wszelkie wątpliwości.

– Myślisz, że zostawię to wszystko – wskazała ręką na gospodę – temu przygłupkowi Carpenterowi? On ma się ożenić z moją córką?

– On jej się chyba podoba – bąknął.

– Nie szkodzi. Zajmij się tym – rozkazała. – Odbij mu dziewczynę. Nie przyjmuj żadnej odmowy, jeśli wiesz, co jest dla ciebie dobre.

Odeszła energicznym krokiem, a Ducket stał z niepewną miną, nie wiedząc, co powinien teraz zrobić.

Bull mógł sobie pogratulować jednego: wychowania córki. Ze swoimi puszystymi włosami i jasnymi oczami Tiffany była tak uroczym stworzeniem, że prawie wynagradzała mu brak syna.

Tiffany miała jedenaście lat, gdy oznajmiono jej, że najwyższy czas zastanowić się nad wyborem męża. Stało się to w urodziny jej ojca, w pogodne czerwcowe popołudnie. Tego dnia po raz pierwszy włożyła dorosły strój.

Matka, ostatnio wyglądająca na zmęczoną, poweselała, bo mogła uroczyście ubrać córkę. Najpierw wsunęła jej przez głowę jedwabną suknię spodnią z obcisłymi rękawami zapinanymi od łokcia do nadgarstka na obciągnięte jedwabiem guziczki. Na wierzch włożyła sięgającą do ziemi suknię haftowaną w granatowo-złoty wzór. A potem, nie zważając na protesty Tiffany, rozdzieliła jej włosy przedziałkiem na środku głowy, ściągnęła mocno i zaplotła w dwa warkocze, które upięła szpilkami wokół uszu.

– Teraz wyglądasz jak młoda niewiasta – powiedziała z dumą.

Efekt był prosty, ale urzekający. I choć Tiffany nie miała jeszcze biustu i była raczej niska, na widok swojego odbicia w srebrnym lusterku matki uśmiechnęła się z zadowoleniem. Wierzchnia suknia miała na biodrach rozcięcia. Gdy wsunęła dłonie pomiędzy warstwy miękkiego jedwabiu, poczuła się rozkosznie kobieco.

W domu zebrali się liczni goście. Kilku wpływowych kupców bławatnych. Whittington. Na wyraźną prośbę Tiffany zaproszono również Ducketa, który zjawił się schludnie ubrany w czystą lnianą koszulę. Chaucer nie mógł przyjść, bo zatrzymały go ważne sprawy na królewskim dworze, ale wpadł rankiem i przyniósł prezent, który sprawił Bullowi wielką przyjemność.

Była też para, której Tiffany nigdy wcześniej nie widziała: młody mężczyzna i zakonnica. Jak się okazało, siostra miała na imię Olive i żyła w klasztorze Świętej Heleny, niewielkim, ale modnym ostatnimi czasy przybytku, który mieścił się przy północnych murach miasta i w którym bogate rodziny umieszczały swoje niezamężne córki. Olive miała jasną cerę, długi nos i skromnie spuszczone oczy. Przyszła w towarzystwie kuzyna, bladego, poważnego mężczyzny z długim nosem. Nazywał się Benedict Silversleeves. Podobno oboje byli dalekimi krewnymi jej matki. Od pierwszej chwili przyciągnęli uwagę dziewczynki.

Początkowo Tiffany czuła się nieco onieśmielona, ale szybko się odprężyła. Whittington poświęcał jej dużo uwagi, a Ducket patrzył na nią ze szczerym zachwytem, co sprawiło jej dużą przyjemność. Kupcy i ich żony podchodzili, żeby z nią porozmawiać. Pochlebiło jej, gdy siostra Olive uniosła brwi i złożywszy usta w skromny uśmiech, oznajmiła, że suknia jest bardzo odpowiednia.

– Powinnaś porozmawiać z moim kuzynem Benedictem – zasugerowała.

Zanim dziewczynka zdążyła się zorientować, zakonnica poprowadziła ją przez całą izbę. Tiffany zaczerwieniła się, bo nigdy nie rozmawiała z nieznajomym mężczyzną, czując się jak młoda kobieta. Benedict wyglądał na ważną osobistość, co jeszcze bardziej ją speszyło. Potomek starej londyńskiej rodziny, student prawa, miał przed sobą wielką przyszłość. Zakonnica powiedziała jej o tym, gdy podchodziły do mężczyzny.

– No i oczywiście jest bardzo pobożny – dodała cicho.

Na szczęście młody człowiek okazał się sympatyczny. Miał wprawdzie posępną minę, ale odnosił się do dziewczynki bardzo uprzejmie. Opowiadał jej o ostatnich wydarzeniach w mieście, o szybko pogarszającym się zdrowiu króla, o sprawach, które mogły być jej znane, pytał ją o zdanie i najwyraźniej je sobie cenił. Było jej z tego powodu miło i poczuła się dorosła. Uznała nawet, że jego długi nos dodaje mu powagi i elegancji, a ciemne, inteligentne oczy kryją w sobie jakąś tajemnicę. Miał na sobie czarne rajtuzy i czarną tunikę wykonaną z najlepszego flamandzkiego sukna. Nie umiała powiedzieć, czy jej się podoba, ale musiała przyznać, że ma nienaganne, choć nieco sztywne maniery. Po jakimś czasie przeprosił ją grzecznie i poszedł porozmawiać z jej matką na temat zalet różnych sanktuariów.

W końcu Bull zaprosił gości, żeby obejrzeli przedmiot, który stał na stole i miał być atrakcją przyjęcia. Otrzymał go rano w prezencie.

– Tylko Chaucer mógł wpaść na tak niezwykły pomysł – rzekł uradowany.

Rzeczywiście, Tiffany nigdy nie widziała podobnego urządzenia.

Wyglądało dziwnie. Jego najważniejszą część stanowiła okrągła mosiężna płyta o średnicy czterdziestu centymetrów z zamocowanym w środku bolcem. Płyta miała u góry pierścień, który pozwalał powiesić ją

albo trzymać pionowo, a z tyłu znajdował się przeziernik, dzięki któremu można było mierzyć kąt pomiędzy ciałami niebieskimi. Częścią urządzenia było też kilka tarcz nakładanych na bolec od frontu. Płytę pokrywały z obu stron linie, znaki, cyfry i litery, które dla Tiffany wyglądały jak magiczne symbole.

– Oto astrolabium – oznajmił Bull z dumą. – Dzięki niemu możemy odczytać mapę nocnego nieba.

Zaczął demonstrować działanie urządzenia. Jednak po kilku chwilach zaczął się mylić, bo nie umiał odczytać skomplikowanych oznaczeń. Wreszcie pokręcił głową ze śmiechem.

– Obawiam się, że będą musiał wziąć dodatkowe lekcje. Może ktoś z was lepiej sobie poradzi?

Zgłosił się Benedict Silversleeves. Mówił cichym, beznamiętnym głosem, ale tak prosto i jasno, że nawet Tiffany zdołała wszystko zrozumieć. Wyjaśnił, że w zależności od miejsca na powierzchni Ziemi i od pory roku obserwator widzi nad sobą inny fragment sfery niebieskiej.

– Astrolabium, które znane już było za czasów Ptolemeusza, jest taką ruchomą mapą.

Pokazał, jak po ustawieniu przezierników i odczytaniu znaków na astrolabium należy wybrać odpowiednią tarczę i założyć ją na bolec, wyjaśnił też, jak każda z tarcz odzwierciedla schemat konstelacji widzianych w różnych porach roku i na różnych szerokościach geograficznych. Pokazał nawet, jak za pomocą astrolabium można nie tylko rozpoznawać gwiazdy, ale także wyznaczać bieg Słońca i planet. Jego wykład był formalny, ale Tiffany miała wrażenie, że słyszy w nim geometryczną muzykę sfer.

– I tak oto – zakończył – dzięki tej małej mosiężnej tarczy i pewnej znajomości matematyki możemy dostrzec ruch *primum mobile* i rękę

samego Boga.

Wystąpienie nagrodzono oklaskami. Nawet Bull, któremu w pierwszej chwili nie spodobał się wygląd młodego człowieka, był pod wrażeniem jego błyskotliwej inteligencji. Po zakończeniu przyjęcia zaprosił go do siebie ponownie.

Wieczorem Gilbert wciąż był w doskonałym nastroju.

– Wiesz, Tiffany, zastanawiałem się, za kogo należy cię wydać – powiedział do córki.

Tak naprawdę myślał o tym wiele razy. „W innych okolicznościach najchętniej wydałbym ją za syna Chaucera – zwierzył się żonie. – Ale Chaucer dopiero założył rodzinę, więc to raczej nie wchodzi w grę". Wysyłał też jasne aluzje Whittingtonowi, ale niestety, jak głosiły plotki, młodzieniec miał już inne plany. No i oczywiście chętnie widziałby w tej roli jakiegoś szlachcica. „O ile nie byłby głupcem".

Teraz, patrząc czule na potulną żonę i posłuszną córkę, odezwał się jowialnie, nawet nie zastanawiając się nad swoimi słowami:

– Powinnaś to przemyśleć, Tiffany. Nie będę cię do niczego zmuszał. Sama podejmiesz decyzję. Poślubisz, kogo zechcesz.

Niewielu ojców okazałoby taką wyrozumiałość. Bull był pod ogromnym wrażeniem wyjaśnień na temat astrolabium, dorzucił więc lekko:

– Na twoim miejscu wziąłbym też pod uwagę tego Silversleevesa.

Nie wszyscy podzielali jego zachwyt. Gdy goście wracali wieczorem przez most, Whittington zwrócił się do Ducketa, wskazując na idącego przed nimi prawnika:

– Nie znoszę go.

– Dlaczego? – spytał Ducket. W jego oczach bystry młodzieniec należał do zupełnie innego świata.

– Nie mam pojęcia – prychnął Whittington. – Ale źle mu ze ślepi patrzy. – A gdy za mostem Silversleeves skręcił w lewo w kierunku katedry Świętego Pawła, odezwał się na tyle głośno, że ten musiał go usłyszeć: – Dlaczego nikt nie zrobi porządku przy kościele Świętego Wawrzyńca? Przecież tam cuchnie. – Silversleeves jednak się nie odwrócił. – Oszust – mruknął Whittington.

Tiffany często myślała o przyszłym mężu, ale nie umiała podjąć decyzji. Mijały miesiące, a ona często siadywała z przyjaciółkami przy wielkim oknie wychodzącym na Tamizę, żeby z ożywieniem omawiać zalety znanych mężczyzn.

Co do jednej kandydatury były zgodne.

Niedługo po urodzinach Bulla zmarł Edward III, a królem obwołano dziesięcioletniego syna Czarnego Księcia, Ryszarda. Jego opiekunem został Jan z Gandawy.

– On ma tyle samo lat co my – stwierdziły dziewczynki. Bez wątpienia Ryszard był ładnym chłopcem. Regularne rysy, wdzięczna sylwetka. Jedynie najbliżsi wiedzieli, że potrafi być uparty.

– A te jego oczy! – powiedziała jedna z dziewcząt z błogim westchnieniem. – Są takie smutne.

Wszystkie go widziały. Ale jak go poznać?

Jednak królowie nie żenią się z córkami kupców – nawet tych, którzy mają piękne domy na London Bridge.

– Może ojciec znajdzie ci kogoś, kto ci się spodoba – powiedziała matka uspokajająco.

Tiffany pamiętała o jego obietnicy.

– Powiedział, że będę mogła sama wybrać – przypomniała potulnie.

Po przeprowadzce Ducket dotrzymywał danego Tiffany słowa i odwiedzał ją co tydzień. Czasem siedzieli w kuchni z kucharką, a gdy pogoda

dopisywała, wychodzili do miasta. Któregoś dnia w październiku postanowili odwiedzić Chaucera.

Ducket częściej go teraz widywał, bo Chaucer piastował stanowisko niewymagające wyjazdów z Londynu. Został rewidentem izby celnej pobierającej cło od wełny.

Londyński urząd celny zajmował duży, podobny do stodoły budynek na nabrzeżu pomiędzy Billingsgate i Tower. Wydane przez króla przepisy mówiły, że wełnę wolno eksportować tylko z wyznaczonych portów. Między innymi z Londynu. Każdego dnia zwożono tu setki worków z wełną, które sprawdzano, ważono i opłacano za nie cło. Oclony towar był odpowiednio etykietowany i oznaczany królewską pieczęcią – to właśnie nadzorował Chaucer – i dopiero wtedy można go było ładować na statki. Ducket lubił odwiedzać Chaucera w urzędzie celnym – obserwował mężczyzn wrzucających worki na wagę i kłęby wełny unoszące się nad drewnianą podłogą. Chaucer pokazywał mu skrzynki, w których trzymano pieniądze, oraz niekończące się zwoje pergaminu, na których on i jego pisarze notowali wpłacane cło – „tak jak w Exchequerze”, wyjaśnił. Niedługo po tym, jak Bull pokazał swoim gościom astrolabium, Ducket spytał, czym tak naprawdę jest *primum mobile*, na co Chaucer roześmiał się i odpowiedział: „Wełną”. Bo mimo że wytwarzano coraz więcej gotowej odzieży, podstawą angielskiej gospodarki, od której zależały wszystkie inne dziedziny handlu, wciąż był eksport surowej wełny na kontynent.

Natknęli się na Chaucera, gdy wychodził już z urzędu, więc odprowadzili go do domu. Jego mieszkanie, otrzymane wraz ze stanowiskiem, mieściło się kilkaset metrów od Tower. W jego skład wchodził duży, piękny pokój nad bramą Aldgate we wschodniej części murów miejskich, ze wspaniałym widokiem na rozległe pola ciągnące się

przy starej rzymskiej drodze do Anglii Wschodniej. Ciemnowłosa żona Chaucera była akurat zajęta przy dziecku, więc zaprowadził ich na górę.

Pokój był ładny, ale Tiffany, trącając Ducketa łokciem, szepnęła:

– Co za bałagan.

Na stołach i stolikach piętrzyły się stosy ksiąg – było ich kilkadziesiąt, czyli naprawdę dużo. Jedne były oprawione w skórę, inne nie, jedne pisane pięknym pismem kaligraficznym, a inne maczkiem tak drobnym i nieczytelnym, że oczy bolały. Ale to nie księgi tworzyły nieład, lecz kawałki pergaminu. Walały się wszędzie, pojedynczo i poskładane po kilka, niektóre skopiowane starannie, większość jedynie z jakimiś niedokończonymi zapiskami i poprawkami.

– To moja samotnia. – Chaucer uśmiechnął się przepraszająco. – Co wieczór czytam tutaj i piszę.

Tiffany słyszała wcześniej od ojca o jego literackich zainteresowaniach.

– A ile linijek potrafisz napisać w ciągu jednego wieczoru? – spytała, myśląc o swojej nauce w szkole.

– Dużo wyrzucam – przyznał. – Czasem z trudem udaje mi się napisać jeden wers.

– Dlatego uważam, że wcale nie jest w tym dobry – stwierdziła Tiffany, gdy wracali z Ducketem do domu.

Szli starą drogą wychodzącą z Aldgate. Tiffany, która coraz częściej myślała o przyszłym mężu, zwróciła się nagle do Ducketa:

– A wiesz, że jeszcze nigdy się nie całowałam?

Owszem, wiedział.

– W takim razie pocałuj mnie – powiedziała.

Ducket natknął się na Benedicta Silversleevesa w drodze do domu, po południowej stronie London Bridge. Whittington mógł mieć inne zdanie, ale na nim młody prawnik zrobił wielkie wrażenie.

Silversleeves był wyjątkowo uprzejmy. Mówił cicho, dostojnie. Tak się złożyło, że po południu przechodził przez Aldgate.

– Więc pewnie domyślasz się, co zobaczyłem – powiedział wymownie.

Ducket się zaczerwienił. Prawnik wyraził nadzieję, że Ducket wybaczy mu jego słowa, ale zmuszony był go upomnieć, aby – jako zwykły terminator – nie zamierzał wykorzystać młodej kobiety z zupełnie innej warstwy społecznej, będącej, „jak pewnie wiesz, moją krewną".

Co miał odpowiedzieć? Że sama go poprosiła? To byłoby niegodziwe, każdy uczeń by to przyznał.

– Pewnie myślisz, że to nie moja sprawa – ciągnął Silversleeves – ale się mylisz.

Nie, Ducket nie mógł mieć do niego pretensji. Silversleeves zachował się odpowiednio, a jemu zrobiło się wstyd.

– O, jesteśmy na miejscu – powiedział prawnik. – Dobranoc.

Ducketowi przyszło do głowy, że lepiej będzie, jeśli przez jakiś czas nie zobaczy się z Tiffany.

Minął już ponad rok od rozmowy z bogatym krewnym, ale James Bull się nie zniechęcał. „Dziewczyna wciąż jest młoda", powtarzał rodzinie. I mimo wszystko nie tracił nadziei, że któregoś dnia otrzyma zaproszenie od kupca. Właśnie o tym rozmyślał pewnego dżdżystego listopadowego popołudnia – oraz o wołowinie w cieście, którą mieli zjeść na kolację – gdy wszedłszy do miasta przez bramę Ludgate, zobaczył ładną dziewczynę z koszykiem, idącą spiesznie do domu. Była to Tiffany.

Zawahał się, ale tylko na chwilę. Bo skoro jestem uczciwy, powtarzał sobie w myślach, to nie może mieć mi tego za złe. Z pewną miną zastąpił jej drogę. Właśnie się rozpadało.

– Nazywam się James i jestem twoim krewnym – oznajmił. – Pewnie twój ojciec wspominał ci o mnie.

Zmarszczyła brwi. Wiedziała, że ma wielu krewnych, i nie chciała być niemiła, ale nigdy o nim nie słyszała.

– A co miałby mi o tobie powiedzieć? – spytała ostrożnie.

James spojrzał na nią niepewnie, nie wiedząc, co odrzec. Ale ponieważ zawsze kierował się szczerością, wypalił bez ogródek:

– Chodziło o to, że miałbym się z tobą ożenić. Powiedziałem, że byłbym zainteresowany – dorzucił zachęcająco.

– Ale ja cię wcale nie znam – zaprotestowała. Wiedząc jednak, że w jej świecie nie jest to żadną przeszkodą, wyjaśniła: – Bo ojciec obiecał, że wyjdę za mąż za tego, kto mi się spodoba.

– Powiedział, że będziesz mogła wybrać sobie męża? – spytał zdziwiony. Naprawdę kupcowi przyszło do głowy coś tak ekscentrycznego? – Jesteś pewna?

– Tak.

– W takim razie nie mam chyba zbyt wielkich szans.

– Może mogłabym cię polubić – rzuciła beztrosko.

– Może – powiedział niepewnie.

– Nie warto się poddawać. – Uśmiechnęła się.

– Tak myślisz? – Przyglądał się jej uważnie, ale padał coraz bardziej rzęsisty deszcz. – Pójdę już – powiedział i ruszył w swoją stronę.

Tego wieczoru James Bull bez żadnego szczególnego powodu poszedł się upić. Nigdy wcześniej tego nie robił. Zawędrował do Southwark, wszedł do gospody „U George’a” i usiadł z kuflem piwa w kącie. Nie wyglądał na człowieka uczonego, więc nie zwrócił na siebie uwagi Fleminga, ale po jakimś czasie przysiadła się do niego pani Barnikel.

– Wyglądasz na nieszczęśliwego – zauważyła. A gdy go spytała, co się stało, chętnie jej o wszystkim opowiedział.

– Nie szkodzi – pocieszyła go. – Taki przystojny mężczyzna jak ty na pewno znajdzie sobie dziewczynę.

– Czasem wydaje mi się, że jestem zwykłym prostakiem – wyznał. – Bo jestem taki szczery i uczciwy.

Zakazała mu się martwić i podała kolejny kufel piwa. A później znów się przysiadła.

– Widzisz tego w kącie? – mruknęła, pokazując na wysokiego mężczyznę o smagłej cerze, który mlaskał po każdym łyku piwa. Obok niego siedziały dwie kobiety. – On nigdy nie cierpi na samotność. Ale wiesz, kim on jest? Rozbójnikiem. Podobno okrada pielgrzymów podróżujących do Kentu. I wiesz, jak skończy za parę lat? Zawiśnie na szubienicy. Więc ty nadal bądź uczciwy, a wszystko dobrze się ułoży. – Poklepała go przyjaźnie po ramieniu.

Kiedy bardzo pijany James Bull położył się spać, we śnie zobaczył – z niemałym zadowoleniem – śniadego rozbójnika dyndającego na szubienicy i siebie wśród gapiów. Obok stała kobieta. To Tiffany, pomyślał. Co tylko dodało mu odwagi. „Ja im jeszcze pokażę”, mruknął przez sen.

Tiffany wróciła do domu przemoknięta do suchej nitki, ale rozmowa z nieznajomym kuzynem pozwoliła jej dokonać przyjemnego odkrycia. Bardzo spodobała się jej rola pożądanej kandydatki na żonę. Więc gdy przed Bożym Narodzeniem ojciec spytał ją, czy zdążyła już coś postanowić, z najbardziej potulną miną, na jaką ją było stać, poprosiła go o parę lat do namysłu. Na co chętnie się zgodził.

– Z moim majątkiem znajdziemy jej męża, nawet gdy będzie miała piętnaście lat – powiedział wieczorem do żony.

Odtąd przez jakiś czas nie rozmawiano na ten temat.

Rok 1378

Groźba kolejnej wojny z Francją, mającą obecnie wsparcie Szkocji, niepokoiła radę królewską, ale to ostatnie wydarzenia wywołały powszechną wściekłość. Oto francuscy piraci atakowali angielskie statki kupieckie, a rada była bezsilna. Stryj króla, Jan z Gandawy, dumny i mający dobre chęci, stanął na czele ekspedycji, która dotarła do wybrzeży Francji. Nic jednak nie wskórał i wrócił jak niepyszny do kraju. A zaraz po jego powrocie zwyczajny londyński kupiec, niejaki Philpot z gildii spożywców, wyposażył na własny koszt małą flotyllę, rozgromił piratów i wpłynął do miasta jako zwycięzca.

– Z naszej gildii! – zawołał Fleming triumfalnie do Ducketa. – Powinien zostać burmistrzem.

Od tamtej pory Fleming często powtarzał swojemu uczniowi:

– Może i Jan z Gandawy pochodzi z królewskiego rodu. Ale Philpot dokonał więcej niż on.

Po tym zwycięstwie nastały niepomyślne dni. Któregoś wieczoru najmłodszy brat Jana z Gandawy i jego towarzysze zostali napadnięci w pobliżu miasta przez bandę zbójców. Książę dopatrzył się w tym spisku londyńczyków i ani burmistrz, ani rajcy nie byli w stanie go przekonać, że jest inaczej. Książę wpadł w furię, bo nie dość, że mieszczanie nie przyznali się do winy, to jeszcze nie postawili nikogo przed sądem.

– Obrażono księcia z królewskiego rodu – stwierdził.

Jan z Gandawy chętnie przyznał mu rację.

– Najwyższy czas – uznali obaj – by ci zuchwali londyńczycy dostali odpowiednią nauczkę.

Już wcześniej królowie grozili londyńczykom najazdem wojsk, już wcześniej nakładali grzywny, a nawet ograniczali handel, żeby osłabić potężnych kupców, ale obaj królewscy stryjowie wybrali inną metodę ukarania miasta.

Wszystko zaczęło się pewnego pogodnego poranka, gdy nastała zima. Ducket i Fleming rozstawili akurat stragan, kiedy na targu pojawiła się grupa jeźdźców. Jeden z nich wyciągnął miecz i strącił na ziemię wielką glinianą miskę pełną duszonych owoców. Miska się stłukła. Zamiast przeprosić, jeźdźcy roześmiali się i pojechali dalej. A zaraz po tej dziwnej scenie nadjechał wolno ogromny wóz wypakowany dobytkiem. Whittington, który przybiegł chwilę później, wyjaśnił im, co się stało.

– Nie słyszeliście? Wczoraj wieczorem książęta postanowili, że opuszczają miasto.

Nie minęła godzina, a z miasta zaczął wylewać się ludzki strumień: rycerze, żołnierze, stajenni prowadzący konie, służba ciągnąca wózki z domowymi sprzętami. Ku bramie Ludgate zmierzały całe orszaki eleganckich dam w towarzystwie giermków.

– Oni chcą nas zniszczyć! – zawołał z rozpaczą Fleming.

To była prawda. Książęta mieli ogromne dzierżawy, olbrzymie świty dworzan i to przez ich ręce przepływała niemal połowa bogactwa kraju. A potem część tego bogactwa skapywała do rąk wszystkich kupców i sprzedawców w Londynie.

W ciągu kolejnych dni i tygodni stało się jasne, co taki kryzys oznacza. Targ na West Cheap opustoszał.

– Wszyscy kupcy korzenni liczą straty – donosił Fleming. – A rzeźnicy i sprzedawcy ryb mają jeszcze gorzej.

Dopiero tuż przed Bożym Narodzeniem londyńczycy zaczęli działać.

– Chcą przekupstwem przekonać książąt do powrotu – oznajmił Whittington, a gdy Ducket okazał zdziwienie, wyjaśnił: – To ma być wspaniały dar od miasta. Złożyły się na niego najważniejsze osoby. Bull daje aż cztery funty. – Nawet Whittington, mimo że był dopiero początkującym kupcem, zamierzał dorzucić pięć marek. – To się nazywa kupowanie klientów – dorzucił cierpko.

Ducket zdawał sobie sprawę, że Fleming ma o nim jak najlepsze zdanie, ale w oczach pani Barnikel bynajmniej nie zasługiwał na pochwałę. Nie udało mu się zdobyć względów Amy i nawet się o to specjalnie nie starał. Albo mnie polubi, albo nie, uznał. Gdyby pozwolił sobie na jakieś zaloty, a ona by go odtrąciła, to atmosfera w domu byłaby nie do zniesienia.

Niedługo po Bożym Narodzeniu Carpenter złożył wizytę rodzicom Amy. Oboje przedstawili konkretną propozycję. Chcieli się zaręczyć. Ale ponieważ trzynastoletnia Amy nie była jeszcze kobietą, poważny młody rzemieślnik poprosił, by poczekała ze ślubem trzy lata, zwłaszcza że przed wstąpieniem – jak to ujął – w „niebezpieczny stan małżeński” zamierzał zdobyć w swoim fachu tytuł mistrza.

– Ale może dla was to za długo? – spytał układnie rodziców.

– Ależ skąd, wcale nie – zapewniła go pospiesznie pani Barnikel. – Należy być roztropnym.

I gdyby nie pełne złości spojrzenie Amy, zaproponowałaby nawet pięć lat.

– Boże, spraw, by do tego czasu wybiła go sobie z głowy – mruknęła później do Fleminga.

Był zadowolony z tych ustaleń, a Amy uchwyciła się ich z milczącą determinacją, jakby stolarz był jedyną tratwą na wzburzonym morzu jej życia. Dla niej sprawa została zakończona.

Ale nie dla pani Barnikel. Któregoś dnia Ducket wrócił wcześniej do domu. Ledwo wprowadził wózek na podwórko, zobaczył panią Barnikel przy drzwiach. I natychmiast przeklął w myślach własną głupotę. Jakże mógł zapomnieć! To w te dni co miesiąc pani upijała się na umór.

Miała rozpuszczone włosy i patrzyła przekrwionymi oczami na córkę jak potwór, który lada moment pożre swoją ofiarę. Dziewczynka kuliła się przed nią ze strachu.

Ducket nigdy nie dowiedział się, co powiedziała pijana matrona, bo gdy tylko go zobaczyła, uśmiechnęła się przebiegle.

– I właśnie ciebie nam było trzeba! – wrzasnęła. Zanim Ducket się zorientował, poczuł na ramieniu żelazny uścisk. – Ty też – mruknęła i chwytając córkę za kark, zaczęła ich ciągnąć w kierunku składziku. Nie zważając na ich protesty, otworzyła drzwi i wepchnęła córkę do środka. Potem zabrała się za Ducketa, a on, mimo że był silniejszy od większości chłopców podobnej postury, przekonał się szybko, że wobec pani Barnikel jest bezradny. Podniosła go do góry i wrzuciła do środka z taką łatwością, jakby był dzieckiem.

– Najwyższy czas, żebyście zawarli bliższą znajomość – warknęła.

Chwilę później drzwi się zatrzasnęły, rozległo się skrzypienie zasuwanego rygla, a potem oddalające się kroki pani Barnikel.

W składziku było zimno. Chłopak siedział przez jakiś czas w milczeniu.

– Ona chce, żebym wyszła za ciebie za mąż – odezwała się Amy.

– Wiem. – I znów przez dłuższą chwilę nie odzywali się do siebie.

– Czy ty też myślisz, że Ben Carpenter jest pomylony? – spytała w końcu.

– Nie. – Zawahał się. – Zimno ci?

Nie odpowiedziała, więc przysunął się bliżej, a objąwszy ją ramieniem, zauważył, że dziewczynka drży. Przesiedzieli tak w milczeniu dobrą

godzinę. Dopiero Fleming ich wypuścił.

Kilka dni później zaczęły się dziać rzeczy dziwne.

Fleming bywał ostatnio przygnębiony. Handel na targu szedł słabo i Ducket kilka razy zauważył, że jego pan wpada w stan dziwnego roztargnienia przy straganie. A gdy nie znajdował sobie wieczorem jakiegoś rozmówcy, siadał przy kominku ze zwieszoną głową i wyglądał tak smutno, że Ducket nie mógł się opanować.

– Prezentujecie się, panie, jakbyście czekali na zły wyrok w dniu sądu ostatecznego.

Dlatego ucieszyło go, gdy któregoś wieczoru w gospodzie pojawił się nieoczekiwany gość. Był to Benedict Silversleeves, opatulony czarną peleryną, który właśnie wrócił z męczącej podróży do Rochester.

I chociaż Ducket nie darzył prawnika wielką sympatią, a przy ostatnim spotkaniu Silversleeves ostro go napomniał za pocałowanie Tiffany, to teraz nie miał żadnych wątpliwości. Jego pan był przybity, a z tego stanu mogła go wyrwać rozmowa z kimś tak wykształconym jak Silversleeves. Ducket podszedł do niego, przywitał się i zaprosił na miejsce przy kominku.

Prawnik był wyjątkowo uprzejmy. Jeśli nawet pamiętał dawne przewinienie Ducketa, to w najmniejszym stopniu tego nie okazał. Trzymając w ręku kielich z grzanym winem, przysunął się do biednego kupca, a już po chwili obaj byli tak głęboko pogrążeni w rozmowie, że Ducket mógł się oddalić niezauważony. Zerkając kilka razy na wychudzoną twarz Fleminga, z przyjemnością doszedł do wniosku, że przynajmniej tego dnia jego pan może obcować z prawdziwie wykształconym człowiekiem.

Nie wiedział, która jest godzina, gdy obudził go dziwny hałas. Nic wielkiego, jedynie skrzypienie otwieranych drzwi. Ale tych drzwi nie wolno było otwierać. Zerwał się na równe nogi.

Chwilę później był już na podwórku i zbliżał się powoli do składziku. Drzwi były uchylone, z wnętrza padało światło. Przysunął się bliżej, żałując, że nie zabrał żadnej broni. Zajrzał ostrożnie do środka.

Fleming.

Ducket nie rozmawiał z nim po wyjściu Silversleevesa. Zauważył, że jego pan, który gawędził potem z kilkoma innymi osobami, wygląda zupełnie normalnie, a wręcz sprawia wrażenie uszczęśliwionego. Potem Fleming wyszedł z wysokim mężczyzną, który chyba pytał o drogę do Bankside. Ducket uznał, że później Fleming położył się spać razem ze wszystkimi domownikami. Ale coś musiało zajść. No bo jak inaczej wytłumaczyć to, co zobaczył?

Fleming był w transie. Stał przodem do drzwi. Ale mimo że patrzył wprost na Ducketa, wydawało się, że go nie widzi. Na jednym z worków stała lampa. Fleming trzymał w złożonych dłoniach cenne ziarna pieprzu. W końcu zauważył Ducketa, ale w jego spojrzeniu była dziwna ekstaza, jakby miał przed sobą zwiastującego anioła. W końcu przemówił.

– Co to jest? – spytał.

– Pieprz – odpowiedział zaskoczony uczeń.

– Owszem. Pieprz. Czy jest cenny?

– Oczywiście. To nasz najcenniejszy towar.

– Aha. – Fleming skinął głową. A potem z pełną świadomością powoli rozchylił dłonie i rozsypał kulki pieprzu na podłodze. Ducket był przerażony. Ale Fleming tylko się uśmiechnął. – Bez wartości – powiedział. – Bez wartości.

Wziął Ducketa konfidencjonalnie pod rękę, gdy ten podszedł, żeby je pozbierać.

– A co, jeśli człowiekowi uda się odkryć tajemnicę wszechświata? – szepnął. – Czym wówczas będą te ziarna pieprzu?

Ducket przyznał, że nie wie.

– Ale ja wiem – odpowiedział Fleming cicho. Przyglądał się uczniowi w słabym świetle lampy. – Czy moja żona jest piękną kobietą? – Ducket potwierdził. – A czy to jest piękna siedziba? – Chudą dłonią zatoczył szeroki łuk, wskazując na pogrążony w ciemnościach majątek. – Piękna. I należy do niej. – Potrząsnął głową, śmiejąc się dziwnie. – Nicość – powiedział, najwyraźniej mając na myśli worki w składziku. A potem z szaleństwem w oczach spojrzał na chłopaka. – Już niedługo, Ducket, zobaczysz cuda, o jakich ci się nie śniło.

Wreszcie wpatrywał się w przestrzeń niewidzącym wzrokiem. Ducket nie śmiał mu dalej przeszkadzać, więc wrócił do łóżka.

Rano Fleming wyglądał zupełnie normalnie, toteż uczeń uznał, że kto jak kto, ale on nie powinien nikomu wspominać o dziwnym incydencie. Zastanawiał się jednak, co to może znaczyć.

Tiffany nie mogła zrozumieć – w głębi duszy też było jej przykro, dlaczego wbrew obietnicy Ducket tak rzadko ją odwiedza. Jeden pocałunek, myślała, a potem on znika. Naprawdę ten pocałunek był aż tak straszny? Zawsze była skromną dziewczyną, ale postanowiła, że będzie się całować z innymi chłopcami, żeby nabrać wprawy.

Zbliżały się jej trzynaste urodziny, a ojciec zapraszał do domu całe tłumy mężczyzn. Niestety, Whittington znalazł sobie żonę, lecz za to zapoznał ich z kilkoma młodymi kupcami z dobrych rodzin; poza tym trzech rajców miało synów w odpowiednim wieku; pojawił się też Włoch, winiarz. Pewien Niemiec, bogaty wdowiec i kupiec Hanzy, aż przewracał oczami z zachwytu, ale został szybko oddalony. Przez dom przewinęło się co najmniej kilkunastu innych kandydatów. Wśród nich znalazł się nawet jeden szlachcic, dziedzic wielkiego majątku w North Country, ale mimo że

młodzieniec był przystojny, to zarówno ojciec, jak i córka uznali, że jest za głupi.

Mijały miesiące, a między Bullem a jego córką tworzyła się nowa więź. Oczywiście o wielu sprawach dziewczynka wolała rozmawiać z matką, ale odnosiła się do ojca z szacunkiem i Bull zauważył ze zdziwieniem, że zwierza jej się ze swoich tajemnic. Wcześniej nie przywiązywał wagi do opinii kobiet, a już na pewno nie liczył się ze zdaniem zwykłej dziewczynki, ale teraz, nie doczekawszy się innego potomka i przyznawszy jej prawo wolnego wyboru męża, z zaciekawieniem słuchał jej przemyśleń.

– A czy ty wiesz, co ona sądzi o takim to a takim? – mówił z dumą do żony.

Za każdym razem, gdy przedstawiał jej nową propozycję, z zainteresowaniem czekał na werdykt.

– Jestem pewien, że dzięki moim wskazówkom w odpowiednim czasie podejmie słuszną decyzję – stwierdził.

Tak naprawdę wcale się nie spieszył, żeby wydawać córkę za mąż.

– Żaden na nią nie zasługuje – mówił.

Ale jednego zalotnika traktował z większą sympatią. Silversleevesa.

Młody prawnik wybrał najbardziej odpowiednią strategię.

– Muszę wyznać, że choć mój ród jest bardzo stary, to dysponuję jedynie skromnym majątkiem – wyznał Bullowi.

Już wiele pokoleń wstecz rodzina wyniosła się ze starego domu Silversleevesów przy katedrze Świętego Pawła. Owdowiała matka Benedicta, która zmarła niedawno, mieszkała w czynszowej izbie przy Paternoster Row, tuż obok katedry.

– Ale ja jestem ambitny – mówił młodzieniec.

Wszyscy wiedzieli, że od kilkudziesięciu lat studiowanie i praktykowanie prawa dawały lepsze możliwości awansu niż ścieżka

duchowna. Wielu młodych ludzi, woląc uczciwie się ożenić, zamiast ślubować celibat, zostawało prawnikami i coraz częściej zajmowało wysokie stanowiska na równi z biskupami.

– Wasza córka jest urocza – mówił Silversleeves do matki Tiffany. – I jeśli tylko zasłużę na jej względy, to dzień i noc będę się starał uczynić ją szczęśliwą.

A potem sprytnie zwierzał się Bullowi.

– Podziwiam twoją wspaniałomyślność, panie, że pozwoliłeś córce podjąć samodzielną decyzję. Ale powiem w tajemnicy, że jeśli nie otrzymam twojego błogosławieństwa, to nie będę miał śmiałości oświadczyć się Tiffany.

I co parę tygodni przynosił żonie Bulla ładny podarek.

Tiffany traktowała go jak miłego znajomego, ale jednocześnie darzyła podziwem. Może i nie miał wielkiego majątku, co sam zresztą przyznał, ale zawsze ubierał się elegancko i miał pięknego konia. Gotów był z nią rozmawiać na każdy temat. Potrafił ją rozbawić. A gdy rozprawiał z ojcem o bieżących sprawach, dziewczynka widziała, że Bull szanuje jego opinie.

– Nie spotkałam jeszcze tak inteligentnego człowieka – zwierzyła się któregoś dnia matce.

– I co z tego?

– Nie wiem. Ale chyba jestem jeszcze za młoda.

Tiffany nie umiała tego wyrazić. Czegoś jej brakowało. Gdy czytała romanse o rycerzach umierających z miłości do swoich wybranek, ogarniało ją dziwne podniecenie – nie wiedziała jednak, czy te uczucia są czymś dziecinnym, czy należą już do świata dorosłości.

Któregoś dnia, rozmawiając z matką o romansie, który właśnie przeczytała, zadała pytanie:

– Czy tacy mężczyźni istnieją naprawdę?

– A spotkałaś kiedyś takiego? – odpowiedziała matka po chwili milczenia.

– Nie.

– Więc nie powinnaś być rozczarowana, jeśli ci się to nigdy nie przytrafi.

– W takim razie – orzekła Tiffany – nie wyjdę za mąż, dopóki nie skończę piętnastu lat.

Gdy wczesną wiosną 1379 roku Ducket zastanawiał się nad swoim życiem, zaniepokoiła go jedna rzecz: jeszcze nigdy nie miał kobiety.

Oczywiście całował się z dziewczętami. I wielokrotnie udowodnił swoją męskość w boksie i zapasach z innymi uczniami. Ale gdy jego przyjaciele szli czasem do domów publicznych na Bankside, on wymawiał się pod byle pretekstem. I to nie dlatego, że był nieśmiały. Zniechęcała go wątpliwa reputacja tych przybytków i ryzyko zarażenia się jakąś chorobą. Był zdrowy i dobrze zbudowany; czasem wydawało mu się, że kobiety zerkają na niego z uznaniem, nie wiedział jednak, jak do nich zagadać.

Nie mógł się zwierzyć Flemingowi ani Bullowi, ani nawet swojemu obytemu w świecie ojcu chrzestnemu Chaucerowi. Lecz pewnego dnia, na początku kwietnia, spotkał na targu Whittingtona i poprosił go o radę.

– Chyba będę mógł ci pomóc. Daj mi jakiś tydzień czy dwa.

Dlatego dziesięć dni później Ducket wybierał się na spotkanie ze swoim przyjacielem wielce podekscytowany. Umówili się w gospodzie niedaleko kościoła St Mary-le-Bow. Gdy jednak wszedł do zatłoczonej karczmy, Whittington przywitał go ze smutną miną.

– Będziesz musiał trochę zaczekać – mruknął przepraszająco. – Wpadłem w pułapkę. Musimy grzecznie porozmawiać z pewną osobą i zaczekać, aż ona wyjdzie. A potem zobaczymy, co da się zrobić.

Zawiedziony Ducket podszedł za nim do stołu i ku swojemu zdziwieniu zobaczył, że przyczyną opóźnienia jest nie kto inny jak długonosa krewna

Silversleevesa z klasztoru Świętej Heleny, którą poznał kiedyś w domu na London Bridge.

– Na miłość boską, nie wygadaj się, po co przyszedłeś – szepnął Whittington.

Ducket nie umiał się skupić. Rozglądał się ukradkiem, licząc, że zauważy kobietę, z którą miał się spotkać. Niestety, nikogo takiego nie było. Tymczasem Whittington popisywał się przed zakonnicą dobrymi manierami, jakby chciał ją przekonać, że wybiera się na mszę. Siostra Olive zadała Ducketowi kilka pytań o jego pracę i upodobania, a jej uśmiech mówił, że odpowiedzi przypadły jej do gustu.

Niedługo potem dała znak, że wychodzi. Whittington wstał, żeby ją odprowadzić. Nie było go kilka minut, zapewne poszedł z nią aż do West Cheap.

– Przepraszam za to zamieszanie – powiedział po powrocie do karczmy. Uśmiechnął się szeroko do Ducketa. – A teraz, przyjacielu, zajmijmy się czymś innym. Jesteś gotowy na spotkanie z kobietą?

Przy drzwiach Ducket przytrzymał go za ramię.

– Jesteś pewien, że…

– Zdrowa i czysta. Możesz mi zaufać.

– Widziałem ją?

– Rozglądałeś się cały czas. – Whittington się roześmiał. – Ale ona zdążyła ci się przyjrzeć. Spodobałeś jej się. – Wyszli na małe podwórko. Drewniane schody przy ścianie prowadziły do izby z oknem wychodzącym na mały sad otoczony murem. Spod drzwi sączyło się słabe światło. – Właź na górę – powiedział Whittington. – Oto twoje wrota do raju. – Odwrócił się bez pożegnania i zniknął w zaułku.

Nareszcie. Czy jednak będzie wiedział, co robić? Czy stanie na wysokości zadania? Serce waliło mu jak młotem, gdy wchodził po

schodach i otwierał drzwi do izby.

Pokój był przytulny. Na podłodze leżała gruba trzcinowa mata. Po prawej stała dębowa szafka, a na niej lampa rzucająca łagodne światło. Okiennice były zamknięte. Środek zajmowało wielkie, przykryte pościelą łoże z baldachimem.

Na łożu zaś leżała naga szczupła kobieta o jasnej skórze, z włosami rozpuszczonymi na ramionach. Siostra Olive.

To Whittington powiedział o wszystkim Bullowi. Oraz kilku innym osobom. Nie mógł się powstrzymać. Nie chciał zaszkodzić siostrze Olive, a jedynie dokuczyć Silversleevesowi.

Bull był wściekły.

– Powinni ją wyrzucić z klasztoru! – krzyczał. – A tego Ducketa każę zakuć w dyby.

Uspokoił go dopiero Chaucer, który pojawił się następnego dnia.

– Mój drogi przyjacielu, są w tym mieście siostry prawdziwie pobożne – przypomniał mu. – Ale są też, u Świętej Heleny, kobiety, które nie mają powołania, a do klasztoru trafiły pod naciskiem rodziny. Siostra Olive może nie jest doskonała, ale na pewno umie zachować dyskrecję. A Whittingtonowi natrę uszu za to, że ją wydał. Bądź miłosierny.

– Co z Ducketem?

Chaucer się uśmiechnął.

– Słyszałem, że dobrze się bawił.

Kilka dni później Silversleeves, mijając Ducketa na ulicy, posłał mu mordercze spojrzenie. I nie poprawiło mu humoru, gdy podczas kolejnej wizyty u Bulla kupiec rzucił przez zaciśnięte zęby:

– Co rusz pojawiają się w mieście jakieś oszczercze plotki, przyjacielu. Ale ja ich nie słucham.

Jedyną osobą w domu, z którą nie omawiano tego tematu, była Tiffany. Przez cały dzień nie mogła zrozumieć, czego dotyczą te dziwne szepty i okrzyki. Matka była nieobecna myślami, a inni zbywali dziewczynkę niczym. W końcu kucharka się wygadała i Tiffany przez jakiś czas rozważała tę kwestię w samotności.

W końcu doszła do wniosku: on już wszystko wie. Ta myśl była dziwnie ekscytująca.

Jednak tego lata Tiffany dowiedziała się, że jej przyjaciel ma dużo poważniejsze wady. Jego zachowanie nie wzbudziłoby podejrzeń, gdyby nie nowe wydarzenia dotyczące całego kraju.

Królewska rada, desperacko szukając wiosną dopływu pieniędzy, jak zwykle zwróciła się o pomoc do miasta, ale została odesłana z kwitkiem. „Wydaliśmy fortunę, żeby odzyskać naszych klientów z królewskiego rodu", stwierdzili londyńczycy. I zaproponowali sumę zdecydowanie za niską. „Trzeba poszukać innych sposobów", orzekła rada. I gdy latem zebrał się parlament, wymyślono środek doraźny. „To podatek pogłówny – tłumaczył Silversleeves Tiffany. – Zasada jest bardzo prosta. Każdy dorosły człowiek, kobieta, mężczyzna, szlachcic, człowiek wolny czy chłop pańszczyźniany, musi zapłacić podatek od głowy".

Pomysł prosty, ale rewolucyjny, ponieważ w średniowiecznej Anglii płacenie podatków było przywilejem mniejszości. Podatki uiszczał obywatel Londynu, ale jego ubogi uczeń już nie. Bogaty młynarz na wsi, o ile był człowiekiem wolnym, też płacił. Ale prosty chłop, poza pańszczyzną wobec właściciela ziemi i kilkoma pensami dla Kościoła, nie miał innych zobowiązań.

Jednocześnie tradycyjne życie na wsi ulegało zmianom. W ciągu ostatniego pokolenia, od czasów czarnej śmierci, stary system feudalny pruł się w szwach. Panował zamęt, brakowało siły roboczej, więc chłopi

pańszczyźniani wynajmowali się do pracy jako ludzie wolni i bez przeszkód brali w dzierżawę swoje gospodarstwa. I mimo że władza – za pomocą znienawidzonego prawa o robotnikach – próbowała powstrzymać ten ruch i nie dopuścić do podwyższania płac, jedynym skutkiem takich działań była wściekłość chłopstwa. Więzy pańszczyzny i poddaństwa rozluźniały się, rodził się nowy świat wolnych chłopów posiadających ziemię i robotników utrzymujących się z pracy najemnej. I choć w pewnym sensie wprowadzenie podatku pogłównego było jedynie potwierdzeniem nowej sytuacji, to i tak podniósł się krzyk: „To wbrew prawu zwyczajowemu!”.

Dwa lata wcześniej podjęto nieśmiałą próbę wprowadzenia pogłównego, jednak tym razem sprawy zaszły znacznie dalej. Najbogatsi ludzie w królestwie mieli płacić ogromne sumy. „Ale nawet biedni chłopi zapłacą po kilka dniówek”, tłumaczył Silversleeves.

„Będą z tego powodu jakieś niepokoje?”, spytała Tiffany.

„Owszem, to całkiem możliwe”, przyznał.

Poborcy zjawili się „U George’a” niespodziewanie, wcześnie rano. Ducket akurat ładował wózek na targ. A ponieważ formalnie głową rodziny był kupiec, Ducket poszedł go zawołać.

Od czasu ich dziwnego nocnego spotkania Fleming wydawał się mniej roztargniony, a nawet jakby poweselał. Owszem, martwił się, że handel na targu wciąż idzie słabo, ale to było całkiem naturalne. W ciągu ostatnich miesięcy w jego zachowaniu zmieniło się tylko jedno: nabrał zwyczaju wychodzenia z domu. Niezbyt często, może raz na dziesięć dni, i to zawsze wieczorami. Jednak Ducket nie zaprzątał sobie tym głowy, uznawszy, że przy cieplejszej pogodzie jego pan chodzi na samotne przechadzki. Idąc po Fleminga, zastanawiał się z czystej ciekawości, czy kupiec będzie próbował jakichś sztuczek.

Bo unikanie podatku stało się niemal powszechną praktyką. Stare panny, dorosłe dzieci, terminatorzy, służba – wszyscy tajemniczo znikali z gospodarstw w całym kraju. Wiejskie chaty nagle pustoszały. W niektórych rejonach całe wsie po prostu znikały, a poborcy przymykali na to oko. Można było pomyśleć, że czarna śmierć znów zaatakowała. Ludność Anglii zmniejszyła się o jedną trzecią.

Ducket zastanawiał się, czy Fleming będzie próbował ukryć Amy. Na ukrycie ucznia było już za późno. I jak dużo trzeba będzie zapłacić? Wprawdzie najuboższym chłopom naliczano zaledwie cztery pensy – tyle zazwyczaj wynosiła płaca za jeden lub dwa dni pracy – ale wielu londyńskich kupców musiało płacić całego funta albo nawet więcej. I czy pani Barnikel będzie uznana za żonę czy też zostanie obciążona stawką jak samodzielny kupiec?

Ducket nie przypuszczał nawet, że Fleming, po krótkim wahaniu i z pobladłą twarzą, przyzna:

– Nie zapłacę. Nie mam pieniędzy.

A gdy poborcy odparli ze śmiechem, żeby wymyślił lepszą historyjkę, wstrząśnięty kupiec wyjął ze skrytki jedynie pół marki. W tym momencie Ducket zrozumiał, że jego pan mówi prawdę. Fleming był bankrutem.

– Ale jak to się stało? – Pani Barnikel była tak zatroskana, że nawet nie wpadła w złość. Zapłaciła pogłówne, które wyniosło razem dwie marki, a teraz, w zaciszu małżeńskiej sypialni, patrzyła ze zdziwieniem na Fleminga.

– Handel nie idzie – wymamrotał.

– Ale przecież chyba miałeś jakieś oszczędności?

– Owszem – przyznał z roztargnieniem. – Miałem. Ale wydawało mi się, że jest tego więcej. – Pokręcił głową. – Potrzebuję jeszcze trochę czasu – mruknął.

– Nieważne. – Pani Barnikel zmarszczyła brwi. – Chcesz powiedzieć, że w skrytce powinno być więcej pieniędzy?

– Oczywiście. – Znów pokręcił głową. – Nic z tego nie rozumiem.

– Czy ktoś mógł je ukraść?

– Chyba nie. – Był wyraźnie zakłopotany.

– Kto wie, gdzie trzymasz pieniądze?

– Tylko ty i ja. No i Ducket. – Zmarszczył czoło. – Ale nikt ich nie ukradł.

– W takim razie co się z nimi stało? – spytała.

Fleming nie umiał na to pytanie odpowiedzieć.

Dwa dni później Bull wziął Tiffany na poufną rozmowę.

– Była u mnie pani Barnikel – powiedział. – I spytała, czy kiedykolwiek podejrzewałem Ducketa o kradzież. – Spojrzał z powagą na córkę. – Wiem, że go lubiłaś, ale spróbuj sobie przypomnieć. Czy zrobił albo powiedział coś, co by zdradzało jego złodziejskie skłonności?

– Nie, ojcze. – Zastanawiała się przez chwilę. – Nic takiego sobie nie przypominam.

– Pani Barnikel uważa – ciągnął Bull – że doszło do kradzieży i że Fleming osłania chłopaka. – Zacisnął usta. – Pod żadnym pozorem nie wolno ci o tym nikomu wspominać. A już na pewno nie Ducketowi. Pani Barnikel będzie go miała na oku. Jeśli jest niewinny, to nie ma o czym mówić. Mam nadzieję, że jest. – Pokręcił głową. – Ale z tymi przybłędami nigdy nic nie wiadomo.

Po krótkim namyśle Bull uznał, że jedyną osobą, z którą może omówić tę przykrą kwestię, jest Silversleeves. Na jego dyskrecję mógł liczyć. Poza tym prawnik miał na pieńku z Ducketem, więc gdyby o chłopaku krążyły jakieś plotki, to na pewno by je zapamiętał. Jednak Silversleeves udzielił odpowiedzi, która dobrze o nim świadczyła.

– Mam powody, żeby nie darzyć go sympatią – przyznał. – Ale nic takiego o nim nie słyszałem. Jest może skłonny do ryzyka, lecz myślę, że to uczciwy człowiek. – Spojrzał na Bulla. – A wy jak uważacie?

Bull wzruszył ramionami.

– Będę się za niego modlił – zakończył Silversleeves.

Wiosną 1380 roku Amy zauważyła, że coś trapi Bena Carpentera. Początkowo nie chciał się przed nią otworzyć, a gdy w końcu powiedział o wszystkim, była zaskoczona. Bo Carpenter rozmyślał o Bogu.

Nie było to wcale takie dziwne. Już od kilku lat kwestie religijne były tematem dysput nie tylko w kościołach czy klasztorach, ale także w karczmach i na ulicach Londynu. A powodem tego zainteresowania była dość niezwykła postać: małomówny, niezyt wybitny uczony z raczkującego uniwersytetu w Oksfordzie. Nazywał się John Wyclif.

Początkowo jego poglądy nikogo nie szokowały. Ganił moralne zepsucie kleru, ale to już od kilku stuleci potępiali kościelni reformatorzy. Z czasem jednak jego doktryna zaczęła niebezpiecznie ewoluować. „Cała władza – twierdził – pochodzi od Boga, a nie od człowieka. Jeśli Kościół może zrzucić z tronu złego króla, to dlaczego nie wolno pozbawić stanowisk zgniłych moralnie biskupów, a nawet samego papieża?” Niezadowolenie Kościoła jedynie zradykalizowało jego poglądy. „Jeśli dłonie kapłana są nieczyste, to trudno mi uwierzyć, że podczas mszy świętej dokonuje się cud”, ogłosił.

To był wstrząs. Ale prawdziwą wściekłość duchowieństwa wywołały inne jego tezy. „Nie jest słuszne – twierdził Wyclif – że wyłączne prawo do wyjaśniania świętych ksiąg wiernym mają księża, wśród których jest wielu grzeszników. Czy Bóg nie ma mocy, by przemawiać wprost do każdego człowieka? Dlaczego ludzie nie mogą sami czytać świętych ksiąg?”

Tego już było za wiele. Według Kościoła katolickiego jedynie kapłani mieli prawo głoszenia słowa Bożego. „Poza tym – twierdzili duchowni – Biblię napisano po łacinie, której prości ludzie nie znają”. Odpowiedź Wyclifa wywołała wstrząs.

„W takim razie przetłumaczę Biblię na angielski”.

Nic więc dziwnego, że oksfordzki uczony zdobył popularność wśród londyńczyków. Już od wielu stuleci Kościół odgrywał w średniowiecznym świecie rolę dominującą, jednak nigdy wcześniej jego potęga nie była w mieście aż tak widoczna. Posępna sylwetka katedry Świętego Pawła górowała nad całym Londynem, niemal na każdej ulicy stał kościół, całe ogrodzone murami kwartały przekazywano na rzecz zakonów, klasztorów i szpitali, a na przedmieściach powstawały piękne domy i ogrody opatów i biskupów. Ludzie, a przynajmniej większość, wierzyli w Boga, niebo i ogień piekielny. Cechy i pojedynczy kupcy coraz częściej fundowali w kościołach kaplice, gdzie odprawiano msze za ich dusze. Każdej wiosny przez gospody Southwark przewijały się tłumy pielgrzymów zmierzających do sanktuarium Becketa w Canterbury.

Ale Kościół angażował się też w sprawy doczesne. Był posiadaczem jednej trzeciej ziem. Wszędzie widziało się opasłych dominikanów, a nawet franciszkanów, chętniej oddających się uciechom życia niż modlitwie. Zdarzali się księża, którzy sprzedawali rozgrzeszenia. Niektóre klasztory budziły zgorszenie. A kilka lat wcześniej Kościół podzielił się ponownie i miał dwóch papieży – jeden i drugi nazywał swojego przeciwnika uzurpatorem, a nawet Antychrystem. I jak każda duża i potężna instytucja Kościół stał się naturalnym przedmiotem krytyki. Wygadany Wyclif z Oksfordu odwoływał się do zdrowego rozsądku londyńczyków. Najlepiej podsumowała to pani Barnikel:

„Jak ten Wyclif przetłumaczy Biblię, tłuściochu, to dowiem się, co przede mną ukrywaliście”, mruknęła, mierząc wzrokiem grubego dominikanina, który upijał się u niej w gospodzie.

Kościół uznał Wyclifa za heretyka; potępił go uniwersytet w Oksfordzie. Ale to wszystko. Jan z Gandawy, który lubił drażnić biskupów, wziął reformatora pod swoje skrzydła. Dzięki temu Wyclif mógł w spokoju pracować nad przekładem Biblii.

Większość londyńczyków z ochotą przyznawała mu rację, ale Carpenter podchodził do tego z większą powagą. Gdy godzinami stał nieruchomo z łukiem albo pracował w warsztacie, obracał wszystko w myślach wiele razy.

– Coś złego się wydarzy – ostrzegał Amy. – Nie wiem co, ale może Bóg ześle nam jakiś znak.

Jednak nadal pracował sumiennie i nie przestawał adorować Amy. Może i na horyzoncie zbierały się jakieś chmury, jednak dziewczyna była pewna, że ich mały statek płynie bezpiecznie do portu. Czasem wydawało jej się, że Carpenter zanadto się martwi, lecz wiedziała, że może na nim polegać.

Ducket wiódł beztroskie życie. Od jakiegoś czasu, w tajemnicy przed gadatliwym Whittingtonem, korzystał ze względów siostry Olive. A nabrawszy pewności siebie, zaczął też sypiać z kilkoma innymi kobietami. Lecz pewne sprawy nie dawały mu spokoju. Handel na targu drgnął i Fleming miał dużo lepszy humor, jednak cały czas gdzieś znikał. A po jednej z takich nocnych wypraw – Ducket od razu to zauważył – miał przekrwione oczy i mocno poparzoną rękę.

– Wypadek – mruknął pryncypał, lecz nic więcej nie chciał powiedzieć.

Jeszcze dziwniejsze było zachowanie pani Barnikel. Zmieniła się. Obserwowała go czujnie. Traktowała chłodno. Nie miał pojęcia dlaczego.

Ale nie zaprzątał sobie tym głowy. Gdy ludzie wokół niego zachowywali się osobliwie, przyjmował to z pogodą ducha. Jego terminowanie miało się zakończyć za dwa lata, wtedy będzie musiał podjąć kilka poważnych decyzji. A na razie wolał korzystać z życia.

W ciągu tego roku miała miejsce kolejna zakończona klęską wyprawa do Francji. Z wyboru rady kanclerzem został arcybiskup Canterbury – człowiek o dobrych intencjach, ale niezbyt mądry. W obliczu ogromnych wydatków wymógł na parlamencie uchwalenie nowego podatku pogłównego. Jednak tym razem, zamiast ściągnąć niski podatek od uboższych, a wysoki od bogatych, arcybiskup wyznaczył jednakową stawkę dla wszystkich – całego szylinga od głowy. Biedni płacili trzy razy więcej niż poprzednio.

– Zapłacimy mniej, bo wcześniej nałożono na nas wysoki podatek, jako że uznano nas za majętnych – tłumaczyła pani Barnikel rodzinie. – Ale pomyślcie tylko, co to oznacza dla chłopa. Jeden szyling za niego. Drugi za jego żonę. A jeśli mieszka z nimi piętnastoletnia córka, to ją też liczy się za osobę dorosłą. Czyli jeszcze jeden szyling. To razem tyle, ile płacą za kilka tygodni pracy. Skąd oni to, do diabła, wezmą? – Pokręciła głową. – Źle to widzę.

Był grudniowy dzień 1380 roku, miasto przysypał śnieg, a rzeka płynęła cicho pod mostem. Ducket, ubrany w grube wełniane odzienie, zobaczył ich, gdy zbliżał się do małego kościoła Świętego Magnusa, stojącego przy północnym skraju London Bridge. Oboje mieli na sobie ciepłe, obszyte futrem peleryny i futrzane czapki. Szli obok siebie, śmiejąc się. Silversleeves i Tiffany byli tak zajęci sobą, że nawet go nie zauważyli.

Od dawna nie widział się z Tiffany. Po pamiętnej rozmowie z Silversleevesem trzymał się swoich zasad i tylko z rzadka składał jej

wizyty, żeby podtrzymać przyjaźń z lat dziecięcych. „Weźmiesz ślub dużo wcześniej niż ja”, rzucił kiedyś wesoło.

Długonosy mężczyzna z twarzą zaczerwienioną od mrozu wyglądał całkiem przystojnie. Tiffany wpatrywała się w niego, oczy jej błyszczały radością. Chwilę później dostrzegli go. W uśmiechu Tiffany nie było najmniejszego zakłopotania, jedynie zwykła serdeczność. A Silversleeves przywitał się swobodnie, lekko żartując, jak szczęśliwie zakochany mężczyzna, który spotyka kogoś, kto przecież nie może być jego rywalem. Czyż nie było to naturalne? Czy młody, zdolny prawnik z dobrej rodziny, z dobrymi perspektywami na przyszłość, nie jest odpowiednim kandydatem na męża dla tej ślicznej dziewczyny, o której Ducket nawet nie mógł marzyć?

Skąd więc to gwałtowne, zaskakujące uczucie, które nim owładnęło, gdy mijał ich na ulicy? Fala gorąca i błysk objawienia, moment całkowitej jasności: to ta jedyna.

Ale jak to? Nie wolno mu. To bez sensu. Przecież wcale nie chciał i nie zamierzał zakochać się w Tiffany Bull!

Nadeszła wigilia świętej Łucji, zimowe przesilenie, północ roku. Długa, głęboka noc, ciemna jak nicość, w której wszystko mogło przepaść. I całe szczęście, bo za szczelnie zamkniętymi okiennicami skrywał się nie jakiś zwyczajny sekret, ale największa tajemnica wszechświata.

To, że owa tajemnica znajdowała się tego dnia w granicach miasta, wynikało z niewielkich zmian administracyjnych. Z upływem czasu granice Londynu przesunęły się znacznie poza starożytne mury. Obecnie wyznaczały je łańcuchy przecinające w kilku miejscach drogi dojazdowe – zatrzymywał się tu ruch i pobierano myto. Te nowe bramy wjazdowe nazywano rogatkami. Po zachodniej stronie były dwie rogatki. Niecały kilometr za Ludgate, na drodze nazywanej dziś Fleet Street, obok dawnych

terenów zakonu templariuszy, znajdowała się Temple Bar[18]. A w takiej samej odległości od Newgate – Holborn Bar.

I właśnie pomiędzy nimi powstała dzielnica prawników, najlepiej wykształconych ludzi w mieście. Już od dawna w okolicy znajdowały się zajazdy dla adeptów prawa. Ale od kilkudziesięciu lat juryści zjeżdżali się coraz liczniej jak stada szpaków. A niektóre szkoły prawnicze i ich siedziby zyskiwały stałe nazwy: Gray’s Inn, Lincoln’s Inn. Nawet tereny należące do świątyni templariuszy wydzierżawiono po rozwiązaniu zakonu bystrym, wiecznie rozgadanym prawnikom. Przez środek dzielnicy, od Holborn do Fleet Street, biegła wąska ulica zwana Chancery Lane. I właśnie tutaj z niewielkiego, okolonego murem podwórka można byłoby zobaczyć, gdyby nie zamknięte okiennice, jak w małej izbie na pierwszym piętrze tajemnica wszechświata jest – niczym subtelna umowa prawnicza – drobiazgowo analizowana i rozkładana na czynniki pierwsze z niecierpliwym oczekiwaniem na efekty.

Fleming, z twarzą zwróconą ku żarzącym się węglom na palenisku, patrzył jak urzeczony na ciemną postać. Czarownik miał na sobie czarną szatę z wyszytymi złotą nicią wyobrażeniami Słońca, Księżyca i planet. Na stole pośrodku pokoju stało może dwadzieścia słoiczków, miseczek, fiolek, zlewek i retort. Poruszający się czarownik raz wyglądał jak dziwny, groźny ptak, a kiedy indziej jak ksiądz odprawiający nabożeństwo. Prezentował się wspaniale, wręcz hipnotyzująco.

– Masz rtęć?

Kupiec podał mu drżącą ręką fiolkę, w której były dwie uncje płynnego metalu.

– Wystarczy. – Czarownik skinął głową z aprobatą. A potem bardzo ostrożnie odmierzył jedną uncję i przelał ją do małego glinianego tygielka. – Pilnuj ognia – rozkazał.

Fleming posłusznie wziął się za miechy.

Czarownik robił wszystko z największą uwagą. Z jednej miseczki wziął żelazne opiłki, z drugiej palone wapno. Do tego dodał saletrę, kamień winny i ałun. Potem sięgał do słoiczków, żeby wyjąć siarkę, palone kości i suszone ziele podejźrzonu. Teraz dodał cudowny proszek, niezwykle drogi, którego składu nikomu nie zdradził, a na końcu, jakby w uprzejmym uznaniu dla gościa, zmielił jedno z ziaren pieprzu, które tydzień wcześniej otrzymał od kupca, i dodał je do wszystkich składników. Przez kolejne pięć minut, z twarzą w połowie skrytą w cieniu, mieszał i ogrzewał magiczną miksturę, aż wreszcie zadowolony w nabożnym skupieniu wlał trochę do fiolki. Odwrócił się i spojrzał z powagą na wklęsłą twarz swojego ucznia.

– Gotowe – oznajmił cicho.

Fleming poczuł, że brakuje mu tchu.

– Jesteś pewien? – odważył się zapytać.

Alchemik skinął głową.

– Oto eliksir – szepnął.

Nic dziwnego, że Fleming drżał na całym ciele. W eliksirze zawierała się tajemnica wszechświata. Mój dobry Boże, oto teraz wytworzą złoto.

Średniowieczna alchemia – czy zwać ją sztuką, czy nauką – opierała się na bardzo prostej zasadzie. Tak jak sfery niebieskie wznosiły się w określonym porządku ku sklepieniu niebios, tak jak aniołowie mieli swoją hierarchię – od zwykłych skrzydlatych posłańców po świetlistych serafinów stojących obok Boga – tak samo wszystkie składniki świata przyrody zostały ułożone zgodnie z boskim porządkiem, od tych wulgarnych po najczystsze.

Nie inaczej było z metalami. Filozofowie znali siedem metali odpowiadających poszczególnym planetom: ołów przyporządkowany był Saturnowi, cyna Jowiszowi, miedź Wenus, żelazo Marsowi, rtęć

Merkuremu, srebro Księżycowi, a złoto, najczystsze ze wszystkich, olśniewającemu Słońcu.

Oto gdzie tkwiło sedno niezwykłej tajemnicy: wraz z upływem czasu – nikt nie wiedział, jak długo musiałoby to potrwać – każdy metal miał się oczyszczać pod wpływem ciepła Ziemi i kolejno przechodzić w bardziej wysublimowaną postać: żelazo w rtęć, rtęć w srebro, aby wreszcie, na krańcu czasu, osiągnąć formę najczystszego złota, stan najwyższej doskonałości.

„A gdyby tak – zastanawiali się filozofowie – przyspieszyć ten proces, uszlachetnić podstawowy metal do jego najczystszej postaci, czyli złota?". I tak jak jedni ludzie szukali uzdrowienia, udając się na pielgrzymki do świętych miejsc, a rycerze z legend poszukiwali Świętego Graala, tak uczeni zwani alchemikami poszukiwali substancji, która pozwoliłaby przekształcać metale z niższych form w wyższe. Owa magiczna esencja, czymkolwiek by była, musiała zawierać w sobie tajemnicę wszechświata. Nazywano ją eliksirem lub kamieniem filozoficznym.

I Silversleeves właśnie ją odnalazł.

Minęło pięć lat, od kiedy Benedict Silversleeves został mistrzem wiedzy tajemnej, a Fleming był tylko jednym z jego licznych uczniów – każdy z nich wierzył, że jako jedyny został dopuszczony do tajemnicy – którzy darzyli go nabożną czcią. Silversleeves panował nad wszystkim. Nie tylko wzbudzał podziw swoją wiedzą nawet wśród ludzi wykształconych, ale także umiał zamieniać zwykłe metale w szlachetne. W każdym razie tak myśleli jego uczniowie, albowiem dokonywał tego na ich oczach.

Tak naprawdę cud był bardzo prosty. I choć Silversleeves opracował kilka sprytnych wariantów tej sztuczki, to najbardziej lubił ten najłatwiejszy. I właśnie nim się teraz posłużył.

Nalał kilka kropli eliksiru do tygla, a potem umieścił go nad ogniem. Wpatrując się w naczynie, mieszał zawartość długim, cienkim patykiem. A nawet zgodził się łaskawie, by Fleming też przez chwilę pomieszał niezwykłą substancję. Kupiec nie wiedział, że sprytny prawnik umieścił wcześniej we wnętrzu patyka granulki czystego srebra, przylepione na końcu kawałeczkiem wosku. Podczas mieszania w tyglu wosk rozpuszczał się i granulki srebra wypadały. Podobną sztuczkę Silversleeves mógł wykonać z każdym metalem.

Tak oto jego klienci byli świadkami, jak w roztopionym ołowiu pojawia się żelazo, jak żelazo, cyna i rtęć zamieniają się w srebro. Jednak nigdy nie dane im było zobaczyć, jak powstaje złoto.

Na tym właśnie polegał spryt Silversleevesa. Skoro potrafił przemienić zwykły metal w srebro, to z pewnością któregoś dnia uda mu się wykonać ostatni krok, czyli wytworzyć złoto. Wiara jego uczniów była wielka, a chciwość jeszcze większa. Jak człowiek opętany hazardem, przychodzili do niego wiele razy. Z pieniędzmi.

„Nie chodzi o żelazo czy rtęć – tłumaczył. – To możecie zrobić sami. Chodzi o proszek potrzebny do stworzenia eliksiru. A on kosztuje majątek. I dlatego potrzebuję waszej pomocy”. To prawda, uzyskanie odrobiny proszku kosztowało co najmniej pięć marek.

Eliksir składał się głównie z kredy i wysuszonego łajna, więc Benedict Silversleeves, dopóki nie otrzymał awansu w swojej prawniczej profesji, całkiem nieźle sobie radził.

Czemu to robił? Kiedy wyznał Bullowi, że jego majątek jest bardzo skromny, w jego słowach nie było ziarna prawdy. Skłamał w żywe oczy. Gdy jego matka umierała, był praktycznie bez grosza.

A młody człowiek bez pieniędzy stał na straconej pozycji. Dla bogatego kupca dobrym kandydatem na zięcia był młodszy syn ze szlacheckiego

rodu – pod warunkiem że rodzinny majątek zapewniał mu odpowiednią pozycję społeczną, a jeszcze lepiej finansowe wsparcie na nowej drodze życia. Równie dobrym kandydatem był potomek starej londyńskiej rodziny, taki jak Silversleeves, ale musiał posiadać zasoby finansowe. Jednak młody człowiek bez grosza przy duszy stawał się zwykłym oszustem, przedmiotem pogardy i podejrzeń. Dlatego Silversleeves wpadł na pomysł zdobycia skromnego majątku. Piękne stroje, wspaniały koń – za wszystko zapłacili tacy głupcy jak Fleming. A on musiał tylko kontynuować swój proceder w czasie długich i delikatnych zalotów do bogatej panny. Jego czelność i cierpliwość były godne podziwu.

Fleming wpadł w pułapkę, gdy tylko wdał się w rozmowę z młodym prawnikiem w gospodzie „U George’a”. Z każdym miesiącem kupował więcej proszku, patrzył, jak zwykłe metale zamieniają się w srebro, potajemnie naruszał swoje oszczędności, aż w końcu nie mógł nawet zapłacić podatku. I ciągle marzył. Bo kiedy wreszcie z tygla wyłoni się złoto, życie stanie się proste i łatwe. A co tam, kupi nie tylko karczmę „U George’a”, ale i Tabarda i wszystkie inne gospody od Southwark do Rochester, a nawet i do Canterbury. Pani Barnikel będzie robiła to, co zechce. Fleming będzie jej kupował futra i piękne stroje. A ona będzie mu za to wdzięczna, będzie go kochała, a nawet szanowała, tak jak wszystkie wdowy szanują swoich mężów. Amy wyjdzie za mąż za dżentelmena. A jak będzie chciała, to i za Carpentera. I wszyscy będą szczęśliwi. Serce biło mu mocniej w wątłym ciele, twarz promieniała. Bo być może to wszystko stanie się jeszcze tego wieczoru.

Większość szarlatanów zajmujących się przestępczym procederem tłumaczyła swoje niepowodzenia wadami utensyliów albo złą jakością dostarczanych składników. Jednak Silversleeves miał bardziej eleganckie usprawiedliwienie.

„Eliksir jest idealny – mówił. – Kazałem zbadać jakość srebra, które udało ci się uzyskać. Jest czyste. Ale ostatnie przejście do najszlachetniejszego złota rodzi problemy. Nawet eliksir potrzebuje wsparcia gwiazd i planet. Gdy wszystkie ciała niebieskie znajdą się w odpowiedniej koniunkcji, uda się, zobaczysz". I właśnie z tego powodu – oraz dlatego, że postanowił kupić Tiffany nowy kaptur – gdy tylko zapadł zmierzch i skończył się jeden z najkrótszych dni w roku, Silversleeves wysłał do kupca pilną wiadomość: „Przyjdź dziś wieczorem. Merkury jest w ascendencie".

Wielki kataklizm z 1381 roku zaskoczył Geoffreya Ducketa. Mało kto w Anglii mógł przewidzieć coś takiego. Wiosna minęła dość spokojnie. Fleming był przygaszony, ale Ducket, nie wiedząc o uzależnieniu swojego pana od alchemii, nie zwracał na to specjalnej uwagi. Odwiedził kilka razy Tiffany, a przy okazji dowiedział się, że rodzina Bulla coraz przychylniej patrzy na Silversleevesa.

Owszem, słyszał coś o niepokojach na wsi. Nowy podatek pogłówny stawał się źródłem coraz większych problemów. Chłopi się burzyli, unikanie podatku było na porządku dziennym, zwłaszcza we wschodnich hrabstwach. Ale to wszystko nie miało wpływu na życie Ducketa.

W marcu okazało się, że przychody z podatku pogłównego są za małe. Tym razem rada nieletniego króla postanowiła okazać stanowczość. Któregoś ranka Ducket usłyszał wieść: „Jeszcze raz wysyłają poborców do Kentu i Anglii Wschodniej". Kent był tak samo bogaty i niezłomny jak Londyn. Ale Anglia Wschodnia, która straciła niezależność już dawno temu, boleśnie odczuła wprowadzenie podatku pogłównego. W hrabstwach o mocnej strukturze feudalnej większość wiosek miała swojego pana, który, czy to z dobroci, czy to kierując się własnym interesem, wspomagał uboższych chłopów w płaceniu podatku. Natomiast w Anglii Wschodniej,

gdzie przeważały małe, samodzielne gospodarstwa, dworskich majątków było mniej, przez co chłopi mocniej odczuli skutki pogłównego.

W kwietniu i maju ciągle napływały nowe wieści o działaniach poborców. W samym tylko mieście Norwich znaleziono sześćset osób uchylających się od płacenia podatku. Na wschodnioangielskiej prowincji znaleziono i zmuszono do płacenia ponad dwadzieścia tysięcy poddanych, co stanowiło prawie dziesięć procent dorosłej ludności.

Na początku czerwca pojawiły się złowrogie wieści. „W Essexie zamordowano trzech poborców". A dzień później: „Pięć tysięcy chłopów rozpoczęło ruchawkę. Rozsyłają posłańców po całym Kencie". I rzeczywiście, wieczorem, jeszcze przed zachodem słońca, po straganach na West Cheap rozeszła się pogłoska: „Kent się zbuntował". Rankiem 7 czerwca Ducket usłyszał, że rebelianci zaatakowali zamek w Rochester. Nie mógł w to uwierzyć, więc spotkawszy później Bulla na ulicy, zapytał, czy to prawda.

– Niestety, tak – potwierdził ponuro kupiec. – Właśnie mi doniesiono, że dołączyła do nich połowa chłopów z okolic Bocton. Wybrali nawet przywódcę. – Zaklął pod nosem. – Niejakiego Wata Tylera.

Zaczęła się wielka rewolta chłopska.

Gdy w Essexie ludzie zbierali się w gromady, a reszta Anglii Wschodniej szykowała się do powstania, Wat Tyler szybko poprowadził swoich zwolenników starą drogą do Canterbury. Arcybiskupa, którego obwiniano o nałożenie podatku, nie było, więc tłum splądrował jego siedzibę i otworzył bramy więzienia. A potem Tyler zawrócił. Nadszedł czas rozprawy z nieletnim królem.

Marsz na Canterbury poza tym, że pozwolił Tylerowi zorganizować swoje oddziały, miał jeszcze jeden istotny skutek. Z więzienia uwolniono kaznodzieję nazwiskiem John Ball, który już dawno naraził się Kościołowi

płomiennymi i wywrotowymi kazaniami. Nie był człowiekiem wykształconym jak Wyclif, który czuł do niego niechęć, ale nawoływał do radykalnej reformy całego królestwa i dla wielu zwolenników Tylera był ludowym bohaterem. Z Tylerem jako dowódcą i Ballem jako prorokiem cała kampania zamieniała się w chłopską krucjatę.

Londyn opanowało drżenie. Oto bowiem od wschodu zbliżały się dwie potężne siły: znad północnych krańców ujścia Tamizy nadchodziły oddziały z Essexu, a z południa ludzie Tylera. Jeden i drugi tłum liczył po kilkadziesiąt tysięcy chłopów. Król, rada i przerażony arcybiskup schronili się w Tower, ale nie dysponowali siłami zdolnymi stawić opór takiej liczbie buntowników. Arcybiskup, tracąc grunt pod nogami, gotów był zrezygnować ze stanowiska kanclerza. Tak naprawdę nikt nie wiedział, co robić.

Była środa. Ducket i Fleming zwijali właśnie stragan, gdy gruchnęła wieść: „Już są! Ludzie z Essexu rozłożyli obóz przy Mile End”. Czyli zaledwie pięć kilometrów za bramą Aldgate. „Tyler stanął w Blackheath”. W takiej samej odległości, tyle że na południowym brzegu Tamizy. Sprzedawcy pospiesznie pakowali się i wracali do domów. Fleming też. Przechodząc przez London Bridge, usłyszeli: „Burmistrz wydał rozkaz podniesienia na noc mostu zwodzonego”. Na głównej ulicy Southwark ludzie zabijali deskami fronty domów. Pani Barnikel przywitała tych dwóch w gospodzie z ponurą miną. W ręce trzymała dużą pałkę. Schowali towar w składziku i zabarykadowali bramę. Nic więcej nie mogli zrobić. Pani Barnikel obeszła każdy kąt i skinęła głową z aprobatą.

– Gdzie ta dziewczyna się podziewa? – spytała z niepokojem. Bo Amy gdzieś wyszła. Na szczęście pojawiła się po kilku minutach, więc matka tylko coś mruknęła i więcej nie zwracała na nią uwagi.

Ale gdy Ducket wszedł do kuchni, poczuł, że ktoś chwyta go mocno za ramię. Amy zaciągnęła go do kąta. Była bardzo blada.

– Pomóż mi – szepnęła. – Chodzi o Bena. – Zaczęła cicho płakać. – Nie mogę go nigdzie znaleźć. Boję się, że coś mu się stanie.

– Nie martw się – pocieszył ją. – Nie mógł odejść daleko. Poza tym buntownicy nie weszli jeszcze do miasta.

Jednak Amy pokręciła głową.

– Nic nie rozumiesz – syknęła. A widząc jego zdziwienie, dodała: – On chyba chce się do nich przyłączyć. Podejrzewam, że jest w Blackheath.

Ducket był zadowolony. Droga do Kentu zmierzała na południowy wschód i kolejnymi tarasami wznosiła się łagodnie od dna doliny na wyżej położony teren, by w miejscu, w którym obok wioski Greenwich rzeka kończyła swój majestatyczny łuk, dotrzeć na szeroki górski grzbiet. Stąd, na rozległej, biegnącej na wschód równinie, ciągnęły się ogromne połacie wrzosowisk nazywane Blackheath.

Szedł z nim cały strumień ludzi. Może chcieli dołączyć do buntowników, a może kierowała nimi ciekawość, ale wylewali się ze wszystkich okolicznych wiosek: z Clapham i Battersea, z Bermondsey i leżącego nad rzeką Deptford. Liczne grupy z Essexu przeprawiały się promami przez rzekę i bratały z mieszkańcami Kentu. Ale widok Blackheath zapierał dech w piersiach.

Ducket jeszcze nigdy nie widział takiego tłumu. Nawet nie umiałby powiedzieć, ilu ich jest. Pięćdziesiąt tysięcy? Wielki obóz, skąpany w ciepłym świetle wczesnego letniego wieczoru, ciągnął się na wrzosowisku przez półtora kilometra. Paliło się kilka ognisk, tu i ówdzie stały namioty, ale większość ludzi odpoczywała na ziemi po długiej, prawie stukilometrowej wędrówce z Canterbury. Wszyscy byli wieśniakami. Widział ich szerokie, spalone słońcem twarze, chłopskie bluzy, toporne

buty. W czerwcowym upale wielu nie miało na sobie nogawic. Wszędzie unosił się mocny, przyjemny zapach ludzi pracujących w wiejskich gospodarstwach. Ale najbardziej rzucał się w oczy ich nastrój. Ducket spodziewał się posępnej, gniewnej armii, a tymczasem tylko nieliczni mieli broń, za to wszyscy byli radośni. Pomyślał, że bardziej mu to przypomina święto niż bitwę.

Bał się, że w tym tłumie nie odnajdzie Carpentera, ale już po kwadransie zauważył go rozmawiającego z jakimś rzemieślnikiem z Kentu. Podszedł do niego, mając nadzieję, że jego przybycie nie będzie źle widziane.

Carpenter ucieszył się na jego widok. Był bardziej ożywiony niż zwykle. Przedstawił Ducketa swoim przyjaciołom, a potem wziął go pod ramię i poprowadził do miejsca, skąd mogli zobaczyć jeźdźca wydającego rozkazy grupie mężczyzn.

– To Tyler – powiedział Carpenter.

Krzepki mężczyzna miał na sobie skórzaną kamizelkę, a na jego smagłej twarzy malował się władczy wyraz.

Gdy Ducket wspomniał nieśmiało, że Amy się niepokoi, a pani Barnikel przygotowuje się do obrony gospody przed atakiem hordy buntowników, Carpenter się roześmiał.

– Niczego nie rozumiecie. Ci wszyscy dobrzy ludzie – zatoczył ręką szeroki łuk – są wiernymi poddanymi. Przybyli tu, żeby ocalić królestwo. Sam król przyjedzie jutro na rokowania. I gdy tylko nas wysłucha, wszystko będzie dobrze. – Uśmiechnął się. – Czy to nie wspaniałe?

Ducketowi trudno było w to uwierzyć i pewnie zacząłby się spierać, gdyby nie to, że na południowym krańcu zgromadzenia wybuchło zamieszanie. Kilku mężczyzn ciągnęło otwarty wóz. Przez cały obóz przetoczył się szept, ludzie zaczynali wstawać i zbliżać się do wozu jakby przyciągani jakąś niewidzialną siłą.

– Chodź – powiedział Carpenter.

Stali w dogodnym miejscu, z przodu, i nie musieli długo czekać. Chwilę potem pojawił się Tyler. Obok niego jechał na siwej klaczy wysoki grubokościsty mężczyzna w brązowej sutannie. Mężczyzna zsiadł z konia i wskoczył na wóz. Wzniósł ręce i donośnym głosem, który niósł się przez całe wrzosowisko, zawołał:

– John Ball przynosi wam wszystkim pozdrowienie!

W pięćdziesięciotysięcznym tłumie zapanowała cisza jak makiem zasiał.

Takiego kazania Ducket jeszcze nigdy nie słyszał. Temat był prosty: wszyscy ludzie rodzą się równi. Gdyby Bóg chciał, by na świecie byli panowie, to uczyniłby to w dniu Stworzenia. Ale w odróżnieniu od Wyclifa, który twierdził, że każda władza musi pochodzić z boskiego nadania, ludowy kaznodzieja szedł w swych poglądach znacznie dalej. Każde panowanie człowieka nad człowiekiem jest złe. Całe bogactwo powinno być wspólną własnością. I dopóki tak się nie stanie, w Anglii nie będzie spokoju.

Jakim językiem on przemawiał! O tak, ten kaznodzieja wiedział, jak rozbudzić serca Anglików. Używając rymu i mocnej aliteracji, wygłaszał frazy, które każdemu zapadały w pamięć.

– W pałacach panuje pycha! – wołał. – Władza chce więcej i więcej. A prawnicy oddają się rozpuście.

Ducket widział, jak po każdej takiej wypowiedzi Carpenter kiwa głową i pomrukuje:

– Święta prawda. Tak właśnie jest.

– Dlaczego pan grzeje się w swoim dworze, a biedny Piotr Oracz marznie na polu? – pytał Ball. – Oto wreszcie nadszedł czas – zakrzyknął groźnie – by Jan Prawdomówny wychłostał Rogera Rabusia. Nie lękajcie się. Zgnieciecie ich. Prawdą i potęgą. Człek od pługa to nie sługa.

To był ten gęsty, dźwięczący język ich anglosaskich przodków. A potem, przywołując znany biblijny motyw, Ball wyrecytował głośno, tak aby wszyscy go usłyszeli, kuplet, który rozsławił jego kazania i już na zawsze stał się angielskim porzekadłem:

Jak Ewa wyszła z ziobra Adama,
On nie był pan, ona nie dama,

A gdy zakończył głośnym „Amen”, tłum wydał z siebie potężny ryk. Carpenter spojrzał na Ducketa błyszczącymi oczami.

– Nie mówiłem, że wszystko będzie dobrze?

Ducket miał nadzieję, że skłoni Carpentera do powrotu do domu, ale ten nie chciał o tym słyszeć.

– Musimy zaczekać na króla – upierał się.

Klnąc pod nosem, Ducket postanowił zostać na noc w Blackheath. Chodząc po obozie i rozmawiając z wieśniakami, wiele się dowiedział. Większość buntowników tak jak Carpenter nie chciała nikomu wyrządzić krzywdy. Przybyli, żeby pomóc królowi naprawić świat. A jedyne, co było do tego konieczne, jak go zapewniali, to usunięcie z kraju wszelkiej władzy. „Wtedy ludzie będą wolni”.

Ducketowi ten pomysł wydał się dziwny. Wiedział, co oznacza wolność w Londynie: pradawne przywileje miejskie i mury, które chronią londyńczyków przed królewskimi żołnierzami, cudzoziemskimi kupcami i rzemieślnikami. Wolność w Londynie oznaczała, że uczeń może zostać czeladnikiem, a nawet mistrzem. Oznaczała też gildie, sędziów, rajców i burmistrza, osadzonych na swoich stanowiskach tak samo mocno, jak mocno były przytwierdzone sfery niebieskie do kopuły nieba. Oczywiście biedni ludzie mogli czasem sprzeciwiać się bogatym rajcom, zwłaszcza gdy

chcieli uniknąć podatków. Ale nawet wtedy wiedzieli, że władza i porządek są konieczne – czym bez nich byłaby wolność Londynu?

Jednak Ducket wyczuwał, że ci wieśniacy inaczej widzą świat. Ich światem nie rządził ład stworzony przez człowieka, lecz porządek pór roku. Ludzki porządek, który londyńczykom wydawał się niezbędny, dla nich był jedynie brzemieniem.

– Kto potrzebuje pana na swojej ziemi? – spytał jeden z buntowników.

Marzyli, żeby być wolnymi rolnikami jak Anglosasi w dawnych czasach.

Ducket zauważył coś jeszcze. Gdy pytał, skąd są, niemal wszyscy odpowiadali z dumą, że z Kentu, jakby pochodzili z tego samego plemienia. Gdyby znalazł się po drugiej stronie Tamizy, wśród ludzi z Essexu, usłyszałby podobną odpowiedź. Anglowie, Jutowie, rozmaite grupy Sasów, Duńczyków i Celtów – Anglia, jak każdy inny kraj w Europie, wciąż była zlepkiem dawnych plemiennych ziem. Tego wieczoru Ducket zrozumiał coś, o czym wiedzieli wszyscy mądrzy władcy: Londyn stanowi odrębną społeczność, a w czasach niepokoju wiejskie hrabstwa zawsze cofają się do starego porządku.

Chłopi z Kentu, jak zapewniał go Carpenter, nie zamierzali skrzywdzić króla, ale Ducket miał wątpliwości co do ich innych zamiarów. Gdy spytał któregoś z wieśniaków, co myśli o kazaniu, usłyszał w odpowiedzi:

– To Ball powinien być arcybiskupem Canterbury.

– I będzie – dorzucił posępnie jego towarzysz. – Gdy tylko zabijemy tego arcybiskupa.

Zasypiając, Ducket rozważał te słowa w myślach.

Świt zapowiadał kolejny pogodny dzień, ale Ducket był głodny, a w obozie najwyraźniej brakowało jedzenia. Ciekaw był, co się dalej wydarzy. Słońce nie wstało jeszcze wysoko, gdy na rozkaz Tylera całe

zgromadzenie ruszyło na skraj wrzosowiska i zeszło szerokim zboczem nad brzeg Tamizy. Po drugiej stronie rzeki gromadzili się chłopi z Essexu.

Czekali godzinę. A potem drugą. Ducket już zamierzał wracać, gdy nagle zobaczył wielką, piękną barkę, która wraz z czterema innymi płynęła w ich kierunku. Na pokładzie był młody król. Ducket patrzył jak zafascynowany. Największa barka była pełna ludzi w bogatych strojach. Ale nikt nie miał wątpliwości, kim jest stojący na przedzie wysoki, szczupły młodzieniec o płowych włosach. Ryszard II, król Anglii, miał czternaście lat. Kilka miesięcy wcześniej, osiągnąwszy pełnoletność, wziął stery władzy w swoje ręce. Jego rada, kierowana przez przerażonego i zrozpaczonego arcybiskupa, błagała go, żeby nie jechał na to spotkanie. Jednak syn Czarnego Księcia nie był tchórzem.

Powitał go gromki okrzyk, który przetoczył się echem przez rzekę. Wszyscy pasażerowie barki z wyjątkiem króla wyglądali na przestraszonych. Łódź zatrzymała się siedem metrów od brzegu. Król podniósł rękę i tłum ucichł. Rozległ się dźwięczny głos:

– Oto jestem, panowie. Co macie mi do powiedzenia?

Ducket zauważył, że król lekko się zacina.

Odpowiedziała mu wrzawa, w której Ducket rozróżnił liczne okrzyki: „Niech żyje król Ryszard” i „Boże, błogosław króla”. Ale rozlegały się także bardziej złowrogie głosy: „Dajcie nam głowę arcybiskupa” i „Gdzie są zdrajcy?”. Chwilę potem Ducket zobaczył, że Tyler wydaje rozkazy kilku mężczyznom, którzy podpłynęli z petycją łodzią do królewskiej barki. Widział, jak król ją czyta.

– Tyler domaga się głów wszystkich zdrajców – powiedział ktoś w pobliżu.

A potem Ducket zobaczył, jak król wzrusza ramionami, kręci głową, wreszcie królewska barka zawróciła.

– Zdrada! – ryknął tłum. – Zdrada! – Gdy barka odpłynęła, rozległy się okrzyki: – Ruszajmy!

Historia Anglii zapewne wyglądałaby inaczej, gdyby ludzie na moście posłuchali Bulla. Purpurowy na twarzy, stał pośrodku London Bridge i ryczał do rajcy na koniu:

– Na miłość boską, rób, jak ci kazano! Podnieś most!

Miał całkowitą rację. Rozkazy burmistrza brzmiały jasno. Ale gdy wielki tłum z Kentu zaczął wlewać się do Southwark, rajca odpowiedzialny za most odmówił wykonania rozkazu.

– Most ma być opuszczony – oznajmił.

Dlaczego? Dopuścił się zdrady, jak mówiło potem wielu? A może bał się przeciwstawić tłuszczy? Nie wiadomo. Jednak dzień wcześniej trzech innych rajców wyprawiło się do Blackheath, skąd przynieśli wiadomość, że Tyler i jego ludzie są wierni królowi i nikomu nie zagrażają. Zapewne rajca zarządzający mostem dał się przekonać, a teraz błędnie ocenił sytuację.

– Nie prowokujcie ich – nakazał. – Pozwólcie im przejść.

– Głupiec! – wrzasnął Bull i pognał do domu, żeby zabarykadować drzwi i zaryglować wszystkie okiennice. Chwilę później jego dom otoczyła ludzka rzeka.

Dwukrotnie Ducket próbował powstrzymać swojego przyjaciela. Gdy zbliżali się do gospody „U George’a”, zauważył panią Barnikel stojącą przy drzwiach z pałką w ręce. Usiłował skierować do niej Carpentera, już ona dałaby radę go zatrzymać. Ale gwałtowna ludzka fala pchnęła ich dalej. Na skraju mostu stał już tłum czekający na przejście, inni wędrowali południowym brzegiem rzeki w kierunku Lambeth.

– Zawróćmy – prosił Ducket. – Na pewno dojdzie do rozruchów.

Ale Carpenter nie chciał słuchać.

– Nie będzie żadnych rozruchów. Przekonasz się.

I rzeczywiście, w mieście panował spokój. Tyler wydał surowy rozkaz: żadnych grabieży. Londyńczycy byli nieufni, ale zachowywali się przyjaźnie. Chłopi z Kentu rozeszli się po uliczkach i Ducket zauważył, że część z nich kupuje picie i jedzenie. Największy tłum minął Cheap, katedrę Świętego Pawła i przez bramę Newgate wylał się na Smithfield, gdzie zaczął powstawać obóz. Powrócił dobry nastrój z poprzedniego dnia. Wczesnym przedpołudniem Ducket zostawił przyjaciela i ruszył przez miasto, ciekaw, co się dzieje. Okazało się, że brama Aldgate jest otwarta – sunął przez nią rząd chłopów z Essexu. Chaucer też wyszedł, żeby na nich popatrzeć.

– Nie rozumiem, dlaczego otworzyli bramę – powiedział z kwaśną miną. – No cóż, przynajmniej nie chodzi im o moje księgi. – Spojrzał na okna swojego pokoju nad bramą.

Ducket opowiedział mu o wszystkim, co widział i słyszał.

– Czy chłopi naprawdę mogą przejąć władzę? – zapytał.

– Próbowano tego w wielu krajach, ale nikomu się nie udało. – Chaucer się uśmiechnął. – Nie przyszło ci do głowy, że Tyler obwoła się królem, a wtedy jego najważniejsi zwolennicy zostaną nowymi panami? A dziś – dorzucił – na pewno dojdzie do rozruchów.

– Skąd wiesz? – zdziwił się Ducket.

– Bo ci ludzie nie mają nic do roboty – odparł poeta.

Już po południu okazało się, że miał rację.

Gdy po godzinie Ducket dołączył do Carpentera w Smithfield, zauważył w tłumie pierwsze oznaki zniecierpliwienia. Ktoś zaczął śpiewać. Pojawiły się też grupy londyńczyków. Byli wśród nich prości terminatorzy szukający rozrywki, ale inni wyglądali na zwykłych rozrabiaków. Wkrótce podniosły się gniewne okrzyki. A potem, czy to na rozkaz Tylera, czy z własnej woli, tłum nagle wstał i ruszył w kierunku Westminsteru. Tuż przed Charing

Cross ciżba dotarła do ogromnego pałacu Savoy, siedziby samego Jana z Gandawy. Nareszcie mieli cel.

Cały Savoy stał w płomieniach. Niedługo ten potężny symbol feudalnych przywilejów miał się zamienić w dymiący popiół. Wbrew rozkazom Tylera rabusie – głównie rzezimieszki z Londynu – uwijali się jak w ukropie. Ducket patrzył na to ze smutkiem, bo pałac był piękny. Carpenter wyglądał na oszołomionego.

– To się musi zmienić. Inaczej być nie może – pomrukiwał co chwila.

Ducket uznał, że dopóki Carpenter stoi w tłumie, nic złego nie może mu się przytrafić, więc odszedł kawałek w kierunku Temple, gdzie podpalono domy kilku prawników. Ale gdy wrócił, Carpenter przepadł. Rozglądał się przez chwilę, a potem spojrzał na pałac Savoy.

Co go opętało? Carpenter szedł właśnie przez dziedziniec jak lunatyk. Wokół niego biegali mężczyźni z zagrabionymi łupami. Stolarz zmierzał do jednego z budynków, jakby przyciągany przez płomienie. Ducket zareagował instynktownie, nie zastanawiał się ani chwili. Rzucił się pędem.

Niestety, gdy tylko dobiegł na miejsce, budynek runął. Widząc, że Carpenter pada, Ducket wskoczył do środka. Udało mu się wyciągnąć przyjaciela, ale sam mocno się poparzył. Carpenter był nieprzytomny. Z pomocą jakiegoś mężczyzny Ducket zaniósł go w bezpieczne miejsce.

Pół godziny później Carpenter doszedł do siebie, choć nadal był w szoku. Ucierpiał od poparzeń. Ducket zostawił go pod opieką braci w szpitalu Świętego Bartłomieja i ruszył do Southwark, żeby przekazać Amy uspokajające wieści.

James Bull łatwo się nie poddawał. To prawda, w ciągu ostatnich pięciu lat jego bogaty kuzyn nie przysłał po niego. Prawda również, że rok wcześniej, uznawszy, że nadszedł odpowiedni moment, wysłał Tiffany kwiaty wraz

z niezdarnym wierszem, ale nie dostał żadnej odpowiedzi. Wciąż jednak zastanawiał się, jak zwrócić na siebie uwagę kupca i zasłużyć na jego uznanie.

Gdy James Bull zobaczył, że ludzie Tylera wchodzą do Londynu, od razu wiedział, na co się zanosi. Niemal wszyscy londyńczycy byli przeciwni podatkowi pogłównemu, wielu sprzyjało buntownikom z Kentu, a niektórzy się do nich przyłączyli. Jednak James miał inne zdanie. Uważał chłopów za wichrzycieli. I nie musiał się nad tym długo zastanawiać, intuicyjnie wiedział, co należy zrobić. Bunt trzeba stłumić w zarodku. Tak postąpiłby każdy Bull. Obserwując tłum z pewnej odległości, podążał za nim do pałacu Savoy. I widząc, co się dzieje, postanowił działać.

Nigdy później nie miał wątpliwości, że zachował się właściwie. Wyciągnął trzech rabusiów z płonącego pałacu i pewnie by na tym nie poprzestał, gdyby tłuszcza nie zagroziła mu linczem. Dlatego postanowił szukać pomocy. Nie mogąc znaleźć żadnych strażników, popędził do Ludgate z nadzieją, że tam spotka żołnierzy. Bo skoro chciał zdobyć sławę i zasłużyć na podziw kuzyna z London Bridge, musiał zrobić coś wyjątkowego, i to na oczach świadków. Gdy minął Temple i dotarł na Chancery Lane, zobaczył Silversleevesa na pięknym koniu.

– Zabierz mnie do Tower! – krzyknął. – Musimy sprowadzić pomoc.

Ale prawnik spojrzał na niego bez słowa i odjechał szybko na zachód drogą omijającą Savoy szerokim łukiem.

Jednak nieoczekiwany uśmiech losu sprawił, że tuż przed mostem zobaczył samotnego buntownika. Nie mógł się mylić: białe pasmo włosów, poparzone dłonie. Dopadł do mężczyzny, rzucił się na niego z okrzykiem: „Mam cię!”. Rabuś chciał mu się wyrwać i to zapewne opatrzność sprawiła, że na moście ukazała się postać bogatego kuzyna.

– Pomóżcie mi, panie! – krzyknął James. – Ten chłystek okradał Savoy!

Zdziwił się nieco, gdy kupiec zwrócił się do złodzieja, jakby go znał:

– A teraz, Ducket, zapłacisz za to – powiedział groźnie.

W kuchni domu na London Bridge czas mijał wolno. Bull nie zwracał uwagi na protesty Ducketa. James popędził tymczasem do Tower. Byłby więcej niż zadowolony, gdyby usłyszał pochwalne słowa pod swoim adresem. „Dzielny młodzieniec. Wyrósł na prawdziwego mężczyznę. Nie doceniłem go". Dla Ducketa kupiec nie był tak łaskawy. „Zostaniesz pod kluczem, dopóki nie przekażę cię władzom", zapowiedział. Drzwi zaryglowano, zamknięto okiennice. Została z nim tylko jedna osoba, gruba pomocnica kucharki. „Masz go pilnować – przykazał Bull. – Gdyby czegoś próbował, wołaj o pomoc".

Ducket zerkał od czasu do czasu na grubaskę. Nie mając nic lepszego do roboty, próbował nawet wyjaśnić jej, że to Amy posłała go po Carpentera. Opowiedział jej, co go spotkało, zapewnił, że nie tylko nie rabował pałacu, ale wyratował stolarza z płomieni.

– Widzisz więc, że jestem niewinny – zakończył.

Ale dziewczyna żuła coś obojętnie, nie odzywając się do niego ani słowem.

Trwało to cały następny dzień. Rano do kuchni zajrzała na krótko kucharka. Nie była rozmowna, powiedziała mu jednak, że król zmierza do Mile End. Potem przez kilka godzin w domu panowała cisza. Później Ducket usłyszał odgłosy zbliżającego się tłumu. Głośna wrzawa mogła oznaczać, że coś się dzieje. Nagle rozległ się donośny ryk. Potem tłum się oddalił. Godzinę później znów pojawiła się w kuchni kucharka.

– Wdarli się do Tower i zabili arcybiskupa – powiedziała. – Zatknęli jego głowę na pice i wystawili na widok pośrodku mostu.

Wieczorem przyszedł Bull. Spojrzał na Ducketa z niechęcią.

– Twoi przyjaciele nieźle sobie poczynają – stwierdził oschle. – Król wydał prawa znoszące pańszczyznę. W zamian za to oni nie tylko zamordowali arcybiskupa, ale jeszcze włóczyli się po ulicach, podpalali domy i zabijali każdego, kto im się nie spodobał. Dotąd zginęło dwustu niewinnych ludzi. Pewnie jesteś zadowolony. – Zatrzasnął z furią drzwi i zasunął rygiel.

Nazajutrz wypadała sobota. Ranek minął spokojnie. Przed południem Ducket usłyszał tupot biegnących stóp. I krzyki, ale inne niż poprzedniego dnia. Ludzie się nawoływali. Ktoś zastukał do drzwi. Szmer gorączkowej rozmowy. Po kilku chwilach głosy ucichły. Minęły dwie godziny. Znowu okrzyki. Wiwaty. Śmiechy na ulicy. Stukot końskich kopyt przy drzwiach. Ktoś wszedł do środka w ciężkich butach. A po półgodzinie w drzwiach stanął Bull.

– Wygląda na to, że król cię ułaskawił – powiedział spokojnie.

James Bull widział wszystko. Wokół Tower nie było nikogo, kto byłby gotów ratować pałac Savoy. Natomiast jego gotowość, by służyć dobrej sprawie, była tak widoczna, że sam rajca Philpot zdobył dla niego konia i broń.

– Możesz nam się przydać – powiedział.

Odtąd James nie odstępował Philpota na krok. W ten nieszczęsny sobotni poranek był świadkiem zaskakującego apogeum chłopskiej rewolty.

Wcześnie rano, po mszy w Westminsterze, król Anglii Ryszard II wraz z niewielką świtą złożoną ze szlachty, burmistrza Londynu, Philpota i kilku innych rajców udał się do Smithfield na rokowania z Watem Tylerem.

Świadomie podjął ryzyko. Jak dotąd buntownicy nie objawiali wrogich zamiarów wobec młodego króla. Wciąż jednak mogli zniszczyć Londyn. Dochodziły też wieści o mniejszych buntach wybuchających w całej Anglii Wschodniej.

– To może się rozlać na cały kraj – tłumaczył Philpot Jamesowi. Gdyby królowi udało się namówić ludzi Tylera do powrotu do domu, uniknięto by rozlewu krwi. – Chyba że zmienią zdanie i zabiją króla – dokończył Philpot ponuro.

Dotarłszy na miejsce, zobaczyli Tylera stojącego wśród swoich ludzi po zachodniej stronie Smithfield. Niewielka grupa towarzysząca królowi zatrzymała się przed szarym wysokim gmachem szpitala Świętego Bartłomieja. Horda buntowników, stłoczona wokół placu, przedstawiała groźny widok i nawet James zadrżał. Ale syn Czarnego Księcia – w którego żyłach płynęła krew Plantagenetów, Edwarda I i Ryszarda Lwie Serce – wyjechał śmiało na środek. Sam. Tyler wyszedł mu na spotkanie.

Widząc przed sobą wolną przestrzeń, James przesunął się do przodu i znalazł się tuż za plecami burmistrza. Wcześniej nie widział Tylera, a teraz znalazł się zaledwie sześćdziesiąt metrów od niego. Dostrzegł go wyraźnie. Jak zafascynowany wpatrywał się w śniadą twarz. Wydawało mu się, że Tyler lubi sobie wypić. Zmarszczył brwi.

Tyler nie tracił czasu. Przywitał króla układnie, ale chłodno, po czym wyłuszczył swoje żądania. Seniorat ma być zniesiony. Jedynym biskupem będzie John Ball. Ogromne kościelne posiadłości zostaną skonfiskowane i oddane chłopom. Wszyscy ludzie będą równymi sobie poddanymi króla. Wreszcie Ryszard wrócił do swojej świty. James słyszał, jak monarcha rozmawia przyciszonym głosem z burmistrzem i innymi.

– Powiem mu, że rozważymy wszystkie żądania – zakończył król i odjechał do Tylera.

James Bull wpatrywał się nie we władcę, lecz w przywódcę buntowników. Gorączkowo zastanawiał się, skąd zna tę twarz.

Usłyszawszy odpowiedź króla, Tyler uśmiechnął się szeroko. Zawołał, aby przyniesiono dzbanek piwa. Jakiś człowiek natychmiast spełnił jego

polecenie. Tyler podniósł dzbanek do ust i zaczął pić prostacko. A potem mlasnął triumfalnie.

Oczywiście! James od razu sobie przypomniał. Wieczór w gospodzie „U George'a" dawno temu. Mężczyzna o śniadej twarzy, który mlaskał po każdym łyku piwa. Czyżby to on? Tak, był tego niemal pewien. I wtedy James Bull wkroczył do historii Anglii.

– Ja go znam! – krzyknął na całe gardło Smithfield. – To rozbójnik!

Nie spodziewał się, że wywoła to taki skutek. Tyler wbił w niego wzrok. Poczerwieniał – czy dlatego, że usłyszał prawdę, czy dlatego, że poczuł się obrażony. A potem stracił głowę. Rycząc jak opętany, zapominając o królu, dźgnął konia ostrogami i z obnażonym puginałem ruszył na Jamesa.

– Już jesteś trupem! – wrzasnął.

James zbladł, ale nie było czasu do stracenia. Wywiązała się szamotanina, błysnął miecz burmistrza, a potem jego giermka. Rozległ się krzyk. Koń zawrócił, pognał przed siebie, a gdy znalazł się tuż obok króla, Tyler runął na ziemię, brocząc krwią.

Zapanowała straszliwa cisza. Buntownicy oniemieli.

– Zaraz nas wszystkich rozniosą – mruknął Philpot.

Zapomniał o młodym królu. Czternastoletni Ryszard II dokonał czegoś niebywałego, okazał opanowanie i odwagę. Podniósł rękę i wjechał w tłum buntowników.

– Panowie! – zawołał. – Będę waszym dowódcą. Za mną.

Skierował się na północ w kierunku łąk.

Tłum się wahał. James wstrzymał oddech. Chwilę później buntownicy ruszyli za królem.

Zapanowała gorączkowa atmosfera. Burmistrz, Philpot i inni wierni królowi mieszczanie objeżdżali cały Londyn. Żołnierze i zwykli mieszkańcy, nabrawszy odwagi, formowali oddziały w każdej dzielnicy.

Król pertraktował z buntownikami, a tymczasem otoczyły ich siły londyńczyków.

Wszystko zakończyło się nagle i nieoczekiwanie. Rebelianci poddali się bez walki. Król był cały i zdrowy. Na miejscu nadał tytuły szlacheckie burmistrzowi i Philpotowi. Na London Bridge głowę arcybiskupa zamieniono na głowę Wata Tylera. Zarazem król Ryszard roztropnie nakazał, żeby wszyscy zwolennicy buntownika zostali ułaskawieni bez względu na to, czego się dopuścili.

Dla Jamesa Bulla chwila prawdziwego triumfu nadeszła wtedy, gdy zarumieniony i podekscytowany pojawił się przed domem na London Bridge i po raz pierwszy został zaproszony na piętro, gdzie czekał już na niego kupiec z żoną i Tiffany.

– A teraz, drogi chłopcze – powiedział bogaty londyńczyk z uśmiechem – opowiedz nam wszystko ze szczegółami.

Wielka chłopska rewolta z 1381 roku upadła. Przez jakiś czas bunt tlił się jeszcze w Anglii Wschodniej, ale klęska w Londynie odrąbała głowę rewolucji. Wszystkie obietnice złożone chłopom przez króla szybko zostały odwołane. Gdy jakiś czas później przybyła chłopska delegacja, monarcha powiedział: „Podlegaliście pańszczyźnie i nadal będziecie podlegać”. Gwiazdy powróciły na swoje miejsce, znów zapanował porządek społeczny. Z tych niepokojów płynęła polityczna nauka, o której pamiętano przez wiele stuleci. Bull ujął to zwięźle: „Podatek pogłówny sprowadza kłopoty”.

Dwa dni po śmierci Tylera, gdy do miasta wróciły ład i spokój, przed domem na London Bridge pojawił się jeździec na spienionym koniu. Ucieszył się wielce na widok Bulla.

– Dzięki Bogu, panie, że jesteście cali i zdrowi! – wykrzyknął Silversleeves. – A moja najdroższa Tiffany? – Odetchnął z ulgą. – Tak się martwiłem. – Wyjaśnił, że ważne sprawy zagnały go do West Country. –

Ale gdy tylko usłyszałem o Tylerze, popędziłem co koń wyskoczy. – Pospiesznie wszedł na górę i uściskał swoją ukochaną. – Jak ja za tobą tęskniłem! – zawołał.

Bull był wzruszony. Jedyną osobą, którą traktował z wyraźną wrogością, był Ducket.

– Przystąpił do buntowników, i to mi wystarczy – oznajmił. – Zdrajca.

W końcu wypuścił biednego chłopaka z zamknięcia, żegnając go słowami:

– Nie obchodzi mnie, jaki miałeś w tym udział. Dotrzymam zobowiązań, które złożyłem, gdy zaczynałeś termin u Fleminga, bo dałem słowo. Ale nie chcę cię więcej widzieć w moim domu.

Miesiąc później odbyły się zaręczyny Benedicta Silversleevesa i Tiffany Bull. Na prośbę Tiffany ślub miał się odbyć dopiero latem następnego roku.

Dowiedziawszy się o zaręczynach, James Bull popadł w zadumę.

– A więc to tak – mruknął.

W głębi serca wiedział, że nadzieje, które żywił przez ostatnie pięć lat, były stratą czasu, ale poczucie obowiązku wobec rodziny, a także dobre mniemanie o sobie nie pozwoliły mu się do tego przyznać. I oto teraz, gdy wreszcie zaskarbił sobie względy kupca, sprawa została przesądzona. Nagle zdał sobie sprawę, że nie ma żadnego celu w życiu. Zaczął coraz częściej zaglądać do karczmy. Nie pił dużo i nie zaniedbywał pracy, bo i tak miał dość dużo czasu, by całymi godzinami siedzieć z posępną miną przy stole.

Zauważyła go pani Barnikel. Pamiętała mgliście, że kiedyś przyszedł tutaj w podobnym nastroju. Przyglądała mu się z ciekawością.

– Mężczyzna jest tym, co w nim zobaczysz – powiedziała do córki, wskazując Jamesa. Pomyślała też rzewnie, że sama niewiele widzi w biednym Flemingu. – Tym młodzieńcem trzeba się teraz zająć – dorzuciła.

Po jakimś czasie uznała, że – jak to ujęła – powinna go wziąć pod swoje skrzydła. Gdy James się pojawiał, witała go z uśmiechem.

– Widzę, że ten przystojny młody człowiek znów nas odwiedził – mówiła niskim głosem, sadzając go przy stole. Mruczała do niego jak kotka. Dzięki jej zabiegom potężny młodzieniec poczuł się atrakcyjnym mężczyzną.

– Powinnaś wiedzieć, jak ośmielić takiego kawalera – powiedziała kiedyś do Amy, przypatrującej się z zakłopotaniem. – Nigdy nie wiadomo, co się kryje we wnętrzu.

Zastanawiała się czasem, czy zdoła ośmielić Carpentera. Nadal podziwiała jego charakter, ale to, co wydarzyło się podczas rewolty Tylera, mocno ją zaniepokoiło. Carpenter wrócił ze szpitala z kilkoma oparzeniami i wielkim guzem na głowie. Nie wiadomo jednak, jak by się to skończyło, gdyby nie Ducket. Stolarz nie zmienił swoich poglądów. „To rzezimieszki z Londynu dopuszczały się kradzieży – powtarzał z uporem. – A my nadal żyjemy pod władzą bezbożników. Ale kiedyś to się zmieni". Nie była już pewna swoich uczuć. Zarazem nadal uważała go za swojego mężczyznę. Dlatego uznała, że powinna się cieszyć, gdy tuż przed Bożym Narodzeniem zapowiedział:

– Chyba możemy wziąć latem ślub.

Po wszystkich nieszczęściach ostatnich dwunastu miesięcy początek 1382 roku przyniósł wielu ludziom nadzieję na nową, lepszą przyszłość. W styczniu miało miejsce radosne wydarzenie. Ryszard II, dzielny, młody król, poślubił Annę, skromną księżniczkę dobrego serca. Była niewiele młodsza od niego i po długiej i niebezpiecznej podróży przez morze przybyła z odległych Czech leżących we wschodniej Europie. Wszyscy widzieli, że młody król i Anna Czeska natychmiast zakochali się w sobie zupełnie jak w bajce.

W domu Bulla wszyscy życzyli sobie podobnego błogosławieństwa losu.

W ostatnim tygodniu lutego gruba pomocnica kucharki nagle przemówiła. Jeśli był ku temu jakiś powód, to dziewczyna ukryła go głęboko w zakamarkach swojej duszy.

– Ducket nie brał udziału w zamieszkach – oznajmiła niespodziewanie, gdy Tiffany weszła do kuchni. – Uratował życie człowiekowi.

Tiffany przekazała to ojcu, ale nie dał się przekonać.

– Ducket naopowiadał tej grubasce bajek. Niech sobie gada, co zechce, ale widziano go w Savoy. Poza tym przypomnij sobie podejrzenia pani Barnikel. Zdania o nim nie zmienię. – Spojrzał na córkę surowo. – A ty masz trzymać się od niego z daleka.

Tiffany schyliła pokornie głowę i nie odezwała się ani słowem.

Potem wysłała wiadomość.

Ducket zjawił się o umówionej porze w kościele St Mary-le-Bow.

Od pół roku nie wolno mu było pokazać się w domu Bulla. Patrząc na jego znajomą twarz, na błyszczące radością oczy i zawadiacki kosmyk białych włosów, poczuła wyrzuty sumienia. Dlaczego nie próbowała się z nim spotkać, nawet jeśli ojciec ma rację? Przecież Ducket musiał się poczuć jak wyrzutek. Uświadomiwszy to sobie, poczuła jeszcze większy wstyd. Ale gdy wyznała, czego się dowiedziała, nie okazał najmniejszej urazy.

– Tak się cieszę, że nie boisz się już ze mną rozmawiać. – Roześmiał się. – Ale to dziwne – wyznał – że od dwóch lat wszyscy odnoszą się do mnie z takim chłodem. Nie pojmuję dlaczego.

Tiffany znała powód. Nagle, myśląc o podejrzeniach ojca i pani Barnikel i patrząc na roześmianą twarz Ducketa, nabrała niewzruszonej, ostatecznej pewności, że ten człowiek nie byłby zdolny do żadnej podłości.

– Chyba powinieneś o czymś wiedzieć – powiedziała.

W czasie świąt wielkanocnych 1382 roku do Londynu przedostało się kilka egzemplarzy bardzo groźnej księgi. Każdy egzemplarz przepisywano ręcznie, więc liczba kopii była ograniczona. Mimo to władze zachowywały czujność.

Księgą tą była Biblia. Dosłowne i niezbyt zręczne tłumaczenie, dokonane częściowo przez Wyclifa, w większości zaś przez jego pomocników. Autorzy przekładu uważali go jedynie za pierwszy krok. Niemniej tekst był po angielsku, a ludzie pokroju Carpentera umieli czytać. Ta sytuacja budziła lęk. „Biblia po angielsku to nic innego jak podburzanie ludu", oznajmił Bull żonie. Kazania Johna Balla wciąż odbijały się szerokim echem, a widok zbuntowanej tłuszczy nadal był świeżym wspomnieniem, więc pomysł, że prości ludzie zaczną czytać Biblię i wygłaszać własne nauki, budził przerażenie w każdym porządnym obywatelu. Zwolenników Wyclifa nazywano obecnie pogardliwie lollardami [19] – określenie to oznaczało albo jąkałów, albo leni. A Biblia Wyclifa stała się znana jako Biblia lollardów. Jedno i drugie było niebezpieczne.

Carpenter chciał mieć Biblię po angielsku. Na razie udało mu się zdobyć Księgę Rodzaju. Jak inne części Biblii lollardów, Księga Rodzaju była poprzedzona kilkoma traktatami. Jak dotąd Carpenter przeczytał traktaty i święty tekst dwa razy, choć szło mu wolno. Nie przyniósł książki do gospody „U George'a", bo Amy uprzedziła go, że to mogłoby rozdrażnić jej matkę, która od czasu rewolty straciła do Wyclifa całą sympatię. Jednak kilka razy zabierał Amy w spokojne miejsce, żeby przeczytać jej po kilka rozdziałów.

– A kiedy zrobi się cieplej, będziemy mogli wychodzić wieczorami, więc przeczytam ci jeszcze więcej – obiecał.

Był deszczowy wieczór, dość zimny jak na maj. Podmuchy wiatru szarpały okiennicami. Ducket minął Ludgate. Od dnia, gdy Tiffany uprzedziła go o podejrzeniach pani Barnikel, minęły dwa miesiące. I przez te dwa miesiące czekał cierpliwie na swoją szansę, a teraz wiedział, że nie może stracić zdobyczy z oczu.

Naturalnie mógł się mylić. Ale wydawało mu się, że tajemnicze nocne wyjścia Fleminga mają związek z jego brakiem pieniędzy. Jeśli Ducket zamierzał oczyścić swoje imię, to musiał się dowiedzieć, co jego pan knuje. Tymczasem Fleming przeszedł mostkiem na drugą stronę Fleet i podążał na zachód w kierunku Temple Bar.

Deszcz siekł mu w twarz, wzrok z trudem przebijał ciemność. Tuż przed Temple Bar Fleming skręcił znienacka w prawo i ruszył w głąb Chancery Lane. Ducket rzadko zapuszczał się w te rejony i teraz był ciekaw, czego jego pan tu szuka. Chciał podejść do niego trochę bliżej. Podmuch wiatru znów chlusnął mu deszczem w twarz. Przetarł oczy.

Fleming zniknął.

Ducket rzucił się biegiem, ryzykując, że zostanie zauważony. Sto metrów, dwieście. Ani śladu Fleminga.

– Nie mógł nigdzie dalej pójść – mruknął pod nosem. – Musi gdzieś tu być. – Ruszył z powrotem.

Po obu stronach ulicy stały domy. Wydawało się, jakby ich wysokie ściany szczytowe i rzeźbione belki wychodziły z ciemności na spotkanie. Zauważył, że minął już dwadzieścia zaułków i podwórek – w każdym z nich mógł przepaść Fleming. Tu i ówdzie sączyło się słabe światło przez drzwi i okna. Postanowił szukać dalej. Gdyby chociaż udało mu się zobaczyć, skąd Fleming wychodzi, to znałby cel jego wędrówki następnym razem. Chodził po ulicy w tę i z powrotem, nie zważając na rzęsisty deszcz.

Minęło pół godziny. Godzina. Akurat wszedł na małe podwórko, gdy usłyszał trzask otwieranej okiennicy. Spojrzał w górę i w oknie zobaczył znajomą twarz.

Fleming z coraz większym podnieceniem wpatrywał się w ogień. Tym razem, pomyślał, musi się udać.

Musi. Za miesiąc będzie ślub jego córki. A co on dla niej ma? Nic. Pomyślał o żonie. Kiedy ostatnio usłyszał od niej dobre słowo? Tylko pieniądze mogły go uratować. Znów wziął więc wszystkie oszczędności ze skrytki i przyniósł je Silversleevesowi. Alchemik też był dobrej myśli.

– Robię to ostatni raz – zapowiedział. – Nie będzie więcej takiej potrzeby. – Uśmiechnął się, widząc, że kupiec zastanawia się, czy to znaczy, że wytworzą złoty kruszec. – Tak, przyjacielu – powiedział, dziękując w duchu za Tiffany i jej majątek. – Niedługo będę bardzo bogaty.

W izbie było gorąco. Silversleeves, ubrany w czarnoksięską pelerynę, pochylił się nad stołem. Powoli mieszał składniki eliksiru, dodając do nich odrobinę soli i czosnku. Czas mijał. Robiło się coraz duszniej, ogień syczał, deszcz zalewał okiennice. W końcu Silversleeves był gotów.

– Podłóż do ognia – polecił kupcowi.

W tym momencie okiennica ustąpiła pod naporem wiatru. Zniecierpliwiony Silversleeves nakazał gestem ją zamknąć. Dlatego Fleming musiał wychylić się przez okno. Zaraz potem wrócił do ognia.

Tygiel bulgotał.

– Myślisz… – zaczął Fleming, ale Silversleeves położył palec na ustach. Kupiec aż wyprężył się na palcach, patrząc z niecierpliwością na naczynko stojące niepewnie na węglach. Deszcz bębnił w okiennice. Fleming nawet nie zauważył cichego skrzypienia przy drzwiach. Tygiel zasyczał.

Potem wydarzyło się coś dziwnego. Wszystko zaczęło drżeć. Silversleeves też to zauważył, bo spojrzał ze zdziwieniem na kupca. Teraz

poruszał się już nie tylko tygiel na ogniu, ale także zlewki i miseczki na stole. Zaczęły stukać drzwi i okiennice, tygiel wręcz podskakiwał. Podłoga drgnęła, a potem zakołysały się ściany i cały dom.

– Dobry Boże! – krzyknął Fleming w ekstazie. – Stało się!

Tak właśnie musiał wyglądać cud alchemii. Cud się dokonał, więc i planety pędziły jak szalone, a sfery niebieskie wirowały dziko wraz z domem. Kupcowi przyszła nawet do głowy przerażająca myśl, że Silversleeves doprowadził do końca świata. Alchemik wyglądał na strwożonego.

W tym momencie drzwi otworzyły się.

Ducket patrzył na wszystko z rozdziawionymi ustami. Nie mógł uwierzyć w to, co widzi. Najpierw rzucił się przez podwórko i po omacku wbiegł po chybotliwych schodach na półpiętro. Chwilę później cały dom i inne budynki wokół zaczęły drżeć.

Nigdy wcześniej nie był świadkiem trzęsienia ziemi, nawet nie słyszał o czymś takim. Silne trzęsienie ziemi w maju 1382 roku było jednym z nielicznych odnotowanych w historii Londynu. I choć nie wyrządziło poważnych szkód, przeraziło mieszkańców. Zaglądając do izby, Ducket nie miał czasu na zastanowienie. Wprawdzie w tej dzielnicy nie mieszkały prostytutki, podejrzewał jednak, że jego pan spotyka się potajemnie z kobietą. Albo gra w kości lub uprawia inny hazard i w ten sposób traci pieniądze. Chciał ostrożnie uchylić drzwi, zobaczyć, co się dzieje w środku, a potem wycofać się niepostrzeżenie. Lecz gdy nacisnął klamkę, ziemia zadrżała gwałtownie, wskutek czego wpadł z impetem przez drzwi do środka. Zamrugał oczami w dziwnym świetle i zobaczył Fleminga wyglądającego tak, jakby zobaczył ducha, oraz magika stojącego przy ogniu. Nie, nie magika. Zmarszczył brwi. Patrzył prosto na bogobojnego

i szanowanego Silversleevesa – tyle że w tym momencie nie była to twarz pobożna ani bogobojna. Malowało się na niej zażenowanie i poczucie winy.

– Co wy robicie?! – krzyknął.

– Ducket! – Kupiec z ulgą rozpoznał znajomą postać. – Nie mówiłem ci, że pewnego dnia zobaczysz cud? – Jego twarz wyrażała anielskie szczęście. – Sam się przekonaj. Właśnie udało nam się wytworzyć złoto.

Ducket słyszał wcześniej o alchemii.

– Łotrze! – krzyknął do Silversleevesa.

Prawnik skulił się ze strachu.

Ducket był zaskoczony, że tak łatwo zapanował nad sytuacją. Początkowo trudno mu było przekonać Fleminga, że padł ofiarą oszustwa.

– Przecież to są zwykli szalbierze! – krzyczał. – Nie robią żadnego złota! Każą ci tak myśleć, żeby wyłudzić od ciebie pieniądze. Te ich czary to zwykły podstęp. – Podszedł do tygla. – I gdzie jest złoto? – spytał. – Nie ma!

Biedny kupiec pojął prawdę dopiero wtedy, gdy Silversleeves wyznał wszystko, żeby uniknąć rozkwaszenia nosa.

– Okradł mnie ze wszystkich pieniędzy – mruknął Fleming.

– Ale będzie musiał je zwrócić – powiedział Ducket stanowczo.

Jednak prawnik już odzyskał pewność siebie.

– Ja już ich nie mam. – Uśmiechnął się przymilnie.

Ducket sądził, że Fleming wpadnie w złość albo zagrozi Silversleevesowi ujawnieniem przestępczego procederu, jednak zapomniał o jednym: ofiara była tak samo winna jak sprawca. Kupiec zwrócił się do niego ze łzami w oczach.

– Zawsze byłem dla ciebie dobry – jęknął błagalnie. – Obiecaj mi, że nikomu o tym nie powiesz. – Zwiesił głowę. – Gdyby moja żona albo Amy

dowiedziały się o wszystkim… Nie przeżyłbym tego. Musisz mi to przysiąc.

Ducket się wahał. Zauważył, że Silversleeves uśmiecha się ironicznie. Z pewnością sprytny prawnik uznał, że jemu też się upiecze.

– Rozpowiem o tym w całym Londynie, chyba że ty mi coś obiecasz – zwrócił się spokojnie do Silversleevesa. – Zrezygnujesz z Tiffany. Zerwiesz zaręczyny. Inaczej wszyscy się dowiedzą, kim naprawdę jesteś.

– Nie zrobisz tego. – Silversleeves zbladł.

– Zrobię. Wybieraj – powiedział zdeterminowany Ducket.

Prawnik uznał, że musi ustąpić.

– Zgoda.

Następnego ranka, gdy całe miasto rozprawiało o trzęsieniu ziemi i szacowało straty, do Bena Carpentera nieoczekiwanie uśmiechnął się los. Mężczyzna, z którym potajemnie spotkał się przy katedrze Świętego Pawła, zamiast Księgi Wyjścia przyniósł mu całą przetłumaczoną Biblię. Zaproponował cenę wprawdzie dość wysoką, ale nieprzekraczającą jego możliwości finansowych.

Oto więc Carpenter miał całą Biblię. Wciąż nie mógł w to uwierzyć. Owszem, wydał większość swoich oszczędności, ale taką księgę kupuje się przecież raz w życiu. Zawinął ją w płótno, włożył do worka i zaniósł do domu.

Musiał zachować ostrożność. Lollardów wciąż darzono wielką nieufnością, a zaledwie kilka dni wcześniej kościelny synod obradujący u dominikanów stanowczo potępił poglądy Wyclifa, nazywając je herezją. Osoba posiadająca taką Biblię stawała się podejrzana. Dlatego Carpenter ukradkiem schował księgę w szafie.

I wtedy przyszła mu do głowy pewna myśl. Od zeszłego lata dręczyły go wyrzuty sumienia, że nie podziękował odpowiednio Ducketowi za

uratowanie mu życia pod pałacem Savoy. Chciał mu dać trochę pieniędzy, ale ten odmówił. Dlatego stolarz często zastanawiał się, jak mógłby się odwdzięczyć. Teraz odpowiedź nasunęła się sama. W nabożnym skupieniu, ale i z radosnym uśmiechem, wziął do ręki Księgę Rodzaju.

Silversleeves wyszedł z domu późnym popołudniem. Postanowił zabić Ducketa.

Rozważył całe ryzyko. Nie sądził, że Fleming go zdradzi, ale Ducket na pewno zacznie gadać, gdy tylko dowie się, że Silversleeves nie zerwał z Tiffany. Ani przez chwilę nie zamierzał zrezygnować z dziewczyny. Gdy pozbędzie się Ducketa, nic już nie będzie mu groziło. Logika tego rozumowania była niepodważalna. Ducket musi umrzeć.

Mimo wszystko denerwował się, chowając pod tuniką puginał.

Najpierw postanowił pójść do domu na London Bridge, żeby upewnić się, że sprawa nie wyszła na jaw. Przywitano go życzliwie. W zachowaniu Tiffany nic nie wskazywało na to, że poznała prawdę. Wychodząc, natknął się na Bulla, uprzejmego jak zawsze.

Zaryzykował.

– Pomyślałem, panie, że moglibyśmy ustalić datę ślubu.

– Oczywiście, najlepiej przed końcem czerwca – odparł kupiec.

Gdy Silversleeves dotarł na targ, Ducket i Fleming akurat składali stragan. Obserwował ich z daleka, zastanawiając się nad kolejnym posunięciem.

Jak się zabija człowieka? Nigdy wcześniej nie dopuścił się takiego czynu. Nikt nie powinien go zobaczyć, to pewne. Najlepsze byłoby jakieś ustronne miejsce po zmierzchu. I trzeba zajść go od tyłu. Ale co potem zrobić ze zwłokami. Zostawić? Ukryć? Wrzucić do rzeki? Jeśli nie znajdą ciała, to trudno będzie podejrzewać morderstwo. Uznał, że wiele zależy od przypadku. Zaczął śledzić obu mężczyzn.

Przeciągnęli wózek przez targ i skierowali się ku Lombard Street prowadzącej do mostu. Ale gdy znaleźli się u jej wylotu, do Ducketa podszedł krępy mężczyzna, najwyraźniej rzemieślnik. Po kilku chwilach obaj wrócili na Cheap, wreszcie Fleming ruszył samotnie z wózkiem do domu.

Silversleeves podążył za Ducketem i nieznajomym mężczyzną. Za kościołem St Mary-le-Bowe skręcili w jedną z uliczek i weszli do gospody.

Na szczęście w środku było tłoczno. Zobaczył ich od razu, ale oni go nie zauważyli. Zamówił dzban piwa, obserwując ich uważnie. Przysadzisty rzemieślnik był dziwnie uradowany, wręcz podniecony. Poprosił o więcej piwa. Gdy je podano, rozejrzał się ukradkowo dokoła i podał Ducketowi paczkę. Podarunek? Ducket zaczął rozwijać papier.

Silversleeves przysunął się ostrożnie bliżej.

Była to księga. Z takiej odległości nie zdołał nic odczytać. Ducket przerzucił kilka pierwszych stron. Obaj mężczyźni pochylili nisko głowy. Na chwilę Ducket przechylił księgę. I choć Silversleeves siedział w odległości trzech metrów, dostrzegł słowo wypisane wielkimi literami na górze strony: GENESIS. To musiała być Biblia lollardów.

Wycofał się pospiesznie. Traktaty buntowników. Jaki użytek mógłby zrobić z tej wiedzy? Jego umysł analizował wszystko z wielu stron. Po chwili Silversleeves uśmiechnął się z rozkoszą. Być może zabicie Ducketa wcale nie będzie konieczne.

Był już późny wieczór, Ducket szedł wolnym krokiem w kierunku mostu. Worek z Księgą Rodzaju podskakiwał mu na ramieniu. Nie chciał takiego prezentu, ale nie miał serca odmówić Carpenterowi. Stolarz był przecież taki dumny.

Nie zwrócił szczególnej uwagi na dwóch mężczyzn nadchodzących z naprzeciwka. W jednym rozpoznał strażnika odpowiedzialnego za

utrzymywanie ładu i porządku. Drugim był Silversleeves, którego postanowił zignorować. Dopiero gdy znaleźli się tuż obok, zrozumiał, że chcą z nim rozmawiać.

– Pokaż, co masz w worku – poprosił strażnik.

Ducket zawahał się, a potem wzruszył ramionami. Terminatorzy nie zwykli sprzeciwiać się strażnikom. Niechętnie podał worek. Strażnik wyjął z niego księgę i przekazał prawnikowi.

– Co tam jest napisane?

Silversleeves ledwie zerknął.

– To Księga Rodzaju – oświadczył. – Z dołączonym traktatem lollardów. Herezja – dorzucił ponuro. – Chyba powinniście to zarekwirować.

– Nie macie prawa! – wybuchnął Ducket. – Nic złego nie zrobiłem. – Zauważył, że strażnik spogląda na Silversleevesa.

Tak naprawdę żaden z nich nie wiedział, czy posiadanie takich ksiąg jest legalne, czy nie. Jednak głosiciele nauk lollardów niewątpliwie stanowili zagrożenie.

– Powinniście to zatrzymać – powtórzył prawnik stanowczo. – Przynajmniej dopóki nie będzie wiadomo, czy tego człowieka należy postawić przed sądem. Ta księga to dowód.

Sierżant skinął głową.

– Skąd ją masz, chłopcze? – zapytał.

– Przed chwilą ją znalazłem.

– Unikasz odpowiedzi – zauważył prawnik. – To świadczy o twojej winie.

– Ty draniu! – krzyknął Ducket ze złością. – Coś knujesz.

– Ja tylko stoję po stronie prawa i Świętego Kościoła – odpowiedział Silversleeves beznamiętnie.

Tego już było za wiele.

– Jesteś wcielonym diabłem! – wrzasnął Ducket. – Ty czarowniku!

– O! – Silversleeves się uśmiechnął. – Wy, lollardzi, twierdzicie, że msza święta to czary. Zapamiętajcie to sobie, strażniku.

– Będę wiedział, gdzie cię szukać, chłopcze – powiedział strażnik.

Gdy Bull wysłuchał relacji Silversleevesa, wpadł w prawdziwą wściekłość.

– Słusznie postąpiłeś, mówiąc mi o tym – oświadczył.

– Nie byłem tego pewien. Ale Ducket jest powiązany z waszą rodziną i obawiam się, że zszedł na złą drogę. Może moglibyście mu jakoś pomóc? Bo moim zdaniem – dorzucił – jest całkowicie nieszkodliwy.

– Mylisz się! – zawołał Bull. – Tego już za wiele. Kradzież. Udział w zamieszkach. A teraz herezje lollardów. Jesteś dla niego za dobry, to twoja wada. Sam powiedziałeś, że rzucił na ciebie oszczerstwo.

– Nazwał mnie czarownikiem. – Silversleeves się roześmiał. – Głupstwo. Zrobił to w porywie chwili. Pomyślałem sobie, że gdyby go jednak aresztowano, to moglibyście się za nim wstawić.

– W żadnym razie. – Bull pokręcił głową. – Po tym wszystkim? Wręcz przeciwnie, powinienem zastosować surowsze środki.

– Mój Boże. – Silversleeves wyglądał na zmartwionego.

– Po zakończeniu terminu miał dostać ode mnie pewną sumę – wyjaśnił Bull. – Teraz jednak uważam, że nie jestem mu nic winien. – Westchnął. – Zła krew, mój chłopcze, zła krew. – Poklepał prawnika po ramieniu. – Zajmijmy się weselszym tematem. Ślub odbędzie się za trzy tygodnie. Gotuj się.

Jeszcze tego wieczoru Benedict Silversleeves dokładnie zniszczył wszystkie dowody wskazujące, że kiedykolwiek próbował zamieniać metale w złoto.

Fleminga nie było w domu. Ducket nie miał z kim porozmawiać. Siedział w gospodzie „U George’a” przygnieciony przekonaniem, że wszechświat podlega niezmiennym prawom. Nie da się zrobić złota ze zwykłych metali. A nisko urodzony przybłęda nigdy nie wydźwignie się ponad swój stan.

Był bez grosza. Pozbawiony wszelkiej pomocy finansowej. Bull nawet nie pofatygował się, aby mu to powiedzieć osobiście, wysłał wiadomość pani Barnikel. Młody sprzedawca przypraw korzennych bez pieniędzy. Co ma teraz począć? Gildia spożywców dawała czasem młodym członkom jakiś kapitał na rozkręcenie interesów, ale tylko tym, którzy cieszyli się nienaganną opinią. A jego reputacja legła w gruzach.

„Nie wszystko jeszcze stracone”, powiedziała pani Barnikel. Jednak nie zabrzmiało to ani przyjaźnie, ani przekonująco.

Dlatego bardzo się zdziwił, gdy tuż przed południem zobaczył Tiffany. Miała na sobie jasnofioletową suknię i marszczony czepek. Zauważył, że jej piersi pięknie się zaokrągliły. Przysiadła się do niego.

Mój Boże, jaki on był przygnębiony! Jeszcze nigdy nie widziała go w takim nastroju. A najgorsze, pomyślała, że to moja rodzina jest tego przyczyną.

– Nie powinnaś się ze mną spotykać – powiedział.

– Może nie powinnam – przyznała. – Ale zawsze będę się z tobą widywać. Zawsze. Bez względu na wszystko. – Wzięła go za rękę.

Rozpłakał się zawstydzony. Rozmawiali dobrą godzinę. Bez trudu przekonała go, żeby wyjaśnił, skąd ma Biblię. Wciąż jednak nie chciał powiedzieć, kto mu ją dał. Nie mieli pojęcia, skąd Silversleeves mógł się o wszystkim dowiedzieć.

– Tak mi przykro, że to był akurat Silversleeves. – Zmarszczyła brwi. – Jestem pewna, że chciał ci tylko pomóc. Porozmawiam z ojcem i wszystko mu wyjaśnię. Wiesz, że za trzy tygodnie bierzemy ślub? – dodała.

– Naprawdę? Kiedy to zostało ustalone?

– Wczoraj wieczorem. Zaraz potem, jak cię spotkał.

Wreszcie Ducket zrozumiał. Oczywiście. Chytry prawnik złamał umowę. A wcześniej rzucił na niego poważne oskarżenie. Ducket nawet nie mógł się teraz bronić, bo każde jego słowo zostałoby uznane za wyraz mściwości albo przejaw złej woli. A prawnik z pewnością zniszczył wszystkie obciążające go dowody. Mimo to Ducket uznał, że musi ocalić Tiffany.

– Uwierzysz mi, jeśli ci powiem, że Silversleeves nie jest tym, za kogo się podaje? – zapytał. A potem wyznał jej całą prawdę.

Nie wymieniając Fleminga z nazwiska, opowiedział jej, że zdemaskował Silversleevesa. I że prawnik wyłudzał od ludzi pieniądze i że jest wyjątkowo utalentowanym oszustem. Wyjawił jej wszystko, co mógł. Tiffany spuściła głowę, głęboko zamyślona.

– Dowiaduję się strasznych rzeczy o człowieku, którego mam poślubić – powiedziała w końcu. – Nie chcesz zdradzić, kim są jego ofiary. Nie dajesz mi żadnych dowodów. – Spojrzała na niego z rozpaczą. – Jak mam ci uwierzyć?

Właśnie, jak? Czy kiedykolwiek zrobił coś, aby mogła mu zaufać bardziej niż Silversleevesowi? A skoro ona w niego wątpiła, to jak ma przekonać Bulla czy kogokolwiek innego? Patrząc na nią, przypomniał sobie tamten dzień, gdy zobaczył ją na moście z Silversleevesem i uzmysłowił sobie z całą bolesną mocą, że choć jest nieosiągalna dla takiego biedaka jak on, to kocha ją ponad wszystko na świecie.

– Jeśli przyjdziesz jutro, to dam ci dowód – powiedział.

Czy jednak wolno mu to zrobić? To pytanie zaprzątało mu myśli długo po tym, gdy Tiffany wyszła z gospody. Najwyraźniej Silversleeves uznał, że Fleming nie puści pary z ust. Ducket musiał go zatem przekonać. Czy

kupiec zechce mówić, jeśli Tiffany przysięgnie, że dochowa tajemnicy? Na pewno zrozumie, że musi ocalić dziewczynę przed podłym prawnikiem. Ale czy to wystarczy? Bull na pewno będzie się domagał wyjaśnień. Czy jemu też Fleming wyzna prawdę? I czy Bull mu uwierzy? Bo Silversleeves potrafił kłamać jak mało kto. Ducket westchnął. Żaden lepszy pomysł nie przychodził mu do głowy.

Czekał na powrót Fleminga.

Dokładnie w południe Fleming skończył pisać list. List był krótki, ale kupiec odczytał go z zadowoleniem. Położył go potem na skrzynce z ziarnami pieprzu, podszedł do drzwi składziku i zamknął je dokładnie. To, co zamierzał zrobić, wymagało ostrożności. Nie chciał, żeby mu przeszkadzano.

Uśmiechnął się. Być może znalazł rozwiązanie wszystkich swoich problemów.

Fleminga znaleziono wieczorem, gdy pani Barnikel i Ducket próbowali dostać się do składziku. Kupiec wisiał na linie przywiązanej do belki. Zostawił krótki list.

„Przepraszam za te pieniądze na podatek pogłówny i za inne też. To ja je ukradłem. Próbowałem zdobyć więcej pieniędzy dla ciebie i Amy. Proszę, nie pytaj mnie o więcej.

Moją wolą jest, aby Ducket przejął po mnie interesy. Zawsze był moim wiernym przyjacielem. Próbował mnie ocalić, ale było już za późno. Możesz mu zaufać”.

Przeczytawszy list, pani Barnikel spojrzała krótko na Fleminga.

– Rozumiesz coś z tego? – spytała.

– Tak.

– Napisał, że to on ukradł pieniądze.

– Tak naprawdę nie miał takiego zamiaru. Przyrzekłem mu, że nikomu o tym nie powiem.

– A ja myślałam, że to ty – przyznała szczerze.

– Wiem.

– Nie musiał tego robić – mruknęła.

Ducket wiedział jednak, że nieszczęśnik nie miał innego wyjścia. Lina zaciśnięta na szyi Fleminga była oczywistą przyczyną jego śmierci, lecz Ducket był przekonany, że tak naprawdę jego pan targnął się na swoje życie powodowany wstydem.

– W takim razie przejmij cały interes – powiedziała pani Barnikel ponuro.

Mimo to Ducket był przygnębiony, gdy Tiffany zjawiła się następnego ranka w gospodzie.

– Niestety, nie ma już tego, który mógłby cię przekonać – powiedział. – Nie mam żadnego dowodu.

– Więc powinnam ci uwierzyć na słowo?

Skinął głową.

Po wyjściu Tiffany siedział nieruchomo przez dłuższy czas. Nie miał pojęcia, co dziewczyna postanowi. Wiedział jedno: nigdy nie pozwoli, żeby wpadła w szpony Silversleevesa. Jeśli okaże się to konieczne, pomyślał, będę musiał go zabić.

Pani Barnikel rzadko miewała wyrzuty sumienia. Ale gdy nazajutrz usiadła na swoim wielkim łożu, żeby porozmawiać z Amy, była skruszona.

– Aż wstyd mi przyznać, jak bardzo pomyliłam się co do tego chłopaka – jęknęła. – To prawdziwy bohater. Bo spójrz tylko, czego dokonał. Uratował Carpentera. Podejrzewano go o kradzież. Wziął na siebie winę twojego ojca. I wszystko wskazuje na to, że jego też chciał ocalić. A teraz Bull

odbiera mu pieniądze. Założę się, że to też da się wyjaśnić. On nigdy się nie skarżył. To odważny, uczciwy człowiek – zakończyła ciepło. – I wierny.

Amy bynajmniej nie zamierzała zaprzeczyć.

Pani Barnikel wstała.

– Muszę się zająć pogrzebem twojego biednego ojca – oznajmiła. Zatrzymała się przy drzwiach. – Wiem, że chcesz się ode mnie wynieść – powiedziała cicho. – Ale nie wychodź za mąż za Carpentera. Przecież sama wiesz, że go nie kochasz.

Przygotowania do ślubu są powodem do radości. Trzeba uszyć nowe suknie i nowe nocne koszule. Przewietrzyć całe skrzynie bielizny pościelowej. Do uroczystości pozostały jeszcze dwa tygodnie, ale kucharka i jej gruba pomocnica już były zajęte w kuchni. Bull i Silversleeves wybrali właśnie piękny dom niedaleko mostu, przy Oyster Hill, w którym mieli zamieszkać nowożeńcy. Nawet Chaucer został zmuszony do wykorzystania swoich wpływów na dworze i zapewnienia obiecującemu prawnikowi lukratywnego stanowiska.

Tiffany uśmiechała się, ale boleśnie przeżywała każdy dzień. Targały nią sprzeczne emocje. Czy to możliwe, że jej przyjaciel z dzieciństwa, dzielny chłopak, którego kochała jak brata, kłamie? Gdy patrzyła na spokojną twarz przyszłego męża, oskarżenia Ducketa wydawały się jej mało prawdopodobne. Ale z drugiej strony czy Ducket byłby w stanie wymyślić podobne oszczerstwa? To nie leżało w jego naturze. Chyba że, tak jak uważał jej ojciec, jego charakter był od samego początku skalany. Którego z nich tak naprawdę znała – przybłędę czy zdolnego prawnika, który się do niej zalecał?

Najchętniej powiedziałaby ojcu o oskarżeniach Ducketa, ale wiedziała, jak na to zareaguje. Może lepiej polegać na jego ocenie? Niewielu ludzi w Londynie cieszyło się taką reputacją jak on.

Gdy patrzyła na przygotowania do ślubu, jeszcze jedno nie dawało jej spokoju. Nawet jeśli to, co mówiono o Duckecie, było prawdą – że jest kłamcą, Silversleeves zaś to wzór wszelkich cnót – to nie mogła uciec od ważnego pytania: co sama czuje do Silversleevesa? Owszem, podziwiała go. Był pobożny, dobry, niczego nie mogła mu zarzucić. I bardzo jej oddany. Mimo to ciągle wracała myślami do rozmowy, którą dawno temu odbyła z matką. Zapytała ją wtedy, czy istnieją tacy mężczyźni jak rycerze z baśni. Matka odpowiedziała, że pewnie nigdy takiego nie spotka. A więc sprawa jest oczywista: wychodzi za mąż za Silversleevesa.

Gdyby tylko nie ten wewnętrzny głos, mówiący jej, najpierw szeptem, a potem coraz głośniej: nie rób tego. Zatrzymaj się, zanim będzie za późno. Patrząc jednak na toczące się pełną parą przygotowania, pomyślała ze smutkiem: już jest za późno.

Amy Fleming dużo łatwiej podjęła decyzję. Było oczywiste, że z powodu śmierci ojca jej ślub z Carpenterem trzeba będzie odłożyć. Carpenter zaproponował jesień, ale ona w skrytości ducha postanowiła inaczej.

To nie słowa matki przeważyły szalę, ale smutny list pozostawiony przez ojca. Jego poparcie dla Ducketa, jego wola, by chłopak zajął jego miejsce, i słowa, że muszą mu zaufać. Czy ojciec próbował na swój sposób coś jej przekazać przed śmiercią?

Wiedziała, że nie kocha Carpentera, ale zawsze uważała, że to on, a nie beztroski Ducket zapewni jej bezpieczeństwo. Jednak wydarzenia ostatnich dwunastu miesięcy zmusiły ją do zastanowienia. Carpenter w pałacu Savoy. Carpenter i te jego traktaty lollardów. Czy obsesje poważnego stolarza nie sprowadzą na nich jakichś kłopotów? A teraz jeszcze okazało się, że jej małomówny ojciec też wpakował się w tarapaty. A kto ich wszystkich ocalił, a przynajmniej próbował? Ducket, któremu ojciec kazał ufać. Tak naprawdę to Ducket wykazał się siłą. I odwagą.

Przeczuwała, że się z nią ożeni. W końcu stracił wszystko. Fleming życzył sobie, aby to on przejął po nim interes, ale bez pieniędzy byłoby to trudne. Ojciec napisał ten list także do Ducketa. Przekaz był jasny: ożeń się z moją córką. Postanowiła jednak postępować ostrożnie – najpierw musiała upewnić się co do zamiarów Ducketa.

Doszła do tego wniosku pewnego ranka, a zaraz potem zobaczyła, że do gospody zbliża się Tiffany Bull. Uznawszy, że chodzi o Ducketa, wyszła na podwórko, żeby jej powiedzieć, że można go znaleźć przy straganie na targu. Ku jej zdziwieniu Tiffany pokręciła głową.

– Przyszłam do ciebie – powiedziała. Rozejrzała się dookoła. – Możemy porozmawiać w cztery oczy?

Amy widywała ją wcześniej, ale nigdy nie miały sposobności do rozmowy. Z ciekawością przyglądała się córce bogatego kupca. Patrzyła z zachwytem na jej piękną jedwabną suknię, tak różną od jej odzienia, zauważyła lekkość ruchów. Wydało jej się dziwne, że ten prosty, zwyczajny Ducket mieszkał pod jednym dachem z istotą z innego świata. Ale jeszcze dziwniejsze wydały jej się słowa gościa.

– Potrzebuję twojej pomocy – powiedziała Tiffany ze zbolałą miną. – Nie mam się do kogo zwrócić – dodała szczerze. I najkrócej, jak mogła, opowiedziała całą historię: – Ducket wytoczył te zarzuty wobec mężczyzny, którego mam poślubić. Trudno mi w to uwierzyć. Nie tylko mnie. Ale jeśli choć część z tego jest prawdą… – Rozłożyła ręce. – Za dwa tygodnie Silversleeves zostanie moim mężem. – Spojrzała na Amy żarliwie. – Przez wiele lat co dzień widywałaś Ducketa. Wiesz o nim więcej niż ja. Jak myślisz, czy to może być prawda?

Amy popatrzyła jej w oczy. Dziwne. Ta bogata dziewczyna, która z pozoru miała wszystko, stała wobec bardzo poważnego dylematu.

– Chętnie powiem ci wszystko, co wiem.

Tiffany słuchała uważnie jej wspomnień. Oto Amy uprosiła Ducketa, by podczas rewolty odnalazł Carpentera, a on ocalił stolarza od śmierci.

– A więc to prawda – wtrąciła Tiffany. – Byłam tego pewna.

Potem Amy opowiedziała jej o tragicznej śmierci ojca i jego słowach o Duckecie.

– Sama więc widzisz, że on niczego nie ukradł – zakończyła.

Uwagę Tiffany przyciągnęło co innego.

– Wspomniałaś, że twój ojciec stracił pieniądze, ale nie wyjaśnił, jak do tego doszło. Ducket wie, ale nie chce wyjawić.

– Obiecał to ojcu.

– Ale ostrzegł mnie, że Silversleeves jest szarlatanem, który wyłudza od ludzi pieniądze. A kiedy twój ojciec zmarł, Ducket oznajmił, że nie może już niczego udowodnić.

Patrzyły na siebie.

– Silversleeves! – wykrzyknęły jednocześnie.

– A więc sprawa jest jasna – stwierdziła Tiffany. – Nie wyjdę za niego.

– Nie mamy dowodów – zauważyła Amy. – A on wszystkiemu zaprzeczy.

– Tym gorzej – powiedziała Tiffany. A potem się uśmiechnęła.

– Nie masz się z czego cieszyć – skarciła ją Amy. – Właśnie straciłaś męża.

Ale Tiffany zachichotała nagle z wyraźną ulgą.

– Nie szkodzi. I tak go nigdy nie lubiłam.

Amy poczuła, że nagle zbliżyły się do siebie. Pochyliła się ku niej konspiracyjnie.

– Muszę ci coś wyznać. Ja z kolei zamierzam zerwać z Carpenterem, ale nikt jeszcze o tym nie wie.

– Naprawdę? – Tiffany z każdą chwilą lubiła ją coraz bardziej. – Masz na oku kogoś innego?

Amy uśmiechnęła się szeroko.

– Ducketa, kogóż by innego?

Słońce zachodziło, czerwonawa poświata znad rzeki odbijała się w zielonym szkle okna. Tiffany stała przed ojcem, przedstawiając swoje zamiary. Początkowo nie chciał jej uwierzyć.

– Ale ślub już jest ustalony – powiedział zdumiony. – Nie możesz się teraz wycofać.

– Muszę, ojcze.

– Ale dlaczego? – Spojrzał na nią podejrzliwie. – Rozmawiałaś z Ducketem? On rozsiewa jakieś oszczerstwa.

– Wiem – przyznała spokojnie. – Ale nie to jest powodem.

Była to prawda. Zaskoczony słowami córki, zawsze dotąd posłusznej, Bull postanowił zdobyć się na koncyliacyjny ton.

– Czy w takim razie możesz mi wyjaśnić, w czym rzecz? – spytał łagodnie.

Licząc, że znajdzie u niego zrozumienie, odpowiedziała z pasją:

– Ja go nie kocham, ojcze.

Bull milczał przez dłuższą chwilę. Zacisnął usta w zadumie. Czyżby miał do czynienia z nagłą paniką przed ślubem? Podobno niektóre dziewczęta są podatne na takie lęki.

– Obawiam się, że musisz go poślubić – powiedział stanowczo. – I nie chcę więcej do tego wracać.

Tiffany spojrzała mu w oczy i zrozumiała, że nie pójdzie jej tak łatwo, jak się spodziewała.

– Przecież mi obiecałeś! – krzyknęła. – A teraz łamiesz dane słowo. Obiecałeś, że sama będę mogła wybrać.

Tego już było za wiele. Najpierw to absurdalne żądanie, a teraz jeszcze obraza. Żaden Bull nigdy nie złamał danego słowa.

– Owszem, sama wybierzesz, moja panno! – ryknął. – I wybierzesz Silversleevesa! Bo to ty chcesz złamać dane mu słowo. A ja na to nie pozwolę.

– Nienawidzę go! – krzyknęła. – To łotr! – Nigdy w życiu nie kłóciła się z ojcem.

– W takim razie pasujecie do siebie – warknął. – I wyjdziesz za niego, czy chcesz, czy nie. – Siła jego głosu niemal zwaliła ją z nóg. – Dość! Precz mi z oczu albo spiorę cię, zanim jeszcze dojdziesz do ołtarza.

Lecz ku jego zdziwieniu Tiffany nie zamierzała się ugiąć.

– Nie powtórzę słów przysięgi. Odwołam się do księdza. Nie zmusisz mnie do ślubu.

– W takim razie wyślę cię do klasztoru! – wrzasnął.

– To wyślij mnie do Świętej Heleny! – krzyknęła z irytacją. – Przynajmniej będę się tam dobrze bawić. – Wybiegła z pokoju. Bull, zsiniały na twarzy, aż zaniemówił z szoku.

Godzinę później Tiffany siedziała sama w swoim pokoju na najwyższym piętrze. Drzwi zaryglowano od zewnątrz.

– Będzie tam siedziała dopóty, dopóki się nie opamięta – oświadczył Bull. Jedynie gruba pomocnica kucharki dostała pozwolenie, by zanieść na górę dzbanek wody i miskę kaszy.

Minęły trzy dni. Matka Tiffany, sądząc, że to nagły atak nerwowy, próbowała rozmawiać z córką, ale nic nie wskórała. Na polecenie Bulla przygotowania do ślubu toczyły się dalej. Nie powiedziano nic Silversleevesowi, gdy odwiedził przyszłych teściów.

– Albo ona oprzytomnieje, albo naprawdę wyślę ją do klasztoru – oznajmił Bull przerażonej żonie.

Ale powoli zaczęły go ogarniać wątpliwości, aż w końcu czwartego dnia na tyle stracił pewność siebie, że zrobił coś, na co nie pozwolił sobie przez całe małżeństwo.

– Jak myślisz, co powinienem zrobić? – zapytał żonę.

– Myślę – odpowiedziała cicho – że albo będziesz musiał wysłać ją do klasztoru, albo zgodzisz się, aby postawiła na swoim.

Pokoik na górze był dobrym miejscem do rozmyślań. Z okna roztaczał się piękny widok na Tamizę. Tiffany godzinami siedziała przy oknie, patrząc na ruch łodzi i statków na rzece. I dumała.

Czego tak naprawdę pragnie? Początkowo nie umiała się rozeznać w swoich uczuciach, wiedziała tylko, że nie chce poślubić Silversleevesa ani zostać zakonnicą. Ale drugiego dnia zaczęła rozumieć. A trzeciego pojęła wszystko z pełną jasnością. Było to tak oczywiste, tak naturalne, że dziwiła się, jak mogła tego wcześniej nie zauważyć. Jak jednak do tego doprowadzić? Tego akurat nie wiedziała.

Musiała grać na czas.

Mówiła spokojnie, głosem cichym i pokornym.

– Ojcze, zawsze byłam ci posłuszna. Gdybyś mnie kochał, to nie skazywałbyś mnie na nieszczęśliwe życie. – Umilkła, czekając na odpowiedź.

W końcu Bull odezwał się posępnym tonem.

– Czego zatem chcesz?

Spojrzała na niego ze łzami w oczach.

– Potrzebuję twojej pomocy – powiedziała. – Jestem taka zagubiona. Błagam cię, daj mi trochę więcej czasu.

– Na co? Na wybranie innego męża?

– Chcę być pewna swoich uczuć.

Bull milczał. Nie miał zamiaru wysyłać jej do klasztoru. Liczył, że Bóg obdarzy go wnukami. Wiedział też, że ludzkie uczucia rządzą się swoimi prawami. Wstyd mu było przed Silversleevesem, ale postanowił się z tym uporać i zrozumieć stan umysłu córki. Nie była pewna swoich uczuć? Lecz jeśli nawet pozwoli jej wybrać innego kandydata, to czy ona nie zmieni znów zdania? Niewielu ojców dawało córkom aż tyle wolności, być może to był błąd.

– Zawrę z tobą układ – oznajmił w końcu. – Ale to będzie już ostatni raz.

Wyjaśnił jej, co ma na myśli, i wyszedł, ryglując drzwi od zewnątrz.

Tiffany została sama. Była blada. Zamyśliła się. Liczyła na coś innego. Ale nie miała wyboru. Będzie musiała postawić wszystko na jedną kartę.

Gdy następnego ranka gruba dziewczyna przyniosła Ducketowi wiadomość, próbował ją przepytać. Ale wiadomość była zdawkowa.

– Tylko tyle? Przyjdź wieczorem do nas do domu? Nic więcej?

– Mam cię wpuścić do środka.

– O co tu chodzi?

– A bo ja wiem…

– Musisz coś wiedzieć.

– Kucharka mówi, że Tiffany albo weźmie ślub, albo pójdzie do klasztoru.

– Z kim weźmie ślub?

– Chyba z tym z długim nosem. – Dziewczyna patrzyła na Ducketa obojętnie. – Przyjdziesz?

– No pewnie! – krzyknął.

Odeszła rozkołysanym krokiem.

Gdyby ktoś obserwował gości przybywających tego wieczoru do domu kupca Bulla, zauważyłby od razu, że przeważają wśród nich młodzi

kawalerowie. Było też kilku rajców w średnim wieku z żonami, dwóch przyprowadziło również swoje córki, zjawiła się pewna wdowa, a nawet ksiądz.

Nikt nie wiedział, jaki jest powód tego spotkania. Jeszcze przed południem Bull wysłał zaproszenia do wszystkich osób, których obecność uznał za konieczną. Poza Silversleevesem, stojącym spokojnie na środku pokoju obok cennego astrolabium, było też czterech synów bogatych kupców, młody kupiec bławatny i sukiennik, obaj z porządnych szlacheckich rodów, a nawet pewien młodzieniec z dużym majątkiem ziemskim. Jedyną osobą, która nie spełniała warunków odpowiedniego kandydata na męża, był wysoki mężczyzna o ogorzałej twarzy. Nieco zdenerwowany, stał przy schodach z tyłu. Kupiec spotkał Jamesa Bulla przypadkiem na ulicy i wzruszywszy ramionami, zaprosił go na wieczór. W końcu krewny to krewny.

Był środek lata, więc słońce zachodziło późną porą. Było ciepło, przez otwartą dolną połowę wielkiego okna napływały podmuchy rzeźkiego powietrza chłodzonego przez rzekę, która gnana odpływem pędziła z hukiem między filarami mostu. Goście byli w wyśmienitych nastrojach i nawet James Bull – żeby dodać sobie odwagi w takim dobrym towarzystwie – przypominał sobie, jak dobrze się sprawiał przez całe popołudnie, również nieco się rozluźnił. Gospodarz gawędził przyjaźnie ze wszystkimi.

Do pokoju weszła Tiffany. Wyglądała czarująco. Może była trochę blada, ale zbliżyła się do Silversleevesa, przywitała się z nim czule, a potem kolejno pozdrowiła wszystkich gości. Nawet z Jamesem zamieniła kilka słów. Od czasu do czasu rzucała niespokojne spojrzenie na drzwi, ale nikt tego nie zauważył. Uśmiechała się do ojca, a on reagował tak samo.

To spotkanie było częścią zawartej umowy. „Nikogo nie zamierzam uprzedzić – powiedział jej poprzedniego dnia – bo nie chcę stawiać w niezręcznej sytuacji ani Silversleevesa, ani siebie. Ale mogę ci obiecać jedno. Jeśli któryś z obecnych kawalerów ci się spodoba, będziesz mogła go poślubić. Już wcześniej wszyscy wyrazili chęć ożenku z tobą. Jeśli jednak nie wybierzesz nikogo, to pamiętaj, albo Silversleeves, albo klasztor. Nie cofnę swojej obietnicy. – Wbił w nią wzrok. – Masz moje słowo”.

Wiedziała, że ojciec nie żartuje.

To był nieoczekiwany cios. Liczyła, że uda jej się stopniowo przekonać go do swoich racji. Dlatego musiała podjąć wielkie ryzyko. Miała nadzieję, że wszystko przebiegnie zgodnie z planem.

Zamierzała wskazać Ducketa.

Plan ten niósł ze sobą jedno straszliwe zagrożenie. Co będzie, jeśli się pomyliła? Jeśli Ducket wcale jej nie chce? Albo zdążył już oświadczyć się Amy? Gdy wysyłała grubą dziewczynę z wiadomością do Ducketa, nie chciała zbyt wiele zdradzić. Nie odważyła się nawet napisać listu. A nie widząc Ducketa w pokoju, zaczęła się wręcz obawiać, że grubaska nie wywiązała się z zadania. Czyżby ojciec, który tak miło się do niej uśmiechał, pokrzyżował jej zamiary?

Ducket się nie spieszył. Czekał, obserwując schodzących się gości. Wolał nie spotkać nikogo przy drzwiach. Gdyby Silversleeves albo Bull go zauważyli, na pewno nie udałoby mu się wejść do środka. Postanowił poczekać na rozpoczęcie przyjęcia.

Zwlekał też z innego powodu. To mogły być ostatnie chwile jego wolności. Nie wiedział, dlaczego Tiffany go wezwała, ale obawiał się najgorszego. Silversleeves albo klasztor, tak właśnie powiedziała grubaska. Nie miał pojęcia, po co ci wszyscy ludzie się schodzą, ale z pewnością wkrótce się to wyjaśni.

Zastanawiał się, czy Silversleeves też przyjdzie, więc na wszelki wypadek odpowiednio się przygotował. Ukrył nóż za paskiem pod koszulą. Zamierzał go użyć.

Silversleeves musi umrzeć. Jeśli to będzie możliwe, Ducket pójdzie za nim i zabije go w jakimś ustronnym miejscu. A jeśli nie będzie miał innego wyjścia, zrobi to przy wszystkich. Nie dbał o swój los. Najwyżej będę wisiał, pomyślał ponuro.

Te rozmyślania przerwał mu widok spóźnionego gościa spieszącego do drzwi. Był to zaproszony przez Bulla ksiądz.

– A więc to tak – mruknął wstrząśnięty Ducket. – Dobry Boże, on chce, żeby ślub odbył się natychmiast.

Serce biło mu z całej siły. Przemknął do kuchennych drzwi.

Idąc za grubą dziewczyną po znajomych schodach, słyszał gwar. Włożył stary fartuch kucharki i mały lniany czepek, żeby ukryć charakterystyczny kosmyk białych włosów. W rękach niósł talerz z jedzeniem. Na szczęście gładko się ogolił, więc dopóki miał spuszczoną głowę i trzymał się z tyłu, ludzie mogli go wziąć za służącą.

Zatrzymali się na szczycie schodów. Grubaska stanęła w drzwiach, dając znak Tiffany. Patrząc dziewczynie przez ramię, Ducket naliczył co najmniej dwadzieścia osób w pokoju.

Tiffany podeszła do nich dwojga. Prześlizgnęła się obok grubaski i po chwili Ducket spojrzał jej w oczy. Była blada i trochę przestraszona.

– Dzięki Bogu, że już jesteś. – Głos jej drżał. – Powiedziałam ojcu, że nie chcę poślubić Silversleevesa. Ale on…

– Wiem. Klasztor. Nie martw się. Wszystko będzie dobrze.

– Nie rozumiesz.

– Tiffany! – Ojciec ją wołał.

– Powiedz mi… – Spojrzała mu w oczy, poważnie i badawczo. – Geoffreyu Duckecie, muszę cię o coś spytać. Czy ty mnie kochasz? Bo widzisz…

Nie pozwolił jej dokończyć.

– Bardziej niż własne życie.

Była to prawda.

Chciała jeszcze coś dodać, ale znów rozległo się wołanie. Znacznie bliżej. Minęła pospiesznie grubą dziewczynę, wzięła ojca pod rękę i odeszła z nim od drzwi.

Ducket wszedł do pokoju. Nikt na niego nie patrzył. Jeszcze jeden krok. Zauważył Silversleevesa, stojącego obok stołu z astrolabium. Tuż przed nim zatrzymał się James Bull. Ducket zaklął bezgłośnie. Jeszcze jedna osoba, która mogła go rozpoznać. Na szczęście między nimi znajdowali się rajca z żoną. Z nisko opuszczoną głową przysunął się jeszcze bliżej. Trzymając talerz w lewej ręce, prawą sięgnął po sztylet. Nie zamierzał ryzykować. Musi działać skutecznie.

Tiffany i jej ojciec odeszli na chwilę od reszty gości i zatrzymali się przy oknie. Bull patrzył na córkę wyczekująco.

– Powiedziałeś, ojcze, że skoro nie chcę poślubić Silversleevesa, to mogę wybrać sobie męża spośród obecnych w tym pokoju.

– To prawda.

– Jest tu mężczyzna, o którym nie masz dobrego zdania. Ja też nigdy nie wspominałam o nim jako o kandydacie na męża. Ale ja go naprawdę kocham. Pozwolisz mi wyjść za niego? Bo jeśli nie, to pójdę do klasztoru.

Bull się rozejrzał. Jedynym mężczyzną pasującym do tego opisu był James Bull. Czyżby jego córka zakochała się w tym nietaktownym młodzieńcu? Co za rozczarowanie.

– Jesteś pewna? Wolisz to niż klasztor?

– Tak.

Wzruszył ramionami. Przynajmniej ten chłopak jest uczciwy, pomyślał.

– No cóż, niech będzie – westchnął.

– To Ducket. – Wskazała postać przy drzwiach.

– Co takiego?! – Bull zrobił się czerwony na twarzy. Jego wrzask wstrząsnął całym domem. Goście podążyli za jego wzrokiem.

Ducket zbladł. Patrzyli na niego. Został rozpoznany. Zacisnął palce na nożu. Nie miał wyboru. Musi zadać cios, zanim go stąd wyrzucą. Ruszył w kierunku Silversleevesa, odpychając rajcę.

I w tej właśnie chwili Bull odwrócił się z wściekłym rykiem, zamachnął się i uderzył Tiffany otwartą dłonią w twarz tak mocno, że poleciała do tyłu jak zraniony ptak.

Goście wstrzymali oddech. Potem rozległy się krzyki, bo Tiffany, zatoczywszy się, grzmotnęła w okno i wypadła na zewnątrz.

– Boże! – Blady jak kreda Bull doskoczył do okna.

Z cichym okrzykiem Tiffany runęła z dziesięciu metrów do wody jak szmaciana lalka.

Wszystko, co się potem wydarzyło, trwało zaledwie sekundy, jednak wszyscy mieli wrażenie, że wypadki toczą się znacznie wolniej.

Suknia Tiffany złagodziła siłę upadku i zatrzymała ją na powierzchni. Lekko oszołomiona dziewczyna zauważyła, że jeden z wielkich filarów znajduje się tylko kilka metrów dalej, i desperacko starała się do niego dopłynąć, zanim nurt porwie ją do spienionego kanału. Słyszała okrzyki z góry: „Trzymaj się!”. Udało jej się chwycić garść długich wodorostów rosnących przy filarze. Ale prąd już chwycił jej suknię, już ciągnął ją ze sobą. Łodygi wodorostów były śliskie. Tiffany zaciskała na nich palce, ale wiedziała, że długo tak nie wytrzyma. Kilka metrów dalej rzeka zamieniała

się w spienione odmęty. Prąd przyzywał ją coraz mocniej, wręcz zapraszał, aby razem z nim podążyła w dół, ku śmierci.

W pokoju zapanowało wielkie zamieszanie. Bull próbował uwolnić się od ciężkich szat, jego żona, bojąc się, że straci i córkę, i męża, była bliska omdlenia. Silversleeves, z nabożnym wyrazem twarzy, padł na kolana i zaczął się modlić, a James Bull machał rękami jak szalony, krzycząc:

– Lina! Dajcie mi linę!

Przeciskając się przez pokój, przewrócił stół i zdeptał astrolabium, niszcząc doszczętnie jego delikatny mechanizm.

I tylko Ducket, odrzuciwszy nóż i zapomniawszy już o Silversleevesie, podbiegł do okna i wyskoczył za Tiffany. W tym samym momencie wodorosty wyślizgnęły się jej z dłoni.

Rzucił się za nią w spieniony nurt.

Kupiec Bull miał wiele wad, ale niewdzięczność nie była jedną z nich. Ani moralne tchórzostwo.

Kilka godzin później, gdy Tiffany odzyskała siły, usiadł przy jej łóżku i wysłuchał wszystkiego, co miała do powiedzenia. Potem zszedł do kuchni, gdzie przy ogniu siedział Ducket w suchym już ubraniu, i zaprosił młodzieńca do pokoju na górze.

– Dziękowałem ci już za uratowanie Tiffany i robię to jeszcze raz – powiedział. – Ale po rozmowie z córką uważam, że winien ci jestem najgłębsze przeprosiny za to, że zwątpiłem w twój charakter. Proszę cię o przebaczenie. – Umilkł na chwilę. – Wygląda na to, że moja córka niecierpliwie czeka na ślub z tobą, a nie z tym łotrem Silversleevesem. Najwyraźniej ona zna się na ludziach lepiej niż ja. – Uśmiechnął się. – I co ty na to, Ducket?

Ducket i Tiffany wzięli ślub tydzień później. Whittington stał obok pana młodego. A Chaucer wygłosił przemowę.

Bogaty kupiec, zanim oddał rękę swojej córki przybłędzie, postawił jeden warunek.

– Ponieważ nie mam syna, cały mój majątek przejdzie na was. Dlatego proszę cię, Duckecie, byś przyjął nazwisko Bull.

Młoda para chętnie się zgodziła. Tak oto Tiffany i Geoffrey Bull zaczęli wspólne życie w pięknym domu wybranym dla nich na Oyster Hill.

Miesiąc później miało miejsce jeszcze jedno radosne wydarzenie. W przededniu ślubu swojej córki z Carpenterem pani Barnikel oświadczyła:

– Wychodzę za mąż za Jamesa.

Uznała najwyraźniej, że będzie miała z niego pożytek. A James Bull doszedł zapewne do wniosku, że choć marzył o innym majątku, to gospoda „U George'a" jest solidnym interesem. „James zostanie browarnikiem", oznajmiła pani Barnikel członkom gildii. Nikt nie ośmielił się jej sprzeciwić. Tak powstał Browar Bulla.

Pani Barnikel, w perspektywie ponownego zamążpójścia, zachowywała się jak podlotek.

Rok 1386

To był pomysł Chaucera.

Ostatnio martwił się o swojego przyjaciela. Tiffany miała swoje życie, a dwa lata wcześniej Bullowi zmarła żona. Kupiec czuł się samotny. Chaucerowi wydawało się nawet, że zaczyna popijać. Dlatego ucieszył się wielce, gdy wiosną 1385 roku los dał mu nowe stanowisko, a wraz z nim pretekst, aby wyrwać Bulla z przygnębienia.

– Jedziesz ze mną – oświadczył. – Do Kentu.

Chaucer został mianowany sędzią pokoju.

Od jakiegoś czasu funkcja sędziego pokoju podlegała zmianom. W starym, opartym na zdrowym rozsądku ustroju lokalnym sądom w poszczególnych hrabstwach przewodniczyli przedstawiciele szlachty, wspomagani przez fachowych prawników znających się na prawnych subtelnościach. A Geoffrey Chaucer spełniał wszystkie warunki do objęcia takiego stanowiska, bo jako królewski urzędnik otrzymał w Kencie niewielki majątek.

Bull niechętnie wyraził zgodę, ale przed wyjazdem musiał podjąć ważną decyzję. Kto pod jego nieobecność zajmie się jego sprawami? Po ślubie z Tiffany przybłęda wykazał się zadziwiającą zdolnością do prowadzenia interesów i Bull z wielką przyjemnością zaczął go uczyć wszystkiego. Ale jedna rzecz budziła jego niezadowolenie. Wprawdzie zięć zgodził się przyjąć jego nazwisko, lecz nie chciał wstąpić do gildii kupców bławatnych, mimo że Bull gotów był go tam wprowadzić. „Terminowałem w gildii spożywców – oświadczył Ducket. – I na tym handlu się znam”. Żaden argument go nie przekonał. A to, że gildia spożywców, odsunąwszy na bok kupców bławatnych, rządziła miastem, bynajmniej nie poprawiało Bullowi nastroju. Poza tym uznał, że jest jeszcze za wcześnie, aby przekazać tak rozległe interesy w młode ręce. Na szczęście rozwiązanie, które mu przyszło do głowy, zadowoliło wszystkich. Wezwał do siebie Whittingtona.

Whittington był zamożnym trzydziestoparoletnim człowiekiem, a do tego należał do gildii kupców bławatnych. On i Ducket zawsze się przyjaźnili.

– Macie wspólnie zająć się moimi sprawami – polecił. – A gdybyście mieli jakieś wątpliwości, możecie po mnie posłać.

Zadowolony z takiego rozstrzygnięcia, wyjeżdżał do Kentu w dobrym nastroju.

W Kencie czuł się wspaniale. Jedynie przez chwilę, gdy w zamku Rochester zobaczył wszystkich sędziów, miał obawy, czy to będzie przyjemny wyjazd. Liczne sędziowskie grono składało się głównie z królewskich dworzan i członków rodzin największych posiadaczy ziemskich. Bull był bogaty, ale nigdy nie obracał się w takich kręgach. Na szczęście Chaucer natychmiast przyszedł mu z pomocą.

– Panowie – powiedział z uśmiechem. – Jako osoba nowo przybyła do hrabstwa, poprosiłem mojego drogiego przyjaciela, żeby mi towarzyszył i był moim przewodnikiem. Oto Bull z Bocton, członek starego rodu Kentu.

Jego słowa wywołały spodziewany skutek.

– Bullowie osiedli tu wcześniej niż my – oświadczył jeden z posiadaczy ziemskich.

– Znam waszego brata – uśmiechnął się drugi. Nie minął dzień i Bull miał już wrażenie, że jest wśród swoich.

Tak jak Chaucer przewidział, Bull nie miał czasu na ponure rozmyślania, bo ciągle byli w drodze. Prowadzili dochodzenia w różnych sprawach – zarządzania majątkiem w imieniu spadkobierczyni, przekazania ziemi na rzecz klasztoru – albo dokonywali inspekcji umocnień obronnych, które musiały być gotowe na wypadek ataku Francuzów na wybrzeże. Ale największą przyjemność sprawiało im zwyczajne wymierzanie sprawiedliwości w miasteczkach, wsiach i dworach całego hrabstwa.

Napadnięto poborcę podatkowego, podpalono komuś stodołę, ukradziono młynarzowi całą mąkę, chłop nie chciał świadczyć pracy na rzecz swojego pana. Wszyscy stawali przed sądem, wyłuszczali swoje racje i odpowiadali na pytania zadawane w prostej angielszczyźnie. Potem wypowiadała się ława przysięgłych i wreszcie sędziowie tacy jak Chaucer wydawali wyrok z poszanowaniem miejscowych zwyczajów. Jednak Bull

najbardziej lubił, gdy wieczorem zasiadali w gospodzie i omawiali wydarzenia minionego dnia.

Chaucer przybrał ostatnio na wadze, w jego koziej bródce pojawiło się kilka siwych włosów. Jego twarz i oczy z opadającymi powiekami często bywały zaczerwienione. Wyglądał na człowieka zadowolonego z życia. I był bardzo spostrzegawczy.

– Zauważyłeś, że ten mnich miał na nosie kurzajkę? – pytał nagle. I wybuchał śmiechem. – A ten królewski urzędnik sypiał z żoną młynarza. Zauważyłeś, jak na niego patrzyła?

– Mam wrażenie, że im bardziej ludzie są podli, tym większą darzysz ich sympatią – skarcił go kiedyś Bull.

Chaucer jedynie pokręcił głową.

– Ja kocham wszystkich – powiedział z prostotą. – I nic na to nie poradzę.

Jednak w miarę upływu czasu Bull zaczął się martwić. I to nie o siebie, lecz o przyjaciela. Szanował jego dokonania, więc długo nie miał odwagi poruszyć drażliwego tematu. Na szczęście w kwietniu zdarzyła się ku temu sposobność.

Pojechali z wizytą do Bocton i zostali serdecznie przyjęci przez brata Bulla. Gdy następnego dnia jechali w ciepłych promieniach słońca drogą prowadzącą do Canterbury, Chaucer zwierzył się ze swojego planu.

– Mam w zamyśle nowe, wielkie dzieło – tłumaczył. – Napisałem już tyle dworskiej poezji. A od dawna chciałbym spróbować czegoś zupełnie innego. Spójrz tylko na tych wszystkich ludzi, których dzień po dniu widujemy w sądzie. Rolnicy, młynarze, mnisi, przekupki. A gdybym tak pozwolił im przemówić? – Uśmiechnął się szeroko. – Wspaniałe, wielkie dzieło, prawdziwa literacka uczta.

– Ale przecież nie da się ubrać mowy zwykłych ludzi w poezję – zaprotestował Bull.

– Już nad tym myślałem! – zawołał Chaucer z ożywieniem. – A gdyby tak każdy z nich opowiedział krótką historię, tak jak u włoskiego pisarza Boccaccia? Opowiadając swoje historie, obnażaliby też swój charakter. Prawda, że zgrabne?

– Tylko że zwykli ludzie nie mają czasu na snucie opowieści jak leniwi dworacy – zauważył Bull.

– Wręcz przeciwnie. Rozmawiają podczas wędrówki. A gdzie spotykają się kobiety i mężczyźni z różnych sfer? Właśnie na tej drodze. – Roześmiał się na cały głos. – Pielgrzymi, drogi przyjacielu. Pielgrzymi, którzy wyruszają z zajazdów takich jak „U George'a", udając się do sanktuarium Becketa w Canterbury. Mógłbym opowiedzieć dziesiątki takich historii i połączyć je w całość. Mam nawet tytuł: *Opowieści kanterberyjskie*.

– Czy to dzieło będzie długie?

– Owszem, to będzie dzieło mojego życia.

W tym momencie Bull uznał, że nadszedł odpowiedni moment, aby podzielić się z przyjacielem swoimi obawami.

– Jeśli to dzieło ma być ukoronowaniem twojego życia, to chciałbym cię prosić o jedno.

– Słucham. – Chaucer się uśmiechnął.

– Na miłość boską – zaczął kupiec błagalnie – nie zmarnuj swojego talentu i nie pozwól, by twoja praca poszła w zapomnienie.

– Co masz na myśli?

– Pisz po łacinie! – krzyknął Bull.

Postulat Bulla brzmiał bardzo rozsądnie i pewnie wielu przyznałoby mu rację. Pisząc po angielsku, Geoffrey Chaucer podejmował wielkie ryzyko. Tak naprawdę w owych czasach język angielski nie istniał. Owszem,

w całej Anglii posługiwano się jego rozmaitymi odmianami, ale mieszkaniec Kentu z trudem porozumiewał się z mieszkańcem Nortumbrii. Anonimowy mnich piszący o Panu Gawenie i Zielonym Rycerzu czy Langland piszący o Piotrze Oraczu posługiwali się angielszczyzną aż gęstą od skandynawskich aliteracji i smutnych anglosaskich tonów. Przez to brzmiała dla dwornego Chaucera prostacko, a nawet komicznie. A on sam jak pisał? Jego poezja, złożona z saskiej angielszczyzny i normandzkiej francuszczyzny, okraszona mnóstwem łacińskich słów, płynąca lekko jak ballada trubadura, była mową dworu i wyższych klas Londynu. Ponadto arystokraci często przechodzili w rozmowach na francuski, a uczeni na łacinę. Nawet angielski, którym posługiwano się w Londynie, nieustannie się zmieniał.

– Zmienił się od czasów mojego dzieciństwa – przypomniał mu Bull. – Ośmielę się powiedzieć, że moje wnuki nie będą mogły zrozumieć twoich wierszy. Łacina jest najlepsza, bo wieczna.

Po łacinie mówiono i pisano w całej Europie, więc należało przypuszczać, że tak pozostanie na zawsze.

– Jesteś jak człowiek – ciągnął Bull – który rzuca się do wody, żeby przepłynąć rzekę, zamiast zbudować solidny kamienny most. Nie pozwól, żeby twoja praca poszła na marne. Pozostaw po sobie pomnik dla przyszłych pokoleń.

Była to bardzo rozumna rada. Chaucer nie poczuł się nią dotknięty.

– Zastanowię się nad tym – powiedział.

Monopolizowanie rynku – tak się nazywa sprytna gra, która w świecie handlu przynosi największe dochody, a jednocześnie ma najwięcej wrogów. Należy wykupić wszystkie zapasy towaru, na który jest duży popyt, wytworzyć sztuczne wrażenie braku, a potem sprzedawać po wysokiej cenie. Takie operacje mają zazwyczaj duży zasięg i wymagają udziału kilku

kupców. W średniowiecznym Londynie podobne praktyki nazywano uprzedzaniem ruchu konkurencji.

Geoffrey Bull, dawniej Ducket, i Richard Whittington, kupiec bławatny ze szlacheckiej rodziny, działali subtelniej.

Dzięki Bullowi znaleźli się w bardzo korzystnym położeniu. Po pierwsze, mogli zrobić użytek z jego rozległych interesów – dzierżawy nieruchomości położonych przy moście, eksportu wełny do Flandrii, importu sukna. Mieli także do dyspozycji zyski z długoterminowych umów z hanzeatyckimi kupcami. Jednak to nie dostępna gotówka była najważniejsza, ale wiarygodność kredytowa Bulla. „Dzięki niej można dokonywać potężnych spekulacji”, stwierdził Whittington.

I spekulowali. To Ducket wymyślił cały system. Wykorzystał szczególną okoliczność. Oto Bull wyznaczył na opiekunów swojego majątku ludzi z dwóch skłóconych ze sobą gildii. Gdy więc Ducket i kilku kupców z jego gildii kupowali duże ilości jakiegoś towaru, a Whittington i kilku kupców bławatnych sięgali po resztę, wszyscy uznawali, że chodzi o zwykłą rywalizację. Dwaj przyjaciele byli jednak na tyle sprytni, że zostawiali na rynku trochę towaru, aby paru drobnych sprzedawców też mogło zarobić na wywołanym przez nich wzroście cen. Skupili się na dobrach luksusowych, których ceny nie były regulowane i których nie dało się szybko zastąpić.

Pieprz. Futra z krajów nadbałtyckich. Cały ładunek jedwabiu ze Wschodu. Skupowali jak najwięcej, przetrzymywali w magazynach i po trochu wypuszczali na rynek po zawyżonych cenach. Od jesieni 1385 roku do maja 1386 roku przeprowadzili taką operację pięciokrotnie. Po tym czasie Whittington był ważną postacią w gildii kupców bławatnych, a Geoffrey Bull, dawniej Ducket, znacznie się wzbogacił, i to na własną rękę.

To był pomysł Tiffany.

– Ja bym się nie odważył – wyznał Ducket. – Musielibyśmy to zrobić za plecami twojego ojca.

– Ja się zajmę ojcem – powiedziała.

I oto pewnego czerwcowego popołudnia 1386 roku Geoffrey Bull, dawniej Ducket, nieco zdenerwowany, wyszedł z domu na Oyster Hill. Dwieście metrów na zachód stał okazały dom zwany Coldharbour z ogrodami zbiegającymi do Tamizy, w którym prowadził działalność jeden z najwspanialszych urzędów w państwie.

– Założę się, że wyrzucą mnie za próg – mruknął, przekraczając bramę.

W ciągu dziesięciu miesięcy nieobecności teścia Geoffrey Bull, dawniej Ducket, zgromadził pokaźny majątek. A do tego od kilku tygodni towarzyszyło mu niebywałe szczęście.

Potężna gildia spożywców rządziła miastem. Miała swojego burmistrza i kilku najważniejszych rajców. A jej przywódcy snuli wielkie plany na przyszłość. Z aprobatą przyglądali się zięciowi Bulla. Jego ostatnie przedsięwzięcia zrobiły na nich wielkie wrażenie. Kilku drobnych członków gildii należących do wtajemniczonej grupy też zgarnęło niemałe zyski.

„On z czasem odziedziczy po Bullu wielki majątek”, zauważył któryś z rajców.

„Tylko że Bull wolałby go widzieć wśród kupców bławatnych”, przypomniał inny.

„Musimy temu zapobiec”. Jak wszyscy ludzie zajmujący się polityką albo dobroczynnością, rajcy wiedzieli, że bogatych należy hołubić.

I tak oto Geoffrey Bull, dawniej Ducket, wszedł do starszyzny gildii spożywców – niezwykłe osiągnięcie jak na kogoś, kto nie skończył jeszcze dwudziestu sześciu lat. A dwa tygodnie później zajął w swoim okręgu miejskim zwolnione właśnie stanowisko kanclerza.

„Chyba rozumiesz, że to pierwszy krok na drodze do stanowiska rajcy?”, powiedziała Tiffany uszczęśliwiona.

Jednak mimo tych licznych uśmiechów losu jedno budziło jego rozgoryczenie. Miał z tego powodu wyrzuty sumienia, bo przecież – sam to przyznawał – żaden jego sukces nie byłyby możliwy, gdyby nie korzystne małżeństwo. Mimo to pewna myśl dręczyła go nieustannie: nieważne, czego dokonam, zawsze będę Bullem. Bullem, a nie Ducketem.

Jednak to nie on, lecz Tiffany poruszyła ten temat pewnego dnia.

„Nie daje ci to spokoju, prawda? – Zaprzeczył, ale jedynie pokręciła głową. – Wiem, że tak jest. – A potem dodała ku jego zaskoczeniu: – Mnie też to się nie podoba”.

Mówiła prawdę. Była dumna z Bulla i ze swojego majątku. Ale w głębi duszy złościło ją, że dla swoich przyjaciółek była dziewczyną, która wyszła za mąż za kogoś gorzej urodzonego. Kiedyś usłyszała przypadkiem, jak jakaś kobieta mówi: „Mąż Tiffany? Ten z białą grzywką i dziwnymi palcami? Bullowie nie mogli jej znaleźć odpowiedniego męża, więc wyłowili go z rzeki”. Oburzyły ją te słowa. „Nieprawda – miała ochotę jej powiedzieć. – To on mnie uratował z Tamizy”. Najchętniej uderzyłaby ją w twarz. Ja już wam wszystkim pokażę, pomyślała, że mam męża, którym mogę się pochwalić. Lepszego od waszych.

Coldharbour, siedziba heroldii, było niezwykłym miejscem. Brukowany dziedziniec zamiatano dwa razy dziennie. Główny budynek, stojący frontem do bramy, miał parter z kamienia, a wyższe kondygnacje z drewna. Wielkie dębowe drzwi pokryto woskiem i wypolerowano tak pieczołowicie, że rzucały delikatny blask. Służący w urzędowej liberii przyjął Geoffreya Bulla, dawniej Ducketa, i wprowadził go do przestronnej sali, w której z belkowanego stropu zwieszały się barwne chorągwie lordów i rycerzy. Po krótkim oczekiwaniu w sali pojawił się pisarz, także w liberii,

i poprowadził go przez kolejne dwa pokoje do wielkiej, kwadratowej komnaty, w której za stojącym na środku ciemnym stołem siedział nie kto inny jak sam Richard Spenser, Wielki Herold Clarenceux [20] i lord marszałek w jednej osobie. Gestem zachęcił gościa do wyjaśnienia powodu swojej wizyty. Zdenerwowany Geoffrey zawahał się, ale po chwili zaczął mówić.

– Przyszedłem zapytać, czy mógłbym mieć swój herb – zakończył.

Zwyczajny kupiec, prosty, szary człowiek bez skrawka własnej ziemi prosi o herb, jakby był szlachetnie urodzonym rycerzem ze starego rodu? Handlarz śmie wkroczyć do heraldycznej świątyni, pełnej chorągwi baronów, hrabiów i książąt, w których żyłach płynie krew Plantagenetów? Nonsens. Rzecz nie do przyjęcia. Zniewaga.

Owszem, ale nie w Anglii.

Bo podobnie jak londyński kupiec mógł zostać panem na włościach, a młodszy syn szlachcica parał się handlem, tak samo pozory feudalnego społeczeństwa skrywały bardziej pragmatyczną rzeczywistość. Nawet tak bardzo pożądany ład szlachectwa nie był nienaruszalny. Sto lat wcześniej Edward I wymógł, aby bogaci kupcy mieli prawo otrzymywania tytułów szlacheckich, bo potem musieli płacić podatek feudalny, który pozwalał utrzymywać armię najemników. W kwestii herbów system był jeszcze bardziej elastyczny.

W końcu herby były sztucznym wynalazkiem. Do czasów Ryszarda Lwie Serce, kiedy to popularne stało się potykanie na kopie, wielu szlachciców nie miało o nich pojęcia. Ale wkrótce herby stały się modne. Były barwne, pełne godności, bohaterskie, a nawet romantyczne. I tak jak w każdej innej dziedzinie życia podjęto kroki, które miały ująć tę nową modę w odpowiednie ramy. Urząd heraldyczny nadzorowany przez heroldów stał się wielką, królewską gildią mającą określone warunki

członkostwa, specyficzne regulacje oraz własną tajemnicę – zasady i sztukę tworzenia heraldycznych wzorów. Nic dziwnego, że godność herbowa była bardzo pożądana. Człowiek z herbem, nieważne, kim był, w głębi duszy czuł się jednym z rycerzy króla Artura. Jego przodkowie, mimo że zwyczajni ludzie z gminu, stawali się niedocenionymi bohaterami. A on sam i jego rodzina, wpisani do heraldycznych ksiąg, wkraczali do grona nieśmiertelnych.

Było więc oczywiste, że heroldowie potrafili docenić dumnych mężczyzn, którzy wciąż nazywali siebie baronami Londynu. Burmistrz miasta i rajcowie mieli prawo do herbu. Bull miał swój po ojcu. A członek starszyzny jednej z najważniejszych gildii zasługiwał na uwagę. Dlatego lord marszałek patrzył na Geoffreya nie z oburzeniem, lecz ze zdziwieniem.

– Jesteś trochę za młody na taką godność – zauważył nie bez racji. – Ale z drugiej strony – dorzucił – mimo młodego wieku zostałeś starszym gildii spożywców i kanclerzem w swoim okręgu. Jak ci się to udało?

Nie wspominając o niektórych przedsięwzięciach podejmowanych z Whittingtonem, Ducket wyjaśnił, że ożenił się z córką Bulla i dzięki temu mógł awansować. Przyznał się też do niskiego urodzenia.

– Chyba jednak nie powinienem był tu przychodzić – zakończył.

– Niskie urodzenie przemawia przeciwko tobie, ale nie jest ostateczną przeszkodą, żeby otrzymać herb – oznajmił herold. – Nas bardziej interesuje ranga, którą udało ci się osiągnąć. Jednak pewna rzecz jest dla mnie niejasna. Prosisz o pozwolenie na posługiwanie się herbem rodziny swojej żony czy chciałbyś mieć własny?

– Chciałbym na powrót używać własnego nazwiska, panie – odparł Ducket. – Potrzebny mi jest herb rodu Ducketów. – W tym właśnie tkwiło sedno: gdyby miał herb, nawet Bull nie mógłby odebrać mu nazwiska.

Herold spojrzał na niego z zastanowieniem. Dostojny wygląd i atmosfera Coldharbour wprawiały w zakłopotanie nawet najbardziej dumnych kupców. Wchodząc w te progi, Ducket wykazał się odwagą. Dlatego w oczach herolda nie był pyszałkowatym parweniuszem. Miał w sobie pokorę. Ale należało wyjaśnić jeszcze jedną kwestię.

– Wybacz, że cię o to pytam – zagaił łagodnie herold – ale jak na miłość boską udało ci się ożenić z córką tak bogatego kupca jak Bull?

Ducket zaczął opowiadać, a herold słuchał tego z szeroko otwartymi oczami.

– Wskoczyłeś do Tamizy pod London Bridge podczas odpływu? – spytał z niedowierzaniem. – Wiesz, że mogę to sprawdzić.

– Tak, panie.

Lord marszałek Anglii wybuchnął śmiechem.

– Od lat nie słyszałem tak wspaniałej historii. – Uśmiechnął się z aprobatą. – No cóż, kanclerzu, z pewnością dorównujesz determinacją rycerzom Okrągłego Stołu. Zobaczymy, co się da zrobić. Mój pisarz wszystko ci objaśni.

Kilka minut później Ducket znalazł się w zatłoczonym pokoju z dużym stołem roboczym pośrodku. Pokój wyglądał trochę jak klasztorna biblioteka, a trochę jak warsztat malarza szyldów.

– A teraz, panie – zaczął pisarz – zobaczysz wspaniałą tajemnicę znaków herbowych. Na początek twój herb musi mieć kolor tła. Tylko że w heraldyce – uśmiechnął się – nie używamy słowa „kolor”, lecz „tynktura”. – Wymówił je z francuskim akcentem. – Główne tynktury to błękit, który nazywamy *azure*, zielony, czyli *vert*, czerwony, czyli *gules*, czarny, czyli *sable*, i fiolet, czyli *purpure*. Są tynktury metaliczne: złota, czyli *or*, i srebra, czyli *argent*. Umieszczamy też futra, z których najbardziej lubiany jest gronostaj. Tło nazywamy polem – objaśniał dalej. – Pole

można podzielić na dwie połowy albo cztery ćwiartki. Mogą tworzyć szachownicę albo być podzielone wstęgami. Wszystko inne, co zechcecie umieścić w polu, nazywamy godłem. Może to być na przykład krzyż, miecze, topory, strzały, końskie podkowy, węzły czy harfy. Jeden z rycerzy wybrał sobie taran. Możecie mieć też drzewa, kwiaty, gwiazdy.

– A zwierzęta?

Pisarz się rozpromienił.

– Oczywiście. – Sięgnął z zadowoleniem po kilka wielkich arkuszy pergaminu. – To tylko kilka przykładów.

Ducket wciągnął gwałtownie powietrze. Niewiarygodne. Patrzył na wizerunki lwów, lampartów, niedźwiedzi, wilków, jeleni, zajęcy, byków, łabędzi, orłów, delfinów i węży. A do tego każde zwierzę pokazywane było w różnych postawach: stojące na tylnych nogach, siedzące, czające się do skoku, w półobrocie. U niektórych widać było tylko górną połowę ciała, u innych tylko głowę. Liczba kombinacji wydawała się nieskończona. Tuż obok jeden z pisarzy pracował nad godłem przedstawiającym dwa lwy stojące na tylnych łapach, jakby gotowe do walki.

– Nie widzieliście najpiękniejszego – odezwał się przewodnik Ducketa, rozkładając jeszcze jeden stos arkuszy. – To są herbowe potwory.

Niektóre wyglądały znajomo – wspaniały smok, piękny jednorożec. Ale inne były dziwne: gryf, pół lew, pół orzeł, bazyliszek, czyli stwór z głową koguta i ogonem smoka, herbowa pantera zionąca ogniem, lew morski, czyli lew z rybim ogonem, no i oczywiście syrena.

– Zastanawiałeś się już, co chciałbyś mieć na swoim herbie? – spytał pisarz. – Może syrenę? Albo gryfa?

– A czy mógłbym mieć kaczkę?

– Kaczkę? – Pisarz był wyraźnie rozczarowany.

– Kaczkę na rzece – wyjaśnił Ducket.

Jednak nie było to takie proste, jak mu się wydawało. Jego pierwszy pomysł, zielona kaczka na niebieskim tle, spotkał się ze sprzeciwem.

– Nie da się położyć jednego koloru na drugim – tłumaczył pisarz. – Na kolorze można położyć złoto lub srebro. Albo kolor na srebrze lub złocie. To lepiej wygląda. A rzekę najlepiej pokazać za pomocą falistych linii przecinających pole. Sam zobacz.

I tak po niedługim czasie Ducket patrzył na szkic swojej herbowej tarczy. Miała srebrne tło, które mogło też być białe. Przez środek biegły dwie błękitne faliste wstęgi symbolizujące rzekę. Nad nimi widniały dwie czerwone kaczki, a poniżej jedna. Oczywiście wizerunek musiał otrzymać odpowiedni heraldyczny opis zwany blazonowaniem.

– *Argent*, dwie faliste wstęgi *azure* pomiędzy trzema kaczkami *gules* – powiedział pisarz pewnym tonem. – Herb Ducketów.

Mężczyzna stojący przed sądem w zamku Rochester nie wyglądał najlepiej. Jego czarny płaszcz był mocno poplamiony. Tunika, mimo że wykonana z kosztownej tkaniny, była zniszczona. Zapewne nie wiedział nawet, że na rajtuzach z tyłu miał małą, okrągłą dziurkę odsłaniającą ciało. Chaucer i towarzyszący mu prawnik patrzyli na niego z ciekawością. Chaucerowi wydawało się, że już wcześniej gdzieś go widział. Mężczyzna nazywał się Simon le Clerk. I oświadczył, że pochodzi z Oksfordu.

Należało przyznać, że bronił się umiejętnie, używał solidnych argumentów, jakby był wykształconym człowiekiem.

– Owszem, czcigodni panowie, przyznaję, że wziąłem pieniądze od obecnego tu młynarza. – Z pewnym niesmakiem wskazał na przysadzistego, ordynarnego jegomościa. – Założył się ze mną, a ja wygrałem. Wyglądał mi wtedy na trzeźwego, ale jeśli teraz twierdzi, że nie był, to gotów jestem, o ile wasza czcigodność zezwoli, zwrócić mu wygraną, która wynosi dokładnie połowę tego, co on twierdzi. Reszta

zarzutów – wzruszył pogardliwie ramionami – że jestem jakimś czarownikiem czy szarlatanem i że obiecałem mu zamienić metal w złoto, to czysty nonsens. Czy on ma na to jakieś dowody? Gdzie są narzędzia mojego nikczemnego fachu? Czy znaleziono je przy mnie albo w mojej kwaterze? Nie, bo ich nigdy nie było. W jego oskarżeniach nie ma nawet cienia prawdy, są tak samo bezwartościowe jak metale, z których według niego miałem robić złoto. Mówiąc krótko, wasza czcigodność, to on w najbardziej niedorzeczny sposób próbuje sprokurować złoto, nie ja.

Sędziowie się uśmiechnęli. Zgrabnie powiedziane. Młynarz kręcił głową z wściekłością, ale najwyraźniej nie miał żadnych dowodów na poparcie swoich słów.

– Oddaj mu wygraną – nakazał Chaucer. – I na tym zamkniemy sprawę.

Towarzyszący rozprawie prawnik kiwał właśnie głową, gdy nagle pojawił się Bull.

– Dobry Boże! – krzyknął. – To przecież Silversleeves!

To był jego ostatni dzień podróży z Chaucerem. Od wyjazdu z Londynu minął rok i od początku czerwca Bull czuł, że czas wracać. Na ostatek odwiedził rankiem wspaniałą katedrę w Rochester, a potem pojechał do zamku, żeby pożegnać się z przyjacielem.

W krótkich słowach opowiedział sędziom o wszystkim. Chaucer jeszcze raz podsumował sprawę, tym razem jednak nieco inaczej.

– Zeznania świadka o nieposzlakowanej opinii dowodzą – mówił do Silversleevesa – że podałeś przed sądem fałszywe nazwisko, że pochodzisz z Londynu, a nie z Oksfordu i że już wcześniej podejrzewano cię o podobne przestępstwo. Mamy zatem twoje słowo przeciwko słowu młynarza. A sąd postanowił dać wiarę młynarzowi. – Zwrócił się do jurysty. – Czy to jest zgodne z prawem?

– Jak najbardziej.

– A zatem – oświadczył Geoffrey Chaucer, sędzia pokoju – nakazuję ci zwrócić młynarzowi całą sumę, którą jesteś mu winien. I skazuję cię na jedno przedpołudnie w dybach. – Zastanawiał się przez chwilę. – Z tyglem zawieszonym na szyi.

Angielska sprawiedliwość miała pozytywną cechę: kierowała się zdrowym rozsądkiem.

Gilbert Bull jechał do Londynu w doskonałym nastroju. Nikogo nie uprzedził o swoim powrocie.

Tiffany zdążyła zapomnieć, czym jest ojcowska złość. Od jego niespodziewanego powrotu minęły trzy dni. Stała teraz przed nim w wielkim pokoju domu na London Bridge. I znów czuła się jak mała dziewczynka. Czerwony na twarzy, z oczami ciskającymi błyskawice, wyglądał na wyższego, niż go zapamiętała. I był wściekły.

– Zdrada! – krzyczał. – Twój mąż to Judasz! Od początku miałem rację. Przybłędzie nie wolno ufać. Zła krew. – Wskazał córkę palcem. – A ty nie jesteś lepsza od niego, ty mała Izebel!

– To nie jest zdrada – zaprotestowała. – Nasze dzieci nadal są twoimi wnukami.

– To jest zdrada! – wrzasnął. – Czekacie, żeby odziedziczyć majątek Bulla, a nie Ducketa.

– Nie wiedziałam, że to dla ciebie takie ważne, ojcze.

– To dlaczego zrobiłaś to za moimi plecami? – ryknął.

Dowiedział się o wszystkim, gdy kucharka nazwała Geoffreya „panem Ducketem”. „Powinnaś mówić »pan Bull«”, poprawił ją. „Nie, panie – zaprzeczyła. – On się teraz nazywa pan Ducket”.

Sprawa się wydała.

Bullowi trudno było się rozeznać, co zraniło go mocniej: ich podstępne działanie, utrata nazwiska – nieśmiertelności – u przyszłych pokoleń czy

fakt, że dzięki kupieckim sukcesom Ducketa nie potrzebowali jego pomocy. A już na pewno nie zniżyłby się do tego, żeby to głośno przyznać. Mógł jednak wysunąć oskarżenie najcięższe w mniemaniu każdego Bulla.

– Złamał słowo! – krzyknął.

A potem w szczegółach opowiedział pobladłej Tiffany, co zamierza zrobić.

– W jego wieku? – W pierwszej chwili Ducketowi trudno było uwierzyć.

– A czemu nie? Jest jeszcze w pełni sił.

– Ale tak zacząć wszystko od nowa?

– To moja wina – przyznała Tiffany. Nie była przygotowana na niespodziewany powrót ojca. Chciała wyjawić mu wszystko delikatnie, w odpowiednim czasie. Ale miała też do siebie żal. Tak bardzo pragnęła zadowolić jednego mężczyznę, że zaniedbała drugiego.

– Czy to znaczy, że będę musiał wrócić do nazwiska Bull?

– To w niczym nie pomoże – stwierdziła. – On już nam nie ufa. Pomyśli sobie, że po jego śmierci znów zmienimy nazwisko.

– Może jednak się opamięta? – spytał Ducket niepewnie.

Bull postanowił jeszcze raz się ożenić. „A jeśli urodzi mi się syn – oświadczył lodowato Tiffany – to on, a nie ty czy Ducket, odziedziczy po mnie majątek”.

Dopiero teraz Ducket zobaczył, że nie znał do końca swojej żony. Tiffany pokręciła głową, a spojrzenie jej łagodnych ciemnych oczu nagle stwardniało.

– Chyba nie zdajesz sobie sprawy, jaki majątek wchodzi w grę – powiedziała spokojnie.

– To co mamy zrobić?

– Musimy go przechytrzyć.

Pani Barnikel bardzo się zdziwiła, gdy w pierwszym tygodniu sierpnia Tiffany złożyła jej wizytę. A jej zaskoczenie wzrosło, gdy dziewczyna, którą znała przecież bardzo słabo, poprosiła ją o poufną rozmowę. Usiadły przy stole i po krótkiej wymianie uprzejmości Tiffany przystąpiła do rzeczy.

– Martwię się o mojego ojca – zaczęła.

Opisała bogatego kupca we wzruszający sposób: samotny wdowiec, który na starość potrzebuje towarzystwa kobiety.

– Chyba że – powiedziała Tiffany cicho – znalazłyby się jakieś mężatki zainteresowane dyskretną znajomością. Ojciec jest w doskonałej formie jak na swoje lata. Może znacie kogoś takiego?

Pani Barnikel zmarszczyła brwi.

– Postawmy sprawę jasno. Chcesz znaleźć ojcu kochankę?

– Tak.

– I pytasz, czy nie znam kogoś odpowiedniego?

– Ufam waszej opinii, pani. – Tiffany umilkła na chwilę. – Poza tym on zawsze żywił dla was wielki podziw.

Próbowała tego już wcześniej w innych miejscach. Tak naprawdę pani Barnikel była trzecią kobietą, z którą Tiffany odbyła taką rozmowę. Gdyby sprzyjało jej szczęście, nigdy nie odważyłaby się zapuścić do takich rejonów jak Southwark. Słyszała jednak, jak wiele lat temu ojciec mówił, wprawdzie ze śmiechem, że pani Barnikel to piękna kobieta. Dlatego wybrała strategię najprostszą z możliwych. „Ojciec albo musi ożenić się z kobietą za starą na rodzenie dzieci, albo znaleźć sobie kochankę, której nie będzie mógł poślubić. Czyli mężatkę – tłumaczyła Ducketowi. A kiedy zapytał, czy uda jej się to przeprowadzić, odpowiedziała: – Nie mam innego wyjścia”.

– Chodzi ci o mnie? – spytała pani Barnikel.

– Tak sobie pomyślałam.

– A czy on sam nie może sobie znaleźć kobiety?

– Bardzo go kocham. I nie chcę, żeby ktoś go skrzywdził.

Pani Barnikel spojrzała jej prosto w oczy.

– W grę wchodzi dużo pieniędzy, tak? – spytała.

– Owszem.

Roześmiała się.

– Chyba nie jestem zainteresowana. Mam swojego Bulla i bynajmniej się na niego nie skarżę.

I na tym stanęło. Jedna poszła zająć się swoim mężem, druga – spadkiem.

Problem Tiffany znalazł rozwiązanie, ale nie dzięki jej wysiłkom. Pomoc przyszła z nieoczekiwanej strony.

Spośród wszystkich członków Izby Gmin, którzy na początku października zjechali się na otwarcie nowego posiedzenia, niewielu było tak wybitnych jak poseł z hrabstwa Kent. Oto bowiem w tej roli pojawił się Chaucer – rewident wełnianej izby celnej, żołnierz, dyplomata, poeta i sędzia pokoju. I chociaż nie został formalnie pasowany na rycerza, to zgodnie z obowiązującą konwencją tytułowano go rycerzem hrabstwa, ponieważ był posłem.

Było więc oczywiste, że z tej wyjątkowej okazji Richard Whittington, kupiec szlacheckiego pochodzenia, wydaje u siebie ucztę na cześć Chaucera. Nikogo nie dziwiło, że zaprosił na nią ich wspólnego znajomego – Bulla. Zważywszy na jego charakter, nie było także dziwne, że zastanawiając się nad listą pozostałych gości, przypomniał sobie o poważnym problemie trapiącym jego przyjaciela i towarzysza dziecięcych zabaw Geoffreya Ducketa.

Tak się złożyło, że Bulla usadzono przy stole obok kobiety, której subtelnego zmysłowego uroku nie mógł nie zauważyć. Pochlebiało mu, że

ona też patrzy na niego z zainteresowaniem.

– Zdaje się – mruknął mu Whittington do ucha pod koniec uczty – że ta dama nie jest obecnie z nikim związana.

A następnego dnia oznajmił Ducketowi ze śmiechem:

– Wszystko się pięknie złożyło, bo ślub absolutnie nie wchodzi w grę.

Ducket i Tiffany ogarnęło podniecenie, gdy dotarły do nich pogłoski, że Bull kupił bukiet kwiatów, który – jak mieli podstawy sądzić – przeznaczony był dla siostry Olive.

Rok 1422

Gdy nadeszło nowe stulecie, stało się oczywiste, że żadnej londyńskiej rodzinie nie sprzyjało takie szczęście jak Ducketom. Doczekali się siódemki zdrowych dzieci, Ducket nieustannie pomnażał i tak już znaczny majątek, a Tiffany otrzymała spadek dużo większy, niż się kiedykolwiek spodziewała.

Bo oto w 1395 roku najpierw zmarł dziedzic Bocton, a potem odszedł jego trawiony smutkiem ojciec. Stary, piękny majątek w Kencie przeszedł w ręce Gilberta Bulla, który stał się najbogatszym członkiem rodu. A uznawszy, że zostało mu już być może niewiele lat, by cieszyć się życiem na wsi, zostawił dom na London Bridge Tiffany i Ducketowi i przeniósł się do rodzinnej siedziby. Jego romans z siostrą Olive trwał osiem lat i dał mu dużo szczęścia. Siostra Olive była kobietą zmysłową i otwartą, więc myśl o rygorach małżeństwa szybko wywietrzała mu z głowy. Wnuki całkowicie podbiły jego serce, a zranioną rodową dumę złagodziły zapewnienia jednego z heroldów, że skoro Ducket ma swój herb, a Tiffany jest, jak to ujął, dziedziczką herbową, godła Bulla i Ducketa można połączyć, co pozwoli Bullowi zachować heraldyczną nieśmiertelność wśród przyszłych

pokoleń. Patrząc z Bocton na rozległą dolinę Weald, Bull miał wrażenie, że jego starość jest skąpana w miękkim, łagodnym świetle.

Jednak zanim odszedł na wieczny spoczynek, na tym pięknym krajobrazie położyły się smutne cienie.

Panowanie Ryszarda II, tak obiecujące na początku, skończyło się źle. Wielu ludzi na dworze widziało, że sukces, jakim było zdławienie chłopskiej rewolty, uderzył młodemu monarsze do głowy. Ryszard był odważny, ale w odróżnieniu od Czarnego Księcia nie miał zdolności dowódczych. Znany był ze swoich ekstrawagancji. Jedne, jak pomysł pokrycia Westminster Hall nowym wspaniałym dachem, spotykały się z uznaniem. Inne, jak nierozważne wydawanie pieniędzy na kolejne faworyty – z potępieniem. Aż tu nagle, tuż przed końcem stulecia, jego zachowanie stało się tak nieobliczalne, że po wielkiej kłótni o feudalne dziedzictwo syn Jana z Gandawy, Henryk, wystąpił zbrojnie przeciwko królowi i strącił go z tronu.

Jeszcze głębszy cień padł na Anglię nieco później, w 1400 roku.

Zaraza. Pojawiła się w Londynie latem. Nie zważając na niczyje protesty, Bull wywiózł rodzinę do Bocton. I tak jak w młodości czekał tam, aż niebezpieczeństwo minie. Dopiero gdy upewnił się, że nic im nie zagraża, odważył się wrócić pod koniec października do miasta. I dowiedział się, że ciemność znów pochłonęła drogą jego sercu osobę.

Chaucer spędzał starość w Westminsterze, w ładnym, miłym domu z ogrodem otoczonym murem, pomiędzy pałacem a opactwem. Mieszkał tam rok, pracując nad *Opowieściami kanterberyjskimi*, gdy nagle jego życie zgasło.

– Dlaczego o nim nie pomyślałem? Dlaczego nie zabrałem go do Bocton? – rozpaczał Bull.

Kiedy jednak udał się do domu poety, nie miał pewności, czy jego przyjaciel umarł z powodu zarazy, czy też z innej przyczyny. Ogrodnik mówił, że to zaraza, mnisi zaprzeczali.

– Mogę was jednak zapewnić – mówił jeden z nich – że miał piękną śmierć. Bo na koniec żałował za grzechy, za te swoje bezbożne, bluźniercze opowieści. Kazał je spalić – dodał mnich z satysfakcją.

– I spaliliście?

– Wszystkie, które udało nam się znaleźć.

Czy to możliwe, że Chaucer wyrzekł te słowa w stanie skrajnego bólu?, zastanawiał się Bull. Kto wie? Kiedy jednak myślał o wielkim dziele Chaucera, niedokończonym i wbrew wszelkiemu rozsądkowi napisanym po angielsku, uznał, że to i tak nie ma znaczenia.

– Poszłoby w zapomnienie – mruknął do siebie, wychodząc z domu.

Dzwony biły na nieszpory, gdy mnich oprowadzał go po opactwie.

– Chcielibyście, panie, zobaczyć jego grób? – zapytał cicho zakonnik.

– Cieszę się, że pochowano go w opactwie – stwierdził Bull. – On był ozdobą Anglii. To dobrze, że umieliście to docenić.

Ale mnich pokręcił głową.

– Źle mnie zrozumieliście, panie. Został tu pochowany, bo tu mieszkał. – Uśmiechnął się. – Wynajmował dom w opactwie.

Bull zmarł pięć lat później i Bocton przypadło Tiffany. Jeździła tam częściej niż Ducket, chociaż on też kochał pradawną siedzibę Bullów.

– Jednak moim prawdziwym domem jest Londyn – przyznawał zgodnie z prawdą.

W mieście był szczęśliwy. Whittingtona powołano na stanowisko burmistrza nie raz, nie dwa, ale trzy razy, co przeszło do legendy. Ducket był świadkiem, jak jego przyjaciel realizuje to, co sobie obiecał, w tym także nowe ujęcie wody pitnej. A potem przeznacza w testamencie część

swojego majątku na zbudowanie publicznych toalet nieopodal brudnego kościoła Świętego Wawrzyńca Silversleevesa.

Ducket dożył też dni, kiedy skromny browar Jamesa Bulla w gospodzie „U George'a" rozrósł się niepomiernie i dostarczał piwo żołnierzom kolejnego króla, Henryka V, walczącym pod Agincourt. Widział, jak w odwiecznym konflikcie z Francją Anglia znów triumfuje, jak za czasów Czarnego Księcia. I patrzył, jak dorastają i bogacą się jego dzieci. A teraz zbliżał się powoli dzień, w którym i on będzie musiał odejść z tego świata.

Ostatnie lata życia spędził w domu na London Bridge. Najbardziej lubił patrzeć na rzekę – wieczorami przez wielkie okno wychodzące na zachód albo wczesnym rankiem, gdy stawał na drodze prowadzącej do Southwark, niedaleko miejsca, w którym go znaleziono. Wpatrywał się wtedy godzinami w potężny nurt Tamizy bez końca toczącej swoje wody ku wschodzącemu słońcu.

Hampton Court

Rok 1533

Nie powinna była wchodzić do ogrodu. Usłyszawszy szepty, powinna była pójść dalej. Przecież brat ją ostrzegał.

Upalne sierpniowe popołudnie. Czyste błękitne niebo. Kilkanaście kilometrów w górę rzeki, w ogromnym parku pełnym jeleni, grzał się w ciepłym słońcu pałac Tudorów z czerwonej cegły: Hampton Court. Zza wielkiego trawnika przed pałacem dobiegały ją śmiechy dworzan. Nieco dalej, wśród drzew, poruszał się delikatnie jeleń niczym nakrapiany cień. Łagodny wiatr przynosił słaby zapach skoszonej trawy i wiciokrzewu.

Zeszła nad rzekę, żeby być sama, i dopiero minąwszy żywopłot, usłyszała szept.

Susan Bull miała dwadzieścia osiem lat. I ładne, regularne rysy. Ludzie mówili, że jej największym atutem są włosy. Gdy ich nie upinała, zwisały luźno dokoła twarzy i tylko przy ramionach lekko się kręciły. Ale najbardziej rzucał się w oczy ich kolor: ciemny, intensywny brąz z ciepłym kasztanowym odcieniem, który nadawał im lśniący połysk jak na polerowanym drewnie czereśni. Oczy miały tę samą barwę. Ale w głębi duszy Susan najbardziej dumna była z tego, że po urodzeniu czwórki dzieci nie straciła szczupłej figury. Ubierała się z elegancką prostotą: biały wykrochmalony czepek skrywający gładko związane włosy i bladobrązowa suknia z jedwabiu. Skromny krzyżyk wiszący na szyi świadczył, że była

bogobojna, choć wiele dam afiszowało się ze swoją pobożnością, bo na dworze uchodziło to za swoistą modę.

Nie chciała tu przychodzić. Wszyscy dworzanie byli nieszczerzy, a nienawidziła fałszu. Nie zrobiłaby tego, gdyby nie musiała. Westchnęła. Wszystko przez Thomasa.

Thomas i Peter, jej dwaj bracia. Zadziwiające, jak bardzo różnili się od siebie. Thomas był ulubieńcem rodziny: bystry, inteligentny, czarujący, niezależny. Kochała go, to naturalne, ale miała swoje zastrzeżenia. I to duże.

Oraz Peter, spokojny i godny zaufania. I choć tak naprawdę był jej bratem przyrodnim, to z nim czuła się bardziej związana. To właśnie Peter, najstarszy w rodzinie Meredithów, po przedwczesnej śmierci ojca zajął jego miejsce. I to on zawsze był sumieniem rodziny. Nie zdziwiło jej, że postanowił zostać księdzem, zostawiając sprawy doczesne Thomasowi.

W całym Londynie nie było lepszego proboszcza niż Peter Meredith. Wysoki, nieco łysiejący, w wieku czterdziestu lat robił się tęgi, ale na jego trzódce wywierało to dobre wrażenie. Był zdolny i gdyby nie młodzieńcza skłonność do lenistwa, z pewnością zostałby uczonym. Jego parafia Świętego Wawrzyńca Silversleevesa nie była miejscem dla człowieka ambitnego. Ale on był zadowolony. Odnowił mały kościół z ciemnym lektorium, a jako zarządca okręgu doprowadził do tego, że wstawiono dwa nowe piękne witraże. Znał imię każdego dziecka w parafii, kobiety lubiły jego jowialność, bo wiedziały, że przestrzega celibatu. Potrafił pić z mężczyznami, ale zachowywał przy tym sympatyczną godność. Po udzieleniu ostatniego namaszczenia trzymał umierającego za rękę, dopóki ten bezpiecznie nie odszedł w zaświaty. Jego kazania były proste, a rozmowy rzeczowe. Słowem porządny katolicki duchowny.

Niestety, rok wcześniej zachorował, i to poważnie. Po jakimś czasie ogłosił: „Nie mogę już świadczyć pasterskiej posługi”. Postanowił pójść do wielkiego klasztoru kartuzów, ale wcześniej chciał odbyć pielgrzymkę do Rzymu. „Zobaczyć Rzym i umrzeć – żartował. – Chociaż nie wybieram się jeszcze na tamten świat”. Do tej pory nie wrócił z pielgrzymki. Musiała do niego napisać, prosząc o wskazówki. I rano po raz dwudziesty przeczytała jego odpowiedź: „Mogę ci tylko radzić, żebyś podążała za swoim sumieniem. Twoja wiara jest silna. Módl się, a będziesz wiedziała, jak postąpić”.

Modliła się. A potem przyszła tutaj.

Gdzieś w tym labiryncie był jej ukochany mąż Rowland. Godzinę wcześniej Thomas wprowadził go do środka – na spotkanie, które może zadecydować o ich przyszłości. Nigdy nie widziała go takiego przejętego. Przez trzy dni wymiotował i był tak blady, że gdyby Susan nie znała jego emocjonalnej wrażliwości, sądziłaby, że naprawdę zachorował. Zdecydował się na tę wizytę ze względu na nią i na dzieci. Ale robił to też dla siebie. I pewnie dlatego tak mocno życzyła mu powodzenia.

Mąż był jej największym darem od Petera. To Peter posłał go do niej z wiadomością: „To jest ten jedyny”. „Do diabła, oni nawet wyglądają tak samo”, zrzędził Thomas. To prawda, obaj byli wysocy, mocno zbudowani i obaj wcześnie zaczęli łysieć. Ale pod tym powierzchownym podobieństwem kryła się zasadnicza różnica. Mnich był starszy i mądrzejszy, a łagodny Rowland miał ambicje, których Peterowi brakowało. „Nie mogłabym wyjść za kogoś pozbawionego ambicji”, wyznała Susan.

Nie mogła się również uskarżać na współżycie z mężem. Uśmiechała się, wspominając ich pierwsze dni. Jacyż byli pobożni, jacy strachliwi!

Z jaką powagą traktowali wszystkie zasady, starając się ze swojej bliskości uczynić sakrament. W końcu postanowiła wziąć sprawy w swoje ręce.

„Ależ jesteś swawolna!”, powiedział z pewnym zdziwieniem.

„Przynajmniej będę miała z czego się spowiadać”, odrzekła. I od tego czasu ich spowiednik – z uśmiechem, którego nie mogli zobaczyć – zadawał im małą pokutę i udzielał rozgrzeszenia.

Rowland nareszcie dostał swoją szansę. Jeśli zaaranżowana przez Thomasa rozmowa dobrze się potoczy, otworzą się przed nimi wspaniałe perspektywy. Talent Rowlanda wreszcie znajdzie ujście i uwolnią się od problemów finansowych. A może nawet dojdą kiedyś do bogactwa. Myśląc o dzieciach, powtarzała sobie w duchu: musi się udać.

Pocieszała ją też jedna rzecz. Wiedziała, że dwór jest złem koniecznym, a dworzanie to jedynie słudzy. Za nimi stała postać dużo ważniejsza i to jej ostatecznie mieli służyć. Przyjaciel jej ojca, dobroczyńca jej brata, człowiek, którego od dzieciństwa uczono ją kochać i szanować.

Dobry i pobożny król Henryk. Głowa rodu Tudorów.

Dynastia Plantagenetów upadła w wyniku kolejnych straszliwych waśni pomiędzy wywodzącym się od Jana z Gandawy rodem Lancasterów i rywalizującym z nim rodem Yorków. Ich walka przeszła do historii jako wojna Dwóch Róż. Zginęło w niej tylu książąt, że na tron wstąpił mało znany walijski ród, który przez małżeńskie koligacje przypadkiem dostał się do wielkiej arystokracji. Gdy pięćdziesiąt lat wcześniej w bitwie pod Bosworth poległ ostatni Plantagenet, Ryszard III, ojciec Henryka zapoczątkował dynastię Tudorów na angielskim tronie.

Susan wciąż pamiętała tamten dzień – miała pięć lat, rok później zmarł jej ojciec – gdy udali się na królewski dwór, a tam, w wielkiej sali, zbliżała się do nich najwspanialsza postać, jaką w swoim życiu widziała. Wysoki, barczysty, w wyszywanej klejnotami tunice z poduszkami na ramionach,

Henryk wyglądał jak olbrzym. Ciasne rajtuzy opinały potężne nogi atlety. Watowany mieszek między nogami podkreślał męskość. Serce zabiło jej mocniej, gdy nagle para silnych ramion podniosła ją do góry, na wysokość pięknej męskiej twarzy z szeroko rozstawionymi, wesołymi oczami i równo przyciętą ciemnorudą brodą.

„A więc to jest twoja córka!” Potężny monarcha uśmiechnął się, przygarnął dziewczynkę i ją ucałował. Już wtedy, choć miała zaledwie pięć lat, Susan zrozumiała, co znaczy prawdziwy mężczyzna.

W całej Europie nie było przystojniejszego księcia niż Henryk. I mimo że Anglia była niewielka – jej ludność stanowiła zaledwie jedną piątą ludności zjednoczonego królestwa Francji – Henryk nadrabiał ten brak w niezwykłym stylu. Był świetnym atletą, zdolnym muzykiem, parał się nauką i niezmordowanie budował nowe pałace – słowem był typowym człowiekiem renesansu. Jego wojska zgniotły Szkotów pod Fodden. We wspaniałym obozie zwanym Polem Złotogłowia zawarł pokój z potężnym królem Francji. Ale najważniejsze, że w czasach największego kryzysu chrześcijaństwa Henryk zachował pobożność.

Jeszcze na początku jego panowania Marcin Luter zapoczątkował w Niemczech protest religijny. Podobnie jak lollardzi, na początku luteranie domagali się reformy Kościoła, ale wkrótce ich przekonania okazały się wielkim wyzwaniem dla doktryny katolickiej. Protestanci nie uznawali cudu dokonującego się podczas mszy, negowali potrzebę biskupich stanowisk i twierdzili, że księża mogą się żenić. Niektórzy panujący książęta dawali im posłuch. Ale nie król Henryk. Gdy niemieccy kupcy zaczęli przywozić do Londynu traktaty luterańskie, położył temu kres. A siedem lat wcześniej pod katedrą Świętego Pawła spalono publicznie tłumaczenie Nowego Testamentu dokonane przez Tyndale’a. Uczony król osobiście napisał rozprawę udowadniającą fałszywość luterańskich herezji,

a zrobił to tak doskonale, że wdzięczny papież nadał mu nowy tytuł: obrońca wiary.

Ostatnio król prowadził z papieżem spór w kwestii swojego małżeństwa i Susan, jak wielu pobożnych Anglików, miała dla Henryka wiele zrozumienia. „On z pewnością stara się wybrać najlepsze wyjście z trudnej sytuacji”, twierdziła. Poza tym wciąż możliwe było zadowalające rozwiązanie. „Jeszcze za wcześnie, aby go osądzać”.

Teren leżący przed Hampton Court, zwany „wielkim sadem”, przypominał parki otaczające wiele arystokratycznych siedzib. Były tu wypielęgnowane ogrody, altany, pawilony i ustronne zakątki, które Henryk, kochający przepych, kazał upiększać najrozmaitszymi potworami heraldycznymi, zegarami słonecznymi i innymi ozdobami malowanymi na drewnie i kamieniu.

Przypadek zrządził, że idąc obok wysokiego żywopłotu otaczającego jeden z ogrodów, usłyszała szepty. A potem chyba śmiech.

Daniel Dogget stał obok pomostu w Hampton Court. Zadumany spojrzał na swoją korpulentną żonę i jej krzepkiego, ale niskiego brata.

Wokół panowała cisza. Po wodzie sunęły białe łabędzie, dwie czarne pardwy kołysały się na falach, jakby lato miało nigdy się nie skończyć.

Dan Dogget był olbrzymem. Minęło dwieście lat od czasów, gdy Barnikel z Billingsgate odwiedzał siostry Dogget i pozostawił po sobie syna. Chłopiec odziedziczył po ojcu posturę, a po siostrach kolor włosów i nazwisko. Jego dzieci nie różniły się niczym od krewnych z dawnej rodziny Ducketa – poza wzrostem i trochę inaczej brzmiącym nazwiskiem.

Dan Dogget miał prawie sto dziewięćdziesiąt centymetrów wzrostu. Był szczupły, grubokościsty, a na czoło spadała mu grzywa ciemnych włosów z białym pasmem. Uchodził za najsilniejszego przewoźnika na Tamizie. Potrafił gołymi rękami przerwać łańcuch. Gdy skończył dwanaście lat,

pozwolono mu wiosłować z dorosłymi mężczyznami. A jako osiemnastolatek klął lepiej niż oni, co było dużym osiągnięciem, jako że londyńscy przewoźnicy słynęli z ostrego języka. Kiedy skończył dwadzieścia lat, nikt nie chciał się z nim bić, nawet w najbardziej podejrzanych gospodach.

– No i co teraz zrobisz? – spytał niski mężczyzna. Nie doczekawszy się odpowiedzi, dorzucił: – Wiesz, na czym polega twój problem, Danielu? Za dużo na siebie bierzesz.

Dogget westchnął, ale się nie odezwał. Nie zwykł narzekać. Był oddany swojej pulchnej żonie Margaret i gromadce wesołych dzieciaków. Pomagał siostrze i jej rodzinie. A teraz, kiedy żona biednego Carpentera zmarła przy porodzie, przeniósł żonę i dzieci z Southwark do Hampton Court, gdzie pracował Carpenter. „Mogą z tobą zostać, dopóki wszystko się nie ułoży”, zaproponował, co Carpenter przyjął z wielką wdzięcznością. Gdyby tylko to Daniel miał na głowie… Prawdziwym problemem był jego ojciec.

Rok temu pozwolił mu u siebie zamieszkać i od roku żałował tej decyzji. Stary Will Dogget był nieustannie obiektem drwin znajomych, a po jego ostatniej pijackiej eskapadzie Dan przyznał: „Dłużej z nim nie wytrzymam”. Ale co miał z nim zrobić? Przecież nie wyrzuci go na ulicę. Zwrócił się do siostry, lecz ona ani myślała wziąć ojca do siebie. Westchnął znowu. Bez względu na to, co postanowi, jednego mógł być pewien: „Potrzebne są pieniądze”. Kradzież nie wchodziła w grę, więc mógł je zdobyć tylko w jeden sposób. I dlatego uważnie obserwował przycumowane na przystani barki.

Barki wożące pasażerów po Tamizie różniły się wielkością, ale miały z grubsza ten sam kształt. Konstrukcją przypominały dawne łodzie wikingów, z płytkim kilem i burtami zrobionymi z zachodzących na siebie desek. Pokład był podzielony na dwie części: na dziobie mieściły się ławki

dla wioślarzy, na rufie siedzieli pasażerowie. Ten podstawowy model miał kilka wariantów. Były więc proste łodzie wiosłowe, szerokie i płytkie, obsługiwane przez jednego lub dwóch wioślarzy. Były dłuższe barki, z kilkoma parami wioseł i daszkiem dla pasażerów, a często też ze sterem na rufie. No i wreszcie były wielkie barki należące do miejskich kompanii, z nadbudówkami dla pasażerów, wspaniale rzeźbionymi dziobami i kilkunastoma parami wioseł. Tak właśnie wyglądała złocona barka Lorda Mayora, jak dziś nazywano burmistrza Londynu, która miała poprowadzić doroczną procesję na rzece.

Daniel kochał zawód przewoźnika. Praca była ciężka, ale miał wystarczająco dużo siły. Cichy chlupot wioseł w wodzie, pęd łodzi, zapach wodorostów – wszystko to sprawiało mu wielką radość. A przede wszystkim gdy wpadał w powolny, mocny rytm, czuł, jak w jego piersiach wzbiera ciepła fala, jakby jego siły, podobnie jak nurt Tamizy, były niewyczerpane. Nikt nie znał rzeki tak dobrze jak on – każde nabrzeże, każdy zakręt od Greenwich po Hampton Court. Wiózł kiedyś młodego dworzanina, który śpiewał balladę z refrenem:

Płyń cicho, słodka Tamizo,
Aż po kres piosnki mej.

Słowa tak mu się spodobały, że często je sobie podśpiewywał.

Pracy mu nie brakowało. London Bridge, często zatłoczony, wciąż był jedyną przeprawą, więc po wodzie uwijały się liczne barki i łodzie. A przy dłuższych podróżach droga rzeczna, choć może wolniejsza, była z pewnością bardziej wygodna. Wielu dworzan, gdy musieli stawić się rano w Hampton Court, zamiast wyruszać o świcie zrytą koleinami drogą zwaną King’s Road, prowadzącą przez Chelsea do królewskiego pałacu, wolało w ciepłą noc rozłożyć poduszki w wytwornej łodzi poruszanej przez

wioślarzy w liberiach. Słodka Tamiza płynęła cicho. Za takie rejsy przewoźnicy otrzymywali godziwą zapłatę, nie licząc napiwków.

Gdyby tylko udało mu się dostać na którąś z takich barek, jego życie od razu stałoby się lepsze. Ale… „Jesteś za wysoki – słyszał wszędzie. – Trudno znaleźć dla ciebie parę". A otrzymanie dobrze płatnej posady wymagało znajomości nawet w zwykłej gildii przewoźników. „Których ja akurat nie mam", wzdychał Daniel. Musiał jednak znaleźć jakiś sposób, choćby po to, by uratować ojca.

Dwaj mężczyźni, śmiejąc się, szli przez wielki dziedziniec, a ich kroki odbijały się cichym echem od ceglanych ścian. Mieli powód do radości.

Rowland Bull śmiał się z ulgą. Rozmowa przebiegła lepiej, niż się spodziewał. Do tej pory nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał. „Jesteś nam potrzebny". Duża rzecz dla sumiennego prawnika, zwłaszcza gdy takie słowa padają z ust samego kanclerza Anglii. Rowland Bull, syn skromnego browarnika z Southwark, był potrzebny w samym sercu królestwa. A o takiej zapłacie nawet nie śmiał marzyć. Owszem, obawiał się, że na dworze królują sprawy doczesne, ale gdy pomyślał o swojej rodzinie i o tym, jak może się zmienić jej życie, uznał to za wolę Bożą.

– Zawdzięczam to tobie – zwrócił się do swojego towarzysza.

Thomasa Mereditha trudno było nie lubić. Szczupły i przystojny, miał taką samą karnację jak jego siostra i to z nim rodzina wiązała nadzieje na wielkoświatową karierę. Meredithowie byli Walijczykami. I jak wiele walijskich rodzin przybyli do Anglii wraz z Tudorami. Dziadek Thomasa walczył pod Bosworth, a ojciec zapewne zaszedłby wysoko na dworze, gdyby nie to, że zmarł, gdy Thomas i Susan byli dziećmi. Ale król Henryk nie zapomniał o nich i dał Thomasowi stanowisko przy potężnym królewskim sekretarzu Cromwellu, co otwierało przed nim wspaniałe perspektywy. Thomas studiował wcześniej w Cambridge i Inns of Court;

świetnie śpiewał i tańczył; umiał fechtować i strzelać z łuku, grywał nawet z królem w tenisa. „I zawsze pilnuję, żeby przegrać”, mówił ze śmiechem. Miał dwadzieścia sześć lat i był czarujący.

Gdyby Rowland Bull miał wskazać, kto lub co doprowadziło go tak daleko, odpowiedziałby krótko: książki i Meredithowie.

Książki, czyli wykształcenie. Pierwsze prasy drukarskie przywiózł z Flandrii do Anglii jeden z członków gildii kupców bławatnych, niejaki Caxton, który tuż przed zakończeniem wojny Dwóch Róż założył w Westminsterze pierwszą drukarnię. Skutek był zadziwiający. Pojawił się cały strumień drukowanych książek. Książki Caxtona były czytelne, zamiast iluminacji miały biało-czarne drzeworyty, a przede wszystkim w porównaniu z dawnymi manuskryptami były tanie. W innym przypadku browarnik Bull, mimo że lubił czytać, nie mógłby sobie pozwolić na posiadanie kilkudziesięciu książek. I tak się stało, że właśnie Rowlandowi, najmłodszemu z synów, wolno było przesiadywać nad Chaucerem, opowieściami o królu Arturze, kazaniami i traktatami religijnymi. Miłość do książek sprawiła, że opuścił browar, został biednym żakiem w Oksfordzie, a potem studiował prawo. I za sprawą książek już w młodości zaczął przemyśliwać nad życiem religijnym.

Ale resztę zawdzięczał Meredithom. To przecież Peter, człowiek, którego szanował najbardziej na świecie, powiedział mu: „Bogu można służyć nie tylko w klasztorze”. To Peter, usłyszawszy, że Rowland nie umiałby dochować ślubów czystości, zauważył żartobliwie: „Święty Paweł mówi, że lepiej się ożenić, niż płonąć z pożądania”. Dzięki Peterowi poznał Susan i doświadczył szczęścia, o jakim nie śmiał marzyć. Wprawdzie czasem tęsknił za zakonnym życiem, ale była to jedyna tajemnica, którą ukrywał przed żoną. A dziś miał powody, by dziękować Thomasowi Meredithowi, co też chętnie uczynił. Miał do niego zaufanie.

Lecz po tym pełnym niepewności lecie w pałacu przekazywano sobie z ust do ust dużo ważniejszą wiadomość. Gdy wychodzili z dziedzińca przez bramę, Thomas trącił szwagra i rzekł z uśmiechem:

– Spójrz w górę.

Sklepienie bramy było piękne. Poprzednie stulecie miało swoją mroczną stronę, wojnę Dwóch Róż, więc jego chwałą stała się architektura, a zwłaszcza zwieńczenie angielskiego gotyku, czyli styl perpendykularny. Ostre łuki ustąpiły miejsca czystszej konstrukcji z prostych, eleganckich kolumn, pomiędzy którymi zawisły nie tyle ściany, ile zasłony ze szkła. Nad nimi wznosił się niemal płaski sufit w postaci pięknego sklepienia wachlarzowego, przypominający kamienną koronkę. Najwspanialszymi przykładami tego stylu były kaplice w Windsorze i w King’s College w Cambridge.

Brama też miała wachlarzowe sklepienie. A na nim, wśród delikatnych ornamentów, Thomas i Rowland zobaczyli cudownie splecione dwie litery, które tego lata wnosiły do Anglii nową nadzieję: H i A, Henryk i Anna.

Anna Boleyn.

Po dwóch dziesięcioleciach szczęśliwego małżeństwa z Katarzyną Aragońską Henryk wciąż nie miał dziedzica z prawego łoża, jedynie chorowitą córkę Marię. Nic dziwnego, że był mocno zaniepokojony. Co się stanie z dynastią Tudorów? Do tej pory żadna kobieta nie zasiadała na angielskim tronie – ta sytuacja groziła chaosem takim samym jak wojna Dwóch Róż. I nic dziwnego, że król, jako lojalny syn Kościoła, w końcu zadał sobie pytanie: dlaczego? Dlaczego nie może się doczekać tak upragnionego męskiego potomka? Czym zawinił?

Istniało jedno wyjaśnienie. Czy Katarzyna nie była żoną jego starszego brata? Artur, ówczesny następca tronu, był przed swoją przedwczesną śmiercią przez krótki czas mężem hiszpańskiej księżniczki. Więc może

małżeństwo Henryka było grzechem? I w tym krytycznym momencie król spotkał Annę Boleyn.

Anna była piękną kobietą o jasnej cerze. Boleynowie wywodzili się z Londynu, dziadek Anny zajmował stanowisko Lorda Mayora. Dwa szczęśliwe małżeństwa skoligaciły dawną kupiecką rodzinę z wyższą arystokracją, a pobyt na francuskim dworze nauczył Annę doskonałego smaku i wytwornych manier, które w Anglii okazały się zniewalające. Henryk natychmiast się w niej zakochał. Nie minęło wiele czasu, a zaczął się zastanawiać, czy ta urocza kobieta nie mogłaby mu dać zdrowego dziedzica. Gnany zarówno pożądaniem, jak i troską o dobro państwa podjął decyzję: „Nad moim małżeństwem z Katarzyną ciąży klątwa. Poproszę papieża o jego unieważnienie”.

Taka decyzja była szokująca tylko pozornie. Henryk miał wszelkie powody sądzić, że jego prośba zostanie spełniona. Kościół potrafił okazywać miłosierdzie. I znaleźć podstawy do uwolnienia małżonków z potrzasku źle rokującego związku. Ludzie świeccy też czasem naginali zasady. Na przykład arystokrata żenił się z kuzynką, z którą łączyło go zbyt bliskie pokrewieństwo, wiedząc, że z tego powodu małżeństwo mogłoby zostać unieważnione. Inni świadomie popełniali błąd przy składaniu przysięgi małżeńskiej, tworząc w ten sposób pretekst pozwalający uznać ślub za nieważny. Ale przede wszystkim papież powinien pomóc lojalnemu angielskiemu królowi w zapewnieniu odpowiedniej sukcesji.

Los widocznie sprzysiągł się przeciwko Henrykowi, bo papież stał się praktycznie więźniem jeszcze potężniejszego katolickiego monarchy – Karola V Habsburga, cesarza rzymskiego, króla Hiszpanii, którego ciotką był nie kto inny jak Katarzyna. „Unieważnienie małżeństwa będzie obrazą dla Habsburgów – oświadczył Karol. A gdy przybyli posłańcy Henryka, nakazał papieżowi: – Masz odmówić”.

Rozpoczęto negocjacje, które były po części tragedią, po części farsą. Minister Henryka, wielki kardynał Wolsey, stracił przez to stanowisko, zdrowie, a w końcu życie. Henryk naciskał, a biedny papież lawirował, jak mógł. Próbowano wszystkiego. Zabiegano nawet o poparcie na europejskich uniwersytetach. Luter śmiał się w głos: „Niech popełni bigamię". Papież dyskretnie zaproponował, żeby Henryk rozwiódł się i powtórnie ożenił bez jego akceptacji, mając najwidoczniej nadzieję, że sprawa zostanie unormowana w późniejszym czasie. „To bez sensu – stwierdził Henryk. – Małżeństwo musi być zgodne z prawem, a potomkowie muszą pochodzić z prawego łoża". Żeby zastraszyć papieża, zmusił Kościół do przekazania mu nadzoru nad kościelnymi sądami i zaprzestał płacenia podatków Rzymowi. Jednak papież, unieruchomiony w żelaznych kleszczach Habsburga, był bezradny.

W styczniu 1533 roku czas zaczął naglić: Anna zaszła w ciążę.

W końcu Henryk zaczął działać, mając wsparcie nowego arcybiskupa Thomasa Cranmera, który był przekonany, że występuje w dobrej sprawie. Powołując się na władzę angielskiego Kościoła, Cranmer unieważnił małżeństwo króla z Katarzyną. Henryk mógł poślubić Annę Boleyn.

Wielu ludzi zaprotestowało. Stary biskup Fisher z Rochester ogłosił, że nie uznaje tej decyzji. Tomasz Morus, były kanclerz, zachowywał pełne dezaprobaty milczenie. Pewna fanatyczka religijna, zwana świętą dziewicą z Kentu, prorokowała, że nikczemny król umrze, za co wtrącono ją do więzienia pod zarzutem zdrady stanu. Zakłopotany papież, który sam namaścił Cranmera na stanowisko arcybiskupa, wciąż się wahał, nie orzekając, czy zgadza się na to małżeństwo.

A co myśleli pobożni poddani tacy jak Rowland i Susan Bull? Ich bogobojny król poróżnił się z papieżem. Takie rzeczy już się wcześniej zdarzały. Rozumieli kontekst polityczny. Dlatego ich wiara na tym nie

ucierpiała. „Może i król postąpił niewłaściwie, ale zrobił to dla dobra Anglii”, stwierdziła Susan. „I w końcu wszystko dobrze się ułoży”, dodał Rowland z nadzieją. Zwłaszcza po wspaniałej wiadomości, która się rozeszła tego dnia, pomyślał, przechodząc przez bramę z Thomasem Meredithem.

Astrolodzy wyczytali to w gwiazdach. Anna przyznała, że jest pewna. A rankiem lekarze jednoznacznie stwierdzili, że urodzi się chłopiec. Nareszcie Anglia mogła spodziewać się następcy tronu. I żaden rozsądny człowiek, pobożny czy nie, papież czy zwykły śmiertelnik, nie odważyłby się temu sprzeciwić.

Z sercem przepełnionym szczęściem Rowland spieszył na spotkanie z żoną.

W ogrodzie kwitły białe i czerwone róże. Po kilku krokach Susan zobaczyła mężczyznę i kobietę. Byli w pawilonie i patrzyli na nią.

Kobiety nie znała, choć z pewnością była to jedna z dam dworu. Błękitną jedwabną suknię miała zadartą powyżej talii, białe pończochy zsunięte poniżej kolan. Wciąż miała na sobie pantofle, ale szczupłymi nogami o jasnej skórze obejmowała w biodrach potężnego mężczyznę. Mężczyzna był całkowicie ubrany, miał jedynie rozpiętą kolorową klapkę mieszka. Pod tym względem męski strój był bardzo wygodny.

Henryk VIII, król Anglii, właśnie się o tym przekonał. Niestety, był tak zaskoczony, że odruchowo wysunął się z kobiety, przez co Susan, osłupiała i nie do końca świadoma, co się dzieje, wpatrywała się w królewską nagość. A on patrzył na nią.

Była tak wstrząśnięta, że przez kilka sekund stała nieruchomo, gapiąc się jak idiotka. Kobieta, spodziewając się, że Susan oddali się dyskretnie, nie zmieniła pozycji, ale teraz z irytacją postawiła stopy na ziemi. A król

Henryk, co było jeszcze bardziej zaskakujące, odwrócił się twarzą do Susan.

Co powinna teraz zrobić? Za późno, żeby uciec. Bezwiednie podniosła dłoń i zacisnęła palce na krzyżyku wiszącym na szyi. Jak należy się zachować w takiej sytuacji? Powinna dygnąć? Ciało miała jak sparaliżowane. Wtedy Henryk przemówił:

– A więc, pani, widziałaś dzisiaj króla.

Zrozumiała: teraz jej ruch. Miała sposobność, aby powiedzieć coś zabawnego, skwitować wszystko żartem. Wytężyła umysł. Nic nie przychodziło jej do głowy. A co gorsza, nawet się nad tym nie zastanawiając, wędrowała spojrzeniem po postaci króla.

Nie mogła się powstrzymać. Widok Henryka ją zaskoczył, ale mierząc go wzrokiem, pomyślała, że król, choć otaczała go sława świetnego kochanka, nie różni się od jej męża. A nawet mu ustępuje. I zauważyła coś jeszcze. Koszula Henryka była częściowo rozpięta. Wspaniała sylwetka, którą zapamiętała w dzieciństwie, wciąż była rozpoznawalna, jednak czas odcisnął na niej swoje piętno. Król miał dziś w pasie sto czterdzieści centymetrów, a nie dziewięćdziesiąt jak za swoich najlepszych lat. Ogromny, owłosiony, zwisający brzuch nie wyglądał pociągająco. Podniosła wzrok.

Henryk uśmiechnął się ironicznie.

To wystarczyło. Już wcześniej widywała podobne spojrzenie. Prawie wszyscy książęta mieli kochanki, nikogo to nie dziwiło. Ale ta sytuacja była inna. Po uporaniu się ze wszystkimi problemami – rozwodzie z wierną żoną, konflikcie z papieżem, po ślubie z Anną – i tuż przed narodzinami wyczekiwanego następcy tronu otyły król swobodnie dogadzał sobie w ogrodzie, gdzie każdy mógł go zobaczyć. Jego spojrzenie mówiło wszystko: może i przyłapano go na gorącym uczynku, ale to on rządzi.

Uśmiechał się jak lubieżnik. Stał się jedynie cieniem bohaterskiego, pobożnego króla, którego tak szanowała. Ten żywy człowiek, który stał teraz przed nią w ostrym świetle słońca, był po prostu wulgarny. Poczuła obrzydzenie.

Henryk to zauważył. Bardzo spokojnie zapiął mieszek, a jego kochanka z wyćwiczoną wprawą doprowadziła suknię do porządku. Gdy król podniósł wzrok, uśmiech zniknął z jego twarzy.

– Coś mi się wydaje, że ta pani jest nadąsana. – Jego głos brzmiał cicho. I groźnie. Zwracał się do swojej towarzyszki, która lekko wzruszyła ramionami. Wbił spojrzenie w Susan. – Nie wiemy, kim jest – powiedział spokojnie. A potem rzucił głośno: – Ale już budzi naszą niechęć.

Pomyślawszy o tym, jaką król ma władzę, Susan skamieniała.

– Jak się nazywasz?

Dobry Boże! Czyżby właśnie zniszczyła karierę męża, która nawet się jeszcze nie zaczęła?

– Susan Bull, wasza wysokość.

Henryk zmarszczył brwi. Wszyscy dworzanie wiedzieli, że ma doskonałą pamięć, ale najwyraźniej nazwisko Bull nic mu nie mówiło.

– A jak się nazywałaś przed ślubem? – spytał nagle.

– Meredith, panie. – Zniszczyła także przyszłość brata?

Na twarzy Henryka zaszła ledwo zauważalna zmiana.

– Thomas Meredith jest twoim bratem?

Skinęła głową. Król się zamyślił.

– Twój ojciec był moim przyjacielem. – Przyglądał się jej uważnie. – A ty?

Dawał jej szansę, ze względu na pamięć ojca. Wiedziała, że musi ją wykorzystać. „Królowie – powiedział kiedyś Thomas – mają albo

przyjaciół, albo wrogów”. Bez względu na własne uczucia nie mogła zawieść rodziny. Dygnęła głęboko.

– Przez całe życie byłam przyjaciółką waszej wysokości – powiedziała. A potem dodała z uśmiechem: – Gdy byłam mała, wasza wysokość wziął mnie na ręce. – Miała nadzieję, że zabrzmiało to tak, jak powinno, życzliwie, ale pokornie.

Henryk wciąż bacznie się jej przyglądał. Umiał wymuszać posłuszeństwo.

– Postaraj się, żeby tak zostało – powiedział cicho, dając znak, by odeszła. Ale zaraz, pod wpływem nagłego impulsu, który jest prawem królów, zaczął mówić dalej: – Nie powinnaś była nas nachodzić. – Łagodna, ale stanowcza reprymenda.

Skłoniła głowę. Zdała sobie sprawę, że król zapamięta ten incydent jako jej wykroczenie, nie swoje. Taki był Henryk. Każdy dworzanin mógł to potwierdzić. Zaczęła się wycofywać.

Gdy już była przy samym wyjściu, odwróciła się i chcąc zapewnić go o swojej lojalności, wyrzuciła z siebie:

– Niczego tu nie widziałam, panie.

W tej samej chwili uświadomiła sobie, że popełniła straszliwy błąd. Jej nieprzemyślane słowa dawały do zrozumienia, że król ma coś do ukrycia, ona zaś góruje nad nim moralnie. To była impertynencka uwaga. I niebezpieczna. Henryk skrzywił się i odprawił ją szybkim ruchem ręki. Odeszła zawstydzona. Najchętniej zapadłaby się pod ziemię.

Idąc, drżała na całym ciele, ale nie ze strachu o siebie i rodzinę. Oto ujrzała z przeraźliwą jasnością, że w sercu królestwa odartego z pozorów przepychu i pobożności panuje ohydne zepsucie.

Dan Dogget czekał, starając się zachować spokój. Co w tych okolicznościach nie było łatwe.

Był pochmurny, wrześniowy dzień. Ostry wiatr przelatywał nad nabrzeżem w Greenwich i marszczył szarozielone wody Tamizy.

Ostatnie tygodnie nie przyniosły żadnych zmian. Margaret urządziła się jakoś z dziećmi w Hampton Court, a on nadal nie mógł znaleźć dachu nad głową dla swojego nieokiełznanego ojca.

Minęło półtora miesiąca od czasu, gdy pewnego sierpniowego wieczoru z Hampton Court przywiózł Mereditha i dwie osoby z jego rodziny. Od razu zorientował się, że mężczyzna jest kimś ważnym. Gdy przybyli na miejsce, zaproponował ponownie swoje usługi i wkrótce stał się regularnym przewoźnikiem Mereditha. Pomalował nawet z tego powodu łódź i dbał, aby za każdym razem mieć na sobie czyste ubranie. Nie miał żadnego określonego planu, ale jak mawiał jego ojciec: „Jeśli staniesz po właściwej stronie dżentelmena, to dobrze na tym wyjdziesz”. I wreszcie przed tygodniem pojawiła się pewna szansa. Meredith zapytał od niechcenia, dlaczego taki przystojny mężczyzna nie pracuje na lepszej barce. A po drodze z Chelsea do miasta Dan zwierzył mu się ze swoich problemów. Meredith nie powiedział nic, ale dwa dni później, gdy płynęli z Greenwich do Westminsteru, zagadnął: „A gdybym ci pomógł, to jak byś mi się odwdzięczył?”.

„Spełniłbym każdą waszą prośbę, panie – odparł żarliwie Dan. – Ale obawiam się – dorzucił z żalem – że nie dacie rady pomóc mi dostać się na barkę”.

Młody dworzanin się uśmiechnął.

„Moim panem jest Cromwell”, powiedział cicho. Przysadzisty, przypominający głaz mężczyzna z kwadratową szczęką i ponurym spojrzeniem. Wszyscy wiedzieli, że po upadku Wolseya to Thomas Cromwell rządzi Anglią w imieniu króla. Dan nie przypuszczał, że ten młody człowiek ma aż takie koneksje.

Gdy więc tego ranka Meredith rzucił: „Będę dziś miał dla ciebie jakieś wieści”, Dana ogarnęło gorączkowe podniecenie.

Pływając po Tamizie między dwoma wspaniałymi pałacami Tudorów, Daniel zawsze odnosił wrażenie, że te miejsca należą do dwóch różnych światów. W Hampton, położonym prawie trzydzieści kilometrów w górę rzeki wśród bujnych łąk i lasów, czuł się jak w głębi lądu. Ale gdy mijał Tower i wpływał w wielki zakręt, jego serce zaczynało bić innym rytmem. Wciągał głęboko powietrze i niemal czuł słoną bryzę. Niebo wydawało się tu bardziej rozległe, stąd prowadził szlak na pełne morze, gdzie wszystko mogło się wydarzyć.

Pałac w Greenwich owiewało to samo rześkie powietrze. Nad rzeką, obok starej wioski, ciągnęły się mury z brązowej cegły z wysokimi wieżyczkami. Pałac miał wielkie szranki, bo choć od czasów wojny Dwóch Róż i upowszechnienia się broni palnej ciężkie zbroje wyszły z mody, Henryk kochał ryzyko i przepych towarzyszące turniejom rycerskim. Sam brał w nich aktywny udział. We wschodniej części pałacu mieściła się zbrojownia, a niedaleko w górę rzeki leżało Deptford, nowy port Tudorów, w którym zaopatrywano morskie statki. Tam powietrze było przesycone wonią smoły.

Dan Dogget zawsze kochał to miejsce. I czasem zastanawiał się, czy kiedyś przyniesie mu ono szczęście.

Kariera Thomasa Mereditha rozwijała się pomyślnie. Dzięki niedawno nawiązanej przyjaźni z nowym i wciąż pełnym życia arcybiskupem Cranmerem otrzymał uprzywilejowane miejsce na chrzcie potomka królewskiej pary. Uroczystość odbyła się w kaplicy pałacu w Greenwich. Dziecko było owinięte purpurową szatą z trenem z gronostajów. Thomas stał obok innych dworzan, trzymając ręcznik gotowy do okrycia nagiego

niemowlęcia wyjmowanego z chrzcielnicy. Ojcem chrzestnym został Cranmer, a dziecko otrzymało królewskie imię Elżbieta.

Narodziny wyczekiwanego następcy tronu okazały się przykrą niespodzianką: na świat przyszła dziewczynka. Anna Boleyn była zakłopotana; dwór, pamiętając, przez co król przeszedł, był w szoku; a Henryk robił dobrą minę do złej gry. Dziecko było zdrowe. I mogło urodzić się kolejne. Na razie jednak w oczach angielskiego Kościoła dziewczynka była następczynią tronu, albowiem po unieważnieniu pierwszego małżeństwa króla księżniczka Maria stała się dzieckiem nieślubnym. Zdanie Watykanu pozostawało nieznane, jako że papież wciąż zwlekał z wydaniem opinii, które małżeństwo Henryka uważa za ważne.

Zbliżając się do łodzi, Meredith uśmiechał się pod nosem. Przewoźnik patrzył na niego z wyczekiwaniem. Thomas bez słowa zajął miejsce. Łódka odbiła od brzegu. Chciał potrzymać trochę Dana w niepewności, więc odezwał się dopiero, gdy znaleźli się na wysokości Deptford.

– To co, nadal chcesz dostać się na barkę?

– Tak jest, panie. Tylko na jaką?

Dworzanin się uśmiechnął.

– Jak to na jaką? Królewską.

Dogget był tak zaskoczony, że przestał wiosłować. Patrzył na Mereditha z szeroko otwartymi ustami. Nie miał pojęcia, ile zarabia taka arystokracja w jego zawodzie, ale na pewno dwa razy więcej niż reszta. Poza tym król ciągle przemieszczał się po rzece. Jego ulubioną rezydencją było Greenwich, ale często wyprawiał się do Richmond i Hampton Court. Dan zaczął mamrotać podziękowania, lecz Meredith uniósł dłoń.

– I może uda mi się znaleźć jakąś kwaterę dla twojego ojca. – Widząc zdziwioną minę Doggeta, znów się uśmiechnął.

Gdyby go zapytać, dlaczego młody człowiek mający przyjaciół wśród najważniejszych ludzi w państwie troszczy się o los zwykłego przewoźnika, dałby proste wyjaśnienie. Intuicja dworzanina, ta sama, która kazała mu znaleźć stanowisko dla Rowlanda, podpowiadała: przyjaciół nigdy za dużo. Kto wie, może w stosownym momencie i ten przewoźnik będzie mógł mu wyświadczyć jakąś przysługę? Cała sztuka polegała na tym, aby mieć dziesiątki takich przyjaciół, i to wszędzie.

– Jestem waszym dłużnikiem, panie – powiedział osłupiały Dogget.

Tydzień później Meredith spełnił swoją obietnicę.

W całym Londynie nie było chyba bardziej szanowanego miejsca niż szary klasztor, stojący nieco na wschód od szpitala Świętego Bartłomieja, tuż za murami miasta. Poza budynkami przeznaczonymi dla całej wspólnoty był tu duży dziedziniec otoczony małymi chatkami z ogródkami. Każdy taki domek służył jako cela dla jednego mnicha. Kartuzi nie należeli do najstarszych zakonów, ale w odróżnieniu od większości zgromadzeń nigdy nie stali się przedmiotem skandalizujących plotek. Obowiązywała ich surowa reguła. Musieli zachowywać milczenie przez cały czas z wyjątkiem niedziel. Bez pozwolenia przeora mnichom nie wolno było wychodzić poza mury. Cieszyli się nienaganną opinią. Tak, klasztor Charterhouse był szanowanym przybytkiem.

Pewnego słonecznego dnia przed bramą stanęła dziwna procesja. Prowadził ją Thomas Meredith, a za nim postępowała para, która jeszcze niedawno pilnowała straganu na pobliskiej ulicy – z całkiem sporym zyskiem sprzedawali krucyfiksy, różańce i najrozmaitsze kolorowe figurki z gipsu. Mężczyzna nazywał się Fleming, był średniego wzrostu i miał wklęsłą twarz. Jego żona, równie wysoka i tęga, od wielu minut wylewnie dziękowała Meredithowi i mnichom za niezwykłą dobroć okazaną jej ojcu. Co było jak najbardziej na miejscu, gdyż sama od pięciu lat nie

interesowała się starcem. A na końcu szedł Daniel ubrany w piękną liberię królewskiego przewoźnika. Trzymał mocno za ramię Willa Doggeta.

Gdyby nie to, że Will się garbił, byłby tego samego wzrostu co syn. Miał na sobie czystą koszulę i tunikę; ktoś schludnie mu uczesał długą, siwą brodę, ale jego dziwnie podejrzany chód wskazywał, że przez całe życie robił to, na co miał ochotę, i w każdej chwili gotów jest oddać się kolejnym przyjemnościom. Tyle że teraz miał zamieszkać w Charterhouse.

Każdy londyński klasztor przyjmował potrzebujących pod swój dach. Zrujnowani posiadacze ziemscy dożywali swoich dni w umeblowanych mnisich celach; wdowy za kąt do spania zajmowały się praniem albo zamiatały krużganki, a hordy biedaków co dzień czekały pod bramą na jedzenie. Nawet najsurowsi krytycy rozluźniania zakonnych reguł musieli przyznać, że wszystkie klasztory troszczyły się o ubogich.

Peter nie wrócił jeszcze do Charterhouse, ale Thomas wiedział, jak wyprosić u mnichów miejsce dla starca. Will miał spać w jednej celi z dwoma innymi biedakami i pracować w ogrodzie.

– Teraz będziesz musiał się ustatkować – upomniał go Dan. – Jak cię stąd wyrzucą, to koniec. Ja już cię nie przyjmę.

Will słuchał tych słów z charakterystycznym wesołym uśmiechem na ustach.

– Bóg jeden wie, ile on jeszcze pożyje – rzucił Dan do żony, gdy wyszli z klasztoru. A potem podszedł do Mereditha i ukłonił się. – Jak ja wam odpłacę, panie? – zapytał.

Meredith się uśmiechnął.

– Już ja coś wymyślę – odparł.

Susan była szczęśliwa. Pod koniec lata przenieśli się z Rowlandem do małego domu z cegieł i dębowych belek w Chelsea. Dom był kryty

dachówkami, miał dwie izby na górnym piętrze i poddasze, a oprócz tego zabudowania gospodarcze i schodzący ku rzece ogród.

W pierwszych tygodniach pracy Rowlanda u kanclerza często myślała o spotkaniu z królem. Czy postąpiła słusznie, ukrywając to przed mężem? Czy praca dla dworu jest właściwym wyborem? Jednak z biegiem czasu jej obawy przygasły. Rowland spędzał większość czasu w Westminsterze i zawsze opowiadał, że dobrze jest tam przyjmowany. Dom był piękny, nowe dochody męża dawały jej poczucie nieznanego do tej pory spokoju, dzieci wydawały się szczęśliwe. Powoli zapominała o przykrym incydencie.

Wkrótce utarł się też rytm jej dnia. Najstarsza córka, dziesięcioletnia Jane, pomagała w prowadzeniu domu. Ale każdego dnia, gdy dwie młodsze dziewczynki zajmowały się zabawą, Susan sadzała ją na trzy godziny przy książkach. Sama tak była wychowywana. Jane znała już dobrze łacinę, a gdy czasem skarżyła się matce, że wiele jej przyjaciółek zaledwie pisze i czyta po angielsku, słyszała w odpowiedzi: „Nie chcę, żebyś wyszła za mąż za jakiegoś prostaka. Uwierz mi, w małżeństwie chodzi też o bliskość duchową umysłów”.

Jednak największą przyjemność sprawiało jej patrzenie na małego Jonathana. Dziewczynki miały jasne włosy, on zaś, z ciemnymi włosami i jasną karnacją, był ośmioletnią wierną kopią swojego ojca. Właśnie zaczął naukę w szkole w Westminsterze. Rano wychodził z ojcem i Susan patrzyła, jak idą ulicą, trzymając się za ręce. Czasem Rowland jechał konno i wtedy sadzał chłopca przed sobą na siodle. Ten widok napełniał ją takim szczęściem i wzruszeniem, że czuła ucisk w gardle.

Peter nadal nie wracał; tęskniła za jego towarzystwem i jego mądrymi radami. Thomas trochę wypełniał ten brak. Często widywał się z Rowlandem, zapraszany przez niego do domu. Spędzali razem cudowne

wieczory. Thomas bawił się z dziećmi, które go uwielbiały, żartował też dobrodusznie ze wszystkich. Susan zawsze uważała, że jest zbyt światowy, jednak i ona śmiała się z jego dowcipnych uwag i z podziwem słuchała błyskotliwych opowieści o życiu na dworze.

Czasem siadywali we trójkę przy ogniu, a wtedy ona poruszała tematy religijne. Wywiązywały się ożywione dyskusje.

Dopiero teraz Susan zauważyła, że za kpiącym tonem i światowym obyciem Thomasa kryje się troska o zwykłą wiarę. Chętnie zgodziłaby się z jego poglądami na temat rozwiązłości i zabobonów pleniących się w Kościele. Czasem jednak Thomas posuwał się za daleko.

– Nie rozumiem, jakim prawem odmawiamy wiernym angielskiej Biblii – mówił. – Wiem – wpadał Rowlandowi w słowo – zaraz przypomnisz o lollardach i będziesz mnie przekonywał, że ludzie zostawieni sami sobie schodzą na manowce. Ale ja się z tym nie zgadzam.

– Luter zaczynał jako reformator, a skończył jako heretyk. Tak się dzieje, gdy ludzie występują przeciwko zakorzenionej mądrości i władzy ustanowionej przed wiekami – odpowiadał Rowland.

Susan była przekonana, że reformatorzy, zwłaszcza ci, którzy przeszli na protestantyzm, mają w sobie pewną arogancję.

– Chcą, by wszyscy byli doskonali – wypominała. – Ale Bóg nagradza nas już za same starania. Reformatorzy chcą zmusić innych, by byli tacy sami jak oni. I uważają, że inaczej nie da się osiągnąć zbawienia.

Ale Thomas trwał przy swoim.

– Reforma przyjdzie tak czy inaczej, droga siostro. Nie ma innej drogi.

– Przynajmniej jedno jest pewne – kończył Rowland z uśmiechem. – W Anglii nie będzie miejsca dla protestantów, dopóki król Henryk ma coś do powiedzenia. On ich nienawidzi.

Susan święcie wierzyła, że tak właśnie jest.

Thomas cieszył się czasem spędzanym z rodziną, jednak jego myśli krążyły wokół zupełnie innego spotkania. Miało ono miejsce dwa dni przed chrztem księżniczki. I było poufne. Thomas spotkał się ze swoim panem – z Cromwellem.

Królewski sekretarz fascynował Mereditha. Był doświadczonym dworzaninem, najbliższym doradcą władcy i aż trudno było uwierzyć, że pochodzi z rodziny prostych browarników. W odróżnieniu od Bulla nie zawdzięczał swojego awansu wykształceniu, ale umiejętności bezwzględnego wykorzystywania nadarzających się okazji. A jednocześnie cechowała go tajemnicza małomówność, jakby skrywał przekonania. Zdaniem Mereditha jedynie niewielu ludzi miało o tym pojęcie.

Byli sami w izbie na górze, gdy sekretarz nagle rzucił półgłosem, że ma wieści z Rzymu.

– Papież zamierza obłożyć króla ekskomuniką – oświadczył.

Thomas zafrasował się, ale Cromwell wzruszył ramionami.

– Po tym wszystkim, co Henryk zrobił, papież musi zachować twarz. – Uśmiechnął się ironicznie. – Ale jego świątobliwość wciąż nie chce powiedzieć, kto według niego jest prawowitą żoną Henryka.

Było jasne, że sekretarz mówi mu o tym nie bez powodu. Thomas miał wrażenie, że spojrzenie jego szeroko rozstawionych, małych oczu wbija się w niego jak ostrze cyrkla.

– No i co ty o tym myślisz? – spytał Cromwell cicho.

Meredith starał się rozważnie dobierać słowa.

– Nie podoba mi się, gdy ktoś, nawet jeśli to papież, sprzeciwia się mojemu władcy.

– Świetnie. – Cromwell się zamyślił. – Byłeś w Cambridge? – Thomas skinął głową. – Przyjaźnisz się z Cranmerem? – Przed sekretarzem nic się nie ukryło. Thomas potwierdził. Cromwella najwyraźniej to ucieszyło. –

Powiedz mi, drogi przyjacielu – ciągnął – czy ta wiadomość o ekskomunice jest zła, czy dobra?

Meredith spojrzał mu prosto w oczy.

– Chyba dobra – powiedział spokojnie.

Cromwell chrząknął i obaj wiedzieli, że to oznacza zachętę. Sekretarz obdarzył go zaufaniem i nawiązał do tajemnicy, którą – choć nigdy nie padło na ten temat ani jedno słowo – obaj znali od dawna. Tajemnicy, o której Meredith nie mógł powiedzieć rodzinie, a Cromwell królowi. Najbliższe miesiące, pomyślał Thomas, będą bardzo interesujące.

Rok 1534

Susan tylko raz straciła spokój ducha w ciągu pierwszego roku mieszkania w Chelsea. Uznała potem z dumą, że całkiem dobrze poradziła sobie z problemem.

Było to pewnego kwietniowego dnia. Posłaniec od kartuzów przywiózł list od Petera. Peter pisał z Rzymu, że jest chory i wróci do Londynu za kilka miesięcy. Zasmuciła się. Ale o wszystkim zapomniała, gdy wczesnym popołudniem zobaczyła, że do domu zbliża się Rowland. Był przygnębiony i blady jak ściana. Towarzyszył mu niezwykle poważny Thomas. Wybiegła im na spotkanie.

– Co się dzieje? Jakieś kłopoty? – spytała z niepokojem.

– Nie – odpowiedział Thomas. – Kłopoty mogą być jutro.

Weszli do domu.

Susan pilnowała, żeby wychowywać dzieci w atmosferze spokoju, więc świadomie trzymała się z daleka od światowych spraw. Ostatnie wydarzenia polityczne, choć nad nimi ubolewała, nie budziły jej niepokoju, po części dlatego, że wszyscy się ich spodziewali. Papież, zmuszony do opowiedzenia się albo za potężnym habsburskim monarchą, albo za

Henrykiem, władcą królestwa na wyspie, niechętnie wydał ekskomunikę. A w marcu, równie niechętnie, ogłosił, że prawowitą żoną Henryka nie jest Anna Boleyn, lecz Katarzyna. Król był na to przygotowany: sekretarz Cromwell przedstawił parlamentowi akt sukcesji, który został szybko przyjęty. Zawierał on przysięgę uznającą dzieci Anny za prawowitych następców tronu i preambułę, która odmawiała papieżowi prawa do zmiany tych ustaleń.

„Sukcesja nie może budzić żadnych wątpliwości – oświadczył Henryk. – Wszyscy poddani mają złożyć taką przysięgę". W Londynie to rajcy mieli przyjąć przysięgę od wszystkich obywateli, a potem przesłać stosowny raport do Greenwich. W pozostałych miastach i na prowincji zajmowali się tym urzędnicy Cromwella.

Susan uznała to posunięcie za niesmaczne, ale niezbędne. Już lepiej zgodzić się na sukcesję, nawet jeśli utrudniała stosunki z papieżem, niż dopuścić do sporu o koronę. Podobno większość ludzi miała takie samo zdanie. Londyńczycy utyskiwali, ale nikt nie ośmielił się sprzeciwić królowi. Dlatego wstrząsnęło nią, gdy Rowland wypalił:

– Chodzi o przysięgę. Trzech ludzi nie chce jej złożyć. Wtrącono ich do Tower. – A widząc jej zdziwienie, dorzucił: – Ja mam złożyć przysięgę jutro.

– Rowland uważa, że także powinien odmówić – powiedział Thomas.

Susan poczuła, że robi jej się słabo, ale zachowała spokój.

– Kim są ci trzej ludzie? – spytała.

Wyjaśnili, że chodzi o niejakiego doktora Wilsona. Nigdy o nim nie słyszała. I o starego biskupa Fishera.

– Tego akurat można się było spodziewać – stwierdziła.

Pobożny starzec był jedynym biskupem, który od początku nie chciał usankcjonować nowego małżeństwa Henryka, więc teraz tym bardziej nie

mógł zmienić zdania. Jednak dopiero trzecie nazwisko wprawiło ją w przygnębienie: Tomasz Morus.

Wiedziała, że dla Rowlanda były kanclerz – człowiek uczony, pisarz, prawnik i gorliwy katolik – jest człowiekiem godnym podziwu i naśladowania.

– Co się z nimi stanie? – spytała.

– Na szczęście zgodnie z aktem sukcesji odmowa złożenia przysięgi nie jest uważana za zdradę stanu – powiedział Thomas. – Ale posiedzą trochę w Tower. A każdy, kto pójdzie za ich przykładem… – Spojrzał na Rowlanda i się skrzywił. – To oznacza utratę stanowiska. I wszystkiego innego. – Wskazał na jej ukochany dom. – Dla mnie to też jest niezręczna sytuacja, w końcu to mój szwagier.

Rowland się wahał.

– Ale Morus jest prawnikiem. Na pewno ma jakieś ważne powody.

Susan prychnęła z odrazą. Owszem, była pobożna, ale gdyby miała wskazać jedną osobę w Londynie, którą darzyła prawdziwą niechęcią, byłby to właśnie Tomasz Morus.

Historia łagodnie obeszła się z Tomaszem Morusem. Jednak w owych czasach powszechnie podzielano antypatię Susan. Ona miała kilka powodów. Przeszedłszy dwa lata wcześniej na emeryturę, Morus spędzał większość czasu w swoim domu w Chelsea, więc byli prawie sąsiadami. Często widywała jego energiczną żonę i członków rozległej rodziny, jednak sam Morus, zajęty pisaniem, rzadko wychodził na zewnątrz. Ludzie, którzy go znali, mówili, że jest sympatyczny i dowcipny, ale po paru spotkaniach Susan uznała, że ten mężczyzna z siwiejącymi włosami jest nieprzystępny, a do tego ma dość niskie mniemanie o kobietach. Jednak jej największe zastrzeżenia pochodziły jeszcze z czasów, gdy Morus był kanclerzem. Wtedy właśnie ujawniła się bardziej niepokojąca cecha jego charakteru.

Gorąco nienawidził heretyków. Nie miał święceń duchownych, ale w zasadzie obsadził się w roli królewskiego strażnika ortodoksji. Prawnik z krwi i kości, chętnie występował jako oskarżyciel i sędzia. Podejrzanych o herezję wielokrotnie przywożono rzeką do Chelsea na przesłuchania. A Morus często przeprowadzał je osobiście. Nikt nie wątpił w jego uczciwość, lecz nawet Susan, choć była kobietą pobożną, uważała, że kryje się w tym jakaś obsesja. „Przecież on nie jest biskupem – ubolewała. – A do tego to nie jest po angielsku”.

W odróżnieniu od innych krajów w Anglii nigdy nie dochodziło do prześladowań heretyków. Dlatego Susan zaprotestowała.

– Morus jest zwyczajnym bigotem – oświadczyła.

– Zastanówmy się – wtrącił Thomas. – Przysięga nie dotyczy wiary, a jedynie sukcesji. Czy papież wyznacza następcę angielskiego tronu?

– Ależ skąd.

– Znakomicie. W takim razie zastanówmy się dalej: od kogo przysięga pochodzi? Tylko od króla? Nie. Została uchwalona przez parlament. – Thomas się uśmiechnął. – Zamierzasz sprzeciwić się parlamentowi?

Thomas wiedział doskonale, że to kluczowy argument. Jego pan, Cromwell, umiejętnie się nim posłużył.

Angielski parlament wciąż był średniowieczną instytucją. Ale dla tak silnego monarchy jak Henryk był pod pewnym względem bardzo przydatny. Mógł potwierdzić królewską wolę w sposób, którego nie dało się zakwestionować. Nikt nie odważyłby się zaprzeczyć, że kiedy Izba Lordów, do której należeli również biskupi i opaci, oraz Izba Gmin wyrażały wspólne zdanie, to przemawiały jednym głosem, doczesnym i duchowym, głosem całego państwa.

– Powołam się na pewien przykład. – Thomas postanowił przycisnąć szwagra do muru. – Jeśli król oraz parlament uznają, że ja, Thomas

Meredith, mam być nowym królem Anglii, to czy ty albo papież macie prawo to odwołać? – Rowland pokręcił głową. – Właśnie.

– A preambuła? – Rowland wciąż miał wątpliwości. – Przecież preambuła pozbawia papieża władzy nad sakramentem małżeństwa.

– Istotnie, to kwestia dyskusyjna – przyznał Thomas. Sformułowania użyte w preambule były kompromisem wypracowanym między Cromwellem a biskupami. I świadomie brzmiały niejednoznacznie. – Ale biskupi przyjęli preambułę – ciągnął Thomas. – A jeśli nawet biskupi się mylą, to wszyscy wiemy, że takie posunięcie jest konieczne, bo zarówno król, jak i papież znaleźli się w sytuacji bez wyjścia.

Był to mocny argument. Susan, widząc wahanie męża, wytoczyła ciężkie działa.

– Musisz złożyć przysięgę – oświadczyła stanowczo. – Nie wolno ci zniszczyć ani swojej kariery, ani rodziny. A już na pewno nie w obronie takiej sprawy. Dość tego.

– Chyba masz rację. – Rowland skinął głową, a potem się uśmiechnął. – Zawsze wiedziałem, że mogę polegać na twoim zdaniu.

Czy Susan była naprawdę przekonana do swojej racji? A może jakiś instynkt podpowiadał jej, że Fisher i Morus trafniej dostrzegli istotę sprawy? Przypomniała sobie Henryka w ogrodzie, ale szybko wyrzuciła ten obraz z głowy i pomyślała o dzieciach. Nie pozwoli ich skrzywdzić.

Po wyjściu Thomasa Rowland był już do końca dnia spokojny, jednak patrząc na jego bladą twarz, Susan wiedziała, że sumienie wciąż go dręczy.

– Szkoda, że Petera nie ma – rzuciła kilka razy z uśmiechem.

Nie umiała znaleźć odpowiednich słów, żeby ukoić męża.

Gdy rano wyjrzała przez okno, zobaczyła barkę wyłaniającą się z mgły, a kilka chwil później na progu stanął Thomas.

– Chciałem was powiadomić. Poszedłem wieczorem do Charterhouse. Wszyscy mnisi złożą przysięgę. – Tak naprawdę surowi kartuzi zgodzili się z poważnymi zastrzeżeniami, ale nie widział potrzeby, żeby o tym wspominać. – A przecież Peter wstępuje do tego zakonu. Więc skoro oni mogą, to wy też.

Twarz Rowlanda nareszcie się odprężyła. Susan podziękowała Bogu za Thomasa.

Był pogodny majowy poranek. Dan Dogget stawił się do pracy w doskonałym nastroju. Wyglądał znakomicie. Szkarłatna kurtka ze złotym haftem, białe rajtuzy, błyszczące czarne buty ze srebrnymi sprzączkami, a na głowie czapka z czarnego aksamitu – letnia liberia królewskiego przewoźnika doskonale pasowała do jego pięknej sylwetki.

Kilka miesięcy wcześniej otrzymał pracę na królewskiej barce i od tego czasu był bardzo szczęśliwy. Płaca przeszła jego najśmielsze oczekiwania, a z okazji różnych uroczystości dostawał też pokaźne napiwki. Jedno sprawiało mu trudność. Nigdy wcześniej nie musiał poddawać się dyscyplinie. Wpadał w lekką konsternację, a kilka razy zauważył, że tęskni za beztroską anarchią typową dla jego ojca, gdy zwierzchnik wydawał mu uprzejme polecenia. Chyba jestem do niego bardziej podobny, niż myślałem, przyznał w duchu. Ale panował nad swoimi uczuciami.

Zdziwił się, gdy po przybyciu na nabrzeże w Greenwich kapitan barki oznajmił:

– Masz dziś wolne, Dogget. Dostałem wiadomość, że musisz pójść do Charterhouse. Twój ojciec tam mieszka? – Dan skinął głową, a kapitan się uśmiechnął. – Zdaje się, że staruszek wpadł w jakieś tarapaty. Lepiej już idź.

Było gorzej, niż myślał. Zastępca przeora już czekał na niego i jego siostrę.

– Przeor jest wielce niezadowolony – oświadczył na wstępie.

– Niech Bóg się zmiłuje nad tym biednym starcem! – zawołała siostra z fałszywym żalem. – Jego los jest w twoich rękach, Dan – dodała stanowczo.

Incydent wzburzył cały klasztor, bo młodsi mnisi nigdy nie widzieli czegoś podobnego. Will Dogget wybrał się do pobliskiej gospody, zaznajomił się z kilkoma gośćmi, którzy kupowali mu piwo. Pił przez wiele godzin, przenosząc się z karczmy do karczmy. Zaśpiewał kilka piosenek i w końcu – a wypił znacznie więcej, niż mu się zazwyczaj zdarzało – wrócił do Charterhouse.

Było ciemno, gdy na chwiejnych nogach stanął przed zamkniętą bramą. Kiedy przyjazne walenie kołatką nie przyniosło żadnej reakcji, postanowił sprawdzić, czy uda mu się wyważyć bramę. A gdy zaniepokojony młody mnich w końcu otworzył, staruszek podszedł smutno do małego orzecha rosnącego na dziedzińcu i usiadł oparty plecami o pień. Potem wyrecytował kilka wierszyków znanych na nabrzeżu. Podobnego języka nigdy wcześniej nie słyszano w Charterhouse.

– Nie możemy tego tolerować – oświadczył zastępca przeora. Starzec zostałby wyrzucony jeszcze tego ranka, gdyby jego córka nie przysięgła na wszystkich świętych, których obrazki sprzedawała na straganie, że nie może się nim zająć.

Widząc Dana, Will podniósł się do pozycji siedzącej, a potem spojrzał na syna na wpół z wyrzutem, na wpół z poczuciem winy.

– No cóż – westchnął. – Twoja siostra mnie nie chce. Mnisi mówią, że znów będę musiał zamieszkać u ciebie.

– Nic z tego – oświadczył Dan stanowczo. – Nie mam miejsca.

Pomoc przyszła od przeora.

– Twój ojciec nie jest złym człowiekiem – oznajmił Danielowi z godną pochwały szczerością. – Ale klasztor to miejsce pełne powagi. Ojciec może zostać, ale pod jednym warunkiem: nie wolno mu będzie wyjść za bramę.

Dan spojrzał na ojca. Miał wątpliwości, czy to się uda.

Koszmar Susan Bull zaczął się pewnego pięknego letniego dnia.

W mężu ceniła między innymi to, że nie wstydził się swojej rodziny browarników, choć dzięki małżeństwu i posadzie na dworze obracał się w dużo wyższych sferach. Raz na kilka miesięcy szli z wizytą do starego browaru w Southwark. Tym razem Thomas wybrał się z nimi. Rodzina Bullów chętnie oprowadziła go po rozległym terenie zajmowanym przez browar, a potem udali się do gospody „U George'a", gdzie wszystko się zaczęło.

Susan była w świetnym nastroju. Obawy, które nawiedzały ją w kwietniu, się rozwiały. Czy im się to podobało, czy nie, prawie nikt nie odmówił złożenia przysięgi. Wprawdzie Fisher, Morus i doktor Wilson wciąż przebywali w Tower, ale nie podejmowano wobec nich żadnych działań. Atmosfera na dworze też się rozluźniła. „Król i Anna są bardzo szczęśliwi – mówił Thomas. – Wszyscy wierzą, że prędzej czy później doczekają się męskiego potomka". Ale najważniejsze, że Rowland był zadowolony. Kryzys sumienia minął, praca przynosiła mu zadowolenie.

Ojciec Rowlanda i jego dwaj bracia stanowili wesołą kompanię. Susan zawsze dobrze się u nich czuła. W odróżnieniu od jej męża, który ze swoimi ciemnymi włosami i lekką łysiną bardziej przypominał Celta z Walii, mieli jasne włosy, błękitne oczy i okrągłe, saskie twarze. Ich przekonania należałoby uznać za zdecydowanie konserwatywne. Brakowało im zdolności i inteligencji Rowlanda, ale byli z niego dumni, a on z nich. W pewnym momencie Thomas rzucił wesoło:

– Taki uczony człowiek jak Rowland na pewno zostanie kiedyś kanclerzem.

Thomas był w świetnej formie. Snuł barwne opowieści o wesołym dworskim życiu, opowiadał o turniejach rycerskich, sportach i muzyce. Przywoływał zabawne anegdoty o wybitnych postaciach. Ojciec Rowlanda był zainteresowany Holbeinem, który namalował wiele portretów najważniejszych ludzi w Anglii.

– A wiecie, że wizerunek króla jest tak wierny – opowiadał Thomas – że pierwszego dnia, gdy zawisł na ścianie, jeden z dworzan, zupełnie się go tam nie spodziewając, stanął jak wryty i skłonił się głęboko?

Thomas potrafił nawet przedstawić odpychającego Cromwella jako osobę sympatyczną.

– Cromwell jest szorstki – przyznał. – Ale ma bystry umysł. Lubi otaczać się ludźmi uczonymi, a Holbein często jada z nim wieczerzę. Wiecie, kto jest jego najbliższym przyjacielem? Sam arcybiskup Cranmer. – Uśmiechnął się do Susan. – My, dworzanie, wcale nie jesteśmy tacy źli.

Świetnie się bawili i gdy późnym popołudniem wychodzili z gospody, którą kiedyś zarządzała pani Barnikel, byli podchmieleni.

Płynąc barką po rzece, Susan myślała z zadowoleniem, że świat jest piękny. Powierzchnia wody przypominała płynne szkło, niebo było błękitne, a powietrze nieruchome. Należało przyznać, że za czasów Tudorów Londyn bardzo się zmienił. Gdy mijali ujście Fleet, które robiło się coraz węższe, popatrzyła z przyjemnością na nową królewską siedzibę nad rzeką, wzniesioną obok dominikanów, i na mały pałacyk Bridewall przeznaczony dla ważnych cudzoziemskich gości. Uśmiechnęła się na widok Temple i zielonych trawników otaczających największe domy z własnymi zejściami do Tamizy. Pałac Savoy stracił dawną świetność, nie podniósł się po zniszczeniach z czasów rebelii Wata Tylera. Teraz w tym

miejscu mieścił się skromny szpital. Ale gdy zbliżali się do Westminsteru, ukazał się kolejny wspaniały gmach – był to nowy pałac, który król Henryk zamierzał nazwać Whitehall.

Zauważyła, że Rowland ma mocne rumieńce. Nucił coś sobie pod nosem, całkiem melodyjnie. Miał nieco zamglony wzrok. A dla Thomasa wszystko było zabawne.

Minęli Westminster i znaleźli się na wysokości Lambeth Palace, siedziby arcybiskupa położonej na drugim brzegu. Rowland trącił żonę, aby coś jej pokazać. Zauważyła, że przy stopniach prowadzących do pałacu stoi przycumowana barka, a jej pasażerowie przechodzą właśnie przez dużą bramę z cegły.

– Oto Cranmer – powiedział Rowland. Susan patrzyła z ciekawością na wysokiego, przystojnego mężczyznę, wysiadającego na brzeg. Ale po chwili zainteresowało ją coś innego. Oto wśród bagażu czterech mężczyzn niosło wielką skrzynię przypominającą trumnę.

– Myślisz, że ktoś umarł? – spytała.

W tym momencie Thomas zaczął chichotać bez żadnej widocznej przyczyny.

– Nie widzę w tym nic zabawnego – mruknęła. – Ludzie czasem umierają. – Ale on wybuchnął śmiechem. – Nie rozumiem, co cię tak bawi – powiedziała ze złością.

– Cranmer ma małą tajemnicę. – Wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Ciiii!

– Upiłeś się. – Westchnęła. Miał oczy nabiegłe krwią.

– Może, siostrzyczko. – Umilkł na chwilę. Trumnę wniesiono przez bramę. Thomas znów zachichotał. – Zdradzę ci, co było w trumnie – szepnął konfidencjonalnie – jeśli obiecasz, że nikomu nie powiesz.

– Niech będzie – zgodziła się niechętnie.

– Pani Cranmer. – Parsknął śmiechem. – W trumnie była jego żona.

Susan oniemiała. Owszem, księżom zdawało się grzeszyć, choć ostatnio angielskie duchowieństwo na ogół nie oddawało się rozpuście. Ale żeby arcybiskup… – Cranmer ma kochankę? – spytała.

Thomas pokręcił głową.

– Nie kochankę, lecz prawnie poślubioną żonę. A właściwie drugą. Byli małżeństwem, zanim został biskupem.

– Czy król o tym wie?

– Owszem. I nie pochwala tego. Ale lubi Cranmera. I potrzebuje go do legitymizacji małżeństwa z Anną. Więc obiecał Cranmerowi, że dochowa tajemnicy. Dlatego nikt nie może zobaczyć pani Cranmer. Gdy on gdzieś podróżuje, ona jeździ w skrzyni. – Roześmiał się znowu. – Czy to nie zabawne?

Susan spojrzała na Rowlanda, ale on nadal coś nucił, najwyraźniej nieświadom całej rozmowy. Tym lepiej, pomyślała.

– To musi być jakaś rozwiązła kobieta – stwierdziła z niechęcią.

– Bynajmniej – odparł Thomas. – Jest bardzo szanowana. Cranmer ożenił się z nią, gdy studiował w Niemczech. Zdaje się, że jej ojciec jest pastorem.

– W Niemczech? – Zmarszczyła brwi. Pastorem? Potrzebowała dłuższej chwili, żeby to pojąć. – Luterańskim pastorem? Chcesz powiedzieć – ciągnęła z coraz większym zdziwieniem – że ta kobieta, żona naszego arcybiskupa, jest luteranką? – A potem przemknęła jej przez głowę jeszcze bardziej przerażająca myśl. – Ale co w takim razie z Cranmerem? Czy on jest skrytym heretykiem?

– Jedynie umiarkowanym reformatorem – zapewnił ją.

– A król? On chyba nie wspiera potajemnie protestantów?

– Na Boga, nie! – zawołał.

Tak właśnie myślała. Zauważyła jednak, że podczas tej rozmowy Thomas wytrzeźwiał. Był nawet lekko zdenerwowany. Zapewne dałaby temu spokój, gdyby nie nagłe, przerażające spostrzeżenie.

– A ty, Thomasie? – zwróciła się do brata. – Kim ty jesteś?

Wytrzeźwiał zupełnie. Spojrzała mu w oczy, lecz spuścił wzrok i nie odpowiedział na jej pytanie.

Tak jak wielu innych Thomas nawrócił się podczas studiów, choć radykalną zmianę jego przekonań trudno było nazwać nawróceniem, gdyż nie przeszedł na inną wiarę.

Zmiana przebiegała łagodnie. Niektóre ze swoich poglądów wyraził podczas rozmów z Susan i Rowlandem w Chelsea: domagał się oczyszczenia tekstów biblijnych i jako człowiek wykształcony potępiał bałwochwalstwo i zabobony. Jednak głębiej kryły się zapatrywania dużo groźniejsze i bardziej radykalne. Ich źródło można było określić jednym słowem: Cambridge.

Uniwersytet w Cambridge zawsze był bardziej radykalny niż zachowawczy Oksford. Uczeni z Cambridge, zainspirowani pracami Erazma z Rotterdamu, wielkiego człowieka renesansu, zaczęli z uwagą przyglądać się staremu trzeszczącemu kolosowi, jakim był średniowieczny Kościół, i szybko dobrali się do podstaw jego filozofii. Nawet najświętsze doktryny zostały poddane krytyce.

Thomas pamiętał do dziś, jak po raz pierwszy był świadkiem podważenia doktryny o transsubstancjacji, przeistoczeniu chleba i wina w ciało i krew Chrystusa, czyli cudu mszy świętej. Wiedział oczywiście, że już Wyclif i lollardzi kwestionowali tę doktrynę, słyszał, że zaprzeczają jej też heretyccy protestanci w Europie. Ale gdy usłyszał coś takiego z ust szanowanego profesora Cambridge, był wstrząśnięty.

„Dyskutowanie tej kwestii zazwyczaj skupiało się na szczegółach – stwierdził uczony. – Na przykład czy Bóg obdarza tym cudem każdego kapłana i na każdej mszy. Snuto też bardziej filozoficzne rozważania: w jaki sposób hostia może być jednocześnie chlebem i ciałem Chrystusa. Ale to są jedynie niepotrzebne spekulacje – oświadczył stanowczo. – Mój argument jest dużo prostszy, a opiera się na słowach Biblii. Tylko w jednej z czterech Ewangelii Pan nasz nakazuje apostołom, aby powtarzali tę część ostatniej wieczerzy. I mówi przy tym: »To czyńcie na moją pamiątkę«. Nic więcej. Chodzi tylko o upamiętnienie. Po co więc wymyślać cud?”

Opuszczając Cambridge i jego ożywczą atmosferę, Thomas nie był już wierzącym katolikiem.

Gdyby musiał nazwać swoją religię, powiedziałby, że należy do reformatorów. Było to szerokie środowisko. Jego intelektualne zaplecze stanowiło Cambridge, niewielki krąg pojawił się też wokół Latimera, coraz bardziej znanego uczonego z Oksfordu. Do reformatorów zaliczali się też postępowi duchowni, jak Cranmer, niektórzy znamienici londyńczycy, arystokraci na królewskim dworze, chociażby krewni Anny Boleyn czy sam Cromwell, co Thomas odkrył ze zdziwieniem. Była to jednak elita. Większość zwyczajnych Anglików przywiązana była do tego co stare i znane. I jak to zwykle bywa, reformatorzy nie odpowiadali na potrzeby ludu, lecz chcieli go ulepszyć.

– Sam nie wiem, czy jestem luteraninem, czy nie – wyznał niedawno Thomas Cromwellowi. – Ale z całą pewnością chciałbym, żeby religia przeszła radykalne oczyszczenie.

W całej Anglii tylko jeden człowiek mógł narzucić poddanym nową religię: król. W jaki sposób reformatorzy zamierzali przeciągnąć samozwańczego „obrońcę wiary” do swojego obozu?

– Wykorzystamy odpowiednią sposobność – oświadczył Cromwell. – Nic więcej. Czy ktokolwiek spodziewał się, że kwestia małżeństwa z Anną Boleyn przybierze taki zaskakujący obrót? A dla nas, reformatorów, to prawdziwy dar od losu, bo może doprowadzić do odłączenia się króla od Rzymu. I na to właśnie liczymy.

– Król zostanie obłożony ekskomuniką – zauważył Thomas. – Toleruje skłonności Cranmera, bo go lubi, ale nadal nienawidzi heretyków. Nie przesunął się w kierunku reform nawet o krok.

– Cierpliwości – mruknął Cromwell. – Wpłyniemy na niego.

– Ale jak?! – zawołał Thomas. – Jakich argumentów chcesz użyć?

Cromwell jedynie się uśmiechnął.

– Widzę, że nic nie wiesz o naturze książąt – powiedział, kręcąc głową. Spojrzał Thomasowi w oczy. – Jeśli chcesz mieć wpływ na księcia, młodzieńcze, zapomnij o argumentach. Poznaj człowieka. – Cromwell westchnął. – Henryk kocha władzę. To jego siła. I jest bardzo próżny. Chce wyglądać jak bohater. To jego słabość. No i potrzebuje pieniędzy. To konieczność. – Wbił spojrzenie w Thomasa. – Mając takie trzy dźwignie, możemy przenosić góry. – Uśmiechnął się. – A może nawet, Thomasie, uda nam się sprowadzić reformację do Anglii. – Poklepał młodzieńca po ramieniu. – Zostaw to mnie.

Patrząc na zaniepokojoną twarz siostry, Thomas zastanawiał się, co powiedzieć. Wytrzeźwiał na tyle, aby zdać sobie sprawę, że za bardzo się odsłonił. Musi się jakoś wywikłać.

– Nie jestem protestantem – zapewnił. – Ani nikt inny na dworze. – Uśmiechnął się. – Za bardzo się tym martwisz.

Ona jednak zauważyła jego spojrzenie. Po raz pierwszy w życiu Thomas świadomie ją okłamał. Na szczęście Rowland nie do końca zrozumiał ich rozmowę. Nie zamierzała mu niczego wyjaśniać. W pewnym sensie

Thomas był dla niej stracony, ale nie chciała obarczać tymi sprawami swojego ciężko pracującego męża. Na tym polega rola dobrej żony, powtarzała sobie w myślach.

I tylko czasem, gdy zostawała sama w domu, dopadało ją poczucie osamotnienia. Moralna samotność, tak to nazywała. Chciałaby przynajmniej napisać do Petera, ale on ostatnio donosił, że wydobrzał na tyle, aby udać się na pielgrzymkę do największych sanktuariów, więc nie wiedziała nawet, gdzie list miałby go szukać. Nadal jednak zapraszała Thomasa, patrzyła na jego zabawy z dziećmi i udawała, że nic się nie stało.

To ona wpadła na pomysł, żeby popłynąć do Greenwich. Zawsze chciała zobaczyć największy królewski pałac, więc dowiedziawszy się, że król wyjechał, a Thomas i Rowland mają tam do załatwienia jakieś sprawy, postanowiła im towarzyszyć.

Był pogodny jesienny dzień. Thomas oprowadził ich wokół pałacu, a nawet wystarał się o komnatę, w której mogli przenocować przed powrotem nazajutrz do Chelsea.

Przed zachodem słońca wspięli się na rozległe, zielone zbocze za pałacem. Przeszli kawałek skrajem Blackheath, a potem wrócili na szczyt wzgórza. Roztaczał się stąd piękny widok. Nad sobą mieli bezchmurne niebo. Od wschodu, znad ujścia Tamizy, napływał lekki chłodny wiatr, a na zachodzie słały się nad horyzontem pasma szarych chmur o lśniących krawędziach. Poniżej ostatnie promienie słońca oświetlały pałacowe wieże. Nieco na lewo rozpościerał się przed nimi Londyn, a dalej złota wstęga wijącej się ku zachodowi Tamizy. Gdy słońce skryło się za chmurą, a cały krajobraz spowiła szarość, Thomas wskazał nagle na stocznię w Deptford.

– Patrzcie! – zawołał.

Żaden z władców nie zrobił tyle dla marynarki królewskiej ile Henryk VIII. W porcie stało kilka statków, między innymi ogromny,

sześćsettonowy „Mary Rose”. Jednak chlubą floty był „Henry Grâce à Dieu”, najpotężniejszy statek wojenny Anglii. Okręt oddalił się od lasu masztów sterczących nad Deptford, bo właśnie wpłynął na rzekę.

Czteromasztowiec zmierzał na środek rzeki. Susan patrzyła jak oczarowana. Był rzeczywiście ogromny. Marynarze nazywali go pieszczotliwie „Wielkim Harrym”.

– Waży ponad tysiąc ton – powiedział Thomas z podziwem. Wydawało się, że statek króluje nad całą Tamizą.

A potem nieoczekiwanie „Wielki Harry” rozwinął żagle, ale nie zwyczajne, lecz galowe, farbowane na złoto. W tej samej chwili, jakby na komendę, pęk słonecznych promieni przedarł się przez szczelinę w chmurze, zalewając statek i jego żagle magicznym czerwono-złotym światłem. Okręt rozbłysnął, wyglądał prawie nieziemsko i tak wspaniale, że Susan aż zaparło dech z zachwytu. Podziwiali ten widok przez ponad minutę, a potem słońce znów skryło się za chmurami.

Zabrałaby to wspomnienie ze sobą, gdyby kapitan nie postanowił wykonać jeszcze jednego manewru. Gdy tylko słońce skryło się za horyzontem, na jednej burcie otworzyły się dwa rzędy klap i z ciemnych czeluści wyłoniły się lufy dwudziestu dział. W jednej chwili piękny statek się przeobraził – nie patrzyli już na złotą zjawę, lecz na okrutną machinę wojenną.

– Te działa mogłyby obrócić pałac w perzynę – zauważył z podziwem Thomas.

– Wspaniałe – przytaknął Rowland.

Okręt wzbudził lęk w Susan. Przypomniała jej się inna przemiana, której była świadkiem latem w ogrodzie. Tak jakby złoty statek i posępny okręt z rzędami zimnych, groźnych dział były dwoma obliczami króla. Thomas i Rowland z zadowoleniem patrzyli, jak „Wielki Harry” płynie w dół rzeki,

lecz ją ogarnął dziwny niepokój, poczuła dreszcz. Pomyślała, że to z powodu chłodnego wiatru, który nagle powiał od wschodu.

Stali w korytarzu; ciemna, drewniana boazeria błyszczała łagodnie w blasku świec. Do Thomasa podszedł młody mężczyzna.

– Sekretarz Cromwell będzie cię potrzebował jutro z samego rana – powiedział. A potem dorzucił z uśmiechem: – Decyzja zapadła. Musimy natychmiast przygotować nową ustawę parlamentarną.

Zerknęła z ciekawością na Rowlanda, który też nie wiedział, o czym mowa. A potem mimo mroku zauważyła, że Thomas się zaczerwienił.

– Jaka ustawa parlamentarna? – spytała szybko.

Młody mężczyzna zawahał się, ale rozciągnął usta w uśmiechu.

– No cóż, rano to już nie będzie tajemnicą, więc mogę wam powiedzieć. Chodzi o akt supremacji.

– Co w nim będzie zawarte? – dopytywała.

– Thomas wie lepiej ode mnie – odpowiedział lekkim tonem. – Ale główne postanowienia są następujące.

Słuchając jego wyjaśnień, Susan nie mogła początkowo zrozumieć celu nowej ustawy. Wydawało się, że podsumowuje ona jedynie dotychczasowe posunięcia Henryka w sporze z papieżem: przejęcie papieskich dochodów, zapisy o sukcesji i inne. Jednak powoli Susan coraz szerzej otwierała oczy ze zdumienia.

Wreszcie przemówił Rowland:

– Żaden król nie odważył się wysuwać takich żądań!

Nadając sobie tytuł głowy Kościoła, Henryk zamierzał nie tylko przejąć kościelne dochody, mianować biskupów i opatów – takie próby już wcześniej podejmowali potężni i chciwi władcy średniowiecza. On chciał także osobiście decydować o doktrynie i wszelkich kwestiach teologicznych. Coś podobnego nie przyszło do głowy żadnemu monarsze.

Henryk zamierzał skupić w swoich rękach władzę króla, papieża i soboru. Oburzające! A ostateczną zniewagą było to, że mianując Cromwella swoim namiestnikiem, przekazał mu nadzór nad całym Kościołem – księża, biskupi, opaci mieli odpowiadać za swoje czyny przed oschłym królewskim sekretarzem.

– Henryk chce się zrównać z Bogiem! – zaprotestował Rowland. – A to – dodał ciszej – będzie końcem naszego Kościoła.

– Henryk jest dobrym katolikiem – powiedział Thomas niepewnie. – Obroni Kościół przed herezją.

Susan zbyła to milczeniem.

– Przecież król może zmienić zdanie – zauważył Rowland. – Co będzie, jeśli zniesie status relikwii? Albo postanowi zmienić sposób odprawiania mszy? Albo nagle stanie się luteraninem?

Nikt się nie odezwał.

– Będzie jeszcze jedna ustawa – powiedział młody mężczyzna. – Każdy, kto wystąpi przeciwko jakiemukolwiek zapisowi z aktu supremacji, będzie winny zdrady stanu. A to oznacza śmierć – dodał niepotrzebnie.

Susan zadrżała. Spojrzała na Rowlanda.

– Nie jesteśmy zdrajcami – oświadczyła, starając się mówić spokojnym głosem. – Jeśli ustawa zostanie uchwalona, będziemy jej posłuszni.

Rowland spuścił wzrok i wbił spojrzenie w podłogę.

Mijały tygodnie, a parlament obradował nad aktem supremacji. Susan doskonale wiedziała, co czuje jej mąż. Podzielała jego stanowisko, ale wiedziała, że nie wolno jej tego okazać. Wbrew sobie broniła króla i stawała po stronie brata, który, jak sądziła, jest heretykiem. A wszystko po to, żeby osłabić wątpliwości Rowlanda.

– W sensie praktycznym nic się nie zmieni – zapewniał Thomas szwagra. – Henryk jest gorliwym katolikiem, a poza tym nawet najbardziej

umiarkowane reformy będą musiały być zatwierdzone przez biskupów i parlament. Nasza religia jest bezpieczna.

Sprzeciw parlamentu był słabszy, niż Susan się spodziewała. Jednym z powodów takiej ugodowej postawy było zapewne przekonanie, które pewnego dnia wyraziła żona jednego z sąsiadów: „Lepiej, żeby Kościołem rządził angielski król niż jakiś Włoch z Rzymu, który nic o nas nie wie”. Susan podejrzewała też, że nawet wśród biskupów kryją się reformatorzy, którzy najwidoczniej uznali, że ich sprawa będzie miała większe szanse powodzenia, gdy Kościół angielski uniezależni się od papieża. Jednak przyglądając się bezwzględnym działaniom Cromwella, zrozumiała, że prawdziwym powodem ugięcia się parlamentu przed wolą króla jest strach. A mając w pamięci obraz „Wielkiego Harry’ego”, złotego statku z ukrytymi rzędami śmiercionośnych dział, w głębi duszy wiedziała, że ponury okręt, jakim jest królestwo, nie zatrzyma się na swojej drodze.

„Musimy być posłuszni prawu”, mówiła.

W tym wszystkim jedno było pocieszające. Tym razem nie wspominano o zmuszaniu kogokolwiek do składania nowej przysięgi. Gdyby któryś z poddanych Henryka chciał przeciwstawić się ustawie publicznie, uznano by to za zdradę stanu. Gdy ktoś się nie zgadzał z aktem supremacji, musiał cierpieć w milczeniu.

Susan zauważyła, że jej ukochany mąż znalazł się właśnie w takiej sytuacji. Niechętnie wychodził do pracy, wyglądał na chorego. Wprawdzie po jakimś czasie odzyskał rumieńce, ale dobry nastrój nie wrócił. Minęła jesień, nadeszła zima, a on wciąż był smutny i przygnębiony. I mimo że nadal się kochali, z ich sypialni zniknęła radość. Susan znosiła to w milczeniu, myśląc o dzieciach. Przyznawała rację mężowi, ale ukrywała to przed nim, na pierwszym miejscu stawiając dobro rodziny.

Zbliżał się koniec roku. Niech Peter nareszcie wróci, myślała.

Było chłodne grudniowe popołudnie. Susan wybrała się do miasta. Weszła na Paternoster Row, małą uliczkę obok katedry Świętego Pawła, gdzie mieli swoje stragany bukiniści. Chciała znaleźć coś dla Rowlanda na świąteczny prezent. Zadowolona z zakupu, skierowała się ku Cheapside i pod wpływem impulsu skręciła w zaułek obok St Mary-le-Bow. Po chwili weszła do kościoła Świętego Wawrzyńca Silversleevesa.

Jakże tu było przytulnie. Ciemne lektorium, witraże, figura Najświętszej Panny w blasku kilku świec. Wnętrze wypełniała woń kadzidła. Wciąż czuło się tutaj obecność jej brata, zacnego proboszcza. Wystarczyło, że zamknęła oczy, a widziała przed sobą jego postać.

Gdy się odwróciła, krzyknęła cicho ze strachu, bo zobaczyła go we własnej osobie.

Rok 1535

W styczniu 1535 roku z Rzymu nadeszła niepokojąca wiadomość. Kilka miesięcy wcześniej zmarł papież Klemens, a jego następca do tej pory nie przysłał żadnego listu. Cromwell otrzymał tajny raport. Szokujący.

– Papież zamierza pozbawić was korony – oznajmił królowi.

Podobno papieskie listy dotarły już do króla Francji i cesarza Habsburgów. Gdyby którykolwiek z nich postanowił najechać wyspę i obalić króla, Henryk, mimo pozorów silnej władzy, znalazłby się w wielkim niebezpieczeństwie. Czy to zagrożenie było realne?

– Owszem, mogą się na to odważyć – stwierdził Henryk – jeśli uznają, że kraj jest podzielony i lud przyjmie ich z otwartymi ramionami.

– Co mam w takim razie zrobić?

– To proste. – Uśmiechnął się. – Musimy im pokazać, raz na zawsze, kto jest władcą Anglii.

Dopiero w lutym Peter mógł opuścić Charterhouse i odwiedzić rodzinę w Chelsea. Już sam jego przyjazd do Londynu, jak zauważyła Susan, odmienił domową atmosferę. Ona zaś odzyskała radość i poczucie bezpieczeństwa. Rowland też poweselał. Postanowiła nie zaprzątać sobie głowy wątpliwościami co do Thomasa, przynajmniej nie tego dnia. „Nareszcie spotkamy się całą rodziną – oświadczyła. – Thomas też musi przyjść". Od kilku dni krzątała się po domu, sprzątała i szorowała, aż wszystko lśniło. Naszyła dzieciom nowe koronki na ubrania i gdy w końcu nadszedł wyczekiwany dzień, była z siebie dumna.

Postanowiła przygotować rodzinny obiad, podawany w południe. Głównym daniem, tak jak w każdej dość zamożnej angielskiej rodzinie, było pieczyste. „Podamy łabędzia", zawyrokował Rowland. Londyńczykom o wystarczających dochodach wolno było trzymać na rzece własne łabędzie, a od roku Rowland był dumnym posiadaczem kilku ptaków.

„Będziemy go jedli przez cały tydzień", śmiała się Susan. Wstała wcześnie rano, żeby przygotować pieczeń.

Peter przypłynął barką i wyszedłszy na niewielki pomost, wziął na ręce każde dziecko po kolei. Uśmiechnął się ciepło do wszystkich, przytulił siostrę i wesołym krokiem ruszył do domu.

Nic nie umknęło spojrzeniu troskliwego proboszcza. Pochwalił mały ogród, piękny dom i skromną, choć ciągle rozrastającą się bibliotekę. Dzieci polubiły go od razu.

Późnym przedpołudniem pojawił się Thomas i niedługo potem wszyscy zasiedli przy dużym dębowym stole. Susan była naprawdę szczęśliwa, słuchając, jak Peter odmawia prostą modlitwę, i patrząc, jak Rowland kroi wielkiego łabędzia. Thomas też się uśmiechał.

– Wyglądacie jak dawniej – zauważył.

– Ale ja mam nad nim przewagę. Jestem cięższy – odparł Peter.

– Tylko trochę – zaśmiał się Rowland.

Podczas posiłku Peter zabawiał ich opowieściami o Rzymie, o świętych miejscach i sanktuariach, które odwiedził. Był między innymi we włoskim Asyżu i w Chartres we Francji.

– Chciałem pojechać jeszcze do sanktuarium w Compostela, ale do Hiszpanii jest bardzo daleko.

– A widziałeś może jakieś cudowne uzdrowienia dokonane za sprawą relikwii? – zapytał Thomas z nutą kpiny w głosie.

– Tak. Pewna kobieta została uzdrowiona w Asyżu – odpowiedział Peter spokojnie.

Długo siedzieli przy stole, rozmawiając na różne przyjemne tematy. Dworscy cynicy i heretycy mogli knuć, ale Peter był człowiekiem mądrym i pełnym wewnętrznego spokoju. Nagle w oczach Susan wszystkie problemy straciły znaczenie: król, jego niepowodzenia i niepokój związany z aktem supremacji. To przecież minie. A wiara pozostanie. Peter przybył, żeby im przekazać tę pokrzepiającą wiadomość. Była tego pewna.

Gdy nadszedł lutowy zmierzch i dzieci pobiegły na górę, żeby się pobawić, Peter zwrócił się do Thomasa z lekkim wyrzutem w oczach:

– Czy pogłoski, które docierają do kartuzów, są prawdziwe? – A widząc, że Rowland i Susan nie rozumieją, wyjaśnił: – Król i sekretarz Cromwell zamierzają nam się bliżej przyjrzeć.

Wydawało się to logiczne. Peter wyjaśnił to bardzo prosto:

– Henryk chce mieć pewność, że jest absolutnym panem w swoim domu. Akt supremacji został uchwalony przez parlament i zaakceptowany przez biskupów, którzy w wielu przypadkach są ludźmi króla. Ale postawa innych jest dla Henryka solą w oku. Mam na myśli Morusa, Fishera i Wilsona. Oraz kilka surowych zgromadzeń zakonnych, jak chociażby kartuzów i franciszkanów, którzy wiosną bardzo niechętnie złożyli przysięgę.

Ponieważ każdy sprzeciw jest teraz zdradą stanu, Henryk wpadł na znakomity pomysł zastraszenia tych nieugiętych ludzi. Chce ich zmusić do złożenia przysięgi. Jeszcze nic o niej nie wiemy, ale pewnie potwierdza ona wszystkie postanowienia ustawy supremacyjnej. A wtedy król osiągnie swój cel. – Umilkł i spojrzał surowo na brata. – Mam rację?

– To jest nowy pomysł – przyznał Thomas. – I tylko osoby, które wymieniłeś, będą musiały złożyć przysięgę. Reszta z nas – zerknął na Rowlanda – może spać spokojnie.

– To zaszczyt, że zostaliśmy wyróżnieni – rzucił cierpko Peter.

Susan zauważyła, że Rowland marszczy brwi.

– I co zamierzasz zrobić? – zapytał.

– Zrobię to, co nakaże mi przeor. Skoro wstąpiłem do klasztoru, jest to mój obowiązek.

– Czyli co?

– Nie wiem. Ma się odbyć spotkanie przeorów ze wszystkich kartuzji. Chyba spytają też o zdanie braci zakonnych. Tak byłoby właściwie.

Przez chwilę panowało milczenie. A potem Rowland cicho zapytał:

– A gdybyś ty był przeorem, to jak byś postąpił?

– Ja? Odmówiłbym – odparł Peter bez wahania.

Susan poczuła chłód.

– Chyba nie mówisz poważnie?! – zawołała. – To byłaby zdrada stanu.

– Nie do końca – odpowiedział spokojnie. – Parlament może postanowić o wielu rzeczach. Na przykład podjąć decyzję w sprawie sukcesji. Ale parlament nie ma mocy zmieniać relacji człowieka z Bogiem. Mogą to nazywać zdradą stanu, proszę bardzo. Pamiętaj jednak, że już dawno temu ślubowałem posłuszeństwo dużo wyższej władzy. – Spojrzał na nią życzliwie i ciągnął rzeczowym tonem: – Nie wolno tego bagatelizować. Henryk chce być władzą religijną, a to jest nie do przyjęcia. Przykro mi.

A ten jego cały Cromwell, namiestnik… – Wypowiedział ostatnie słowo z lekką pogardą, patrząc nieruchomo na Thomasa. – Duchową sferą Kościoła ma rządzić królewski pachołek? Obrzydliwość. Nigdy się na to nie zgodzę.

– Prosisz się o śmierć – powiedział zaskoczony Thomas.

Jego brat wzruszył z irytacją ramionami.

– Proszę się? Bynajmniej. Dlaczego miałbym pragnąć śmierci? Ale jaki mam inny wybór? Złożyć absurdalną przysięgę? – Odwrócił się do Rowlanda i Susan. – Na tym polega problem z ludźmi, którzy są u władzy, takimi jak Thomas. Chcą osiągnąć swoje cele i prędzej czy później zapominają o zasadach. – Skierował wzrok na Thomasa. – Albo coś jest dobre, albo złe, przyjacielu.

– Jak więc powinien postąpić ktoś taki jak ja? – spytał Rowland.

Susan spojrzała z bólem na brata. Zauważył to. Zrozumiał sytuację, ale zachował kamienną twarz.

– Myślę – zaczął po zastanowieniu – że ludzie świeccy nie powinni wtrącać się w ten spór. To zakonnikom rzucono wyzwanie i to my musimy odpowiedzieć.

– Ale jeśli dzieje się zło – zaczął Rowland – to przecież każdy chrześcijanin… – Głos mu się załamał.

– Nie należy dążyć do męczeństwa – odpowiedział Peter łagodnie. – To religijna nadgorliwość. – Uśmiechnął się. – Człowiek, który ma rodzinę i obowiązki dane od Boga… – Pochylił się i położył Rowlandowi dłoń na ramieniu. – Zostaw to mnichom. To nasza powinność.

Susan odetchnęła z ulgą.

– A gdyby kazano mi złożyć przysięgę? – spytał Rowland.

– Nikt ci nie każe – wtrąciła.

Rowlandowi to nie wystarczyło. Patrzył wyczekująco na Petera. Boże, modliła się Susan w myślach o właściwą odpowiedź.

– Masz żonę i dzieci – odparł zakonnik. – Nie mogę ci powiedzieć, co powinieneś uczynić.

Za mało. Susan czekała na więcej, ale na próżno. Patrząc z przerażeniem na dwóch ukochanych mężczyzn, miała ochotę zawołać: Peter, po co w ogóle wracałeś do Londynu?!

Stali w wielkiej sali Hampton Court. Carpenter z dumą pokazywał Danowi swoje dzieło. Była to niezwykła konstrukcja. Pałac w Hampton został wzniesiony przez Wolseya i od początku był ogromny, a Henryk powiększał go z każdym rokiem. Najwspanialszym dodatkiem była właśnie wielka sala. Zajmowała jedno skrzydło dziedzińca i miała wysokość trzech pięter. Ogromne okno w szczytowej ścianie wypełniał witraż, przez który przenikało przyjemne światło. Elewacje pomalowano, zaznaczając szarym kolorem linie zaprawy między cegłami. Podłogę wyłożono czerwoną terakotą, na ścianie wisiały heraldyczne tapiserie. Ale największe wrażenie robił dach z odsłoniętą więźbą. I właśnie na niego wskazywał z dumą Carpenter.

Budowane w Anglii otwarte więźby dachowe zyskały sławę. Ten wynaleziony w średniowieczu wzór sztuki inżynierskiej tak się spodobał, że przetrwał przez wiele stuleci, mimo że w wielu przypadkach konstrukcja budowli go nie wymagała. Więźba taka, strzelista, ale mocna i wytrzymała, ozdabiana snycerką i malowidłami, odpowiadała angielskim gustom. Podziwiano ją w Westminster Hall. Każda londyńska gildia, każdy cech, który mógł sobie pozwolić na własną siedzibę, zamawiał taki sufit. Okazałe przykłady podobnych konstrukcji można było podziwiać w Oksfordzie i Cambridge.

Więźbę tworzyły łuki funkcjonujące jak wsporniki i ustawione jeden na drugim. Na przeciwległych ścianach montowano rzędy takich wsporników, a następnie łączono je u góry długą belką. Dzięki temu ciężki dach nad wielką salą miał wystarczające podparcie.

Sufit był naprawdę wspaniały. Na całej długości miał osiem potężnych łuków wspornikowych, które dzieliły przestrzeń dachu na siedem części. U podstawy każdego wspornika znajdował się duży drewniany krokształyn, a z drugiego końca zwieszał się ciężki, drewniany żyrandol. A wszystko wyrzeźbiono misternie we wspaniałej dębinie.

– Przyłożyłem do tego swoją rękę – powiedział Carpenter.

Sprawozdania i raporty z robót prowadzonych przez wiele lat w Hampton Court były niezwykle dokładne, zapisywano w nich wszystkie prace wykonane przez malarzy, cieśli i murarzy wraz z nazwiskami rzemieślników i ich wynagrodzeniem. Carpenter, nawet o tym nie wiedząc, już stał się nieśmiertelny.

– A co tam słychać u twojego ojca? – zapytał stolarz, gdy wyszli na zewnątrz. – Udało mu się wytrwać w klasztorze?

Zaskoczyła go odpowiedź Dana.

– Ojciec chyba się nawrócił.

Sprawcą tego cudu był ksiądz Peter Meredith, który wrócił do kartuzji. Nikt nie wiedział, jak mu się to udało, może sprawiła to jego religijność, a może wystarczyło, że dotrzymywał starcowi towarzystwa. Tak czy inaczej, już po tygodniu Will nie odstępował księdza na krok.

– Wygląda na to, że przy nim jest szczęśliwy – powiedział Dan. – Czegoś podobnego nigdy bym się nie spodziewał.

– Lepiej się módl, żeby ten ksiądz został w klasztorze – rzucił Carpenter.

Za bramą Newgate, nieco na zachód w kierunku Holborn, stał skromny kamienny kościół pod wezwaniem Świętej Etheldredy, pobożnej

anglosaskiej księżniczki z pierwszych wieków chrześcijaństwa. W średniowieczu biskupi Ely wznieśli obok świątyni swoją londyńską siedzibę. Otoczyli teren murem i choć kościół służył im jako kaplica, był dostępny dla każdego, kto szukał duchowej pociechy.

Był pogodny marcowy dzień. Zmierzając z Charterhouse do Westminsteru, Rowland Bull skręcił w Chancery Lane. Nagle jego wzrok przykuł szczyt dachu kościoła Świętej Etheldredy, wystający znad krawędzi biskupich murów. Pod wpływem nagłego impulsu postanowił wejść do środka.

Mijając bramę, poczuł świeży powiew wiosny. Na drzewach pojawiły się już pierwsze zielone pączki, przy ścieżce prowadzącej do kaplicy rosły kępy białych i fioletowych krokusów, a na trawiastej skarpie kwitły żonkile. W wilgotnym powietrzu unosił się słaby zapach świeżo skopanej ziemi. Kościół składał się z dwóch części. Górna, wznosząca się sporo ponad poziom gruntu, była piękną kaplicą z zachodnią ścianą niemal w całości zajętą przez okno. Do niższej, zwanej kryptą, schodziło się kilka stopni w dół. Była nieco mniejsza od kaplicy, ale właśnie tutaj często odbywały się nabożeństwa. Rowland wszedł do krypty, zauważywszy, że jest pusta.

Panowała kojąca cisza. Po lewej stronie znajdował się mały ołtarz, a obok, w cieniu, widać było niewielką czerwoną poświatę hostii. Przez zielone szkło okna umieszczonego w przeciwległej ścianie sączyło się łagodne światło. Poniżej stała stara kamienna chrzcielnica z rzeźbami w saskim stylu. Na środku były ławki i kilka klęczników. Rowland osunął się na kolana do modlitwy.

Dręczyło go wiele wątpliwości. Spotkanie z Peterem nie przyniosło mu ukojenia. Mnisi w Charterhouse modlili się o wskazówkę. Przeor zamierzał poprosić Cromwella o pozwolenie na złożenie innej przysięgi, niebudzącej aż takiego sprzeciwu. „Przecież on się nie zgodzi – zawyrokował Peter. –

Musi nas złamać”. Albo kartuzi ugną się przed wolą króla, albo zostaną uznani za winnych zdrady stanu. Rowlandowi aż trudno było w to uwierzyć: pobożni zakonnicy powędrują na egzekucję jak zwykli przestępcy? Wydawało się to tak absurdalne, że aż niemożliwe. Czy Henryk jest gotów posunąć się do tego czynu? „Oczywiście, że tak – stwierdził Peter. – Kto go powstrzyma?” Ale skazać mnichów na śmierć jako zdrajców? Przerażające. Ci, którzy mieli więcej szczęścia, kładli głowy pod katowski topór. Większość jednak czekała straszliwa śmierć zgodna ze średniowiecznym obyczajem – najpierw ich wieszano, wciąż żywych zdejmowano ze stryczka, a potem wyszarpywano im wnętrzności i odrąbywano członki. Rowland zadrżał na myśl o takiej kaźni.

Chcąc odegnać od siebie ten obraz, wędrował wzrokiem po krypcie, aż jego spojrzenie napotkało hostię. Słabe światełko zdawało się przypominać, że wiara prowadzi czasem do męczeństwa. Czyż droga jego sercu religia nie była ufundowana na takiej właśnie największej ofierze?

A gdy skończy się ta groza, gdy przyjdzie śmierć, co potem? Wieczny spokój, odpowiadał płomyk. Zbawienie. Miał taką nadzieję. Wierzył w to z całego serca. Ale nawet najbardziej pobożni wyznawcy przeżywają czasem przerażające zwątpienie. Bo jeśli wcale tak nie jest? Jeśli człowiek traci jedyne życie, a potem pogrąża się w nocy wiecznej nicości? Rowland odwrócił wzrok od światła i spojrzał na starą chrzcielnicę po drugiej stronie krypty. Skąpana w zielonkawej poświacie wyglądała tak spokojnie; wydawało się, że cichym głosem opowiada o wiośnie na świecie. Pomyślał o swoim domu w Chelsea, o bibliotece, żonie i dzieciach. Ileż dla niego znaczyli. Z nagłą jasnością ujrzał, że pragnie żyć.

Długo nie ruszał się z kolan, od czasu do czasu spoglądając do góry i szepcząc:

– Boże, daj mi znak.

Ale odpowiedź, która nadeszła, nie była ani błyskiem oświecenia, ani głosem płynącym od ołtarza. Przypomniał sobie słowa Petera z dnia, gdy po raz pierwszy omawiali tę kwestię w małym domu w Chelsea. „Albo coś jest dobre, albo złe, przyjacielu”.

I to nie prawniczy umysł pomógł mu pojąć, jak powinien postąpić, ale jakiś głęboki instynkt. Albo coś jest prawdą, albo kłamstwem; albo jest dobre, albo złe; czarne albo białe. Nie podpowiadał mu tego głos uczonego, ale zakorzenione w nim doświadczenia wielu pokoleń Bullów. Twierdzenia króla są kłamstwem. Nie trzeba nic więcej dodawać. Albo się jest chrześcijaninem, albo nie. To wszystko. Poczuł ulgę.

Ale była jeszcze Susan, dzieci i jego zobowiązania wobec rodziny. Teraz do rozważań wtrącił się jego prawniczy umysł. O ich potrzeby też trzeba się zatroszczyć.

Opuszczając kościół Świętej Etheldredy, idąc przez otoczony murami ogród, wiedział już, jak musi postąpić.

Susan wpatrywała się w Rowlanda. W pierwszej chwili nie mogła wydobyć z siebie słowa. Na dworze było już ciemno, dzieci spały. Byli sami. Zaczęła ostrożnie, chcąc zebrać myśli:

– Uważasz, że kartuzi odmówią złożenia przysięgi?

Skinął głową.

– Sądzisz, że król będzie się domagał przysięgi jedynie od tych, którzy mu się sprzeciwili tak jak mnisi?

– Tak.

– Nie przypuszczasz, że będzie jej wymagał od ciebie?

– Ja już ją złożyłem. Dlaczego król miałby mnie niepokoić?

– Ale gdyby mimo wszystko król zmienił zdanie i jeszcze raz poprosił cię o złożenie przysięgi…

– Wobec tego musimy postanowić, jak mam postąpić.

– A więc przyszedłeś z tym do mnie, bo wiesz, że masz powinności wobec mnie i dzieci. – Pokiwała głową z zastanowieniem. Po chwili spojrzała na niego i cicho powiedziała to, czego nie umiał wyrazić: – Zamierzasz odmówić złożenia przysięgi i prosisz mnie o pozwolenie? Pytasz, czy możesz pójść na śmierć?

Spojrzał jej w oczy z miłością.

– Tak – powiedział spokojnie.

Gdyby chodziło o innego mężczyznę, mogłaby podejrzewać, że jest to kłamstwo albo wybieg. „Powiedz, że nie wolno mi iść na śmierć. Niech okażę się tchórzem, ale pozwól mi zachować godność". Prawie żałowała, że poślubiła tak prawego człowieka. Wiedziała jednak, że słowa Rowlanda są szczere.

Była rozdarta. W głębi serca przyznawała rację Peterowi i Rowlandowi. Ale świadomość, że zostawi ją dla Boga, którego oboje kochali, była rozdzierająca. Co gorsza, kobieca mądrość podpowiadała jej, że jeśli nawet dla ratowania rodziny nie wyrazi zgody, Rowland ulegnie, ale nigdy w życiu jej tego nie wybaczy.

– Musisz zrobić to, co ci dyktuje sumienie – powiedziała. – Niczego nie będę ci zabraniać. – Odwróciła się nie tylko po to, żeby ukryć łzy. Nie mogła znieść wyrazu szczęścia na jego twarzy.

– Nigdy do tego nie dojdzie – rzekł stanowczo Thomas Meredith. – Nic mu nie grozi, o ile świadomie nie sprowokuje króla. Co dzień widuję się z Cromwellem. Wiem dokładnie, na co się zanosi. Król chce przywołać do porządku tych, którzy mu się sprzeciwiają. A jeśli ci nieliczni, jak na przykład kartuzi, nadal będą trwać w swoim uporze… – Skrzywił się. – Mogą sobie bardzo zaszkodzić.

– Biedny Peter.

– Nie mogę mu pomóc – przyznał ze smutkiem. – Ale Rowland to zupełnie co innego – dorzucił na pocieszenie. – Złożył pierwszą przysięgę jak wszyscy. Nie ciąży na nim żadne podejrzenie. Czy on chce wystąpić otwarcie?

– Nie.

– To nie ma się czym martwić. – Thomas się uśmiechnął. – Jeśli padnie jego nazwisko, co jest bardzo mało prawdopodobne, zapewnię Cromwella o jego lojalności. Zaufaj bratu. Ochronię Rowlanda.

– Jesteś pewien?

– Jestem pewien. – Pocałował ją. – Nie masz się czego obawiać.

Następnego dnia zaczynał się maj. Popołudniowe słońce grzało przyjemnie. Królewska barka sunęła po rzece. Na łąkach kwitły jaskry i pierwiosnki.

Dan Dogget się uśmiechał. Szczęście mu ostatnio dopisywało. A wszystko zawdzięczał Thomasowi Meredithowi. Był człowiekiem wolnym od trosk? Nie do końca. Zerknął na zadaszoną kabinę na rufie.

Zasłony w kajucie były zaciągnięte dla ochrony przed słońcem. Ze swojego miejsca pomiędzy wioślarzami Dan widział przez otwarte drzwi dwóch mężczyzn zajmujących szerokie, pokryte jedwabiem siedzisko. Po lewej stronie – brodata twarz króla, po prawej – blada i dość ponura twarz sekretarza Cromwella. Cromwell mówił coś cichym głosem. Ciekawe, co oni planują, pomyślał Dan.

Po dziesięciu miesiącach grożenia wszystkim, którzy ośmielą mu się sprzeciwić, król Henryk uderzył z precyzyjną dokładnością. Za odmowę złożenia przysięgi uwięziono trzech ludzi: przeora Charterhouse i przeorów dwóch innych kartuzji. Zwykłym mnichom nie nakazano jak dotąd złożenia przysięgi. Poprzedniego dnia trzech przeorów stanęło przed sądem w Westminsterze. Cranmer wystąpił w ich obronie, a sędziowie nie chcieli uznać ich za winnych, ale Cromwell, który przewodniczył rozprawie,

grubiańsko odrzucił zastrzeżenia i zanim nadeszło południe, w Londynie gruchnęła wieść: „Zabrano ich do Tower. Za pięć dni zostaną straceni”.

Dan zastanawiał się, czy jego w jakiś sposób to dotknie. Czy Henryk zacznie prześladować pozostałych mnichów z Charterhouse? To możliwe. Ugną się, gdy zobaczą, jaki przerażający los ich czeka? Przypomniał sobie Petera Mereditha i uznał, że się nie poddadzą. Co się wtedy stanie ze starym Willem?

Daniel Dogget wiózł króla do Hampton Court. Miał złe przeczucia.

Nie powinien wchodzić do ogrodu. Usłyszawszy śmiech, powinien pójść dalej. Nie wiedział, że król już przybył.

W ostatnim czasie starał się nie rzucać w oczy. Sumiennie wykonywał obowiązki. Cromwell go chwalił. Rzadko widywał króla, ale na szczęście chyba nikt na dworze nie wiedział, że jego brat Peter należał do buntowniczego zakonu. Wieści o rozprawie nie dotarły jeszcze do Hampton. Dlatego Thomas zdziwił się niepomiernie, ujrzawszy króla.

Było z nim tylko kilku dworzan. Po długiej podróży po rzece Henryk zapragnął rozprostować nogi, więc wezwał ich, aby towarzyszyli jemu i Cromwellowi w przechadzce po sadzie. A teraz bez żadnej szczególnej przyczyny król wszedł do okolonego żywopłotem ogrodu chwilę przed Thomasem.

Monarcha był w wesołym nastroju. Powoli porządkował swoje życie. Przede wszystkim królowa. Anna Boleyn była kapryśna i zazdrosna o jego dawne miłości, ale czas, który ostatnio spędzili ze sobą, starając się zapewnić krajowi dziedzica tronu, uspokoił nieco domowe burze. Henryk podejrzewał wręcz, że Anna zaszła w ciążę. A teraz ci mnisi. Właśnie opowiedział dworzanom o zbliżających się egzekucjach. Zauważył, że pod maską uprzejmej grzeczności ukrywają lęk. To dobrze. Dworzanie powinni się bać króla. Płynąc barką z Londynu, zastanawiał się, czy nie wprowadzić

nowej przysięgi na szerszą skalę, żeby wyłuskać wszystkich oponentów supremacji i ich zdusić. Jednak Cromwell zalecał ostrożność. „Im mniej przeciwników będziemy musieli zniszczyć, tym mniejszą będziemy mieli opozycję”. Henryk przyznał mu rację.

Chcąc jednak nieco zirytować swojego sekretarza, a przy okazji popatrzeć, jak dworzanie trzęsą się ze strachu, postanowił wrócić do sprawy.

– Jesteś pewien, Cromwell, że nie powinniśmy nakazać poddanym ponownego złożenia przysięgi? A przecież – spojrzał na wszystkich dworzan po kolei – zdrajcy mogą się kryć nawet tu, pośród nas.

Wybuchnął głośnym śmiechem, patrząc twardo na pobladłych dworzan. A potem zauważył Mereditha.

Lubił go. Pamiętał jego ojca. Cromwell dobrze się o nim wyrażał. Król przypomniał też sobie, że wiele razy wygrywał z nim w tenisa. A widząc, że onieśmielony młodzieniec waha się przy wejściu do ogrodu, skinął na niego.

– Podejdź bliżej, Meredith! – zawołał z uśmiechem. – Rozmawiamy o zdrajcach.

Thomas zbladł jak kreda. Ciekawe, z jakiego powodu.

Z zakamarków podejrzliwego umysłu Henryka wyłoniło się wspomnienie innego spotkania w tym samym ogrodzie. Spotkania, które nie było zbyt przyjemne, więc dotąd starał się o nim nie pamiętać. Wspomnienie pełnego wyrzutu spojrzenia młodej kobiety, błysku nielojalności, wręcz zuchwałości w jej oczach. Czy to nie była przypadkiem siostra Mereditha? Tak, chyba tak.

– Powiedz mi coś o swojej rodzinie – rzucił nagle król.

Thomas patrzył na niego bez słowa. Co Henryk wie? Chodzi mu o Petera? Możliwe. Zapewne dowiedział się, że Peter wstąpił do kartuzów.

Niestety, nie miał pojęcia, że królowi chodzi o Susan.

– Mam brata, panie – zaczął ostrożnie. – Był księdzem, ale zachorował i odszedł na emeryturę.

– Tak? – Tego Henryk nie wiedział. – A gdzie on teraz jest?

A więc jednak wie! To pułapka. A jeśli nawet nie wie, to prawda długo się przed nim nie ukryje. Tak czy inaczej, lepiej nie wprowadzać go w błąd.

– W Charterhouse – odpowiedział markotnie.

Zapadła cisza.

– W Charterhouse? – Król był wyraźnie zdziwiony. A więc nie wiedział. – Mam nadzieję, że nie podzielasz jego poglądów. – Głos Henryka stał się ochrypły. – Ich przeor niedługo umrze. – Zerknął na Cromwella.

– Meredith to lojalny poddany – odpowiedział Cromwell pospiesznie.

Dzięki Bogu. Król skinął głową.

– To dobrze.

Jednak Thomas wiedział, że Henryk nie lubi być zaskakiwany. Król najwyraźniej nie uznał sprawy za zakończoną.

– A masz jeszcze inną rodzinę? – spytał cicho.

– Tylko siostrę, panie. – To akurat nie powinno króla interesować.

– Zamężną? Z kim?

– Z Rowlandem Bullem, panie. – Thomas starał się za wszelką cenę zachować spokój. Miał nadzieję, że nikt nie zauważył jego drżenia.

– Z Bullem? – Henryk wytężył pamięć. – Tym, który pracuje dla kanclerza? – Thomas skinął głową.

Henryk spojrzał na żywopłot. Tak. To ta kobieta. Ukrył grymas. Ta, która patrzyła na niego z wyrzutem. Na królów nie patrzy się w ten sposób.

– Czy pani Bull i jej małżonek są lojalnymi poddanymi? – Odwrócił się do Cromwella, a ten przeniósł wzrok na Thomasa. Czekali na jego odpowiedź.

– Tak, wasza wysokość.

Henryk milczał przez dłuższą chwilę, kiwając głową.

– Nie mamy powodów, żeby w to wątpić – odezwał się w końcu cichym, beznamiętnym głosem. A potem odwrócił się do swojego ministra. – Uważamy jednak, że pani Bull i jej mąż powinni złożyć przysięgę. Najlepiej jutro rano, przed wschodem słońca. Taka jest nasza wola. – Był to rozkaz. Cromwell się skłonił. Nagle król uśmiechnął się promiennie. – Mamy jeszcze lepszy pomysł. Nasz lojalny sługa Thomas Meredith sam przyjmie od nich przysięgę. I wszystkiego dopilnuje. Jak wam się podoba?

Wybuchnął śmiechem, który rozniósł się po całym ogrodzie.

Barka wypłynęła z Hampton Court przed świtem. Przez kilka godzin w szarej ciszy rozlegał się jedynie stłumiony plusk wioseł. Gdy Thomas wchodził na pomost przy domu w Chelsea, nad ziemią wciąż unosiły się opary mgły.

– On nie złoży przysięgi – powtarzała ponuro Susan.

Naradzali się szeptem od pół godziny. Rowland, nie wiedząc o przybyciu Thomasa, nie zszedł dotąd na dół. Dzieci wciąż spały.

– Przecież obiecałeś, że nic złego się nie stanie. Obiecałeś – mówiła Susan z wyrzutem.

W jej głosie brzmiała taka rozpacz, że chcąc się bronić, zaczął jej szczegółowo opowiadać, jak spotkał króla w ogrodzie i jak Henryk wypytywał go o rodzinę. Susan umilkła zamyślona, a potem powiedziała cicho:

– A więc to także moja wina.

Nie wiedział, o co jej chodzi. Ale teraz musieli przede wszystkim postanowić, jak postąpić.

– Złożę przysięgę – oznajmiła Susan krótko.

Thomas wiedział, że siostra ma takie same przekonania jak jej mąż. Być może jednak Rowland, kiedy zobaczy jej uległość i uświadomi sobie, jak straszliwe konsekwencje dla całej rodziny mogłaby mieć jego decyzja, też złoży przysięgę? Ale Susan pokręciła głową.

– Nie złoży – powiedziała głosem łamiącym się z rozpaczy.

Thomas miał więc tylko jedno wyjście. Zastanawiał się przez całą noc i przez całą drogę z Hampton Court. Miał nadzieję, że to rozwiązanie nie okaże się konieczne. Niosło ze sobą straszliwe ryzyko. Patrząc jednak na ból i rozpacz siostry, uznał, że musi je podjąć.

Rowland złożył przysięgę, zanim ostatnie smugi mgły wyparowały w promieniach słońca. Zrobił to ze spokojem, a potem uśmiechnął się do żony, która spojrzała na niego z ulgą.

– To nie było takie straszne – zauważył. A najważniejsze, że zachował czyste sumienie.

Thomas Meredith spojrzał na niego pogodnie.

– Cieszę się – powiedział.

Właściwie nie było to takie trudne. Postępował z największą rozwagą, kazał Rowlandowi powtarzać słowa przysięgi, aby jego prawniczy umysł dokładnie zrozumiał ich znaczenie. Rowland, zadowolony, że jego wiara nie doznała uszczerbku, złożył przysięgę.

Bo Thomas wygłosił niewłaściwą wersję.

W zasadzie tylko trochę zmienioną. Przysięga, którą odczytał Rowlandowi, niemal nie różniła się od tej z poprzedniego roku. Ale po słowach o zwierzchnictwie Henryka nad Kościołem Thomas dodał kluczową klauzulę: „O ile dopuszcza to słowo Boże”. Był to stary wybieg od dawna stosowany w Kościele – obaj o tym wiedzieli. Dzięki takiemu obwarowaniu pobożni katolicy mogli w przyszłości sprzeciwić się narzucanej przez króla niewłaściwej ich zdaniem interpretacji przysięgi.

Wszelkie roszczenia Henryka straciłyby wówczas znaczenie. Gdyby kartuzom pozwolono na zastosowanie tej klauzuli, złożyliby przysięgę z czystym sumieniem.

– Aż dziw, że król się na to zgodził – stwierdził Rowland.

– To wyjątkowa dyspensa – skłamał Thomas. – Ci, którzy sprzeciwili się królowi publicznie, składają surowszą przysięgę. Ale nikt przecież nie chce stawiać w trudnej sytuacji takich wiernych poddanych jak ty. Nie rozpowiadaj jednak o tym. Gdyby ktoś pytał, po prostu powiedz, że złożyłeś przysięgę. Najważniejsze, że ty wiesz, do czego się w niej zobowiązałeś.

Módlmy się, żeby się udało, dokończył Thomas w myślach.

– Muszę już iść – oznajmił głośno. – Król czeka na wieści.

Odwrócił się i zobaczył, że Susan z przerażeniem patrzy przez okno.

Cromwell nawet nie zapukał do drzwi. Wmaszerował do środka. Dwóch pomocników zostało na zewnątrz, dwóch zbrojnych czekało przy barce.

– Właśnie złożyłem przysięgę – zaczął Thomas, ale Cromwell mu przerwał.

– Rowlandzie Bullu – zwrócił się do prawnika, jakby jego małe, okrutne oczy nie widziały nikogo innego. – Czy uznajesz królewską supremację nad wszystkim, co doczesne i duchowe?

Rowland zbladł. Spojrzał pytająco na Thomasa, a potem na Susan.

– Tak – odpowiedział z wahaniem. – O ile dopuszcza to słowo Boże.

– Słowo Boże? – Cromwell rzucił szybkie spojrzenie na Thomasa i znów wbił wzrok w Rowlanda. – Nie mówimy tu o słowie Bożym. Czy uznajesz króla Henryka za najwyższego zwierzchnika religii bez żadnych zastrzeżeń? Tak czy nie?

Zapadła napięta cisza.

– Nie mogę tego zrobić.

– Tak właśnie myślałem. Zdrada. Zamykam sprawę. Pożegnaj się z żoną. Przyprowadźcie straż! – zawołał do swoich pomocników.

Dopiero teraz zwrócił się do Thomasa:

– Ty głupcze – warknął. – Myślałeś, że ocalisz go tym wykrętem, a królowi powiesz, że złożył przysięgę? – Thomas był tak wstrząśnięty, że nie mógł wydobyć z siebie słowa. – Nie pojmujesz, że królowi nie chodziło o niego? Chciał sprawdzić ciebie! Przekonać się, co zrobisz. Zamierzał przysłać kogoś innego, żeby odebrał przysięgę. – Chrząknął. – Ocaliłem ci życie. A ty – zwrócił się do Rowlanda – właśnie się z życiem pożegnałeś. – Skłonił się dworsko Susan. – Może mu pani dać jakieś odzienie. Zabieram go do Tower.

Tego dnia ojciec Peter Meredith przyjął dwoje gości. Nie czuł się dobrze, więc Will Dogget przyprowadził ich do celi. Najpierw zjawiła się Susan. Mówiła cicho, ale w jej głosie wyczuł ton wyrzutu i rozpaczy. Miała tylko jedną prośbę.

– Chcesz, żebym przekonał go do złożenia przysięgi? – upewnił się Peter.

– Tak.

– A nie jest już na to za późno?

– Ma się jeszcze odbyć oficjalna rozprawa z ławą przysięgłych. Gdyby się teraz ugiął, król mógłby okazać łaskę. – Wzruszyła bezradnie ramionami. – To nasza jedyna szansa.

– Uważasz, że z moim zdaniem będzie się liczył?

– On tylko ciebie darzy szacunkiem. Poza tym – w jej głosie już wyraźnie zabrzmiał wyrzut – gdy odmówił złożenia przysięgi, ciebie wziął za przykład.

Peter spuścił wzrok.

– Kierował się też własnym sumieniem – powiedział cicho. – Zrobił to przez wzgląd na naszą wspólną wiarę.

Nie miałby do niej pretensji, gdyby zlekceważyła to napomnienie. Zawsze była pobożną kobietą, choć teraz mówiła jak matka, która walczy o swoją rodzinę. Zaskoczyły go słowa, które usłyszał:

– Niczego nie rozumiesz. – Opowiedziała mu, jak zobaczyła króla w ogrodzie, a potem Thomas natknął się na niego w tym samym miejscu. – Te przypadkowe spotkania i to, że jesteś mnichem w Charterhouse, pokazują, że to ja i ty sprowadziliśmy nieszczęście na Rowlanda. Gdyby nie to, nie musiałby składać przysięgi.

Peter westchnął. Dlaczego Opatrzność działa w taki dziwny i okrutny sposób? Oczywiście, jest w tym Boży plan. Ale dlaczego, myślał ze smutkiem, sens tego planu jest niezrozumiały nawet dla najbardziej pobożnych wyznawców?

– Porozmawiam z nim – powiedział w końcu. – Ale nie mogę mu nakazać, aby postąpił wbrew sumieniu. Nie mogę narazić na potępienie jego duszy, która jest nieśmiertelna, uwierz mi.

To zapewnienie jej nie pocieszyło, ale Peter się tego nie spodziewał. Jej ostatnie słowa go zabolały.

– Wiesz, co z nim zrobią? Czy ty to rozumiesz? – Spojrzała na niego z goryczą. – Tobie będzie łatwiej – dodała lodowatym tonem i wyszła.

Łatwiej? Wcale nie. Krążyły słuchy, że egzekucja przeorów odbędzie się za kilka dni i że nie dostąpią łaski śmierci przez ścięcie, ale zostaną straceni w najbardziej okrutny sposób. Gdy mnisi zobaczą te potworności, królewscy urzędnicy pojawią się w kartuzji i zaproponują im złożenie przysięgi. „To wszystko odbędzie się po to, aby nas zastraszyć i wystawić nasze dusze na próbę”, powiedział stary mnich. Czy Susan naprawdę

myślała, że on, siedząc godzinami w swojej celi, nie boi się tego, co go czeka?

Wieczorem przyszedł Thomas.

W pierwszej chwili, widząc w progu młodego dworzanina, Peter poczuł irytację. Wprawdzie Thomas wyglądał na zrozpaczonego, ale przecież wciąż był człowiekiem Cromwella.

– Zapewne przychodzisz do mnie z tym samym co nasza siostra – powiedział Peter cicho. A potem dorzucił trochę oschlej: – Brat w Charterhouse i mąż siostry odmawiają złożenia przysięgi, to wszystko może ci zaszkodzić w karierze.

Thomas jedynie pokręcił głową.

– Wracam z dworu. Nawet gdyby Rowland chciał teraz złożyć przysięgę, to król jej nie przyjmie. Zdrada jest zdradą. I król chce go zniszczyć. – Usiadł, zakrywając twarz dłońmi. – To wszystko moja wina.

– Twoja?

– To ja sprowadziłem go na dwór. To ja go w to wplątałem.

– Stanął po stronie swojej religii.

– Owszem – przyznał Thomas. – Ale tylko dlatego, że pod wpływem kaprysu król zapragnął sprawdzić moją lojalność, a nie jego. Henrykowi nie chodziło o Rowlanda.

– Jeśli umrze, zostanie męczennikiem – powiedział Peter spokojnie.

Ale Thomas nawet z tym nie chciał się zgodzić.

– Dla ciebie i dla Rowlanda to akt wiary. Ale dla innych już nie. Zrozum, kiedy mnisi z Charterhouse zostaną straceni, to owszem, oni będą męczennikami. Dowie się o nich cała Anglia. Ale Rowland jest nikim, nikt o nim nie słyszał. Zostanie stracony po cichu, razem ze zwykłymi rzezimieszkami. Nieznany urzędnik, który dopuścił się zdrady stanu. Tak to

będzie wyglądać. Mała, prywatna zemsta króla. Nikt tego nie zapamięta, nikogo to nie będzie obchodziło.

– Bóg zapamięta.

– Może. Ale to mnisi powinni bronić religii. Biedny Rowland jest niewinnym człowiekiem, ojcem rodziny, który przypadkiem znalazł się w nieodpowiednim miejscu. To wszystko to koszmarna pomyłka. – Milczał przez dłuższą chwilę. – Muszę ci coś wyznać, bracie – powiedział w końcu z westchnieniem.

– Co takiego?

– Jestem protestantem.

– Rozumiem. – Peter starał się ukryć odrazę.

– A do tego służę Cromwellowi, więc czuję się winny podwójnie. Najpierw porzuciłem swoją religię, a potem sprowadziłem śmierć na Rowlanda.

– Więc chyba powinieneś mieć wyrzuty sumienia.

– Owszem. – Thomas wpatrywał się w swoje dłonie, ale nagle podniósł wzrok i spojrzał Peterowi w oczy. – Kim ja jestem, bracie? Człowiekiem, który cieszy się grzesznym życiem na dworze? Ukrywam swoją wiarę, bo się boję. Henryk pali protestantów na stosach. Sprowadziłem zgubę na Rowlanda, skazałem moją siostrę na biedę z czwórką dzieci i wdowieństwo. I pytam sam siebie, bracie, czy moje życie warte jest choćby jedną dziesiątą twojego? Wątpię. Uwierz mi, gdybym mógł umrzeć za Rowlanda, tobym to zrobił. Przysięgam na Boga.

Peter widział, że Thomas mówi prawdę. I poczuł, że go kocha.

– Nie możesz za niego umrzeć – powiedział bez cienia złośliwości.

Dla Rowlanda nic już nie dało się zrobić.

Peter nie mógł zasnąć. Rzucał się tak niespokojnie na łóżku, że stary Dogget, który w czasie jego choroby spał przy drzwiach, kilka razy

podchodził, żeby sprawdzić, czy nic złego się nie dzieje.

Peter myślał o Susan i jej dzieciach. O straszliwej śmierci, która groziła biednemu Rowlandowi i zapewne jemu samemu. Próbował się modlić, ale trząsł się ze strachu jak zwykły człowiek.

Nie wiedział, która może być godzina, gdy obudził się z niespokojnego snu z nową myślą w głowie. Zastanawiał się, wpatrzony w ciemność. Rozważył wszystko jeszcze raz i uznał, że plan może się udać, choć ryzyko było wielkie. No i jeszcze dręcząca wątpliwość: czy odebranie Bożemu Kościołowi chociażby jednego męczennika jest zbrodnią? Bo będąc księdzem, ojciec Peter Meredith przeżywał straszliwe rozterki: nie wiedział, czy postępuje źle, czy dobrze. Jedno było jasne. Być może skazywał swoją nieśmiertelną duszę na wieczne potępienie.

Tuż po świcie obudził wiernego Willa Doggeta i kazał mu zawezwać do siebie Thomasa.

Thomas uważnie wysłuchał Petera.

– Grozi ci wielkie ryzyko – ostrzegł go ksiądz.

– Gotów jestem wziąć je na siebie.

– Będziemy potrzebowali silnego człowieka – zauważył Peter. – Silniejszego niż ja czy ty.

– Znajdzie się taki.

– Wobec tego musisz podjąć decyzję.

– Ale… – Thomas się zawahał. – Nie mogę się zgodzić na końcówkę twojego planu – dokończył cicho.

– Nie masz innego wyjścia.

Wieczorem Thomas spotkał się z Danem Doggetem, który miał u niego dług wdzięczności.

– Mówiłem ci, że coś wymyślę – powiedział z uśmiechem.

Rowland wyglądał przez okno. Susan patrzyła na niego zdziwiona, że jej mąż jest taki spokojny.

Początkowo trudno mu było zachować zimną krew. Trzy dni wcześniej, gdy zbliżali się do Tower, czuł się strasznie. Ogarnęło go przygnębienie, kiedy barka minęła pomost przy dawnej Lwiej Bramie i skierowała się do wąskiego, ciemnego tunelu w samym środku długiego nabrzeża Tower. Do Bramy Zdrajców.

Ciężka, spuszczana krata pod pomostem zaskrzypiała na przywitanie. Gdy przepłynęli przez mały portowy basen, dwa skrzydła bramy z kutego żelaza otworzyły się powoli, ukazując mroczną przystań ukrytą pod potężnym bastionem. Brama Zdrajców. Każdy wchodzący tędy do Tower musiał porzucić wszelką nadzieję.

Potem poprowadzili go przez gruby wewnętrzny mur do komnaty znajdującej się w rozbudowanej wieży nazywanej Krwawą Wieżą.

Tak oto Rowland zawarł znajomość z londyńską Tower. Było to dziwne miejsce, niemal odrębny świat. W ciągu kilku ostatnich stuleci budowla nie została powiększona, ale wewnątrz murów zaszły liczne zmiany – dobudowano kilka sal, wytyczono nowe komnaty, powstały też dodatkowe wieżyczki z cegły i kamienia, w których umieszczano coraz liczniejszych mieszkańców.

Tworzyli zadziwiającą społeczność. Oprócz robotników, służby, kucharzy, pomywaczek i praczek niezbędnych do obsługi twierdzy, poza konstablem i innymi oficerami mieszkali tu też dozorcy mennicy oraz dowódca artylerii, która miała swoje odlewnie na nabrzeżu, ale już magazyny mieściły się wewnątrz murów. Kolorytu temu zbiorowisku dodawali członkowie nowego szlacheckiego zakonu królewskiej straży przybocznej oraz rekrutujący się ze średniorolnych chłopów strażnicy, którzy kwaterowali w Tower i których można było zobaczyć we

wspaniałych karmazynowych uniformach. Nadal zachowała się królewska menażeria z dzikimi zwierzętami i lwami, których ryki, dobiegające z południowo-zachodniego narożnika, przerywały czasem poranną ciszę. No i wreszcie były kruki; ich posępne krakanie obwieszczało prawdę, której nikt nie mógł zaprzeczyć: tylko one były prawdziwymi, odwiecznymi strażnikami Tower.

Nieliczni więźniowie wywodzili się niemal wyłącznie z wyższych warstw społecznych – byli to dworzanie i właściciele ziemscy, którzy w taki czy inny sposób narazili się królowi. Owszem, niektórych spotkał ciężki los, choć stosowanie koła tortur czy innych podobnych narzędzi zdarzało się w Anglii niezwykle rzadko. Na ogół zapewniano im skromne wygody odpowiednie do ich stanu posiadania.

Rowlanda przyjęto całkiem uprzejmie. Dowódca straży, człowiek o dworskich manierach, złożył mu nawet krótką wizytę. Rowland podejrzewał, że on też, choć lojalny wobec monarchy, jest w głębi duszy oburzony działaniami Henryka. Okazało się, że Tomasz Morus i biskup Fisher są przetrzymywani w Wieży Dzwonniczej położonej niedaleko wejścia. Doktora Wilsona umieszczono oddzielnie, podobnie jak trzech przeorów.

Posiłki przynosili Rowlandowi strażnicy, którzy akurat mieli służbę, ale nie zwracali na niego uwagi. W końcu nie był nikim znanym. Został sam z własnymi myślami.

Starał się zachować spokój, ale z trudem mu się to udawało. Wiedział przecież, co go czeka, a do tego nie opuszczał go strach o rodzinę.

Pierwszego dnia dwa razy zwymiotował i był tak blady, że konstabl zaczął się obawiać o jego życie. Przez następne dwa dni, choć odwiedzała go żona z dziećmi, wcale nie czuł się lepiej. Teraz jednak, mimo że wciąż był blady, niemal się uśmiechał, patrząc na rozgrywającą się poniżej scenę.

– Podejdź tu i popatrz – powiedział do Susan.

Prowadzono przeorów na egzekucję.

Pozwolono im przejść o własnych siłach do zewnętrznej bramy. Stamtąd mieli być przewiezieni przez cały Londyn pod szubienice. Towarzyszył im dowódca straży i pełni szacunku strażnicy, którzy w tych ostatnich chwilach najwyraźniej nie chcieli odbierać im godności. Gdy Susan stanęła przy oknie obok męża, minęli akurat trawnik, po którym dumnie przechadzały się kruki.

– Spójrz tylko, jak pokornie i radośnie idą na śmierć – powiedział cicho. – Owieczki Boże. – Uśmiechnął się do żony. – Na tym chyba polega prawdziwa wiara. – Umilkł, gdy mały pochód przechodził tuż pod oknem. – Czyż nie to zostawiają po sobie męczennicy? A potem my mamy dawać temu świadectwo. Ten przekaz jest potężniejszy niż słowa. – Uśmiechnął się znowu. – To z takich właśnie kamieni zbudowany jest nasz Kościół.

Susan milczała.

Rowland patrzył w milczeniu przez okno. Czuł spokój, który po długiej udręce wyczekiwania staje się udziałem człowieka skonfrontowanego z ostatecznością. Dziwne, ale czuł ulgę.

Poprzedniego wieczoru Thomas przekazał mu trochę świeżych wieści. „Zaraz po egzekucji pojadą do Charterhouse, żeby przyjąć przysięgę od pozostałych mnichów”.

Peter. Niedługo i on do niego dołączy. A może nawet razem staną przed sądem i razem umrą? Ta myśl podziałała na niego kojąco i dodała mu sił.

Czwartego maja 1535 roku z rozkazu króla Henryka VIII, gorliwego obrońcy wiary, stracono trzech przeorów. Egzekucja przebiegła tak.

Za zewnętrzną bramą Tower wsadzono ich na zakratowany wóz i powieziono przez całe miasto. Była to długa droga, bo choć nadal czasem dokonywano egzekucji w Smithfield, to teraz te ponure ceremonie częściej

odbywały się na rozstajach starych rzymskich dróg, półtora kilometra od Holborn, gdzie niegdyś stał marmurowy łuk. Miejsce to nazywano Tyburn od płynącego nieopodal strumienia.

Zgromadzone na ulicach tłumy zauważyły rzecz niezwykłą.

Od czasów, gdy Tomasz Becket przeciwstawił się królowi z dynastii Plantagenetów, stało się zwyczajem, że duchowny, którego dla wykonania egzekucji przekazywano władzy świeckiej, zdejmował zakonne szaty, co symbolizowało wyjęcie spod kościelnej protekcji. Jednak tego dnia, gdy Henryk stał się Bożym namiestnikiem w sprawach religijnych i doczesnych, nie było to już konieczne. „Nadal są ubrani jak księża", powtarzali gapie ze zdziwieniem.

W Tyburn zebrał się już przy szubienicach spory tłum. Król Henryk postanowił uczynić z egzekucji dworską rozrywkę. Nie tylko pojawił się osobiście, ale zaprosił też ambasadorów Francji i Hiszpanii. Towarzyszyło mu czterdziestu dworzan na koniach, wszyscy mieli maski, jakby wybierali się na bal karnawałowy.

Przeorzy stanęli przed nimi pokornie. Mogli jeszcze, już u stóp szubienicy, zaprzeć się swojej wiary, ale odmówili. Założono im stryczki na szyje, podciągnięto do góry, aby zawiśli, a potem, w pełni przytomnych, opuszczono i rozpłatano dosłownie na pół. Wypruto im trzewia i serca, odrąbano ręce, nogi i głowy, a potem obnoszono szczątki wokół placu ku uciesze gawiedzi. Zrobiono to wszystko starannie, zgodnie ze starym okrutnym obyczajem. Na koniec ich zakrwawione członki zabrano i poprzybijano gwoździami w różnych zakątkach miasta.

I tak oto, dokonując rzezi na trzech przeorach, pierwszych chrześcijańskich męczennikach, którzy nie chcieli uznać królewskiej supremacji w sprawach religijnych, Henryk VIII zatwierdził nowe prawo.

Peter obejrzał egzekucję, a potem wrócił do klasztoru. Gdy dotarł na miejsce, poczuł się bardzo, bardzo zmęczony.

Wkrótce potem pojawiło się kilku królewskich służących z niewielkim pakunkiem zawiniętym w płótno. Gdy go rozpakowano, oczom mnichów ukazała się odcięta ręka przeora. Ludzie króla przybili ją gwoździem do bramy.

Tuż po południu przyjechali wysłannicy króla, żądając od zakonników złożenia przysięgi. Mnisi zebrali się w jednym miejscu. Urzędnicy, wśród których było kilku duchownych, wyjaśnili im, że okazanie lojalności i posłuszeństwa królowi jest czynem właściwym i świadczącym o mądrości. Jednak braciszkowie odmówili. Z wyjątkiem jednego.

Ku ich wielkiemu zdziwieniu do przodu wystąpił ksiądz Peter Meredith i jako jedyny złożył przysięgę. Wyglądał na chorego i zmęczonego. Najwyraźniej załamał się po przerażających scenach, których był rano świadkiem.

Sekretarz Cromwell osobiście powiadomił Thomasa o tym, co się wydarzyło.

– On żyje, a ty też na tym skorzystałeś – stwierdził. – Już powiedziałem królowi, że jedynym lojalnym mnichem okazał się twój brat. – Skrzywił się lekko. – Ale on już chyba długo nie pożyje. Podobno jest bardzo chory.

Thomas mógł sam się o tym przekonać, gdy kilka godzin później zawitał do Charterhouse. Resztę zakonników zapędzono do kaplicy i do refektarza, gdzie grożono im i przekonywano na zmianę, ale Peterowi pozwolono pozostać w celi, pod opieką Willa Doggeta. Nie miał nawet siły, by wstać z łóżka, więc Thomas zamienił z nim tylko kilka słów i wyszedł.

Dużo bardziej obawiał się innej wizyty. Przez dłuższy czas wyczekiwał pod domem w Chelsea i dopiero gdy któreś z dzieci wybiegło do ogrodu i go zauważyło, wszedł do środka. Bawił się z siostrzeńcami, chcąc odwlec

rozmowę. Wreszcie gdy zostali z Susan sami, przekazał jej zaskakujące wieści.

– Peter złożył przysięgę.

W pierwszej chwili nie mogła w to uwierzyć.

– Byłem w kartuzji, rozmawiałem z nim. To prawda.

Milczała przez dłuższą chwilę.

– Chcesz powiedzieć – odezwała się w końcu cichym głosem – że wystawił Rowlanda na pewną śmierć, a potem go opuścił? Rowland ma umrzeć samotnie? – Rozłożyła ręce. – Poprowadził go tam po nic?

– On jest bardzo chory. I chyba bardzo zmęczony.

– A Rowland? On jest zdrowy, ale zaraz umrze!

– Peter jest nie tylko chory. Jemu jest wstyd. Staram się go zrozumieć.

– Nie. – Pokręciła powoli głową. – To za mało. – Kiedy odezwała się po długiej chwili, w jej głosie brzmiała taka rozpacz, że aż skręciło go z bólu. – Nie chcę widzieć Petera na oczy.

Thomas wiedział, że Susan już nigdy nie zmieni tej decyzji, bo Peter zniszczył wszystko, w co wierzyła.

Dan Dogget spojrzał na niebo. Nie modlił się często, ale teraz odmówił krótki pacierz, tak na wszelki wypadek. Pocieszało go jedno: gdy już wykona to dziwne polecenie, jego dług wobec Mereditha zostanie spłacony. „Obym miał to już wreszcie za sobą”, modlił się w myślach.

Wyruszyli tuż przed zachodem słońca. Wcześniej ksiądz Peter źle się czuł, nie był w stanie wstać z łóżka. Gdy tylko jednak odzyskał siły, na polecenie Thomasa Dan podjechał małym wózkiem pod klasztorną bramę.

Atmosfera w kartuzji była napięta. Po egzekucjach duchowni posłuszni Henrykowi poddawali zakonników nieustannej presji. Trzech najstarszych mnichów odwieziono nie do Tower, lecz do zwykłego więzienia. „Król zrobi wszystko, żeby złamać przynajmniej niektórych”, mówiono. Ksiądz

Peter znalazł się w trudnym położeniu. Był chory, więc i tak spędzał czas samotnie w celi, ale widać było wyraźnie, że współbracia się go wyrzekli. Nawet królewscy wysłannicy przestali się nim interesować. „On tu jest od niedawna – zauważył jeden ze starszych mieszkańców klasztoru. – Nigdy nie był jednym z nich”. Ale choć w oczach mnichów Peter okrył się hańbą, Dan zauważył, że jego ojciec wciąż odnosi się do niego z największą czcią. Gdy ksiądz niezdarnie wspinał się na wóz, Will ukląkł i pocałował go w rękę.

Dan powoli toczył wóz przez miasto, towarzysząc braciom Meredith w ich smutnej misji. Jechali do Tower, żeby odwiedzić biednego Rowlanda.

Bez zbędnej zwłoki przepuszczono ich przez bramę; wszyscy wiedzieli, że Thomas jest człowiekiem Cromwella. Dopiero teraz Dan pojął, do czego był im potrzebny wóz, musieli go jednak zostawić na zewnątrz. Najwyraźniej długa jazda znów wyczerpała Petera. Z trudem zszedł z wozu i nie mógł dalej iść o własnych siłach. Wprawdzie w ciągu ostatnich miesięcy stracił sporo na wadze, ale tylko silni mężczyźni dali radę go podtrzymać, gdy kroczył niepewnie brukowaną dróżką między szarymi murami. Thomas podał swoje nazwisko strażnikowi, a potem wspięli się z mozołem po krętych schodach do celi Rowlanda.

Rowland Bull siedział nieruchomo na ławie. Przez wąskie okno sączyły się ostatnie promienie zachodzącego słońca. Spokój z poprzedniego dnia zniknął. Rano Rowland znów wymiotował. Był bardzo blady. Jednak ucieszył się na widok gości.

Peter powoli usiadł obok niego. Rozmawiali o czymś przyciszonymi głosami, a Dan patrzył na nich z ciekawością. Z księdzem zdążył już zawrzeć luźną znajomość, lecz Rowlanda widział po raz pierwszy. Zauważył ze zdziwieniem, jak bardzo są do siebie podobni. Peter wychudł w chorobie, twarz mu wyszczuplała. Wyglądali jak bracia. Zabawne,

pomyślał Dan, ale gdybym ich zobaczył po raz pierwszy, to wziąłbym księdza za ojca rodziny, a prawnika, z jego ascetyczną twarzą, za mnicha. Przyszło mu do głowy, że obaj wybrali niewłaściwe ścieżki życiowe.

Dopiero po kilku minutach Peter powiedział, z czym przyszli.

– Złożyłem przysięgę.

Rowland jeszcze tego nie wiedział. Przez ostatnie dwa dni widywał jedynie strażników, którzy przynosili mu jedzenie. Wiadomość nim wstrząsnęła; siedział przez chwilę z opuszczoną głową, ale potem podniósł wzrok i spojrzał poważnie na Petera.

– Ciebie też opanował strach? – spytał łagodnie.

– A ty chciałbyś złożyć przysięgę? – wtrącił Thomas. – Wątpię, by to ocaliło ci życie, ale skoro Peter to uczynił, to może król okaże ci łaskę.

Rowland zastanawiał się, ale tylko przez krótką chwilę.

– Nie – powiedział w końcu. – Nie złożyłem jej wtedy, nie złożę teraz.

Peter wyciągnął spod habitu małą flaszkę z winem i trzy małe kubki. Drżącą dłonią nalał wino. Opanował się i podał kubki Rowlandowi i Thomasowi.

– Przy moim stanie zdrowia wątpię, żebyśmy jeszcze spotkali się na tym świecie – odezwał się cicho. – Napijmy się więc razem ostatni raz. – Spojrzał uważnie na Rowlanda. – I nawet w godzinie śmierci pamiętaj, że to ty, który jesteś dla mnie więcej niż bratem, to ty, a nie ja, zasługujesz na koronę męczennika.

Wypili, a potem siedzieli przez jakiś czas w milczeniu. W końcu Peter i Thomas podnieśli się z miejsc. Wypełnili swoją misję do końca.

Gdy Dan i Thomas odjeżdżali z mnichem z Tower, zapadł już wieczór. Zakonnik, wyczerpany zarówno chorobą, jak i wzruszeniem po pożegnaniu z przyjacielem, nie mógł zrobić kroku i niemal bezwładnie zwisał na

ramionach swoich towarzyszy. Na widok Thomasa strażnicy nie tylko otworzyli furtę, ale też pomogli ułożyć mnicha na wozie.

Dan zarzekał się, że dalej poradzi sobie sam, więc Thomas pozwolił mu odjechać do Charterhouse.

– Smutny wieczór – powiedział do strażnika przy bramie, który przytaknął skinieniem głowy. – Chyba wrócę i posiedzę jeszcze trochę z biednym Bullem. On jest chyba tak samo chory jak ten mnich. – Ruszył wolnym krokiem do celi.

Tej nocy w Tower panowała cisza. Spali więźniowie i dozorcy, nawet kruki były pogrążone we śnie.

Szare kamienne mury i wieże majaczyły niewyraźnie w mroku, ledwo widoczne w blasku gwiazd. Jedynie z okna jednej celi sączyło się słabe światło. W środku znajdowali się dwaj mężczyźni. Gdy strażnik do nich zajrzał, Thomas siedział ponuro na ławie, a prawnik klęczał przy oknie, odmawiając półgłosem modlitwy.

Thomas nie przerywał, choć trwało to długo. Wrócił myślami do rozmowy, którą odbył z bratem trzy dni wcześniej. Ileż on miał w sobie odwagi, a jednocześnie niepewności, jaką udrękę przeżywał. „Jeśli to zrobimy, odbiorę Kościołowi dwóch męczenników – wyznał. – A może nawet – dorzucił ze smutkiem – skażę swoją duszę na potępienie”.

Ale przecież, myślał Thomas, mimo wszystko Rowland wybrał męczeństwo. A jeśli idzie o Petera, to jak nazwać ofiarę człowieka, który gotów jest poświęcić dla przyjaciela nie tylko własne życie, ale nawet nieśmiertelną duszę?

Mężczyzna przy oknie podniósł się i skinąwszy głową do Thomasa, położył się na łóżku. Tej właśnie chwili Thomas bał się najbardziej. Nie chciał tego zrobić.

– Musisz – powiedział cicho mężczyzna.

Thomas wziął więc koc i przycisnął go leżącemu do twarzy.

I wtedy o wszystkim zadecydowała inna moc, a Thomas już do końca życia był przekonany, że oto sam Bóg dał im dowód swojego miłosierdzia.

Wezwani przez niego dozorcy od razu zrozumieli, co się dzieje. Po paru minutach dołączyli do nich dwaj zaspani członkowie straży.

Prawnik miał potężny atak apopleksji. Z trudem chwytał powietrze, był blady. Próbował usiąść, ale zaraz opadł do tyłu, z otwartymi ustami i dziwnie zapadniętą twarzą. Jeden ze strażników podszedł do niego, a potem zwrócił się do Thomasa:

– Skonał. – A potem dodał łagodniej: – Lepsze to niż los, który go czekał jutro.

Thomas skinął głową.

– Nic tu po was, panie – powiedział strażnik do Thomasa. – Przekażemy wiadomość dowódcy. – Wyprosił wszystkich za drzwi, taktownie zostawiając Thomasa na chwilę ze zmarłym.

Nikt więc nie mógł usłyszeć, jak Thomas, pochylając się nad zwłokami, szepnął:

– Niech cię Bóg błogosławi, Peter.

Rowland Bull obudził się o świcie. Z trudem odzyskiwał świadomość, głowa dziwnie mu ciążyła. Thomas nadal przy nim czuwał. Ostatnią rzeczą, którą pamiętał, była rozmowa Petera z bratem. Zmarszczył brwi. Dlaczego ma na sobie habit? Rozejrzał się. Gdzie on jest?

– Jesteś w Charterhouse – powiedział cicho Thomas. – Chyba powinienem ci wszystko wyjaśnić.

Właściwie nie było to trudne. Mikstura nasenna, którą podał mu Peter, zadziałała szybciej, niż się spodziewali. Zamiana odzienia zajęła im dosłownie parę minut. Bez problemów wynieśli go z Tower.

– W końcu jestem zaufanym człowiekiem Cromwella – powiedział Thomas.

Jedyną trudnością mogło okazać się wniesienie nieprzytomnego człowieka do klasztoru, ale Daniel Dogget, znany ze swojej siły, wziął go po prostu na ręce.

– Sam byłbyś zdziwiony, widząc, jak bardzo Peter jest do ciebie podobny w twoim ubraniu – ciągnął Thomas. – Poza tym człowiek po śmierci zawsze wygląda trochę inaczej.

– Peter nie żyje? Jak to się stało?

– Miałem go zabić. Tak się umówiliśmy. Wszystko miało wyglądać tak, jakby zmarł we śnie. Strażnicy i tak byli przekonani o twojej chorobie. Ale gdy już zacząłem… – Thomas opuścił wzrok. – Na szczęście Pan przywołał go do siebie. Apopleksja. Sam wiesz, że od dawna już chorował.

– Ale co ze mną? Co mam teraz zrobić?

– Peter prosił, żeby ci przekazać od niego wiadomość. Nie mógł napisać listu, więc posłuchaj. On chce, żebyś żył. Twoja rodzina cię potrzebuje. I przypomina ci, że już zasłużyłeś na koronę męczennika, bo byłeś gotów oddać życie za wiarę. Ale on temu zapobiegł.

– Czy to znaczy, że złożył przysięgę?

– Tak, to była część planu. Księdzu Meredithowi darowano życie i teraz ty nim jesteś. To nie będzie trudne. Nikt cię tu nie będzie niepokoił. Dla mnichów jesteś wyrzutkiem. Obchodzą cię z daleka. Królewscy urzędnicy też nie będą się tobą interesować, poza tym wszyscy wiedzą, że jesteś chory. Nie wychodź z celi, Will Dogget zajmie się tobą. Za jakiś czas przewiozę cię w inne miejsce.

– A jeśli odmówię?

– Wtedy – Thomas zrobił smutną minę – mnie, Dana Doggeta i jego ojca czeka taka sama straszliwa śmierć jak ciebie. A twoja żona zostanie całkiem

sama. Peter miał nadzieję, że tego nie zrobisz.

– A Susan? I dzieci?

– Bądź cierpliwy. Dla waszego bezpieczeństwa ona musi wierzyć, że nie żyjesz. Później zobaczymy, co da się zrobić. Na razie jest na to za wcześnie.

– O wszystkim pomyślałeś.

– Nie ja, tylko Peter.

– Wygląda na to – powiedział Rowland ponuro – że powinienem wam wszystkim podziękować. Ryzykowaliście dla mnie życie.

– Miałem wyrzuty sumienia. – Thomas wzruszył ramionami. – Will Dogget zrobił wszystko na prośbę Petera, ten starzec darzył go miłością. – Uśmiechnął się cierpko. – Prości ludzie mają w sobie więcej szlachetności. A Daniel… Powiedzmy, że był mi winien przysługę.

Rowland westchnął.

– Chyba nie mam wyboru.

– Peter chciał ci przekazać coś jeszcze – dorzucił Thomas. – Trochę dziwnie to brzmi. „Powiedz mu, że ma być mnichem tylko przez jakiś czas. Potem musi wrócić do żony". Wydawało mi się to oczywiste. Coś z tego rozumiesz?

– O, tak. Rozumiem – powiedział powoli Rowland.

Ze wszystkich potworności, które towarzyszyły narodzinom nowego Kościoła anglikańskiego, najbardziej wstrząsającym wydarzeniem była egzekucja wykonana w czerwcu.

Pretekstu do niej dostarczył papież. Nie dość, że nakłaniał władców europejskich do detronizacji angielskiego króla, który okazał się schizmatykiem, to w maju mianował przebywającego w Tower biskupa Fishera kardynałem. Henryk wpadł w furię. „Przysięgam, że jeśli papież przyśle kardynalski kapelusz, to nie będzie już głowy, na którą mógłby go włożyć".

Dwudziestego trzeciego czerwca załamanego i posiwiałego starego biskupa Rochester wyprowadzono w Tower na trawnik i ścięto mu głowę. Dla wielu ludzi oznaczało to koniec pewnej epoki.

Dwa tygodnie później jego los podzielił były kanclerz Tomasz Morus. Oficjalnie zginął za wiarę, ale wielu widziało w jego losie raczej historię politycznego upadku niż religijne męczeństwo, więc jego śmierć nie wywołała tak wielkiego wrażenia.

Doktor Wilson, jako człowiek mało znaczący, pozostał w Tower niemal zapomniany.

Mnisi z Charterhouse wciąż byli poddawani prześladowaniom. Trzech skazano na śmierć, a pozostałych znieważano i upokarzano. Było to tym bardziej bolesne, że mnisi z innych kartuzji złożyli przysięgę, a przełożony całego zakonu przysłał z Francji list z radą, by postąpili podobnie.

I nikt nawet nie zauważył, gdy pewnego czerwcowego wieczoru, na polecenie, które nadeszło z urzędu namiestnika Cromwella, tchórzliwy ojciec Peter Meredith, nadal bardzo słaby, został zabrany z Charterhouse i przeniesiony do innego klasztoru na północy kraju. Will Dogget wyjechał razem z nim.

Wiosną 1536 roku miało miejsce wydarzenie, w którym wielu dopatrywało się chichotu historii. Gdyby Katarzyna Aragońska nadal była żoną króla albo przynajmniej była lepiej traktowana, być może żyłaby dłużej. Ale zmarła na początku roku w zimnym domu w Anglii Wschodniej. Gdyby Henryk tak się nie spieszył, teraz mógłby ożenić się powtórnie i nie musiałby zrywać stosunków z Rzymem.

Kilka miesięcy później Anna Boleyn, nie urodziwszy męskiego potomka, popadła w niełaskę i została ścięta. Król znalazł sobie nową żonę.

Ale nie pogodził się z papieżem. Spodobał mu się tytuł Najwyższej Głowy Kościoła i zyski czerpane z kościelnych majątków.

Rok 1538

Był majowy poranek, ale zanosiło się na burzę.

Flemingowie stali przy swoim straganie, patrząc na siebie ponuro. Nie mogli wydobyć z siebie słowa, ale od czasu do czasu jedno lub drugie spoglądało ze smutkiem na Charterhouse, jakby chciało powiedzieć: zostawiliście nas samych. Tylko jak ten biedny, stary, opuszczony przez swoich mieszkańców klasztor miał im pomóc? Jednak Fleming i jego żona nie zastanawiali się tego dnia nad takimi subtelnościami. Za bardzo użalali się nad sobą. Ostatni raz sprzedawali swoje dewocjonalia. Zamykali interes.

Winę za to ponosił król Henryk. A właściwie namiestnik Cromwell. Bo to Cromwell kazał zamknąć wszystkie klasztory.

Rozwiązywanie zakonów toczyło się pełną parą. Cromwell i jego ludzie już od dwóch lat odwiedzali najpierw mniejsze, a potem większe klasztory w całym kraju. Jednym zarzucano rozwiązłość, inne zamykano pod byle pretekstem albo nawet bez podania przyczyny. Ogromne, gromadzone przez wieki posiadłości ziemskie stawały się w ten sposób własnością nowego zwierzchnika Kościoła, który od razu je sprzedawał, proponując czasem swoim przyjaciołom niższe ceny. Blisko jedna czwarta majątków zmieniła właścicieli – była to największa zmiana od czasów podboju normandzkiego.

„Pozwoliło to też poprawić królewskie finanse”, zauważył z satysfakcją Cromwell. Najwyższy zwierzchnik Kościoła, wzbogaciwszy się, rozpoczął budowę Nonsuch, jeszcze jednego wielkiego pałacu poza Londynem.

Ale to nie wszystko. Frakcja reformatorów w Kościele anglikańskim, zachęcona i wzmocniona takim odchwaszczaniem przeszłości, wiosną

przekonała Henryka do przeprowadzenia jeszcze jednej czystki.

„Musimy uwolnić Anglię od wszystkich papistycznych zabobonów”, ogłosił król i jego zwolennicy. Nie była to czystka na wielką skalę, ale prowadzone już od tygodni staranne niszczenie wybranych obrazów, posągów i relikwii. Palono krucyfiksy, zamykano sanktuaria. Nawet wspaniała, ozdobiona klejnotami kaplica Świętego Tomasza Becketa została zburzona, a złoto i szlachetne kamienie trafiły do królewskiego skarbca.

Jednak te akty religijnej gorliwości przyniosły też opłakane skutki, co przyznawał nawet sam Cromwell. Klasztory otaczały opieką wielkie rzesze biedaków. Starzy ludzie, tacy jak Will Dogget, znajdowali w nich dach nad głową, głodni dostawali strawę. Nagle w Londynie pojawiły się całe tłumy żebraków, z którymi parafie nie umiały sobie poradzić. Rajcy apelowali do Cromwella, który przyznał, że coś należy z tym zrobić.

Ucierpieli też właściciele straganów. Co mieli począć tacy ludzie jak Flemingowie, którzy przed każdym londyńskim klasztorem handlowali zakazanymi dziś dewocjonaliami?

– Nasze rzemiosło upadło – oświadczyła Flemingowa.

Rozgoryczeni zwinęli stragan.

A niedługo potem napotkali w Smithfield inny smutny widok. Pośrodku otwartego placu zebrał się tłum. Przed nim stało dziwne, kwadratowe rusztowanie, pod którym ułożono stos drewna. Znalazłszy się bliżej, Flemingowie zauważyli, że do rusztowania przywiązano łańcuchami za ręce starszego mężczyznę. Stos drewna był gotowy do podpalenia.

Tego dnia reformatorzy przeszli samych siebie. Nie wystarczyły im posągi, obrazy ani zabobonne relikwie, zamierzali jeszcze spalić starca.

Doktor Forest już wiele lat temu usłyszał, że musi umrzeć. Jego wina polegała na tym, że był spowiednikiem królowej Katarzyny. Miał

osiemdziesiąt kilka lat i od dawna przebywał, właściwie zapomniany, w więzieniu, aż ktoś wpadł na pomysł, że lepiej go spalić, niż pozwolić mu umrzeć śmiercią naturalną. Tej szczególnej ceremonii przewodniczył wysoki, ponury mężczyzna z siwą brodą, który krzyczał do starca:

– No i w jakim stanie, doktorze, zamierzasz dziś umrzeć?

Hugh Latimer, uczony z Oksfordu i kaznodzieja, był teraz biskupem. Nie było po nim widać, by egzekucja budziła jego sprzeciw. Starzec odpowiedział z godnością, że nawet gdyby anioły zaczęły uczyć czegoś, co wykracza poza prawdziwą doktrynę Świętego Kościoła, toby im nie uwierzył. Po tych słowach Latimer dał znak do podłożenia ognia.

Jednak tego dnia przewidziano coś wyjątkowego. Zamiast ustawić zwykły stos, na którym ofiara dusiła się albo szybko ginęła w płomieniach, postanowiono zawiesić skazańca nad ogniem, aby umierał powoli w straszliwych męczarniach. A wszystko nadzorował Latimer. Ale tym razem tłum miał dość. Gdy dym i płomienie uniosły się do góry, grupa krzepkich mężczyzn naparła na rusztowanie i zwaliła je na bok. Po paru minutach starzec skonał.

Flemingowie wolno ruszyli dalej.

– Całe szczęście – powiedziała do męża Flemingowa – że mój brat Daniel dobrze zarabia na królewskiej barce. Będzie musiał się nami zająć.

– Myślisz, że zechce?

– Oczywiście. Przecież jesteśmy rodziną.

W tej samej chwili rozległ się grzmot.

W odległym o trzydzieści kilometrów od Londynu mieście Rochester nikt nie spodziewał się grzmotów. Niebo było błękitne, rzeka Medway pobłyskiwała srebrzyście, płynąc spokojnie na spotkanie z Tamizą.

Susan czekała w ciszy.

To Thomas wpadł poprzedniego roku na pomysł, by przeniosła się do Rochester. Początkowo się wahała, ale w końcu była zadowolona, że znalazła spokojne schronienie z daleka od Londynu, który budził w niej przykre wspomnienia. Dzieci też były tu szczęśliwe. W skromnym mieszkaniu niedaleko katedry na nowo odzyskała spokój.

Niechętnie myślała o dzisiejszym spotkaniu. Jednak Thomas nalegał, więc nie chciała mu odmawiać. Pojawił się nawet kilka godzin wcześniej i zabrał dzieci na długi spacer, żeby mogła przyjąć gościa sama. Tylko że wcale nie miała na to ochoty.

Peter. Przez pierwsze tygodnie po śmierci Rowlanda nie umiała nawet wymówić jego imienia. Ucieszyła się, gdy ktoś jej powiedział, że wyjechał z Londynu. Parę razy zastanawiała się, czy do niego nie napisać, ale tak naprawdę nie wiedziała, co miałaby mu powiedzieć. A teraz on miał się zjawić w jej domu. Oczywiście wszyscy mnisi w Anglii byli teraz bezdomni. Musieli opuścić zamykane klasztory. Większość dostała zasiłki, i to całkiem pokaźne. Niektórzy zostawali proboszczami, inni porzucali stan duchowny, a nawet się żenili.

„Zgoda, spotkam się z nim – powiedziała w końcu do Thomasa. – Ale jedną sprawę muszę postawić jasno. Nie przyjmę go do siebie. Mam nadzieję, że on na to nie liczy”.

Wczesnym przedpołudniem rozległo się pukanie do drzwi, a potem odgłos kroków. Po chwili zobaczyła swojego męża.

Mijały lata. Praktycznie nikt w Rochester nie zwracał uwagi na rodzinę Brownów. Sąsiedzi pamiętali, że Susan Brown była pobożną wdową i powtórnie wyszła za mąż. Podobno jej obecny mąż był wcześniej mnichem, ale pewności nikt nie miał. A on wyglądał na spokojnego człowieka, oddanego żonie i dzieciom, które nazywały go czule „tatą”. Został rektorem szkoły; można było sądzić, że kocha swoją pracę i nową

rodzinę, ale ci, którym dane było poznać go trochę bliżej, widzieli czasem na jego twarzy melancholijną zadumę, jakby w głębi duszy tęsknił za klasztornym życiem.

Zmarł dziesięć lat po przybyciu do Rochester. Ksiądz usłyszał, że żona nazwała go czule Rowlandem, uznał jednak, że musiało to być imię jej pierwszego męża. Nie poświęcił temu szczególnej uwagi, w końcu ludzie dotknięci żałobą mają czasem mętlik w głowie.

Przez kolejne lata żyli tak, by jak najmniej rzucać się w oczy. Susan bardzo tego pilnowała. Córki wyszły za mąż, Jonathan został nauczycielem. W głębi serca wciąż byli katolikami. Ale po tym, co przeszli, zawsze ich napominała: „Bez względu na wszystko, nie ujawniajcie się".

Końcowe lata panowania Henryka VIII były ponure. Król stał się otyłym, schorowanym człowiekiem. Pieniądze odebrane Kościołowi roztrwonił na ekstrawaganckie pałace i zagraniczne wyprawy, które miały zaspokoić jego potrzebę chwały. Brał sobie kolejne żony. Nawet Cromwell wypadł z łask i stracił głowę.

Henryk doczekał się jednak męskiego potomka od trzeciej spośród sześciu żon. Edward uchodził za bystrego chłopca, ale był chorowity. Po śmierci Henryka szybko stało się jasne, że jego mentorzy chcą go jeszcze bardziej odciągnąć od prawdziwej katolickiej wiary. Ale nawet Susan była zdziwiona, gdy dowiedziała się, jak daleko się posunęli.

„Modlitewnik Cranmera nie jest taki zły – przyznawała w rodzinnym gronie. – To tak naprawdę tłumaczenie obrządku łacińskiego i muszę przyznać, że napisane pięknym językiem". Ale nauki przyjmowane przez Kościół anglikański nie były już naukami reformatorów, lecz protestantów! „Zaprzeczają cudowi podczas mszy świętej! – oburzyła się Susan. Do tego jeszcze księża mogli się żenić. – Jestem pewna, że Cranmerowi to bardzo odpowiada", dorzuciła cierpko. Wciąż wstrząsające były materialne

zniszczenia będące skutkiem żądań protestantów. Doświadczyła tego bardzo boleśnie, gdy będąc w Londynie, zajrzała do małego kościoła pod wezwaniem Świętego Wawrzyńca, w którym proboszczem był kiedyś Peter.

Zmiana wprawiła ją w osłupienie. Kościół został ogołocony. Stare ciemne lektorium, które jej brat tak lubił, zniknęło. Zostało spalone. Ściany pomalowano na biało. Usunięto ołtarz, a na środku kościoła umieszczono zwykły stół. Wybito nawet szyby w nowych witrażach. Zdawała sobie sprawę, że do podobnych aktów wandalizmu dochodzi wszędzie, ale ten widok zabolał ją szczególnie mocno. Czy oni naprawdę myślą, zastanawiała się, że niszcząc wszystkie piękne przedmioty, oczyszczą swoje grzeszne dusze? Ale nawet teraz przestrzegała przyjętej dawno zasady: nie mów o tym głośno.

Kiedy młody protestancki król zmarł, a na tronie zasiadła jego siostra Maria, Susan nie okazała przedwczesnej radości. Owszem, Maria była córką nieszczęsnej Katarzyny Aragońskiej. Owszem, przysięgła, że przywróci Anglię prawdziwemu rzymskiemu Kościołowi. „Ale sama jest bardzo zawzięta – orzekła Susan. – I obawiam się, że nie poradzi sobie z panowaniem”. Niestety, okazało się to prawdą. Pomimo protestów poddanych Maria postanowiła wyjść za mąż za króla Hiszpanii Filipa. Co dla wielu Anglików oznaczało, że nie tylko przejdą pod panowanie papieża, ale i obcego króla. Potem doszło do palenia protestantów na stosach. Wszystkich przywódców ruchu reformatorskiego skazano na śmierć. Gdy Cranmer płonął na stosie, Susan mu współczuła. Ale gdy taki sam los spotkał Latimera, jedynie wzruszyła ramionami. „On robił ludziom gorsze rzeczy”. Wkrótce jednak Anglicy zaczęli nazywać królową „Krwawą Marią”. Gdy władczyni zmarła po pięciu latach, nie zostawiając potomka, nawet Susan zrozumiała, że kwestia państwowej religii nadal pozostaje otwarta.

Żyło już tylko jedno dziecko Henryka, Elżbieta, córka Anny Boleyn. Susan była pewna, że za jej panowania powrót Anglii na łono Kościoła rzymskiego jest niemożliwy. Gdyby papież znów był głową angielskiego Kościoła, małżeństwo matki Elżbiety z królem musiałoby zostać unieważnione. A ona sama zostałaby bękartem pozbawionym prawa do korony. Dlatego Elżbieta stworzyła wyjątkowo sensowną religijną ugodę. Kwestia cudu mszy świętej została ujęta w tak enigmatyczną formułę, że przy odrobinie dobrej woli można ją było odczytać w dowolny sposób. Zachowano większość uroczystości religijnych. Papież został pozbawiony władzy, ale Elżbieta taktownie przyznała sobie tytuł najwyższego zwierzchnika, a nie głowy Kościoła anglikańskiego. Katolikom mogła więc powiedzieć: „Dałam wam zreformowany katolicyzm", a protestantom: „Papież nie ma nad nami władzy". Susan podsumowała to następująco: „I dziecko, i Kościół z nieprawego łoża".

Ale nawet ona musiała przyznać, że Elżbieta wykazuje się wielką mądrością. Bo gdy cała Europa rozpadła się na dwa, coraz bardziej wrogie obozy religijne, angielska królowa znalazła się w trudnym położeniu. Dlatego w relacjach z potęgami katolickimi grała na zwłokę i dawała nawet do zrozumienia, że gotowa jest poślubić jednego z ich książąt, oddając tym samym kraj pod panowanie Rzymu, a jednocześnie w Londynie i innych miastach musiała układać się z coraz liczniejszymi rzeszami protestantów. Co wcale nie było dziwne. Inteligentni kupcy i rzemieślnicy, mając już angielską Biblię i modlitewnik, myśleli po swojemu. Ich partnerzy handlowi w Niderlandach, w Niemczech, a nawet we Francji też w większości byli protestantami. Stopniowo wyłaniały się coraz bardziej skrajne formy nowej religii, których wyznawcy nazwali się purytanami. Królowa mogłaby powstrzymać ten proces, jedynie wprowadzając despotyzm i godząc się na rozlew krwi.

Zamiast tego, przy wsparciu mądrego ministra, wielkiego Cecila, przyjęła angielski kompromis. „Nie będziemy zaglądać do ludzkich dusz – ogłosiła. – Ale będziemy wymagać posłuszeństwa”. Takie posunięcie było niezbędne i nawet Susan czuła wdzięczność. A kiedy papież, zniecierpliwiony polityką królowej, zagroził, że jeśli Elżbieta nie powróci do katolickiej owczarni, obłoży ją ekskomuniką, Susan stwierdziła z irytacją: „Wolałabym, żeby tego nie zrobił”.

I tylko jedno w tamtych latach wywołało jej gniew. Chodziło o grubą księgę wydaną w 1563 roku. *Księga męczenników* autorstwa Johna Foxe’a była typowym dziełem propagandowym. Napisana tak, by wzbudzać w czytelniku współczucie i oburzenie, przedstawiała szczegółowo postacie angielskich męczenników, czyli protestantów, którzy stracili życie za panowania Krwawej Marii. O katolikach, którzy wcześniej zginęli śmiercią męczeńską, nie wspominała ani słowem. Pomijała też niewygodny fakt, że część protestantów, jak choćby okrutny Latimer, torturowała przeciwników i paliła ich na stosach. Książka rozeszła się w ogromnej liczbie egzemplarzy. Można było odnieść wrażenie, że to jedynie protestanci byli prześladowani przez katolików.

„Co za kłamstwo! – oburzyła się Susan. – A najgorsze, że tak już zostanie”. Nie myliła się. *Księgę męczenników* czytano niemal w każdej rodzinie – była przestrogą dla dzieci i przez kolejne pokolenia kształtowała wiedzę Anglików o Kościele katolickim.

Jednak poza tym pojedynczym wybuchem gniewu Susan zachowywała swoje poglądy dla siebie. Los wystarczająco ją doświadczył. Resztę dni chciała przeżyć w spokoju.

Po wieloletniej karierze na dworze, która jednak nie przyniosła mu znaczącego awansu, Thomas ożenił się na starość. Jego wybranka pochodziła z zacnej, dość zamożnej rodziny, ale miała drobną wadę

charakteru, która zdaniem Susan nie pozwoliła jej wyjść za mąż wcześniej. Urodziła syna i zmarła. A wkrótce potem Susan otrzymała od brata list. Thomas donosił, że sam pewnie już niedługo pożyje, więc zamierza odesłać jej niemowlę, „bo wiem, że ty i Jonathan dobrze się nim zajmiecie”.

I tak oto los przyniósł Susan nowe wyzwanie: ślicznego chłopczyka z ciemnymi włosami, obdarzonego, co szczerze przyznawała, wielkim urokiem. Miał na imię Edmund.

I tylko czasem zastanawiała się, czy to dziecko nie jest trochę dziwne.

Teatr Globe

Lata panowania Elżbiety I zapamiętano jako złoty wiek, ale dla ówczesnych londyńczyków ten okres nie był tak jednoznaczny. Przede wszystkim jednak w kraju panował pokój. Elżbieta była rozważna, a ekstrawagancje jej ojca sprawiły, że tak naprawdę nie miała pieniędzy na prowadzenie wojen. Gospodarka rozwijała się pomyślnie. Życie wszystkich jej poddanych, nawet tych nielicznych, którzy mieszkali w miastach, było uzależnione od plonów. Elżbieta miała szczęście do dobrych zbiorów. Pojawiły się też śmiałe przedsięwzięcia. Wprawdzie od odkrycia Ameryki przez Kolumba minęło siedemdziesiąt lat, to jednak dopiero za panowania Elżbiety tacy angielscy awanturnicy jak Francis Drake czy Walter Raleigh wyruszyli na zamorskie wyprawy – będące tak naprawdę połączeniem piractwa, handlu i osadnictwa – które zapoczątkowały rozległe kontakty Anglii z Nowym Światem.

Przez trzydzieści lat Elżbiecie udawało się unikać dużych wojen, jednak w końcu została do takiej konfrontacji zmuszona. Wojna, która stała się niemal symbolem jej rządów, miała podłoże religijne. Reformacja zadała Kościołowi katolickiemu silny cios, jednak Rzym podniósł się i ponownie stanął do walki: mając potężny oręż w postaci oddanego zakonu jezuitów oraz budzącej powszechny strach inkwizycji, postanowił odzyskać wszystko, co wcześniej utracił. Heretycka Anglia była na tej liście jednym z priorytetów. Prawdziwe sympatie Elżbiety były oczywiste, a wielu jej

poddanych, z surowymi purytanami na czele, domagało się silniejszego wsparcia obozu protestanckiego. W końcu zirytowany papież oznajmił angielskim katolikom, że nie muszą dochowywać wierności królowej heretyczce. Liczył na to, że znajdą się ludzie, którzy pozbawią ją korony. Jednym z kandydatów do takiej roli była kuzynka Elżbiety, Maria Stuart, królowa Szkotów. Wygnana przez szkockich protestantów i przetrzymywana w jednym z zamków w północnej Anglii, jako postać nieobliczalna i otoczona romantyczną aurą, świetnie nadawała się do katolickich spisków. Niestety została zdemaskowana i Elżbieta poczuła się zmuszona skazać ją na śmierć. Był jeszcze jeden kandydat, dużo potężniejszy niż nierozważna Maria.

Żeniąc się z Marią Tudor, król Hiszpanii Filip liczył na zdobycie angielskiej korony dla Habsburgów. Teraz miał szansę sięgnąć po nią w wojnie i przy okazji przysłużyć się prawomyślnej religii. „Oto rozpoczynamy świętą krucjatę”, ogłosił.

Pod koniec lipca 1588 roku z Hiszpanii wyruszyła największa flota, jaką widział świat. Zadaniem Wielkiej Armady było dowiezienie do wybrzeży Anglii ogromnej armii, wobec której oddziały Elżbiety byłyby bezsilne. Filip był przekonany, że angielscy katolicy wzniecą powstanie, żeby go wesprzeć.

Anglicy byli przerażeni. Ale przygotowywali się do walki. W portach na południu kraju szykowano wszystkie statki nadające się do żeglugi. Na wzgórzach na całym wybrzeżu wznoszono punkty sygnalizacyjne, które miały ostrzegać przed zbliżaniem się armady. Filip srodze pomylił się co do angielskich katolików. „Jesteśmy katolikami, ale nie zdrajcami”, ogłosili. Lecz najbardziej pamiętne okazało się przemówienie, które Elżbieta, ubrana w zbroję, wygłosiła do wojsk angielskich.

Niech tyrani się boją. Bóg mi świadkiem, że w swoim postępowaniu kierowałam się przede wszystkim wolą moich poddanych. Dlatego przybyłam tu gotowa zginąć razem z wami. Swój honor i swoją krew składam w ofierze Bogu, mojemu królestwu i mojemu ludowi.
Być może mam wątłe ciało kobiety, ale jest we mnie serce i duch króla, króla Anglii.

Gdy ogromne galeony zbliżały się do Kanału Angielskiego, rozpętał się potężny sztorm. Hiszpanie, nękani przez małe angielskie okręty, znaleźli się w potrzasku. Sztorm trwał przez wiele dni, a w końcu większość hiszpańskich żaglowców, popychana przez silny wiatr, rozbiła się na skalistych wybrzeżach Szkocji i Irlandii. Tylko nieliczne wróciły bezpiecznie do domu, a zadziwiony król Filip zastanawiał się, czy przypadkiem nie jest to jakiś znak. Anglicy byli pewni: „Ocaliła nas ręka Boga”. Od tej pory katolików uważano za groźnych najeźdźców. A Bóg najwyraźniej uczynił z Anglii wyjątkowe miejsce: wyspiarskie królestwo protestantów. I tak już zostało.

Londyn, serce tego szczęśliwego królestwa, tętnił życiem jak nigdy dotąd. Z oddali miasto wyglądało jak dawniej. Tak jak w średniowieczu rozpościerało się na dwóch wzgórzach w obrębie starych rzymskich murów, a otaczające je pola i mokradła wciąż w wielu miejscach podchodziły aż do bram. Jednak na tle nieba brakowało strąconej przez piorun iglicy katedry Świętego Pawła. Pozostała jedynie przysadzista, kwadratowa wieża, pozbawiona dawnego średniowiecznego kształtu. Nieco dalej na wschód Tower zyskała na rogach cztery błyszczące kopuły, przez co nabrała nieco weselszego wyglądu i upodobniła się do wiejskich pałaców w stylu Tudorów.

Sam Londyn rozrastał się w środku. Domy pięły się coraz wyżej – nad wąskimi uliczkami i zaułkami zwieszały się trzy, a nawet cztery drewniane kondygnacje zakończone szczytami dachów. Wykorzystywano każdą wolną

przestrzeń. Strumień Walbrook płynący między dwoma wzgórzami niemal zniknął pod domami. A rozległe, ogrodzone tereny rozwiązanych przez Henryka zakonów zostały zasiedlone. Część klasztornych budynków zamieniono w warsztaty, ogromną siedzibę dominikanów przebudowano na piękne domy mieszkalne. Rosła też liczba ludności, lecz nie dlatego, że rodziny stawały się bardziej liczne – za czasów Tudorów w zatłoczonym Londynie więcej ludzi umierało, niż przychodziło na świat – ale z powodu rzeki imigrantów przybywających z całej Anglii i z innych krajów, zwłaszcza z Niderlandów, gdzie protestanci byli prześladowani przez katolików. Pod koniec wojny Dwóch Róż Londyn miał może pięćdziesiąt tysięcy mieszkańców, w ostatnich latach panowania Elżbiety liczba ta była czterokrotnie wyższa.

W ruchliwym Londynie pojawił się też geniusz, który był największym darem Anglików dla świata. Za panowania Elżbiety I zaczął się największy rozkwit wspaniałego angielskiego teatru. Ale mało kto wie, że w ostatnich latach jej rządów, gdy William Shakespeare napisał dopiero ledwie połowę swoich dzieł, angielski teatr o mało nie odszedł w zapomnienie.

Rok 1597

Było wiosenne popołudnie. Nieco wcześniej odbyła się walka kogutów, a teraz gapie drażnili niedźwiedzia. Okrągłe zagłębienie w teatrze Curtain, skąd usunięto tymczasowo scenę, miało piętnaście metrów średnicy, a otaczała je dwupiętrowa drewniana galeria. Niedźwiedzia przywiązano łańcuchem do słupa na środku – łańcuch był na tyle długi, że zwierzę obijało się o bariery tuż pod stopami widzów. Co to była za bestia! Niedźwiedź zabił już dwa mastify, których zmiażdżone, pokrwawione ciała leżały teraz na piasku. Ale trzeci pies walczył wspaniale. Uderzenie ogromnej łapy wyrzuciło go wysoko w górę, ale mimo to się nie poddawał.

Wijąc się i podskakując, atakował raz po raz, szarpiąc niedźwiedziowi zad, a dwa razy, gdy potwór okazał zmęczenie, zatopił mu zęby w gardle.

– Dalej, Scamp! Pokaż mu! – ryczał tłum.

W takich walkach niedźwiedzie rzadko ginęły, ale najbardziej odważne psy ratowano przed śmiercią, by mogły stanąć do walki następnego dnia. Gdy mastifa odwołano, w tłumie rozległy się pochwalne okrzyki.

W ogólnym gwarze najbardziej wybijał się głos przystojnego bruneta na galerii: „Ale odważny! Wspaniały pies!”, otoczonego grupą przyjaciół, którzy powtarzali jego słowa. Niewątpliwie zaliczał się do miejskich elegantów. Miał na sobie bogato haftowany kubrak z dekoracyjnych pasów tkaniny, zgodnie z ówczesną modą łukowato wygięty powyżej talii. Część młodzieńców nadal nosiła średniowieczne rajtuzy, które podkreślały kształt nóg i pośladków, ale ten najwyraźniej wolał nowy styl – wełniane pończochy a nad nimi bufiaste pumpy z tego samego materiału co kubrak, związane przy kolanach wstążką. Na stopach miał haftowane pantofle wciśnięte w buty chroniące przed błotem i kurzem. Szyję otaczała mu sztywna, śnieżnobiała kryza, a z ramion spływała dopasowana do kubraka peleryna. Strój ten, wzorowany na hiszpańskiej zbroi, był elegancki i męski jednocześnie.

Młodzieniec miał przy pasie rapier z głowicą ozdobioną wytłaczanym złotem, a z tyłu sztylet. Nosił rękawiczki z miękkiej perfumowanej skóry, w prawym uchu miał złoty kolczyk. Z wysokiego kapelusza wystrzeliwały niczym fontanna trzy wspaniałe pióra, które dodawały mu trzydzieści centymetrów wzrostu. W czasach elżbietańskich taki strój miał zapewnić nieśmiertelność na scenie życia. Całości dopełniał jeszcze jeden rekwizyt. Edmund Meredith trzymał go z wystudiowaną nonszalancją w prawej dłoni. Był to długi, wygięty przedmiot z gliny.

Fajka. Kilka lat wcześniej ulubieniec Elżbiety Walter Raleigh nauczył się od amerykańskich Indian palenia tytoniu i przeniósł ten zwyczaj do Anglii. Wkrótce wśród londyńskich elegantów droga roślina z Wirginii stała się wielkim krzykiem mody. Edmund Meredith nie lubił smaku tytoniu, ale w miejscach publicznych zawsze pokazywał się z fajką, żeby odegnać woń – prawdziwą lub wyimaginowaną – pospólstwa. „Odór czosnku i cebuli z ust", mawiał.

Gdy wrzawa nieco ucichła i zanim na arenę wniesiono parę kogutów, Edmund uśmiechnął się do przyjaciół.

– Shakespeare rezygnuje. Postanowiłem zająć jego miejsce – oświadczył chełpliwie.

Rose i Sterne, tacy sami dandysi jak on, klasnęli w dłonie. William Bull pomyślał, że już nigdy nie odzyska swoich pieniędzy. Cuthbert Carpenter zadrżał, bo jego nadzieje się rozwiały. Jane Fleming zaczęła się zastanawiać, czy Edmund się z nią ożeni. A John Dogget uśmiechnął się szeroko, bo i tak nie miał żadnych zmartwień.

Nikt nie zwrócił uwagi na stojącego za nimi mężczyznę o ciemnej karnacji.

Edmund Meredith chciał zdobyć podziw całego świata. Była to jego jedyna ambicja. Był bardzo zdeterminowany. Skoro życie jest teatrem, to on miał w nim odegrać najważniejszą rolę. Zawsze wiedział, że spokojne Rochester to prowincja, na szczęście ojciec zostawił mu skromny dochód pozwalający na utrzymanie kawalera. Postanowił przyjechać do Londynu.

Czym jednak miał się tu zająć? Czym młodzieniec taki jak on mógłby zadziwić świat? W grę wchodził dwór królewski, najlepsza droga do zaszczytów i bogactwa. Była ona jednak obarczona ryzykiem klęski i upokorzenia, o czym przekonał się jego ojciec i dziadek. W takim razie prawo. W Londynie odbywało się mnóstwo rozpraw sądowych, a najlepsi

prawnicy zarabiali krocie. Edmund zapisał się więc do Inns of Court, jednej ze szkół prawniczych, i prawie ukończył studia. „Ale prawo jest dla mnie zbyt bezduszne, zbyt monotonne”, uznał. Bullowie, jego krewni, byli właścicielami browaru. „Nie będę sobie brudził rąk takim fachem”, stwierdził.

Lubił pisać wiersze. „W takim razie będę poetą”, postanowił. Ale do tego trzeba było mieć mecenasa. Bez mecenasa świat nigdy cię nie zauważy. Wydawcy, nawet jeśli drukowali twoje dzieło w setkach egzemplarzy, płacili grosze. Bogaty mecenas, zadowolony z eleganckich strof, które zapewniały jego rodowi nieśmiertelność, mógł być naprawdę szczodry. Podobno hrabia Southampton zapłacił Shakespeare’owi za jeden wiersz tyle, że poeta był urządzony do końca życia. Niestety, mecenasi bywali kapryśni. Biedny Spenser, nie gorszy od Shakespeare’a, kręcił się przy dworze latami, a i tak zarobił nędzne grosze.

Pozostawał jeszcze teatr. Dziwne, ale gdy Edmund był dzieckiem, teatr właściwie nie istniał. Owszem, podczas świąt religijnych mimowie odgrywali biblijne sceny, a na podwórkach przy gospodach komedianci występowali ze śpiewem i tańcem. Każdy wykształcony człowiek słyszał o antycznych dramatach. Sceny z nich odgrywano czasem na dworze. Lecz dopiero od niedawna arystokracja, chcąc sprawić królowej przyjemność, wynajmowała trupy teatralne do wystawiania większych spektakli. Zachęceni przez bogatych mecenasów aktorzy prześcigali się w pomysłach. I wkrótce zapragnęli prawdziwych sztuk. Zaczęli zatrudniać dramatopisarzy i w ciągu kilku lat, jakby za sprawą czarów, pojawił się angielski teatr.

„Ta moda długo się nie utrzyma”, mawiali niektórzy, ale Meredith był przeciwnego zdania. Ludzie schodzili się gromadnie na przedstawienia, nie tylko na dworze, ale w całym Londynie. Najlepsi aktorzy, jeszcze przed chwilą słudzy albo bezdomni włóczędzy, stawali się ludowymi bohaterami.

Pisarze dobrze zarabiali. A jeśli sztuka odnosiła sukcesy, jej autor otrzymywał niemal całe wpływy z jednego przedstawienia. Niektórzy – obdarzeni wspaniałym dowcipem, jak chociażby Ben Jonson – zdobyli sobie uznanie na dworze. Marlowe – który niestety zginął młodo – pisał swoje tragedie tak poruszającym językiem, że porównywano go do antycznych Greków.

No i wreszcie Shakespeare. Meredith lubił obu braci. Częściej spotykał się z Nedem, który świetnie odgrywał mniejsze role. Will był tak zajęty, że widywano go tylko przelotnie. Ale gdy już znalazł się w gospodzie, był wybornym kompanem. Napisał kilka komedii, które spotkały się z uznaniem, oraz kilka sztuk historycznych o królach z dynastii Plantagenetów. „Wszystkie mają motyw faustowski, ale ludziom się podobają", stwierdził Edmund. Will Shakespeare nie napisał jeszcze żadnej tragedii i Edmund sądził, że przerasta to jego możliwości. Z wyjątkiem jednej sztuki. *Romeo i Julia* budziła zachwyt i nie schodziła ze sceny. Znał ją cały Londyn. „Jestem pewien, że ktoś mu pomagał – orzekł Edmund, bo potem Shakespeare już nic podobnego nie napisał. – Jest na tyle mądry, że zna swoje ograniczenia". Shakespeare miał łysiejącą, wysklepioną czaszkę i wielu brało go z tego powodu za człowieka o dużej wiedzy, ale nie było to prawdą. „Znam trochę łacinę, ale greki wcale", przyznawał swobodnie. Will był po prostu aktorem obdarzonym poczuciem humoru, a Edmund w głębi duszy uważał się za ulepionego z lepszej gliny i obdarzonego większym talentem.

Pierwsze kroki uczynił ponad rok wcześniej – dopisał do jakiejś komedii kilka wersów, które się spodobały. Nawet uznani pisarze, tacy jak Shakespeare, podejmowali się łatwych zadań, a Edmund był bardzo z siebie zadowolony. Kilka miesięcy później pozwolono my napisać całą scenę, a potem następną. Celował, co chętnie przyznawano, w dowcipnych

ripostach padających z ust takich samych elegantów jak on. Sześć miesięcy wcześniej trupa Lorda Szambelana, ten sam zespół, dla którego pisał Shakespeare, w zasadzie zgodziła się przyjąć od niego całą sztukę, za którą – gdyby została zaakceptowana – miał otrzymać aż sześć funtów.

– Skończyłeś już?

Uśmiechnął się do stojącej obok rudowłosej dziewczyny.

– Prawie.

Jego zdaniem sztuka była arcydziełem. Żaden ordynarny humor dla plebsu, lecz błyskotliwy dowcip przeznaczony dla dworu i wymagających widzów. Bohaterem był młody człowiek podobny do niego. Sztuka była zatytułowana *Każdy ma swój rozum*. W ciągu ostatnich miesięcy dziewczyna śledziła postępy prac, a teraz miała okazję usłyszeć dalszą część fabuły.

Jane Fleming podobała się Edmundowi z kilku powodów. Miała piętnaście lat – w sam raz, by podziwiać kogoś takiego jak on i pozwolić się kształtować człowiekowi jego pokroju. Była ładna, ale jej uroda nie przyciągała gromady zalotników, którzy mogliby mu zagrozić. Jej rodzina pracowała w teatrze, więc dziewczyna podzielała jego pasję. A do tego spodziewała się odziedziczyć niewielki spadek po wuju. „Wystarczy – wyznał Edmund Bullom – by utrzymać rodzinę".

„Dziwi mnie – powiedział jeden z kuzynów, znający ambicje Edmunda – że nie poszukasz sobie dziedziczki dużego majątku albo jakiejś bogatej wdowy". Wielu znaczących ludzi na dworze tak właśnie postępowało. Ale Edmund znał swoje ograniczenia. „Patrzyłaby na mnie z góry. Byłbym zwykłym utrzymankiem", tłumaczył.

Być może za jakiś czas ożeni się z Jane Fleming.

I wtedy przemówił ciemnoskóry mężczyzna.

– Chyba przyjdę zobaczyć waszą sztukę, panie.

Odwrócili się i zobaczyli najbardziej niezwykłą postać pod słońcem.

Miał negroidalne rysy, lecz kolor skóry można było nazwać co najwyżej śniadym. Długie, czarne włosy wiły się w ciężkich lokach. Był ubrany w skórzaną kamizelkę do kolan, skórzane buty, czerwone szarawary i białą lnianą koszulę. Na przegubach pobłyskiwały złote bransolety. Wyglądał na trzydzieści pięć lat, ale miał wszystkie zęby, lśniące bielą tak jak jego koszula. Poruszał się leniwie, lecz było jasne, że pod koszulą kryje się wspaniałe silne ciało. Widok czarnoskórych mężczyzn wciąż był w Londynie osobliwością. A ten okaz miał jeszcze idealnie błękitne oczy. Nazywał się Orlando Barnikel.

Pewien żeglarz, Barnikel z Billingsgate, przywiózł go kiedyś jako chłopca pokładowego z jednego ze swoich rejsów i radośnie oświadczył zdumionej rodzinie: „On jest mój”. Nie tłumaczył się, za to błękitne oczy dzieciaka potwierdzały jego słowa. Po śmierci – która nastąpiła dziesięć lat później – zostawił Orlandowi całkiem pokaźną fortunę, zdobytą na kilku pomyślnych wyprawach. Pieniędzy wystarczyło na zakup udziałów w statku, nad którym Orlando sprawował dowództwo. Ciemnoskóry Barnikel przemierzył nim najdalsze morza – miał marynarzy ze wszystkich zakątków Europy, celne oko, ciało zwinne jak wąż i rękę szybką jak pantera.

Był piratem. W innych czasach on i ludzie tacy jak Francis Drake zawiśliby z pewnością na szubienicy. Jednak wyspiarskie królestwo miało inne zmartwienia. A skoro ofiarą pirackich grabieży była wroga Hiszpania, a Drake i inni oddawali królowej część swoich łupów, zdobywanych także na Francuzach, to tylko głupiec zadawałby zbyt wiele pytań. Poza tym Elżbieta nie miała złudzeń: „Tymi wilkami morskimi nie da się rządzić”. I to właśnie Orlando i jemu podobni nękali Wielką Armadę, aż odnieśli nad nią zwycięstwo.

Orlando miał ciemną skórę i duszę wikinga. W Londynie pojawiał się rzadko, ale gdy już zawijał do portu, od razu kierował kroki na targ w Billingsgate, do wielkiego straganu, na którym Barnikelowie handlowali rybami. Jego krewniacy, dumni, że ten egzotyczny awanturnik jest jednym z nich, zawsze witali go serdecznie. Niektórzy nazywali go Maurem, co odnosiło się jedynie do koloru jego skóry. Ale dla tych, którzy pływali pod jego komendą, i tych, którzy się go bali, był Czarnym Barnikelem.

Edmund Meredith nic o tym nie wiedział. Ze zdziwieniem patrzył na mężczyznę, ale czując na sobie wzrok przyjaciół, uśmiechnął się łagodnie. No cóż, ktoś tak dowcipny jak on może sobie zakpić z tego dziwnego nieznajomego. Zerknąwszy szybko na towarzyszy, zaczął:

– Chciałbyś zobaczyć moją sztukę, panie? – Czarny Barnikel skinął powoli głową. – Dziękuję za twoją łaskawość. Ale nie mogę ci w tym pomóc.

– Niby czemu?

– Bo moja sztuka, panie, nie jest do oglądania.

Barnikel wytrzeszczył oczy, dwaj młodzieńcy się roześmiali. Zrozumieli, o co chodzi.

W elżbietańskim Londynie wystawiano dwa rodzaje sztuk. Pospólstwo lubiło, gdy coś się działo: była bitwa, walka na miecze – aktorzy mieli odgrywać takie sceny. Czasem nawet strzelano z działa. Prostym ludziom podobały się sprośne żarty klaunów wymyślane na poczekaniu, a każda sztuka, bez względu na temat, musiała kończyć się występem – piosenką i tańcami. Takie właśnie spektakle przeznaczone były – jak mawiał Meredith i jego znajomi – do „oglądania”. Ale dla wymagających dworskich widzów pisano inne sztuki – pełne dowcipu i kwiecistego języka. Taką właśnie chciał spłodzić Edmund. Sztukę przeznaczoną nie do „oglądania”, ale do „słuchania”.

– Nie wystawią jej w teatrze? – spytał cicho pirat.

– Ależ skąd, wystawią!

– Przyjdę więc do Curtain – powiedział Barnikel.

– W takim razie ani jej nie zobaczycie, ani nie usłyszycie.

– To gdzie powinienem pójść?

– No cóż, możecie pójść do diabła. – Edmund się roześmiał. – Ale jeśli chcecie usłyszeć ode mnie jakieś dobre słowo – ciągnął swobodnie – to zalecałbym raczej klasztor.

Jego kompani zaczęli klaskać.

Było to tyleż złośliwe, ile dowcipne. Bo oprócz dwóch rodzajów wystawianych sztuk w Londynie działały też dwa rodzaje teatrów. W większości były to sceny pod gołym niebem otoczone drewnianą galerią. Shoreditch miało dwa teatry: Theatre i Curtain. Theatre, w którym występował Shakespeare i trupa Szambelana, cieszył się dobrą opinią i ograniczał do wystawiania dramatów. Natomiast Curtain znany był z prostackiej rozrywki, takiej jak walki niedźwiedzi. Jedyną zaletą tych pozbawionych dachów i hałaśliwych przybytków było to, że mieściła się w nich liczna widownia. Jednak marzeniem każdego szanującego się aktora były występy pod dachem, przed wrażliwą i wyrafinowaną publicznością. Trupa Szambelana wyznaczyła sobie taki właśnie cel, jako że w 1597 roku nieodwracalnie wygasała dzierżawa na Theatre.

Było to śmiałe posunięcie. Wprawdzie chłopięce zespoły z londyńskich szkół prezentowały czasem na dworze krótkie przedstawienia, jednak po raz pierwszy ktoś zamierzał wystawiać pod dachem profesjonalne spektakle. „Będziemy pokazywać jedynie najlepsze sztuki”, postanowili aktorzy. Budynek teatru wzniesiono w Blackfriars, na dawnych terenach klasztoru dominikanów. Edmund zamierzał wystawić swoje dzieło w tej nowej eleganckiej scenerii.

Czarny Barnikel popatrzył na wszystkich sennym spojrzeniem. Ani browarnik, ani stolarz, ani młody Dogget nie budzili jego zainteresowania. Zauważył jednak jasną, piegowatą skórę dziewczyny i jej bujne rude włosy. Widywał już rozmaitych ludzi, z wieloma żeglował, a niektórych nawet zabił, ale z takimi modnisiami nie miał jeszcze do czynienia. Nie przeszkadzało mu, że ktoś mówi enigmatycznie, aby sobie z niego zakpić. W Londynie było mnóstwo ludzi obdarzonych poczuciem humoru i nawet prostacka widownia teatralna oczekiwała od klaunów różnych żartów i zagadek. Jednak w słowach Mereditha wyczuł nutę pogardy.

– Chyba sobie ze mnie drwisz – powiedział spokojnie. Swobodnym ruchem wyciągnął sztylet i popatrzył na niego z zadumą. – Ludzie mówią, że potrafię celnie trafić.

Dwaj młodzieńcy chcieli sięgnąć po miecze, ale Edmund, jeśli nawet się przestraszył, w najmniejszym stopniu tego nie okazał.

– Drwina nie była moim zamiarem, panie – powiedział. – Ale muszę cię ostrzec: moje pióro ma większą moc niż twój sztylet.

– Jakim to sposobem?

– A takim, panie, że sztyletem możesz odebrać mi życie. – Edmund się roześmiał. – Ale ja swoim piórem mogę zapewnić ci nieśmiertelność.

– Czcze słowa. – Pirat wzruszył ramionami. – To możliwe jest tylko na scenie.

Edmund nie dał się łatwo zbić z tropu.

– A czymże jest świat, panie, jeśli nie sceną? Co pozostanie po nas po śmierci? Co zapisze się w ludzkiej pamięci? Nasz majątek? Nasze czyny? Nasz grobowiec? Ale daj mi teatr, nawet taką arenę jak ta – zatoczył łuk ręką – a zmieszczę na niej całe życie! – zawołał. – Pokażę człowieka, jego uczynki, jego charakter, jego najgłębszą istotę.

Czarny Barnikel wciąż przyglądał się grupce przyjaciół.

– Chcesz powiedzieć, że mógłbyś napisać sztukę o mnie? – spytał z ciekawością.

– Oczywiście! Co czyni moje pióro jeszcze potężniejszym. Bo nie tylko mogę zapewnić ci nieśmiertelność – uśmiechnął się – ale niczym czarnoksiężnik mogę cię zamienić w kogoś innego.

– Nie nadążam. – Pirat przymknął powieki.

– Więc może cię wezmę jak psa na postronek – rzucił beztrosko Edmund. – Wyjaśnię ci. Swoim piórem mogę cię zamienić, w co zechcę. Na przykład w bohatera. Albo w głupca. W rozważnego kochanka albo w bezradnego rogacza. Wojownika albo tchórza, pięknisia albo odrażającą istotę. Bo na scenie, panie, w rękach poety każdy jest spętany jak ten niedźwiedź na łańcuchu. – Uśmiechnął się triumfalnie.

Jane patrzyła na Edmunda z zachwytem. Jaki on przystojny, jaki błyskotliwy! Ciemnoskóry nieznajomy wzbudzał w niej lekki strach, choć nie mogła się powstrzymać, aby na niego nie zerkać.

Czarny Barnikel milczał. Nawet jeśli poczuł się dotknięty, nie dał tego po sobie poznać. Gdyby jednak Edmund lub Jane przyjrzeli mu się bliżej, zauważyliby, że oczy mu pociemniały.

– W takim razie przyjdę na twoje przedstawienie – powiedział cicho po chwili.

Pełne zieleni Shoreditch leżało niecały kilometr na północ od Londynu, tuż powyżej Moorfields. Właśnie tu znajdowały się oba teatry. Dla Jane Fleming to miejsce było domem przez całe życie.

Uśmiechnęła się, gdy godzinę później weszła do mieszkania. Wiedziała, że jej rodzice są trochę dziwni. „Nie bądź taka jak oni”, powtarzał wuj. Ale ona i tak ich kochała. A uśmiechnęła się, bo dom był taki jak jej ojciec: niski i chudy. Miał jedno piętro, dwa i pół metra szerokości i stał tuż za

Theatre, wciśnięty między dwa większe domy. I był dosłownie wypchany ubraniami.

Gabriel Fleming był zaufanym garderobianym trupy Szambelana. Zresztą cała rodzina związała się z teatrem: żona Nan i Jane pomagały Gabrielowi, a Henry, młodszy brat, właśnie zaczął występy na scenie, grając, zgodnie z ówczesnym zwyczajem, role kobiece. Ze względów bezpieczeństwa Gabriel wolał trzymać większość teatralnych kostiumów w domu.

Panował tutaj nieustanny bałagan. Rodzice krążyli między domem a teatrem, aktorzy wpadali o każdej porze dnia i nocy, więc Jane przywykła do rozgardiaszu. Ale przynajmniej jej życie nigdy nie było nudne. Sezon teatralny przypadał na jesień i zimę, a jego kulminacją były bożonarodzeniowe spektakle grane na dworze dla królowej. Podczas Wielkiego Postu, gdy teatry zamykano, Jane przeglądała z matką całą garderobę, prała, cerowała, przerabiała, dzięki czemu nabrała krawieckich umiejętności. Po świętach Wielkiej Nocy spektakle znów wznawiano. Jednak Jane najbardziej lubiła lato, bo wtedy trupa wyruszała w drogę. Cały sznur wozów – jeden z przenośną sceną i rekwizytami, inny wyładowany kostiumami. To na nim podróżowali jej rodzice. Wytaczali się z Londynu, a potem całymi tygodniami przemierzali okoliczne hrabstwa. Gdy zbliżali się do jakiegoś miasta, dwaj członkowie trupy ruszali przodem, by przy dźwięku trąbki i bębna zapowiedzieć ich przybycie. Scenę zazwyczaj ustawiali na dziedzińcu zajazdu, aby móc pobierać opłaty za wstęp, przez kilka dni odgrywali cały repertuar i ruszali dalej. Czasem zbaczali z gościńca, by wystąpić w dworze jakiegoś szlachcica. Jane uwielbiała ten czas – wolność wędrówki, nowe dźwięki i widoki, aurę przygody.

„Trzymaj się jak najdalej od teatru”, ostrzegał ją wuj, kręcąc głową. Nic dziwnego. Rodzina Flemingów zawsze była dumna ze swojego rozważnego

podejścia do życia. Gdy dekret o rozwiązaniu klasztorów zrujnował ich dawny fach, zajęli się handlem pasmanterią. „To pewniejsze niż artykuły religijne”, orzekł dziadek z powagą i przekazał trzem synom o wklęsłych twarzach mały, ale solidny interes. Dlaczego Gabriel postanowił zamienić go na niepewny świat teatru, tego dwaj bracia nie mogli pojąć. Najstarszy, mąż i ojciec rodziny, zerwał z nim wszelkie kontakty. Ale stryj, jak Jane go nazywała, pozostał kawalerem i uznawszy się za jej opiekuna, nieustannie udzielał jej dobrych rad. Będąc przekonany, że Gabriel umrze w nędzy, obiecał spadek jej i Henry’emu.

Handel pasmanterią był dobrym interesem. Guziki, kokardki, wstążki, cekiny i cała masa innych ozdób. Bracia Flemingowie mieli też warsztat, w którym wyrabiano mosiężne szpilki. „W takim otoczeniu znajdziemy ci męża – mawiał stryj. – Potrzebny ci solidny kupiec. Już ja się tym zajmę – dodawał z westchnieniem. – Na twoich rodziców nie ma co liczyć”.

Ale nawet stryj był pod wrażeniem Edmunda, który stał się w teatrze znaną postacią. Jane widziała fragmenty jego sztuki i była nimi zachwycona. Nie miała wątpliwości, że Edmund zostanie wielkim dramatopisarzem, a nawet – tak jak zapowiedział – zajmie miejsce Shakespeare’a.

Bo tak naprawdę nikt nie wiedział, co Shakespeare zamierza. Chodziły słuchy, że chce wejść do wyższych sfer. Jane domyślała się, że dobrze jest być szlachcicem, ale co to naprawdę znaczy? W elżbietańskim Londynie wielu ludzi przyznawało się do szlachectwa. W dawnych czasach tacy ludzie wywodzili się ze stanu rycerskiego, a kupcy, chcąc do nich dołączyć, nabywali ziemskie posiadłości. Ale to nie wszystko. Do szlachetnie urodzonych zaliczano też uczonych z Cambridge i Oksfordu, tytułowanych magistrami, oraz prawników z Inns of Court. Wiedza budziła szacunek. Jednak każdy – zarówno dworzanin, jak i prawnik czy wysłany do terminu

syn właściciela ziemskiego – wolał nazwać się szlachcicem z urodzenia niż z nadania.

Edmund, jako że jego ojciec i dziadek służyli na dworze, mógł się pochwalić szlachetnym urodzeniem. Ale Shakespeare nie.

„A mimo to – mówił Edmund z uśmiechem – postanowił zostać szlachcicem i z nadania, i z urodzenia!” Krążyły słuchy, że Shakespeare chce zdobyć majątek, a potem osiąść na wsi, powiadano nawet, że kupuje duży dom i kawałek ziemi w swoim rodzinnym Stratfordzie, ale Edmund, dzięki znajomościom wśród prawników, dowiedział się ciekawej rzeczy.

„Co za wspaniała historia! Jego ojciec, który jest nieco podupadłym kupcem, dwa lata temu poprosił o herb, żeby zostać szlachcicem, ale mu odmówiono. Więc co Will zrobił? W zeszłym roku poszedł do heroldii i ponownie wystąpił z tą samą prośbą. Dziwię się, że w ogóle wzięli pod uwagę aktora, no ale mniejsza o to. Tylko że herb przyznano nie jemu, lecz jego ojcu! Czyli może wrócić do Stratfordu i twierdzić, że jest szlachetnie urodzony. Czy to nie jest świetny żart?”

Jedno było pewne. Jeśli Will Shakespeare zdobędzie wystarczająco dużo pieniędzy, to na pewno któregoś dnia przeniesie się do Stratfordu. „Za rok już go tu nie będzie”, przewidywał Edmund. Jane wiedziała, że jej ojciec i paru aktorów z trupy Szambelana są podobnego zdania. Czy zatem Meredith zastąpi Willa na podium najlepszego dramatopisarza?

I czy po odniesieniu takiego sukcesu nadal będzie nią zainteresowany?

Cuthbert Carpenter wślizgnął się do domu, mając nadzieję, że nikt go nie zauważy. Po drodze zboczył nieco, żeby zajrzeć do kościoła Świętego Wawrzyńca. Chciał się pomodlić. Nie zdążył jednak nawet przestąpić progu, gdy dobiegł go zrzędliwy głos:

– Gdzie byłeś?

– W kościele.

Była to prawda.

– A przedtem?

– Spacerowałem.

– A przedtem? W teatrze?

Babka. Cuthbert był przysadzisty, a ona sięgała mu zaledwie do piersi, jednak po śmierci rodziców to ta drobna kobieta w czarnej sukni rządziła domem żelazną ręką. Jego i dwóch braci wysłała do terminu u surowych mistrzów, dwie siostry wydała za mąż w wieku piętnastu lat, a trzeciej z tą samą stanowczością oświadczyła, że ma zajmować się domem. Cuthbert miał dwadzieścia lat i był już czeladnikiem, ale wciąż mieszkał w domu i dokładał się do czynszu. Mimo to babka pilnowała, żeby prowadził się przyzwoicie, jakby był małym dzieckiem. Prawdę powiedziawszy, wciąż się jej bał.

Bo czyż nie miała racji? Cuthbert Carpenter wiedział dobrze, że ci, którzy mają nieczyste myśli, są skazani na ogień piekielny. „Ten, kto zadaje się z dziwką albo chodzi do teatru, będzie cierpiał w dniu sądu ostatecznego”, napominała babka, a on jej wierzył. Nie zadawał się z ladacznicami. Ale teatr…

Był dobrym stolarzem. Przyznawał to nawet jego surowy mistrz. Ale przy każdej okazji wymykał się do teatru. *Romea i Julię* widział już dziesięć razy i zawsze czuł potem strach i wyrzuty sumienia. Nadal jednak grzeszył, a nawet posuwał się do kłamstwa.

– Nie byłem na przedstawieniu – odpowiedział. Niby prawda, choć nie do końca. Babka mruknęła coś pod nosem, ale najwyraźniej była zadowolona, co jeszcze bardziej popsuło mu humor.

Gdy zapadła noc, Cuthbert Carpenter przyrzekł sobie: „Już nigdy więcej nie pójdę do teatru”.

Było już ciemno, gdy John Dogget wprowadził Edmunda do hangaru na łodzie. Kilka godzin wcześniej przeprawili się na drugi brzeg do Southwark, a potem pili w gospodzie „U George'a". A teraz, w dowód przyjaźni, Dogget postanowił dopuścić go do tajemnicy i pokazać mu swój skarb.

Hangar stał w małej zatoczce poniżej London Bridge, wśród kilku podobnych drewnianych budynków. W świetle lampy Edmund zorientował się, że znajdują się w warsztacie przeznaczonym do budowy i naprawy łodzi.

– Mój dziadek zapoczątkował ten interes – wyjaśnił Dogget. Jeszcze za czasów króla Henryka najmłodszy syn Dana Doggeta, który nie był potężnym olbrzymem jak jego bracia i pracował u swojego wuja Carpentera, zajął się remontami barek. Jego syn, który poszedł w jego ślady, był teraz szefem świetnie prosperującego zakładu i z czasem miał go przekazać Johnowi. A John Dogget był zadowolony, że życie obdarzyło go takim losem. Miał pasmo jasnych włosów i pogodną twarz. Całymi dniami pracował u boku swojego rumianego ojca w warsztacie wypełnionym przyjemnym zapachem drewnianych wiórów i wodorostów. Obaj mieli niewielką błonę między palcami dłoni, co jednak nie przeszkadzało im w pracy. A gdy widzieli na rzece krzepkich kuzynów, machali do nich wesoło.

John był lubiany przez ludzi. „Jeśli uda ci się rozśmieszyć kobietę, o resztę nie musisz się martwić", mawiał jego ojciec. W Southwark było wiele kobiet, które John potrafił rozweselić. A gdy ktoś wspominał, że może powinien się ustatkować, rzucał lekko: „Zaczekam na właściwy moment". Niedawno wpadła mu w oko pewna dziewczyna z teatru. Jane Fleming. Była ładna i miała dobry charakter. „A do tego dostanie w spadku trochę pieniędzy", wyznał ojcu. Wprawdzie Jane nie widziała nikogo poza

Meredithem, jednak John bynajmniej się tym nie zniechęcał. Na świecie było dużo innych dziewcząt. Poza tym nie wiadomo, czy Meredtih ma wobec niej jakieś plany. Dlatego Dogget postanowił wyciągnąć coś z przystojnego modnisia i nawiązał z nim bliższą znajomość.

– Będę potrzebował twojej pomocy – powiedział. Poprowadził go na tyły warsztatu i wskazał stosy desek.

Przekładali je obaj przez kilka minut. Meredith zauważył, że na samym końcu, troskliwie przykryte plandekami, kryje się coś o dziwnym kształcie. Dogget dał mu znak, by się cofnął, i postawiwszy lampę na beczce, zniknął w mroku. Edmund słyszał jedynie szelest zsuwanej plandeki. Po chwili Dogget wrócił, wziął lampę i uniósł ją wysoko: w jej migotliwym świetle ukazał się niezwykły widok.

Łódź miała dobre dziesięć metrów długości. Z przodu znajdowały się cztery pary wioseł. Długie burty z nakładkowym poszyciem zbiegały się na elegancko wzniesionym dziobie jak w dawnych łodziach wikingów, każda deska była wypolerowana do połysku. Ale największy powód do dumy znajdował się na rufie: była to duża, pięknie rzeźbiona nadbudówka z aksamitnymi zasłonami utrzymanymi w doskonałym stanie.

– Dobry Boże! – Edmund aż wstrzymał oddech. – Co to jest?

– Barka króla Henryka. – Dogget wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Moja.

Dan Dogget natknął się na nią pod koniec swojego długiego życia. Była już wtedy w złym stanie. Nie zaliczała się do reprezentacyjnych barek królewskich, była jedną z wielu łodzi, które rozrzutny monarcha trzymał przy swoich nadrzecznych pałacach. Jednak za panowania Elżbiety, gdy w skarbcu brakowało pieniędzy, przez kilkanaście lat łódź leżała nieużywana, aż w końcu uznano, że należy ją sprzedać. Dogget, zasmucony jej wyglądem, kupił ją i przetransportował do warsztatu syna. Akurat

przyszedł wtedy na świat John, więc Dan oświadczył radośnie: „Barka będzie dla niego”.

Przez kolejne lata ojciec i syn naprawiali ją troskliwie po pracy, wymieniali zniszczone fragmenty poszycia, odtwarzali złocenia i w końcu, krok po kroku, przywrócili ją do dawnej świetności. Nie tylko drewno i złocenia odzyskały dawny wygląd, odnowiono też bogate tkaniny w nadbudówce, a od pięciu lat mogli już patrzeć na jej wspaniałą urodę. Strzegli jej jak skarbu w świątyni.

– Trochę szkoda, że nikt nią nie pływa – odezwał się Dogget. Była za duża i za okazała do codziennego użytku, a jednocześnie za mała, by być reprezentacyjną barką któregoś z cechów. Królewski skarb Johna Doggeta stał w hangarze jak niechciana panna młoda – dojrzała, piękna Kleopatra wyczekująca na swojego Marka Antoniusza.

– Może ty masz jakiś pomysł – rzucił John.

Meredith patrzył na łódź z zachwytem.

– Teraz nie – odpowiedział. – Ale się zastanowię.

Nazajutrz William Bull czekał na Edmunda, który nadszedł wolnym krokiem nieco spóźniony. William trochę się niepokoił, ale nie zamierzał tego okazać. Był o dziesięć lat starszy od kuzyna, lecz darzył go wielkim podziwem. Edmund naprawdę miał styl.

Bez słowa przeszli przez starą bramę i znaleźli się na nadrzecznych terenach dawnego klasztoru dominikanów, pełnych trawników i dziedzińców. Zmierzali w kierunku budynku, do którego Edmund miał klucz.

Teatr Blackfriars był wspaniały. Przez środek dużej sali biegły rzędy drewnianych ławek z oparciami, po bokach znajdowały się galerie. Scena, tylko trochę wyniesiona, zajmowała całą szerokość, dzięki czemu eleganccy widzowie jak Edmund mogli zasiadać na stołkach z boku przed

galeriami, naśladując tym nieformalną swobodę dworu, gdzie aktorów otaczał krąg dworzan. Sala miała wyraźnie renesansowy wygląd – galerie wspierały się na klasycznych kolumnach, drewniana przegroda za sceną ozdobiona była frontonami i łukami. Bull patrzył z zachwytem.

– Wszyscy zbijemy fortunę – oświadczył Edmund z dumą.

To prawda, teatr elżbietański był dla szlachetnie urodzonych mecenasów symbolem prestiżu, a dla aktorów i dramatopisarzy wizytówką ich talentów i umiejętności, jednak nie dało się zaprzeczyć, że żeby istnieć, musiał na siebie zarabiać. Spośród wielu inwestorów stojących za rozmaitymi grupami teatralnymi najwięcej rozmachu miała rodzina Burbage, która stworzyła teatr Blackfriars. Stary Burbage był postacią niezwykłą. Z rzemieślnika stał się przedsiębiorcą i dostrzegłszy kryjące się w teatrze możliwości, szybko przekształcił trupę Szambelana w profesjonalnych aktorów. Wynajął teatr, finansował spektakle i opłacał autorów sztuk. To dzięki niemu Will Shakespeare dorobił się małej fortuny. A w poprzednim roku, uznawszy, że potrzebne jest bardziej eleganckie miejsce, Burbage wydzierżawił teren w Blackfriars.

Pomysł był prosty. Wprawdzie nowy teatr pod dachem mieścił o połowę mniej widzów niż sceny na świeżym powietrzu, ale tutejsza publiczność miała być elitarna. A najtańszy bilet kosztowałby nie jeden pens, lecz całe sześć. Żadne hałaśliwe czy śmierdzące czosnkiem pospólstwo nie mogło sobie na to pozwolić. „Nawet dziwki będą wytworne”, zauważył Edmund ze śmiechem. Jednak przedsięwzięcie było obarczone dużym ryzykiem. Dzierżawa i remont sali pochłonęły już oszałamiającą sumę sześciuset funtów. Dlatego szukano dodatkowych źródeł pieniędzy.

William Bull poczuł się wyróżniony, gdy Edmund zwrócił się z tym do niego. „To wyjątkowa okazja – tłumaczył Meredith. – Znam Burbage’ów, we wszystko mnie wtajemniczyli. Mogę coś zainwestować w twoim

imieniu, jeśli chcesz”. Browar świetnie się rozwijał, ale dawał nudne zajęcie. Poza tym bracia nie dopuszczali go do wielu spraw. A to przedsięwzięcie zapowiadało się ekscytująco. William pożyczył więc kuzynowi pięćdziesiąt funtów. Dzięki temu Edmund Meredith, dołożywszy pięć funtów, mógł sprawić na Burbage’ach znakomite wrażenie, przekazując im całą sumę jedynie we własnym imieniu. A chcąc pokazać Williamowi, że sprawy idą pomyślnie, niedługo potem zawiadomił go chełpliwie, że zamówiono u niego sztukę do nowego teatru. Bull poczuł się podwójnie dumny.

Teraz jednak zaczął się niepokoić. Nie martwił się, kiedy zimą zmarł stary Burbage, bo wszystkie sprawy przejęli jego doświadczeni w zarządzaniu teatrem synowie. Ale po jakimś czasie zaczęły krążyć słuchy, że nowy teatr budzi sprzeciw części mieszkańców Blackfriars, na których czele stał rajca Ducket. Pisali nawet petycje domagające się zakazu otwierania teatru. Bull słyszał gdzieś, że rajca oskarżył teatry o bezbożność oraz szerzenie niepokojów i że chciał wszystkie pozamykać. To prawda, z powodu hałaśliwej widowni teatry nie miały najlepszej opinii, więc Bull obawiał się, że mieszkańcy tej spokojnej i elitarnej enklawy nie zgodzą się na takie zakłócenie porządku. Zapytał więc teraz niepewnie, czy to prawda.

– Ależ oczywiście, że prawda! – Meredith był dziwnie z tego zadowolony.

– Nie martwi cię to?

– Wcale. – Edmund się roześmiał. – To bez znaczenia. Ci ludzie nie mają najmniejszego pojęcia, jakie sztuki będą tu wystawiane i przed jaką publicznością. No bo skąd mają to wiedzieć? Czegoś takiego – zatoczył ręką dokoła – jeszcze nigdy nie było. Gdy tylko zobaczą, że nie będzie tu żadnego pospólstwa, sprawa przycichnie.

– A więc teatr powstanie?

– Otworzymy go jeszcze przed końcem roku.

Bull westchnął z ulgą.

– A więc odzyskam swoje pieniądze.

Edmund uśmiechnął się beztrosko.

– Oczywiście.

W całej trupie Lorda Szambelana nie było szczęśliwszej osoby niż Jane Fleming. Oto bowiem od kilku tygodni miała wrażenie, że Meredith ją kocha.

Skończył pisać sztukę. A ona znała każdy wers na pamięć. Gdy zbliżał się do zakończenia, jego podniecenie rosło. Z dumą odczytywał jej ulubione fragmenty albo pytał: „Tak jest dobrze?”. A ona zawsze odpowiadała: „Wspaniale”. Dowcip Edmunda błyszczał.

Tylko raz, gdy pomyślała o sztuce jak o całości, zapytała nieśmiało: „A o czym to właściwie jest?”. Jednak Edmund się naburmuszył, więc nie drążyła już tego tematu.

Po co psuć mu poczucie triumfu, po co go do siebie zniechęcać? Nawet gdy byli w towarzystwie jego modnych znajomych, prawie zawsze zwracał na nią uwagę.

Czuła się taka szczęśliwa z jeszcze jednego powodu. Lato było już w pełni, Jane z rodzicami przygotowywała kostiumy do zapakowania na wóz. Oznaczało to wprawdzie, że przez jakiś czas nie zobaczy Edmunda, ale i tak cieszyła się na wyjazd.

Pewnego lipcowego popołudnia wracali właśnie z Edmundem z Shoreditch, gdy natknęli się na rajcę Jacoba Ducketa.

Nawet w letni dzień był ubrany na czarno, a jedyną ozdobę, stosowną do jego majątku i stanowiska, stanowiły biała kryza i miecz z rękojeścią inkrustowaną srebrem i drogimi kamieniami oraz pasmo białych włosów. Stał przed bramą Bishopsgate. Gdy podeszli bliżej, Edmund nonszalancko

zdjął kapelusz i wykonał wyszukany ukłon, tak doskonale utrzymany na granicy między wyrazem uszanowania a kpiną, że zachichotała. W innych okolicznościach Ducket nie miałby dla Mereditha czasu, ale tego dnia spojrzał na niego niemal przyjaźnie i przywoławszy go gestem, spytał uprzejmie:

– Słyszeliście najnowsze wieści?

Rajca rzadko się uśmiechał. Jedynym śladem genów po przodku, który miał wesołe usposobienie i potrafił wskoczyć do wzburzonej rzeki, było pasmo jasnych włosów. Tak jak wielu innych rajców, był purytaninem, a dokładniej mówiąc, wyznawcą surowego kalwinizmu.

To był nadzwyczaj dobry dzień dla rajcy Ducketa. Zdążył już odwiedzić teatry w Bankside. Bardzo był z tego zadowolony. A teraz wybierał się do Shoreditch. Widok Mereditha, który uchodził za miłośnika teatru, dał mu kolejną okazję do satysfakcji.

– Wszystkie teatry zostaną zamknięte – oznajmił spokojnie.

Dziewczyna osłupiała, a Meredith zbladł. Tego właśnie Ducket się spodziewał. Ale Edmund szybko doszedł do siebie.

– Kto tak powiedział?

– Rada miejska.

– To niemożliwe. Teatry są poza waszą jurysdykcją.

Shoreditch leżało poza granicami miasta. A pozostałe teatry były wyłączone spod jurysdykcji miejskiego samorządu, bo po rozwiązaniu zakonów dawne feudalne wolności klasztorne zostały przekazane w ręce króla. Pozostałe po dominikanach tereny Blackfriars były takim właśnie uprzywilejowanym obszarem. Ojcowie miasta już od dawna oburzali się, że teatry działają tuż obok, ale poza ich jurysdykcją.

– Poprosiliśmy Tajną Radę Królewską, aby nakazała ich zamknięcie.

– Rada tego nie zrobi. Królowa uwielbia aktorów.

Ducket się uśmiechnął.

– Ale nie po *Wyspie psów* – odparł. – Rada nie stoi już po waszej stronie – dorzucił słodko.

Sztuka *Wyspa psów*, wystawiana przez trupę lorda Pembroke’a, była ostrą, ale zabawną satyrą wymierzoną nie tylko w rajców miejskich, ale także we władzę dworu. Co za wspaniałe zrządzenie losu. Ducket i inni rajcy doprowadzili w końcu do tego, że wygasła dzierżawa trupy Szambelana na Theatre w Shoreditch. Zagrozili właścicielowi terenu, Gilesowi Allenowi: „Zrujnujemy cię, jeśli znów go wydzierżawisz aktorom”. Ducket podburzał też mieszkańców Blackfriars, ale bez rezultatów. Aż wreszcie ci głupcy z trupy Pembroke’a dali mu szanse, której się uchwycił obiema rękami. Delegacja przedstawiła Tajnej Radzie szczegółowe sprawozdanie, z którego wynikało, że władza królewska doznała obrazy.

– Ale to przecież oznacza… – zaprotestował Edmund.

– Że teatr jest skończony. – Ducket skinął głową. – A twoi znajomi aktorzy – ciągnął – powinni się mieć na baczności. Mogą zostać uznani za włóczęgów.

Nie była to groźba gołosłowna. Każdy, kto wędrował po kraju bez stałego zajęcia, mógł być poddany chłoście i odesłany do miejsca urodzenia. I chociaż Ducket nie mógł tknąć takich szanowanych ludzi jak bracia Shakespeare, to ubodzy aktorzy, zatrudnieni w teatrach dorywczo, byli narażeni na takie niebezpieczeństwo, gdyby chcieli wędrować po kraju. Jednak w słowach Ducketa pobrzmiewała przede wszystkim zniewaga: teatr to margines społeczny, a aktorzy to przybłędy.

– I tak ci nie wierzę – powiedział Meredith i się oddalił.

Była to jednak prawda i wieczorem znał już ją cały Londyn. Wszystkie teatry miały zostać zamknięte. A co gorsza, nieszczęsny Ben Jonson, jeden

z autorów *Wyspy psów*, trafił do więzienia, a drugi autor, Nashe, uciekł. Wśród ludzi teatru zapanowało przygnębienie.

– Będę musiał wrócić do handlowania pasmanterią – powiedział smutno ojciec Jane. Aktorzy wpadli w rozpacz. Nawet bracia Burbage, choć próbowali dostać się przed oblicze Tajnej Rady, nie mieli nic pocieszającego do powiedzenia.

Tydzień później nadeszła wiadomość.

– Możemy dawać przedstawienia objazdowe – ucieszyli się aktorzy.

Ale gdy ktoś spytał: – Czy pozwolą nam później wrócić? – jedyną reakcją było wzruszenie ramion i posępne: – Kto wie?

W tej ponurej atmosferze tylko jedna osoba zachowała dobry nastrój, choć nie należała do trupy.

Edmund Meredith nie zamierzał skapitulować.

– Im chodzi tylko o to, żeby nas zastraszyć – mówił. – Zakpiono sobie z Tajnej Rady, więc chcą nam dać nauczkę.

Gdy Fleming zauważył smętnie, że w radzie są tacy sami purytanie jak Ducket, Edmund się roześmiał.

– Ale dwór nadal to bawi! Naprawdę myślicie, że królowa zrezygnuje z bożonarodzeniowej rozrywki ze względu na purytanów?

Ponieważ Meredith był dżentelmenem, którego ojciec pracował kiedyś na dworze, wszyscy uznali, że wie więcej niż oni.

Patrząc, jak podnosi na duchu bezrobotnych aktorów zbierających się w domku Flemingów, Jane kochała go jeszcze bardziej. Wiedziała, co to dla niego znaczy, zwłaszcza że wszystkie nadzieje związane z jego sztuką zawisły teraz na cienkim włosku. Jego brawura miała w sobie coś szlachetnego. Kilka dni później, gdy trupa wyruszała na wozach w drogę, pocałował ją na pożegnanie i szepnął:

– Przejdziemy przez to razem.

Jeszcze nigdy nie był jej tak bliski.

To lato okazało się dla Edmunda Mereditha bardzo trudnym okresem. Był dumny ze swojego zachowania w obecności Flemingów. Wiedział, że wypadł znakomicie w ich oczach. Ale czy naprawdę nie obawiał się przyszłości? Trzy dni po wydaniu zakazu sprawy przybrały jeszcze gorszy obrót, bo w jego mieszkaniu pojawił się Bull, pytając o swoje pięćdziesiąt funtów. „Bądź spokojny – pocieszał go. – To minie". Jednak po wyjściu Bulla wpadł w głębokie przygnębienie. Co teraz będzie z jego sztuką? I kim ja jestem bez niej?, zadawał sobie w myślach pytanie. Czym zadziwię świat?

Pod koniec lata, zanim jeszcze trupa wróciła z objazdu, poznał lady Redlynch.

Poznał ją za pośrednictwem przyjaciół, Rose i Sterna. Jej mąż, sir John, zmarł poprzedniego roku, a ona, bezdzietna trzydziestolatka, nie wiedziała, co z sobą począć. Współczuł jej, choć sam nie był w dobrym nastroju.

Jednak niepotrzebnie się o nią martwił. Lady Redlynch, córka kupca z West Country, doskonale wiedziała, jak się o siebie zatroszczyć. Dzięki mężowi była posiadaczką pięknego domu w Blackfriars. Obiecała też, że osobiście zainteresuje się kwestią nowego teatru. Miała jasne włosy, duże niebieskie oczy, zachęcające piersi i uroczy głos małej dziewczynki, który całkowicie cichł, gdy się spieszyła. Meredith bawił ją. Lubiła mężczyzn obdarzonych poczuciem humoru. Natychmiast postanowiła, że będzie jej kochankiem.

Był koniec października, a sytuacja wciąż nie uległa zmianie. Teatry stały puste, kostiumy leżały nieużywane w garderobach. Bracia Burbage byli na kolejnej audiencji w Tajnej Radzie. Mówiono, że Shakespeare knuje coś ze

swoimi mecenasami na dworze, ale nie wiedziano nic pewnego. Każdego dnia aktorzy zaglądali do domu Fleminga i pytali: „Już możemy grać?”. Jeszcze nie, słyszeli w odpowiedzi. Jeszcze nie.

Edmund przychodził codziennie. Był cudowny. Zawsze pogodny, spokojny. Często bywał w Blackfriars, żeby zajrzeć do teatru. I zapewniał Jane, że wszystko jest gotowe do przedstawień.

– Bądź cierpliwa – powtarzał. – Publiczność musi poczekać, aż skończy się remont. Ten zakaz nie może trwać wiecznie.

Jane nie miała wątpliwości: Edmund jest wspaniały. Była z niego taka dumna! I zauważyła w nim coś jeszcze: świeżą pewność siebie, poczucie mocy. Ekscytowało ją to, lecz czasami skłaniało do różnych domysłów.

W końcu któryś z aktorów powiedział jej, że Edmund sypia z lady Redlynch.

Na początku listopada Edmund Meredith wysłał list. Był to z jego strony śmiały krok, ale nie mógł już znieść tego napięcia.

Romans z lady Redlynch rozwijał się pomyślnie. Zachowywali dyskrecję, lecz kilka plotek wystarczyło, aby bardzo zyskał w oczach śmietanki towarzyskiej. Ostatnio jednak zaczął się zastanawiać, ku czemu ten romans zmierza. Chyba miał powoli dość nieco pulchnych walorów tej kobiety. Trochę się też obawiał. Raz czy dwa wyczuł, że jego kochanka rozważa małżeństwo. Bał się też, że zajdzie w ciążę. W Anglii Tudorów stosowano bardzo prymitywne zabezpieczenia. Najbardziej powszechnym środkiem mającym uniemożliwić zapłodnienie była chusteczka do nosa. Niestety, nie zawsze skutecznym.

Myślał też o Jane Fleming, ale tym się akurat nie martwił. Ona i tak pewnie o niczym się nie dowie. A gdyby nawet, to mężczyzna z takim doświadczeniem powinien być dla młodej dziewczyny jeszcze bardziej atrakcyjny.

Co jednak z jego sztuką? Można być świetnym kochankiem, ale to wciąż nie dawało odpowiedzi na zasadnicze pytanie: „Czym zadziwię świat?”.

Robił dobrą minę do złej gry, lecz od wydania zakazu przez Ducketa minęły już trzy miesiące, rajcy wciąż byli górą, a Tajna Rada zachowywała złowrogie milczenie. Ani jego znajomi na dworze, ani lady Redlynch nic nowego nie słyszeli. Zazwyczaj o tej porze roku zaczynał się nowy sezon teatralny, ale kolejne dni mijały bezczynnie. W końcu pewnego dnia Edmund oznajmił lady Redlynch:

– Ta niepewność jest nie do zniesienia.

Postanowił wysłać list. A gdy lady Redlynch spytała, co to ma być za pismo, odpowiedział krótko:

– List miłosny.

Adresatką była królowa.

Spośród wszystkich angielskich monarchów nikt lepiej niż Elżbieta I nie rozumiał, że kluczem do władania jest teatr. Dwór, który ciągle pokazywał się publicznie, objeżdżał kraj i był miejscem doskonale zaplanowanych i wyreżyserowanych przyjęć dla cudzoziemców, okazał się najlepiej przemyślanym teatrem na świecie. A środek tej sceny, we wspaniałej brokatowej sukni wyszywanej perłami, z dużą koronkową kryzą okalającą głowę i szyję, ze złotorudymi włosami rozpuszczonymi na ramiona albo upiętymi wysoko, zajmowała Elżbieta – córka króla Henryka i jednocześnie córka swojego narodu, renesansowa księżniczka, królowa dziewica, której blask oświetlał każdego Anglika jak najjaśniejsza gwiazda.

Rola królowej dziewicy była od wielu lat koniecznością. Elżbieta, zagrożona przez największe potęgi Europy, chroniła swoje niewielkie królestwo, sugerując małżeństwo raz z jednym, raz z drugim władcą. I już dawno do tej roli przywykła. Jej ulubieni dworzanie, jak Leicester czy Essex, zawsze udawali, że ją kochają, a ona udawała, że im wierzy. Co być

może niekiedy było prawdą, w końcu Elżbieta była też kobietą. Ale czy w dyplomacji można stwierdzić, co jest teatrem, a co rzeczywistością? Jedno stanowi odbicie drugiego. Nikt więc się już nie dziwił, że Elżbieta, naciskana przez parlament, aby wyznaczyć następcę, mimo nie najmłodszego już wieku, z umalowaną twarzą i farbowanymi włosami, wciąż gra rolę dziewicy. Opanowała ją do perfekcji, za każdym razem powstając jak Feniks z popiołów, otoczona bawidamkami, którzy zamieniali jej przywiędłą jesień życia w wiosnę.

List Edmunda był doskonały. Najlepszy tekst, jaki w życiu napisał. Zwracał się do królowej jak nieznajomy wielbiciel. Z jej inspiracji napisał sztukę, która mogłaby ją rozbawić. Lecz teraz ogarnęło go przygnębienie, albowiem dowiedział się, że wszystkie kolejne sztuki pozostaną na zawsze w ciemnościach nierozświetlanych blaskiem jej oczu. Zakończenie było idealnie w jej guście.

„Lecz jeśli Wasza Wysokość uważa, żem niegodny nieba, jakim jest sprawienie radości mojej królowej, to lepiej niech me wiersze wraz ze mną pozostaną w wiecznym mroku, niżby miały urazić Wasze oczy”.

A na sam koniec dołączył prośbę, jakby królowa znów była młodą dziewczyną, a oni dwoje potajemnymi kochankami: jeśli jest dla niego jakaś nadzieja, to niech królowa wyznaczy czas i miejsce, w którym mógłby ją dobrze widzieć, a potem niechaj upuści chusteczkę.

Elżbieta uwielbiała takie zaloty.

Zmierzch ledwo zapadł, ale Jane rozglądała się ostrożnie, mijając Charing Cross. Wciąż było tutaj dużo ludzi, a idąca przed nią para nawet jej nie zauważyła.

Pałac Whitehall składał się z wielu pięknych dziedzińców otoczonych budowlami z kamienia i cegły. Były tu okolone murami ogrody, szranki do turniejów, kaplica, sala balowa, sala posiedzeń rady, a także część

z mieszkaniami dla gości ze Szkocji, zwana Scotland Yard. Niemal cały pałac był dostępny dla zwykłych ludzi, a że jego bramy stały po dwóch stronach drogi z Charing Cross do Westminsteru, ciągle kręciło się tu wielu przechodniów. Królowa pozwoliła poddanym przemierzać dziedziniec schodzący ku rzece – można było tam wsiąść na jedną z barek kursujących po Tamizie. Zwykli ludzie mogli też wejść do środka, żeby podziwiać piękne tkaniny wiszące nad wspaniałymi schodami albo oglądać z galerii państwowe bankiety. Niektórzy wyczekiwali o tej porze z nadzieją, że uda im się zobaczyć królową we własnej osobie.

Edmund i lady Redlynch weszli przez bramę na pałacowy dziedziniec. Jane podążała ich śladem.

Na dziedzińcu zebrało się już kilkadziesiąt osób; część trzymała w rękach pochodnie. Mimo chłodnej aury w listopadzie na dworze zawsze panowała radość – w połowie miesiąca, w rocznicę wstąpienia Elżbiety na tron, w Whitehall odbywała się wielka parada i turniej rycerski. Wesoła atmosfera zbliżających się uroczystości udzieliła się tłumowi. Edmund czekał niecierpliwie.

Mijały minuty. Pochodnie migotały. I wtedy pojawiła się królowa. Otworzyły się drzwi do sali obrad rady. Najpierw wyszło dwóch, czterech, sześciu dżentelmenów we wspaniałych tunikach, krótkich pelerynach, z dłońmi opartymi na wysadzanych klejnotami rękojeściach mieczy. Za nimi wybiegli pazie z pochodniami. A potem ukazało się sześciu strojnych mężczyzn niosących lektykę. Siedziała w niej królowa – we wspaniałej, wyszywanej klejnotami sukni i wysokim kapeluszu z piórami. Rozległy się wiwaty. Elżbieta odwróciła się, sztywno i powoli, a na jej umalowanej, przypominającej maskę twarzy pojawiło się coś w rodzaju uśmiechu. Dobry Boże, pomyślał Edmund, zastanawiając się nad swoim może nieco zbyt frywolnym listem, czyżby ona aż tak osłabła? Jednak po chwili królowa

nieco rozwiała jego obawy, bo w odpowiedzi na zwykły okrzyk „Boże, chroń królową!” rozległ się jej głos, tak dźwięczny i donośny jak niegdyś, gdy przemawiała do swoich wojsk przed przybyciem Hiszpanów: „Niech was Bóg błogosławi. Moglibyście mieć większego króla, ale żaden nie kochałby was tak jak ja”.

Mówiła to za każdym razem i za każdym razem jej słowa wzbudzały owacje.

Lektykę przeniesiono przez wejście prowadzące na wielkie schody. Potem, na krótką chwilę, królowa znikła z oczu. Nagle, tuż przed galerią wiodącą do jej prywatnych apartamentów, rozbłysły świece. Jeszcze więcej świec. A kilka chwil później niewielki orszak ruszył, powoli, majestatycznie. Królowa szła teraz o własnych siłach, blask świec migotał na jej pokrytej klejnotami sukni, gdy ukazała się najpierw za szybą jednego okna, potem następnego i następnego. Wyglądało to przepięknie, magicznie, poruszająco. Edmund rozumiał, że na tym polega istota teatru.

Przy trzecim oknie – nie, nie mógł się mylić! – królowa się zatrzymała, odwróciła się bokiem i podniosła rękę w milczącym pozdrowieniu. I wtedy z jej dłoni wypadła chusteczka.

Jane śledziła Edmunda i lady Redlynch aż do Ludgate. Kiedy przechodzili przez Fleet, usłyszała ich śmiech. Potem skręcili do Blackfriars i zniknęli w domu lady Redlynch.

Ukryta w cieniu obserwowała dom przez całe trzy godziny, dopóki nie zgasło w nim ostatnie światło. A potem, przemykając ciemnymi, pustymi uliczkami, wróciła do Shoreditch.

Następnego dnia Edmund obudził się o świcie z nową nadzieją w sercu. Pomyślał o Jane i uznał, że powinien rozstać się z lady Redlynch.

Jane nie zmrużyła oka, przepłakała całą noc.

– Mamy pokazać na dworze cztery sztuki.

Zebrali się wszyscy: bracia Burbage o grubo ciosanych twarzach, Will Shakespeare i inni znani aktorzy.

– Mówiłem, że tak będzie.

Poszedł do braci Burbage następnego dnia po zobaczeniu królowej w Whitehall, chciał im dodać otuchy. Początkowo nie chcieli mu wierzyć. A potem z dworu nadeszła wiadomość, że królewski mistrz ceremonii każe przygotować im kilka najlepszych sztuk na uroczystości bożonarodzeniowe.

– Pokażemy im trzy sztuki Shakespeare'a, w tym *Romea i Julię* oraz *Sen nocy letniej* – powiedział starszy Burbage. – I jedną sztukę Bena Jonsona. – Uśmiechnął się. – Jeśli się zgodzą, to znaczy, że Ben wróci do łask. – Umilkł na chwilę. – Ale mam też drugą wiadomość, i to znacznie lepszą. Ogłoszą to dopiero po Nowym Roku, ale zakaz wystawiania sztuk zostanie częściowo zniesiony. My i zespół Lorda Admirała dostaniemy od Tajnej Rady specjalne pozwolenie na występowanie przed publicznością. Możemy odetchnąć z ulgą.

Edmunda ogarnęło podniecenie.

– A więc moja sztuka też wejdzie na scenę!

Któryś z aktorów chrząknął znacząco. Bracia Burbage spojrzeli na siebie z zakłopotaniem. Zapadło milczenie, aż w końcu Will Shakespeare popatrzył z wyrzutem na towarzyszy i odezwał się pierwszy:

– Przyjacielu, niestety jest też zła wiadomość.

– Jakaż to? – spytał Edmund.

– Nie mamy teatru.

– A Blackfriars?

Shakespeare pokręcił głową.

– Chyba wolimy tam nie występować.

– Dwa dni temu – wtrącił się Burbage – Tajna Rada dostała kolejny list od Ducketa i innych mieszkańców Blackfriars. Gdy zniesiono zakaz dla nas, znów zaczęli protestować. Nie chcą nas u siebie. A ponieważ sytuacja jest bardzo delikatna… – wzruszył ramionami – nie będziemy ryzykować.

– Lady Redlynch uważa… – zaczął Edmund, ale urwał, widząc porozumiewawcze spojrzenia aktorów.

– Ona też podpisała ten protest – powiedział Burbage posępnym tonem. – Przykro mi.

Edmunda zamurowało. Poczuł, że się czerwieni. A więc go oszukała!

Z pomocą przyszedł mu Shakespeare.

– Ona ma tam dom. A Ducket to bardzo wpływowy człowiek. – Westchnął. – Ja też przekonałem się na własnej skórze, że kochanki bywają zmienne.

– Jeszcze nie wszystko stracone – odezwał się Burbage. – Na razie mamy teatr i mamy gdzie występować.

– W takim razie moja sztuka…?

Atmosfera znów przygasła. Shakespeare spojrzał na Burbage’a, jakby chciał powiedzieć: teraz twoja kolej.

– Jest pewna trudność – podjął Burbage. – Twoja sztuka bardzo mi się podoba. – Zrobił smutną minę. – Ale nie pasuje do naszej nowej sceny.

– Powiem krótko – wtrącił się Shakespeare. – Będziemy występować w Curtain.

– W Curtain? – Z areną do walki niedźwiedzi? To teatr dla najgorszego pospólstwa. Nikt ze śmietanki towarzyskiej nie postawi tam swojej stopy. Nawet najbardziej rubaszne żarty Shakespeare’a były powyżej poziomu tamtejszej widowni. Jego sztuka skrząca się dworskim dowcipem… – Przecież oni ją wygwiżdżą – jęknął.

– A więc przyznajesz nam rację? – Burbage niemal westchnął z ulgą. – Jeśli jakiś inny zespół będzie chciał ją wystawić, to oczywiście masz wolną rękę.

– Ale na razie pozostała tylko trupa Lorda Admirała, nasi konkurenci.

– Jednak w obecnej sytuacji nie mamy prawa cię zatrzymywać – powiedział szybko drugi z braci Burbage. Pozostali mruknęli przyzwalająco.

Dopiero teraz Edmund przypomniał sobie o pieniądzach.

– Pożyczyłem wam pięćdziesiąt pięć funtów.

– I wszystko odzyskasz – powiedział Burbage stanowczo.

– Ale jeszcze nie teraz – dorzucił Shakespeare ponuro. – Bo prawda jest taka, że nie mamy ani grosza.

Nie było powodu, żeby mu nie wierzyć. Nie będzie zysku z pieniędzy zainwestowanych w Blackfriars, nie będzie teatru, nie będzie premiery jego sztuki ani żadnych dochodów. Przedstawienia na dworze przyniosą jakieś wpływy, ale tego wystarczy jedynie na bieżące potrzeby trupy.

– Bądź cierpliwy – poradził mu Shakespeare. – Los musi się odmienić.

Jednak dla Edmunda, który właśnie dowiedział się, że kochanka go oszukała, a jego sztuki nikt nie potrzebuje, nie było to żadną pociechą. A gdy następnego dnia spotkał Williama Bulla, który znów zapytał go, jak sprawy stoją, nie umiał wyznać mu prawdy i mruknąwszy coś niewyraźnie, po prostu tchórzliwie uciekł.

Udało mu się jednak wziąć w garść i z klasą rozstać się z lady Redlynch. Napisał do niej list, z taką przesadą zapewniając o swoim uwielbieniu, że doczytawszy do końca, lady uznała, że musiała mu się znudzić. A potem przekazał jej najnowszą wiadomość: teatr Blackfriars, z którym oboje łączyli takie nadzieje, został zniszczony przez zwykłych prostaków. Jego

rozpacz, którą niewątpliwie ona też podziela, jest tak wielka, że nie ma ochoty na kontakty z ludźmi.

> I nawet blask twoich oczu ani uczciwość serca nie odwiedzie mnie od tego postanowienia.

Miał nadzieję, że była kochanka zrozumie tę aluzję.

Ale co z Jane? Dwa dni po wysłaniu listu poszedł do domu Flemingów w Shoreditch. Wciąż był w melancholijnym nastroju. Zdał sobie sprawę, że po zobaczeniu królowej niemal przestał spotykać się z Jane. Przyjęła go życzliwie, choć dziwnie się zachowywała. Krzątała się po domu, ledwo zwracając na niego uwagę. Zapytał, czy wybrałaby się z nim na przechadzkę. Odpowiedziała, że nie teraz. Więc może później? Tak, kiedy indziej.

– Jaka jest przyczyna twojej oziębłości? – zapytał, myśląc o lady Redlynch.

– Jakiej oziębłości? – Uśmiechnęła się ze zdziwieniem.

– Nie chcesz pójść ze mną na przechadzkę.

– Sam widzisz – wskazała na stosy kostiumów – że mam dużo pracy.

Wróciła do swoich zajęć, właściwie go ignorując. Nie chcąc narazić się na kolejną odmowę, wziął kapelusz i wyszedł.

Rok 1598

Początek roku upłynął Edmundowi w ponurym nastroju. Jego literackie wysiłki spełzły na niczym. Zaproponował swoją sztukę zespołowi Lorda Admirała, ale z żalem odmówili. „Za dobra dla nas. Zbyt wyrafinowana”, tłumaczyli. I na tym się skończyło. Minął kolejny miesiąc. I jeszcze jeden. Posępny nastrój się pogłębiał. Nadszedł Wielki Post. A potem wielka przemiana.

Początkowo jego znajomi nie mogli w nią uwierzyć. Owszem, Edmund nadal bywał beztroski i sypał dowcipami, ale reszta… Jego piękne stroje zniknęły. Ubierał się w prostą, zazwyczaj brązową koszulę, nosił mniejszy kapelusz ozdobiony jedynie skromnym piórem, a nawet zapuścił brodę. Wyglądał jak człek utrzymujący się z pracy. Gdy Stern i Rose wyrazili zdziwienie, nazwał ich gogusiami. Ale największe zaskoczenie wywołały jego następne słowa: „Zamierzam napisać sztukę. I to nie dla dworu, ale dla zwykłych ludzi. Taką, którą można wystawić w Curtain”.

Tylko ten teatr mu pozostał. I nic nie mogło go zniechęcić. Wcześniej był pewny siebie, a teraz zdeterminowany. Gdy bracia Burbage wyrazili wątpliwość, czy potrafi napisać coś takiego, przypomniał im chłodno, że są mu winni pięćdziesiąt pięć funtów. Przyznali więc niechętnie, że należą mu się od nich pewne względy, i zapytali, jaki ma pomysł. „Piszę sztukę historyczną. Będzie w niej dużo walk i pojedynków”. Oczywiście widział wcześniej takie przedstawienia, teraz jednak uznał, że powinien uważnie przeczytać i zanalizować wszystkie teksty.

I tu napotkał problem. O teksty wcale nie było łatwo, bo ich los był dość szczególny. Po napisaniu sztukę dzielono na krótkie fragmenty zawierające kwestie poszczególnych aktorów. Sceniczne instrukcje trafiały do garderobianego, który przygotowywał rekwizyty i kostiumy. Jedynie autor i kierownik teatru mieli w posiadaniu cały tekst i pilnie go strzegli. Zdarzało się, że po pewnym czasie sztukę drukowano w całości, ale zazwyczaj nawet takie egzemplarze przepadały. A im większe sukcesy odnosił dany utwór, tym mniej prawdopodobne było, żeby autor dał go do druku.

W owych czasach nie obowiązywały prawa autorskie. Jeśli jakiś zespół zdobył tekst sztuki i wystawił wersję piracką, nie płacąc autorowi honorarium, nic nie można było na to poradzić. Dlatego każdy egzemplarz

był cenny. Shakespeare nie drukował swoich utworów – żaden nie ukazał się za jego życia – ale nie dlatego, że ich nie cenił. Po prostu dbał o swoje zarobki.

Edmund mógł oczywiście poprosić braci Burbage o kopie kilkunastu sztuk, ale wcale się do tego nie palił z obawy, że zostanie to uznane za dowód braku kreatywności. Wpadł jednak na inny pomysł. Fragmenty przeznaczone dla poszczególnych aktorów przechowywano zazwyczaj u garderobianego na wypadek powrotu sztuki na scenę. Fleming z pewnością mógł złożyć z nich całość. Tuż przed Wielkanocą Edmund przyszedł do Jane i poprosił ją o odszukanie tekstów.

Miała dużo pracy. Pierwsze miesiące w Curtain okazały się trudne. Garderoba była znacznie mniejsza niż w Theatre, scena dużo gorsza. I co rusz musieli ustępować miejsca innym widowiskom, jak choćby walkom kogutów. Jane nieustannie musiała przenosić kostiumy i dokonywać ich przeglądu.

Powtarzała sobie, że przy takim nawale pracy nie ma czasu myśleć o Edmundzie. Słyszała, że jego romans z lady Redlynch dobiegł końca; po Bożym Narodzeniu on był tak przybity, że nie zaglądał do teatru, więc się nie widywali. Zresztą i tak przestała myśleć o mężczyznach. No, może z wyjątkiem Doggeta.

Trudno powiedzieć, jak właściwie pojawił się w jej życiu. Wcześniej widywała go czasem wśród znajomych Edmunda. Mniej więcej w styczniu zaczęła zwracać na niego większą uwagę. A on często kręcił się w pobliżu. Potrafił ją rozśmieszyć. Była mu za to wdzięczna. Ale dopiero drobne wydarzenie z początku lutego wywarło na niej duże wrażenie. Aktorzy i ich znajomi, w tym Dogget, często chodzili razem do gospody. Któregoś razu nie mogła im towarzyszyć, bo w garderobie było mnóstwo pracy. Dogget został, żeby jej pomóc – przez pięć godzin porządkował i czyścił kostiumy,

jakby to była najzwyklejsza rzecz na świecie. Co oczywiście dało jej do myślenia: czy Edmund Meredith też by tak postąpił?

Nawiązała się między nimi nić przyjaźni. Dogget przychodził często i zabierał ją na spacery. Dobrze się czuła w jego obecności. Pod koniec lutego pocałował ją, ale niewinnie, jakby więcej nie oczekiwał. A tydzień później Jane rzuciła żartobliwie:

– Pewnie miałeś już dużo dziewczyn.

– Ani jednej – odparł z wesołym błyskiem w oku, na co oboje się roześmiali. A dwa tygodnie później dała mu do zrozumienia, że może pocałować ją w usta. Sprawiło jej to przyjemność.

Gdy więc koło Wielkanocy matka zauważyła nieśmiało: – Ten Dogget zaleca się do ciebie. Byłabyś z nim szczęśliwa? – Jane odpowiedziała z wahaniem: – Chyba tak.

Owszem, miała pewne wątpliwości, ale ich powód był tak absurdalny, że nie przywiązywała do nich szczególnej wagi. Coś podobnego czuła, gdy z całym zespołem wyruszali w drogę na przedstawienia objazdowe: chęć zobaczenia nowych miejsc, przeżycia czegoś ekscytującego. Podobnie musieli się czuć wędrowcy w dalekich krajach. Takie myśli nie nawiedzały do tej pory nikogo z rodziny Flemingów, przynajmniej nic o tym nie wiedziała, więc uznała je za bezsensowne i dziecinne. Dogget z warsztatem w Southwark nie zaspokajał tej mglistej tęsknoty za czymś nieznanym, ale czy to takie ważne? Tak, mogłaby być z nim szczęśliwa. A potem znów pojawił się Meredith.

Edmund przywitał nadejście wiosny w dobrym nastroju. Sztuka, którą wymyślił, opowiadała o Wielkiej Armadzie. Pojawiały się w niej wspaniałe przemówienia królowej, Drake’a i kilku innych wilków morskich. Na scenie toczyły się walki, w których parę razy padał strzał z armaty. Edmund był pewien, że tak głośnej sztuki jeszcze w Londynie nie wystawiono.

Końcowy monolog, o tym, jak hiszpańskie okręty zatonęły podczas sztormu zesłanego przez Boga, zamierzał napisać najbardziej górnolotnym językiem wzorowanym na sztukach Marlowe'a. „Lud będzie zachwycony", zapowiadał.

Pod koniec maja, gdy gotowy był już pierwszy akt, Edmund nabrał jeszcze większej pewności siebie. Znów wyobrażał sobie, jak zadziwi świat. A z tym wyobrażeniem pojawiła się myśl, że chciałby mieć wtedy przy sobie Jane. Najwyższy czas, aby ją odzyskać. Na początku czerwca dał jej bukiet kwiatów. A tydzień później podarował srebrną bransoletkę. Nie czuł niepokoju, że zaniedbywana przez długi czas dziewczyna przeżywa teraz wahania.

Gdy przyszedł po raz pierwszy, prosząc o pomoc, Jane przyjęła to spokojnie. Owszem, była trochę zaciekawiona zmianą, jaka w nim zaszła. Rozmawiali o tym wszyscy jego znajomi. A kwiaty i bransoletkę uznała za wyraz wdzięczności za skompletowanie tekstów. Gdyby nawet chodziło mu o coś więcej, to i tak nie potraktowałaby tego poważnie, wiedząc, że zaraz zmieni zdanie i znajdzie sobie nową lady Redlynch.

Tymczasem sytuacja w Curtain wcale się nie poprawiła. Pomimo największych zabiegów licząca się publiczność nie chciała przychodzić do takiego miejsca. Wśród aktorów też pojawiały się spięcia. Część, pod przywództwem klauna, uważała, że powinni dostarczać widzom jeszcze prostszej rozrywki. Inni, w tym Shakespeare, niecierpliwili się coraz bardziej, bo chcieli podnosić poziom spektakli.

– Teatr przynosi za mało pieniędzy – wyznał ojciec któregoś dnia. – A bracia Burbage mają podobno problemy finansowe. W tym teatrze nigdy nie staniemy na nogi – zakończył. Gdyby tylko mogli powrócić na prawdziwą scenę. Jane usłyszała kiedyś przypadkiem słowa jednego z braci Burbage:

– To jest podwójnie irytujące. W końcu sami zbudowaliśmy tam teatr.

Jakieś dwadzieścia lat wcześniej bracia wznieśli na dzierżawionej działce drewniany budynek, ale gdy umowa dzierżawy wygasła, stracili tam prawo wstępu. Na początku czerwca ojciec powiedział do Jane ze smutkiem:

– Obawiam się, że to będzie nasz ostatni sezon.

Dlatego Jane nie myślała o Edmundzie. Tłumaczyła sobie, że po rozwiązaniu trupy nikt nie przyjmie jego sztuki, a wtedy Edmund nie odważy się na ślub. Myśląc jak dojrzała kobieta, doszła do wniosku, że wzbudzała jego zainteresowanie głównie dlatego, że należy do świata teatru. Dogget zaś lubił ją za to, jaka była. Dlatego odnosiła się do Edmunda przyjaźnie, ale nic więcej.

Gdy lato było już w pełni, obiecała Doggetowi, że któregoś wieczoru wypłyną łodzią na rzekę. Czekała na to z niecierpliwością. Ale tego samego popołudnia przyszedł Edmund. On i grupka znajomych wybierali się do Islington Woods, gdzie na polanie chcieli zrobić piknik i zapewne improwizować krótkie sceny teatralne. Odmówiła uprzejmie i Edmund wyszedł. Przyszło jej do głowy, że może powinna była zaproponować, że przyjdzie razem z Doggetem, jednak szybko odrzuciła tę myśl. Dogget mógłby poczuć się oszukany, poza tym było już za późno.

Ale gdy płynęli do Chelsea – Dogget z uśmiechem poruszał wiosłami – poczuła dziwny smutek, wręcz irytację. A kiedy wrócili do Shoreditch i Dogget pociągnął ją w cień przy opustoszałym teatrze, rozkojarzona ledwo reagowała na jego pocałunki.

Przed rozstaniem umówili się, że za dwa dni znów gdzieś się razem wybiorą. Jane postanowiła, że wtedy jej pocałunki będą bardziej namiętne.

Dzień po wyruszeniu z Londynu ojciec przekazał jej smutną wiadomość, prosząc, aby nic nie mówiła aktorom.

– Shakespeare dał wymówienie. Zapowiedział braciom Burbage, że jeśli nie znajdą mu teatru, to rzuca scenę i się wycofuje. – Fleming uznał, że groźba jest realna, bo Shakespeare miał dom i ziemię w Stratfordzie. – Może się przenieść na wieś choćby jutro.

– Została nam jakaś nadzieja? – spytała.

– Bardzo niewielka. Burbage'owie zaproponowali Gilesowi Allenowi nową opłatę za dzierżawę Theatre. Jest tak wysoka, że Allen podobno ją rozważa, choć boi się Ducketa i innych rajców. Osobiście wątpię, aby Burbage'ów było na to stać, ale co mają zrobić. – Uśmiechnął się blado. – Allen ma podjąć decyzję do jesieni. Jeśli odmówi… – Rozłożył ręce. – Czekają mnie szpilki i wstążki. I ciebie chyba też.

Gdy tak przez całe lato wędrowali z miasta do miasta, Jane często myślała o opustoszałym teatrze. A także, nie mogła zaprzeczyć, o Edmundzie i jego sztuce.

Było chłodne, październikowe popołudnie. Edmund Meredith zmierzał do domu Burbage'ów. Był w refleksyjnym i zarazem pogodnym nastroju.

Myślał o Cuthbercie Carpenterze. Przez całą godzinę wysłuchiwał w gospodzie „U George'a" jego zwierzeń. Jego babka robiła się coraz bardziej despotyczna. Była ostatecznie przekonana, że jej wnuk, z powodu zamiłowania do rozrywek, jest skazany na piekło. Opowiedziała o swoich obawach mistrzowi Carpentera, a ten, pobożny purytanin, zaczął wynajdywać w pracy Cuthberta wszelkie możliwe błędy.

„Muszę sobie poszukać innego majstra – mówił Carpenter. – Ale prawie wszyscy najlepsi też są purytanami i wątpię, aby zechcieli przyjąć kogoś o tak zszarganej opinii. I nawet gdybym przysiągł, że nigdy już nie pójdę do teatru, to i tak niewiele mi to pomoże".

Edmund pocieszał go, ale nie wiedział, jak mu pomóc.

Jego wesołość miała dużo ważniejszą przyczynę. Sztuka była skończona – nastąpiło ostatnie wezwanie do walki, ostatni wystrzał z armaty. Była prawdziwym arcydziełem, połączeniem melodramatu, patosu i hałasu. Dwa dni wcześniej wysłał wiadomość do braci Burbage, a oni zaprosili go na spotkanie. Edmund trzymał pod pachą tekst sztuki.

Zdziwił się, widząc, że na spotkanie przyszedł także Shakespeare i inni aktorzy. Tego się nie spodziewał. Wszyscy mieli smutne miny i patrzyli na niego z powagą ponad dębowym stołem. Pierwszy odezwał się Burbage:

– Obawiam się, że nadszedł kres trupy Szambelana. Nie będziemy więcej występować w Curtain.

Wybałuszył oczy ze zdumienia.

– Ale moja sztuka… – Jakby jego dramatopisarstwo miało coś zmienić. – Napisałem ją z myślą o Curtain.

– Przykro mi. – Burbage skinął uprzejmie głową w kierunku stosu bezużytecznych już kartek. – Wezwaliśmy cię, bo pożyczyłeś nam pieniądze.

– Pięćdziesiąt pięć funtów – powiedział drugi Burbage z wyraźnym szacunkiem wobec takiej kwoty.

– Nie możemy jednak określić kiedy, jeśli w ogóle, dług zostanie zwrócony – dorzucił pierwszy.

Edmund osłupiał.

– Nie ma innego wyjścia?

– Próbowaliśmy na nowo wydzierżawić Theatre – wyjaśnił Shakespeare. – Allen odmówił. – Wzruszył ramionami.

Potem przez kilka minut wszyscy wyjaśniali Edmundowi, z jakimi problemami muszą się zmagać.

Zawsze dbał o to, żeby dobrze wypaść przed ludźmi. Teraz jednak, nawet nie zdając sobie z tego sprawy, ukrył twarz w dłoniach i omal się nie

rozpłakał. Po jakimś czasie wstał i skinąwszy lekko głową na pożegnanie, wyszedł.

Wracał powoli do domu, rozważając nową sytuację. Aktorzy nie mieli szanowanej sceny. I nic nie dało się na to poradzić. Był tak zdenerwowany, że zapomniał o swojej sztuce.

Gdy znalazł się przy Staple Inn, nagle przyszedł mu do głowy pomysł. Rzucił się biegiem z powrotem do domu Burbage'ów. Wpadł przez drzwi i widząc, że wszyscy nadal siedzą przy stole, krzyknął:

– Pokażcie mi umowę dzierżawy!

Przecież był prawnikiem.

Po kilku chwilach wszystko im wyjaśnił. Jego pomysł był tak śmiały, tak szokujący, tak sprytny, że przez jakiś czas nikt się nie odzywał.

– Będziemy musieli bardzo uważać, aby nikomu nie zdradzić naszych zamiarów – powiedział na koniec.

Shakespeare uśmiechnął się szeroko.

Jedna z największych zmian, które zaszły w Anglii w ciągu stu lat panowania Tudorów, praktycznie nie została zauważona.

Proces ten zaczął się za życia króla Henryka, nie postępował jednak gwałtownie. Dopiero w połowie rządów Elżbiety stał się odczuwalny: w Anglii zrobiło się zimniej.

Mała epoka lodowcowa z XVI i XVII wieku nie wzbudziła niepokoju. Na wyspę nie nasunęły się ściany lodu, morze się nie cofnęło. Ale w ciągu kilku dziesięcioleci średnia temperatura spadła o kilka stopni. Przez większą część roku było to praktycznie niezauważalne. Lato wciąż przynosiło ciepłe dni, wiosną i jesienią było odrobinę chłodniej. Dopiero zimą ludzie odczuwali różnicę. Opady śniegu przychodziły wcześniej i były bardziej obfite. Wieczorami z dachów zwieszały się grube ciężkie sople.

Ale przede wszystkim, i to była rzecz rzadko widywana nawet w czasie najsroższych zim, zamarzały rzeki.

Te zmiany były echem odległej mroźnej przeszłości. Oraz przypomnieniem – o ile ktoś tego potrzebował – że chociaż renesans znad ciepłego Morza Śródziemnego rozgościł się na dworze, opanował uniwersytety i teatry, to Anglia wciąż była częścią Północy. W grudniu 1598 roku Tamizę skuł gruby lód.

Nikt nie zwrócił szczególnej uwagi na mężczyzn, którzy w zapadającym zmierzchu zbliżali się wąską uliczką do Shoreditch. Nieśli młotki, piły i dłuta. Gdyby ktoś chciał ich obserwować, zauważyłby coś dziwnego. Jeden po drugim znikali w wąskim domku Fleminga. Zapadła ciemność. W środku zniknęło jeszcze dwóch ludzi. Byli to bracia Burbage. Po nich pojawiła się szczuplejsza postać i lekkim krokiem weszła przez próg. Mrok był coraz gęstszy.

Policzki Cuthberta Carpentera błyszczały. Dali mu paszteciki z mięsem i gorący grog. Siedział na ławce pomiędzy drugim stolarzem a stosem przepoconych kostiumów, a uśmiech nie schodził mu z ust. Czegoś tak ekscytującego jeszcze nigdy nie robił.

A wszystko dzięki Meredithowi. To Edmund półtora miesiąca wcześniej znalazł mu nowego mistrza, a trzy dni temu zachęcił do naprawdę śmiałego kroku: wyprowadzki od babki. Ale to były jedynie drobne przewinienia w porównaniu z tym, w co dał się wciągnąć teraz. Po tej nocy na pewno już trafi do piekła. Ale co dziwne, wcale się tym nie przejmował.

Minęła godzina. W sączącym się zza chmur słabym blasku księżyca ciemne fasady domów z zamkniętymi okiennicami wyglądały jak opuszczone teatralne garderoby. Na ulicach nie było żywej duszy.

W końcu o dziesiątej wieczorem drzwi do domu Fleminga otworzyły się gwałtownie. Mężczyźni wychodzili jeden po drugim, niektórzy nieśli

zasłonięte latarnie. W milczeniu zbliżyli się do majaczącej w mroku bryły Theatre. Burbage'owie zatrzymali się przy wejściu.

Pusty wielki cylinder teatru wyglądał w ciemnościach tajemniczo, wręcz groźnie. A jeśli to pułapka?, pomyślał Carpenter. Jeśli londyńscy rajcy już czekają, żeby ich aresztować? Przez chwilę wyobraźnia podsunęła mu jeszcze straszniejszy obraz: oto gdy znajdą się w środku, podłoga nagle otworzy się, ukazując tunel prowadzący wprost w czeluść piekielną. Odegnał tę głupią myśl i ruszył wzdłuż wysokiej ściany.

Rozległ się cichy trzask. To Burbage'owie wyważyli zamek. Po chwili wszyscy mężczyźni zniknęli wewnątrz Theatre.

Z wyjątkiem jednego. Edmund pozostał w domku Fleminga, bo wiedział, że będzie potrzebny dużo później. Leżał na ławie, przykryty czerwoną peleryną, którą nosił aktor grający Jana z Gandawy. Przymknął oczy i się uśmiechnął. Obok była Jane.

Ostatnio tak zbliżyli się do siebie, że niemal całkowicie zapomniała o Doggecie. To prawda, latem Edmund wzbudzał w niej poważne wątpliwości, ale wydarzenia z jesieni wszystko odmieniły. Odnosiła wręcz wrażenie, że stał się zupełnie innym człowiekiem. I nie chodziło tylko o to, że miał w sobie jakąś niewzruszoną siłę, ale o jego determinację i sumienność, których wcześniej nie widziała. Na trzy tygodnie zamknął się w Staple Inn, gdzie zapoznawał się z prawnymi precedensami i umowami najmu, aż w końcu przedstawił Burbage'om uzasadnienie zaplanowanej nocnej akcji. Prawnik, który przeczytał jego argumentację, nie miał żadnych zastrzeżeń. Edmund występował teraz w roli adwokata aktorskiej trupy, nie biorąc za to żadnego wynagrodzenia. „Robi to nie tylko dla siebie, ale też dla dobra innych", oznajmiła Jane rodzicom.

Podobała jej się śmiałość tego planu. To dlatego pochyliła się teraz, pocałowała Edmunda w usta i powiedziała ze śmiechem:

– Wyglądasz jak pirat.

Stuk, stuk. Początkowo starali się tłumić uderzenia. Stolarze znali się na robocie. W całym wnętrzu poluzowano spoiny i złącza, usunąwszy z nich tynk, wyważono delikatnie deski. Wszystko jak najciszej, w świetle lampek. Ze sceny pozostał już tylko szkielet. A na godzinę przed świtem rozległy się mocne uderzenia młotków.

Z okolicznych okien wychyliło się kilka głów. Ktoś krzyknął. Otworzyły się jakieś drzwi. Na ulicę wychodzili sąsiedzi otuleni w peleryny – przywitał ich Edmund Meredith, uśmiechnięty, uprzejmy, jakby nie działo się nic szczególnego. Zapewniał wszystkich, że hałas wkrótce ustanie. A gdy ktoś zapytał, co to za roboty, rzucił obojętnie:

– Demontujemy Theatre. Przenosimy go w inne miejsce.

Na tym właśnie polegał jego plan. Burbage'owie posunęli się do czynu wyjątkowego w całej historii teatru: rozłożyli budynek na części, a potem postawili go ponownie w innym miejscu.

Słońce stało już wysoko, gdy rajca Ducket przecisnął się przez tłum gapiów. Był pobladły ze złości. Domagał się wyjaśnień.

– Po prostu zabieramy nasz teatr – oznajmił Edmund grzecznie.

– Nie ważcie się go tknąć! Ten teatr należy do Gilesa Allena, a wasza dzierżawa już się zakończyła.

Meredith uśmiechnął się zniewalająco.

– Grunt rzeczywiście należy do Allena. Ale teatr zbudowali bracia Burbage i to oni są jego właścicielami. – Umowa najmu miała lukę, którą Edmund zauważył i sprytnie wykorzystał.

– On was postawi przed sądem – zaprotestował Ducket.

– To możliwe – zgodził się niewzruszony Edmund. – Ale moim zdaniem przegra.

– Gdzie, do diabła, jest Allen? – zapytał Ducket.

– Nie mam pojęcia. – Edmund wzruszył ramionami. Ale tak naprawdę wiedział dobrze, że dwa dni wcześniej kupiec wyjechał wraz z rodziną do West Country.

– Zaraz położę kres temu bezprawiu! – wściekał się Duket.

– Naprawdę? – zaciekawił się Edmund. – A co daje wam taką władzę?

– Jestem rajcą!

– Ależ panie, chyba pamięć wam nie dopisuje. – Zatoczył ręką koło. – Tu jest Shoreditch. Nie jesteśmy w Londynie. – Ukłonił się dwornie. – Wasza władza tu nie sięga.

Zawsze potem uważał, że to była jedna z najszczęśliwszych chwil jego życia.

Do południa rozebrano scenę i pół górnej galerii i załadowano wszystko na wozy. Ducket przyprowadził kilku ludzi, żeby powstrzymać rozbiórkę, ale Meredith zagroził, że oskarży ich o wywoływanie burd i zakłócanie spokoju. Musieli ustąpić. Jeszcze przed zmierzchem stolarze zabrali się do demontowania dolnej galerii. Nikt nie ośmielił się im przeszkadzać. Jednak na wszelki wypadek przez całą noc wystawiali przy drzwiach wartę, a Cuthbert Carpenter triumfalnie rozpalił na środku małe ognisko, żeby mogli się ogrzać.

W przededniu Nowego Roku budynek teatru zniknął z Shoreditch.

To śmiałe przedsięwzięcie było też podyktowane koniecznością. Gdyby bracia Burbage chcieli wznieść nowy teatr, to nawet nie mając finansowych kłopotów spowodowanych niepowodzeniem w Blackfriars, napotkaliby ogromny problem: cenę drewna. W ciągu niecałego stulecia ludność Londynu powiększyła się czterokrotnie, a wraz z tym wzrósł popyt na drewno. Mocne belki z wolno rosnącego dębu, niezbędne do podparcia konstrukcji mającej utrzymać niesforną widownię, były wręcz na wagę

złota. Wielki ładunek dębiny wywożony teraz z Shoreditch wart był majątek.

Bracia wybrali doskonałe miejsce dla nowego teatru. Była to pusta parcela w Bankside, leżąca w granicach Liberty of the Clink, ale oddalona nieco od okolicznych domów publicznych. Był bezpośredni dostęp do rzeki, więc szacowni obywatele mogli przypłynąć łodzią, nie narażając się po drodze na żadne niedogodności. Choć rozmowy z właścicielem terenu były na ukończeniu, to umowy nadal nie podpisano. Drewno trzeba będzie gdzieś składować przez tydzień lub dwa. No i należało przezwyciężyć jeszcze jedną trudność.

Rajca Ducket dyszał z wściekłości, ale był rozważnym człowiekiem. Najpierw zasięgnął rady, dopiero potem zastawił pułapkę. Dokument potwierdzający jego władzę został podpisany przez kilku rajców. Dwudziestu ludzi, którzy mieli przejąć wozy, czekało na razie w ukryciu. Los mu sprzyjał, bo jak donieśli mu szpiedzy, Burbage'owie lekkomyślnie postanowili przewieźć całe cenne drewno za jednym razem. Wynajęli do tego wielkie wozy.

„Gdy dotrą do mostu, będą musieli się zatrzymać, żeby opłacić myto. Wtedy uderzymy – tłumaczył Ducket innym rajcom. – Na terenie miasta nikt nie będzie mógł zakwestionować naszej władzy. Moi ludzie przejmą wozy. Skonfiskujemy całe drewno pod pretekstem, że pochodzi z kradzieży. – Uśmiechnął się. – A Giles Allen po powrocie skieruje sprawę do sądu".

„A jeśli Meredith ma rację i Allen przegra?", spytał któryś z rajców.

„To bez znaczenia. Sprawa może ciągnąć się latami – zauważył Ducket. – A przez ten czas nie będą mieli ani drewna, ani teatru. – Wyszczerzył się w uśmiechu. – Mam nadzieję, że to ich zrujnuje".

I teraz, w ostatnim dniu roku, czekał cierpliwie przy moście. Zbliżało się południe. Wkrótce powinny się pojawić wozy.

Wozy zbliżały się powoli do Bishopsgate. Edmund siedział na czele kolumny. Obserwował uważnie ulicę, ale nic nie wzbudziło jego podejrzeń. Nawet stara ufortyfikowana brama wyglądała zachęcająco. Stąd droga prowadziła prosto do mostu. Edmund uśmiechnął się z zadowoleniem.

Tuż przed bramą pierwszy furgon nieoczekiwanie skręcił w lewo i po chwili toczył się drogą okrążającą miejskie mury. Reszta wozów podążyła za nim. Wkrótce, mając Tower kilkaset metrów dalej po prawej stronie, wjechali na zamarznięty wyboisty trakt przecinający otwarty teren i schodzący wprost do rzeki.

Z wjazdu na London Bridge zamarznięta Tamiza przedstawiała pogodny widok. Po zachodniej stronie kilku handlarzy ustawiło na lodzie stragany, sprzedawano prażone orzechy i słodycze. Nieco dalej, na wysokości Bankside, gromady dzieci i wyrostków jeździły na łyżwach i sankach. Wprawdzie rajca Ducket był purytaninem, ale nie sprzeciwiał się takim nieszkodliwym rozrywkom, a nawet patrzył na nie przychylnie.

Nagle zmarszczył brwi. Gdzie, do diabła, są wozy? Przecież już powinny tu być. Czyżby zatrzymał ich jakiś głupiec przy bramie? Korciło go, żeby pójść do Bishopsgate, ale się powstrzymał. Mijały minuty. Chwilę później Ducket spojrzał w dół rzeki.

Dziesięć wozów dotarło już niemal na środek Tamizy. Znajdowały się kilkaset metrów poniżej Tower. Ranek był pochmurny, ale rajca widział wszystko ze szczegółami. Zauważył nawet Mereditha na pierwszym wozie. Przez dłuższą chwilę nie mógł wydusić z siebie słowa. Przyszło mu do głowy, że lód się załamie. Lecz wozy jechały dalej.

Wkrótce dotarły do warsztatu Johna Doggeta, który zgodził się przechować drewno. Rajca patrzył bezradnie, jak robotnicy rozładowują cenny budulec.

Rok 1599

Dwudziestego pierwszego lutego 1599 roku w Londynie podpisano dokument, który szczęśliwym zrządzeniem losu zachował się dla potomności. Była to umowa dzierżawy, w której niejaki Nicholas Brend, właściciel parceli na Bankside, zgodził się na budowę i działanie teatru na użyczanym terenie. Umowa była niezwykła pod jednym względem: najemcą nie był pojedynczy człowiek, ale grupa, a ponadto precyzyjnie określono udziały każdej osoby w przedsięwzięciu. Połowa należała do braci Burbage, a druga połowa została równo podzielona pomiędzy pięciu członków trupy Szambelana. Jednym z nich był William Shakespeare. Nowy teatr stanowił własność trupy i był przez nią zarządzany. Otrzymał też nową nazwę: Globe.

Cuthbert Carpenter wiedział, co myśli babcia, bo czuł się w obowiązku odwiedzać ją i siostrę raz w tygodniu. Bankside to Sodoma i Gomora, a teatr to świątynia Molocha. Ale jeśli Bóg, jak wierzyła babka, skazał go już na ogień piekielny, to w zasadzie nic nie mógł na to poradzić. I z wolnej woli pracował w świątyni Molocha. Jeszcze nigdy nie był tak szczęśliwy jak teraz.

Budynek teatru Globe prezentował się pięknie. Wyglądał jak wielki bęben, którego średnica wynosiła dwadzieścia pięć metrów. Ściśle mówiąc, nie był okrągły, lecz jak inne teatry wielokątny, miał prawie dwadzieścia boków. W środku znajdowało się duże zagłębienie, a wokół trzypiętrowe galerie. Na tyłach dużej sceny była płaska ściana z dwoma wejściami dla

aktorów, po prawej i lewej stronie. Za drzwiami mieściła się garderoba. Powyżej drzwi, przez szerokość całej sceny, biegł balkon dla orkiestry. Nazywano go też „pańskim pokojem”, bo gdy podczas przedstawienia nie potrzebowano grajków, zasiadali w nim znamienici goście, którzy oglądając spektakl, mogli być też podziwiani przez publiczność.

Nad sceną znajdowało się zadaszenie, wsparte z przodu na dwóch mocnych filarach. Z czasem, gdy zostało ukończone i pomalowane w gwiazdy, zyskało nazwę „nieba”. Ale na Cuthbercie największe wrażenie robiła specjalna uprząż zawieszona na wyciągu i używana wtedy, gdy aktorzy musieli latać nad sceną.

A jeszcze dalej, za sceną, z dachu wyrastała wieżyczka, z której w dniach wystawiania spektakli trębacz obwieszczał całemu Londynowi, że niedługo rozpocznie się przedstawienie.

Cuthbert pracował przy budowie teatru przez cały marzec, kwiecień i maj, a gdy dach pokryto strzechą, malarze zaczęli ozdabiać zewnętrzne ściany – odwzorowywali na nich okna, klasyczne frontony i nisze – aż w końcu budynek Globe wyglądał jak podróbka rzymskiego amfiteatru. Gdy Cuthbert odwiedzał babkę, a ta pytała go czasem ostro, gdzie był, odpowiadał: „Dziś byłem w pańskim pokoju, babciu. I chyba widziałem niebo”. Nie wiedziała, co o tym myśleć.

Globe był prawie ukończony, a trupę ogarniała coraz większa ekscytacja. Cały Londyn wiedział już o śmiałym przejeździe przez zamarzniętą rzekę. Tak jak oczekiwano, Giles Allen podjął kroki prawne w związku z usunięciem budynku, ale to jedynie wzbudziło sympatię dla aktorów. Każdy miłośnik teatru z rozkoszą patrzył, jak za sprawą ludzi Szambelana nieuznający żadnych rozrywek rajcy wychodzą na głupców. Podobno dwór przyglądał się całej sprawie z rozbawieniem. I nawet członkowie trupy Lorda Admirała przyznali: „Uderzyliście w nich także w naszym imieniu”.

Wybór miejsca na teatr okazał się wyjątkowo trafny. Jego jedyna wada – i to niewielka – dotyczyła dojazdu.

Żeby dotrzeć do Globe pieszo, trzeba było przejść przez London Bridge – chyba że mieszkało się w Southwark. Dla tych, którzy przybywali ze wschodniej części miasta, była to najkrótsza droga. Jednak mieszkańcy zachodniej części albo ci z okolic Inns of Court musieli nadłożyć sporo drogi bądź przeprawić się przez rzekę łodzią, co było dość kosztowne – kurs barką, w której zmieściłoby się osiem osób, oznaczał dodatkowy wydatek w wysokości sześciu pensów. „Możemy przez to stracić część młodych prawników”, powiedział kiedyś Fleming do Jane. Ale pracy było tyle, że nikt nie zaprzątał sobie głowy tą drugorzędną kwestią.

Nowa siedziba teatru oznaczała dla rodziny Flemingów przeprowadzkę. W kwietniu ojciec Jane podjął rozmowy z kilkoma właścicielami domów, szukając odpowiedniego mieszkania w pobliżu Globe, byle niezbyt blisko domów publicznych.

Któregoś popołudnia na początku maja Jane, wracając do domu po obejrzeniu mieszkania, którym jej ojciec był zainteresowany, spotkała Johna Doggeta. A ponieważ żadne z nich nie miało akurat nic do roboty, poszli razem do gospody „U George’a”.

Dogget był wesół jak zawsze. Jesienią rzadko się widywali, więc ucieszył się na jej widok. A gdy wspomniała, że niedługo przenoszą się do Southwark, uśmiechnął się przyjaźnie.

– To świetnie, będziecie mieszkali niedaleko od nas.

Jane zorientowała się, że też się na to cieszy. Czas w towarzystwie Ducketa upływał tak miło, że nawet nie spostrzegła, jak minęła godzina, a potem następna. Tak naprawdę spotkanie zakończyła jej od niechcenia rzucona uwaga o dużych kosztach przeprawy przez rzekę do Globe. John

poprosił ją o kilka dodatkowych wyjaśnień, a potem zamyślił się na dłuższą chwilę. W końcu jego twarz rozjaśniła się szerokim uśmiechem.

– Chodź ze mną, coś ci pokażę – powiedział.

Zachodzące słońce rzucało na rzekę czerwony blask. Dotarli do warsztatu Doggeta. Jane patrzyła ze zdziwieniem, jak John wyciąga deski z hangaru. Potem zapalił dwie latarnie, powiesił je na belce i rozkazał:

– Odwróć się.

Patrząc na czerwone niebo, usłyszała szelest zdejmowanych plandek, a potem dobiegł ją jego głos:

– Teraz możesz spojrzeć.

Zobaczyła długą, zdobioną złotem łódź: skarb Doggeta. Uśmiechnął się.

– Nada się? Można nią przewozić ludzi do Globe.

Nareszcie znalazł odpowiednie przeznaczenie dla barki króla Henryka!

– Zmieści się na niej trzydzieści osób. Nie zatonie – zapewnił.

Przez następne pół godziny przesiadali się z miejsca na miejsce, roześmiani jak dzieci, które szykują jakąś psotę.

O zmierzchu zaproponował, że odprowadzi ją do domu.

Sztuka była gotowa.

Pomysłu dostarczył mu *Kupiec wenecki* Shakespeare’a. Bohaterem jest łotr, który chce wyrządzić komuś wielkie zło, ale siły dobra triumfują. Nic skomplikowanego. Jednak Edmunda najbardziej uderzyło to, że występujący w sztuce czarny charakter był wyrzutkiem, postacią mocno wyrazistą. Tego mu właśnie było trzeba: łajdaka, który jest kimś niezwykłym, wyjątkowym i groźnym nie tylko z powodu swoich czynów. Kogoś tajemniczego. Ale kto miałby nim być? Jezuita? Hiszpan? Zbyt oczywiste. Wysilał umysł, szukając czegoś oryginalnego, aż nagle przypomniał sobie dziwnego mężczyznę, z którym dwa lata wcześniej starł się podczas walki psów z niedźwiedziem. Czarnego Barnikela. Pirata.

Murzyn. Maur i do tego pirat. Czy można znaleźć bardziej obce i groźne indywiduum? Publiczność nie będzie mogła oderwać od niego oczu.

Uczynił z Maura odrażającego bohatera. Bardziej ohydnego niż Tamerlan i podstępny Mefistofeles. Dialogi i monologi, wspaniałe i przerażające jednocześnie, ujawniały ukryte w nim zło. Nie ma na swoje usprawiedliwienie ani jednej pozytywnej cechy. Na koniec wpada we własne sidła, staje przed sądem i okazawszy się tchórzem, zostaje skazany na hańbiącą śmierć. Meredith mógł wreszcie odłożyć pióro. Był pewien: w końcu zadziwi cały świat.

Postanowił rozerwać się wieczorem. I zrobił coś, czego nie robił od dawna. Włożył bufiaste pumpy, białą koronkową kryzę i kapelusz z pękiem piór.

Zapadł już zmierzch, gdy Edmund i dama przekraczali most. Ją nieśli w lektyce dwaj służący, on szedł obok, oświetlając drogę latarnią. Spotkali się na spektaklu wystawianym przez trupę Admirała, a potem z licznym towarzystwem poszli na kolację do pobliskiej gospody. Dotąd Edmund znał ją słabo jako znajomą lady Redlynch, ale ona chyba wiedziała o nim więcej, bo gdy tylko zauważyła go na galerii, zwróciła się do niego zalotnie: „Widzę, panie Meredith, że znów ubierasz się jak dżentelmen”. I najwyraźniej to, czego dowiedziała się o nim od lady Redlynch, wystarczyło, bo dała jasno do zrozumienia, że tej nocy chce go mieć przy swoim boku.

Gdy zatrzymali się na chwilę sto metrów od północnego skraju mostu, z mroku wyłonili się Jane i Dogget, wracający właśnie z hangaru.

Gdyby się nie zatrzymali i gdyby Edmund nie pochylił się ku lektyce, Jane zapewne by go nie rozpoznała. Ale on akurat podniósł lampę, która wyraźnie oświetliła mu twarz. Nie, nie mogła się mylić. Nawet z tej odległości widziała ich oboje: przystojną, arystokratyczną twarz Edmunda

i wymalowaną piękność. Ona coś powiedziała, on się roześmiał. A potem dama wzięła Edmunda za rękę. Przez chwilę Jane myślała, że on cofnie dłoń. Ale tego nie zrobił. Przystanęła.

Znowu to samo. Nic się nie zmieniło. Zrozumiała to i poczuła w sercu bolesne ukłucie.

Dogget niczego nie zauważył, wciąż mówił coś do niej beztrosko. Zmusiła się, żeby pójść dalej. John zdziwił się, gdy w pewnej chwili wzięła go za rękę.

Byli może pięćdziesiąt metrów za lektyką, gdy Edmund się odwrócił. Trzymał latarnię tuż przy twarzy i pewnie by ich nie rozpoznał, gdyby nie białe pasmo włosów na głowie Doggeta. Przyglądał się parze przez chwilę i po znajomym kroku domyślił się, że kobietą jest Jane.

Poczuł rozterkę. Wiedział, że Jane przyjaźni się z Doggetem. Czyżby jednak łączyło ich coś więcej? A może – przemknęło mu przez myśl – są kochankami? Nie, to nonsens. Jane nigdy by się do tego nie posunęła. Dogget po prostu odprowadza ją do domu. A on? Pożegna się z tą damą przed jej domem?

O mało do nich nie podszedł. Nie chciał jednak pokazać, że coś go zaniepokoiło, bo to byłoby poniżej jego godności. Zresztą co miałby zrobić? Zapewnić Jane o swoim uczuciu? Aż się zawstydził, widząc hipokryzję takiego zachowania, w końcu zamierzał spędzić noc w ramionach innej kobiety. Nie, niech ona sobie myśli, co chce. Mężczyzna taki jak on nie musi się nikomu tłumaczyć. Poza tym może go nie rozpoznała?

Po chwili Edmund i jego towarzyszka skręcili ku zachodniej części miasta, a Dogget i Jane poszli dalej na północ.

Tydzień później London Bridge przemierzała radosna kawalkada. W pierwszym wozie, załadowanym kostiumami, jechał Fleming z synem.

Drugim powoziła jego żona. Trzecim była otwarta furmanka wypełniona rekwizytami. Na górze usadowił się Cuthbert Carpenter, pilnujący, by nic nie spadło po drodze. W czwartym wozie, także pełnym rekwizytów, jechała Jane, a w piątym Dogget.

Ładunek na wozach przypominał kostiumy i dekoracje przygotowane na karnawał. Był tron, rama łóżka, złote berło i złote runo, łuk i kołczan Kupidyna, smok, lew, piekielne wrota. Był kocioł czarownicy, papieska mitra, wąż i drewniana równoważnia. Były zbroje, włócznie, miecze, trójzęby – wielka zbieranina rekwizytów znanych z legend i baśniowych podań. Ludzie zatrzymywali się i wybuchali śmiechem na widok tego niezwykłego ładunku, a pasażerowie wozów machali do nich wesoło.

Globe był gotowy do pierwszego spektaklu, Fleming znalazł dom w Southwark, więc można było przewieźć wszystkie rzeczy do nowej siedziby. I chyba nikt z towarzystwa nie promieniał taką radością jak Jane – bo właśnie podjęła trudną decyzję.

Meredith ją znudził. Zamiast niego wolała Doggeta. Od kiedy doszli do porozumienia, czuła się spokojna i szczęśliwa. Nie mogła się doczekać, aż powie o tym Edmundowi.

Dwa dni później Edmunda dopadły wątpliwości. Czy sztuka naprawdę jest dobra? Tydzień wcześniej dał ją braciom Burbage do przeczytania. Czas mijał, on zaś w udręce czekał na ich opinię. Zdenerwował się, gdy dwa dni po spotkaniu z aktorami złożył mu wizytę William Bull.

– Chyba najwyższy czas, żebym sam porozmawiał z Burbage’ami – oświadczył stanowczo. – Chcę moje pięćdziesiąt funtów.

– Nie możesz tego zrobić! – zawołał Edmund. Nie mógł przyznać, że przekazał pieniądze tylko w swoim imieniu. – To byłoby najgorsze posunięcie. – Przyszła mu do głowy nieprzyjemna myśl, że gdyby nie ten dług wobec niego, to Burbage’owie w ogóle nie wystawiliby jego sztuki.

– Dlaczego? – spytał William.

– Dlatego… – Edmund gorączkowo szukał jakiejś wymówki. – Dlatego, że oni są bardzo drażliwi. Miewają dziwne humory. Raz melancholia, raz rozdrażnienie. Globe przyniesie pierwsze prawdziwe zyski za trzy lata, a ty nie jesteś jedynym wierzycielem. Ale przekonałem ich, żeby ciebie spłacili w pierwszej kolejności – skłamał. – Jeśli pójdziesz do nich teraz, kiedy są zajęci pierwszymi spektaklami… Drogi kuzynie, postaw się w ich położeniu. Będą wściekli. A co więcej – dodał z udawanym oburzeniem – będą mieli rację. – Spojrzał na Bulla, podnosząc ostrzegawczo palec. – I wtedy będziesz musiał naprawdę poczekać.

Zauważył, że Bull się waha.

– Naprawdę tak myślisz?

– Jestem tego pewien.

– Dobrze. – Bull westchnął, zbierając się do wyjścia. – Ale pamiętaj, że liczę na ciebie.

– Możesz na mnie liczyć do grobowej deski – odparł Edmund z nieopisaną ulgą.

Nazajutrz otrzymał od Burbage’ów wiadomość, że za tydzień zostanie wystawiona jego sztuka.

Poranne słońce świeciło blado. Jane czekała na Edmunda przed teatrem. Następnego dnia miała się odbyć premiera jego sztuki.

Była ubrana na zielono. Chłodny wietrzyk znad Tamizy rozwiewał kosmyki jej rudawych włosów.

Była gotowa. Nie czuła już triumfu, raczej lekkie zdenerwowanie. Wiedziała jednak, na czym jej zależy. Zamierzała mu powiedzieć, że wychodzi za mąż.

Powinien niedługo przyjść, bo miała się odbyć próba generalna. Burbage’owie doskonale wywiązali się ze swojego zadania, Edmund nie

mógł mieć do nich najmniejszego zarzutu. Na drzwiach wisiał drukowany afisz: CZARNY MAUR. AUTOR: EDMUND MEREDITH.

Wydrukowano tysiąc ulotek i rozprowadzono je po gospodach, w Inns of Court i innych miejscach, w których zbierali się miłośnicy teatru. Zatrudniono też klikona, który reklamował w mieście najnowsze przedstawienie i inne przedsięwzięcia teatru.

Ojciec wspominał, że sztuka wzbudziła pewne wątpliwości. Jeden z braci uważał, że Edmund powinien ją przerobić. Jednak ze względu na dług i pomoc prawną Mereditha postanowili wystawić przedstawienie jak najszybciej, zanim jeszcze rozpocznie się prawdziwy sezon. A ten zamierzali otworzyć jesienią nową sztuką Shakespeare'a.

Tak czy inaczej, pisarstwo Mereditha, dobre czy złe, przestało już ją obchodzić. Zebrała się w sobie, widząc, że Edmund nadchodzi.

Był skromnie ubrany. Nie miał na sobie modnych strojów ani kapelusza. Zwykle chodził wolno i dostojnie, ale tego dnia jego ruchy były szybkie, wręcz nerwowe. Gdy znalazł się bliżej, przyszło jej do głowy, że bardzo schudł. I był blady jak ściana. Przywitał się z nią cicho.

– Dziś będzie próba. – Równie dobrze mógłby powiedzieć „pogrzeb", bo tak był zbolały. – Nareszcie wszyscy zobaczą całość.

Żeby zachęcić publiczność, teatry często zmieniały repertuar. Ulubione przez widzów dramaty, takie jak *Romeo i Julia*, przeplatano nowościami, które – jeśli nie spodobały się widzom – schodziły ze sceny zaraz po premierze. Zdarzało się więc, że aktorzy grali w ciągu jednego tygodnia w kilku sztukach. Czasu na próby było bardzo mało, każdy aktor uczył się swojej roli na pamięć i dopiero na próbie generalnej wszyscy mogli po raz pierwszy zobaczyć, jak wygląda całość.

– No i co o niej mówią? – zapytał.

– Nie wiem, Edmundzie.

– Podobno – spojrzał na nią z nadzieją – była tak obiecująca, że chcieli ją jak najszybciej wystawić.

– W takim razie powinieneś się cieszyć.

– Mają przyjść wszyscy moi znajomi. – Rozpromienił się trochę. – Rose i Sterne obiecali, że przyprowadzą dwadzieścia osób. – Nie wspomniał, że wysłał zaproszenie nawet do lady Redlynch. – Ale najbardziej obawiam się widzów z parteru – wyznał nagle.

– Dlaczego?

– Bo… – Zawahał się, a ona ze zdumieniem zauważyła, że patrzy na nią niemal błagalnie. – A jeśli mnie wygwiżdżą? Myślisz, że Dogget albo inni mogliby przyprowadzić swoich znajomych? – dorzucił. – Och, żebym miał na parterze jakichś zwolenników.

– Chcesz, żebym go o to spytała? – Umilkła. Ta rozmowa coraz bardziej odbiegała od tematu, który sobie zamierzyła. – Edmundzie, muszę ci o czymś powiedzieć.

– Coś o mojej sztuce?

Powstrzymała się. Był przestraszony, obnażył się przed nią do końca. Nie wyglądał jak znany jej pewny siebie mężczyzna o nazwisku Edmund Meredith. Nie, nie może mu teraz tego powiedzieć.

– Wszystko pójdzie dobrze – zapewniła go. – Nie masz się czego obawiać.

Wspięła się na palce i pocałowała go. Po raz pierwszy poczuła się bardziej jak jego matka niż wybranka.

– Idź już – powiedziała. – Powodzenia.

Żadne z nich nie zauważyło, że przez cały czas obserwowała ich para błękitnych oczu.

Czarny Barnikel przypłynął do Londynu zaledwie dwa dni wcześniej. Nie planował zostać długo w mieście. Jego statek miał wypłynąć z ładunkiem

sukna. A potem kupcy z Niderlandów wynajęli go na kolejny rejs, tym razem do Portugalii. Przez ostatnie dwa lata wędrował po wielu morzach, od Azorów po obie Ameryki. Na żeglarskim rzemiośle dorobił się dwójki dzieci, które mieszkały w zamorskich portach i o których nic nie wiedział, oraz skrzynki złota, którą za radą kuzynów z Billingsgate złożył dla bezpieczeństwa w skarbcu rajcy Ducketa. Miał nadzieję, że będąc w Londynie, rozwiąże pewien problem. Rozmawiał o tym ze swoimi kuzynami, z Ducketem i paroma innymi osobami, ale nikt nie okazał mu oczekiwanego wsparcia, co wprawiło go w zły humor.

Poprzedniego dnia zauważył w gospodzie ulotkę zapowiadającą przedstawienie *Czarnego Maura*. Zaintrygowało go to. Pamiętał rozmowę z młodym elegantem. Czyżby chodziło o tego samego Mereditha? Kierowany ciekawością poszedł więc tego ranka do Globe, aby się czegoś dowiedzieć. Widząc Mereditha w obecności Jane, od razu przypomniał sobie jego twarz. Doskonale pamiętał też jego towarzyszkę. Bez wątpienia to on był autorem sztuki. A skoro tak, to bohaterem sztuki musi być on sam.

Co ten goguś wtedy powiedział? Że może uczynić z niego bohatera albo łajdaka? A gdyby tak cały Londyn mówił o Maurze jak o bohaterze – o, to by pomogło w jego planach. Natomiast rola łajdaka wcale by go nie zadowoliła.

Dzień był pochmurny. Do Globe ciągnęły tłumy. Grupy ludzi przechodziły przez most, a Dogget zrobił już swoją nową łodzią trzy kursy przez rzekę.

Dawna barka króla Henryka prezentowała się wspaniale na szarych wodach Tamizy. Złote i szkarłatne ozdoby widać było nawet z drugiego brzegu. Ponad krytą nadbudówką powiewał dumnie proporzec z rysunkiem Globe. Sześciu krzepkich wioślarzy, w tym dwóch kuzynów Johna, pracowało przy wiosłach. Łódź posłużyła już wcześniej do reklamowania

teatru i jego kolejnych spektakli, rozwożono nią ulotki do Chelsea i do Greenwich.

Z wieżyczki nad teatrem rozległ się dwukrotnie hejnał trąbki, co znaczyło, że przedstawienie rozpocznie się o godzinie drugiej. Wieczorne przedstawienia były zakazane, bo po zmierzchu nikt nie chciał mieć tłumów na ulicach. Nie wolno było nawet wystawiać spektakli późnym popołudniem, żeby nie odciągać zwykłych ludzi od wieczornego nabożeństwa. Dlatego w czasach elżbietańskich do teatru szło się zaraz po południowym posiłku.

Jeden z braci Burbage stał przy drzwiach, obserwując przybywającą publiczność i licząc utarg. Miejsce na parterze kosztowało jednego pensa, a na galeriach dwa. Pański pokój nad sceną, do którego wchodziło się po schodach za garderobą, kosztował tego dnia sześć pensów. Na razie teatr nie był zapełniony nawet w połowie, przyszło około siedmiuset widzów – nic strasznego, ale za mało, żeby wystawić sztukę jeszcze raz. No, chyba że bardzo się spodoba. Rose i Sterne obiecali przyprowadzić dwadzieścia osób, ale przyprowadzili siedem. Pański pokój był na razie pusty. Lady Redlynch najwyraźniej nie zamierzała skorzystać z zaproszenia.

W garderobie pojawił się zupełnie inny problem.

Edmund patrzył dokoła z rozpaczą. Stało przed nim pięciu aktorów, w tym młodszy brat Jane. A gdzie są pozostali? Will Shakespeare zrezygnował już na samym początku, co było zrozumiałe, bo pracował nad własną sztuką. A przecież na próbach poprzedniego wieczoru był komplet aktorów.

– Richard Cowley zachorował – oznajmił ktoś.

– Thomas Pope stracił głos – dorzucił ze smutkiem Fleming.

William Sly zniknął i nikt nie wiedział, gdzie się podziewa.

– Zdołacie zagrać po dwie role? – spytał błagalnie Edmund, zastanawiając się gorączkowo, co robić. Przez kilka minut uważnie przeglądał tekst sztuki, wprowadził kilka skrótów pozwalających innym aktorom zastąpić Pope’a i Crowleya. Jednak bez Slya nic nie dało się zrobić.

– Nie damy rady – stwierdził z rozpaczą.

Poświęcił sztuce tyle pracy i teraz miało się okazać, że wszystko poszło na marne?! Trzeba będzie zwrócić widzom pieniądze. Trudno mu było w to uwierzyć. Zmieszani aktorzy popatrywali na siebie w milczeniu. Wreszcie odezwał się brat Jane:

– A ty nie mógłbyś zagrać tej roli?

– Ja? – Edmund aż osłupiał. – Na scenie? – Przecież jestem dżentelmenem, a nie aktorem.

– To chyba najlepszy pomysł – przytaknął Fleming. Wszyscy patrzyli na Mereditha.

– Ale ja nigdy nie występowałem – zaprotestował.

– Znasz sztukę. Poza tym nie mamy nikogo innego.

Po długiej dręczącej chwili milczenia Edmund zrozumiał, że mają rację.

– Dobry Boże – westchnął.

– Przyniosę ci kostium – powiedziała przytomnie Jane.

Wszedł na scenę i nagle wydało mu się, że publiczność napiera na niego ze wszystkich stron jak potężna fala. Widział ich w kręgu dziennego światła padającego przez otwarty dach: osiemset par oczu wpatrzonych w niego z parteru i galerii. Gdyby stanął z boku sceny, niektórzy widzowie na galerii mogliby go nawet dotknąć. A teraz obserwowali go z wyczekiwaniem.

Wiedział, że to nie potrwa długo. Elżbietańscy aktorzy musieli wkładać wiele wysiłku, aby przyciągnąć uwagę publiczności. Znudzeni widzowie zaczynali się kręcić niespokojnie, wielu oglądało sztukę na stojąco.

Najgorsze, że zaczynali rozmawiać. Gdy się niecierpliwili, gwizdali. A doprowadzeni do irytacji rzucali na scenę orzechy, ogryzki jabłek i gruszek, skórki od sera, wszystko, co im wpadło w ręce. Często trafiali w aktorów. Nic dziwnego, że na wszelki wypadek zwracano się do nich w prologach: „Szlachetne panie i szlachetni panowie”.

Jednak Edmund nie odczuwał lęku. W lewej dłoni trzymał patyk z nawiniętym tekstem swojej roli, otrzymany od Fleminga tuż przed wejściem na scenę. Aktorzy występujący w nowych sztukach często musieli korzystać z takich pomocy, na ogół niezauważanych przez widzów. Ale Edmund pamiętał przecież każdy wers. Rozejrzał się, czekając na swoją kolej. Zauważył Sterne’a i Rose, najwyraźniej zaskoczonych jego pojawieniem się na scenie. Potem będzie musiał się z tego jakoś wytłumaczyć. Obserwował aktora grającego Maura. Ten całkiem dobrze recytował swój tekst. Edmund zauważył z zadowoleniem, że publiczność wpatruje się uważnie w stworzoną przez niego mroczną postać. A więc pomysł był dobry. W końcu nadeszła jego kolej. Uśmiechnął się, zrobił krok do przodu i wziął głęboki wdech.

I nic. Jego umysł był jak czysta tabliczka. Spojrzał na aktora grającego Maura w nadziei na podpowiedź. Czuł, że blednie, słyszał, jak Fleming ukryty przy drzwiach do garderoby coś mówi, i drżąc ze wstydu, zerknął pospiesznie na zwój z tekstem.

Hej, chłopcze, jak się miewa moja pani? Jakże mógł zapomnieć. Przecież to takie proste. Takie potknięcie natychmiast wywoływało zniecierpliwienie publiczności. Nie, jeszcze nie gwizdali, ale zanosiło się na to. Na szczęście udało mu się zapobiec katastrofie.

Pierwsza scena, niezbyt zresztą długa, dobiegła końca bez przeszkód. Edmund ani razu się nie pomylił, jedynie od czasu do czasu zerkał na zwój dla nabrania pewności. Spektakl nabierał tempa.

Pod koniec sceny dobiegły skądś pomruki. Maur wygłaszał akurat swoją pierwszą dłuższą kwestię. Monolog aż mroził krew w żyłach i Edmund był z niego bardzo dumny. Ale tuż przed momentem kulminacyjnym uwagę widzów przyciągnęło coś zupełnie innego. Kilka osób wskazywało kogoś palcami, inni trącali łokciami sąsiadów. Monolog zakończył się nie w pełnej zachwytu ciszy, ale wśród szeptów i coraz większego poruszenia. Edmund odwrócił się do wyjścia. I wtedy go zobaczył.

Na początku przedstawienia galeria nad sceną była pusta. Teraz jednak pojawiła się na niej pojedyncza postać. Mężczyzna usiadł na środku jak sędzia przewodniczący rozprawie i wychylił się przez barierkę, żeby mieć lepszy widok. Wydawało się, że jego twarz zawisła teraz nad sceną jak twarz ducha teatru pilnującego przedstawienia. Nic dziwnego, że widzowie szeptali i pokazywali go sobie palcami.

Bo oblicze miał czarne jak twarz Maura.

– To on, jestem pewna. – Jane wróciła przed chwilą z galerii, skąd mogła przyjrzeć się dziwnemu przybyszowi. – Ma niebieskie oczy – dorzuciła.

Przerwy pomiędzy aktami były rzadkością. Właśnie rozpoczął się drugi akt i Edmund za chwilę znów miał wejść na scenę. Oboje z Jane doskonale pamiętali tamtą rozmowę z Maurem. Czy on domyśli się, że stał się inspiracją dla sztuki? Edmund nie miał co do tego złudzeń.

– Podoba mu się? – zapytał nerwowo.

– Nie mam pojęcia. Po prostu patrzy na scenę.

– I co ja mam teraz zrobić?

– Nie zwracaj na niego uwagi – poradziła.

Chwilę później Edmund stanął przed publicznością.

Aż korciło go, żeby spojrzeć na ciemną twarz nad sceną, ale udało mu się skupić na tekście. Odegrał swoją partię bez potknięć. Za chwilę Czarny

Maur miał popełnić pierwszą zbrodnię: kradzież i gwałt. Publiczność z ciekawością śledziła fabułę, a aktorzy nabierali pewności siebie.

Skąd więc to uczucie niepokoju, które pojawiło się w Edmundzie pod koniec drugiego aktu? Akcja toczyła się wartko. Charakter Czarnego Maura i jego czyny budziły przerażenie. Jednak w miarę upływu czasu Edmund widział coraz wyraźniej, że sztuka robi się nudna.

Rozpoczął się trzeci akt. Zbrodnie czarnego pirata i jego wulgarny język przekraczały wszelkie granice. Ale Edmund miał wrażenie, że donośne tyrady, które z taką czułością przelewał na papier, brzmią pompatycznie, wręcz pusto. Publiczność też zaczynała się niecierpliwić. Tu i tam rozlegały się pomruki, a zerknąwszy na galerię, zobaczył, że Rose szepcze coś Sterne'owi do ucha. Gdy akt zbliżał się do końca, Edmund zaczął się gorączkowo zastanawiać, czym jeszcze mógłby zaciekawić publiczność. I nagle z uczuciem lodowatej paniki zdał sobie sprawę, że są jeszcze dwa akty, oba takie same. Sztuce brakowało ducha.

Jane siedziała na widowni. Ona też nie mogła skupić się na spektaklu, ale z zupełnie innego powodu.

Mężczyzna na galerii coraz częściej odciągał jej uwagę od przedstawienia.

Siedział nieporuszenie nawet pomiędzy aktami. Jakby był wyrzeźbiony z kawałka poczerniałego drewna. Ciemna twarz bez wyrazu przypominała maskę. Jak wszyscy ludzie tamtych czasów Jane nie wiedziała do końca, czy czarnoskórych można uważać za istoty ludzkie. Ale wydawało jej się, że w tej ciemnej nieporuszonej twarzy dostrzega jakąś szlachetność.

O czym on myśli? Oto na jego oczach aktor odgrywający wymyśloną karykaturę jego osoby ujawnia przed publicznością całą jego nikczemność. Czy on sam jest aż tak strasznym człowiekiem? Pamiętała każdy szczegół z tamtego dnia: jego ciało zwinne jak wąż, otaczającą go niebezpieczną

aurę, sztylet. Patrząc na niego, nie miała wątpliwości, że mógłby okazać się groźny. Ale wydawało jej się, że dostrzega smutek w jego oczach.

Po trzecim akcie powinna była pójść do garderoby. Ale została na widowni. Co on myśli? I co zamierza?

Czwarty akt. Edmund zdawał sobie sprawę, że za chwilę zaczną się kłopoty. Niegodziwości czarnego pirata piętrzyły się, lecz publiczność już do tego przywykła i przejrzawszy intencje autora, zaczęła się nudzić. Zaczną gwizdać? O dziwo, widownia była w wesołym nastroju. Przychylnie traktowali sztukę, wiedząc, że to autorski debiut. A pod koniec aktu, jakby w geście wsparcia, każde pojawienie się Czarnego Maura na scenie witały nieprzyjazne pomruki. Po rozpoczęciu finałowego aktu Edmund zauważył, że dziwny ciemnoskóry mężczyzna na galerii budzi większą ciekawość niż sztuka, przynajmniej u części publiczności.

Orlando siedział na galerii i patrzył. Nawet ich rozumiał. Ale nie da się zdeprymować.

Za wstęp do pańskiego pokoju zapłacił całe sześć pensów, więcej niż oni. I pewnie był bogatszy od wszystkich widzów. Zapłacił, bo w skrytości ducha liczył, że zostanie pokazany jako bohater.

Owszem, był główną postacią sztuki. Gdy tylko zajął miejsce, zauważył, że publiczność pokazuje go sobie palcami, z zadowoleniem przyjmował szepty i lekkie poruszenie. Pierwsza scena potwierdziła jego oczekiwania. Czarny Maur był kapitanem statku. A przecież, myślał Orlando, sztuki pisze się jedynie o królach i bohaterach. A skoro mam oglądać przedstawienie o sobie, to wysunę się do przodu, żeby wszyscy mogli mnie zobaczyć.

Jednak w trakcie trzeciego aktu nie miał już złudzeń. Nie widział w swoim życiu wielu sztuk, ale ten Maur był złoczyńcą. W czwartym akcie ogarnęło go oburzenie, a potem wściekłość. Czy ten udawany korsarz

słyszał kiedyś huk dział, poznał siłę wichru, stanął twarzą w twarz ze śmiercią albo ze buntowaną załogą? Czy kiedykolwiek wyprowadził statek ze sztormu, kiedy każda fala jest jak potop przelewający się nad pokładem? Czy kiedykolwiek z zimną krwią zabił człowieka, bo nie miał innego wyboru? Czy umiałby wyobrazić sobie, jak to jest, gdy po sześciu tygodniach na morzu człowiek znajdzie się w objęciach zmysłowej piękności w jakimś afrykańskim porcie? Nie, nie miał o tym wszystkim najmniejszego pojęcia. I dlatego on, Orlando, jako jedyny w całym teatrze widział prawdziwe prostactwo sztuki Mereditha.

Jeszcze raz przypomniał sobie, co Meredith mu powiedział: „Mogę cię zamienić w bohatera albo w złoczyńcę, w mędrca albo w głupca”. A więc na tym polega moc pióra tego elegancika. Wydaje mu się, że w tym drewnianym kręgu może zrobić z niego nie tylko łajdaka, ale jeszcze obedrzeć go z wszelkiej godności.

Wciąż zachowywał kamienną twarz. Sięgnął po nóż.

Publiczność miała dosyć. Piąty akt ją znudził. Skoro sztuki nie dało się oglądać, to przynajmniej spodziewano się jakiejś zabawy. Gdy Czarny Maur został pochwycony tuż przed popełnieniem najohydniejszej zbrodni i czekał go już tylko sąd i nieuchronna śmierć, widzowie wpatrywali się w aktorów, coraz bardziej skłonni do reakcji.

Wreszcie ktoś z parteru, widząc na scenie pojmanego łotra, a nad nim dziwaczną, podobną do maski twarz patrzącą nieruchomo z galerii dla bogaczy, dostrzegł w tym śmieszny żart.

– Powiesić czorta! – rozległ się głos. – I tego drugiego też!

Przedni dowcip. Publiczność od razu zrozumiała. Nareszcie coś interesującego. Aktor udaje czarnoskórego Maura, a tymczasem prawdziwy Murzyn unosi się nad nim jak duch.

Na kolejne okrzyki nie trzeba było czekać:

– Oszczędzić aktora! Powiesić czarnego!

– W tej sztuce ktoś musi zawisnąć na stryczku!

– To wspólnicy! Powiesić obu!

Widzowie na parterze lubili prostackie żarty, ale publiczność na galerii była bardziej wyrobiona.

– Zostawcie Murzyna! Powiesić autora! Ta sztuka to zbrodnia.

– Ta sztuka wcale nie jest nudna – wyjaśniał jakiś elegant. – To sama prawda. A tam – wskazał Orlanda Barnikela – możecie zobaczyć prawdziwego łotra!

Widzowie aż zataczali się ze śmiechu. Aktorzy przerwali przedstawienie.

Czarny Barnikel siedział nieporuszony. Jego twarz wciąż wyglądała jak maska.

I wtedy ludzie zaczęli w niego rzucać. Tak naprawdę nie chcieli wyrządzić mu krzywdy. W powietrzu latały tylko małe orzechy, skórki od sera, ogryzki wczesnych jabłek, kilka czereśni, nic niebezpiecznego. Ot, dobroduszne żarty. Chcąc oszczędzić aktorów i dość już upokorzonego młodego autora, rzucali śmieciami w czarnoskórego widza na galerii, który w ich oczach świetnie nadawał się do takich kpin, bo przecież stanowił inspirację dla całego tego przedsięwzięcia. Większość przedmiotów nie trafiała w cel, tylko dwa lub trzy doleciały do galerii. Chwilę później jeden z Burbage’ów odwołał aktorów i wysłał klauna na scenę. Publiczność była tak zadowolona z obrotu sprawy, że przywitała go ciepłymi oklaskami.

Tak się skończyła sztuka Mereditha.

Czarny Barnikel zachowywał kamienną twarz. Nie poruszył się nawet o milimetr. Umiał zachować niewzruszony spokój na morzu, gdy wokół niego latały armatnie kule. Gardził tymi, którzy rzucali w niego orzechami, owocami i skórkami sera. W trzewiach czuł głęboką odrazę do wszystkich ludzi siedzących na widowni.

Mimo wszystko Meredith dobrze się spisał. Orlando przyszedł, żeby zobaczyć sztukę o sobie, a zobaczył swoją karykaturę. Cały Londyn będzie miał go teraz nie za bogatego, odważnego wilka morskiego, ale za łotra godnego najgłębszej pogardy. Ludzie, którzy na morzu drżeliby na sam dźwięk jego imienia, teraz śmiali się z niego i obrzucali go ogryzkami.

Ale najgorsze było poczucie osamotnienia. Samotność człowieka, który osiągnął wszystko, co możliwe, aby przekonać się, że zawsze będzie postrzegany jako ktoś gorszy. I że nawet w mieście, które uważał za swój dom, zawsze pozostanie odszczepieńcem. Kuzyni z Billingsgate dali mu to delikatnie do zrozumienia w rozmowie dwa dni wcześniej.

Co mu pozostało? Jedyne, czego nie można mu było odebrać: honor. Meredith go obraził. Orlando potrafił zabić człowieka z dużo błahszego powodu. Gdy klaun popisywał się na scenie, Czarny Barnikel wymknął się z teatru.

Jane odprowadziła Edmunda aż do Staple Inn. Nie chciała go zostawiać samego w takiej chwili. Wzięła go pod rękę, chcąc mu okazać całą życzliwość, na jaką ją było stać.

– Naprawdę była taka zła? – spytał, gdy doszli do mostu.

– Niektóre fragmenty były bardzo dobre.

Odezwał się dopiero wtedy, gdy dotarli do Newgate.

– Wyśmiali ją.

– Nie, śmiali się z Murzyna na galerii. To on ich sprowokował, a nie twoja sztuka.

– Może – mruknął. – A gdzie on przepadł?

– Nie mam pojęcia.

Gdy doszli do Staple Inn, przytuliła go i pożegnała długim pocałunkiem. W niedługiej przyszłości miała być z tego zadowolona.

Powoli wróciła do domu.

Czarny Barnikel obserwował ją od chwili, gdy z Meredithem wyszła z Globe.

Ciemna postać i dwaj marynarze zaatakowali nazajutrz tuż po zmierzchu. Wykazali się dużą sprawnością. Od pewnego czasu czekali w ukryciu na stosowną okazję.

Napadniętą postać zawinęli w mały żagiel i oddalili się szybko. A niedługo potem płynęli już łodzią w kierunku statku Barnikela. Statek opuścił port z najbliższym odpływem.

Następnego dnia wszyscy zebrali się w domu Fleminga w posępnych nastrojach. Tego nie dało się w żaden sposób wytłumaczyć. Nie przyszła żadna wiadomość. Nikt niczego nie zauważył. Nie znaleziono zwłok. Poinformowano rajców, którzy nakazali poszukiwania. Rajca Ducket, choć nie darzył ich sympatią, okazał im uprzejmość, a nawet życzliwość. Jednak miejscy strażnicy niczego nie znaleźli. Wszyscy – Dogget, Carpenter, nawet bracia Burbage – byli bezradni.

Wiatr dął z południowego zachodu, więc posuwali się szybko w dół ujścia. Późnym rankiem byli już na ostatnim wielkim łuku coraz szerszej Tamizy, po południu minęli po prawej gardziel rzeki Medway, mając po lewej wyłaniający się zarys wybrzeża Anglii Wschodniej. Nim zapadł zmierzch, wyspa zniknęła za horyzontem.

Jane stała na pokładzie, wdychając słone rześkie powietrze.

Została porwana. Czarny Barnikel nic nie ryzykował. Nikt się nawet nie domyśli, co się stało. Niedługo statek znajdzie się na otwartym oceanie. W końcu Orlando Barnikel jest piratem, pomyślała ponuro.

Czarny Barnikel przybył do Londynu z konkretnym zamysłem: chciał znaleźć sobie żonę. Miał już dość kobiet, z którymi się zadawał w portach.

Zgromadził dostatecznie dużo pieniędzy, aby osiąść gdzieś na stałe. Pływając po dalekich morzach, często myślał o swoim rudowłosym ojcu i życzliwych kuzynach z Billingsgate. Chciał znaleźć żonę w jedynym mieście na całym świecie, które mógł nazwać swoim domem.

Barnikelowie z Billingsgate dali mu do zrozumienia, że żadna dziewczyna w Londynie, nawet najbardziej posłuszna i uległa, nie zgodzi się na małżeństwo z czarnoskórym mężczyzną. „Przecież ja mam pieniądze", zaprotestował. Wiele kobiet w śródziemnomorskich portach chętnie przyjęłoby jego zaloty. Ale handlarze ryb jedynie pokręcili głowami. „Zawsze będziesz należał do naszej rodziny – rzekli wspaniałomyślnie – ale małżeństwo…". Rajca Ducket też uważał podobnie.

Przez chwilę Orlando miał nadzieję, że dzięki sztuce teatralnej ludzie ujrzą go w lepszym świetle, że spodoba się jakiejś kobiecie. Przeżył gorzkie rozczarowanie.

Zamierzał zabić Mereditha, ale w końcu wpadł na lepszy pomysł. Po co dawać tym godnym pogardy londyńczykom pretekst do powieszenia go na szubienicy? Jego złość, jego ból i splamiony honor domagały się śmierci Mereditha, ale Orlando był sprytnym człowiekiem. Ukarze młodzieńca w inny sposób, a przy okazji rozwiąże swój problem. Dwa razy widział ich razem, domyślił się, że coś ich łączy. Dlatego postanowił odebrać Meredithowi kobietę.

Nie obawiał się konsekwencji, gdyby kiedyś chciał wrócić do Londynu. „Dziewczyna powie, że wypłynęła ze mną z własnej woli", zapewnił bosmana. Miał powody, aby tak sądzić.

A Jane, która doskonale wiedziała, co ją czeka, pogodziwszy się z losem, czuła coraz większe podniecenie, patrząc na otwarte morze od wschodu. Pomyślała z czułością o rodzicach, o Doggecie i Meredicie, a potem świadomie pozwoliła, aby te wspomnienia porwał wiatr.

Ogień Boży

Rok 1603

Pewnego deszczowego, wietrznego dnia w marcu 1603 roku dwaj mężczyźni, oddaleni od siebie o kilkaset kilometrów, wyczekiwali niecierpliwie znaku od Boga.

Na północy Jakub Stuart, król Szkocji, wypatrywał posłańca. Bo na południu kraju, w pałacu nad Tamizą, umierała stara królowa Elżbieta. Nie było to żadną tajemnicą. Ani jasna peruka, ani gruba warstwa pudru na twarzy, ani starannie wyreżyserowane wystąpienia, nic już nie mogło ukryć zniszczeń dokonanych przez upływ czasu. Spektakl dobiegł końca. Ale kto ją zastąpi?

Królowa dziewica nie wyznaczyła jeszcze następcy tronu, jednak wszyscy – dwór, parlament, Tajna Rada – uważali, że będzie to Jakub. Jego babka, siostra króla Henryka, pochodziła z Tudorów, przez co był najbliższym krewnym Elżbiety. Wprawdzie był też synem zdradzieckiej Marii, katolickiej królowej Szkotów, ale sam nie miał tej skazy. Osadzony na tronie po matce, którą ledwo znał, nauczył się panować jak przystało na dobrego protestanta. Szkocka rada tego dopilnowała. Świetnie nadawałby się na króla Anglii.

Anglia podobała się Jakubowi. Po długich i smętnych latach spędzonych na biednej północy bogate południe wydawało mu się ciepłą, piękną krainą. Czy takie właśnie przeznaczenie Bóg wyznaczył jemu i jego potomkom?

I oto pewnego ranka objawiła się wola Boga. Jak zimny powiew w długim korytarzu, poruszający na swojej drodze zasłony, tafty, jedwabie i świecidełka, wiatr czasu przemknął przez galerię Tudorów. Posłaniec ruszył na północ. Nadeszła epoka Stuartów.

W zaułku przy kościele St Mary-le-Bow, gdzie kiedyś mieściła się gospoda, a stulecia wcześniej wisiał szyld z bykiem, stał teraz piękny dom. Wzniesiony z cegieł i drewnianych belek, obłożony tynkiem, miał cztery piętra. Otaczał go okolony murem sad z ogrodem, a jego spadzisty dach górował nad pobliskim kościółkiem Świętego Wawrzyńca Silversleevesa. Mieszkał tu od dwóch lat rajca Ducket, zniesmaczony tym, że w Blackfriars znów wystawiano sztuki teatralne. I tak jak Jakub wyczekujący posłańca, on też miał za chwilę poznać przeznaczenie czekające jego rodzinę. Ostrożnie zajrzał do kołyski, w której leżało jego nowo narodzone dziecko. Ukradkiem, by żona niczego nie zauważyła, włożył do kołyski rękę i pomacał dłoń noworodka. A potem uśmiechnął się z ulgą.

Klątwa została zdjęta.

Był żonaty trzykrotnie. Z pierwszego małżeństwa miał troje dzieci, z drugiego też, a teraz dorobił się kolejnej trójki. To było dziewiąte dziecko. I do tego wolne od przekleństwa w postaci błony między palcami. Pamiętał do dziś, jak będąc małym chłopcem, oglądał dłonie dziadka, a ten powiedział: „Mój dziadek miał takie same palce. Odziedziczył je po swoim dziadku Duckecie, który wskoczył do rzeki i ożenił się z córką Bulla. Błona pomagała mu pływać”.

Ducketowie byli bogaci, tak samo bogaci jak wszyscy Bullowie przed nimi. Gdy król Henryk rozwiązał zakony i przejął większość kościelnych majątków, dziadek rajcy kupił tyle klasztornej zastawy, że nazwano go Srebrnym Ducketem. Nic jednak nie mogło ukryć ich niskiego pochodzenia. Zresztą nawet się o to nie starali. Jako potomkowie Bullów

oni także brzydzili się wszelkim kłamstwem. Poza tym w co drugim pokoleniu przypominała im o tym błona między palcami. Przyjmowali ten znak z rezygnacją. Ale dumny chłopak nie chciał się z tym pogodzić. Widok dłoni dziadka był dla niego wstrząsem. Jakby do nurtu potężnej rzeki patrycjuszowskich Bullów, których czuł się potomkiem, wpłynął zanieczyszczony strumień. A ponieważ kalwinizm szerzył się coraz bardziej, przyszło mu do głowy, że to znamię jest dowodem Bożego niezadowolenia, znakiem, że on i jego ród nie należą do wybrańców.

I teraz najwyraźniej rzeka się oczyściła. Jego ojciec nie był oszpecony, on też nie. Z niepokojem, ale też z nadzieją, oglądał każde swoje kolejne dziecko, trzecie pokolenie. I wszystkie były wolne od skazy. Klątwa przeminęła.

Oczywiście nadal był ostrożny. Nawet Boży wybrańcy musieli walczyć z szatanem – ukrytym wrogiem wewnętrznym. Bo na przykład Ducket – aktorzy Globe byliby zadziwieni, gdyby się o tym dowiedzieli – z przyjemnością oglądał kiedyś ich przedstawienia. Zdusił jednak w sobie tę słabość i z równą mocą walczył z teatrami. Dwa lata wcześniej, gdy pomimo ciągłych protestów występującym na dworze nieletnim aktorom pozwolono wystawiać od czasu do czasu sztuki w nowym teatrze Blackfriars, przeniósł się do swojego obecnego domu, aby uniknąć skalania. Teraz jednak zyskał pewność: Bóg okazał swoją wolę. I dopóki on sam będzie wychowywał swoje dzieci zgodnie z zasadami moralności, nie będzie musiał obawiać się o przyszłość.

Patrząc na swoje dziewiąte dziecko, trzeciego syna, uśmiechnął się radośnie, a ponieważ miał upodobanie do historii starożytnej, oświadczył:

– Damy mu na imię Julius. Po bohaterskim Juliuszu Cezarze. – I wziąwszy w dłoń maleńki palec dziecka, dodał cicho: – Już nigdy, mój synku, żadna klątwa cię nie dotknie.

Miesiąc później zyskał dowód Bożej łaski. Oto gdy udał się w towarzystwie burmistrza, by przywitać nowego króla, on i inni rajcy zostali pasowani na rycerzy. Był teraz sir Jacobem Ducketem, związanym z monarchą świętą przysięgą wierności. Dlatego z wielką stanowczością udzielił dzieciom dwóch ważnych nauk:

– Macie być wierni królowi.

Druga była jeszcze głębsza:

– Zostaliśmy wybrani przez samego Boga. Dlatego bądźcie pełni pokory.

Co tak naprawdę znaczyło: macie być dumni.

Rok 1605

W wigilię 5 listopada, a więc w dniu, w którym król Jakub – pierwszy władca o tym imieniu w Anglii i szósty w Szkocji – miał otworzyć obrady parlamentu, w Pałacu Westminsterskim odkryto tajny skład prochu, którym niejaki Guy Fawkes z innymi katolickimi spiskowcami chciał wysadzić króla, Izbę Gmin i Izbę Lordów.

To była sensacja. Sir Jacob Ducket z posępną miną zabrał rodzinę na dziedziniec katedry Świętego Pawła, żeby byli świadkami egzekucji. Julius był jeszcze wtedy za mały, ale gdy skończył cztery lata, a okoliczne dzieci w rocznicę nieudanego zamachu paliły w wielkim ognisku przy kościele St Mary-le-Bow kukłę Guya Fawkesa, znał już na pamięć wierszyk:

Piąty listopada wszystkim w pamięć zapada,
Bo proch, bo spisek, bo zdrada.

Wiedział też, co to znaczy, od kiedy ojciec wygłosił mu trzecią naukę, którą miał zapamiętać na zawsze: „Papiści to najwięksi wrogowie naszego kraju”.

Rok 1611

Marthy Carpenter nie sposób było nie kochać. Nikt, kto ją znał, nie wyobrażał sobie, by kiedykolwiek miała złe intencje. Dobra, cicha i skromna, w całym swoim dwudziestosiedmioletnim życiu nie chciała niczego dla siebie. Gdy powiedziano jej, że nie wyjdzie za mąż, bo musi opiekować się babką, przyjęła to jak podyktowany miłością obowiązek. Gdy Cuthbert wyprowadził się i zaczął pracować przy budowie Globe, widywała się z nim i modliła o jego duszę, mimo że babka go wyklęła. Ale gdy ze słodkim uśmiechem podsunęła bratu książkę, krew odpłynęła Cuthbertowi z twarzy.

– Przysięgnij – powiedziała.

Martha, podobnie jak wielu purytanów, nosiła w sobie cnotę nadziei. Ta nadzieja miała odmienić świat.

Bo celem reformacji było nie tylko niszczenie. Protestanci uważali, że ich prawdziwa doktryna mówi o miłości, a ich najwięksi kaznodzieje głosili misję niesienia najwyższego szczęścia.

W Londynie było ich wielu. W dzieciństwie Martha najbardziej lubiła pewnego Szkota, małomównego starca ze zmierzwionymi siwymi włosami i najbardziej niebieskimi oczami, jakie w życiu widziała. „To proste – tłumaczył jej. – Gdy obedrze się Kościół rzymski z przepychu, zamiłowania do spraw doczesnych i zabobonów, to co pozostanie? Prawda. Bo w świętych księgach jest słowo Boże, przez Ewangelie przemawia nasz Pan”. Kiedy Martha czytała Biblię, wydawało jej się, że Bóg mówi wprost do niej.

Kilku sąsiadów z parafii Świętego Wawrzyńca też było purytanami. Gdy zbierali się w domach, aby słuchać kazań albo modlić się, przyświecał im duch miłosierdzia. Rzadko musieli się nawzajem upominać. W prezbiteriańskiej Szkocji i kalwińskich rejonach Europy wszystkie parafie były zorganizowane podobnie. Nie było w nich księży, a każdej kongregacji przewodniczyli starsi zborów. Nie było też biskupów. Starszyzna wybierała regionalne komitety, które koordynowały wspólne działania. I właśnie te przykłady z zagranicy zasiewały ziarno największej nadziei: że na tym łez padole nastanie Królestwo Boże.

Oczywiście prawdziwe, doskonałe królestwo miało nastać na samym końcu świata. Tak mówiła Księga Objawienia. Ale można było przynajmniej zbliżać się do tego celu. Czyż obowiązkiem każdego wolno urodzonego purytanina i jego braci nie było maszerowanie ku światłu i budowanie Królestwa Bożego w lśniącym mieście na wzgórzach, tu i teraz? Przecież na tym właśnie zasadzała się idea średniowiecznej komuny. Ale tym razem miała to być komuna Boga.

Martha, dorastając wśród takich ludzi, przyswoiła sobie marzenie, które stało się przewodnią wizją jej życia. Gdy przechodziła na drugą stronę rzeki i patrzyła na stłoczone domy Londynu, na ciemną, gotycką sylwetkę katedry Świętego Pawła, oczami wyobraźni widziała nadchodzące Królestwo Boże. Widziała je wyraźnie, jako lśniące miasto na wzgórzu.

Miała też w sobie cnotę cierpliwości. A cierpliwość była bardzo potrzebna. Gdy król Jakub przybył do Anglii z prezbiteriańskiej Szkocji, purytanie mówili z nadzieją: „Na pewno przyniesie ze sobą prawdziwą wiarę”. Jednak Jakub nie zamierzał poddać się władzy szkockiej starszyzny, doskonale rozumiał, że autorytet monarchii zależy od zwierzchności nad Kościołem anglikańskim. Kościół ten, ze zreformowaną wiarą katolicką,

biskupami i nabożeństwami, miał trwać. „Bez biskupów nie będzie króla”, oznajmił Jakub angielskim doradcom.

Tak więc katedrą Świętego Pawła wciąż zarządzał biskup Londynu, a duchowni, wspierani przez Ducketa i innych członków rady parafialnej z parafii Świętego Wawrzyńca, nakazywali, aby Martha i inni purytanie trzy razy w roku przyjmowali komunię i zachowywali pozory posłuszeństwa wobec Kościoła.

Książką, którą Martha właśnie podsunęła bratu, była Biblia genewska zawierające wszystkie księgi Starego i Nowego Testamentu. Tłumaczenie, dokonane przez Tyndale’a i Coverdale’a jeszcze w czasach króla Henryka, zostało poprawione przez uczonych w kalwińskiej Genewie. Od pół wieku Biblia ta była najdroższym przewodnikiem dla wszystkich angielskich protestantów. Miała nawet ilustracje. W tym roku na polecenie króla dokonano nowego przekładu – pozbawionego kalwińskiej wymowy, ale napisanego bardziej złożonym językiem. Nowa Biblia Króla Jakuba zawierała liczne łacińskie zwroty, które nie podobały się prostym purytanom. Martha, jak większość prawdziwych protestantów, nie zamierzała z niej korzystać.

– Przysięgnij.

Musiała okazać Cuthbertowi wiele cierpliwości. Babka uważała, że jest skazany na potępienie, ale ona nigdy nie straciła nadziei. I wydawało się, że jej modlitwy są wysłuchiwane. Cuthbert ożenił się z porządną, całkiem pobożną kobietą. Początkowo, choć mieszkali na sąsiedniej ulicy, babka nie chciał ich widzieć na oczy. Ale gdy urodziła im się córka, Martha nakłoniła ją, aby poszły ich odwiedzić. I była wielce szczęśliwa, kiedy urodził im się syn, a Cuthbert i jego żona poprosili ją, żeby wybrała dla chłopca imię. Znalazła je w Biblii. „Nazwijcie go Gedeon, tak jak ten, który walczył dla naszego Pana”.

Ale ten dzień był wyjątkowy, stanowił zwieńczenie jej cierpliwych modlitw. A dla niej był to też dzień próby, żeby pomimo wrodzonej dobroci się nie ugięła.

Ten przeklęty teatr. Pomimo jej modlitw Cuthbert wciąż nie zamierzał zejść ze złej drogi. Zawsze winiła o to jego przyjaciela Mereditha, uwodziciela kobiet. Teraz jednak zrozumiała, że część winy ponosi Shakespeare. Nie wiadomo, jak mu się to udawało, ale wywierał magiczny wpływ na mieszkańców Londynu. *Makbet*, *Otello*, *Hamlet* – do Globe ściągały tłumy, a biedny Cuthbert, ogłupiały jak reszta, podążał ich śladem. „Cały Londyn chodzi do teatru", głosił. „Nie cały – odpowiadała spokojnie. – A teatr jest obrazą Boga". Nie miała wątpliwości, że w dniu sądu ostatecznego Shakespeare będzie musiał zdać sprawę ze swoich uczynków. Ale Cuthberta wciąż można było ocalić. I tego dnia nadarzyła się okazja.

Przed trzema tygodniami umarła babka i Martha została sama w ich rodzinnym domu. Cuthbert miał małe mieszkanie, jego rodzina powiększała się z każdym rokiem, ale babka była nieugięta: „Dom należy do Marthy". Więc gdy kilka dni wcześniej Cuthbert i jego żona zapytali, czy mogliby się do niej przenieść, wiedziała, jak powinna postąpić.

„Nie mogę cię wpuścić do domu po babce, dopóki będziesz chodził do teatru – oświadczyła. – Chyba już najwyższy czas, bracie. Ja chcę ci tylko pomóc wyrwać się spod szatańskiego uroku".

Biedny Cuthbert pomyślał o swojej rodzinie i złożył przysięgę na podsuniętą przez siostrę Biblię. Był smutny ale ocalony. Martha nie posiadała się ze szczęścia.

Julius był niezwykle pojętnym dzieckiem. Sir Jacob aż się temu dziwił. Czworo z jego potomstwa umarło w wieku niemowlęcym, ale trzy dziewczynki i dwóch chłopców przeżyło. Dwie córki wyszły już za mąż, starszy chłopiec w wieku szesnastu lat wyjechał do Oksfordu. Dziewczęta

były dość frywolne, a starszy syn leniwy, lecz w Juliusie sir Jacob nie widział żadnej wady. Chłopiec miał w sobie mnóstwo dobrych chęci. W wieku czterech lat wykrzykiwał: „Precz z papizmem!” i „Boże, chroń króla!” z takim zapałem, że nawet sir Jacob był zdziwiony.

Z radością zabierał syna na przechadzki. Zawsze szli tą samą trasą. Minąwszy kościół St Mary-le-Bow, skręcali w Cheapside, jak wówczas nazywano dawne West Cheap. W pelerynie i ciemnej koszuli, w dobranych pod kolor pończochach i butach ze srebrnymi klamrami, z siwą, spiczastą brodą sterczącą nad wykrochmaloną, idealnie białą kryzą, w kapeluszu ozdobionym pojedynczym piórem, sir Jacob Ducket kroczył nieco sztywno, zawsze wyprostowany, wyglądając tak, jak powinien: jak protestancki dżentelmen. Ośmioletni już Julius, ubrany w pumpy i koszulę z dużym kołnierzem z miękkiej, białej koronki, szedł dumnie obok niego i przyjmował ukłony mijanych po drodze ludzi. Ich pierwszym przystankiem była zawsze nowa hala kupców bławatnych, Mercers’ Hall.

Londyńskie cechy rozwijały się wspaniale. Największe, w tym cech kupców bławatnych, nie tylko otrzymały herby, ale także stroje cechowe. W czasach Tudorów kupcy bławatni wciąż mieli swoją starą siedzibę w miejscu, gdzie wcześniej stał dom Tomasza Becketa, ale oprócz niej zbudowali też okazałą salę bankietową ze stropem z dębowych belek i dużą ilością złoceń. „Zawsze byliśmy kupcami bławatnymi – przypominał ojciec Juliusowi. – Tak samo jak Dick Whittington. I podobno także ojciec Tomasza Becketa”. Dlatego chłopcu wydawało się, że kupcy bławatni są bliżej Boga niż inne londyńskie gildie.

Jednak prawdziwy cel ich spacerów znajdował się za Cheapside, na początku Cornhill. Julius uwielbiał ten budynek na łagodnym stoku wschodniego wzgórza, tuż poniżej miejsca, gdzie ponad dwanaście wieków wcześniej stało rzymskie forum. Budowla została wzniesiona za panowania

Elżbiety przez sir Thomasa Greshama, oczywiście kupca bławatnego. Był to ogromny, prostokątny, brukowany dziedziniec otoczony sklepionymi łukami z cegły i kamienia, nad którymi znajdowały się komnaty. Całość utrzymana była w renesansowym stylu.

Giełda Królewska. Właśnie tutaj na początku epoki Stuartów sir Jacob rozpoczął śmiałe przedsięwzięcia, o których nie śniło się jego przodkom.

Przez całe średniowiecze na północnych morzach królowały ogromne floty statków z hanzeatyckich miast, a centrum handlowym dla całej północnej Europy był potężny rynek w Antwerpii. Jednak w ciągu ostatnich sześćdziesięciu lat zaszły olbrzymie zmiany. Prężnie rozwijająca się angielska żegluga handlowa mocno naruszyła monopol Hanzy. A gdy reformacja doprowadziła protestancką Antwerpię do wyniszczającej wojny z katolickimi Habsburgami, Londyn przejął znaczną część niderlandzkiej wymiany handlowej. Nowa Giełda Królewska, w której spotykali się londyńscy kupcy, była odpowiednikiem *bourse* w Antwerpii.

Jednak zmiany sięgały znacznie głębiej. Bullowie, przodkowie sir Jacoba, eksportowali wełnę, a potem także sukno. Srebrny Ducket eksportował już więcej sukna niż wełny. Jednak ta wymiana powoli traciła na znaczeniu. „Musimy gdzie indziej szukać możliwości rozwoju”, stwierdził Srebrny Ducket. Napędem tych zmian stała się grupa śmiałków, głównie kupców bławatnych, którzy nazwali siebie kupcami ryzykantami. Gdy Francis Drake i inni korsarze otworzyli drogę do nowych rynków, ryzykanci szybko uruchomili stałe szlaki handlowe. Finansowali rejsy i całe konwoje, wynajmowali statki, zawierali porozumienia. Wkrótce doprowadziło to do powstania gałęzi odpowiedzialnych za rozwój nowych rynków. Żegluga handlowa wymagała ogromnych inwestycji, więc i ryzyko musiało być stosownie dzielone. Ponieważ kupcy nie angażowali się już w pojedyncze rejsy, ale w długoterminowe przedsięwzięcia handlowe,

należało znaleźć jakąś formę stałych umów biznesowych. Śmiali kupcy londyńscy podążyli śladem Shakespeare'a i jego przyjaciół, którzy postanowili wspólnie sfinansować budowę Globe, a potem co roku dzielić się zyskami. Tylko że kupcy zrobili to na znacznie większą skalę. Tak właśnie powstały w Londynie spółki akcyjne.

Kompania Lewantyńska, Kompania Moskiewska, Kompania Wschodnioindyjska – mały Julius dowiadywał się o nich w Giełdzie Królewskiej. Sir Jacob, jeden z kupców ryzykantów, był bogaty, więc miał udziały we wszystkich spółkach. Opowiadał o nich Juliusowi albo czytał mu co ciekawsze fragmenty z *Wypraw morskich* Richarda Hakluyta. Lecz gdy któregoś dnia spytał syna, które z tych wielkich przedsięwzięć podoba mu się najbardziej, Julius zawołał z zapałem:

– Kompania Wirginijska!

– Kompania Wirginijska? – zdziwił się sir Jacob. Gdy sir Walter Raleigh nazwał rozległe tereny na amerykańskim kontynencie Wirginią, były tam tylko indiańskie plemiona. Próby założenia placówki handlowej spełzły na niczym. Jednak od kilku lat Kompania Wirgińska wysyłała do Ameryki osadników, wierząc, że kryją się tam wielkie możliwości, a kapitan John Smith stworzył pierwszą osadę, którą nazwano Jamestown.

– Dlaczego Wirginia? – spytał sir Jacob.

Chłopiec nie umiał tego wytłumaczyć. Może był to instynkt jego saskich przodków, którzy tysiąc lat wcześniej zbudowali nad Tamizą osadę. A może romantyczna magia wielkiego, nieodkrytego jeszcze kontynentu rozpaliła w nim iskrę? Nie umiejąc jednak ubrać swoich uczuć w słowa i pamiętając, co usłyszał wcześniej od ojca, odpowiedział:

– Bo to będzie drugi Ulster.

Sir Jacob spojrzał na syna z zachwytem. Takie właśnie były plany. Położona w północnej Irlandii plantacja Ulster była dla sir Jacoba powodem

do wielkiej dumy. Król Jakub postanowił stworzyć w kraju zatwardziałych papistów – „są niewiele lepsi od zwierząt” – wielką kolonię angielskich i szkockich osadników. Oferowano im ziemię na dogodnych warunkach, a londyńskie gildie zainwestowały ogromne kwoty w zaopatrzenie gospodarstw i odbudowę miasta Derry w zamian za przyszłe czynsze i inne zyski. Gildia kupców bławatnych włożyła w ten interes ponad dwa tysiące funtów. Porównanie z Wirginią nasuwało się samo. Czym różnili się dzicy papiści od pogańskich Indian? Niczym. Zarówno król, jak i sir Jacob mówili wprost: „Wirginia będzie Ulsterem Ameryki”.

Zaciekawiony Ducket wypytywał chłopca dalej. Co oznacza osadnictwo? Czy oznacza też zaprowadzanie porządku? Julius skinął głową.

– Tak, bo inaczej się nie da.

Czy robi się to wyłącznie dla zysku? Julius zmarszczył brwi.

– To jest miejsce dla dobrych protestantów.

Czy to zatem oznacza, że można służyć Bogu nie tylko w kościele, ale także w Giełdzie Królewskiej? Chłopiec zamyślił się, a potem odparł radośnie:

– Oczywiście, ojcze! Przecież sam Bóg nas wybrał.

Sir Jacob był uszczęśliwiony.

Miesiąc później Julius znalazł skrzynię.

Leżała w kącie domowej piwnicy, ukryta pod belami sukna – wiekowa, ciemna skrzynia, zamykana na trzy duże kłódki i ozdobiona ornamentami z mosiężnych taśm, które już dawno sczerniały. Musiała być bardzo stara.

Nie była jednak czymś niezwykłym. Giełda Królewska symbolizowała nowe czasy, lecz w najbliższym otoczeniu chłopca stary świat wciąż się trzymał. W domu stało ciężkie łoże z baldachimem z czasów króla Henryka, były dzieła Chaucera wydrukowane tuż po wojnie Dwóch Róż,

a nawet jeszcze starszy klasztorny talerz Srebrnego Ducketa. Wydawało się, że nawet dębowe boazerie i sufity, choć zamontowane zaledwie dziesięć lat wcześniej, pokryte są ciemną, dostojną patyną. Podobnie było w Bocton. Stara kamienna fasada została przebudowana w czasach Tudorów – miała teraz dwa regularne rzędy wielodzielnych okien – ale chłopi z majątku nadal wpłacali feudalne grzywny w sali przeznaczonej do rozpraw sądowych, w kuchni wciąż używano starych, czarnych kociołków pamiętających czasy Plantagenetów, a jelenie przemierzały park tak samo jak lasy w zamierzchłej przeszłości.

Jednak skrzynia wyglądała tak tajemniczo, że Julius zapytał o nią ojca, a odpowiedź wprawiła go w osłupienie.

– To jest skarb piratów.

Skarb prawdziwego pirata, a do tego czarnoskórego. Julius słuchał zafascynowany opowieści o dziwnym wilku morskim, który zostawił swój skarb na przechowanie.

– A potem wypłynął w morze. Podobno porwał jakąś dziewczynę z teatru Globe, ale nie jest to pewne. Nikt go potem nie widział. Niektórzy mówią, że udał się do Ameryki, a inni, że pływa gdzieś na południowych morzach. – Sir Jacob się uśmiechnął. – Ale jeśli kiedykolwiek tu wróci, czekają go trzy przypływy.

Wszyscy wiedzieli, jak karano piratów. Podczas odpływu, gdy poziom wody był niski, przywiązywano ich łańcuchem do słupa w Wapping, poniżej Tower, a potem czekano, aż fala przypływu trzykrotnie ich zaleje. No cóż, w końcu związali swój los z wodą.

Czasy dawnych korsarzy dawno minęły. Kompanie chciały bezpiecznego handlu. Król Jakub zawarł pokój z Hiszpanią, więc nie potrzebowano już korsarzy do obrony kraju. Purytanom nie podobała się ta zażyłość z katolickim wrogiem, ale Anglii nie stać było na kosztowne

wojny. Piraci nie musieli już napadać na wrogie okręty. Ludzi takich jak Czarny Barnikel czekały kajdany.

Julius słuchał jak urzeczony. W jego wyobraźni Czarny Barnikel stał się olbrzymem ludożercą, z ogromnymi wąsami i oczami niczym ogniste kule. Z tych fantazji wyrwał go dopiero głos ojca:

– Niech ta skrzynia, Juliusie, będzie dla ciebie ważną nauką. Załóżmy, że skarb należy do króla. Czy powinienem go strzec ze wszystkich sił?

– Oczywiście, ojcze.

– Ale został mi powierzony przez pirata, który według mnie zasługuje jedynie na stryczek. Czy zatem powinienem się nim opiekować? – Chłopiec się zawahał. – Tak, Juliusie, powinienem. A dlaczego? – Umilkł z powagą. – Bo dałem słowo. Twoje słowo, Juliusie, musi być święte. Nigdy o tym nie zapominaj.

Julius zapamiętał to sobie na zawsze.

Jednak w skrytości ducha często zastanawiał się, co się stało z piratem.

Rok 1613

Pod koniec czerwca 1613 roku miały miejsce dwa cudowne zdarzenia. Najpierw teatr Globe spłonął do szczętu. Pożar wybuchł podczas przedstawienia *Henryk VIII* Shakespeare’a. Iskry z działa, które wystrzeliło na scenie, dosięgły strzechy, a płomienie szybko ogarnęły cały budynek. Cuthbert, który dotrzymał słowa i od dwóch lat nie widział żadnego przedstawienia, posmutniał. Jednak Martha poczuła radość w sercu, uznawszy, że to kara zesłana przez Boga.

Drugim cudem był ślub Marthy. Johnowi Doggetowi, przyjacielowi Cuthberta, zmarła nagle żona. Biedny wdowiec zupełnie sobie nie radził z piątką dzieci.

– Jemu potrzeba kobiety – oznajmił Cuthbert siostrze. – Pobożnej chrześcijanki, która zajmie się jego gromadką.

Nie wiedząc, co o tym myśleć, Martha zgodziła się spotkać z rodziną Doggeta. On sam zrobił na niej dobre wrażenie: był pracowitym, uczciwym człowiekiem. Lecz opieka nad dziećmi go przerastała.

– W tej rodzinie jest miłość, ale prawie nie znają Biblii – stwierdziła Martha.

– Mogłabyś ocalić ich dusze. To twój chrześcijański obowiązek – namawiał ją Cuthbert.

Wzruszyła ją troska brata o innych ludzi, więc zgodziła się przemyśleć tę propozycję.

Wahała się przez kilka dni. Southwark nigdy jej się nie podobało, ale Dogget z pewnością potrzebował wsparcia. Dlatego jak zwykle odsunęła na drugi plan swoje potrzeby i poszła na spotkanie z nieszczęsnym budowniczym łodzi.

– Będziesz musiał mnie nauczyć, co znaczy być żoną – powiedziała łagodnie i po raz pierwszy miała okazję zobaczyć jego uśmiech.

– Nauczę cię – powiedział z wdzięcznością.

– I będę musiała zaprowadzić pewne zmiany.

– Co tylko zechcesz – odparł udręczony ojciec.

Rok 1615

Wczesnym popołudniem w październiku 1615 roku dwaj mężczyźni przygotowywali się na spotkanie. Wcale nie mieli na nie ochoty. Jednym z nich był sir Jacob Ducket. Jego gość, czterdziestolatek w ciemnych szatach i małej, białej kryzie, był duchownym. Tchnął szczególną elegancją. Zatrzymał się na chwilę przed drzwiami domu rajcy. A potem westchnął i wszedł do środka.

Edmund Meredith nie był już młody. Od jego fatalnego debiutu dramatopisarskiego minęło piętnaście lat. Nie udało mu się niczym zadziwić świata. Napisał trzy kolejne sztuki, ale nikt nie chciał ich wystawić. Było to tym bardziej irytujące, że teatr stał się modny. Po pożarze odbudowano Globe, a mecenasem aktorów został sam król Jakub. Shakespeare nie tylko nie wybierał się na emeryturę, ale odnosił coraz większe sukcesy. Gdy Edmund poskarżył się pewnego razu Burbage'om, że Will wykorzystał w *Otellu* jego pomysł na czarnoskórego Maura, bracia przypomnieli mu bezlitośnie: „Napisano już kilka *Makbetów*, ale ludzie chcą oglądać tylko Shakespeare'a". Meredith nadal chodził do teatru, jednak miał tam coraz mniej przyjaciół i nawet Flemingowie traktowali go chłodno. Lecz to właśnie dzięki Flemingom stał się znany. A właściwie dzięki Jane.

Co się z nią stało? Nawet jej rodzice uznali, że została zamordowana, ale jemu intuicja podpowiadała, że kobieta żyje. A ponieważ jej zniknięcie kojarzyło się z pojawieniem się Czarnego Barnikela, chętnie podtrzymywał pogłoski o jej porwaniu.

Postać Jane pozwalała mu zbudować korzystny wizerunek. Może nie miał innych ważnych spraw do przemyślenia, a może wszystko zaczęło się od słów pewnej wytwornej damy (która mówiła to zawsze, gdy wyczerpywały się tematy do rozmowy): „Coś mi się wydaje, panie Meredith, że nosi pan w sobie jakąś smutną tajemnicę, chyba chodzi o kobietę", w każdym razie dwa lata po zniknięciu Jane każda myśl o niej wpędzała go w melancholię. Pielęgnował pamięć o niej i obnosił się z nią jak kochanek z namalowaną miniaturą swojej ukochanej. W końcu zyskał opinię eleganckiego żartownisia, który stracił wielką miłość. Ułożył kilka zgrabnych, namiętnych wierszy, które chętnie czytano. Najbardziej znany zaczynał się od słów: „Bo odebrano mi tę, którą miłowałem".

Sukces jego poezji zapewnił mu trzy przelotne, ale zauważone w modnych kręgach romanse.

I nic poza tym. Lata mijały, a na coraz bardziej wyrafinowanym dworze liczyły się konkretne dokonania. Sama rycerskość nie wystarczała. Zaczynał irytować kobiety.

„Gdyby tylko Jane była przy mnie – wzdychał czasem – kto wie, czego mógłbym dokonać". Zaczął się nawet zastanawiać nad małżeństwem. „Tylko skąd wziąć stały dochód?". Nie miał pojęcia, co dalej. Dlatego przyjął święcenia kapłańskie.

Nie było w tym nic dziwnego. Wprawdzie dżentelmeni rzadko wybierali karierę duchowną, ale ostatnio na taki krok zdecydowało się kilku mężczyzn z wyższych sfer, rozczarowanych sprawami doczesnymi i życiem na dworze. Jeden z nich szczególnie imponował Edmundowi.

Niewątpliwie John Donne był znaną postacią. Wysoko urodzony w rodzinie spokrewnionej z wielkim Tomaszem Morusem, zaskarbił sobie podziw i sympatię Mereditha poezją i licznymi romansami. Często spotykali się przy różnych okazjach. Donne był też ulubieńcem króla, lecz Jakub zapowiedział, że będzie go wspierał tylko wtedy, gdy on przyjmie święcenia kapłańskie. Pewnie dlatego Donne gorąco namawiał innych, aby poszli drogą, do której sam został niejako zmuszony.

„Jak ktoś umie wygłaszać dobre kazania, to zajdzie daleko", zapewniał Mereditha. A do tego zyska publiczność, także z wyższych kręgów. Edmund rozważył tę propozycję, a nawet dostrzegł w niej pewne zachęcające perspektywy. Kaznodziejstwo miało przecież w sobie coś z teatru.

„Wydaje mi się nawet – stwierdził po dwóch tygodniach – że czuję w sobie powołanie". I przyjął święcenia.

Potem musiał sobie znaleźć beneficjum. I znów Donne przyszedł mu z pomocą.

„W jednej parafii mają wakat. Szepnąłem królowi słowo, a on porozmawiał z biskupem Londynu. Musisz jedynie przekonać do siebie radę parafialną. Jeśli im się spodobasz, posada jest twoja. – Uśmiechnął się raźno. – A to naprawdę dobra parafia. Główny członek rady ma duże udziały w Kompanii Wirginijskiej. Powodzenia”.

Był tylko jeden problem. Członkiem rady parafialnej, o którym wspomniał Donne, był sir Jacob Ducket.

Julius patrzył z ciekawością, jak Meredith wchodzi nerwowo do dużego, wyłożonego boazerią pokoju, w którym obradowała rada parafialna. Ojciec pozwolił mu zostać, żeby zobaczył, jak należy wykonywać rodowe obowiązki.

Średniowieczny porządek prawny obowiązujący w Londynie – podobnie jak samo miasto – nadal zachował dawną formę. Miastem rządził wybierany burmistrz oraz podlegli mu rajcy, po jednym z dwudziestu czterech okręgów. Każdy okręg miał swoją radę, a niżej każda parafia miała swoją radę parafialną, której członkowie, wywodzący się z najbogatszych parafian, odpowiadali za porządek i dobrobyt społeczności. W tej akurat parafii rada zazwyczaj wyrażała swoją opinię na temat kandydatów na wikariuszy zgłaszanych przez biskupa. Sir Jacob, będąc w skrytości ducha kalwinistą, najchętniej pominąłby udział wysokiego dostojnika kościelnego, ale skoro król potrzebował biskupów, a on był wiernym poddanym króla, to sprawa była rozstrzygnięta. Rada parafialna Świętego Wawrzyńca Silversleevesa składała się z trzech członków: sir Jacoba, pewnego sukiennika, który zasiadał też w radzie okręgu, oraz starszego dżentelmena, który od trzech lat posłusznie nie odezwał się ani słowem na zebraniach.

Parafia była niewielka, ale dzięki darowiznom przekazanym pięćdziesiąt lat wcześniej przez Srebrnego Ducketa bardzo się wzbogaciła i zyskała na znaczeniu. Sir Jacob żywił niechęć do Mereditha i zgodził się go przyjąć tylko na prośbę biskupa i dworu. Teraz zamierzał szybko ukręcić całej sprawie łeb. Dlatego gdy tylko Edmund stanął przed obliczem szacownego grona, rajca spytał bez wstępnych uprzejmości:

– Wciąż pan pisze sztuki, panie Meredith?

– Nie, panie, od wielu lat nie napisałem ani jednej.

– A wiersze?

– Jedynie religijne medytacje. I tylko do użytku własnego.

– Ale z pewnością masz pan kochankę. – Sir Jacob uśmiechnął się, jakby miał zamiar ukąsić rozmówcę.

– Nie, panie. – Edmund zbladł.

– Dajże spokój, przecież dobrze cię znamy.

– Mylicie się – zaprotestował Edmund z lekkim drżeniem.

– Aha. W takim razie co cię skłoniło do przyjęcia święceń?

Zbity z tropu i przekonany, że jedyna szansa na awans wycieka mu właśnie przez palce jak rtęć, Edmund gorączkowo szukał w myślach właściwiej odpowiedzi, aż w końcu mimowolnie wypalił zgodnie z prawdą:

– Bo nie widziałem przed sobą innej drogi.

Była to jedna z tych chwil, kiedy wyznanie trudnej prawdy nieoczekiwanie okazuje się opłacalne.

Dżentelmen po prawej stronie sir Jacoba mruknął:

– Nawrócony grzesznik.

Sukiennik też pokiwał głową z aprobatą. Ducket spostrzegł, że przeszarżował. Zebrał się w sobie.

– My jednak chcielibyśmy wiedzieć – powiedział łagodniej, rzuciwszy swoim kolegom karcące spojrzenie – czy ta poprawa jest szczera.

Meredith też zdążył się opanować. Spojrzał w zadumie na podłogę, a potem podniósł wzrok i powiedział z powagą:

– Mój dziadek był dżentelmenem na dworze króla Henryka. Mój ojciec poszedł w jego ślady. Nikt nigdy nie odważył się zaprzeczyć, że należę do stanu szlacheckiego. Gdyby moje słowo wam nie wystarczyło, to zapytam po prostu: jakie inne powody poza przekonaniami miałyby mnie skłonić do przyjęcia święceń?

Była to doskonała zagrywka. Na takie pytanie rada nie miała odpowiedzi. Łagodna przygana za nazwanie Edmunda kobieciarzem była jak rzucenie asa na stół. Bo przecież z jakiego powodu wysoko urodzony dżentelmen wybrałby tak skromne zajęcie? Sir Jacob zdał sobie sprawę, że źle rozegrał tę partię. Zawahał się. Zapadła chwila milczenia. I wtedy odezwał się Julius:

– Czy to prawda, panie, że sam król wstawił się za tobą? – spytał niewinnie.

Edmund, zaskoczony tymi słowami jak wszyscy inni, odwrócił się do chłopca.

– Tak sądzę – powiedział z uroczym, najbardziej naturalnym uśmiechem.

Sprawa była rozstrzygnięta. Sukiennik i stary dżentelmen się rozpromienili. Sir Jacob przegrał, ale był dostatecznie mądry, aby od razu to zauważyć. Czy naprawdę wolno mu odrzucić kandydata wspieranego przez króla, któremu przysiągł całkowitą wierność?

– A zatem, panie Meredith – powiedział z największą łaskawością, na jaką go było stać – przekonałeś nas. Ale proszę pamiętać – dorzucił – że oczekujemy dobrych kazań. – Dwaj pozostali członkowie rady pokiwali stanowczo głowami.

Edmund pomyślał, że udało mu się ocalić skórę, ale oto do końca życia być może będzie musiał co niedziela wygłaszać kazanie dla sir Jacoba,

a jego jedynym sojusznikiem jest dwunastoletni chłopiec.

– Gdyby tylko Jane była ze mną – mruknął pod nosem.

Pewnego wiosennego dnia halę kupców bławatnych wypełnił podekscytowany tłum. Julius, którego przyprowadził ojciec, rozglądał się z ciekawością. To miał być pierwszy publiczny występ niezwykłej postaci. Na Cheapside zebrało się już mnóstwo ludzi chcących wziąć udział w tym wydarzeniu. Nic dziwnego. Niewielu londyńczyków widziało kogoś takiego.

Gwar narastał. W hali pojawił się przystojny, dobrze zbudowany mężczyzna o wyglądzie prowincjonalnego kupca.

– To Rolfe – szepnął Juliusowi ojciec. Ale po chwili zapadła cisza, bo do hali weszła ona.

Julius poczuł lekkie rozczarowanie. Nie tak ją sobie wyobrażał.

Była ubrana jak chłopak, w aksamitną koszulę z dużym koronkowym kołnierzem i mankietami. Spod skromnego kapelusza ze sztywnym rondem spływały w lokach ciemne włosy. W ręce trzymała wachlarz ze strusich piór. Gdyby nie śniada twarz, muśnięta lekko różem, nikt by się nie domyślił, że jest Indianką. Nazywała się Pocahontas.

Tak w każdym razie nazywało się jej plemię w Wirginii i tak została zapamiętana przez historię. Wśród swoich nosiła imię Mataoka. Po chrzcie przybrała imię Rebecca, a ponieważ była prawdziwą indiańską księżniczką, londyńczycy mówili o niej lady Rebecca. I nawet król Jakub, pamiętając o jej arystokratycznym pochodzeniu, wyraził dezaprobatę, że księżniczka – choćby była księżniczką z dzikiego ludu – poślubiła trzy lata wcześniej kapitana Rolfe’a, angielskiego plebejusza, i teraz jako zwykła pani Rolfe miała być pierwszą Amerykanką składającą wizytę w Anglii.

Cały Londyn znał już tę romantyczną historię. Oto kapitan Smith, który założył Jamestown, został pojmany przez Indian i miał ponieść straszną

śmierć przez roztrzaskanie czaszki, ale dziewczyna, wówczas jeszcze dziecko, ofiarowała w zamian swoją głowę, aby ocalić mu życie. Smith był dla niej za stary, ale dzięki przyjaznym stosunkom z osadnikami poznała Rolfe'a i w końcu jako bohaterka przybyła do Anglii.

Jednak dla Juliusa wcale nie wyglądała na bohaterkę. Gdy tak krążyła po sali, zamieniając po kilka słów z różnymi osobami, trudno było powiedzieć, czy jej wdzięk jest oznaką nieśmiałości, czy dumy. Organizatorzy dołożyli starań, aby wszyscy najważniejsi goście mieli okazję z nią porozmawiać, lecz ona, najwyraźniej znudzona kupcami, podeszła nagle wprost do Juliusa. Po chwili wyciągnęła do niego drobną dłoń. Para ciemnych, migdałowych oczu wpatrywała się w niego z nieznaną mu wcześniej szczerością.

Była drobniejsza i młodsza, niż mu się wydawało. Wiedział, że ma już ponad dwadzieścia lat, ale wyglądała na piętnaście. A on, mając świadomość, że pierwszy puch sypnął mu się nad górną wargą, zaczerwienił się jak pierwszy lepszy gołowąs. Indiańska księżniczka roześmiała się i odeszła.

Poza tym drobnym incydentem cały jej występ był wyreżyserowany jak teatralny spektakl. Gdy już obeszła salę, wyprowadzono ją na zewnątrz. Na ulicy wsiadła do lektyki, którą zastęp służących ubranych w barwy gildii kupców bławatnych podniósł wysoko do góry, aby tłum mógł ją dobrze widzieć. Orszak przesuwał się w głąb Cheapside, a ona machała do ludzi, wyglądając jak prawdziwa księżniczka. Gdy mijała St Mary-le-Bow, podążało już za nią pół tysiąca osób. I nagle zniknęła: lektyka opadła, a ona przesiadła się do zamkniętego powozu, który szybko odjechał. Wszystko potoczyło się tak błyskawicznie, że rozbudzona uwaga tłumu straciła swą przyczynę i ludzie zaczęli się rozglądać zdezorientowani. Wówczas jak na

zawołanie z podestu przed kościołem rozległ się miły, melodyjny głos. Zebrani odwrócili głowy.

– Patrzcie, oto służebnica Pana! Dzisiaj, umiłowani, widzieliśmy znak.

Był to Meredith. Tak właśnie rozpoczął swoje kazanie.

Kompania Wirginijska miała kłopoty, zasiedlanie nowych ziem szło opornie. Wypłynęło zaledwie kilka statków z osadnikami. Krążyły pogłoski o ciężkich warunkach, atakach Indian, głodzie. Kompania liczyła straty. Żeby zdobyć nowe fundusze, zorganizowała nawet narodową loterię. Ale potrzebna był mocna zachęta. Bez względu na to, czy historia o Pocahontas i kapitanie była prawdziwa, czy może Smith i Kompania Wirginijska ją zmyślili, przyjazd sympatycznej, ochrzczonej indiańskiej księżniczki i jej męża Anglika był prawdziwym darem od Boga – sir Jacob i jego przyjaciele postanowili to wykorzystać.

Opłacanie kaznodziejów, aby propagowali jakąś słuszną sprawę, było dość powszechną praktyką. Kompania Wirginijska często zatrudniała kapelanów. Tego dnia, mając przed sobą pięćset osób, Meredith czuł, że wreszcie nadarzyła się okazja, o jaką od dawna prosił sir Jacoba. Nie zamierzał tej okazji zmarnować.

Jego kazanie miało dwa wątki. Pierwszy dotyczył Pocahontas, żeby zaciekawić słuchaczy. Drugi, prawdziwy cel kazania, stanowił zachętę do osiedlania się w Wirginii. Meredith nie przekonywał słuchaczy, że to bogata kraina. Uznał, że to wiedzą, i umiejętnie posługiwał się cytatami z Biblii. A zakończył pełnym pasji wezwaniem:

– A więc chodźcie, weźcie w posiadanie waszą oblubienicę, Wirginię, waszą nowo odkrytą ojczyznę.

Właśnie na takie kazania Kompania Wirginijska liczyła. Gdy tylko padły ostatnie słowa – które oczarowały słuchaczy – pracownicy Kompanii wmieszali się w tłum z naręczami ulotek informujących przyszłych

osadników oraz inwestorów, że należy zgłosić się do siedziby kompanii przy Philpot Lane.

Julius słyszał każde słowo. Lubił Mereditha, więc ucieszyło go, że ojciec jest wielce zadowolony. Ojciec musiał załatwić jakieś sprawy na mieście, a on był zbyt podekscytowany, aby od razu wracać do domu.

Sir Jacob był wciąż w doskonałym nastroju, gdy Julius pojawił się w domu. Uśmiechnął się pobłażliwie, słysząc, że syn ma do przekazania niezwykłą wiadomość.

– Ojcze, widziałem coś dziwnego.

Od kiedy Martha wyszła za mąż i wyprowadziła się do Doggeta, Julius rzadko ją widywał. Czasem tylko odwiedzała brata. Jej nowej rodziny w Southwark chłopiec nigdy nie poznał. Zaciekawił się więc, gdy natknął się na nich na Watling Street.

Oni też przyszli zobaczyć Pocahontas i chociaż Martha nie darzyła Mereditha zaufaniem, bo pisał kiedyś sztuki, zostali dłużej, aby wysłuchać kazania. Byli wszyscy: Dogget, jego pięcioro dzieci, z których jedno było o rok czy dwa starsze od Juliusa, oraz niemowlę, które urodziła Martha. Widząc, że go poznała, Julius podszedł do gromadki i wtedy dokonał niezwykłego odkrycia.

– Ojcze, ten szkutnik i dwoje jego dzieci mają białe pasmo włosów, zupełnie ja my. Ale najdziwniejsze są ich dłonie. Dogget i jedno dziecko mają między palcami coś w rodzaj błony. – Umilkł gwałtownie.

Sir Jacob miał minę, jakby otrzymał cios w brzuch. Zachwiał się. Julius przestraszył się, że ojciec doznał ataku serca. Po chwili sir Jacob opanował się, ale – co było jeszcze bardziej niepokojące – popatrzył na syna z wyraźnym obrzydzeniem.

– Jak on się nazywa? Dogget? – Nie słyszał nigdy o Doggetach z Southwark, nie miał też najmniejszego pojęcia, jakim zrządzeniem losu

tacy ludzie mogliby być z nim spokrewnieni.

Był tylko jeden trop. Przybłęda. Sir Jacob poczuł lodowaty strach. Sierota, dziecko z rynsztoka. A patrząc z odrazą, miał przed oczami nie syna, lecz przerażającą wizję, jakby ziemia rozstąpiła mu się pod nogami, ukazując podziemny świat lochów, szybów i korytarzy, mroczne, zdemoralizowane piwnice jego przodków, z których mogły się wydobyć najgorsze potworności. Zapomniawszy o obecności chłopca, powiedział głośno:

– Klątwa.

Julius patrzył na niego szeroko otwartymi oczami. Jaka klątwa? O czym ojciec mówi?

– Nie zbliżaj się do tych ludzi. Oni są przeklęci – wycedził sir Jacob przez zaciśnięte zęby.

Julius osłupiał.

– Tylko Doggetowie, ojcze, czy Martha też?

– Wszyscy – odparł sir Jacob. Nie wiedział przecież, co może być przyczyną klątwy. Wypowiedział te słowa tak stanowczym tonem, że Julius nie ośmielił się już o nic zapytać.

Następnego dnia sir Jacob zaczął potajemnie rozpytywać o rodzinę z Southwark.

Julius był zaskoczony dziwną rozmową z ojcem, lecz już w następnym tygodniu przestał o niej myśleć wskutek pewnego radosnego wydarzenia. Rankiem wybrali się we dwóch za miasto, żeby zobaczyć jedną z licznych ojcowskich inwestycji. Stanowiła powód do wielkiej dumy.

Brak dobrej wody pitnej był jedną z niewielu wad Londynu.

Oczywiście przez miasto płynęła Tamiza. Ale tamtejsza woda nie miała dobrego smaku. Rzeźnicy wyrzucali do rzeki odpadki, garbarze płukali wyprawione skóry, browarnicy, farbiarze i inni wylewali ścieki, nie mówiąc

już o zawartości rynsztoków wypełnianych przez dwieście tysięcy mieszkańców. Walbrook praktycznie zniknął, zabudowany domami, Fleet śmierdział. Nadal funkcjonował stary wodociąg z czasów Whittingtona, ba!, został nawet rozbudowany, ale wody wciąż było za mało i należało ją roznosić po mieście w wiadrach. Codziennie na ulicach rozbrzmiewały nawoływania objuczonych nosidłami woziwodów: „Woda, kupujcie świeżą wodę!”.

Teraz, dzięki niezwykłemu człowiekowi, który nazywał się sir Hugh Myddelton, miało się to zmienić.

Podobnie jak Whittington, Gresham Myddelton był arystokratą, pochodził ze znakomitej walijskiej rodziny. W Goldsmith Company dorobił się wielkiego majątku. Do tego był śmiałym wizjonerem. Zaproponował zbudowanie wodociągu, który zapewniłby miastu wodę pitną. Burmistrz i rajcy przyjęli ten plan z wielką wdzięcznością, a sir Jacob Ducket chętnie kupił udziały w spółce.

New River Company była ogromnym przedsięwzięciem. Pod fachowym nadzorem Myddeltona zbudowano kanał doprowadzający wodę ze źródeł znajdujących się prawie trzydzieści kilometrów na północ od Londynu. Tuż za miastem powstał zbiornik, a stąd woda miała docierać do każdego domu. Czegoś podobnego jeszcze w Anglii nie widziano. Ogrom i koszt tego projektu były tak wielkie, że włączył się sam król, kupując połowę akcji, a gdy zaczęła pojawiać się drobna konkurencja, nadał spółce monopol. „Bez monopolu to wielkie przedsięwzięcie nie mogłoby się udać”, tłumaczył synowi sir Jacob.

Dla niego nie było większej przyjemności niż wyprawa z Juliusem za miasto i podążanie szlakiem ukochanego przedsięwzięcia aż do zbiornika, skąd roztaczał się widok na miasto w oddali. Właśnie wyruszyli w drogę, gdy zatrzymał ich wesoły okrzyk.

– Ojcze! Powiedzieli mi, gdzie was szukać.

Julius odwrócił się i zobaczył wysokiego jeźdźca noszącego się z dumną, niemal nonszalancką elegancją. Był to jego starszy brat Henry.

Nie widzieli go od trzech lat. Po skończeniu Oksfordu nie wrócił do Londynu, lecz wyjechał z przyjacielem do Włoch, gdzie studiował przez rok, a kolejny rok spędził w Paryżu. Z mizernego chłopaka wyrósł prawdziwy mężczyzna. Tak jak ojciec był ubrany na czarno i miał pasmo jasnych włosów nad czołem. Ale gdy ruszyli razem wzdłuż kanału, wymieniając wieści z Londynu i Paryża, z angielskiego i francuskiego dworu, w rozmowie zaraz wyłoniły się dzielące ich różnice. Sir Jacob był dżentelmenem, a Henry arystokratą; purytański rajca miał surowe poglądy, wytworny podróżnik był zaś wręcz bezwzględny; ojciec wierzył w porządek prawny, a jego syn był zwolennikiem silnej władzy.

Julius nie mógł oderwać oczu od brata. Aż puchł z dumy, że ma taką wspaniałą rodzinę.

– Wróciłeś na dobre? – ośmielił się w końcu zapytać.

– Tak, braciszku, na dobre – odpowiedział Henry z dziwnie kpiącym uśmiechem.

Rok 1620

Pewnej gwiaździstej nocy w czerwcu 1620 roku tłum złożony z siedemdziesięciu osób stanął półkolem nad Tamizą w oczekiwaniu na świt. Jedni byli wylęknieni, inni podekscytowani. Martha, patrząc na migoczącą rzekę, czuła wielką radość, że oto Pan Bóg ukazał im swoją chwałę.

Pobożni londyńczycy od lat już mówili o tym przedsięwzięciu. Ale ona nigdy nie marzyła, że będzie w nim uczestniczyć. Bo czy ktoś mógł przewidzieć tę niezwykłą zmianę, która zaszła w rodzinie Doggetów? Albo

tę nieoczekiwaną postawę chłopca? Albo niedawne zadziwiające wydarzenia, które przywiodły ich dziś nad brzeg rzeki? Spojrzała z uśmiechem na męża. Ale John Dogget nie odwzajemnił uśmiechu.

Kochał swoją żonę. Tajemnicze zniknięcie Jane dwadzieścia lat wcześniej zasmuciło go, lecz czas płynął i po dwóch latach John ożenił się z energiczną kobietą, córką przewoźnika łodzią. Do jej nagłej śmierci byli ze sobą bardzo szczęśliwi. Po jej stracie był tak zbolały, że żeniąc się z Marthą, nie do końca wiedział, co robi.

Do dziś pamiętał, jak po ślubie przyprowadził ją do domu. Bóg jeden wiedział, co sobie pomyślała, choć wcześniej starał się jakoś posprzątać – rodzina zawsze żyła w radosnym bałaganie. Podejrzewał też, że noc poślubna, choć podstawowy obowiązek został wypełniony, nie dała jej szczególnych powodów do radości. Następnego ranka wyszedł do pracy zamyślony i niepewny. A po powrocie zobaczył wielką zmianę. Dom był czysty. Ubrania dzieci wyprane. Na stole stała wielka zapiekanka w cieście i miska jabłek uduszonych z goździkami, a z pieca rozchodził się zapach owsianych ciasteczek. Rodzina już od roku nie jadła tak pysznego posiłku. W nocy, przepełniony wdzięcznością, kochał się z nią czule i namiętnie.

Powoli zjednała sobie uczucia dzieci. Nigdy ich nie zmuszała do okazywania wdzięczności, po prostu wykonywała swoje obowiązki. Ale dzieciaki szybko zauważyły, że ich dom pachnie czystością, a nie stęchlizną, że mają pocerowane ubrania, że spiżarnia jest pełna, a w domu panuje ład i spokój. I choć Martha nigdy nie prosiła o pomoc, po niedługim czasie ośmioletnia dziewczynka chciała gotować razem z nią, a najstarszy chłopak, widząc, jak Martha zamiata podwórze, wziął od niej miotłę. „Ja to zrobię”, powiedział. Tydzień później, pracując z ojcem przy naprawie łodzi, oświadczył: „To dobra kobieta”.

Mimo to Martha wciąż go zastanawiała. Doggetowie byli ludźmi wesołymi z natury, zawsze widzieli wokół siebie coś zabawnego. Ale gdy on i dzieciaki wybuchali śmiechem, ona tylko uśmiechała się lekko. Czasem myślał, że może nie rozumie ich żartów. A może nie była zadowolona z ich pożycia? Owszem, umiał ją podniecić i choć chętnie przyjmowała jego zaloty, to sama nigdy nie zrobiła pierwszego kroku. Może uważała to za grzech? Gdy jednak po trzech miesiącach zapytała go, czy jest dobrą żoną, a on odpowiedział szczerze, że nie mógłby sobie znaleźć lepszej, była tak uszczęśliwiona, że jego wątpliwości prysły.

W końcu doczekali się dziecka.

Zmiana następowała tak powoli, że przez jakiś czas nawet jej nie zauważył. Jednak stopniowo zaczęło do niego docierać, że jego rodzina przeszła głęboką przemianę. Nawet w Southwark co lepsi straganiarze uśmiechali się uprzejmie do niego i do jego dzieci – rzecz wcześniej nie do pomyślenia. A już zupełnie zadziwiło go, gdy kościelny zaczął go przepraszać za awantury hałaśliwych pijaków, którzy z pewnością przeszkadzają „takim pobożnym ludziom jak wy”. Prawdziwy przełom nastąpił tego dnia, gdy wskazując na przystojnego młodego przewoźnika, powiedział do córki: „To byłby dobry mąż dla ciebie”, a ona odpowiedziała z powagą: „Nie, ojcze, ja chcę poślubić kogoś szanowanego”. Zapewne miała rację. Tylko że na te słowa coś w nim umarło tamtego dnia.

Dokonał jeszcze jednego odkrycia. „Nie ożeniłem się z kobietą – mawiał czasem zgryźliwie. – Ożeniłem się z całym zborem”. Nie chodziło tylko o spotkania modlitewne, na które Martha często uczęszczała. Miał wrażenie, że całe miasto oplata sieć ludzi o podobnych poglądach. Ujawniło się to ze szczególną mocą podczas ich jedynej kłótni.

Poszło o najstarszego syna. Przyuczano go do pomocy w warsztacie szkutniczym, ale chłopak nie chciał iść w ślady ojca. Żmudna praca go

irytowała. Któregoś dnia oznajmił, że chciałby wypłynąć na morze jako rybak. Dogget był przekonany, że jego warsztat jest pewnym źródłem zarobku, więc sądził, że Martha będzie go wspierać. Lecz ona, pomodliwszy się, stwierdziła: „Powinieneś mu pozwolić odejść. Praca jest modlitwą – przypomniała mu. – Ale jeśli człowiek nienawidzi swojej pracy, to jak może chwalić Pana?”.

„Powinien być posłuszny ojcu”, zaprotestował.

„Bóg jest jego ojcem – sprostowała łagodnie. – Nie ty”.

Był tak wściekły, że przez kilka dni nie odezwał się do niej ani słowem.

Mimo to tydzień później dał się zaprowadzić do Billingsgate przed oblicze głowy rodu Barnikelów, jednej z najbardziej szanowanych osobistości w gildii sprzedawców ryb. „Znalazłem dla twojego chłopaka dobrą koję – oświadczył rudobrody Barnikel. – Świetnie znam kapitana. – I zanim Dogget zdołał wyjąkać jakąś odpowiedź, dorzucił: – Chętnie wam pomogłem. Dobre imię twojej żony jest szeroko znane”.

Niebo jaśniało, a te słowa wciąż mu dźwięczały w uszach. Dobre imię jego żony. Nie doszłoby do tego, gdyby nie to przeklęte dobre imię! Zaraz wsiądą do łodzi. Na środku rzeki, tuż poniżej Wapping, zobaczył pułapkę, do której dał się wciągnąć.

Krzepki trójmasztowiec o nazwie „Mayflower”.

W południe minęli ujście Medway.

„Mayflower” był niewielkim, ale solidnym żaglowcem. W jednej czwartej należał do kapitana Jonesa, który nim dowodził, co było najlepszym dowodem jego wytrzymałości. Często czarterowali go londyńscy kupcy, głównie do przewozu wina znad Morza Śródziemnego. Ale teraz, świetnie zaopatrzony, z dużą ilością miejsca pod pokładem, miał przewieźć pasażerów do Nowego Świata.

W przeszłości agenci Kompanii Wirginijskiej kilka razy pytali Marthę, czy nie chciałaby się osiedlić z rodziną w Ameryce. Ale takie propozycje otrzymywała połowa Londynu. Dlatego łagodnie tłumaczyła, że ma u siebie Kościół króla Jakuba, więc nie musi go szukać po drugiej stronie Atlantyku. Jednak ta oferta była inna. Martha była urzeczona, gdy usłyszała o grupie purytanów, którzy zamierzali założyć własną społeczność nie w Wirginii, ale na dzikich terenach na północnym wybrzeżu. Próbowała zdusić to w sobie, ale na próżno: czuła w sercu bolesną zazdrość. Wspomniała nawet o tym Doggetowi, lecz on tylko się roześmiał.

I wtedy przyszła nieoczekiwana pomoc. Najstarszy syn, wróciwszy z kolejnego rejsu, oświadczył ze spokojem: „Ojcze, szykuje się nowa wyprawa, tym razem nie do Wirginii, ale dalej na północ, do kolonii Massachusetts. Organizują ją kupcy ryzykanci. Moglibyśmy się tam dobrze urządzić. Barnikel też tak uważa”. A gdy ojciec spytał, z czego będą żyć, odpowiedział krótko: „Z połowu dorszy”.

Bez dorszy osadnictwo byłoby niemożliwe. Król Jakub też dopytywał, jak osadnicy chcą się utrzymać, a gdy mu powiedziano, że z połowów, rzucił kpiąco: „Jak apostołowie”. Jednak on też wiedział, że osada leży niedaleko najbogatszych łowisk na świecie. „Jest w tym pewne ryzyko – ciągnął chłopak. – Ale ty mógłbyś budować łodzie, a ja będę zarzucał sieci”.

Dogget nie okazał zapału.

Nazajutrz otrzymali tajemniczą propozycję. Dogget podejrzewał, że Martha ma w tym swój udział, ale była tak samo zaskoczona jak on. Przypuszczała jednak, że oferta musi pochodzić od kogoś z purytańskiej społeczności. Może nawet od samego Barnikela. Wiadomość była prosta: jeśli zechcą wyjechać, to tajemniczy dobrodziej zapłaci Doggetowi za warsztat pokaźną sumę – znacznie przekraczającą jego wartość – a także

zakupi w jego imieniu akcje spółki. Jeden z synów zwrócił się do Doggeta przy całej rodzinie: „Nigdy już nie będziemy mieli okazji do zarobienia tylu pieniędzy, ojcze”. Niestety mówił prawdę. Tydzień później Dogget niechętnie wyraził zgodę.

Rejs „Mayflower” został dobrze opisany przez historię. W ujściu Tamizy statek skierował się na wschód, mając po prawej burcie wybrzeże Kentu. Potem skręcił na południe i minąwszy cieśninę Dover, znalazł się na wodach Kanału Angielskiego. W Southampton, w połowie południowego wybrzeża Anglii, miał się spotkać ze „Speedwell”, drugim statkiem wiozącym pielgrzymów. „Mayflower” dotarł do Southampton tuż przed końcem miesiąca.

„Speedwell” był niewielkim sześćsettonowym żaglowcem. Nie zdążył nawet wypłynąć z portowej zatoki, gdy okazało się, że ma za duże zanurzenie i porusza się bardzo niezgrabnie.

– Za dużo masztów. I są za ciężkie – orzekł Dogget, patrząc na statek.

Gdy „Speedwell” podpłynął bliżej, wśród gapiów zaległa cisza, którą przerwał w końcu starszy syn Doggeta:

– Ten statek nie nadaje się na morze.

To prawda. Niespełna godzinę później usłyszeli:

– Statek trzeba najpierw naprawić.

Ale to nie wszystko. Dogget z synami weszli na pokład, a po powrocie jedynie pokręcili głowami:

– Oni nie mają prawie żadnych zapasów.

Wypłynęli z Southampton dopiero na początku sierpnia. Na szczęście pogoda była dobra, nastrój też się poprawił. Minęli piaszczyste wybrzeże poniżej New Forest, a potem długie klify i zatoki Dorset. Następnego dnia o świcie byli już na wysokości Devonu, gdy Martha usłyszała okrzyk:

– Zatrzymują się!

„Speedwell” miał przeciek.

W końcu uznano pechowy żaglowiec za zdatny do żeglugi. Postawiono żagle. Przez pięć dni płynęli po łagodnych falach na zachód. Szóstego dnia, gdy pokonali ponad pięćset kilometrów, Martha zauważyła, że „Speedwell” ma duże zanurzenie i zostaje w tyle. Godzinę później oba statki zawróciły.

– On dalej nie popłynie, jest przegniły – oznajmił kapitan Jones pasażerom po przybiciu do Plymouth. – „Mayflower” może zabrać tylko setkę spośród was. Dwadzieścia osób musi zostać na lądzie.

I wtedy John Dogget, od sześciu tygodni zachowujący milczenie, przemówił:

– My zostaniemy – oznajmił. Wszystkie dzieci, nawet najstarszy syn, skinęły głowami. – Mamy już tego dosyć.

Martha się nie sprzeciwiła. Inni też zaczęli rezygnować.

– Nie dopłyną do Ameryki – szepnął najstarszy syn.

I tak we wrześniu 1620 roku ojcowie pielgrzymi wypłynęli z Plymouth na „Mayflower”. A Doggetowie wrócili do Londynu.

Był pogodny październikowy poranek. W drodze powrotnej do domu sir Jacob Ducket natknął się na Juliusa. Widząc jego niepewną minę, zapytał, co go trapi. Syn wahał się przez chwilę.

– Pamiętasz, ojcze, tych ludzi z dziwnymi palcami? – Sir Jacob zmarszczył brwi. – Znów ich widziałem. Byli z Carpenterem. Chyba się do niego przeprowadzili.

Sir Jacob poczuł, jakby dostał obuchem w łeb, bo na początku roku, anonimowo i przez pośredników, zapłacił pokaźną sumę, aby wyjechali z kraju. A wieczorem, przesiedziawszy kilka godzin z dzbanem wina – czegoś podobnego nigdy nie robił – doznał udaru. Dwa dni później było już jasne, że wszystkie interesy muszą przejąć po nim dwaj synowie: Julius i Henry.

***

W owych czasach był to częsty widok. Każdego wieczoru, tuż przed zachodem słońca, stawała na niewielkim wzniesieniu nazywanym Wzgórzem Wheelera, patrząc na wschód.

Na co tak patrzyła? Na rozległe pola i wijącą się rzekę? W pogodne dni widać stąd było Atlantyk, ale czy naprawdę starała się dosięgnąć wzrokiem oceanu? Nikt jej o to nie pytał. Wdowa Wheeler zatrzymywała swoje myśli dla siebie.

Tak wyglądały wszystkie farmy w Wirginii – kilkaset akrów ziemi będącej w posiadaniu wolnych ludzi. Wheeler nie dorobił się na roli, ale wdowa po nim tak. Sama wszystkim zarządzała, nie stroniła też od ciężkiej pracy. Miała dwóch niewolników, jednak czasy niewolnictwa w Wirginii dopiero miały nadejść. Robotnikami byli w większości Anglicy na indenturze [21] – jedni byli biedni, inni zadłużeni, a drobni przestępcy za dziesięć lat takiej pracy mogli kupić sobie wolność. Wdowa słynęła z tego, że była sprawiedliwa, ale bezwzględna. Gospodarstwo przynosiło dochody dlatego, że każdą piędź ziemi – jak wielu innych osadników w Wirginii – obsadziła rośliną, której wielkie, zielone liście łopotały na wietrze niczym kawałki pergaminu.

Tytoń. Jego uprawę wprowadził John Rolfe, mąż Pocahontas. Kilka lat wcześniej wysyłano rocznie do Anglii ponad dziesięć ton tytoniu. W tym roku wyślą może nawet dwieście ton, kto wie?

Po trudnych początkach kolonia w Wirginii rozrosła się bardzo szybko. Obecnie mieszkało tu kilka tysięcy osadników, którzy co roku zajmowali nowe tereny. Niektórzy farmerzy tak się wzbogacili, że zaczęli sprowadzać towary luksusowe z Anglii. Ale wdowa Wheeler nie kupowała prawie nic. Może miała purytańskie zasady, a może była skąpa, trudno powiedzieć, bo nawet jej nieliczni sąsiedzi słabo ją znali.

Z pewnością byliby zdziwieni, gdyby wiedzieli, że szanowana wdowa Wheeler przez piętnaście lat żyła z piratem – Czarnym Barnikelem.

Tak naprawdę trudno było znaleźć określenie opisujące ich dziwny związek pełen zawirowań. Przez te wszystkie lata Jane mówiła po prostu: „Jestem jego kobietą”.

Została jego kobietą podczas tamtego pierwszego rejsu. Nie miała wyboru. Była jego kobietą, gdy zaszła w ciążę, a on zostawił ją w jednym z afrykańskich portów, żeby urodziła dziecko. Wrócił do niej po kilku miesiącach, szczęśliwy, że ma syna. Obsypał ją podarunkami. Pięć kolejnych rejsów, kilkanaście portów, jeszcze troje dzieci. Życie upływało jej w dziwnych, egzotycznych miejscach, od Karaibów po kraje Lewantu.

Jak się czuła? Na początku dziwnie. Wiedziała, że Czarny Barnikel ma nad nią władzę i może ją nawet zabić. Dlatego uważnie go obserwowała. Ze zdziwieniem odkryła, że potrafi być czuły. I czy chciała tego, czy nie, potrafił doprowadzić ją do cielesnej rozkoszy. Myślała o ucieczce? Nie, był zbyt przebiegły, żeby zyskała choćby najmniejszą do tego okazję. Nigdy nie dopłynęli blisko Londynu. Co miała zresztą zrobić? Porzucić swoje dzieci? Nie umiałaby się na to zdobyć. Zabrać je ze sobą do Londynu? Ze swoją ciemną karnacją byliby nikim w tym mieście. Gdy to zrozumiała, domyśliła się, co jest przyczyną tłumionej złości Orlanda. Ta świadomość, bardziej niż cielesna namiętność, sprawiła, że na swój sposób go pokochała.

Koniec przyszedł znienacka. Po urodzeniu trzeciego dziecka – syna – straciła dwoje kolejnych dzieci. Orlando przebywał najczęściej na morzu. Przez kilka lat nie zachodziła w ciążę. Ale niedługo po tym, jak ich młodszy syn, wówczas dwunastoletni, wyruszył z ojcem w pierwszy rejs, Orlando oznajmił: „Płynę do Ameryki. Jedź ze mną”. Gdy dotarli do Wirginii, sprowadził ją na ląd w Jamestown i wręczywszy worek pieniędzy, powiedział: „Najwyższy czas, abyś ode mnie odeszła”.

Miała prawie trzydzieści lat. Była wystarczająco młoda, mogła jeszcze wyjść za mąż i założyć rodzinę, bo w kolonii wielu osadników szukało żon. Orlando miał rację.

Pół roku później poznała Wheelera. Wzięli ślub. Niestety zachorował, dzieci nie mieli. Orlando przepadł bez wieści. Stojąc na Wzgórzu Wheelera i patrząc na plantację, zauważyła, że w pogodne dni jej wzrok wędruje ku błękitnym wodom oceanu.

Powodem dziwnej tęsknoty były wieści z Londynu. Przywiózł je robotnik z Southwark, który dobrze znał Globe. Nie mając pojęcia, kim jest Jane, powiedział, że jej rodzice niedawno zmarli, a brat wyjechał do West Country. Nawiedziło ją wtedy dziwne poczucie wolności. Może zrobić, co zechce. Nikt nie będzie jej zadawał trudnych pytań.

Wszyscy rolnicy w Wirginii wiedzieli, że tytoń wyjaławia ziemię. Po siedmiu latach uprawy gleba stawała się nieurodzajna. Osadnicy nie przejmowali się tym, bo na zachodzie rozpościerał się cały amerykański kontynent. Po prostu zakładali nową plantację, bardziej oddaloną od wybrzeża. Jane zdawała sobie sprawę, że za trzy lata taki sam los spotka farmę Wheelera. Ale do tego czasu uda jej się zaoszczędzić sporo pieniędzy. Być może nawet tyle, aby wystarczyło na rozpoczęcie nowego życia, pomyślała, patrząc na morze.

Niektórzy uważali, że Henry jest pyszałkiem, ale Julius podziwiał brata za odwagę, z jaką wziął na siebie obowiązki głowy rodziny. Sir Jacob nie wyzdrowiał po udarze: miał sparaliżowaną prawą stronę ciała i nie mógł mówić. Prezentował sobą przykry widok i niejedno dziecko wolałoby ukryć takiego ojca przed światem. Ale nie Henry. Na jego polecenie raz w tygodniu nienagannie ubranego sir Jacoba zanoszono w lektyce do giełdy, aby ludzie mogli okazać należny mu szacunek.

– Należny jemu i całej naszej rodzinie – przypominał Henry Juliusowi, bo bracia towarzyszyli ojcu w tych wyjściach. – Bez względu na to, co przyniesie ci los, masz chodzić z wysoko podniesioną głową.

Choroba ojca zmieniła życie Juliusa. Miał w tym roku wyjechać na studia do Oksfordu, ale po miesiącu Henry zapowiedział:

– Będziesz mi potrzebny, braciszku. Sam nie dam sobie ze wszystkim rady.

Wkrótce przekazał Juliusowi bieżące prowadzenie rachunków i księgowanie dostaw.

– Ty masz głowę do liczb – powiedział.

Tym samym podjął bardzo trafną decyzję.

– Zamierzam kupić kawałek ziemi na wzgórzach niedaleko Bocton – oznajmił któregoś dnia.

– A po co? – spytał Julius.

– Będę uprawiał chmiel – odpowiedział beztrosko. – Na piwo chmielowe. Wszyscy je robią.

Okazało się, że miał rację. Angielscy browarnicy produkowali ciemne piwo z importowanego chmielu, ale uprawiany na miejscu okazał się tańszy. Wkrótce podpisano korzystną umowę z browarem Bulla w Southwark i przez następne lata, nawet gdy handel szedł gorzej, plantacje chmielu w Bocton zapewniały stały dochód.

Jednak jak zauważył Julius, największym talentem Henry’ego było zawieranie znajomości z odpowiednimi ludźmi. Niewiarygodne, jak mu się to udawało. Kilka tygodni po powrocie do domu znał już wszystkie wpływowe osoby, nie tylko w mieście, ale także na dworze. Gdy Julius sprawdzał księgi, Henry najczęściej przebywał na polowaniu, jadł obiad z jakimś lordem albo wychodził na dworskie przyjęcie w Whitehall. Początkowo Julius przypuszczał, że w ten sposób brat chce poprawić

pozycję towarzyską rodziny. Ale któregoś dnia Henry wszedł do domu w stroju myśliwskim i nonszalancko rzucił na stół dokument: kontrakt na dostawę dużej ilości jedwabiu podpisany przez samego Buckinghama, najpotężniejszego faworyta na królewskim dworze.

– Wystarczy mieć przyjaciół we właściwych kręgach – mruknął.

Najważniejszą sprawą był monopol. Oczywiście monopol miały największe kompanie handlowe: bez przywilejów dających im wyłączne prawo handlu z odległymi krajami tak wielkie inwestycje nie byłyby możliwe. Jednak Henry miał na myśli znacznie mniejsze przedsięwzięcia. „Chcesz otworzyć piwiarnię? Musisz mieć licencję, więc zwracasz się z prośbą do faworyta. Potrzebujesz złotych nici? Mój znajomy ma na to monopol. Niewielki monopol, Juliusie, wciąż jest wart majątek. I wszystkie dwory ich udzielają". Henry mógłby dodać, że dwór Stuartów robił to szczególnie chętnie.

Ale właśnie królewski dwór był dla dorastającego Juliusa powodem do coraz większych zmartwień.

Widzieli to wszyscy: relacje między nową dynastią Stuartów a angielskimi poddanymi nie układały się dobrze.

Nie pomagał w tym charakter króla; Jakub był człowiekiem pozbawionym dostojeństwa, a na starość budził wręcz zażenowanie. Nie wiadomo, czy był homoseksualistą, czy w podeszłym wieku nabrał po prostu słabości do młodych mężczyzn.

– Aż ślini się na ich widok – stwierdził Henry.

Na szczęście następca tronu Karol był człowiekiem poważnym, o nieposzlakowanych zasadach moralnych, więc angielscy purytanie przymykali oko na słabości jego ojca, wyczekując sukcesji. To prawda, król otaczał się faworytami. A największe wpływy wśród nich miał Buckingham – niezbyt błyskotliwy, ale za to niezwykle czarujący i tak przystojny, że król

Jakub nadał mu tytuł diuka. Wiele osób uważało, że Buckingham i jego przyjaciele skupili w swoich rękach zbyt wiele monopoli.

– Jak wielu ulubieńców króla zraził do siebie część starej szlachty – tłumaczył Henry. – Dopadną go, gdy tylko nadarzy się okazja.

Były to jednak zwyczajne sprawy na dworze, wobec których można się było zdystansować. Prawdziwy problem, dużo poważniejszy, dał o sobie znać rok po udarze sir Jacoba.

Parlament z 1621 roku zaczął posiedzenie w niezbyt sprzyjającej atmosferze. Przede wszystkim dlatego, że Jakub od dawna nie zwoływał obrad. Znaczyło to, że nie potrzebował pieniędzy. Ale przez kilka stuleci poddani przywykli do tego, że władcy wzywają ich na konsultacje. Czuli się więc teraz lekceważeni. I gdy część arystokratów postanowiła zaatakować chciwych faworytów, Izba Gmin chętnie się do nich przyłączyła. Zaraz po rozpoczęciu obrad posłowie znaleźli sposób, aby przypomnieć królowi, kim są. Ich działania były dla dworu zaskoczeniem.

– Impeachment. – To Henry przyniósł do domu tę wiadomość. – Od czasów Plantagenetów żaden parlament nie posunął się do tego.

Izba Gmin wykazała się sprytem. Nie obłożyli impeachmentem samego Buckinghama, ale dwóch przekupnych, mniej wpływowych faworytów. A cały urok tego zabiegu polegał na tym, że było to jedyne oskarżenie, które obie izby parlamentu mogły wysunąć bez zgody króla. Przekaz był jasny: parlament należy traktować odpowiednio. Ale pojawił się problem. Ekscentryczny, lecz dobrze wykształcony król Jakub nabrał przekonania, że skoro władcy są Bożymi pomazańcami, to mają nieograniczoną władzę. Czyli nie mogą się mylić, zatem poddani muszą okazywać im posłuszeństwo. Tak mówi prawo Boże, stwierdził król, i tak było zawsze. Podobne słowa wywołałyby szok wśród średniowiecznego duchowieństwa, a każdego Plantageneta doprowadziłyby do ataku śmiechu. Tudorowie dbali

o to, aby mieć w parlamencie swoich doradców, sterujących obradami. Królowa Elżbieta była mistrzynią kompromisu. Lecz Jakub oczekiwał jedynie posłuszeństwa. Izba Gmin wystosowała protest na piśmie.

– A król to podarł – obwieścił Henry z ponurym rozbawieniem.

– I co teraz? – spytał niespokojny Julius.

– Nic. Parlament jest zły, ale wszyscy wiedzą, że król się starzeje. Nie ma się czego obawiać.

Po powrocie do Londynu Dogget i Martha żyli w strachu – bali się, czy nieznany dobroczyńca, dowiedziawszy się o ich przyjeździe, nie będzie domagał się zwrotu pieniędzy. Ale z nieznanych powodów nic takiego się nie stało. Musieli też odpowiedzieć sobie na pytanie, co dalej. Rozwiązanie podsunął im Gedeon Carpenter. Jego ojciec Cuthbert zmarł nagle tuż po ich wyjeździe, więc zaproponował, aby Dogget poprowadził z nim rodzinny interes. Znaleźli sobie dom z podwórzem i warsztatem w okolicach Garlic Hill i przyjmowali do naprawy wszystko, co ludzie przynosili. Dogget tęsknił za łodziami, ale cóż, przynajmniej mieli pracę.

Któregoś świątecznego dnia musieli pójść na nabożeństwo do kościoła Świętego Wawrzyńca. Sir Jacob patrzył na przeklętą rodzinę z bezsilną odrazą – sparaliżowany nie tylko przez udar, ale i lęk, że gdyby nawet zażądał zwrotu pieniędzy, to prędzej czy później ludzie zaczęliby wypytywać, dlaczego im je dał. Julius, widząc, że ojciec trzęsie się ze złości na ich widok, doszedł do jedynego możliwego wniosku: zaiste, to muszą być nikczemnicy.

Mimo to nie żywił wobec nich złych zamiarów, gdy pewnego dnia wyjechał z miasta przez Holborn i znalazł się przy kościele Świętej Etheldredy.

W ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat zaszły tutaj zmiany. Dawna posiadłość biskupa była teraz rezydencją hiszpańskiego ambasadora,

a kościół służył jako prywatna kaplica. Sąsiednie ogrody, należące do pupila królowej Elżbiety Hattona, nazywano jego imieniem. Znalazłszy się przy Hatton Gardens, Julius zauważył powóz ambasadora, a ponieważ wymagała tego uprzejmość, zdjął kapelusz i się ukłonił. Zrobił to jednak z dużą niechęcią.

Pozycja Anglii w Europie nie zmieniła się od czasów Elżbiety. Kontynent podzielił się na dwa obozy, katolicki i protestancki. Katolicka Francja była potęgą, hiszpańscy i austriaccy Habsburgowie zamierzali przywrócić wszędzie rządy rzymskiego Kościoła, a protestanckiej Anglii nie stać było na wojnę. Król Jakub musiał więc zręcznie lawirować. W odróżnieniu od Elżbiety miał potomków. Gdy katolicka Austria usunęła jego niemieckiego zięcia z tronu, stwierdził: „Jeśli zaprzyjaźnimy się z Habsburgami, to może przekonamy ich, aby oddali chłopakowi jego własność". Nawiązano więc ostrożne kontakty z ambasadorem Hiszpanii, najbardziej chyba katolickiego kraju na świecie.

Londyńczykom to się nie podobało. Równowaga sił niewiele ich obchodziła. Nie dowierzali katolickim przyjaciołom. „Przypomnijcie sobie Krwawą Marię – mówili. – Przypomnijcie sobie Guya Fawkesa".

Grupka terminatorów wałęsających się w okolicach Hatton Gardens była w wesołym nastroju. Pokazywali sobie palcami powóz ambasadora. Jeden roześmiał się i zrobił obraźliwy gest. Zaraz potem rozległy się okrzyki:

– Hiszpański pies!

– Papista!

– Nie chcemy tu żadnych papistów!

Julius wzruszył ramionami, a powóz pojechał dalej. Zapomniał o tym drobnym wydarzeniu. Lecz następnego dnia Henry przyniósł z Whitehall wiadomość:

– Obrażono hiszpańskiego ambasadora. Król jest wściekły.

– Ja to widziałem – przyznał Julius. – Nie była to żadna wielka obraza.

– Widziałeś? – Henry chwycił go za ramię. – Znasz ich? Mów. Król nakazał burmistrzowi odnaleźć sprawców i surowo ich ukarać.

Julius się zawahał. Bo jednym z młodych ludzi był Gedeon Carpenter.

Henry przekonywał go prawie godzinę. Tłumaczył, że to jego obowiązek, ostrzegał, że jeśli Julius na nich nie doniesie i wyjdzie to na jaw, to ich przyszłość na dworze będzie skończona.

– I pamiętaj, Bóg wybrał nas na przywódców tego miasta. Wolno nam tak Mu odpłacać? Wolno nam uchylać się od naszych obowiązków?

Henry przekazał informacje burmistrzowi i królowi. Obaj okazali mu wielką wdzięczność. Terminatorzy zostali wychłostani pejczem pokutnym. Nie była to lekka kara. Jeden zmarł. Gedeon jednak przeżył.

Od tamtej pory za każdym razem, gdy rodzina pojawiała się w kościele, Julius czuł na sobie nieustępliwe spojrzenie Gedeona. Martha, którą spotkał dzień po chłoście, ograniczyła się do kilku słów: „To nie było moralnie właściwe”. Julius, tak jak jego ojciec, w głębi serca marzył, aby ci wszyscy Doggetowie i Carpenterowie wyjechali z tej parafii, a najlepiej z kraju.

Henry był bezwzględny, jednak potrafił się zatroszczyć o rodzinę. Dwa lata po incydencie z hiszpańskim ambasadorem sprawił, że Ducketowie wspięli się jeszcze wyżej w hierarchii społecznej.

Angielscy królowie zawsze nagradzali swoich przyjaciół tytułami szlacheckimi. Stuartowie je sprzedawali. Był to bardzo lukratywny handel. W imieniu Jakuba Buckingham sprzedał chętnemu tytuł barona za dwadzieścia tysięcy funtów. Żeby jednak nie otwierać zbyt szeroko drzwi do Izby Lordów, Stuartowie wpadli na znakomity pomysł.

Wprowadzili tytuł baroneta. Baronet też mógł dodawać do nazwiska „sir”. Nie zasiadał w Izbie Lordów, ale jego najstarszy syn – a potem każdy kolejny najstarszy spadkobierca – dziedziczył tytuł. Przyznawano go

jedynie szanowanym dżentelmenom mającym duże dochody, chętnych jednak i tak było wielu. Henry Ducket zdobył tytuł dla ojca. Zapłacił za niego tysiąc dwieście funtów. Rok później król Jakub zmarł. Sir Jacob odszedł ze świata zaraz po nim. Gdyby ktoś potrzebował dowodu na czystość jego rodowej krwi, to dokonał żywota jako szlachcic z dziedzicznym tytułem. Henry był teraz sir Henrym.

I piął się coraz wyżej. Nowy król, Karol, ożenił się w końcu z katolicką księżniczką, ale na szczęście Francuzką, nie Hiszpanką. Młoda królowa, nienawidząca Buckinghama, czuła się rozpaczliwie samotna, więc Henry zaprzyjaźnił się z nią. Było to doskonałe posunięcie. W 1628 roku bezrobotny żołnierz zabił Buckinghama na ulicy. Gdy zabrakło sprytnego faworyta, Karol i królowa stali się sobie bliscy jak nigdy przedtem. A ona wspominała ciepło mężowi o „tym miłym sir Henrym Duckecie”.

Gdyby tylko król nie prowadził sporu z parlamentem. Jednak Karol, podobnie jak jego ojciec, wierzył w swoją boską władzę. Zażądał od poddanych pieniędzy, a oni dali mu ledwie grosze. Zwrócił się do wiejskiej szlachty z prośbą o pożyczkę.

– Niektórym szeryfom puściły nerwy – przyznał Henry. – Aresztowali tych, którzy odmówili pożyczki.

Wkrótce parlament złożył petycję, w której przypominał królowi, że od czasu Wielkiej Karty Swobód nie wolno nikogo więzić bez podstawy prawnej i nie wolno nakładać podatków bez zgody parlamentu. Kolejne posiedzenie doprowadziło do kryzysu. Co młodsi i bardziej porywczy członkowie Izby Gmin, rozwścieczeni postawą Karola, osaczyli przewodniczącego na fotelu i zgłaszali kolejne wymierzone w króla wnioski, przyjmowane przez aklamację. Julius zastanawiał się, jak to się skończy.

– To akurat mogę ci powiedzieć – oznajmił Henry. Uśmiechnął się cierpko. – Parlament już nie będzie zwoływany. Król chce rządzić samodzielnie.

W 1630 roku Edmund Meredith miał ważniejsze sprawy na głowie niż parlament. Zajmował piękny dom ze spadzistym dachem przy Watling Street, miał gospodynię, pokojówkę i chłopca na posyłki. Zarabiał dobrze, a kazania poza parafią – chętnie zapraszano go w różne miejsca – dawały mu dodatkowy dochód. Sir Jacob tolerował go, natomiast sir Henry, zadowolony, że jego wikariusz jest prawdziwym dżentelmenem, raz w miesiącu jadał z nim obiad. Dawniej Edmund myślał czasem, żeby się ożenić, ale słusznie podejrzewał, że obecność dzieci pozbawi jego dom pewnej godności. Mimo to chciał zrezygnować z posady.

Bo prawdę powiedziawszy, był już trochę znudzony. Osiągnął sukces, lecz pragnął czegoś więcej. I miał już upatrzony cel. Johnowi Donne’owi zostało niewiele życia. A kiedy umrze – za rok, dwa lub trzy – pojawi się wolne stanowisko. Dziekana parafii Świętego Pawła.

Wieczna katedra Świętego Pawła. To prawda, jej konstrukcję naruszył ząb czasu, ale przecież nie chodziło o samą kamienną budowlę, ale o nazwę. I o kazania.

Zwykłe kazania wygłaszano wewnątrz katedry, ale zgodnie z dziwną tradycją, wywodzącą się jeszcze z najdawniejszych saskich czasów, najważniejsze wystąpienia miały miejsce na dziedzińcu, nauczano z ambony nazywanej Krzyżem Świętego Pawła. Dla burmistrza i rajców ustawiano specjalne drewniane trybuny, a dokoła gromadziły się całe tłumy. Była to najważniejsza ambona w całej Anglii.

Ale jak ją zdobyć? Sir Henry, który chętnie widziałby na tym stanowisku swojego człowieka, szepnął słowo królowi. Jednak Meredith wiedział, że

tak naprawdę wszystko zależy od biskupa Londynu. I że zyskanie jego względów nie będzie łatwe.

William Laud był niskim mężczyzną z czerwoną twarzą, wąsami i schludnie przyciętą siwą kozią bródką. Człowiekiem o żelaznej woli. W sprawach Kościoła nie we wszystkim zgadzał się z królem. I od samego początku nie ukrywał swoich poglądów: „W Londynie jest za dużo purytanów i prezbiterian. Połowa duchowieństwa jest tym skażona". Edmund wiedział doskonale, jak zaskarbić sobie jego względy.

Najpierw musiał przekonać radę parafialną. Na szczęście nie spodziewał się zbyt wielu trudności na tym etapie. W radzie zasiadali Julius i sir Henry. Zarządzali parafią w idealnej harmonii. Jednak ku zaskoczeniu Mereditha Julius zareagował z niepokojem.

– Czy to nie pachnie papizmem? – zapytał.

– Ależ skąd – zapewnił Meredith. – Król sobie tego życzy, a król nie jest przecież papistą.

Była to prawda. Choć nieco problematyczna.

Anglia była krajem protestanckim, lecz co to w istocie oznaczało? Gdy patrzyło się na scenę europejską, wyspiarskie królestwo należało do obozu protestanckiego i broniło się przed wchłonięciem przez katolickie potęgi. Wielu Anglików, zwłaszcza w Londynie, było purytanami. Jednak Kościół państwowy, mimo że nieznacznie zmodyfikowany przez Elżbietę, w sensie doktrynalnym został założony przez katolickiego zdrajcę Henryka VIII. Wyznanie wiary wypowiadane przez lojalnych poddanych nie pozostawiało co do tego żadnych wątpliwości: „Wierzę w święty Kościół powszechny, świętych obcowanie, grzechów odpuszczenie…".

Uczciwi angielscy chrześcijanie mogli więc mówić z przekonaniem, że są protestantami. Jednak Kościół Henryka i Elżbiety był niezaprzeczalnie

Kościołem katolickim. Rozłamowym, dysydenckim, dla Rzymu wręcz heretyckim, ale wciąż katolickim.

Król Karol I wierzył w kompromis wypracowany przez królową Elżbietę – Kościół rzymski poszedł złą drogą, Kościół angielski jest natomiast oczyszczonym katolicyzmem i w związku z tym anglikańscy biskupi są jedynymi prawdziwymi następcami apostołów. Prawo mówiło, że każdy parafianin musi pojawić się na niedzielnym nabożeństwie albo zapłacić grzywnę w wysokości jednego szylinga. W pragmatycznej Anglii tylko nieliczne rady parafialne przestrzegały tego nakazu. Rada parafialna Świętego Wawrzyńca przymykała oko na nieobecności. Jednak król Karol miał swoje zasady. Wymagał posłuszeństwa. Jeśli jego Kościół został doskonale zreformowany, to nie było powodu, by jego poddani odwracali się od niego. Skoro obrządek był właściwy – a król nie miał co do tego wątpliwości – to należało go przestrzegać. Proste i jasne.

Biskup Laud też tak uważał.

Trzy tygodnie później, w sobotę, woźny sądowy złożył niespodziewaną wizytę Marcie i Gedeonowi. Usłyszeli, że mają stawić się nazajutrz w kościele.

– Ale dlaczego? – spytali. Powiedziano im, że jest to polecenie sir Henry’ego i rady parafialnej. Wezwano wszystkich mieszkańców parafii.

– Zapłacimy grzywnę – zaproponowała Martha.

– Grzywny nie będą przyjmowane – oznajmił woźny.

W parafii Świętego Wawrzyńca nie było nawet stu gospodarstw, ale następnego dnia kościół był tak zatłoczony, że większość ludzi musiała stać. Panowała atmosfera nerwowego wyczekiwania. Co się wydarzy? Większość parafian, rozglądając się po bielonych ścianach, nie zauważyła niczego szczególnego, lecz Martha od razu dostrzegła różnicę.

– Ołtarz – szepnęła z przerażeniem do Gedeona. – Spójrz.

Od kilkudziesięciu lat zgodnie z protestanckim zwyczajem ołtarz stał u szczytu nawy. Ale teraz go tam nie było. Ktoś przeniósł go do małego prezbiterium, od wieków zarezerwowanego dla kapłana, z dala od wiernych. Patrzyli w osłupieniu. Ale prawdziwym wstrząsem było dopiero pojawienie się wielebnego Edmunda Mereditha.

Wikariusz kościoła Świętego Wawrzyńca, chcąc okazać posłuszeństwo królowi Jakubowi, wkładał do odprawiania nabożeństw komżę i tradycyjny pluwiał – na tyle skromny, że sir Jacob nie miał do stroju zarzutów. Lecz tego dnia Edmund wyglądał zupełnie inaczej. Można było odnieść wrażenie, że w drodze do kościoła spadł na niego złoty deszcz. Rzeczywiście, Flemingowie – ci od handlu pasmanterią – sprzedali mu złotą nić i cekiny za całe czterdzieści funtów. Było to ich największe zamówienie od czasów, gdy dostarczyli kostiumy do przedstawienia *Antoniusz i Kleopatra* Shakespeare'a. Kongregacja wstrzymała oddech. Wstrząśnięta Martha i inni purytanie patrzyli, jak Meredith, wyglądający jak widmo papizmu, odprawia nabożeństwo. Wysłuchali w milczeniu czytania z Pisma Świętego. A potem wikariusz wstał, żeby wygłosić kazanie.

– Opowiem wam o dwóch siostrach – zaczął. – Ich imiona to Pokora i Posłuszeństwo.

Następnie zaatakował zjadliwie. Bezwzględnie rozprawił się ze wszystkimi purytańskimi przekonaniami, które Martha tak szanowała. Przypomniał, że biskupi sprawują nad nimi władzę duchową i tak samo jak królowie są obdarzeni Bożym namaszczeniem. Na koniec zadał ostateczny cios.

– Wolą biskupa jest, aby od tej pory w każdą niedzielę wszyscy parafianie zjawiali się w kościele. W naszej parafii to zalecenie będzie

ściśle przestrzegane. – Spojrzał groźnie na zebranych. – A zatem słuchajcie słów Pana. Bądźcie pokorni. I posłuszni.

Patrzyli na niego oszołomieni.

Zwykle po nabożeństwie Edmund stał w drzwiach kościoła, żegnając się z wiernymi. Dziś też tak uczynił, ale obok siebie miał radę parafialną. Większość ludzi wyszła pospiesznie, spuszczając wzrok. Kilku rzuciło pełne złości spojrzenia.

Julius przyglądał się temu, a gdy po chwili ruszył za bratem do domu, nagle znalazł się na wprost Gedeona.

Gedeon był poważnym obywatelem, zrobił się też bardzo religijny. A rok wcześniej się ożenił. Jednak nigdy nie zapomniał o chłoście. Julius, czując na sobie jego grobowy wzrok, zaczerwienił się po same włosy.

– Wasza rada parafialna przyzwala na taki papizm – powiedział Gedeon cicho. – Ale skąd wasza władza pochodzi?

Julius nie wiedział, co odrzec.

– Gdyby radę wybierał zbór – ciągnął Gedeon – to mielibyśmy w niej ludzi bogobojnych i równie bogobojnego pastora. Myślisz, że jesteście w radzie na mocy prawa Bożego? Mylisz się. Zostaliście nam narzuceni. – Odwrócił się plecami i odszedł.

Henry wzruszył lekceważąco ramionami, gdy Gideon mu o tym opowiedział.

– Ten chłystek już raz dostał baty. I chyba zasługuje na kolejną chłostę.

Julius, zastanowiwszy się głębiej nad całą sprawą, nie był tego taki pewny.

Meredith z zadowoleniem myślał o swoim dokonaniu. Trzy dni później nadeszła prośba od sekretarza biskupa Lauda: biskup chętnie zapozna się z jego kazaniem. Czy Meredith mógłby przysłać czystopis?

Gdy dwa tygodnie później Edmund Meredith usłyszał pukanie do drzwi, był pewien, że przybył wysłannik dostojnego biskupa. Zdziwił się lekko, bo gospodyni oznajmiła, że chce się z nim widzieć jakaś dama. Zapytał o jej nazwisko.

– Pani Wheeler.

Nic mu to nie mówiło.

Chwilę później w progu pojawiła się Jane.

Nie mógł się mylić. Stojąca przed nim kobieta w średnim wieku wciąż miała w sobie coś z młodej dziewczyny, którą tak dobrze znał. Była teraz pełniejszych kształtów, jedwabna suknia dowodziła, że jest kobietą zamożną. Gdy patrzył tak na nią zaskoczony, zalała go fala wspomnień. Marzył o niej przez tyle lat i nagle wydało mu się, że ma przed sobą dawno utraconą miłość życia. Jane, wpatrując się we wciąż przystojną twarz, pomyślała, że mogłaby wyjść za Mereditha za mąż.

Nie przybyła do Londynu z tym zamiarem. Tak naprawdę nie miała żadnych określonych planów. W Wirginii zaoszczędziła dość pieniędzy, by wystarczało jej na wygodne życie. Gdyby jednak udało jej się znaleźć szanowanego mężczyznę, to chętnie zastanowiłaby się nad kolejnym małżeństwem. Po burzliwym życiu pragnęła jednego: spokoju. Spokoju i szacunku. Przecież sobie na to zasłużyłam, myślała.

Sądziła, że Meredith zdążył sobie znaleźć bogatą kobietę albo związał się z teatrem, ale oto miała przed sobą duchownego, do tego najbardziej znanego kaznodzieję w Londynie. Był przystojny, otoczony szacunkiem, a co najdziwniejsze wolnego stanu. Powróciły dawne uczucia z młodości? Tak. Ale czas sprawił, że jej serce obrosło grubym szańcem. Przyglądała mu się uważnie.

– Ty żyjesz – powiedział ze zdziwieniem.

– Jak widzisz.

– Zawsze w to wierzyłem. Wyszłaś za mąż?

– Jestem wdową. – Zauważyła jego niespokojne spojrzenie. – Mam wystarczające dochody. Wheeler, mój mąż, miał duże gospodarstwo. W Wirginii. Nie mieliśmy dzieci.

– Rozumiem. – Uśmiechnął się.

Ze zdziwieniem stwierdziła, że jako dojrzała kobieta umie czytać w jego myślach. Jemu chyba przyszło do głowy to samo – ślub.

– Kiedyś byliśmy sobie przeznaczeni – powiedział cicho.

– Wiem. – Uśmiechnęła się. – Ty się nie ożeniłeś.

– Ciekawi mnie jedno – odezwał się po długiej chwili milczenia. – Kiedy zniknęłaś, kiedy wszyscy myśleli, że nie żyjesz, nie mogłaś od razu popłynąć do Wirginii, bo przecież kolonii jeszcze wtedy nie było. – Zmieszał się lekko. – Zastanawiałem się… To się wydarzyło tak nagle… – Zmarszczył brwi. – I ten pirat… Ten czarnoskóry… – Zawiesił głos.

Jane się zawahała. Nie zamierzała nikomu mówić o Orlandzie. Bo i po co? Nikt w Londynie nie wiedział. Wystarczyło więc skłamać w odpowiedzi na pytanie Mereditha. Więc skąd to wahanie? Może chciała go sprawdzić?

– Niech to zostanie naszą wspólną tajemnicą – powiedziała w końcu. – Ale jeśli chcesz znać prawdę, to tak, zostałam porwana. – Wzruszyła ramionami. – Nie miałam wyboru. Nikt o tym nie wie. Zresztą to było dawno temu.

Przyglądała mu się z uwagą. Spuścił wzrok, jakby coś go ugodziło. Zamyślił się.

– I nikt – mruknął w końcu jakby do samego siebie – nie musi się o tym dowiedzieć.

Czy dlatego się wzdrygnął, że Czarny Barnikel posiadł mnie kiedyś cieleśnie?, pomyślała Jane. A może chodzi mu o coś jeszcze?

Powodem wątpliwości Edmunda Mereditha było wyrachowanie. Owszem, na myśl o czarnoskórym piracie poczuł odrazę, lecz jednocześnie dziwne podniecenie, bo przecież chodziło o dawną przeszłość. Ale czy diakon katedry Świętego Pawła może sobie pozwolić na poślubienie kobiety, na którą może paść podejrzenie, że należała do czarnego mężczyzny? Poczuł przerażenie. Do tego jeszcze John Dogget jest jego parafianinem.

– Ludzie mogą coś podejrzewać – dokończył ze smutkiem.

Zrozumiała, że to koniec. Po kilku minutach pożegnali się uprzejmie i w atmosferze szacunku.

Na Watling Street natknęła się przypadkiem na Johna Doggeta.

Lata trzydzieste XVII wieku upływały spokojnie. Właśnie wtedy Julius Ducket wpadł na doskonały pomysł, który mógł na zawsze uwolnić króla od parlamentu.

Koniec parlamentu? Dla każdego wolnego Anglika taka myśl brzmiała szokująco. Jednak wielu ludzi na dworze króla Karola, zwłaszcza jego żona Henrietta Maria, uważało to za naturalne i konieczne. Po drugiej stronie Kanału Angielskiego powstawały katolickie monarchie absolutne. Tamtejsi władcy nie musieli znosić zniewag parweniuszowskich parlamentów. Nic więc dziwnego, że Karol, przekonany o swojej boskiej władzy, oraz wychowana we Francji Henrietta Maria uznali: „My też stworzymy taką monarchię”.

Jak dotąd odnosili sukcesy. W Anglii panował pokój. Król Karol utrzymywał się ze swoich dochodów, więc parlament nie miał nic do powiedzenia. W 1633 roku biskup Laud został arcybiskupem Canterbury i zaczął tworzyć Kościół episkopalny, który zgodnie z jego obietnicą miał

być „gruntowny”. I wkrótce określenie „gruntowny” stało się dewizą panowania króla.

– Purytanie go nienawidzą, ale przecież mogą wyjechać do Ameryki – stwierdził Henry. – Laud jest najlepszym sprzymierzeńcem Kompanii Massachusetts.

Ta skromna kolonia w Ameryce nabrała wiatru w żagle w 1630 roku, gdy pojawił się w niej energiczny dżentelmen nazwiskiem Winthrop.

Dla Juliusa nastały szczęśliwe lata. Ożenił się z wesołą niebieskooką dziewczyną z szacownej rodziny i wkrótce na świat przyszły ich dzieci. Henry, na razie niezamierzający zakładać rodziny, często wyjeżdżał do Bocton, więc zaproponował bratu, aby przeprowadził się do dużego domu przy St Mary-le-Bow. Życie w Londynie toczyło się bez wstrząsów. Niezwoływanie parlamentu oznaczało, że król nie żąda nowych podatków. Miasto rozwijało się i kwitło. Za murami, na północ od Charing Cross, dwaj arystokraci, lord Leicester i lord Bedford, zaczęli budować na swojej ziemi duże domy z klasycystycznymi fasadami. Część tej zabudowy, mianowicie Covent Garden, od razu stała się modna i Henry wkrótce się tam przeniósł, tłumacząc Juliusowi: „Miasto nie jest złe, ale dziś odpowiednim miejscem dla dżentelmena jest Covent Garden”.

Po wyjeździe brata Julius został przewodniczącym rady parafialnej i odtąd starał się wprowadzać do niej nieco swobodniejsze zwyczaje. Meredith nie dochrapał się stanowiska diakona katedry Świętego Pawła, przez co jego religijny zapał osłabł. Wprawdzie w kościele Świętego Wawrzyńca nadal odprawiano nabożeństwa zgodne z tradycjonalistycznym nurtem arcybiskupa Lauda, jednak Martha i Gideon otrzymali od Juliusa wiadomość, że wystarczy, jak pojawią się na nabożeństwie raz w miesiącu. Wciąż kipieli złością, ale przynajmniej nie musiał ich tak często widywać.

Inne wypadki były zaskakujące. Edmund Meredith, nie otrzymawszy stanowiska diakona, być może chciał się pocieszyć i jako sześćdziesięciolatek ożenił się z Matildą, szanowaną starą panną w wieku trzydziestu lat, córką jurysty, bardzo religijną kobietą, która od razu zachwyciła się jego kazaniami. Rok później urodziło im się dziecko.

Rządy Karola bez udziału parlamentu przynosiły Ducketom wymierne korzyści. Kilka razy pożyczali królowi pieniądze, zawsze na dziesięć procent, i dług zawsze był spłacany co do grosza. Poza tym Karol, jak wielu innych władców, zlecał pobieranie ceł. Za okrągłą sumę Henry otrzymał prawo clenia kilku luksusowych towarów.

– Nasz zysk wynosi dwadzieścia sześć procent – chwalił się bratu. – Zamiast płacić podatki wyznaczone przez parlament, zarabiamy na pobieraniu pieniędzy. Oby tak trwało wiecznie.

Ten system miał jednak słabość. Był skuteczny dopóty, dopóki kraj nie znalazł się w krytycznej sytuacji. W przypadku konfliktu zbrojnego król musiał szukać dodatkowych dochodów, a więc prosić o nałożenie podatków.

– A to by oznaczało zwołanie parlamentu – niepokoił się czasem Henry. – Co można zrobić, żeby nigdy do tego nie dopuścić?

Właśnie ten problem rozwiązał Julius Ducket.

Stał wtedy na London Bridge. Był letni wieczór. Słońce kryło się powoli za Westminsterem, a w jego promieniach woda migotała blaskiem jak ogromna rzeka złota. Julius pomyślał, że to chyba najbardziej odpowiedni widok dla takiego miasta jak Londyn. I wtedy właśnie wpadł na genialny pomysł.

W tym rzecz! Rzeka złota. Gdy przeanalizować finansowe potrzeby króla w ciągu ostatnich kilkunastu lat, to co stanowi ich najbardziej uderzającą cechę? Skala. Sto, dwieście tysięcy funtów – takie sumy mogły

doprowadzić do sporu z parlamentem. Ale czy te kwoty naprawdę są aż tak duże? Zwłaszcza dla potężnego Londynu? Nie. Julius z łatwością mógłby zebrać kilkudziesięciu ludzi z majątkiem wartym ponad dwadzieścia tysięcy funtów. Gdyby tak połączyć te zasoby, to dostępne środki można by liczyć w milionach funtów. Nawet największe potrzeby państwa dałoby się zaspokoić z pieniędzy Londynu – bez uciekania się do parlamentu. Tak, Londyn jest rzeką złota.

Dlaczego więc, zastanawiał się Julius, londyńczycy tak niechętnie udzielają pożyczek? Przecież król uczciwie spłaca procenty. Prawdziwy problem leżał gdzie indziej.

Korona zazwyczaj zaciągała kredyty na konkretne cele – niekoniecznie musiało się to podobać londyńczykom. Poza tym były to zazwyczaj pożyczki krótkoterminowe, które król musiał spłacić ze swoich dochodów w ciągu najwyżej pół roku. Dlatego nie były duże. Ale przecież można to robić zupełnie inaczej. Pieniądz to pieniądz bez względu na to, czy się go zainwestuje w kredyt dla króla czy w którąś z wielkich spółek akcyjnych. Królewskie dochody, dzięki którym spłacano procent od zaciągniętych pożyczek, też napływały stałym strumieniem. Wtedy Juliusowi przyszła do głowy pewna myśl: jeśli mogę kupić akcje spółki, które obiecują mi stały przychód, to dlaczego nie mógłbym kupić, na podobnej zasadzie, udziałów w królewskim długu? Gdyby ktoś chciał odzyskać swoje pieniądze, mógłby sprzedać udziały innej osobie, która odtąd otrzymywałaby odsetki. Dzięki temu król nie musiałby zwracać całego kapitału nawet przez dwadzieścia lat, pod warunkiem że spłacałby regularnie odsetki. Byłyby to obligacje bezterminowe, takie jak udziały w wodociągu Myddeltona, Kompanii Wirginijskiej, Wschodnioindyjskiej czy każdej innej dużej spółce akcyjnej. To rozwiązanie nie wynikało z analizy matematycznej, lecz brało się

z intuicji: z wyobrażenia nieskończonego strumienia gotówki. Strumienia pieniędzy płynącego przez miasto jak złota rzeka.

W ten sposób Julius Ducket wymyślił dług państwowy.

Pewnego pogodnego dnia – niebo było wtedy kryształowo przejrzyste – Henry popłynął z bratem rzeką. Mieli się spotkać z królem.

To Henry wpadł na ten pomysł. „Będziesz chlubą rodziny, jeśli zostaniesz przedstawiony królowi”, upierał się. I dlatego odpowiednio wystroił brata, który zazwyczaj nosił się prosto, wręcz skromnie. Julius miał na sobie szkarłatną koszulę z podniesionym stanem i pelerynę, ogromny, spływający na ramiona koronkowy kołnierz zamiast zwykłej kryzy oraz buty z miękkiej skóry wywinięte pod kolanami. Dopełnieniem stroju był kapelusz z szerokim rondem i elegancko opadającym dużym strusim piórem. Modę tę nazywano w Anglii *cavalier*. I rzeczywiście, z kręconą brodą i wąsami Julius wyglądał tak doskonale, że żona, patrząc na niego z podziwem, roześmiała się. „Tylko pamiętaj, żeby wrócić na noc do domu”, powiedziała, łaskocząc go lekko w żebra.

„Szkoda, że masz takie krótkie włosy – stwierdził Henry. Jego, zgodnie z dworską modą, sięgały poniżej ramion. – Trudno, nic na to nie poradzimy”.

I tak wyelegantowani dotarli Tamizą do Greenwich.

– Pamiętaj, nie masz się czego obawiać – powiedział Henry, gdy obchodzili pałac dokoła.

Julius wiedział, że to prawda, ale mimo to z jego ust wydobył się cichy jęk.

– O, bracie, ja jestem prostym człowiekiem bez dworskiej ogłady.

Żaden angielski dwór, nawet dwór króla Henryka, nie przyciągnął takiej plejady wybitnych talentów. Wystawiane na dworze przedstawienia były prawdziwymi arcydziełami. Najwięksi europejscy artyści, jak Rubens czy

van Dyck, chętnie zabawiali tutaj na dłużej. Król Karol, mimo skromnych dochodów, powoli kompletował kolekcję obrazów – Tycjana, Rafaela, mistrzów flamandzkich – która mogła równać się z wieloma zbiorami w Europie. Dwór był kosmopolityczny. Jakby dla podkreślenia tego faktu, gdy dwaj bracia weszli na trawiaste wzgórze za pałacem i spojrzeli za siebie, otworzył się przed nimi widok tak piękny, że aż westchnęli z zachwytu.

– Dobry Boże, przecież to prawdziwa doskonałość.

Queen's House był już na ukończeniu. Od strony rzeki zasłaniały go dawne budynki Tudorów, więc Julius nie wiedział nawet o jego istnieniu. Projektant pałacu, wielki Inigo Jones, ukończył już inne klasycystyczne dzieło, a więc salę bankietową w Whitehall, w której sufit pokrywały malowidła samego Rubensa. Jednak w przeładowanym ozdobami Whitehall sala nie ukazywała wyraźnie całego swojego piękna.

Queen's House był doskonałym dziełem. Ta lśniąca bielą willa w stylu włoskim, stojąca na tyłach dawnych pałacowych ogrodów i zwrócona fasadą do parku, miała zaledwie dwie kondygnacje z trzema oknami pośrodku i dwoma po bokach. Była tak nieskazitelna, tak idealna w swoich klasycznych proporcjach, że wyglądała jak model szkatułki skrywającej dzieła złotnika.

– Mój Boże – westchnął Julius. – Jestem zwykłym wieśniakiem.

Odwrócił się i w odległości nie większej niż dwadzieścia metrów zobaczył króla.

Karol zbliżał się do nich. Ubrany w kaftan z żółtego jedwabiu, miał na głowie kapelusz z szerokim rondem. Zdjął go w wyrazie uprzejmości, gdy obaj bracia ukłonili się głęboko. Towarzyszyła mu grupka dżentelmenów i dam w jedwabnych sukniach. Król szedł lekkim krokiem, wspierając się na lasce ze złotą gałką. Gdy jednak stanął blisko, Julius dostrzegł, że jest

niski i drobny, sięga mu zaledwie do ramienia. Jednocześnie miał w sobie niezwykłą arystokratyczną doskonałość, jak stojący za nimi budynek.

– Mamy taki piękny dzień, więc porozmawiajmy tutaj – odezwał się król serdecznym tonem.

Poprowadził ich na trawiasty pagórek, na którym dąb rzucał miły cień.

Julius przystąpił do wyjaśnienia, na czym polega jego pomysł królewskiej pożyczki. Z początku mówił z wahaniem, ale powoli nabierał pewności siebie, zachęcany przez króla. Gdy z powodu zdenerwowania nie wyrażał się jasno, Karol wtrącał spokojnie:

– Proszę mi wybaczyć, panie Meredith, ale chyba nie do końca pojmuję…

Julius zauważył też, że król lekko się jąka, a to go ośmieliło.

Nie umiałby powiedzieć, co w królewskiej osobie wywarło na nim tak wielkie wrażenie. Ten drobny, niezwykle uprzejmy i trochę nieśmiały mężczyzna miał w sobie jakąś magiczną cechę, która wyróżniała go spośród innych – królewski urok Stuartów. Julius jeszcze nie dokończył swojego wywodu, a już wiedział jedno: ten człowiek nie ma sobie równych, bo otrzymał władzę królewską z rąk samego Boga. Ten człowiek, nawet jeśli zbłądzi, pozostanie pomazańcem Bożym, moim władcą.

Karol wysłuchał go uważnie. Przyznał, że powinien utrzymywać dobre stosunki z Londynem, i był wyraźnie zaintrygowany nowatorskim pomysłem, jak zachęcić londyńczyków do udzielania pożyczek.

„Będziemy musieli omówić to bardziej szczegółowo – powiedział. – Tego rodzaju rozwiązania należy propagować. Nie boimy się innowacji. Ale – zwrócił się z uśmiechem do Henry’ego – musimy też korzystać z tego, co leży w zakresie naszych prerogatyw”.

Obaj bracia uznali, że był to bardzo satysfakcjonujący dzień.

Nadeszła jesień, a Julius wciąż czekał na wieści w sprawie swojego nowatorskiego pomysłu. Dlatego zdziwił się nieco, gdy król zażądał od Londynu i innych dużych portów nałożenia podatku na budowę floty. Był to stary podatek zgodny z prawem, lecz bardzo nielubiany. Przed Bożym Narodzeniem Karol nałożył go także na wszystkie miasta leżące w głębi lądu.

– To naprawdę niebywałe – przyznał Henry. – Ale Karol uważa, że nie przekracza swoich prerogatyw.

Na początku 1635 roku za pośrednictwem Izby Gwiaździstej [22] monarcha oskarżył Londyn o złe zarządzanie plantacją Ulster.

– Wszystko skonfiskował – oznajmił Henry – a do tego nałożył na miasto karę w wysokości siedemdziesięciu tysięcy funtów. – Uśmiechnął się cierpko. – Tak też można ściągać pieniądze.

Po kilku tygodniach królewscy komisarze zaczęli rozpytywać, ile miasto gotowe jest zapłacić za ułaskawienie. W mieście zawrzało.

– Co za sprytne posunięcie – powiedział Henry. – Król wciąż działa w zakresie swoich prerogatyw.

Biedny Julius nie mógł tego pojąć. Jak to możliwe, że po uważnym wysłuchaniu jego propozycji, po przyznaniu, że dobra wola Londynu ma kluczowe znaczenie, ten łagodny król o nienagannych manierach posuwa się do czegoś takiego? Połowa kupców już poprzysięgła, że nigdy więcej nie udzieli królowi pożyczki. I nawet Julius musiał się kilka razy napominać w duchu: „To jest mój monarcha namaszczony przez Boga”.

Martha uznała to za cudowne zrządzenie losu – podczas jej nieobecności Doggetem zaopiekuje się powszechnie szanowana pani Wheeler. Poznała ją wiele lat wcześniej, gdy spotkali się przypadkiem na Cheapside. „Ta dama przybyła z Wirginii, Martho”, wyjaśnił Dogget, przedstawiwszy swoją znajomą. Okazało się, że pani Wheeler ma ładny dom w Blackfriars.

A kilka dni później Martha zauważyła, że Meredith ukłonił się jej uprzejmie. Co świadczyło, że dama jest godna szacunku.

Pani Wheeler umiała słuchać. A gdy się odzywała, mówiła rozsądnie i na temat. Tylko raz Martha zauważyła ją we frywolnym nastroju. Któregoś dnia, niedługo po tym, jak wytłumaczyła pani Wheeler, na czym polega zło teatru, zauważyła, że ona i Dogget z czegoś się śmieją. A gdy spytała, co ich tak rozweseliło, dama z Wirginii opowiedziała historię, która nie miała w sobie nic zabawnego. Martha uznała więc, że pani Wheeler nie ma poczucia humoru.

Pani Wheeler została przyjaciółką domu. Kiedy młodszy syn Doggetów zachorował, zmieniała się w nocy z Marthą przy jego łóżku. Gdy córka Marthy chciała zostać krawcową, pani Wheeler nauczyła ją tego fachu, wykazując się przy tym niezwykłymi umiejętnościami. A na pytanie, czy zastanawiała się kiedyś nad ponownym zamążpójściem, zareagowała śmiechem. „Dobrze sobie radzę i bez mężczyzny”, rzekła. Martha doskonale ją rozumiała. „Tak, mąż to obowiązek”, przyznała.

Uwielbiała rozmawiać z panią Wheeler o Ameryce. Mogła jej słuchać całymi godzinami. I zawsze zadawała te same pytania: „A Massachusetts? Co wiesz o Massachusetts?”.

Legendarna ziemia obiecana. Martha nigdy nie zrezygnowała z marzeń. Gdy ktoś wspominał o „Mayflower”, mówiła: „Może i dobrze, że wtedy nie popłynęliśmy”. Ponad połowa pielgrzymów, którzy wyruszyli w fatalny rejs, zmarła w ciągu roku. Ale Martha wciąż pielęgnowała w sobie wizję bogobojnej wspólnoty, świetlistego miasta. Nie było to tylko jej marzenie. W ciągu ostatnich lat wielu Anglików dostrzegło w tym także perspektywę na lepsze życie. Powód można było streścić w dwóch słowach: Laud i Winthrop.

Martha nie miała najmniejszych wątpliwości, że arcybiskup Laud jest człowiekiem niegodziwym. Jego władza nad Londynem umacniała się z każdym rokiem. Podporządkowywały mu się kolejne parafie. Wielu duchownych rezygnowało.

„Co się stało z reformacją?”, mogłaby zapytać Martha.

Do tego arcybiskup nie stronił od doczesnych przyjemności i dbał o dobra materialne. Gdy wjeżdżał do Londynu, towarzyszył mu cały orszak szlachty, a przodem biegli lokaje, krzycząc: „Z drogi! Przejście dla lorda biskupa!”, jakby był średniowiecznym kardynałem. Poza tym zasiadał w radzie królewskiej i w istocie kontrolował skarbiec. „Laud i król to jedna osoba”, mówili ludzie. Ale od tego światowego przepychu bardziej oburzało Marthę świętokradztwo.

„Dzień święty święcić”. Przestrzegała tego przykazania. Ale król i jego biskup przyzwalali na uprawianie sportów i zabawy, damom wolno było nosić ozdoby, a wiosną widziała nawet, jak młodzi ludzie tańczyli wokół słupa przystrojonego kwiatami. Poskarżyła się władzom kościelnym, lecz nikomu to nie przeszkadzało.

Nic więc dziwnego, że Martha i wielu innych purytanów szukali ucieczki w obliczu takich bezeceństw.

Drogę wskazał Winthrop. Kolonia Massachusetts rozwijała się prężniej niż Wirginia. Purytanie, którzy wcześniej obawiali się wyruszyć w daleką podróż, nabierali odwagi. A każdy powracający statek przywoził zachęcające wieści: „To naprawdę bogobojna społeczność”.

Martha marzyła, żeby wyjechać. Najpierw podjęli tę decyzję jej przyjaciele, z którymi modliła się od dzieciństwa. Do 1634 roku wyjechało wielu jej znajomych. „Któregoś dnia do nas dołączysz”, pocieszali ją. W 1636 roku zobaczyła w Wapping już nie pojedynczy statek, ale całą flotyllę wyruszającą do Ameryki. Wąski strumyczek emigrantów zamieniał

się w rzekę. Gdy sir Henry zauważył z ironią, że Laud jest największym sprzymierzeńcem Massachusetss, niewiele mijał się z prawdą. Arcybiskup i król uważali, że z kraju wyjeżdżają mąciciele, ale w rzeczywistości w ciągu kilku lat purytańskie statki przewiozły na wschodnie wybrzeże Ameryki co najmniej dwa procent populacji Anglii.

Czasem Martha rozmawiała o tym z rodziną, ale Dogget odpowiadał, że są za starzy na taką wyprawę. Przypominała mu, że mają zaledwie pięćdziesiąt kilka lat – nawet ludzie leciwi wyruszają w taką podróż. Młodszy syn Doggeta, niemogący zdecydować, co chce w życiu robić, zgodnie przytakiwał. Do Londynu docierały wieści o tak wielkich połowach dorsza, że starszy syn oświadczył: „Popłynę, jeśli wy też popłyniecie". Jednak największą przeszkodą okazał się Gedeon, a ściślej mówiąc, jego żona.

Martha od lat próbowała się do niej przekonać. Często się o nią modliła. Ale nie umiała pozbyć się uczucia pewnego rozczarowania. Żona Gedeona rodziła jedynie córki. Pojawiały się na świecie z monotonną regularnością co dwa lata. Nadawano im imiona cnót cenionych wśród purytanów. I każde imię delikatnie wyrażało coraz bardziej rosnącą rodzinną irytację z powodu ich płci. Pierwsza urodziła się Charity, potem Hope, po niej Faith, Patience i na końcu, gdy tak wyczekiwany syn się nie pojawiał, Perseverance [23]. Ale najtrudniejsza do zniesienia była jej choroba.

Żona Gedeona cierpiała na dziwną przypadłość, która pojawiała się, gdy tylko Martha i Gedeon wspominali o wyjeździe do Ameryki. Nie wiadomo było dokładnie, co jej dolega, ale jak kiedyś zauważyła pani Wheeler: „Jest wystarczająco chora, aby nie móc wyjechać".

Aż nagle, ku ogólnemu zaskoczeniu, pod sam koniec 1636 roku żona Gedeona urodziła chłopca. Ich radość była tak wielka, że gorączkowo szukali imienia, które w odpowiednim stopniu wyrażałoby ich wdzięczność

dla Boga. W końcu Martha znalazła doskonałe rozwiązanie. Któregoś zimowego poranka nieco zdziwiony Meredith, trzymając dziecko nad chrzcielnicą i patrząc kpiąco na rodzinę, wygłosił słowa: „Nadaję ci imię O Be Joyful [24]”.

Zdarzało się czasem, że purytanie zamiast pojedynczego imienia wybierali z ukochanej Biblii cały zwrot. Był to oczywisty dowód przywiązania do purytańskiej religii i nawet Laud nie był w stanie temu przeciwdziałać. Tak oto na świecie pojawił się O Be Joyful Carpenter, syn Gedeona.

Szczęśliwa matka w końcu się uspokoiła. Wiadomo było, że pierwsze cztery lata życia dziecka niosą największe zagrożenia. Mogła być pewna, że przynajmniej przez ten czas nikt nie wspomni o podróży na drugi koniec świata, bo nawet Martha nie zaryzykuje zdrowia i życia O Be Joyfula. Od razu wyzdrowiała.

Latem 1637 roku Martha dopuściła się przestępstwa. Widok, który zobaczyła, nie tylko ostatecznie wstrząsnął jej sumieniem, ale wzbudził wściekłość w całym Londynie.

Magister William Prynne, choć był uczonym i pochodził ze szlacheckiej rodziny, zaangażował się w wywrotową działalność. Trzy lata wcześniej napisał pamflet przeciwko teatrom, który król Karol uznał za obrazę swojej żony, biorącej czasem udział w dworskich przedstawieniach. Prynne’a skazano na zakucie w dyby, rozpłatanie nosa i obcięcie uszu. Martha była oburzona, ale obyło się bez ulicznych niepokojów.

Jednak w 1637 roku Prynne znów się naraził. Tym razem napisał o profanowaniu dni świętych przez uprawianie sportów, a także – co było dużo bardziej niebezpieczne – domagał się zniesienia biskupich stanowisk. „Znów pójdzie w dyby – orzekł dwór. – Wyrwą mu resztki uszu, a potem trafi do więzienia na resztę życia”.

„Czyżby wolność słowa była zakazana? – pytali londyńczycy. – Skoro król i Laud tak traktują jego, to co czeka nas, którzy zgadzamy się z każdym jego słowem?”.

Kara miała być wymierzona 30 czerwca, w ciepły, słoneczny dzień. Prynne był wysokim mężczyzną. Jego przystojna kiedyś twarz była potwornie oszpecona. Stał dumnie wyprostowany na wozie ciągniętym przez Cheapside. „Im niżej chcą mnie powalić – głosił kiedyś – tym wyżej powstaję”. Tak jak teraz. Tłum wznosił okrzyki na jego cześć. Rzucano mu kwiaty. A gdy wykonano odrażający wyrok, podniósł się gniewny ryk, który rozlał się echem wokół miejskich murów, od Shoreditch aż po Southwark.

Martha wróciła do domu roztrzęsiona.

Ale dopiero gdy podczas niedzielnego kazania Meredith nawiązał do niegodziwości tych, którzy jak Prynne przeciwstawiają się Bożym biskupom, coś w niej pękło. Podniosła się.

– To nie jest Dom Boży – powiedziała niezbyt głośno, ale dobitnie.

Zapadła pełna zdziwienia cisza.

– To nie jest Dom Boży – powtórzyła. Dogget pociągnął ją za ramię. – Muszę powiedzieć, co myślę.

Jej krótka przemowa w kościele Świętego Wawrzyńca została zapamiętana na długo. Mimo że trwała ledwie minutę, bo kościelny wyciągnął Marthę na zewnątrz, zdążyła powiedzieć o papizmie, o świętokradztwie, o prawdziwym Królestwie Bożym. Używała prostych słów, z którymi każdy protestant w świątyni mógł się utożsamić. Najbardziej zapamiętano jedno przerażające zdanie: „Największe zło chodzi po tej ziemi w dwóch postaciach. Jedna to biskup, druga to król”.

– Jak nic obetną jej uszy – mówili ludzie.

Julius użył wszystkich wpływów, żeby ją ocalić. Biskup Londynu najchętniej wtrąciłby ją do więzienia, Julius wciąż jednak odczuwał

wyrzuty sumienia z powodu Gedeona. Dwa dni później wezwał do siebie Marthę.

– Musisz wyjechać z kraju – oznajmił. – Wiesz, gdzie mogłabyś się udać?

– Popłynę do Massachusetts – powiedziała z pokorą.

I tak latem 1637 roku Martha, jej córka i obaj synowie Doggeta byli gotowi do opuszczenia Londynu. Rodzina Gedeona nie mogła jeszcze wyruszyć w tak daleką podróż, a ponieważ Gedeon potrzebował pomocy w warsztacie, postanowiono, że Dogget zostanie na rok w Londynie i potem zdecydują o dalszych krokach.

W grupie czekającej na wejście na statek było wielu rzemieślników, prawnik, kaznodzieja, dwóch rybaków. Był też młody absolwent Cambridge, który niedawno odziedziczył spory majątek, częściowo pochodzący ze sprzedaży gospody w Southwark. Młodzieniec nazywał się John Harvard.

Ostatnie słowa przed odpłynięciem łodzi Martha skierowała do pani Wheeler:

– Obiecaj mi, że zaopiekujesz się moim mężem.

Pani Wheeler obiecała.

Jesienią 1637 roku do wybrzeża Massachusetts przybiło wiele statków z Anglii i z innych krajów. Na jednym przypłynęła Martha i John Harvard.

Prawie nikt nie zwrócił uwagi na powolny, stary żaglowiec, który dotarł z Karaibów z ładunkiem melasy. I pewnie nawet komendant portu i urzędnik, który zanotował jego przybycie, szybko by o nim zapomnieli, gdyby nie fakt, że kapitan postanowił wykorzystać krótki postój na pożegnanie się z tym światem. Była to pamiętna chwila, bo choć stary żeglarz miał siwe włosy, to jego skóra była czarna. „Czarna jak twój kapelusz”, opowiadał urzędnik żonie.

Orlando Barnikel umierał w spokoju, bo w głębi serca wiedział, że nie ma powodu, aby dłużej żyć.

Porzucił pirackie rzemiosło, ale kolejne lata nie przyniosły mu szczęścia. Został zwykłym kapitanem, który oferował właścicielom statków swoje usługi. Zdobył sławę przebiegłego wilka morskiego, którego statki pływają wszędzie bez względu na pogodę i który ma niezwykły dar unikania kłopotów.

Co się stało z jego synami? Dwóch już nie żyło. Jeden był piratem na Morzu Śródziemnym. A ostatni? Któż to wie? Opuścili go i sami też niczego nie osiągnęli. Orlando wiedział już, że to jest nieunikniony los ludzi o ciemnej skórze w świecie rządzonym przez białych.

Przed śmiercią chciał spłacić ostatni dług. Poprosił o prawnika i podyktował mu poufny dokument. Przekazał go potem zaufanemu bosmanowi z poleceniem, aby oddał go Jane, którą szczegółowo opisał. „Bóg jeden wie, czy ona jeszcze żyje i jak się nazywa – powiedział. – Ale ostatni raz widziałem ją w Wirginii”.

Rok 1642

Nikt nie przypuszczał nawet, że sprawy zajdą tak daleko. Karol I i arcybiskup Laud, przekonani, że udało im się zastraszyć purytanów w Anglii, w 1637 roku skierowali swoją uwagę na północ. Anglikański modlitewnik i anglikańskie nabożeństwa miały być narzucone szkockim prezbiterianom. W ciągu kilku tygodni cała Szkocja stanęła w płomieniach. A rok później powstała wielka organizacja Szkotów gotowych do ostatniej kropli krwi bronić swojej protestanckiej wiary. Składali przysięgę; byli uzbrojeni; nie bali się ruszyć na Anglię. Ich przedsięwzięcie nosiło nazwę, która na stałe weszła do historii Szkocji: Przymierze.

Karol musiał przedsięwziąć stanowcze kroki. Wezwał swojego najbardziej bezwzględnego sługę, zaufanego pomocnika, który od wielu lat rządził Irlandczykami żelazną ręką – hrabiego Strafforda. Zebrano wszystkie możliwe siły zbrojne, ale połowa żołnierzy sprzyjała w duchu szkockiemu Przymierzu. Po ponad roku bezowocnych negocjacji Karol niechętnie zwołał parlament.

– Ośmielam się sądzić – tłumaczył – że mając u bram kraju hordy Szkotów, angielska szlachta wystawi przyzwoitą armię.

Jednak posłowie chcieli dyskutować o rządach Karola, więc zniecierpliwiony król po kilku dniach rozwiązał parlament, nazywany potem Krótkim Parlamentem.

– Musimy wystawić armię najemną – stwierdził. Ale tutaj tkwił największy problem.

Pieniądze.

Król poprosił Londyn o kredyt, lecz nikt nie chciał mu pożyczyć pieniędzy.

– Skoro tak, to ograniczymy bicie monet – oznajmił Strafford kupcom.

A odnosząc się do odmowy londyńczyków, poradził królowi następująco:

– Powinniście podwoić żądania, wasza wysokość. I powiesić kilku rajców. To najpewniej wystarczy.

***

– Gdyby król mnie posłuchał – żalił się Julius bratu. – Gdyby inaczej szukał kredytu, to nie znalazłby się w tej trudnej sytuacji.

Ale król postąpił po swojemu. Przebiegli Szkoci, widząc jego słabość, zajęli północ Anglii i zagrozili, że nie wycofają się, dopóki nie otrzymają wysokiej rekompensaty. Karol nie miał więc innego wyjścia, jak ponownie

zwołać parlament. Jesienią 1640 roku posłowie byli gotowi do konfrontacji z monarchą.

– W parlamencie siedzą sami groźni radykałowie, gorsi od zdrajców – stwierdził Henry ze złością. – Trzymają ze Szkotami.

To prawda, sprzymierzyli się ze Szkotami. Ale nie byli radykałami, a już na pewno nie zdrajcami. Większość stanowiła bogata wiejska szlachta, oburzona rządami Karola. Niejaki Hampden zamierzał nawet poprowadzić krucjatę przeciwko podatkowi na budowę floty. A pewien obywatel ziemski z Anglii Wschodniej nazwiskiem Oliver Cromwell – daleki krewny sekretarza Thomasa Cromwella, który sto lat wcześniej rozwiązał klasztory – po raz pierwszy zasiadający w parlamencie, był wstrząśnięty bezbożnością dworu. Jednak pierwsze skrzypce grał w tej grupie niejaki Pym, mistrz taktyki.

– Tok rozumowania Pyma jest prosty – tłumaczył Juliusowi pewien tęgi jegomość w Giełdzie Królewskiej. – Dopóki Szkoci nie ruszą się z północy, a obiecali nam, że tego nie zrobią, i dopóki my odmawiamy królowi pieniędzy, Karol jest w potrzasku. Nic nie może zrobić. – Parsknął śmiechem. – Sam widzisz, że to najlepsza chwila, aby go przycisnąć.

Tak też zrobili. Królowi odebrano prawo pobierania ceł; parlament miał się zbierać co trzy lata; obecny parlament miał obradować tak długo, jak długo posłowie uznają za stosowne; Ulster miał wrócić do rąk Londynu. Bez przeszkód uchwalano kolejne, upokarzające Karola akty. W listopadzie Strafford znalazł się w Tower, a miesiąc później dołączył do niego arcybiskup Laud.

Ale to nie zaciętość parlamentu niepokoiła Juliusa. Parlament, gdy czuł się silny, zawsze sprzeciwiał się królowi. Doprowadzał do upadku faworytów, a nawet zabraniał monarchom posiadania kochanek. Obecna sytuacja była trudna, lecz nie beznadziejna. Tak naprawdę niepokój Juliusa

nie wynikał z poczynań posłów, ale z tego, co się działo w jego rodzimej parafii Świętego Wawrzyńca.

Wszystko zaczęło się niedługo po zwołaniu parlamentu. Julius doskonale pamiętał ten dzień, bo William Prynne został właśnie zwolniony z więzienia. Ogromne gromady ludzi szły za okaleczonym purytaninem w triumfalnym pochodzie ulicami Londynu. Okrzyki tłumu wciąż dźwięczały Juliusowi w uszach, gdy doniesiono mu, że w drzwiach stoi Gedeon Carpenter. Ku jego zaskoczeniu Gedeon, patrząc na niego przenikliwie, podsunął mu duży zwój papieru.

– Podpiszesz? – zapytał.

– Co mam podpisać? – zdziwił się Julius.

– Petycję. Mamy prawie piętnaście tysięcy podpisów. Chcemy całkowitego zniesienia stanowisk biskupich. – Gedeon pokazał mu długą listę nazwisk.

Julius słyszał o tej petycji. Jej autorem był Pennington, żarliwy purytanin z rady miejskiej. Chętnie podpisywali ją wszyscy, którzy nienawidzili Lauda i jego Kościoła, zwłaszcza że zachęcali do tego niedawno przybyli do Londynu wysłannicy szkockich prezbiterian. Jednak Julius nie wyobrażał sobie, aby król, mimo sporów z parlamentem, w ogóle raczył spojrzeć na taki dokument.

– Dlaczego przychodzisz z tym do mnie? – zapytał.

Odpowiedź wprawiła go w jeszcze większe zdziwienie.

– Kiedy kazałeś mnie wychłostać – powiedział Gedeon spokojnie – nie dałeś mi żadnej szansy. – Spojrzał Juliusowi w oczy. – Ja daję ci szansę.

Szansę? O czym on mówi?

– Idźcie z tym gdzie indziej – powiedział.

Ale dało mu to do myślenia. Daję ci szansę. Dziwne.

Niedługo potem usłyszał jeszcze bardziej zastanawiające słowa.

Parlament postanowił obłożyć impeachmentem Strafforda, ale nie miał wyraźnych podstaw prawnych. „Oskarżymy go o bliżej nieokreślone zbrodnie. A król będzie musiał podpisać wyrok śmierci”. Londyn dodał do tego swój przypis: „Nie pożyczymy żadnych pieniędzy, dopóki jego głowa nie spadnie”.

Karol stawiał opór. Spór się zaogniał. A pewnego kwietniowego dnia, gdy wielki tłum zebrał się pod Westminsterem, aby zademonstrować królowi swoje uczucia, Julius natknął się przypadkiem na Gedeona. Nie chcąc być nieuprzejmy, wspomniał jedynie, że bez względu na to, co ludzie myślą o Straffordzie, do egzekucji z pewnością nie dojdzie. Król do niej nie dopuści. Gedeon, zamiast się spierać, zareagował uśmiechem.

– Który król? – spytał.

– Jak to który? Przecież mamy jednego władcę.

Gedeon pokręcił głową.

– Jest teraz dwóch królów – oznajmił. – Karol w swoim pałacu i król Pymm w Izbie Gmin. – Wyszczerzył zęby w uśmiechu. – I moim zdaniem, panie Ducket, król Pym dopuści do egzekucji.

Król Pym? Przewodniczący parlamentu. Julius nigdy wcześniej nie słyszał takiego określenia. Uznał je za niestosowne.

– Powinieneś uważać, co mówisz – rzucił ostrzegawczo.

Ale już następnego dnia zobaczył wielki afisz przyklejony do krzyża w Cheapside. Nagłówek aż krzyczał: „Król Pym ogłasza…”. W ciągu tygodnia usłyszał to sformułowanie kilkanaście razy. A słowa Gedeona okazały się prawdą. Nie minął miesiąc, a Karol, pozbawiony pieniędzy i naciskany przez parlament, ugiął się i Strafford został stracony na Tower Hill.

Julius musiał się nauczyć jeszcze jednego przerażającego słowa.

Lato upływało względnie spokojnie. Król Pym okopał się w parlamencie. Król Karol wyruszył na północ, licząc na ugodę ze Szkotami, ale prezbiterianie ani myśleli ustąpić. Karol nadal tkwił w imadle. Tymczasem bracia Ducketowie musieli zająć się swoimi sprawami. Julius wyjechał z rodziną do Bocton, zabierając ze sobą kilka rodzin z parafii – w tym także żonę i dzieci Gedeona – do pomocy przy zbiorach chmielu. W sielskiej atmosferze Kentu nawet sir Henry i mały O Be Joyful zaprzyjaźnili się ze sobą.

Gdy jednak wrócili do Londynu, stało się jasne, że coś wisi w powietrzu. Nadeszły wieści o rozruchach w Irlandii. Były ofiary, dochodziło do podpaleń. Król Pym i król Karol zgodnie stwierdzili, że do zbuntowanej prowincji należy wysłać wojsko. Ale na tym ich jednomyślność się skończyła. „Ja stanę na czele wojsk”, oświadczył Karol. W końcu to był królewski obowiązek. „Ani myślimy płacić za armię, której król z pewnością użyje potem przeciwko nam”, odpowiedzieli posłowie.

„Ograniczenie króla to za mało – oświadczył parlament. – Musimy mieć nad nim kontrolę”. To by oznaczało, że król Pym ma większą władzę niż król Karol. Z każdym tygodniem zgłaszano coraz bardziej radykalne propozycje. „Armia ma odpowiadać jedynie przed parlamentem”. „Chcemy prawa weta dla decyzji królewskich ministrów”. Nic więc dziwnego, że do tego chóru wkrótce dołączyli purytanie: „Precz z biskupami!”.

W listopadzie Gedeon zbierał podpisy pod kolejną petycją.

– Tym razem zbierzemy dwadzieścia tysięcy – zapowiedział.

Przed Westminsterem regularnie gromadził się tłum, a Pym i jego zwolennicy nie robili nic, żeby ostudzić nastroje.

– Rozmawiałem dziś z kilkoma rozsądnymi posłami – oznajmił Henry któregoś wieczoru. – Oni też zaczynają się niepokoić. Chcieliby

kontrolować króla, ale obawiają się, że Pym sprowadzi na nas rządy motłochu. To równia pochyła, dlatego woleliby zawrzeć z królem ugodę.

Pod koniec miesiąca Pym i jego zwolennicy narzucili Wielkie Napomnienie [25]. Zawarli w nim wszystkie radykalne żądania. Przeciwko głosowała jednak spora część posłów.

– Pym posunął się za daleko – stwierdził Henry. – Jeśli się nie opamięta, to następnym razem nie zdobędzie już takiej większości.

Wielu rajców i bogatszych londyńskich rodów miało podobne wątpliwości. „Okręgi wybrały nową radę miejską złożoną z radykałów i wichrzycieli". I jakby na potwierdzenie tych obaw tuż po Bożym Narodzeniu tłum terminatorów wzniecił pod Westminsterem zamieszki. Musiało interweniować wojsko. A potem Julius po raz pierwszy usłyszał słowo, którego wkrótce zaczął się lękać.

– Wiesz, jak żołnierze nazwali terminatorów, których pogonili aż za Whitehall? – spytał Henry. – Większość miała krótko ostrzyżone włosy, więc nazwali ich okrągłogłowymi. – Roześmiał się. – Okrągłogłowi. Tylko tyle sobą reprezentują.

W ciągu kilku dni do króla Karola zgłosiło się pięciuset młodych dżentelmenów z Inns of Court gotowych bronić porządku. Nawet nowo wybrana rada miejska wezwała wszystkich uzbrojonych mężczyzn w mieście, aby pomogli w utrzymaniu spokoju.

I gdy coraz więcej wpływowych ludzi niechętnie spoglądało na antykrólewską opozycję, Julius z osłupieniem spojrzał na swojego brata, który z impetem wpadł któregoś dnia do domu i wygłosił słowa niesłychane:

– Król oszalał.

Działania, które Karol I podjął w pierwszym tygodniu stycznia 1642 roku, nie świadczyły o jego szaleństwie, lecz o tym, że nie miał najmniejszego

pojęcia o angielskiej polityce.

Trzeciego stycznia wysłał kilku zbrojnych, aby aresztowali pięciu członków Izby Gmin. Posłowie nie wpuścili ich na salę. Następnego dnia król, łamiąc wszystkie zasady etykiety, pojawił się w Izbie Gmin osobiście, ale okazało się, że cała piątka, w tym Pym i najważniejszy londyński purytanin Pennington, zniknęła. Przewodniczący nie chciał powiedzieć, dokąd się udali – „Wasza wysokość, widzę i mówię tylko to, na co dozwala mi Izba". Na to król mógł jedynie stwierdzić: „Widzę, że ptaszki odleciały".

Żaden król nie odważył się aresztować członków parlamentu za wyrażanie poglądów w trakcie obrad. Byłoby to złamaniem prawa zwyczajowego i parlamentarnych przywilejów. Dlatego od tamtych czasów, gdy do Izby Gmin przybywa przedstawiciel króla, aby otworzyć doroczne obrady, symbolicznie zatrzaskuje mu się drzwi przed nosem. Gdy następnego dnia Karol pojawił się w Guildhall, nawet burmistrz i niechętni radykałom rajcy nie mogli go wesprzeć.

– Takie są przywileje parlamentu – przypomnieli mu.

„Przywileje parlamentu!", krzyczeli ludzie na ulicach, gdy król wracał do pałacu.

Pięć dni później ze względów bezpieczeństwa Karol przeniósł się z królową do Hampton Court. Pym został w Londynie.

Julius czekał całą wiosnę. Tliła się jeszcze niewielka iskra nadziei. Parlament zachowywał pozory lojalności. Zwołał wojsko – w imieniu króla – tłumacząc, że jest potrzebne w Irlandii. Było jednak jasne, że to parlament, a nie król, umie sobie zjednać wsparcie Londynu. Miasto udzieliło ogromnej pożyczki – której wcześniej odmawiało – w zamian za milion hektarów ziemi w Irlandii.

W kwietniu utworzono nowe oddziały milicji – sześć regimentów. Oczywiście „dla obrony króla". Któregoś dnia Julius zobaczył Gedeona,

z halabardą w ręku prowadzącego niewielki oddział terminatorów. Mimo to uparcie wierzył, że zdrowy rozsądek weźmie górę.

Gdy zjawił się Henry, po powrocie z wyjazdu z królem, Julius niecierpliwie wypytywał go o wieści.

– Czy Karol będzie szukał kompromisu?

Henry jedynie pokręcił głową.

– To niemożliwe. Król popełnił błędy, ale Pym za mocno przyparł go do muru. Zdajesz sobie sprawę, Juliusie, że musimy utrzymać porządek. Parlament powinien dostać porządną nauczkę.

– Król chce zebrać wojsko?

– Królowa udała się do Francji. Zabrała ze sobą królewskie klejnoty. Zamierza je zastawić, żeby zdobyć pieniądze.

Henry wyjechał po trzech dniach. Dwa miesiące później znów pojawił się na krótko w domu.

– Król przebywa w Yorku – poinformował. – Wezwał wszystkich lojalnych członków parlamentu, żeby do niego dołączyli. I niektórzy go posłuchali. Jednak porty na południu i na wschodzie są dla nas niedostępne. Najwyraźniej marynarka też wypowiedziała posłuszeństwo królowi.

– Parlament poprosił o dobrowolne datki – powiedział Julius. – Ludzie przynieśli tyle srebrnej zastawy, że nie wiadomo nawet, co z nią robić.

Pod koniec lata wydawało się, że znów pojawił się promyk nadziei. Zwolennicy króla pisali zdroworozsądkowe pamflety, mogące otworzyć drogę do kompromisu.

– Oby udało się zawrzeć jakieś porozumienie – zwrócił się Julius do rodziny.

Jednak w sierpniu usunięto burmistrza, a na jego miejsce wybrano Penningtona. Gedeon, którego Julius spotkał któregoś dnia na Watling Street, rzucił lekko:

– Teraz wszyscy jesteśmy okrągłogłowymi.

Tydzień później gruchnęła wieść, że Karol kazał wywiesić w Nottingham swój sztandar. To był pradawny rycerski znak wypowiedzenia wojny.

Henry wrócił we wrześniu. Zapadł już zmierzch. Julius zauważył, że brat nosi napierśnik. Został na noc. Rozmawiali przez wiele godzin.

– Północ i prawie cała zachodnia część kraju jest wierna królowi – mówił Henry. – Kilku największych arystokratów obiecało dostarczyć wojsko. Karol wezwał z Niemiec swojego siostrzeńca Ruperta. – Julius wiedział, że książę Rupert uchodzi za znakomitego dowódcę kawalerii. – Będzie tylko jedna krótka bitwa – przewidywał Henry. – Rekruci ściągnięci przez parlament są źle wyszkoleni. Rupert poradzi sobie z nimi w pięć minut. – Uśmiechnął się. – A potem na powrót zaprowadzimy porządek.

Henry wyjechał zaraz po świcie. Zabrał ze sobą – zaszyte w ubraniu – złote i srebrne monety warte trzy tysiące funtów. Powiedział z dumą, gdy Julius spojrzał na niego z lekkim niepokojem:

– Jesteśmy dżentelmenami, bracie. Lojalnymi poddanymi króla. Nasz ojciec życzyłby sobie takiej postawy – przypomniał na koniec.

Nazajutrz, jakby w zapowiedzi nadciągających ponurych czasów, burmistrz i rada miejska nakazali zamknięcie wszystkich londyńskich teatrów. Z miasta wychodziły kolejne oddziały, poprawiano umocnienia przy bramach. Na początku października wszyscy niecierpliwie wyczekiwali wieści o bitwie. Na próżno. Julius zdał sobie sprawę, że od jakiegoś czasu nie widział Gedeona Carpentera.

W ostatnią niedzielę października w kościele Świętego Wawrzyńca wydarzyła się rzecz niesłychana.

W poprzednim tygodniu w West Country doszło do niewielkiej bitwy, ale nie przyniosła żadnego rozstrzygnięcia. Oddziały rekrutów powoli wracały do Londynu, żeby się przegrupować. Jednak król Karol i książę Rupert posuwali się z wielką ostrożnością. Wieści, które napływały, były fragmentaryczne.

Przyszli do kościoła dosłownie w ostatniej chwili, bo jedno z dzieci źle się poczuło. Julius, nie rozglądając się na boki, jak najciszej poprowadził ich do rodzinnej ławki. Zauważył jednak, że w świątyni jest pełno jak nigdy. A chwilę później, gdy w kościele zapadła cisza, spostrzegł coś dziwnego.

Ołtarz stał w niewłaściwym miejscu. Na powrót przeniesiono go do nawy.

Wtedy pojawił się Meredith. Nie miał na sobie błyszczącego pluwiału. Ubrany był w długi czarny surdut i białą koszulę. Ale zamiast usiąść na swoim zwykłym miejscu w prezbiterium, od razu wszedł na ambonę, jakby zamierzał wygłosić kazanie. Julius patrzył uważnie, jak Edmund zaczyna nabożeństwo.

Zmarszczył brwi. Nie, to nie jest nabożeństwo. Nie te słowa. Co wstąpiło w Mereditha? Przecież zna na pamięć cały modlitewnik. Czyżby cierpiał na zaburzenia umysłowe? Co on, do diabła, mówi? I wtedy Julius zrozumiał. Było to Dyrektorium, porządek nabożeństwa zgodny z zaleceniami prezbiterian. Kalwinizm w jego własnym kościele! Spojrzał na osłupiałą żonę. Nie wiedział, co Meredith zamierza, ale wiedział, na czym polega jego obowiązek. Wstał.

– Dość tego! – Jego głos brzmiał głośno i wyraźnie. Władczo. – To jest chyba niewłaściwy porządek nabożeństwa, panie Meredith!

Edmund uśmiechał się beznamiętnie.

– Modlitewnik, panie Meredith. Jako przewodniczący rady parafialnej żądam…

Przerwało mu otwarcie drzwi. Do kościoła wszedł Gedeon Carpenter w stroju oficera. Miał przy boku rapier. Towarzyszyło mu sześciu zbrojnych. Julius otworzył usta, żeby ich też napomnieć, ale Gedeon go ubiegł.

– Sir, już nie jesteś członkiem rady parafialnej.

– Już nie…? – O czym on mówi? I dlaczego zwraca się do niego w ten sposób: sir?

– Nie wiedziałeś? Przykro mi. Twój brat nie żyje. Teraz ty nosisz tytuł.

– Nie żyje? – Julius patrzył na Gedeona, nie mogąc wydusić z siebie słowa.

– I jeszcze jedno. Jesteś aresztowany – dodał Gedeon bez cienia złośliwości.

Rok 1649

Dwudziesty dziewiąty stycznia. Wieczór. Ciemności zapadły już o piątej po południu. Niedługo nadejdzie długa noc, rozświetlona lodowatym blaskiem gwiazd. Jej cisza będzie dla wielu napiętym czuwaniem. A w szarym świetle świtu w Whitehall wydarzy się coś, o czym jeszcze nikt w Anglii nie słyszał.

Edmund Meredith siedział w samotności. Żona i dzieci poszły już na górę. Na stoliku leżał sztywny czarny kapelusz z wysoką główką i szerokim rondem. Edmund wciąż miał na sobie dzienne ubranie – czarną kamizelkę sztywno zapiętą od pasa do szyi, koszulę w biało-czarne paski z lnianym kołnierzem i mankietami, czarne bryczesy, wełniane skarpety i proste buty. Siwe włosy zwisały mu na policzki. Ten pozornie niedbały wygląd był

obecnie popularny wśród purytanów. Edmund bez wahania dostosował się do mody trzy lata wcześniej.

Siedział na ciężkim krześle z miękkim oparciem. Szczupłe palce trzymał złożone przy twarzy, miał półprzymknięte powieki, jakby się modlił. Ale się nie modlił. Myślał. O tym, jak przetrwać.

Potrafił lawirować. Miał prawie osiemdziesiąt lat, ale wyglądał na sześćdziesięciolatka. Najmłodsze z jego pięciorga dzieci miało zaledwie sześć lat. Można było odnieść wrażenie, że Edmund zamierza żyć na tyle długo, aby także tego chłopca wprowadzić w dorosłość. A skoro mowa o sztuce politycznego przetrwania…

„Najważniejsze to wybrać odpowiedni moment”, tłumaczył dawniej Jane. I patrząc teraz wstecz, na siedem lat wojny, mógł powiedzieć, że podjął właściwe decyzje.

Lubił rozmawiać z Jane. Za długo się znali, aby mieć wobec siebie jakieś złudzenia albo coś przed sobą ukrywać. Bawiło go, gdy z niego żartowała. Była jedyną osobą na świecie, z którą był całkowicie szczery.

Najważniejszy krok uczynił w 1642 roku, gdy przeniósł się do obozu prezbiterian, czym tak bardzo zaskoczył Juliusa. W tamtych dniach król Karol wciąż napierał na Londyn i wielu wieszczyło jego rychłe zwycięstwo.

– Skąd wiedziałeś – spytała Jane – po czyjej stronie się opowiedzieć?

– Obserwowałem miejską milicję – przyznał. – I doszedłem do wniosku, że Karol nie przetrwa roku.

– Ale przecież w dłuższym okresie król mógł pokonać parlament – nie ustępowała. – I wtedy byłbyś w tarapatach.

– To prawda – przyznał. – Tylko że ja byłem pewien, że im dłużej trwa wojna, tym mniejsze król ma szanse.

– Dlaczego?

– Dostawy – odparł krótko. – Okrągłogłowi mieli w swoich rękach marynarkę wojenną i prawie wszystkie porty. Karolowi trudno było dostać posiłki. Co więcej, porty przekazywały parlamentowi należne cła. Ale przede wszystkim za okrągłogłowymi stał Londyn. – Rozłożył ręce. – Długie wojny kosztują. A pieniądze są w Londynie. – Uśmiechnął się szeroko. – Postawiłem dwa do jednego na okrągłogłowych i zostałem prezbiterianinem.

Szybko okazało się, że miał rację. Po kilku miesiącach parlament, odrzucając wszelkie pozory lojalności wobec króla, zniósł stanowiska biskupie i zawarł porozumienie ze Szkotami. Szkoci mieli pokonać Karola, w zamian za to Anglia miała przejść na prezbiterianizm. Usunięto znaczną część anglikańskiego duchowieństwa. W londyńskich parafiach powstało zamieszanie. Ale Meredith przetrwał. „Udało mi się w ostatniej chwili", przyznawał. W tym samym roku pomógł wywieźć z Cheapside stary krzyż. „Takie rzeczy to świadectwa zabobonu i bałwochwalstwa", oznajmił swoim parafianom. Bezwzględni Szkoci i angielski parlament powoli wypracowywali szczegóły angielskiego Kościoła kalwińskiego, powołano pierwszą londyńską radę starszych i nawet najbardziej surowi goście ze Szkocji zgodnie przyznawali: „Ten Meredith wygłasza dobre kazania. Bardzo mądre".

Ale to było dawno temu, gdy jeszcze toczyła się wojna między Karolem a parlamentem. Od tamtego czasu wiele się zmieniło – zdaniem Edmunda na gorsze. I nie wiadomo, co wydarzy się pojutrze. Wiedział, że sam jakoś sobie poradzi. Siedząc sam w zimowym mroku, martwił się o los kogoś innego.

Chodziło mu o Jane. Bóg świadkiem, że ją ostrzegał.

Świeca wciąż płonęła w izbie. W jej migotliwym świetle Jane spojrzała na leżącą obok postać. Na szczęście spał spokojnie.

Czy Meredith ma rację? Grozi im niebezpieczeństwo? Dogget w to nie wierzył, ale on zawsze miał pogodny stosunek do życia, pomyślała czule. Może i Meredith jest cynicznym oszustem, lecz wie, co w trawie piszczy. Byli więc nieszczęsnymi kochankami jak Romeo i Julia, Antoniusz i Kleopatra? Można o nich napisać sztukę? Rozbawiła ją ta myśl. Dogget i Jane – dziwna para jak na tragedię, bo gdy zostali kochankami, ona miała sześćdziesiąt lat. Czasem myślała, że nie doszłoby do tego, gdyby nie wojna.

Dziwne, ale z całej wojny domowej Jane najlepiej zapamiętała spokój. Już pierwszej wiosny miasto otoczono wałem obronnym. Było to ogromne przedsięwzięcie. Tydzień po tygodniu mieszkańcy stawiali się do prac przy wykopach. Powołano wszystkich sprawnych fizycznie mężczyzn, nawet tych starszych, w wieku Doggeta, i każdemu dano łopatę. Prace trwały nawet w niedziele. „Dziś jest ponad sto tysięcy ludzi”, usłyszała Jane któregoś popołudnia, gdy roznosiła robotnikom jedzenie. Latem wszystko było gotowe. Wielki mur ziemny z rowem o długości prawie osiemnastu kilometrów otoczył miasto i jego przedmieścia po obu stronach rzeki – z Westminsterem i Lambeth na zachodzie i Wapping na wschodzie. W obrębie murów znalazły się nie tylko przedmieścia, ale także otwarte tereny, sady i pola, a nawet zbiornik będący częścią wodociągu Myddeltona. W umocnieniach znajdowały się bramy wjazdowe, forty i baterie dział dostarczonych przez Kompanię Wschodnioindyjską. Miasto było nie do zdobycia. Tutaj właśnie opozycja parlamentarna, która niczym krępulec zacisnęła najważniejszą tętnicę kraju, urządziła sobie główną siedzibę na czas wojny.

Meredith przewidział wynik wojny domowej na długo przed jej zakończeniem. Konflikt rozwijał się wolno, z licznymi przerwami – tu jakaś potyczka, tam oblężenie miasta, kilka większych bitew. Gdy jednak

Karol i książę Rupert wyruszyli z głównej bazy w Oksfordzie, ich siły budziły strach. Królewska armia przejęła port w Newcastle, skąd pochodziła znaczna część dostaw węgla dla Londynu, a także zajęła większość ziem na zachodzie kraju. I nawet gdy przybyli z odsieczą Szkoci zadali jej dotkliwą klęskę pod Marston Moor, nikt nie miał złudzeń: rojalistów nadal nie udało się pokonać. Jednym z powodów były wojska okrągłogłowych. Londyńskie milicje radziły sobie najlepiej, ale gdy tylko spóźniał się żołd, wywieszały białą flagę i wracały do domu.

Dla Jane i innych londyńczyków wojna oznaczała wielomiesięczną, złowrogą ciszę.

Owszem, początkowo raz w tygodniu widywała Gedeona i jego ludzi maszerujących z dumą do Finsbury Field albo Artillery Ground za Moorgate, gdzie zbierały się oddziały milicji. Potem przez całe popołudnie dochodził stamtąd terkot muszkietów i huk dział. Czasem z miasta wychodziły wielkie kolumny okrągłogłowych, a po kilku tygodniach wracały w bandażach, pokryte kurzem. Jednak na ogół panowały cisza i przygnębienie. Z Cheapside zniknęła połowa straganów. Giełda Królewska świeciła pustkami. Rojaliści odcięli dostawy sukna z West Country, spadło zapotrzebowanie na towary luksusowe, więc większość kupców mocno ograniczyła handel. Niektórzy, uchodzący za rojalistów, w ogóle zaniechali działalności. Mówiono, że sir Julius Ducket jest zrujnowany. Zwykłym ludziom, takim jak Jane, nie brakowało wprawdzie jedzenia, ale mocno ucierpieli z powodu chłodów, gdy rojaliści wstrzymali dostawy węgla z Newcastle. Do tego comiesięczny podatek na utrzymanie wojsk znacznie uszczuplił dochody. Mimo to Jane była zadowolona. Król nie atakował Londynu i po jakimś czasie nabrała pewności, że nigdy do tego nie dojdzie. Owszem, życie było ciężkie, ale przynajmniej inne. No i pojawił się Dogget.

Dlaczego nie popłynął do Massachusetts? Dziwne, ale zawsze znalazło się jakieś wytłumaczenie. Przez pierwsze dwa lata musiał pomagać w warsztacie, potem zachorowała dwójka dzieci Gedeona. „Chyba powinieneś już pojechać do żony”, mówiła czasem. A po wybuchu wojny domowej, gdy Gedeon zajął się żołnierką, Dogget rzeczywiście musiał poświęcić się pracy w warsztacie i zapewnić byt jego rodzinie.

To się stało pewnego wrześniowego popołudnia, parę miesięcy po ukończeniu budowy umocnień. Jane i Dogget poszli na przechadzkę do Moorfields. Świeciło słońce. Wokół panowała cisza. Strażnicy na odległych o półtora kilometra wałach w Shoreditch wyglądali na tle błękitnego nieba jak małe kropki. Przemknęło jej wtedy przez myśl, że za tą wielką osłoną czuje się jak w jakimś ponadczasowym, nierealnym miejscu, oddzielonym od reszty świata. A on, jakby czytał w jej umyśle, odwrócił się do niej ze słowami:

– Można się tu poczuć młodziej.

Tak, czuła się młodsza. Uśmiechnęła się.

– Niewiele się zmieniłeś – powiedziała. Miał zmarszczki i siwe włosy, ale poza tym wciąż był tym samym Johnem Doggetem, który kiedyś pokazywał jej barkę króla Henryka.

Skinął głową. Przyglądał się jej uważnie.

– O co ci chodzi?

Nie odpowiedział. Wciąż patrzył na nią z uśmiechem.

Spuściła wzrok. Zamyśliła się nieco, gdy szli w kierunku umocnień. A potem wzięła go za rękę. Żadne się nie odezwało. Po prostu wrócili razem do domu otoczeni rzęsistym popołudniowym światłem. I w tej dziwnej, wyciszonej przestrzeni stworzonej przez wojenne umocnienia zaczął się romans dwojga sześćdziesięcioletnich kochanków, połączonych wspólną przeszłością i wieloletnią sympatią. Znaleźli w sobie ukojenie,

przyjaźń, a nawet namiętność – oboje trochę niedowierzając, że było im to pisane.

Byli bardzo dyskretni. Jedynie Meredith, bystry Meredith, domyślił się wszystkiego. Ale jemu mogli ufać. Zresztą nie miało to znaczenia. Skoro dawali sobie nawzajem szczęście, to kogo to obchodziło?

Było to przed pięcioma laty, zanim jeszcze w Anglii pojawiły się wielkie zmiany, które doprowadziły do obecnego kryzysu. Patrząc z czułością na śpiącego obok mężczyznę, miała w uszach słowa Mereditha sprzed paru dni:

– Grozi wam niebezpieczeństwo. I to wielkie. – Spojrzał na nią poważnie. – Kto o tym wie?

– Ty. – Zastanawiała się przez chwilę. – Nie jestem pewna. Ale ludzie mogą coś podejrzewać. Dlaczego to takie ważne?

Potrząsnął niecierpliwie głową.

– Nic nie rozumiesz. – Spojrzał na nią z troską. – Powiedz mi jedno. To bardzo istotne. Czy Gedeon wie?

Gedeon wziął gęsie pióro do ręki. Przed sobą miał list do Marthy, lecz zawahał się po raz setny. Spojrzał na swoją rodzinę po drugiej stronie pokoju. Jego ukochana żona – chora, gdy wspominał o wyjeździe, i zdrowa, gdy o tym nie mówił – szyła coś. Obok niej siedziała Patience, która wkrótce miała wyjść za mąż. O Perseverance nikt się jeszcze nie starał. Światło jego życia, O Be Joyful, który był niskim, krępym młodzieńcem, czytał Biblię w kącie. Chłopak miał taki talent, że zamiast przyuczać go do swojego fachu, Gedeon posłał go do terminu do najlepszego snycerza, jakiego udało się znaleźć. Ale jeszcze bardziej dziękował Bogu za to, że obdarował go takim dobrym, religijnym synem. Martha byłaby z niego dumna. Jednak ta myśl, zamiast rozweselić mu serce, kazała mu niechętnie

wrócić do pisania. I to dręczące pytanie. Powinien powiedzieć Marcie o Doggecie i Jane?

Czasem próbował udawać przed sobą, że niczego nie wie, że nie widział, jak się całują, gdy myśleli, że są sami. Że nie widział, jak Dogget znika w jej domu. Inni chyba niczego nie zauważyli. Dla jego dzieci Jane była po prostu ciotką. A gdy któryś z sąsiadów rzucił niewinnie: „Dogget i pani Wheeler są kuzynami, prawda?", uśmiechnął się i skinął głową. Niech Bóg wybaczy mu to kłamstwo. Tyle że to właśnie on, Gedeon Carpenter, miał być wzorem moralnym w parafii Świętego Wawrzyńca.

To była teraz jego rola. Od czasów, gdy usunęli sir Juliusa Ducketa i jego przyjaciół. Cała kongregacja trzykrotnie wybierała go do rady parafialnej. A parafia, co przyznawał z zadowoleniem, miała bardzo wysokie standardy moralne. Ponad połowa mężczyzn nosiła purytańskie kapelusze i bezrękawniki. Kobiety ubierały się w długie suknie, szare lub brązowe, na głowy wkładały czepki skromnie zawiązywane pod brodą.

Dlaczego więc przyzwalał na to grzeszne oszukiwanie pobożnej kobiety, którą tak szanował? Po części kierował nim lęk przed rodzinną kłótnią i skandalem. Jednak przede wszystkim chciał, aby Dogget był szczęśliwy. Gdyby nie jego codzienna praca w warsztacie, Gedeon nie mógłby – i to na pewno Martha umiałaby zrozumieć – służyć większej sprawie, której zwieńczenie miało nastąpić już nazajutrz. Dzięki Cromwellowi i jego świętym.

Wojnę domową wygrał Oliver Cromwell. Po pierwszych latach, które nie przyniosły rozstrzygnięcia, ten energiczny poseł z Anglii Wschodniej wystawił własną, świetnie wyszkoloną jazdę, nazwaną później „żelaznobocy", a potem poprosił parlament: „Pozwólcie mi przeorganizować całą armię".

Cóż to były za emocjonujące czasy. Gedeon zostawił rodzinę pod opieką Doggeta i ochoczo przyłączył się do oddziałów Cromwella. Nazwano je Armią Nowego Wzoru. To najemne, wybornie wyszkolone i zdyscyplinowane wojsko, w znacznej części zahartowane już w bitwach, odmieniło losy wojny. Przed upływem roku armia Cromwella zadała Karolowi i Rupertowi miażdżącą klęskę pod Nesby, a potem zdobywała kolejne twierdze rojalistów. Upadł Oksford. Karol poddał się Szkotom, a oni sprzedali go Anglikom, którzy zamknęli go w areszcie domowym.

Dla Gedeona ci wszyscy okrągłogłowi nowego wzoru nie byli zwykłymi żołnierzami. Byli ludźmi świętymi.

Sami tak się nazwali. Niektórzy byli najemnikami, ale większość – tak jak Gedeon – była żołnierzami Chrystusa walczącymi o sprawiedliwość i o to, aby w końcu, nawet w Anglii, mogli zbudować świetliste miasto na górze. Wszak Bóg był z nimi. Czyż to nie On przyniósł im zwycięstwo? Ta świadomość dawała im tak potrzebną moc. Bo komu mieli zaufać, jeśli nie sobie?

Na pewno nie parlamentowi. Armia nie otrzymała połowy należnego żołdu. „Święci” doskonale wiedzieli, że większość posłów chce zawrzeć z królem ugodę, bez stawiania wygórowanych żądań.

Nie mogli ufać londyńczykom. „Londyn jest tak wielki, że przypomina wielogłową hydrę”, mawiał ze smutkiem Gedeon. Większość mieszkańców popierała okrągłogłowych, jednak wśród nich mogli też kryć się jacyś rojaliści. Poza tym tak naprawdę londyńczycy dbali jedynie o swoje interesy i zyski. Po zniknięciu zagrożenia ze strony armii króla na pewno od razu zechcą rozwiązać „świętych” i porozumieć się z Karolem.

Ale przede wszystkim nie mogli ufać królowi. Karol lawirował, kręcił, próbował nastawić jednego swojego wroga przeciwko drugiemu, obiecywał dosłownie wszystko z nadzieją, że na koniec i tak będzie rządził jak

dawniej, a gdy wreszcie udało mu się wzniecić kolejne powstanie, „święci” mieli dość. Wbrew głośnym protestom londyńczyków Fairfax wkroczył do miasta i rozlokował w nim swoje oddziały. Skonfiskowano skarbce kilku kompanii, żeby zapłacić żołnierzom. A kilka miesięcy wcześniej – co Gedeon przyjął z wielkim zadowoleniem – pułkownik Pride udał się z wojskiem do Westminsteru i usunął wszystkich członków parlamentu, którzy nie byli przekonani do wielkiej sprawy, czyli, krótko mówiąc, do przebudowy Anglii.

W ciągu ostatnich dwóch lat Gedeon poczynił spostrzeżenie, które było wręcz odurzające: „Żadna władza już nam się nie sprzeciwi”. Jedyną władzą pozostałą w kraju była armia Cromwella. Zdyscyplinowana, zjednoczona, mogła być narzędziem do narzucania jego woli. Król w więzieniu, parlament osłabiony – „święci” mieli okazję, ale też i obowiązek, aby ukształtować stary kraj na nowo, zgodnie z nowym wzorem.

Ale jak ten nowy wzór miał wyglądać? Gedeon nie był tego do końca pewien.

Na początku wojny domowej mówił tak jak inni okrągłogłowi: parlament musi wziąć króla w cugle, a biskupi muszą odejść. Kościół prezbiteriański – może nie w swojej surowej szkockiej odmianie – też wyglądał pociągająco. Jednak im dłużej trwała wojna, a wspólnota cromwellowskiej armii pogłębiała ich moralny zapał, on i inni „święci” zaczęli wyobrażać sobie jeszcze jaśniejszą, jeszcze lepszą przyszłość. Nowy świat w miejscu starego. Często wracał do listów, które przysyłała Martha. Opisy wolnego od biskupów Massachusetts były dla niego wielką inspiracją: tamtejsze kongregacje wybierały nie tylko pastorów, ale także gubernatorów i sędziów pokoju, nie wolno było podnosić podatków bez zgody społeczności, a ludzie żyli zgodnie z surowym biblijnym prawem.

Gedeonowi wydawało się, że kolonia Massachusetts jest już bardzo bliska Królestwa Bożego, świetlistego miasta na górze.

Niektórzy „święci”, nazywający się lewellerami, posuwali się jeszcze dalej: chcieli powszechnych wyborów, a nawet zniesienia własności prywatnej. Cromwell był temu przeciwny, podobnie jak Martha, czemu dawała wyraz w swoich listach.

Może myliła się w niektórych sprawach, ale przez te wszystkie lata była dla niego jak latarnia morska niezłomnie święcąca nad oceanem. Jakże żałował, że nie ma jej teraz u boku, bo po tym, co się jutro wydarzy, on i jego „święci” wkroczą do ziemi obiecanej.

Więc co powinien jej teraz napisać? Jak dużo powiedzieć? Zawahał się i mimo niespokojnego sumienia zaczął pisać.

A więc do tego doszło. Julius siedział samotnie w salonie na nocnym czuwaniu.

O świcie zamierzali zgładzić króla Karola. Po gorszącym procesie, który był kpiną z prawa i sprawiedliwości, okrągłogłowi chcieli zabić Bożego pomazańca.

Tej straszliwej nocy Julius Ducket znajdował tylko jedno małe pocieszenie: był lojalny.

– Dochowałem wiary do samego końca – mruknął.

I dużo przez to wycierpiał. Po aresztowaniu przez Gedeona trafił do więzienia wraz z trzydziestoma innymi prominentnymi obywatelami podejrzewanymi o sprzyjanie królowi. Gdy pytali o powody, usłyszeli w odpowiedzi: „Jesteście szkodliwi”, jakby byli jakąś zarazą na zdrowym ciele polityki. Przez pierwszy tydzień nikogo do nich nie dopuszczano. A gdy w końcu żona mogła go odwiedzić, przeżył kolejny wstrząs. Kiedy zaproponował, aby wyjechała z dziećmi do Bocton, powiedziała: „Do

Bocton? A więc nic nie wiesz. Wszystkie majątki »szkodników« zostały zajęte przez okrągłogłowych. Nawet nie wolno nam się do nich zbliżać”.

Był to bardzo przygnębiający okres. W pierwszych tygodniach Julius miał jeszcze nadzieję, że rojaliści zwyciężą. Przychodziły wieści: książę Rupert poprowadził kolejny zwycięski atak; wyszkolone w Londynie milicje nie otrzymały zapłaty i odmówiły walki. Ale cały czas więziono go jak zwykłego przestępcę. Dopiero po kilku miesiącach zabrano go do Guildhall i wprowadzono do sali, w której za stołem siedziało kilkunastu oficerów okrągłogłowych.

– Sir, możecie odejść wolno, ale ta wolność kosztuje – usłyszał.

– Ile?

– Dwadzieścia tysięcy funtów – padła chłodna odpowiedź.

– Dwadzieścia? To mnie zrujnuje! – zaprotestował. – Zostawcie mnie w więzieniu.

– Ale grzywnę i tak możemy nałożyć – zauważył jeden z oficerów.

I tak na początku 1644 roku sir Julius Ducket wrócił smutny do domu przy kościele St Mary-le-Bow, zastanawiając się, jak zacząć życie od nowa.

Z czego mieli się utrzymać? Grzywna pochłonęła niemal wszystkie jego zasoby. Żona miała trochę klejnotów. Dom też był spory, ale trudno byłoby go sprzedać, bo miasto żyło w stanie oblężenia. Rozglądał się za jakimś interesem, ale handel prawie zamarł. Minęły trzy ponure tygodnie, a on coraz częściej ostrzegał rodzinę: „Musimy bardzo uważać, żeby nie wydawać za dużo pieniędzy”. Przyszłość rysowała się w czarnych barwach.

I nagle, któregoś dnia w marcu, przypomniał sobie o pirackim skarbie.

Zszedł z lampą do ciemnej, pachnącej stęchlizną piwnicy. Ostatni raz widział skrzynię trzydzieści lat wcześniej. W tamtym miejscu stały teraz sterty najrozmaitszych rupieci, nie wiedział nawet, czy skrzynia gdzieś nie

zaginęła. Jednak po kilku chwilach sapnął z zadowoleniem. Jest! Pokryta kurzem, ale tak samo tajemnicza jak dawniej.

Zawahał się. Co to mu ojciec powiedział wiele lat temu? Że strzegłby skrzyni do upadłego. A dlaczego? Bo dał słowo. Święte słowo. Ale przecież to było przed trzydziestu laty. Pirat nigdy się nie pojawił. To niemożliwe, żeby jeszcze żył. I prawdopodobnie żadna rodzina nie zgłosi się już po skrzynię. Ten pirat był zwykłym morskim włóczęgą. A skrzynia nie należy już do nikogo. Ciekawe, co w niej jest. Pieniądze? Skradzione srebra? Mapa – uśmiechnął się do siebie – jakiejś odległej wyspy, na której ukryto skarb? Wziął młotek i dłuto i zabrał się do pracy. Skrzynia była krzepka, stare kłódki wciąż trzymały mocno. Ale w końcu udało mu się je rozerwać. Powoli podniósł skrzypiące wieko.

Aż wstrzymał oddech. Skrzynia była pełna najrozmaitszych monet, złotych i srebrnych, angielskich szylingów, hiszpańskich dublonów, ciężkich talarów z Niderlandów. Wiele monet miało ponad pięćdziesiąt lat, pochodziły z czasów Wielkiej Armady i królowej Elżbiety, ale wybito je z porządnego kruszcu. Ileż to może być warte? Wiele tysięcy funtów. Cały majątek. Był uratowany.

Od tej pory sir Julius Ducket powoli wracał do życia. Był ostrożny: przełożył monety do dwudziestu worków i każdy ukrył w osobnym miejscu. Nikomu nie powiedział o skarbie, nawet dzieciom. Wspomniał jedynie, że znalazł trochę gotówki, dzięki czemu udało mu się dokonać kilku korzystnych transakcji. Niewielkie zyski uzupełniał monetami ze skarbu. Żyli więc spokojnie, nie przyciągając uwagi sąsiadów. Płacąc którąś ze starych monet, rzucał swobodnie: „Dostałem ją jeszcze od ojca”, więc w Londynie mówiono: „Biedny Ducket jest bankrutem. Wyciąga już z kątów ostatnie zapasy”.

Mimo to musiał być ostrożny. W Londynie mieszkało wielu rojalistów takich jak on. Oni też z pewnością byli obserwowani. Podejrzewał, że Gedeon zna każdy jego krok. Często wystawał przy straganach na Cheapside, patrząc, kto zbliża się do jego domu. Ale Juliusowi udawało się go przechytrzyć. A któregoś dnia, pod koniec wiosny, wyjechał nawet z miasta w ważnej misji.

Julius wciąż nie otrząsnął się po śmierci brata, a do tego miał lekkie wyrzuty sumienia, wydając pieniądze, które tak naprawdę nie należały do niego, więc sekretna wyprawa na królewski dwór w Oksfordzie podniosła go na duchu. Wyjechali z Londynu wczesnym rankiem, on i dwóch zaufanych mężczyzn. Byli ubrani jak okrągłogłowi. Przejechali w tych strojach ponad trzydzieści kilometrów. W odzieniu mieli zaszyte złote monety pochodzące ze skarbu Juliusa, razem prawie tysiąc funtów. Następnego dnia wieczorem stanęli przy murach otaczających stare uniwersyteckie miasto. A po dwóch dniach Julius osobiście przekazał pieniądze królowi.

– Wierny sir Julius. – To była chwila jego największej dumy. – Możemy cię zaliczyć do grona naszych najbardziej lojalnych przyjaciół.

– Gotów jestem walczyć za waszą wysokość – zapewnił. – Ale słabo władam bronią.

– Wolelibyśmy, żebyś pozostał w Londynie – odparł król. – Będziemy tam potrzebować oddanych przyjaciół.

Przez ponad pół godziny monarcha chodził z nim wokół czworokątnego dziedzińca, wypytując, co się dzieje w mieście i jak jest przygotowane do obrony. A potem przyznał w zaufaniu:

– Wielu życzliwych mi ludzi uważa, że powinienem pójść na ustępstwa w kwestii sumienia. Ale tego właśnie nie wolno mi uczynić. Mam swój święty obowiązek do spełnienia.

Jednak najbardziej zapadły Juliusowi w sercu ostatnie słowa Karola, wygłoszone na pożegnanie:

– Nikt nie wie, jak się los potoczy – powiedział cicho król. – Wszystko jest w rękach Boga. Ale gdyby przytrafiło mi się jakieś nieszczęście, to pamiętaj, że mam dwóch synów, dwóch następców królewskiej krwi. Czy gotów jesteś dochować im takiej wierności jak mnie?

– Wasza wysokość nawet nie musi o to pytać – odparł Julius wzruszony. – Daję słowo.

– Twoje słowo ma dla mnie szczególną wartość, sir. Dziękuję.

Juliusowi nie udało się ponownie wyjechać do Oksfordu, bo wszystkie drogi wyjazdowe były obserwowane. Lecz od tamtego dnia czuł w sobie wewnętrzną siłę. Może i życie w Londynie płynęło szaro i monotonnie, ale on miał przed sobą cel. „Dałem królowi słowo”, przypominał rodzinie.

Jednak wydarzenia kolejnych lat wystawiły go na ciężką próbę. Na początku 1645 roku okrągłogłowi dokonali egzekucji arcybiskupa Lauda. Pokazali, do czego mogą się posunąć. Gdy Cromwell wygrał wojnę, a Karol trafił do więzienia, Julius wciąż miał nadzieję, że uda się osiągnąć porozumienie. Udzielił nawet rady królewskim wysłannikom, którzy zjawili się kiedyś potajemnie w jego domu: „Jeśli król poświęci biskupów, to parlament i londyńczycy na pewno pójdą na kompromis”. Nie zdziwił się jednak, że król nie chce się ugiąć. Pamiętał jego słowa: „Mam święty obowiązek do spełnienia”. Negocjacje ciągnęły się w nieskończoność i Julius powoli tracił nadzieję, że przyniosą jakieś rozwiązanie.

To, co wydarzyło się w ciągu ostatnich dwóch miesięcy, przekraczało wszelkie wyobrażenia. Pride dokonał czystki w parlamencie, pokazując tym bezwzględną siłę armii. A potem wojskowi poczynali już sobie bez najmniejszej litości. W styczniu przeniesiono króla do Westminsteru i wytoczono mu proces. „To kpina, a nie proces”, mówił Julius. Kilku

rajców odmówiło udziału w sądzeniu monarchy. Jak można się było spodziewać, Karol nie uznał władzy tego sądu. Zwłaszcza że po usunięciu większości posłów przez armię nie można go było nawet nazwać sądem wyłonionym przez parlament. Skutek był taki, że zarówno pierwszego, jak i drugiego dnia króla wyprowadzono z sali rozpraw. „Proces odbył się właściwie pod jego nieobecność”, zauważył Julius. A trzeciego dnia poplecznicy armii, którzy uparcie nazywali króla „Karolem Stuartem, mającym krew na rękach”, samowolnie skazali swojego władcę na śmierć. „Zgładziliśmy arcybiskupa – mówili. – Teraz, gdy skazaliśmy Karola, nasze dzieło jest skończone”.

A więc do tego doszło. Rano, gdy zblednie zimne światło gwiazd, zabiją króla. Dotąd nigdy nikt się na to nie poważył. Myślą, że w ten sposób zmienią świat? „Nie zmienią”, przysiągł sobie sir Julius Ducket w godzinach nocnego czuwania.

Dziwny przybysz mieszkał w gospodzie „U George’a” już czwartą noc. Był żylastym wilkiem morskim, ale nie sprawiał kłopotów, zajmował się swoimi sprawami. Wychodził rano i wracał o zmierzchu. Nikt nie wiedział, co go sprowadziło do Londynu, ale przyznał karczmarzowi, że jest w mieście po raz pierwszy. I był bardzo zajęty. Gdy karczmarz spytał, czy będzie oglądał egzekucję króla następnego ranka, pokręcił głową ze słowami:

– Nie mam czasu.

Do odpłynięcia statku zostały tylko trzy dni.

Od dnia, w którym bosman otrzymał od Czarnego Barnikela dziwną misję, minęło dwadzieścia lat. Przez ten czas mężczyzna był odpowiedzialny za wypełnienie ostatniej woli pirata. Nie zważał na upływ czasu. Poproszono go, żeby dostarczył dokument do adresatki, więc zamierzał dotrzymać słowa. Dopiero po trzech latach mógł się rozpytać

w Wirginii, ale wtedy niczego się nie dowiedział. Traf chciał, że rok później zatrzymał się na dziesięć dni w Jamestown. Tym razem los się do niego uśmiechnął. Ktoś przypomniał sobie opisywaną przez niego kobietę. Wyszła za mąż za Wheelera. Opuszczając Jamestown, bosman był niemal pewien, że Jane i wdowa Wheeler to ta sama osoba. Powiedziano mu, że wróciła do Anglii. „Mówiła, że pochodzi z Londynu", przypomniał sobie któryś z farmerów. Dziesięć lat wcześniej bosman szukał jej w Plymouth, gdzie zacumował jego statek; pięć lat temu w Southampton. A teraz w Londynie.

Poczynał sobie cierpliwie i metodycznie. Chodził od parafii do parafii i pytał duchownych, czy nie słyszeli o wdowie Wheeler. Na razie bez skutku. Ale może jutro będzie miał więcej szczęścia. Zamierzał pójść do Cheapside, do kościoła St Mary-le-Bow i do Świętego Wawrzyńca.

Poranek był mroźny, ale przed Whitehall zebrał się spory tłum. Mijały godziny, lecz nic się nie działo. Na wprost pięknej sali bankietowej Iniga Jonesa, lśniącej bielą nawet w bladym styczniowym świetle, ustawiono drewniany podest. Wokół niego trzymali straż żołnierze okrągłogłowych, ubrani w ciężkie, skórzane tuniki i mocne buty. Już dwa razy przybywały posiłki uzbrojone w piki, żeby okiełznać napierający tłum.

Co ci ludzie myślą?, zastanawiał się Julius. Wszyscy są takimi surowymi purytanami jak Gedeon? Niektórzy może tak, ale większość to zwykli gapie. Barwny tłum – dżentelmeni, prawnicy, przekupki, terminatorzy. Co czują? Przyszli jedynie dla rozrywki? Czekając w zimnie przed pałacem, sprawiali wrażenie przygnębionych. Pomyślał o sali bankietowej i jej suficie z malowidłami Rubensa. Przedstawiały ojca króla, Jakuba, unoszonego do nieba – wiele wspaniałych dzieł sztuki miało nieco absurdalną inspirację. Co teraz?, myślał Julius. Czy dwór, ten cywilizowany, europejski świat króla i jego przyjaciół, zostanie zniszczony

przez bezwzględnych, zawziętych purytanów i ich okrutnego Boga? Czy król czeka teraz w sali? Czy pozwolono mu po raz ostatni spojrzeć na piękno, które stworzył? Tłum był coraz liczniejszy, wypełniał cały dziedziniec Whitehall. Pojawili się żołnierze na koniach, otoczyli podest. Zawarczały werble. Otworzyło się górne okno sali bankietowej. A po chwili wyszedł z niej Karol I, król Anglii.

Dziwne. Julius spodziewał się, że tłum zawyje, że rozlegną się szydercze okrzyki. Ale panowała nieziemska cisza. Za królem szedł duchowny w długiej szacie, kilku pisarczyków i innych członków purytańskiego stronnictwa. A na samym końcu pojawił się kat w czarnej masce i z toporem w dłoniach.

Zgodnie ze zwyczajem każdy skazaniec mógł przemówić do tłumu. Pozwolono też na to Karolowi Stuartowi. Trzymając w dłoni kartkę, król zaczął mówić. Ani na chwilę nie stracił godności. Juliusowi przypomniał się dzień w Greenwich. Zauważył w królu ten sam spokój, to samo opanowanie. Zwrócił się do gawiedzi, która przyszła obejrzeć jego egzekucję, jakby byli wśród niej ambasadorowie.

Co on mówi? Pisarczykowie na podeście notowali słowa, ale ze swojego miejsca Julius niewiele słyszał. Dobiegały go tylko pojedyncze zdania. To parlament, mówił król, wszczął spór o przywileje. Obowiązkiem monarchów jest przestrzeganie prawa, od którego zależy wolność ludu. Za nimi stoi dziś jedynie siła oręża. I bez względu na swoje przewiny „to ja jestem męczennikiem ludu!”, krzyknął król. „I chrześcijaninem wiernym Kościołowi anglikańskiemu, który przekazał mi mój ojciec”.

Skończył. Zdjęli mu pelerynę i kamizelkę, został jedynie w białej koszuli i bryczesach. Wcisnęli mu włosy pod czapkę, żeby nie osłabiły uderzenia, i poprowadzili do drewnianego pnia. Król ukląkł w przeraźliwej ciszy,

powiódł wzrokiem po twarzach i napotkał spojrzenie Juliusa. Przez krótką chwilę patrzyli sobie w oczy.

Juliusowi wydawało się, że w tych smutnych oczach osadzonych w szlachetnej, królewskiej twarzy kryje się pytanie. O, nie, nie zapomniał przysięgi złożonej w Oksfordzie ani słów króla – „gdyby przytrafiło mi się jakieś nieszczęście" – jakże tragicznych, jakże proroczych. Patrząc Karolowi prosto w oczy, skinął lekko głową. Znaczenie tego gestu było oczywiste. „Dałem słowo". W godzinie śmierci król Karol mógł być pewien, że on, Ducket, choćby jako jedyny w tym tłumie, dochowa wierności jego synom. W spojrzeniu monarchy pojawiło się coś w rodzaju wdzięczności.

Nawet najzagorzalsi wrogowie musieli przyznać, że Karol I, król Anglii, przyjął śmierć z godnością. Topór kata wykonał jedno czyste uderzenie, a tłum wydał z siebie przeciągły jęk, jakby nagle wszyscy pojęli potworność tego czynu. I gdy kat uniósł w górę odciętą głowę, zapewne nie tylko sir Julius Ducket wypowiedział cicho słowa: „Król umarł, niech żyje król".

Dwa dni później Jane Wheeler złożyła wizytę sir Juliusowi Ducketowi. Dokument, który mu pokazała, nie pozostawiał wątpliwości. Oto pewien kapitan nazwiskiem Orlando Barnikel zostawił jego ojcu na przechowanie skrzynię ze skarbem. Rajca Ducket miał być jej strażnikiem. Dokument zawierał nawet dokładny opis skrzyni. Nie było mowy o żadnej pomyłce. Julius patrzył w osłupieniu na Jane, nie wiedząc, co robić.

Czy skrzynia z wyłamanymi kłódkami wciąż leży w piwnicy? Nie pamiętał. A skarb? Została jeszcze połowa, lecz czasy wciąż były niepewne, więc nie wiadomo, ile jeszcze będzie mu potrzebne. A gdyby dał jej część pieniędzy, mówiąc, że resztę wyjął ze skrzyni i schował w bardziej bezpiecznym miejscu? Czy Jane da wiarę jego słowom? Obawiał się, że

nie. A to mogłoby wzbudzić niepotrzebną ciekawość. Ludzie zaczęliby gadać, że te wszystkie stare monety należały do kapitana, a nie do jego ojca. I uznaliby go za oszusta.

Właśnie, kapitan! Doskonale wiedział, kim był człowiek, który zostawił skarb tej niby szanowanej wdowie. Kapitan był czarnoskórym piratem. Przecież te pieniądze pochodziły z grabieży. Jednak gdyby się z tym zdradził, tym samym przyznałby, że sprawa jest mu znana. Ale dlaczego ta kobieta, przyjaciółka Doggeta i przeklętych Carpenterów, miałaby wziąć pieniądze, na które tacy ludzie żadną miarą nie zasługują, a które mogłyby przysłużyć się sprawie rojalistów? Z pewnością Bóg nie miał takich zamiarów. Czyż on sam nie słyszał od najmłodszych lat, że Ducketowie zostali wybrani przez Boga do wypełniania Jego woli, a ci ludzie są przeklęci? Czyżby Ojciec Niebieski teraz im dał pierwszeństwo? Nie, to byłoby niesprawiedliwe. Julius Ducket ponuro pokręcił głową.

– Obawiam się, pani Wheeler, że ten dokument jest sfałszowany. Sprawdzę księgi ojca. Jeśli odnajdę skrzynię, to oczywiście przekażę ją pani. Muszę jednak przyznać, że nigdy nie widziałem jej na oczy. Chyba że – dorzucił w nagłym olśnieniu – skrzynia jest w Bocton. Ale wtedy musiałaby się pani zwrócić do okrągłogłowych.

Jane przyglądała mu się uważnie.

– Kłamiesz – powiedziała spokojnie.

Oburzony Julius kazał jej wyjść.

– Nikt nigdy nie odważył się nazwać mnie kłamcą! – oznajmił.

Ale w nocy, gdy cały dom spał, zszedł do piwnicy. Odnalazł skrzynię, porąbał ją i spalił w kominku, a metalowe części wyjął z popiołu i jeszcze przed świtem zakopał w ogrodzie. Miał nadzieję, że na tym sprawa się zakończy.

Mylił się. Jane zjawiła się u niego tydzień później.

– Gedeon kazał przeszukać Bocton – powiedziała. – Skrzyni nigdy tam nie było. Co z nią zrobiłeś? – Jego zapewnienia, że nic więcej nie wie, wywołały jedynie gniewne parsknięcie. – Ja się nie poddam – ostrzegła.

I nie poddawała się, nagabywała go bez przerwy. Wynajęła prawnika. Chciała przeszukać jego dom, ale odmówił z oburzeniem. Minął rok. A potem następny. Jane nie ustępowała.

Rok 1652

Martha była wdzięczna, że Bóg pozwolił jej szczęśliwie wrócić do ojczyzny. Jak dobrze było przywitać się z Gedeonem i jego rodziną, z kochaną panią Wheeler, no i oczywiście z mężem. Żałowała, że mimo naglących listów od Gedeona nie wróciła wcześniej. Ale najważniejsze, że nareszcie, tak jak zapewniał ją Gedeon, w Anglii – i to nawet prędzej niż w Massachusetts – mogło się spełnić największe marzenie jej życia.

Prawdę powiedziawszy, Massachusetts nieco Marthę rozczarowało. Będąc tam, nie umiała się do tego przyznać. Ale jak zwierzyła się pani Wheeler, „w Nowej Anglii niektórzy wracali na złą drogę”. Nawet w Bostonie i Plymouth. A gdy Jane spytała, jakaż to pokusa sprowadziła kolonię ze ścieżki prawości i cnotliwości, Martha przyznała bez wahania: „Dorsze. To ryby oddaliły ludzi od Pana Boga”.

Połowy u wybrzeży Nowej Anglii były tak obfite, że przekraczały nawet najśmielsze wyobrażenia osadników. „Ryb jest tyle, że można wręcz chodzić po wodzie”, mówili. Co roku rybacy z Massachusetts wysyłali do Anglii blisko pół miliona beczek dorszy. „Bóg dał im taką dostatniość, że uznali, że już Go nie potrzebują – ubolewała Martha. – Zaczęli gromadzić bogactwa doczesne, zamiast myśleć o skarbie niebieskim”. Osadnicy na wybrzeżu bogacili się, farmerzy i traperzy rościli sobie prawa do coraz większych połaci ziemi, a to podstępnie odmieniało ich serca i wkrótce nie

było w kolonii kościoła, w którym nie pojawiłoby się zło. „Mówią o Bogu, a myślą o pieniądzach”, przyznała Martha ze smutkiem. Niektórzy rybacy wręcz przestali myśleć o Bogu. Martha dotąd miała w pamięci ten straszliwy dzień, gdy starszy syn Doggeta, który był teraz majętnym kapitanem statku, naskoczył na nią, krzycząc: „Do diabła, kobieto, przyjechałem tu, żeby łowić ryby, a nie żeby się modlić!”.

Nie było w tym winy gubernatora Winthropa, nie było w tym winy wielu dobrych kobiet i mężczyzn, ale stopniowo cechą kolonii Massachusetts stawała się dwoistość: od tej chwili w Nowej Anglii, tej ziemi obiecanej, protestantyzm i pieniądze szły razem ręka w rękę.

Naglące listy, które Gedeon zaczął jej przysyłać trzy lata wcześniej, zbiegły się z jej rozterkami. A po śmierci króla Gedeon obiecał jej, że „święci” Cromwella zbudują nowy porządek zgodny z jej pragnieniami. „Jesteś nam potrzebna – pisał. – A twój mąż bardzo potrzebuje twojego moralnego przewodnictwa”. Mimo to wahała się półtora roku. Wreszcie, po długich modlitwach, postanowiła wracać. Przywiozła ze sobą młodszego syna Doggeta, który nie otrzymał obywatelstwa Massachusetts, i córkę. Obawiała się, że dziewczynę skusi propozycja małżeństwa z człowiekiem, który choć podobno pobożny, nie był – jak zapewniała matka – pobożny wystarczająco.

Przyjechała do zupełnie innej Anglii. Po straceniu króla zmieniono ustrój. Zniesiono Izbę Lordów. Anglia nie była już królestwem, lecz Commonwealthem – wspólnotą rządzoną przez Izbę Gmin. Wydawało się, że nowego porządku nic już nie naruszy. Cromwell z każdym rokiem rósł w siłę. Gdy starszy syn skazanego na śmierć króla próbował wkroczyć do Anglii na czele szkockich wojsk, poniósł sromotną klęskę. Zamieszkał na obczyźnie. Cromwell zgniótł też bunt Irlandczyków i całkowicie ich sobie podporządkował. Mówiono, że przelał przy tym morze irlandzkiej krwi.

„Irlandczycy to papiści – mówiła Martha. – Więc może nie dało się inaczej”. Nawet lewellerzy w jego własnej armii zostali przywołani do porządku. Anglia była gotowa na przyjęcie praw Bożych.

Oczywiście wymagało to wiele wysiłku. Świetlistego miasta nie da się zbudować w jeden dzień. Martha patrzyła ze smutkiem, jak z powodu jedynej wady Cromwella, tolerancji religijnej, niektórym londyńskim parafiom brakuje właściwego przewodnictwa. „Wielu ludzi z równym zadowoleniem służyłoby biskupom, zgromadzeniu prezbiterian, jak i każdej innej władzy”, stwierdziła zgryźliwie. Ludzie nie zachowywali się też tak świątobliwie, jak by tego sobie życzyła. W mieście tak dużym jak Londyn trudno było zaprowadzić idealny porządek. Ale liczyło się to, czy społeczeństwo będzie zmierzało ku coraz wyższym standardom moralnym, czy będzie coraz lepsze, czy coraz gorsze.

Zaskoczyły ją „rządy świętych”. W całej swojej historii miasto nie widziało czegoś takiego. Zmiany – jak to zwykle bywa – wprowadzała najbardziej aktywna mniejszość, ale spotykały się one z szerokim poparciem. Londyńczycy ubierali się tak skromnie, że czasem miała wrażenie, że jest na ulicach Bostonu. W święta przestrzegano wszystkich zakazów: nie uprawiano żadnych sportów, nawet spacery, z wyjątkiem wyjść do kościoła, spotykały się z potępieniem. Moralności pilnowały też sądy – za poważne wykroczenia przeciwko obyczajności groziły surowe kary, za mniejsze wyznaczano grzywny. Tuż przed jej przyjazdem jej własny mąż musiał zapłacić szylinga za bluźniercze przekleństwo. „Słusznie cię upomniano, mój drogi”, stwierdziła z zadowoleniem. Ale najbardziej ucieszyło ją, że teatry, zamknięte na początku wojny domowej, zostały zabite deskami. Wydano zakaz ich ponownego otwarcia. „Koniec z teatrami – powiedziała z uśmiechem. – Chwała niech będzie Panu”.

I jakie to szczęście, myślała z pokorą, że jej rodzina wiedzie takie spokojne, pobożne życie. Dzieci Gedeona były już na swoim – nawet Perseverance znalazła porządnego, choć nieco milczącego męża. O Be Joyful, z jego poważnym, łagodnym charakterem, był dla niej największą pociechą. „Będziesz dobrym snycerzem – mówiła – bo będziesz obrabiał drewno dla Boga”.

Zastanawiał ją jedynie stan ducha męża. Gedeon tak często pisał jej, że Dogget potrzebuje moralnego przewodnictwa, że dzień po powrocie zapytała go, co miał na myśli. Jednak był dziwnie zakłopotany i nie umiał wyrazić się jasno. „On pije? – dopytywała. – A może przeklina?”. Wiedziała, że Dogget nie miał tak silnej woli jak ona, ale nie był złym człowiekiem. „Powinniśmy okazać mu współczucie i odpuścić przewiny. To nasz słabszy brat – przypomniała Gedeonowi. – Wszystko będzie dobrze, zobaczysz”.

Powtarzała sobie, że jej obowiązkiem jest nie tylko kochać Doggeta, ale także mu pomóc. Pierwszej wspólnej nocy objął ją ramieniem, co uznała za właściwe. Jednak gdy kolejnej nocy jego dłonie zaczęły błądzić po jej ciele, napomniała go łagodnie, choć stanowczo: „Takie rzeczy służą jedynie płodzeniu dzieci. Teraz Bóg nie daje nam już tego powodu”. Ucieszyło ją, że posłusznie się temu podporządkował.

Na szczęście dzięki pani Wheeler mogła się go czasem pozbyć. Cóż z niej za mądra, rozsądna kobieta! Nie pochwalała jej sporu z sir Juliusem Ducketem – czuła się w obowiązku wypomnieć jej, że za dużo myśli o pieniądzach – jednak bez wątpienia wina leżała po stronie Juliusa, który powinien się ze wszystkiego wytłumaczyć. Dlatego nie ganiła wdowy zbyt często, za to mówiła do Doggeta: „Może byś zajrzał do pani Wheeler na chwilę?”.

Gdyby Jane kierowała się radami Mereditha, już dawno dałaby za wygraną. „Prędzej czy później wyjdzie na jaw, że Barnikel był czarnym i do tego piratem – ostrzegał ją. – A wtedy twoja reputacja będzie zszargana i nawet okrągłogłowi uwierzą sir Juliusowi”. Jednak Jane była pewna, że Julius kłamie. Sama doszła do wszystkiego w życiu i nie mogła ścierpieć myśli, że ktoś chce ją oszukać. „I co z tego – odpowiadała Meredithowi. – Ja chcę tylko swoje pieniądze”.

Tak naprawdę była bezradna. Bez skrupułów nękała go za każdym razem, gdy spotkała go na ulicy. „Co zrobiłeś z moimi pieniędzmi?!”, wykrzykiwała. Jej prawnicy pisali do niego listy, lecz bez rezultatu, a on ją zwyczajnie ignorował. W grudniu zobaczyła żonę baroneta kupującą mięso na targu. I nagle przyszedł jej do głowy genialny pomysł. Był to strzał w ciemno, ale uznała, że warto spróbować. Potrzebowała do tego pomocy, na szczęście wiedziała, do kogo się zwrócić. Poszła odwiedzić Marthę.

Wciąż nie mogła uwierzyć, że ta pobożna purytanka nie zorientowała się, że jej mąż ma romans. Choć w ich wieku, pomyślała z uśmiechem, trudno było nazwać ten związek zakazaną namiętnością. Ściśle biorąc, była to raczej zdrada przyjaźni łączącej ją z Marthą, ale Jane nigdy nie czuła z tego powodu wyrzutów sumienia. Przecież przez tyle lat małżonkowie żyli o tysiące kilometrów od siebie. W oczach Jane ten romans był co najwyżej aktem sympatii wobec samotnego mężczyzny. Przypuszczała, że po powrocie Marthy wszystko się skończy, ale Dogget, po kilku dniach mieszkania z żoną, powiedział ze smutkiem: „Ona mówi, że jesteśmy już na to za starzy. I Bóg by tego nie pochwalał”. Jane roześmiała się i pocałowała go. „No i co my zrobimy?”, spytała wesoło.

Czasem nawet podejrzewała, że Martha tylko udaje nieświadomość. Sama nie potrzebuje mężczyzny, myślała Jane, więc woli mieć spokój od męża. Jednak Martha była osobą wyjątkowo szczerą, więc Jane uznała, że

niczego nie podejrzewa, bo w ogóle nie zaprząta sobie tym głowy. I tak romans trwał. Zauważyła, że Dogget się starzeje. Daję mu chęć do życia i czułość, myślała. A ona? Dostawała to samo od niego.

Spotykali się w niedzielne popołudnia. Martha szła z resztą rodziny na nabożeństwo do kościoła Świętego Wawrzyńca, a czasem chodziła też słuchać kazań gdzieś dalej. Nie przeszkadzało jej, że Dogget nie chce jej towarzyszyć. A on szedł do Jane Wheeler i spędzał u niej parę godzin. I nawet gdy wspominał o tym niedbale w domu, Martha niczego nie podejrzewała.

Dlatego Jane była pewna, że Martha chętnie zgodzi się na jej plan.„Masz rację – stwierdziła pani Dogget. – Należy działać. Porozmawiam z Gedeonem”.

Dwudziestego piątego grudnia 1652 roku sir Julius Ducket zasiadł z rodziną do stołu w dużym salonie wyłożonym boazerią. Wszyscy uśmiechali się konspiracyjnie, bo za chwilę mieli popełnić przestępstwo.

Najpierw jednak, jak zawsze przed posiłkiem, sir Julius sięgnął w nabożnym skupieniu po książeczkę. W każde święta odczytywał z niej jakiś fragment, przypominając bliskim o ciążącym na nich obowiązku.

Ten niepozorny tomik dawał im natchnienie. Jego wzięty z greki tytuł *Eikon Basilike* oznaczał „Królewski wizerunek”. Książka – jak powszechnie sądzono – była zbiorem modlitw i przemyśleń króla męczennika i w ciągu trzech miesięcy od śmierci Karola doczekała się trzydziestu wydań. Okrągłogłowi chcieli ją ocenzurować. Potem zatrudnili wielkiego purytańskiego poetę Johna Miltona, aby napisał polemiczny tekst. Ale nie przyniosło to żadnych skutków. Nawet ludzie, którzy wspierali parlament, ale krzywo patrzyli na rzędy Cromwella, po lekturze książki, w której znajdowali jedynie łagodność i pobożność, zaczynali się zastanawiać nad słusznością egzekucji.

Dla Ducketa i jego rodziny książka była małą Biblią, a król świętym męczennikiem. Sir Julius przeczytał kilka stron i odłożył tomik na bok.

– Naszym prawdziwym królem jest Karol II – przypomniał rodzinie. – A gdyby on umarł, to następcą jest jego brat Jakub. Pamiętajcie, że dałem słowo. – Teraz mogli zacząć świąteczny obiad.

Nie usłyszeli, jak żołnierze podeszli pod dom, a potem wkroczyli na dziedziniec. Byli całkowicie zaskoczeni, gdy drzwi do salonu otworzyły się z hukiem i przy stole stanął Gedeon z czterema żołnierzami.

– Sir, odpowiecie za to przed sędzią pokoju – oznajmił.

Jednak przestępstwem baroneta nie było ani czytanie książki, którą udało mu się w ostatniej chwili wsunąć do kieszeni, ani słowa o królu. Przestępstwem sir Juliusa Ducketa i jego rodziny był bożonarodzeniowy obiad.

Jedno z wielu ulepszeń wprowadzonych przez „świętych". „Największe święta mają być tak jak szabat czasem poważnej modlitwy, a nie pogańskich obchodów", ogłosili. Anglicy mają zbliżyć się do Boga. Każdy, kto w roku Pańskim 1652 został przyłapany na jedzeniu świątecznego obiadu, stawał przed sądem.

– Sprofanowałeś dzień święty – powiedział z pogardą Gedeon. I rozkazał żołnierzom: – Przeszukać dom.

– Jak to przeszukać dom? Z jakiego powodu? – zaprotestował Julius.

– Zabobonne obrazy. Dowody papizmu – oświadczył spokojnie Gedeon.

Julius był bezradny. Przez pół godziny okrągłogłowi chodzili od pokoju do pokoju, zaglądali do szafek, kufrów, pod sienniki. Przeszukali nawet piwnicę, ale niczego nie znaleźli. Julius nie czuł strachu. Za zjedzenie bożonarodzeniowego obiadu „szkodnicy" dostawali niewielką grzywnę. Oburzony takim naruszeniem domowego spokoju, chodził za żołnierzami, rzucając pogardliwie do Gedeona:

– Muszę dopilnować, żeby niczego nie ukradli.

Był akurat w izbie na górze, gdy przez okno zobaczył dwie kobiety. Martha i Jane wyczekiwały niecierpliwie przy bramie. Obecność Marthy była zrozumiała. Ale Jane? Co ją obchodzą religijne przewinienia? I nagle zrozumiał. Odwrócił się do Gedeona z krzykiem:

– Wcale nie szukacie obrazów! Szukacie pieniędzy wdowy Wheeler.

Gedeon się zaczerwienił.

Jane wpadła na ten pomysł, gdy zobaczyła, jak żona Juliusa kupuje na targu duży kawał wołowiny. Domyśliła się, że planują świąteczny obiad. Co za doskonały pretekst! Resztą zajęła się Martha.

Zaraz potem Gedeon skończył przeszukanie, ale gdy zeszli na podwórze, Jane już znikła. Przy bramie stała jedynie Martha. Nie panując nad swoim wzburzeniem, Julius wypowiedział pełne okrucieństwa słowa:

– Dobra z ciebie przyjaciółka, Martho. Pomagasz swojej znajomej szukać skarbu i pozwalasz też, żeby sypiała z twoim mężem. – Odwrócił się na pięcie i wszedł do domu.

Martha popatrzyła za nim w osłupieniu. A potem zmarszczyła brwi i spojrzała na Gedeona. Był blady jak ściana.

W purytańskim Londynie było wiele okazji, aby zachęcić ludzi do pobożności i wzmocnić ich wiarę. Ale w 1653 roku nic nie mogło się równać z kazaniami, które stały się znane jako ostatnie kazania Mereditha.

Jego też dopadł upływ czasu. Edmund miał już ponad osiemdziesiąt lat i wreszcie zaczynał wyglądać w sam raz na swój wiek. Po chorobie, którą przeszedł rok wcześniej, wychudł i zmizerniał tak bardzo, że ludzie aż wstrzymywali oddech na jego widok, jakby mieli przed sobą ducha. Edmund Meredith wiele razy ocierał się o śmierć. I umiał to wykorzystać.

Znalazł prosty sposób. Rządy „świętych” wywołały falę fanatyzmu religijnego, którego się obawiał i przed którym usiłował przestrzec Jane.

Ale doprowadziły też do tak wielkiego religijnego zamieszania, że nawet on nie umiał zdecydować, w której orkiestrze zagrać: purytanów, kwakrów czy jakiegoś innego wolnego zboru? Dlatego zrobił rzecz najprostszą z możliwych. Wzniósł się ponad wszelkie różnice. Jego wiek dodawał mu wiarygodności. Używał górnolotnego języka, a twarz zwracał ku niebu. Im bardziej natchnione były jego kazania, im bardziej rozpalały dusze wiernych, tym trudniej było stwierdzić, po czyjej stronie stoi. Ale też nikt na to nie zważał. Nawet najskromniejsze, najpobożniejsze purytanki, ubrane w czarne suknie i ciasno zawiązane czepki, omdlewały z zachwytu. Ich mężowie, w wysokich czarnych kapeluszach, łkali, gdy duch Mereditha wzlatywał na niebotyczną wysokość.

Edmund wchodził na ambonę z takim wysiłkiem, że zanim jeszcze zaczynał mówić, zaniepokojeni słuchacze wyciągali szyje, pożerając go wzrokiem. Już sam jego wygląd – siwe włosy zwisające do ramion, głęboko zapadnięte oczy – sprawiał, że panowała nabożna cisza. I zawsze poruszał temat śmierci.

Było ku temu wiele okazji. Podczas Wielkiego Postu mówił o śmierci i zmartwychwstaniu Chrystusa; w Adwencie – o śmierci pogańskiego świata i narodzinach ery Chrystusa. Ziarno śmierci dało się znaleźć we wszystkim. A ponieważ niedzielne kazania cieszyły się wielkim powodzeniem, Meredith – gdy tylko był w przedśmiertnym nastroju – odwoływał się do słów Ewangelii odczytywanej podczas wieczornego nabożeństwa: „Teraz, o, Panie, pozwól odejść słudze swemu w pokoju”. Patrząc ponad parafianami, kierował wzrok ku zachodniemu oknu świątyni, jakby ukazał mu się zastęp aniołów, i wołał: „Bo oto moje oczy ujrzały twoje zbawienie”.

O, tak, był gotowy. I wierni to widzieli. Gotowy i chętny. Mógł umrzeć w każdej chwili, podczas każdego kazania, na oczach swojej owczarni.

Dlatego w każdą niedzielę do kościoła przychodziły tłumy. Zapraszano go też do innych parafii. Jesienią poprzedniego roku wygłaszał kazania w kościele St Bride, w St Clement Danes, w St Margaret, w Westminsterze, a nawet w samej katedrze Świętego Pawła. I zawsze pamiętał, aby dodać odpowiednią dawkę potępienia, bez którego nie mogło się obyć żadne porządne purytańskie kazanie. „Powiedzcie mi, umiłowani bracia, gdybyście mieli odejść teraz ze mną… Jesteście gotowi?”. Zawieszał ze smutkiem głos, a potem wskazywał oskarżycielsko palcem. „Tak, czy każdy z was jego gotowy?”. Rozlegał się głośny jęk. Bo nigdy nie byli gotowi. Co pozwalało Edmundowi przejść wprost do ekscytującego zakończenia. Wznosząc się na palcach, jakby za chwilę rzeczywiście miał odlecieć, unosił w górę ramiona, z wysiłkiem wyciągał twarz ku niebu i wołał potężnym głosem, jakby to był ostatni, heroiczny paroksyzm jego życia: „Ale ten czas nadszedł teraz. Teraz Pan przychodzi z zastępem aniołów. Pan jest z nami. Pan chwyta moje serce, i wasze też. Pan tu jest. Teraz. Teraz!”.

Cofał się chwiejnie, a dwaj pomocnicy sprowadzali go z ambony i pomagali usiąść. Ostatnie kazania Mereditha były naprawdę wielkim wydarzeniem.

Dlatego Edmund zdziwił się nieco, gdy pewnego styczniowego popołudnia Martha i Gedeon wymknęli się z kościoła tuż przed rozpoczęciem kazania.

Jane i Dogget leżeli na łóżku. Nagle drzwi otworzyły się i stanęła w nich Martha.

Martha była skrupulatną kobietą. Nie potrzebowała dużo czasu, żeby wyciągnąć prawdę z Gedeona. Przyparty do muru, nie umiał kłamać.

– Właściwie to niczego nie wiem na pewno – wykręcał się. – Ale to możliwe.

– Nawet po moim powrocie?

– Chyba tak.

Teraz miała obok siebie Gedeona i jednego z sąsiadów. „Musimy mieć dowód”, tłumaczyła Gedeonowi. I dowód znalazła. Sąsiad był wstrząśnięty, Gedeon zażenowany. Martha zbladła, twarz jej stężała. Zobaczyła, co miała zobaczyć, i wyszła.

Meredith sposępniał, wysłuchawszy relacji Jane.

– Właśnie tego się obawiałem. Wiedziałem, skąd wiatr wieje, zanim jeszcze zabili króla. Purytanie zmienili wszystkie prawa… – Pokręcił ze smutkiem siwą głową. – Do diabła z tymi świętymi, ich moralizatorstwem i polowaniem na czarownice – mruknął. – A teraz oskarżą cię o cudzołóstwo.

– W moim wieku takie oskarżenie brzmi absurdalnie. – Jane wzruszyła ramionami.

– Zapominasz jednak, że karą za cudzołóstwo jest dziś śmierć – odpowiedział Meredith.

O Be Joyful siedział na skraju ławki. Wciąż nie mógł uwierzyć, że pani Wheeler i wujek Dogget, jak go nazywał, stoją przed sądem jak zwykli przestępcy. Ale jednak popełnili przestępstwo. Wszyscy już o tym wiedzieli. Nawet dzieci Doggeta uważały ojca za człowieka niegodziwego. Martha już o to zadbała.

Proces Jane i Doggeta odbywał się w Guildhall. Sala wypełniła się po brzegi. Publiczność, wśród której znaleźli się też pobożni purytanie, była nieco rozbawiona wiekiem oskarżonych. Jednak rozprawa bynajmniej nie była zabawą.

Przed surowym sędzią i ławą przysięgłych złożoną z dwunastu szanowanych obywateli stała kobieta w poważnym już wieku, która opuściła swojego męża na dziesięć lat, a teraz oskarżała inną, starszą od

niej kobietę o to, że dopuściła się z jej mężem czegoś, na co sama, prawdę powiedziawszy, nie miała ochoty. Dlaczego wniosła oskarżenie? Bo została ośmieszona. Bo zazdrościła im, że się kochają. Bo jej Bóg był mściwy.

Sędzia miał posępną minę. Wiedział, jaki zapadnie wyrok.

Dowody były niepodważalne. Poświadczyli je wiarygodni świadkowie. Oskarżeni, za radą prawnika, którego znalazł im Meredith, nie przyznali się do winy. Świadkowie, mówili, opacznie zrozumieli tę sytuację. Nie doszło do żadnego zbliżenia. Jednak nikt w sali sądowej nie wierzył w te wierutne kłamstwa. Rozprawa nie trwała długo. Wszyscy wiedzieli, jaka kara grozi za takie przestępstwo. W Londynie rządzonym przez „świętych" sprawcy nie mogli liczyć na miłosierdzie. Sędzia udzielił instrukcji ławie przysięgłych. Dwunastu uczciwych obywateli szybko uzgodniło wyrok. Zaledwie po paru minutach dali znak, że są gotowi. Przewodniczący stanął przed sędzią, aby odpowiedzieć na straszliwe pytanie:

– Jak brzmi wasz werdykt?

Głos przewodniczącego zabrzmiał donośnie:

– Niewinni, wysoki sądzie.

– Niewinni? – Martha wstała, trzęsąc się z gniewu. – Jak to? Przecież oni są winni!

– Cisza! – zagrzmiał sędzia. – Ława przysięgłych wydała wyrok. – Skinął głową w stronę Jane i Doggeta. – Możecie odejść wolni.

– To hańba! – krzyknęła Martha. Ale nikt jej nie słuchał.

Sędzia westchnął. Spodziewał się takiego wyroku. W swoim religijnym zapale „święci" wprowadzili surowe, starotestamentowe prawa, ale jedno przeoczyli: rozprawy nadal toczyły się przed angielską ławą przysięgłych. A zwykli obywatele nie stracili do końca człowieczeństwa. Myśl, że można powiesić dwoje ludzi za cudzołóstwo, kolidowała z ich poczuciem sprawiedliwości, nawet jeśli potępiali takie czyny. Dlatego uznali ich za

niewinnych. Spośród dwudziestu trzech znanych procesów, które odbyły się wówczas w Londynie, tylko jeden zakończył się skazaniem.

– Czy to znaczy, że są niewinni? – spytał O Be Joyful.

– Bynajmniej – odpowiedziała Martha ze złością.

A potem zrobiła wszystko, aby pomimo słabości ławy przysięgłych winnych dosięgła sprawiedliwa kara. Przynajmniej ze strony zboru. Meredith, jako pastor, musiał wziąć to zadanie na siebie.

– Nie możecie pozostać dłużej w parafii – tłumaczył Jane i Doggetowi. – Oni was tu nie chcą.

Szybko się o tym przekonali.

Życie Doggeta stało się po prostu nie do zniesienia. Jego młodsze dzieci prawie go nie znały, więc z czystego przyzwyczajenia podążały za Marthą. Nikt się do niego nie odzywał. Jane miała jeszcze gorzej. Gdy wychodziła z domu na ulicę, witały ją okrzyki: „Dziewka!”. Dostawca przestał jej przynosić drewno na opał. Woziwoda nie zatrzymywał się przed jej domem. Straganiarze na Cheapside ignorowali ją, gdy chciała coś kupić. A któregoś dnia ktoś namalował na jej drzwiach: LADACZNICA. Pod koniec miesiąca powiedziała ze smutkiem do Mereditha:

– Masz rację, musimy się stąd wynieść.

Był koniec stycznia, padał śnieg. Dogget już wcześniej wywiózł ich dobytek na wozie, a teraz wsiadł z Jane do łodzi odpływającej z Vintry. Ich celem była mała osada w pobliżu Westminsteru. Sto lat wcześniej mieli tutaj swoją enklawę francuscy kupcy korzystający z bliskości królewskich pałaców w Westminsterze i Whitehall i od tamtego czasu osadę nazywano Petit France, Małą Francją. Petit France była uważana za dzielnicę odmieńców i nieudaczników, jednak od niedawna przenosili się tutaj różni pisarze, między innymi John Milton. „W Petit France Martha i jej

przyjaciele nie będą was nachodzić – doradzał im Meredith. – Będziecie mogli żyć w spokoju”.

Rok 1660

W całej Anglii nie było chyba człowieka bardziej oddanego przebywającym na wygnaniu Stuartom niż sir Julius Ducket. Jednak dopóki Anglią rządzili „święci” z Oliverem Cromwellem, rojaliści niewiele mogli zdziałać. Dlatego Julius dużo czytał i rozmyślał. Dwa razy przeczytał całą Biblię i uznał ją za najlepszą księgę, jaka została kiedykolwiek napisana. Czytał klasyków, studiował historię Anglii i robił zapiski o ustroju państwa. I czekał.

Pozornie Cromwell sprawował silne rządy. Czasem Juliusowi wydawało się, że jego wielka, okrągła, pokryta brodawkami twarz unosi się nad krajem niczym ponura maska z pogańskich czasów. Cromwell kazał ściąć króla i zmusił jego syna do ucieczki do Francji. Szkoci bali się go, Irlandczyków utopił we krwi. Dokonał tego w ciągu zaledwie kilku lat i nawet Julius przyznawał niechętnie: „Jego miecz jest doprawdy potężny”.

Lecz żeby zrealizować cel Commonwealthu, jakim było zbudowanie świetlistego miasta na górze, należało zmienić nie tylko prawa, ale i ludzkie serca. A to już nie szło tak łatwo. Dla Juliusa przełomem było uniewinnienie Doggeta i Jane. „Purytanie posunęli się za daleko”, oznajmił rodzinie. Były też inne, drobniejsze oznaki świadczące o niepoprawności ludzkiej natury. „Niektórzy przewoźnicy łodzi zakładają się między sobą, kto w ciągu roku zapłaci więcej kar za pijaństwo”, powiedział kiedyś w domu. Tak jakby główne ulice były do czysta wysprzątane dla purytanów, a boczne zaułki wciąż wypełniali grzesznicy.

Kwestie religijne też nie były do końca jasne. Właściwie tolerowano wszystko oprócz biskupów. W parafii Świętego Wawrzyńca Meredith

korzystał z modlitewnika prezbiteriańskiego, ale gdy nadszedł czas ostatnich kazań, przestawił się na modlitwy i hymny protestanckie, które Martha tak bardzo pochwalała. Podobnie działo się w innych kościołach. Cromwell posunął się w swojej tolerancji do tego, że któregoś roku zmusił parlament do przyjęcia prawa pozwalającego Żydom na ponowne osiedlanie się w Anglii. Po tym, jak w 1290 roku Edward I zakazał im powrotu, w kraju nie było ani jednego Żyda. Część purytanów pod wodzą bohatera Williama Prynne'a, który nienawidził Żydów, podniosła protest. Ale klamka zapadła i niedługo w pobliżu Aldgate powstała niewielka żydowska społeczność. „Zamierzają nawet zbudować synagogę", donosił Julius rodzinie. Tak naprawdę dostrzegał tylko jedno poważne ograniczenie: anglikański modlitewnik, uznany za świadectwo rojalistów, był zakazany. Ceremonie chrztów, ślubów i pogrzebów odbywały się przed sędzią pokoju. Mimo to w paru kościołach anglikańscy duchowni wciąż potajemnie używali modlitewnika. A gdy syn Juliusa miał się żenić, ojciec mógł mu powiedzieć z uśmiechem: „Znalazłem lojalnego duchownego, który udzieli ci ślubu w domu".

Największe zamieszanie wynikało stąd, że nikt, nawet Cromwell, nie wiedział, jak należy rządzić Commonwealthem.

Próbowano wszystkiego. Najpierw rządy miał sprawować parlament. Jednak parlament niczego nie umiał zatwierdzić, spierał się z armią i nie chciał się rozwiązać. Cromwell kilkakrotnie wyrzucał posłów, stosując kolejne konstytucyjne eksperymenty. Już wcześniej mianował się lordem protektorem, a parlament, który miał już dość armii, zaproponował mu koronę i rządy zgodnie ze starym ustrojem. Wśród „świętych" podniósł się krzyk: „Nie o to walczyliśmy!". „Jednak Cromwell był gotów przyjąć tę ofertę – zauważył Julius. – Tyle zostało z rządów purytanów".

Dlatego czekał cierpliwie. Martha i Gedeon wciąż mieli wpływy w parafii, więc starał się ich nie prowokować. Meredith wygłosił wiele ostatnich kazań, a po naprawdę ostatnim odszedł w wielkim stylu. Przemawiał przed Krzyżem Świętego Pawła do kilkusetosobowego tłumu. Jako temat wybrał fragment z Księgi Objawienia. Gdy wzniósł się na wyżyny swoich oratorskich umiejętności, przez chmury przedarły się promienie słońca i oświetliły jego wychudzoną, zwróconą ku niebu twarz. „Widziałem nowe niebo i nową ziemię! – zawołał. – Oto on niesie mnie na wielką i wysoką górę i pokazuje mi święte Jeruzalem, zstępujące z nieba od Boga. – Po raz ostatni objął wzrokiem publiczność. – Chodźcie ze mną, umiłowani bracia, chodźcie tam ze mną. – A potem spojrzał wprost w słońce i wyciągnął ramiona. – On woła do mnie, on, który jest alfą i omegą, on mnie teraz przyzywa: »Przyjdź, przyjdź!«”. Po tych słowach spadł z hukiem z ambony i nigdy już nie wstał.

Pomimo dzielących ich różnic Julius nauczył się tolerować Mereditha, a po jego śmierci zaprzyjaźnił się z jego synem Richardem. Ten zdolny młodzieniec studiował wcześniej w Oksfordzie i, jak zwierzył się Juliusowi, chętnie wstąpiłby do stanu duchownego, gdyby mógł to zrobić jako anglikanin. Zamiast tego studiował medycynę i zamierzał zostać lekarzem. Po ojcu odziedziczył sceptycyzm i dociekliwy umysł.

Jedynie osoba Jane Wheeler wciąż nie dawała Juliusowi spokoju. Dowiedział się, że trzy lata po ich wyprowadzce z parafii zmarł Dogget. Tak naprawdę Julius był zadowolony, że Jane mieszka dość daleko, w Petit France.

Czasem dręczyło go z jej powodu poczucie winy, ale tajemna misja, do której się zobowiązał, i lojalność wobec dwóch synów zmarłego króla skutecznie łagodziły te wyrzuty sumienia. Nie był osamotniony. On i kilkunastu innych wiernych rojalistów słali do Stuarta meldunki o sytuacji

politycznej w kraju. Dlatego nie posiadał się z radości, gdy w 1658 roku Oliver Cromwell nieoczekiwanie zmarł.

Commonwealth przetrwał niewiele ponad rok. Syn Cromwella, sympatyczny, ale pozbawiony ambicji, niemal od razu zrezygnował z sukcesji. Parlament nadal toczył spory z armią. Julius przyglądał się temu przez dziewięć miesięcy, a potem napisał list:

> Jeśli Wasza Wysokość dojdzie do porozumienia z parlamentem, co nie udało się Waszemu Ojcu, i jeśli wypłaci odprawę armii, czego obecny parlament uczynić nie chce, to królestwo może być Wasze.

Pewnego dnia tajny posłaniec przywiózł wieści, które ucieszyły serce Juliusa.

– Król jest wdzięczny za twoją niezachwianą wierność, o której ani on, ani jego ojciec nigdy nie zapomnieli. – Posłaniec się uśmiechnął. – Król ma dużo weselsze usposobienie niż jego ojciec. Mówi, że wolałby się ułożyć ze stadem małp niż przez całe życie przebywać na wygnaniu. I jeszcze jedno. Król wie, że straciliście Bocton. Odzyskacie je, gdy tylko wróci do władzy – dorzucił na pożegnanie.

W końcu wiosną 1660 roku Julius usłyszał okrzyk, który wypełnił go niewypowiedzianą radością: „Król nadchodzi. Władcą jest król Karol II. Niech żyje król!”.

Pożar Londynu

Rok 1665

Ned był średniej wielkości, miał gładką brązowo-białą sierść i błyszczące ślepia. Był dobrym psem, oddanym swojemu panu. Pan rzucał mu piłkę, a on łapał ją za każdym razem, potrafił też kłaść się brzuchem do góry i udawać martwego. Czasem, gdy pan tego nie widział, ganiał dla zabawy koty. Ale przede wszystkim nie przepuścił żadnemu szczurowi. W domu jego pana nie było ani jednego gryzonia. Już dawno wszystkie rozszarpał.

Był upalny letni dzień. Jego pan wyszedł wcześniej, więc Ned pilnował domu przy Watling Street. Miał nadzieję, że pan niedługo wróci. Jak zwykle kręciło się tutaj dużo ludzi. Nedowi nie podobał się jeden obcy. Stał przy drzwiach domu nieco dalej w głębi ulicy. Ned podszedł, żeby mu się lepiej przyjrzeć, a wtedy obcy próbował dźgnąć go piką. Ned zaskomlał i odtąd trzymał się od mężczyzny z daleka. Godzinę wcześniej do domu weszła kobieta. Uchwycił jej woń, gdy go mijała. Nie wiedział, co tak pachnie, ale wcale mu się to nie podobało. A chwilę wcześniej usłyszał, że ktoś w domu płacze. Ci ludzie naprawdę dziwnie się zachowują.

I wtedy zobaczył potwora.

Rodzina Ducketa była gotowa. Przy bramie stały dwa wozy i ręczny wózek. Julius patrzył z zadowoleniem na żonę, syna – swojego dziedzica – synową

i dwoje wnuków. W podróży miał im towarzyszyć służący i dwie służące – skrzynia z ich dobytkiem jechała na wózku.

– Mamy jeszcze miejsce dla jednej osoby – powiedział Julius. – Nie zamierzam go tutaj zostawić.

Po raz trzeci wyjrzał na ulicę. Gdzież on się, do diabła, podziewa?

Sir Julius Ducket skończył sześćdziesiąt dwa lata i uważał się za szczęśliwego człowieka. Był zamożny, szanowany, i przyjaźnił się z samym królem. Karol II był całkowitym przeciwieństwem swojego ojca: wysoki, bezpośredni, dowcipny, nie ukrywał, że lubi kobiety – podczas gdy jego ojciec, pomimo wielu wad, był człowiekiem bardzo pruderyjnym. Karol II poznał życie także od tej najgorszej strony. Gotów był zrobić wszystko, żeby utrzymać się na tronie, bo jak zapewniał wszystkich: „Nie mam najmniejszej ochoty na kolejne podróże”.

Dwór Karola w Whitehall uchodził za miejsce wyjątkowo wesołe. Sala bankietowa, przed którą stracono ojca monarchy, była w częstym użyciu, poddani mogli tu też przychodzić, aby patrzeć, jak król spożywa obiad. Otwarty, zalesiony teren na zachód od Whitehall król kazał przekształcić w St James’s Park – władcę widywano tam często, jak spaceruje z ulubionymi spanielami albo na północnym skraju parku gra biegle z dworzanami w pall malla – szczególne połączenie krykieta z prostą odmianą golfa. W całym Londynie panowała dużo swobodniejsza atmosfera. Uprawiano różne sporty, podczas wiosennych zabaw z tańcami znów wystawiano ozdobione kwiatami słupy. Otwierały się teatry, w tym jeden nowy w pobliżu Aldwych, przy Drury Lane, w którym występowała trupa samego króla i znana z dużych piersi młoda aktorka Nell Gwynne. Nawet jeśli niektórzy purytańscy poddani byli oburzeni niejaką frywolnością i ekstrawagancją dworu, to nikt nie chciał powrotu ponurych czasów Commonwealthu.

Ale przede wszystkim Karol nie miał złudzeń. Wiedział, że jego władza nie pochodzi z boskiego nadania – to parlament dał mu koronę. „Ja i parlament jesteśmy sobie nawzajem potrzebni”, powiedział do Juliusa któregoś dnia. Tak jak pół wieku wcześniej znów działała Izba Gmin i Izba Lordów, a Karol umiał wykorzystać je do swoich celów. Nigdy jednak nie posuwał się zbyt daleko. Podobnie postępował w kwestiach religijnych. Ożenił się z portugalską księżniczką, katoliczką, a jego siostra wyszła za mąż za członka francuskiej dynastii królewskiej. Zarazem Karol doskonale zdawał sobie sprawę, że wielu jego poddanych to purytanie. „Najchętniej dałbym im pełną tolerancję”, oświadczył. Lecz parlament nie był do tego gotowy. Osiągnięto więc porozumienie przypominające kompromis z czasów królowej Elżbiety. Wszyscy mieli podporządkować się Kościołowi anglikańskiemu z jego obrządkiem i biskupami. Ci, którzy nie chcieli tego zrobić, nie mieli prawa zajmować publicznych stanowisk. Ale to wszystko.

„Macie być lojalnymi poddanymi. A poza tym możecie albo się bawić, albo modlić”, ogłosił król.

Porozumienie to nazwano restauracją Stuartów.

Wesoły monarcha zemścił się z umiarem. Stracono zaledwie paru zabójców jego ojca. Zwłoki Olivera Cromwella wydobyto z grobu i powieszono w Tyburn. „Teraz wygląda lepiej niż za życia”, zauważył cierpko Julius. Jednak Karol nie miał zamiaru prześladować swoich wrogów. Za to miał w łaskawej pamięci przyjaciół, w tym sir Juliusa Ducketa.

„Parlament nie pozwolił, abym kupił dla ciebie Bocton – tłumaczył się. – Ale mogę dać ci państwową pensję. Dożywotnią. A zatem życzę długiego życia, przyjacielu”.

Pensja była bardzo hojna. Julius mógł również wydać resztki skarbu i prowadzić ożywiony handel, bo okrągłogłowi nie śledzili go już na każdym kroku. Rok wcześniej kupił Bocton, i to całkiem tanio, gdyż dom był w złym stanie. W ciągu kilku miesięcy przywrócił włości do porządku.

W całej Anglii panował optymizm i wiara w lepszą przyszłość. Handel kwitł, kolonie przynosiły duże zyski. Nawet niedawne małżeństwo króla z katoliczką przestało budzić niechęć, gdy okazało się, że panna młoda wniosła w posagu ni mniej, ni więcej, tylko bogaty indyjski port handlowy Bombaj! Anglicy poszerzali swoje panowanie na morzach. W poprzednim roku udało im się wypchnąć Holendrów z kilku kolonii, między innymi z dobrze rokującej osady w Ameryce. Julius dowiedział się, że osadę nazywano Nowym Amsterdamem. „Nasi marynarze od razu nazwali ją Nowym Jorkiem”. Według sir Juliusa Anglia nie przeżywała jeszcze tak pomyślnych czasów.

Był co do tego przekonany jeszcze dziesięć dni temu. Teraz nie miał już takiej pewności. Z niepokojem rozglądał się dokoła. Do diabła, gdzie ten Meredith się podziewa?

Ned zjeżył grzbiet. Podniósł się, zawarczał, wyszczerzył kły i zrobił dwa kroki do przodu. Potwór się zbliżał. Warczenie przeszło w groźny charkot. Jeszcze nigdy nie widział takiego monstrum. Potwór miał wielkość wysokiego mężczyzny. Jego ciało, zrobione z natłuszczonej skóry, wyglądało jak sięgający do ziemi wielki stożek. Bestia miała dwie ręce i wielkie skórzane dłonie. Trzymała krótki patyk. Ale najbardziej przerażająca była głowa. Spomiędzy szklanych oczu otoczonych pierścieniami wystawał ogromny skórzany dziób. Do tego potwór miał na głowie skórzany czarny kapelusz z szerokim rondem.

Ned szczeknął, zawarczał, szczeknął znowu i się cofnął. Potwór najwyraźniej go zauważył, bo ruszył wprost na niego.

Jeszcze godzinę wcześniej doktor Richard Meredith uważał się za najszczęśliwszego człowieka w Londynie. Wyróżnienie, które go spotkało poprzedniego dnia, było wielkim sukcesem, zwłaszcza dla kogoś tak młodego jak on. Jeszcze rano wyszedł z domu energicznym krokiem. Dopiero w Guidehall pokazano mu dokument.

Gdyby restauracja miała miejsce kilka lat wcześniej, młody Meredith z pewnością zostałby duchownym. Ale on nie chciał być purytańskim pastorem, ojciec zaś zawsze go przestrzegał: „Spójrz tylko, na co musiałem się godzić, żeby przeżyć". Dlatego Richard, będąc w Oksfordzie, postanowił zostać lekarzem. W ten sposób też mógł służyć bliźnim. Zawód lekarza pasował też do jego dociekliwego, analitycznego umysłu.

Ówczesna medycyna była połączeniem starożytnej wiedzy i średniowiecznych zabobonów. Lekarze wciąż wierzyli w istnienie czterech humorów – lekiem na większość chorób było przystawianie pijawek i spuszczanie krwi celem jej rozrzedzenia. Stosowano też zioła, część z dobrym skutkiem, i metody zdroworozsądkowe. Oraz modlitwę, bo cudowne wyleczenia traktowano jak jedną z form terapii. Całe sznury ludzi z wielkimi kołtunami przechodziły przed królem, dotyk monarchy bowiem, jak powszechnie wierzono, mógł tę chorobę wyleczyć. Na podobnym poziomie były nauki przyrodnicze. Ludzie wykształceni wciąż spierali się, czy rogi jednorożców mają właściwości magiczne. Jednak od kilku dziesięcioleci rozwijał się też bardziej racjonalny nurt. Genialny badacz William Harvey wykazał, że krew krąży w organizmie, a także rozpoczął badania nad rozwojem ludzkiego płodu. Robert Boyle po żmudnych eksperymentach sformułował prawa rządzące zachowaniem gazów. A Londyn był bez wątpienia najlepszym miejscem na świecie do dociekań naukowych. To tutaj miało swoją siedzibę Towarzystwo Królewskie.

Rozpoczęło swoją działalność dwadzieścia lat wcześniej jako nieformalny klub dyskusyjny. Meredith został tam po raz pierwszy wprowadzony w tym samym roku, w którym ogłoszono restaurację. Miał okazję wysłuchać wykładu znakomitego młodego astronoma – syna duchownego tak jak i on – Christophera Wrena. Członkostwo w klubie było zastrzeżone, ale on jako lekarz mógł uczęszczać na wykłady odbywające się w środowe popołudnia. Klub przyjął nazwę Towarzystwo Królewskie po tym, jak jego członkiem został Karol i nadał mu królewski statut.

Kilka miesięcy temu Richard Meredith, bardzo onieśmielony, wygłosił krótki referat, który został ciepło przyjęty przez Wrena i parę innych osób. Ale nigdy by się nie spodziewał cudownej wiadomości, która dotarła do niego poprzedniego dnia: „Doktorze Meredith, został pan pełnoprawnym członkiem naszego Towarzystwa”. Nic dziwnego, że jeszcze godzinę temu był w doskonałym nastroju.

Pierwsze bardzo nieliczne przypadki pojawiły się w maju. Doktor Meredith zbytnio się nimi nie przejął. Już od wieków o tej porze roku zdarzały się sporadyczne zachorowania. Trochę więcej zauważono w czerwcu. Ale nikt nie zachorował w parafiach przy Cheapside, nie było też ani jednego przypadku przy Watling Street. Od ponad dwudziestu lat nie mieliśmy większej epidemii, myślał Richard, a ostatni prawdziwy problem pojawił za czasów króla Jakuba I. Dlatego gdy ludzie pytali go, czy mają się czego obawiać, odpowiadał uspokajająco: „Unikajcie rejonów na zachód od Drury Lane i Holborn. Centrum miasta jest właściwie bezpieczne”. W tym miesiącu panowały niezwykłe upały. „Suche gorąco – twierdzili medycy – zwiększy ilość elementu ognia w ludzkiej krwi. A to z kolei sprawi, że ludzie mają więcej żółci i robią się choleryczni”. Richard podejrzewał, że to może być powodem szerzenia się choroby. W czerwcu wzrosła liczba chorych w Southwark i wzdłuż drogi prowadzącej z Aldgate

na wschód. Ale tego dnia, gdy pokazano mu dokument, Richard przeżył wstrząs.

Każdego tygodnia władze sporządzały zestawienie zgonów. W dwóch długich kolumnach dokument przedstawiał liczbę i powody śmierci w samym mieście i otaczających je parafiach. Większość liczb była mała: „Apopleksja – 1. Puchlina – 40. Niemowlęta – 21". Jednak urzędnik pokazał mu przerażającą liczbę na samej górze drugiej kolumny: 1843. A obok niej pojedyncze słowo: dżuma.

Morowe powietrze, zaraza, czarna śmierć – choroba miała wiele nazw.

– Zamierza pan opuścić Londyn? – spytał urzędnik.

– Nie, jestem lekarzem.

Urzędnik się uśmiechnął.

– Wszyscy lekarze, których dziś widziałem, wyjeżdżają. Mówią, że muszą się opiekować bogatymi pacjentami, a skoro bogaci wyjeżdżają, to oni też. Ale jeśli zamierza pan zostać – dorzucił z aprobatą – to mamy dla pana odpowiednie odzienie.

Ned nie cofał się, a potwór szedł wprost na niego. Gdzie powinien zaatakować? Monstrum nie miało nóg, a ręce były zbyt grube, aby zacisnąć na nich szczęki. Ujadał i warczał z wściekłością, ale bez skutku.

I wtedy potwór zrobił coś dziwnego. Zdjął głowę. A potem ściągnął rękawicę, dał psu rękę do powąchania i zawołał go po imieniu.

To jego pan!

Meredithowi było strasznie gorąco w ubraniu, które dostał od urzędnika w Guildhall. Dziób maski wypchał aromatycznymi ziołami, które właśnie kupił u aptekarza. Wielu ludzi wierzyło, że choroba rozprzestrzenia się przez zatrute powietrze.

– Ned, ty biedaku! – roześmiał się. – Przestraszyłem cię? – Poklepał psa z czułością. – Chodźmy do domu.

Ledwo otworzył drzwi, gdy dogonił go Julius.

Spojrzawszy na niezwykły strój, uświadomił sobie nagle, jak bardzo lubił młodego lekarza.

– Jakieś wieści o zarazie? – spytał.

Meredith powiedział mu o najnowszych zgonach.

– Tego się obawiałem – mruknął Julius. – Richardzie, błagam cię, jedź z nami do Bocton. Zaraza rzadko dociera na wieś. Zostaniesz z nami, dopóki nie będzie bezpiecznie.

– Bardzo wam dziękuję – odparł Meredith z wdzięcznością. – Ale moim obowiązkiem jest zostać tutaj.

Julius westchnął i wyszedł. A potem kazał rodzinie poczekać jeszcze pół godziny, bo postanowił podjąć ostatnią próbę przekonania Mereditha. Lecz lekarz przepadł, jedynie Ned pilnował drzwi.

Julius wrócił ze smutkiem do domu, naładował pistolety, które zawsze zabierał ze sobą, gdy miał podróżować po pustych drogach Kentu, i nakazał rodzinie wsiadać do wozów. Niedługo potem jechali Watling Street w kierunku London Bridge. I wtedy Julius kazał zatrzymać na chwilę wóz. Mógł przynajmniej wyświadczyć młodemu przyjacielowi tę przysługę.

Na widok Juliusa Ned zamachał ogonem. Wiedział, że to przyjaciel. Podniósł się. Lubił witać przyjaciół, nawet gdy pana przy nim nie było. Sir Julius był już całkiem blisko. Z jakiegoś powodu się zatrzymał. Wyciągnął do niego rękę. Nie, raczej wycelował. Ale po co?

Głośny huk, obłok dymu, silne uderzenie, które odrzuciło go aż na schodki – to wszystko rozegrało się w jednej chwili. Ned poczuł w piersi straszliwy ból. I coś ciepłego w pysku. A potem nie czuł już nic.

Sir Julius przywiązał linę do martwego psa i zaciągnął go za wozem aż do rzeki. Tam wrzucił go do wody. Nie miał najmniejszych wątpliwości, że postąpił słusznie, choć nie przyszło mu to łatwo. Jednak każdy rozsądny

człowiek wiedział, że psy i koty roznoszą zarazę. Meredith kochał swojego psa i na pewno nie zrobiłby tego, co było konieczne dla własnego bezpieczeństwa. Dlatego Julius wziął to na siebie. Teraz już Ned nie zarazi swojego pana.

– Przynajmniej tyle mogłem uczynić dla tego dzielnego młodzieńca – powiedział Julius.

– Pies dobrze łapał szczury – zauważył jego syn. – W domu Mereditha nie było ani jednego szkodnika.

– To prawda. Tylko co to ma za znaczenie.

W połowie sierpnia notowano już cztery tysiące zgonów w tygodniu, a pod koniec miesiąca sześć tysięcy. Każdego dnia Richard Meredith wkładał czarny strój i wychodził z domu.

Czasem wydawało mu się, że żyje w jakimś innym mieście, tylko pozornie przypominającym Londyn. Ulice były niemal puste, z Cheapside zniknęły stragany, domy miały pozamykane drzwi i okna, jakby chciały ochronić swoje nosy i usta przed zarazą. Król z dworem wyjechał do Salisbury w West Country. Pod koniec lipca z miasta, przez most i przez bramy, wylewał się już cały strumień ludzi: dżentelmeni, kupcy, nawet bogatsi rzemieślnicy szukali bezpiecznego schronienia. W Londynie pozostała prawie sama biedota.

Miasto wyglądało upiornie. Wędrując od parafii do parafii, patrzył, jak egzekwuje się zarządzenia burmistrza. Gdy miejscy nadzorcy stwierdzali przypadek dżumy, dom zamykano, stawiano przed nim strażnika z piką, który pilnował, aby nikt nie wychodził ani nie wchodził, a na drzwiach malowano przerażający czerwony krzyż wraz ze smutnymi słowami „Niech Bóg się nad nimi zmiłuje”. Jedynie lekarz ubrany tak jak Richard mógł odwiedzać pacjentów. Gdy mieszkańcy dawali znak, że ktoś umarł, pojawiał się specjalny urzędnik, który potwierdzał zgon i podawał jego

przyczynę, a niedługo potem, zazwyczaj o zmierzchu, przyjeżdżał karawan. Na ulicy rozlegał się wtedy dzwonek i zapadające w pamięć żałosne nawoływania: „Wynieście zmarłych! Wynieście zmarłych!”.

Prawie jedna czwarta parafii była wolna od zarazy. Mijając ostatniego dnia sierpnia katedrę Świętego Pawła, Meredith natknął się na niejakiego Pepysa, którego kilka razy spotykał na zebraniach Towarzystwa Królewskiego. Pepys był urzędnikiem w Radzie Marynarki Wojennej i miał dostęp do wielu informacji.

– Liczba zgonów jest znacznie większa, niż to podają oficjalne dokumenty – relacjonował Pepys. – Urzędnicy fałszują zestawienia, a biedoty często nawet nie uwzględniają w wyliczeniach. Według nich w zeszłym tygodniu zmarło siedem i pół tysiąca ludzi.

– A jaka jest prawdziwa liczba?

– Prawie dziesięć tysięcy – odparł Pepys ponuro. – Ale jeśli Bóg pozwoli nam przeżyć, doktorze Meredith – dorzucił już nieco weselej – to może będę miał przyjemność wysłuchać kiedyś pańskiego wykładu w Towarzystwie o prawdziwej przyczynie zarazy.

Żaden inny temat nie pasjonował Mereditha bardziej. Chodząc od domu do domu, w których ludzie – całe rodziny – leżeli rozpaleni gorączką, majaczyli i cierpieli w potwornych męczarniach, czuł porażającą bezradność. Był lekarzem, ale prawdę powiedziawszy, niewiele mógł zdziałać i doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Tylko dlaczego?, zastanawiał się. Z powodu swojej, i nie tylko swojej, niewiedzy. Jak mógł zaproponować lekarstwo czy choćby ulżyć w cierpieniu, skoro nie miał najmniejszego pojęcia, co jest przyczyną choroby? Jak mógł chronić pacjentów, skoro nie wiedział, jak się ona przenosi?

Miał pewne przypuszczenia. Zakładano, że zaraza przenosi się z człowieka na człowieka, stąd wziął się nakaz kwarantanny. Musiało być

w tym ziarno prawdy, skoro w najbardziej dotkniętych rejonach – w Southwark, w parafii Whitechapel za bramą Aldgate, przy drodze do Shoreditch i Holborn – widział całe ulice, na których niemal wszystkie domy miały na drzwiach przerażający krzyż. Ale dlaczego choroba skupiała się w tych właśnie miejscach? Wielu ludzi paliło fajki, bo podobno dym oczyszczał powietrze. Mówiono, że do tej pory ani jeden właściciel sklepu z tytoniem nie zaraził się dżumą. Ale jeśli choroba przenosiła się w powietrzu, to dlaczego na jednej ulicy ludzie chorowali, a na sąsiedniej już nie? Najbardziej zainfekowane rejony też się od siebie różniły – jedne były podmokłe, inne suche i przewiewne. Uznał, że nie chodzi tylko o powietrze. Coś innego musiało przenosić chorobę. Ale co? Psy i koty? Sąsiad powiedział mu, że to sir Julius zastrzelił Neda i zabrał jego zwłoki. Przez tydzień Meredith był wściekły, ale potem się uspokoił. Bóg jeden wie, ile psów i kotów zabito do tej pory z polecenia burmistrza. Pewnie dwadzieścia, a może nawet trzydzieści tysięcy. Ale nawet jeśli przyjąć, że winne były zwierzęta, to jak przekazywały zarazę ludziom?

Częściową odpowiedź na swoje pytania uzyskał na początku sierpnia, gdy w Vintry odwiedził umierającego mężczyznę.

Dżuma miała dwie postacie: dymieniczą, z której obronną ręką wychodził co trzeci chory, oraz płucną, której nie przeżył prawie nikt. W tym drugim przypadku pacjent miał zajęte płuca, kichał, kaszlał krwią, dostawał na przemian gorączki i ataku dreszczy, a potem zapadał w coraz głębszy sen, z którego nigdy już się nie budził. Człowiek, do którego przyszedł Meredith, był zwykłym garbatym woziwodą z szóstką dzieci. Wstrząsany dreszczami, patrzył bezradnie.

– Ja umieram – powiedział.

Meredith nie zaprzeczył. Wtedy podeszło jedno z dzieci, żeby go pocieszyć, a mężczyzna kichnął mu prosto w twarz. Dziecko skrzywiło się.

Meredith, kierowany dziwnym instynktem, chwycił jakąś szmatkę i wytarł małemu buzię.

– Nie pozwól dzieciom do niego podchodzić! – krzyknął do matki. – I spal tę szmatę.

A więc tak to przebiega, pomyślał. Flegma i plwociny chorego przenoszą zarazę, bo pochodzą z najbardziej zainfekowanych organów. Dziecko zmarło tydzień później.

Martha wciąż się wahała, chociaż jej pasierb bardzo ją namawiał.

– Tu nic mi nie grozi – mówiła.

Chociaż wrócili razem z Massachusetts, Martha od dawna nie czuła się związana z młodszym synem Doggeta. Brakowało mu duchowych aspiracji. Prawdę powiedziawszy, była zadowolona, że to nie jest jej rodzony syn, choć nie miała odwagi ubrać tej myśli w słowa. Chłopak ożenił się i został przewoźnikiem na łodzi, zamiast zająć się porządnym rzemiosłem. Jednak odwiedzał ją co tydzień, a ona powtarzała sobie, że prawie każdy ma w sobie dobro.

– Już rozumiem. – Dogget zaśmiał się cicho. – Myślisz, staruszko, że jesteś bezpieczna, bo Bóg jest po twojej stronie, prawda? – Objął ją serdecznie ramieniem. – Myślisz, że umrą jedynie grzesznicy.

Nie podobał jej się jego ton, ale nie zaprzeczyła. Właśnie tak myślała. Wiedziała, co jest przyczyną zarazy: ludzka niegodziwość.

Większość ludzi w jakimś sensie podzielało ten pogląd. To Bóg zsyłał na grzesznych ludzi epidemie i klęski żywiołowe, i to od czasów wygnania Adama i Ewy z raju. A gdy ktoś podnosił jakieś wątpliwości w tej kwestii, przypominała: „Gdzie zaczęła się zaraza?”. Na Drury Lane. A dlaczego właśnie tam? Każdy purytanin znał odpowiedź. Z powodu nowego teatru wspieranego przez króla i jego kobiety oraz rozwiązłego dworu. Czy Londyn nie otrzymał ostrzeżenia pół wieku wcześniej, gdy spłonął Globe

Shakespeare’a? Martha widziała tę prawdę pośród moralnych zgliszcz, które miały być świetlistym miastem na wzgórzu. Dlatego była pewna, że ją zaraza ominie.

Ale dżuma była coraz bliżej. Z Vintry przesuwała się wyżej po Garlick Hill w kierunku Watling Street. Nic dziwnego, że rodzina się o nią martwiła.

Gdyby tylko miała przy sobie Gedeona. Niestety, zmarł trzy lata wcześniej. Jego miejsce próbował zająć O Be Joyful, ale choć miał już trzydzieści lat, brakowało mu charyzmy ojca. Wciąż był tylko czeladnikiem i nie bardzo sobie radził z nauką. Ale to on zadecydował.

– My też wyjeżdżamy – powiedział cicho, wskazując swoją żonę i dwójkę dzieci. – Jedź z nami, ciociu Martho, bądź naszą duchową przewodniczką.

Zgodziła się, choć niechętnie. Pół godziny później ona i dwie małe rodziny zeszli w milczeniu nad rzekę i wsiedli do łodzi Doggeta. Gdy wypłynęli, Marta spojrzała przed siebie i spytała z przerażeniem:

– Tam mnie zabieracie?

Rzeczywiście, miejsce, do którego się zbliżali, wyglądało dziwnie. Znajdowało się na środku nurtu, ale mimo że widzieli je coraz wyraźniej, wymykało się opisowi.

– Nazwałem je pałacem przewoźników – powiedział Dogget pogodnie.

Był to pomysł ludzi pracujących na wodzie. „Pałac” składał się z powiązanych ze sobą najrozmaitszych tratw i łodzi i przypominał wielką, skleconą naprędce wyspę. Ciągle ją powiększano, budowano pomosty i prymitywne wiaty. Ludzie, którzy to wymyślili, kierowali się swoistą racjonalną intuicją. Dopóki przebywali na rzece, odcięci od zarazy, mogli mieć nadzieję na przeżycie.

– Mamy tu wodę, mamy ryby, musimy jedynie sklecić sobie jakiś dach nad głową – tłumaczył Dogget. A gdy Martha spytała, co będzie, gdy ktoś zachoruje na dżumę, uśmiechnął się szeroko. – Wyrzucimy go za burtę – odparł.

Pod koniec września epidemia zaczęła wymykać się spod kontroli. Nikt już nie słuchał zaleceń burmistrza, nie przestrzegano zasad kwarantanny. Ukrywano chorych, ludzie nie chcieli pozostawać w zainfekowanych domach, próbowali potajemnie wywozić dzieci w bezpieczne miejsca. Niewielka liczba strażników nie mogła ich upilnować. Żeby odizolować chorych od zdrowych, burmistrz nakazał przenoszenie zarażonych osób do szpitali. Ale szpitale były trzy – stary pod wezwaniem Świętego Bartłomieja, szpital Świętego Tomasza i trzeci, pod wezwaniem Marii Panny, w Southwark. Pękały w szwach. Miasto otworzyło więc nowe – w Westminsterze, a także po wschodniej i północnej stronie murów. Ale i one szybko się wypełniły. Meredith najbardziej był wstrząśnięty tym, jak obchodzono się ze zwłokami. Poza granicami miasta wykopywano ogromne doły, do których wrzucano dziesiątki ciał. Kościelni grzebali na cmentarzach tylu zmarłych, że ci pochowani na samym wierzchu byli przykryci jedynie cienką warstwą ziemi. Na jednym z cmentarzy Meredith zauważył nawet wystające z ziemi ręce i nogi.

Często chodził do szpitali zakaźnych w Westminsterze. Wracając któregoś dnia do domu, natknął się na stróża, który poprosił go o pomoc dla mieszkającej niedaleko chorej. Po kilku minutach wszedł do niedużego, ale ładnego domu w Petit France.

Jane Wheeler od sześciu dni miała gorączkę. Początkowo próbowała nie zwracać na to uwagi. Zlekceważyła też kłujący ból w rękach i nogach. Mówiła sobie, że przecież ma ponad osiemdziesiąt lat. Jednak tamtego

wieczoru była już bardzo słaba i nie mogła spać. Następnego dnia poczuła zawroty głowy. W południe chciała wyjść na dwór, ale nie przeszła nawet dziesięciu metrów, bo zaczęła się zataczać. Nie wiedząc, co się dzieje, wróciła do domu. Przyszła sąsiadka, żeby jej pomóc. Wydawało jej się, że przychodziła też wieczorem i nazajutrz rano. A potem pojawiła się jakaś obca kobieta, chyba siostra szpitalna. Lecz wtedy Jane myślała już tylko o jednym. Miała to w szyi, pod pachami, w pachwinach. Wielkie guzy, mogła łatwo je wyczuć. I ten straszliwy ból.

Meredith westchnął. Płucna postać dżumy zabijała szybko, za to postać dymienicza powodowała ból nie do zniesienia. Leżąca przed nim stara kobieta cierpiała na dymienicę i to w ostatnim stadium.

W tej chorobie dochodziło do silnego zapalenia węzłów chłonnych, które puchły jak guzy. Pod skórą powstawały krwawe wybroczyny. Pacjenci często majaczyli. A na sam koniec na całym ciele pojawiały się krwistoczerwone plamy. Jednak kobieta była przytomna. I najwyraźniej czegoś od niego chciała.

– Umie pan pisać i czytać?

– Oczywiście, jestem lekarzem.

– To niech pan spisze mój testament. Ja już jestem za słaba. – Wstrząsnął nią dreszcz. – Tam w kącie stoi atrament i pióro.

Meredith przyniósł przybory i zdjął rękawicę, żeby móc zapisać słowa kobiety.

– Ja, Jane Wheeler, będąc zdrowa na umyśle…

A więc to ona! Nie rozpoznała go. Widział ją ostatnio w dzieciństwie, lecz doskonale pamiętał związany z jej nazwiskiem skandal. Nieszczęsna kobieta, pomyślał, oto jaka czeka ją śmierć.

Testament był krótki. Kobieta nie miała dzieci. Niewielki majątek, najwyraźniej znacznie uszczuplony przez upływ czasu, przekazywała

w równych częściach dzieciom zmarłego Johna Doggeta – z wyjątkiem dziecka urodzonego przez Marthę. Nie ma się czemu dziwić, przyznał Meredith w duchu.

– To wszystko? – spytał.

– Prawie. Zostało jeszcze jedno.

Richard Meredith nie mógł wiedzieć, że gdy pisał testament, pod podłogą zdechł czarny szczur. Nie zauważył też maleńkiej pchły, która wydostała się przez szparę między deskami.

Pchła była chora. Od kilku dni żywiła się krwią szczura zarażonego dżumą. W krwiobiegu gryzonia krążyły setki tysięcy groźnych bakterii, a teraz pchła wchłonęła ich część. Tak się rozmnożyły w jej żołądku, że go zatkały. W rezultacie pchła była wygłodniała. Czując, że dotychczasowy żywiciel jest martwy, zaczęła się rozglądać za nowym. Gdy go dopadnie, przekłuje mu skórę i spróbuje – bezskutecznie – nakarmić się jego krwią. W tym czasie tysiące bakterii przedostaną się do organizmu jej ofiary i zaczną się rozmnażać w zawrotnym tempie. Pchła wskoczyła na płaszcz Mereditha. Była jak wyrok śmierci.

Końcowy ustęp w testamencie Jane Wheeler brzmiał zadziwiająco:

> W swojej ostatniej woli, będąc o krok od śmierci, sir Juliusowi Ducketowi, złodziejowi i kłamcy, który ukradł mi majątek i doprowadził mnie do ruiny, przekazuję słowa klątwy. Oby Bóg sprawiedliwy skazał go za grzechy na ogień piekielny, oby jego rodzina była po wieki przeklęta, a jego majątek został mu odebrany. Amen.

– Na pewno mam tak napisać? – spytał Meredith.

– Na pewno. Skończył pan? Proszę mi pokazać. – Westchnęła. – I proszę dać mi pióro. – Z trudem złożyła podpis. – A teraz pan i siostra jako świadkowie.

Meredith i kobieta spełnili polecenie.

Pchła przeskoczyła na rękaw skórzanego stroju.

– Muszę już iść – powiedział Meredith i naciągnął rękawiczkę. Jane ledwo go słyszała. Krzyknęła z bólu. Meredith i siostra spojrzeli po sobie. To już nie potrwa długo. Postanowił, że nie powie sir Juliusowi o klątwie.

Pchła nie mogła przekłuć płaszcza. Już miała przeskoczyć na nagą dłoń Mereditha, ale ta zniknęła nagle w długiej skórzanej rękawiczce. A gdy Meredith szedł do drzwi, pchła przeskoczyła na siostrę ze szpitala.

W październiku liczba zachorowań osiągnęła szczyt i zaczęła spadać. Przez pierwsze dwa tygodnie w oficjalnych dokumentach odnotowywano po cztery tysiące zgonów. W ostatnim tygodniu miesiąca na dżumę zmarło już tylko tysiąc pięćset osób. Potem nastąpił dalszy spadek – tysiąc tygodniowo. I mimo że pojedyncze zachorowania zdarzały się aż do lutego, to już pod koniec listopada Londyn ożył. W styczniu do miasta powrócili nawet najbogatsi mieszkańcy i ich medycy.

Według oficjalnych danych Wielki Pomór pochłonął sześćdziesiąt pięć tysięcy ofiar. Prawdziwa liczba była znacznie większa – prawdopodobnie zmarło blisko sto tysięcy ludzi. Do dziś niewiele się mówi o niezwykłej kolonii sztucznych wysp na Tamizie. Na tych przedziwnych konstrukcjach przez wiele tygodni mieszkało prawie dziesięć tysięcy osób. O ile wiadomo, nikt z nich nie zachorował na dżumę. Doktor Meredith zauważył ten fakt, ale, jak z goryczą przyznawał, wciąż nie umiał go wytłumaczyć.

Dżuma pozostawała tajemnicą nie tylko dla lekarzy. Dopiero dwa wieki później odkryto istotę i prawdziwe przyczyny tej choroby. Do tego czasu stwierdzono jedynie, że nie leczą jej żadne zioła.

Pod koniec listopada Dogget wrócił z rodziną do domu. Niedługo potem dowiedział się, że otrzymał niewielki spadek.

Rok 1666

Wieczór 1 września był cichy i spokojny. Sir Julius Ducket leżał już w łóżku w swoim domu przy kościele St Mary-le-Bow. Miał za sobą długie pogodne lato, a zaledwie tydzień wcześniej wrócił z rodziną z Bocton. Następnego dnia wypadała niedziela. Tuż przed północą obudził się i podszedł do okna. Powietrze było przyjemnie rześkie, ze wschodu nadciągał lekki wiatr. Julius odetchnął kilka razy głęboko i wrócił do łóżka. Koło pierwszej znów się obudził. Wydawało mu się, że słyszy jakiś dźwięk. Wyjrzał przez okno. Odgłos dochodził chyba od strony London Bridge. Podwórze przypominało ciemną studnię, na okoliczne dachy padało blade światło gwiazd. Wsłuchiwał się jeszcze przez długą chwilę, ale odgłosy się nie powtórzyły, położył się więc do łóżka i zasnął kamiennym snem.

O czwartej obudziła go żona. Teraz już nie miał wątpliwości. Nad dachami po lewej stronie unosił się słaby blask. W okolicach mostu ku niebu buchały iskry i płomienie. Czyli niezbyt blisko.

– Pójdę jednak i zobaczę, co się dzieje – powiedział.

Odział się i wyszedł.

Zobaczył niezbyt duży ogień. Pożarł wybuchł po północy w domu piekarza położonym na Pudding Lane, wąskiej uliczce odchodzącej od East Cheap. Służąca, która w panice wbiegła na dach, znalazła się w potrzasku i zginęła w płomieniach. Ogień ogarnął już kilkanaście stłoczonych małych domów, ale Julius widywał już dużo groźniejsze pożary. Ludzie próbowali zalewać płomienie wodą z wiader, ale bez większego przekonania. W drodze powrotnej Julius natknął się na burmistrza.

– Nie wiem, po co mnie wezwali – powiedział dostojnik z irytacją.

– Nie wygląda to zbyt groźnie – przyznał Julius.

– Pewnie, baba mogłaby to ugasić sikami – burknął burmistrz na pożegnanie.

Te grubiańskie słowa nie przeszłyby zapewne do historii, a pożar na Pudding Lane zostałby szybko zapomniany, gdyby nie pewien dodatkowy czynnik, którego nikt nie wziął pod uwagę.

Wzmagał się wiatr. Wchodząc do domu, Julius czuł już dosyć silne podmuchy powietrza. A gdy przytulił się w łóżku do żony, wiatr zdołał przenieść żar i iskry na następną ulicę, prowadzącą prosto do London Bridge. O świcie spłonął kościół Świętego Magnusa. Zaraz potem płomienie dosięgły mostu, a w późnych godzinach rannych zagroziły nadrzecznym składom i magazynom.

Gdy Julius wspiął się na szczyt Cornhill, skąd miał rozległy widok, pożoga rozlała już się wokół wjazdu na most. W płomieniach stało trzysta stłoczonych blisko siebie domów. Trzask i ryk płomieni niosły się po całym mieście. Julius patrzył na ten fascynujący widok przez prawie dwie godziny, a potem zszedł ze wzgórza i okrążywszy ogień najbliżej, jak mógł, wrócił na Watling Street. Spotkał tam Richarda Mereditha, rozmawiającego z jakimś dżentelmenem, którego przedstawił jako pana Pepysa. Najwyraźniej Pepys widział z nich najwięcej.

– Rozmawiałem w Whitehall z królem i jego bratem – opowiadał. – Nakazali burzyć domy, żeby ogień nie mógł się rozprzestrzeniać. Ale władze miasta boją się, że właściciele będą domagali się odszkodowań, więc nie robią nic!

– Widziałeś gdzieś burmistrza? – spytał Julius.

– Tak, pięć minut temu. Najpierw niemal się rozpłakał, potem zaczął narzekać, że nikt go nie słucha, a na koniec mówi, że jest zmęczony i idzie

na obiad. Żałosne.

– I co teraz?

– Ogień się rozszaleje – powiedział Pepys.

Po południu O Be Joyful powiedział rodzinie, że mają pakować manatki. Pożar rozlewał się coraz bardziej. Już od jakiegoś czasu od strony London Bridge napływał strumień wózków wyładowanych ludzkim dobytkiem.

W ciągu ostatnich kilku miesięcy O Be Joyful czuł na barkach coraz większy ciężar odpowiedzialności. Tygodnie spędzone na rzecznej wyspie i zamęt spowodowany epidemią wyczerpały nieco siły Marthy. Wiosną przekonał ją, aby przeniosła się do ich domu, a jej codzienna obecność nieustannie przypominała mu, że powinien zająć miejsce Gedeona. Miał na utrzymaniu czwórkę dzieci, więc tym bardziej zdawał sobie sprawę, że to on musi być ich duchowym przewodnikiem. Gdyby tylko mógł się do tego spokojnie przygotować.

Mimo wszystko teraz postąpił zdecydowanie. Przyjaciel mieszkający w Shoreditch zgodził się przyjąć ich pod swój dach. Byli gotowi przenieść się w każdej chwili. Z zadowoleniem myślał, że dobrze wypełnił swój obowiązek.

– Muszę sprawdzić, czy moja droga przyjaciółka pani Bundy jest bezpieczna – powiedziała nagle Martha.

Znał tę pobożną kobietę, więc zaproponował, że sam to zrobi.

– Nawet nie wiesz, gdzie ona mieszka – zaprotestowała Martha, więc poszli razem.

Gdy ruszyli Watling Street i znaleźli się po drugiej stronie Walbrook, obłok dymu nad mostem wznosił się już na kilkadziesiąt metrów. Kiedy minęli Kamień Londyński, Martha pokazała wąską uliczkę i stanowczym krokiem ruszyła w kierunku pożaru.

Widok, który mieli przed sobą, dawał jednoznaczną odpowiedź na pytanie, dlaczego ogień jest nie do okiełznania. Wąska uliczka, domy zbudowane z otynkowanego drewna (od wieków ignorowano nakaz używania cegieł albo kamienia), coraz bardziej wystające nad ulicę kolejne piętra, które na samej górze niemal stykały się z domami naprzeciwko – ten gąszcz czynszówek, podwórek, drewnianych przybudówek przechylonych w różne strony, przygarbionych i chwiejnych niczym stare pijane plotkarki, był jak wielka beczka prochu. Co gorsza, ludzie, próbując w pośpiechu ugasić ogień, otwierali spusty w drewnianych rurach dostarczających wodę, a potem ich nie zakręcali, więc woda tryskała cały czas i wkrótce wszystkie cysterny opróżniły się do cna. O Be Joyful patrzył, jak ogień pochłania jeden dom po drugim.

Ale najdziwniejsze było zachowanie ludzi. Bogatsi uciekali z najcenniejszym dobytkiem, biedni zaś, nie mając nic prócz dachu nad głową, tłoczyli się w domach z nadzieją, że ogień ustanie, zanim ich dosięgnie. Niektóre rodziny opuszczały mieszkania dopiero wtedy, gdy dach zaczynał płonąć nad głowami.

Dom, którego szukała Martha, stał w połowie ulicy, pięćdziesiąt metrów od pożaru. O Be Joyful chciał wejść do środka, ale Martha go powstrzymała.

– Ja wiem, gdzie ona jest. Ty uważaj na zewnątrz.

Weszła do sieni i zniknęła na schodach. Widok pędzącego pożaru był przerażający i fascynujący jednocześnie. Brązowoszary dym uniósł się i przesłonił całe niebo niczym wielka ściana. Żar był tak silny, że O Be Joyful musiał osłonić dłonią twarz. Wszędzie latały iskry i rozpalone węgle. Kilka sfrunęło tuż obok. Widział, jak inne opadają na dachy, wzniecając kolejne zarzewia. Lecz najstraszniejszy był ten odgłos pożaru, trzask, huk i rosnący w siłę ryk ognia trawiącego jeden dom za drugim. Płomienie

zbliżyły się na trzydzieści metrów. Gdzie jest Martha? To ostatnia chwila, aby uciec!

Rozległ się huk i z domu wystrzelił ryczący jęzor ognia. Fala gorąca omal nie zwaliła O Be Joyfula z nóg. Wyprostował się i zobaczył pomarańczowy blask w kilku oknach. Pod dachem zaczynał kłębić się dym. Jak to się stało? Nagle zrozumiał: zapomniał o tyłach domów. Ogień przyszedł stamtąd.

Wbiegł do sieni i zatrzymał się u stóp schodów, wołając Marthę. Ale ryk ognia zagłuszał okrzyki. Gdzieś z góry doleciał trzask płomieni, pomiędzy deskami podłogi przeciskał się dym. O Be Joyful ruszył po schodach na górę, wciąż nawołując ciotkę.

Usłyszał nad sobą jeszcze jeden głośny trzask. Co tam się dzieje? Zawahał się. Nie miał pojęcia, w której części domu szukać kobiet. Odwrócił się, zbiegł na dół i wyszedł na ulicę.

– Martho! – krzyknął. – Martho! – Ogień z furią atakował dom. Rozejrzał się, żeby sprawdzić, czy wciąż ma otwartą drogę ucieczki. – Martho!

I wtedy ją zobaczył. Stała przy małym oknie na samej górze. Pomachał do niej rozpaczliwie, aby zeszła na dół. Dała mu znak, ale go nie zrozumiał. Znalazła się w pułapce? Pokazał, że idzie po nią, i wbiegł do środka. Po chwili pędził po schodach na górę.

Rozległ się huk. Pomyślał, że zwaliła się jakaś belka. Kolejne uderzenie. Nad schodami wisiała chmura dymu. Po lewej, gdzieś na tyłach domu, znów coś huknęło. Trzy metry dalej spadł wielki kawał tynku. Płomienie były coraz bliżej. Musi się pospieszyć. Ruszył. Schody trzeszczały pod jego ciężarem. Z najwyższego piętra buchnął snop iskier. O Be Joyful znieruchomiał, wstrzymując oddech. A potem opuściła go cała odwaga. Cofnął się, odwrócił i uciekł. Chwilę później znów patrzył na Marthę.

Machnął ręką, jakby chciał pokazać, że schodami nie da się przejść. Cały czas widział jej bladą twarz.

– Skacz! – krzyknął, ale chyba tylko po to, żeby uspokoić własne sumienie. Zabiłaby się, skacząc z tej wysokości. Zresztą okno i tak było za małe. – Martho!

Spod dachu wydobywały się kłęby dymu. Czy ona coś woła? Stali, patrząc na siebie, przez całą długą minutę, aż wreszcie dach domu zamienił się w ryczącą pochodnię. Drewniane belki runęły, z okna, w którym stała Martha, strzeliły płomienie.

Ogień był tak blisko, że żar parzył. O Be Joyful cofnął się, licząc, że może stał się cud i Martha wybiegnie na ulicę.

W poniedziałek rano burmistrz z ulgą zrzucił z siebie odpowiedzialność za walkę z pożarem. Nadal wiał silny wiatr, lecz ogień rozprzestrzenił się tak bardzo, że sam tworzył mocne podmuchy powietrza. Żywioł posuwał się nie tylko wzdłuż rzeki na zachód, w kierunku Blackfriars, ale równie szybko niósł się zboczem wschodniego wzgórza na północ. Z samego rana, gdy Julius wyprawił z domu trzeci wóz załadowany dobytkiem i uprzedził rodzinę, aby przygotowali się do wyjazdu do Bocton, nadeszła dobra wiadomość. Oto do miasta przybył z wojskiem brat króla Jakub, książę Yorku. Książę był energicznym człowiekiem. Może jemu uda się przywrócić porządek?

Julius wyszedł z domu i u wylotu Watling Street od razu zobaczył wysoką sylwetkę Jakuba, energicznie dowodzącego swoimi ludźmi. Przygotowywali się do wysadzenia prochem kilku domów. Podszedł do nich.

– Jeśli poszerzymy tę ulicę – tłumaczył książę – to może uda nam się powstrzymać ogień. – Cofnęli się i ukryli. Rozległ się głośny huk. – To co, sir, pomożesz nam? – spytał Jakub z uśmiechem.

Chwilę później Julius, w skórzanym hełmie na głowie i ze strażackim toporkiem w dłoniach, rozbierał resztki ścian wraz z księciem i kilkunastoma podobnie ubranymi ludźmi. Była to ciężka robota i Julius chętnie by zrezygnował, ale zerknąwszy na mężczyznę, który właśnie się do nich przyłączył, stwierdził ze zdziwieniem, że zna tę potężną postać. A chwilę później uświadomił sobie, że u swego boku ma samego króla.

– Czy wasza wysokość powinien tu być? – zapytał.

– Ja ratuję swoje królestwo, sir – odparł monarcha ze śmiechem. – Sam wiesz, jak mi na nim zależy.

Jednak dukt przeciwogniowy nie spełnił zadania. Impet pożaru był tak wielki, że godzinę później ogień przeskoczył na drugą stronę.

Najbardziej niezwykła rzecz wydarzyła się we wtorek rano. O Be Joyful widział wszystko, stojąc u podnóża Ludgate Hill.

Jego dom spłonął w poniedziałek po południu. Tak jak było umówione, przeniósł się z rodziną do Shoreditch. Ciągle napływały jakieś wieści. Wieczorem mówiono, że Giełda Królewska stanęła w płomieniach. O świcie usłyszał, że nie ma już kościoła St Mary-le-Bow. Postanowił zobaczyć to na własne oczy. Okazało się, że droga jest zablokowana. Żołnierze nie wpuszczali nikogo do miasta.

– Tam jest piekło – mówili.

Wielki plac w Moorfields zamieniono w ogromny obóz dla pogorzelców. O Be Joyful okrążył mury, minął Smithfield, gdzie przy wejściu do szpitala Świętego Bartłomieja powstał drugi obóz, i dotarł do Ludgate. Stał tam spory tłum. Wśród ludzi zauważył doktora Mereditha, który podczas dżumy został w mieście. Wszyscy jak zahipnotyzowani patrzyli w kierunku wzgórza.

Płonęła katedra Świętego Pawła. Wielka szara budowla, której sylwetka przez ponad sześć wieków górowała nad miastem; Dom Boży, który od

czasów Normanów stał na straży zachodniego wzgórza, opierając się burzom, piorunom i nieubłaganemu biegowi czasu; prastara katedra Świętego Pawła powoli rozpadała się na ich oczach. Przyglądał się temu przez ponad godzinę.

Wracał do domu przez Fleet Street. Gdy dochodził do Temple, zauważył grupę wyrostków okrążających jakiegoś chłopaka, wobec którego najwyraźniej mieli złe zamiary.

– Zwiążmy go! – krzyknął któryś.

O Be Joyful się zawahał. Wprawdzie miał przed sobą młokosów, ale było ich kilkunastu i nie wyglądali na słabeuszy. Przeszedł na drugą stronę ulicy, żeby ich ominąć, i ruszył w kierunku Temple. Chłopak zawołał o pomoc. O Be Joyful zatrzymał się zawstydzony.

Dotąd nie powiedział rodzinie, co się naprawdę stało z Marthą. Od chwili, gdy uciekł z płonącej ulicy, powtarzał sobie, że nic więcej nie mógł zrobić. Powtarzał to sobie tak często, że niemal w to uwierzył, dzięki czemu przespał całą noc. Pocieszał się tą myślą, idąc do miasta. Ale przy Ludgate zobaczył Mereditha.

Doktor Meredith był synem kaznodziei. I w odróżnieniu od większości członków jego profesji został w Londynie, gdy wybuchła epidemia, wielokrotnie ryzykując życie. To Meredith, człowiek bez żadnego religijnego powołania, okazał prawdziwe męstwo.

A on jaki jest? To pytanie niczym strzała przebijająca zbroję pozbawiło go wszelkiej obrony i wywołało paroksyzm bólu. On jest tchórzem. Może i Marthy nie dało się uratować, ale czy zrobił wszystko, co możliwe? Czy nie zbiegł po schodach dlatego, że zabrakło mu odwagi? Nagła myśl przemknęła my przez głowę: jeśli pójdziesz drugą stroną ulicy, udowodnisz swoją winę. Odwrócił się i po chwili stał na wprost grupy wyrostków.

– Co on zrobił? – spytał.

Chłopak chciał coś powiedzieć, ale napastnicy nie dopuścili go do głosu.

– To on podpalił Londyn, panie! – krzyczeli.

Plotka zaczęła się szerzyć dzień wcześniej. Taki pożar nie mógł wybuchnąć przypadkiem. Niektórzy mówili, że sprawcami są Holendrzy. Ale większość – nawet połowa uczciwych londyńczyków – miała bardziej logiczne podejrzenia. „Winni są katolicy – mówili. – Kto inny mógłby coś takiego zrobić?”.

– Ale ja nie jestem katolikiem! – zawołał chłopak łamaną angielszczyzną. – Jestem protestantem. Hugenotem.

Hugenot. Anglicy obawiali się rzymskich sympatii Stuartów, lecz dla każdego protestanta żyjącego w katolickiej Francji Anglia wydawała się bezpiecznym rajem. W 1572 roku pobożny król Francji wymordował tysiące protestantów i dopiero edykt nantejski uchronił ich przed kolejnymi aktami przemocy. Jednak ci bogobojni kalwiniści wciąż byli poddawani prześladowaniom, więc chętnie przybywali do Anglii, gdzie mogli dyskretnie wyznawać swoją wiarę. Zaczęto nazywać ich hugenotami.

Na oko chłopak miał nie więcej niż siedemnaście lat. Był szczupły, o inteligentnym obliczu, z gęstymi ciemnymi włosami. Ale uwagę najbardziej przyciągały okulary, zza których spoglądał na napastników.

– Jesteś protestantem? – spytał Carpenter.

– *Oui*. Przysięgam.

– Ale to cudzoziemiec! Posłuchajcie, jak on mówi! – zawołał jeden z wyrostków. – Lepiej nauczyć go rozumu.

O Be Joyful poczuł przypływ odwagi. Zasłonił chłopaka własnym ciałem.

– Nazywam się O Be Joyful Carpenter. Mój ojciec Gedeon walczył pod dowództwem Cromwella, a ten chłopak wyznaje naszą wiarę. Zostawcie go w spokoju albo będziecie mieli ze mną do czynienia.

Nie wiadomo, jak by się to skończyło, gdyby od strony St Clement Danes nie nadjechał patrol żołnierzy księcia Yorku. Młodzi awanturnicy oddalili się niechętnie.

– Gdzie mieszkasz? – spytał Carpenter młodego hugenota.

– Niedaleko Savoyu, panie.

Rzeczywiście, osiedliła się tam niewielka społeczność francuskich protestantów. O Be Joyful zaproponował chłopakowi, że go odprowadzi.

– Dawno tu jesteś? – zapytał po drodze.

– Przyjechałem wczoraj. Do stryja. Jestem zegarmistrzem.

– Rozumiem. A jak się nazywasz?

– Eugène, panie. Eugène de la Pennissière.

– De la co? – O Be Joyful pokręcił głową. Te francuskie nazwiska są takie trudne. – Nigdy tego nie zapamiętam.

– To jak się mam nazywać po angielsku? – spytał chłopak.

– No cóż… – O Be Joyful zastanawiał się przez chwilę. Jedyne angielskie słowo, które brzmiało podobnie, było dość pospolite. – Moim zdaniem powinieneś nazywać się Penny.

– Eugene Penny? – Chłopak spojrzał na niego z powątpiewaniem. A potem twarz mu się rozjaśniła. – Ocaliłeś mi życie, panie. Dzielny z ciebie człowiek. Przyjmę nazwisko Penny, skoro tak mówisz. *Alors*. – Wzruszył ramionami z uśmiechem. – Penny. A gdzie będę mógł cię znaleźć, żeby ci odpowiednio podziękować?

– Nie ma takiej potrzeby. Zresztą i tak nie mam już domu. Ale nazywam się O Be Joyful Carpenter. Jestem snycerzem.

Pożegnali się przy Savoyu.

– Na pewno jeszcze się spotkamy – powiedział Eugene. – Ci chłopcy, którzy chcieli mnie zabić – dorzucił na odchodnym – nie byli tacy głupi. *Non*. Bo ten pożar to sprawka katolików.

Ogień wciąż szalał. Z katedry Świętego Pawła zostały ciemne zgliszcza, spłonęły Guildhall, Blackfriars, Ludgate. We wtorek wieczorem i środę pożar rozszerzył się poza mury, ogarnął Holborn i Fleet Street. Spłonął kościół St Bride. Żywioł zatrzymał się jedynie na zielonych błoniach wokół Temple, a na wschodzie wielki dukt przeciwogniowy wytyczony z rozkazu księcia Yorku ocalił Tower. Poza tym całe średniowieczne miasto zostało unicestwione.

Dwóm ludziom pożar i epidemia przyniosły osobiste załamanie. Doktora Mereditha przygniotło poczucie wielkiej porażki. Tak naprawdę jego rola sprowadzała się do niesienia pociechy umierającym. Jego leki były bezużyteczne. Medycyna wciąż się rozwija, ale dopóki lekarze nie poznają prawdziwych przyczyn choroby, myślał Meredith, mogę przynajmniej starać się ocalić dusze pacjentów. Patrząc na płonącą katedrę Świętego Pawła, powziął postanowienie: „Przyjmę święcenia kapłańskie, jak kiedyś zamierzałem”. Jednocześnie mógł przecież kontynuować studia medyczne. I dzięki Bogu nadal działało Towarzystwo Królewskie.

O Be Joyful popadł w głębokie przygnębienie. Pożegnawszy się z Eugene’em, nie wrócił do domu, lecz chodził po okolicy, patrząc na ogień. I cały czas dźwięczały mu w uszach słowa chłopaka – brzmiały jak drwina: „Dzielny z ciebie człowiek”. Tak, śmierć Marthy wcale nie była nieunikniona. „Mogłem ją sprowadzić na dół. Zginęła przez mój strach i moje tchórzostwo. Zostawiłem ją na pastwę ognia”. Tak postępuje syn Gedeona, duchowy spadkobierca Marthy? O, nie. Był człowiekiem nikczemnym.

I co zostało z ich wizji świetlistego miasta? Gdy ogień pędził po Fleet Street niczym potężny rydwan zniszczenia, jego trzask brzmiał jak zgrzyt wielkich kół na drodze, głosząc przerażającą prawdę: „Wszystko stracone. Wszystko stracone”.

Lekarze różnili się w opiniach, czy po Wielkim Pożarze dżuma ostatecznie zniknęła z Londynu. Kontrowersje budziły też przyczyny wybuchu ognia. Większość londyńczyków uważała, że to sprawka katolików. Wyłoniona przez parlament komisja przyjęła bardziej umiarkowane stanowisko. W swoim raporcie stwierdziła stanowczo, że winą nie wolno obarczać żadnej grupy, ani cudzoziemców, ani nawet katolików. Pożar Londynu był działaniem siły wyższej. Był to ogień Boży.

Katedra Świętego Pawła

Rok 1675

Promienie słońca padały na południową fasadę dziwnej, niewielkiej budowli na wzgórzu. Eugene Penny czekał cierpliwie, aż dwaj mężczyźni skończą rozmowę. Budowla rzucała na zielone zbocze długi cień. W oddali, w Greenwich, lśnił bielą Queen’s House. Eugene zastanawiał się, czy w nocy Meredith będzie obserwował z budynku gwiazdy. Poczuł się nieswojo, myśląc o tym, co ma do zakomunikowania temu miłemu pastorowi. Meredith z pewnością uzna go za szaleńca.

Richard Meredith widział, że Eugene na niego czeka, ale nie mógł przerwać rozmowy z sir Juliusem Ducketem. Była tym bardziej irytująca, że z niecierpliwością wypatrywał uroczystości otwarcia nowego obiektu. Zaprojektował go jego przyjaciel i – tak jak on – członek Towarzystwa Królewskiego, Christopher Wren, który w cudowny sposób wykorzystał w architekturze swoje zdolności matematyczne. Wybór nie mógł być lepszy. Ośmiokątny budynek z cegły, który teraz górował nad Greenwich, był pierwszym w Anglii obserwatorium astronomicznym.

Dziwne, ale jego głównym przeznaczeniem nie była obserwacja gwiazd, choć oczywiście znajdował się w nim teleskop. Chodziło przede wszystkim, jak tłumaczył to sir Juliusowi rano, o całkiem praktyczne kwestie.

– Chcemy pomóc marynarzom – mówił Meredith. – Obecnie żeglarze używają kwadrantu, który pozwala mierzyć kąt Słońca i niektórych gwiazd w zenicie i dzięki temu określić przesuwanie się statku na północ albo południe. Nadal jednak żeglarze nie wiedzą – ciągnął – jak daleko są na wschodzie lub zachodzie. Nie znają swojej długości geograficznej. Do tej pory musieli zdawać się na bardzo przybliżone pomiary, zazwyczaj na podstawie liczby dni podróży. Ale jest inny sposób wyznaczenia długości geograficznej. Oto każdego dnia Ziemia wykonuje jeden obrót wokół Słońca. Wiemy, że tak się dzieje, choć Kościół katolicki od dawna się temu sprzeciwia. Poza tym Ziemia obraca się też wokół własnej osi. A to sprawia, że w Londynie Słońce ukazuje się nad wschodnim horyzontem kilka minut wcześniej niż na zachodzie Anglii.

Ponieważ zjawisko to było doskonale znane, każde miasto miało swój własny czas lokalny.

– Według naszych obliczeń – kontynuował Meredith – różnicy czterech minut odpowiada jeden stopień długości geograficznej, a więc godzina to piętnaście stopni. Wystarczy więc, że żeglarz porówna swój czas, który może ocenić według Słońca, z czasem londyńskim, a będzie wiedział, jaka jest jego pozycja na wschód lub na zachód.

– Będzie mógł to zrobić, jeśli będzie miał do dyspozycji zegar dokładnie pokazujący czas londyński.

– Właśnie. Nie umiemy zbudować zegara, który umiałby dokładnie odmierzać czas na morzu. Możemy jednak sporządzić tablice pokazujące położenie Księżyca na tle nieba. Odczytując te obserwacje w almanachu, każdy żeglarz będzie wiedział, jaki jest w danym momencie czas w Londynie. I porównując ten standardowy zegar astronomiczny ze swoim czasem lokalnym, będzie mógł wyznaczyć swoją długość geograficzną.

– Jak długo potrwa sporządzenie tych tablic?

– Całe dziesiątki lat. To ogromne zadanie. Ale po to właśnie powstało Obserwatorium Królewskie: żeby stworzyć wielką mapę pokazującą ruch wszystkich ciał niebieskich.

– A więc wszyscy marynarze, jak rozumiem, także z innych krajów, będą mogli określić swoje położenie w odniesieniu do czasu londyńskiego?

– W tym właśnie rzecz. – Meredith się uśmiechnął. – Jeśli będą chcieli wiedzieć, gdzie są, będą musieli stosować się do czasu Obserwatorium Królewskiego. Nazwiemy go czasem Greenwich.

Zabrał sir Juliusa do obserwatorium, pokazał mu teleskop, zegar i inne urządzenia, potem zaś dał się wciągnąć w tę idiotyczną rozmowę. A najgorsze, że sam był sobie winien.

Miesiąc wcześniej powiedział o kilka słów za dużo. Wydawało mu się – i to był błąd – że skoro sam nie traktuje tej kwestii poważnie, baronet też okaże podobne nastawienie. Pomylił się. Sir Julius bardzo się przejął. Był wręcz przerażony. Sir Julius Ducket, człowiek zamożny, przyjaciel króla, drżał ze strachu, bo nieszczęsna Jane Wheeler, umierając na dżumę, rzuciła na niego klątwę.

– Jeśli była czarownicą, to może powinieneś odprawić modły? – dopytywał natarczywie. – A może lepiej wykopać jej zwłoki i spalić?

Meredith westchnął. Czy po obejrzeniu obserwatorium jego przyjaciel naprawdę nie ma większych problemów? Jako naukowiec nie mógł pojąć, że ludzie, nawet wykształceni, wciąż wierzą w czary i inne gusła. Niedawno na prowincji spalono kilka czarownic, i to przy aprobacie władz. Nie była to bynajmniej smutna pozostałość po średniowiecznym katolicyzmie. Podobno surowi purytanie w Szkocji, a nawet w Massachusetts równie chętnie stawiali stosy.

– Nie była czarownicą – powiedział spokojnie. – Poza tym zmarłych na dżumę nie można wykopywać z grobów.

– Ale klątwa…

– Klątwa umarła razem z nią. – Widział jednak, że te słowa wcale nie uspokoiły Ducketa. Sir Julius nie był jego parafianinem. Kościoła Świętego Wawrzyńca i kilku innych kościołów nie odbudowano po Wielkim Pożarze. Sir Julius przeniósł się do zachodniej części miasta, a w miejscu, gdzie stał dawniej jego dom, wzniesiono okazałą rezydencję, która była oficjalną siedzibą burmistrza. Po otrzymaniu święceń Meredith osiadł na Fleet Street w parafii St Bride.

Chciał pocieszyć starego człowieka, choć było to wbrew zdrowemu rozsądkowi.

– Będę się za ciebie modlił – zapewnił łagodnie. Ale pożegnał go bez żalu. Wreszcie mógł zająć się czekającym cierpliwie Eugene’em.

Meredith lubił młodego hugenota, choć ten należał do obcego Kościoła. Poznał go za pośrednictwem O Be Joyfula, a potem pomógł mu znaleźć pracę u Tompiona, najlepszego londyńskiego zegarmistrza, który instalował czasomierz w Obserwatorium Królewskim. Wysłuchał Penny’ego i zareagował zgodnie z jego oczekiwaniami:

– Chyba oszalałeś.

Hugenocka społeczność w Londynie szybko się rozwijała. Jej pastor nie mógł narzekać na brak zajęć. Nowi przybysze szybko się zakorzenili. Niektórzy, jak choćby bogata rodzina Des Bouverie, zajęli wysoką pozycję towarzyską. Francuskie nazwiska – Olivier, LeFanu, Martineau, Bosanquet – albo przyjmowały angielskie brzmienie, albo zostały zmieniane, jak Penny, na angielskie odpowiedniki: Thierry stawał się Terry, Mahieu – Mayhew, Crespin – Crippen, a Descamps – Scamp. Upodobanie Francuzów do niektórych kulinarnych specjałów, takich jak ślimaki, wydawało się dziwne, ale inne przywiezione przez nich potrawy, jak chociażby zupa ogonowa, szybko zyskały popularność. Wyrabiali doskonałe meble,

perfumy, wachlarze i modne peruki, co spotykało się z uznaniem. I choć, jak wszyscy przybysze, traktowani byli z pewną podejrzliwością, angielscy purytanie odnosili się z szacunkiem do ich kalwińskiej religii. Król zawarł z nimi rozsądny kompromis. W pierwszych francuskich kościołach – przy Savoyu i Threadneedle Street – wolno było odprawiać kalwińskie nabożeństwa, o ile wierni nie obnosili się z tym i dochowywali wierności królowi. Ale już w nowych kościołach nabożeństwa odprawiano jedynie w anglikańskim obrządku, tyle że po francusku. A jeśli nawet wkradały się do nich jakieś zmiany, które miały ukoić protestanckie sumienia, to nikt na to nie zważał. Kalwini byli ludźmi pobożnymi i w odróżnieniu od angielskich purytanów unikali sporów religijnych, więc nawet anglikańscy biskupi Londynu odnosili się do nich przychylnie.

Dlaczego zatem Eugene Penny chciał wyjechać?

– Czy to z powodu zamieszek? – dopytywał Meredith.

W ciągu tego roku na wschodnich przedmieściach doszło do kilku napadów na hugenotów, więc podejrzewał, że to zaniepokoiło Penny’ego. Ale ponieważ był przekonany, że prawdziwy powód tych zajść miał zupełnie inne podłoże, dodał szybko:

– Bo jeśli tak, to chciałbym cię uspokoić.

Oczywiście zawsze dochodziło do spięć między „obcymi” – za których uważano tych, którzy mieszkali poza miastem – a londyńczykami, obawiającymi się utraty pracy i zamówień. Jednak zdaniem Mereditha prawdziwy problem był skutkiem Wielkiego Pożaru i wynikał z kompetencji miejskiego samorządu.

W pierwszych miesiącach po pożarze, gdy miasto wewnątrz murów wyglądało jak pogorzelisko, wielu ludziom wydawało się, że nikt już tam nie powróci. Jednak stopniowo miasto odbudowywano, choć nie zachowało ono dawnej średniowiecznej struktury. Wokół Whitehall powstawała modna

zabudowa i bogacze woleli tam zamieszkać. Z kolei rzemieślnicy, których wcześniej wypchnięto na północne i wschodnie przedmieścia, uznali, że taniej wyjdzie, jeśli zostaną na miejscu. Burmistrz i rajcy nie wykazywali woli, by rozciągnąć swoją władzę na nowe tereny, podobnie zachowywały się gildie. Jeśli ktoś chciał korzystać z wolności przynależnych miastu i praw wynikających z członkostwa w cechu, musiał podporządkować się dawnym prawom i zasadom terminowania. Ale gdy jacyś kupcy i rzemieślnicy woleli omijać te nakazy i prowadzić działalność na przedmieściach, gildie nie miały nad nimi żadnej władzy. Kiedy grupa hugenockich tkaczy jedwabiu przeniosła się do Spitalfields, tuż za wschodnią bramą miasta, a potem pracowitością i wyjątkowymi umiejętnościami szybko zapewniła sobie powodzenie, część okolicznych ubogich mieszkańców zaczęła im zazdrościć.

– To tylko lokalny konflikt – przekonywał Meredith. – Uwierz mi, londyńczycy nie są przeciwni hugenotom.

Eugene jedynie kręcił głową. Zdjął okulary i zaczął czyścić szkła – robił to zawsze, gdy był zakłopotany. Miał już ponad dwadzieścia lat, twarz mu wyszczuplała i nabrała pięknych rysów. Jego oczy, choć krótkowzroczne, miały kolor głębokiego, świetlistego brązu. Co za przystojny mężczyzna, pomyślał Meredith, mógłby uchodzić za Hiszpana. Ale Eugene Penny był Francuzem i na tym polegał jego prawdziwy problem.

Do Anglii wysłał go ojciec. Obaj byli rozważni, przewidujący, wytrwali, więc zgodnie postanowili, co należy zrobić. „Królowie Francji przyrzekli w edykcie nantejskim, że już po wsze czasy będziemy mogli odprawiać nasze nabożeństwa – tłumaczył ojciec. – Ale Kościół rzymski jest potężny, a król to człowiek bardzo pobożny. Dlatego jedź do Anglii. Wrócisz, gdy będziemy pewni, że nic nam tu nie grozi. A jeśli nie, to przygotujesz w Anglii dom dla swojego rodzeństwa”.

Ale po ostatnim wyjeździe do rodziny Eugene zaczął coraz bardziej tęsknić za domem.

– Ja po prostu chcę wrócić do Francji – wyznał ze skruchą. – Moja rodzina nie zaznała tam żadnej krzywdy. Po co mam mieszkać w Anglii?

Meredith nie wiedział, co odrzec. Nie orientował się w sytuacji we Francji, ale martwiło go, że młody zegarmistrz opuści takiego znakomitego rzemieślnika.

– W takim razie przynajmniej napisz do ojca i zapytaj go o pozwolenie – zaproponował, choć wątpił, aby Eugene skorzystał z jego rady.

Eugene Penny pożegnał się z Meredithem i powoli ruszył do domu. Doceniał mądrość tego starszego człowieka, ale miał rozdarte serce. Przeciął szczyt wzgórza, kierując się ku Blackheath, a potem skręcił w starą drogę schodzącą długim odcinkiem do Southwark. Do miejsca pozostało prawie siedem kilometrów, ale wcale mu to nie przeszkadzało. Znalazłszy się po drugiej stronie grani, zobaczył przed sobą panoramę Londynu – centrum miasta powoli podnoszące się ze zgliszcz, pałac Whitehall w oddali, a jeszcze dalej zalesione stoki Hampstead i Highgate. I gdziekolwiek spojrzał, od London Bridge aż po Tower i Wapping, po rzece płynęły statki. Ich maszty niemal się dotykały jak drzewa w gęstym lesie. Na Tamizie musiało być teraz ponad sto rozmaitych statków – stanowiły dowód, że potężny port w Londynie nie podda się niczemu, ani zarazie, ani płomieniom, ani nawet wojnie. Jak mógł opuścić to niezwykłe miasto?

Kilka dni później, w ciepłe popołudnie, grupa mężczyzn zebrała się w środku wielkich opustoszałych ruin na zachodnim wzgórzu miasta. Byli wśród nich zwykli rzemieślnicy i kamieniarze w charakterystycznych fartuchach. To ubranie było jak najbardziej stosowne, bo człowiek, który

ich wezwał, był nie tylko największym budowniczym w Anglii, ale i oddanym wolnomularzem.

– Dzisiejszy dzień to początek odrodzenia – oświadczył Christopher Wren.

Odrodzenie Londynu było niezwykłym osiągnięciem. Podnoszące się z popiołów miasto mogło być jeszcze wspanialsze niż dotąd. Wren i kilku innych architektów przedstawiło plany eleganckich placów i alei, które mogły stać się prawdziwym cudem północy. Jednak ogrom odszkodowań, które należałoby wypłacić posiadaczom nieruchomości położonych przy istniejących ulicach, konieczność szybkiego postępu prac, a także sam koszt takiego przedsięwzięcia zmusiły króla do przyjęcia skromniejszego rozwiązania. Plan nowego miasta był zmodyfikowaną wersją średniowiecznego układu.

Tu kończyły się wszelkie podobieństwa. Gdy plątanina drewnianych domów budowanych przez siedem stuleci spłonęła doszczętnie, pojawiła się szansa naprawienia błędów przeszłości. I rząd postanowił ją wykorzystać. Wydano stosowne zarządzenia. Ulice miały być szersze, złagodzono niektóre stromizny wzniesień. Domy zaplanowano w eleganckiej szeregowej zabudowie, w prostym klasycystycznym stylu, zgodnie z jednorodnymi wymiarami – w bocznych uliczkach dwie kondygnacje oraz piwnica i poddasze, na głównych ulicach trzy lub cztery kondygnacje. Ale przede wszystkim – to było rygorystyczne zastrzeżenie – jedynym dopuszczalnym materiałem były cegła i kamień, a dachy musiały być kryte łupkiem lub dachówką. Gdy paru kupców próbowało obejść te zarządzenia, ich domy zostały natychmiast rozebrane.

Cały Londyn otaczały cegielnie. Wydobywano w nich i wypalano glinę, którą miliony lat temu tak hojnie pozostawiły po sobie tropikalne morza, a potem wiatry epoki lodowcowej.

Pozostało jedynie kilka śladów średniowiecznej przeszłości. Nad rzeką wciąż trzymała straż potężna Tower. Przy wschodnich murach zachowało się parę gotyckich kościołów; w Smithfield szpital Świętego Bartłomieja trwał spokojnie jak w czasach wypraw krzyżowych. Przetrwały też wysokie domy na London Bridge – ogień lekko je tylko naruszył – które jeszcze przez najbliższe dziewięćdziesiąt lat miały przypominać o średniowiecznej chwale miasta, o czasach Chaucera i Czarnego Księcia.

Jednak samo średniowieczne miasto zniknęło. Powstająca metropolia bardziej przypominała dawne miasto Rzymian. To prawda, nad zachodnim wzgórzem nie wznosił się już amfiteatr – jego miejsce zajął Guildhall, a ludzkie upodobanie do rozlewu krwi miały zaspokoić publiczne egzekucje i walki kogutów, a nie turnieje gladiatorów. To prawda, centralne ogrzewanie odkryto na nowo dopiero dwa wieki później, siedemnastowieczne drogi doprowadziłyby do śmiechu każdego Rzymianina, umiejętność czytania i pisania nie była tak rozpowszechniona jak w świecie antycznym, ale mimo to należało przyznać, że nowe miasto powróciło do wielu cywilizacyjnych standardów, którymi cieszyli się mieszkańcy Londinium czternaście stuleci wcześniej.

Za największego budowniczego Londynu uchodził Christopher Wren, astronom, który okazał się wybitnym architektem. Odbudował już St Mary-le-Bow ze wspaniałą wieżą i klasycystyczną iglicą. Na wieży umieścił uroczy dodatek – niewielki balkon wychodzący na Cheapside, przypominający o dawnej trybunie, z której królowie i dworzanie oglądali turnieje rycerskie. Kościół St Bride przy Fleet Street piął się coraz wyżej, rozpoczęto kilka innych projektów. Ale nic nie mogło się równać z wielkim przedsięwzięciem, które roztaczało się teraz przed nimi.

Katedra Świętego Pawła. Ogromna, pozbawiona dachu, z wypalonym wnętrzem. Jej wysokie, poczerniałe ściany wciąż stały, choć od pożaru

minęło kilka lat. Wysadzenie ich prochem byłoby zbyt niebezpieczne, więc Wren kazał powoli wyburzyć je taranem. Miały teraz, z wyjątkiem zachodniej ściany, co najwyżej dwa metry wysokości. W miejsce wysokiej gotyckiej świątyni Wren zaprojektował wspaniały gmach, który miał stać się chwałą Londynu.

Zebrani wokół rzemieślnicy uśmiechali się – z wyjątkiem jednego.

O Be Joyful wciąż nie doszedł do siebie po Wielkim Pożarze. W jakimś sensie pożar go zniszczył. Ogień prawdy dopadł go i obnażył: był zwykłym tchórzem. A do tego judaszem. Czyż nie dowiódł tego całym swoim późniejszym życiem?

Do śmierci Marthy ten skromny snycerz zawsze uważał, że należy do grona wybrańców. I nie wynikało to z jego dumy, wręcz przeciwnie. Przecież zawsze postępował zgodnie ze słowem Bożym, mając u boku Marthę i Gedeona. Czy nie miał prawa uważać się za tego, którego Bóg wyznaczył do szerzenia swego dzieła? Miał prawo, dopóki nie zabił Marthy. Pozwoliłeś jej spłonąć, żeby ratować własną skórę, powtarzał sobie nieustannie. Gdzie się podziała twoja ufność w Panu? Gdy Bóg stanął przed tobą, ty się od niego odwróciłeś. Twoja wiara to fałsz. Miesiącami jego dusza cierpiała potworną udrękę.

Któregoś dnia, pierwszej wiosny po pożarze, wybrał się z Shoreditch do zrujnowanego miasta. Niektóre domy wciąż się tliły. Szerszymi ulicami można było chodzić, ale wielu poczerniałych kamieni nadal nie dało się dotknąć, tak były gorące. Wokół rozciągało się zwęglone pustkowie, z niezliczonych ruin unosiły się wąskie słupy dymu, wszędzie rozchodził się ostry, duszący zapach. Tak musi wyglądać wejście do piekła. I wtedy pojął z dojmującą rozpaczą, że nie należy do grona wybrańców. Jest jednym z potępionych i oto znalazł się w piekle.

Powoli tracił chęć do życia. Wstawał do pracy, ale nie dawała mu ona radości. Modlił się tylko z rodziną, dla zachowania pozorów. Nie miał wielu okazji do grzechu, lecz nie starał się wieść pobożnego życia, bo i tak wszystko było stracone.

I pewnie pogrążyłby się w depresji do końca, gdyby nie ogromna ilość pracy. Po pożarze budowano tysiące domów, a on jako czeladnik pracujący dla kilku mistrzów ciągle miał coś do roboty. Drzwi, boazerie, snycerka – zamówień było w bród.

Jego życie odmieniło się zupełnie po przypadkowym spotkaniu z Meredithem, który znając go od dziecka, okazywał mu wielką życzliwość. Już wcześniej pomógł znajomemu Carpentera, młodemu hugenotowi, a u O Be Joyfula zamówił kilka prac w swojej nowej parafii St Bride. I gdy któregoś ranka, spotkawszy go na Ludgate Hill, zauważył jego przygnębienie, wpadł na znakomity pomysł.

„Mój przyjaciel Wren zatrudnił właśnie znakomitego snycerza, który potrzebuje pomocnika. Może cię do niego zabiorę?”, zaproponował. Namawiał go tak usilnie, że jeszcze tego samego popołudnia Carpenter poznał Grinlinga Gibbonsa.

Gibbons był tak samo małomówny jak on. Carpenter usłyszał o nim kilka miesięcy wcześniej, gdy Gibbons pokazał swoje rzeźby królowi. A teraz mógł je zobaczyć na własne oczy. Były wspaniałe. Gibbons potrafił wyrzeźbić wszystko – ludzi, zwierzęta, drzewa, owoce, kwiaty. Nie były to jednak zwyczajne wyobrażenia. Nawet zwykłe jabłko w ozdobnej girlandzie owoców ozdabiającej fragment boazerii miało swoją indywidualność i tak niezwykłą lekkość, że aż chciało się go dotknąć, żeby sprawdzić, czy nie jest prawdziwe.

– On jest rzeźbiarzem, a nie zwykłym snycerzem – szepnął O Be Joyful.

Meredtih zgodził się z tym.

– Wren zlecił mu prace przy nowych kościołach. Chciałbyś do niego dołączyć?

O Be Joyful rozglądał się w milczeniu. Co miał odpowiedzieć? Był już skazany na wieczne potępienie, ale z powodu kształtowanych przez całe życie nawyków na pewne rzeczy nie mógł przystać. Martha i Gedeon na pewno patrzyli na niego z góry z żalem i pogardą. Lecz praca w królewskim kościele, w którym odprawiano anglikańskie nabożeństwa, którym rządziła anglikańska rada parafialna i anglikańscy biskupi – nie, nie mógł sprzeniewierzyć się ich pamięci, jeśli nawet sam był unurzany w grzechu.

Nigdy jeszcze nie widział takich rzeźb. I zrozumiał z całkowitą pewnością, że nigdy już nie znajdzie takiego mistrza. Słyszał z góry połajania Marthy: „Te rzeźby to bałwochwalstwo. Grzech". Wiedział, że to prawda. Umiłowanie doczesnego piękna było sprzeczne z tym, co uważał za święte i purytańskie.

Spojrzał na Mereditha. Rozejrzał się po warsztacie.

– Chcę pracować dla Grinlinga Gibbona – powiedział.

Jego prawdziwe nieszczęścia zaczęły się dopiero kilka miesięcy później. Odbudowa katedry Świętego Pawła odwlekała się z powodu ogromnych kosztów. Znaleziono jednak proste rozwiązanie: nałożono podatek na węgiel. Gdy w Londynie do nabrzeża przybijał statek z Newcastle z węglem do domowych kominków, wyładowane worki obkładano taksą – z każdych pobranych trzech szylingów cztery pensy szły na katedrę.

Gibbons już wcześniej pokazał O Be Joyfulowi drewnianą makietę wykonaną na podstawie wstępnego projektu Wrena – była to prosta konstrukcja z galeriami, która spodobała się Carpenterowi, bo przypominała mu protestancki zbór. Ale pieniędzy z podatku węglowego było w bród, więc król chciał czegoś wspanialszego. „Moi czeladnicy

pracują nad makietą nowego kościoła – powiedział Gibbons. – Będziesz im pomagał”.

Następnego ranka O Be Joyful pojawił się w warsztacie. Spodziewał się, że zastanie tam jednego lub dwóch czeladników, a makieta będzie miała wielkość stołu. Tymczasem zobaczył całą ekipę rzemieślników pracujących nad ogromnym modelem w skali jeden do trzydziestu, który miał sześć metrów długości i prawie dwa i pół metra wysokości. Dodatkową trudnością było to, że wykonywano go z dębiny, bardzo trudnej do obróbki snycerskiej. Co więcej, należało odtworzyć każdy szczegół, każdy gzyms, zarówno w środku, jak i na zewnątrz.

„Dobry Boże – mruknął. – Łatwiej będzie zbudować prawdziwą katedrę”.

Szkice, na podstawie których mieli pracować, przychodziły we fragmentach, ale ogólny zarys był jasny: wspaniała klasycystyczna budowla na planie greckiego krzyża, duże rzymskie okna, portyki z frontonami. Brakowało jeszcze szkiców dachu, ale i tak mieli co robić. Wielka bazylika miała mieć korynckie kolumny, to zadanie przypadło O Be Joyfulowi. Podobała mu się ich czysta prostota. „Ale diabelsko trudno się je rzeźbi”, przyznawał. Już od miesiąca pracował nad nimi, dzień w dzień, a w tym czasie ściany modelu pięły się coraz wyżej. Wren często zaglądał do warsztatu, mówił coś, a potem wybiegał w pośpiechu. O Be Joyful był mimo wszystko dumny ze swojej pracy.

Któregoś popołudnia, tuż przed fajrantem, pojawił się Meredith i skinął na niego.

– Powinieneś coś zobaczyć – powiedział.

Kilka minut później znaleźli się w miejscu, gdzie dawniej stała katedra. Meredith pokazał mu dół w ziemi.

Wren chciał, aby jego najwspanialsze dzieło przetrwało po wsze czasy, więc postanowił wznieść je na mocnych i głębokich fundamentach. Wywiercono kilka otworów, żeby zbadać stan gruntu. Pięć metrów, dziesięć, wwiercano się coraz głębiej, poniżej istniejących fundamentów, poniżej fundamentów poprzedniej świątyni, poniżej saskich pozostałości. Ale wielki architekt wciąż nie był zadowolony. „Kopcie głębiej”, rozkazywał.

– Spójrz. – Meredith otworzył stojącą obok skrzynię i pokazał Carpenterowi fragmenty rzymskich płytek i ceramiki. – To pozostałości z czasów, gdy miasto należało do Rzymian. – Ale wykopy sięgały głębiej, aż do pokładów piasku, a potem muszli. Meredith się uśmiechnął. – Najwyraźniej to miejsce było kiedyś zalane morzem. Kto wie, może nawet w czasach Noego.

O Be Joyful pomyślał z zachwytem, że dzięki temu fundamenty nowego kościoła będą sięgać aż do czasów biblijnego potopu.

– Na głębokości trzynastu metrów udało im się w końcu dotrzeć do żwiru i gliny – wyjaśnił Meredith.

Gdy O Be Joyful pojawił się następnego dnia w warsztacie, przeżył prawdziwy wstrząs. Przyniesiono szkice dachu.

– On chce tym przykryć świątynię? – Nie tylko on patrzył z przerażeniem na rysunek. Bo oto nad centralnym skrzyżowaniem naw Wren zaprojektował ogromny, otoczony kolumnami bęben, nad którym majestatycznie wznosiła się ku niebu wspaniała kopuła. – Tak nie wolno! – zaprotestował.

Wszyscy rozumieli, co taki projekt oznacza. Żaden kościół w Anglii nie został tak pohańbiony. Z tym kształtem kopuły, z korynckimi kolumnami – nagle wszystkie szczegóły ułożyły się w kompletną całość – świątynia była

jeśli nie kopią, to na pewno siostrą osławionej budowli, którą każdy purytanin uważał za siedlisko nieprawości.

– Na Boga! – krzyknął. – Przecież to wygląda jak bazylika Świętego Piotra w Watykanie. To katolicki kościół!

Przerażony O Be Joyful wybiegł z warsztatu.

– Kształt świątyni nie ma związku z religią – tłumaczył mu godzinę później Meredith, przyszedłszy do jego domu. – Katolicy modlą się w najrozmaitszych kościołach. A Wren – dorzucił na pocieszenie – jest synem anglikańskiego duchownego, a nie papistą.

Jednak O Be Joyful nie dał się przekonać.

– Może co do Wrena masz rację! – zawołał. – Ale co z królem?

Odpowiedź na to pytanie nie była już taka łatwa.

Gdy Karol II zasiadł na tronie, sytuacja wydawała się jasna. Władca usankcjonował Kościół anglikański – Kościół jego ojca i dziada, kompromis królowej Elżbiety. Purytanom to się nie podobało, ale przynajmniej został zakazany katolicyzm. I to zakończyło spory.

Ale czy rzeczywiście? Dwór Stuartów zawsze miał katolickie zabarwienie, które się pogłębiło, gdy król przebywał na wygnaniu. Żona władcy była katoliczką, podobnie jak mieszkająca we Francji siostra i wielu najbliższych przyjaciół. Należało przyznać, że Karol II niewzruszenie odgrywał rolę anglikanina. Ale w miarę upływu lat coraz więcej poddanych odnosiło wrażenie, że za bardzo brata się ze swoim kuzynem Ludwikiem XIV, najbardziej chyba katolickim spośród francuskich monarchów. Gdy niedawno zawiązali sojusz, aby zgnieść największego handlowego konkurenta Anglii, protestancką Holandię rządzoną przez Wilhelma Orańskiego, parlament zaczął się niepokoić.

„Osłabienie Holendrów, proszę bardzo. W końcu to nasi rywale. Ale lepiej ich nie niszczyć, bo to nasi bracia w wierze. I chyba nam nie zależy,

by całe wybrzeże Europy było katolickie?”. Przyjaźń Karola z Ludwikiem trwała, więc parlament, chcąc wzmocnić swoją pozycję, podjął nagle działania przeciwko królowi. Zgodnie z uchwaloną w 1673 roku ustawą sprawdzającą każda osoba piastująca urząd publiczny musiała nie tylko być anglikaninem, ale także oświadczyć pod przysięgą, że nie wierzy w cud przeistoczenia zachodzący podczas katolickiej mszy świętej. Temu nakazowi żaden uczciwy katolik nie mógł się podporządkować. Wszyscy czekali, co z tego wyniknie. I po dwóch miesiącach książę Yorku, brat samego króla, zrezygnował z urzędu Lorda Wysokiego Admirała. Był katolikiem.

Jakub był człowiekiem prawym i uczciwym. Niemal wszyscy darzyli go sympatią, pamiętając zwłaszcza jego zaangażowanie podczas Wielkiego Pożaru. Powszechnie uważano, że zachował się honorowo, ale mimo to szok był teraz potężny. Karol II miał – jak niektórzy sądzili – trzynaścioro dzieci z nieprawego łoża, za to wszystkie ciąże królowej kończyły się poronieniami. Dlatego Jakub mógł zostać następcą tronu. Na szczęście Karol cieszył się dobrym zdrowiem, liczono więc, że przeżyje brata. Dwie córki Jakuba były zadeklarowanymi protestantkami. Wydawało się, że kryzysowi wciąż można zapobiec. Rojaliści, wśród nich Julius Ducket, zaręczali, że królowi można ufać, a Kościół anglikański nie jest zagrożony.

– Naprawdę nie jest? – spytał O Be Joyful.

– Nie jest, możesz mi wierzyć – zapewnił go Meredith.

O Be Joyful wrócił do pracy przygnębiony i targany wątpliwościami. Kilka razy prosił Gibbonsa, żeby przydzielił mu inne zadania, ale jego umiejętności były zbyt cenne. Powoli rzeźbił kolumny i kapitele otaczające wielką kopułę, ze smutkiem wykańczał ostatnie szczegóły, z rozpaczą patrzył, jak młodsi terminatorzy polerują dębowy model, lśniący, jakby był wykonany z brązu.

– To prawdziwe dzieło sztuki – oznajmił Meredith, widząc makietę.

O Be Joyful starał się nie myśleć o wyglądzie odbudowywanej katedry.

Był więc bardzo zaskoczony, gdy kilka tygodni temu Meredith, spotkawszy go przypadkowo na Cheapside, podszedł do niego z uśmiechem.

– Chodź, pokażę ci coś, co na pewno ci się spodoba.

Minęli plac budowy i poszli do kreślarni, gdzie na ścianach wisiały wielkie arkusze z projektami.

– Model, nad którym pracowałeś, został odrzucony – wyjaśnił Meredith. – Papistyczna kopuła nie podobała się też władzom kościelnym. Zaaprobowano tę wersję.

O Be Joyful patrzył w milczeniu. Rysunki były godne uwagi. Budowla była dłuższa, węższa, przypominała zwykły kościół, choć zachowały się niektóre klasycystyczne elementy. Brakowało kopuły nad skrzyżowaniem naw. Zamiast niej wznosiła się wysoka iglica – klasyczna w formie, ale zdecydowanie odwołująca się do dawnej świątyni. To prawda, projekt był nieco niezdarny, jakby nie wyszedł spod ręki Wrena, ale zaspokajał rozmaite oczekiwania.

– Sam widzisz, nie ma kopuły – powiedział Meredith. – Prace mają się zacząć natychmiast – dorzucił.

Oto stał teraz z Grinlingiem Gibbonsem, Wrenem i innymi rzemieślnikami. Mieli być świadkami zorganizowanej na poczekaniu ceremonii – żadna formalna uroczystość z udziałem najważniejszych osobistości, lecz skromne zgromadzenie zwykłych robotników, zwołane niemal w ostatniej chwili. Nie przygotowano nic szczególnego. Wszyscy oprócz O Be Joyfula byli w dobrych nastrojach. Nawet nie zauważył, że patrzą na niego i się śmieją.

Christopher Wren wpadł na pomysł, aby w centralnym punkcie nowego kościoła ustawić pamiątkowy kamień. Któryś z murarzy już miał zamiar poszukać czegoś odpowiedniego na dziedzińcu, gdy wielki architekt spojrzał na Carpentera i przypomniał sobie jego niezwykłe imię.

– O Be Joyful! – zawołał. – Idealne imię do takiej misji. Idź z nim i znajdź mi ten kamień. – Reszta roześmiała się pogodnie.

W tym śmiechu O Be Joyful usłyszał nutę drwiny. Śmiali się nie z jego imienia, ale z jego głupoty. Czyżby znali jego sekret? Niemożliwe. Jednak Wren, Gibbons i inni z całą pewnością coś knuli, a śmiali się, bo uważali, że niczego się nie domyśla. Przeklął ich wszystkich w duchu i poszedł wykonać polecenie.

Szukali we dwóch na dziedzińcu przez dobrych kilka minut. Nie chcieli zbyt długo zwlekać, więc w końcu wybrali płaski kamień, który był kiedyś fragmentem nagrobka. Miał wyryte jedno słowo. Murarz nie umiał czytać. O Be Joyful powoli złożył litery, ale nie zrozumiał ich znaczenia. Wzruszył ramionami.

– Ten musi wystarczyć – powiedział.

Ku ich wielkiemu zdziwieniu zawsze powściągliwy Wren aż klasnął w ręce z radości na widok kamienia.

– O Be Joyful, jesteś wspaniały! – zawołał. – Wiesz, co to znaczy? – Odwrócił kamień, żeby wszyscy mogli zobaczyć łacińskie słowo: RESURGAM.

– To znaczy: „I znowu powstanę” – wyjaśnił Wren. – Oto ręka Opatrzności.

Ułożyli kamień napisem do góry na środku podłogi wielkiej świątyni.

O Be Joyful nawet nie raczył się uśmiechnąć. Czuł się upokorzony, bo doskonale wiedział, co będzie się wznosić nad tym przeklętym kamieniem. Zrozumiał wszystko dzień po tym, gdy Meredith pokazał mu nowe rysunki.

A teraz, patrząc na roześmianą twarz Wrena, nie miał już żadnych wątpliwości. To nie do pomyślenia, aby ten wielki architekt naprawdę zamierzał zbudować wielką, niezgrabną konstrukcję widoczną na szkicach. A to oznaczało jedno. Projekt katedry Świętego Pawła jest fałszywy, ma wszystkich uciszyć, a Wren jedynie gra na zwłokę. Zamierza wznieść papistyczną katedrę z papistyczną kopułą. On tylko udaje anglikanina, pomyślał O Be Joyful. Mówi, że jest wolnomularzem, a tak naprawdę jest kłamliwym jezuitą.

Choć wstydził się i był skazany na wieczne potępienie, O Be Joyful wykrzesał w sobie resztki dumy. „Jeśli on zbuduje kopułę, to odmówię prac przy kościele, jeśli nawet Gibbons mnie wyrzuci”, przysiągł sobie w duchu. Poznał niegodziwą tajemnicę katedry Świętego Pawła, ale przynajmniej raz zachowa się zgodnie ze swoim sumieniem.

Rok 1679

Pewnego czerwcowego dnia 1679 roku sir Julius Ducket uwierzył w końcu, że klątwa rzucona przez Jane Wheeler utraciła moc.

Jadąc powozem przez Pall Mall, mimo swoich siedemdziesięciu sześciu lat był podekscytowany jak młodzieniec. Kto by pomyślał, że w tym wieku otrzyma podobne wezwanie! Był tak zadowolony, że nie tylko zamówił u krawca nowy strój, ale całkowicie odmienił swój wygląd: miał na głowie wielką szarą perukę.

Moda ta, jak każda inna, przywędrowała z królewskiego dworu – tym razem z dworu potężnego Ludwika XIV, króla Francji. Karol zapoczątkował ją w Whitehall niedługo po pożarze. I choć mężczyźnie w wieku sir Juliusa wybaczono by, gdyby pokazał się na dworze bez peruki, to on postanowił jednak, że w takim dniu godnie się zaprezentuje. Peruka, którą miał na sobie, nie była zwykłą namiastką włosów. Miała mocno

skręcone loki, nawiązujące do długich włosów noszonych przez zwolenników Karola I, które w dwóch połach spływały po bokach aż do ramion. Peruki były drogie, ale miały być podstawowym elementem stroju klas wyższych jeszcze przez ponad sto lat, a w angielskich sądach przetrwały o wiele dłużej.

Jednak sir Julius czuł się tego dnia młodszy nie tylko z powodu eleganckiego wyglądu: miasto wokół tętniło życiem. Nowe budynki powstawały zarówno w centrum, jak i wokół Whitehall. Na północy zaprojektowano klasycystyczny Leicester Square. Na zachód, przy północnej granicy St James's Park, dawna zadrzewiona aleja Pall Mall zamieniła się w długą ulicę z pięknymi rezydencjami. Mieszkała tam szlachta, arystokracja, a nawet aktorka Nell Gwynn, obecnie ulubiona kochanka króla. Na północ od Pall Mall ukończono już prawie całą St James's Street, Jermyn Street oraz majestatyczny St James's Square. To był West End, nowa siedziba arystokracji. W porównaniu z jego prostymi arteriami i rozległymi placami nawet zromanizowane centrum wydawało się ciasne. Julius z przyjemnością patrzył na kwitnący Londyn, bo jego majątek rósł równie szybko. Jakiś czas temu otrzymał zgodę na zbudowanie kilku ulic na dawnych terenach myśliwskich – nazywanych Soho od prastarego zawołania łowieckiego – leżących na północ od Leicester Square. Sporo na tym zarobił.

Sir Julius czuł się podniesiony na duchu przede wszystkim dlatego, że był potrzebny. Monarchia znów popadła w tarapaty i król poprosił go o pomoc.

Cała sprawa wyglądała absurdalnie, choć dotyczyła sukcesji. Karol II wciąż nie miał prawowitego następcy. Miał za to wiele nieślubnych dzieci, w tym lubianego i bardzo inteligentnego protestanta – diuka Monmouth. „Bękart nie może zasiąść na tronie – mówił Julius. – Chociażby dlatego, że

jest ich tak wielu, że w przyszłości groziłoby to wojną domową". Prawowite pochodzenie było najważniejszym kryterium. A to oznaczało, że po Karolu na tronie zasiądzie jego brat Jakub – katolik.

Jakub miał dwie córki, Marię i Annę, i obie z całą pewnością były protestantkami. Ku powszechnemu niezadowoleniu po śmierci ich matki książę Yorku ożenił się z katoliczką, ale z tego związku nie dochował się potomstwa. Na dodatek król, chcąc uspokoić protestanckich poddanych, wydał swoją siostrzenicę Marię za najbardziej protestanckiego Holendra, czyli Wilhelma Orańskiego, śmiertelnego wroga Ludwika i innych katolickich monarchów. „A więc nawet jeśli Karol umrze wcześniej niż jego brat – tłumaczył rodzinie Julius – to Jakub będzie panował krótko, a potem na tronie zasiądzie najbardziej protestancka para królewska w Europie. Naprawdę nie ma powodu do zmartwień".

Tak naprawdę był jeden powód. Nazywał się Titus Oates.

Historia zna wiele oszustw, ale żadne nie okazało się tak tragiczne w skutkach jak to z 1678 roku. Znany krętacz Titus Oates – miał pałąkowate nogi i zapadnięte policzki – po licznych niepowodzeniach życiowych wpadł nagle na pomysł, jak zyskać jeszcze większą sławę. Z pomocą wspólnika odkrył straszliwy spisek, który zatrząsł całą Anglią. Według niego spiskowcami byli papiści. Zamierzali zabić króla, a następnie osadzić na tronie Jakuba, księcia Yorku, i podporządkować Anglię papieżowi. W spisek wplątana też była armada, inkwizycja i wszyscy, których nienawidzili angielscy purytanie. Jak się można domyślać, spisek był wymyślony od początku do końca. Niektóre szczegóły brzmiały wręcz absurdalnie. Gdy Oats zapewniał, że przywódcą spisku jest jeden z katolickich parów – nie wiedząc, że człowiek ów od dawna nie wstaje z łóżka z powodu choroby – król Karol wybuchnął śmiechem. Ale jak to zwykle w polityce, prawda nie miała znaczenia. Liczyło się tylko to, w co

ludzie uwierzą. Sojusznicy króla w parlamencie protestowali, a zagorzali purytanie oraz ci, którzy dążyli do osłabienia korony, podnieśli wrzawę, domagając się sprawiedliwości. Zwolennicy Oatesa paradowali po Londynie z przypiętymi zielonymi kokardami. Rozpoczęły się prześladowania katolików. Oates otrzymał apartament niedaleko Whitehall i odtąd żył jak książę. I coraz śmielej domagano się zmiany następcy tronu. Niektórzy widzieli na tym miejscu Wilhelma Orańskiego, inni bękarta, diuka Monmouth. Ale najgłośniej brzmiał okrzyk: „Wykluczyć z sukcesji Jakuba! Precz z królem papistą!”. Izba Gmin przygotowała stosowną ustawę wspieraną przez większość. Nawet Izba Lordów zaczęła się wahać.

Sir Julius Ducket nie miał wątpliwości. Trzeźwo oceniał kwestię sukcesji, nie wierzył w rewelacje Oatesa, ale przede wszystkim był związany przysięgą i zobowiązaniem dozgonnej wierności. Należał do torysów.

Na końcu Pall Mall znajdował się wjazd do pałacyku St James’s, w którym król czasem się zatrzymywał i skąd było blisko do St James’s Park. Kilka minut później sir Julius szedł przez trawnik ku długiej alei drzew biegnącej przez środek parku, gdzie Karol II zażywał świeżego powietrza.

Dziwne uczucie. Julius przypomniał sobie nagle spotkanie sprzed czterdziestu lat, gdy jego brat Henry zabrał go do Greenwich przed oblicze Karola I. Ale cóż to za kontrast! Pomyślał o tamtym królu, drobnym, cichym mężczyźnie prowadzącym cnotliwe życie i zachowującym oficjalną uprzejmość, i porównał go z jego rosłym synem, który właśnie szedł mu na spotkanie. Karol II był bezpośredni i naturalny. Podczas wyścigów w Newmarket, które tak lubił, chętnie mieszał się z tłumem, każdy mógł z nim porozmawiać. A o jego cnotliwości świadczył rój kobiet idący z nim przez park, wśród których była jego faworyta Nell Gwynne. Jeden ze

spanieli podbiegł do Juliusa i zaczął obwąchiwać mu stopy. Król przywitał Ducketa serdecznie.

– No i jak, mój zacny Juliusie, wybrałeś już sobie nowe imię? – spytał.

Sir Julius miał otrzymać tytuł lorda. Karol II chętnie wynagradzał w ten sposób przyjaciół – większości swoich nieślubnych dzieci przyznał tytuł diuka. Jednak w przypadku Juliusa za tą decyzją stały też względy praktyczne. Członek szanowanego londyńskiego rodu nieskażonego papizmem, człowiek, z którego zdaniem wszyscy się liczyli, był bardzo potrzebny królowi w Izbie Lordów, zwłaszcza że jesienią znów miała być dyskutowana kwestia sukcesji.

– Chciałbym być lordem Bocton.

Wybór był oczywisty. Bocton – pradawna siedziba jego rodu.

Król skinął głową w zadumie.

– Możemy liczyć na twoje wsparcie w sprawie Ustawy o wykluczeniu [26]? Chyba nie opuścisz naszego brata Jakuba?

– Przysiągłem waszemu ojcu, że będę wspierał jego synów.

– A więc jesteś naszym przyjacielem. Właśnie sobie pomyślałem – król zwrócił się do swoich towarzyszy – że lord Bocton to za mało. Masz już baronię Bocton, drogi lordzie – oświadczył z uśmiechem – ale co powiesz na tytuł earla [27]?

– Słucham? – Juliusowi odebrało mowę z wrażenia. Tytuł barona, przyznawany angielskim parom, był dużym wyróżnieniem. Wyżej w hierarchii stał tytuł wicehrabiego, ale na samym szczycie znajdowały się trzy tytuły ścisłej arystokracji: earl, markiz i diuk. Ród, który wspiął się na ten oszałamiający poziom, miał nad sobą już tylko monarchę i wrota do nieba. – Godność hrabiowska? – powtórzył, jakby chciał się upewnić.

– A jakiego tytułu byś sobie życzył? – spytał Karol ze śmiechem.

Jeszcze jeden tytuł? Sir Julius osłupiał i z trudem zbierał myśli.

Wahał się przez dłuższą chwilę, aż w końcu Nell Gwynn zawołała żartobliwie:

– Ależ lordzie Bocton! Chyba nie każesz nam stać cały dzień w parku St James’s i czekać, aż zostaniesz earlem! Wymyśl sobie jakieś imię!

– Czy mógłbym zostać earlem St James? – spytał nieco zmieszany, podchwytując usłyszane słowa.

– Postanowione! – zawołał król wesoło. – Drogie panie, okażcie szacunek naszemu wiernemu przyjacielowi. Nie mamy ich zbyt wielu. Od dziś jesteś earlem St James i baronem Bocton. Liczę na ciebie. – Karol doskonale wiedział, że nadawanie godności hrabiowskich zapewnia mu całkowite poparcie. I to bez żadnych kosztów z jego strony. Najchętniej obdarowałby tym tytułem setkę podobnych ludzi.

Godzinę później nowo mianowany earl St James wracał Pall Mall. Wciąż kręciło mu się w głowie, gdy rozważał konsekwencje dzisiejszego wydarzenia. Został earlem, a jego najstarszy syn będzie nosił tytuł lorda Bocton. Na herbie Ducketów pojawi się korona ozdobiona girlandą liści truskawek, zastrzeżona dla hrabiów. Ojciec zawsze powtarzał, że ich rodzina została wyróżniona, co znaczyło, że wybrał ich sam Bóg. Jednak Julius czuł w głębi duszy, choć nigdy by się do tego nie przyznał, że tytuł hrabiowski jest bardziej kuszący niż obietnica nieba.

Powóz minął właśnie Whitehall i zbliżał się do dawnego Savoyu, gdy Julius zauważył grupę mężczyzn z zielonymi kokardami wigów. Najwyraźniej zmierzali do pałacu, żeby urządzić małą demonstrację. Wzruszył ramionami na ich widok; nie zaprzątałby sobie nimi głowy, gdyby nie pewien mężczyzna. Jego okrągła twarz i ponura mina wydały mu się znajome. Gdy zbliżali się do Temple, przypomniał sobie: to O Be Joyful z przeklętej rodziny Carpenterów. Wraz z tym nazwiskiem wróciło wspomnienie Jane i jej klątwy. Nie myślał o niej od wielu tygodni.

Uśmiechnął się. Dzisiejszy dzień stanowił ostateczny dowód, że klątwa Jane nie miała mocy.

Latem O Be Joyful zdał sobie w pełni sprawę z perfidii papistycznego planu Christophera Wrena.

Zazwyczaj pierwszym etapem budowy dużych kościołów było ukończenie wschodniej części. Dzięki temu można było odprawiać nabożeństwa, gdy prace toczyły się dalej. Jednak gdy O Be Joyful mijał plac budowy, wydawało mu się, że robotnicy uwijają się w innych częściach, i wkrótce stało się jasne, że Wren chce najpierw położyć całe fundamenty. Wielki architekt postąpił tak przy wznoszeniu innych świątyń, więc Carpenter nie zwrócił na to szczególnej uwagi, ale jego podejrzenia nasiliły się pod koniec 1677 roku. Chciał jeszcze raz zobaczyć rysunki katedry z iglicą i zajrzał do kreślarni, w której pracowali nadzorcy robót. Zastał jedynie sympatycznego pisarczyka, któremu wyjaśnił, że pracuje dla Gibbona, więc przyszedł, żeby obejrzeć plany.

– Tu nie ma planów – odpowiedział pisarz. – Wszystkie zabrał sir Christopher.

– Przecież coś musiało zostać – upierał się O Be Joyful.

– Mnie też to dziwi. Ale mamy jedynie rzut poziomy, bez żadnych rysunków elewacji, żadnych modeli. Wren przynosi nam szkice części, nad którymi akurat pracujemy. Reszta jest chyba w jego głowie.

Pierwsze znaki na niebie pojawiły się wiosną następnego roku. Czegoś podobnego nigdy dotąd nie widziano. Nie było wątpliwości. Pojawiało się jedno za drugim. Najpierw dwa zaćmienia Księżyca, a potem pierwsze zaćmienie Słońca, drugie, a po nim trzecie. I wtedy Titus Oates potwierdził najgorsze obawy O Be Joyfula. Papiści zawiązali spisek, a sir Christopher Wren – co do tego Carpenter nie miał wątpliwości – dołączył do nich.

Miał ochotę zadenuncjować Wrena, ale gdyby się do tego posunął, straciłby pracę, zresztą nikt by mu nie uwierzył. Brał udział w marszach wigów, ale gdy minął rok i mimo kolejnych rewelacji Oatesa dwór królewski trwał, O Be Joyful myślał z coraz większą goryczą: co by na to powiedziała Martha?

W największą konsternację wprawiało go zachowanie Mereditha. Kilka razy wspomniał mu o swoich obawach w związku z papistyczną katedrą Wrena, ale nawet gdy Oats ujawnił katolicki spisek, Meredith zachował spokój.

– Zaćmienie to bardzo pożądane zjawisko – tłumaczył Carpenterowi. – Dzięki zaćmieniom możemy dokładnie wyznaczać ruch ciał niebieskich.

– To nie są znaki od Boga? – spytał O Be Joyful z lękiem.

Meredith się uśmiechnął.

– Te znaki pokazują, jakim wspaniałym dziełem Boga jest wszechświat. – Najlepiej, jak mógł, wytłumaczył Carpenterowi budowę Układu Słonecznego i mechanizm zaćmień. – Każde zaćmienie da się dokładnie przewidzieć. Należy też sądzić, że nawet wędrujące gwiazdy, czyli ogniste komety dawniej budzące w ludziach strach, poruszają się po trasach, które już niedługo będziemy umieli wytyczać. – Tak przynajmniej uważał jeden z członków Towarzystwa Królewskiego, Edmond Halley, który właśnie powrócił do Londynu z podróży na półkulę południową, gdzie sporządzał mapy nieba. – Zaćmienia, ruchy komet i innych ciał niebieskich są skutkiem praw fizyki, a nie żałosnych czynów ludzkich – zakończył Meredith.

Te słowa wcale nie uspokoiły O Be Joyfula. Wszechświat opisany przez Mereditha jawił się jako wielka machina pozbawiona Boga.

– Chcesz powiedzieć, że poprzez zaćmienia czy komety Bóg nie daje nam znaków?

– Bóg może wszystko – odparł Meredith ze śmiechem. – Ale tego akurat nie robi. Więc nie masz się czym martwić.

O Be Joyful martwił się tym bardziej. Przyszło mu nawet do głowy, że cała ta nauka, Towarzystwo Królewskie i obserwatorium są dziełem szatana. W końcu Wren był astronomem. Z bólem pomyślał, że Meredith, którego uważał za zacnego człowieka, nieświadomie podąża ścieżką wiodącą do piekła.

Ale dopiero latem 1679 roku O Be Joyful na wskroś przejrzał przebiegłość Christophera Wrena. Pracował wtedy nad snycerską obróbką ambony do odbudowywanego kościoła St Clement Danes i w drodze powrotnej do domu często przechodził obok katedry. Któregoś wieczoru przystanął, żeby porozmawiać z jednym z murarzy. Patrząc w głąb ogromnego wnętrza, zauważył, że w całym kościele ściany pną się do góry.

– Wren buduje od razu wszystko – potwierdził murarz. – W każdym razie tak nam się zdaje. Nie wiem, po co to robi.

Nagle O Be Joyful zrozumiał. Dziwił się jedynie, że nie dostrzegł tego wcześniej.

– Jak to po co? – powiedział z goryczą. – Zanim ludzie się zorientują, będzie już za późno, żeby cokolwiek zmienić. I albo pozwolą mu dokończyć budowę zgodnie z jego zamierzeniem, albo będą musieli zburzyć wszystko i zacząć od nowa.

Ten nikczemny architekt jest bardzo sprytny, pomyślał z mimowolnym podziwem.

– Ale czego on chce? – spytał murarz.

– Poczekaj kilka lat – odparł Carpenter – a sam się przekonasz.

Gdy jesienią parlament zebrał się ponownie, a Izba Gmin opowiedziała się za wykluczeniem katolika Jakuba z sukcesji, O Be Joyful – mając już dostateczną wiedzę o spisku – wcale nie był zaskoczony, że Izba Lordów

odrzuciła ustawę i wsparła Jakuba. Doszło też do niego, że podczas zaciętej debaty szczególnie wyróżniał się nowo mianowany earl St James, z przekonaniem popierający króla i jego brata.

Spisek sięgał głęboko. Na oczach O Be Jofula świetliste miasto na górze przygotowywano do rządów Nikczemnika. Wyglądało na to, że sir Julius Ducket dołączy do diabelskiego stronnictwa i powiedzie wszystkich do piekła.

Rok 1685

Wtulały się w niego przerażone dzieci. Jeden z żołnierzy, nie zsiadając nawet z konia, strząsał z drzewa orzechy, a dwaj inni spętali wieprza i podcięli mu szablą gardło. Dowódca dragonów spojrzał na Eugene'a z zimną nonszalancją.

– Będą nam potrzebne trzy wasze izby.

– A gdzie my mamy spać? – spytała żona.

– Jest jeszcze stodoła, madame. – Oficer wzruszył ramionami. Przyjrzał się dwóm małym dziewczynkom. – Ile mają lat?

– Nie skończyły jeszcze siedmiu, *monsieur le capitaine* – odparł Eugene oschle. – Zapewniam was.

Niepotrzebnie wróciłem, pomyślał.

Z każdym kolejnym rokiem francuscy hugenoci przekonywali się, że mimo ochrony gwarantowanej przez edykt nantejski ich katolicki władca jest coraz mniej tolerancyjny. Zakazano zwoływania kalwińskich synodów, pastorzy musieli płacić specjalne podatki, protestantom nie wolno było zawierać związków małżeńskich z katolikami. A ci, którzy zechcieli okazać poprawę, otrzymywali ulgi podatkowe w zamian za wyrzeczenie się herezji i powrót na łono Kościoła katolickiego. Ostatnio król Ludwik sięgnął po ostrzejsze środki. Wszystkie dzieci z hugenockich rodzin po ukończeniu

siedmiu lat musiały zmienić wyznanie – bez zgody rodziców. Eugene wiedział, że za dwa lata ten los czeka też jego córki. Nie naraziłby ich na to, gdyby został w Londynie.

Powrót do Francji okazał się niepomyślny. Jego ojciec wpadł w złość. „Miałeś przygotować dla nas dom w Anglii”, przypomniał chłodno i przez rok nie odzywał się do syna. Rozdźwięk udało się załagodzić dopiero, gdy Eugene ożenił się z hugenotką, której ojciec wysyłał z Bordeaux ładunki wina. Starzec zmarł pięć lat wcześniej – byli już wtedy w dobrych stosunkach – i Eugene został głową rodziny. To bynajmniej nie zakończyło rodzinnych waśni. Rok później młoda wdowa po ojcu zmieniła wyznanie, wyprowadziła się i wyszła za katolika, właściciela niewielkiej winnicy. W rezultacie Eugene miał pod opieką nie tylko swoje dwie córeczki, ale też niezamężną siostrę przyrodnią, która nie chciała podążyć za matką.

Życie hugenotów nigdy nie było łatwe, ale dopiero od czterech lat za sprawą Ludwika XIV stało się nie do zniesienia. Król wymyślił prosty sposób: rozlokowywał w ich domach żołnierzy. Eugene wiele razy słyszał, że dragoni wyjadają wszystkie zapasy, niszczą meble, a nawet napastują żony i córki hugenotów. Oficjalnie król mógł wciąż utrzymywać, że hugenoci cieszą się wolnością wyznania, jednak prowadzona przez niego polityka w praktyce oznaczała prześladowania. Eugene nieraz się zastanawiał, czy nie powinni wyemigrować do Anglii, nie chciał jednak opuszczać miejsca, które tak bardzo kochał. Poza tym wyjazd wiązał się ze znacznymi kosztami.

„Król zabronił poddanym opuszczać Francję bez pozwolenia. A to oznacza, że gdybyśmy chcieli sprzedać dom albo meble, natychmiast trafilibyśmy do aresztu jako podejrzani – ostrzegł żonę. – Jeśli wyjedziemy, to tylko z tym, co weźmiemy w ręce”.

Zegarmistrzowski fach zapewniał im skromne utrzymanie – jedynym majątkiem rodziny był odziedziczony po ojcu dom i sad. Dlatego jak większość hugenotów modlili się z pastorem i czytali Biblię, czekając na lepsze czasy. Aż do tego dnia.

– Jak długo wasi dragoni będą zajmować nasz dom? – spytał Eugene dowódcę.

– Kto wie? – odpowiedział oficer. – Może rok, a może dwa.

– A gdybym przeszedł na katolicyzm?

– Wtedy, monsieur, wynieślibyśmy się choćby jutro.

Oficer zgrzeszyłby naiwnością, gdyby sądził, że hugenot zamierza ulec.

– A więc witam w moim domu, *monsieur le capitaine* – powiedział Eugene z nutą ironii. – Mam nadzieję, że będzie się wam dobrze mieszkać.

Przez dwa miesiące – gdy rodzina spała w stodole, a żołnierze w domu – nie skarżył się i nie narzekał. Raz nawet wydało mu się, że oficer spojrzał na niego z pewnym zakłopotaniem.

– Któregoś dnia oni stąd wreszcie pójdą – powiedział dzieciom. – Musimy być cierpliwi.

Tak mijał dzień za dniem, aż któregoś popołudnia na podwórzu pojawił się oficer. Miał poważną minę.

– Przywożę wieści, które mogą całkowicie odmienić wasze położenie – oświadczył. – Edykt nantejski został unieważniony. Koniec z tolerancją. – Zapadła pełna grozy cisza. – Wszyscy hugenoccy pastorzy są skazani na banicję – ciągnął dowódca. – Jeśli któregoś przyłapią na duszpasterstwie, zostanie stracony. Hugenotom takim jak wy nie wolno wyjeżdżać z kraju. Wasze dzieci przejdą na katolicyzm. Tak mówi nowe prawo.

W milczeniu wrócili do stodoły. Tuż przed północą Eugene obudził dzieci i żonę.

– Odziejcie się jak najcieplej i włóżcie buty – nakazał im. – Uciekamy.

Jako duchowny Meredith nie powinien tak postąpić, a jednak gdy szedł z London Bridge ku Eastcheap i zobaczył zbliżającego się ponurego jak zwykle O Be Joyfula, postanowił się ukryć. Dziękując Opatrzności, że ostrzegła go na czas, schował się w bramie.

Po chwili usłyszał szuranie stóp i ciężkie westchnienie i z przerażeniem zobaczył plecy Carpentera, który przysiadł na schodku nie dalej niż dwa metry od niego. Jestem w pułapce, pomyślał. Pozostało jedno: wejść na schody w głębi. Pięć minut później patrzył z wierzchołka Monument of London.

Monument zaprojektowany przez Wrena wyglądał imponująco. Była to prosta dorycka kolumna upamiętniająca Wielki Pożar, wzniesiona niedaleko dawnej piekarni przy Pudding Lane, gdzie strzelił ogień. Wzniesiona z wapienia portlandzkiego miała wysokość sześćdziesięciu dwóch metrów, a na jej wierzchołku znajdowała się płonąca urna z pozłacanego brązu, która świeciła w słońcu jasnym blaskiem. Spiralne schody prowadziły na balkon poniżej urny. Roztaczał się stąd niesamowity widok, przyprawiający wielu ludzi o zawrót głowy. Nacieszywszy oczy rozległą panoramą Tamizy, Meredith zerknął w dół, żeby sprawdzić, czy może zejść. Niestety O Be Joyful nie ruszył się z miejsca.

Zapewne popadł w zadumę – i nic dziwnego, bo mijający rok obfitował w ważne wydarzenia. W lutym nieoczekiwanie, bez żadnych zapowiedzi w postaci choroby, zmarł Karol II. Gdy jego brat został koronowany na Jakuba II, cała Anglia wstrzymała oddech w oczekiwaniu. Ku ogólnej uldze wiosenna ceremonia koronacji przebiegła zgodnie z anglikańskim obrządkiem, pojawiły się jednak sygnały, że król oczekuje większej tolerancji wobec swoich katolickich poddanych i nie pozwoli ich prześladować. Latem Titus Oates ostatecznie został uznany za oszusta; przywiązano go do wozu i biczowano przez całą drogę od Aldgate do

Newgate. Meredith pochwalał ten wyrok, w końcu Oates był wyjątkowym łotrem. Dużo groźniejsze okazało się powstanie protestantów, które Monmouth – zupełnie niesłusznie przekonany o swojej sile i wielkiej popularności – próbował wzniecić w West Country. Regularne wojsko pod dowództwem Johna Churchilla łatwo zgniotło rebeliantów, a nieszczęsny Monmouth zapłacił głową. Następstwa jego głupoty były zatrważające. Sędzia Jeffreys przeprowadził wiele przyspieszonych procesów, nazwanych „krwawymi rozprawami” – dziesiątki buntowników skazał na szubienicę. Jakub cieszył się, że awansował wcześniej Jeffreysa na sędziego. Meredith zdawał sobie sprawę, że O Be Joyful może godzinami rozmyślać o tych wydarzeniach.

W miarę upływu czasu on sam coraz mniej interesował się takimi sprawami. No bo czymże były przemijające ludzkie ambicje i konflikty wobec wielkich zagadek wszechświata? Zwłaszcza wobec tej największej, która jeszcze tego roku miała zostać wyjaśniona w Londynie.

Halley, wspierany przez Pepysa, ówczesnego przewodniczącego, zaproponował, aby Towarzystwo Królewskie opublikowało teorie sformułowane przez Isaaca Newtona, dość zgryźliwego profesora z Cambridge. Od wielu miesięcy Newton, przygotowując swoje prace do druku, wysyłał do obserwatorium w Greenwich niekończące się prośby o informacje związane z astronomią. Dzięki temu Meredith miał dość dobre pojęcie o newtonowskiej grawitacji, która go wprost zafascynowała. Wiedział, że siła, z jaką przyciągają się dwa ciała, zależy od kwadratu odległości między nimi. Wiedział też, że dwa obiekty spadające z pewnej wysokości będą się poruszać, niezależnie od ich masy, z tą samą prędkością. I kiedy patrzył w dół, przyszło mu do głowy, że Monument byłby doskonałym miejscem na demonstrację tych prawideł. Gdybym

upuścił teraz dwa przedmioty, pomyślał cierpko, to oba powinny jednocześnie spaść na głowę O Be Joyfula.

Siedzący na schodku Carpenter nie miał pojęcia o tych groźnych rozważaniach. Nie po raz pierwszy przyszedł pod Monument. Kilka miesięcy wcześniej, gdy podziwiał płaskorzeźby ozdabiające jego podstawę, jakiś miły dżentelmen przetłumaczył mu widniejące tam łacińskie napisy. Po opisie Wielkiego Pożaru następowało zdanie dodane po latach: „Papistyczne szaleństwo, które było przyczyną tych okropności, jeszcze nie wygasło".

„Bo jak pewnie wiecie – tłumaczył mu dżentelmen – za Wielkim Pożarem stali papiści".

Dowodem na to miało być to, że ich winę zapisano, i to na wielkim pomniku. Tak w każdym razie uważał O Be Joyful. Jeszcze przez pół godziny – Meredith zdążył porządnie zmarznąć – siedział pod Monument, zastanawiając się, do jakich jeszcze strasznych czynów posuną się katolicy.

Gdy wszystko było gotowe, odmówili modlitwę. A potem włożyli dzieci do beczek.

Teść Eugene'a był silnym, tęgim mężczyzną. Sam przypominał beczkę. Eugene zdawał sobie sprawę, że kupiec z Bordeaux pomoże im bardziej niż ktokolwiek inny. Im szybciej wyjadą, tym lepiej. „Inni hugenoci będą chcieli zrobić to samo i wkrótce wszystkie drogi ucieczki zostaną odcięte i znane władzom", tłumaczył żonie.

Ludwik XIV, nazywany Królem Słońce, rządził niepodzielnie, o czym nawet król Anglii Karol I, przekonany o swoim boskim posłannictwie, nie śmiał marzyć. Monarcha, który zbudował pałac w Wersalu, niemal pokonał protestanckich Holendrów i mógł podrzeć edykt nantejski, był władcą absolutnym i efektywnym. Zaledwie godzinę po tym, jak Eugen z rodziną

dotarli ukradkiem do domu kupca, jedno z dzieci przyniosło wiadomość, że na nabrzeżu żołnierze przeszukują wszystkie statki.

Ale Eugene nie bez powodu miał zaufanie do teścia.

– Wyprawię was na angielskim statku. Znam się z kapitanem od lat. Można mu wierzyć. – Westchnął. – To wasza jedyna szansa. – Statek płynął do portu w Bristolu.

Eugene podziękował teściowi za narażanie się w ich sprawie, a potem zapytał, czy też zamierza wyjechać.

– Nie, nie wyjadę – odparł mężczyzna ze smutkiem. – Będę musiał zmienić wiarę. – Wzruszył ramionami. – Wy jesteście młodzi. Ty masz fach w ręku, możesz pracować wszędzie. Ja zajmuję się wysyłką wina. Wszystko, co mam, jest tutaj, i wciąż muszę utrzymać piątkę dzieci. Więc przez jakiś czas będę katolikiem. Może niedługo moje dzieci do was dołączą.

Największym problemem okazało się przemycenie Eugene’a i jego rodziny na pokład. Jednak kupiec był pewny swego.

– To tylko pięć beczek pośród stu innych. Ulokują was w samym środku. – W każdej beczce wywiercono maleńkie otwory umożliwiające dopływ powietrza. – Mam nadzieję, że kapitan was wypuści, gdy znajdziecie się bezpiecznie na pełnym morzu – ciągnął. – Ale na wszelki wypadek… – Dał każdemu dzban z wodą i dwa bochenki chleba. – Pamiętajcie, że możecie spędzić w beczkach dużo czasu – ostrzegł. – Dlatego pijcie i jedzcie po trochu.

Rano baryłki z winem zaczęto przewozić na angielski statek. Nie było w tym nic niezwykłego. Marynarze ładowali towar niespiesznie. Młody oficer, dowodzący żołnierzami, obserwował ich uważnie, stojąc obok kupca, na którego rzucał od czasu do czasu podejrzliwe spojrzenia. Nagle zauważył, że jeden z tragarzy zachwiał się pod ciężarem beczki. Podszedł

do niego, wyciągnął rapier i nakazawszy mężczyźnie postawić ładunek na ziemi, z całej siły wbił ostrze w beczkę.

Rok 1688

Budowla wznosiła się majestatycznie na wzgórzu. Ściany były już gotowe, rozpoczynało się kładzenie dachu. Ogromna rzymska świątynia patrzyła na Ludgate, jakby stała w tym miejscu od zawsze. I chociaż nad skrzyżowaniem naw widniała ogromna, otwarta na niebo pustka, to układ kolumn wyraźnie zdradzał zamysł budowniczych. Król Jakub wsparł projekt całą mocą swojej władzy. Nałożono dodatkowe podatki, żeby sfinansować budowę, i chociaż nikt nie widział szkiców, było już wiadome, że wielka katedra Wrena zostanie przykryta ogromną, papistyczną kopułą. Nieco ją zmodyfikowano, ale O Be Joyful nie miał złudzeń, że będzie taka sama jak wielki drewniany model, przy którym pracował kilkanaście lat temu. Był też pewien, że odkąd na tronie zasiadł katolik, spisek osiągnął swój cel.

Wciąż wypełniał polecenia Grinlinga Gibbonsa – napełniało go to wstydem, ale przynajmniej starał się unikać prac, które wyglądały na zbyt papistyczne. Zatrudnienie przy odbudowie Mercer’s Hall dostarczało szczególnej satysfakcji, ale dwa lata wcześniej udało mu się wymigać od rzeźbienia fryzu przeznaczonego na pomnik katolickiego króla. Obecnie pracował w pałacyku St James, co na szczęście nie kłóciło się z jego sumieniem.

Ale tego dnia, w pogodny czerwcowy poranek 1688 roku, gdy przystanął obok katedry Świętego Pawła, zastanawiał się, czy poprzedniego wieczoru udzielił słusznej rady swojemu przyjacielowi Penny’emu, który przyjechał niedawno z Bristolu. Młody hugenot był mocno zadziwiony jego słowami.

– I ty, O Be Joyful, popierasz teraz króla papistę?! – zawołał.

– Owszem.

Popierał króla Jakuba. Po ostatnich wydarzeniach wydawało mu się to koniecznością. Ale na wspomnienie głosu i zaniepokojonej miny Eugene’a zaczął się zastanawiać, czy to wszystko nie jest jedną wielką pułapką.

Tego samego dnia w południe Eugene Penny znalazł wreszcie Mereditha. Wcześniej poszedł na plebanię przy St Bride, lecz dowiedział się od gospodyni, że pastora nie ma. Na szczęście podpowiedziała, gdzie go szukać. Zajrzał do Child’s, potem do Greciana przy Temple, do trzech innych karczem przy Pall Mall i St James’s, ale znalazł go dopiero u Lloyda. Meredith siedział przy stoliku w rogu sali i palił fajkę. Ucieszył się, widząc Eugene’a po tylu latach, i przywołał go gestem do siebie.

– Mój drogi Penny! Napijesz się kawy?

Ze wszystkich wynalazków, które pojawiły się w mieście po pożarze, żaden nie sprawiał Meredithowi tyle przyjemności co kawiarnie. Niemal co miesiąc zakładano nową. Otwarte przez cały dzień, oferujące gorącą czekoladę i kawę – zawsze bez mleka, za to przeważnie z cukrem – kawiarnie w śródmieściu i na West Endzie były bardziej eleganckie niż dawne gospody. Każda miała swój charakter. W jednej bywali młodzi kawalerowie, w innej oficerowie, w kolejnej prawnicy. Meredith, który lubił interesujące rozmowy, co dzień zaglądał do innej, choć chętnie unikał Child’s, bo tam zawsze był tłum duchownych. Klientelę nowo otwartej „U Lloyda” stanowili głównie kupcy i ludzie zajmujący się ubezpieczeniami. Dobre towarzystwo. Zaczątki ubezpieczeń statków i ich ładunków pojawiły się wśród kupców już dawno, jednak ubezpieczeń domów nie znano aż do Wielkiego Pożaru. Ta ogromna katastrofa oraz to, że nowo budowane domy z cegły i kamienia nie były tak łatwopalne, dały potężny impuls do rozwoju branży ubezpieczeniowej. Większość dużych

domów oraz niemal wszystkie statki miały pełne ubezpieczenie. Ocena ryzyka i wypłata świadczeń stały się czymś w rodzaju nieformalnej nauki. Także Meredith zainteresował się obliczeniami matematycznymi związanymi z wystawianiem polis i z przyjemnością omawiał z bywalcami „U Lloyda” tak tajemnicze kwestie jak odpowiednia składka ubezpieczeniowa.

Eugene chętnie przyjął poczęstunek, wytarł okulary, a potem zagadnął nieśmiało:

– Tak sobie pomyślałem, czy nie pomoglibyście mi wrócić do dawnej pracy? Chciałbym osiąść w Londynie.

Jeszcze niedawno Penny’emu wydawało się, że Opatrzność nad nim czuwa. Tak było jeszcze trzy lata wcześniej. Kapitan angielskiego statku, uwolniwszy go z beczki, gdy byli już bezpieczni na morzu, zauważył wesoło, że oficer w porcie na szczęście wbił rapier w beczkę pełną wina, a nie w sąsiednią, w której ukryty był Eugene. W Bristolu też czekało ich dobre przyjęcie. W mieście istniała hugenocka społeczność, która powiększała się z każdym miesiącem. Anglicy byli do nich przyjaźnie nastawieni. Nawet w Londynie, gdzie pojawiło się mnóstwo imigrantów, dla których wyjazd z Francji wiązał się z wielkim niebezpieczeństwem, pracowici przybysze nie spotykali się z niechęcią. W ciągu tych lat do Anglii przybywały dziesiątki tysięcy hugenotów i wkrótce liczba Francuzów wynosiła prawie dwieście tysięcy – wystarczająco dużo, aby w przyszłości trzy czwarte Anglików miało wśród swoich przodków jakiegoś hugenota. W Londynie było wielu rodaków, Penny postanowił więc zostać w Bristolu, znalazł zajęcie i całkiem dobrze mu się wiodło.

Lecz tęsknił za posadą u Tompiona. W Bristolu działało wielu dobrych zegarmistrzów, lecz żaden nie mógł się z nim równać. Dlatego dwa dni wcześniej Eugene wyruszył do stolicy, odnalazł starego przyjaciela

Carpentera i postanowił ubłagać byłego pracodawcę, aby znów go do siebie przyjął.

Wielki zegarmistrz miał Penny'emu za złe nagły wyjazd sprzed lat i nie zamierzał mu wybaczyć.

Eugene nie był tym zdziwiony, choć odczuł to boleśnie, zwłaszcza gdy zobaczył wspaniałe mechanizmy budowane w warsztacie. Dlatego odszukał Mereditha, licząc, że ten się za nim wstawi.

– Owszem, znam Tompiona – przyznał Meredith.

Odniósł jednak wrażenie, że Penny nie mówi mu wszystkiego. Zapadła niezręczna cisza. Po kolejnej kawie Eugene zaczął mówić.

Pierwsze niepokojące sygnały dotarły do niego dopiero po roku pobytu w Bristolu, ale nie wiedział, jak je traktować. Król, jako zwolennik większej tolerancji dla swoich współwyznawców, mianował katolików oficerami armii oraz dopuścił ich do Tajnej Rady Królewskiej. Sądy przyznały, aczkolwiek niechętnie, że Jakub nie przekroczył swoich uprawnień, jednak wielu ludzi było oburzonych. Purytanie podnieśli krzyk: „Przecież mamy Ustawę sprawdzającą!". Biskup Londynu nie chciał zakazywać duchownym wypowiadania się przeciwko ustawie i został zawieszony. Penny niewiele z tego rozumiał, ale ponieważ później nastał wielomiesięczny spokój, przestał zaprzątać sobie tym głowę. Jednak to, co wydarzyło się wiosną, zaskoczyło całą Anglię.

„Król wydał Deklarację o tolerancji religijnej [28] – obwieścił Eugene rodzinie któregoś kwietniowego dnia. – Każdy może wyznawać taką religię, jaką chce". Jakub II, najwyraźniej zniecierpliwiony oporem Kościoła, wezwał do siebie samego Williama Penna, przywódcę kwakrów, i z jego pomocą opracował ten niezwykły edykt. „Teraz katolicy będą mogli swobodnie wyznawać swoją wiarę i zajmować publiczne stanowiska – tłumaczył dalej Eugene. – Ale takie same prawa będą mieli wszyscy,

kalwiniści, baptyści, a nawet kwakrzy”. Tak daleko posunięta tolerancja nie była czymś niezwykłym w północnej Europie. W protestanckiej Holandii rządzonej przez Wilhelma Orańskiego katolicy i Żydzi cieszyli się wolnością wyznania. Do czasu uchylenia jej przez parlament Deklaracja miała wyższą rangę niż Ustawa sprawdzająca.

W Bristolu nonkonformistyczni protestanci [29] przyjęli tę wiadomość z zadowoleniem. W porównaniu z liczbą protestantów liczba katolików, którzy mogli zyskać na Deklaracji, była niewielka. „Nowe rozporządzenie jest dla nas korzystne”, zauważył pewien baptysta w rozmowie z Eugene’em. Jego zbór wysłał nawet dziękczynny list do króla. Jednak Penny przyglądał się temu nieufnie. Zaczął uważnie wsłuchiwać się w wieści napływające z Londynu. Czytał gazety i zadawał pytania. Dowiedział się, że nuncjusz papieski udał się do Windsoru. A w całym kraju król zaczął zastępować sędziów pokoju i przedstawicieli korony w poszczególnych hrabstwach katolikami. Z Oksfordu nadeszła wiadomość, że Jakub zamierza przekształcić jedno z kolegiów w katolickie seminarium. Pod koniec roku rozeszła się wieść, że królowa znów jest w ciąży, ale ponieważ w ciągu piętnastu lat małżeństwa wszystkie jej ciąże kończyły się poronieniem, nikt nie przywiązywał do tego wagi. Wszystkie te wydarzenia głęboko zaniepokoiły Eugene’a. Flegmatyczni Anglicy przyjmowali bez emocji ten rozwój wypadków, ale hugenoci, którzy doświadczyli prześladowań we Francji, uznali je za złowieszcze. Wiosną król ogłosił, że zwołuje parlament, aby nadać Deklaracji status obowiązującego prawa, i nakazał odczytywanie jej w kościołach, co tylko pogłębiło sceptycyzm Penny’ego. „Nas też kiedyś chronił edykt nantejski – stwierdził. – I proszę, jak to się skończyło”.

Pomimo tych obaw pojechał do Londynu, aby zobaczyć się z Tompionem i przy okazji odszukać Carpentera. I to właśnie O Be Joyful

najbardziej go zaskoczył. Bo chociaż sam był zatwardziałym wrogiem papizmu, to popierał króla. „Takie samo zdanie mają rajcy i gildie – tłumaczył Eugene'owi niemal skruszonym tonem. – Czasy się zmieniły".

Po przybyciu do Londynu Penny zorientował się, że Jakub jest bardzo sprytnym władcą. Aby Deklaracja stała się prawem, król musiał mieć poparcie parlamentu. Torysi, jego naturalni stronnicy, byli w większości anglikanami, więc nie mógł na nich do końca polegać. Ale wigowie, wśród których pokutowały poglądy okrągłogłowych Cromwella, opowiadali się za tolerancją. Dlatego Jakub robił wszystko, aby zapewnić im przewagę w gminach w całym kraju i dzięki temu mieć więcej wigów w parlamencie. Najlepiej było to widać w Londynie.

„Dzięki królowi – tłumaczył O Be Joyful – nie trzeba już należeć do Kościoła anglikańskiego, żeby zostać rajcą albo członkiem gildii. Protestanci wszystkich odłamów napływają do miasta. Cechy tkaczy, złotników, a nawet kupców bławatnych wysłały królowi podziękowania. Nareszcie mamy to, o co walczył mój ojciec. Większość miejskich urzędników to purytanie i inni protestanci, a burmistrzem jest baptysta".

Poprzedniego dnia Carpenter miał wyjątkowy powód do zadowolenia. Siedmiu anglikańskich biskupów, którzy wcześniej podpisali petycję przeciwko tolerancji, doprowadzono przed oblicze króla i oskarżono o podżeganie do buntu.

„Wysłano ich do Tower, gdzie będą czekać na proces. Zawieźli ich tam łodzią. Widziałem to na własne oczy", cieszył się O Be Joyful. Pobożni anglikanie byli wstrząśnięci, ale on nie mógł ukryć zadowolenia. Kto by się spodziewał, że król opowie się przeciwko biskupom!

Penny nie podzielał jego optymizmu. Jeszcze tego samego popołudnia wybrał się na przechadzkę do Whitehall, ciekaw, jak zmienił się West End podczas jego kilkunastoletniej nieobecności. Rodzina królewska

przebywała teraz głównie w St James’s, więc stary pałac był bardziej siedzibą licznych urzędów niż rezydencją. Dawne szranki, na których ćwiczyli rycerze przed turniejami, stały się placem apelowym znanym jako Horse Guards. Kręcący się po nim żołnierze w czerwonych kubrakach prezentowali sobą wesoły widok w popołudniowym słońcu.

Kolorowe mundury stały się widoczne w Londynie w ciągu ostatnich dwóch dekad. Żołnierze wywodzili się z armii walczących podczas wojny domowej po przeciwnych stronach, lecz obecnie były to lojalne regimenty królewskiej armii. Eugene z podziwem przyglądał się ich ćwiczeniom, gdy nagle zagadnął go stojący obok dżentelmen: „Wspaniały widok, prawda? Ale nie podoba mi się – ciągnął – że ogromny obóz żołnierzy pod wodzą katolickich oficerów rozłożył się zaledwie piętnaście kilometrów od Londynu. Król ma podobne obozy w całym kraju. I co to ma oznaczać? Chętnie bym się dowiedział”.

Zbliżył się do nich szwadron kawalerii. Dragoni na wspaniałych wierzchowcach wyglądali na olbrzymów. Ich napierśniki i hełmy lśniły w słońcu, z dumą trzymali się w siodle. I nagle Eugene Penny uświadomił sobie z bolesną rezygnacją, co oznacza ich obecność. Już kiedyś miał do czynienia z takimi dragonami. Wiedział, do czego są zdolni.

Ech, ci Anglicy, pomyślał. Stoczyli wojnę przeciwko despotycznemu królowi i co z tego, skoro jego syn okazał się dużo przebieglejszy. Podstępem zmusi ich do uległości. Tak jak król Francji nie będzie się spieszył, ale dopnie swego. Eugene’owi zaświtała w głowie przerażająca myśl, że uciekł z Francji przed prześladowaniami, lecz w Anglii spotka go podobny los. Przez cały wieczór spierał się o to z Carpenterem, a teraz zwrócił się do Mereditha:

– Przecież to pułapka.

Ale wielebny Meredith jedynie westchnął i upił kawy. Publikacja dzieł Newtona miała dla niego większe znaczenie niż dwadzieścia tomów kazań. Odczytał z ambony Deklarację o tolerancji religijnej i choć obowiązek nakazywał mu poprzeć biskupów, którzy się jej sprzeciwiali, zrobił to bez przekonania. Do kwestii powrotu katolicyzmu podchodził dość cynicznie. Król Jakub z pewnością wierzył, że rzesze jego poddanych nawrócą się na katolicyzm, gdy tylko będą mieli taką możliwość, jednak zdaniem Mereditha był to jedynie kolejny dowód, że Stuartowie kompletnie nie znają swoich protestanckich poddanych. A jako były lekarz wiedział coś, o czym Eugene nie miał pojęcia. Król Jakub miał problemy ze zdrowiem i na dodatek rok wcześniej zaraził się chorobą weneryczną. Katolicki monarcha nie mógł już liczyć na długie życie, a szanse, że spłodzi męskiego potomka, były doprawdy znikome.

– Anglia pozostanie krajem protestanckim – zapewnił Penny’ego. – Król nie narzuci katolicyzmu siłą, nawet jeśli ma do dyspozycji dragonów. Jesteście bezpieczni, uwierz mi.

Penny nie był przekonany.

O Be Joyful lubił pracę w pałacu St James’s. Największe rzeźby, wykonywane przez Grinlinga Gibbonsa, były już ukończone, ale zostało jeszcze wiele mniejszych ozdób do wykonania. To zadanie powierzono właśnie jemu. Straż przyzwyczaiła się do jego obecności, a ponieważ starał się nie wchodzić nikomu w paradę, wolno mu było poruszać się swobodnie po całym terenie. Tamtego popołudnia zajął się panelem nad drzwiami, wyrzeźbił w nim kwiaty i owoce, może nie tak piękne jak te spod ręki Gibbonsa, ale i tak był z nich dumny. Na koniec chciał jeszcze pokryć woskiem i wypolerować rzeźbę. Żeby ułatwić sobie pracę, zbudował przy uchylonych drzwiach małe rusztowanie i wygodnie się na nim usadowił. Tego dnia w zakątku pałacu było pusto. Dopiero po półgodzinie usłyszał

przyciszone głosy i stukot kroków. Dwaj mężczyźni zatrzymali się przy drzwiach i umilkli. Jeden z nich otworzył szerzej drzwi i wsunął głowę do środka, jakby chciał się upewnić, że w pokoju nikogo nie ma. O Be Joyful zauważył, że mężczyzna jest jezuitą. Zamierzał właśnie ujawnić swoją obecność, gdy drugi z mężczyzn zaczął mówić:

– Obawiam się jedynie, że król za bardzo się spieszy.

O Be Joyful zamarł. To muszą być papiści. A jeśli odkryją jego obecność? Nie ufał katolikom, więc korciło go, żeby podsłuchać rozmowę.

– Król jest zdecydowany przywrócić Anglię na łono Kościoła katolickiego – ciągnął pierwszy głos. – Ale powinniście mu zalecić większą ostrożność. Tego się nie da zrobić z dnia na dzień. Nawet siłą.

O Be Joyful zesztywniał.

– Mój drogi ojcze Johnie. – Jezuita mówił po angielsku, ale z francuskim akcentem. – Naturalnie wszyscy ubolewamy, że na razie musimy przyznać tolerancję protestanckim sektom, ale czas działa na korzyść Świętego Kościoła. To rzecz wiadoma. Zarzut pośpiechu też jest chybiony, bo od dłuższego czasu współdziałamy z rodziną królewską.

– Z Jakubem owszem. Ale on jest królem od niedawna – odparł angielski ksiądz. Po tych słowach zapadło milczenie. O Be Joyful sądził, że rozmowa dobiegła końca. Jednak po chwili doszedł go głos Francuza, tym razem dużo cichszy:

– Niezupełnie. Jest coś, o czym zapewne nie wiecie. Jego brat zmarł w prawdziwej wierze.

– Król Karol? Katolikiem?

– O, tak, przyjacielu. Ukrywał to przed swoim narodem. Jednak gdy umierał…

– Był przy nim arcybiskup Canterbury.

– To prawda. Ale gdy arcybiskup schodził frontowymi schodami, od tyłu zakradł się ojciec Huddlestone. Wysłuchał spowiedzi Karola i udzielił mu ostatniego namaszczenia.

– Nie miałem o tym pojęcia.

– Zachowajcie to tylko dla siebie. Powiem wam więcej. Dużo wcześniej Karol II zawarł potajemny układ z królem Ludwikiem. Zobowiązał się w nim, że ogłosi swoją prawdziwą wiarę i przywróci Anglię Rzymowi. A Ludwik obiecał, że udzieli mu wszelkiej niezbędnej pomocy. We Francji wie o tym jedynie garstka ludzi. Karol zwiódł swoich najbliższych ministrów. Przygotowania do nawrócenia Anglii trwają już od piętnastu lat. Mówię to wszystko, żebyście mogli lepiej pojąć sens zadań, które zostaną wam wyznaczone.

Król Karol był przez cały czas katolikiem? O Be Joyful drżał na całym ciele. Zawsze wierzył w katolicki spisek i oto teraz na własne uszy usłyszał przerażające słowa, które potwierdzały to ostatecznie. Zmowa sięgała znacznie głębiej niż wymysły Titusa Oatesa. Król Francji gotów jest użyć siły? Ustawa o tolerancji jedynie tymczasowa? A więc Penny miał rację. To wszystko jest jedną wielką pułapką. Był tak przerażony, że z trudem chwytał powietrze. Podziękował Bogu, gdy po kilku chwilach usłyszał, że mężczyźni odchodzą.

Jego pierwsza reakcja była oczywista. Musi o tym wszystkim powiedzieć. Ale kto mu uwierzy? Wezmą go za drugiego Titusa Oatesa, za oszczercę, bo przecież nie ma żadnego dowodu. Pozostawało mu więc milczeć, zachować straszną tajemnicę dla siebie i żyć dalej spokojnie. Nikt się o tym nigdy nie dowie. A jeśli Anglia przejdzie na katolicyzm? No cóż, takie widać jest przeznaczenie. Jego i tak czeka piekło. Z tego stanu zniechęcenia nie wytrąciła go nawet wizja Marthy, ganiącej go z góry za tchórzostwo. Był bezsilny i skazany na wieczne potępienie, tak samo jak

cała Anglia. Przez długie pięć minut leżał bez ruchu, zastanawiając się, co powinien zrobić. Jeszcze nigdy nie czuł takiego wstydu.

I nagle usiadł. Niespodziewanie zalała go fala oburzenia, nieznanej mu wcześniej złości. Tak jakby gromadzona latami niechęć wobec samego siebie, cały gniew na papistów za tę ich pogardę, z jaką go oszukiwali, zlały się w pojedynczą wściekłość. Nie mógł tego wiedzieć, ale taką samą posępną złość nosił w sobie jego ojciec Gedeon. O, nie! Tym razem wystąpi przeciwko nim bez względu na cenę, jaką przyjdzie mu zapłacić.

Zszedł z rusztowania i opuścił pałac. Pójdzie do samego burmistrza Londynu. I do wszystkich gildii, jeśli okaże się to konieczne. Nie czuł już strachu ani złości, a jedynie coś w rodzaju dzikiego podniecenia.

Wciąż trząsł się z gniewu, gdy zobaczył, jak przy Pall Mall zatrzymuje się powóz, wysiada z niego stary człowiek i wolnym krokiem zmierza do wejścia jednej z eleganckich rezydencji. Tuż przy schodach mężczyzna odwrócił się i spojrzał na O Be Joyfula.

Kiedy dziewięć lat wcześniej Julius otrzymał tytuł earla St James, nie spodziewał się, że przyjdzie mu żyć tak długo. Jednak mimo swoich osiemdziesięciu pięciu lat nie miał się na co uskarżać. Zgarbił się, oczy mu łzawiły, z powodu artretyzmu chodzenie powodowało ból, podpierał się laską, ale jednocześnie miał w sobie tę samą sztywną godność, która jeszcze w czasach Shakespeare’a stała się znakiem rozpoznawczym jego ojca, rajcy Ducketa. Spojrzał na Carpentera wzrokiem starego człowieka, który wie, że i tak niedługo odejdzie z tego świata, i uśmiechnął się z obojętną ciekawością.

Jednak O Be Joyful zobaczył co innego. Zobaczył prześladowcę swojej rodziny, znienawidzonego rojalistę, złodzieja, który przyjął tytuł arystokratyczny za wspieranie króla. Nie miał wątpliwości, że sir Julius należy do spisku papistów. A najgorsze, że ten stary szatan w ludzkiej

skórze, chroniony przez swoje bogactwo, tytuły, a nawet wiek, uśmiecha się teraz drwiąco pewny, że ujdzie mu to na sucho.

Carpenter skoczył bez zastanowienia do przodu i ryknął ze wściekłą pogardą:

– Ty czorcie! Myślisz, że wszystkich oszukałeś! Niedoczekanie! – Ośmielony zaskoczoną miną Juliusa, krzyczał dalej: – Wiem o wszystkim. Słyszałem w pałacu rozmowę waszych księży. Wiem o waszym papistycznym i rojalistycznym spisku. Za godzinę dowie się o nim burmistrz i cały Londyn. A potem, drogi panie, powiesimy ciebie, twojego króla i wszystkich księży. – Ruszył dalej biegiem, nie czekając na odpowiedź.

Lord St James dopiero po dłuższej chwili otrząsnął się ze zdumienia po tym werbalnym ataku. Wsiadł z trudem do powozu.

– Pędź co koń wyskoczy! – krzyknął ostro do stangreta.

Dwadzieścia minut później O Be Joyful, mijając kościół St Bride, zobaczył nadchodzącego Mereditha, który powitał go jak zwykle przyjaźnie. Zatrzymał się.

– Cóż to się wydarzyło, mistrzu Carpenterze? Wyglądasz, jakbyś zobaczył samego diabła.

O Be Joyful ucieszył się z tego spotkania. Był rozzłoszczony i zdeterminowany, ale perspektywa spotkania twarzą w twarz z burmistrzem onieśmielała go. Wygarnąwszy wszystko lordowi St James, spalił za sobą mosty, nadal jednak nie wiedział, jak przekonać burmistrza, że mówi prawdę. Dlatego pomyślał, że gdyby Meredith zechciał mu towarzyszyć, sprawa wyglądałaby o wiele lepiej. Poza tym Meredithowi mógł zaufać.

– Wydarzyło się coś strasznego… – zaczął.

– Wejdźmy do kościoła – zaproponował Meredith. – Tam będzie spokojniej.

W pięknym, nowym wnętrzu świątyni O Be Joyful zrelacjonował podsłuchaną rozmowę zdumionemu Meredithowi.

Gdy skończył, Meredith pokiwał w zadumie głową i skinął na niego.

– Chodź ze mną – powiedział. – Muszę ci coś pokazać.

Poprowadził go ku ciężkim drzwiom wiodącym do krypty. Zapalił lampę, wręczył ją Carpenterowi i poprosił, aby zszedł na dół pierwszy. A gdy O Be Joyful znalazł się w połowie schodów, Meredith zamknął grube drzwi i przekręcił klucz w zamku, tak jak mu poradził lord St James.

– Wierzysz mu? – spytał Julius. Siedzieli w salonie w domu pastora.

– On wierzy, że to prawda – odparł Meredith.

Julius milczał przez chwilę.

– Możesz go tam przetrzymać?

– Biedak może sobie zedrzeć głos, a i tak nikt go nie usłyszy. To rzeczywiście konieczne?

– Tylko do jutra. Muszę się zastanowić. – Stary arystokrata wstał, żeby się pożegnać.

Mijały godziny, a Julius wciąż nie wiedział, jak powinien postąpić. W jego pamięci, tak jak u większości starych ludzi, najwyraźniej malowały się nie fakty z niedawnej przeszłości, ale czasy młodości. Podczas wojny domowej wiele się wydarzyło między nim a Gedeonem, jednak cały czas doskwierały mu wyrzuty sumienia z powodu dawnego incydentu z hiszpańskim ambasadorem. W odróżnieniu od O Be Joyfula był przekonany, że każdy uwierzyłby w opowieść o papistycznym spisku. I nie miał wątpliwości, jak w takiej sytuacji zachowałby się król Jakub. Dopóki sędziom przewodniczy Jeffreys, los Carpentera byłby raczej przesądzony. Z mojego powodu Gedeon został skazany na chłostę, myślał Julius, nie mogę dopuścić, aby jego syna spotkało coś gorszego. To dlatego w największym pośpiechu pojechał do kościoła St Bride, licząc, że

Meredith będzie umiał powstrzymać wzburzonego stolarza przed popełnieniem wielkiego głupstwa. Ale jak przekonać Carpentera, aby nie narażał się na śmiertelne niebezpieczeństwo?

Miał też dużo większy dylemat do rozważenia. Papistyczny spisek. Czy Carpenter dobrze wszystko usłyszał? A może jezuita z Francji miał powody, aby kłamać? Nie było tajemnicą, że Jakub jest katolikiem, ale czy to możliwe, że Karol przez tyle lat okłamywał swoich zwolenników? Naprawdę przyrzekł przywrócić Anglię Rzymowi, i to z pomocą francuskich wojsk? Przecież to byłaby niewyobrażalna zdrada.

Lord St James zjadł wieczerzę w samotności. Napił się trochę brandy. Nie mógł zasnąć, czuwał przez całą noc jak kiedyś, dawno temu, w przededniu egzekucji umęczonego króla. Jednak tym razem miał przed oczami nie smutną, niewinną twarz Karola I, ale smagłą, lubieżną, cyniczną twarz jego syna.

Czy król, z którym wiązała go święta przysięga, mógł się na to poważyć? Czy jego własna wiara w Stuartów zostania podkopana przez idiotyczną opowieść jednego z przeklętych Carpenterów? I dlaczego, zastanawiał się w nocnej ciszy, w głębi serca gotów jest uwierzyć O Be Joyfulowi, a nie swojemu władcy? Odpowiedź, choć na razie cicha i nieśmiała, wynikała z doświadczeń jego całego życia. Dynastia Stuartów zawsze była bardziej związana z Europą niż z Anglią. A jej członkowie – tak, nawet skazany na śmierć król – często okazywali się kłamcami.

W krypcie kościoła St Bride pachniało stęchlizną. Było ciemno. Przez zamknięte drzwi nie przedostawał się żaden dźwięk.

O Be Joyfula najbardziej zabolała zdrada. Nawet Meredith należał do papistycznego spisku. Czy oprócz Eugene’a jest w Londynie ktoś, komu mógłby zaufać? Mijały godziny, a on zastanawiał się, co go czeka. Jeśli chcą go aresztować, to dlaczego tak długo zwlekają?

W końcu zasnął, obudził się, znów zapadł w drzemkę, a potem stracił poczucie czasu. Rodzina zapewne już się niepokoi. A Penny szuka go po mieście. Tylko że nikomu nie przejdzie nawet przez myśl, żeby zajrzeć do krypty kościoła St Bride. O świcie – przynajmniej uznał, że to początek dnia – przemknęło mu przez myśl, że Meredith zostawił go tutaj na powolną śmierć.

W niedzielę rano lord St James zjadł lekkie śniadanie. Wciąż nie wiedział, co zrobić z Carpenterem.

Przed południem poszedł do kościoła na nabożeństwo. Miał nadzieję, że poczuje natchnienie, ale tak się nie stało. W domu zastał uprzejmy list od Mereditha z przypomnieniem, że nie mogą trzymać Carpentera w lochu bez końca. „Powinienem mu dać przynajmniej trochę wody. Zasługuje też choćby na kilka słów wyjaśnienia", dodał Meredith w ostatnim zdaniu.

Wreszcie, tuż po południu, lord St James otrzymał wiadomość, która nieoczekiwanie zmieniła wszystko.

– Jesteś pewien? – spytał Meredith, wysłuchawszy Juliusa.

– To oficjalne wieści. Ale czy to w ogóle możliwe? Co o tym sądzisz jako lekarz?

– Więcej niż miesiąc przed terminem. I mówisz, że jest zdrowe?

– Zdrowy i ładny. Dokładnie te słowa usłyszałem.

– Wygląda to… – Meredith ważył słowa. – Nieprawdopodobnie. – Mężczyźni spojrzeli na siebie w milczeniu. – Ona za każdym razem miała poronienie – zaczął wolno Meredith – a król jest… niezdrów. Zdrowy i ładny syn to doprawdy – skrzywił się – dogodny zbieg okoliczności.

O Be Joyful nie miał pojęcia, która jest godzina, gdy drzwi krypty się otworzyły. Spodziewał się, że zobaczy żołnierzy, tymczasem miał przed

sobą Mereditha i lorda St James. Patrzyli na niego z uśmiechem.

– Przepraszam, że cię tu zamknęliśmy – powiedział Meredith – ale tego wymagało twoje bezpieczeństwo. Wierzymy w każde twoje słowo. A teraz wyjedziesz razem z lordem St James. Oczywiście nie możemy cię zmusić, jednak byłoby to najlepsze wyjście. Wrócicie za tydzień.

– Mam z nim wyjechać? Na tydzień? – Carpenter zamrugał powiekami w jasnym świetle. – Dokąd?

– Do Holandii – odpowiedział Julius. – Muszę się spotkać z Wilhelmem Orańskim.

Wydarzenia z lata 1688 roku okazały się przełomowe dla historii Anglii, jednak nazywanie ich Chwalebną Rewolucją jest pewną przesadą. Nie było żadnej rewolucji ani żadnych działań, które można byłoby uznać za chwalebne.

Gdy w niedzielę 10 lipca król Anglii Jakub II ogłosił zaskoczonemu światu, że jego żona urodziła w końcu syna, wierni poddani mieli poważny dylemat. Gdyby chłopiec przeżył – a wszystko wskazywało na to, że tak się stanie – zostałby następcą tronu. I z całą pewnością byłby katolikiem.

„Znosiliśmy rządy Jakuba – mówili protestanci – bo po nim mieli przyjść Maria i Wilhelm”. Dużo wcześniej najbardziej zaniepokojeni obywatele w tajemnicy zwrócili się do Wilhelma Orańskiego z prośbą, aby przynajmniej powściągnął papistyczne skłonności swojego teścia, lecz holenderski władca wolał stać z boku. Narodziny królewskiego syna zmieniły wszystko.

Dla Juliusa, zatrwożonego rewelacjami O Be Joyfula i szukającego wyjścia zgodnego z jego sumieniem, ta wiadomość była ostatecznym ciosem. Inni, mniej lojalni wobec króla, uznali to za wezwanie do broni. Wigowie byli zniesmaczeni, torysi – którzy niedawno musieli patrzeć, jak ich anglikańskich biskupów zamyka się w Tower – mieli jak najgorsze

obawy. I nie tylko St James wyruszył do Holandii. Pod koniec miesiąca Wilhelm otrzymał od najważniejszych osobistości w kraju zaproszenie: „Jeśli chcesz mieć królestwo Anglii, to musisz sięgnąć po nie teraz”.

Jak to się stało, że Julius, bez względu na okoliczności, zboczył ze ścieżki wpajanej mu od urodzenia wierności i złamał przysięgę złożoną królowi, który uczynił go earlem? Czy to nie sprzeciwiało się jego wszystkim przekonaniom? Cóż, w jego charakterze równie głęboko zakorzenił się inny pogląd, który osiemdziesiąt lat wcześniej przekazał mu ojciec i który okazał się ważniejszy od innych: „Precz z papizmem”.

Powodem największego zaskoczenia Anglików i sceptycyzmu ludzi pokroju Juliusa i Mereditha było to, że dziecko – syn katolickiego króla – w ogóle przyszło na świat. Zdrowy chłopiec po całej serii poronień? I to urodzony miesiąc przed terminem?

– Powiem ci, co o tym myślę – zwrócił się lord St James do O Be Joyfula, gdy ich statek płynął do ujścia Tamizy. – Według mnie królowa poroniła, więc podstawili inne dziecko. Meredith też jest tego zdania.

Podobnie myślała cała Anglia. Wprawdzie przesłanki medyczne wskazują, że dziecko pochodziło z prawego łoża, jednak angielscy protestanci, opowiedziawszy się w 1688 roku za Wilhelmem Orańskim, twierdzili, że katolik nie ma praw do dziedziczenia tronu. I rozsiewali pogłoski, które szybko się rozpowszechniły – że noworodka przemycono w szkandeli do sypialni królowej.

Rozważny Wilhelm zwlekał. Dopiero 5 listopada dotarł do West Country. Jakub wyjechał do Salisbury. Północna część kraju opowiedziała się za Wilhelmem. Jakub się wahał. Najlepszy generał Jakuba, waleczny John Churchill, przeszedł na stronę Wilhelma, który wolnym marszem zbliżał się do Londynu. Jakub wyjechał z kraju. W styczniu zebrał się parlament i uznał, że skoro Jakub uciekł, to należy pozbawić go tronu. Po

krótkich negocjacjach koronę zaproponowano Wilhelmowi i Marii. Ten ciąg mało bohaterskich wydarzeń został nazwany Chwalebną Rewolucją.

Stanowiła ona przełom. Dzięki ugodzie znalazły trwałe rozwiązanie religijne i polityczne spory, które od ponad stu lat nękały Anglię. Największym przegranym okazał się Kościół katolicki. Gdyby Maria i Wilhelm nie doczekali się potomstwa, następczynią tronu miała być siostra Marii, Anna, zagorzała protestantka. Z sukcesji wykluczono wszystkich katolickich potomków Jakuba. A co najważniejsze, na angielskim tronie nie mógł w przyszłości zasiąść żaden katolik. Władcy nie wolno też było poślubić osoby wyznającej katolicyzm. Zwykłych katolików obłożono dodatkowymi podatkami, ponadto mieli zakaz obejmowania urzędów publicznych.

Purytanie również nie mogli obejmować większości stanowisk, ale przyznano im wolność wyznania. Maria wciąż miała nadzieję, że staną się częścią nieco szerszego Kościoła anglikańskiego.

Polityczne skutki tego porozumienia były bardziej subtelne, choć miały doniosłe znaczenie. Parlament twierdził, że jedynie przywraca dawne prawa, ale zmiany sięgały dalej. Parlament miał się zbierać regularnie, co gwarantowała stosowna ustawa. Bez jego zgody nie można było powołać armii. Zagwarantowano wolność słowa. I wkrótce stało się jasne, że od tej pory parlament będzie dbał, aby królowi zawsze brakowało pieniędzy. W ten sposób władca był uzależniony od woli posłów. Usiłowania Stuartów, aby uczynić z Anglii monarchię absolutną na wzór Francji, spełzły na niczym. Zwyciężywszy w wojnie domowej, parlament w końcu wywalczył pokój.

W Westminsterze zaszła jeszcze jedna drobna zmiana polityczna, zauważona przez niewielu. Oto stary earl St James, który zawsze był torysem, zaczął głosować z wigami. I oznajmił ku ich zdziwieniu, że jego

zdaniem królowie powinni podlegać parlamentowi. Nigdy jednak nie wyjaśnił, dlaczego zmienił stanowisko.

Julius był przekonany, że tajemnicy o zdradzie Karola II nie należy rozgłaszać. „Wywlekanie tego na światło dziennie nie przyniesie niczego dobrego”, przekonywał Mereditha. O Be Joyful też nie domagał się ujawnienia tej sprawy, w końcu Jakub i jego katoliccy potomkowie zostali odsunięci od władzy. Niezwykły i de facto zdradziecki układ pomiędzy angielskim królem z dynastii Stuartów a spokrewnionym z nim królem Francji został ujawniony dopiero sto lat później.

Jedno było oczywiste: angielscy władcy utracili możliwość zawiązywania groźnych przymierzy z katolickimi monarchami w Europie. Anglicy i Holendrzy mieli obecnie wspólnego króla, protestanta, którego największym wrogiem był Ludwik XIV. Penny i inni hugenoci zyskali pewność, że królestwo na wyspie jest dla nich bezpiecznym schronieniem. Anglicy i Holendrzy stali się sojusznikami, choć nadal konkurowali w handlu. Oba kraje miały ze sobą wiele wspólnego. Przez całą reformację katolicka Hiszpania była ich wspólnym wrogiem i Bóg jeden wie, ilu Anglików miało wśród swoich przodków przybyszów z Flandrii. Anglicy podziwiali holenderskich rzemieślników i artystów, zapożyczyli od nich takie słowa jak „sztaluga”, „krajobraz” i „martwa natura”. Angielscy marynarze służyli na holenderskich statkach i ochoczo posługiwali się holenderskimi określeniami: skiper, jacht i szmuglerz. Gdyby król Wilhelm powiedział swoim angielskim poddanym, że ich holenderscy kuzyni znaleźli się w niebezpieczeństwie ze strony katolickiej Francji, wszyscy chętnie stanęliby do walki w obronie protestantyzmu.

Earl St James dożył późnego wieku. W 1693 roku skończył dziewięćdziesiąt lat i choć poruszał się z trudem, to zachował bystry umysł. I nigdy nie czuł się samotny. Oprócz dzieci i wnuków zawsze odwiedzali go

liczni goście, chętni do rozmowy z kimś, kto urodził się w ostatnim dniu panowania dobrej królowej Elżbiety. „Widział wszystko na własne oczy – mówili – od spisku prochowego po Chwalebną Rewolucję”. A w roku 1694, ostatnim roku swojego życia, Julius stał się świadkiem jeszcze jednego wydarzenia.

Po wielu dyskusjach Londyn zyskał nową instytucję: bank akcyjny, założony przez największych kupców. Jego zadaniem miało być finansowanie długoterminowych długów państwa poprzez emitowanie oprocentowanych obligacji. Nazywał się Bank of London.

– Mówiłem pierwszemu królowi Karolowi, że tak właśnie należy to zrobić – tłumaczył Julius swoim gościom. – Ale on nie chciał mnie słuchać. I może na dobre wyszło – dokończył z uśmiechem.

Sprawiło mu też wielką przyjemność, że nowy bank urządził swoją siedzibę w odbudowanej Mercers’ Hall przy Cheapside.

– To nasza rodzinna gildia – stwierdził z dumą.

Mógłby też dodać, że Bank of London, który wkrótce miał zyskać nazwę Bank of England, rozpoczął działalność w miejscu, w którym kiedyś stał dom rodzinny Tomasza Becketa, londyńskiego świętego i męczennika.

Julius zmarł o świcie, dwa miesiące po powstaniu Bank of England. Zabrakło roku, aby był świadkiem wydarzenia, które z pewnością bardzo by go ucieszyło. Richard Meredith, podobnie jak jego ojciec, ożenił się późno. Ale było to dobre małżeństwo i w 1695 roku Bóg pobłogosławił mu synem.

Miesiąc później, pewnego deszczowego dnia, Mereditha odwiedził Penny. Przyniósł prezent w małym pudełku, które otworzył z wyraźną dumą. W środku leżał piękny srebrny zegarek. Ale dopiero gdy Eugene go wyjął, Meredith zauważył jego niezwykłość.

Penny jak zwykle zdjął okulary, żeby je przetrzeć.

– Spójrz – powiedział, otworzywszy kopertę zegarka. Zaczął objaśniać jego działanie, pokazując palcem poszczególne części mechanizmu.

Londyński zegarmistrz Tompion już od dwudziestu lat budował zegarki ze sprężyną włosową, teraz zaś wprowadził nowe udoskonalenie. Dzięki maleńkiemu mechanizmowi, zwanemu wychwytem cylindrowym, wszystkie kółka zębate mogły być ułożone poziomo, przez co zegarek był płaski i można go było wsunąć do kieszeni.

– To najbardziej pomysłowa rzecz, jaką w życiu widziałem! – zawołał Meredith.

Eugene przyniósł ten prezent z okazji urodzin syna Mereditha. Chciał też podziękować uczynnemu pastorowi za pomoc przy odzyskaniu pracy u Tompiona.

Na samym początku nowego stulecia w życiu Mereditha pojawiła się jeszcze jedna nowość. W 1701 roku jego przyjaciel Wren zaprojektował wspaniałą wieżę dla kościoła St Bride. Na czworokątnej podstawie wznosiły się coraz mniejsze ośmiokątne bębny z kolumnami i otwartymi łukami, przez co całość wyglądała jak teleskop zwieńczony obeliskiem. Nowa wieża St Bride, wyższa nawet od Monument of London, była widoczna z całej Fleet Street i stała się jedną z najbardziej charakterystycznych budowli w mieście.

Rok 1708

Mieli jeszcze dużo czasu. Nie powiedział im, dokąd ich zabiera, ale otrzymał wcześniej specjalne pozwolenie i chciał sprawić im niespodziankę. O Be Joyful miał już siedemdziesiąt lat, jednak czuł się na siłach, aby wziąć dwójkę swoich ulubionych wnuków na tę niezwykłą wycieczkę. Szli szybkim krokiem w kierunku Ludgate Hill. Był pogodny

październikowy dzień, wśród ludzi gromadzących się na ulicach panowała świąteczna atmosfera. Miał się odbyć wielki pochód burmistrza Londynu.

Ta stara doroczna uroczystość, zakazana jedynie w czasach Commonwealthu, z każdym dziesięcioleciem stawała się coraz bardziej wystawna. Lord Mayor przebrał się już wcześniej w paradne szaty w swojej oficjalnej rezydencji – O Be Joyful wciąż nazywał ją domem sir Juliusa Ducketa – a potem pojechał konno nad rzekę. Wsiadł do wspaniałej barki i w asyście łodzi wszystkich gildii popłynął do Westminsteru, gdzie złożył przysięgę wierności królowi, taką, jaką składali niegdyś feudalni baronowie. Potem barki miały przewieźć pasażerów do Blackfriars, skąd burmistrz, rajcy i członkowie wszystkich gildii przejeżdżali barwnym korowodem do Cheapside i dalej do Guildhall. Carpenter uznał, że najlepszym miejscem, z którego jego wnuki będą mogły zobaczyć pochód, jest zewnętrzna galeria wielkiej kopuły katedry Świętego Pawła.

Malowała się teraz przed nimi na tle nieba jak majestatyczna władczyni zachodniego wzgórza. Wciąż trwały ostatnie prace nad wielką, zakończoną złotym krzyżem kamienną latarnią, która wznosiła się piętnaście metrów ponad szczytem kopuły i ponad sto dziesięć metrów nad posadzką katedry. Taką samą kopułę miał drewniany model, który Carpenter rzeźbił prawie trzydzieści pięć lat wcześniej. Była tylko jedna różnica: w rzeczywistości kopuła była wyższa i bardziej dostojna niż jej pierwowzór w makiecie.

Carpenter obserwował budowę z podziwem. Wren też często tam bywał i mimo podeszłego wieku kazał się wciągać w koszu na samą górę, żeby doglądać prac. Ale najciekawsze w tej wielkiej konstrukcji było to, że składała się z trzech kopuł. Pomiędzy widocznym z wnętrza sklepieniem a zewnętrznym dachem, wznoszącym się piętnaście metrów wyżej, znajdowała się nie tyle kopuła, ile ogromny ceglany stożek.

„Ten stożek – tłumaczył któregoś dnia Wren – ma być oparciem dla latarni i wzmacniać całą konstrukcję”. Tydzień później zabrał przerażonego Carpentera do kosza, potem zaś zaprowadził go na rusztowania dachu i pokazał kilka tamtejszych tajemnic.

„Podstawę kopuły – wyjaśnił – opasuje potężny podwójny łańcuch. To dodatkowe zabezpieczenie, aby napierający z góry ciężar nie rozpychał ścian na zewnątrz. A tu, na stożku, kazałem umieścić aż do samej góry obejmy z kamienia i żelaznych łańcuchów, które ściskają całość jak obręcze beczkę. Wszystko musi być bardzo solidne – dodał z lekkim smutkiem. – Zamierzałem zrobić ten zewnętrzny dach z miedzi, ale kazali mi użyć ołowiu. Zaoszczędzili przez to tysiąc funtów, lecz teraz konstrukcja musi unieść dodatkowe sześćset ton”.

Niższe części kopuły obiegały z zewnątrz i z wewnątrz galerie. Powstały nawet schody, po których najodważniejsi mogli wejść aż na samą iglicę latarni. Z galerii roztaczał się wspaniały widok. Dzięki Gibbonsowi i Wrenowi O Be Joyful mógł tam wejść pamiętnego dnia. Z dumą wspiął się z dziećmi na Ludgate Hill i poprowadził je do wielkiego zachodniego portyku z ogromnymi kolumnami.

Z rozbawieniem zauważył, że dzieci zawahały się przy drzwiach, ale wcale go to nie zdziwiło. Nawet sprawiło mu pewną przyjemność.

Gedeon i Martha, najbardziej ukochane spośród siedmiorga wnuków. Jakże dumni byliby ich imiennicy, gdyby mogli zobaczyć te poważne buzie i mądre spojrzenia, gdyby poznali ich spokój i dojrzałą determinację. Dzieci wychowano zgodnie z surowymi purytańskimi zasadami. Po wprowadzeniu tolerancji religijnej w 1688 roku rozmaite odłamy protestantyzmu pozostające poza Kościołem anglikańskim rosły w siłę. Ich głównym ośrodkiem był Londyn, jednak w całej Anglii działało ponad dwa tysiące domów modlitwy. Prawdziwi purytanie z rzadka ubierali się dziś w czerń

i wysokie kapelusze, za to w każdą niedzielę rzesze wiernych w prostym, szarym i brązowym odzieniu gromadziły się na kazaniach pastorów. Bo choć srogie prawo moralne z czasów Commonwealthu już nie obowiązywało, to każde dziecko z purytańskiej kongregacji wiedziało, że wszelkie ozdoby na ubraniach są grzechem, że doczesne przyjemności niosą zepsucie, a cudzołóstwo, pijaństwo i hazard spotkają się z milczącym potępieniem całej społeczności. Purytanie zostali odsunięci od władzy, lecz ich sumienie wciąż było w Anglii potężną siłą. Protestanci, którzy chcieli uczestniczyć w życiu publicznym, musieli dla zachowania pozorów przyjmować komunię w kościołach anglikańskich. „Udzielam sakramentu pięciu pobożnym protestantom – powiedział kiedyś Meredith Carpenterowi. – Wiem, dlaczego to robią, a oni wiedzą, że ja wiem. I niech tak zostanie. W ten sposób obchodzimy przepisy, które w ogóle nie powinny obowiązywać”.

W rodzinie Carpenterów nie uznawano takich kompromisów. A ponieważ zniesiono nakaz uczestniczenia w anglikańskich nabożeństwach, dziewięcioletni Gedeon i jedenastoletnia Martha nigdy jeszcze nie byli w anglikańskim kościele. Dlatego stojąc przed katedrą, która wyglądała jak katolicka świątynia, spojrzeli niepewnie na dziadka.

W ciągu ostatnich dziesięciu lat O Be Joyful – ku swojemu zdziwieniu – stał się w rodzinie szanowaną postacią. Doskonale wiedział, że na to nie zasługuje, ale ze względu na młodsze pokolenia starał się przynajmniej dobrze odgrywać tę rolę. I gdy wnuki prosiły: „Opowiedz, jak Gedeon walczył z Cromwellem przeciwko królowi”, albo pytały: „Czy Martha naprawdę popłynęła na »Mayflower?»”, odpowiadał najlepiej, jak umiał. A nawet, niech mu Bóg wybaczy, czuł się zmuszony, aby podtrzymywać stare kłamstwo, jakoby podczas Wielkiego Pożaru za wszelką cenę próbował uratować Marthę.

Jego dorosłe już dzieci oczekiwały, że odpowiednio pokieruje wnukami, więc zmusił się, z bólem i wielkim wysiłkiem, aby na nowo nauczyć się czytać. Nie przyszło mu to łatwo. Trzeba było nawet poprosić Penny'ego, aby zaprowadził go do dobrego okularmistrza, jako że jego stare, zmęczone oczy potrzebowały pomocy. Udało się jednak i gdy Martha skończyła pięć lat, co dzień czytał jej Biblię.

Jednak ulubioną lekturą jego rodziny, bardziej nawet niż Biblia, była inna książka. Napisana przez purytańskiego kaznodzieję pod koniec panowania Karola II opowiadała w alegorycznej formie historię Chrześcijanina, który przytłoczony własną grzesznością i czekającą go niedługo śmiercią, wyrusza na wyprawę. A właściwie na purytańską pielgrzymkę: prowadzi go jedynie wiara i Biblia, a nie święci czy kościelne autorytety. Nieszczęsny Chrześcijanin wędruje przez krainę, której moralny krajobraz był aż za dobrze znany surowym purytańskim kongregacjom. W drodze do Niebiańskiego Miasta trafia do Doliny Cienia Śmierci, wioski Moralność, Zamku Zwątpienia, Miasta Próżności i na Bagno Rozterki. Na swojej drodze spotyka też ludzi o symbolicznych imionach: Ufnego, Wiernego, Mędrka czy olbrzyma Rozpacz. Opowieść była utrzymana w biblijnym nastroju – a właściwie w tonie Księgi Objawienia – ale napisano ją tak prostym językiem, że trafiała nawet do zwykłego, niepiśmiennego czytelnika. Nie miała też surowego przesłania, wręcz przeciwnie, nieszczęsny Chrześcijanin popełniał różne błędy, ale zawsze mógł liczyć na ratunek. *Wędrówka Pielgrzyma* Johna Bunyana, którą O Be Joyful tak ukochał, była książką purytańską, ale też pełną życzliwości i ludzkiej dobroci.

– To tylko budynek, a nie Bagno Rozterek – powiedział Carpenter do wnuków, chcąc rozproszyć ich obawy. Wziął dzieci za rękę i wprowadził je do środka.

Prawdę powiedziawszy, pokochał tę wspaniałą budowlę. Jego dawna przysięga, że nigdy nie będzie pracował pod papistyczną kopułą, straciła znaczenie. Nie musieli już bać się Rzymu. Po Wilhelmie i Marii na tronie zasiadła Anna, siostra Marii, także protestantka. Po niej korona miała przypaść jej protestanckim krewnym z niemieckiej dynastii hanowerskiej. Nie tylko tron był bezpieczny. W ciągu ostatnich lat wspierana przez holenderskich sojuszników angielska armia pod wodzą Johna Churchilla, diuka Marlborough, zgniotła siły potężnego króla Francji Ludwika XIV, co zapewniło spokój wszystkim protestantom w północnej Europie.

Nawet ogromna kopuła nie wyglądała już tak złowieszczo. Dzięki wielkim, prostym oknom ze szkła wnętrze katedry było tak jasne i przestronne, że nawet goście z Holandii mogliby odnieść wrażenie, że znaleźli się w protestanckim kościele. W oczach Carpentera katedra Świętego Pawła nie była już symbolem zagrożenia, lecz wielkiego angielskiego kompromisu – protestancki duch w rzymskiej formie – podobnie jak sam Kościół anglikański.

Przywitał ich jedynie zakrystian, więc przez chwilę czuli się, jakby mieli całą świątynię dla siebie. Szli w głąb ogromnej nawy, a dzieci aż oniemiały z wrażenia. Nagle ciszę przerwały dwa głośne uderzenia, które odbiły się echem od centralnego sklepienia. Zakrystian prychnął z niezadowolenia. Co to mogło być?, zaciekawił się Carpenter.

Okazało się, że sprawcą hałasu jest Meredith.

– Siedzi na górze od samego rana – wyjaśnił kościelny głosem wskazującym, że wątpi w poczytalność Mereditha. Rzeczywiście, gdy znaleźli się pod kopułą, zobaczyli pastora na galerii. Pomachał przyjaźnie Carpenterowi, a po kilku chwilach pojawił się obok nich.

– Chciałem zrobić próbę – wyjaśnił, gdy z pomocą Carpentera i dzieci zbierał z podłogi porozrzucane przedmioty. – Ta kopuła to najlepsze

miejsce do sprawdzenia teorii grawitacji Newtona. Precyzyjnie odmierzone odległości, kontrolowane warunki, idealnie nieruchome powietrze. Dużo lepsze od Monument. Bo Towarzystwo Królewskie – ciągnął – zamierza już niedługo przeprowadzić całą serię eksperymentów.

Jeszcze raz pomachał im wesoło i w towarzystwie kościelnego skierował się ku zachodnim drzwiom. O Be Joyful i dzieci znów zostali sami.

Tyle rzeczy chciał im pokazać. Zaczął od kamienia z napisem RESURGAM i wyjaśnił, co on oznacza.

– Sam go tu położyłem – powiedział, ciesząc się ich zdziwieniem.

A potem zaprowadził ich na chór.

Wśród prac, które wykonywał w ciągu ostatnich dwudziestu lat, kilka zamówień dało mu szczególną satysfakcję. Był dumny z sufitu, który wyrzeźbił w nowej jadalni w gmachu New River Company Myddeltona. Lubił pracować przy nowym skrzydle Hampton Court i wspaniałym Chelsea Hospital według projektu Wrena. Ale nic nie mogło się równać ze wspaniałymi rzeźbionymi stallami chóru katedry Świętego Pawła.

Stalle były ogromne. Poza długimi, ciemnymi rzędami lśniących miejsc dla duchowieństwa, na chórze mieściła się też wielka obudowa organów. Było to wspólne dzieło Wrena, który sporządził projekt i wykonał modele, oraz Gibbonsa, projektanta zdobień.

Efekt okazał się zachwycający. Wśród prostych, klasycystycznych form – prostokątnych paneli, pilastrów, fryzów i nisz – wyłaniało się morze rzeźb: zmysłowych, bogatych, a jednocześnie uporządkowanych. Z gzymsów, kapiteli, płycin, frontonów, tralek i wsporników wystrzeliwały liście, kwiaty, wijące się pędy winorośli, głowy cherubinów i girlandy owoców. Czegoś takiego nie było w całej Anglii. Dziesiątki ton dębiny, tysiące metrów kwadratowych rzeźb i niewyobrażalne koszty. Budowa pochłonęła tyle pieniędzy, że nawet wpływy z podatku węglowego nie

pokryły bieżących wydatków, dlatego inwestorzy, między innymi Gibbons, wyłożyli prywatne pieniądze, które mieli odzyskać w przyszłości wraz z odsetkami. „Ja pożyczyłem pieniądze na stalle na chórze – powiedział kiedyś Gibbons Carpenterowi. – Na sześć procent”.

O Be Joyful pracował przy katedrze Świętego Pawła trzy lata i był to najlepszy okres w jego życiu. To wielkie przedsięwzięcie przyciągnęło najlepszych stolarzy i snycerzy z całego Londynu. I panowała tam przyjazna atmosfera. Kiedyś, na samym początku, poskarżył się Gibbonsowi, że jeden z robotników używa wulgarnego języka, a już następnego dnia Wren zakazał wszelkich przekleństw. Wszyscy pracowali z takim oddaniem, że O Be Joyful niemal uwierzył, że wypełnia dzieło Boże, choć kościół był przecież anglikański.

Wnuki wiedziały, że ich dziadek jest doskonałym snycerzem i pracował w wielu miejscach, jednak nigdy nie miały okazji podziwiać tak wspaniałych dowodów jego umiejętności. Dlatego z dumą prowadził je wzdłuż lśniących stalli i objaśniał wszystkie szczegóły.

– Widzicie ten panel? – mówił. – Wykonano go z angielskiego dębu. A drewno na tamten – wskazał inny, z bogatszymi zdobieniami – przyjechało z Gdańska w Niemczech. Niemieckie drewno ma mniej sęków, więc łatwiej w nim rzeźbić. – Pokazał palcem w górę. – Widzicie tamtego cherubina? – Gibbons zazwyczaj robił wzorcowy model, który potem O Be Joyful i inni asystenci kopiowali. – Ja go wyrzeźbiłem. I tamtego też.

– A ten panel – podeszli do jednego z najbardziej misternych fragmentów – wcale nie jest z dębu. To lipa, dużo miększa. Pan Gibbons najbardziej lubi rzeźbić właśnie w lipie.

Pokazał im stallę, w której siadywał burmistrz, i obudowę organów, a na koniec poprowadził wnuki do miejsca, które napawało go największą dumą.

W samym rogu, pod wspaniałym baldachimem z wyrzeźbionymi girlandami, znajdowało się największe dzieło: tron biskupi.

– Rzeźbiłem to siedzisko razem z mistrzem Gibbonsem. – Z triumfem pokazywał wspaniały wytwór snycerskiego fachu. – Spójrzcie na mitrę. A pod nią jest pelikan karmiący krwią swoje młode. Widzicie te piękne liście palmowe? Trudno odróżnić, gdzie kończy się jego praca, a zaczyna moja – dorzucił nie bez racji. Rzeczywiście, było to dzieło jego życia.

Dzieci patrzyły na wszystko w milczeniu. A potem rozejrzały się wokół i spojrzały na siebie. W końcu Martha odezwała się pierwsza.

– To wszystko jest bardzo piękne, dziadku – powiedziała cicho. – Bardzo… – zawahała się, szukając odpowiedniego słowa – ozdobne.

Usłyszał w jej głosie zwątpienie i rozczarowanie.

Gedeon pociągnął ją za rękaw.

– A to miejsce jest dla kogo? – spytał, pokazując mitrę.

– Dla biskupa – odpowiedział Carpenter i zauważył, że chłopiec spuszcza z zakłopotaniem wzrok.

– Zrobiłeś tron dla biskupa? – spytał wnuk. – Nie mogłeś odmówić?

Oczywiście, zawiedli się na nim. Co za głupiec z niego. Chełpi się swoimi umiejętnościami, zapominając o tym, co najważniejsze. Na Boga, przecież chłopiec ma rację. Stary Gedeon na pewno nie przyjąłby takiego zlecenia.

– Kiedy pracujesz dla takiego mistrza jak Gibbons, trzeba podążać za jego wskazówkami i jak najlepiej wykonywać swoje obowiązki – powiedział mało przekonująco. Widział, że dzieci są zdezorientowane.

W milczeniu zeszli z chóru i znów znaleźli się na skrzyżowaniu naw. Martha była blada, chłopiec nad czymś się zadumał. Zakłopotany nieoczekiwanymi oznakami grzeszności dziadka, najwyraźniej chciał mu dać szansę rehabilitacji. Odwrócił się i powiedział z przejęciem:

– Dziadku, opowiedz nam, jak próbowałeś ocalić starą Marthę podczas pożaru.

Carpenter oniemiał. Doskonale wiedział, dlaczego chłopiec o to poprosił. Wnuki chciały mieć dziadka godnego szacunku, mężnego jak stary Gedeon i jego „święci”. Nie mógł jednak skłamać, byłby to kolejny akt tchórzostwa. Wnuki chciały w niego wierzyć, lecz przecież podstawą tej wiary nie mogło być oszustwo.

– Prawda jest taka, Gedeonie, że wcale nie próbowałem jej ratować – wyznał. – Widziałem ją w oknie, ale straciłem odwagę.

– Pozwoliłeś jej zginąć w płomieniach? – Chłopiec patrzył na niego szeroko otwartymi oczami.

– Chciałem po nią wejść, ale… Tak. Pozwoliłem jej zginąć w płomieniach. – Westchnął. – Bałem się, Gedeonie. Ukrywałem to przez czterdzieści lat. Ale tak wygląda prawda.

Zerknąwszy na zmartwiałą twarz chłopca, dał znak, aby poszli za nim schodami prowadzącymi na kopułę.

Wspinali się mozolnie krętymi schodami, bo wewnętrzna galeria znajdowała się na wysokości trzydziestu metrów. Dzięki temu O Be Joyful zyskał czas, żeby się zastanowić. Czyżby właśnie utracił ich szacunek, a może nawet miłość? Te myśli kładły mu się na barkach tak potwornym brzemieniem, że szedł po schodach z wielkim trudem. Te wszystkie lata, kiedy próbował znaleźć w pracy choć odrobinę szczęścia, nagle prysły, a zostało jedynie bolesne przypomnienie, żywe jak przed czterdziestu laty, że jest zwykłym tchórzem. Teraz wiedziały o tym także jego wnuki. Gdy w końcu dotarli na wewnętrzną galerię obiegającą kopułę, poczuł się tak zmęczony, że aż usiadł, aby odpocząć, dając dzieciom znak, aby same rozejrzały się dokoła.

Wewnętrzna galeria katedry Świętego Pawła budziła lekki strach. Każdy przybysz wyglądający przez balustradę miał wrażenie, że jest zawieszony w przestrzeni ponad ogromną pustką, bez żadnego podparcia. A patrząc w górę na ogromną kopułę wznoszącą się trzydzieści metrów wyżej, czuł, jakby w każdej chwili jakaś dziwna siła mogła go unieść do lotu ku sklepieniu ponad ziejącą w dole otchłanią.

Carpenter usiadł oparty o ścianę i patrzył na dzieci. Na zmianę podeszły do balustrady, a potem cofnęły się ku bezpiecznej ścianie. W katedrze panowała niezmącona cisza. Potrójna kopuła nie przepuszczała żadnego dźwięku. Dzieci zniknęły mu z pola widzenia. Może też odpoczywały. Zamknął oczy.

Po chwili usłyszał ich głosy, jeden z prawej, drugi z lewej strony. Zapomniał im powiedzieć o czymś niezwykłym: ściana wokół galerii była idealnie kolista, przez co nawet najcichsze dźwięki bez przeszkód obiegały ją dokoła. I dlatego nazwano to miejsce Galerią Szeptów. Z zamkniętymi oczami wsłuchiwał się w głosy dzieci, jakby wyryte w milczącej pustce.

– Naprawdę pozwolił Marcie umrzeć? – dobiegł szept Gedeona.

– Tak powiedział.

– Ale przecież dziadek…

– Zabrakło mu odwagi. Zabrakło mu wiary, Gedeonie.

– Powiedzieć nam o tym wymagało odwagi.

– Nie wolno kłamać.

Zapadło milczenie. Po chwili chłopiec znów się odezwał:

– On się po prostu bał. To wszystko. – Chwila milczenia. – Martho, myślisz, że mimo to pójdzie do nieba?

Dziewczynka najwyraźniej się zastanawiała.

– Do nieba idą wybrani – powiedziała w końcu.

– A on nie?

– Nie wiemy, kto jest wybrany, Gedeonie.

Chłopiec się zadumał.

– Martho. – Jego szept był głośny i wyraźny. – Jeśli trafi do piekła, pójdę tam i go uratuję.

– Nie uda ci się tam wejść.

– Spróbuję. Ale nadal możemy go kochać, prawda? – dorzucił po chwili.

– Chyba tak.

– Wracajmy do niego – powiedział Gedeon.

Zewnętrzna galeria znajdowała się wyżej niż Galeria Szeptów, więc Carpenter musiał znów poprowadzić dzieci schodami na górę, na balkon okalający podstawę ogromnej ołowianej kopuły.

Zalało ich jasne światło dnia. Niebo było krystalicznie czyste, leciutka bryza marszczyła migoczące srebrzyście wody Tamizy. Okrążając galerię, mieli przed sobą panoramę całego Londynu. Czując na twarzy rześkie, jesienne powietrze i patrząc na ten widok, Carpenter mimo woli poczuł się pokrzepiony na duchu.

Na północy wzrok sięgał ponad świeżo odbudowaną Guildhall za stare Shoreditch i lasy Islington aż po zielone wzgórza Hampstead i Highgate; na wschodzie – za drugie wzgórze miasta, za wieżyce Tower i przedmieścia Spitalfields, gdzie mieszkali hugenoccy tkacze, za las masztów na Tamizie, aż ku długiemu ujściu i leżącemu za nim otwartemu morzu. Gdy spoglądali na południe, widzieli dziwną starą sylwetkę London Bridge z wystającymi nad wodę średniowiecznymi domami o spadzistych dachach, a dalej, na drugim brzegu, pogrążone w nieładzie Southwark. Jednak najpiękniejszy widok rozciągał się na zachodzie.

Barki wracały z Westminsteru. Na czele płynęła majestatyczna, złota barka szacownego burmistrza, za nią wspaniałe łodzie gildii i kompanii – powiewające proporce i chorągwie, trzepoczące markizy, jaskrawe pasy

czerwieni, błękitu, zieleni i srebra, bogate hafty, wioślarze w liberiach uderzający wiosłami w idealnej harmonii – a jeszcze dalej dziesiątki mniejszych, barwnie przystrojonych łódek. Tamiza wyglądała jak jeden wielki, skrzący się korowód. W całej Europie jedynie pełne przepychu weneckie parady mogły się równać z rzeczną defiladą burmistrza Londynu. Dzieci przyglądały się temu z zachwytem.

Patrząc na wnuki, O Be Joyful rozciągnął usta w uśmiechu. Tak, dzieci miały rację. Pojął to, stojąc na katedralnej kopule pod jeszcze większą kopułą czystego, błękitnego nieba. Życie wieczne nie było mu pisane.

Ale mając przy sobie wnuki, poczuł, że nie ma to już wielkiego znaczenia. Jego życie, a nawet los jego nieśmiertelnej duszy przestały się liczyć. Stary Gedeon i Martha odeszli, ale w jakimś sensie powrócili na ziemię. Mały Gedeon – bardziej niewinny i pobożniejszy od niego, dzielny chłopiec, który gotów był zejść w ogień piekielny, aby ocalić swojego ułomnego dziadka – osiągnie to, w czym on sam zwiódł. I być może któregoś dnia tym dzieciom uda się zbudować świetliste miasto na wzgórzu.

Barki zbliżały się do Blackfriars. Za kilka chwil burmistrz wysiądzie na brzeg.

W tym momencie na jego przywitanie rozdzwoniły się dzwony. Odzywały się jeden po drugim z pięknych wież i kościelnych iglic wzniesionych przez Wrena po Wielkim Pożarze. Śpiewały z Cheapside i Aldgate, z Eastcheap i Tower Hill, z Holborn, z Fleet Street i Strandu. Wiele miało swoją własną melodię, O Be Joyful rozpoznawał je kolejno, przypominając dzieciom krótkie wierszyki, które pozwalały je rozróżnić.

Już wiozą nowy kredens
Tak dzwoni Święty Klemens
Pieniędzy nam nie starczy

Tak dzwoni Święty Marcin
Może byśmy uzbierali
Tak dzwoni nam Old Bailey
I coś musimy zrobić
Tak dzwonią dzwony w Shoreditch
Kto zrobi to najlepiej
Tak dzwonią dzwony w Stepney
Uderzmy w głośny ton
Mówi w Bow wielki dzwon

– A ten dzwoni z St Mary-le-Bow – powiedział na koniec. – Stare dzwony Bow, samego serca Londynu.

Potem zaczęły dołączać następne – pojedyncze uderzenia, sygnaturki, dzwoniły i dźwięczały ludzkim klangorem, który umieją wydać z siebie jedynie dzwony Anglii. Bo ich chwałą – w odróżnieniu od dzwonów w innych krajach – nie była melodyjność, lecz surowy porządek, kolejność następujących po sobie zmian ustalona tak precyzyjnie jak niebiańska matematyka. Ich dźwięki stawały się coraz potężniejsze, opadały w dół skali durowej, zagłuszając fałszywe nuty, aż wydawało się, że rezonuje z nimi sama kopuła katedry Świętego Pawła. Wsłuchując się w ten niezwykły chór, Carpenter miał wrażenie, że słyszy w nim tysiąc innych głosów: purytański głos Bunyana i jego pielgrzyma, głos starego Gedeona i jego świętych, głos Marthy, a nawet głos Wszechmogącego. Zatraciwszy się w nich, zapomniawszy o wszystkim, nawet o swojej nieszczęsnej duszy, przytulił dzieci i zawołał w euforii:

– Słuchajcie! Słuchajcie głosu Pana!

Wśród śpiewu londyńskich dzwonów O Be Joyful był naprawdę szczęśliwy.

Gin Lane

Rok 1750

Hanover Square, numer 17. Koniec kwietnia, popołudnie. W powietrzu pachnie wiosną. W środku okazałego, czteropiętrowego domu z przesuwanymi w pionie dużymi oknami – pięcioma na każdym poziomie – hrabina St James szykuje się do kąpieli.

Dwóch lokajów – czerwona liberia, białe jedwabne pończochy – taszczy metalową wannę i stawia ją na środku pokoju jaśnie pani. Kursują jeszcze trzykrotnie z wielkimi, parującymi dzbanami gorącej wody. Napełniają wannę i znikają. Pokojówka zanurza mały pulchny paluszek, żeby sprawdzić temperaturę. Pokazuje, że wszystko jest, jak należy.

Teraz milady wstaje z łoża ozdobionego haftami herbowymi. Sunie po podłodze w pięknej nocnej koszuli z niebieskich wstążek i białej koronki. Zatrzymuje się przy wannie. Spod rąbka koszulki wysuwa się smukła, biała stópka, po niej zgrabna kostka. Stopa muska powierzchnię wody, która lekko się marszczy. Teraz rozchylają się koronki i widać nagą łydkę. Pokojówka jaśnie pani stoi w gotowości, wyciąga ręce po ubranie. Rozlega się delikatny szelest, gdy jedwab zsuwa się po aksamitnej skórze; pokojówka cofa dłonie.

I oto – wreszcie – jaśnie pani wynurza się w pełnej krasie. Szczupła, idealnie zbudowana, lekko pachnąca. Zanurza smukłą nogę w wodzie, która zaraz potem otula jej jędrne, bujne piersi i alabastrowe ramiona.

Pokojówka czeka w gotowości. Najpierw mydło. Potem olejki nadające skórze miękkość. Jaśnie pani rozkoszuje się kąpielą, bacząc, aby nie zostać w niej za długo, bo woda wysuszyłaby cerę. Kiedy wstaje, pokojówka już czeka z rozłożonym ręcznikiem. Nie będzie jednak energicznie trzeć skóry, tylko delikatnie przytykać tkaninę, ostrożnie susząc. Jeszcze kilka chmurek talku, maść na śliczne stopy i kropelki perfum na kark.

Jaśnie pani brzydzi się niedoskonałością. To jedyne, czego się boi.

Spowita w długi jedwabny szlafrok spoczywa w fotelu, w zadumie popijając gorącą czekoladę z filiżanki. Kiedy dopije, pokojówka przynosi srebrne naczynie z wodą i szczoteczkę. Posypuje proszkiem włosie. Milady ostrożnie, lecz dokładnie szczotkuje zęby białe jak perełki. Następnie pokojówka wkłada jej do ręki zgrabny wygięty srebrny skrobak. Jaśnie pani wydyma usteczka, wysuwa różowy języczek i czyści go, aby nie został na nim ślad ciemnej czekolady, patrząc w zwierciadło, które podsunęła pokojówka.

Czyżby hrabina St James szykowała się do schadzki? Tak. Tego właśnie wieczoru. Pod tym właśnie dachem.

Hanover Square, numer 17. Kamienica stała w połowie pierzei przy rozległym, brukowanym prostokącie nazwanym tak ku czci obecnie panujące dynastii. Jakaż inna nazwa lepiej oddawałaby jego arystokratyczny dostatek i beztroskę?

Dynastia hanowerska miała nikłe podstawy do wzięcia brytyjskiej korony, ale to właśnie ją wybrał parlament. Co z tego, że ledwo władają angielskim? Przynajmniej to protestanci. Co z tego, że to głupcy? Ich panowanie przyniosło pokój i dostatek. Dynastia trzyma się mocno. Pięć lat wcześniej w romantycznym – acz nieroztropnym – porywie w Szkocji wylądował ostatni ze Stuartów, Młody Pretendent Karol Edward, wzniecając powstanie. Angielska armia stanęła jednak na wysokości

zadania. Powstanie szybko zdławiono, a buntowników zdziesiątkowano na polu Culloden. Jakobici, którzy stanęli po stronie Karola Edwarda, zostali ostatecznie pokonani.

Owszem, za granicą aż wrzało. Różne europejskie stronnictwa próbowały ugrać coś dla siebie, ale triumf księcia Marlborough sprzed kilkudziesięciu lat sprawił, że Anglia nie miała powodów do niepokoju. Z kolei dzięki kwitnącemu handlowi kolonie rozciągające się od Ameryki i Karaibów po Indie i bajeczny Daleki Wschód zapewniały stale rosnący napływ bogactwa, podczas gdy w kraju nowe, lepsze metody uprawy roli zwiększały dochody właścicieli ziemskich.

Tylko jedno wydarzenie omal nie zachwiało niewzruszoną pewnością Anglików. W 1720 roku, kiedy nowy, kapitalistyczny świat po raz pierwszy zachłysnął się możliwościami, jakie niesie handel akcjami, londyńska giełda najpierw napęczniała, a potem z hukiem runęła na skutek pierwszej bańki spekulacyjnej związanej z Kompanią Mórz Południowych. Wielcy i maluczcy, którzy – przekonani, że ceny mogą tylko rosnąć – inwestowali w na ogół nieistniejące firmy, stracili wszystko. Ucierpiało tak wielu obywateli, że musiał interweniować rząd. Mimo tego wstrząsu wzrost okazał się na tyle dynamiczny, że dziesięć lat później już prawie nikt nie pamiętał o bańce. Interesy znowu kwitły.

Nie może zatem dziwić, że równie żywiołowo rozwijał się Londyn. Ekspansja, która zaczęła się już za Stuartów, trwała. Miasto szeroką falą wylewało się poza mury, głównie na zachód. Arystokracja, szlachta, spekulanci – wszyscy budowali. O ile pstra, przypadkowa zbieranina właścicieli kamienic w dawnych granicach stolicy przekreślała ambitne plany wprowadzenia ładu urbanistycznego, o tyle w nowych, zachodnich dzielnicach sprawy miały się całkiem inaczej. Bogata szlachta mogła sobie pozwolić, aby planować osiedla z imponującymi placami, ulice

z malowniczą panoramą i nadawać im swoje nazwiska: Grosvenor Square, Cavendish Square, Berkeley Square, Bond Street. Ziemie na West Endzie należały nie tylko do osób prywatnych, ale także do londyńskich gildii, oksfordzkich kolegiów, Kościoła i korony. Dzięki temu na zachód od miasta – tam, gdzie kończyła się zabudowa, a pojawiały się parki, pola uprawne i pastwiska – wytyczano szerokie, ładne ulice i obszerne place. Budynkom, po raz pierwszy w dziejach, nadawano numery. Pierzeje cechowała prosta architektura klasycystyczna, nawiązująca do starożytności. Ponieważ zaś królowie z dynastii hanowerskiej nosili imię Jerzy – George – styl ten nazwano georgiańskim.

To był okres fascynacji kulturą antyku. Młodzi arystokraci dopełniali swej edukacji, podróżując po Europie. Z wojaży przywozili włoskie obrazy i rzymskie posągi, którymi zdobili rezydencje. Damy i dżentelmeni udawali się do wód do starożytnego, rzymskiego uzdrowiska w Bath; wybitni autorzy – Swift, Pope czy Johnson – wzorowali swoje poematy i satyry na rzymskich mistrzach z epoki Oktawiana Augusta. To był wiek rozumu, kiedy człowiek przynajmniej starał się osiągnąć umiar i harmonię podobne do tych, które cechowały georgiańskie place. Nade wszystko jednak królowała wtedy elegancja. A przy Hanover Square pod numerem 17 elegancja była wszystkim.

O pierwszej godzinie lady St James układała plany na wieczór.

Już się zjawił fryzjer Balthazar. Czesanie zajmie godzinę, więc odesłała pokojówkę na dół, żeby zjadła posiłek z innymi służącymi. Balthazar włożył już wkładkę. Dzisiejsza fryzura ma spiętrzyć złociste włosy hrabiny o trzydzieści centymetrów nad głową i kończyć się ścisłym koczkiem owiniętym perłową opaską identyczną jak ta na szyi.

Obok, na złoconym szezlongu, czeka już suknia ze sztywnego jedwabnego brokatu. Jego cudowny wzór – dzieło hugenockich tkaczy ze

Spitalfields – przywodzi na myśli ciemny las kwiatów. Bóg jeden wie, ile kosztował metr tej tkaniny i ile godzin spędziła szwaczka, po dwa razy obrzucając każdy szew. Gdyby tego nie zrobiła, jaśnie pani natychmiast dostrzegłaby fuszerkę.

Przed schadzką hrabina St James musi jeszcze pojawić się na wykwintnej kolacji i przyjęciu. Życie towarzyskie wyższych sfer było wymagające. Ci zaś, których wszędzie zapraszano – lady St James do nich należała – mieli obowiązek bywać.

„Czyż nie po to – mawiała z promiennym uśmiechem – Pan Bóg umieścił nas na tej ziemi?”.

Imponujące place i wspaniałe rezydencje trzeba przecież zapełnić. Eleganckie targowisko próżności musi tętnić życiem.

Po tym wszystkim jednak, późnym wieczorem… Zapatrzyła się w okno.

Chyba mogła ufać służbie. Była dumna ze swojego sprytnego posunięcia. Zwykle to pan domu zatrudniał personel, ale już na początku małżeństwa przekonała hrabiego, że szkoda na to jego czasu. Dzięki temu zarówno kamerdyner, jak i gospodyni poczuwali się do lojalności względem niej. Para lokajów podlegała kamerdynerowi, ale hrabina umiała sobie zapewnić ich sympatię. Pokojówki zaś obdarowywała ubraniami i pieniędzmi. Kucharz, cukiernik – którego fantastyczne dzieła regularnie wywoływały zachwyt gości, gdy na salę wjeżdżały desery – oraz stangret właściwie należeli do męża, ale obaj stajenni byli w niej zadurzeni po uszy, bo – kiedy przytrzymywali jej strzemię – czasem lekko muskała ich karki.

Dlatego więc, jeśli tego wieczoru, pod nieobecność jaśnie pana, ktoś zjawi się w rezydencji i uda się do sypialni jaśnie pani – do której mąż miał surowy zakaz wstępu: „To jedno – oświadczyła pewnego razu dramatycznie – o co proszę. Tej jednej grzeczności żądam” – mogła być spokojna, że nie będzie szeptów, podglądania przez dziurkę od klucza ani nasłuchiwania

w korytarzach. Nic nie zakłóci ciszy domu. Może tylko w alkowie zaszeleści jedwab, zaskrzypi łóżko, rozlegnie się cichy jęk.

Minęło kilkanaście minut. Balthazar pracował nad uczesaniem, a ona myślała o nadchodzącej nocy. Wreszcie, upewniwszy się, że nic nie zniweczy jej planów, przeniosła wzrok na drugą osobę, przycupniętą obok. Oprócz fryzjera bowiem w pokoju znajdował się jeszcze ktoś. Ktoś, kto cicho siedział na stołeczku w zasięgu ręki, aby – kiedy panią najdzie taka chęć – być pogładzonym po głowie. Był to jedenastoletni pyzaty chłopczyk w czerwonej liberii lokaja. Wpatrywał się w nią wielkimi oczami pełnymi uwielbienia. Miał na imię Pedro. Był czarny.

– Miałeś wielkie szczęście, że to ja cię kupiłam. Prawda, Pedro? – spytała hrabina, a Murzynek gorliwie przytaknął.

Żaden modny dom nie mógł się obejść bez takiej uroczej maskotki. Pedro był niewolnikiem.

O ile sto lat wcześniej czarnoskóry na ulicach Londynu budził ciekawość, o tyle teraz nikogo nie dziwił. Zadbały o to gospodarne kolonie brytyjskie. Rocznie z Afryki wysyłano prawie pięćdziesiąt tysięcy niewolników. Trafiali na plantacje trzciny cukrowej w Indiach Zachodnich i na plantacje tytoniu w Wirginii. Nawet stan Massachusetts, gdzie dominowali purytanie, maczał palce w tym procederze. Często transporty zatrzymywały się w Anglii; a choć największe obroty notowano w Bristolu i Liverpoolu, prawie jedna czwarta utargu płynęła z Londynu, gdzie czarnych chłopczyków kupowano jako maskotki i służących.

– Powiedz, Pedro – przekomarzała się. – Kochasz mnie?

Zasadniczo chłopiec był niewolnikiem, ale mieszkał ze służbą. Służbie w arystokratycznych domach powodziło się nadzwyczaj dobrze. Pięknie ubrana, dobrze karmiona, przyzwoicie opłacana, żyła w niezłych warunkach. Stanowiła swoistą elitę. Najlepiej radzili sobie lokaje, często

wypożyczani arystokratom. Ich zwarte szeregi witające gości na balu – nawet w rezydencjach najzamożniejszych książąt – w dużej części składały się ze sług pożyczonych od szlachetnie urodzonych przyjaciół. A napiwki bywały wysokie. Londyński lokaj, który umiał się przymilać, potrafił zaoszczędzić dość, aby otworzyć własny interes. Podobnie i Pedro zdawał sobie sprawę, że – jeśli taka najdzie ją chęć – hrabina może go wyzwolić, otwierając przed nim wrota pomyślności. Zdarzali się czarni kamerdynerzy i subiekci. Gdyby jednak trafił na plantację w Wirginii…

– O tak, jaśnie pani.

Po czym zasypał jej dłonie – bawiła ją ta jego śmiałość – chłopięcymi pocałunkami.

– Kupiłam go, a on mnie kocha – roześmiała się. – Nie lękaj się, mój chłopczyku. – Spojrzała w dół i parsknęła śmiechem. – Właściwie rośniesz mi już na małego mężczyznę. Nigdy cię nie sprzedam. Tylko bądź grzeczny.

Hrabiny St James nie opuszczało wrażenie, że w stolicy wszystko i wszyscy są na sprzedaż. Niewolnicy. Piękne kamienice. Pozycja społeczna. W Londynie dynastii hanowerskiej stare pieniądze mieszały się z nowymi. Nawet hrabiostwo jej męża – podobnie jak licznych dżentelmenów – zostało kiedyś kupione. Jak ją zresztą zapewniał małżonek, handlowanie głosami członków Izby Gmin było na porządku dziennym. Wyniknął tylko jeden kłopot. On to właśnie sprawiał, że hrabina umilkła zadumana. Oto bowiem pojawił się ktoś, kto – jak się okazało – nie był na sprzedaż.

Kapitan Jack Meredith. Zacisnęła wargi. Trudno było go kupić. A bardzo tego chciała. Ogromnie. Mieć go. Tylko dla siebie…

Z zadumy wyrwało ją pukanie do drzwi. Kiedy Pedro otworzył, do pokoju wkroczył mąż.

Trzeciemu hrabiemu St James nie dopisywał humor. Skinieniem jednej ręki odesłał Pedra i Balthazara. W drugiej dłoni ściskał plik papierów.

Nie był ani przystojny, ani brzydki. Odziedziczył podobieństwo do jasnowłosej matki, kobiety o konwencjonalnej urodzie, więc można było go nazwać jedynie mdłym. Nie można mu było za to zarzucić głupoty. Inwestował ostrożnie, ale sprytnie; majątkiem w Bocton zarządzał bez zarzutu; udzielał się też w Izbie Lordów, występując w interesie wigów. (Politycy tego ugrupowania szczególnie upodobali sobie Hanover Square.) Teraz miał na sobie upudrowaną perukę i suto haftowany niebieski surdut, który rozchylał się, odsłaniając zalążki zacnego brzucha. Hrabia St James, dziś po czterdziestce, za dziesięć lat naprawdę nabierze tuszy. Wszyscy zgodnie przyznawali, że dłonie – zawsze bardzo zadbane – miał dość drobne. Za to plik, który ściskał w lewej ręce, był wyjątkowo gruby. Przelotnie skłonił się żonie i od razu przeszedł do rzeczy.

– Chyba zgodzisz się, pani, że zaspokajam większość twoich kaprysów.

Hrabina milczała, bacznie mierząc go wzrokiem. Musiała ważyć słowa. Chciała bowiem przekonać go, aby zburzył starą, ponadstuletnią rezydencję w Bocton. „Niegodną hrabiego”, jak wyjaśniała przyjaciołom. Klasycystyczny budynek z portykiem wspartym na kolumnach – nawet o połowę mniejszy, niż to sobie wymarzyła – wspaniale prezentowałby się na wzniesieniu górującym nad parkiem, w którym żyły jelenie. Ostrożny hrabia wciąż nad tym dumał i, kto wie?, może nawet by się zgodził. Za to twardo zakazał przebudowy stołecznej kamienicy w stylu francuskiego rokoka. Na próżno powtarzała, że to przecież krzyk mody. Na pociechę pozwolił jej jedynie wyłożyć bawialnię chińską tapetą. Hrabina tak bardzo była uzależniona od woli męża, że do tej pory mogła się poszczycić tylko jednym całkowitym sukcesem. Choć akurat do niego nigdy by się publicznie nie przyznała. Przekonała go do zmiany nazwiska.

Pan na St James brzmiało całkiem przyjemnie. Dla zwykłej panny Barham perspektywa zamążpójścia za hrabiego niewątpliwie była kusząca. Ale za Ducketa? To już zupełnie inna sprawa. Dość się rozejrzeć po Londynie. Co druga tablica pamiątkowa głosiła pochwałę jakiegoś Ducketa: rajcy, członka gildii czy kupca. Owszem, rodzina nosiła tytuł hrabiowski, ale korzeniami tkwiła w handlu. I tu warto zwrócić uwagę na coś zaskakującego: młoda, goniąca za modą panna Barham uważała to za upokarzające.

Historia jest służką mody. U schyłku epoki Stuartów młodsi synowie szlachciców nadal – tak jak to się działo od stuleci – zostawali kupcami lub bławatnikami. Teraz jednak unikali tego za wszelką cenę. Zamiast kupiectwa wybierali wojsko – którego wcześniej Anglia właściwie nie miała – albo Kościół: karierę, którą ich dziadkowie traktowali pogardliwie. W ostateczności mogli też zdecydować się na prawo. Historia usłużnie podrzucała jakiegoś feudalnego rycerza bądź rzymskiego senatora, aby uzasadnić tę modę. Tak oto od połowy XVIII wieku angielskie wyższe sfery z coraz większym przekonaniem cytowały porzekadło, że „dżentelmen nie para się handlem”. Ta historyczna bzdura rządziła życiorysami jeszcze przez ponad dwa stulecia.

Przodkowie kupcy zostali zapomniani albo wymazani z historii rodzinnej. Szlachectwo i handel nie mogły iść ze sobą w parze. Moda robiła tylko jedno ustępstwo na rzecz zdrowego rozsądku. Dżentelmen mógł poślubić kupiecką córkę. Nawet w najbardziej snobistycznych i dostojnych dekadach stulecia hanowerskiej elegancji dżentelmeni i arystokraci – choćby z książęcych rodzin – beztrosko, nie kryjąc się z tym, żenili się z córkami handlarzy. Francuska i niemiecka szlachta umarłaby ze zgrozy. Anglicy mieli to w nosie. U nich liczyła się wyłącznie męska linia.

Tymczasem męska linia panów na St James wciąż nosiła kupieckie nazwisko Ducket, niestrawne dla panny Barham. Aby sprawić wybrance przyjemność, młody hrabia – wtedy jeszcze zauroczony panną, która zaćmiewała urodą wszystkie kobiety na każdym balu – zmienił pisownię na pseudofrancuską, mało zresztą przekonującą: de Quette. Panna tłumaczyła przyjaciółkom, że to oryginalna forma nazwiska, którą potem zniekształcono. Wkrótce powszechnie uznano, że przodkowie hrabiego przybyli do Anglii wraz z Normanami. Jedni mają przodków, inni muszą ich stworzyć. Nie tylko de Quette'owie rzeźbili w swoim nazwisku.

„Ale wymawia się je – ciągnęła z angielskim uporem – Ducket".

Wtedy też, myślała ze smutkiem hrabina, mąż po raz ostatni starał się ją zadowolić. Teraz miała swoje wymarzone nazwisko i rezydencję. Ale jeśli chodzi o resztę…

– Te rachunki, pani. Widziałaś je?

Hrabina St James wydała odgłos, który mógł oznaczać wszystko. Nigdy nie patrzyła na rachunki.

– Są znaczne, hrabino – ciągnął.

– Znaleźliśmy się w opałach? – spytała niewinnie. – Muszę sprzedać Pedra? – Westchnęła. – Błagam, panie, nie mów, że jesteśmy zrujnowani.

– Niezupełnie – odparł sucho.

Wiedział, że podejrzała, iż są bogatsi, niż przyznawał. I faktycznie – jak wielu ze swojej klasy społecznej – skorzystał na kwitnącym handlu kolonialnym oraz unowocześnieniu rolnictwa. Jego niebagatelne dochody jeszcze bardziej wzrosły. Nawet koszty życia w Londynie nie obciążały go tak bardzo, bo raz w tygodniu wóz przywoził mięso oraz inne artykuły żywnościowe z majątku w Kencie. Właśnie dziś rano – o czym nie zamierzał wspominać żonie – przyszły plany nowej rezydencji w Bocton.

– Może nie grozi nam ruina, ale to wyłącznie dzięki temu, że ja nie szastam pieniędzmi – oświadczył. – Pani, kupcy przedstawili mi rachunki na łączną kwotę trzystu funtów.

Milady przewróciła oczami. Może nawet potrząsnęłaby głową, gdyby nie obawa, że zniweczy dzieło Balthazara.

– Może nie musimy ich regulować? – podsunęła. Szczodrość, którą tak ochoczo okazywała służbie, nie rozciągała się na kupców.

Hrabia St James zaczął czytać po kolei. Modystka i kapelusznik, handlarz herbatą Twining, poza tym szewc, krawcowa, dwóch sprzedawców perfum, piekarz Fleming, nawet księgarz.

Większość pozycji komentowała cichym jękiem albo westchnieniem:

– Zdzierstwo. Niemożliwe.

Wreszcie mąż dotarł do końca listy.

– Krawcowej trzeba zapłacić – oświadczyła zdecydowanie.

Drugiej tak dobrej nie znajdzie. Zamyśliła się. Zapewne rachunki i kwoty były uzasadnione, ale piekarz wyjątkowo działał jej na nerwy. Pewnego razu wydała wielkie przyjęcie i postanowiła – jak to sama ujęła – ozdobić salę ciastkami. Zabawa się nie udała.

– Daj mi rachunek piekarza! – zawołała. – Każę mu go połknąć!

Tak naprawdę zamierzała wrzucić kartkę do ognia. Fleming może poczekać. Nie jest ważny.

Liczyła, że mąż wreszcie sobie pójdzie. Tymczasem został. Odchrząknął.

– Pragnąłbym omówić z tobą, pani, jeszcze jedną kwestię. – Czekała bez słowa. – Ród de Quette’ów. Jestem trzecim hrabią. Wciąż nie dochowałem się dziedzica. – Kolejna pauza. – Coś trzeba z tym zrobić. – Patrzył jej prosto w oczy. – Nie wątpię w swoje moce.

– Tak. Tak, oczywiście – powiedziała bez przekonania.

– Kiedy, żono?

– Już niedługo. W tym momencie mamy tyle zajęć. Sezon… – Szybko się pozbierała. – Ale lato przecież spędzimy w Bocton, prawda? Na wsi? – Zmusiła się do uśmiechu. – W Bocton, Williamie. – Tak miał na imię.

A choć się uśmiechała, nie potrafiła wykrzesać z siebie nawet odrobiny zachęty leżącej przecież w jej własnym interesie. Żona może unikać męża, ale pod żadnym pozorem nie może mu odmówić współżycia. Gdyby tylko na sam jego widok całkowicie nie traciła ochoty…

Dlaczego? Skąd to się bierze?, zastanawiała się czasem. Co takiego zrobił? W sumie był przecież dość przystojny. Że też wiecznie musi być tak ostrożny, złościła się czasem w duchu. Gdyby choć raz porwał się na szaleństwo, ryzyko – oczywiście nie narażając przy tym na szwank ich komfortu, dorzucała czym prędzej. To czego właściwie chciała? Rok temu nie potrafiłaby nawet ująć tego w słowa. Ale teraz…?

Teraz chciała Jacka Mereditha. Dopóki kapitan przebywał w Londynie, sama obecność męża stawała się nieznośna.

– Raz już – przypomniał delikatnie – dałaś mi dziedzica.

Zamknęła oczy.

– Wiem.

Boże drogi, pomyślała, dlaczego musi mi o tym przypominać?

– Przepraszam. Biedny, mały George.

To była mroczna strefa, sprawa, o której się nie rozmawiało. Śmierć ich małego synka osiem lat temu. Hrabia St James do dziś nie pojął, co właściwie się wydarzyło. Hrabina zaś niezwykle ciężko to zniosła i nie życzyła sobie żadnej dyskusji na ten temat. Mąż właśnie złamał tę niepisaną regułę. Najwyraźniej dziś nie zamierzał przyjmować skruszonej postawy.

– Do lata jeszcze daleko – dodał krótko i wycofał się, zostawiając żonę wpatrzoną w przestrzeń.

Siadła sama, pogrążona w myślach.

Tamta noc. Koszmar tamtej nocy sprzed ośmiu lat, gdy przyszło na świat dziecko.

Poród był długi. Po wszystkim leżała wyczerpana, drzemiąc trochę i ciesząc się, że wreszcie ma to za sobą. Nie podobał jej się stan błogosławiony. Była wielka i ociężała. Coś okropnego. Na szczęście teraz poczuła satysfakcję. Wydała na świat chłopca, który dostanie na imię George, po dziadku. Dla niej jednak najbardziej liczyło się to, że odziedziczy tytuł hrabiowski i od momentu narodzin będzie nazywany hrabiczem Bocton. Słysząc kwilenie, poprosiła położną, żeby przyniosła jej noworodka. Z uśmiechem podniosła go, żeby przy blasku świecy baczniej mu się przyjrzeć. I wtedy ogarnęła ją zgroza.

Spodziewała się, że chłopczyk będzie ładny. A co najmniej jasnowłosy, jak rodzice. Tymczasem to małe stworzenie już miało ciemną czuprynę. Co bardziej zdumiewające, przez środek głowy biegł dziwny biały pasek. To jednak było nic w porównaniu z tym, co miała za chwilę zobaczyć. Kiedy bowiem wzięła piąstkę malucha i rozchyliła ją palcem oraz kciukiem, odkryła coś jeszcze.

Z jej ust wyrwał się stłumiony krzyk. Palce chłopczyka były połączone błoną.

– To nie moje! – wrzasnęła. – Przyniosłaś mi jakieś obce dziecko! Gdzie moje?

– Nie, jaśnie pani – zaklinała się pielęgniarka. – To panine.

– Wiedźma! Złodziejka! To niemożliwe!

W tej samej chwili jednak wszedł lekarz, który zapewnił, że właśnie tak wyglądało dziecko po urodzeniu.

Dobry Boże, myślała, jak toto pokazać przyjaciółkom? Ogarnęła ją trwoga. Ze zgrozą myślała o dziecku. Ze zgrozą myślała o sobie. Ale nie, to

przecież nie mogła być jej wina. Zatem ze zgrozą pomyślała o mężu, przez którego wydała na świat to monstrum.

– Zabierz to! – krzyknęła i opadła na poduszki.

Tak się szczęśliwie złożyło, że wkrótce hrabia St James musiał udać się na północ Anglii, zostawiając ją w Londynie samą. W tym czasie hrabina ułożyła plan.

Pomysł mimowolnie podsunęła jej mamka przyjęta do pracy. Naturalnie nie do pomyślenia było, żeby arystokratka własną piersią karmiła dziecko. Znaleziono dorodną młodą kobietę o wydatnym biuście, która miała urodzić miesiąc przed hrabiną. W czasie pierwszego spotkania dziewczyna zauważyła mimochodem:

– Zawsze miałam dużo pokarmu. Wystarczy dla maleństwa jaśnie pani. Chyba że moje umrze. Wtedy pani dostanie wszystko.

– Małe dzieci często umierają? – spytała hrabina. Coś jej majaczyło, że to się zdarza, ale przedtem nigdy nie zawracała sobie tym głowy.

– No tak, jaśnie pani – odparła dziewczyna. – W Londynie co dzień, na pęczki.

Śmierć nie omijała także bogatych: byle gorączka mogła zabić dziecko. Jeśli zaś chodzi o biednych żyjących w ciasnocie w zapuszczonych czynszówkach, w warunkach urągających higienie – tam zaledwie co trzecie dziecko dożywało szóstego roku. Porzucone, martwe lub umierające dzieci stanowiły codzienny widok. Ta informacja wraz z innymi, które udało się zgromadzić, stała się osnową planu hrabiny St James.

Potrzebowała jedynie wspólniczki. To zaś nie było trudne. Obdarta, zielonooka kobieta, którą wypatrzyła w ciemnym zaułku Covent Garden, nie miała pojęcia, kim jest tajemnicza dama ukryta za peleryną, ale pięć funtów z obietnicą kolejnych dziesięciu po zakończeniu sprawy bez trudu zapewniło jej całkowitą współpracę bez niepotrzebnych pytań.

Służba w domu przy Hanover Square była zdumiona, kiedy nagle – dwa dni po wyjeździe jaśnie pana – hrabinę nagle ogarnął niepokój.

Dziecko zachorowało, oświadczyła. Wszystko przez mamkę. Dziewczynę zwolniono. Trzeba zdobyć kozie mleko.

– Niech nikt się nie zbliża do dziecka – zażądała. – Tylko ja.

Nie poznawali jej. Proponowali, że wezwą pielęgniarkę, lekarza. Rozważała to przez chwilę, po czym zadecydowała:

– Nikomu nie ufam.

Aż wreszcie owego strasznego świtu rozległ się krzyk. Roztrzęsiona hrabina zbiegła na dół z dzieckiem zawiniętym w szal. Wydała rozkaz: za godzinę ma być podstawiony najszybszy dyliżans. Jedzie do Bocton. Tak, tak, imaginujcie sobie, do Bocton, którego nigdy nie lubiła. I to o tej porze! Nie chciała brać ze sobą nikogo. Mieli jej towarzyszyć tylko stangret i stajenny.

– Wiejskie powietrze! – wołała. – Dziecko potrzebuje powietrza! Dajcie mu świeże, wiejskie powietrze – upierała się – a wydobrzeje.

Po czym wybiegła z dzieckiem na plac – któż śmiałby ją powstrzymać? – i zniknęła niemal na godzinę.

To była szaleńcza jazda. Przemknęli przez London Bridge i dalej przez Southwark na drogę do Kentu prowadzącą między nagimi zboczami Blackheath i długim traktem przez Shooter’s Hill. Stajenny, który przejął funkcję forysia, mknął przed powozem, umierając ze strachu przed rabusiami. Pędzili tak godzina za godziną, zatrzymując się tylko w Dartford, a potem w Rochester, aby zmienić konie. Pani popędzała ich jak szalona; na postoju nie opuszczała powozu, tylko kazała sobie przynosić nocnik. Zapadał już zmierzch, gdy owego marcowego dnia dotarli wreszcie na szczyt, skąd rozciągał się widok na lasy wokół Bocton. W domu

zdumiona gospodyni w pośpiechu przygotowywała sypialnię, do której hrabina udała się natychmiast, nie wypuszczając dziecka z objęć.

Najbardziej zdumiony zaś był lekarz z Rochester wezwany następnego ranka.

– Dziecko jest martwe co najmniej od jednej doby – oświadczył.

Jednak hrabina St James jakby postradała rozum. Uparcie powtarzała, że teraz dziecko wydobrzeje. Lekarz roztropnie zabrał ze sobą małe ciałko.

Dziesięć dni później, kiedy hrabia St James wrócił z północy, dowiedział się, że jego dziedzic spoczywa pogrzebany na cmentarzu przy kościele pod lasem w Bocton, a jego żona wpadła w taką rozpacz po utracie dziecka, że obawiano się, czy nie postrada rozumu.

To właśnie mroczne wspomnienie prześladowało jaśnie panią, kiedy – niemal osiem lat później – siedziała sama, pięknie uczesana w swojej gotowalni przy Hanover Square.

Do własnego dziecka, które podczas tamtej godzinnej nieobecności zamieniła na zmarłe, nie czuła zupełnie nic. Kiedy kobieta z Covent Garden spytała, co z nim zrobić, syknęła tylko:

– Rób, co chcesz. Bylebym go więcej nie widziała.

Tak też się stało. Nie zabiłam go, powtarzała sobie. Miała tylko nadzieję, że umarło.

Ale to już stare dzieje. Zresztą cicho sza!, bo właśnie zjawiła się garderobiana, by pomóc jaśnie pani włożyć zjawiskową suknię na dzisiejsze wyjście.

Isaac Fleming miał powody do radości. Jego rachunek dla hrabiny St James opiewał na co najmniej trzydzieści funtów. Złożyła u niego olbrzymie zamówienie, a ponieważ wiedział, że ciastka, które jej wysłał, były najwyższej jakości, liczył na dalszą owocną współpracę. Podobnie jak wielu innych rzemieślników, którym wcześniej nie było dane obsługiwać

najmodniejszej klienteli, wyobrażał sobie, że arystokracja zawsze reguluje zobowiązania.

– A może – podzielił się nadzieją z rodziną – poleci nas swoim przyjaciołom?

Isaac Fleming nie żywił wielkich ambicji. Ale miał precyzyjne plany. Chciał mieć sklep z wykuszem.

Za czasów jego dziadka, kiedy rodzina prowadziła jeszcze sklep pasmanteryjny, nie było takich wynalazków. Po Wielkim Pożarze murowane ciągi sklepików zastąpiły dawne drewniane stragany. Zwykle jednak były one bardzo proste: zwykły blat, towary na półkach, drewniana, wyszlifowana podłoga. Dopiero od pewnego czasu zaczęło się to zmieniać.

W dzieciństwie Isaac często zapuszczał się poza Ludgate. Szedł Fleet Street do miejsca, gdzie – tuż za stareńkim kościołem St Clement Danes – ulica rozszerzała się w jezdnię mijającą stary Savoy, znaną jako Strand. Strand podobał się chłopakowi; było to modne miejsce, gdzie podziwiano tak zachwycające lokale jak Grecian Coffee House, New Church Chop House czy inne ulubione miejsca spotkań adwokatów i dżentelmenów. Isaaca najbardziej jednak zauroczył jeden wąski sklepik, do którego za każdym razem zaglądał: Twining’s Tea Shop. Sprzedawano tam wyłącznie herbatę – za to jak pięknie i elegancko. W witrynie wzrok przyciągały wielkie, malowane słoje. Wewnątrz znajdowały się beczki z ozdobnymi etykietami. Na ladzie – oprócz wag i miarek – stało mnóstwo pięknie intarsjowanych pojemników na herbatę. To było coś więcej niż sklep. To było prawdziwe dzieło sztuki.

„Właśnie taki sklep chcę mieć, jak dorosnę”, mówił ojcu.

A ponieważ kilka lat później ubłagał go, aby mógł terminować u zwykłego piekarza, ojciec nie wyobrażał sobie, żeby Isaac kiedykolwiek potrzebował tak szykownego lokum, i nie brał poważnie bajań chłopca. Nie

minął rok, od kiedy młody Isaac otworzył skromną piekarnię przy tawernie Old Cheshire Cheese na Fleet Street, a już zajął się pieczeniem ciast. Szło mu znakomicie. Po kilku latach ciasta przynosiły ponad połowę dziennego zarobku.

„Popełniasz jeden błąd – ostrzegał ojciec. – Za dużo inwestujesz w ciasta, choć właściwie nie przynoszą zysku".

„Najpierw muszę zdobyć renomę – odpowiadał Isaac. – Wtedy podniosę ceny".

Wierzył, że pewnego dnia będzie mógł się przenieść czterysta metrów dalej i znajdzie się obok sklepu Twininga na Strandzie.

„Tam będę miał klientów takich jak hrabina St James", zapewniał.

W głębi ducha żywił jeszcze większe nadzieje. Właściwie marzenie. Dopnę swego, jeszcze zanim syn przejmie po mnie warsztat, obiecywał sobie. Będzie mógł całkowicie zrezygnować z pieczywa i przerzucić się wyłącznie na ciasta. Co więcej, przeniesie się na Piccadilly.

Piccadilly było najmodniejszym miejscem. Nazwa początkowo stanowiła kpinę, bo człowiek, który wykupił grunty, dorobił się, sprzedając „piccadille" – męskie kryzy – na dwór królewski w czasach Elżbiety i Stuartów. Teraz jednak już nikt nie ośmieliłby się z tej nazwy drwić. Granicę Piccadilly od południa stanowił pałac St James i Pall Mall, a od północy nowe osiedla takie jak Grosvenor czy Hanover Square. Nic dziwnego, że przyciągało samą śmietankę. Właśnie tam, tuż przy ryneczku obok kościoła Świętego Jakuba, stał sklep tak zachwycający, tak absolutnie zjawiskowy, tak bezspornie bijący na głowę wszystkie londyńskie lokale, że Isaac Fleming mógł tylko kornie chylić przed nim czoło. Jeśli Twining's Tea Shop był dla niego wzorem, to ten stanowił natchnienie; jeśli Twininga uznać za kościół, to ten był katedrą przekraczającą ludzkie wyobrażenie.

Fortnum i Mason. Dwaj przyjaciele założyli sklep w 1707 roku, kiedy Fortnum, lokaj z dworu królewskiego, odszedł ze służby. Zdumiewające, jakie cudeńka można tam było kupić: produkty spożywcze wszelkiego rodzaju, niezwykłe przysmaki – mielony róg jelenia, oryginalne smakołyki, egzotyczne łakocie – importowane za pośrednictwem Kompanii Wschodnioindyjskiej. Największe wrażenie jednak robiło samo wyposażenie: wspaniale przystrojone okna, jasne światła, stoły ustawione tak, aby wchodzący czuli się, jakby znaleźli się w modnej bawialni stołecznej kamienicy należącej do arystokratycznego rodu. Isaac nie wątpił, że kosztowało to majątek. Nawet nie marzył, aby stworzyć coś na podobną skalę. Wierzył jednak, że pewnego dnia jego zakład będzie znajdował się tuż obok tego przybytku, a jego znacznie skromniejszą witrynę kuszącą ciastkami będą mijać znamienici klienci Fortnuma. Marzenie? Tak, ale – kto wie – może się ziści?

Pierwszy krok do osiągnięcia odległego celu stanowiło ulepszenie sklepu. To zaś oczywiście zaczynało się od fasady. Przede wszystkim musiał zmienić szyld. Choć przy wejściach do większości sklepów wciąż wisiały szyldy jak za dawnych, średniowiecznych czasów, modni dostawcy coraz częściej umieszczali nad witryną eleganckie tablice z wypisanym – czasem nawet złotą farbą – swoim nazwiskiem. Poza tym Isaac potrzebował wykusza.

Takie okno stanowiło wyjątkowo sprytne rozwiązanie. Nie tylko szykownie wyglądało, nie tylko – dyskretnie wysunięte poza fasadę – niejako mimowolnie, przyjacielsko, bez narzucania się zapraszało klienta, aby wszedł do środka, ale miało też inną, bardzo praktyczną zaletę. Zapewniało dodatkową powierzchnię, dzięki której kupiec mógł znacząco powiększyć wystawę.

„Widzisz ją, zanim jeszcze podejdziesz do sklepu – podkreślał Isaac. – To zaś oznacza, że również dłużej ją oglądasz”.

Tego dnia wreszcie podjął ostateczną decyzję. Skromny zakład przy Fleet Street dorobi się nowej, wypukłej witryny. Isaac nie będzie żałował grosza.

– A stać nas na to? – spytała z pewnym niepokojem żona.

– Och, sądzę, że tak – odparł beztrosko. Jego wąska, zapadnięta twarz promieniała na samą myśl o inwestycji. – Pamiętasz? Przecież hrabina St James jest mi winna trzydzieści funtów.

Piccadilly było czymś więcej niż miejscem, gdzie znajdował się najwytworniejszy londyński sklep. Owego popołudnia o piątej dwóch tragarzy niosących lektykę z szykowną hrabiną St James w środku dołączyło do stu innych lektyk oraz do licznych suto zdobionych karoc, na wysokości sklepu Fortnuma skręcających w bramę, skąd udawały się na otoczony kolumnadą dziedziniec imponującego kamiennego pałacu typu palladiańskiego, odsuniętego nieco od północnej krawędzi ulicy. Był to dumny pałac Burlington.

Na modnych placach West Endu stały również bardzo obszerne rezydencje, wciąż jednak nie brakowało arystokratów – zwłaszcza książąt – tak bajecznie bogatych, że mogli sobie pozwolić na niewielkie pałace. Należał do nich hrabia Burlington. A choć rodzina upodobała sobie uroczą willę w stylu włoskim zbudowaną w wiosce Chiswick na zachodnich obrzeżach Londynu, od czasu do czasu organizowała przyjęcia w olbrzymim pałacu przy Piccadilly.

Naturalnie zebrała się cała londyńska śmietanka. Szlachta, politycy, a także – w końcu to przyjęcie Burlingtonów, cenionych mecenasów – garstka przedstawicieli świata literatury i sztuki. Zjawił się Fielding, autor *Historii życia Toma Jonesa, czyli dziejów podrzutka*, która w ubiegłym roku

zyskała wielką popularność. Towarzyszył mu ślepy brat przyrodni, John; obaj stanowili doskonałą kompanię. Nie zabrakło też malarza Joshui Reynoldsa ani aktora Garricka. Zawsze starano się maksymalnie wypełnić rezydencję, w której organizowano wieczór, a Burlington House pomieściłby pięć tysięcy gości i wciąż znalazłoby się miejsce dla stu, dwustu osób przy klatce schodowej. Hrabina St James sunęła z wdziękiem od grupy do grupy, tu i ówdzie wymieniając kilka zdań i zawsze dbając, aby ją zauważono. Cały czas jednak wzrokiem szukała tylko jego. Mówił, że przyjdzie.

Przyszedł.

Jeszcze zanim nawiązali romans, w obecności kapitana Jacka Mereditha hrabina St James nieodmiennie zalewała się rumieńcem jak panienka. Bardzo ją to zawstydzało. A gdy znajdowała się przy nim w liczniejszym towarzystwie, cała jej wytworność – którą przywdziewała już od tak dawna, że niemal zrosła się z nią na stałe – opadała z niej nagle jak niezapięta suknia. Stawała wtedy zakłopotana jak jakaś gamoniowata dziewczyna, zastanawiając się, czy ktoś to zauważył.

Jednak tego dnia, gdy zbliżała się do niego, towarzyszyły jej inne doznania.

Najpierw przyspieszone bicie serca. Potem delikatne drżenie, którego nie mogły ukryć ani doskonale skrojona suknia, ani precyzyjnie upięta fryzura. I wreszcie ciepłe mrowienie. Pojawiało się w zmysłowo odsłoniętych nieco piersiach, gromadziło się w brzuchu, a potem spływało wielką rzeką w dół, wywołując w jej ciele tak potężny wybuch życia, że z trudem nad sobą panowała.

Miał na sobie haftowany surdut w kolorze burgunda. Zanim jeszcze na nią spojrzał, wiedziała, że ten kolor pasuje do jego ciemnych oczu. Stał samotny, obrócony twarzą do jednego z wielkich okien. Wyczuł jej

obecność, ale nie odwrócił się do niej od razu, jedynie po chwili przywitał ją lekkim skinieniem głowy i uśmiechnął się tak samo, jak by się uśmiechnął do każdej innej kobiety. Dostrzegła męską bliznę przecinającą policzek. I smużkę pudru, która spadła z peruki na mankiet.

Stanęli w pewnej odległości od siebie. Mówili cicho, żeby nie zwrócić na siebie uwagi.

– Przyjdziesz?

– O ósmej. Jesteś pewna, że go nie będzie?

– Tak. Jest teraz w Izbie Lordów. A potem pójdzie na kolację i na karty. – Westchnęła. – On się nigdy nie zmieni.

– I zawsze stawia haniebnie mało – stwierdził Meredith. – W klubie nie udało mi się nigdy wygrać od niego więcej niż pięć funtów.

– W takim razie o ósmej?

– Oczywiście.

Skinęła głową i ruszyła dalej, jakby ledwo raczyła go zauważyć. Ale serce biło jej z całej siły.

W domu na Seven Dials [30] na kolację były ostrygi. Harry Dogget patrzył na czeredkę swoich dzieci. Wyglądały jak mali ulicznicy. Dwaj bosi siedmiolatkowie, Sam i Sep, palili długie fajki. W georgiańskim Londynie fajki paliło wiele dzieci.

– Znowu ostrygi?

Dzieci skinęły głowami i nieco nerwowo wskazały schody. Dogget wzniósł oczy do nieba. Wszyscy wiedzieli, co to oznacza. I jakby w odpowiedzi w pokoju na górze rozległ się przytłumiony huk, a kilka nieregularnych, ale wyraźnych skrzypnięć desek w suficie zapowiedziało nieodwołalne przybycie pani Dogget, czyli, jak ją słusznie nazywał Harry, pani „próchno i ambona”.

Harry Dogget westchnął. Pocieszał się jednak, że i tak nie spotkał go najgorszy los. Przynajmniej dzieci sprawowały się dobrze, choć prawdę powiedziawszy, nie był pewien, ile ich ma.

– Ale każde jest cockneyem, bez dwóch zdań – mruknął do siebie na pocieszenie, słysząc łomot, który dowodził, że pani Dogget złazi po schodach.

Harry Dogget był dumny z tego, że jest cockneyem. Ludzie spierali się, skąd to słowo pochodzi. Jedni twierdzili, że oznaczało zgniłe jajo, inni, że idiotę; było też wiele odmiennych wyjaśnień. Nikt też nie wiedział, kiedy i w jakich okolicznościach zaczęto tak nazywać londyńczyków, chociaż Harry usłyszał gdzieś, że za życia jego dziadka nie używano tego określenia zbyt często. Wszyscy byli zgodni co do jednego: aby zaliczać się do tego doborowego towarzystwa, trzeba było urodzić się w zasięgu bicia wielkiego dzwonu St Mary-le-Bow.

Oczywiście ten dźwięk mógł się nieść z wiatrem na wiele kilometrów. Większość mieszkańców Southwark po drugiej stronie rzeki uważała się za cockneyów, podobnie jak ci, którzy mieszkali w Spitalfields na wschód od Tower – chyba że, co zdarzało się często, woleli uchodzić za hugenotów. Podobnie na zachód, wzdłuż Fleet Street i Strandu aż do Charing Cross, Covent Garden i pobliskiego Seven Dials ludzie tacy jak Harry Dogget, słysząc w niedzielny wieczór melodię starego dzwonu, kiwali głową ze słowami: „Ze mnie jest prawdziwy cockney”.

Trudno się dziwić, że londyńscy cockneye słynęli z poczucia humoru i bystrego rozumu. W końcu już wiele wieków temu mieszkańcy Londynu – Anglicy, wikingowie, Francuzi z Normandii, Włosi, Flamandowie, Walijczycy i Bóg wie kto jeszcze – zarabiali na życie dzięki sprytowi. Spostrzegawczy handlarze na targu, pyskaci przewoźnicy łodzi, oberżyści, miłośnicy teatru, przesiąknięci soczystym, subtelnym i zarazem dosadnym

językiem Chaucera i Shakespeare’a, wszyscy zwykli londyńczycy już od urodzenia umieli swobodnie pływać w najbogatszej rzece języka, jaką znał świat. I nic dziwnego, że bystrzy cockneye uwielbiali bawić się słowami i tworzyć rymy.

Harry powtarzał swoim dzieciom, gdy tylko nauczyły się mówić:

„Boży dopust znaczy oszust. Gęsta pszenica znaczy ulica. Tęga krowa to twoja głowa. Worek prania – dużo gadania. Więc przestańcie prać i ruszcie krową” [31].

Gdy więc pani Dogget schodziła z trudem po schodach, Harry mruknął do siebie:

– Zbliża się próchno i ambona. – Co znaczyło, że zbliża się żona.

Pani Dogget była czerwona na twarzy, ale bynajmniej nie ze zmęczenia. Powodem była kaszka, czyli inaczej mówiąc, flaszka. A właściwie jej zawartość, szczupak i lin, czyli gin.

Nazywano go też zgubą matek, choć bardziej pasowałoby określenie zguba rodzin. Bóg jeden wie, ile rodzin w Londynie ucierpiało z powodu ginu. Ten alkohol był tak tani w produkcji, że gdy Wilhelm Orański przywiózł go do Anglii, biedota we wszystkich miastach szybko się od niego uzależniła, przez co stał się największym przekleństwem kraju. „Za pensa można się wstawić, za dwa upić do nieprzytomności”, mówiło znane porzekadło. Niestety, pani Dogget niemal codziennie wydawała na gin więcej niż dwa pensy. „Trochę sobie poprawię humor”, mawiała przy pierwszej szklaneczce, po której nic już nie mogło jej powstrzymać.

Była niską, otyłą kobietą. Miała opuchnięte od pijaństwa oczy, ale i przez wąskie szparki, które jej pozostały, widziała całkiem dobrze.

– Znowu ostrygi? – rzucił Harry oschle.

– Szczupak i lin – odpowiedziało jedno ze starszych dzieci.

– Przecież dałem ci dziś szylinga – powiedział Dogget z wyrzutem. – Nie mogłaś tego przepić, staruszko.

Pani Dogget spojrzała na niego zaskoczona.

– Wydałam tylko dwa pensy – mruknęła, marszcząc brwi.

– To kto wziął resztę? – zapytał. Dzieci pokręciły głowami.

Gdyby jednak przyjrzał im się lepiej, z pewnością zauważyłby porozumiewawcze uśmieszki, które wymienili ze sobą dwaj siedmiolatkowie. Sam i Sep doskonale wiedzieli, co się stało z pieniędzmi. I nie zamierzali nikomu o tym mówić.

Seven Dials było dziwnym miejscem. Zbiegało się tu siedem niezbyt znaczących ulic. Na środku skrzyżowania stała kamienna dorycka kolumna zwieńczona siedmioma identycznymi tarczami zegarów zwróconymi ku każdej z ulic. Przy swoim położeniu – na wschód od Covent Garden, gdzie mieścił się targ kwiatowy, i zaledwie pięć minut piechotą od Piccadilly – Seven Dials miała być szanowaną enklawą dla bogatych. Jednak okolicznym ulicom zabrakło moralnego charakteru sąsiadów i wolały osunąć się we wszechobecne bagno łagodnej demoralizacji.

Gdy ktoś szukał taniego ginu, szedł na Seven Dials. Niektórzy nazywali te okolice Gin Lane. Jeśli ktoś pragnął towarzystwa kobiety, niespecjalnie brzydkiej i niekoniecznie zarażonej wstydliwą chorobą, wystarczyło pójść pod zegary, gdzie kręciło się wiele panien, nie tyle zawodowych prostytutek, ile żon zapracowanych mężów, chcących trochę dorobić na boku. A jeśli przypadkiem miałeś ochotę stać się ofiarą kradzieży, skręcałeś w którąś z siedmiu ulic, a tam z pewnością czekał już ktoś gotowy do usług.

Jednak dla Sama i Sepa Seven Dials było swojskim terenem. W końcu tu się urodzili, w jednej z czynszówek o minutę drogi od skrzyżowania. Wszyscy ich znali. I nawet ci o nie najlepszych zasadach moralnych albo

groźnych skłonnościach nigdy ich nie zaczepiali. W końcu byli synami Harry’ego Doggeta, a z nim należało się liczyć.

W Londynie zawsze można było spotkać ulicznych handlarzy, w koszykach albo na wózkach roznoszących swoje towary od drzwi do drzwi. Jednak ostatnio handlarzy było znacznie więcej. Powód był prosty: coraz większa liczba mieszkańców i coraz mniejsza liczba ulicznych straganów, masowo zamienianych na sklepy.

Biedacy nie kupowali w sklepach. Było tam drożej, poza tym sprzedawcy niechętnie widzieli u siebie klientów w łachmanach, bo odstraszali lepszych gości. Drobni handlarze nieustająco wędrowali swoimi trasami, w powietrzu bez przerwy roznosiły się ich okrzyki i nawoływania, przez co można było odnieść wrażenie, że ulice opanował ruchomy targ. „Gorące paszteciki!”, „Tłuste kury! Kupujcie tłuste kury!”, „Pomarańcze, cytryny!”, „Czereśnie, dojrzałe czereśnie!”. Niektórzy, jak chociażby sprzedawca bułeczek, pobrzękiwali dzwonkami. Zgiełk był nie do opisania.

Jednak prawdziwą arystokracją cockneyowskich sprzedawców ulicznych byli straganiarze. Należał do nich Harry Dogget.

Każdy straganiarz był posiadaczem własnego pięknie wymalowanego wózka ciągniętego przez osła. Harry sprzedawał ryby, owoce i warzywa, w zależności od dnia i pory roku. Najwięksi straganiarze byli nieoficjalnymi królami swojej okolicy, pilnującymi porządku wśród handlarzy. To szczególne stanowisko przechodziło w rodach cockneyów z ojca na syna. Harry Dogget znajdował się o szczebel niżej niż owa elita, ale z pewnością nie warto było z nim zadzierać. Uczciwy w handlu, pierwszy do żartów, lubiany przez wszystkich – także przez kobiety, co nie było tajemnicą – zawsze z czerwoną chustką zawiązaną luźno na szyi, był mężczyzną nie największej postury, ale za to krzepkim.

„Walnął mnie raz. – Chłopcy przypadkiem usłyszeli kiedyś wyznanie barczystego rzeźnika. – Ale sam się o to prosiłem”.

„No i jak to się skończyło?”, spytał ktoś.

„Wolałbym, żeby mnie kopnął koń pociągowy”, przyznał z zadumą rzeźnik.

Harry mógłby się uważać za szczęśliwego człowieka, gdyby nie pani Dogget.

„Nie o to chodzi, że tyle wydaje – tłumaczył. – Ale o to, że nie zarabia”. Nawet straganiarz taki jak on miał prawo oczekiwać, że żona będzie się przyczyniać do dochodów rodziny.

Próbowano już wszystkiego, żeby odzwyczaić ją od ginu. Dawano jej proste prace, jak chociażby pranie, ale nigdy ich nie kończyła. Którejś wiosny wywiózł ją na tydzień do Fulham. W tamtejszych ogrodach należących do pana Guntera zatrudniali się robotnicy z West Country, a nawet z Irlandii. Ale ona jakimś cudem znalazła butelkę ginu, upiła się i rozbiła szklarnię. Tego lata Harry’emu wydawało się, że wreszcie znalazł dobre rozwiązanie. Znajomy, który pracował w browarze Bulla w Southwark, zaproponował, żeby pani Dogget pojechała z dziećmi do pracy przy zbiorach chmielu w majątku Bocton w Kencie. „Tam nie znajdzie ani kropli ginu”, powiedział znajomy. Ale pani Dogget odmówiła. „Łatwiej oderwać małża od skały niż ruszyć ją z domu”, wzdychał Harry. I na tym sprawa utknęła.

Czasem zastanawiał się, czy to nie jego wina. To on doprowadził ją do pijaństwa? Była zazdrosna o inne kobiety? Chyba nie. Pani Dogget, mimo wielu wad, zawsze była pogodna. Poza tym podejrzewał, że sama ma różne grzeszki na sumieniu. „Niektórych ciągnie do picia – uznał. – Po prostu w to wpadła”. Ale to znaczyło, że choć Harry miał wózek, nigdy nie mógł się dorobić. Dlatego często przestrzegał swoje dzieci:

„Musicie dobrze się starać. I nauczcie się troszczyć o siebie”.

Sam i Sep wzięli sobie jego wskazówki do serca.

Sep czasem martwił się, że Sam kradnie.

„Zobaczysz, Bow Street Runners [32] złapią cię jak nic”, mówił.

Rok wcześniej sędzia pokoju Henry Fielding – a także autor *Toma Jonesa* – powołał pierwszy oddział londyńskiej policji, który działał na terenie Covent Garden.

Ale Sam śmiał się z obaw brata.

„Nie musisz mnie pilnować”, mówił.

Chłopcy nie byli bliźniętami jednojajowymi, ale byli do siebie bardzo podobni: obaj mieli pasmo jasnych włosów i błonę między palcami. Ta ostatnia cecha, choć ominęła Harry’ego, pochodziła od ich dziadka. Sam miał weselsze usposobienie i zawsze szukał okazji do żartów, Sep był poważniejszy. I jak pozostałe dzieci, zawsze mieli coś do roboty. Najstarszy syn pomagał ojcu w handlu, córki dbały o dom albo wynajmowały się na służbę, a bliźniacy chwytali się dorywczych prac za parę groszy, które zawsze potem skrzętnie ukrywali przed matką. Ale Sam, dużo odważniejszy, rozszerzył swoją działalność o zwyczajne przestępstwa. Wymyślił bardzo sprytny sposób.

Od osiemnastu lat najlepszy londyński teatr miał swoją siedzibę w Covent Garden. Na wychodzącą po zmroku publiczność czekały wynajmowane lektyki oraz tłum wyrostków z latarniami, którzy odprowadzali widzów przez nieoświetlone ulice do domu. Liczni dżentelmeni, którzy trochę z litości wybierali na przewodnika sympatycznego chłopca, a po kilku minutach padali ofiarą rabunku niedaleko Seven Dials, byliby mocno zdziwieni, wiedząc, że mimo łez i okrzyków przerażenia w trakcie napaści następnego dnia Sam odbiera od złodzieja swoją działkę.

„Policja nic mi nie zrobi – zapewniał brata. – Poza tym nie mają żadnych dowodów”.

Sep chętnie uczestniczył w innej formie kradzieży: podbierali drobne pani Dogget. Obaj uznali, że tak naprawdę nie jest to złodziejstwo. W końcu mieli prawo do rodzinnych pieniędzy. Doskonale wiedzieli, co by się z nimi stało.

„Albo my je weźmiemy, albo połknie je szczupak i lin”, powtarzał Sam.

Miał gotową odpowiedź na pytanie, po co mu pieniądze. Chciał być straganiarzem jak ojciec. A skoro wózek po ojcu miał odziedziczyć jego starszy brat, to na swój musiał zarobić sam. Handlarze uliczni nie potrzebowali żadnych pozwoleń, nie byli zorganizowani w cechu, więc każdy mógł rozpocząć działalność, o ile wyrazili na nią zgodę najstarsi rangą straganiarze. „Jak skończę piętnaście lat, będę zarabiał więcej niż ojciec”, przyrzekł sobie Sam. Sep miał takie same zamiary, dopóki nie skończył pięciu lat. Bo wtedy dokonał porywającego odkrycia.

Roczny rytm życia georgiańskiego Londynu znaczyło kilka doniosłych uroczystości. Większość obchodzono od wieków: Boże Narodzenie, Wielkanoc, Święto Wiosny oraz wielka rzeczna parada burmistrza. Ale gdy Harry był dzieckiem, pojawiła się jeszcze jedna atrakcja. Pierwszego dnia sierpnia na Tamizie odbywał się wyścig. Startowało w nim sześć łodzi, każda z jednym wioślarzem. Trasa biegła w górę nurtu, od London Bridge do Chelsea, a nagrodą był piękny surdut i srebrna odznaka. Inicjatorem wyścigu był aktor i kierownik teatru. Ale na Sepie największe wrażenie robiło nazwisko dobroczyńcy przewoźników: Thomas Dogget. Wyścig Doggeta o surdut i odznakę, Dogget’s Coat and Badge Race, obserwował cały Londyn.

„Nasza rodzina ma coś wspólnego z tą nagrodą?”, dopytywał niecierpliwie pięcioletni Sep, gdy po raz pierwszy oglądał z ojcem regaty.

„Oczywiście. To był mój stryj Tom”, skłamał beztrosko Harry. Nie miał najmniejszego pojęcia, czy niepochodzący z Londynu Thomas Dogget jest skoligacony z jego rodziną, ale patrzył z rozbawieniem na syna, który aż poczerwieniał z dumy.

Od tamtej chwili rzeka i pracujący na niej wioślarze nabrali dla Sepa nowego znaczenia. Owszem, straganiarz to dobry fach, ale przecież nie można go porównać z potęgą rzeki, której Doggetowie – tak czuł – byli nieodłączną częścią. Co dzień marzył, że kiedyś dołączy do przewoźników w barwnych liberiach. Kiedyś zwierzył się z tego ojcu, a on, ku jego zaskoczeniu, pochwalił te zamiary. Ten fach nie tylko zapewniał dobre życie, ale miał też inną zaletę, o której Sep wtedy nie wiedział.

„Mógłbyś także zostać strażakiem”, powiedział Harry.

Pierwsze oddziały straży pożarnej zorganizowały towarzystwa ubezpieczeniowe, uznawszy, że najprostszym sposobem na ograniczenie roszczeń jest gaszenie pożarów. Każde towarzystwo miało swój wóz z beczkami, wiadrami, a nawet prymitywnymi pompami i wężami strażackimi. Właściciel polisy otrzymywał metalową odznakę z nazwą i emblematem towarzystwa, którą musiał umieścić na froncie domu. Dzięki temu strażacy rozpoznawali swoje rewiry. Jeśli ktoś nie wystawił odznaki, domu nie ratowali.

Towarzystwa ubezpieczeniowe rekrutowały do straży pożarnej przewoźników łodzi, ludzi silnych i odważnych. Sep często widywał, jak pędzą przez miasto na wozach, w kolorowych mundurach i mocnych skórzanych hełmach. A największe wrażenie robiła brygada z Sun Insurance Company.

„I do tego dobrze zarabiają”, mówił Harry.

Dlatego Sep, gdy skończył siedem lat, różnił się od wielu chłopców w jego wieku. Wiedział, że jest częścią słynnej rodziny Doggetów, wiedział,

że jego przeznaczeniem jest bycie strażakiem, a do tego doskonale znał uliczne życie Londynu.

Jednak nie wiedział o sobie jednego. Chociaż zapewne nie miało to wielkiego znaczenia.

Wydarzyło się to siedem lat wcześniej. Wczesnym rankiem Harry Dogget wyprowadził swój wózek na ulicę. Był w dobrym nastroju. Przed tygodniem urodził mu się syn Sam, co można było nazwać podwójnym szczęściem. Po pierwsze, dziecko było chłopcem, a po drugie, pani Dogget, która ostatnio więcej piła, będzie miała czym się zająć. Pogwizdując wesoło, podszedł do kolumny z siedmioma zegarami i zobaczył małe zawiniątko.

Leżało za ogrodzeniem otaczającym kolumnę. Rozległ się płacz.

Harry westchnął. Taki widok nie był czymś niezwykłym, ale nie lubił na to patrzeć. Nie winił matek, które porzucały dzieci. Niechciane dziecko oznaczało utratę pracy, więc niezamężne kobiety tak naprawdę nie miały wyjścia. Podobno niejaki kapitan Coram otworzył niedawno szpital dla sierot, ale żeby oddać tam dziecko, matka musiała stawić się osobiście i wszystko wyjaśnić. I tak zgłaszało się tyle chętnych, że dzieci przyjmowano losowo. Ten noworodek był skazany na zgubę. Nic go nie uratuje od śmierci. Harry nie umiał przejść obok dziecka obojętnie. Przeskoczył przez ogrodzenie.

Niemowlę, chłopiec, miało niecały miesiąc. I wyglądało na zdrowe. Nagle Harry zmarszczył brwi. Dziwne, maluch miał białe pasmo włosów, zupełnie tak samo jak Sam. Dogget wzruszył ramionami, podał chłopczykowi kciuk i aż cofnął się ze zdumienia. Jeszcze jeden dzieciak z błoną między palcami? Przypadek?

Stał w milczeniu, przypominając sobie swoje przewiny.

Żona szewca. Kiedy to było? Ale przecież później często ją widywał. Nie zaszła w ciążę. I jeszcze ta dziewczyna z piekarni. Mniej więcej w tym samym czasie. Kiedy ostatnio ją spotkał? Miesiąc temu. A więc to nie ona. Ktoś jeszcze? O, tak. Kobieta, którą poznał na targu kwiatowym w Covent Garden. Pracowała na straganie. Spotkali się na osobności dwa albo trzy razy. Jakieś dziesięć miesięcy temu. A potem zniknęła. Pasuje. Zostawiła tu dziecko przypadkowo? A może uważała, że ojciec mieszka gdzieś przy Seven Dials? Nie wiadomo. Ludzie robią dziwne rzeczy. Jeszcze raz dokładnie obejrzał dziecko. Nie, nie pomylił się, białe włosy i błona. To nie przypadek. Nawet wydawało mu się, że dzieciak ma taką samą buzię i oczy jak Sam.

– Mały farciarz z ciebie – mruknął. – Od razu trafiłeś na ojca. – Wziął dziecko na ręce.

Szczerze opowiedział o wszystkim żonie. Niczego nie ukrywał. Westchnęła i obejrzała dziecko.

– Wygląda jak Sam – przytaknęła.

– Nie mogłem go zostawić na pewną śmierć.

– Pewnie, że nie mogłeś. – Pokręciła głową i uśmiechnęła się szeroko. – Chyba urodziłam bliźniaki, Harry. Tylko tego nie zauważyłam.

I od tej chwili Sam miał brata bliźniaka. Pozostałe dzieci najpierw były zaskoczone, ale szybko o tym zapomniały. Sąsiedzi trochę się podśmiewali, jednak potem zajęli się innymi plotkami. Na Seven Dials nikt nie miał czasu, aby zajmować się sprawą cudzych dzieci. Gdy po kilku dniach Harry zaniósł dziecko do kościoła, żeby je ochrzcić, wikariusz, który doskonale znał swoją trzódkę, nie tylko nie zganił Doggeta, ale podziękował boskiej Opatrzności, że znalazła dom dla chłopca. A dowiedziawszy się, że nowi rodzice nie znaleźli jeszcze odpowiedniego imienia, zaproponował ze śmiechem:

– Może nazwijmy go Septimus? To po angielsku „siedem”, a przecież znalazłeś go przy rozstajach siedmiu ulic.

W domu od razu chłopiec zyskał zdrobnienie Sep. On i Sam dorastali razem. To wydarzenie na zawsze przypieczętowało miłość Harry’ego do żony. Więc teraz, mimo że miała czerwoną twarz, była zaniedbana i przepiła całego szylinga, Dogget spojrzał na nią z czułością.

– Dobra z ciebie kobieta, staruszko. Mimo wszystko – powiedział pogodnie.

Tuż przed ósmą kapitan Jack Meredith wyszedł z White’s Club przy St James Street i ruszył w kierunku Piccadilly.

Zaledwie kilka lat wcześniej najmodniejsze kawiarnie zamieniły się w męskie kluby z surowymi regułami członkostwa, a White’s zyskał opinię jednego z najbardziej stylowych. Dla wielu ten styl był zbyt śmiały. Bo w klubach przede wszystkim grano w karty na pieniądze, a w White’s stawki były wysokie. Bardzo wysokie.

Kapitan Meredith bez wątpienia miał styl i fantazję. Gdy siadał do kart, musiał wygrać. I to dużo. Jego dziadek, duchowny tak jak stary Edmund, zdołał zgromadzić sporą fortunę. A ojciec, który najpierw służył pod księciem Marlborough, ożenił się z majętną wdową, dzięki czemu Jack mógł się uważać za bogatego młodzieńca. Na tyle bogatego, że stać go było na przegranie pięciu tysięcy funtów w jeden wieczór. Raz, a potem drugi. Ale nie trzy razy. Obdarzony fantazją kapitan Jack Meredith miał dom przy Jermyn Street, ale już od sześciu tygodni nie płacił służbie, a na dodatek był winny sklepikarzom ponad tysiąc funtów. Stopień kapitana – w brytyjskiej armii kupowano i sprzedawano patenty oficerskie – już dawno został zastawiony u lichwiarza mieszkającego niedaleko Lombard Street.

O prawdziwym położeniu kapitana Jacka wiedział tylko jeden znajomy, jegomość dość cyniczny, który udzielił mu szczerej rady.

„Grasz dobrze pod warunkiem, że nie pijesz i zachowujesz zimną głowę. Musimy znaleźć jakąś ofiarę, która da się oskubać. Najlepiej jakiegoś młodzieńca z wiejskiego majątku, który będzie chciał dobrze wypaść przy kimś takim jak my. Zaglądaj do klubu co dzień, a ja będę miał oczy otwarte". I gdyby znaleźli tego dnia kogoś odpowiedniego, kapitan gotów był dla wygranej poświęcić wieczór z hrabiną St James.

„Nie muszę go pozbawiać całego majątku – obiecał Jack. – Wystarczy mi połowa".

Szedł spokojnie St James Street na schadzkę z kochanką – na jego widok nikt by się nie domyślił, że jest w długach. Po pierwsze, kapitan Meredith miał niebywałą umiejętność skupiania się na tym, co akurat robił. Dzięki temu był cudownym kochankiem i jednym z najlepszych mistrzów fechtunku w Londynie. A po drugie, nie pozwalała mu na to jego elegancja.

Nie, Jack Meredith nie był próżny. Był prawdziwym mężczyzną – znakomitym oficerem i zawołanym sportowcem. Troszczył się o swoich ludzi, potrafił rubasznie z nimi żartować, a w pojedynkach bokserskich nie miał sobie równych w całym regimencie. Świetnie sobie radził z mężczyznami, kobietom okazywał delikatność, był niezrównanym kochankiem, tym bardziej zniewalającym, że postępował bardzo umiejętnie. Jednak znajomość z hrabiną St James stanowiła pewną odmianę. W tej kobiecie było coś szczególnego. A w ciągu ostatnich kilku miesięcy stała się jego obsesją. Zwłaszcza jej nagość. Gdy siedział w klubie, myślał o jej ciele i o tym, jak będzie ją posiadał na dziesiątki, a może nawet setki sposobów. Jednak podobne stany przeżywał też z innymi kobietami i w końcu czuł się zaspokojony. Z hrabiną St James szło o coś więcej, jakby przy każdym kolejnym spotkaniu miał do czynienia z nowo odkrytą kobietą. A kluczem do tego było nie jej ciało, lecz osobowość. Jej temperament, pomysłowość – a właściwie umiejętność

podążania za modą – były tak intrygujące, że wystarczyłoby mu na lata, a może nawet na całe życie.

Wprawdzie kapitan Meredith nie był próżny, ale pasował do St James Street. Świadomość, że jego przodkowie przybyli do Anglii wraz z pierwszym Tudorem, członkostwo w klubie, stroje, znajomości, wreszcie sam fakt – choć było to tajemnicą – że jego kochanka jest hrabiną, wszystko to stanowiło o jego życiu. Gdyby go tego pozbawić, nie byłby sobą.

Był gotowy zrobić wszystko, aby przetrwać mimo niesprzyjających okoliczności. Nawet zabić. I umiałby to usprawiedliwić. Przecież takie zasady obowiązywały wśród dawnego rycerstwa. Takie były reguły gry także dzisiaj. Wielu członków klubów z St James przyznałoby mu słuszność. Dlatego nie bez racji można było powiedzieć, że serce kapitana Mereditha, choć w zasadzie pełne ciepła, miało jeden lodowaty zakamarek.

Akurat doszedł do rogu Piccadilly, gdy nagle z cienia wyłoniło się trzech mężczyzn. Dwaj chwycili go od tyłu za ramiona, a jeden stanął przed nim.

– Kapitan Meredith? Jest pan aresztowany. Za długi.

Drzwi otworzyły się powoli. Hrabina St James poczuła lekkie drżenie w całym ciele. Przyszedł. Nareszcie.

Było już wpół do dziewiątej i w ciągu ostatnich trzydziestu minut kilka razy traciła nadzieję, że on się w ogóle pojawi.

Ubrała się starannie. Luźna jedwabna suknia odsłaniająca ramiona sprawiała wrażenie, jakby miała zsunąć się z niej zmysłowo przy pierwszym dotyku. Włosy przytrzymywał szylkretowy grzebień. Jeden odpowiedni ruch i opadną jej na ramiona. Naprężone sutki ocierały się o jedwab. Drzwi otworzyły się do końca.

Do pokoju wszedł hrabia St James.

Przez jej twarz przebiegł cień rozczarowania. Nie umiała tego opanować.

– To ty?

– Przyszedłem do własnego domu. – Grymas. Ściągnięcie brwi. – Spodziewałaś się kogoś innego?

– Ależ skąd. – Próbowała ochłonąć. – Zawsze pukasz.

– Przepraszam – powiedział z lekką drwiną.

Co on wie? Gdzie jest Meredith? Czy jej kochanek też się za chwilę pojawi? Musi go ostrzec albo jakoś pozbyć się St Jamesa. I za wszelką cenę musi zachować spokój.

– Wydawało mi się, że wrócisz dziś później.

– Zmieniłem zdanie. Jesteś niezadowolona?

– Skądże znowu.

Zbladła, słysząc pukanie do drzwi, ale po chwili do pokoju dyskretnie weszła pokojówka. Czy jaśnie pani czegoś potrzebuje? Spojrzała hrabinie w oczy.

Sprytna dziewczyna. Będzie musiała ją jakoś wynagrodzić.

– Nie sądzę. – Hrabina zerknęła na męża. – Nie wychodzisz już dzisiaj, prawda? – Pokręcił głową. Spojrzała z uśmiechem na pokojówkę. – Nie mam już na dziś żadnych życzeń.

Pokojówka skinęła głową. Gdy kapitan Meredith pojawi się w pobliżu domu, zostanie ostrzeżony. Hrabina St James wydała z siebie lekkie westchnienie ulgi. Pokojówka wyszła.

– Udajesz się już na spoczynek?

– Owszem. – Odwróciła się. – Jestem bardzo utrudzona.

Poczuła zmęczenie nie tylko z powodu fali rozczarowania, która zalała ją na myśl, że wieczór z Meredithem jest stracony. Obecność męża w jej

sypialni zawsze działała na nią tak samo. Jej całe ciało zapadało się, ogarniała ją apatia. Odsunęła się od niego.

Przyglądał się jej uważnie.

– Przykro mi, że jesteś zmęczona – powiedział. Nie zareagowała, modląc się w duchu, aby już sobie poszedł. Ale stał nieruchomo. – Dziś rano rozmawialiśmy o tym, że potrzebuję dziedzica.

– I uznaliśmy, że latem… – Miała znużony głos.

– Tylko że ja nie chcę czekać do lata – powiedział cicho.

Podszedł do szezlonga. Powoli zdjął haftowany surdut i odwrócił się do niej twarzą. W bryczesach, białych jedwabnych pończochach i długiej kamizelce wyglądał całkiem przystojnie. Czy to ciało pociągałoby ją, gdyby należało do innego mężczyzny? Tak naprawdę nie znała wielu mężczyzn. Patrzył na jej nagie ramię, a potem przesunął wzrok na piersi.

Nauczyła się unikać intymnych kontaktów z mężem. Nie miał prawa wchodzić do jej sypialni bez pozwolenia. Gdy wracali razem z balu lub przyjęcia, skarżyła się, że źle się czuje, albo udawała, że śpi. Jednak nie mogła bez końca odmawiać mu wstępu do małżeńskiego łoża, bo tym samym musiałaby się przyznać do swoich prawdziwych uczuć. Dlatego miała swoje sztuczki, które skutecznie studziły jego zapał, kazały mu szybko kończyć albo w ogóle rezygnować. Narzekała, że ją łaskocze, i natychmiast pospiesznie przepraszała. Tłumiła ziewanie. Gwałtownie odwracała głowę, jakby uraził ją jego oddech. A czasem nawet pozwalała sobie na lekki okrzyk bólu. Gdyby hrabia St James nie był człowiekiem tak dobrze wychowanym, tak wrażliwym, te sztuczki nie przyniosłyby rezultatu. Ale niemal zawsze udawało jej się go zniechęcić, bez uciekania się do wyraźnej odmowy.

Czasem, aby go utwierdzić w przekonaniu, że wciąż ma żonę, którą powinien zadowolić, stosowała przeciwną zgoła taktykę i zachowywała się

wobec niego w sposób niezwykle uwodzicielski. Raz czy dwa w ciągu ostatniego roku, gdy uznała to za konieczne, zamknęła oczy, wyobrażając sobie, że to Jack Meredith w nią wchodzi. Nigdy jednak nie udało się jej osiągnąć spełnienia.

Tego dnia jednak wszystko wyglądało inaczej. Przyłapał ją, gdy czekała na Jacka. Zignorował jej uwagę, że jest zmęczona. Podejrzewa coś? Jeśli tak, to jedynym bezpiecznym wyjściem będzie przyjęcie go z otwartymi ramionami. Chcąc zyskać na czasie, uśmiechnęła się i przyjrzała mu się spod przymrużonych powiek.

Chwilę później wszystko stało się jasne.

– Otóż, droga hrabino – zaczął beznamiętnie – uznałem, że twoje postępowanie wobec mnie musi się zmienić. – Otworzyła szeroko oczy, zastanawiając się, co to oznacza. – Nie będę już musiał prosić o pozwolenie, żeby wejść do tego pokoju. Będę tu przychodził, gdy tylko przyjdzie mi na to ochota.

– Kiedy tak postanowiłeś, panie?

– Rano. Kazałaś mi czekać na dziedzica. Ale dlaczego? Czekałem już wystarczająco długo. – Wykrzywił twarz w ironicznym uśmiechu. – Wszak ślubna przysięga mówi o posłuszeństwie. Najwyższy czas, byś była posłuszna.

Hrabina St James otrzymała odpowiedź. Ale odpowiedź nie kryła się w słowach, lecz w uśmieszku błądzącym na jego twarzy. Nie, mężczyzna, który podejrzewa swoją żonę o zdradę, który chce odzyskać swoją kobietę, nie uśmiecha się w ten sposób, pomyślała. W tym uśmiechu kryło się jedynie samozadowolenie. Do diabła, on się po prostu wywyższa, stroszy pióra. Ogarnęła ją złość tak silna, że aż zadrżała. Przejrzała go na wylot.

Mój Boże, pomyślała, jemu się wydaje, że jeśli zachowa się władczo, to bardziej mi się spodoba. Jack nie musiał się silić na sztuczną pewność

siebie. Prawdę mówiąc, pogardzała stojącym przed nią mężczyzną.

Hrabia St James zaczął rozpinać kamizelkę.

– Nie! – wyrwało się jej. – Nie teraz, panie. Proszę, nie teraz.

Przez tyle lat świetnie sobie radziła, więc dlaczego teraz nie umie znaleźć wyjścia z tej sytuacji albo przynajmniej ulec z godnością? Hrabina St James nie poznawała samej siebie. Może zdecydowały o tym nagłe okoliczności, niepojawienie się Mereditha i uśmieszek samozadowolenia męża, ale tym razem nie umiała zapanować nad sytuacją. Nie umiała się z tym zmierzyć.

Nie zwracał na nią uwagi.

– Panie. – Jej głos, choć pobrzmiewał w nim strach, był lodowaty. – Nie pragnę cię teraz. Proszę, opuść moją sypialnię.

Zdjął kamizelkę i spokojnie położył ją na surducie.

– Mam miesięczną niedyspozycję – skłamała, czerwieniąc się.

– Naprawdę? Zaraz się przekonamy.

– Tak nie postępuje dżentelmen! – krzyknęła.

– Ja jestem hrabią. – Odwrócił się i chwycił ją za nadgarstek. – A ty należysz do mnie.

Próbowała uwolnić rękę, ale bez skutku. Szarpnęła się gwałtownie, z całej siły. Jedynie mocniej zacisnął palce. Wolną ręką chwycił ją za drugi nadgarstek i spokojnie rozłożył ramiona, aż jej sutki otarły się o jego pierś. Ze zdziwieniem stwierdziła, że jest całkowicie bezradna. Nigdy jeszcze nie miała okazji przekonać się, że jest od niej aż tyle silniejszy. Upokorzona, zapomniała o elegancji i dobrych manierach i wyrzuciła w górę kolano, chcąc go kopnąć w krocze.

To był błąd. Odwrócił się w ostatniej chwili i trafiła go kolanem w udo. Chyba jednak go zabolało, bo zauważyła, że wzbiera w nim wściekłość. Gdzieś na skraju umysłu zapaliło jej się ostrzegawcze światło, wspomnienie

z pradawnej, prymitywnej ludzkiej przeszłości. Zrozumiała, że oto ten mężczyzna może ją zabić jednym potężnym ciosem.

Nie zabił jej. Puścił nadgarstek i z całych sił uderzył ją w twarz, aż głowa odskoczyła do tyłu. Chwycił ją na ręce, przeszedł przez pokój i rzucił na łóżko. Chwilę później przygniótł ją swoim ciałem.

– A teraz pokażę ci – powiedział, oddychając ciężko – kto tu jest panem.

Z kolejnych minut, mimo bólu, zapamiętała przede wszystkim jego twarz. Zza maski obojętności, którą zawsze przywdziewał, wyłoniło się coś, czego nigdy wcześniej nie widziała. Twarda, nieustępliwa twarz dawnych Bullów – w stanie podniecenia ich oblicza wyglądały strasznie, w jego zaś rysach odmalowało się pełne nienawiści zepsucie i rozdrażnienie.

Hrabia St James nie zgwałcił swojej żony – z tej prostej przyczyny, że zgodnie z prawem i tradycją czyn ten nie odnosił się do małżeństwa. Z dziką gwałtownością zdarł z niej suknię. A potem, rozpiąwszy jedynie klapę w spodniach, wbił się w nią brutalnie, aż krzyknęła, i zaczął napierać z całej siły.

Sprawił jej potworny ból. Po uderzeniu w twarz czuła w ustach smak krwi. Zadał jej cierpienie i upokorzył ją ponad wszelką miarę. O mało nie zawołała służby na pomoc. Na pewno któryś z lokajów by ją usłyszał. Ale co mogliby zrobić? Gdyby któryś stanął w jej obronie, natychmiast straciłby pracę. Poza tym nie chciała, aby ktokolwiek to zobaczył. Była na to zbyt dumna. Zebrała w sobie resztki sił.

Walczyła jak dzika kocica. Próbowała drapać, kopać, gryźć, ale była bezradna. Leżący na niej mężczyzna miał nad nią pełną przewagę. I zamierzał pokazać jej swoją władzę. On był hrabią, a ona tylko jego żoną. Jej tytuł, jej dom, pieniądze, które wydawała, nawet jej ciało należały do niego. A ponieważ Bóg stworzył go mężczyzną, a ją kobietą, miał wystarczająco dużo siły, aby potraktować ją brutalnie.

– Od tej pory będziesz moja, gdy będę miał na to ochotę – powiedział lodowatym tonem, gdy skończył.

Po chwili wyszedł z pokoju.

Kapitan Jack Meredith siedział na małej drewnianej ławce. Drżał z zimna. Cela była niewielka. Płomień ogarka migoczącego na drewnianym stole oświetlał wszystkie szczeliny w kamiennych ścianach. Od dwóch godzin Jack rozmyślał nad swoim położeniem i za każdym razem dochodził do tego samego wniosku. Znalazł się w beznadziejnej sytuacji.

Był w Clink.

W georgiańskim Londynie nieuczciwi dłużnicy trafiali do kilku więzień. Zazwyczaj do Fleet za bramą Ludgate albo Marshalsea w Southwark. Ale tego dnia oba były pełne, więc Mereditha dostarczono tam, gdzie akurat znalazło się wolne miejsce. Stare średniowieczne więzienie biskupów Winchesteru ledwo zasługiwało na swoją nazwę. Nawet w czasach feudalnych, gdy biskupi sprawowali władzę nad Liberty of the Clink i burdelami na Bankside, było tu tylko kilka cel. Za rządów Tudorów i Stuartów trafiali tutaj czasem religijni odszczepieńcy, ale zazwyczaj w celach siedzieli dłużnicy.

W georgiańskim Londynie niepłacenie długów było poważnym przestępstwem. Jeśli wierzyciele mieli w ręku wyrok sądu – a taki wyrok zdobyło kilku wierzycieli Mereditha – winowajca mógł zostać pojmany bez ostrzeżenia i uwięziony. Odzyskiwał wolność dopiero, gdy wszystko spłacił. Co oznaczało, że mógł pozostać w więzieniu na zawsze. A jakie życie go wtedy czekało? Właśnie to pytanie dręczyło Mereditha, gdy usłyszał zgrzyt ogromnego klucza w zamku. Drzwi zaczęły się otwierać powoli. Ten, kto za nimi stał, najwyraźniej przyświecał sobie latarnią. I wcale się nie spieszył.

Najpierw ukazał się czubek nosa.

Nie był to jednak zwykły nos. Wielkość samego czubka wskazywała, że cały organ ma ogromne znaczenie i nie wolno go lekceważyć. Gdy nos był w połowie drogi przez drzwi, jego wielkość mogła już onieśmielić każdego. A gdy w końcu ukazał się w całej okazałości, nasuwało się słuszne podejrzenie, że większego kinola nie ma na całym świecie.

Za nim, jak w jakiejś procesji, wyłoniła się para smutnych oczu. A potem peruka tak brudna, jakby wycierano nią podłogę. Wreszcie na koniec przed kapitanem stanęła przygarbiona postać.

– Ebenezer Silversleeves, panie. Do usług. Jestem nadzorcą w Clink.

To stanowisko, jak wiele podobnych, było dziedziczne. Przed Ebenezerem nikczemne rządy w tym małym więzieniu sprawowali jego ojciec i dziadek. Można powiedzieć, że mieli to we krwi – od czasów, gdy mieszkając jeszcze w Rochester, byli drobnymi urzędnikami i strażnikami w więzieniu, a nawet wcześniej, gdy Geoffrey Chaucer poznał Silversleevesa podczas rozprawy sądowej. Ale choć Ebenezer był więziennym nadzorcą, to mówiąc, że jest do usług, nie mijał się z prawdą. Najbardziej lubił takich więźniów jak kapitan Meredith.

W Clink, podobnie jak w innych więzieniach, obowiązywały proste reguły. O chleb i wodę musiałeś sam poprosić. Jeśli chciałeś czegoś więcej, musiałeś zapłacić Ebenezerowi.

„O, szlachetny panie. – Zawsze zaczynał od tej samej sztuczki. – Dżentelmen taki jak wy w ogóle nie powinien się tu znaleźć”. Z obrzydzeniem wskazywał małą, ciemną celę. I od razu dodawał, że za ścianą ma całkiem przestronną izbę, pozostałość po biskupim pałacu, dużo bardziej odpowiednią i dostępną za szylinga lub dwa za każdy dzień. No i z pewnością taki dżentelmen zechce zjeść przyzwoitą kolację, z winem. Nie ma sprawy, za dzień lub dwa będzie mu tu wygodnie jak w domu. Oczywiście za odpowiednią zapłatą.

A jak zadłużony dżentelmen mógł za to zapłacić? Silversleeves świetnie sobie z tym radził. Bo bez względu na swoje rozpaczliwe położenie elegancki dżentelmen niemal zawsze miał przy sobie coś wartościowego. Złoty zegarek, pierścień – Silversleeves sprzeda go w mig i przyniesie ci prawie wszystkie pieniądze. A najlepiej pośle do twojego domu kogoś, kto dyskretnie wyniesie drobne wartościowe przedmioty, i to sprzed nosa wierzycieli. Poza tym dżentelmeni mieli przecież przyjaciół. Oczywiście przyjaciele nie regulowali długów, ale często byli gotowi zapewnić więźniowi przyzwoite warunki odsiadki. Gdy te możliwości się wyczerpały, Silversleeves nadal był gotowy do usług. Mógł na przykład sprzedać twój szykowny surdut, a w zamian przynieść ci inny, całkiem znośny. Za dochody z tej transakcji dało się przeżyć kolejne kilka tygodni. Ebenezer umiał nawet znaleźć nabywcę na twoją perukę. A gdy już sprzedałeś całe swoje odzienie, a przyjaciele cię opuścili, zostawała ciągle mroczna cela, całkiem odpowiednia dla żebraka, którym się właśnie stałeś, oraz pożywna dieta złożona z chleba i wody.

„Dajcie mi dłużnika, którego oskubali jego wierzyciele, a ja pokażę wam, jak go obedrzeć ze skóry”, mawiał do swoich dzieci.

Gdy więc kapitan Meredith oznajmił, że nie ma obecnie żadnych pieniędzy, usłużny Ebenezer wcale się nie zniechęcił. Ledwo Jack wywrócił kieszenie, wypatrzył metalowy krążek. Był to żeton pozwalający na wstęp do teatru w Covent Garden przez cały sezon.

– Przecież za to można dostać parę funtów, panie – oznajmił. – Na razie nie będzie wam potrzebny. – Błyskawicznie schował żeton do kieszeni.

Czy pan życzy sobie porozumieć się z przyjaciółmi?, dopytywał przymilnie.

Jack Meredith westchnął. Od godziny rozważał tę kwestię. Gdyby się odezwał do kogoś, o odsiadce dowiedziałby się cały Londyn. A on doznałby

publicznego upokorzenia. Nikt nigdy nie usiadłby z nim do kart. Chociaż i tak ludzie wkrótce dowiedzą się o wszystkim. Ale na razie potrzebował choć jednego dnia na zebranie myśli.

Jednak zwykła uprzejmość nakazywała wysłanie jednego listu. Powinien wytłumaczyć hrabinie St James powód swojej nieobecności. Tylko jak dużo może jej powiedzieć? Wolno jej zaufać? Tego nie był pewien.

– Czy możesz sprawić, aby list dostarczono z zachowaniem pełnej dyskrecji? – zapytał w końcu.

Tuż po wybiciu godziny jedenastej człowiek, który czekał, aż hrabia St James wyjdzie z domu, podszedł do drzwi pod numerem 17 przy Hanover Square. Niedługo potem wprowadzono go do pokoju jaśnie pani. Wręczył jej list. Odczekał chwilę, żeby się upewnić, czy ma zanieść odpowiedź. Jaśnie pani zbladła, co nie uszło jego uwagi.

Hrabina St James siedziała na szezlongu oparta na poduszce. Nogi przykryła szalem. Miała ciemne cienie pod oczami. Nie spała całą noc.

Gdy poprzedniego wieczoru mąż opuścił jej sypialnię, wstała z łóżka rozdygotana. Nie wezwała pokojówki. Z dzbanka stojącego na nocnym stoliku nalała wody do miednicy, kucnęła nad nią i próbowała zmyć z siebie ślady mężowskiej obecności. Potem usiadła na szezlongu, przykryła się i trwała tak do rana.

Raz zapłakała cicho. Od czasu do czasu miała ataki dreszczy. Była obolała na ciele i duszy. Siedziała tak długie godziny, patrząc przed siebie. I powoli, jeszcze przed świtem, otrząsnęła się z doznanego upokorzenia.

O, nie, nie zamierzała się poddać. Do tej pory umiała sobie radzić, więc poradzi sobie i teraz. Tej nocy nabrała do niego obrzydzenia. Na zawsze. Co ma jednak zrobić? Uciec od niego? Była praktycznie bez grosza. Więc może znajdzie sobie jakiegoś obrońcę, najlepiej kochanka? Łatwiej powiedzieć niż zrobić, nawet dla kogoś obdarzonego taką urodą jak ona.

Powinnam wyjechać za granicę, pomyślała. Czy kapitan Meredith zechce jej towarzyszyć? Zapewne byłoby go na to stać, tylko czy jest gotów podjąć taką decyzję? Bez względu na wszystko wiedziała jedno: nigdy nie pogodzi się z własną bezradnością. Dreszcze ustały, a szok i ból powoli zamieniały się w cichą, palącą złość. Jeśli hrabia St James myśli, że jest słaba, że wolno ją upokorzyć, to bardzo się myli. Na węża można nadepnąć. Ale biada napastnikowi, gdy wąż się wyśliźnie i podniesie głowę. Z nastaniem świtu jej gniew był bezwzględny i śmiercionośny.

„Uderzę w niego jak wąż", przyrzekła samej sobie.

A potem przez długie godziny obmyślała plan.

List od kapitana Jacka Mereditha podsunął jej pewien pomysł.

– Powiedz mu – odezwała się do posłańca – aby jeszcze przez parę godzin był cierpliwy. Znajdę sposób, żeby mu pomóc.

Sam Dogget też wpadł na pomysł.

Początek maja był radosną porą roku. W Święto Wiosny na ulicach ustawiano słupy przystrojone kwiatami. Wszędzie widać było terminatorów odzianych w najlepsze ubrania, mleczarki w wiankach, w powietrzu rozbrzmiewał dźwięk fletów, bębnów i lir korbowych. Od niepamiętnych czasów na północ od St James odbywał się o tej porze roku wielki targ, więc nawet teraz, gdy powstały tu eleganckie place i ulice, miejsce nosiło dawną nazwę Mayfair.

Nowym, ale jakże uroczym dodatkiem była uliczna parada kominiarzy – coraz liczniejszych, bo też i liczba nowych domów znacznie wzrosła.

Sam i Sep stali na Grosvenor Square. I właśnie wtedy Sama olśniło.

Kominiarze wyglądali wspaniale. Zazwyczaj brudni i pokryci sadzą, tego dnia byli wymyci do czysta i ubrani w śnieżnobiałe koszule i bryczesy. Ale Sam zwrócił uwagę na ich pomocników. Każdy kominiarz miał do pomocy dwóch małych chłopców, nierzadko pięcio- albo sześcioletnich. To

oni wchodzili do komina, gdy zwykła szczotka nie mogła sobie poradzić z jakimś załomem. Była to brudna robota; krztusząc się od sadzy, musieli nieraz wspinać się w ciemnym tunelu na wysokość dziesięciu metrów. Jeśli pracowali dla własnego ojca, nie mieli się na co uskarżać. Ale sieroty albo dzieci biedaków wysyłane przez rodziców do pracy nierzadko były okrutnie traktowane. Dlatego właściciele domów albo nawet służba litowali się czasem nad tymi nieszczęśnikami, podsuwali im jakiś grosz albo coś do jedzenia. Sam słyszał nawet, że ci bardziej sprytni mogli całkiem nieźle zarobić. Ale jemu przyszło do głowy coś innego.

Kominiarczyki miały wstęp do wspaniałych domów w Mayfair. Wchodziły do każdego pokoju.

Sep wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Chyba wiem, jak możemy zdobyć trochę grosza – powiedział.

Ciemna cela w Clink nie mogła się równać z sąsiednią izbą. Było tu przyzwoite łóżko, stół do pisania, dywan i wąskie, średniowieczne okno z widokiem na zapuszczony ogród. Jack Meredith od razu poczuł się lepiej. Wiadomość od hrabiny St James, choć nie do końca zrozumiała, dodała mu otuchy. Postanowił nie podejmować żadnych działań i czekać na jej kolejny krok.

W południe Silversleeves przyniósł mu jedzenie: kurczaka, ciasto i butelkę klareta. A także gazetę.

– U mnie większość dżentelmenów czyta „Spectatora” – rzucił lekko.

Po jedzeniu Jack zagłębił się na godzinę w lekturze. Przerwało mu pukanie do drzwi. Miał gościa. Spodziewał się, że zobaczy hrabinę St James, ale twarz kobiety była tak szczelnie zasłonięta jedwabnym szalem i rondem kapelusza, że przez chwilę nie mógł jej rozpoznać. Dopiero gdy drzwi się zamknęły, kobieta zdjęła zasłonę.

Był w szoku.

Hrabina St James włożyła wiele starań, aby odpowiednio wyglądać. Na godzinę przed wyjściem kazała służącej uderzyć siebie mokrym ręcznikiem w ten sam policzek, w który otrzymała cios od męża. Miała od tego jeszcze większą opuchliznę. A potem uklękła i z całej siły grzmotnęła głową o kant łóżka, dzięki czemu miała też siniaka pod okiem. Odwagi jej nie brakowało.

Kapitan zerwał się na równe nogi, patrząc na nią z przerażeniem.

– Kto ci to zrobił?

– A jak myślisz?

– St James? Dobry Boże! Dlaczego?

Wzruszyła ramionami i dała znak, że musi usiąść. A potem, po odpowiednio długich naleganiach, opowiedziała mu o brutalności męża.

Hrabina St James właściwie nie skłamała. Nie musiała. W końcu zadano jej ból. Ale w jej opowieści przemoc, której doznała, urosła do znacznie większych rozmiarów. Jack Meredith był może cynicznym światowcem, lecz teraz aż zatrząsł się z oburzenia.

– To łajdak! Trzeba go powstrzymać.

Zrobiła smutną minę.

– Ale jak?

– Zostaw to mnie.

– Jesteś w więzieniu – przypomniała mu. – Nic nie możesz zrobić. – Umilkła na chwilę. – Jack, naprawdę chcesz być moim obrońcą? – spytała cicho.

Przypomniał sobie jej wiadomość; jako człowiek obyty domyślił się, że kryje się w tym jakiś podstęp. Ale jednocześnie zalała go fala czułości.

A ona, jakby czytając w jego myślach, powiedziała cicho:

– Jeśli mnie nie uratujesz, będę skazana na takie traktowanie do końca życia. Nie wiem, co wtedy zrobię.

– Nigdy do tego nie dopuszczę.

– Jest sposób, aby ocalić nas oboje. Ale też cena jest wysoka. – Uśmiechnęła się blado. – I nie wiem, czy gotów będziesz ją zapłacić, jeśli mnie nie kochasz.

– Jaka to cena?

Spojrzała mu w oczy. Przez chwilę wydawało się, że zaleje się łzami.

– Nie domyślasz się?

Milczał.

Hrabina St James westchnęła.

– Jestem przyparta do muru, Jack. Sama nie dam rady. – Spuściła wzrok. – I nie wyobrażam sobie życia bez ciebie.

Jack Meredith zastanawiał się przez chwilę. Podjął decyzję.

Doskonale rozumiał, że hrabina przyszła tutaj z propozycją korzystnej umowy. Ale przecież była też zrozpaczoną piękną kobietą, a on nie widział dla siebie innego wyjścia.

– Jestem twój – powiedział. – Na wieki.

Przedstawiła mu swój plan.

Fleming patrzył pod nogi, kręcąc głową. Zapomniał o bruku.

Londyńskie ulice znacznie różniły się między sobą pod względem nawierzchni. Publicznych dróg w mieście nie było – mieszkańcy i sprzedawcy mieli obowiązek wybrukowania kawałka ulicy przed swoim domem. Dlatego w biednych dzielnicach zaułki i wąskie uliczki pokryte były grubą warstwą śmieci i odpadków, a bogacze mieszkający przy szerokich arteriach chcieli mieć wspaniałe nawierzchnie. I teraz postanowili wyłożyć Fleet Street najlepszym kamieniem brukowym. Biedny Fleming właśnie dowiedział się, ile będzie go to kosztowało.

– Pięćdziesiąt funtów! – Spojrzał żałośnie na miejsce, w którym miał powstać jego nowy wykusz. – Będziemy musieli z tym poczekać. –

Westchnął. – Inaczej wyobrażałem sobie Święto Wiosny. A najgorsze, że nie mamy tyle pieniędzy.

– Będziesz musiał pójść do hrabiny St James – stwierdziła żona. – Jest ci winna trzydzieści funtów.

– Chyba masz rację – przytaknął. Jednak wcale mu się to nie uśmiechało. Bał się, że jaśnie pani poczuje się dotknięta.

– Nie mamy innego wyjścia – ponagliła go żona.

O czwartej po południu dotarł na Hanover Square. Włożył najlepszą kurtkę, za ciepłą jak na ten dzień, do tego pocił się w grubej czapce. Z lękiem podszedł pod duże frontowe drzwi – kątem oka zauważył, że dom jest chroniony przez Sun Insurance Company – i zadzwonił. Otworzył lokaj. Ale zanim Fleming zdążył zapytać, czy zastał jaśnie państwa, służący w liberii, widząc, że ma do czynienia ze zwykłym sprzedawcą, kazał mu pójść do tylnego wejścia i zatrzasnął drzwi.

Zapewne Fleming poczułby się pewniej, gdyby wiedział, że w domach arystokracji niezapowiedziany gość – nawet gdy znał właściciela osobiście – mógł jedynie liczyć na rozmowę z kamerdynerem lub sekretarzem jaśnie pana.

Nie miał o tym pojęcia, więc zniechęcony poszedł na podwórze, po drodze niechcący zachlapał błotem kurtkę, i stanął przed kuchennymi drzwiami.

Tutaj powiedziano mu, już nieco przyjaźniej, że hrabiny i hrabiego St James nie ma w domu. Nieśmiało zapytał, czy po powrocie mógłby rozmówić się z którymś z nich osobiście, ale to wywołało tylko pogardliwy śmiech.

– Zostaw swoje rachunki – usłyszał – i wracaj do siebie.

Przyszedł z określonym zamiarem. Wrócił na plac i stanąwszy przy postoju, na którym czekały lektyki, obserwował dom pod numerem 17. Pół

godziny później jego cierpliwość została wynagrodzona. Przed drzwiami zatrzymał się elegancki powóz z herbem de Quette’ów. Fleming ruszył w tamtym kierunku.

Przy drzwiach powozu pojawił się stajenny. Rozłożył schodki i wyciągnął rękę, żeby pomóc pasażerce. Hrabina miała twarz osłoniętą jedwabnym szalem, lecz Fleming był pewien, że to ona. Zatrzymał się przed nią i ukłonił.

– Hrabina St James? To ja, piekarz Fleming. – Uśmiechnął się przymilnie. Dama z zasłoniętą twarzą najwyraźniej go nie poznała. Wydawało mu się, że chce go minąć, nie zauważył jednak, że stoi jej na drodze. – Jaśnie pani była tak dobra, że… – Nie dokończył, bo stajenny machnął groźnie ręką.

– Jazda stąd!

Fleming zauważył kątem oka, że stangret zsiada z kozła.

– Jaśnie pani, to ja, Fleming – powtórzył błagalnie i zawstydzony wyciągnął rachunek.

Przepisał go starannie tego ranka, ale nagle zauważył, że atrament rozpłynął się w jego spoconej dłoni, a z rachunku pozostał jedynie żałosny, pognieciony kawałek papieru. Hrabina St James się wzdrygnęła.

– Jaśnie pani, błagam – powiedział i zrobił krok do przodu.

Bicz strzelił mu tuż koło ucha. To było ostrzeżenie, bo stangret, gdyby tylko chciał, strąciłby mu z nosa muchę, nie zostawiając śladu. Jednak huk był donośny jak przy strzale z pistoletu, Fleming przestraszył się, zrobił gwałtowny unik i poślizgnąwszy się na bruku, stracił równowagę. Odruchowo wyciągnął rękę, chcąc się czegoś przytrzymać i upadając, zacisnął palce na czymś miękkim.

Był to koniec jedwabnego szala hrabiny St James. Chwilę później zobaczył nad sobą jej twarz. Aż dech mu zaparło ze zdziwienia.

Hrabina St James nawet nie próbowała zasłonić opuchniętej, posiniaczonej twarzy. Nie zniżyła się nawet do tego, aby obok niego przebiec. Postanowiła dać mu nauczkę.

– Jak śmiesz mnie nagabywać, ty nędzny handlarzyno! Chcesz wyciągnąć ode mnie pieniądze na ulicy? Ty łajdaku! Wystawiłeś mi haniebny rachunek. A twoich ciastek nikt nie chciał nawet tknąć. Bądź pewien, że nikt z dobrego towarzystwa nic już u ciebie nie zamówi. A jeśli jeszcze kiedykolwiek zobaczę cię na oczy, to każę cię aresztować za napaść. Mam na to świadków. – Wskazała lokaja, który gorliwie pokiwał głową. – Ten człowiek podbił mi oko – zawołała do stangreta. A ten, szczerząc zęby w uśmiechu, smagnął biczem Fleminga po nogach. Biedny piekarz aż zawył z bólu.

Powlókł się chwiejnym krokiem ku Piccadilly. Został wychłostany i upokorzony. Jego praca, jego marzenia o wykuszu legły w gruzach. Do tego stracił trzydzieści funtów. Mijał kolejne rezydencje i modne sklepy przy Piccadilly; wydawało mu się, że cały elegancki świat z niego szydzi. Przy sklepie Fortnuma i Masona przysiadł i się rozpłakał.

Czym, do diabła, ma teraz zapłacić za wybrukowanie ulicy?

Gwiazdy świeciły jasno. Zupełnie jak w Wenecji. Łódka sunęła gładko po ciemnej Tamizie niczym gondola. Ciszę mącił jedynie cichy plusk wioseł i słabe grzechotanie szkła w wiszącej na dziobie latarni.

Kim była wysoka postać, która rozłożyła się wygodnie na miejscu dla pasażera? Mężczyzna ubrany był w trójgraniasty kapelusz i domino – czarny maskaradowy płaszcz z kapturem – a na twarzy miał białą maskę, w której wyglądał jak tajemniczy upiór. Czyżby wybierał się na wenecki bal? A może na romantyczną schadzkę? Był skrytobójcą? Zwiastunem śmierci? Tak.

Wenecka tradycja balów maskowych stała się modna kilka pokoleń wcześniej. Połowa wydawanych w Londynie przyjęć wymagała przebrania – od wspaniałych balów, na których fantastyczne kostiumy były *de rigeur*, po spektakle teatralne, na których damy i panowie pojawiali się w maskach. Bo dla wyższych sfer życie bez teatru, bez oszustwa i przede wszystkim bez *frisson* tajemnicy traciło wszelki smak.

Domy w Bankside zostały w tyle, a łódź wpłynęła w wielki zakręt rzeki. Po prawej wyłoniły się znane zarysy starego pałacu Whitehall, a po chwili, na tle Westminsteru, pojawiła się sylwetka nowej budowli.

Przez szesnaście stuleci Londynowi musiała wystarczać jedna przeprawa przez rzekę – stary, zatłoczony most. Ale teraz stanął drugi, łącząc oba brzegi kilkoma wspaniałymi łukami. Ukończono go w tym roku – ku wściekłości przewoźników z Westminsteru i właścicieli starego promu napędzanego końmi – a koszt tak bardzo przekroczył wstępne szacunki, że miasto musiało zorganizować loterię, aby zebrać dodatkowe pieniądze. I oto teraz most rozciągał się przed nimi z Westminsteru do Lambeth po drugiej stronie, przy ogrodach arcybiskupa Canterbury. Gdy łódź znalazła się pod przęsłem, pasażer powoli usiadł i wpatrując się w rzekę, zaczął przygotowywać się do swojej misji.

Jack Meredith spokojnie myślał o tym, co go czeka. Plan był prosty. Oficjalnie wciąż znajdował się w Clink, ale Silversleeves – oczywiście za odpowiednią opłatą – chętnie pozwalał swoim podopiecznym na krótkie przepustki – o ile przyrzekli, że wrócą. A hrabina St James dała mu całe pięć gwinei. Meredith nie miał moralnych skrupułów w związku ze swoim przedsięwzięciem. Pogardzał hrabią St James. Poza tym skoro w świecie obowiązują bezwzględne zasady, to zamierzał się do nich dostosować.

Na południowym brzegu, za pałacem Lambeth, ukazały się światła błyszczące niczym nanizane na sznur perły. To był cel jego wyprawy. Po

kilku minutach wysiadł z łodzi w ogrodach Vauxhall.

Od czasów średniowiecza, gdy stał tu dwór Vauxa, mała posiadłość przechodziła kolejne przeobrażenia, ale ostatnio zmieniła się nie do poznania. Pewien przedsiębiorca nazwiskiem Tyers, z pomocą swojego przyjaciela malarza Hogartha, zbudował tu wspaniałe ogrody otwarte dla szerokiej publiczności. Spring Gardens – czyli Wiosenne Ogrody, jak je nazywano – szybko stały się tak popularne jak Ranelagh po drugiej stronie rzeki. Zaglądał tu często sam książę Walii; wstęp kosztował parę szylingów z wyjątkiem dni, gdy w ogrodach odbywały się prywatne przyjęcia. A największym triumfem okazało się zeszłoroczne publiczne wykonanie *Muzyki ogni sztucznych* Händla, które przyciągnęło dwanaście tysięcy ludzi.

Meredith minął wejście, a więc bramę prowadzącą do wielkiego, georgiańskiego budynku. Teraz miał przed sobą szeroką aleję spacerową oświetloną setkami latarni. Po prawej stronie widział zarysy podium dla orkiestry, a po lewej majaczyła wspaniała, szesnastoboczna rotunda, w której odbywały się zabawy taneczne i wytworne przyjęcia. Niedaleko niej stały loże, w których goście mogli słuchać koncertów. Loże, ozdobione pięknymi malowidłami Hogartha, Gainsborougha i innych, były ulubionym miejscem Mereditha. Jednak dziś minął je i ruszył na poszukiwanie swojej ofiary.

Tego wieczoru w ogrodach odbywał się bal maskowy. Część ludzi miała jedynie czarne maski zasłaniające górną połowę twarzy, kilka kobiet ukryło twarze za welonami. Członkowie socjety na ogół rozpoznawali się mimo tych przebrań, jednak Meredith z przyjemnością zauważył na sobie kilka zaskoczonych spojrzeń. Zajrzał do rotundy, ale nie znalazł tam tego, kogo szukał. Ruszył aleją, od której rozchodziły się pogrążone w mroku ścieżki – miejsca bardziej potajemnych spotkań. Wreszcie go zauważył. Mężczyzna

stał w altanie otoczonej arkadą klasycystycznych kolumn w grupie innych dżentelmenów. Rozmawiali i śmiali się.

Dołączył do nich. Od razu zauważył hrabiego St James, ale udawał, że go nie poznaje. Trzech innych dżentelmenów nie znał. Dopóki rozmowa dotyczyła polityki, przysłuchiwał się jej w milczeniu. Ale gdy pojawił się temat towarzyskich plotek, włączył się całkiem naturalnie:

– Podobno najnowszy skandal dotyczy hrabiego St James.

Zapadła cisza. Jeden z dżentelmenów spojrzał z zaintrygowaniem na hrabiego, a potem spytał:

– A jakiż to, jeśli wolno wiedzieć, skandal?

– Jak to, panowie, nie wiecie? – Meredith starał się sprawiać wrażenie głupkowatego elegancika. – Słyszałem, że bije swoją żonę. – Umilkł dla wywołania lepszego efektu. – A cały dowcip polega na tym, że sam nie wie dlaczego. Tak naprawdę ma więcej powodów, niż myśli. – Ryknął bezczelnym śmiechem. – Wiem, co mówię, bo należę do tych, którzy zasłużyli sobie na względy hrabiny.

Całkiem nieźle mu poszło. Jeśli hrabia chciał zachować resztki honoru, nie miał innego wyjścia. St James zdjął drżącą ręką maskę.

– Mogę znać nazwisko tego szubrawca, który stoi przede mną?

Meredith też zdjął maskę.

– Kapitan Meredith, panie. Do usług – odpowiedział sztywno.

– Moi sekundanci zgłoszą się do pana.

– Będę ich oczekiwał za godzinę w moim domu przy Jermyn Street. – Jack ukłonił się i odwrócił na pięcie.

Osoba, która została wyzwana na pojedynek, miała prawo wyboru broni. Dlatego gdy pojawili się sekundanci, Meredith oświadczył:

– Wybieram rapiery. – Sam zdążył już znaleźć w klubie swoich sekundantów. Uzgodniono, że sprawę należy załatwić o świcie.

Wróciwszy do domu, hrabia St James spodziewał się, że jego żona udała się już na spoczynek. Dlatego zdziwił się, widząc, że drzwi do jej sypialni są otwarte. Czekała na niego.

Przez całą drogę z Vauxhall zastanawiał się, co zrobić: rzucić jej w twarz oskarżenie czy przemilczeć? Jeszcze jedna kwestia nie dawała mu spokoju. Gdyby zginął – co przecież jest możliwe – to zgodnie z prawem cały majątek przypadnie jej. A wcale nie chciał zostawiać wszystkiego niewiernej małżonce. Może więc powinien wezwać adwokata, nawet w środku nocy? Ale jak miałby zmienić testament? Targany tymi wątpliwościami stanął przed żoną. Hrabina zaprosiła go gestem do sypialni i zamknęła drzwi.

Wyglądała dużo lepiej. Z twarzy zniknęła opuchlizna, a zręcznie nałożona farbka i puder ukryły siniaka pod okiem. A co najdziwniejsze, chciała pojednania.

– Wyrządziłeś mi wczoraj wielką krzywdę, panie – zaczęła łagodnie. – Przez cały dzień czekałam na twoje przeprosiny, na jakieś czułe słowo. Nie doczekałam się. – Z westchnieniem wzruszyła ramionami. – Ale wiem, że sama nie jestem bez winy. Zamiast kochać męża, kochałam bywanie na przyjęciach. Wyżej stawiałam własną przyjemność nad swój obowiązek obdarzenia cię dziećmi. Przepraszam cię za to. Możemy się pogodzić? Wyjedźmy do Bocton, i to natychmiast.

Patrzył na nią zaskoczony.

– Chcesz dać mi potomka?

– Oczywiście. – Uśmiechnęła się smutno. – I może nawet już go masz po ostatniej nocy.

Patrzył na nią uważnie. Czy to jakiś podstęp?

– Musisz, pani, o czymś wiedzieć – powiedział powoli. – Pewien człowiek poinformował mnie, że jest twoim kochankiem. Oczywiście

obroniłem swój honor i twój. Co ty na to?

Szok, niedowierzanie i niewinność – hrabina St James umiała okazać te uczucia jednocześnie, i to bez teatralnej przesady.

– Kto ośmielił się coś takiego powiedzieć? – rzuciła bez tchu.

– Kapitan Meredith – odparł chłodno.

– Jack Meredith miałby być moim kochankiem? – Otworzyła szeroko oczy ze zdumienia. – Będziesz się z nim pojedynkował?

– A mam inne wyjście?

– Dobry Boże. – Pokręciła głową. A potem dorzuciła, jakby do siebie: – Co za głupiec. – Westchnęła. – Och, Williamie, to wszystko moja wina.

– A więc on jest twoim kochankiem?

– Broń Boże! Nie mam i nigdy nie miałam żadnego kochanka. – Umilkła na chwilę. – Widzisz, Jack Meredith sprawia wrażenie hulaki, ale tak naprawdę jest dobrym człowiekiem. Już dawno zwierzył mi się ze swojej nieszczęśliwej miłości. Zaprzyjaźniliśmy się. A gdy wczoraj potraktowałeś mnie tak brutalnie, nie wiedziałam, co robić, i zwróciłam się do niego po radę. On wpadł w wielki gniew, Williamie. Ale nigdy bym nie przypuszczała, że zechce cię w ten sposób zaatakować.

– To po co powiedział, że jest twoim kochankiem?

Wyglądała na autentycznie skonsternowaną.

– Chyba chciał cię sprowokować. Widocznie uznał, że musi mnie bronić. Ale ty mu chyba nie wierzysz?

Hrabia St James wzruszył ramionami.

– Zastanów się, Williamie – ciągnęła. – Mimo wszystko Meredith jest dżentelmenem. Gdyby to była prawda, to chyba nie wyobrażasz sobie, że rozgłaszałby ją przed grupą obcych w Vauxhall.

Musiał przyznać jej rację. Był wzburzony, wracając do domu, ale ta myśl też mu przemknęła przez głowę.

– To fircykowaty głupiec – dorzuciła. – I to za moją przyczyną wziął cię za brutala.

Hrabia milczał.

– Williamie! – krzyknęła. – Musisz odwołać ten idiotyczny pojedynek.

– Znieważono mnie, i to publicznie. Jeśli nic z tym nie zrobię, będę pośmiewiskiem całego Londynu.

Zastanawiała się przez chwilę.

– Ale przecież dla obrony honoru wystarczy lekkie draśnięcie i kropla krwi, prawda?

– Chyba tak. – Wiele pojedynków kończyło się jedynie drobnymi ranami, bo sekundanci obu stron pod byle pretekstem wstrzymywali walkę. Przypadki śmiertelne zdarzały się rzadko.

– Dlatego błagam cię, nie zabijaj go, on na to nie zasłużył. Zaraz napiszę do niego list z reprymendą i poinformuję go, że się pogodziliśmy i że nie ma najmniejszego powodu, aby mnie w tak głupi sposób bronić.

– Napiszesz mu, że nie musi cię bronić przede mną? – spytał.

– Zapomnijmy o tym. Przecież się pogodziliśmy, prawda? – Pocałowała go. – Nigdy cię nie zdradziłam, panie, i nigdy nie zdradzę. – Uśmiechnęła się. – Odpocznij teraz, a ja do niego napiszę.

Niedługo potem lokaj zaniósł zapieczętowaną kopertę na Jermyn Street. Hrabia St James bynajmniej nie spał. Gdy się zaspokoił, położył się obok żony, a ona przez kilka godzin trzymała go za rękę. W końcu zdrzemnęła się. O świcie hrabia pocałował ją i wyszedł z domu z lżejszym sercem.

Droga do Hyde Park zajęła mu tylko kilka minut.

Ten stary park z jeleniami przez wiele wieków należał do mnichów z Westminsteru. Po rozwiązaniu klasztorów przejął go król Henryk. Za czasów Stuartów park stał się dostępny dla zwykłych ludzi. Obiegająca go szeroka droga była teraz ulubionym miejscem przejażdżek wytwornych

dam w eleganckich powozach. A po postawieniu tamy na strumieniu Westbourne powstał rozległy, wygięty staw nazwany Serpentine. Jednak w godzinach świtu porośnięte starymi dębami polany służyły zgoła innym celom: odbywały się tu pojedynki.

Wyzywanie na pojedynek było starą tradycją wywodzącą się jeszcze sprzed średniowiecznych wojen. Ale prywatne pojedynki stały się modne dopiero w stojącym pod znakiem elegancji XVIII wieku. Dlaczego? Nie wiadomo. Może bogate dzielnice Londynu, w których żyli obok siebie ludzie utrzymujący się z kapitału i przyznający się do szlacheckich rodowodów, stanowiły żyzny grunt dla towarzyskich sporów. Może zadecydował o tym rycerski etos coraz liczniejszych pułków wojska. A może klasy wyższe, na czele z arystokracją, które coraz częściej podróżowały do Europy, naśladowały zwyczaje Włochów i Francuzów. Tak czy inaczej pojedynkowano się o honor i dobre imię. Z perspektywy późniejszych czasów zwyczaj ten mógł wydawać się barbarzyński, ale bez wątpienia stanowił bodziec do przestrzegania dobrych manier.

Prawo dotyczące pojedynków było łagodne. W końcu sądami zawiadywali dżentelmeni, którzy wykazywali w tej kwestii stosowne zrozumienie. Nikt nie wnosił oskarżenia o zabójstwo, bo obie strony zgadzały się na ustalone zasady. Karą za zabicie przeciwnika była grzywna albo co najwyżej symboliczne trzy miesiące w więzieniu.

W całym wydarzeniu uczestniczyło siedem osób: obaj przeciwnicy, po dwóch sekundantów dla każdej ze stron oraz lekarz. Powozy zatrzymały się w pewnej odległości. Sekundanci wybrali niewielką kotlinę, osłoniętą ze wszystkich stron szerokimi koronami dębów. W parku nie było żywej duszy, w powietrzu rozbrzmiewał jedynie świergot ptaków. Sekundanci sprawdzili broń. Hrabia St James zdjął płaszcz, oddał go sekundantowi i wziął do ręki rapier. Miał na sobie lnianą koszulę z luźnymi rękawami,

wystarczająco grubą, aby ochronić go przed porannym chłodem. Zauważył na trawie krople rosy. Będzie musiał uważać, żeby się nie poślizgnąć.

Przeciwnicy stanęli naprzeciw siebie i opuściwszy ostrza, skłonili się kurtuazyjnie. Wierzchołki dębów rozbłysły w pierwszych promieniach słońca. Ostrza rapierów uniosły się i zawisły w powietrzu tuż obok siebie jak dwa srebrne węże w niemym tańcu, którego znaczenie znały tylko one, a potem wystrzeliły ku sobie z brzękiem stali.

Hrabia St James był dobrym szermierzem, ale ustępował Meredithowi. Mimo to Jack zdziwił się, że jego przeciwnik nie atakuje ostro. Uznał, że to podstęp. Czekał na odpowiednią chwilę, zachowując czujność. Wreszcie po minucie uderzył. W błyskawicznym wypadzie zadał śmiertelny cios, wbijając rapier wprost w serce St Jamesa.

Sekundanci zaczęli krzyczeć, do rannego podbiegł lekarz. Jednak hrabia już nie żył.

– Dobry Boże! Przecież to nie było konieczne! – zawołał lekarz do Mereditha.

Jack jedynie wzruszył ramionami. Taką właśnie umowę zawarł z hrabiną St James. I może nawet zmieniłby zdanie, stanąwszy z tym człowiekiem twarzą w twarz, gdyby nie liścik, który mu dostarczono w środku nocy. „Na miłość boską, Jack, uważaj – pisała hrabina. – On chce cię zabić”.

Była późna noc. Jack Meredith zdmuchnął świecę. W tej samej chwili zauważył, że drzwi do jego izby w Clink otworzyły się i do środka wślizgnęła się cicho jakaś postać.

W ciemnościach widać było tylko zarys sylwetki, ale poznał ją po zapachu perfum. Podeszła do niego, położyła mu delikatnie palec na ustach i pocałowała w czoło.

– Przez jakiś czas nie możemy się razem pokazywać – szepnęła. – Ale ja już zaczęłam działać. Ponieważ to St James cię wyzwał, a ja potwierdziłam,

że zamierzał cię zabić, potraktują cię łagodnie.

Podeszła do krzesła stojącego przy oknie. Słyszał, jak zdejmuje z siebie ubranie. Zaproponował, że zapali świecę, ale powstrzymała go. Gdy znalazła się przy jego wąskim łóżku, miała na sobie – jak mu się zdawało – jedynie krótką nocną koszulkę. Zdziwiła go trochę szorstkość materiału, ale szybko o tym zapomniał.

A potem hrabina St James, ubrana w zakrwawioną lnianą koszulę, w której zginął jej mąż, kochała się z jego zabójcą, dopełniając tym swoją zemstę.

Mijał maj. Sam i Sep spierali się jedynie o kradzieże.

Praca przy czyszczeniu kominów szła im świetnie. Na wspólnika wybrali sobie młodego kominiarza, niezbyt rozgarniętego, który jednak szybko pojął, czego od niego oczekują. Najpierw szedł z jednym z chłopców do pierwszego domu, wysyłał go do komina, popędzając ostrymi słowami, zostawiał go i szedł do drugiego domu z drugim pomocnikiem. Tam postępował podobnie. Gdy wracał do pierwszego domu, odczekiwał, aż pojawi się ktoś z domowników, a wtedy zaczynał przeklinać Sama lub Sepa – zależy, na którego trafiło – i obiecywać porządne baty za to, że się tak guzdrze. Biedny chłopak kulił się wtedy ze strachu, wyglądał tak żałośnie, że niemal w każdym domu dostawał z litości jakiś datek. Sprytni bliźniacy dzielili się zarobkiem z prostodusznym kominiarzem, ale napiwki zostawiali w całości dla siebie. Wychodzili na tym całkiem dobrze.

Ale jak zauważył Sam, mogli mieć z tego dużo więcej.

„Bierzemy tylko drobiazgi – tłumaczył. – Jak zwiniesz coś cennego, to zauważą. Jeśli na stole leży złota gwinea i jakieś drobne, bierzesz tylko srebrną monetę. Nawet jak się doliczą, to pomyślą, że ją gdzieś zgubili”.

Jedna moneta tu, druga tam, tu grzebień z kości słoniowej, tam złoty guzik – powoli mogło się z tego zebrać całkiem sporo.

Dlatego Sam zaczynał się złościć, gdy jego brat nie chciał się do tego przyłączyć.

Sep nie umiał tego wytłumaczyć, ale jakiś wewnętrzny głos mówił mu, że własność należy szanować, nawet jeśli on sam nie posiada nic. Może był to pradawny głos przodków z rodu Bullów, o których istnieniu nie mógł przecież wiedzieć. Nie chciał jednak kraść. Zgodził się dopiero po kilkumiesięcznych naleganiach Sama.

– Dobra, spróbuję. Jak będę miał okazję.

– W porządku. Bo jutro idziemy do tych dużych domów przy Hanover Square.

W całym swoim życiu Isaac Fleming nie był tak zaskoczony jak pewnego poranka w połowie maja. Oto bowiem drzwi do jego sklepu otworzyły się i do środka weszła hrabina St James. Zdziwiło go nie tylko to, że się u niego zjawiła, ale że zdawała się w ogóle nie pamiętać ich poprzedniego niemiłego spotkania.

Na jej twarzy nie było już śladu po siniaku i opuchliźnie. Również śmierć męża, o której pisały wszystkie londyńskie gazety, najwyraźniej nie odcisnęła na niej żadnego piętna. Hrabina uśmiechała się nawet, patrząc na sklepikarza z taką spokojną obojętnością, jakby był częścią krajobrazu oglądanego w słoneczny dzień.

– Potrzebuję tortu weselnego – rzuciła swobodnie. Nie wyjaśniła, dlaczego sama przyszła z zamówieniem, więc Flemingowi nie pozostawało nic innego jak się ukłonić. Nie wiedział, co odrzec.

Hrabina St James była zadowolona. Wszystko przebiegało zgodnie z jej planem. Tak jak przypuszczała, sędziowie okazali się pobłażliwi. Ponieważ Meredith nie miał pieniędzy, a do tego siedział w więzieniu, nie wnieśli oskarżenia i umorzyli sprawę. Pozostawało jej tylko jedno: mieć Mereditha dla siebie.

Umowa, którą z nim zawarła, składała się z dwóch części. Po pierwsze, Jack miał sprowokować St Jamesa, a potem zabić go w pojedynku. Po drugie, musiał się z nią ożenić. W zamian obiecała spłacić jego długi z majątku, który jej przypadł. „A potem – jak to określiła – będziemy żyli długo i szczęśliwie”. Jack wypełnił jedną część umowy, ale hrabina St James była ostrożna. Najpierw postanowiła zadbać o siebie. Ukryła wszystkie rodowe klejnoty i znaczną część pieniędzy. Doskonale wiedziała, że po ślubie to jej nowy mąż będzie dysponował całym majątkiem. A ona już nigdy więcej nie chciała być zależna od mężczyzny. I nie zamierzała ryzykować. Najpierw ślub z Meredithem, a potem spłata długów i wydobycie go z więzienia. Po ślubie wyjadą na rok do Europy. Wszystko wróci do normalności.

Owszem, wiele osób z pewnością będzie zaskoczonych tak szybkim małżeństwem z zabójcą jej męża, ale ona już przedsięwzięła odpowiednie kroki. Dzięki uczynnym przyjaciółkom pogłoski o brutalności hrabiego szybko się rozeszły. Stało się powszechnie wiadome, że już od lat cierpiała w milczeniu. A pewna kobieta, która ledwo ją znała, ale miała nadzieję na nawiązanie bliższej relacji, nazwała ją „męczennicą i aniołem”. Tak, mogła spokojnie wyjść za mąż.

Ale jak wziąć ślub z mężczyzną siedzącym w więzieniu za długi? I to w takim pośpiechu? Nic prostszego, zwłaszcza w Londynie w 1750 roku.

Niewypłacalnych dłużników osadzano w Clink i Marshalsea, ale najbardziej znanym więzieniem dla takich przestępców było Fleet, gdzie trafiano jeszcze w czasach Plantagenetów. Można tu było spotkać drobnych kupców, prawników, rycerzy, a nawet parów, jednak wśród więźniów najbardziej wyróżniali się duchowni. Często przebywało ich tutaj nawet kilkunastu. A jak taki duchowny miał zapłacić za więzienne utrzymanie, a nawet powoli regulować swoje zobowiązania? No cóż, wypełniał funkcję,

do której – mimo długów i braku kościoła – wciąż był uprawniony. Udzielał ślubów.

We Fleet każdy mógł zawrzeć małżeństwo. Nie odczytywano zapowiedzi, nie zadawano zbędnych pytań. Mogłeś już być żonaty, mogłeś podać fałszywe nazwisko – nieważne, za odpowiednią opłatą ksiądz udzielał ślubu, który był tak samo ważny jak ten zawarty w katedrze Świętego Pawła. Niektórzy duchowni wykazywali się taką przedsiębiorczością, że opłaciwszy się wcześniej dozorcy, ustawiali za murami więzienia małe stragany, w których reklamowali przechodniom swoje usługi. Władze kościelne już od wielu pokoleń przymykały oko na tę dodatkową działalność Kościoła anglikańskiego, prowadzoną niecały kilometr od siedziby biskupa wielkiej katedry.

Hrabina St James zdążyła już ustalić z jednym z bardziej czcigodnych dżentelmenów w sutannie, że na jej wezwanie natychmiast stawi się w Clink i odprawi ceremonię. Dopiero wtedy, tak postanowiła, uwolniony od długów Jack wyjdzie na scenę.

Jednak coraz bardziej irytował ją brak stosownej oprawy. Stanowczo obstawała przy tym, aby do czasu ślubu Jack pozostał w zamknięciu. I oboje zdawali sobie sprawę, że dla zachowania dyskrecji powinni jak najszybciej wyjechać z Londynu. Tylko że ona nie mogła się obyć bez blasku przyjęć. Przecież to doniosłe wydarzenie należy odpowiednio uczcić. W jej oczach ślub bez przyjęcia tracił wartość sakramentu, jakby go w ogóle nie było. Szukając w myślach jakiegoś usprawiedliwienia albo pretekstu, przypomniała sobie Fleminga.

Widział jej opuchniętą i posiniaczoną twarz. Wtedy doprowadziło ją to do wściekłości, lecz teraz uznała to za szczęśliwe zrządzenie losu: był jedynym świadkiem mogącym potwierdzić brutalność hrabiego. Po chwili wiedziała już, co zrobić. Kameralne spotkanie, kilkoro przyjaciół i tort

weselny – oczywiście wyjątkowy, zapadający w pamięć – od Fleminga. Mogłaby wtedy powiedzieć przyjaciółkom: „Zawsze u niego zamawiam. Jest najlepszy. Do tego to bardzo porządny człowiek. Widział mnie po tym, jak St James…”. Niemal słyszała, jak jej głos się załamuje. „Ale on nie będzie o tym rozpowiadał, ufam mu tak samo jak wam”. Była pewna, że przyjaciółki w mig pojawią się w jego sklepie.

Tak, takie spotkanie jest konieczne, uznała. Postanowiła, że wyda przyjęcie dwa dni po ślubie w Clink. Jedynie kilkoro najbliższych przyjaciół, elitarne grono.

– Potrzebny mi tort weselny – powtórzyła – o którym wszyscy będą mówić. Coś naprawdę niezwykłego. A jeśli mnie zadowolisz, to może nawet dam się ubłagać i polecę cię moim znajomym. – Skinęła głową, a biorąc pod uwagę dzielącą ich społeczną przepaść, był to gest niemal przyjacielski.

Jednak Fleming, po bolesnej nauczce, którą niedawno odebrał, zastanawiał się, czy otrzyma zapłatę.

– A jeśli będę zadowolona – dodała hrabina lekko – to nawet ureguluję obecne należności. Powiedzmy, czterdzieści funtów za wszystko.

Czterdzieści funtów. Gdyby mu tyle zapłaciła, mógłby odetchnąć z ulgą. Nie stać go na odrzucenie takiej propozycji. O czym ona doskonale wie, pomyślał. Jednak uśmiech, który pojawił się na jego twarzy, wyrażał jedynie szczere zadowolenie i wdzięczność.

– Jaśnie pani jest bardzo hojna – powiedział. – Postaram się zrobić coś, co wszystkich zadziwi.

Lady St James wyszła ze sklepu w doskonałym nastroju.

– I co też jej upieczesz? – spytała nieco później żona Fleminga.

– Nie mam pojęcia – przyznał ponuro. – I założę się, że teraz też mi nie zapłaci.

Skromny ślub kapitana Jacka Mereditha i hrabiny St James odbył się następnego dnia. Ceremonię odprawił wiekowy duchowny z Fleet. Nie było druhen. A w rolę drużby wcielił się Ebenezer Silversleeves, który na tę okazję włożył wspaniały surdut należący kiedyś do jednego z więźniów.

– A teraz, Jack, pojadę spłacić twoje długi – oświadczyła panna młoda, gdy już było po wszystkim.

– Kiedy mnie stąd wypuszczą? – zapytał.

– Jutro – odparła z promiennym uśmiechem. – Mam nadzieję.

Foundling Hospital był jednym z najmodniejszych miejsc w Londynie. Tę zaskakującą rangę zyskał głównie dzięki Händlowi, który podczas swojego długiego pobytu w Anglii aktywnie zaangażował się w dobroczynność. Ostatnimi laty szczególnie przejmował go los sierot, dlatego nie tylko ofiarował szpitalowi organy, ale także wyszkolił doskonały chór dziecięcy. Tego roku kilkakrotnie wystawił tu swojego *Mesjasza* – dochód z przedstawień, na które przyszedł chyba cały Londyn, wyniósł siedem tysięcy funtów – przez co Händel zapisał się w ludzkiej pamięci nie tylko z powodu swojego geniuszu, ale też działalności filantropijnej. Tego popołudnia państwo Meredith – jak się obecnie nazywali – wybierali się właśnie na jeden ze spektakli.

Pani Meredith jeszcze nigdy nie była tak szczęśliwa. Jack wyszedł z więzienia kilka godzin wcześniej.

Podobno życie i miłość to podstępna walka. Jeśli tak jest, to mogła się nazwać zwyciężczynią. Miała wszystko, czego pragnęła. Upolowała swojego mężczyznę i dała mu wolność. Od tej chwili będzie się czuła w domu spokojnie i bezpiecznie. Przemknęło jej przez myśl, że to jest dla niej zupełnie nowe uczucie i że trochę potrwa, zanim do niego przywyknie. Nawet małe przyjęcie, które zaplanowała na następny wieczór, wydało jej się nagle nieważne. Pomyślała, że półroczną podróż po Europie będzie

można skrócić. A potem, w Bocton, będzie go miała tylko dla siebie. Delektowała się tą rozkoszną myślą przez kilka chwil, przygotowując się do wyjścia, gdy ciszę przerwał znienacka krzyk, a po nim żałosny płacz.

– Co tam się, do diabła, dzieje? – rzucił Jack i wyszedł z pokoju.

Wrócił po chwili, uśmiechając się szeroko i trzymając za ucho umorusanego sadzą urwisa.

– Na miłość boską, Jack! – zawołała lekko przerażona, ale i rozbawiona jednocześnie. – Nie wnoś mi tego do pokoju. I czemu trzymasz go za ucho?

– Bo to groźny przestępca – odparł, mrugając okiem. – Twój lokaj właśnie go przyłapał, jak kradł szylinga z kuchennego stołu. Miał czyścić komin. – Odwrócił się do chłopca. – Zaraz wezwiemy Bow Street Runners, ty mały potworze. I co ty na to?

– Nigdy niczego nie ukradłem! – wrzasnął chłopiec.

– Owszem, ukradłeś.

– Znaczy nigdy wcześniej, panie. Przysięgam. Daruj mi, proszę. – Brzmiało to tak przekonująco, że niejeden pewnie by uwierzył.

– Zabierz mi go stąd, Jack – powiedziała pani domu. – I zrób z nim, co chcesz.

Jack Meredith nie miał wobec chłopca złych zamiarów, chciał co najwyżej natrzeć mu uszu, ale bawiła go mina żony przerażonej widokiem sadzy w nieskazitelnej sypialni. Mały urwis rozpłakał się jak na zawołanie i pokręcił głową, a sadza rozprysła się po pokoju, aż jaśnie pani krzyknęła ze zniecierpliwieniem. Płynące łzy zostawiały na brudnych policzkach białe ślady. Chłopiec rzeczywiście wyglądał żałośnie. I niczym zwierzątko w szponach wielkiego drapieżnika najwyraźniej poddał się, bo opuścił bezwładnie ramiona, trzęsąc się ze strachu. Nawet surowej pani domu zrobiło się go żal.

– Jak ci na imię, chłopcze? – spytała w końcu nieco łagodniej.

Żadnej odpowiedzi.

– Zawsze kradniesz?

Energiczne kręcenie głową.

– Wiesz, że nie należy kraść?

Tym razem głowa kiwnęła z przekonaniem.

– Czy ktoś każe ci to robić?

Niechętne skinięcie głową.

– Kto?

Cisza.

Dwoje dorosłych spojrzało po sobie, wzruszając ramionami, a wtedy chłopak podjął nagłą, desperacką próbę ucieczki. Mocnym szarpnięciem głowy, które musiało spowodować niewyobrażalny ból, wyrwał ucho z uścisku Jacka, odwrócił się na pięcie i wybiegł z pokoju.

Jednak Meredithowi wystarczyły trzy długie kroki, aby go złapać, tym razem za rękę. Wprowadził go do sypialni.

– To doprawdy dziwne. Spójrz tylko! – zawołał zaskoczony.

Podniósł dłoń chłopca. A potem drugą, dając znak, że są takie same. Jednocześnie zauważył, że we włosach kominiarczyka, z których opadła już większość sadzy, widnieje białe pasmo.

– Doprawdy, dziwny z niego młodzian – zauważył. – Ale odwagi mu nie brakuje. – Spojrzał na żonę.

Stała jak sparaliżowana. Była blada, jakby zobaczyła ducha. Bez słowa wpatrywała się w chłopca.

– Co się stało?! – krzyknął Jack zaniepokojony.

Hrabina St James wyrzucała z siebie nieskładne słowa.

– Mój Boże. To niemożliwe… to na pewno… O mój Boże!

Jack Meredith był tak zdumiony, że bezwiednie puścił chłopca, a ten po chwili zniknął na ulicy bez śladu.

Nie chciała mówić. Nie chciała mu nic wyjaśnić. Nie pomogły ani łagodne nalegania, ani udawana złość.

– Chodziło o tego chłopca, prawda? Pójdę go poszukać – powiedział w końcu.

– Nie! Pod żadnym pozorem! – krzyknęła.

Nie chciała zdradzić, co nią tak wstrząsnęło. W milczeniu pojechali na koncert. A w drodze powrotnej rozmawiała o różnych rzeczach – o przyjęciu następnego dnia, o wyjeździe do Europy – ale z jakąś dziwną nieobecnością w głosie. Jack widział jednak, że tajemnica, której z taką determinacją strzeże, sprawia jej niewyobrażalną udrękę. Mimo to nie chciała nic wyjawić.

Aż do niespokojnych nocnych godzin.

Bo w nocy coś się w niej przełamało. Może nagły szok wytrącił ją z równowagi? Może było to pokłosie ostatnich trzech tygodni, gdy z lodowatym opanowaniem toczyła śmiertelną walkę o swoje życie. A może teraz, gdy sama napotkała w życiu miłość, jej serce zaczęło otwierać się i mięknąć. Bo we śnie nie tylko przerażenie, nie tylko poczucie winy wstrząsały jej ciałem i dręczyły umysł. Zalewał ją ból i tęsknota, potężne matczyne uczucia, za sprawą których powtarzała nieustannie przez sen:

– Dziecko. Boże. Moje dziecko.

Gdy się obudziła, Meredith siedział na krześle obok łóżka. Wziął ją za rękę.

– Co zrobiłaś z dzieckiem? – spytał łagodnie, ale stanowczo. – Nie zaprzeczaj. Mówiłaś o nim przez sen.

– Oddałam – wyznała. – Ale to było dawno temu. Minęło. Nic już nie da się zrobić. Wyjedźmy jeszcze dzisiaj i zapomnijmy o wszystkim.

– Czyje to było dziecko?

Zawahała się.

– Nieważne.

– Moim zdaniem ważne. St Jamesa?

Skinęła głową.

– A więc to ono jest dziedzicem.

– Nie, nasz syn. Będziemy mieli syna. Jemu przypadnie majątek. Ten drugi był… Sam widziałeś. – Wstrząsnęła się na tamto wspomnienie. – On był… Jego dłonie…

I wtedy kapitan Jack Meredith zrozumiał, co musi zrobić, żeby ocalić dusze ich obojga.

– Zabiłem jego ojca. Ale niech mnie piekło pochłonie, jeśli pozbawię to dziecko majątku – powiedział cicho. – Jeśli nie weźmiesz go z powrotem do siebie, to odejdę.

Wiedziała, że jest gotów to zrobić.

– I tak nie uda ci się go odnaleźć.

Nie zabrało mu to dużo czasu. Po nieprzyjemnym incydencie z poprzedniego dnia bracia Doggetowie postanowili omijać Hanover Square, ale gdy tylko Jack skręcił w Grosvenor Square, od razu zauważył umorusanego chłopca z kominiarską szczotką, który na jego widok rzucił się do ucieczki. Popędził najpierw Audley Street, a potem kluczył w małych zaułkach, ale Meredith był wysportowany. Złapał go przy Hay’s Mew.

– Zaprowadź mnie do swojego ojca – rozkazał. – Albo pożałujesz.

Ruszyli do Seven Dials.

Znaleźli Doggeta w Covent Garden, gdzie trwał targ kwiatów. Harry stał przy swoim wózku, w czapce na głowie. Przyglądał się całkiem ładnej dziewczynie sprzedającej na jednym ze straganów, ale na widok Mereditha z chłopcem zapytał bez ceregieli:

– Co narozrabiał?

– Wczoraj w jednym z domów dopuścił się kradzieży – odparł kapitan.

– Niemożliwe. On takich rzeczy nie robi.

– A ja myślę, że robi – oznajmił lekko Meredith. – Ale nie po to przyszedłem.

– Nie? – Dogget wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Chyba nie przyszedł się pan ze mną bić?

– Innym razem. A na razie chcę wiedzieć, skąd macie tego chłopaka. To wasz rodzony syn?

– Tak zawsze mówię.

– To znaczy tak czy nie?

– A kim pan w ogóle jest i czemu mnie pan o to pyta?

– Nazywam się Jack Meredith. Mam podstawy sądzić, że ten chłopiec został oddany przez służącą wydaloną z pewnego domu – skłamał gładko. – Na razie tyle mogę powiedzieć. Ale jeśli to pański chłopak, to sprawa jest skończona.

Harry Dogget zafrasował się nie na żarty.

– Byłem jego ojcem od małego – powiedział w końcu. – Dałem mu dach nad głową. Nie oddam go byle komu.

– To proszę spojrzeć na mnie.

– Muszę przyznać, że wygląda pan na prawdziwego dżentelmena – zgodził się Dogget. A potem szczegółowo opowiedział Meredithowi, jak znalazł niemowlę przy Seven Dials.

– W takim razie – oznajmił Meredith, wysłuchawszy całej opowieści – to jest dziecko, którego szukam.

– Tato! – zawołał chłopczyk z rozpaczą. Wysoki nieznajomy wcale nie wzbudził jego sympatii.

– Zamknij buzię, mały złodziejaszku – rzucił łagodnie Dogget. – Nie wiesz, o czym mówisz, bo byłeś wtedy za mały.

Chłopiec umilkł niechętnie.

– Ale skąd poznajecie, że to właśnie on? – spytał Harry.

– Po dłoniach. I po włosach – wyjaśnił Meredith. – To dość szczególny znak.

Dogget zmuszony był przyznać mu rację.

Zostawił swój wózek pod opieką znajomego straganiarza i wszyscy udali się na Hanover Square. Harry aż gwizdnął na widok domu.

– On ma tutaj mieszkać? Nie jako służący, tylko jak członek rodziny? – spytał. A kiedy usłyszał potwierdzenie, pokręcił ze zdumieniem głową. Nie chciał jednak wejść z Meredithem do środka. – Mogę przyjść jutro? Żeby sprawdzić, czy z nim wszystko w porządku.

Otrzymał zapewnienie, że owszem, może i powinien go odwiedzić.

I tak oto do domu przy Hanover Square wprowadził się George, nowy hrabia St James.

Świt nie przyniósł Isaacowi Flemingowi radości, a jedynie poczucie beznadziejnej klęski.

Gdyby tylko nie chodziło o te czterdzieści funtów. Potrzebował ich rozpaczliwie. A najgorsze, że otrzymanie tak dużej sumy zależało od jednego tortu. Za każdym razem, gdy pojawiał się pomysł, który mógłby zadowolić jaśnie panią, wewnętrzny głos go powstrzymywał: „To wszystko? I to ma być tort za czterdzieści funtów?”. Wymyślił pałac, potem statek, nawet lwa, ale po godzinie każdy projekt wydawał mu się banalny i niegodny uwagi. Wszystko na nic, przelatywało mu przez głowę. Nie uda mi się. Brakuje mi talentu.

„Chyba zrezygnuję”, skarżył się żałośnie żonie. Ale te czterdzieści funtów…

Obudził się z ciężkim sercem. Rachunek za bruk wciąż był niezapłacony. Fleming skonstatował ze smutkiem, że nie stać go nawet na skromny sklep przy Fleet Street. Będzie musiał się przenieść do jakiejś tańszej dzielnicy.

– Jestem skończony – mruknął. Miał ochotę powiedzieć to na głos, żeby obudzić żonę, ale się powstrzymał. Zszedł smutny na dół, żeby przygotować piec do wypieku porannego chleba.

Włożył do pieca pierwszą partię bochenków i wyjrzał na ulicę. Na Fleet Street było jeszcze cicho i spokojnie. Poranne słońce zabarwiło wschodnie niebo jasnym blaskiem. Wysokie, kłębiaste chmury wyglądały jak kobiece pukle. Fleming spojrzał w kierunku Ludgate, gdzie nad dachami wznosiły się wspaniałe ośmiokątne kondygnacje iglicy kościoła St Bride.

St Bride. Odpowiednia nazwa dla kościoła, w którym bierze się ślub [33].

I wtedy przyszedł mu do głowy znakomity pomysł.

Goście byli już na miejscu. Jedynie dwa tuziny najbliższych przyjaciół, najbardziej liczących się w towarzystwie.

Oczywiście wszyscy wiedzieli, jak okropnie traktował ją St James. I wszyscy byli pełni współczucia. Zdążyli też usłyszeć o Flemingu, którego tort, naprawdę wyjątkowy, miał być podany na koniec. Jedna z dam, najbardziej żądna informacji, posłała nawet lokaja do piekarni, żeby się dowiedział, co dokładnie Fleming widział tamtego dnia.

„Wypytaj dokładnie, pod którym okiem miała siniaka – poinstruowała go. – Muszę wiedzieć, żeby niczego nie pomylić”.

Ale dramatyczne przejścia hrabiny i jej pospieszny ślub – które same w sobie mogły stanowić pożywkę dla rozkosznych spekulacji jeszcze przez długie tygodnie – kompletnie zbladły wobec najnowszej rewelacji: odnalezienia spadkobiercy majątku i tytułu.

Historia była naprawdę niezwykła. Najpierw podła służąca podmienia niemowlę, korzystając z tego, że młoda matka odchodzi od zmysłów z niepokoju o nowo narodzone dziecko, a na koniec okazuje się, że zaginiony hrabicz jest pomocnikiem kominiarza. Uznano tę historię za prawdziwą, bo nikt nie umiał podać przekonujących argumentów, dlaczego

hrabina albo jej nowy mąż mieliby coś takiego wymyślić. Głośno domagano się prezentacji chłopca, ale jaśnie państwo odmówili.

– On za dużo przeszedł – tłumaczyła hrabina. – Muszę mu zapewnić spokój.

Oboje z Jackiem doszli wcześniej zgodnie do wniosku, że mały urwis – który nie dość, że nie umiał czytać i pisać, to jeszcze mówił językiem nienadającym się dla eleganckich uszu – spędzi co najmniej rok pod opieką guwernera i dopiero wtedy będzie można pokazać go światu.

– I po tym wszystkim ona tak po prostu wyjeżdża! – załamywała ręce jedna z dam. – Przyćmiła wszystkich! Po prostu umieram z zazdrości.

Ale ukoronowaniem towarzyskiego triumfu pani Meredith – która jeszcze nie do końca ochłonęła po szoku z poprzedniego dnia – był tort weselny wniesiony przez dwóch lokajów.

Pomysł Isaaca Fleminga był tak prosty, a jednocześnie tak efektowny, że od razu stało się jasne: teraz już wszyscy będą go naśladować. Były to właściwie cztery torty, ułożone w piramidę jeden na drugim i polane twardym, białym lukrem. Z drewnianymi, także polukrowanymi kolumienkami wspierającymi każdą kondygnację tort był niemal idealną repliką iglicy kościoła St Bride. Czegoś podobnego nigdy jeszcze nie widziano. Już nigdy żadne wesele nie będzie mogło obyć się bez takiego tortu. Goście zaczęli klaskać z zachwytu.

Gospodyni była tak zadowolona, że pamiętała, aby następnego dnia zapłacić piekarzowi.

Ale z pewnością nie spodobałaby się jej rozmowa, która odbyła się na rogu ulicy właśnie wtedy, gdy goście zachwycali się dziełem Fleminga.

– I jak, wszystko w porządku? – spytał Harry Dogget.

– W porządku – odparł nowy hrabia St James. – Ale trzeba być strasznie czystym, a do tego każą mi nosić buty. W lecie! To straszne.

– Nie przejmuj się.

– Powiedzieli, że będę musiał nauczyć się czytać i pisać.

– To ci akurat nie zaszkodzi.

Chłopiec się zamyślił.

– Tato.

– Co takiego?

– Rok temu mama się upiła i powiedziała coś o mnie i o Sepie.

– A co powiedziała?

– Że znalazłeś Sepa przy Seven Dials.

– Może tak było.

– Ale skoro to jego znalazłeś, a nie mnie, to co ja tu robię?

– Przeznaczenie – rzucił Dogget pogodnie. Zastanawiał się przez chwilę. – No bo popatrz, to ty trafiłeś do ich domu i chciałeś ukraść szylinga, prawda? – Sam skinął głową. – A więc to ciebie znaleźli.

– Ale ja jestem twoim synem, prawda?

– Oczywiście.

– A Sep nie.

– Tego akurat nie wiadomo – stwierdził Harry z właściwą sobie logiką. – Kiedy go znalazłem, uznałem, że jest mój. Ale on jest też podobny do tego, który zginął, tak w każdym razie mówią ci ludzie. Więc ja sobie myślę, że może on nie jest ani nasz, ani ich. Zresztą to nie ma znaczenia. Jedno jest pewne, mój synu. Masz w życiu szczęście.

– Jestem teraz hrabią – wyznał chłopiec.

Słysząc to, Dogget wybuchnął takim śmiechem, że aż musiał przytrzymać się barierki przy schodach.

– To niesprawiedliwe – stwierdził Sam.

– Rusz wreszcie głową – powiedział stanowczo Dogget. – Chcesz już zawsze żyć w biedzie? Spójrz na ten dom. Jaśnie pani mówi, że jesteś jej

synem. Więc nic nie gadaj i ciesz się z tego. Nie chcesz być hrabią?

– To nawet całkiem przyjemne – przyznał Sam. – Szkoda, że nie widziałeś ich jedzenia. Ani jednej cholernej ostrygi.

– No to powodzenia. Gdybyś miał jakieś kłopoty, to wiesz, gdzie mnie szukać. Ale jeśli zmarnujesz tę szansę, to tak ci obiję tyłek pasem, że znowu zechcesz być hrabią.

– Dobrze. – Chłopiec umilkł na chwilę. – Tato.

– Czego?

– Powiedz Sepowi, że może wziąć pieniądze, które sobie odłożyłem.

Harry pokiwał głową.

– Do widzenia, Sam – powiedział.

Odszedł, pogwizdując wesoło.

Wytworne towarzystwo pogrążyło się w żałobie na cały dzień, gdy następnego roku pani Meredith, dawniej hrabina St James, zmarła przy porodzie. Wprawdzie jej mąż ożenił się ponownie, ale nadal otaczał opieką młodego hrabiego St James. Wypełniał ten obowiązek niezwykle sumiennie, a za swoje trudy pobierał jedynie odpowiednie wynagrodzenie z majątku, którym zarządzał w imieniu wychowanka. Młody hrabia darzył go wielką sympatią. A ci, którzy pamiętali dawnego hrabiego, mówili czasem, że jego syn jest dużo weselszym człowiekiem.

Sep Dogget, który przyszedł na świat jako lord Bocton, był szczęśliwym strażakiem. Nie wiedział, że to jemu należy się tytuł, więc nie miał do nikogo żalu.

Ale największe dziedzictwo zostawił po sobie Isaac Fleming – wynalazek przyniósł mu sławę i bogactwo oraz piękny sklep z wykuszem. Jego tort miał się już pojawiać na każdym weselu.

Lawendowe Wzgórze

Rok 1819

Już niedługo, a będę w raju, pomyślał.

Dyliżans z Dover do Londynu wjechał na długą, prostą drogę biegnącą przez Shooter’s Hill. Młody mężczyzna siedzący na skrzyni już dwa razy przecierał okulary. Nie chciał niczego przegapić. Na głowie miał duży kaszkiet, szyję owinął luźno wełnianym szalikiem. Osiemnastoletni Eugene Penny był bardzo przejęty. Po raz pierwszy przyjechał do Londynu.

Kiedy znaleźli się na skraju wzgórza i spojrzeli na rozpościerające się przed nimi miasto, na twarzy młodzieńca pojawiło się zdziwienie, które stopniowo, gdy zjechali ze zbocza i nagle zapadł wczesny zmierzch, zamieniło się w przerażenie.

– To ma być Londyn? – krzyknął.

Woźnica wybuchnął śmiechem.

Gdyby ktoś zainteresowany historią miał wymienić epokę, w której cywilizacja przekroczyła wspaniałe osiągnięcia starożytnego Rzymu, to w anglojęzycznym świecie wybór musiałby paść na czasy króla Jerzego III. Jego panowanie trwało długo, od roku 1760 do 1820 – przynajmniej oficjalnie, bo z powodu porfirii monarcha nie zawsze był zdolny do sprawowania władzy – i objęło dwa epokowe wydarzenia.

Do tradycji starożytnego Rzymu odwoływało się niewątpliwie trzynaście amerykańskich kolonii, które w 1776 roku uniezależniły się od monarchii brytyjskiej. Do tego czasu nawet stany założone przez uchodźców religijnych przekształciły się w społeczeństwa przypominające miasta-państwa wolnych rolników i kupców, które kiedyś tworzyły zalążek rzymskiej potęgi. Opanowany generał Washington ze swymi arystokratycznymi poglądami, wiejską willą w Mount Vernon i milionami akrów ziemi zachowywał się jak wysoko urodzony Rzymianin. Autorzy Konstytucji, wybieralni członkowie Kongresu i tworzący elitę senatorowie wychowali się na literaturze klasycznej. Podobieństwem było nawet to, że większość nowych stanów Ameryki tak jak Rzym korzystała masowo z pracy niewolników.

Rewolucja francuska, która wybuchła dwanaście lat później, otwarcie odwoływała się do rzymskiej tradycji. Jej przywódcy, inspirowani przez Oświecenie – rozumiane jako triumf klasycznego rozumu nad średniowieczną tyranią i przesądami katolickiej monarchii – szybko przejęli wiele atrybutów z czasów starożytnego Rzymu. Poddanych króla nazywano „obywatelami”, tak samo jak wolnych obywateli Rzymu. Hasła wolności, równości i braterstwa wkrótce znalazły swojego orędownika w osobie Napoleona, którego wojska maszerowały pod skrzydłami rzymskich orłów, który dał Francji i dużej części Europy kodeks oparty na prawie rzymskim i który kojarzony jest ze stylem empire, inspirowanym w najdrobniejszych szczegółach przez malarstwo i rzemiosło cesarstwa rzymskiego.

W Wielkiej Brytanii powrót rzymskiej tradycji miał dużo bardziej praktyczny wymiar. Nie da się zaprzeczyć, że klasycystyczne place Londynu i palladiańskie wiejskie rezydencje arystokracji wzniesione jeszcze przed panowaniem Jerzego III przewyższały przepychem budowle z czasów rzymskich. Ale to za czasów tego monarchy – mimo że takie

udogodnienia jak łaźnie publiczne czy centralne ogrzewanie dopiero miały się pojawić – przywrócono jedno z większych osiągnięć Rzymu, które wprowadziło porządek do świata barbarzyńców: system dróg.

Za czasów rzymskich wyspę przecinała gęsta sieć dróg. Z czasem zostały zaniedbane, zarosły trawą i krzakami. Przez całe średniowiecze i później, aż do panowania Stuartów i pierwszych królów z dynastii hanowerskiej, angielskie drogi wyglądały jak prehistoryczne dukty i saskie trakty z głębokimi koleinami. Nadal podróżowano dawnym rzymskim szlakiem z Dover do Canterbury – tędy właśnie przejechał Eugene – ale tłuczniowa nawierzchnia została głęboko zagrzebana, a szlak przypominał wąską drogę dla furmanek.

Jednak potem wiele się zmieniło. Płatne drogi z końca XVIII wieku, będące własnością prywatnych syndykatów i spółek akcyjnych, miały na siebie zarabiać. Okazały się takim sukcesem, że pokolenie później pokrywały już znaczną część kraju. Jedne biegły śladem prostych rzymskich tras, jednak większość podążała za krętymi saskimi szlakami. Angielskie drogi nie miały tak dobrej nawierzchni jak te w starożytności, ale były na tyle twarde i gładkie, że powóz mógł się po nich poruszać w szybkim tempie. Podróż, która niegdyś zabierała dzień lub dwa, dziś liczyła się w godzinach. Firmy przewozowe transportowały pocztę i ludzi z londyńskich zajazdów do najdalszych zakątków kraju. Rozrastająca się stolica nagle zyskała połączenie z każdym miastem. Można powiedzieć, że wraz z powrotem Rzymu rozpoczęła się epoka nowoczesności.

Lecz młody Eugene nie spodziewał się widoku, który miał teraz przed oczami.

Za czasów Jerzego III londyńska metropolia szybko się rozrastała, ale głównie na północ. Leżące na południowym brzegu Southwark rozwijało się w wolnym tempie. Na zachód od Southwark, wzdłuż dróg

prowadzących do Westminster Bridge, powstawały wprawdzie rzędy domów, ale wielką gminę Lambeth wciąż pokrywały sady, ogrody warzywne i pola, a na nabrzeżu stały domy z bali. Jeszcze dalej w górę rzeki, w starych wioskach Battersea i Clapham, pojawiły się jedynie piękne wille i ogrody bogatych kupców i arystokratów. Poniżej Southwark ciągnęły się Bermondsey i Rotherhithe z rzędami stłoczonych domów z cegły, a za nimi były już tylko moczary. Greenwich nie zmieniło się wcale.

Jednak po drugiej stronie Tamizy ogromne miasto jak lewiatan rozciągało swoje macki na północ, wschód i zachód. Tak w każdym razie mówiono Eugene’owi. Bo oto teraz zetknął się z problemem, którego ani Stuartowie, ani Tudorowie, ani nawet Rzymianie nie znali. Miasto było niewidoczne.

– A to, panie, to londyńska mgła – powiedział woźnica.

Przykrywała miasto jak ciemnoszary całun. Eugene miał wrażenie, że niewyraźne krawędzie wielkiej chmury brudu rozchodzą się coraz dalej. I rzeczywiście, gdy znaleźli się na starej drodze z Kentu, wyszły im na spotkanie. A kiedy dotarli do Southwark, niebo pociemniało, domy zniknęły w tłustych, zielonkawych oparach, przez które przedzierał się jedynie pomarańczowy blask latarni. Przy High Street dyliżans zwolnił; Eugene nie widział już nawet głów koni idących w pierwszej parze. Gdy skręcili na dziedziniec gospody „U George’a”, pomyślał, że tak samo może wyglądać wjazd do piekieł.

Łódka wyłoniła się z mgły przy północnym brzegu i z cichym zgrzytnięciem osiadła na piasku pod pomostem. Jeden z pasażerów wysiadł i odwrócił się, aby pożegnać się z drugim, który pozostał w łódce.

– Do widzenia, Silas – powiedział mężczyzna na brzegu.

Drugi przez chwilę nie odpowiadał.

– Jak jej dacie na imię? – spytał w końcu.

– Lucy. – Imię wybrała żona. Ładne.

– Ej, Will, może jednak przyłączysz się do mnie.

– Nie podoba mi się to, co robisz.

– Wiesz, że się nie wzbogacisz.

– Wiem.

Silas splunął pod stopy i zaczął odbijać od brzegu.

– Nigdy do niczego nie dojdziesz – mruknął, a po chwili jego brudną łódź wchłonęła mgła.

Ale mimo to nie mam ochoty podążyć za tobą, pomyślał William Dogget, ruszając do domu.

Penny otrzymał od ojca dokładne instrukcje: gdy tylko przybędzie do Londynu, ma natychmiast udać się do swojego ojca chrzestnego Jeremy'ego Fleminga. Jednak postanowił przenocować w zajeździe, uznawszy, że z powodu mgły nie będzie to możliwe. Dobry humor go nie opuszczał. Powtarzał sobie, że ta niedogodność opóźni początek jego nowego życia zaledwie o kilka godzin.

Nie zdawał sobie jednak sprawy, że spowijająca Londyn mgła będzie nieodłączną częścią tego życia. Bo gdy tylko Anglia przywróciła standardy i wzorce z rzymskiej przeszłości, od razu wkroczyła w wiek wielkiej ekspansji nazywany rewolucją przemysłową.

Panuje przekonanie, że brytyjska rewolucja przemysłowa dokonała się za sprawą wielkich fabryk, w których pracowały rzesze wyzyskiwanej biedoty. Owszem, na północy i w Midlands istniały duże huty żelaza, napędzane silnikami parowymi przędzalnie bawełny i kopalnie węgla, w których pod ziemią pracowały dzieci. Ale tak naprawdę za rewolucją przemysłową stał tradycyjny handel suknem, a potem produkcja tanich bawełnianych ubrań. Oczywiście ten szybki rozwój umożliwiły

mechaniczne przędzalnie i tkalnie, mimo to ubrania wyrabiano głównie w niewielkich szwalniach. Wszyscy jednak palili węglem. Z niezliczonych londyńskich kominów wydobywało się tyle dymu i sadzy, że przy odpowiednich warunkach atmosferycznych ciemne wyziewy ścieliły się nad miastem jak pled, przytrzymując pod sobą jeszcze więcej dymu. Podnosząca się wówczas mgła gęstniała i zamieniała się w duszący, nieprzenikniony koszmar – ludzie zasłaniali sobie twarze, a złodzieja nie widać było nawet z odległości stu kroków.

W gospodzie zalanej ciepłym światłem Eugene szybko zapomniał o dokuczliwej mgle na zewnątrz. Oberżysta przyniósł mu zapiekankę z wołowiną i cynaderkami oraz butelkę porteru, jak nazywano czasem ciemne piwo, a potem od czasu do czasu go zagadywał. W zajeździe – jak we wszystkich przydrożnych karczmach – byli najrozmaitsi goście: woźnice w ciężkich pelerynach, kupcy, dwóch prawników, jakiś duchowny, ziemianin wracający na wieś, a także liczna grupa miejscowych, głównie sklepikarzy.

Około dziewiątej wieczorem do gospody weszła dziwna postać. Mężczyzna był sam. Zamówił kufel porteru i zaniósł go do stołu w samym rogu. Na jego widok zapadała nagła cisza. Jakby gładka powierzchnia rozmów rozstępowała się przed nim wraz z odsuwającymi się ludźmi, a potem zamykała na powrót za jego plecami. Był niższy od większości mężczyzn, ale krzepko zbudowany, poruszał się z gburowatą powolnością. Miał na sobie gruby płaszcz w nieokreślonym kolorze i bezkształtną wełnianą czapkę, której wywinięty brzeg opadał mu na gęste, czarne brwi. Pod patrzącymi gniewnie czarnymi oczami zebrały się fałdy skóry, tworząc ciemne obręcze. I czy to za sprawą jego bladej cery, czy może dziwnej błony między palcami dłoni, w każdym razie Eugene miał wrażenie, że patrzy na zjawę, która wyłoniła się z głębin ciemnej, zamglonej rzeki.

– Kto to taki? – spytał.

– Ten? – Oberżysta mówił z wyraźną niechęcią. – Nazywa się Silas Dogget.

– A czym się zajmuje?

– Lepiej nie pytaj – usłyszał w odpowiedzi.

Niedługo potem Eugene poszedł spać, myśląc z zadowoleniem, że przy odrobinie szczęścia nigdy już nie spotka na swojej drodze Silasa Doggeta.

Zanosiło się na zamieszki.

O świcie nadleciał wiatr i rozwiał londyńską mgłę. Zostały po niej jedynie resztki sadzy. Dzień był pogodny, z lekką bryzą, i niewątpliwie ta przyjemna aura sprawiła, że przed eleganckim domem na Fitzroy Square zebrał się czterystuosobowy tłum, aby wysłuchać niezwykłego przemówienia mężczyzny stojącego w otwartym oknie na pierwszym piętrze.

– Czy wierzycie – zawołał mówca – w braterstwo ludzi? – Tłum potwierdził głośnym rykiem. – A czy przyznajecie… – To słowo, wypowiedziane ze szczególnym naciskiem, było znakiem rozpoznawczym oratorstwa Zachary'ego Carpentera. – Powtarzam, czy przyznajecie, że każdy człowiek, który przyszedł na świat, ma swoje prawa? Przecież tak mówi zdrowy rozsądek. Prawa człowieka istnieją. – Odpowiedział mu pełen aprobaty pomruk. – A jedno z tych niezbywalnych praw brzmi następująco. – Kolejne słowa padały rytmicznie jak uderzenia w bęben. – Nie ma podatków bez re-pre-zen-ta-cji. – Niemal podskoczył na zakończenie.

Mogłoby wydawać się dziwne, że na londyńskiej ulicy wygłasza się myśli wywodzące się wprost z pism Toma Paine'a, wielkiego zwolennika rewolucji amerykańskiej. W końcu to samo mówili Anglicy w średniowieczu, w czasach buntu Wata Tylera. A wielu ludzi wciąż miało

dziadków pamiętających wojnę domową i lewellerów. Izba Gmin, purytanie, okrągłogłowi, walczący o niepodległość Amerykanie, angielscy radykałowie – wszyscy byli odnogami tego samego, pradawnego strumienia wolności. Król Jerzy III był wściekły na Amerykanów, że oderwali się od monarchii, ale wielu jego poddanych czytało Paine'a i stało po stronie hardych kolonistów.

– Wydaje mi się, że parlament zniósł niewolnictwo. Czyżbym się mylił? – zwrócił się do tłumu Zachary.

Tłum zapewnił go, że się nie myli. Niewolnictwo zostało zakazane w Anglii w 1772 roku, a ostatnio dzięki wysiłkom takich reformatorów jak William Wilberforce zakaz handlu niewolnikami objął też brytyjskie posiadłości zamorskie.

– A więc jesteście czy nie jesteście wolno urodzonymi Anglikami?

Kolejny ryk z wielu gardeł dał do zrozumienia, że są angielscy nie mniej niż angielski pudding.

– W takim razie dlaczego tu, w okręgu St Pancras, traktuje się nas jak niewolników? Dlaczego tyrania depcze wolnych ludzi? Przyznajecie, że tak właśnie się dzieje?

Przyznawali. Dali temu wyraz gromkim krzykiem, którzy wstrząsnął Fitzroy Square.

Zarzuty Carpentera były całkowicie słuszne. Stary spór o to, kto ma mianować radę parafialną, jeszcze za czasów króla Karola doprowadzał do wściekłości Gedeona Carpentera i nie został rozwiązany do dziś. I chociaż w dwudziestu pięciu miejskich okręgach – tworzących tak zwane City – wciąż rządził burmistrz, rajcy oraz gildie, to poza ich granicami rozrastająca się metropolia nie miała żadnej władzy centralnej. Każdy okręg parafialny pilnował u siebie porządku, brukował swoje ulice, troszczył się

o biednych i chorych. Okręg budował i organizował. Ale żeby za to wszystko zapłacić, musiał nakładać podatki.

Okręg parafialny St Pancras był ogromny. U swojej podstawy, biegnącej od Holborn w kierunku zachodnim, miał półtora kilometra szerokości. Stamtąd ciągnął się na ponad sześć kilometrów na północ – najpierw miejskimi ulicami, potem przedmieściami, wreszcie polami i wioskami – aż po wzgórza Hampstead i Highgate. Okręg miał sześćdziesiąt tysięcy mieszkańców, którymi rządziła rada parafialna.

Większość ówczesnych rad parafialnych była wybierana przez właścicieli domów, a przynajmniej przez jakąś ich część. Takie rady nazywano „otwartymi”. Pozostałe – stanowiące mniejszość, ale za to bardzo znaczącą – same mianowały swoich członków, bez liczenia się ze zdaniem mieszkańców. Takie rady nazywano „zamkniętymi”. A w roku Pańskim 1819, za sprawą grupy wpływowych arystokratów, dostojna rada okręgu St Pancras na podstawie uchwały parlamentu została przekształcona z otwartej w zamkniętą.

– To niegodziwość! – grzmiał Carpenter.

Zachary Carpenter był postacią doskonale znaną. Z zawodu stolarz, robił meble, i to dobre. Ukończył termin w firmie Chippendale’a, potem krótko pracował jako czeladnik dla Sheratona, wreszcie poszedł na swoje i wyspecjalizował się w małych domowych biurkach zwanych sekretarzykami. Jak wielu innych stolarzy osiedlił się w okręgu St Pancras, miał warsztat z trzema czeladnikami i dwoma uczniami. I jak wielu innych rzemieślników i małych przedsiębiorców był zagorzałym radykałem.

„Mam to we krwi”, mawiał. Rodzinna legenda o tym, że Gedeon Carpenter należał do okrągłogłowych, wciąż była żywa, choć wiele szczegółów się zatarło. Ojciec Zachary’ego był religijnym reformatorem, a on sam doskonale pamiętał, jak w dzieciństwie wyciągano go z łóżka

i zabierano do wielkiej hali w Moorfields, gdzie John Wesley wciąż wygłaszał kazania o czystym i prostym chrześcijaństwie. Mimo to nie stał się człowiekiem religijnym. Owszem, szukał czystości, ale chciał ją znaleźć w ludzkich instytucjach.

Gdy wybuchła rewolucja francuska, przynosząc obietnicę wolności, równości i braterstwa, miał osiemnaście lat. Ledwo skończył dwadzieścia jeden, gdy ukazał się traktat Toma Paine'a *Prawa człowieka*, a w nim żądanie „jeden człowiek, jeden głos". Przeczytawszy go, w ciągu tygodnia dołączył do Londyńskiego Towarzystwa Korespondencyjnego, którego rozprawy i debaty stały się forum wymiany myśli między radykałami w całej Anglii. W wieku dwudziestu pięciu lat Zachary dał się poznać jako mówca. I od tamtej pory przemawiał przy każdej okazji.

– A nasz okręg jest jedynie przykładem – wołał donośnie – wielkiej niesprawiedliwości, jaką cierpią wszystkie okręgi wyborcze w całym kraju. Oto wolni ludzie nie mają prawa głosu, a członków parlamentu nie wybiera naród, lecz garstka arystokratów i ich poplecznicy. Najwyższy czas, aby położyć tej niegodziwości kres. Najwyższy czas, aby władza przeszła w ręce ludu.

Po tej zachęcie do rewolucji Zachary odwrócił się i przy gromkich oklaskach publiczności zniknął w domu.

To wydarzenie miało w sobie coś szczególnego. Fitzroy Square, zaprojektowany przez braci Adams, leżał w najelegantszej, południowo-zachodniej części St Pancras. Właściciel domu nie dość, że przysłuchiwał się przemówieniu, to jeszcze przez cały czas kiwał głową z aprobatą. Ale najdziwniejsze chyba było to, że owym właścicielem był nie kto inny jak sam hrabia St James.

Minęło już ponad siedemdziesiąt lat, od kiedy Sam został hrabią. Dorastając, powoli zapominał wczesne dzieciństwo w Seven Dials. Czasem

w jego pamięci pojawiały się jakieś przebłyski wspomnień, jak niewyraźny szept z przeszłości, ale ponieważ jego ojczym Meredith nieustannie mu powtarzał, że odzyskał to, co mu się słusznie należało, w końcu sam w to uwierzył. Właściwie zapomniał nawet o Sepie. Nie zdawał też sobie sprawy, że niekiedy obserwuje go uważny wzrok starego Doggeta. Jako dorosły mężczyzna umiał cieszyć się życiem, a teraz cieszyło go, że wspiera swojego przyjaciela Carpentera.

Bogaty arystokrata i prosty rzemieślnik weszli do pokoju, trzymając się pod rękę. Czekało na nich dwóch mężczyzn. Na ich widok na twarzy hrabiego St James pojawił się wyraz irytacji.

– Bocton, do diabła, co ty tutaj robisz? – rzucił ostro do tego, który wyglądał wytworniej.

Pochodzenie lorda Bocton nigdy nie było kwestionowane, lecz patrząc na tych dwóch, aż trudno było uwierzyć, że to ojciec i syn. Stary hrabia ubierał się jak ekstrawagancka młodzież, nazywana „dandysami regencji”. Zamiast bryczesów i pończoch nosił obcisłe spodnie. Lubił rozcięte fraki, jaskrawe koszule, miękkie muchy i fulary. Chętnie wkładał wysoki kapelusz, chodził z trzcinową laseczką i miał oszałamiającą kolekcje kamizelek. Był takim samym zadziornym hulaką jak reszta dandysów, oglądał wszystkie walki na pięści, wszystkie wyścigi, a do tego podobno zakładał się z byle powodu.

Lord Bocton nie zakładał się o nic. Po ojcu odziedziczył białe pasmo włosów, ale był smukły i wysoki jak krewni jego matki. Wciąż ubierał się w białe pończochy, modne dwadzieścia lat wcześniej buty ze srebrnymi klamrami, czarną, zapinaną na guziki kamizelkę, biały, sztywny kołnierzyk i ciemnozielony surdut. „Wyglądasz w tym jak butelka”, mawiał często jego ojciec nie bez racji.

– A to kto? – spytał hrabia, wskazując głową drugiego mężczyznę.

– Przyjaciel, ojcze – odparł lord Bocton.

– To ty masz przyjaciół? – parsknął St James. – A jak ci się podobało przemówienie? – Doskonale wiedział, jaka będzie odpowiedź. – Bo musisz wiedzieć – zwrócił się do Carpentera – że Bocton jest torysem.

Za czasów Jerzego III istniały trzy stronnictwa polityczne. Torysi – partia ziemian i duchowieństwa – służyli królowi i ojczyźnie. Czerpali dochody głównie z dzierżawy ziemi, więc popierali ustawy zbożowe, bo dzięki wysokim cłom importowym można było sztucznie zawyżać ceny na zboże na krajowym rynku. Nic więc dziwnego, że byli niechętni wszelkim reformom. Uparty król Jerzy – bez względu na to, czy był przy zdrowych zmysłach, czy nie – bardzo im odpowiadał. Wigowie jak zawsze byli zdania, że król powinien chodzić na smyczy parlamentu. Jako partia kupców pod przewodnictwem bogatych arystokratów opowiadali się za wolnym handlem i umiarkowanymi reformami. Uważali za absurdalne, że garstka wyborców z jakiegoś miasteczka może wysłać posła do parlamentu, a rozwijające się duże miasta handlowe nie mają swojej reprezentacji, przez co władza w Anglii – co słusznie wytknął Carpenter – przypomina władzę w okręgu St Pancras. Wigowie sprzyjali też różnym odłamom protestanckim, Żydom, a nawet katolikom, którzy zgodnie ze starą Ustawą sprawdzającą wciąż nie mogli zajmować publicznych stanowisk. I pewnie udałoby im się przeprowadzić niektóre reformy za panowania Jerzego III, gdyby nie jeden problem.

Wielka rewolucja francuska przyniosła wolność w wielu częściach Europy, lecz dla Anglii oznaczała coś wręcz przeciwnego. Niemal od samego początku zaciekłość rewolucjonistów – zwanych jakobinami – oraz morze krwi rozlane na gilotynach w czasie wielkiego terroru wzbudziły niepokój wśród wielu pokojowo nastawionych Anglików. Potem do władzy doszedł Napoleon, który próbował najechać wyspę. A kiedy dzielny admirał

Horatio Nelson zgniótł francuską flotę pod Trafalgarem, cesarz postanowił zniszczyć angielski handel w Europie. Nic więc dziwnego, że większość Anglików, w tym także wigowie, szukając obrony przed takim zagrożeniem, zjednoczyła się wokół wywodzącego się z torysów premiera Pitta, nieugiętego patrioty. Co więcej, dla większości posiadaczy rewolucja stała się synonimem wojny, a obiecywane przez nią prawa człowieka zapowiadały jedynie przerażający rozlew krwi i rozruchy.

„Nie chcemy tu żadnych jakobinów”, ogłosił angielski parlament, przygotowując się na najgorsze w walce z podstępnymi rewolucjonistami. Uchwalono ustawy antykoalicyjne, które wprowadzały zakaz związków zawodowych i nielegalnych zgromadzeń. Człowiek opowiadający się w tamtych latach za jakimikolwiek reformami narażał się na groźne podejrzenia. I nawet gdy w 1815 roku Wellington ostatecznie zakończył karierę Napoleona pod Waterloo, lęk przed rewolucją pozostał.

Było też trzecie polityczne stronnictwo – niewielka grupa radykalnych wigów, nazywanych jakobinami, którzy wciąż domagali się reform, tolerancji i wolności słowa. W mrocznych latach walk z Napoleonem ich przywódcą był Charles James Fox – człowiek rozwiązły, pogrążony w długach, czarujący, ale przede wszystkim, co przyznawali nawet jego oponenci, najlepszy mówca w całej Anglii.

Fox przemawiał w Izbie Gmin, a w Izbie Lordów zawsze mógł liczyć na wsparcie hrabiego St James. Jednak w osobie lorda Bocton miał nieprzejednanego wroga.

– A skoro już pytasz, ojcze – odezwał się młody lord – to uważam takie przemówienie za nieroztropne. – Spojrzał surowo na Zachary’ego Carpentera. – Nie powinniśmy podburzać ludu.

– Obawiacie się rewolucji, panie? – spytał Zachary.

– Oczywiście.

– I obawiacie się też ludu? – dociskał Carpenter.

– Wszyscy powinniśmy bać się ludu – odpowiedział spokojnie Bocton.

Ta rozmowa była nie tylko wyrazem wzajemnej niechęci jej uczestników. Dzieliła ich głęboka, filozoficzna przepaść widoczna w użyciu i rozumieniu określonych słów. Różnica ta wyznaczała podziały nie tylko pomiędzy angielskimi stronnictwami politycznymi, ale też między dwiema częściami angielskojęzycznej kultury: Starym i Nowym Światem.

Amerykanin, mówiąc o rewolucji, miał na myśli akt oderwania się wolnych ludzi, w większości posiadających jakiś majątek, od skorumpowanej arystokracji i despotycznej monarchii. „Lud” oznaczał dla niego odpowiedzialne jednostki. Radykał Carpenter rozumiał te słowa podobnie. Ale lord Bocton, mówiąc o rewolucji, odwoływał się do pamięci historycznej, sięgającej aż do czasów buntu Wata Tylera. Wielu ludzi wciąż doskonale pamiętało ostatnie wielkie zamieszki sprzed czterdziestu lat, tak zwane rozruchy Gordona, które rozpoczęły się jako protest przeciwko katolikom, a skończyły rabunkami i krwawą przemocą w mieście. Bocton nie obawiał się swoich lokajów ani robotników z majątku, których znał od dzieciństwa, ale gdy mówił „lud”, widział przed oczami nieprzestrzegającą prawa tłuszczę. Podobny strach przed rozruchami odczuwało wielu uczciwych sklepikarzy i rzemieślników, choć też opowiadali się za zmianami.

– Ale najbardziej obawiam się, panie Carpenter, że obaj z moim ojcem spowodujecie zamieszki – zauważył chłodno lord Bocton.

Ta obawa miała uzasadnione podstawy. Zakończenie wojny z Napoleonem cztery lata wcześniej doprowadziło do pokoju w Europie, ale spokoju Anglii nie zapewniło. Duża liczba wracających żołnierzy nie miała pracy, przemysł tekstylny wciąż dochodził do siebie po utracie ogromnych zamówień na mundury, a zboże było drogie. Oczywiście winą za to

wszystko obarczano rząd i chętnie wierzono radykałom, którzy przekonywali, że przyczyną wszystkich problemów jest klika trzymających władzę, skorumpowanych arystokratów. Tu i tam dochodziło do zamieszek, a rząd był coraz bardziej zaniepokojony. A kilka tygodni wcześniej w Manchesterze wojsko zaatakowało tłum manifestantów, zabijając kilkanaście osób. Od tamtego incydentu, nazwanego masakrą w Peterloo, na każdym ulicznym mityngu panowała nerwowa atmosfera.

– A już zupełnie nie potrafię pojąć, ojcze, dlaczego pozwalasz na takie rzeczy we własnym domu – utyskiwał lord Bocton.

Hrabia St James bynajmniej nie stracił rezonu.

– Tak naprawdę mój syn chce powiedzieć – zwrócił się wesoło do Carpentera – że gdy on będzie właścicielem tego domu, nie wpuści żadnego radykała za próg. I zupełnie nie może pojąć, dlaczego ja wciąż tu jestem. Jego zdaniem żyję już za długo, prawda, Bocton?

– Ależ ojcze!

– Bo dopiero potem dostanie moje pieniądze.

– Nie chodzi mi o pieniądze.

– Na szczęście. – Hrabia spojrzał na syna z rozbawieniem. – Ach, te pieniądze – rzucił beztrosko. – Trzeba się nimi cieszyć. Najlepiej wydam wszystko. – Tak naprawdę hrabia był dużo bogatszy, niż sądził jego syn, co go nieustannie bawiło. – A wiesz, Bocton – rzucił nagle – postanowiłem zbudować w przyszłym roku nowy dom. W Regent’s Park.

Kiedy nieszczęsny król Jerzy nie był już zdolny do pełnienia obowiązków, władzę sprawował jego następca: książę regent – człowiek próżny i leniwy, ale obdarzony wykwintnym smakiem. Jego architekt Nash zbudował Regent Street, wspaniałą arterię z kolumnadą. A ostatnim przedsięwzięciem regenta był Regent’s Park – wspaniałe wille wznoszone na ogromnych parkowych terenach w kształcie podkowy. Hrabia patrzył,

jak twarz syna, który nie miał o tym najmniejszego pojęcia, krzywi się na samą myśl o kosztach takiego domu.

– Powinieneś, ojcze, pomyśleć też o swoim wnuku – powiedział Bocton z wyrzutem.

Na wspomnienie wnuka spojrzenie hrabiego złagodniało. Młody George to zupełnie co innego.

– Poza tym, ojcze, nie jesteś już trochę za stary na taki wysiłek? – spytał lord Bocton.

– Bynajmniej – zaprotestował dobrodusznie hrabia. – Zamierzam dożyć setki. Ty będziesz miał wtedy siedemdziesiąt lat. – Wyjrzał przez okno. – Wszędzie spokój. Możesz już iść do domu. – Wziął syna pod rękę i wyprowadził go z pokoju.

Gdy znaleźli się w sporej odległości od domu, lord Bocton zwrócił się do swojego ponurego towarzysza:

– No i co pan o tym myśli?

Silversleeves pokręcił głową.

– Interesujący przypadek, milordzie. – Umilkł, jakby się czymś zatroskał. – Nie mogę jednak… – Już miał powiedzieć „zgodnie z sumieniem”, ale zmienił zdanie. – Nie mogę na razie zrobić tego, o co prosicie.

– Ale jakaś nadzieja jest?

– Oczywiście, milordzie. – Zamyślił się jak prawdziwy fachowiec. – Bez wątpienia jego poczucie odpowiedzialności słabnie. Uważa, że dożyje setki, czyli ma urojenia. Wydawanie wszystkich pieniędzy świadczy o nieudolności. A jego radykalne przekonania to jest, jaśnie panie, ziarno, z którego wyrośnie szaleństwo. – Westchnął. – Tak, tak, widywałem to wiele razy, milordzie. Najpierw człowiek przekonuje się do jakiejś idei, ta idea się w nim rozwija, a w końcu przejmuje nad nim kontrolę. Od

entuzjazmu do obsesji, od obsesji do szaleństwa. Trzeba jedynie zachować cierpliwość.

– Więc dasz radę go zamknąć? – spytał Bocton bez ogródek.

– O, z pewnością, milordzie. Prędzej czy później.

– Mam nadzieję, że prędzej – burknął Bocton. – Liczę na ciebie.

Pan Cornelius Silversleeves był zastępcą dyrektora wielkiego szpitala Bethlehem, który niedawno przeniósł się do nowej siedziby w Southwark, czyli szpitala, jak powszechnie mówiono, dla obłąkanych, nazywanego krótko Bedlam.

Penny miał szczęście, że trafił mu się taki ojciec chrzestny. Jeremy Fleming mieszkał w ładnym wąskim domu w bok od Fleet Street, niedaleko od miejsca, gdzie jego dziadek miał piekarnię i sklep z ciastkami. Był wdowcem, jego dzieci założyły własne rodziny i wyprowadziły się, więc jego zapadnięta twarz zmarszczyła się w radosnym uśmiechu na myśl, że będzie miał towarzystwo. Zapewnił Eugene’a, że może u niego mieszkać tak długo, jak będzie chciał. Z optymizmem patrzył też na jego plany poszukiwania pracy w świecie finansów, bo sam przez całe życie był bardzo szanowanym urzędnikiem w Bank of England i miał encyklopedyczną wiedzę o City.

Pierwszego dnia Fleming pokazał Eugene’owi Tower i katedrę. Drugiego dnia zobaczyli Westminster i West End. A trzeciego dnia oświadczył chrześniakowi: „Dziś zaczniemy twoją edukację”. Wyruszyli punktualnie o dziewiątej rano wynajętą dwukółką zaprzężoną w kucyka. Przejechali przez London Bridge i skierowali się do Greenwich.

– Jeśli chcesz zrozumieć City – tłumaczył Fleming, gdy spoglądali ze wzgórza powyżej Greenwich – najpierw musisz przyjechać tutaj.

Przed oczami Eugene’a roztaczał się zupełnie inny widok niż ten, który go przywitał trzy dni wcześniej. Ze wschodu wiał rześki wiatr, niebo było

błękitne. Odległe miasto widać było wyraźnie jak na obrazie, poniżej lśnił łagodnie ogromny łuk rzeki. Jednak Fleming zwrócił jego uwagę na liczne łaty wody wyglądające jak wielkie stawy.

– Tam jest dok Wapping. A tu, na lewo, dok Surrey. Naprzeciwko są Indie Zachodnie, a trochę dalej Wschodnie. – Na jego twarzy pojawił się radosny uśmiech. – Te doki są naprawdę ogromne, prawda, Eugene?

W ciągu ostatnich dwudziestu lat rzeka zmieniła się nie do poznania. Daleko poniżej Tower Tamiza była wprost zatłoczona statkami, więc konieczne okazało się wytyczenie ogromnych przystani i całego sytemu kanałów przecinających nadbrzeżne moczary, powstały nabrzeża i drogi dojazdowe – słynne londyńskie doki. Eugene'owi aż zakręciło się w głowie, gdy Fleming przytaczał mu liczby pokazujące ilość towarów przywożonych z coraz większego handlowego imperium Anglii. Cukier z Karaibów, herbata z Indii, gdzie dzięki kilku błyskotliwym kampaniom Anglia opanowała prawie cały subkontynent, a także ogromna ilość towarów z Europy, Rosji i obu Ameryk. W ciągu stulecia Londyn, który był bardzo dużym portem, stał się jedną z największych handlowych metropolii świata.

– Trzeba jednak pamiętać – mówił dalej Fleming – że jest to możliwe tylko dzięki marynarce wojennej. – Wskazał dwie fregaty stojące na kotwicy w Deptford.

Po dwustu latach walk z Hiszpanami, Holendrami i Francuzami okręty budowane i zaopatrywane w porcie wojennym w Deptford zapewniły sobie przewagę na wszystkich morzach. Korsarze królowej Elżbiety zapoczątkowali rozwój handlowego imperium Anglii, a Nelson i jego następcy zapewnili mu bezpieczeństwo.

– Bez marynarki wojennej, mój synu, nie byłoby tego miasta – oznajmił Fleming.

Eugene zadawał wiele pytań. Na przykład czy amerykańska wojna o niepodległość uderzyła w handel.

Fleming wzruszył ramionami.

– Raczej nie. Bo widzisz, handel jest jak rzeka. Próbujesz ją powstrzymać, a ona i tak znajdzie drogę. Kiedyś handlowano głównie tytoniem, dzisiaj bawełną. Oni ją uprawiają, my przerabiamy. Nieważna niepodległość, nieważne żale czy pretensje, handel to handel.

– Ale nie zawsze tak się dzieje – zauważył Eugene. Podczas długotrwałego konfliktu z Napoleonem, gdy potężny cesarz Francji zakazał przywozu większości angielskich towarów do Europy, handlowali jedynie przemytnicy.

– To prawda – przyznał Fleming. – Dlatego musieliśmy nadrabiać straty gdzie indziej. Bo dziś rynkami wschodzącymi są Azja i Ameryka Południowa. Ale jest jeszcze coś, czego Napoleon nie był w stanie kontrolować.

– Co takiego?

– Pieniądz, mój drogi, pieniądz. – Fleming uśmiechnął się szeroko. – Bo kiedy Napoleon wywracał Europę do góry nogami, każdy, kto miał jakieś pieniądze w zapasie, wysyłał je dla bezpieczeństwa do Londynu, nawet Francuzi! To Bonaparte sprawił, że staliśmy się finansowym centrum całego świata. – Aż zachichotał na myśl, jak dziwne figle może spłatać kapitał.

Następnego popołudnia Fleming oznajmił, że musi zająć się swoimi sprawami, więc będzie to ich ostatnia wspólna wyprawa, przynajmniej na jakiś czas. Poprowadził Eugene’a po Cheapside do Poultry, gdzie zatrzymał się, z trudem opanowując podniecenie. Oto przed nimi, u stóp Cornhill, stała imponująca fasada Giełdy Królewskiej, a na prawo od niej wspaniały klasycystyczny gmach.

– To jest Mansion House – wyjaśnił Fleming. – Oficjalna rezydencja burmistrza. Powstała za życia mojego ojca.

Ton jego głosu zmienił się całkowicie, gdy wskazał inną fasadę, na lewo od Giełdy, oddzieloną od niej jedynie wąską uliczką zwaną Threadneedle Street.

– To jest Bank of England – powiedział niemalże z czcią.

Bank of England, zacząwszy swoją działalność w Mercers' Hall jako spółka akcyjna, przetrzymał wszystkich konkurentów.

– Kompania Mórz Południowych rozpadła się wraz z bańką spekulacyjną z 1720 roku – przypomniał Fleming. Nawet potężna Kompania Wschodnioindyjska była tak źle zarządzana, że bank pomógł rządowi w jej przejęciu. A potem niejeden raz, gdy Anglia musiała przystąpić do wojny, bank wspierał kraj, udzielając kolejnych pożyczek. Fleming z dumą opowiadał, jak Bank of England pomagał rządowi w każdym kryzysie, jak urzędnicy administrują większością rządowych kont, płacą armii i marynarce wojennej za granicą, a nawet prowadzą państwowe loterie. Bo choć ściśle biorąc, Bank był instytucją prywatną, to praktycznie stał się częścią struktury państwa.

– Jego rezerwy są tak wielkie i tak roztropnie zarządzane, że wszystkie kantory i wszyscy kupcy do niego zwracają się po pieniądze – mówił Fleming. – Bank cieszy się całkowitą wiarygodnością. To jedyny bank w Londynie, który ma prawo wypuszczania banknotów używanych w całym kraju. Pieniądz musi być solidny. A banknot z Bank of England jest solidny jak… solidny jak… – Po raz pierwszy zabrakło mu słowa. – Ta solidność wynika z rozwagi i ostrożności! – zawołał Fleming niemal z ekstazą. – Bank jest rozważny. – Uśmiechnął się. – Rozwaga to najważniejsza rzecz w życiu.

Eugene miał mu już podziękować za cenną wiedzę, ale Fleming mówił dalej.

– Mam dla ciebie dobrą wiadomość. Dzięki staremu przyjacielowi znalazłem ci pracę. – Umilkł, najwyraźniej rozkoszując się tą chwilą. – Będziesz pracował w Bank of England.

– W banku?

– Tak. – Fleming się rozpromienił. – W samym Bank of England. – Aż roześmiał się na myśl, co udało mu się zrobić dla chrześniaka. – Będziesz zabezpieczony na całe życie.

Eugene zastanawiał się nerwowo, co powiedzieć. Może nie był wybitnie bystrym młodzieńcem, ale miał ambicje i jak jego hugenoccy przodkowie nie poddawał się łatwo. Szybko wyczuł, że ma zupełnie inne wyobrażenie dobrej pracy niż jego ojciec chrzestny.

– Gdybym został w Bank of England, to ile mógłbym zarobić? – spytał ostrożnie.

– Całkiem nieźle. Na starość mógłbyś… – Fleming rozłożył ręce, dając tym do zrozumienia, że jego obecne położenie jest nie do pogardzenia.

– Ale kłopot polega na tym – zaczął Eugene łagodnie – że miałem inny pomysł. Przyjechałem tu, żeby zbić fortunę.

– Zbić fortunę? Jesteś pewien?

– Tak.

– No cóż. – Jeremy Fleming umilkł na dłuższy czas.

W drodze powrotnej do domu Eugene miał obawy, że Fleming poczuł się dotknięty, ale przy kolacji – na którą podano marynowane śledzie – stary urzędnik bankowy spokojnie zapytał:

– O czym myślałeś, o maklerstwie czy może o jakimś prywatnym banku?

Dalszy ciąg rozmowy jeszcze bardziej zaskoczył Eugene’a. Fleming był wręcz zadowolony z inicjatywy chrześniaka, a gdy zaczął rozważać wady i zalety rozmaitych firm, w jego oczach pojawił się nowy błysk.

– Wśród maklerów giełdowych najbardziej godni zaufania są kwakrzy, ale nie sądzę, żebyś chciał zostać kwakrem. Jeśli zaś chodzi o banki prywatne, to oczywiście jest Baring, ale tam bez dobrych znajomości nie ma czego szukać. Bank Rothschilda to interes rodzinny. Tobie moim zdaniem potrzebny jest mały dom maklerski działający na nowych rynkach. – Zamyślił się, stukając palcami o stół. – Daj mi ze dwa dni, rozpytam się. A tymczasem, młodzieńcze – oświadczył z zupełnie nową energią – bez obrazy, ale musisz się wiele nauczyć.

Przez kolejne trzy dni Fleming udzielał Eugene’owi nauk. Wyjaśniał, jak działają rynki, jakie normy i zasady obowiązują w City. Doprawiając swoją opowieść barwnymi plotkami i anegdotami z ostatnich czterdziestu lat, tłumaczył, które cechy w świecie finansów należy pielęgnować, a potem z niejaką przyjemnością opisywał szczegółowo najpodlejsze sztuczki maklerów. Pod koniec trzeciego dnia Eugene odważył się powiedzieć:

– Dziwi mnie, ojcze chrzestny, że sam nigdy się tym nie zająłeś.

Fleming uśmiechnął się blado.

– Kiedyś o tym marzyłem.

– I co się stało?

Westchnął.

– Zabrakło mi odwagi, synu – wyznał z żalem. Ale po chwili się rozpromienił. – Aha, jutro masz ważne spotkanie.

Meredith’s Bank mieścił się w wysokim domu z cegły stojącym na wąskim dziedzińcu, do którego dochodziło się małą uliczką przecinającą Cornhill. Cały budynek był georgiański, ale wnętrze rozplanowano jak w średniowieczu – pod tym względem bank nie różnił się od wielu

ówczesnych małych firm w City. Na parterze znajdował się kantor – było to duże pomieszczenie z ladą, kilkoma pulpitami i wysokimi stołkami dla urzędników. Na wyższych kondygnacjach mieszkał pan Meredith z rodziną, a także młodsi kasjerzy tak jak kiedyś terminatorzy. Eugene siedział w wygodnym salonie na pierwszym piętrze. Naprzeciwko siebie miał przystojnego dżentelmena w wieku trzydziestu paru lat, który przedstawił się jako pan Meredith, oraz dużo starszego mężczyznę w fotelu, który obserwował spotkanie z takim zaciekawieniem, jakby przyglądał się zawodom sportowym.

Meredith najpierw postarał się rozluźnić atmosferę. Opowiedział o swoich poprzednich interesach, a potem zapytał Eugene'a o rodzinę. Usłyszawszy, że Penny wywodzi się z hugenotów, okazał wyraźne zadowolenie.

– W finansach działa całkiem dużo hugenotów – zauważył. – Świetnie sobie radzą. Mam nadzieję, że nie boisz się ciężkiej pracy? – Eugene gorliwie pokręcił głową. – I chciałbyś awansować?

Penny nie chciał wyjść na człowieka agresywnie prącego do przodu, ale przyznał, że owszem, chciałby awansować, jeśli wykaże się odpowiednimi umiejętnościami.

– Całkiem słusznie – powiedział Meredith uprzejmie. – Tylko od ciebie zależy, jak daleko zajdziesz. Każdy z nas – uśmiechnął się do starszego mężczyzny w fotelu – może zarówno wznieść się na szczyt, jak i spaść na dno.

Potem zadał kilka pytań, żeby sprawdzić wiedzę Eugene'a o finansach. Dzięki korepetycjom u ojca chrzestnego Penny odpowiadał biegle. Zakończyli już rozmowę, gdy nagle odezwał się starszy mężczyzna.

– Co on myśli o wolnym handlu?

Pytanie padło tak nagle, że Eugene trochę się spłoszył. Ale Meredith tylko się uśmiechnął.

– Hrabia St James chciałby znać twoją opinię na temat wolnego handlu.

Dzięki Bogu za Fleminga, pomyślał Eugene. Bo od Fleminga wiedział, kim jest starszy mężczyzna i jak należy odpowiedzieć na jego pytanie.

– Zgadzam się z wigami, milordzie, że w zasadzie wolny handel pozwala wszystkim mnożyć bogactwo. Ale dopóki nasi konkurenci nie odpowiedzą tym samym, angielskim kupcom potrzebna będzie ochrona. – Był to oczywiście pogląd wyznawany przez kupców należących do wigów. Opowiadali się za wolnym handlem pod warunkiem, że mogli na tym skorzystać.

– Chyba już wystarczy, St James. – Meredith się roześmiał.

Lecz hrabia najwyraźniej chciał się jeszcze trochę pobawić. Utkwił w Pennym badawcze spojrzenie, jakby oceniał konia, na którego miał zamiar postawić, i nagle wypalił:

– A co on sądzi o parytecie złota?

Eugene znów pomyślał z wdzięcznością o ojcu chrzestnym. Żaden inny temat nie podnosił tak temperatury dyskusji w parlamencie i kręgach finansowych Londynu jak kwestia złota.

Emitowane banknoty zazwyczaj przedstawiały sobą wartość złotego kruszcu, na który zawsze można je było wymienić. Ograniczało to ilość banknotów w obiegu i zapewniało stabilność waluty. Ale na początku wojny z rewolucyjną Francją rząd angielski musiał pożyczyć od Bank of England tyle pieniędzy – a zatem wystawić tyle kwitów dłużnych – że ilość pieniądza krążącego na londyńskim rynku znacznie wzrosła. A już pod koniec wojen napoleońskich prawie dziewięćdziesiąt procent dochodów państwa szło na spłatę odsetek. W tych okolicznościach po prostu zabrakłoby kruszcu na pokrycie wszystkich banknotów, dlatego Bank of

England otrzymał pozwolenie na drukowanie pieniędzy niemających pokrycia w złocie.

Oczywiście nadal był to solidny pieniądz. Stała za nim wiarygodność Bank of England, a także fakt, że rząd zawsze mógł zebrać fundusze, podnosząc podatki. Lecz dla wielu torysów wszystko to wyglądało na zwykły wybieg.

„Pieniądz bez pokrycia w złocie nie jest prawdziwym pieniądzem", mówili. „A poza tym – dodawali co bardziej przenikliwi – jeśli za walutą nie stoi złoto, to jak mamy wierzyć, że rząd nie będzie drukował pieniędzy, kiedy tylko przyjdzie mu ochota?". Te słowa były obraźliwe dla kanclerza skarbu i dla dyrektorów Bank of England, ale torysi tym akurat się nie przejmowali. A latem 1819 roku dopięli swego. Parlament ogłosił, że w ciągu najbliższych kilku lat przywróci parytet złota. Jednak wiązał się z tym jeden problem.

– Złoto jest pewne, milordzie – powiedział ostrożnie Eugene. – Ale nagły powrót do parytetu może być groźny. Bank of England będzie musiał ograniczyć ilość pieniędzy na rynku, żeby dopasować ją do ograniczonej ilości kruszcu. A mniej pieniędzy oznacza spadek cen. Ucierpi na tym cały biznes. Co gorsza, gdy z rynku odpłynie tyle pieniędzy, nasi kupcy, którzy już mają kłopoty, nie znajdą kredytu, żeby przetrwać. Cały system może się zawalić.

Tak właśnie myślano w City. Rothschild i inni wielcy bankierzy wielokrotnie mówili o tym w parlamencie. Załamanie, którego się obawiali, stało się doskonale znane w późniejszych czasach jako recesja wywołana ograniczeniem podaży pieniądza.

Hrabia St James odpowiedział tylko jednym słowem:

– Znakomicie!

Eugene Penny znalazł zatrudnienie.

Rok 1822

Lucy miała cztery lata, gdy któregoś grudniowego świtu urodził się jej braciszek. Na początku obawiano się, że noworodek umrze.

– Damy mu na imię Horatio – powiedział ojciec. – Po Nelsonie.

Być może wszyscy myśleli, że imię wielkiego bohatera da chłopcu siłę. Udało się. Lucy na zawsze zapamiętała ten dzień, gdy matka, uznawszy, że dziecko przeżyje, powiedziała:

– To także twoje dziecko. Masz się nim zawsze opiekować.

Doggetowie dobrze znali gorzki smak niedostatku i śmierci bliskich. Ojciec dzieci, William, miał zaledwie trzy lata, gdy jego ojciec, strażak Sep Dogget, zginął w pożarze. Zwalił się na niego płonący dom. Matka Willa była drugą żoną Sepa, a jako wdowa ciężko pracowała, aby samodzielnie wychować syna. Starszy brat przyrodni Willa trochę im pomagał, ale niewiele mógł zrobić, bo sam miał na utrzymaniu dzieci, między innymi Silasa. Jako młody mężczyzna Will przeniósł się do St Pancras, zamieszkał w trzyizbowym mieszkaniu z żoną, Lucy i chorowitym Horatiem – z pięciorga dzieci przeżyło tylko tych dwoje. Śmiertelność niemowląt była przekleństwem miasta. Zaledwie połowa dzieci dożywała sześciu lat.

Penny powtarzał sobie, że nie ma się czym martwić. To był tylko strzał w ciemno. A Meredith na pewno wie, co robi. Eugene zapytał o zdanie ojca chrzestnego, lecz Fleming poradził mu, żeby nie zaprzątał tym sobie głowy.

Eugene był zachwycony pracą u Mereditha. Przez pierwsze dwa lata mieszkał u swojego pryncypała, a w soboty i niedziele odwiedzał Fleminga albo rodziców w Rochester. Czterej niesforni synowie Mereditha traktowali go jak brata. Potajemnie podkochiwał się w ślicznej pani Meredith –

o czym wiedziała nie tylko ona, ale także jej mąż – i wydawało mu się, że jeśli kiedyś będzie mógł żyć tak jak oni, to nazwie się szczęśliwym człowiekiem.

Bank Mereditha prowadził konta kilku posiadaczy ziemskich, ale jego główną aktywnością, podobnie jak innych prywatnych banków, było udzielanie kredytów kupcom eksportującym i importującym towary. Nie pożyczano pieniędzy fabrykantom. „Musiałbym znać się na tym, co oni robią”, tłumaczył Meredith. W czasach rewolucji przemysłowej fabrykanci i właściciele manufaktur pozyskiwali kapitał głównie od przyjaciół albo wspierających ich arystokratów. Chlebem powszednim banków takich jak Mereditha były krótkoterminowe kredyty handlowe na konkretny transport towarów, listy kredytowe i dyskonto weksli.

Interesy nie zawsze szły dobrze. Obawy City co do parytetu złota okazały się częściowo uzasadnione. W obiegu krążyło mniej pieniędzy, o kredyt było trudno, ceny akcji spadły, co wprowadzało nerwową atmosferę. „Potrzebujemy nowych klientów. Rozejrzyjcie się za jakimiś kupcami o wąskiej specjalizacji. Im jest łatwiej przetrwać”, ponaglał Meredith pracowników. Eugene znalazł kilku, między innymi kupca, który sprowadzał z Indii barwniki, szylkret i macicę perłową. Widział jednak, że perspektywą szybkiego rozwoju, o jakim marzył dla banku Mereditha, są wielkie pożyczki zagraniczne.

Były to ogromne kredyty udzielane rządom, między innymi Francji i Prus, a ostatnio także państw południowoamerykańskich. Żaden pojedynczy bank nie udźwignąłby takiego ciężaru, więc ten lukratywny interes przejęły bankowe konsorcja.

„Ale najlepiej zarabiają na tym banki, które są przedstawicielami konsorcjów, bo one pobierają także prowizje”, tłumaczył Meredith. Czołowe miejsca w tej hierarchii zajmowały dwa banki, Baringa

i Rothschilda, bo dzięki międzynarodowym koneksjom mogły zapewnić sobie udział wielu europejskich partnerów. „Ale Baring powoli traci pozycję”, stwierdził Meredith. Już w 1820 roku było powszechnie wiadome, że młodsze pokolenie Baringów – posiadacze ogromnych majątków na wsi – nie przykłada się specjalnie do prowadzenia interesów.

Eugene zdawał sobie sprawę, że zdaniem wielu ludzi wysyłanie pieniędzy z kraju jest niepatriotyczne. Ale Meredith tłumaczył to tak: „Pieniądz nie zna granic, mój drogi. Poza tym w dawnych czasach Lombardczycy i inni cudzoziemcy pożyczali pieniądze Anglii. Teraz nasza kolej, aby być bankierami. I oby to trwało jak najdłużej!”, dodawał.

Bank był wesołym miejscem. Młodzi kasjerzy, wszyscy poniżej trzydziestki, niemal w każdy wieczór szli napić się do gospody. City było też doskonałym miejscem na różne psikusy. Jednym z ulubionych była wizyta na Giełdzie i zaoferowanie akcji, które już na pierwszy rzut oka wyglądały na fałszywe. Każdy nieroztropny nabywca stawał się obiektem drwin ze strony wszystkich gapiów. Akcje Chinese Turnpikes cieszyły się takim wzięciem wśród nowicjuszy, że figiel powtarzano wiele razy. Dużo poważniejszy przypadek miał miejsce na początku roku. Jakiś przedsiębiorczy łajdak zaoferował obligacje wymyślonego przez siebie kraju w Ameryce Południowej, który nazwał Proezją. Wziął za obligacje znaczną sumę pieniędzy i zniknął. Po tej transakcji dwóch nieszczęsnych inwestorów popadło w ruinę, ale urzędnicy Mereditha byli bezwzględni: zarykiwali się ze śmiechu.

Prowadząc beztroskie życie, Eugene bynajmniej nie tracił z oczu swojego celu. Ile jesteś wart? To pytanie słyszało się w City na każdym kroku. No bo jak inaczej w świecie finansów można ocenić człowieka? Na razie wart był niewiele, nie licząc niewielkiego spadku, który pewnego dnia odziedziczy po rodzicach. Owszem, dopiero zaczynał karierę w City, ale

zdążył już usłyszeć wiele opowieści o ambitnych młodych ludziach, którzy w niecałe dziesięć lat ciężką pracą zasłużyli sobie na stanowisko wspólnika i zdobyli bogactwo. „Bądź czujny i rozglądaj się uważnie we wszystkie strony – mówili mu inni kasjerzy. – W finansach tylko to się liczy”.

Mógłby zarobić trochę na boku, próbując obrotu akcjami, ale nie miał dużych funduszy, więc nie bardzo wiedział, jak zacząć. Oświecił go zaprzyjaźniony młody makler:

– Kontrakty terminowe, Penny. Pokażę ci, jak to działa.

Rynek kontraktów terminowych był bardzo ożywiony. Inwestor umawiał się, że kupi akcje czy obligacje w przyszłym terminie, czyli tak naprawdę zakładał się, jaka cena będzie wówczas obowiązywać. Ale jeśli udało mu się znaleźć kolejnego nabywcę, mógł mu sprzedać opcję kupna za wyższą cenę. W ten sposób miał w kieszeni zysk, nie wyłożywszy wcześniej żadnych pieniędzy. Handel opcjami, które znacznie późniejsza epoka nazwała derywatami lub instrumentami pochodnymi, rozpoczął się jeszcze w 1720 roku, w czasach bańki spekulacyjnej. Od tamtej pory takie operacje były oficjalnie zakazane, ale i tak prowadzono je każdego dnia.

Eugene szybko zauważył, że dzięki takim transakcjom może poznać wszelkie zawiłości związane z podejmowaniem ryzyka. Miał notes, w którym zapisywał szczegóły swoich kontraktów, i po roku nie tylko mógł się cieszyć skromnymi zyskami, ale nawet opracował strategie równoważenia ryzyka. „Widzę, że zaczynasz rozumieć – stwierdził znajomy makler. – Jak stawiasz na wyścigach, to też asekurujesz się na dwie strony!”. Ale to właśnie nowa wiedza stała się dla Eugene’a źródłem niepokoju.

Niejako przy okazji, bo nie miał nawet takiego zamiaru, zaczął tworzyć sobie całościowy obraz działalności banku Mereditha. Sporządził listę najważniejszych klientów i partnerów i zaczął oceniać prowadzone przez

nich interesy. I powoli dochodził do dość ponurych wniosków. „Nie jestem pewien – zwierzał się Flemingowi – ale jeśli część z tych firm padnie, to Meredith także pójdzie na dno”.

„Nie zapominaj – pocieszył go Fleming – że on ma za sobą hrabiego St James”. Wszyscy w banku wiedzieli, że to dziadek Mereditha wychował St Jamesa, a ten spłacił dług wdzięczności, wykładając pieniądze na założenie banku. Stary hrabia zaglądał czasem do kantoru; najwyraźniej bawiło go to wszystko. „Dlatego ośmielę się powiedzieć, że w razie czego was wesprze”, zakończył Fleming.

Poza Bank of England i Giełdą Królewską w City istniało jeszcze jedno miejsce, w którym prowadzono interesy na dużą skalę. Była to londyńska Giełda Papierów Wartościowych, która od niedawna miała swoją siedzibę w budynku położonym niedaleko Banku, w wąskiej enklawie zwanej Capel Court. Handlowano tu głównie niezliczonymi emisjami długów państwowych. Klienci Giełdy postanowili chyba na zawsze pozostać niesfornymi uczniakami. Mieli nawet wielki stragan z bułeczkami z kremem, pączkami i cukierkami. Ale najciekawszy przybytek mieścił się pod numerem 2 Capel Court – słynny bokser Mendoza prowadził tutaj arenę, na której młodzi brokerzy i inni obiecujący młodzieńcy mogli spróbować swoich sił albo pojedynkując się ze sobą, albo stając naprzeciwko zawodowego zabijaki.

Któregoś dnia Eugene, przechodząc z Meredithem obok areny, zobaczył dziwny widok. Młody mężczyzna, raczej niski, ale bardzo umięśniony, stał w pozycji zawodowego boksera. Był nagi do pasa, miał białe pasmo włosów nad czołem i z jakichś powodów zawiązał sobie na szyi czerwoną chustkę. Właśnie powalił na deski jakiegoś maklera i wesoło zapytał, czy ktoś miałby ochotę się bić. Meredith pomachał do niego.

– Witaj, George! Co cię tu przywiało?

– Witaj, Meredith! – Młodzieniec uśmiechnął się. – Walczymy?

– Może innym razem. George, to jest Eugene Penny. Penny, to jest George de Quette. – Eugene zrozumiał, że ma przed sobą wnuka hrabiego St James.

O George'u de Quette słyszeli chyba wszyscy. Odziedziczywszy charakter po lubiącym ryzyko dziadku, a nie zgorzkniałym lordzie Bocton, uchodził za najbardziej szalonego i najweselszego dandysa w Anglii. Jeździł konno jak dżokej, bił się jak zawodowy bokser i nie zwracał uwagi na takie rzeczy jak pozycja społeczna. A jego podboje wśród kobiet stały się legendarne. Nie było go w kraju przez dwa lata, bo ojciec wysłał go w podróż po Europie, najwyraźniej z nadzieją, że syn się ustatkuje. Jednak George był taki jak dawniej.

Spotkawszy Penny'ego tydzień później na ulicy, od razu go sobie przypomniał i zaprosił do kawiarni. Rozmawiali o ostatnich zawodach sportowych, ale Eugene szybko przekonał się, że młody arystokrata ma dużo szersze zainteresowania, niż mogłoby się wydawać na pierwszy rzut oka. Dużo wiedział o Francji i Włoszech i był bardzo oczytany. A nawet lubił poezję.

– Dziś każdy czyta lorda Byrona, to jest w modzie – oznajmił. – Ja lubię także Keatsa. Ludzie śmieją się z niego, bo nie jest dżentelmenem, ale czytałeś może jego *Odę do słowika*? Piękna!

Interesował się też działalnością banku, wypytywał Eugene'a, jak mu się żyje. Eugene opowiedział mu nawet o swoich transakcjach kontraktami terminowymi.

– Wydaje mi się, że bankowość ma w sobie coś z wyścigów – zauważył George. – Musisz znać formę zawodnika. Musisz zabezpieczyć się przed ryzykiem. Nauczyłem się wszystkiego od dziadka. Przebiegły drań z niego. – Uśmiechnął się. – Musisz być bezwzględny. Ciągle mi to powtarzał. Jeśli

coś ci nie wychodzi, wycofaj się, ogranicz straty i ruszaj dalej. Na tym przecież polega sztuka handlu, prawda?

Bez wątpienia miał rację. Ale gdyby bank Mereditha popadł w kłopoty, to czy jego lordowska mość będzie chciał ograniczyć swoje straty? Czy hrabia St James okaże się człowiekiem bezwzględnym?, zastanawiał się Eugene.

– Wydaje mi się, że zdrowie ojca nie budzi obaw – oznajmił lord Bocton pod koniec roku.

– Hrabiemu wraca rozsądek? – spytał Silversleeves.

– Nie, jest coraz bardziej szalony. I może trafić do więzienia.

– Chciałby pan tego, milordzie?

– Oczywiście, że nie. Ale gdybyś uznał go za obłąkanego, moglibyśmy go ocalić przed więzieniem.

– Przecież więzienie też by się przysłużyło twojemu celowi, panie.

– Szpital dla obłąkanych będzie lepszy – odparł lord Bocton.

– Ale co on takiego zrobił? – dopytywał Silversleeves.

Lord Bocton był nieco zawiedziony, że w ciągu ostatnich dwóch lat ojciec nie dał mu specjalnych powodów do narzekań. Budowa willi w Regent’s Park ślimaczyła się, więc St James, który nie lubił bezczynności, wycofał się z inwestycji i zamiast tego kupił okazały, ale nie tak kosztowny dom stojący po wschodniej stronie parku. Niebezpieczne poglądy hrabiego też przestały budzić obawy, bo sytuacja polityczna uspokoiła się, a gdy do rządu dołączyli dwaj dalekowzroczni torysi, Canning i Peel, pojawiły się głosy o konieczności wprowadzenia umiarkowanych reform. Krótko mówiąc, w obecnych okolicznościach oznaki szaleństwa hrabiego nie były już tak widoczne.

Pomoc przyszła z okręgu St Pancras. W 1822 roku zamknięta i złożona z arystokratów rada okręgu podjęła decyzję o budowie nowego kościoła,

który stanął w eleganckiej dzielnicy. Rada była zachwycona nową świątynią, i nic dziwnego, w końcu zbudowała ją dla siebie. „Żadna biedota nie będzie tam niepokoić Boga swoimi modlitwami”, zauważył Carpenter. Koszty budowy urosły do dziesiątków tysięcy funtów, więc rada musiała podnieść podatki. „Zwykli ludzie zapłacą trzy razy więcej niż dotychczas”, oburzał się Carpenter. A wtedy hrabia St James oświadczył, że budowla jest okropna, więc podatku nie zapłaci.

Początkowo rada była zakłopotana; skandal nie był po ich myśli. Ale paru członków – którzy akurat byli znajomymi lorda Boctona – przekonało współbraci, że nie wolno puścić tego płazem. „Jeśli on się do tego posunie, to setki innych pójdą jego śladem”, ostrzegali. Wystosowano do hrabiego trzy ponaglenia, a teraz zastanawiano się nad nakazem aresztowania.

– Najpierw pozwolimy, żeby go aresztowali – powiedział Bocton z satysfakcją. – A potem go uratujemy.

Był chłodny grudniowy poranek. Eugene podniósł znad pulpitu wzrok i ze zdziwieniem zobaczył przed sobą zmartwioną twarz George’a de Quette. Młody człowiek chciał się widzieć z Meredithem. Po kilku chwilach do salonu Mereditha wezwano też Penny’ego.

– Aresztowano hrabiego St James – wyjaśnił krótko Meredith. – Odmówił zapłacenia parafialnego podatku od nieruchomości.

– Sam bym zapłacił, ale moja pensja jest za mała – powiedział George.

– Czy lord Bocton nie mógłby mu pomóc? – odważył się spytać Eugene.

Jego dwaj rozmówcy spojrzeli na siebie.

– Ja zapłacę – rzucił szybko Meredith. – Bóg świadkiem, że dużo mu zawdzięczam.

– Ale trzeba to zrobić ostrożnie – uprzedził George. – Gdyby się dowiedział, że mieszamy się w jego sprawy…

– Potrzebujemy kogoś, kto nie jest tam znany. Kogoś zaufanego – stwierdził Meredith.

Zadanie okazało się proste. Urzędnik w kancelarii rady z wyraźną ulgą przyjął propozycję Eugene’a.

– Więc mówi pan, że pieniądze pochodzą od…?

– Od życzliwych parafian.

– Nie usłyszałem pańskiego nazwiska.

– Występuję w imieniu osób anonimowych. I jak pan widzi, suma ta w całości pokrywa zobowiązania hrabiego St James.

– Oczywiście. W całości.

– A więc jego aresztowanie…

– Nie jest już konieczne. Absolutnie.

– Ale jeśli on nadal będzie odmawiał zapłaty? – wtrącił się niższy rangą urzędnik.

– Może sobie odmawiać do końca świata – rzucił szorstko jego zwierzchnik. – Bo skoro zapłacił, czy też ktoś zapłacił za niego, nie możemy mu postawić zarzutów. Więzienie nie wchodzi w grę – dorzucił z zadowoleniem. – Nawet jeśli będzie się upierał. – Ponownie zwrócił się do Eugene’a: – Jestem bardzo wdzięczny panu i tym, których pan reprezentuje. Oszczędziliście nam dużego wstydu. Wszystkie zarzuty zostały wycofane. W ciągu godziny hrabia wyjdzie na wolność. Osobiście tego dopilnuję.

Eugene szedł wolnym krokiem w kierunku Holborn. Był z siebie bardzo zadowolony. Nie przeszedł jednak nawet pięciuset metrów, gdy zatrzymał go głośny okrzyk „Hej, panie!”. Wołaniu zawtórował szybki tupot stóp. Penny odwrócił się. Biegła ku niemu butelkowata postać lorda Bocton i żałosny mężczyzna z długim nosem.

Lord Bocton i Silversleeves zjawili się w kancelarii rady, żeby upewnić się, że ich ofiara wpadła w pułapkę. Zorientowawszy się w sytuacji, rzucili się w pogoń za Eugene’em.

– Byłeś w kancelarii? – spytał Bocton.

– Może byłem, a może nie. Wolno wiedzieć, co was to obchodzi? – odpowiedział uprzejmie Eugene.

– Nieważne! Chcesz przeszkodzić w wymierzeniu sprawiedliwości?

– W żadnym razie.

– Chcesz trafić do aresztu?

– Raczej nie.

– Jak się nazywasz?

Eugene zrobił rozkosznie zdziwioną minę.

– Jak się nazywam? – Zmarszczył brwi. – To dziwne, panie, ale całkiem zapomniałem. – I gdy jego rozmówcy spojrzeli na niego z osłupieniem, skręcił nagle na rogu i zniknął w wąskim zaułku.

Lord Bocton i Silversleeves patrzyli na siebie przez dłuższą chwilę. W końcu odezwał się ten drugi:

– Nie pamięta, jak się nazywa, milordzie. To już jest objaw szaleństwa.

– Do diabła z twoim szaleństwem! – wrzasnął Bocton i odszedł rozeźlony do żywego.

1824

Tego dnia wybrali się dalej niż zwykle, bo miły sąsiad podwiózł ich kawałek wózkiem.

Wszyscy mieszkańcy biednej uliczki znali Lucy i Horatia. Każdego popołudnia blada pięciolatka zabierała swojego brata – o ile zdrowie mu na to pozwalało – na przechadzkę, bo powiedziano jej, że od tego chłopiec

nabierze sił. Maleńki Horatio, z pasmem białych włosów, szedł dzielnie obok niej, trzymając ją mocno za rękę.

Sąsiad, który miał do załatwienia sprawy gdzieś przy Strandzie, wysadził ich przy Charing Cross, obiecując, że przyjedzie po nich za pół godziny. Było to dobre miejsce na dziecięce zabawy. Teren – na którym w przyszłości miał powstać Trafalgar Square – opadał lekko w dół. Na południowym krańcu znajdowały się wspaniałe ulice Whitehall i Pall Mall. Po prawej mieli piękną klasycystyczną fasadę St Martin-in-the-Fields, a tuż przed nimi ciągnęły się zabudowania Royal Mews, gdzie trzymano królewskie konie i karety.

Było upalne letnie popołudnie, w powietrzu pełnym kurzu unosił się zapach końskiego łajna. Przejazd każdego wózka płoszył z ziemi wielkie brązowe roje much. Na środku otwartego placu stało kilka straganów. Co chwila z frontonu St Martin zlatywał gołąb, aby pochwycić jakieś resztki spadające na ziemię. Uliczni handlarze zachwalali swoje towary głośnymi okrzykami. Nagle uwagę dzieci, które przyglądały się wszystkiemu z zainteresowaniem, przykuła młoda kobieta z koszykiem.

– Lawenda, kupujcie lawendę! – wołała miłym głosem, który dziwnie zapadał w pamięć.

Kobieta podeszła do dzieci i podała im gałązkę, ale Lucy powiedziała, że nie mają pieniędzy. Tamta roześmiała się i odrzekła, że i tak mogą ją sobie wziąć. Lawenda miała cudowny zapach. Lucy spytała, gdzie się ją zrywa.

– Na Lawendowym Wzgórzu – odparła kobieta. – To między Battersea Village a Clapham Common. – I wyjaśniła, że w ogrodach rozciągających się na tamtejszych zboczach, jakieś pięć kilometrów dalej, rośnie mnóstwo lawendy. Lucy pomyślała, że to musi być zachwycające miejsce.

– To twój brat? – spytała kobieta. – Chory, nie?

– Nabiera sił.

– A czy on zna piosenkę o lawendzie?

Lucy pokręciła głową, więc kobieta zaśpiewała:

Niebieska lawenda
Lawendowy kolor
Ty będziesz królem
Ja będę królową.

– Powinnaś mu to śpiewać – powiedziała wesoło do Lucy i ruszyła w swoją stronę.

Lucy i Horatio mieli już wracać do Charing Cross, gdy nagle zauważyli sąsiadkę nadbiegającą od strony Royal Mews. Pot ściekał jej po twarzy, czerwona bawełniana suknia przykleiła się do ciała. Spłoszyła po drodze stado gołębi, chcąc jak najszybciej dobiec do dzieci.

– Musicie wracać do domu! – powiedziała, biorąc Lucy za rękę.

Will Dogget leżał na łóżku. Oddychał jeszcze, ale Lucy, ściskając brata za rączkę, wiedziała, że nadchodzi śmierć.

Tego popołudnia Will przechodził obok rusztowania oplatającego rząd eleganckich domów przy Regent’s Park. Odruchowo spojrzał w górę i zobaczył lecący z góry kozioł cegieł.

Pojękiwał cicho. Miał dziwny urywany oddech. Najwyraźniej nie wiedział, że do izby wszedł pastor, nie dostrzegał Lucy ani małego Horatia. O szóstej po południu skonał.

Matka Lucy miała ziemistą twarz. Strata męża była tragedią. Śmiertelność wśród kobiet, z których wiele umierało przy porodach, była wysoka, ale mężczyzna mógł się ożenić powtórnie. Wiedział, że nowa żona zajmie się dziećmi. Wdowie było dużo ciężej przeżyć.

Willa Doggeta pochowano nazajutrz w zbiorowej mogile. Na pogrzebie było tylko troje żałobników. Lucy słyszała kiedyś od ojca, że gdzieś żyją

jacyś inni Doggetowie, ciotki albo wujowie, ale musieli mieszkać daleko, a matka nic o nich nie wiedziała. Przyszedł tylko jeden człowiek, dziwny przysadzisty mężczyzna w czarnej, bezkształtnej czapce. W milczeniu przyglądał się uroczystości, a potem podszedł i powiedział szorstko kilka słów. Pachniał rzeką i w oczach Lucy wyglądał złowieszczo.

– Kto to? – spytała matkę.

– Ten? – Matka skrzywiła się. – To Silas. Nie mam pojęcia, jak się dowiedział o pogrzebie. Nie zapraszałam go.

– Powiedział, że jeszcze do nas przyjdzie.

– Mam nadzieję, że nie.

– A co on robi? – zaciekawiła się dziewczynka.

– Nawet o to nie pytaj – odparła matka.

Było październikowe popołudnie. Penny wyszedł z banku. A więc ile jest wart? To pytanie nabrało nagle wielkiego znaczenia. Głównie za sprawą ślicznych ciemnych oczu i łagodnego głosu ze szkockim akcentem, których właścicielką była panna Mary Forsyth, ale przede wszystkim dlatego, że Eugene miał się po raz pierwszy spotkać z jej ojcem.

W ciągu ostatnich osiemnastu miesięcy całkiem nieźle sobie radził. Odłożył trochę pieniędzy i zaczął korzystnie inwestować. Od dwóch lat w City panował coraz lepszy nastrój, a zaufanie do rynków wzmacniały głównie ogromne pożyczki zagraniczne. Bank Mereditha dużo zarobił na kredytach dla Buenos Aires i Brazylii, a niedawno dołączył do dużego konsorcjum utworzonego do obsługi Meksyku. Rozsądnie wycofał się z pożyczek dla Kolumbii i Peru. Przez City przepływały całe okręty pieniędzy przynoszących wielki zysk, a na wzbudzanych przez nie falach niczym flotylla mniejszych statków unosiły się mniejsze emisje obligacji i akcje spółek giełdowych sprzedawane masowo przez brokerów. Rynek zebrał siły i parł energicznie naprzód. Ceny akcji rosły coraz bardziej, więc

inwestorzy korzystali z okazji. A Eugene, dzięki rozważnej grze na giełdzie, zarobił już ponad tysiąc funtów. Jednak wchodząc do gmachu Giełdy Królewskiej, zastanawiał się, czy to wystarczy, aby zadowolić budzącego respekt Hamisha Forsytha.

W Giełdzie zawsze panował duży ruch, lecz ostatnio sala wprost pękała w szwach. Wydawało się, że każdy kawałek parkietu zajęła inna branża. Grupy maklerów i pośredników sprzedawały akcje kupcom ze wszystkich krajów. Eugene minął grupkę Holendrów, potem Amerykanów, aż wreszcie dotarł na półpiętro, gdzie panował większy spokój. Właśnie tutaj, w dużej, eleganckiej sali, znajdowało się miejsce pracy pana Forsytha.

Londyński Lloyd’s był powszechnie szanowaną firmą. Interes zapoczątkowany w kawiarni Lloyda już dawno przekształcił się w sprawnie kierowaną spółkę o znakomitej renomie. Eugene doskonale wiedział, że niektórzy działający w mieście drobni ubezpieczyciele to jedynie wystrojeni straganiarze i oszuści. Ludzie Lloyda należeli jednak do elity. A w tej reprezentacyjnej sali, wynajmowanej od Giełdy, przechowywano słynny Rejestr Statków Lloyda. Tutaj też agenci ubezpieczali największe statki bez względu na wartość ich ładunku. A wśród prawie setki agentów najsolidniejszym i najbardziej pryncypialnym był dość ponury jegomość, który wprawdzie nie wstał na widok Eugene’a, ale skinął mu na powitanie głową.

Powiadano, że pan Hamish Forsyth wygląda jak szkocki sędzia, który właśnie ogłosił wyrok. Jego prezbiteriańscy przodkowie byli surowi i twardzi jak granit. Hamish odziedziczył te cechy, lecz ujawniał je nie w kościele, lecz przede wszystkim na londyńskim rynku ubezpieczeń. Miał szlachetne bujne brwi z kilkoma siwymi włoskami i orli nos. Od czasu do czasu wciągał potężną porcję tabaki, więc rozmowę przerywały serie głośnych kichnięć, co nadawało jego wypowiedziom zdecydowany

charakter, wskazujący, że żaden ubezpieczany przez niego statek nie odważy się zatonąć.

– Przejdziemy na drugą stronę ulicy – oznajmił. Wyprowadził Penny'ego na zewnątrz i skierował się do kawiarni przy Threadneedle Street, gdzie kupił gościowi filiżankę kawy, dając wyraźnie do zrozumienia, że jest to wielka uprzejmość z jego strony.

– Poznałeś moją córkę – stwierdził Forsyth. Penny przytaknął. – W takim razie musisz mi przedstawić swoje referencje – powiedział, wciągając tabakę.

Penny czuł się trochę jak statek oceniany pod względem przydatności do żeglugi. Forsyth zadawał pytania, Eugene odpowiadał. Rodzina? Wyjaśnił, kim są i skąd pochodzą. Wyznanie? Przodkowie byli hugenotami. A on sam należy do Kościoła anglikańskiego. Spotkało się to z westchnieniem najwyraźniej oznaczającym aprobatę.

– To porządny Kościół – stwierdził Forsyth.

Jakie ma zajęcie? Penny wyjaśnił, że jest urzędnikiem w banku Mereditha. Forsyth zamyślił się, a potem oświadczył tonem prezbiteriańskiego pastora:

– Ktoś, kto inwestuje w Meksyku, może się utrzyma na powierzchni. Ale ten, kto inwestuje w Peru… – Wciągnięcie tabaki. – Nigdy.

Potem Penny musiał zadeklarować, jaki majątek posiada, a następnie szczegółowo opisać swoje interesy. Znowu reakcją było ciężkie westchnienie.

– Rynek zaczyna się przegrzewać, młody człowieku. Uciekaj, bo się poparzysz.

Eugene miał ochotę polemizować, ale wiedział, że to nie byłoby roztropne.

– Kiedy powinienem się wycofać, panie?

Forsyth spojrzał na niego jak na człowieka, który wisi nad przepaścią na czubkach palców i którego może uratować. Albo nie.

– Przed Wielkanocą – oświadczył stanowczo. – Pan nosi okulary, panie Penny – rzucił nagle, jakby uznał, że okazał rozmówcy nadmierną uprzejmość. – Domagam się całej prawdy. Co z pana wzrokiem?

Eugene wyjaśnił, że jego ojciec i dziadek też byli krótkowzroczni.

– Ale ta wada nie pogarsza się z wiekiem – zapewnił.

Nie wiedział, czy ta odpowiedź zadowoliła Forsytha, bo zaraz potem padła seria pytań o bankowość i finanse świadczących o wielkiej bystrości umysłu starego Szkota. Znał odpowiedzi, lecz ostatnie pytanie kazało mu się zastanowić.

– A co pan myśli, panie Penny, o powrocie do złota?

Eugene doskonale pamiętał, jak na to samo pytanie odpowiedział hrabiemu, i wiedział, co myśli się o tym w City, ale uznał, że jeśli właściwie ocenił swojego rozmówcę, to musi znaleźć inną odpowiedź.

– Jestem zwolennikiem parytetu złota – oświadczył.

– Naprawdę? – Chociaż raz udało mu się zaskoczyć Forsytha. – A z jakiegoż to powodu, jeśli wolno spytać?

– Bo nie mam zaufania do Bank of England – powiedział śmiało.

– No cóż. – Forsyth nie odzywał się przez dłuższą chwilę. Penny patrzył mu prosto w oczy. Miał rację. – W City trudno jest znaleźć młodzieńca z takimi poglądami – stwierdził Hamish. A więc Eugene trafił w dziesiątkę. Dla Forsytha nawet Bank of England był przegniłym statkiem. Starszy mężczyzna zamyślił się, a w końcu sięgnął po kolejną porcję tabaki. Znów był gotów do ataku. – A więc zależy panu na Mary? Ale przyzna pan chyba, że żadna z niej piękność.

Mary Forsyth miała szczupłą sylwetkę i trochę za dużą głowę, tak przynajmniej uważali niektórzy. Ciemne włosy nosiła rozdzielone

przedziałkiem pośrodku, wyglądała na osobę pilną i sumienną. Nie podążała za modą ani nie była zalotna. Jej piękno tkwiło w dobrym charakterze i wysokiej inteligencji. Eugene szczerze ją pokochał.

– Pozwolę sobie się z panem nie zgodzić.

Wciągnięcie tabaki. Chwila milczenia.

– W takim razie śmiem twierdzić, że chodzi ci o jej pieniądze – oświadczył Forsyth bez ogródek. Popatrzył na Penny'ego niemal przyjaźnie.

Młody mężczyzna zastanawiał się gorączkowo. Forsyth nie był bogaczem jak niektórzy bankierzy, ale z całą pewnością miał okazały majątek, a Mary była jego jedynym dzieckiem. Udawanie, że fakt ten nie ma znaczenia, byłoby i absurdalne, i nieszczere. Ale zdążył już przejrzeć Forsytha.

– Nigdy nie ożeniłbym się z kobietą – zaczął ostrożnie – której nie darzyłbym miłością i szacunkiem. A jeśli idzie o jej majątek, to dla mnie nie pieniądze są ważne. Chciałbym wejść do rodziny – zawahał się na ułamek sekundy – która jest godna zaufania.

– Zaufania, powiadasz?

– Tak, panie.

– O, ja jestem godny zaufania, bez dwóch zdań. I to jak!

Penny bez słowa skłonił głowę. Forsyth sięgnął po kolejną porcję tabaki.

– Pan jest jeszcze młody, panie Penny. Musi pan coś w życiu osiągnąć. No i oczywiście Mary może dostać lepszą propozycję. Ale gdyby tak się nie stało, to rozważymy tę kwestię za parę lat. – Pokiwał głową, jak się wydawało, z niejaką aprobatą. – A tymczasem możesz do nas zachodzić, żeby się z Mary spotykać. – Potężne i definitywne wciągnięcie tabaki. – Od czasu do czasu.

Lucy prawie co dzień mijała to miejsce, ale zawsze odwracała wzrok, żeby widok nie przyniósł jej pecha. Właśnie takich miejsc jej rodzina musiała unikać.

Przytułek budził strach w każdej biednej rodzinie, a przytułek w St Pancras był chyba najgorszy ze wszystkich. Mieścił się u zbiegu dwóch brudnych ulic; dawno temu była tutaj rezydencja jakiegoś dżentelmena. Jednak z dawnej elegancji nie pozostał żaden ślad. Nieopodal stały połamane stare dyby i klatka, w której kiedyś przewożono więźniów. Dziedziniec pokryty był grubą warstwą śmieci. Kilka lat wcześniej władze okręgu nakazały powiększenie przytułku, bo biedacy tłoczyli się w każdym kącie, a wnętrze zamieniło się w labirynt ciemnych pomieszczeń i wąskich korytarzy.

Oficjalnie przytułki wspomagały biednych. Ci, którzy nie dawali sobie rady, dostawali dach nad głową, dzieci przyuczały się do jakiegoś fachu, dorośli mieli zajęcie. Ale rzeczywistość wyglądała inaczej. Od wieków mieszkańcy okręgu narzekali na biedotę. Niechętnie płacili podatki na nowy kościół, ale przynajmniej mieli się potem czym pochwalić. A nędzarze, bez względu na to, ile kosztowali, zawsze chcieli więcej. Dlatego parafie wydawały na biednych jak najmniej, a nadzór nad przytułkami był bardzo pobieżny. Przebywali w nich głównie chorzy – nawet gdy trafiali tu ludzie zdrowi, szybko zapadali na jakąś przypadłość.

„Będziemy musieli pójść do przytułku?”, pytała Lucy ze strachem niedługo po śmierci ojca.

„Oczywiście, że nie – skłamała matka. – Ale ty też będziesz musiała pracować”.

Matka miała pracę w małej fabryce, szyła bawełniane sukienki. Ale spędzała tam całe dnie, a właściciel nie zgadzał się, żeby zabierała Horatia

ze sobą. Dlatego Lucy co dzień mijała przytułek, idąc z bratem do swojej nowej pracy przy Tottenham Court Road.

Świat może i przechodził różne zawirowania, ale interes Zachary'ego Carpentera rozwijał się świetnie. „Mogę sprzedać tyle foteli i sekretarzyków, że nie nadążam z robotą", wyznał kiedyś. Powiększył warsztat, zatrudniał dziesięciu czeladników i przyjął jeszcze jednego ucznia. Ogółem miał dwa razy tylu pracowników, ale nie byli to ani czeladnicy, ani terminatorzy, lecz dzieci.

„Ze swoimi małymi paluszkami świetnie nadają się do prac wykończeniowych, wystarczy je tylko odpowiednio przyuczyć – tłumaczył. Wszyscy znani mu rzemieślnicy zatrudniali dzieci. Zachary, choć uchodził za społecznego reformatora, umiał to uzasadnić. – Powinny chodzić do szkoły. Ale szkół nie ma, więc przynajmniej nie pozwalam im głodować". Albo trafić do przytułku.

Jak większość pracodawców Carpenter nie zatrudniał dzieci poniżej siedmiu lat, ale dla Horatia zrobił wyjątek. Chłopczyk był chętny do pomocy, więc Zachary dał mu małą miotłę do zamiatania wiórów i od czasu do czasu wynagradzał jego pracę jakimś groszem.

Zarobki Lucy i jej matki były mniejsze niż zarobki Willa. On zazwyczaj przynosił do domu dwadzieścia, a czasem nawet trzydzieści szylingów tygodniowo. Wdowa po nim zarabiała dziesięć szylingów, a Lucy pięć. Tak samo było w całej Anglii: kobietom płacono połowę tego, co mężczyznom, a dzieciom zaledwie jedną szóstą. Taka była cena uniknięcia przytułku.

Przed Wielkanocą 1825 roku Eugene Penny poszedł za radą pana Hamisha Forsytha: zamienił swoje papiery wartościowe na gotówkę i bezpieczne obligacje państwowe. Jeśli Forsyth ma rację, myślał, a ja go nie posłucham, to on mi nigdy nie wybaczy. Ale jeśli się wycofam, a potem okaże się, że on się mylił, to poczuję się śmielej.

Na razie jednak trudno było powiedzieć, czy przewidywania surowego Szkota są trafne. Hossa na zagraniczne kredyty trwała. „Nigdy jeszcze nie mieliśmy takich zysków”, cieszył się Meredith. Ale Penny, patrząc na niektóre szaleństwa rynku akcji, musiał przyznać, że rynek jest przeszacowany. Podobnie się działo na rynku towarowym; ludzie pożyczali pieniądze dosłownie na wszystko. „Kupują miedź, drewno, kawę, choć przecież ceny nie mogą rosnąć w nieskończoność”. Ale minęła wiosna i lato, a hossa trwała.

Penny zasłużył nawet na niewielki awans. Po incydencie z hrabią St James Meredith zlecał mu rozmaite poufne zadania, a nawet zaczął mu się zwierzać z bankowych interesów.

– Poszliśmy w ślady Baringa i Rothschilda – powiedział kiedyś. Obaj liderzy rynku kredytów zagranicznych trzymali się z daleka od spekulacji papierami wartościowymi. – Nasza sytuacja jest bardzo stabilna. Obawiam się jednak ogólnego spadku cen – przyznał Meredith. – Małe banki, takie jak nasz, nie bardzo mają jak się przed tym zabezpieczyć. – Wzruszył ramionami. – Wszystko zależy od tego, kto upadnie.

Eugene już wcześniej domyślał się, co jest największym zagrożeniem dla małych banków. Gdyby część dłużników Mereditha poszła na dno, jego bank znalazłby się w poważnym niebezpieczeństwie.

– Ale największe zagrożenie leży zupełnie gdzie indziej – mówił Meredith. – Nie są nim ani złe inwestycje, ani niepewne kredyty. Tego się nawet nie da przewidzieć. Chodzi o utratę zaufania. To by nas mogło zabić.

– Nigdy jeszcze czegoś takiego nie widziałem – przyznał Eugene.

– I módl się, żeby tak zostało – zakończył Meredith.

Eugene co tydzień widywał się z Mary. Dla nich było oczywiste, że wezmą ślub, choć terminu nie dało się przewidzieć. Penny zarabiał teraz

nieporównanie więcej, miał stałą posadę, ale nie osiągnął jeszcze pozycji, która zadowalała Hamisha Forsytha.

Kłopoty zaczęły się jesienią.

– Musimy przygotować się na najgorsze – oznajmił Meredith. – Chyba zanosi się na potężną burzę. Krążą słuchy, że Bank of England będzie wprowadzał ograniczenia.

W październiku rozległy się pierwsze pomruki. W listopadzie – okrzyki. Rynek zachwiał się, a potem zaczął się załamywać.

– Trzeba położyć temu kres! – stwierdził Meredith. – Bank of England musi trochę poluzować, bo inaczej wszyscy wpadną w panikę.

Na początku grudnia Bank doszedł do wniosku, że posunął się za daleko, i zaczął udzielać kredytów. Ale było za późno.

W środę 7 grudnia potwierdziło się, że Bank of England musiał ratować Pole’s, prywatny bank blisko powiązany z trzydziestoma ośmioma prowincjonalnymi bankami. W czwartek 8 grudnia upadł nagle duży bank z Yorkshire. I w ciągu kolejnych kilku dni posiadacze ziemscy w całej Anglii pospiesznie wypłacali pieniądze ze swoich lokalnych banków. Pasażerowie dyliżansów przywozili ze wszystkich hrabstw tę samą wiadomość: „Złoto. Ludzie chcą tylko złota”.

W niedzielę Pole’s wstrzymał wypłaty. A w poniedziałek 12 grudnia trzydzieści sześć prowincjonalnych banków ogłosiło upadłość.

W tamten poniedziałek miasto spowiła mgła, przynosząc ze sobą dziwną ciszę. Chwilami Penny odnosił wrażenie, że świat się skończył. Siedzieli w wypełnionym żółtym światłem kantorze i czekali, aż ktoś przyjdzie i powie, że już po wszystkim.

Przedpołudnie minęło spokojnie. Właściwie nie mieli nic do roboty. Od czasu do czasu wysyłano któregoś z kasjerów po wieści – znikali we mgle i wracali z nowymi wiadomościami: „W Giełdzie jest cały tłum ludzi,

wszyscy chcą pieniędzy!”. „Bank Williamsa przy Mincing Lane jest oblegany. Nie wiadomo, czy wystarczy im środków”.

Meredith przygotował się zawczasu. W poprzednim tygodniu spotkał się z najważniejszymi klientami. „Chyba ich ułagodziłem – opowiadał Eugene’owi. – Ale jeśli panika będzie się szerzyć…”. Wzruszył ramionami. Na szczęście mgła działała na ich korzyść.

Meredith zgromadził tyle złotych monet, ile mógł. „Dwadzieścia tysięcy funtów w złotych suwerenach – oznajmił. A kiedy Penny stwierdził, że to powinno wystarczyć, mruknął: – Będzie musiało”.

Przed południem przyszło po wypłaty tylko kilka osób. A w południe wydarzył się cud – jakiś kupiec wpłacił tysiąc funtów.

– Wyjąłem je z banku Williamsa – wyjaśnił. – U was będą bezpieczniejsze.

Po południu było wiadomo, że coraz więcej banków jest w tarapatach, lecz panika nadal omijała Mereditha.

Tuż przed zamknięciem w zamglonych drzwiach stanął starszy tęgi dżentelmen z prowincji, ubrany w brązowe palto.

– To bank Mereditha? – spytał niepewnie. Usłyszawszy potwierdzenie, podszedł do lady. – Nazywam się Grimsdyke – oznajmił. – Z Cumberland. Chcę wypłacić pieniądze.

– Mój Boże! – mruknął Meredith. – To jeden z moich pierwszych klientów! Zdążyłem już zapomnieć, jak wygląda. Musiał jechać przez całą noc.

– Oczywiście – powiedział kasjer uprzejmie. – Ile?

– Dwadzieścia tysięcy funtów.

Naprawdę nie ma potrzeby, żeby wypłacać aż tyle, zapewnił go spokojnie Meredith: bank jest bardzo stabilny. Ale starszy dżentelmen nie

po to jechał z północnej Anglii taki kawał drogi, żeby teraz zmienić decyzję. Gdy drzwi się za nim zamknęły, Meredith przywołał Eugene'a.

– Zrób bilans. I przynieś go do mnie do salonu.

– Nie przetrwamy kolejnego dnia – oświadczył Meredith, przejrzawszy z Eugene'em księgi. – Ci trzej – wskazał palcem nazwiska, które już kilka lat wcześniej zaniepokoiły Penny'ego – są nam winni dużo pieniędzy, a każdy z nich może się w każdej chwili pogrążyć. Nawet nie wiem, czy wciąż jesteśmy wypłacalni. A jeśli idzie o wypłaty, to zdobędę kolejne pięć tysięcy funtów, ale jutro o tej porze pewnie nic już z nich nie zostanie i będziemy musieli zamknąć podwoje.

– Nie możemy liczyć na pomoc Bank of England?

– Nie wiem, czy mieliby wolę niesienia pomocy. Oni nie zaprzątają sobie głowy takimi małymi bankami jak nasz.

Umilkli na dłuższą chwilę.

– Jest jeszcze hrabia St James – odezwał się w końcu Eugene.

Meredith aż się skrzywił.

– On już za dużo dla mnie zrobił. Poza tym zapowiedział mi, że więcej nie poratuje mnie finansowo. – Westchnął. – Nie mogę do niego pójść, Penny.

– W takim razie ja pójdę – oświadczył Eugene.

– Że też musiało go wygnać z Londynu – mruknął, wsiadając do powozu. Hrabia wyjechał do Brighton. Penny nie miał więc innego wyjścia, jak wynająć dyliżans i wyruszyć na południe do oddalonego o osiemdziesiąt kilometrów miasta. – Przynajmniej wyjadę z tej mgły – pocieszał się ponuro.

Jeśli podróż minie bez przeszkód, to powinien dotrzeć na miejsce, zanim hrabia uda się na spoczynek. Czuł się jednak trochę nieswojo, bo

w pośpiechu nie zdążył się przebrać, a hrabia zatrzymał się w Brighton u samego króla.

Akurat wybiła dziesiąta wieczorem, gdy Eugene, po długich tłumaczeniach przed odźwiernymi, lokajami i różnymi ważnymi osobami, stanął wreszcie przed obliczem hrabiego w bogato zdobionym przedpokoju. Stary arystokrata wypił już co najmniej kilka kieliszków szampana, ale gdy tylko Eugene wyjawił powód swojej wizyty, jego spojrzenie stwardniało.

– Powiedziałem, że więcej nie dam mu pieniędzy. I on o tym wie.

– To prawda, milordzie. Błagałem go, żeby pozwolił mi tu przyjechać.

– Ty? – St James wbił w niego wzrok. – Jesteś jego kasjerem i przyjechałeś zobaczyć się ze mną? Tutaj?

– Pan Meredith ma do mnie pełne zaufanie.

– Umiesz zachować zimną krew.

– Nasz bank potrzebuje jedynie chwili spokoju – powiedział szybko Eugene. – Przy pańskiej pomocy, milordzie.

Hrabia zamilkł. A potem spojrzał na Penny’ego przenikliwie, wzrokiem bukmachera na wyścigach.

– Czy bank jest wypłacalny?

– Tak, milordzie. – Eugene patrzył arystokracie prosto w oczy. Powiedział to z pełnym przekonaniem, choć wiedział, że posunął się do kłamstwa. Ale robił to dla Mereditha.

– Pożyczę mu dziesięć tysięcy na dziesięć procent – rzucił szorstko St James. – Jutro przyjadę do Londynu. Czy to wam wystarczy?

Eugene wsiadł o świcie w dyliżans pocztowy i przed południem dotarł do Londynu. Mgła przerzedziła się, na ulicach panował ruch. Meredith aż się wzruszył, gdy usłyszał wieści. Uścisnął Eugene’owi dłoń.

– Obawiam się jednak, że jest za późno – powiedział, odzyskawszy głos. – Zostało nam tylko dwa tysiące funtów. Co godzinę ubywał nam tysiąc.

W południe zostaniemy bez pieniędzy. Próbowałem wszędzie, ale nie zdobędę już ani pensa. Nie możemy tak po prostu zamknąć banku i czekać do popołudnia na pieniądze St Jamesa, bo to wywoła taki popłoch, że nawet dziesięć tysięcy nie wystarczy. Potrzebne są nam cztery godziny. Co, do diabła, mam zrobić?

I wtedy Eugene wpadł na genialny pomysł.

– Zostało ci dwa tysiące? Zawieź je do Bank of England. Na wózku! – krzyknął. – Wiem, co trzeba zrobić.

Pół godziny później do gromadki klientów zwrócił się uspokojony już Meredith:

– Panowie, proszę przyjąć nasze przeprosiny. Poprosiliśmy Bank of England o suwereny, ale oni przysłali nami jedynie drobne. Jednak bez obaw, pieniędzy jest dużo, wystarczy dla wszystkich. Proszę tylko o cierpliwość.

Dwaj kasjerzy przy ladzie zaczęli wolno wypłacać należne kwoty w szylingach, sześciopensówkach, a głównie w monetach jednopensowych. Przy uważnym liczeniu drobnych wypłacano teraz trzysta funtów na godzinę, jednak pieniądze płynęły stałym strumieniem. Hrabia, który pojawił się tuż przed zamknięciem, zastał jedynie najbardziej spanikowanych deponentów, bo reszta była tak znudzona, że się rozeszła. Od tamtego czasu przez wiele lat w City krążyło powiedzenie o banku Mereditha: „Tak, są wypłacalni. Ale tylko w pensach”.

Wielki kryzys bankowy z 1825 roku nie został zażegnany w tamten wtorek. W środę sytuacja wielu banków – na szczęście z wyjątkiem Mereditha – jeszcze się pogorszyła. W czwartek Bank of England, łamiąc swoje surowe zasady i mając w rządzie wsparcie samego diuka Wellington, ratował, co się tylko dało.

W piątek w Bank of England zabrakło kruszcu. A wieczorem tę szacowną instytucję ocalił zastrzyk złota. Zebrał je Nathan Rothschild. Tylko on w całej Anglii, a może nawet i na całym świecie, mógł tego dokonać. Rothschild był królem City.

Ta zima, kiedy Lucy skończyła osiem lat, była ciężka dla niej i dla jej rodziny. Matka wprawdzie chodziła do pracy, ale nękał ją suchy kaszel. Jeszcze większy niepokój budziło zdrowie małego Horatia. Miał coraz słabsze nogi. Pod koniec roku zostawał w domu, a Lucy sama szła do pracy u Carpentera. Wiosną wydawało się, że Horatio powoli dobrzeje, ale czasem idąc z Lucy za rękę, popłakiwał bezgłośnie.

Pewnego letniego wieczoru ze zdziwieniem zauważyła w drzwiach krępą postać Silasa Doggeta. Nie czekając na zaproszenie, wszedł do środka, rozsiadł się przy kuchennym stole i ponuro oznajmił:

– Potrzebuję pomocy. Przyszedłem z propozycją.

– Nigdy! – krzyknęła matka Lucy, usłyszawszy, o co chodzi.

– Zapłacę ci dwadzieścia pięć szylingów tygodniowo – nalegał. – Po co wam mieszkać w przytułku.

– Nie mieszkamy w przytułku.

Silas nie odzywał się przez chwilę.

– Jesteś tak samo głupia jak twój mąż – powiedział w końcu.

– Daj nam święty spokój! Wynoś się stąd – krzyknęła matka, teraz już naprawdę rozeźlona.

Silas wstał powoli, wzruszając ramionami. Zatrzymał się w progu i spojrzał na Lucy.

– Twój chłopak jest chorowity, ale dziewczyna wygląda na silną. Może za rok czy dwa nie będzie już taka dumna jak ty. – Położył ciężką dłoń na jej ramieniu. – Pamiętaj, że masz wujka Silasa – powiedział niskim głosem. – Będę na ciebie czekał.

Pewnego dnia Lucy i Horatio, wróciwszy z pracy do domu, usłyszeli dziwne odgłosy dochodzące z izby, w której spali całą rodziną. Otworzyli drzwi. Matka leżała na łóżku, była blada i wydawała z siebie ochrypłe dźwięki. Podeszli bliżej. Odwróciła się do nich, ale z trudem chwytała powietrze. Lucy wypchnęła brata z pokoju i pobiegła po sąsiadkę, która zajęła się matką. W końcu atak minął.

– Co to było? – dopytywała sąsiadkę. – Czy mama umiera?

– Nie – odpowiedziała kobieta. – Wielu ludzi w parafii na to choruje. Astma.

Lucy słyszała już to słowo, ale nie wiedziała, co ono oznacza.

– To groźna choroba?

– Znałam ludzi, którzy udusili się na śmierć – odpowiedziała szczerze kobieta. – Ale większość żyje, choć bardzo opada z sił.

– Jak mam jej pomóc? – krzyknęła zrozpaczona Lucy.

– Musi mieć więcej odpoczynku. I mniej zmartwień. – Kobieta wzruszyła ramionami i poklepała Lucy przyjaźnie po ramieniu.

Minął miesiąc. Matka czuła się całkiem znośnie, jeśli nie liczyć kilku mniejszych napadów. Ale któregoś ranka znów dopadły ją duszności i nie była w stanie pójść do fabryczki.

– Mamo, pozwól mi pracować u wujka Silasa – powiedziała wtedy Lucy. – On musi być dobry, skoro chce nam tyle płacić.

– Silas dobry? – Matka pokręciła głową ze wstrętem. – Nawet trudno mi pomyśleć, że mogłabyś robić to co on.

– Chyba nie możemy wybrzydzać.

– Po moim trupie, Lucy! – krzyknęła matka. – I nigdy więcej o tym nie wspominaj.

We wrześniu 1827 roku Eugene Penny postanowił podjąć zdecydowane kroki. Bank Mereditha wyszedł z kryzysu obronną ręką. Lord St James

otrzymał zwrot długu i patrzył na młodego urzędnika z podziwem. A Meredith był Eugene'owi dozgonnie wdzięczny. Nawet do Hamisha Forsytha dotarły wieści, że dwudziestopięcioletni Penny ma przed sobą obiecującą przyszłość. Eugene był posiadaczem dwóch tysięcy funtów – sumy całkiem znacznej, zważywszy, że zwykły urzędnik w Bank of England zarabiał sto funtów rocznie. Można się było spodziewać, że lada dzień zaczną się do niego zgłaszać inne firmy z propozycjami dobrze płatnej pracy. Jednak Eugene wiedział, że w oczach Hamisha Forsytha liczy się konsekwencja.

Dlatego w któryś poniedziałkowy poranek stanął przed obliczem Mereditha.

– Mam dobrą wiadomość. Żenię się z jedyną córką pana Hamisha Forsytha z Lloyda. A ona, jak pewnie wiesz, odziedziczy cały jego majątek.

– Kochany Penny! – zawołał Meredith, szczerze uszczęśliwiony. Chciał zawołać rodzinę, żeby podzielić się z nimi wieścią, ale Eugene go powstrzymał.

– Mam jeszcze jedną sprawę. Chyba zgodzisz się ze mną, że zasłużyłem sobie na stanowisko młodszego wspólnika. Tym bardziej że zostanę zięciem pana Forsytha. Ale jeśli jesteś innego zdania, to zapewne pan Forsyth uzna, że powinienem szukać awansu gdzie indziej.

– Ależ drogi Eugene! – Meredith błyskawicznie oszacował w myślach prawdopodobny majątek Forsytha. Zdawał też sobie sprawę, jak cenny jest dla banku sam Penny. – Właśnie o tym myślałem – odparł.

Po usilnych naleganiach Mereditha Eugene wypił kieliszek sherry, a potem poszedł prosto do Lloyda.

– Panie Forsyth – zaczął bez wstępów. – Zostałem wspólnikiem w banku Mereditha. Przyszedłem poprosić o rękę Mary.

– Wspólnikiem? – zdziwił się Szkot. – To rzecz pewna? – Eugene przytaknął. – No cóż, chyba masz rację. Nie ma co zwlekać. – Zamyślił się i wciągnął porcję tabaki. – Masz już pierścionek?

– Zamierzam kupić go dzisiaj.

– Świetnie. Pierścionek jest niezbędny. Ale jeśli mogę ci coś poradzić, to nie kupuj nic drogiego. Zaprowadzę cię do człowieka, który – pociągnięcie nosem – ma całkiem rozsądne ceny.

Najpierw urodził im się zdrowy chłopczyk. A kiedy oczekiwali drugiego dziecka, Mary oświadczyła, że wolałaby mieszkać poza granicami wielkiej metropolii. Gdy więc Eugene powiedział, że znalazł odpowiedni dom w Clapham, była uszczęśliwiona.

Wioska na południowym brzegu Tamizy była rozsądnym wyborem. Nawet Hamish Forsyth musiał to przyznać. „Bardzo odpowiednie miejsce", skinął głową łaskawie. Po wybudowaniu trzech nowych mostów – Waterloo, Southwark i Vauxhall – dojazd do Clapham był dziś dużo łatwiejszy, dawne pola Lambeth pokrywała dziś siatka pięknych ulic, dzięki czemu bogacze udający się powozami do swoich willi w Battersea i Clapham przejeżdżali przez eleganckie przedmieścia. W Clapham, wokół dawnych błoni, stały dziś okazałe domy, a w samym sercu klasycystyczny kościół. Wprawdzie Forsyth uważał, że dom z sześcioma sypialniami jest zdecydowanie za duży, lecz uspokoił się nieco, usłyszawszy od Eugene'a, że rodzina będzie się powiększać.

„No tak, nie będziesz musiał później wydawać pieniędzy na kolejną przeprowadzkę", stwierdził stary Szkot. I z tej okazji kupił córce i zięciowi piękny komplet porcelanowej zastawy Wedgwood. „Wedgwood trzyma się swoich wzorów – zauważył. – Jak coś wam się zbije, to będziecie mogli dokupić pojedynczą sztukę".

Eugene stwierdził, że podróż do banku zajmuje mu niewiele ponad pół godziny. Ale jego żona najbardziej cieszyła się z tego, że zaledwie sto metrów od ich pięknego ogrodu, na stoku opadającym ku Battersea, ścieliły się wielkie pola lawendy. Gdy ktoś ją pytał, gdzie teraz mieszka, odpowiadała: „W Clapham, tuż obok Lawendowego Wzgórza”.

1829

Łódź płynęła powoli po brązowej wodzie na środek nurtu. Była tak głęboko zanurzona, że w matowym świetle kwietniowego popołudnia wyglądała z brzegu, jakby za chwilę miała zatonąć. Gdy znalazła na się na środku nurtu, w połowie drogi między Bankside a Blackfriars, zatrzymała się nieruchomo, jakby trzymana na niewidzialnej linie.

– Dobra, tak trzymać. – Z rufy rozległ się niski głos Silasa. Wiosła posłusznie zanurzyły się w wodzie. – Jeszcze trochę. Dobra.

Wprawdzie Lucy – teraz już dziesięciolatka – od roku pracowała u Silasa, ale wciąż nie umiała do tego przywyknąć. Do Tamizy spływało tyle ścieków, nieczystości i węglowego pyłu, że nawet morskie pływy nie były w stanie tego usunąć. Podczas przypływu woda była mętna, podczas odpływu unosił się nad nią mdły odór. Po raz pierwszy w dziejach ryby w rzece zdychały. Ich pokryte pęcherzami truchła mieszały się ze śmieciami na błotnistych mieliznach. Gdy przychodziła mgła, wydawało się, że łączy się z rzeką w jeden odrażający żywioł. Lucy czuła czasem, jak różne odpady ocierają się o wiosła.

Silas przechylił się gwałtownie przez burtę i zanurzył dłonie w wodzie. Po chwili rozległo się stuknięcie, jakby coś ciężkiego uderzyło w łódkę. Sięgnął jedną ręką po linę, którą trzymał między nogami, obwiązał nią przedmiot w wodzie, a drugi koniec przymocował do pierścienia na rufie. Teraz zaczął szukać ręką w wodzie przy burcie. Z pomrukiem zadowolenia

wyprostował się i otwierając wielkie dłonie z błoną między palcami, pokazał Lucy kilka złotych suwerenów i zegarek z dewizką. Położył zdobycz przy stopach i wychylił się jeszcze raz, aby popatrzeć uważnie na zwłoki unoszące się tuż pod powierzchnią wody.

– Tak, to on. Dostaniemy za niego dziesięć funtów – stwierdził.

Była to nagroda za odnalezienie ciała niejakiego Tobiasa Jonesa, który zaginął tydzień wcześniej. Przy zwłokach często były wartościowe przedmioty, a to znacznie zwiększało zarobek. Martwe ciało było dla Lucy i Silasa cennym znaleziskiem.

Silas był rzecznym śmieciarzem. Śmieciarze brali wszystko – skrzynki i beczki, które spadły ze statku, drewniane reje, koszyki, butelki, no i oczywiście zwłoki. Inni ludzie trzymali się od nich z daleka, jakby byli padlinożercami żerującymi w wodzie. Ale najsprytniejsi, między innymi Silas, całkiem dobrze żyli z tego fachu. Brudna rzeka co dzień przynosiła jakiś łup.

Lucy cały czas nie mogła pojąć, dlaczego właśnie ją wybrał sobie na pomocnicę. „Łączą nas więzy krwi”, mawiał czasem. A pieniądze, które jej wypłacał, wystarczały aż nadto, żeby nie trafić do przytułku. Wyglądało na to, że dba o rodzinę, ale mimo to jedna rzecz nie dawała jej spokoju.

Nazywała go wujkiem, choć tak naprawdę był jej stryjecznym bratem. „Twój ojciec i jego ojciec byli braćmi – tłumaczyła matka. – Mieli też siostry”. Ale gdy Lucy spytała go o tych innych Doggetów, Silas wzruszył ramionami. „Nie zawracaj sobie nimi głowy – oznajmił. – Ich już dawno nie ma”. Nie dowiedziała się jednak, czy to znaczyło, że umarli czy wyjechali z Londynu. Przemknęło jej przez myśl, że może inni Doggetowie nie chcieli znać Silasa; on często jej przypominał: „Masz tylko mnie, mała”. Rzeczywiście, jej los był w jego rękach.

Jak do niego trafiła? Trwało to prawie rok, ale w końcu z powodu astmy matka nie mogła już chodzić do fabryczki. Musiała ulec, bo rodzinie zostało tylko pięć szylingów zarabianych przez Lucy.

„Dobrze, idź do Silasa”.

Gdy Lucy wychodziła do pracy, siedmioletni Horatio zajmował się domem. Był wątłym dzieckiem o bladej cerze i cienkich, patykowatych nogach, ale miał w sobie jakąś dziwną wewnętrzną siłę. Kiedy Lucy wracała do domu, czekał na nią gotowy posiłek i dzbanek herbaty. Pytała, jak się czuje matka, a Horatio odpowiadał pogodnie: „Dziś dobrze oddycha”. Albo nieco ciszej: „Mama jest zmęczona”, co oznaczało, że ledwo zipie.

Przy ładnej pogodzie – i gdy stan matki się poprawiał – Lucy zabierała Horatia nad rzekę. Nie pozwalała mu wsiadać do łódki, bo przecież mogli z Silasem natrafić na zwłoki, ale chłopiec siadał w słońcu przy którymś z hangarów, a podczas odpływu brodził na błotnistych mieliznach, po których uwijały się inne dzieci, szukające przedmiotów wyrzuconych przez rzekę. Nie mógł oczywiście za nimi nadążyć, ale często witał Lucy z uśmiechem, pokazując jej jakieś skarby, które udało mu się wygrzebać w brunatnym błocie.

Wieczorem, gdy kołysała go do snu, obiecywał: „Zobaczysz, jeszcze będę miał dużo siły. I to ty będziesz odpoczywać w domu, a ja będę pracował”.

Śpiewała mu wtedy cicho jego ulubioną piosenkę, którą nauczyła ich kobieta z koszem lawendy. Powtarzała ją wiele razy, dopóki Horatio nie usnął.

Niestety, Silas go nie lubił. Patrzył na chłopca ze złością i mówił: „Jest chorowity jak twoja matka”.

„On nabierze sił!”, protestowała.

Ale jedynie wzruszał ramionami.

„Nigdy się nie nada do wioseł”.

Lucy zamieniła się na miejsca z Silasem. Teraz on usiadł do wioseł i mocnymi uderzeniami popychał łódź w kierunku Tower. Myślała jedynie o zwłokach przywiązanych za rufą.

– Twój brat niedługo umrze – oznajmił nagle Silas. – Dobrze o tym wiesz.

– Nie umrze! – krzyknęła. – I nauczy się wiosłować lepiej od ciebie.

Tym razem się nie odezwał. Lecz gdy zrównali się z małą wieżą kościoła Wszystkich Świętych, powiedział ponuro:

– Nie kochaj go za mocno. On umrze.

Zachary Carpenter wstał, żeby wygłosić mowę. Żaden ze słuchaczy nigdy by się tego nie domyślił, ale Zachary był przekonany, że traci czas. Niczego nie osiągnął, choć przez całe życie nawoływał do reform. Mimo to zwrócił się do publiczności z charakterystyczną dla siebie mocą i żarliwością.

– Czy przyznajecie – zawołał – że naszym narodem żywią się krwiopijcy? Bo kimże jest król, jego parlament i ich poplecznicy? Przejadają wasze podatki. Żywią się wami! Mogę wam pokazać dowód zgnilizny tego królestwa. Chcecie mieć dowód?

O, tak, tłum bardzo chciał.

– Pójdźcie zatem na Mall! – krzyknął Carpenter. – Pójdźcie na Mall i spójrzcie w głąb ulicy. I co tam zobaczycie? Powiem wam. Nie tylko cegły i zaprawę, nie tylko kamień, wieże i iglice. Zobaczycie tam jeden wielki skandal, przyjaciele, który powstaje, aby z was szydzić. Oto dowód. – Zachary mówił oczywiście o budowanym właśnie pałacu Buckingham.

Książę regent, obecnie już król, dostarczał krajowi wielu powodów do wstydu, ale żaden – ani jego długi, ani błąkająca się po Europie żona, ani nawet dziwna koronacja – nie mógł się równać ze skandalem, jakim był

pałac Buckingham. Jerzy IV postanowił bowiem przekształcić dawną arystokratyczną rezydencję, zakupioną przez rodzinę królewską, w nowy pałac. Wezwano architekta Nasha, a parlament przyznał królowi, aczkolwiek niechętnie, dwieście tysięcy funtów, które szybko się rozeszły. Radykałowie protestowali, parlament protestował, nawet lojalny diuk Wellington wybuchnął gniewem. A król beztrosko brnął dalej. Koszty budowy urosły do oszałamiającej kwoty sześciuset tysięcy funtów.

Carpenter wiedział, że temat pałacu to pewniak. Wystarczyło jedynie wykazać, że dopóki rząd nie wprowadzi reform, podobne zniewagi będą się powtarzać. Ale to i tak nie miało znaczenia. Nic się w kraju nie zmieni. Rok wcześniej premierem został zagorzały torys, diuk Wellington. Owszem, Żelazny Diuk zmodyfikował nieco ustawy zbożowe, na czym skorzystali biedacy, ale właściciele ziemscy nie ponieśli żadnej szkody. Owszem, diuk zniósł Ustawę sprawdzającą, dzięki czemu metodyści i inni protestanci, tacy jak Carpenter, mogli obejmować publiczne stanowiska. Ale Zachary nie dał się zwieść. „Wellington jest generałem – stwierdził. – To tylko taktyczne posunięcie, mające mu zapewnić poparcie klas średnich”.

Obecni ministrowie robili wszystko, żeby wykazać się silną władzą. Minister spraw wewnętrznych Robert Peel, niezadowolony z działań Bow Street Runners, domagał się utworzenia umundurowanej policji, podległej rządowi, która zaprowadziłaby w kraju ład i porządek. Przerażający pomysł. Londyńskie City oświadczyło, że nie dopuści u siebie żadnych oddziałów policji niepodlegających burmistrzowi, a zwykli ludzie szeptali: „Wellington i Peel chcą powrotu surowych rządów jak za czasów Cromwella i jego generałów”. Zdaniem Carpentera perspektywa wprowadzenia reform jeszcze nigdy nie była taka odległa.

Gdy tłum zaczął opuszczać salę, Carpenter zauważył ze zdziwieniem zbliżającą się ku niemu butelkowatą postać. A do tego lord Bocton miał na

twarzy uśmiech. Wyciągnął rękę do Zachary’ego.

– Panie Carpenter, zgadzam się z każdym pańskim słowem – powiedział zatwardziały torys.

Carpenter spojrzał na niego podejrzliwie. Skąpy Bocton mógł co najwyżej zgodzić się z nim w kwestii absurdalnych kosztów budowy pałacu Buckingham.

– I pewnie jesteśmy sobie bliżsi w poglądach, niż się panu wydaje – ciągnął Bocton, widząc zdziwienie Carpentera. – Przyszedłem prosić pana o pomoc.

– O pomoc? – Co ten łajdak knuje?

– Owszem. Bo widzi pan, panie Carpenter, ja popieram parlament. I popieram reformy.

Patrząc na Zachary’ego Carpentera, lord Bocton z zadowoleniem stwierdził, że właściwie ocenił ludzką naturę. Dokładnie przemyślał propozycję, którą miał złożyć znanemu radykałowi. Zamierzał osiągnąć swój cel.

System przedstawicielski, tak mocno krytykowany przez Carpentera, był praktycznie nie do obrony. Wielkie miasta handlowe nie miały w parlamencie swoich posłów. Na wsi o wyborze parlamentarzystów decydowali tak naprawdę wielcy posiadacze ziemscy. Ale największe oburzenie budziły „przekupne gminy” – czasem nazywane „zgniłymi gminami” – w których prawo do wystawiania swojego posła miała garstka wyborców siedzących w kieszeni miejscowego arystokraty.

Niektórzy radykałowie opowiadali się nawet za wprowadzeniem tajnych wyborów.

– Jednak dla mnie jest to metoda tchórzliwa i podstępna, której żaden uczciwy człowiek nie powinien popierać – wyznał Bocton. – Chyba że ma pan jakieś argumenty, które mogłyby mnie przekonać.

Ale prawdziwym sprawdzianem było pytanie: kto ma głosować.

– Naprawdę pan uważa, panie Carpenter – dociekał Bocton – że każdy człowiek, nawet czeladnik, którego chce pan wyrzucić za pijaństwo, albo żebrak z przytułku, ma takie samo prawo wyboru władz w państwie jak pan i ja?

Carpenter się zawahał. Ta kwestia od lat zajmowała ruch reformatorski. Najwięksi radykałowie uważali, że każdy człowiek, niezależnie od pochodzenia, powinien mieć prawo głosu. Jeszcze dziesięć lat wcześniej Carpenter przyznałby im rację. Ale z upływem lat nabierał wątpliwości. Czy tych dwadzieścioro ludzi, których zatrudniał w warsztacie, naprawdę dorosło do wzięcia na swoje barki takiej odpowiedzialności?

– Prawo głosu powinni mieć obywatele płacący podatki. – Solidni i uczciwi. Tacy jak on.

– Właśnie – potwierdził lord Bocton.

Oczywiście nawet im przez myśl nie przeszło, że prawo głosu powinno obejmować także kobiety.

– Jako spadkobierca hrabiego St James noszę jedynie honorowy tytuł lorda. Owszem, mój ojciec zasiada w Izbie Lordów, ale ja mogę być posłem do Izby Gmin. – Młodzi arystokraci zainteresowani polityką chętnie podążali tą drogą. – W najbliższych wyborach zamierzam ubiegać się o mandat z okręgu St Pancras – ciągnął Bocton. – Oczywiście jestem torysem, ale daję panu słowo, że będę głosował za reformami. Chciałbym, żeby mnie pan wsparł.

– Ale dlaczego miałbym to zrobić? – spytał zaskoczony Carpenter. – I dlaczego miałby pan być zwolennikiem reform?

Powodem, dla którego Bocton i wielu innych torysów zmieniło kurs na bardziej postępowy, nie była istota samych reform, ale katolicy w Irlandii.

Rok wcześniej w nieoczekiwanych wyborach uzupełniających wybrano do brytyjskiego parlamentu katolika z Irlandii. Nie mógł on jednak objąć swojej funkcji, bo prawo na to nie pozwalało. „Jeśli nie poluzujemy prawa, Irlandczycy się zbuntują – stwierdził Wellington. – A naszym obowiązkiem jest zapewnić ciągłość królewskich rządów". Dla jego pragmatycznego żołnierskiego umysłu była to kwestia obowiązku. W końcu, pod presją, torysi porozumieli się z wigami i uchwalili ustawę dającą katolikom takie same prawa, jakimi cieszyli się protestanci. Był to jednak politycznie niebezpieczny kurs.

Wiosną 1829 roku okazało się, że na prowincji szanowani torysi mówią jednym głosem z metodystami. „Anglia jest krajem protestanckim – powtarzali. – Czyż nie po to usunęliśmy Stuartów? Ci karierowicze sprzedali nas. Jeśli teraz ulegli katolikom, to komu ulegną potem?".

– Niektórzy z nas uważają nawet – ciągnął Bocton z rozbrajającą szczerością – że lepiej by nam się powodziło z ludźmi wybieranymi przez uczciwych obywateli z klasy średniej niż przez tych karierowiczów bez zasad. Nie jestem szczególnym zwolennikiem reform, ale może rozsądne reformy są lepsze niż chaos.

Mężczyźni patrzyli na siebie. Mieli wspólny interes. Zawarli umowę.

Jedno wciąż było dla Carpentera zagadką.

– Czy to ma oznaczać, milordzie, że pański ojciec jest nareszcie z pana zadowolony? – ośmielił się zapytać, gdy już doszedł do porozumienia z byłym wrogiem.

Bocton milczał przez chwilę. A potem skrzywił się lekko, jakby poczuł ból.

– Nie wiem – odparł w końcu. – Jak pan myśli, panie Carpenter, czy mój ojciec zgodziłby się z panem w kwestii pałacu Buckingham?

– Zapewne.

– Otóż myli się pan. Jego zdaniem król może wydawać tyle, ile chce.

To prawda. Hrabia – który sam lubił przyjemności – przyjaźnił się z królem i nie obchodziło go, ile kosztuje budowa pałacu.

Carpenter się zawahał. Ta wiadomość go zaskoczyła.

– No cóż, on czasem bywa niekonsekwentny – przyznał.

– Mam nadzieję, że problem nie jest poważniejszy – rzekł Bocton z synowską troską w głosie. – Bo prawdę powiedziawszy, panie Carpenter, bardzo się o niego martwimy. Już od dawna nas niepokoi, że on nie jest… – Umilkł znowu. – Nie jest w pełni władz umysłowych. – Spojrzał z powagą na mężczyznę. – Pan go często widuje. Co pan o tym myśli?

– Moim zdaniem nic mu nie dolega – odparł Carpenter, marszcząc brwi. Miał ochotę dodać, że nic mu nie dolega jak na lorda.

– To bardzo dobrze. Bardzo dobrze. Cieszę się, że to słyszę. Ale gdyby powziął pan jakieś wątpliwości, to byłbym szczerze zobowiązany, gdyby pan się nimi ze mną podzielił, oczywiście w pełnej dyskrecji.

Lucy na zawsze zapamiętała ten dzień, gdy wybrali się na Lawendowe Wzgórze.

Było ciepło. Szli wolno Tottenham Court Road. Zabrała ze sobą flaszkę z wodą, trochę jedzenia zawinęła w serwetkę i przywiązała ją do kijka, który niosła na ramieniu. Zatrzymując się co kilometr, żeby Horatio mógł odpocząć, dotarli do Strandu i po moście Waterloo przeszli na drugą stronę Tamizy.

Jeszcze kilka lat temu czekałby ich przyjemny spacer brzegiem rzeki – po prawej stronie, nad wodą, mieliby składy drewna, a po lewej warzywniki. Ale dziś w wielu miejscach zamiast składów stały małe fabryczki, a ogrody ustąpiły miejsca rzędom domów dla robotników i rzemieślników. Gdy dotarli do starego muru otaczającego pałac Lambeth, zrobiło się gorąco. Mieli jeszcze spory kawałek drogi do Vauxhall, gdzie

nadal funkcjonował publiczny park. Nad samą rzeką stała gorzelnia i wytwórnia octu, przez co położenie pałacu straciło swój elegancki charakter.

Gdy w upale dotarli zakurzoną drogą do Vauxhall, Lucy zauważyła, że Horatio utyka.

Mary Penny dojechała do Vauxhall niedługo po tym, gdy kościelne dzwony wybiły południe. Zaprzężona w kucyka dwukółka miała jeszcze do pokonania spory odcinek do Clapham. Nagle Mary zauważyła na skraju drogi dwoje dzieci.

– Stać! – krzyknęła do woźnicy. – Trzeba im pomóc. Wyglądają na bardzo zmęczonych.

Lucy z ulgą wsiadła z Horatiem do dwukółki. Miła dama, usłyszawszy, dokąd idą, zawołała wesoło:

– Ależ ja tam właśnie mieszkam! To urocze miejsce.

Ruszyli.

– Naprawdę zamierzacie wracać piechotą do St Pancras? – zdziwiła się, gdy Lucy opowiedziała jej o ich wyprawie. – To przecież bardzo daleko – dorzuciła, zerkając na nogi Horatia. – W takim razie przed powrotem musicie dobrze odpocząć.

Popołudnie na Lawendowym Wzgórzu. Sierpniowe słońce grzeje mocno. Tysiące, a może nawet dziesiątki tysięcy krzaków lawendy na łagodnych stokach wygląda jak bezkresna niebieskawa mgiełka, nad którą unoszą się niezliczone bzyczące pszczoły. Zapach jest obezwładniający.

Lucy odwinęła jedzenie. Trochę się obawiała, że owady będą im dokuczać, ale pszczoły najwyraźniej wolały zajmować się lawendą. Dla ochrony przed upałem osłoniła Horatiowi głowę serwetką.

Siedzieli tak godzinę, a potem jeszcze drugą, zbyt zadowoleni, żeby wracać. Upajali się słodkim, zamglonym powietrzem, jakby było magicznym eliksirem, który zapewni im nowe życie. Nic dziwnego, że życzliwa dama uważała to miejsce za urocze. Siedząc wśród kwiatów lawendy pod błękitnym popołudniowym niebem, Lucy miała wrażenie, że przeniosła się do jakiegoś cudownego snu.

– Zaśpiewaj mi lawendową piosenkę – poprosił Horatio sennym głosem.

Nuciła mu przez chwilę.

– Nigdy mnie nie opuścisz, prawda? – powiedział nagle.

– Oczywiście, że nie. Nigdy, przenigdy.

Chłopiec zapadł w drzemkę.

– Chyba przybywa mi sił – oznajmił, gdy się obudził.

– Wiem.

– Wracajmy do domu, do mamy – powiedział uszczęśliwiony. – I nazrywajmy dla niej trochę kwiatów.

Gdy dotarli na skraj lawendowego pola, zauważyli ze zdziwieniem, że na drodze czeka dwukółka.

– Pani kazała odwieźć was do domu – wyjaśnił woźnica. – Wskakujcie.

Dzieci odśpiewały po drodze wszystkie znane sobie piosenki. Najczęściej powtarzały piosenkę o lawendzie.

Rok 1830 był rokiem katastrofalnym, ale Zachary Carpenter i inni reformatorzy uznali to za pomyślną okoliczność. Porządek polityczny przywrócony w Europie po potężnym wstrząsie, jakim była rewolucja francuska i kariera Napoleona, nie był bynajmniej stabilny. Uwolniony przez Francuzów duch demokracji wciąż żarzył się pod powierzchnią i co rusz w którymś z krajów dochodziło do wybuchu.

Angielski rynek, zwyżkujący od kilku lat, nagle osłabł. Poprzednie lato przyniosło żałosne zbiory. Poprawki wprowadzone przez Wellingtona do

ustaw zbożowych okazały się zdecydowanie za małe – ceny chleba poszybowały. W czerwcu zmarł król, zostawiając niedokończony ekstrawagancki pałac, a na tron wstąpił jego brat, żeglarz bez ogłady, który miał rządzić jako Wilhelm IV. W lipcu z Francji nadeszła wieść: po ponad dziesięcioleciu żałosnych rządów dążącej do absolutyzmu monarchii Francuzi mieli dość. Zbuntowali się. Po kilku dniach rewolucja zakończyła się ustanowieniem monarchii liberalnej. I znów cała Europa patrzyła na Francję. Doniesienia o kolejnych powstaniach napływały z Włoch, Polski i Niemiec. I w tym właśnie momencie, jakby na jakiś sygnał, w Anglii wybuchły zamieszki.

Tak zwane powstanie Swinga, które w sierpniu przeraziło Anglię, nie dotknęło dużych miast. Wybuchło na południu i zachodzie, gdzie ceny podstawowych produktów były szczególnie wysokie; nazwa ruchu wzięła się od kapitana Swinga, który, jak się później okazało, był postacią fikcyjną. Buntownicy winili wszystkich: rząd, maszyny rolnicze, posiadaczy ziemskich. Przez wiele tygodni rozruchy wybuchały w różnych miejsca, a bandy zbuntowanych chłopów przenosiły się z jednej wsi do drugiej.

Dla Carpentera ten rok był szczególnie ekscytujący. W pierwszych miesiącach zainteresowało go to, co się działo na północy kraju. Podejmowano tam próby łączenia organizacji drobnych rzemieślników i robotników w związki zawodowe, które mogły wywierać skuteczny nacisk na klasę rządzącą. Cele tych nowych związków nie były jeszcze sprecyzowane. „Ale już sam fakt, że się łączą, i to pokojowo, na dłuższą metę może oznaczać zmiany”, stwierdził Zachary.

Najbardziej podniosły go na duchu wybory, w których wsparł swojego nowego sojusznika Boctona. Zgodnie z odwiecznym zwyczajem po śmierci monarchy i koronowaniu nowego króla Wellington ogłosił wybory do parlamentu. Nie miały one szczególnego znaczenia, bo większość

kandydatów nie miała żadnych oponentów. Ale dla Boctona i Carpentera była to prawdziwa walka. O mandat z St Pancras ubiegał się również złotousty adwokat wspierany przez radę parafialną, przekonany o tym, że jego zwycięstwo jest przesądzone. Zaskakujący start ponurego torysa Boctona, opowiadającego się za reformatorskim programem wigów, wydawał mu się niestosowną ingerencją.

Bocton i Carpenter opracowali bardzo prostą taktykę. Bocton przemawiał wszędzie tam, gdzie robił to jego rywal. Najpierw zgadzał się z każdym jego słowem, a potem stwierdzał: „Niestety, to się nie uda". I zaczynał rysować przerażający obraz – robił to doskonale, bo sam w to wierzył. Rewolucja we Francji, na północy kraju związki zawodowe, bandy wygłodniałych robotników, które lada moment wleją się przez London Bridge do miasta. A na koniec wykrzykiwał: „Tego właśnie chcecie? Przez całe życie reprezentowałem interes arystokratów, ale powiadam wam, tak się dłużej nie da. Albo rewolucja, albo reformy. Wybór należy do was".

Przemówienia Carpentera, adresowane do reformatorów i radykałów stanowiących w pewnym sensie jego okręg wyborczy, sprowadzały się do prostego przesłania: „Bocton jest torysem, ale przejrzał na oczy. Na razie nie ma lepszego kandydata niż on. I dlatego powinniśmy na niego zagłosować".

W ciągu ostatnich lat Carpenter rzadko widywał hrabiego. A gdy się w końcu spotkali, z żalem zauważył, że St James, który już dawno przekroczył osiemdziesiątkę, nie wygląda najlepiej. Ubranie na nim zwisało, miał sinoczerwone opuchnięte dłonie, a w oczach pojawił się wyraz zniecierpliwienia.

Zachary zauważył hrabiego podczas jednego z wystąpień Boctona. St James stał nieco na uboczu w towarzystwie George'a, swojego wnuka, i z uwagą przyglądał się wszystkiemu. Najwyraźniej słyszał też, co mówi

Bocton. Po wiecu Carpenter, zadowolony z przemówienia, podszedł do niego.

– Widzę, że wspiera pan swojego syna, milordzie – rzucił swobodnie.

Przez chwilę miał wrażenie, że hrabia go nie usłyszał. Już miał powtórzyć swoje słowa, gdy St James wybuchnął:

– Mam wspierać Boctona? Tego zdrajcę? Ani myślę!

Młody George milczał, czego Carpenter nie omieszkał nie zauważyć.

– Do diabła z wami wszystkimi – rzucił hrabia i odszedł.

Lord Bocton wygrał w okręgu St Pancras dużą większością głosów. We wszystkich okręgach, w których toczyła się walka, wybierano reformatorów. „Jestem przekonany, że wieje wiatr zmian”, oświadczył Zachary. Wielu torysów zaczynało się wahać.

Sytuacja w kraju nadal była niepewna. Powstanie Swinga trwało, ogarniając kolejne tereny, a władze nie umiały go stłumić. Wigowska opozycja nieustannie drwiła z rządu, powtarzając, że klasy średnie nie będą tego dłużej tolerować. „Niektórzy torysi zaczynają zachowywać się nerwowo”, donosił z Westminsteru Bocton.

Lecz diuk Wellington nie zamierzał się cofnąć. Jego rząd zgodził się na jedno ustępstwo: drobni producenci otrzymali pozwolenie na wytwarzanie taniego piwa. To zrównoważy, tłumaczył Wellington, wyższe ceny chleba. Ale u niezdecydowanych torysów w Izbie Gmin, mniej zaprawionych w politycznych bojach, zamieszki na prowincji wciąż budziły przerażenie.

Boctona rozbawiło nawet, gdy któregoś dnia podszedł do niego zdenerwowany poseł i nie zdając sobie sprawy, że to on jest autorem tego hasła, oświadczył: „Został nam jeden wybór: albo rewolucja, albo reformy”.

Na początku listopada dzielny diuk Wellington, uznawszy, że czas zewrzeć szyki, oświadczył z całym spokojem, że w dającej się przewidzieć

przyszłości w kraju nie będzie żadnych reform. Nawet część torysów uznała, że posunął się za daleko. Dwa tygodnie później rząd został pokonany w Izbie Gmin jednym głosem. Bocton pojechał do warsztatu Carpentera, żeby mu o tym donieść. „Król wezwał do siebie wigów. Będzie pan miał swoje reformy".

Dla Lucy był to bardzo bolesny rok. Wiosna przyniosła ciepło, ale stan zdrowia Horatia wcale się nie poprawiał. W upalne letnie dni chłopiec był często zmęczony, ale gdy tylko sił mu starczało, szedł nad rzekę i czekał, aż Lucy skończy pracę z Silasem. Któregoś razu pozwoliła mu wsiąść do łódki – przepłynęli od London Bridge aż do Bank. Poprzedniego lata pewien przedsiębiorczy jegomość uruchomił tam nowy środek transportu: wielki wóz ciągnięty przez trzy silne konie mieszczący dwudziestu pasażerów. Omnibus, jak go nazywano, kursował z Bank aż do Paddington. Dzieci dojechały nim na skraj St Pancras. Kurs kosztował sześć pensów.

Lucy widziała, że Horatio słabnie. W głębi serca zdawała sobie sprawę, że w przygnębiającym mieszkaniu, w sąsiedztwie brudnej rzeki i w oparach okropnej londyńskiej mgły chłopiec nigdy nie wyzdrowieje. I choć myśl o rozstaniu była nie do zniesienia, powiedziała kiedyś do Silasa: „On musi się stąd wynieść".

Nie zareagował.

Zastanawiała się, kto im może pomóc.

„Nie masz jakiejś rodziny albo przyjaciół? – dopytywała błagalnie Silasa. – Żadnych krewnych?".

Ale on miał zawsze jedną odpowiedź: „Nie".

Któregoś październikowego dnia Horatio brodził po błotnistych mieliznach przy Blackfriars. Nagle krzyknął głośno i zaczął machać gwałtownie do Lucy i Silasa, którzy wypłynęli już na środek nurtu. Klnąc pod nosem, Silas zgodził się zawrócić. Lucy rzuciła się biegiem do brata,

drżąc z obawy, że stało mu się coś złego. Gdy dotarła na miejsce, nogi miała ochlapane czarnym błotem. Horatio uśmiechał się uszczęśliwiony, z dumą pokazując w wyciągniętej dłoni pięć złotych suwerenów.

– Patrz! – zawołał. – Czy teraz jesteśmy bogaci?

– Tak! – przytaknęła Lucy.

– Przestaniesz teraz pracować? Przynajmniej na jakiś czas?

– Zrobimy sobie wspaniałą ucztę – zaproponowała.

Tego popołudnia Lucy i Silas jeszcze przez godzinę przeczesywali rzekę. A oglądając się za siebie, Lucy widziała drobną postać chłopca. Na jego bladej twarzy widniał uśmiech i dziwne, niezdrowe rumieńce. Wtedy pomyślała z dreszczem grozy, że Horatio wygląda jak istota z innego świata.

Najsłynniejsze zwycięskie głosowanie w Izbie Gmin miało miejsce 23 marca 1831 roku. Wielka Ustawa o reformie prawa wyborczego, przedstawiona przez nowy rząd wigów, została uzgodniona po wielu burzliwych dyskusjach. Ustawa likwidowała sto miejsc w parlamencie i wprowadzała radykalne zmiany ustrojowe. „Mimo wszystko wydaje mi się – ostrzegał Bocton Carpentera – że sprawa nie jest przesądzona”. Miał rację. Historyczne prawo, które wprowadziło do Anglii nowoczesną demokrację, przeszło zaledwie jednym głosem.

„Moim”, twierdził Bocton.

Niestety, to nie był koniec. W ciągu kilku dni uchwalono niszczącą nowelizację, po której z reformatorskiej ustawy nie zostało nic. Jednak to posunięcie twardogłowych nie zaniepokoiło Carpentera. „Wigowie poszukają poparcia na prowincji – stwierdził. – I wygrają”. Rzeczywiście, należący do wigów premier Grey natychmiast ogłosił nowe wybory. Wigowie wygrali dużą większością głosów. Reform nic już nie mogło powstrzymać.

Jednak pewne drobne wydarzenie dało im do myślenia. Było to jeszcze na początku nowych wyborów – Carpenter miał się spotkać z Boctonem. Znalazł go w zatłoczonej sali przylegającej do Westminster Hall.

– Podobno twój syn też kandyduje. Z jakiegoś zgniłego miasteczka – rzucił niewinnie.

Bocton spojrzał na niego zaskoczony.

– Naprawdę?

Chwilę później zauważyli starego hrabiego St James, który wkroczył sztywno do sali w towarzystwie kilku parów. Bocton podszedł do niego.

– Wiedziałeś, ojcze, że George kandyduje ze zgniłego miasteczka?

– Owszem, wiedziałem. Sam mu kupiłem ten mandat.

– Nic mi o tym nie mówiłeś.

– Nie? Widocznie zapomniałem.

– Już nie mogę się doczekać, jak będziemy mogli zgodnie zagłosować w parlamencie. Ojciec i syn razem w tej samej sprawie – zauważył oschle Bocton.

Fakt, że ktoś kandydował ze zgniłego miasteczka, nie musiał od razu oznaczać, że jest przeciwny reformom. Wielu wigów, którzy dostali się do parlamentu ze zgniłych gmin lub miasteczek, było gotowych głosować za likwidacją własnych mandatów.

– Naprawdę? – Stary hrabia wzruszył ramionami. – Bo ja nie mam pojęcia, jak on zamierza głosować.

Carpenter myślał, że się przesłyszał.

– Zagłosuje za reformami tak samo jak ja czy pan, milordzie – odezwał się. – Przecież po to wysłaliście go do parlamentu.

– Tak? – rzucił hrabia z roztargnieniem. Stracił wątek rozmowy czy może chciał jedynie wyprowadzić syna z równowagi? Wpatrywał się

w Carpentera. – Nie wiesz, jakie są zakłady u bukmacherów przed tymi wyborami? – spytał nagle. – Wiesz może, kto prowadzi rejestr?

– Nie, milordzie.

– Chyba muszę to sprawdzić. I zdaje się – dorzucił po chwili, marszcząc brwi – że już dawno nie byłem na wyścigach.

Tamizę przygniatała gęsta brunatna mgła. Czy łódka już zawróciła? Gdzie mogli teraz być, naprzeciwko Blackfriars czy obok Tower? A może zdążyli dopłynąć do Wapping? Lucy nie potrafiła się zorientować, choć coraz lepiej znała rzekę. Po godzinie zapytała o to Silasa, ale on tylko coś mruknął.

Zupełnie nie rozumiała, jak on chce coś znaleźć w tych brunatnych miazmatach. Od czasu do czasu rzucał jej krótkie polecenia: „Bardziej na lewą burtę. Tak trzymać". Najwyraźniej widział w tej mętnej wodzie i powietrzu coś, czego inni nie umieli dostrzec.

Łódź unosiła się na falach, a Lucy odpłynęła daleko myślami. Wydawało się, że po znalezieniu złotych monet Horatio poczuł się lepiej. Na Boże Narodzenie przygotowali dla matki wspaniałą ucztę, a chłopiec nawet zaśpiewał kolędę, której się gdzieś nauczył. Ale już w styczniu zaczął kasłać flegmą, a w pierwszym tygodniu lutego dręczyła go taka gorączka, że Lucy bała się, że jego wątły organizm tego nie zniesie. Infekcja, która wdarła się do jego płuc, była gęsta i podstępna jak londyńska mgła. Przez dwa miesiące Horatio nie wychodził z domu, siedział na łóżku owinięty w szale. Matka przykładała mu gorące kompresy, żeby wygnać chorobę, a on dziękował jej za to ze łzami w oczach. Dopiero w maju choroba zniknęła, przynajmniej na jakiś czas, ale i tak przez całe lato chłopiec był osłabiony. A teraz, gdy przyszły wrześniowe chłody i mgły, Lucy z przerażeniem myślała, że straszna choroba może powrócić.

„Trzymaj się od niego z daleka, bo też się zarazisz", przypominał jej Silas.

„On musi się stąd wyprowadzić”, powtarzała.

Widziała wyraźnie Silasa. Siedział oparty piersią o wiosła, wyglądał, jakby też miał już dosyć pracy. Rzadko rozmawiali, ale z jakiegoś powodu Silas był tego dnia bardziej przyjazny.

– Dzielna z ciebie dziewczyna. Trzeba ci to przyznać. Mgła gęsta jak ciasto, a ty nigdy nie marudzisz.

– E tam. – Ale zachęcona jego słowami odważyła się zapytać: – Skąd wiesz, gdzie szukać różnych rzeczy? Nawet w takiej mgle?

– Nie wiem – przyznał. – Jakoś zawsze na coś trafiam.

– W dzieciństwie pływałeś po rzece?

Kiwnięcie głową.

– A twój ojciec?

– Był przewoźnikiem. Na rzece pracowała cała rodzina. Z wyjątkiem siostry – dorzucił zamyślony. – Ona tego nienawidziła.

Serce Lucy zabiło mocniej. A więc Silas miał siostrę. Nie zauważył jej zdziwienia. Wpatrywał się we mgłę, jakby był myślami gdzie indziej.

– Nie została z wami? – spytała cicho.

– Sarah? Nie. Wyszła za mąż za woźnicę z Clapham – powiedział z zadumą. – Otworzyli tam sklep. – Nagle zorientował się chyba, że zdradził coś, czego nigdy nie chciał ujawnić, bo dorzucił szybko: – Ale już nie żyją. I to od dawna. Oboje. Nie mieli dzieci.

Lucy była niemal pewna, że Silas kłamie.

– Przykro mi – powiedziała, lecz jej umysł pracował gorączkowo.

W październiku 1831 roku Zachary Carpenter po raz pierwszy w życiu uznał, że świat zmierza w dobrym kierunku. Wrześniowe mgły rozpłynęły się, przyszła piękna pogoda. Dwa tygodnie wcześniej, tak jak się spodziewano, Izba Gmin uchwaliła bez przeszkód Ustawę o reformie prawa wyborczego. Lord Bocton i jego syn głosowali za jej przyjęciem. Dzięki

temu w rodzinie znów zapanuje zgoda, pomyślał Zachary. A tego dnia ustawa miała trafić do Izby Lordów. Potem podpisze ją król i ustawa stanie się prawem.

Ale Carpenter miał jeszcze większe powody do zadowolenia. Oto całkiem niedawno posłowie uchwalili przepis, na mocy którego „zamknięta” rada parafialna w St Pancras stała się nielegalna.

Dlatego wiadomość, która nadeszła wieczorem od Boctona, poruszyła go do żywego. Naciągnął w pośpiechu płaszcz i pozwoliwszy sobie na kilka soczystych przekleństw, popędził do domu przy Regent’s Park, gdzie obecnie mieszkał hrabia St James.

Jeszcze nigdy w życiu Zachary Carpenter nie był tak zagniewany jak teraz, stojąc naprzeciwko hrabiego. St James miał na sobie wspaniały, jedwabny szlafrok, który – jak z irytacją ocenił Carpenter – musiał kosztować co najmniej pięćdziesiąt funtów. I chyba po raz pierwszy dostrzegł, że za maską hazardzisty i reformatora kryje się bogaty, kapryśny egoista. Nawet nie starał się zważać na słowa.

– Co ty wyprawiasz, stary oszuście?! – wrzasnął.

Izba Lordów odrzuciła Ustawę o reformie prawa wyborczego niewielką większością głosów. Hrabia St James był jednym z parów, którzy głosowali przeciwko niej.

Carpenter nie miał pojęcia, jakiej reakcji może się spodziewać po takim wybuchu, ale wcale o to nie dbał. Znając St Jamesa, oczekiwał nawet bardzo ostrych słów. Tymczasem zauważył ze zdziwieniem, że stary arystokrata zawahał się i zmarszczył brwi, jakby miał w głowie mętlik. Po chwili, strzepując z mankietu szlafroka niewidzialny pyłek, wymamrotał:

– Chcieli odebrać George’owi mandat.

– Oczywiście! Przecież to zgniły okręg! – krzyknął Carpenter zirytowany. Ale St James zmarszczył brwi, jakby o czymś zapomniał.

– Nie mogłem pozwolić, żeby odebrali George’owi mandat – powtórzył.

Carpenter był tak zaślepiony złością, że nie zauważył rzeczy dość oczywistej. Hrabia St James nie był w pełni władz umysłowych. Miał osiemdziesiąt osiem lat i wszystko mu się pomieszało.

– Ty stary głupcze! – wrzasnął Carpenter. – Ty podły arystokrato. Jesteś taki sam jak reszta. Zwykli ludzie to dla ciebie jedynie zabawki. Tobie chodzi tylko o zakłady. Nie ma w tobie żadnych ludzkich uczuć. Powiedz mi, szlachetnie urodzony lordzie, za kogo ty się uważasz? – Teraz już dosłownie wrzeszczał starcowi w twarz. – Za kogo ty się uważasz?!

Odwrócił się na pięcie i wyszedł, trzaskając drzwiami. Nie mógł więc zobaczyć, że hrabia St James patrzy za nim ze szczerym zdziwieniem.

– Za kogo ja się uważam? – powtórzył w pustym pokoju.

W Southwark jaśniał świt. Lucy wiedziała, że nie może tracić czasu. Dzień po tym, gdy przyszła mgła, Horatio zaczął kasłać. A pod koniec września wróciła gorączka i chłopiec dosłownie spalał się na jej oczach. Za jednego złotego suwerena zawołała lekarza, ale tylko pokręcił smutno głową i poradził, żeby owijać chłopca wilgotnymi ręcznikami dla obniżenia gorączki.

Czy Horatio mógłby wyzdrowieć, gdyby mieszkał za miastem, gdzie nie ma wilgoci i jest świeże powietrze?, dopytywała Lucy. Może, przyznał lekarz, wzruszając ramionami. A potem oddał jej suwerena.

Szóstego października Horatio zaczął kasłać krwią. I słabł z każdym dniem. Pomyślała, że brat nie przetrzyma kolejnej zimy.

Lawendowe Wzgórze. Widok cudownej niebieskiej mgiełki nawiedzał ją niemal każdego dnia. Gdyby tylko mogła go tam zabrać. Przecież mają krewną w Clapham. A krewna prowadzi sklep na jednym z tamtejszych wzgórz. Do Clapham dochodziły tylko najgorsze mgły. Bez trudu wyobrażała sobie nieznaną kuzynkę: była serdeczna, dobra, prawie jak

matka. Ucieszy się na widok małego chłopca, zajmie się nim i może uratuje mu życie. Przecież w Clapham nie może być dużo sklepów. Wystarczy popytać i na pewno Lucy ją znajdzie. Chciała wybrać się na poszukiwania, ale nie miała czasu, a potem, widząc, że chłopiec kaszle krwią, myślała już tylko o jednym: musi go tam natychmiast zawieźć.

Nikomu o tym nie powiedziała. Silas jej nie pomoże, co do tego nie miała wątpliwości. Nie była pewna, jak zareaguje matka, ale wolała nie ryzykować. Dzień wcześniej znalazła furmana, który za szylinga zgodził się zawieźć ich o świcie do London Bridge. Zostawiła ciepło opatulonego Horatia przy stopniach nad wodą, a sama przeszła na drugi brzeg do Southwark, żeby wziąć łódź.

– Co zrobimy, jak już będziemy na Lawendowym Wzgórzu? – pytał Horatio słabym głosem. – Nie dam rady chodzić, jak ty będziesz szukać naszej krewnej.

– Możemy przecież pójść do tej dobrej pani, która nas wtedy podwiozła. Wiemy, gdzie ona mieszka.

– O, to by mi się podobało – zgodził się.

Słońce zaczynało wschodzić, gdy Lucy podpłynęła do stopni i zniosła Horatia do łódki. Szczękał zębami, ale się nie skarżył. Chwilę potem płynęli powoli w górę nurtu.

W bladym świetle świtu szła ulicami jeszcze jedna postać. Mężczyzna ubrany był w palto i pomięty trójgraniasty kapelusz, w którym wyglądał jak stróż albo uliczny latarnik z poprzedniego stulecia. Jednak pod paltem miał kolorowy jedwabny szlafrok, a na nogach wypolerowane pantofle zamiast ciężkich butów. W pewnym oddaleniu szedł za nim zdenerwowany lokaj.

Gdy Lucy i Horatio przepływali pod mostem Westminster, hrabia St James dotarł do Seven Dials.

Kręciło się tu już sporo ludzi. Sprzedawcy na Covent Garden rozkładali kramy, w powietrzu czuć był zapach świeżego chleba. Niebo zasnuwały wysokie szare chmury, ale mimo to zapowiadał się całkiem ciepły dzień. Hrabia zatrzymał się przed kolumną, jakby kogoś szukał. Potem obszedł placyk dokoła i znów stanął przy żelaznych poręczach. Stał tam przez dłuższą chwilę, czujnie obserwowany przez lokaja. W końcu zauważył zbliżającego się straganiarza z taczką. Straganiarz od razu zorientował się, że starszy pan może być trochę pomylony, więc odbył z nim przyjacielską pogawędkę. Zastanowiła go pewna rzecz: starzec mówił z silnym akcentem cockney.

– Znasz mojego ojca?

– A kim on jest, panie?

– Harry Dogget, sprzedaje towary z wózka. Szukam swojego ojca.

– Ja bym myślał, że pański ojciec od dawna nie żyje.

Hrabia St James zmarszczył brwi.

– Nie znasz Harry’ego Doggeta?

Handlarz się zamyślił. Coś zaczęło mu świtać. Rzeczywiście, gdy był małym chłopcem, słyszał o jakichś Doggetach. Ale od tego czasu minęło ponad czterdzieści lat.

Dołączyła do nich kobieta z koszykiem ostryg, spodziewając się jakiejś rozrywki.

– Kto to? – spytała.

– Szuka ojca – odparł handlarz.

– A mamusi ci może nie trzeba? – rzuciła ze śmiechem.

– Nie. – St James pokręcił głową. – Ona mi w niczym nie pomoże.

– Dlaczego?

– Szczupak i lin, co tu gadać – odparł ze smutkiem. Ożywił się nagle. – Muszę znaleźć Sepa.

– Sepa? A kim on jest? I po co ci on?

– To on powinien być w tym kominie, a nie ja – odparł jego lordowska mość.

– On ma nie po kolei w głowie – orzekła kobieta.

– Gdzie jest Sep?! – krzyknął rozpaczliwie St James. – Muszę go znaleźć!

Kilka metrów dalej zatrzymał się powóz, z którego wysiadł lord Bocton w towarzystwie pana Corneliusa Silversleevesa.

Płynęli bardzo powoli. Łódź była ciężka, a do tego Lucy musiała wiosłować pod prąd. Gdy dotarli do mostu Vauxhall, Horatio, który przez cały czas miał dreszcze, dziwnie zaniemógł. Głowa opadła mu bezwładnie na pierś, na bladym czole pojawiły się kropelki potu. Z trudem chwytał powietrze.

Miejsce, do którego zmierzali, znajdowało się niedaleko Chelsea, zaraz za prostym odcinkiem rzeki. Stał tam stary walący się drewniany most, za którym Tamiza ostro skręcała w lewo. Nieco dalej, przy Battersea, wpadał do niej niewielki strumień, a stąd już mieli tylko kawałek drogi do Lawendowego Wzgórza i Clapham.

Był późny ranek. Lucy zatrzymała łódź przy małym pomoście niedaleko wiejskiego kościoła. Ludzie mówili, że kościół powstał jeszcze w czasach Wilhelma Zdobywcy.

Horatio był tak słaby, że musiała go na rękach wynieść z łódki.

– Spójrz, jesteśmy na miejscu – powiedziała, ale chyba jej nie słyszał.

Lucy usadziła brata na brzegu, zastanawiając się, co robić. Rozejrzała się dokoła i zauważyła, że na małym cmentarzu stoi stary rodzinny grobowiec z obiegającym go szerokim występem. Przeniosła tam Horatia. Usiadła, opierając się plecami o grobowiec, przytuliła brata do siebie i zaczęła go delikatnie kołysać.

Na cmentarzu było pusto. Najwyraźniej o tej porze nikt tu nie zaglądał. Wśród gałęzi ćwierkały wróble, przy brzegu pływały ptaki, od czasu do czasu wydając przenikliwe piski. Nagle słońce przebiło się przez warstwę szarych chmur – Lucy odwróciła Horatiowi głowę w stronę promieni, mając nadzieję, że ciepło doda mu sił. W końcu chłopiec otworzył oczy i spojrzał na nią bez wyrazu.

– Jesteśmy na miejscu. Spójrz! – Wskazała pobliskie zbocza. – Widać stąd Lawendowe Wzgórze.

Po dłuższej chwili chłopiec zdobył się na uśmiech.

– Zaraz tam pójdziemy. I poczujesz się lepiej – powiedziała.

Skinął powoli głową.

– Ale posiedźmy tu jeszcze trochę.

– Dobrze – zgodziła się.

Horatio patrzył w milczeniu na Lawendowe Wzgórze. A potem spojrzał na cmentarz.

– Bóg mieszka w kościołach, prawda? – spytał.

– Oczywiście.

– Lawendowe Wzgórze – szepnął i zamknął oczy. A potem zaczął kasłać. Nie słyszała wcześniej u niego takiego charkotu – mokry i głęboki kaszel, jakby płuca wypełniał jakiś płyn. Pogłaskała go delikatnie po czole.

– Lucy – odezwał się cicho.

– Słucham.

– Czy ja umieram?

– Co ty pleciesz.

Próbował pokręcić głową, ale zabrakło mu sił.

– Chyba umieram.

Jego ciałem wstrząsnął lekki dreszcz.

– Chciałbym mieszkać z tobą na Lawendowym Wzgórzu – powiedział cichutko. – Dobrze, że mnie tu przywiozłaś – dorzucił po chwili.

– Nie odchodź! Nie poddawaj się! – prosiła żałośnie.

Nie odpowiadał. Znów zaczął kasłać.

– Lucy – odezwał się w końcu.

– Słucham, skarbie.

– Zaśpiewaj mi lawendową piosenkę.

Objęła go i zaczęła cichutko nucić:

– Niebieska lawenda, lawendowy kolor, ty będziesz królem, ja będę królową.

Chłopiec westchnął i się uśmiechnął.

– Jeszcze raz.

Śpiewała więc ich piosenkę raz po raz, jakby za sprawą czarów miała okazać się lekarstwem. Starała się, aby głos jej nie drżał, choć serce pękało z żalu. Za piątym albo szóstym razem, nie mogła sobie tego potem przypomnieć, w każdym razie gdy doszła do słów „ty będziesz królem”, poczuła, że jego wątłe ciało drgnęło, a potem zwiotczało. Dokończyła piosenkę, choć wiedziała, że Horatio już umarł.

– Doprawdy, co za niezwykły przypadek – stwierdził Silversleeves. – Całkowite przeniesienie osobowości. Proszę zauważyć zmianę głosu. Jemu się nawet wydaje, że pochodzi z innej rodziny.

– A więc jest obłąkany? – spytał Bocton.

– Absolutnie tak.

– Można go zamknąć?

– Oczywiście.

– Kiedy?

– Nawet teraz, jeśli pan sobie tego życzy.

– Bardzo by mi to odpowiadało – stwierdził Bocton. – I byłoby korzystne w sensie politycznym.

Głosowanie w Izbie Lordów z poprzedniego wieczoru wywołało tak wielkie oburzenie, że od rana zarówno nowa policja Roberta Peela, jak i policja podlegająca burmistrzowi City przygotowywały się na zamieszki. Godzinę po głosowaniu w Westminsterze podniosły się głosy, że król – jeśli chce zrealizować reformę – będzie musiał wprowadzić do Izby Lordów więcej wigów.

– Nieobecność mojego ojca – oświadczył Bocton oschle – zmniejszy tę liczbę o jeden.

O jedenastej trzydzieści zamknięty powóz minął bramę wielkiego szpitala Bedlam w Lambeth. Zdezorientowanego hrabiego St James wprowadzono do wspaniałej poczekalni.

Nie pozostał tu jednak długo.

W Bedlam obowiązywał zwyczaj wpuszczania publiczności, oczywiście po uiszczeniu stosownej opłaty. Dzięki tej liberalnej polityce każdy zainteresowany mógł przyjrzeć się nieszczęsnym osobnikom, których sąd albo Silversleeves uznali za szaleńców. Z niektórymi dało się nawet porozmawiać. Paru dżentelmenów uważało się za Napoleonów i przejawiało stosowne do tego zachowania. Inni śmiali się albo bełkotali coś niezrozumiale. Ale byli też tacy, których przykuwano do łóżek – siedzieli tam, patrząc ponuro przed siebie, albo rozbierali się do naga i dopuszczali się wyjątkowych sprośności. Pewien starzec, zaledwie w pół godziny po przybyciu, twierdził, że jest hrabią St James.

Meredith przybył do szpitala tuż po południu. Zawiadomił go o wszystkim George, gdy tylko dowiedział się, co się stało z dziadkiem.

Meredith mógł się uważać za bogacza, bo po kryzysie z 1825 roku jego bank szybko się rozwinął. Siwizna na skroniach dodawała jego wysokiej

postaci patrycjuszowskiej godności.

Nie miał dla George’a pocieszających słów.

– Obawiam się, że z pomocą Silversleevesa twojemu ojcu uda się ubezwłasnowolnić hrabiego. Musimy wydostać go z Bedlam. Tobie się to nie uda, bo Bocton na pewno ich uprzedził, żeby cię tam nie wpuszczono. Ale ja mogę spróbować.

– Co potem?

– Znajdę mu jakieś miejsce, gdzie są godniejsze warunki. Na pewno coś się da zrobić. – Uśmiechnął się. – Pamiętaj, że zawdzięczam mu swój bank.

– Ale oni będą chcieli zamknąć go w Bedlam.

– Najpierw będą musieli go znaleźć.

– Ależ to wygląda na porwanie!

– Owszem – przyznał Meredith.

– Będziesz go musiał natychmiast ukryć – zauważył George.

– Mam jedno miejsce, które się nada – zapewnił go Meredith.

Do całej sprawy zabrał się z wielkim sprytem. Najpierw wysłał gońca do Bedlam, żeby wypytał o Silversleevesa. Gdy chłopak upewnił się, że naczelnik szpitala wyjechał z Boctonem na godzinę lub dwie, Meredith natychmiast zajechał na szpitalny dziedziniec. Pewnym krokiem wszedł do budynku i nakazał odźwiernym przyprowadzić Silversleevesa. Ignorując ich zapewnienia, że naczelnika nie ma, przeszedł korytarzem i zażądał spotkania z St Jamesem. Gdy tylko go zobaczył, wziął go stanowczo pod ramię i ruszył z nim do wyjścia.

– Gdzie, do diabła, jest Silversleeves? – powtarzał zirytowany. – Otrzymałem polecenie, aby natychmiast przewieźć tego pacjenta w inne miejsce.

– Ale pan Silversleeves i lord Bocton mówili… – zaczął główny strażnik, lecz nie zdołał dokończyć.

– Nic nie rozumiecie! Jestem osobistym lekarzem jego wysokości. – Meredith podał nazwisko wybitnego lekarza. – I mam instrukcje od samego króla. Wiecie zapewne, że hrabia jest jego bliskim przyjacielem. – W końcu w jego żyłach płynęła krew śmiałego i pewnego siebie kapitana Jacka Mereditha. Dostojna sylwetka i wymienienie wpływowych postaci wywarły odpowiednie wrażenie.

– Proszę przekazać Silversleevesowi, żeby natychmiast stawił się w moim domu! – krzyknął, wyprowadzając hrabiego na zewnątrz.

Chwilę później jego powóz ruszył w stronę Westminsteru. Jednak gdy tylko zniknął strażnikom z oczu, skręcił i pojechał w zupełnie innym kierunku. I tak oto los sprawił, że tego dnia nie mały Horatio Dogget, ale stary hrabia St James znalazł się pod opieką pani Penny w jej domu niedaleko Lawendowego Wzgórza.

– Psiakrew! – zaklął lord Bocton, dowiedziawszy się o ucieczce ojca. – Trzeba było przykuć go łańcuchem do ściany!

Ustawa o reformie prawa wyborczego została w końcu uchwalona latem 1832 roku. Miasta pozbawione do tej pory swojej reprezentacji otrzymały możliwość wybierania posłów, zlikwidowano zgniłe okręgi, a do tego dano prawa wyborcze szerokim rzeszom klasy średniej. Kobiety, bez względu na status społeczny, wciąż nie mogły głosować.

Po śmierci brata Lucy miała pod opieką tylko matkę, dlatego od kilku miesięcy zastanawiała się, czy może sobie pozwolić na rzucenie pracy u Silasa. Rozważała wiele innych możliwości, między innymi zatrudnienie w małej fabryce, w której dawniej pracowała matka. Zastanawiała się też, czy nie uda jej się uzyskać jakiejś pomocy od nieznanej krewnej z Clapham. Ale choć trzy razy wyprawiała się na poszukiwania, nie udało jej się natrafić na ślad Doggetów ani ich krewnych.

Dylemat rozwiązał się niejako sam. Pewnego letniego dnia Lucy jak zwykle poszła do pracy, ale Silas przywitał ją na pomoście.

– Gdzie masz łódkę? – spytała.

– Sprzedałem. I prawdę powiedziawszy, nie będziesz mi już potrzebna. Znalazłem sobie inne zajęcie.

Zaprowadził ją na wąską uliczkę, przy której stał stary brudny wózek. Pusty.

– Będę nim wywoził.

– Co będziesz wywoził?

– Śmiecie – oznajmił z zadowoleniem. – Ludzie chętnie za to płacą. Będę je składował na podwórku, nawet już takie znalazłem. A jak się potem w tym dobrze pogrzebie, to na pewno da się coś znaleźć.

– Czyli właściwie będziesz robił to samo.

– Niby tak. Ale ze śmieci jest więcej pieniędzy niż z rzeki. Dobrze się temu przyjrzałem. – Pokiwał głową. – Jak chcesz, możesz mi pomagać grzebać w śmiechach, ale mogę ci płacić za to co najwyżej pensa.

– Chyba jednak nie.

– Nie będziecie miały z matką pieniędzy.

– Damy sobie radę.

– Może będę mógł wam pomóc – rzucił na pożegnanie.

Tego roku Eugene Penny miał nieoczekiwany wydatek, ale na szczęście mógł sobie na niego pozwolić.

Hrabia St James mieszkał z nimi przez trzy tygodnie i były to najgorsze trzy tygodnie w życiu Penny’ego. Bywały dni, że starzec odzyskiwał świadomość i chciał wracać do domu. Eugene musiał go powstrzymywać, co czasem wymagało użycia siły fizycznej. Na ogół hrabia był potulny, ale kilka razy, gdy mąciło mu się w głowie, zachowywał się wobec Mary

agresywnie. Na szczęście Meredith zabrał go w końcu do jakiegoś spokojnego miejsca w West Country.

Od tamtej pory Eugene'a tak pochłonęły sprawy w banku, że nie miał czasu, aby pomyśleć o czymś innym. Ale pewnego dnia, idąc Fleet Street, zauważył smutną przygarbioną postać w zniszczonych butach, idącą w kierunku kościoła St. Bride's. Z przerażeniem rozpoznał w niej swojego ojca chrzestnego Jeremy'ego Fleminga. Zalały go wyrzuty sumienia.

Zdał sobie sprawę, że nie odwiedził go od dwóch lat. A przecież spotkało go z jego strony tyle dobrego. Owszem, był zapracowany, ale to żadne wytłumaczenie.

Fleming od razu opowiedział mu swoją historię.

– Pewnie pamiętasz, że w 1830 roku Wellington wydał Ustawę o piwie. W tamtych czasach wszyscy narzekali na wysokie ceny, więc diuk ustanowił prawo, że każdy może wyrabiać i sprzedawać, pamiętasz? Nie wiedziałem, co zrobić ze swoim życiem, więc założyłem tam mały browar. – Wskazał głową gdzieś w kierunku St Pancras. – I przez rok, mój drogi, warzyłem piwo.

– A mnie się wydawało, że jesteś zbyt rozważny na takie przedsięwzięcia – zauważył Penny.

– I całkiem słusznie. Ale byłem tak pełen podziwu dla ciebie, że powiedziałem sobie: „Gdyby nie twój brak odwagi, Jeremy, to też mógłbyś to osiągnąć". A potem pomyślałem: „Przecież każdy chce pić piwo". Tylko że nikt nie chciał pić mojego. I wtedy straciłem rozsądek i brnąłem dalej. – Uśmiechnął się smutno, kręcąc głową. – Straciłem wszystko.

– Nic o tym nie wiedziałem! – wykrzyknął Penny. – Nic mi nie mówiłeś. – Bo nigdy o to nie pytałem, dodał w myślach. – No i jak ci się żyje? – spytał.

– Mam dobre dzieci, Penny. Nawet na nie nie zasługuję. Pomagają mi, jak mogą. Nie przymieram głodem.

– A twój dom?

– Mam teraz małe mieszkanie. Niedaleko.

– Jeszcze dziś musisz przyjść do nas na kolację – oświadczył stanowczo Penny. – I możesz u nas zamieszkać.

Od tamtego czasu pan Jeremy Fleming nie musiał się już martwić o płacenie czynszu, a krawiec co najmniej raz do roku szył mu nowe ubrania. Często odwiedzał dom w Clapham i na prośbę Mary był dla ich dzieci jak drugi ojciec chrzestny.

– Jesteś dla niego bardzo dobry – chwaliła czasem męża.

Na co Eugene przecierał okulary i kręcąc głową, mówił:

– Za późno, Mary. I wstyd mi z tego powodu.

Mimo to gdy w letnie wieczory wybierał się z żoną na przechadzkę, dochodził do wniosku, że może uznać swoje życie na Lawendowym Wzgórzu za bardzo udane.

Crystal Palace

Rok 1851

Wszystko było bardzo starannie zaplanowane. Punktualnie o trzeciej cała rodzina zbierze się w dużym domu w Blackheath – wszystkie córki oraz ich mężowie wiedzieli, że z wizytą u Dyrektora spóźniać się nie należy. Poza tym dziś wypadały jego urodziny. Spóźnienie byłoby niewybaczalne.

Zostało im jeszcze trochę czasu. Jej mąż wyliczył, że mają na swoje przyjemności dwie godziny i czterdzieści minut. I oto teraz z niejakim podnieceniem Harriet Penny zbliżała się z małżonkiem do ogromnej konstrukcji, która błyszczała i migotała jak czarodziejski pałac z baśni.

Czegoś podobnego nigdy wcześniej nie widziano. Budowla miała ponad dwadzieścia metrów wysokości (w środku pozostawiono nawet rosnący wiąz) i była cztery raz dłuższa od katedry Świętego Pawła – ciągnęła się na ponad pięćset metrów przy południowym skraju Hyde Parku. I co najbardziej zadziwiające, wzniesiono ją głównie ze stali i szkła.

Gigantyczna hala, w której w 1851 roku odbyła się Wielka Wystawa – natychmiast nazwana „kryształowym pałacem” – była triumfem brytyjskiej myśli inżynieryjnej. Zaprojektowana jak wielka szklarnia, została zbudowana ze szklanych i żeliwnych prefabrykatów jednakowej wielkości w ciągu zaledwie kilku miesięcy. Zajęła powierzchnię ponad dziewięćdziesięciu trzech tysięcy metrów kwadratowych. Ta lekka konstrukcja z dobrą wentylacją, w której puste żelazne wsporniki służyły

także za rury ściekowe, była symbolem postępu i nowoczesności. Jedynym staromodnym elementem – wprowadzonym na prośbę diuka Wellington – była para krogulców, które miały rozwiązać problem ptaków zanieczyszczających galerie. Pomysł międzynarodowej wystawy i mającej ją pomieścić wielkiej hali pochodził od Alberta, zdolnego męża młodej królowej Wiktorii, który od początku do końca nadzorował cały projekt. Królewska para była z niego bardzo dumna.

Wystawę już uznano za triumf. Do Londynu zjeżdżali ludzie z całej Anglii. Z Francji, Niemiec, Włoch, Ameryki, a nawet z Dalekiego Wschodu przybywały nie tysiące, a miliony gości, żeby podziwiać pokazywane na niej cuda. Oglądali je nie tylko przedstawiciele wyższych sfer – prości ludzie mogli wejść do środka za jednego szylinga.

Harriet nie widziała jeszcze wystawy, choć od jej otwarcia w maju minęły trzy miesiące. Jej trzy siostry już wszystko zobaczyły, ale ona chciała zwiedzić pawilon z mężem. Uszczęśliwiona wzięła go pod ramię. Miała szczęście, trafiając na Penny’ego. Jej starsze siostry, Charlotte i Esther, wyszły za mąż po trzydziestce, obie za ambitnych, młodszych od siebie mężczyzn. I wyglądały na zadowolone. Była jeszcze młodsza siostra, Mary Anne, która różniła się od wszystkich.

Harriet poznała Penny’ego w wieku dwudziestu trzech lat. Od razu coś ją zaintrygowało w tym młodszym o dwa lata, a mimo to rozważnym, spokojnym okularniku. Ojciec Harriet, bankier, zabezpieczył swoje dzieci w kilku funduszach powierniczych, ale młody Penny miał własne ambicje, chciał zrobić karierę w ubezpieczeniach. Starsze siostry Harriet znalazły mężów dzięki temu, że miały majątek. Jednak Penny nie potrzebował pieniędzy Harriet. Po prostu nigdy by mu nie przyszło do głowy, aby ożenić się z kobietą niemajętną. To też jej się w nim spodobało.

Crystal Palace robił wielkie wrażenie, ale jak się szybko przekonali, to wystawa dosłownie zapierała dech w piersiach. Każdy liczący się na świecie kraj miał swoją ekspozycję. Był więc wypchany słoń z Indii ze wspaniałą, wysadzaną klejnotami lektyką na grzbiecie. Można było zobaczyć pięknie oświetlony gazowym światłem bajkowy brylant Koh-i-noor. Ze Stanów Zjednoczonych przyjechały maszyny rolnicze, między innymi odziarniarka bawełny, a także rewolwery pułkownika Colta i pływający kościół misjonarzy, który wędrował po rzece Delaware. Rosyjski car przysłał sobole futra. Był też pawilon turecki, porcelana z Chin, najrozmaitsze przydatne wyroby z Kanady i Australii oraz okazy minerałów z Afryki Południowej. Z Francji przyjechało niezwykłe urządzenie do składania kopert wykorzystywane przez de la Rue [34] oraz fontanna z wodą kolońską. Berlin przysłał przyrządy naukowe i maszyny do wytwarzania koronki. A to była zaledwie garść przykładów wspaniałych cudów sztuki i techniki, które można było podziwiać w szklanym pałacu.

Najwięcej miejsca, bo prawie połowę, zajmowała naturalnie ekspozycja brytyjska. Wagony, silniki, maszyny tekstylne, nowe urządzenia do galwanizacji, meble w nowym ozdobnym stylu, który miał zostać nazwany wiktoriańskim, zastawy firmy Wedgwood, a dla miłośników historii rekonstrukcja całego średniowiecznego dworu wykonana przez wybitnego architekta pana Purgina. Niestety, kiedy okazało się, że wśród ozdób wisi rzymskokatolicki krucyfiks, rekonstrukcja została uznana za „mało angielską” i przestała się podobać. Jednak poza tym drobnym potknięciem przesłanie wystawy było czytelne dla wszystkich: Wielka Brytania kwitnie, zajmuje pierwsze miejsce na świecie w produkcji przemysłowej i przewodzi największemu imperium na kuli ziemskiej.

Mimo utraty amerykańskich kolonii siedemdziesiąt lat wcześniej imperium brytyjskie wciąż się rozrastało. Pod jego władaniem była Kanada,

Indie Zachodnie, ogromne terytoria w Afryce, Indiach, Australii i Nowej Zelandii, więc powiedzenie, że słońce nigdy w nim nie zachodzi, odpowiadało prawdzie. Jednak nie panował w nim wschodni despotyzm. Owszem, brytyjska flota wojenna królowała na morzach i oceanach. Owszem, lokalny opór przeciwko naporowi angielskiego handlu i angielskich wartości był szybko tłumiony. Ale brytyjskie wojska na lądzie były naprawdę nieliczne. Bardziej rozwinięte terytoria z przyczyn czysto praktycznych zyskiwały status zamorskich posiadłości z szerokim zakresem władzy samorządowej. Reszta imperium zachowała swój dawny charakter – stanowiła mozaikę kolonii rządzonych przez kupców i osadników, porozrzucane tu i ówdzie garnizony oraz pełnych dobrych chęci zarządców, którzy wierzyli w protestanckiego Boga i w handel. Bo handel był najważniejszy. Z kolonii płynęły do Anglii nie daniny, ale surowce, zwłaszcza bawełna. Tutaj były przerabiane i już jako gotowe produkty rozprowadzane na całym świecie. To właśnie handel w połączeniu z wynalazczością przynosił bogactwo i inne zdobycze cywilizacji ludziom w najodleglejszych zakątkach świata.

Harriet wędrowała z mężem po wystawie przez dwie i pół godziny. W końcu wyszli do zalanego słońcem Hyde Parku i spojrzeli na niebo. Po chwili popatrzyli na siebie z rozbawieniem, ale i obawą jednocześnie.

– Co ta Mary Anne wyrabia? – spytał Penny.

Było jeszcze wcześnie, gdy Esther Silversleeves szła z mężem przez London Bridge. Pan Arnold Silversleeves cieszył się opinią szacownego obywatela. Był wysoki, wyższy nawet niż jego ojciec, który zawiadywał szpitalem Bedlam. Miał duży i długi nos i zupełnie nie znał się na żartach. Ale został już wspólnikiem w firmie Grinder and Watson Engineers, gdzie doceniano jego kompetencje, ale najbardziej chyba podziwiano jego zdolności matematyczne, które wręcz ocierały się o geniusz. Był szczerze

przywiązany do swojej żony i dzieci, lecz prawdziwą pasją jego życia było żeliwo. Zabrał żonę na Wielką Wystawę, żeby pokazać jej wszystkie wspaniałe maszyny, ale wcześniej, jeszcze podczas budowy, trzy razy przyprowadzał ją do Crystal Palace, żeby objaśniać jej zasady konstrukcji.

Miał naprawdę dziwny sposób chodzenia. Pokonywał dziesięć lub dwadzieścia kroków równym tempem i zatrzymywał się bez żadnej wyraźnej przyczyny, a potem ruszał dalej, dużo szybciej, w pewnym momencie gwałtownie zwalniał albo znów się zatrzymywał. Jedynie jego żona, dzięki długiej praktyce posłuszeństwa, umiała dotrzymać mu kroku. W ten właśnie sposób dotarli do południowego skraju mostu i po kilku chwilach znaleźli się w przypominającym szopę budynku, w którym czekał ich środek transportu.

Arnold Silversleeves się uśmiechnął. Obiekt jego zachwytu miał zielony kolor z wyjątkiem lśniących mosiężnych fragmentów. Tuż za nim stało sześć czekoladowobrązowych wagoników. Pojazd syczał z zadowoleniem i wypuszczał parę, a od czasu do czasu wesoło parskał. Na peronie obok stało dwóch umundurowanych strażników w czapkach z daszkiem – wyprężeni z taką dumą, jakby trzymali straż pod pałacem Buckingham. Kompania kolejowa London and Greenwich Railway (pierwsza linia kolejowa w Londynie ze stacją końcową przy London Bridge została otwarta tuż przed koronacją królowej Wiktorii) była tak z siebie zadowolona, że nawet jej parowozy dumnie posapywały.

I miały ku temu powód. Czasy królowej Wiktorii nazwano epoką postępu dlatego, że była to też epoka pary.

Wprawdzie pierwszy silnik parowy wynaleziono jeszcze za panowania Jerzego III, ale napęd na parę upowszechniał się bardzo powoli. Od czasów regencji parowe maszyny działały w fabrykach włókienniczych na północy, po morzach pływały prymitywne parowce, lokomotywy pomagały

w transporcie węgla w kopalniach, nawet londyńskiego „Timesa” drukowano na napędzanej parą maszynie, ale dopiero za czasów królowej Wiktorii pojawiła się kolej pasażerska.

Jej rozwój był zadziwiający. W ciągu kilkunastu lat w Londynie powstało wiele rywalizujących ze sobą kompanii. Ze stacji Euston można było podróżować do Midlands i dalej na północ kraju. A trzy lata temu Silversleeves i jego firma zaangażowali się w budowę Waterloo, ogromnego dworca po drugiej stronie rzeki, naprzeciwko Westminsteru. Stąd pociągi odjeżdżały na południe i na zachód. Dyliżanse, w których mieściło się dziesięciu pasażerów, poruszały się po płatnych drogach z prędkością trzynastu kilometrów na godzinę. W wagonach ciągniętych przez parowóz mieściło się stu pasażerów podróżujących z prędkością sześćdziesięciu kilometrów na godzinę. I właśnie parowe pociągi przywoziły ludzi na Wielką Wystawę w Crystal Palace. Gdyby nie one, większość mieszkańców prowincji nigdy nie zobaczyłaby Londynu.

Rozwój kolei przyniósł też całkiem niespodziewany skutek. Pociągi musiały kursować zgodnie z rozkładem. Jednak mimo że średni czas Greenwich coraz powszechniej stosowano na morzach, to w angielskich miastach nadal obowiązywał czas lokalny tak jak za panowania Stuartów. Co oczywiście nie pozwalało na publikowanie jednoznacznych i zrozumiałych rozkładów jazdy pociągów. Dlatego na prowincji zaczęto posługiwać się standardowym czasem londyńskim. Parowozy rozwiozły prawdziwy porządek po całym królestwie.

Silversleeves uwielbiał ład. Dla niego oznaczał on szczęście i postęp. „Wszystko jest kwestią techniki”, zapewniał żonę. Wynikający z techniki porządek przynosił korzyści nawet najbiedniejszym. Nowe linie kolejowe z Euston wymagały wyburzenia całych dzielnic ruder. „Ci ludzie zostaną przekwaterowani”, tłumaczył. Przewidywał nawet, że nadejdzie dzień, gdy

zwykli plebejusze zamieszkają w czystych osiedlach za miastem, a do pracy będą codziennie dojeżdżać koleją. Jeszcze bardziej niezwykłe były jego pomysły dotyczące Londynu. Liczba ludności miasta nieustannie rosła, po ulicach jeździły setki konnych omnibusów oraz tysiące dorożek i powozów, przez co każdego dnia cały rejon od Westminsteru aż do dawnego centrum miasta był przez wiele godzin niemożliwie zatłoczony. Przejazd z Whitehall do Bank of England zajmował ponad godzinę. „Ale możemy rozwiązać ten problem, puszczając pociągi pod ziemią – twierdził Silversleeves. – W kilka minut będzie można przejechać z jednego końca Londynu na drugi. To tylko kwestia odpowietrzników i odprowadzania dymu, żeby ludzie się nie podusili”.

Miał też rozwiązanie dla cuchnącej Tamizy. „Nowy system kanalizacji!”, opowiadał rodzinie z entuzjazmem. I nie dalej jak rok wcześniej z własnej inicjatywy zajął się analizowaniem tego problemu. Każdego wolnego dnia z notesem w ręku zagłębiał się w labirynt rowów ściekowych, rynsztoków, podziemnych kanałów wodnych i dołów kloacznych ciągnący się pod Londynem. Zapamiętał wszystko i podekscytowany tym niezwykłym – choć nieco smrodliwym – osiągnięciem zaprojektował całkiem nowy system, do którego usiłował przekonać władze miasta. Jak dotąd bez skutku.

Od London Bridge pociągi jeździły po wysokich łukach z cegły, które niczym ogromny akwedukt przecinały skupiska dachów w Southwark, a potem – ukazując piękny widok na całą okolicę – docierały do zielonych łąk Greenwich i Blackheath. Esther po raz kolejny słuchała opowieści Arnolda o planach nowej kanalizacji, ale wyjrzawszy przez okno, zobaczyła coś, co kazało jej przerwać mężowski wywód.

– Spójrz tylko! To chyba Mary Anne!

Gdy hrabia St James rozłożył projekt na stole w jadalni kapitana Jonasa Barnikela, zacny marynarz przez dłuższą chwilę nie mógł wydobyć z siebie głosu. Młody Meredith, który reprezentował swojego ojca, przyglądał się temu z zainteresowaniem. W końcu Barnikel pogładził swoją rudą brodę i wygłosił opinię:

– Czegoś tak pięknego jeszcze w życiu nie widziałem – burknął.

– I można nim pokonać Amerykanów – dorzucił St James. – Chętnie na niego postawię.

Patrzyli na projekt żaglowca. Wprawdzie parowce miały coraz większy udział w morskim transporcie, ale w roku Wielkiej Wystawy przeważającą większość towarów nadal przewożono żaglowcami. A najszybsze, najelegantsze, a do tego otoczone romantyczną aurą, były klipry. Piękne linie leżącego przed nimi projektu zapowiadały, że ten statek może być najszybszym kliprem na świecie.

Wszystko zmieniło się za sprawą Amerykanów, kiedy ich szybkie klipry – zaledwie dwa lata wcześniej – włączyły się do angielskiego handlu herbatą. Statki wyruszały z Londynu z rozmaitymi towarami, na Atlantyku chwytały w żagle północno-wschodnie wiatry, okrążały południowy czubek Afryki, skąd pozwalały się nieść ryczącym czterdziestkom aż na Daleki Wschód, gdzie rozładowywały fracht. W samym środku lata docierały do chińskich portów, Szanghaju albo Fuzhou, stawały na kotwicy wśród dżonek i sampanów, czekając na pierwsze partie herbacianych liści z nowych zbiorów. Wypełniwszy ładownie, klipry rozpoczynały wielki wyścig do domu. Gdy holowniki wyprowadzały je na morze, w porcie panował zgiełk i hałas, na masztach powiewały bandery, z wielu statków rozlegały się uroczyste salwy. Teraz klipry płynęły z południowo-wschodnim wiatrem. Z punktów obserwacyjnych na wybrzeżu Kentu wypatrywano pierwszych statków, a w londyńskich dokach witały je całe

tłumy ludzi. W ciągu ostatnich dwóch lat amerykańskie klipry zostawiły angielskie statki handlowe daleko w tyle, co było wielkim upokorzeniem.

Jednak londyńscy żeglarze nie zamierzali rezygnować z rywalizacji. Zamawiali nowe statki, które miały prześcignąć wszystkie pływające do tej pory żaglowce. Te nowe klipry o długości od sześćdziesięciu do dziewięćdziesięciu metrów, smukłe i wytrzymałe jak dawne łodzie wikingów, od których się wywodziły, miały na trzech wysokich masztach cały las żagli – ich powierzchnia dochodziła czasem do trzech tysięcy metrów kwadratowych – i w ciągu trzech dni pokonywały z pełnym ładunkiem tysiąc mil. A cała podróż z Chin zajmowała im sto dni, a nawet mniej. Budowano je głównie w Szkocji. Nowy statek, którego projekt leżał właśnie przed Barnikelem, już za rok miał zastąpić jego stary żaglowiec.

– Jak go nazwiemy? – spytał hrabia. – To twój wybór.

– Nazwiemy go „Charlotte” – odpowiedział Barnikel.

Bo gdyby nie Charlotte, nie miałby tego statku. Owszem, był znakomitym żeglarzem, niewielu szyprów mogło się z nim równać, ale dopiero małżeństwo z najstarszą córką Dyrektora pozwoliło mu nabyć udziały w statku i stać się prawdziwym kapitanem. Ich piękny dom przy Camberwell Grove, na zalesionym wzgórzu spoglądającym ku dokom Deptford, został kupiony za pieniądze Charlotte. Gdyby nie ona, myślał czasem, pewnie nadal bym mieszkał w dokach. Ale choć dziś zarabiał krocie, to z przyjemnością wyobrażał sobie, jak pojedzie ze swoją niezbyt ładną żoną i dziećmi do Blackheath i oznajmi teściowi: „Nazwaliśmy nasz nowy kliper imieniem Charlotte”.

Jonas Barnikel miał mieć jedną piątą udziałów w tym wspaniałym żaglowcu. Również jedną piątą zakupił bankier Meredith, który na spotkanie przysłał swojego syna. Reszta przypadła hrabiemu St James, który tak jak jego dziadek zakładał się niemal o wszystko. A jego

zapowiedź, że postawi na nowy statek, nie była bezpodstawna. Co roku przyjmowano ogromne zakłady, który żaglowiec pierwszy powróci z Chin do macierzystego portu. Hrabia zamierzał więc zarabiać na trzy sposoby: był właścicielem ponad połowy statku, zainwestował w jego ładunek oraz postawił na niego zakład w wyścigu. Poznali się z Jonasem Barnikelem pięć lat wcześniej i ufali sobie bez zastrzeżeń.

To młody Meredith był niewiadomą. Ukończywszy niedawno Eton, poprosił ojca o pozwolenie na odbycie rocznej podróży po świecie. A ponieważ Barnikel miał niedługo wyruszyć do Indii, bankier zapytał, czy nie mógłby zabrać chłopaka ze sobą. Tego dnia spotkali się po raz pierwszy i Barnikel już kilka razy spojrzał na niego badawczo. Meredith był przystojnym młodzieńcem słusznego wzrostu z ciemnymi włosami i wysportowaną sylwetką. Z pewnością wyglądał na prawdziwego dżentelmena. Ale jaki miał charakter?

– Niedługo idziemy na obiad do mojego teścia – oznajmił Barnikel. – Może pan Meredith zechciałby nam towarzyszyć? – W tej właśnie chwili wpadł na taki pomysł.

Meredith spojrzał niepewnie na hrabiego.

– Z przyjemnością – odpowiedział, widząc, że St James kiwa głową. – O ile pański teść nie będzie miał nic przeciwko temu.

– O, Dyrektor na pewno będzie zadowolony – oświadczył Barnikel. – On lubi nowe twarze.

Pół godziny później Barnikelowie i Meredith siedzieli wygodnie w powozie jadącym w kierunku Balckheath. Nagle ich uwagę przykuł dziwny obiekt na niebie. Charlotte Barnikel aż przyłożyła dłoń do ust.

– Jonasie, spójrz! To przecież Mary Anne!

Wiał leciutki wiatr, w sam raz, żeby polecieć. Mary Anne zacisnęła palce na krawędzi kosza, który kołysał się i skrzypiał przeraźliwie. W dole ogrody

Vauxhall zmniejszały się w błyskawicznym tempie.

– Boisz się?! – krzyknął jej do ucha mąż.

– Nie! – skłamała.

Pilot dodawał im odwagi szerokim uśmiechem, gdy wielki niebiesko-złoty balon uniósł się i z siłą, której już nic nie mogło powstrzymać, pociągnął ich ku czystemu niebu. Jeszcze przez dłuższą chwilę Mary Anne czuła przerażenie jak każdy, kto po raz pierwszy widzi, że unosi się w powietrzu bez żadnego podparcia. Przebiegło jej nawet przez myśl, że przecież dno kosza może w każdej chwili odpaść. Kurczowo zaciskała dłonie na krawędzi, a gdy Bull krzyknął: „Przecież sama tego chciałaś!", uśmiechnęła się dziwnie.

Widok na Vauxhall Gardens nie był zbyt piękny, ale nie tyle z powodu nędznych ulic, które otoczyły ogrody, napierając ze wszystkich stron, ile z racji żelaznych szyn na wiadukcie i pociągów, które hałasem i kłębami dymu skutecznie niszczyły spokój tego miejsca. Ogrody Vauxhall weszły w ostatnią fazę swojego upadku. Ale wciąż startowały stąd balony. Latali nimi ludzie, którzy chcieli naszkicować panoramę miasta, a także śmiałkowie podejmujący podróże – wiele z nich obstawiano zakładami – do bardzo odległych miejsc, jak choćby do Niemiec. Niedawno pewien mężczyzna uparł się, że nie poleci w koszu, ale na swoim koniu. Całkiem spory tłum przyglądał się temu wydarzeniu. A tego dnia unieśli się do góry Mary Anne i Bull, obserwowani jedynie przez kilku miejscowych obywateli. Po krótkim przelocie – o ile wszystko pójdzie dobrze i wiatr się nie zmieni – mieli wylądować w Blackheath.

W zasadzie był to kaprys. Kilka miesięcy wcześniej, gdy mąż zapytał ją, czego by chciała na urodziny, Mary Anne odpowiedziała żartem, że lotu balonem. Prawdę powiedziawszy, szybko o tym zapomniała. Była więc mocno zaskoczona, gdy trzy dni temu mąż oświadczył swobodnie:

„Załatwiłem ci lot balonem, Mary Anne. O ile wiatr i pogoda pozwolą, polecimy w sobotę rano. – Uśmiechnął się szeroko. – Oczywiście jeśli nadal tego chcesz”.

Jej siostry były przerażone. „Jak możesz tak ryzykować! Co ludzie na to powiedzą? – wykrzykiwały. – Dlaczego zawsze musisz być taką dziwaczką”, dorzuciły na koniec. Kazała im przyrzec, że nie powiedzą o tym swoim mężom. Ani Dyrektorowi.

Taki lot słono kosztował. Ale w końcu Edwar Bull, o czym wszyscy wiedzieli, miał odziedziczyć browar. Marry Anne w odróżnieniu od swoich sióstr, pozostałych córek Dyrektora, młodo wyszła za mąż. Ale ona akurat była ładna. Szczupła i żywiołowa, miała piękne piwne oczy i ciemne kręcone włosy z intrygującym białym pasmem. Miała też wdzięk i elegancję, której brakowało jej siostrom. Edward Bull, starszy od niej zaledwie o rok, nie potrzebował jej pieniędzy, choć oczywiście Bullowie chętnie żenili się z kobietami majętnymi.

Po paru sekundach balon był już na wysokości stu, potem stu pięćdziesięciu metrów, i nadal się wznosił. Zaraz jednak pilot powstrzymał ten pęd i oto zawiśli spokojnie w powietrzu. Mary Anne poczuła, że paniczny lęk powoli mija. Spojrzała w kierunku Londynu – roztaczał się tam wspaniały widok. W ciągu minionych dwudziestu lat miasto rozbudowywało się w szybkim tempie. Na południowym brzegu Tamizy rzędy domów ciągnęły się nieprzerwanie od Southwark aż do Clapham. Na północy dawne osady Chelsea i Kensington zostały wchłonięte przez rzędy szeregowych domów udających styl georgiański. Jeszcze dalej na północy z dawnych lasów Islington zostały już tylko resztki. Te nowo zabudowane tereny wyglądały z góry jak pulchne palce wyrastające z brudnej, pokrytej sadzą dłoni Londynu, sięgające we wszystkie strony ku zielonej wsi. Lawendowe Wzgórze wciąż pachniało lawendą, w Fulham nadal były

głównie sady i ogrody warzywne, a za Regent’s Park otwarta przestrzeń ciągnęła się aż do Hampstead.

Mary Anne jeszcze raz spojrzała w dół i zauważyła coś niepokojącego. Kiedy startowali, byli przekonani, że zachodni wiatr zaniesie ich nad południowym Londynem do Blackheath, gdzie mogliby bez przeszkód wylądować.

– Edwardzie, spójrz! – zawołała, zorientowawszy się, co się dzieje. – Znosi nas na północ!

Rzeczywiście, byli już nad pałacem Lambeth. Jeśli wiatr się nie zmieni, będą musieli szukać miejsca do lądowania na łąkach za Islington.

– I spóźnimy się do Dyrektora – jęknął Bull.

Mary Anne, opanowawszy strach, poczuła nagłe uniesienie.

– Nieważne! – krzyknęła. – Jest cudownie!

Jej mąż się roześmiał. Nowa trasa przyniosła im nieoczekiwaną niespodziankę.

– Popatrz tylko, będziemy przelatywać nad parlamentem – powiedział do żony.

W roku 1851 siedziba parlamentu przedstawiała niezwykły widok. Siedemnaście lat wcześniej jakiś urzędnik uznał, że należy uporządkować stare rejestry Exchequeru. W zatęchłych piwnicach znaleziono dziesiątki tysięcy porządnie związanych pęków patyków z nacięciami oznaczającymi wpłacane podatki. Część z nich leżała tam od czasów Tomasza Becketa. Urzędnik stwierdził, że należy je spalić. A jego pachołkowie tak się przyłożyli do tego zadania, że podpalili cały Pałac Westminsterski, z którego następnego dnia pozostał jedynie Westminster Hall.

Wokół starej normańskiej budowli powstał nowy pałac – dużo piękniejszy niż ten, który padł ofiarą płomieni. Inspirowany gotykiem budynek z jasnobrązowego kamienia, zaprojektowany przez Charlesa

Barry’ego – wspaniałe wnętrze stylizowane na średniowieczne było dziełem Pugina – stał się godnym towarzyszem stojącego obok opactwa. Izba Gmin była już ukończona, w Izbie Lordów trwały prace. A we wschodnim narożniku, najbliżej mostu Westminster, Mary Anne zauważyła puste miejsce czekające na wielką wieżę zegarową, która miała wznosić się nad całą budowlą.

Od Westminsteru polecieli dalej na północ nad Whitehall i Charing Cross. Kilka lat wcześniej teren, na którym mieściły się królewskie stajnie, oczyszczono i powstał tam wspaniały Trafalgar Square z wysoką kolumną i posągiem Nelsona pośrodku. Mieli właśnie przelecieć nad głową tego wielkiego bohatera, gdy wiatr zmienił się znowu i posłusznie popchnął ich ku rzece.

– Może jednak zdążymy do Dyrektora – uśmiechnął się Bull.

I rzeczywiście. Po kilku minutach sunęli leniwie nad Bankside i Southwark w kierunku Blackheath.

Bull trącił żonę łokciem.

– Tam jest browar, widzisz?

Trudno było go nie zauważyć. Zasadniczy proces warzenia piwa nie zmienił się od czasów, gdy pani Barikel mieszała zacier w wielkiej kadzi przy gospodzie „U George’a”, ale skala produkcji była zupełnie inna. Browar Bulla rozrósł się nie do poznania. Wysoki, kwadratowy komin kotłowni górował nad dachami Southwark. Główny budynek, w którym słód przerabiano na zacier, a potem warzono, chłodzono i fermentowano piwo, miał sześć pięter – wielkie kwadratowe okna patrzyły z zadowoleniem z wysokich ścian. Były też szopy, w których przechowywano wielkie, stare kadzie, na dużym dziedzińcu stały piramidy beczek czekających na transport oraz stajnie dla wielkich koni

pociągowych. A wszystkim tym zarządzała rodzina Bullów – wesołych, zamożnych i uczciwych do szpiku kości.

Minęli Camberwell i lecieli dalej na wschód, aż w końcu pilot wylądował – jedynie z niewielkim wstrząsem – niecały kilometr od domu Dyrektora.

Stanąwszy na twardej ziemi, podekscytowana pani Bull pocałowała męża i obwieściła triumfalnie:

– Na pewno będziemy pierwsi.

Było późne popołudnie, gdy do Blackheath wyruszyła jeszcze jedna osoba. Z Whitechapel przeszła wzdłuż wschodniego krańca Doku Świętej Katarzyny, gdzie przybijały klipry z herbatą, i dalej wędrowała nabrzeżem aż do Wapping. Tutaj zamierzała przeprawić się na drugą stronę rzeki, żeby dotrzeć w końcu do Blackheath. Dyrektor miał mieć dziś niespodziewanego gościa.

West End powiększał się już od dwustu lat, ale rozbudowa East Endu rozpoczęła się całkiem niedawno. Tuż po wschodniej stronie Tower zaczynały się doki i ciągnęły się przez Wapping i Limehouse do miejsca, gdzie wielka pętla rzeki tworzyła cypel zwany Isle of Dogs, na którym powstały baseny portowe doków West India. Powyżej tej linii portów, przystani i nabrzeży, mniej więcej od bramy Aldgate, ciągnęły się skromne osiedla. Najpierw Spitalfields ze skupiskami hugenockich tkaczy, dalej Whitechapel, a na północ od Isle of Dogs – Bow i Poplar. Teraz wszystkie te osiedla tworzyły jedno rozrastające się skupisko małych fabryczek, szwalni i brudnych ulic, z których każda rządziła się swoimi prawami. Biedni imigranci przyjeżdżali właśnie do East Endu. A ci, którzy przybyli tu niedawno i tłoczyli się w ruderach w Whitechapel, byli prawdziwymi nędzarzami.

W Londynie zawsze mieszkali Irlandczycy. Od poprzedniego stulecia irlandzka społeczność, złożona głównie z robotników fizycznych i zamieszkała w slumsach w parafii St Giles na zachód od Holborn, rozrastała się coraz bardziej. Jednak trudno to było porównać z wielką falą imigracji, która od siedmiu lat napływała do Anglii.

Jej przyczyną, o czym już dziś wiadomo, była zaraza, która zniszczyła uprawy ziemniaków. Od lat ludność zamieszkała na jednych z najlepszych rolniczych terenów w Europie – w większość będących własnością angielskich posiadaczy ziemskich – egzystowała dzięki tej odżywczej roślinie sprowadzonej z Ameryki. I gdy przez kilka lat z rzędu przychodził nieurodzaj, Irlandczycy stanęli wobec groźby głodu. Próby pomocy nie przyniosły praktycznie żadnego skutku i wkrótce okazało się, że wybór jest jeden: emigracja albo śmierć. I tak zaczął się straszliwy exodus, po którym Irlandia nie podniosła się przez najbliższe sto pięćdziesiąt lat. Irlandczycy wyjeżdżali do Ameryki, do Australii i do angielskich portów. W tym oczywiście do Londynu. Najliczniejsza grupa osiedliła się w Whitechapel, bo w pobliskich dokach można było znaleźć pracę. Gość, który zamierzał złożyć wizytę Dyrektorowi, rozpoczął swoją wędrówkę właśnie na jednej z ulic zamieszkanych głównie przez uchodźców z Irlandii.

Dyrektor lubił mieć wokół siebie całą rodzinę. Z siwą brodą i rumieńcami na starej twarzy wyglądał jak dobrotliwy monarcha. Najchętniej ubierał się – nawet latem – w gruby surdut i jedwabny fular spięty perłową szpilką, a buty miał tak wyglansowane, że lśniły jak lustro. Jego wspaniałą georgiańską rezydencją w Blackheath sprawnie zawiadywał kamerdyner mający pod sobą ośmioro służby. Powiadano, że roczny dochód Dyrektora wynosi dziesięć tysięcy funtów. On sam był człowiekiem spokojnym, życzliwym dla swoich zięciów, a od ludzi wymagał jednego: punktualności. Ci, którzy się spóźniali, tracili całą jego sympatię. Ale tylko głupiec nie

okazałby należytego szacunku teściowi z rocznym dochodem dziesięciu tysięcy funtów.

O piątej po południu, gdy piastunki zabrały wszystkie wnuki, kamerdyner oznajmił, że podano kolację. Dyrektor, jako człowiek starej daty, lubił jadać o wczesnej porze. Ale poza tym całe przyjęcie było jak najbardziej zgodne z ostatnią modą. Panowie wprowadzili panie do obszernej jadalni. Dyrektor odmówił modlitwę, po której wszyscy zajęli miejsca. Wielki, przykryty białym adamaszkiem stół prezentował się wspaniale. Na środku stał srebrny, pięknie zdobiony stojak z miseczkami pełnymi owoców. Przy każdym miejscu, jak nakazywała ostatnia moda, znajdował się cały zestaw kieliszków do wina oraz kilka różnych noży i widelców – srebrnych do ryby i owoców, ciężkich i wymyślnych. Na pierwsze danie podano zupę *julienne* z włoskim makaronem. Po niej na stole pojawiły się ryby: gotowany łosoś, turbot, sola *à la Normande*, pstrąg, cefal i siekane kotlety z mięsa homara. Łosoś przyjechał pociągiem ze Szkocji.

Dyrektor był wdowcem, więc zazwyczaj prosił którąś z córek, aby usiadła naprzeciwko niego u szczytu stołu i czyniła honory pani domu. Tego dnia jego wybór padł na Mary Anne. Jej sąsiadem po prawej stronie okazał się starszy dżentelmen, a po lewej młodzieniec, którego przyprowadził Barnikel. Przy zupie Mary Anne prowadziła uprzejmą rozmowę ze starszym gościem, a gdy przyniesiono rybę, skierowała uwagę na Mereditha.

Była w doskonałym nastroju. Prawdę powiedziawszy, nigdy dotąd nie czuła się taka szczęśliwa. Jeszcze nie zdążyła ochłonąć po ekscytującym locie balonem. Oczywiście nie dało się tego ukryć przed ojcem, bo starszy pan, gdy tylko ujrzał lądujący balon, musiał go zobaczyć z bliska. Spotkali go w połowie drogi, gdy szedł przez łąkę, podpierając się laską z gałką

z kości słoniowej. Bardzo się zdziwił na ich widok, ale gdy zjechała się reszta rodziny, opowiadał im o tym z niejakim rozbawieniem. „Cieszę się, że was wszystkich widzę – oznajmił. – A Edward i Mary Anne po prostu spadli mi dziś z nieba”. „On wszystko puszcza ci płazem”, powiedziała Harriet do siostry.

Oboje z Edwardem byli zbyt zaabsorbowani siostrami i ich dziećmi, żeby przed kolacją zająć się młodym mężczyzną, choć Mary Anne zauważyła, że jest całkiem przystojny. I chyba od niej niewiele młodszy, najwyżej jakieś trzy lata, ale życie młodej mężatki było przecież zupełnie inne niż życie młodzieńca, który dopiero skończył szkołę. Nie uszło jej uwagi, że wychylił do ryby dwa kieliszki białego wina i, prawdę mówiąc, zastanawiała się, jak delikatnie dać mu do zrozumienia, że nie powinien tyle pić.

Mimo to wzbudził jej sympatię: był układny, ale dość śmiały. I jak zauważyła, oczy mu błyszczały, gdy zaczynał mówić o czymś, co go pasjonowało. Miał też w sobie jakąś elegancję, której brakowało pozostałym gościom. Zapytała go o szkołę i ulubione zajęcia. Przyznał, że dobrze mu idzie w sportach i uwielbia polowania. Jednak po kilku kolejnych pytaniach wyznał skromnie, ale bez zakłopotania, że lubi poezję i interesuje się historią.

– W takim razie dlaczego nie poszedł pan na uniwersytet, panie Meredith? – spytała.

– Ojciec był temu przeciwny. I prawdę mówiąc, moim marzeniem są podróże. – Uśmiechnął się.

– Ależ pan jest żądny przygód, nie to co my – powiedziała ze śmiechem.

– Bynajmniej, proszę pani. Ja na przykład nigdy jeszcze nie leciałem balonem.

Roześmiała się tak serdecznie, że kilka głów zwróciło się w ich stronę. Zarumieniła się lekko, bo nie chciała wzbudzać zainteresowania. Zauważyła, że Dyrektor przygląda się jej badawczo spod krzaczastych brwi.

Lubił, gdy goście, których zapraszał na kolacje, umieli go zabawić. Uważał, że to mu się należy. Tym, których widział po raz pierwszy, przyglądał się uważnie przez godzinę lub dłużej, a potem nagle zadawał dociekliwe pytania. Jego niski głos przetoczył się przez całą długość stołu.

– Słyszę, że pan Meredith wybiera się na rok w podróż. Nie zechciałby pan opowiedzieć nam o swoich planach? – Przy stole zapadła cisza. Wszyscy spojrzeli na Mereditha.

– Ależ ojcze! – zaprotestowała Mary Anne. – Jak zaczniemy go tak przesłuchiwać, to gotów pożałować, że nas odwiedził.

Ale młody człowiek przyjął to bardzo naturalnie.

– Nie ma o czym mówić – powiedział uprzejmie. – Nieoczekiwany gość, spotkawszy się z taką gościnnością, powinien się odwdzięczyć. Szczerze mówiąc – zwrócił się do Dyrektora – nie mam sprecyzowanych planów. Chciałbym po prostu przez kilka miesięcy podróżować po Indiach. – Umilkł, nie wiedząc, czy goście chcą usłyszeć coś więcej.

– Wybornie, panie Meredith! – Silversleeves najwyraźniej uznał, że powinien coś powiedzieć, żeby ośmielić młodego człowieka. – Będzie się pan mógł przekonać, że Indie to wielkie możliwości rozwoju kolei. Być może nawet największe na świecie. Dzięki technice i ulepszeniu transportu indyjski handel, i tak już duży, mógłby się niebywale rozwinąć. Prawda, Jonasie? – zwrócił się do Barnikela.

– Owszem, indyjska herbata, juta, tania bawełna – przytaknął kapitan.

– Oczywiście spodziewam się to zobaczyć – powiedział Meredith.

– Zamierza pan bliżej przyjrzeć się kolejom? – spytał Dyrektor.

– Nie, panie. Nie jadę z żadnym konkretnym zamiarem – powtórzył i umilkł.

Zięciowie Dyrektora najwyraźniej uznali, że pomoc, którą mógł od nich otrzymać ten młody człowiek, już się wyczerpała. Gdzieś w połowie stołu ktoś cicho zakasłał.

Młodsze pokolenie Pennych nigdy nie darzyło szczególną sympatią swoich rówieśników z klanu Meredithów, choć oba rody miały udziały w jednym banku. Arystokratyczne maniery i beztroska Meredithów raziły dzieci Penny'ego, które miały w sobie kalwińską rozwagę i szkocką oszczędność. Dlatego nie utrzymywali ze sobą bliskich stosunków. A słuchając teraz latorośli Meredithów, Penny od ubezpieczeń poczuł nagłą irytację.

– Przecież człowiek nie może wałęsać się przez pół roku na drugim końcu świata bez żadnego celu – oznajmił z wyraźną nutą niechęci w głosie. – Chyba że pan podróżuje dla przyjemności – dorzucił cierpko.

Mary Anne zauważyła, że Meredith zarumienił się w reakcji na ukrytą przyganę, i rzuciła szwagrowi zagniewane spojrzenie. Spojrzała też na Edwarda, ale nie zareagował.

– Mam pewien zamysł – odpowiedział Meredith spokojnie. – Indie są fascynujące. To bardzo stara i bardzo różnorodna cywilizacja. Najchętniej zająłbym się studiami, poznawaniem hinduskiej religii i hinduskich bogów. – Uprzejmie skinął głową Penny'emu.

W pewnych kręgach takie słowa zostałyby przyjęte z uznaniem. Niektórzy dyrektorzy Kompanii Wschodnioindyjskiej byli ludźmi bardzo wykształconymi. A niedawny rozkwit badań nad hinduską kulturą inspirowali uczeni angielscy, a nie indyjscy. Jednak zgromadzona w Blackheath rodzina Dyrektora nie należała do tych kręgów. Nawet sam Dyrektor nie wiedział, co odrzec.

– I jak by pan prowadził te studia? – spytała Mary Anne, również trochę zagubiona.

– Przede wszystkim chodziłbym do świątyń i zasięgał informacji u kapłanów – odpowiedział z powagą. – Może nawet zamieszkałbym z nimi na jakiś czas. Dzięki temu mógłbym ich dobrze poznać.

Całe towarzystwo patrzyło na niego niemo. Byli zbulwersowani.

– Ależ panie Meredith! – odezwała się w końcu Esther Silversleeves. – Przecież ci ludzie to barbarzyńcy! – Była najbardziej pobożna z całej rodziny. – Chyba pan nie zamierza… – urwała.

– W wielu świątyniach w Indiach są takie wizerunki, których żadna bogobojna kobieta nie powinna oglądać na oczy – oświadczył cicho Barnikel.

– To są dzikusy – stwierdził Dyrektor. – Bardzo zły pomysł.

Edward Bull się roześmiał. Nie złośliwie, po prostu plan Mereditha wydał mu się absurdalny.

– Jedno przynajmniej jest pewne – oświadczył, tłumiąc wesołość. – W moim browarze nie ma ani jednego Hindusa. – Zwrócił się do Mereditha: – Z pewnością pański ojciec zna w Indiach odpowiednich ludzi, którzy panem pokierują. Ale szkoda pańskiego czasu. I pieniędzy pańskiego ojca.

Bull nie chciał był nieuprzejmy, jednak jego słowa zabrzmiały protekcjonalnie i lekceważąco. Mary Anne aż zaczerwieniła się z oburzenia. Może i hinduscy bogowie są barbarzyńscy, ale jej rodzina nie ma prawa traktować tego młodego człowieka w ten sposób!

– A ja uważam, że pragnienie pana Mereditha, aby poznać ludy zamieszkujące nasze imperium, jest ze wszech miar godne pochwały – powiedziała podniesionym głosem. – To fascynujące.

Mówiła to wszystko bez zastanowienia, ale nagle przyszło jej do głowy, że sama niewiele wie o hinduskich świątyniach i zamieszkujących je bogach. Wydało jej się to bardzo interesujące, wręcz ekscytujące. Spojrzała z uznaniem na Mereditha.

Jej mąż nie zamierzał tego tolerować.

– Ależ moja droga, nie bądź głupiutka. Przecież to bzdury.

Spojrzała na niego z wściekłością. Podarował jej lot balonem, ale to nie znaczy, że ją też może traktować z lekceważeniem. Zerknęła na Mereditha, żeby się zorientować w jego odczuciach. Ale jedynie uprzejmie schylił głowę, nie zamierzając się z nikim kłócić, przecież był gościem. Nagle Mary Anne zauważyła jeszcze coś: ten młody człowiek miał nieporównanie lepsze maniery i był dużo inteligentniejszy niż oni. Tak naprawdę nie obchodziło go, co Edward o nim myśli. I słusznie. Bo my wszyscy jesteśmy – Mary Anne nie chciała użyć tego słowa, ale też żadne inne nie przychodziło jej do głowy – tacy prostaccy. Nawet jej dobry, porządny mąż, szczery i uczciwy, nawet Edward jest w porównaniu z Meredithem nieokrzesany. Wyszła za mąż za browar Bulla ze wszystkimi jest zaletami i ograniczeniami.

– Och, właśnie podano mięsa! – zawołała Charlotte z ulgą.

W Wapping można było przeprawić się przez rzekę na dwa sposoby. Po pierwsze, promem. Po wybudowaniu kilku mostów tradycyjne promowe przeprawy w City i West End straciły na znaczeniu, ale w okolicach doków przewoźnicy wciąż mieli pełne ręce roboty. Oczywiście za przejazd łodzią trzeba było zapłacić. Ci, którzy nie mieli pieniędzy, korzystali z drugiego sposobu.

Niespodziewany gość Dyrektora schodził coraz niżej. Okrągły budynek z dużymi georgiańskimi oknami wyglądał jak piękne, ale dość zaniedbane mauzoleum. Za widnym przestronnym wejściem wnętrze stawało się coraz

bardziej ciemne i ponure. Na ścianach pojawiły się gazowe lampy, ale ich małe płomyki jedynie pogłębiały cienie. Na samym dole w nikłym gazowym świetle majaczyły dwa łukowate wejścia, za którymi ciągnęły się zawilgocone, wymarłe jezdnie.

Tunel pod Tamizą. Zaprojektowali go, a potem nadzorowali budowę Marc i Isambard Brunelowie, ojciec i syn, dwaj najwybitniejsi angielscy inżynierowie. Wydrążenie półkilometrowego przekopu, łączącego Wapping i Rotherhithe na południowym brzegu, było arcydziełem sztuki inżynieryjnej. Jednak w sensie komercyjnym przedsięwzięcie okazało się porażką. Nigdy nie powstały drogi dojazdowe do tunelu, otwarto jedynie schody dla pieszych. Z tunelu korzystali tylko odważni – albo biedni – piechurzy, którzy nie bali się czyhających w mroku włóczęgów i złodziei. Gość Dyrektora był bez grosza.

Natknęła się na niego przypadkiem. Tak, pomógł przypadek i artykuł w gazecie. Tam, gdzie mieszkała, na brudnej uliczce w Whitechapel, niewielu ludzi umiało czytać. Ale jeden człowiek potrafił. I to on pewnego dnia pokazał jej w gazecie nazwisko Dyrektora. „Założone przez lorda Shaftsbury Stowarzyszenie na rzecz Poprawy Warunków Życia Klasy Robotniczej – czytał na głos – otrzymało dużą darowizną od dżentelmena mieszkającego w Blackheath”. Dalej następowało nazwisko Dyrektora i jego adres. „To chyba jakiś dobry człowiek”.

Nie wiedziała, kim jest ten Dyrektor, i początkowo myślała, że lepiej będzie do niego napisać. „Jak chcesz, mogę napisać list w twoim imieniu – zaproponował znajomy. – I zapłacę za znaczek”. Zastanawiała się nad tym przez tydzień, ale w końcu uznała, że lepiej będzie pójść tam osobiście. Z Whitechapel do Blackheath było niecałe dziesięć kilometrów. „Może jak mnie zobaczy, to zechce mi pomóc – stwierdziła. – Najwyżej mi odmówi”.

Bo Lucy Dogget była w ciąży.

Jakiż zapach może się równać z aromatem krojonej gorącej pieczeni wołowej? Najpierw chrupiąca zarumieniona skórka, pod nią warstwa tłuszczu i wreszcie różowe mięso, lekko krwiste w środku. Ostry nóż zagłębia się lekko, jak w miękkie masło, uwalniając smakowity sok. No, może równie kuszący zapach mają pieczone kurczęta, kotleciki jagnięce *à la jardinière*, cielęcina z ryżem, kaczka *à la Rouennaise* albo szynka z groszkiem.

Przy stole Dyrektora znów zapanował przyjemny nastrój. Do mięs podano doskonałego burgunda. Wraz z nowym daniem Mary Anne – jak nakazywały zasady dobrego wychowania – poświęciła uwagę starszemu dżentelmenowi siedzącemu po jej prawej stronie. Zerkając przez stół na Dyrektora, zauważyła, że wszyscy wolą już nie pamiętać o żenującej głupocie Mereditha. Dyrektor z ożywieniem rozprawiał o rododendronach, które sprowadza z Indii do swojego ogrodu. Silversleeves tłumaczył starszej damie, jak można usuwać dym z tuneli podziemnej kolejki. Kapitan Barnikel rozwodził się nad piękną linią swojego nowego klipra. Penny zastanawiał się głośno nad przyszłym przeznaczeniem gmachu, w którym odbywała się Wielka Wystawa, a jego żona opowiadała, że odwiedziła wystawę dzień po tym, jak była tam sama królowa. Mary Anne zerknęła ukradkiem na Mereditha.

Pomyślała, że bez względu na to, co będzie robił w Indiach, za rok włoży mundur i wstąpi do armii. Z łatwością wyobraziła go sobie w szkarłatnej wojskowej kurtce. Ciekawe, czy zapuści wąsy. Teraz miał gładko ogoloną twarz, ale aż westchnęła gwałtownie, gdy w jej umyśle pojawił się jego obraz z zarostem. O, tak, z pewnością miałby niemal czarne wąsy, takie jak włosy, dość długie i jedwabiście miękkie. Kobiety nie będą mogły przejść obok niego obojętnie. Zapatrzyła się gdzieś przed

siebie i z tego zamyślenia wyrwało ją dopiero delikatne chrząknięcie dżentelmena po prawej stronie. Zupełnie o nim zapomniała!

Przy ostatnim daniu Dyrektor poluźnił nieco swoje purytańskie zasady i pozwolił na podanie więcej niż sześciu potraw. Ostatnie danie na wiktoriańskich kolacjach składało się z dwóch rodzajów potraw. Dla tych, którzy wciąż nie czuli się syci – albo nie lubili słodyczy – były przepiórki, piersi kurcząt w majonezowej panierce, indyk szpikowany bekonem albo groszek duszony w maśle. Po nich dla „oczyszczenia podniebienia" podawano suflet albo lód. Natomiast miłośnicy słodkich deserów mieli wspaniały wybór: kompot z wiśni, szarlotka, tort lodowy, galaretka z madery, truskawki i ciasta. Do tego burgund albo słodkie wino.

Rozmawiano teraz w małych grupach. Po kilku minutach uprzejmej konwersacji ze starszym dżentelmenem Mary Anne z ulgą zwróciła się do Mereditha.

– Proszę mi coś opowiedzieć o hinduskich bogach. Naprawdę są tacy straszni? – spytała trochę konspiracyjnie.

– Święte księgi Hindusów są tak stare jak Biblia, a może nawet starsze – odpowiedział. – Napisano je w sanskrycie. To język mający te same korzenie co angielski.

Jego zapał był zaraźliwy. Meredith opowiadał jej o Wisznu i Krysznie, a potem, na jej usilne prośby, o cudownych pałacach maharadżów, o ich słoniach, o polowaniach na tygrysy, o buchającej roślinnością dżungli i niebosiężnych górach. Pomyślała wtedy, że ten niewiele od niej młodszy arystokrata już niedługo będzie bardziej obyty, mądrzejszy i bardziej doświadczony życiowo niż ona.

– Tak bym chciała z panem pojechać – powiedziała cicho, nawet nie zastanawiając się nad sensem tych słów.

Zauważyła, że Edward bacznie się jej przygląda.

On też znał się na wielu rzeczach. Na przykład wiedział, jak działa browar. Wiedział, że piwo musi być uczciwie warzone i że jego słowo, które tę uczciwość gwarantuje, jest święte. Dbał o kondycję i uprawiał sporty, bo wiedział, że to się przydaje w interesach. Miał pewną wiedzę o księgowości i zarządzaniu firmą, zdawał też sobie sprawę, że jego majątek, gromadzony od wielu pokoleń, jest więcej wart niż tylko liczby na kontach bankowych. Krótko mówiąc, był dobrym, solidnym browarnikiem.

Wiedział też, że liczba ludności w Londynie szybko rośnie i dzięki imperium wszystkie klasy społeczne, może z wyjątkiem nędzarzy, powoli się bogacą, że z każdym rokiem produkuje się więcej piwa i jeśli ten trend się utrzyma, to stary dobry browar, z jego budynkami z cegły i intensywnym zapachem słodu, uczyni z niego bardzo zamożnego człowieka.

Do tego wszystkiego widział, że jego żona i młody Meredith nazbyt się sobą zainteresowali. Co oczywiście nie stanowiło wielkiego zagrożenia, bo przecież Mary Anne nie będzie miała więcej okazji, żeby się z nim spotkać. Już on o to zadba. Mimo to czuł złość. Miał ochotę pokazać temu nieznośnemu gołowąsowi, gdzie jest jego miejsce.

Okazja ku temu nadarzyła się dość szybko. Penny i jego żona, wciąż podekscytowani Wielką Wystawą, wspomnieli o wspaniałej ekspozycji francuskiej i niemieckiej. Wtedy wtrącił się Silversleeves:

– Francuzi, jako południowcy o celtyckich korzeniach, tworzą wspaniałą sztukę. Ale maszyny w niemieckiej sekcji, o, to rzeczywiście robi wrażenie. No i warto pamiętać, że Niemcy są podobni do nas, nieprawdaż? To naród porządny i pragmatyczny. Tacy współcześni Rzymianie. – Popatrzył dokoła stołu. – I to pragmatyczne narody tworzą imperia, panie Meredith. Lepiej byłoby, żeby pan poświęcił czas na poznawanie Niemców, a nie hinduskich bogów.

Podobne poglądy zyskiwały w Anglii coraz większą popularność. W końcu Anglosasi byli Germanami. Protestantyzm narodził się w Niemczech. Rodzina królewska pochodziła z Niemiec, a mąż królowej, który wpadł na pomysł Wielkiej Wystawy, był prawdziwym Niemcem. Pracowity, samodzielny naród o germańskich korzeniach, bez artystycznego zacięcia, ale za to bardzo pragmatyczny – tak właśnie widzieli siebie Anglicy w czasach wiktoriańskich. I chętnie ignorowali to, że w ich żyłach płynęła krew Celtów, Duńczyków, Flamandów, Francuzów i wielu innych nacji.

Edward natychmiast zauważył sposobność do rewanżu.

– Jest jednak pewna różnica między naszym imperium a starożytnym Rzymem – zauważył ze spokojem. – Pana Mereditha też to pewnie zaciekawi. Bo nasze imperium nie jest zainteresowane podbojem. Do niczego nie przymusza. Rzymianie potrzebowali wojska. A my nie. Dajemy zacofanym krajom jedno: korzyści wynikające z wolnego handlu. Wolny handel przynosi im pomyślność i zdobycze cywilizacji. Ośmielę się twierdzić, że pewnego dnia, gdy za sprawą wolnego handlu cały świat się ucywilizuje i zapanuje pokój, nie będziemy potrzebować armii. – Uśmiechnął się beznamiętnie do Mereditha.

– Ależ Edwardzie – zaoponowała Mary Anne. – Przecież mamy w Indiach wielką armię.

– Właśnie że nie.

– Pani mąż ma rację – wtrącił się Meredith. – Większa część armii to oddziały indyjskie, złożone z Hindusów i przez nich opłacane. Coś w rodzaju lokalnej policji – dorzucił z kpiącym uśmiechem.

– Cieszę się, że pan się ze mną zgadza – podchwycił Bull. – I zwróć uwagę, Mary Anne, na słowa, których pan Meredith był łaskaw użyć: opłacane przez Hindusów. Natomiast armia brytyjska jest opłacana przez

brytyjskich podatników, z ciężko zapracowanych pieniędzy. Gdy pan Meredith zostanie oficerem, jego obowiązkiem będzie obrona wolnego handlu. – I teraz właśnie zamierzał dopiec zarozumiałemu młodzieńcowi: – A ponieważ to ja będę płacił panu Meredithowi i jego ludziom, to będę wymagał, aby ich koszty utrzymania były jak najniższe. Chyba że – dokończył oschle – zdaniem pana Mereditha podatki są za małe.

Zabrzmiało to obraźliwie. Mary Anne zaczerwieniła się ze wstydu. Ale Bull czuł się pewnie. Wielu ludzi przyklasnęłoby jego słowom. Owszem, byli myśliciele mający szerszą wizję roli Anglii w świecie. Edward jadł niedawno kolację w mieście i miał okazję siedzieć obok Benjamina Disraeliego, którego uznał za nudnego polityka z głową wypełnioną mrzonkami o imperialnej potędze. Ale na szczęście większość posłów w parlamencie popierała rozsądnych wigów w rodzaju Gladstone’a, który był zwolennikiem wolnego handlu, mocnego pieniądza, minimalnych wydatków państwowych i niskich podatków. Nawet ktoś tak bogaty jak Bull płacił podatek dochodowy w wysokości zaledwie trzech procent. Czyli wystarczająco dużo, jak uważał.

– Nie jestem za podniesieniem podatków – powiedział Meredith spokojnie.

– Ale przecież równie ważne jest nawracanie tamtejszych narodów – zauważyła Esther. – Wysłaliśmy tam misjonarzy, więc… – Zawiesiła głos.

– Owszem. Ale w praktyce to handel otwiera drogę religii – powiedział stanowczo Edward.

Tego już było za wiele. Najpierw obraził Mereditha, a teraz zachował się arogancko. Co za pewni siebie ignoranci!

– A co by się stało, Edwardzie, gdyby Hindusi albo jakieś inne ludy w imperium nie chciały przyjąć naszej religii? – spytała Mary Anne

z udawaną niewinnością. – Mogą na przykład woleć swoich bogów, prawda, Esther?

Było to szokujące stwierdzenie. Mary Anne świadomie chciała wywołać taki efekt. Esther była poruszona do żywego. Penny pokręcił ze smutkiem głową.

– Jesteś niepoprawna – mruknęła Harriet.

Jeśli Mary Anne chciała zirytować Edwarda, to jej się nie udało.

– Wszystko jest kwestią czasu – powiedział protekcjonalnie mąż, jakby miał przed sobą uczennicę. – Gdy niecywilizowane narody będą się z nami kontaktować, same dojdą do wniosku, że nasze zwyczaje są lepsze. Przyjmą naszą religię z bardzo prostego powodu: bo jest słuszna. Od Dekalogu po Ewangelie. Moralność i prawo religijne. – Spojrzał lodowato na Mereditha. – Możesz się ze mną nie zgadzać, Mary Anne, ale pan Meredith na pewno przyzna mi rację. – Odwrócił się do Dyrektora. – Słusznie mówię?

– Oczywiście. Moralność, panie Meredith, jest najważniejsza.

Do jadalni wszedł kamerdyner i postawił przed Dyrektorem karafki z maderą i porto. Dla dam był to znak, że powinny się natychmiast oddalić do bawialni. Zgodnie z osiemnastowiecznym zwyczajem panowie zostawali przy stole sami. Mary Anne wstała, to samo zrobiły inne damy. Kilku panów uprzejmie odprowadziło je do drzwi. I właśnie przy drzwiach Mary Anne, zatrzymawszy się na chwilę, uśmiechnęła się i podała Meredithowi rękę na pożegnanie. Gest bez szczególnego znaczenia, gdyby nie to, że młodzieniec się zaczerwienił. Gdy Mary Anne wchodziła do bawialni, Charlotte chwyciła ją za ramię.

– Uścisnęłaś mu dłoń – syknęła.

– Co ty opowiadasz?

– Widziałam. Jak mogłaś?

– Nie mogłaś tego widzieć.

– Umiem rozpoznać takie rzeczy.

– Naprawdę? W takim razie musisz się na tym dobrze znać. Komu ty uścisnęłaś dłoń?

Charlotte wiedziała, że kłótnia z Mary Anne jest bezcelowa. Z nią nikt nigdy nie wygrał.

– Nigdy więcej się z nim nie spotkasz, bądź pewna – mruknęła ze złością.

Dom należący do Dyrektora był ogromny. Prowadził do niego elegancki półokrągły podjazd. Kilkanaście okien patrzyło na Blackheath z chłodną rezerwą, która mówiła jasno, że ta rezydencja z cegły może należeć tylko do bardzo zamożnego człowieka.

Lucy podeszła niepewnie do drzwi, jej kroki zachrzęściły na żwirze. Zdenerwowana pociągnęła za łańcuszek dzwonka i gdy w środku rozległ się stłumiony dźwięk, przyszło jej do głowy, że może powinna była zapukać do wejścia dla służby. Drzwi otworzyły się po dłuższej chwili i stanął w nich kamerdyner. Jąkając się, zapytała, czy to dom Dyrektora. Usłyszawszy, że dobrze trafiła, przedstawiła się i poprosiła o spotkanie. Kamerdyner spojrzał na nią ze zdziwieniem, jakby nie wiedząc, co z tą prośbą począć. Czy była umówiona. Nie, oczywiście, że nie była. Czy Dyrektor ją zna? Tak jej się wydawało. Kamerdyner uznał najwyraźniej, że to za mało, aby wpuścić ją do środka, więc kazał jej zaczekać, a sam udał się po stosowne polecenia.

Wrócił po kilku minutach i ku zaskoczeniu Lucy poprowadził ją korytarzem – zza zamkniętych drzwi dochodził gwar rozmów – do pustego saloniku w podpiwniczeniu. Zostawił ją tutaj, uprzejmie zamykając za sobą drzwi i całkiem nieuprzejmie przekręcając klucz w zamku. Wydawało jej się, że minęło co najmniej dwadzieścia minut, aż w końcu usłyszała zgrzyt klucza. Drzwi otworzyły się i po chwili stał przed nią Dyrektor,

przyglądając się jej z rezerwą. Przemknęło jej przez myśl, że pewnie jej nie poznaje, ale przecież nie mogła się mylić.

– Witaj, Silasie – powiedziała.

Aż trudno było uwierzyć, że ten rumiany mężczyzna z równo przyciętą brodą, w pięknie skrojonym surducie i błyszczących butach – zauważyła, że miał nawet wypielęgnowane paznokcie u rąk – to naprawdę Silas. Co za zdumiewająca transformacja!

– Myślałem, że nie żyjesz – powiedział powoli.

– Ale żyję.

Wciąż uważnie się jej przyglądał.

– Kiedyś cię szukałem. Ale nie mogłem cię znaleźć.

Tak, to możliwe.

– Ja też cię szukałam – powiedziała. Ale to było dawno temu.

Po tym, gdy sprzedał swoją łódkę, widziała go tylko raz. Było to rok później, pojawił się w ich mieszkaniu pewnego pochmurnego poranka. „Chodź ze mną, Lucy – powiedział gburowato. – Mam coś dla ciebie”. Nie chciała, ale matka bardzo nalegała, więc niechętnie poszła z nim do śmierdzącego wózka, który ze sobą przyciągnął.

Poprowadził ją przez Southwark aż do Bermondsey i w końcu dotarli na wielkie podwórze ogrodzone rozpadającym się wysokim drewnianym płotem.

Sterta śmieci Silasa Doggeta miała już dziesięć metrów wysokości i wciąż rosła. Ciągle przywożono świeże ładunki, o ile słowo „świeży” było na miejscu. Bo zawartość taczek i wózków wcale nie była świeża. Śmiecie, odpadki, wszelkie nieczystości, resztki wydalane przez wielką metropolię tworzyły ohydną cuchnącą górę. Ale najdziwniejszy był panujący tu ruch. Po tej wielkiej stercie kręcił się cały rój ludzi w łachmanach, wkopywał się w nią aż do samego wnętrza. Jedni mieli łopaty, inni sita, a jeszcze inni

posługiwali się tylko gołymi rękami, a wszystko pod świdrującym spojrzeniem dozorcy, który po zakończeniu pracy sprawdzał przy bramie, czy któraś z tych ludzkich mrówek nie wynosi czegoś ze sobą. Co mogli znaleźć? Silas oprowadził ją po podwórzu, więc na własne oczy widziała te znaleziska: kawałki żelaza, noże, widelce, miedziane rondle, patelnie, resztki drewna, stare ubrania, mnóstwo drobnych monet, a nawet biżuterię. Wszystko to składowano porządnie w skrzyniach albo układano w oddzielne sterty, a potem Dogget osobiście oceniał wartość znalezisk i podejmował decyzje, jak nimi rozporządzić. „Na tej górze śmieci – oznajmił z zadowoleniem – zarobię majątek".

Lucy – i to była właśnie jego wspaniałomyślna propozycja – mogła ją przeszukiwać wraz z innymi. To nie wszystko: ci inni, ponieważ pracowali dorywczo, zarabiali tylko pensa dziennie, jej natomiast Silas był gotowy płacić trzydzieści szylingów tygodniowo. „W końcu jesteśmy rodziną – tłumaczył. – Może kiedyś znajdę ci coś lepszego. Mówiłem przecież – przypomniał na koniec – że wam pomogę".

Lucy spojrzała na cuchnącą stertę i na niechlujną postać Silasa. O, nie. Wyciągała z nim trupy z rzeki. Biedny Horatio grzebał w błocie z nadzieją, że znajdzie jakieś monety. A ci nieszczęśni ludzie w łachmanach krążyli po górze cennych śmieci i szlamu. Zalały ją bolesne wspomnienia. Odmówiła.

Niewiele potem mówił. Odwiózł ją do domu.

– Nigdy nie dostaniesz lepszej propozycji – powiedział na pożegnanie. – To twoja ostatnia szansa.

– Przykro mi, ale nie.

– Jesteś zawzięta jak twój ojciec.

– Może.

– W takim razie idź do diabła – warknął. Szarpnął lejcami i odjechał, nie dając jej ani szylinga.

Widziała go wtedy ostatni raz. Pięć lat później, gdy matka zmarła, Lucy myślała, że Silas pojawi się na pogrzebie. Ale nie. Miesiąc później poszła nawet do Southwark, żeby sprawdzić, co się dzieje z nim i jego górą śmieci. Podwórze było puste, Silas zniknął. Nikt nie wiedział, gdzie się przeniósł.

Niedługo potem ona też się przeprowadziła. Znalazła pracę u wytwórcy guzików w Soho i na dziesięć lat zamieszkała przy rodzinie w parafii St Giles. Okazało się, że ma dobre oko do kolorów. Wystarczyło pokazać jej kawałek tkaniny, a umiała tak dobrać farby, żeby uzyskać identyczną barwę. Robiła guziki, które pasowały do wszystkiego. Ale z kadzi, w których przechowywano barwniki, wydzielała się ostra woń i opary, które z czasem zaczęły jej szkodzić. Bojąc się, że zapadnie na astmę jak matka, zrezygnowała z pracy.

Właśnie wtedy go poznała. Był krewnym jej irlandzkich znajomych z St Giles, ale mieszkał w Whitechapel. Znalazł jej pracę w sklepie swoich przyjaciół. I to z jego powodu tam się przeniosła. Traktował ją bardzo życzliwie, wręcz z czułością. Tak naprawdę nie miała innej bliskiej osoby. Umiał nieźle czytać i pisać, dzięki czemu znalazł pracę jako urzędnik w pobliskiej stoczni.

Powoli ich przyjaźń zamieniła się w coś poważniejszego, aż wreszcie, kilka miesięcy wcześniej, gdy byli ze sobą sam na sam, wydarzyło się to, co było nieuniknione. I nie był to jedyny raz.

– Przepraszam, nie chciałam ci przeszkadzać – powiedziała Lucy. – Chyba masz gości.

– Gości? – Wciąż bacznie się jej przyglądał. Przez chwilę wydawało jej się, że Silas czuje się niezręcznie, ale to wrażenie szybko minęło. Wzruszył ramionami. – Nic specjalnego, kilkoro znajomych.

– To miłe. – Lucy nie wiedziała, że Silas ma rodzinę. Nawet dwadzieścia lat wcześniej, gdy miał już cztery córki, nie wspomniał o tym ani słowem.

I jeśli nawet interesował się losem Lucy i jej rodziny, to sam nie dopuszczał ich do swoich prywatnych spraw. I bardzo pilnował, aby Lucy nie odnalazła żadnych krewnych, którzy mogliby zdradzić jego tajemnicę.

– To twój dom? – spytała Lucy.

– Może.

– W takim razie musisz być bogaty.

– Niektórzy mają mnie za bogacza. Jakoś sobie radzę.

Było to oczywiste kłamstwo. Jeszcze przed śmiercią matki Lucy Silas zlikwidował wysypisko w Bermondsday. Ale potem otworzył trzy nowe w Londynie. I szybko zauważył, że więcej zarobi, otwierając kolejne wysypiska i potem sprzedając je innym. Największe udało mu się sprzedać za dziesięć tysięcy funtów. Już wtedy wywóz i segregacja odpadów były dobrym interesem. Przed pójściem na emeryturę Silas sprzedał dziesięć wysypisk i stał się naprawdę zamożnym człowiekiem.

– Co cię tu sprowadza? – zapytał.

Odpowiedziała szczerze, że spodziewa się dziecka. Dlaczego do tego dopuściła? Wcześniej dwóch mężczyzn chciało się z nią ożenić. I choć jeden z nich nawet się jej podobał, to odmówiła. Bo obaj byli biedni tak samo jak ona i pracowali fizycznie jak jej ojciec. Zwykły wypadek na budowie może się skończyć kalectwem lub śmiercią. I co wtedy? Nędza. Jej dzieci spotkałby taki sam los jak ją i Horatia. Dlaczego więc pozwoliła sobie na taką zażyłość z tamtym mężczyzną? Może dlatego, że go kochała. A może dlatego, że był urzędnikiem, człowiekiem z odrobiną wykształcenia, kimś, o kim zawsze marzyła. A może dlatego, że czas płynął, miała już ponad trzydzieści lat. I może wreszcie dlatego, że okazał jej czułość.

– A ten twój mąż. Co on robi?

Wyjaśniła, że jest niezamężna.

– Czyli on się nie chce z tobą ożenić?

– Jest żonaty.

Wtedy Silas, jakby zapominając, że jest szanowanym Dyrektorem, skrzywił się z niechęcią.

– Zawsze byłaś głupia – warknął. – Czego chcesz?

– Pomocy – odpowiedziała krótko. Czekała na odpowiedź.

Silas Dogget się zamyślił. Minęło dziesięć lat, odkąd przeniósł się do Blackheath, choć wcześniej miał całkiem przyzwoity dom w Lambeth. Dla większości ludzi był bogatym, szanowanym starszym panem. Tylko nieliczni wiedzieli, że dorobił się na wysypiskach śmieci. Gdy zaczął je otwierać i sprzedawać, bardzo umiejętnie ukrywał swój udział w tych transakcjach. A o mrocznych czasach, gdy wyławiał z Tamizy zwłoki i śmieci, nie wiedział w Blackheath nikt.

Spośród jego córek jedynie Charlotte pamiętała nędzne mieszkanko w Southwark, do którego przynosił zapach błota i wody z Tamizy. Czasem te wspomnienia wracały do niej, przyprawiając ją o przykry dreszcz. Odpędzała je od siebie. Dwie kolejne córki jako dziesięciolatki poszły do prywatnej szkoły dla młodych dam. A Mary Anne uczyła guwernantka. Wciąż mieszkali w Lambeth, gdy Charlotte osiągnęła wiek odpowiedni do zamążpójścia, ale Silas nie umiał jej wprowadzić do miejscowego towarzystwa. Jednak żadna z dziewcząt nie cierpiała z powodu niskiego pochodzenia. Mężczyźni na ogół nie zadają pytań o pochodzenie majątków panien na wydaniu. I mimo że trzy starsze córki Doggeta nie grzeszyły urodą, to udało im się znaleźć dobrych mężów, a ładna Mary Anne mogła nawet wybrzydzać wśród kandydatów. W ciągu dwudziestu lat Silas doszedł do bogactwa, wyprowadził swoją rodzinę z biednych zaułków i zapewnił jej szacunek należny zamożnej klasie średniej. A małżeństwa dwóch córek z Pennym i Bullem dawały szansę jeszcze większego awansu

społecznego. Takie niezwykłe odmiany losu zdarzały się zawsze, ale w szybko rozwijającym się imperium brytyjskim były coraz częstsze.

Dyrektor zaszedł za daleko, żeby pozwolić sobie na jakiekolwiek ryzyko. A panieńska ciąża Lucy mogła być dla jego rodziny zawstydzającym obciążeniem. Niepotrzebnie w ogóle zawracał sobie nią głowę. Owszem, kiedyś była całkiem przydatna, poza tym pomagał jej ze względu na więzy krwi. Teraz jednak uznał to za błąd. Ale co miał z nią teraz zrobić? Może gdyby jej wypłacał co miesiąc jakąś kwotę pod warunkiem, że nikomu nie piśnie ani słowa i będzie się trzymać od niego z daleka, sprawę dałoby się jakoś wyciszyć. Ale jednego nie zamierzał tolerować.

– Mam nadzieję, że dziecko umrze – powiedział. – Ale gdyby przeżyło, to musisz je oddać. Znajdziemy jakiś sierociniec. – Uboga krewna była do przyjęcia, ale upadła kobieta mogła skalać szanowaną rodzinę Doggetów. Na to nie mógł pozwolić, nawet gdyby miała grozić, że ujawni jego przeszłość.

– Ale ja potrzebuję pomocy, żeby je wychować – zaprotestowała Lucy.

– Musisz je oddać. Czy w tobie nie ma żadnego wstydu?

– Nie, Silasie, wstydu zostało mi już niewiele. Naprawdę nie możesz się nade mną ulitować?! – wybuchnęła. – Pozwól mi zatrzymać dziecko. Przecież ja nikogo nie mam. Kobieta musi mieć kogoś, kogo może kochać. – Rozpłakała się.

Silas patrzył na nią obojętnie. Naprawdę, jest jeszcze głupsza, niż myślał. Podszedł do biurka w rogu, wziął do ręki pióro i na kawałku papieru zapisał nazwisko i adres.

– To jest mój adwokat. – Podał jej kartkę. – Zwróć się do niego, gdy będziesz już mogła pozbyć się dziecka. Uprzedzę go o wszystkim. Innej pomocy ode mnie nie dostaniesz.

Odwrócił się i wyszedł, zamykając za sobą drzwi na klucz. Po paru minutach pojawił się kamerdyner. Odprowadził ją do wejścia dla służby i wręczył dwa szylingi, żeby miała za co wrócić do domu.

Kamerdyner miał przykazane, żeby pod żadnym pozorem nigdy więcej nie wpuścić tej kobiety do środka.

„Cutty Sark”

Rok 1889

Na położonej poniżej scenie barwny chór gondolierów coraz szybciej zbliżał się do olśniewającego crescendo. Publiczność, złożona z mężczyzn we frakach pod białymi muszkami oraz kobiet z ufryzowanymi włosami i taftowymi sukniami z turniurą, delektowała się każdą chwilą. Nancy z matką zajęły prywatną lożę. Matka siedziała nieco z tyłu, a podekscytowana Nancy wychyliła się do przodu, trzymając wachlarz w ręce opartej o balustradę.

Jego dłoń znajdowała się zaledwie o dwa, trzy centymetry od jej dłoni. Udawała, że tego nie zauważa. Zastanawiała się jednak, czy się zbliżają. Czy w końcu się zetkną?

W późnowiktoriańskim Londynie dostępne były trzy kategorie rozrywek. Najbardziej wyrafinowana była opera w Covent Garden. Biedota miała swój teatr rewiowy, wspaniałe połączenie piosenki, tańca i burleski – pierwowzór wodewilu – którego ekspansja była obecnie widoczna na najpodlejszych nawet przedmieściach. Jednak w ostatnim dziesięcioleciu między tymi dwiema kategoriami pojawił się nowy typ widowisk. Operetki Gilberta i Sullivana pełne były wpadających w ucho melodii i uroczych wątków komediowych, jednocześnie kompozycje tego drugiego często dorównywały operowym, a libretta pierwszego nie miały sobie równych pod względem maestrii językowej i satyrycznego zacięcia. *Piraci*

z Penzance, *Mikado* – co roku nowe wystawienia szturmem zdobywały Londyn, a wkrótce zdobyć miały także Nowy Jork. Ten rok należał do *Gondolierów*. Królowa Wiktoria ich uwielbiała.

Trudno byłoby uznać, że panna Nancy Dogget z Bostonu w stanie Massachusetts wyróżnia się czymś szczególnym. Owszem, cerę miała niewątpliwie ładną. Złociste włosy z przedziałkiem pośrodku nosiła skromnie spięte z tyłu w sposób może nieco zbyt infantylny jak na jej dwadzieścia jeden lat. Trzeba było jednak przyznać, że błękitne oczy miała naprawdę niezwykłe. Jeśli chodzi o mężczyznę, który z taką atencją towarzyszył jej tego wieczoru, to wydawał się wzorem wszelkich cnót. Ciepły, uroczy, wykształcony, a w dodatku posiadacz wspaniałego domu i ślicznej starej posiadłości w hrabstwie Kent. Jako trzydziestolatek był już na tyle dojrzały, aby pozować na człowieka obytego w świecie, lecz wciąż na tyle młody, aby dziewczęta z jej rodzinnych stron mogły jej pozazdrościć. Oczywiście trzeba też było mieć na uwadze to, co obwieściła jej matka, gdy go poznała: „Moja droga, on jest hrabią!”.

Dla dziewczyny z Bostonu wysoko postawione rodziny nie były bynajmniej czymś nowym. Jak bowiem głosił znany wierszyk:

> A tam w starym dobrym mieście Bostonie,
> Gdzie dorsz i fasola za każdym rogiem,
> Każdy Lowell gada tylko z Cabotem,
> Zaś każdy Cabot gada tylko z Bogiem.

Cabotowie, Hubbardowie, Gorhamowie, Loringowie – wszystko przedstawiciele starych bostońskich rodzin – nie tylko wiedzieli, w jakie rodziny wżenili się ich przodkowie, ale mieli też świadomość, jaką opinią cieszyli się w owych czasach. Rodowód Doggetów sięgał wstecz równie daleko jak innych rodzin. Przybyli razem z Harvardem. Podobno wsiedli nawet na pokład „Mayflower”, po czym „uciekli na brzeg”, jak zapamiętało

to kilku nieżyczliwych przyjaciół. Ich fundusze powiernicze miały solidne podstawy. A jeśli nawet od czasu do czasu w rodzinie rodził się ktoś z błoną między palcami, nie wywoływało to zbytniego poruszenia, bo nawet najwięksi admiratorzy tych starych rodzin ze Wschodniego Wybrzeża nie twierdzili przecież, że ich członkowie odznaczali się nadzwyczajną urodą.

Pan Gorham Dogget był prawdziwym bostończykiem. Studiował na Harvardzie, uważnie dobierał słowa i poślubił dziewczynę ze starej, bogatej nowojorskiej rodziny. Potrafił podejmować ryzyko. Inwestując w linie kolejowe, które umożliwiły ekspansję na wielkie równiny Środkowego Zachodu, potroił swoją i tak już pokaźną fortunę. W ostatnich latach regularnie bywał w Londynie. Chociaż Stany Zjednoczone prężnie się rozwijały, londyńskie City ze swoimi kolosalnymi obrotami handlowymi w ramach imperium wciąż było finansową stolicą świata. Amerykańscy bankierzy, tacy jak Morgan i Peabody, spędzili tu większość swojego zawodowego życia, gromadząc środki na ogromne przedsięwzięcia, na przykład amerykańskie koleje. Związane z tym wizyty w Londynie podsunęły Gorhamowi Doggetowi kilka pomysłów na nowe przedsięwzięcia.

Podobnie jak inni Amerykanie, którym nadejście epoki przemysłowej pozwoliło w bezprecedensowy sposób pomnożyć majątek, Gorham Dogget zasmakował w oferowanych przez Europę przyjemnościach. Wzorem angielskich arystokratów z poprzedniego stulecia Amerykanie podróżowali po Europie, a Londyn wydawał się im najlepszą bazą wypadową. Doggetowie spędzili już miesiąc we Francji i kolejny we Włoszech, a Nancy miała okazję poduczyć się nieco tamtejszych języków i wykonała wiele szkiców. Udało im się też zakupić kilka wspaniałych obrazów. Już po raz trzeci matka z córką zostały w Londynie, korzystając z tutejszego życia towarzyskiego, podczas gdy pan Dogget wrócił na krótko do Bostonu.

W Europie można było jednak znaleźć nie tylko obrazy czy wrażenia kulturalne.

– Sądzisz, że St James byłby dobrym mężem? – zagadnęła Nancy matkę. Zorientowała się już, że nawet żony arystokratów często mówiły o nich, używając tytułów. – Mogłabym zostać hrabiną.

– Powinnaś raczej myśleć o mężczyźnie, a nie o jego tytule – upomniała ją matka.

– Przecież sama nie masz nic przeciwko temu, że jest szlachetnie urodzony – przypomniała Nancy, zauważając, że matka się rumieni.

– Wydaje mi się, że to dobry człowiek – odparła pani Dogget – i twojemu ojcu z pewnością się spodoba.

– Jeszcze się nie oświadczył – powiedziała z pewnym smutkiem Nancy. – Może w ogóle nie jest zainteresowany.

Ale gdy finał *Gondolierów* osiągał apogeum, hrabia St James pozwolił sobie musnąć jej dłoń.

Gdyby zobaczyła go godzinę później, byłaby zaskoczona.

Obecny hrabia używał salonu na pierwszym piętrze domu przy Regent's Park jako biblioteki i gabinetu. W przeciwieństwie do swoich poprzedników miał zacięcie intelektualne i artystyczne. Książki były starannie dobrane, miał nawet niedużą kolekcję rysunków. Siedząc przy francuskim sekretarzyku, wpatrywał się smutnawo w siedzącą przed nim postać.

– No cóż, staruszko – westchnął. – Wygląda na to, że będę musiał poślubić pannę Dogget. – Podniósł oczy i jego wzrok natrafił na zakupiony niedawno subtelny szkic Tamizy. – Jedyną osobą, która może mnie uratować, jest Barnikel. – Uśmiechnął się smętnie. – Zabawne, nie sądzisz?

Muriel pozostawała jak zawsze nieodgadniona.

Poprzedni hrabia był żonaty dwukrotnie. Jedynym pozostałym przy życiu dzieckiem z pierwszego małżeństwa była lady Muriel, a z drugiego ostał się tylko obecny hrabia, o piętnaście lat od niej młodszy. Przyglądając się smukłemu, przystojnemu parowi i jego przyrodniej siostrze, trudno byłoby jednak uwierzyć, że są spokrewnieni. Lady Muriel de Quette była tak gruba, że ledwie mieściła się w stojącym w bibliotece wielkim skórzanym fotelu. Rzadko się odzywała. Nie jeździła konno, nie spacerowała, nie czytała. Za to nieustannie jadła. Teraz akurat konsumowała zawartość wielkiej bombonierki.

– Trzeba przyznać, że jest milutka. – Hrabia pokręcił głową i westchnął. – Wiesz, gdyby nie dziadek, powodziłoby nam się całkiem nieźle.

Lady Muriel wepchnęła do ust kolejną czekoladkę.

Kiedy wkrótce po reformie prawa wyborczego w 1832 roku roztropny, konserwatywny lord Bocton wreszcie przejął majątek ojca, większość rodzinnych finansów zainwestował w grunty rolne, ale nawet wyjątkowa rozrzutność jego syna George’a, ojca obecnego hrabiego, nie spustoszyłaby rodzinnej fortuny, gdyby nie koleje. Gdy pan Gorham Dogget zainwestował w koleje, które zapewniły dostęp do amerykańskiego Środkowego Zachodu, przypieczętował zgubę wielu angielskich dżentelmenów. Napływ ogromnych ilości taniego zboża z amerykańskich równin spowodował spadek cen, a tym samym wartości znacznych połaci gruntów rolnych. Po otrzymaniu spadku obecny hrabia zmuszony był sprzedać osiem tysięcy hektarów po kiepskich cenach, aby spłacić długi ojca. Zachował duży dom w Londynie oraz stary dwór w Bocton, lecz jego dochody poważnie się skurczyły. Wyglądało na to, że wkrótce trzeba się będzie pozbyć którejś nieruchomości, a może i obu. Lord St James zdawał sobie więc sprawę, że jeśli ma znaleźć dziedziczkę, powinien zrobić to szybko. Nie zamierzał bynajmniej nikomu mydlić oczu co do swojej kondycji finansowej. Nie był

oszustem. Ponadto lord, w którego posiadaniu pozostaje jeszcze wykwintny londyński dom i rodowa posiadłość, stanowi zdecydowanie lepszą, poważniejszą partię niż arystokrata – nawet hrabia – który nie dysponuje takim zapleczem.

Lord St James wstał i sięgnąwszy do kieszeni kamizelki po klucze, podszedł do szafy i otworzył ją. Wewnątrz znajdował się mały sejf, który ostrożnie odemknął i wyciągnął z niego kilka skórzanych puzderek. Siostra przyglądała się beznamiętnie, jak układa puzderka na sekretarzyku, następnie troskliwie podnosi wieczka, odsłaniając skrzącą się zawartość.

– Zostało nam jeszcze to, staruszko – powiedział.

Klejnoty rodzinne St Jamesów były najwyższej próby. Uwagę przyciągał zwłaszcza rubinowy naszyjnik – było powszechnie wiadomo, że będzie go nosić przyszła hrabina St James. Jednak dla hrabiego ta biżuteria stanowiła ostatnią deskę ratunku. Choć lubił kobiety i miał za sobą dwa długie romanse, cenił też wolność i do ożenku skłaniało go tylko poczucie rodzinnego obowiązku. Jeśli nie postara się o potomka, tytuł hrabiowski St James wygaśnie. Gdyby jednak jego matrymonialne plany spaliły na panewce, sprzedaż posiadłości Bocton i biżuterii, jak to obliczył, zapewniłaby mu wystarczające środki, aby wieść życie wykształconego, niezależnego finansowo dżentelmena, którym w istocie wolałby być do śmierci.

– Oczywiście nigdy nie przestałbym o ciebie dbać – obiecywał zawsze przy takich okazjach swojej przyrodniej siostrze. Zdawał sobie sprawę, że ona nie ma żadnych szans na małżeństwo.

Po zakończeniu inspekcji zamknął biżuterię w sejfie i ponownie zwrócił się do Muriel:

– To osobliwe, nie sądzisz? – zauważył. – Gdyby Nancy Dogget była Angielką, przypuszczalnie w ogóle nie byłaby dziedziczką.

Choć Gorham Dogget miał syna i córkę, zawsze stawiał sprawę jasno: oboje odziedziczą jego majątek po połowie. Wśród starych angielskich rodzin taki układ był praktycznie nieznany. Wielkie posiadłości przypadały najstarszemu synowi, zamężne córki często nie dostawały niczego, a córki niezamężne były zazwyczaj utrzymywane ze środków rodzinnego funduszu powierniczego albo spędzały resztę życia w rodowej posiadłości. Lady Muriel też żyła wyłącznie z tego, czym zechciał się z nią podzielić przyrodni brat.

– Więc – kontynuował hrabia – będę musiał podtrzymywać tę znajomość do nowego roku, a potem wszystko będzie zależeć od Barnikela.

Powód, dla którego hrabia nie spieszył się ze sfinalizowaniem zalotów, znajdował się na pełnym morzu kilkanaście tysięcy kilometrów od Londynu, a nazywał się „Charlotte Rose”.

Regaty herbaciane kliprów z Chin należały już do przeszłości. Kres położyło im dwadzieścia lat wcześniej otwarcie Kanału Sueskiego, umożliwiające szybsze dotarcie na Daleki Wschód przez Morze Śródziemne. Parowce ze swoimi ogromnymi ładunkami, prące mozolnie do przodu niezależnie od siły wiatru, potrafiły na tej trasie skutecznie konkurować z żaglowcami. Jednak dni chwały kliprów, które przewoziły teraz wełnę z Australii, jeszcze nie minęły. Najświetniejsze owcze runo, ładowane w Sydney australijską wiosną, kiedy na północnej półkuli panowała jesień, czym prędzej przewożono do Londynu, aby zdążyć na styczniową giełdę wełny. Pchane przez ryczące czterdziestki klipry gnały na wschód po niebezpiecznych antarktycznych wodach południowego Pacyfiku, okrążały południowoamerykański przylądek Horn i pędzone podmuchami pasatów, zmierzały na północ przez Atlantyk. Na tej trasie nie mógł się z nimi równać żaden parowiec. Na rok przed śmiercią poprzedni hrabia zainwestował w ćwierć wartości nowego klipra, jeszcze szybszego

od „Charlotte” i ochrzczonego przez Barnikela imieniem „Charlotte Rose”. I na nim właśnie sędziwy kapitan, który powinien już od dawna być na emeryturze, co roku odbywał niesamowite rejsy, pokonując w ciągu ostatnich trzech lat trasę z Australii średnio w osiemdziesiąt dni. Do zysków handlowych wynikających z rejsu dochodziło też obstawianie zakładów. Każdy znakomity kliper miał cechy szczególne, a każdy kapitan swoje mocne i słabe strony. Ludzie gromadzili informacje tego rodzaju. Zawierano ogromne zakłady. Ale żaden zakład nie był tak wysoki i tak ryzykowny jak ten zawarty kilka miesięcy wcześniej przez znajdującego się w trudnej sytuacji finansowej hrabiego St James.

Wszystko obmyślił precyzyjnie. Przebicie w razie wygranej było doskonałe: siedem do jednego. Postawił swój całoroczny dochód. Gdyby przegrał, nie miałoby to większego znaczenia: gdyby się nie ożenił, i tak byłby zmuszony do sprzedaży nieruchomości. Gdyby jednak wygrał, stać by go było na kolejnych pięć lat wystawnego życia, zanim nadszedłby kolejny kryzys – a kto wie, jakie okazje mogłyby się przez ten czas nadarzyć? Gdyby za sześć tygodni okazało się, że „Charlotte Rose” wróciła z Australii jako pierwsza, lord St James nie musiałby żenić się z Nancy Dogget już teraz. Postanowił – mimo wszystko nie chciał jej urazić – nadal okazywać jej zainteresowanie, jednocześnie za bardzo się nie angażując, aby móc w odpowiedniej chwili albo wzmóc zaloty, albo wycofać się z honorem.

– „Charlotte Rose” została wyremontowana. Tylko jeden statek mógłby ją wyprzedzić. Ale Barnikel jest pewien, że pod pełnymi żaglami jest nie do pokonania – zapewnił siostrę. – No więc tak, staruszko. – Uśmiechnął się. – Musimy tylko prześcignąć „Cutty Sarka”!

Ostatnio Mary Anne zastanawiała się, czy ona i jej córka Violet mogą dalej mieszkać pod jednym dachem. Żadne inne z jej dzieci nie sprawiało takich

kłopotów. Najgorsze było jednak to, że zachowanie Violet strasznie drażniło jej ojca.

„Jota w jotę jak ojciec – wyrzucała dziewczynie. – Nigdy nie potrafisz pójść na kompromis. Wszystko jest zawsze albo czarne, albo białe!”.

Zdaniem Bulla problem polegał na tym, że Violet była zbyt podobna do matki. Buntowniczka. „Ale ja nigdy nie byłam nierozsądna”, odpierała takie zarzuty Mary Anne.

Violet zawsze była irytująca. Mary Anne przypomniała sobie, że przyłapała dawniej córkę na przymierzaniu jej ubrań. Dziewczynka dostała za to solidnego klapsa. Kilka lat temu, kiedy Violet miała szesnaście lat, Mary Anne zauważyła, że córka stanowczo za bardzo zbliża się do ojca. Nadskakiwała mu, przynosiła ulubioną fajkę, spędzała z nim każdą chwilę. Bullowi najwyraźniej sprawiało to przyjemność, ale Mary Anne wzięła córkę na bok i powiedziała jej stanowczo: „To ja jestem jego żoną, a ty córką i jeszcze dzieckiem. Proszę, zachowuj się stosownie”.

Jednak prawdziwy problem wiązał się z jej wykształceniem. Jak większość dziewcząt o podobnej pozycji społecznej, Violet miała guwernantkę – gruntownie wykształconą kobietę, która powiedziała jej rodzicom, że mają uzdolnioną córkę, i przerabiała z nią materiał znacznie wykraczający poza przyjęty w takich wypadkach program. „Powinnaś była zauważyć, do czego to wszystko prowadzi, i to ukrócić”, gorzko wyrzucał Bull żonie, kiedy tej jesieni zwolnił nieszczęsną guwernantkę. Bo to bez wątpienia z jej winy dziewczynie zaświtał niemądry pomysł wstąpienia na uniwersytet.

Pomysł, rzecz jasna, niedorzeczny. Jeszcze czterdzieści lat wcześniej coś takiego w ogóle nie byłoby możliwe. Choć istniały nieduże kolegia żeńskie związane z uniwersytetami w Oksfordzie i Cambridge, uczęszczała do nich tylko garstka kobiet, które i tak nie były uznawane za pełnoprawne

studentki. Nie przypuszczając, że dziewczyna traktuje swój pomysł serio, matka rzuciła kiedyś: „Twój ojciec nigdy by ci nie pozwolił mieszkać gdzieś poza domem bez przyzwoitki”.

„Mogłabym mieszkać w domu i uczęszczać na uczelnię w Londynie”, odparowała natychmiast Violet.

Jak wkrótce przekonała się o tym Mary Anne, Violet miała rację. Uniwersytet Londyński był miejscem osobliwym. Założony tuż przed wstąpieniem królowej Wiktorii na tron, stanowił postępową instytucję przyjmującą dysydentów religijnych, którym wciąż odmawiano możliwości kształcenia się w Oksfordzie i Cambridge. Budynki uczelni były rozproszone, nie wymagano, aby studenci mieszkali w akademikach, a od kilkudziesięciu lat dopuszczano do studiów kobiety. Ale jaki typ kobiety zdecydowałby się na taki krok? Mary Anne nawet nie chciała o tym myśleć. Jej najstarszy syn Richard studiował wcześniej w Oksfordzie, oczywiście jako dżentelmen, i oświadczył jej z dumą, że gdy tam był, nie przeczytał ani jednej książki. A kiedy zapytała go o studentki, skrzywił się tylko i rzucił: „Sawantki, mamo. Unikaliśmy ich”.

Opinie innych były równie zniechęcające. Zresztą cóż by Violet poczęła z całą tą wiedzą? Zostałaby nauczycielką lub guwernantką? Bullowie widzieli jej przyszłość zupełnie inaczej.

Edward Bull nie marzył nawet o tym, że osiągnie aż taki sukces. Szczęście uśmiechnęło się do niego najszerzej w latach pięćdziesiątych, kiedy Wielka Brytania zaangażowała się na Krymie w krótką i niefortunną wojnę z Rosją, a on zawarł z rządem brytyjskim kontrakt na dostawy alkoholu dla armii. Wszyscy zapamiętali wojnę krymską z działalności pielęgniarskiej Florence Nightingale i bohaterskiej szarży lekkiej brygady, lecz Edwardowi Bullowi utkwiła w pamięci dlatego, że uczyniła go bardzo bogatym człowiekiem. To właśnie Edward mieszkał teraz w dużym domu

w dzielnicy Blackheath i jak inni bogaci browarnicy był o krok od tego, aby zostać prawdziwym dżentelmenem. Los córki dżentelmena mógł być tylko jeden: rentierka.

„Może sobie zatrudnić wykształconą kobietę na guwernantkę – stwierdził Edward – ale z całą pewnością sama nie może nią być".

Tak więc Mary Anne – córka śmieciarza Silasa – zniechęcała własną córkę do zdobywania wyższego wykształcenia, bo mogłoby to sprawić wrażenie, że awansująca społecznie rodzina zbyt mocno utożsamia się z klasą średnią.

„Nie jesteś kimś pospolitym – zapewniała dziewczynę. – Znajdziesz męża. Ale pamiętaj, mężczyźni nie lubią zbyt bystrych kobiet, więc musisz nauczyć się ukrywać swoją inteligencję".

Violet była jednak wyjątkowo uparta. W przeciwieństwie do pozostałych dzieci Bullów, jasnowłosych i niebieskookich, Violet miała szeroko rozstawione piwne oczy i kasztanowe włosy z białym pasmem. „Ani mi się śni poślubić człowieka, który boi się inteligentnych kobiet!", odparowała. Przez ostatnie dwa miesiące zachowywała się wprost niemożliwie. Nie było mowy, aby Edward Bull ustąpił, a szanse na to, aby odpuściła Violet, były równie znikome. Atmosfera w domu przypominała burzę z piorunami. Najbardziej irytująca dla Mary Anne była postawa córki wobec niej. „Wiem, że tego nie zrozumiesz – mawiała Violet do matki z nutą pogardy w głosie. – Tata prowadzi cię na pasku, a tobie to najzupełniej pasuje. Nigdy nie miałaś żadnych własnych planów życiowych".

A co ty możesz o tym wiedzieć?, myślała Mary Anne. Trzydzieści lat małżeństwa z Edwardem nie było najgorszym okresem. Potrafił, rzecz jasna, być uparty i apodyktyczny, ale taka była większość mężczyzn. Jeśli nawet czasami snuła nieśmiałe marzenia – żeby poczucie humoru jego przyjaciół było nieco subtelniejsze albo żeby przynajmniej jeden z nich

przeczytał kiedyś książkę – z nikim się tym nie dzieliła. Bywało, że miała ochotę krzyczeć z nudów i frustracji, ale te czasy dawno minęły. Małżeństwo polega na tym, aby nie krzyczeć, a płynące z niego korzyści – wygoda, dzieci – są prawdziwym błogosławieństwem. Więc jeśli ja potrafiłam wytrzymać, myślała Mary Anne posępnie, to i ona potrafi. „Życie nie jest takie, jak ci się wydaje – pouczyła dziewczynę. – I im szybciej sobie to uświadomisz, tym lepiej".

Dzięki Bogu istniała przynajmniej jedna neutralna płaszczyzna, na której na mocy niepisanego porozumienia te utarczki ustawały. W każde środowe popołudnie Mary Anne i Violet wsiadały do pociągu do Londynu, po czym turkoczącą dwukółką ruszały na Piccadilly. Ta szeroka ulica zachowała swój wykwintny osiemnastowieczny charakter. Wychodziły na nią frontony nowych rezydencji, które stopniowo zajmowały miejsce starych, okazałych pałaców z minionej epoki, choć otoczony dziedzińcem i oddzielony od ulicy murem Burlington House – z mieszczącą się w nim obecnie Akademią Królewską – zachował dawną świetność. Sklep Fortnum & Mason działał nadal. A kilka budynków dalej znajdowało się sanktuarium, w którym nawet Violet zapominała o sporach z matką

Pewnego zimnego grudniowego popołudnia, trzy tygodnie przed Bożym Narodzeniem, Mary Anne i Violet ruszyły na swoją tradycyjną wyprawę.

Nie zniechęciły się pogodą i gdy przekraczały most Westminsterski, z górującymi nad nimi budynkami parlamentu i wysoką wieżą Big Bena, zaczął padać śnieg. Idąc Whitehall i zahaczając o Trafalgar Square, wkrótce dotarły do Piccadilly i najlepszej księgarni w wiktoriańskim Londynie: Hatchards of Piccadilly. W istocie była to nie tylko księgarnia, lecz coś w rodzaju klubu. Na zewnątrz stały ławki, na których mogli odetchnąć służący, podczas gdy ich chlebodawcy szperali między tomami. W głębi księgarni krył się zaciszny salonik, w którym bywalcy mogli pogawędzić

i poczytać gazetę przy kominku. U Hatchardsa pojawiali się członkowie rodziny królewskiej, bywali polityczni rywale, Gladstone i Disraeli, uwielbiał to miejsce sędziwy diuk Wellington. Kiedyś Oscar Wilde, który wysyłał swoje sztuki do Hatchardsa z prośbą o opinię, stanął tuż obok Mary Anne i posłał jej czarujący uśmiech.

Zarówno dla niej, jak i dla jej córki księgarnia Hatchards była azylem. Edward nie miał nic przeciwko zamiłowaniu żony do czytania, a Mary Anne kupione tutaj zbiory dzieł Dickensa i Thackeraya uważała za swoje najcenniejsze skarby. Życzliwy księgarz zachęcił ją do zapoznania się z poezją Tennysona, więc zdążyła już zakochać się we wspaniałych strofach jego autorstwa. Violet natomiast kupowała zazwyczaj pozycje o charakterze filozoficznym, od Platona po takich współczesnych brytyjskich myślicieli jak Ruskin. Obawiając się nieco, że Edward może te dzieła zauważyć, Mary Anne upychała je pomiędzy własnymi książkami.

Tego dnia obie rozglądały się za prezentami świątecznymi. Mary Anne znalazła właśnie książkę o strzelectwie, która mogła zaciekawić jej najstarszego syna, gdy zdała sobie sprawę, że zza stołu obserwuje ją w milczeniu wysoka postać. Gdy podniosła wzrok, żeby sprawdzić, kto to jest, mężczyzna odwrócił się do zbliżającego się księgarza.

– Mam książkę, której pan poszukiwał, pułkowniku Meredith – oznajmił księgarz.

Co za niesprawiedliwość! Jak to możliwe, aby mężczyzna w jej wieku był tak zabójczo przystojny? Włosy, dość krótko przystrzyżone, miał nadal kasztanowe, a pojawiająca się na skroniach siwizna tylko dodawała mu szyku. Bruzdy wokół oczu należały do kogoś, kto, jak sobie wyobrażała, poznał odległe zakątki świata. Wydawało się, że ciało ma gibkie i wysportowane. Miało się poczucie, że gdyby okoliczności tego wymagały, mógłby być niebezpieczny. Długie jedwabiste wąsy czyniły z niego

rasowego pułkownika, lecz było w nim coś jeszcze, jakaś łagodność i inteligencja, sugerujące, że nie jest zwykłym wojskowym.

– Pani Bull? Czy to pani Bull? – zapytał, podchodząc. Mary Anne usiłowała przytaknąć, lecz ku swojemu przerażeniu tylko się zarumieniła. – To chyba niemożliwe, żeby pani mnie jeszcze pamiętała.

– Ależ tak! – odzyskała głos, zdając sobie sprawę, że zbliża się do nich Violet. – Wybierał się pan do Indii, aby polować na tygrysy. – Boże, cóż za bzdury ona wygaduje?

– Zupełnie się pani nie zmieniła. – Zdawał się mówić zupełnie szczerze.

– Ja? Och, bynajmniej! Moja córka Violet. Pułkownik Meredith. Rzeczywiście pan ustrzelił?

– Tygrysy? – Spojrzał na nie z uśmiechem. – Mnóstwo.

Wyglądało na to, że pułkownik Meredith wrócił do Anglii zaledwie kilka miesięcy wcześniej. Będąc od trzydziestu lat w podróży, poznał wiele krajów. Personel Hatchardsa znał go, ponieważ wkrótce miała zostać wydana jego książka, zatytułowana *Wiersze miłosne, tłumaczone z perskiego*. Miał dom w zachodnim Londynie, wystarczająco duży, aby pomieścić wszystkie swoje zbiory. Nigdy się nie ożenił. Ale może w najbliższą środę zechciałaby wpaść do niego na herbatę?

– O, tak! – odpowiedziała, zaskakując i samą siebie, i córkę. – Tak!

Ponieważ pora kolacji w wiktoriańskiej Anglii przesuwana była na coraz późniejszą godzinę, Anglicy zaczęli praktykować orientalny zwyczaj raczenia się herbatą po południu. Była to nieskomplikowana tradycja, umożliwiająca składanie krótkich wizyt i zapraszanie gości przez damy i kawalerów z zachowaniem zasad przyzwoitości.

W następną środę, nieco po czwartej, Mary Anne Bull w towarzystwie Violet zjawiły się w domu pułkownika Mereditha w Holland Park. Mary

Anne wahała się, czy wypada skorzystać z tego zaproszenia, ale uznała, że zmiana zdania byłaby niegrzecznością. Zabrała więc ze sobą niezbyt chętną na tę eskapadę Violet w roli, jak to ujęła, przyzwoitki.

Na londyńskich przedmieściach znajdowały się dwa rejony, w których chętnie rezydowali zasobni finansowo dżentelmeni o artystycznym zacięciu. Pierwszy to St John’s Wood, rozciągający się tuż nad Regent’s Park na ziemiach należących niegdyś do joannitów, zakonu z okresu wypraw krzyżowych. Drugim był właśnie Holland Park. Dochodziło się do niego południowym skrajem Hyde Parku, obok pałacyku Kensington, gdzie wychowywała się królowa Wiktoria. Jego centralnym punktem był stary, otoczony parkiem dwór należący do baronów Holland. Otaczały go okazałe domy, położone przy ocienionych drzewami, eleganckich ulicach, gdzie dżentelmeni mogli wieść spokojne życie zaledwie dziesięć minut jazdy powozem od Mayfair.

Nawet jak na okolice Holland Park dom pułkownika Mereditha był imponujący. Położony przy Melbury Road, w ogrodzie z przyciętymi drzewami, przypominał miniaturowy zamek. Do wnętrza prowadził masywny ganek wejściowy, w jednym rogu znajdowała się okrągła wieża, a duże okna oprawione były w ołowiane szprosy. Tchnął czymś magicznym. Gości najbardziej zdumiewało jednak to, że zamiast kamerdynera drzwi otwierał im wysoki sikh w efektownym turbanie i bez słowa prowadził ich do biblioteki pułkownika.

Na ścianach, zgodnie z tradycją, wisiały portrety przodków. Przed kominkiem stała obita skórą osłona, na której można było przysiąść, oraz dwa fotele uszaki. Na tym jednak kończyły się tradycyjne angielskie akcenty. Nad kominkiem wisiała para słoniowych ciosów, na stołach stały szkatułki z kości słoniowej, chińskie pudełka z laki i drewniany posążek Buddy, a obok biurka wykonany ze stopy słonia kosz na śmieci. W jednym

rogu znajdował się stojak z indyjskimi sztyletami oraz srebrnym ankusem, darem od zaprzyjaźnionego maharadży, w innym wisiało kilka pięknych perskich miniatur. W pobliżu kominka widać było parę orientalnych pantofli z zawiniętymi czubkami, w których Meredith chodził po domu. A na środku podłogi, na tureckim dywanie, leżała wspaniała tygrysia skóra.

Natychmiast podano herbatę – do wyboru, indyjską lub chińską – którą pułkownik osobiście nalał zaproszonym paniom. Był w doskonałym humorze i wkrótce, w odpowiedzi na pytania Mary Anne, zaczął ujawniać szczegóły swojego fascynującego życia.

Choć wcześniej imperium brytyjskie rozwijało się prężnie wyłącznie w sferze handlowej, w ostatnich dziesięcioleciach zaszły pewne subtelne zmiany. Widząc potrzebę roztoczenia kontroli nad Indiami, gdzie w latach pięćdziesiątych XIX wieku miał miejsce bunt, a także zapewnienia ochrony nad egipskim Kanałem Sueskim, w którym premier Disraeli wykupił większościowe udziały, kupiecka wyspa, jaką była Wielka Brytania, została zmuszona do przyjęcia bardziej imperialnej polityki administracyjnej. Brytyjczycy wywiązali się z tego zadania dość dobrze. Indyjska służba cywilna działała niezwykle sprawnie. Jej świetnie wykształcona elita dysponowała szeroką wiedzą na temat subkontynentu indyjskiego. Oficerowie brytyjskiej armii często biegle władali miejscowymi językami, a zdarzali się pośród nich nawet tacy uczeni jak pułkownik Meredith.

Wcześniej wspomniał, że nigdy nie znalazł czasu, aby się ożenić, i była to po części prawda. Przebywał w Indiach, Chinach i Arabii, a jego wyczyny, choć ledwo o nich napomykał, w najbliższych mu kręgach owiane były legendą. Widziany w wejściu sikh służył wiernie Meredithowi, bo ten ocalił mu niegdyś życie. O swoich podbojach miłosnych pułkownik nie wspomniał ani słowem, ale w Indiach Mary Anne dowiedziałaby się z pewnością, że i one przeszły do legendy. Nietykalne były tylko żony

innych oficerów. A jednak, choć żadnej nie wypadało tego robić, co najmniej sto pięknych kobiet dość często przymykało oczy i cichym westchnieniem marzyło o objęciach Mereditha.

To spotkanie wywarło na Mary Anne nieoczekiwane, a właściwie piorunujące wrażenie. Przypuszczała, że wizyta może ponownie rozniecić romantyczne uczucia sprzed wielu lat, ale nie spodziewała się, że już przy pierwszej kanapce z ogórkiem poczuje zawroty głowy tak samo jak wtedy, gdy balon porwał ją do nieba. Ścisnęła mocno w dłoni porcelanową filiżankę, starając się nie zemdleć z emocji. Gdy pułkownik poczęstował je ciastem z orzechami włoskimi i usiadł, spokojnie jej się przypatrując, wiedziała już tylko jedno: że pragnie opuścić swój dom, kłopotliwą córkę i męża i znaleźć wytchnienie w ramionach Mereditha.

– Violet chce iść na uniwersytet. Co pan o tym myśli? – powiedziała, chcąc zmusić się do myślenia o własnej rodzinie.

Na początku wizyty dziewczyna była dość nadąsana, ale gdy w trakcie konwersacji zauważyła wokół siebie intrygujące woluminy, zaczęła pytać Mereditha o ich tytuły. Oprócz zwykłych angielskich klasyków i półki z pozycjami takimi jak *Polowanie na grubego zwierza w Bengalu* były tam też inne fascynujące dzieła. Książki po persku, arabsku, a nawet dziwne, cienkie, ułożone w harmonijkę zwoje pergaminu, ściśnięte drewnianymi deszczułkami i związane sznurkiem, napisane, jak wyjaśnił Meredith, w sanskrycie.

– Potrafi pan je wszystkie przeczytać? – spytała Violet. Przyznał, że tak. – Ile pan zna języków? – dopytywała.

– Siedem i kilka dialektów – padła odpowiedź.

Teraz, po pytaniu Mary Anne o studia, Meredith spojrzał na Violet i odparł cicho po dłuższym zastanowieniu:

– Przypuszczam, że to zależy od tego, w czym pani chciałaby się kształcić.

– Nudzę się – rzekła bez ogródek. – Świat moich rodziców jest niedorzeczny.

Ta impertynencja nie wywarła na Meredicie wrażenia.

– Niedorzeczny? Bynajmniej – powiedział. – W tej kwestii bym się wcale z panią nie zgodził. Ale jeśli chodzi pani o poszerzenie horyzontów – rozejrzał się po pokoju i regałach z książkami – to sam uniwersytet tego pani nie zapewni, choć śmiem twierdzić, że może pomóc. Ja sam nigdy nie studiowałem. – Uśmiechnął się. – To w gruncie rzeczy kwestia ducha. Czy może przeznaczenia.

Violet zamilkła. A Mary Anne była wdzięczna Meredithowi, że tak zręcznie wybrnął z sytuacji. Jeśli jednak nie uda jej się zdobyć poparcia pułkownika, dziewczyna może nadal sprawiać kłopoty. Tuż przed zakończeniem wizyty Violet, spoglądając na leżące przy kominku pantofle i widząc na stole długą indyjską fajkę, nagle przerwała im rozmowę:

– Czy wkłada pan te pantofle i pali tę fajkę co wieczór, pułkowniku Meredith?

– Faktycznie tak robię – przyznał.

– A nie pokazałby nam pan tego, zanim pójdziemy? Jestem pewna – śmiało kontynuowała Violet – że mama chciałaby pana zobaczyć w bardziej swobodnej sytuacji.

– Ależ Violet! – Mary Anne poczuła, że nie panuje nad rozlewającym się na jej twarzy rumieńcem.

Meredith wydawał się rozbawiony.

– Proszę chwilę poczekać – powiedział i wyszedł z pokoju.

Wrócił kilka minut później ubrany we wspaniały czerwony szlafrok z orientalnego brokatu, a na głowie miał czerwony fez. Bez trudu wsunął

w pantofle stopy spowite białymi jedwabnymi skarpetami i usadowił się wygodnie w fotelu przy kominku. Z wprawą nabił fajkę, ugniatając tytoń, zapalił ją i się zaciągnął.

– Czy to wystarczy? – zapytał, spoglądając na dwie kobiety.

Ale jeśli widok Mereditha w – jak to ujęła jej córka – bardziej swobodnej sytuacji wywołał w Mary Anne niepokój, to i tak nie mogło się to równać z uczuciem, które ją ogarnęło, gdy na pożegnanie uścisnął łagodnie jej dłoń i powiedział cicho:

– Mam nadzieję, że jeszcze się spotkamy.

– Ale jest pewien dylemat, staruszko. Bez dwóch zdań – hrabia St James pokręcił głową. – Widzisz, problem polega na tym, że „Cutty Sark” jeszcze nigdy nie został pokonany.

W istocie była to tylko połowa kłopotów. Zasadniczym, najbardziej palącym problemem wydawało się to, że dwa dni wcześniej pan Gorham Dogget przybył z Bostonu i oświadczył, że zaraz po świętach Bożego Narodzenia, by uniknąć tutejszej wilgotnej zimy, zabiera żonę i córkę na trzymiesięczny rejs po Nilu i Morzu Śródziemnym. Nie postanowiono jeszcze, czy Nancy i jej matka wrócą potem do Londynu.

Wyjątkowość „Cutty Sarka” wynikała z solidnej budowy. Jego budzący respekt kapitan mógł rozwinąć więcej żagli, niż było to możliwe na jakimkolwiek innym statku, i kliper pruł wtedy bezpiecznie do przodu nawet po najburzliwszych wodach.

– Barnikel może utrzymywać, że potrafi go pokonać, i może nawet ma rację, ale to zbyt wielkie ryzyko – ciągnął hrabia. – Brakuje nam czasu.

Lady Muriel przeżuwała w zamyśleniu suszone owoce wyjmowane z pudełka.

– Nie pozostaje nic innego – podsumował St James – jak pójść jutro i się oświadczyć.

Niektórzy naśmiewali się z Esther Silversleeves za jej plecami, choć było to trochę niesprawiedliwe. Przecież nie żywiła wcale złych zamiarów.

Może miałaby więcej pewności siebie, gdyby tylko mężowie jej sióstr nie odnieśli takiego sukcesu. Choć kapitan Jonas Barnikel zbił na swoich licznych morskich wojażach małą fortunę, on i jego żona Charlotte nadal wiedli spokojne życie solidnej rodziny kupieckiej. Z kolei rodzina Pennych, mająca ugruntowaną pozycję w City, obracała się w znacznie wyższych sferach, uczestniczyła w kolacjach gildii londyńskich, a nawet raz na jakiś czas chodziła do opery w Covent Garden. Jeśli chodzi o Bullów, to byli już tak bogaci, że ich dzieci zadawały się z arystokratyczną młodzieżą niemal na równej stopie. Sytuacja Arnolda Silversleevesa i jego żony była jednak odmienna. Ich dom znajdował się w sympatycznej okolicy jakieś sześć kilometrów od centrum Londynu, na północnym wzgórzu Hampstead, niedaleko od otwartych przestrzeni Hampstead Heath. Było tam wiele okazałych i urokliwych rezydencji. Ich dom – choć żadne z nich nie zdawało sobie z tego sprawy – do takich nie należał. Jego wysokie, pokraczne szczyty przywodziły na myśl samego kościstego pana Silversleevesa. Był jednak przestronny, a dzięki jej pieniądzom nigdy niczego im nie brakowało.

Do chwili niedawnego przejścia na emeryturę Arnold Silversleeves był wspólnikiem Grindera i Watsona. Szanowano jego kunszt inżynierski, jednak przedsięwzięcia, w które angażował firmę, jakoś nigdy nie przynosiły zbytnich zysków, podejmował się ich bowiem ze względu na wyzwania techniczne albo jego własny perfekcjonizm uszczuplał marże zysku. Na długo przed jego przejściem na emeryturę dawało się odczuć u wspólników pewne oznaki zniecierpliwienia. Kwestia awansu społecznego nigdy go nie zaprzątała. Rodzina była szanowana i miała środki do życia: czegóż chcieć więcej?

Wszyscy jego wspólnicy przyznawali wszakże, że Silversleeves jest jednym z najznakomitszych inżynierów w Londynie. Właśnie z tego powodu pewien bogaty amerykański dżentelmen – którego wizyta na tydzień przed Bożym Narodzeniem wywołała u Esther Silversleeves wielką ekscytację – zaoferował mu ostatnio stałe honorarium za dyspozycyjność.

Arnold Silversleeves zawsze snuł marzenia o realizacji przedsięwzięć służących dobru ludzkości, a przynajmniej dobru londyńczyków, więc niejaką satysfakcją napawało go to, że wiele z jego zamierzeń się ziściło. Kiedy pod koniec lat pięćdziesiątych parlament podjął ostatecznie decyzję o pełnej przebudowie londyńskiej kanalizacji, kontrakt podpisano nie z firmą Silversleevesa, lecz z wybitnym inżynierem Bazalgette'em. W typowym dla siebie odruchu wspaniałomyślności Silversleeves udostępnił własne rysunki istniejącego systemu kanalizacji znanemu koledze po fachu, który wykorzystał je do weryfikacji swoich szkiców. „Pana plany – przyznał kurtuazyjnie Bazalgette w rozmowie z Silversleevesem – okazały się perfekcyjne w najdrobniejszych szczegółach". Stanowiące efekt przeprowadzonych prac nabrzeże Tamizy, które obecnie rozciągało się nad nowymi odpływami kanalizacyjnymi wzdłuż zrekultywowanych terenów nadrzecznych od Westminsteru po Blackfriars, dawało uzdolnionemu inżynierowi niemal tyle samo satysfakcji, ile czułby, gdyby sam został wynagrodzony za jego wykonanie. Bardziej bezpośrednio zaangażowany był jako konsultant przy realizacji innego gigantycznego wyczynu inżynierskiego nad Tamizą. Dwie ogromne wieże mostu Tower Bridge, zaprojektowane w stylu neogotyckim, mającym harmonizować z Tower i budynkami parlamentu w dolnym biegu rzeki, były obłożone kamieniem. „Ale kamienna okładzina to tylko fasada – oznajmił triumfalnie Silversleeves żonie. – Wewnątrz jest wielki stalowy szkielet i ogromna maszyna". To właśnie do wielkich urządzeń

dźwigowych – pary masywnych stalowych przęseł, podnoszonych, aby przepuścić żaglowce – został wcześniej wezwany jako konsultant przez inżyniera Barry’ego. Teraz Brunel, wspólnik Barry’ego, wezwał go ponownie, aby sprawdził wszystkie skomplikowane wyliczenia związane z konstrukcją mającą wspierać i poruszać potężne, trzydziestometrowe przęsła. Największy entuzjazm budziło w nim jednak przedsięwzięcie, do którego wynajął go Amerykanin.

„To przyszłość”, opowiadał żonie podekscytowany. Jego odwieczne marzenie, aby w Londynie działała podziemna kolej, zostało częściowo zrealizowane. Utworzono już system głębokich wykopów i wyposażonych w odpowietrzniki tuneli dla pociągów parowych. Tunele były jednak duszne i zakopcone, a bez podkopów pod budynkami albo ich całkowitego usunięcia nie sposób było rozbudować korytarzy do postaci, jakiej obecnie potrzebował Londyn. „Gdybyśmy jednak zeszli wystarczająco głęboko, może na jakieś trzynaście metrów, moglibyśmy śmiało stworzyć całą sieć tuneli – przekonywał. – Na tej głębokości jest glina, a przez nią łatwo się przebić. Wybudowalibyśmy układ tuneli, którymi jeździłyby pociągi. – Jednak takie głębokie tunele nie nadawały się dla parowozów. – A zatem – kończył wywód rozentuzjazmowany Silversleeves – pociągi będą elektryczne”.

Elektryczność. Dla wybiegającego myślami w przyszłość Arnolda Silversleevesa była ona zwiastunem nowoczesności. Swan wynalazł lampę elektryczną w roku 1860, ale dopiero dziesięć lat temu w Londynie na pięknym nowym nabrzeżu Tamizy zainstalowano pierwszy system latarni elektrycznych. Od tamtej chwili postęp toczył się szybko. W 1884 roku pierwsze tramwaje o napędzie elektrycznym zaczęły zastępować konne pierwowzory. Pięć lat temu Parsons przystosował turbinę parową do napędzania prądnicy, otwierając tym samym drogę do powstania elektrowni

publicznego użytku. Obecnie trwały już prace nad głębokim tunelem, którym miał kursować pociąg elektryczny. Silversleeves, który zbudował własną prądnicę i – ku przerażeniu Esther – zamontował w domu kilka lamp elektrycznych, był pełen zapału. „Pociąg elektryczny będzie czysty – zapewniał ją. – Z moich obliczeń wynika, że jeśli zostanie odpowiednio skonstruowany, może okazać się zadziwiająco tani w eksploatacji. Każdego robotnika stać będzie na opłatę za przejazd”.

Jedynym problemem było znalezienie ludzi na tyle śmiałych, aby podjęli się budowy i eksploatacji takich pociągów. Rządy nie inwestowały w takie przedsięwzięcia, nie dysponowały zresztą odpowiednimi pieniędzmi. Metro, jak niemal wszystko w wiktoriańskiej Wielkiej Brytanii, byłoby przedsięwzięciem komercyjnym, a brytyjscy inwestorzy jak na razie ostrożnie podchodzili do tej nowinki technicznej. Natomiast Amerykanie – przeciwnie. Dlatego podczas swojej ostatniej wizyty w Londynie pan Gorham Dogget zwrócił się do Arnolda Silversleevesa.

„Koleje elektryczne sprawdziły się w Chicago – powiedział. – Londyn jest najliczniej zaludnionym miastem na świecie i rozpaczliwie potrzebuje dodatkowych środków transportu publicznego. Chciałbym, aby opracował pan dla mnie analizę wykonalności. Ja znajdę inwestorów. Moim zdaniem to gra warta świeczki!”. Po tych słowach wypłacił inżynierowi w gotówce pierwszą część oszałamiającego wynagrodzenia.

Wizyta pana Gorhama Doggeta wprawiła Esther Silversleeves w lekką panikę. Dlatego Esther poprosiła rodzinę Penny o wsparcie. Barnikelowie, choć ją lubili, zazwyczaj nie mieli cierpliwości do jej inicjatyw towarzyskich. Bullowie, choć zawsze przyjaźnie nastawieni, od pewnego czasu zaczęli się dystansować. Na poważanych Pennych można jednak było polegać. Przyprowadzili też syna, bystrego młodzieńca z City, bardzo elegancko ubranego, jak z zadowoleniem zauważyła Esther. Wyglądało na

to, że dżentelmen z Bostonu uznał ich za zadowalające towarzystwo. Jedzenie – Arnold lubił tylko proste potrawy, ale ona potajemnie poleciła kucharzowi sporządzenie kilku puddingów według dość śmiałych przepisów – zdawało się cieszyć aprobatą. Fartuch służącej nakrochmalono dwukrotnie. Jedyną nierozstrzygniętą sprawę poruszyła dopiero, gdy podano kaczkę.

– Moje nazwisko panieńskie brzmi Dogget, tak samo jak pańskie – rzekła, zdobywszy się wreszcie na odwagę.

– Naprawdę? Pani ojciec to Dogget? Czym się zajmował?

Dostrzegła nerwowe spojrzenie Harriet Penny, ale była na to pytanie przygotowana.

– Był inwestorem – powiedziała, tylko lekko się rumieniąc.

– Ha, więc porządny musiał być z niego człowiek! My przypłynęliśmy na „Mayflower” – powiedział pan Gorham Dogget i wrócił do rozmowy z młodym Pennym.

Choć Esther miała wrażenie, że bostończyk nieco obcesowo reaguje na niektóre jej konwersacyjne gambity, rekompensatą była sympatia, jaką zdawał się darzyć młodsze pokolenie. Jej najstarszy syn Matthew i jego żona najwyraźniej przypadli mu do gustu. Matthew był adwokatem w dobrej kancelarii prawniczej i bostończyk już napomknął, że może będzie miał dla niego jakąś pracę. Z kolei młody Penny bardzo chciał rozszerzyć działalność rodzinnej firmy ubezpieczeniowej na obiecujący nowy obszar.

– Po raz pierwszy w historii nie tylko klasie średniej, ale też drobnym sklepikarzom i nawet rzemieślnikom powodzi się na tyle dobrze, że stać ich na ubezpieczenie na życie – poinformował młodzieniec Doggeta. – Wartość każdej polisy będzie oczywiście niewielka, ale za to ilość może być ogromna. Firma Ubezpieczeniowa Prudential już działa w tej branży, ale i dla nas będzie spore pole do popisu. – Firma Ubezpieczeniowa Penny

zatrudniła niedawno młodszego syna Silversleevesów jako aktuariusza. – Wystarczy dobrze wszystko skalkulować i zaoferować niskie stawki, a sukces gwarantowany – zapewnił wszystkich młody Penny.

– Rozsądny i dalekowzroczny młodzieniec z pani syna – szepnął bostończyk do Harriet Penny.

Dopiero przy deserach nadarzyła się okazja, aby Esther Silversleeves zabłysła. Właśnie wtedy, rozglądając się po zgromadzonych przy stole, pan Gorham Dogget zapytał od niechcenia:

– Czy ktoś z państwa wie może coś o człowieku z tytułem lorda St James?

Ależ oczywiście, że wiedziała. Oblewając się rumieńcem zadowolenia, że może pochwalić się tego rodzaju powiązaniami, Esther zaczęła:

– Mam nadzieję, że nie uzna pan, iż się wynosimy ponad swój stan… – Słysząc to sformułowanie, używane przez Esther, ilekroć dawały o sobie znać kompleksy związane z pozycją społeczną, Penny'owie skrzywili się w duchu, a od Bullów wyraźnie powiało chłodem. – Ale mogę panu powiedzieć wszystko o hrabim. On i mój szwagier działają jako wspólnicy w dziedzinie żeglugi morskiej.

– Ma pani na myśli statek?

– W rzeczy samej. Nazywa się „Charlotte Rose". To kliper. Uważają, że potrafi pokonać samego „Cutty Sarka"! – Po czym dodała konfidencjonalnym tonem: – Hrabia tyle na niego postawił, że jak się zdaje, losy całego jego majątku spoczywają na barkach mojego szwagra. Widzi pan, on jest kapitanem. – Rozpromieniona rozejrzała się po wszystkich twarzach.

Była dumna ze swojego wystąpienia, ale pan Gorham Dogget popadł nagle w głęboką zadumę.

Lucy Dogget nie miała czasu do stracenia. Wiedziała, że jeśli chce uratować dziewczynę, będzie musiała podjąć stanowcze kroki.

Kończyła w tym roku siedemdziesiąt lat, ale wyglądała na starszą. Choć córki Silasa były od niej młodsze zaledwie o dziesięć lat, miało się wrażenie, że dzieli je całe pokolenie. Ostatnio zdarzało się, że kiedy godzinami siedziała przy stole, pracując, zastanawiała się nad kolejami swojego życia.

Samotna kobieta z dzieckiem nie miała w Whitechapel łatwo. Niektórzy byli w jeszcze gorszym położeniu, na przykład rodziny z sześciorgiem lub siedmiorgiem dzieci, których ojciec był bez pracy. Jedyną drogą otwartą dla takich nieszczęśnic było złodziejstwo i prostytucja, a to zazwyczaj szybko prowadziło do chorób i śmierci. Lucy robiła wszystko, aby ustrzec synka przed sieroctwem. Przez pierwszych pięć lat życia dziecka jego ojciec próbował potajemnie jej pomagać, ale gdy zmarł, była już zdana tylko na siebie.

Utrzymywała się z różnych poślednich prac. Udało jej się przekonać syna, aby uczęszczał do szkoły parafialnej, za którą musiała płacić kilka pensów. Znudziło go to jednak – wolał się wałęsać i imać dorywczych zajęć. W wieku dwunastu lat młody William, choć potrafił trochę czytać i podpisać się imieniem i nazwiskiem, pracował w stoczni szkutniczej, gdzie pewien majster łaskawie zgodził się przyjąć go do terminu. Nie wytrwał jednak w tej robocie i cztery lata później szukał już tylko różnych fuch w dokach. W wieku dziewiętnastu lat ożenił się z córką innego robotnika portowego. Rok później urodził mu się syn, który zmarł po pół roku, potem kolejny. Następnie urodziła się córka i jeszcze dwóch chorowitych chłopców, którzy także zmarli. Osiem lat temu stracił żonę w połogu. Takie rzeczy się zdarzały, a mężczyźni żenili się ponownie.

Z Williamem było inaczej. Zaczął pić. I tak, w wieku sześćdziesięciu lat, Lucy znowu znalazła się w roli matki.

W samej dzielnicy Whitechapel zaszły w owym czasie wyraźne zmiany. We wczesnych latach osiemdziesiątych XIX wieku seria straszliwych pogromów w Europie Wschodniej zmusiła sporą część ludności żydowskiej do emigracji. Wielu rodzinom udało się uciec do Stanów Zjednoczonych, kilkadziesiąt tysięcy osób znalazło też schronienie w tolerancyjnej Wielkiej Brytanii. Znaczna liczba nowych uchodźców, podobnie jak inni przed nimi, zamieszkała wpierw na East Endzie w pobliżu londyńskiego portu.

Przemiana była zdumiewająca. Część Anglików i Irlandczyków została, inni przenieśli się do sąsiednich dzielnic, ustępując miejsca żydowskim przybyszom, którzy stopniowo zajmowali kolejne ulice Whitechapel. Jak większość uchodźców, byli na ogół bardzo ubodzy. Nosili dziwne ubrania i porozumiewali się w jidysz.

– Trzymają się na uboczu i nie sprawiają kłopotów – zauważyła Lucy z aprobatą, ale i ona wraz z sąsiadami przeniosła się do pobliskiego Stepney. Tam jej syn znajdował dorywczą pracę i czasem udawało mu się nie przepić skromnych zarobków, ona zaś zatrudniła się w wytwórni odzieży wodoodpornej, robiąc co w jej mocy, aby dwójka jej wnucząt nie pomarła z głodu.

W jej życiu pojawił się promyk nadziei. W 1870 roku wprowadzono dla wszystkich dzieci obowiązek szkolny i nawet na East Endzie w każdej parafii działały szkoły. Obowiązku szkolnego nie dało się jednak egzekwować, więc większość dzieci uczęszczała do szkoły sporadycznie. W przypadku Toma sprawa była przegrana, gdy skończył dziesięć lat.

– Skończysz jak twój ojciec – ostrzegała go.

– Może i tak – odpowiadał od niechcenia, a ona widziała, że już nic więcej nie da się dla niego zrobić.

Z jego siostrą Jenny było jednak zupełnie inaczej. W wieku dziesięciu lat zarabiała już kilka pensów, pomagając nauczycielowi uczyć inne dzieci czytania. Lucy modliła się, aby wreszcie coś dobrego wynikło z poświęcenia, jakim wykazała się lata temu, decydując się na wychowanie swojego syna, sprawiającego ciągłe rozczarowania. Jenny można jeszcze było uratować.

Pięć lat wcześniej nogi Lucy osłabły na tyle, że musiała zrezygnować z pracy. Jednak na londyńskim East Endzie kobieta mogła zarobić kilka pensów w domu, a sposobem najpewniejszym, choć też najbardziej uciążliwym, był wyrób pudełek na zapałki. Do złożenia takiego pudełka wystarczały tylko materiały, stół i pędzel do kleju. Surowce jej dostarczano, musiała jedynie kupić klej. Praca nie była trudna. Bryant i May płacili jej dwa pensy za każdy dostarczony gros pudełek. Lucy potrafiła wykonać siedem grosów podczas czternastogodzinnego dnia pracy, tak więc w ciągu tygodnia zarabiała cztery funty i dziesięć szylingów. Młoda Jenny pomagała jej kilka dni w tygodniu, dzięki czemu mogli zapłacić czynsz i kupić trochę jedzenia. Ale co stanie się z Jenny, kiedy Lucy zabraknie?

Gdy zastanawiała się nad tym, daleko jej było do optymizmu. Syn był pijakiem. Młody Tom zaczął zadawać się z łobuzami ze społeczności żydowskiej – ci chłopcy nie pili aż tak dużo, za to ciągle uprawiali hazard.

– Co równie szybko prowadzi do utraty zarobków – pouczyła Lucy wnuczkę. Poza tym rok wcześniej w Whitechapel miały miejsce makabryczne morderstwa popełnione przez Kubę Rozpruwacza. Na razie jego ofiarami padały prostytutki, ale która dziewczyna mogła czuć się bezpieczna, gdy w okolicy grasował taki szaleniec?

Lucy martwiło też coś innego. Pierwsze oznaki kłopotów na East Endzie pojawiły się w poprzednim roku w fabryce zapałek Bryanta i Maya, kiedy tamtejsze dziewczęta pod wodzą energicznej Annie Besant zaczęły

protestować przeciwko głodowym zarobkom. Co gorsza, w tym roku inna kobieta, Eleanor Marx, której ojciec Karl Marx był podobno rewolucyjnym pisarzem zamieszkałym na West Endzie, zaczęła pomagać gazownikom w zorganizowaniu związku zawodowego. Wkrótce potem potężny strajk wstrząsnął dokami.

– Nie twierdzę, że nie mają racji – zwróciła się Lucy do Jenny. Dobrze wiedziała, jakie są zarobki w fabryce zapałek, a jej syn często opisywał okropne sceny w porcie, gdzie pozwalano, aby robotnicy sezonowi bili się między sobą o pracę zmianową. – Tylko do czego to doprowadzi? – Nie wiadomo było, jaka przyszłość czekała East End, więc Lucy chciała znaleźć dla Jenny bezpieczne schronienie, zanim jej samej zabraknie, aby chronić wnuczkę. East End rozrastał się z roku na rok, w miarę jak przybywało ludności i napływali kolejni imigranci. Wioski takie jak Poplar całkowicie pochłonęła ponura sceneria niekończących się doków, fabryk i długich rzędów ruder. Lucy przychodziła do głowy tylko jedna myśl dająca nadzieję. I tak pewnego zimnego grudniowego dnia wyruszyła tam, dokąd wyruszyć nie śmiała przez ponad trzydzieści lat.

W świecie prawników nie ma miejsca dostojniejszego niż wielki plac w pobliżu Chancery Lane, znany jako Lincoln’s Inn Fields. Jeden jego bok zdobi nobliwy stary gmach, wzdłuż pozostałych stoją kancelarie prawne i inne wiekowe urzędy. I właśnie w jednym takim rogu okazałe, pogrążone w półmroku schody, które zdawały się adekwatnie sugerować atmosferę dystyngowanej niejasności, prowadziły do kancelarii adwokackiej Odstocka i Alderbury’ego.

Lucy nie poszła na spotkanie z prawnikami Silasa, bo nie zrezygnowała z dziecka. A biorąc pod uwagę okoliczności, nigdy nie wspomniała synowi o Silasie. Żywiła jednak nadzieję, że przynajmniej po śmierci Silas coś jej zostawi. W końcu nie miał żadnych innych krewnych. Próbowała

dowiedzieć się czegoś o jego losach i wreszcie, dwanaście lat wcześniej, przeczytała w jakiejś starej gazecie o jego śmierci. Napisała do jego adwokata, lecz nie otrzymała żadnej odpowiedzi. Napisała więc ponownie z pytaniem, czy jej krewniak o niej pamiętał. Tym razem otrzymała lakoniczną odpowiedź: nie pamiętał.

Nie przychodził jej do głowy nikt inny, kto mógłby dać jej to, czego pragnęła: miejsce dla Jenny w przyzwoitym, życzliwym domu jak najdalej od East Endu. Uczepiła się więc nadziei, że dziewczynie przypadnie choćby drobna cząstka wielkiej fortuny Silasa.

Tak więc o dziesiątej rano stawiła się w kancelarii w Lincoln's Inn, podała swoje nazwisko i poprosiła o spotkanie z panem Odstockiem.

Kazał jej czekać dwie godziny. Zgarbiony, siwowłosy starzec o surowej twarzy był niewątpliwie zaskoczony jej widokiem, lecz jednocześnie najwyraźniej dobrze wiedział, z kim ma do czynienia. Przyjął ją w małym gabinecie zapełnionym książkami, a w trakcie rozmowy kiwał z powagą głową, po czym w pewnej chwili odparł:

– Obawiam się, że nie mogę pani pomóc. Pierwszy raz stykam się z czymś takim, choć bez wątpienia takie sytuacje się zdarzają.

– Mój krewniak nic o mnie nie wspomniał?

– Prócz pierwotnych instrukcji nie mamy nic.

– A co się stało z całym jego majątkiem? – wyrwało się jej nagle pytanie.

– No jak to? – Zdawał się nieco zaskoczony. – Jego córki… – Po czym, widząc jej konfuzję, zmienił taktykę. – Obawiam się, że nic nie mogę zrobić – powiedział, otworzył drzwi i zanim się zorientowała, wyprowadził ją na zewnątrz.

Pogrążona w zadumie przesiedziała dziesięć minut w chłodnym cieniu Lincoln's Inn Fields. Stary adwokat wyraził się jasno: Silas miał córki.

Może któraś z nich zlitowałaby się nad nią i dziewczyną? Ale jak się nazywają? I gdzie je znaleźć?

Nagle przypomniała sobie coś, co kiedyś usłyszała. Na początku swego panowania królowa Wiktorii zarządziła, aby wszystkie narodziny, śluby i zgony, zwykle ewidencjonowane tylko w danej parafii, w przyszłości były również odnotowywane w jednym zbiorczym rejestrze. Rejestr ten miał być dostępny dla obywateli. Gdyby udało mi się znaleźć wpisy o ślubach jego córek – dumała Lucy – mogłabym przynajmniej dowiedzieć się, jak się nazywają. Stremowana zagadnęła przechodzącego obok prawnika i dowiedziała się, że szukany przez nią urząd znajduje się w pobliżu. Wczesnym popołudniem stanęła pośród kilku innych osób przed ogromnymi rejestrami. Zostały ułożone według kwartałów kolejnych lat, a piękne kaligraficzne adnotacje na grubym pergaminie odnotowywały każde zawarte w Anglii małżeństwo.

Lucy nie miała pojęcia, że na świecie jest aż tak wielu Doggetów. Początkowo w ogóle nie wiedziała, czy będzie w stanie cokolwiek wyczytać, ale stopniowo, studiując sumiennie kolejne pozycje, zaczęła oswajać się z rejestrem. Nie znalazła wpisu dotyczącego Charlotte, która wraz z rodziną przeniosła się do Blackheath dopiero po ślubie, ale chwilę później, tuż przed zamknięciem urzędu, trafiła na interesującą ją pozycję. Zapisano, że: Dogget, Esther, poślubiła Silversleevesa, Arnolda.

Czy to jedna z córek Silasa? Gdzie ona teraz jest? Jak, na Boga, zdobyć jej adres? Po opuszczeniu urzędu przez kilka minut Lucy zastanawiała się, co dalej robić, i wtedy przypomniała sobie o czymś, co widziała, czekając w kancelarii – pewnego rodzaju księgę adresową.

Tuż po spożyciu smacznego obiadu stary pan Odstock natknął się w biurze na młodego, dobrze się zapowiadającego wnuka Silasa Doggeta, pana

Silversleevesa, którego jakiś czas temu miał przyjemność zatrudnić w swojej kancelarii.

– Wie pan – zaczął dziarsko – nie dalej jak dziś rano spotkałem pewną bardzo osobliwą krewną… – już miał powiedzieć „pańską krewną”, ale się zreflektował, przypomniawszy sobie wyraźne instrukcje Silasa.

– Krewną? – spytał młody Silversleeves.

– Nic takiego – zwekslował rozmowę starzec. – Moją kuzynkę. I tak to panu nic nie powie.

Hrabia St James miał mnóstwo czasu i był w pogodnym nastroju, więc postanowił pójść pieszo.

Oświadczył się Nancy, a jej reakcja wydawała się obiecująca. Wpadł na świetny pomysł, aby zabrać ją na przejażdżkę powozem. Pogoda była sprzyjająca. Zmrożona ziemia skrzyła się pod czystym błękitnym niebem, kiedy powóz opuścił Piccadilly, minął Apsley House, dostojną rezydencję wybudowaną przez sędziwego diuka Wellingtona, i wjechał do Hyde Parku. Sceneria była wręcz bajkowa. Gdy mijali miejsce, gdzie niegdyś stał Crystal Palace, oblodzone drzewa sprawiały wrażenie zrobionych ze szkła. Teraz prężył się tam wysoki, bogato zdobiony pomnik księcia Alberta, a naprzeciwko, już poza obrębem parku, wznosił się ogromny owalny gmach nowej sali koncertowej Royal Albert Hall. Siedzieli w milczeniu jak zaczarowani, wpatrzeni w to wszystko, i gdy mijali miejsce, gdzie zachodnia część Hyde Parku przechodzi w Kensington Gardens, poprosił ją o rękę.

Odpowiedziała, że potrzebuje czasu na zastanowienie – taki był oczywiście zwyczaj – ale tylko kilku dni, a sądząc z jej reakcji, raczej nie miał wątpliwości, że zostanie przyjęty.

– Choć, rzecz jasna, będzie pan musiał zapytać mojego ojca – przypomniała mu.

Teraz, zmierzając na miejsce spotkania, wciąż nie był pewien, z kim spotka się najpierw – z ojcem czy córką.

Tak czy inaczej, humor mu dopisywał i tak szczerze przekonywał siebie w duchu o swojej wielkiej sympatii do tej dziewczyny, że zatrzymał się, aby kupić sobie prezent.

W Londynie było wielu marszandów, ale jego ulubionym był Francuz, monsieur Durand-Ruel, który prowadził galerię przy New Bond Street. Hrabia kolekcjonował ostatnio obrazy przedstawiające Tamizę. Sam nie miał pojęcia, dlaczego znajduje w tej rzece takie upodobanie. Kupił kiedyś obraz namalowany przez Amerykanina Whistlera, który mieszkał w Londynie, ale ceny jego dzieł, przekraczające sto gwinei, były zbyt wysokie. U Durand-Ruela można było nabyć tańsze obrazy, na przykład niemodnego, lecz cudownego francuskiego artysty Claude'a Moneta, który często odwiedzał Londyn, aby malować rzekę. I właśnie niedawno hrabia umówił się na zakup nowego Moneta za bardzo umiarkowaną cenę.

Z New Bond Street skręcił na zachód w Oxford Street. Stara rzymska droga dojazdowa od monumentu Marble Arch do Holborn zaczęła się ostatnio przeistaczać w ulicę handlową. St James przystanął raz lub dwa, aby spojrzeć na wystawy sklepów tekstylnych, przeciął Regent Street, poszedł dalej do wylotu Tottenham Court Road, a następnie skierował się do skrzyżowania Seven Dials i minąwszy Covent Garden, dotarł wreszcie do nabrzeża Strand.

Żona i córka zauważyły, że od poprzedniego dnia Gorham Dogget wydaje się czymś bardzo zaprzątnięty. Dwa razy wyszedł na miasto w interesach, a teraz, czekając w hotelowym lobby, oschły bostończyk wyglądał na wyjątkowo zdenerwowanego. Było to doprawdy dziwne, znajdował się bowiem w swoim ulubionym miejscu w całym Londynie.

Hotel Savoy przy Strandzie był czymś niepowtarzalnym na skalę europejską. Niedawno otwarty, powstał według pomysłu D'Oyly Carte'a, impresaria autorów operetek, Gilberta i Sullivana. Wybudowano go na miejscu dawnego pałacu Savoy, w którym mieszkał niegdyś Jan z Gandawy, a Chaucer bywał częstym gościem. Był arcydziełem łączącym nowoczesny amerykański komfort z europejskim dostojeństwem. Zlikwidowano niedogodność w postaci wspólnej łazienki – norma w najlepszych nawet hotelach – wyposażając luksusowe apartamenty w oddzielne toalety. Szefem kuchni był nie kto inny, jak sam wielki Escoffier, a dyrektorem, najlepszym z najlepszych, César Ritz. Ritz – przedsiębiorca i dyskretny powiernik, na którego zawsze można było liczyć, bo wszystko dopinał na ostatni guzik.

Dogget z widocznym zadowoleniem, a nawet ulgą powitał hrabiego i zaprosił go w zaciszne miejsce, żeby spokojnie porozmawiać. Uśmiechając się uprzejmie, wyjaśnił, że jego żona i córka niebawem do nich dołączą, po czym zapytał, czy w oczekiwaniu na ich przybycie St James chciałby coś z nim omówić. Sugestia była jasna, więc hrabia oficjalnie poprosił o rękę jego córki.

– Nie mogę zdecydować za nią – odpowiedział bostończyk – ale sprawia pan na mnie wrażenie szlachetnego człowieka, lordzie St James. Jako ojciec muszę jednak zadać kilka pytań. Zakładam, że jest pan w stanie utrzymać żonę?

Hrabia starannie przemyślał odpowiedź na to pytanie.

– Nasz majątek został znacznie uszczuplony, panie Dogget. Dochód z ziemi jest niewielki, choć mam też inne wpływy. Ale dom i posiadłość Bocton są w dobrym stanie, no i pozostały jeszcze takie drobiazgi jak klejnoty rodzinne… – Był zbyt dobrze wychowany, aby wspomnieć o dodatkowym atucie: tytule hrabiowskim.

– Na życie w każdym razie panu starcza?

– O, jak najbardziej. – Tego dnia to wciąż była prawda.

– I szczerze kocha pan moją córkę? Ją samą? Muszę panu wyznać, lordzie St James, że wierzę w to mocno. Mocno. W bogactwie i w biedzie, jak to mówią.

– Oczywiście. – Wierutne kłamstwo, tłumaczył sobie hrabia, nie było kłamstwem, gdy chodziło o szarmanckość wobec damy.

– To dobrze. Sądzę oczywiście, że kiedyś i Nancy dysponować będzie własnymi zasobami – ostrożnie napomknął bostończyk, ale w rozwinięciu tematu przeszkodził mu niezwykły widok pana Césara Ritza, tego najdyskretniejszego z menedżerów, który wyrósł jak z podziemi w najmniej odpowiednim momencie.

– Pan wybaczy – cichym głosem przerwał im rozmowę i podał Doggetowi świstek, na który Amerykanin spojrzał z irytacją.

– Nie teraz, panie Ritz!

– Przykro mi, szanowny panie. – Menedżer ani drgnął.

– Powiedziałem, że załatwimy to później – warknął Dogget.

– Mówił pan, że sprawa zostanie załatwiona dziś rano – przypomniał Ritz. – Sądziliśmy, że jak tylko pan się zjawi… – Dogget był już wyraźnie rozeźlony, ale na Ritzu nie wywarło to wrażenia. – Pana żona i córka są tu już od kilku tygodni. Tak dalej być nie może.

– Doskonale pan wie, że nie ma żadnego problemu.

– Otrzymaliśmy odpowiedź na nasze zapytanie skierowane do pańskiego banku w Bostonie.

Dogget zbladł. St Jamesowi wydawało się, że Amerykanin w jednej chwili zapadł się w sobie i postarzał o kilka lat. Padła szorstka odpowiedź:

– Mam jeszcze dom w Bostonie, panie Ritz. Rachunki w Savoyu zostaną uregulowane. Może będzie pan musiał po prostu jeszcze trochę poczekać.

Za dzień lub dwa i tak planuję wyjazd. – Dogget spojrzał na hrabiego z niejakim zakłopotaniem. – Niestety kilka nietrafionych inwestycji, lordzie St James. Wydaje się, że już po moim majątku. Ale jak mówiłem, wciąż mam nadzieję, że kiedyś zrobię jeszcze coś dla Nancy. Nie jestem taki stary. Już raz się dorobiłem, więc śmiem twierdzić, że będę w stanie to powtórzyć. Może wybierze się pan z nami na przejażdżkę – zasugerował z nutą rodzinnej serdeczności.

Lecz hrabia St James, czy to z zażenowania, czy z innego ważnego powodu, wymówił się i czym prędzej opuścił hotel.

Po jego wyjściu Dogget milczał przez długą chwilę, kręcąc głową ze smutkiem, po czym spojrzał na stojącego obok Césara Ritza.

– Dziękuję.

– Czy wszystko było jak trzeba, proszę pana?

– O tak. Myślę, że go wystraszyliśmy.

List skreślony był pięknym charakterem pisma – schludnym i świadczącym o intelektualnym wyrobieniu, lecz jednocześnie bardzo męskim. Mary Anne otworzyła go akurat wtedy, gdy Violet była w pokoju.

– To od pułkownika Mereditha! – wyrwało jej się spontanicznie.

– Och, mamo! – Dziewczyna posłała jej porozumiewawcze spojrzenie, które Mary Anne uznała za wysoce niestosowne. – Co pisze?

– Że za dwa tygodnie u Hatchardsa odbędzie się odczyt jego perskich wierszy. Wstęp wolny, ale przyszło mu do głowy, żeby dać nam znać na wypadek, gdybyśmy zechciały przyjść. – Jakże sprytnie pomyślane, przemknęło jej przez głowę. Zaproszenie na schadzkę, wyglądające jednak całkowicie niewinnie, gdyby traf chciał, że wpadnie w niepowołane ręce. I nie była nawet konieczna żadna odpowiedź. Żadnych zobowiązań. Mogła wybrać się z Violet albo sama. Albo, oczywiście, zrobić to, o czym doskonale wiedziała, że zrobić powinna, mianowicie trzymać się od tego

wszystkiego z daleka i odrzucić zaproszenie. Nie wiedziała jeszcze, jaką podejmie decyzję, ale już żałowała, że zdradziła się przed córką.

– Pójdziesz, mamo?

– Nie sądzę – odparła Mary Anne.

Tak dużo działo się ostatnio, że Esther Silversleeves nie przypominała sobie, aby kiedykolwiek wcześniej miała aż tyle spraw do przemyślenia.

Wizyta pana Gorhama Doggeta niewątpliwie nadała bieg wydarzeniom. Trzy dni po Bożym Narodzeniu jej syn został wezwany do Savoyu, gdzie wręczono mu wielką stertę dokumentów prawnych do opracowania. Co do Arnolda, jeszcze nigdy nie widziała go aż tak zajętego. Miała nadzieję, że w jego wieku nie stanowi to nadmiernego obciążenia. Cóż, wydawał się bardzo szczęśliwy.

– Ci Amerykanie mają takie śmiałe marzenia – mówił z zachwytem. – Żałuję, że nie dane mi było pracować dla ludzi tego pokroju przez całe życie.

Ale naprawdę zdumiewające było to, że już następnego dnia bostończyk poinformował jej szwagra Penny'ego, że wraz z rodziną zamierza wypłynąć w rejs, i spytał, czy jego syn chciałby im towarzyszyć.

– Po prostu bez żadnych ceregieli na statek z Southampton i hajda na trzy miesiące po Nilu! – zwierzyła się jej podekscytowana Harriet Penny. – Coś mi się wydaje, że chce, aby nasz syn dotrzymywał towarzystwa jego córce – dodała. – I on płynie z nimi!

– Och, moja droga! – powiedziała Esther z nabożnym podziwem. – Mierzymy zdecydowanie za wysoko.

Smutniejsze, a nawet trochę niepokojące było to, że tuż po Nowym Roku do portu zawinął „Cutty Sark", łatwo pokonując wszystkich rywali, natomiast jak dotąd nie dotarły żadne wieści o „Charlotte Rose".

– Nic mu nie będzie – powiedziała Charlotte, mając na myśli swojego męża, gdy Esther pojechała do Camberwell, żeby się z nią zobaczyć. – Zawsze wraca do domu. – Esther widziała jednak, że Charlotte się martwi.

Najmniej ważny, choć najdziwniejszy był drobny incydent, który miał miejsce trzy dni wcześniej. Arnold Silversleeves był zachwycony pojawieniem się w ostatnim dziesięcioleciu urządzenia zwanego telefonem, choć nie pasjonował się tym aż tak bardzo jak kanalizacją i koleją podziemną. Nowy wynalazek zyskał szybko popularność wśród bogatszych londyńczyków i kiedy powstała centrala telefoniczna obsługująca Hampstead, Arnold też doczekał się wreszcie własnego aparatu. Z wieloma miastami na prowincji jeszcze nie można było się połączyć, ale jak zapewniał żonę, „to sprawa przyszłości”.

Ale do kogo, zastanawiała się, mógł należeć dziwny kobiecy głos, który odezwał się w słuchawce trzy dni wcześniej:

– Pani Silversleeves?

– Tak, słucham.

– Czy jest pani może córką świętej pamięci pana Silasa Doggeta z Blackheath?

Gdy tylko Esther odpowiedziała twierdząco, rozmówczyni się rozłączyła. Właśnie zastanawiała się nad tym po raz nie wiadomo który, gdy rozległ się dzwonek do drzwi, a chwilę później pokojówka zaanonsowała: – Niejaka panna Lucy Dogget.

Lucy stwierdziła stanowczo, że powód swojej wizyty przedstawi dopiero wtedy, gdy zostaną same. Esther zastanawiała się, czy jej po prostu nie wyprosić, ale ciekawość przeważyła, zresztą ta skromnie ubrana starsza kobieta nie sprawiała groźnego wrażenia. Lucy poświęciła dwa dni na wyszukanie i skompletowanie pożyczonych elementów garderoby, w których wyglądałaby w miarę przyzwoicie. Od gospodyni pastora

pożyczyła nawet buty. Były o numer za małe i tak piły, że po przejściu półtora kilometra od przystanku autobusowego chciało jej się wręcz płakać z bólu. Ale w popielatym płaszczu, czarnym kapeluszu, prostej czarnej sukience i czystych brązowych pończochach można ją było wziąć za budzącą szacunek gosposię lub pokojówkę na zasłużonej emeryturze.

– Zależało mi na rozmowie z panią w cztery oczy – wyjaśniła – bo nie chciałam stawiać pani w krępującej sytuacji.

W prostych słowach opowiedziała swoją historię, a gdy skończyła, zszokowana Esther Silversleeves przez dłuższą chwilę patrzyła na nią w milczeniu. Nie wątpiła, że Lucy mówi prawdę. Czuła, jakby otworzyła się przed nią straszliwa czeluść, musiała więc mocno zacisnąć dłonie na poręczach fotela.

– I mówi pani, że ten bogaty krewny był…

– W Blackheath. To był bardzo dystyngowany dżentelmen. Zapewne byliście z niego dumni.

– Tak. Ale… – Esther wpatrywała się ze zgrozą w nieznajomą kobietę. – Powiedziała pani, że pani braciszek zmarł nad rzeką…

Lucy zrozumiała. Przez krótką chwilę patrzyła jej w oczy, po czym wbiła wzrok w podłogę.

– To było tak strasznie dawno temu – odrzekła cicho. – Nie wiem, czy w ogóle to pamiętam.

To była właśnie ta mroczna czeluść: słaby plusk wiosła we mgle, głuchy odgłos zwłok uderzających o burtę łodzi, to wszystko, czego Esther właściwie nie znała, ale co zawsze budziło w niej lęk. Zimny, wilgotny koszmar, naruszający spokój porządnego domu w pobliżu Hampstead Heath. Pomyślała o Arnoldzie, o synach, o młodym Pennym płynącym po Nilu, o Bullach, o lordzie St James. I o śmieciarzu Silasie. Przez chwilę nie mogła wydobyć z siebie głosu. W końcu spytała ochryple:

– Potrzebuje pani pieniędzy?

Lucy pokręciła głową.

– Nie. Nie przyszłam prosić o pieniądze. Nigdy bym się do tego nie posunęła. Dziewczynie potrzebne jest po prostu jakieś przyzwoite miejsce. U kogoś na służbie, proszę pani. W przyzwoitym domu, gdzie będzie bezpieczna i będzie miała opiekę. Miałam nadzieję, że może pani zna takie miejsce. To wszystko. Nie przyszłam prosić o nic więcej.

– Ile czasu minęło od pani ostatniego spotkania z moim ojcem? – spytała w końcu Esther.

– Trzydzieści osiem lat.

– Musiało być pani bardzo trudno.

– Tak, rzeczywiście – powiedziała Lucy. I jakby zaskoczona swoją reakcją, nagle załkała cicho. Siedziała pochylona do przodu, trzęsąc się i zaciskając dłonie na kolanach przykrytych wysłużoną czarną suknią. – Przepraszam. Bardzo przepraszam – wymamrotała.

– Będzie bezpieczna. Niech przyjdzie tutaj – odpowiedziała Esther Silversleeves, zdumiona własnymi słowami.

Jak na człowieka, który zawsze prezentował się nieskazitelnie, tego dnia hrabia St James był całkiem do siebie niepodobny. Narzucił palto z pelerynką na rozpiętą koszulę, na głowę wcisnął melonik, złapał czerwony jedwabny szal i niedbale owijając go wokół szyi, wybiegł z domu, żeby przywołać dorożkę. Był tak rozgorączkowany, że zapomniał kluczy. Właśnie przybył Barnikel na „Charlotte Rose”, spóźniony trzy tygodnie.

Ostatni miesiąc okazał się trudnym czasem dla St Jamesa. Po pierwsze, żenująca sprawa z Nancy. Dżentelmen nie powinien łamać danego słowa, ale ten ślub oczywiście nie mógł się odbyć. Napisał do niej list sugerujący, że coś z jego przeszłości – nie wdawał się w konkrety, dał tylko do

zrozumienia, że nie było to nic niegodnego – zmusiło go do zerwania zaręczyn. Mógł był też dodać, że jest bez grosza, ale tak go ta cała sprawa rozwścieczyła, że, do diabła, nie miał zamiaru aż tak się wywnętrzać. Pocieszał się myślą, że jest mało prawdopodobne, aby po stracie fortuny bostończyk kiedyś jeszcze zawstydził go swoją obecnością w Londynie. Zagadkowa była tylko plotka, która wkrótce potem do niego dotarła: pan Dogget nie zrezygnował z rejsu po Nilu.

Dni mijały, a on z niecierpliwością wyczekiwał wieści o kliprach. Najpierw nadeszła miażdżąca wiadomość, jakoby „Cutty Sark" zbliżał się do wybrzeży hrabstwa Kent. Następnie kliper wpłynął do londyńskiego portu i St James uświadomił sobie, że przegrał zakład. Kiedy kolejne dni nie przynosiły żadnych wieści o „Charlotte Rose", zaczął zastanawiać się, czy nie stracił też statku i swojego przyjaciela Barnikela.

Na nabrzeżu wyjaśnienia nie trwały długo. Stary wilk morski opowiedział mu ze smutkiem, jak starając się prześcignąć „Cutty Sarka", stracił podczas sztormu jeden z masztów i musiał zboczyć z kursu, aby w południowoamerykańskim porcie przeprowadzić remont.

– Raz go nawet wyprzedziliśmy – tłumaczył się. Westchnął, spoglądając w kierunku zacumowanego nieopodal smukłego, trójmasztowego „Cutty Sarka". – Wcześniej wydawało mi się inaczej, ale teraz już wiem, że nic, co pływa, nigdy nie będzie w stanie go dogonić.

– Jestem zrujowany – rzucił hrabia ponuro i odszedł.

Jadąc powoli bryczką do domu, snuł niewesołe myśli. Nie pozostało mu już w zasadzie żadne pole manewru. Domu przy Regent's Park trzeba będzie się pozbyć, to jasne. Utrzymanie go było stanowczo zbyt kosztowne. Perspektywa mieszkania z lady Muriel pod jednym dachem nie była jednak zachęcająca. A może, zastanawiał się, powinien zamieszkać we Francji? Funt stał na kontynencie mocno i niejeden podupadły angielski dżentelmen

mógł we Francji czy Włoszech zachowywać pozory – w ojczyźnie byłoby to niezwykle trudne.

Zamyślony, w posępnym nastroju, wrócił do domu, a tam przekazano mu nieoczekiwaną, choć bynajmniej nie przykrą wiadomość, że jego przyrodnia siostra dokądś wyszła.

– Nie mówiła, kiedy wróci, milordzie – dodał kamerdyner.

Zadowolony, że ma trochę czasu na spokojne przemyślenie swojego położenia, St James udał się na górę do biblioteki i usiadł w obszernym fotelu.

Dopiero po kilku minutach zauważył coś dziwnego. Drzwi szafy, w której znajdował się sejf, były uchylone. Wstał nieśpiesznie, aby je zamknąć. Ale nagle zmarszczył brwi zaskoczony. Sejf też był otwarty. I pusty.

– Klejnoty! – wyrwało mu się ze ściśniętego gardła.

Jak złodziej się tu dostał? St James rzucił się, aby wezwać lokaja, ale dostrzegł klucze na stole. Obok leżała biała kartka, na której widniały tylko dwa słowa, skreślone dużym, infantylnym pismem jego siostry: „Poszłam sobie”.

Z rykiem wściekłości biedny hrabia St James posłał ich wszystkich do diabła: Mabel, Nancy, Gorhama Doggeta i Barnikela.

– I ciebie też niech piekło pochłonie! – krzyknął. – Przeklęty „Cutty Sarku”!

Całe szczęście, że hrabia nie był świadkiem sceny, która rozegrała się, gdy tego wieczoru Barnikel wrócił do żony w Camberwell. Gdy Charlotte już go nakarmiła, uraczyła ulubionym grogiem i posadziła wygodnie przy kominku, czule gładząc po siwej brodzie, to wreszcie powiedziała:

– Szkoda, że nie poszło ci lepiej, ale jedno jest pocieszające.

– Co takiego?

– Zarobiliśmy okrągłą sumkę.

– Co masz na myśli?

– Obstawiłam wyniki tego wyścigu. Znaczy się, poprosiłam naszego syna, żeby to zrobił w moim imieniu.

– Postawiłaś na mnie? Jak St James?

– Nie, kochanie. Postawiłam na „Cutty Sarka”.

– Kobieto, postawiłaś pieniądze przeciwko własnemu mężowi?

– Cóż, ktoś musiał to zrobić. Wiedziałam, że nie wygrasz. „Cutty Sark” ma za dużo żagli. – Uśmiechnęła się. – Zarobiliśmy tysiąc funtów!

Kapitan Barnikel zamilkł na dłuższą chwilę, po czym parsknął śmiechem nad grogiem.

– Czasem z ciebie wyłazi takie samo ziółko jak z twojego świętej pamięci ojczulka – zachichotał.

– Taką mam nadzieję – powiedziała.

Umowa między Esther Silversleeves a Lucy była bardzo prosta. Gdy tylko obie się uspokoiły, Esther poczuła, że myśli tak jasno jak nigdy dotąd.

– Jest pani pewna, że dziewczyna nic nie wie? – zwróciła się do Lucy.

– Absolutnie nic, zapewniam.

– W takim razie proszę jej powiedzieć, że znalazła mnie pani za pośrednictwem agencji – poleciła Esther. – Ale musi jej też pani powiedzieć, że ponieważ tak się złożyło, iż ja i pani mamy to samo nazwisko panieńskie, nie wydaje mi się właściwe, aby i ona używała nazwiska Dogget. Będzie musiała je zmienić. – Zastanowiła się przez chwilę. – Niech używa nazwiska Ducket. To wystarczy.

Lucy nie miała nic przeciwko temu. Jeśli jednak żywiła jakiekolwiek wątpliwości co do tej umowy, zostały one całkowicie rozwiane, gdy Esther oświadczyła z budzącą wręcz przestrach stanowczością:

– Ale jeśli kiedykolwiek padnie choć jedno słowo, jedna aluzja o powiązaniach z moim ojcem albo o… przeszłości, to w ciągu godziny dziewczyna znajdzie się na ulicy, i to bez referencji. Takie są moje warunki. – Dopiero gdy Lucy obiecała jej solennie, że warunki te zostaną spełnione, Esther znowu złagodniała. – A tak w ogóle, to jak jej na imię? – spytała.

– Jenny.

Tak oto na początku lutego 1890 roku Jenny Ducket, bo tak teraz się nazywała, przyszła do pani Silversleeves sposobić się na pokojówkę.

Wiosną 1890 roku w domu Edwarda i Mary Anne powinna była zapanować niesłychana radość. Pod koniec marca Edward ogłosił zapierającą dech w piersiach nowinę:

– Hrabia St James sprzedaje posiadłość Bocton w Kencie – zakomunikował rodzinie przy kolacji. – A ja ją kupuję z całym dobrodziejstwem inwentarza! Możemy się tam wprowadzić choćby jutro. – Omiótł wszystkich rozpromienionym spojrzeniem. – Jest tam park z jeleniami i wspaniała sceneria. Myślę, że wam się spodoba. – A potem zwrócił się z uśmiechem do syna: – Wyrosłeś już na takiego dżentelmena, że chyba przyda ci się takie otoczenie.

– Nam też! – zakrzyknęły dwie córki.

Gotowi do żeniaczki młodzieńcy lubili dziewczęta, których ojcowie mieli posiadłość poza miastem. Tylko Violet nie wysiliła się na nic więcej niż blady uśmiech aprobaty.

W ostatnich tygodniach zaczęła chodzić na wykłady. Początkowo jej matka nalegała na to, aby jej towarzyszyć, ale po trzech lub czterech długich i męczących popołudniach w Akademii Królewskiej i innych miejscach uniwersyteckich zrezygnowała i pozwoliła dziewczynie chodzić samej na te nudne, choć szacowne spotkania. Zastanawiała się tylko, do czego to wszystko zmierza.

– Podejrzewam – wyznała Edwardowi – że ona coś knuje.

W pierwszym tygodniu kwietnia Violet przyszła pewnego wieczoru do jej pokoju i zamknęła za sobą drzwi.

– Mamo – powiedziała spokojnie – chyba powinnaś o czymś wiedzieć.

– Jeśli to dotyczy uniwersytetu… – odparła Mary Anne ze znużeniem.

– Nie. – Po chwili gruchnęła bomba: – Zamierzam wyjść za mąż za pułkownika Mereditha. – Po tych słowach Violet miała nawet czelność jeszcze się uśmiechnąć.

Mary Anne dopiero po minucie odzyskała mowę.

– Ale… to niemożliwe! – wyjąkała w końcu.

– Możliwe.

– Nie jesteś pełnoletnia. Twój ojciec nigdy się na to nie zgodzi.

– Niewiele mi brakuje. Zresztą jeśli będę zmuszona, to ucieknę i wyjdę za niego potajemnie. Tak naprawdę nikt nie może temu zapobiec.

– Ale przecież ledwo go znasz! Jak…

– Wybrałam się na wieczorek poetycki u Hatchardsa, mamo. Ten, na który ty nie poszłaś. Od tamtej pory widuję się z nim co najmniej dwa razy w tygodniu.

– Te wykłady…

– Właśnie. Choć rzeczywiście chodzimy na wykłady albo do galerii. Na koncerty też.

– Powinnaś wyjść za kogoś młodego! Nawet uniwersytet byłby lepszy niż to.

– On jest najbardziej wykształconym i najbardziej interesującym człowiekiem, jakiego w życiu poznałam.

– Działał za naszymi plecami. Nigdy nie zdobył się na to, aby spotkać się z twoim ojcem.

– Zrobi to. Jutro.

– Twój ojciec wyrzuci go z domu.

– Wątpię. Pułkownik Meredith jest bogaty. To dżentelmen. Tata się ucieszy, że ma mnie z głowy. A jeśli nie – dodała Violet chłodno – to zrobię skandal. Ojciec by tego nie zniósł.

– Ależ dziecko! – załamała ręce Mary Anne. – Pomyśl tylko, ile on ma lat. To wbrew naturze. Mężczyzna w tym wieku…

– Kocham go! Łączy nas namiętna miłość.

Na te słowa Mary Anne wzdrygnęła się mimowolnie, po czym, czując, że zbiera jej się na mdłości, spojrzała dziewczynie prosto w oczy.

– Chyba – wydusiła z siebie zachrypniętym głosem – nie chcesz dać mi do zrozumienia, że…

– Gdyby nawet tak było, nie powiedziałabym ci o tym – odparła dziewczyna beznamiętnie. – W każdym razie jedno jest pewne, mamo. Ty go nie będziesz miała.

Sufrażystka

Rok 1908

Młody Henry Meredith płakał. Właśnie dostał porządne lanie. To, że pan Silversleeves, opiekun jego rocznika i nauczyciel matematyki, był jego krewnym, nie miało znaczenia. Kara też nie była czymś niezwykłym. W Anglii, w Ameryce i wielu innych krajach dyscypliny, rózgi i rzemienia używano często. Powód stosowania kary był w zasadzie nieistotny. Wprawdzie w Eton i dwóch innych szkołach obowiązywały bardziej postępowe zasady, jednak Charterhouse należała do licznego grona szkół publicznych, których najważniejszą misją było wybijanie głupstw z głów podopiecznych. Szkołom nie zawsze się to udawało, ale starały się, jak mogły. Silversleeves wykonywał jedynie swój obowiązek, z czego on i Meredith zdawali sobie sprawę.

Chłopak cierpiał też z innego powodu. Był potwornie głodny.

Szkołę Charterhouse założono w 1614 roku, mniej więcej siedemdziesiąt lat po tym, jak Henryk VIII wygnał ostatnich mnichów z klasztoru. Później szkoła przeniosła się do nowej siedziby, prawie pięćdziesiąt kilometrów na południowy zachód od Londynu. Cieszyła się dobrą renomą, więc rodzice sporo płacili, aby móc posyłać do niej swoich synów. Ale co dziwne, albo nie wiedzieli, że znalazłszy się za murami szkoły, ich dzieci – które przecież kochali – nie dostawały prawie nic do jedzenia, albo uważali to za nieistotne. Jadłospis chłopców z wyższych warstw społecznych składał się

z grubych pajd chleba cienko posmarowanych masłem, maleńkich ilości duszonego mięsa z kaszą, rozgotowanej kapusty i praktycznie niejadalnego puddingu z dodatkiem łoju. „Nie wolno ich rozpieszczać. Chłopców trzeba wychowywać twardą ręką”. Ci, którzy znosili to najlepiej, mieli władać imperium brytyjskim. Gdyby nie przysyłane przez matkę kosze z jedzeniem, Meredith przymierałby głodem.

Gdy wrócił na twardą ławkę, której pulpit pokryty był wyrytymi głęboko nazwiskami ofiar takich jak on, to nie ostry ból ani głodowe skurcze żołądka kazały mu połykać łzy. Prawdziwym powodem był artykuł w gazecie, który pokazał mu rano jeden ze starszych kolegów.

Był jesienny dzień. Dwukółka minęła bramę posiadłości Bocton. Violet wciąż nie umiała pogodzić się z myślą, że nie zobaczy matki. Mary Anne zmarła w poprzednim roku. Z czterech sióstr Dogget na świecie pozostała tylko Esther Silversleeves.

Była to długa podróż. Violet przez cały czas nerwowo ściskała dłoń sześcioletniej córki. Nie miała odwrotu. Będę trzymać głowę wysoko, obiecała sobie, a widząc czekającego przed domem ojca, jeszcze mocniej ścisnęła dłoń dziewczynki.

Najgorsze było to, że stary Edward Bull tak dobrze ich traktował. Violet wydawało się, że skoro Meredith jest silny i szczupły, to dożyje późnego wieku. Spłodził dwóch synów i tuż po siedemdziesiątce córkę, Helen. Gdy zmarł trzy lata temu, Violet nie była na to przygotowana. Ciężki atak serca, pół dnia, gdy nie mógł wydobyć z siebie słowa, wreszcie łagodne spojrzenie i ostatnie uściśnięcie dłoni. Meredith odszedł, zostawiając jej mniej pieniędzy, niż się spodziewała. Właściwie nie byli biedni, ale utrzymanie domu na odpowiednim poziomie i zapewnienie dzieciom wykształcenia przekraczały jej dochody. Poczuła wielką wdzięczność, gdy ojciec zaproponował, że będzie płacił za edukację dzieci.

Przez całe dwie godziny Edward Bull oprowadzał córkę i wnuka po parku jeleni, a potem bawił się z dziewczynką w ogrodzie za murem. I nic przez ten czas nie powiedział. Dopiero gdy gospodyni zabrała Helen, a oni zostali w bibliotece sami, wziął gazetę i położył ją na kanapie obok córki.

– Widzę, że rozmawiałaś z premierem – rzucił.

Violet czekała, zastanawiając się, czy jest to wstęp do emocjonalnego wybuchu.

Kwestia, która skłoniła ją do zaczepienia na ulicy wielkiego polityka, nie była nowa. Od reformy prawa wyborczego w 1832 roku demokracja powoli się rozwijała. Uchwalono dwie nowe ustawy; pierwsza dawała prawa wyborcze klasie średniej, a druga zamożniejszym robotnikom. W wyborach mogły obecnie głosować dwie trzecie dorosłych mężczyzn. I żadna kobieta.

Już od ponad czterdziestu lat grupa szanowanych kobiet, zwanych sufrażystkami, protestowała przeciwko tej niesprawiedliwości, lecz bezskutecznie. A pięć lat temu na scenie pojawiła się nowa grupa pod przywództwem żarliwej pani Pankhurst. Szybko nazwano je „sufrażystkami". Postępowały zgodnie ze swoim hasłem, które brzmiało: „Czyny, a nie słowa". Miały nawet własne barwy – fiolet, zieleń i biel – które prezentowały na szarfach, sztandarach i plakatach. Organizowały wiece i zakłócały wybory parlamentarne. A co gorsza, z niewybaczalnym brakiem manier, tak przynajmniej uważał Edward Bull, zaczepiały polityków na ulicy.

Tydzień wcześniej przed wejściem do rezydencji premiera przy Downing Street spokojnie stanęły dwie kobiety o wyglądzie szacownych edwardiańskich dam, w kapeluszach z szerokimi rondami i modnymi piórami, jakby przed chwilą skończyły zakupy na Piccadilly. Gdy tylko pan Asquith wyszedł za próg, obie panie, ku radości dziennikarza i fotografa z „Timesa", których ktoś usłużnie uprzedził, zrównały się z premierem

krokiem i osaczywszy go z dwóch stron, towarzyszyły mu aż do Whitehall, wypytując uprzejmie, co do tej pory zrobił w sprawie przyznania kobietom prawa głosu. Uwolnił się od nich dopiero przy gmachu parlamentu. Jedną z kobiet zidentyfikowanych przez gazetę była Violet.

– Masz szczęście, że nie trafiłaś do więzienia – oznajmił cicho Bull.

Edward bardzo złagodniał, odkąd przeniósł się do Bocton. Browar prowadzili jego synowie, więc mógł się cieszyć życiem posiadacza ziemskiego. W dworskich zapiskach odnalazł nawet wzmiankę, że majątek należał kiedyś do rodziny o nazwisku Bull. „Ale oni nie mieli z nami nic wspólnego", zauważył beztrosko. A gdy Violet oświadczyła pewnego dnia, że darzy sympatią sufrażystki, nie wpadł w gniew, choć uparcie trwał przy swoich poglądach. „Medyczne odkrycia dowodzą, że kobiety mają mniejsze mózgi", oświadczył pewnego dnia z triumfem. I dlatego kobiety powinny być ozdobą domu, twierdził, z czym zgadzała się nie tylko większość mężczyzn, ale także wiele kobiet. Powstała kobieca organizacja sprzeciwiająca się przyznaniu czynnego prawa wyborczego kobietom. W podobnym duchu wypowiadała się też znana pisarka Humphry Ward. Polityka skaziłaby kobiety. Zanikłaby wszelka rycerskość. Dziwną cechą epoki wiktoriańskiej i edwardiańskiej – wynikającą zapewne ze wzrostu zamożności, który coraz większej liczbie kobiet pozwalał żyć z kapitału – było to, że nawet przedstawicielki klas średnich na podobieństwo osiemnastowiecznych dam uważały siebie za istoty słabe i delikatne, czym z pewnością wprawiłyby w osłupienie swoje przodkinie.

– Wszystko przez to, że nie pozwoliłem ci pójść na uniwersytet – stwierdził ojciec.

– Mylisz się. – Dlaczego on nigdy nie traktuje jej poważnie? – Czy słuszne jest, że kobieta może być pielęgniarką, lekarką, nauczycielką, a także dobrą matką, a jednocześnie odmawia się jej praw wyborczych? To

już lepiej było w średniowieczu! Wiedziałeś, że kobiety były wtedy członkami gildii?

– Nie mów głupstw, Violet. – Edward dobrze znał City: pomysł, że jakakolwiek gildia przyjęłaby kobiety do swojego grona, już na pierwszy rzut oka był absurdalny. Bull byłby niepomiernie zdziwiony, gdyby wiedział, że jego browar wywodził się od pani Barnikel.

–Tak czy inaczej, to tylko strata czasu – powiedział z westchnieniem. – Nie popiera was żadna partia.

Niestety była to prawda. Kwestia praw wyborczych dla kobiet miała swoich zwolenników i przeciwników, ale żaden z przywódców nie umiał określić, czy przyznanie praw wyborczych kobietom przyniosłoby mu polityczną korzyść. Nawet najwięksi radykałowie chętniej opowiadali się za przyznaniem głosu robotnikom, a o kobietach nie myśleli w ogóle.

– Więc będziemy za nimi chodzić, dopóki nas nie poprą – odpowiedziała.

– W waszej kampanii najbardziej złości mnie to, że dajecie bardzo niewłaściwy przykład – przyznał. – Zrozum, gdy ludzie naszego pokroju przystąpią do publicznej agitacji, inne klasy zaczną robić to samo. A sytuacja już jest wystarczająco groźna.

Z ostatnim stwierdzeniem Violet musiała się zgodzić. Wraz z zakończeniem poprzedniego stulecia i odejściem wiekowej królowej Wiktorii nowy król Edward VII musiał mierzyć się z wyzwaniami coraz bardziej niepewnej rzeczywistości. Wojna z mówiącymi po niderlandzku Burami w Afryce Południowej została wygrana z wielkim trudem i budziła wielkie moralne wątpliwości. W Indiach rozlegały się coraz silniejsze głosy sprzeciwu wobec angielskiego panowania. Cesarstwo Niemieckie, mimo że kajzer był siostrzeńcem Edwarda, groźnie powiększało swoją potęgę kolonialną i militarną. Brytyjski handel musiał się zmagać z ostrą

konkurencją, więc nawet zażarci zwolennicy wolnego handlu, tacy jak choćby Bull, zaczynali się zastanawiać, czy imperium brytyjskie nie powinno jednak wprowadzić ochronnych ceł. Kwestia przyznania Irlandii autonomii podzieliła Partię Liberalną, naruszając tym utrwalone podstawy przekonań politycznych Bulla i jemu podobnych. Ale największe wyzwania czasów edwardiańskich dotyczyły kwestii wewnątrzkrajowych.

Do tej pory nie udało się usunąć ogromnych nierówności ani rozwiązać problemów, które przyniosła epoka przemysłowa. Wprawdzie Edward VII bawił swoich poddanych – w każdym razie tych o mniej purytańskich poglądach – swobodą i elegancją dworu, ale nie uśmierzało to niepokojów związanych z coraz bardziej odczuwalnymi napięciami społecznymi. I chociaż przewidywana przez Marksa wielka rewolucja socjalistyczna jak dotąd nie nadeszła, to związki zawodowe, które wyrosły w latach osiemdziesiątych XIX wieku, liczyły dwa miliony członków, a liczba ta, jak się spodziewano, miała wkrótce wzrosnąć do czterech milionów. W ostatnich wyborach związki zorganizowały się w partię polityczną, która już wyrastała na trzecią siłę polityczną. Obecni posłowie z Partii Pracy – a tylko kilku z nich było prawdziwymi socjalistami – deklarowali gotowość współpracy z rządem liberałów, którego radykalne skrzydło, dowodzone przez błyskotliwego Walijczyka, Lloyda George’a, zapowiadało wprowadzenie przepisów o zasiłkach dla biedoty. „Nie zdziałają wiele, a konserwatywna Izba Lordów nawet na to się nie zgodzi – przewidywał Bull. – I co wtedy?”. I właśnie ten nieokreślony, ale coraz silniejszy lęk przed niepokojami społecznymi nakazywał mu potępiać demonstracje sufrażystek.

– Problemy i tak będą narastać. A wy tylko nakręcacie sytuację – mówił dalej. – Pomyślałaś o swoich dzieciach? Wzięłaś pod uwagę ich dobro? Dajesz im odpowiedni przykład?

Violet była wściekła. Jak on może wykorzystywać dzieci przeciwko niej?

– Dzieci są ze mnie dumne! – krzyknęła. – Wiedzą, że występuję w słusznej sprawie. Pokazuję im, jak należy walczyć o własne poglądy. Na pewno umieją to dostrzec.

– Jesteś o tym przekonana?

Percy Fleming pomyślał, że błazenada jego brata przekracza czasem granice głupoty. Ale taki właśnie był Herbert. Stał na środku Tower Bridge, a wokół zdążył się już zebrać niewielki tłum.

– Zdecyduj się, Percy! – wrzasnął. – Dopóki nie podejmiesz decyzji, nie ruszę się stąd, nawet jeśli most się podniesie.

Wśród gapiów stała młoda kobieta, no, może starsza od Percy’ego o rok czy dwa, bardzo przyzwoita z wyglądu. Ciekaw był, co ona o tym myśli.

– No i co?! – krzyknął Herbert, przybierając pozę aktora z teatru rewiowego. – O, ty mnie zabijesz!

– Zabiję, jeśli nie przestaniesz – odparł Percy, całkiem dowcipnie, jak mu się wydawało. Zerknął na przyzwoitą dziewczynę, chcąc sprawdzić, czy ona też odniosła takie wrażenie.

Percy Fleming miał szczęście w życiu. Jeremy Fleming, urzędnik w Bank of England, miał czterdziestu potomków w czwartym pokoleniu. Jak w każdej rodzinie jednym się wiodło dobrze, innym gorzej. Wielu wyjechało z Londynu. Ojciec Herberta i Percy’ego prowadził sklep tytoniowy w Soho, na wschód od Regent Street. Obecnie była to bardzo przyjemna dzielnica. Gdy Percy był jeszcze dzieckiem, władze miejskie wybudowały w Soho dwie szerokie arterie, Charing Cross Road biegnącą od Trafalgar Square na północ, oraz Shaftesbury Avenue, która schodziła do Piccadilly Circus. Wkrótce stanęły przy niej liczne teatry. Herbert zawsze kochał łobuzerskie, teatralne Soho, Percy’ego zaś zawsze ciągnęła

spokojniejsza strona Regent Street, która ku wschodowi łączyła się z sennym Mayfair. Nadal działały tam szacowne firmy hugenockich zegarmistrzów i innych rzemieślników, ale najbujniej kwitło londyńskie krawiectwo, które wyrosło w małej uliczce leżącej na tyłach Burlington House, nazywanej Savile Row.

Ojciec Percy'ego handlował wyrobami tytoniowymi, lecz miał wielu znajomych wśród krawców. „Ta ulica to prawdziwa złota mila – mawiał do syna. – Gdy klient wchodzi do sklepu, już od progu widzę, czy ma na sobie garnitur z West Endu". Na widok gotowych garniturów, które zaczęły się pojawiać w niektórych sklepach odzieżowych, na wklęsłej twarzy Fleminga pojawiał się wyraz lekkiej pogardy. „Bóg nie stworzył ludzi w paru standardowych rozmiarach – tłumaczył. – Każdy człowiek ma inną figurę. Dobrze skrojony garnitur leży tak doskonale, że człowiek nawet go na sobie nie czuje. A zwykła konfekcja, jeśli nawet się ją poprawi, nigdy nie będzie miała w sobie takiej elegancji". Percy zauważył nawet, że jego ojciec ukrywa lepsze cygara przed klientem ubranym w gotowy garnitur.

W oczach Percy'ego „złota mila" była cudownym miejscem. Już jako dziecko przyglądał się terminatorom i gońcom, którzy roznosili próbki tkanin i załatwiali inne sprawy. Dzięki ojcu zawarł znajomość z kilkoma krojczymi, niezwykle ważnymi osobami w każdej firmie, którzy robili wykroje dostosowane do figury klienta, wycinając je z mocnego brązowego papieru. Wykroje wieszano potem na sznurkach, żeby wykorzystać je przy kolejnych zamówieniach. Podczas gdy jego brat po krótkiej fascynacji teatrem ustatkował się na posadzie urzędnika, Percy postanowił wstąpić na pięć lat do terminu, żeby zostać mistrzem krawieckim, co właściwie nikogo nie zdziwiło. Sam znalazł sobie mistrza, który zgodził się go przyjąć, a gdy powiedział o tym ojcu, ten był pełen podziwu.

„Tom Brown! – zawołał z zachwytem. – Przecież to jest prawdziwy krawiec dżentelmenów”.

Percy spędził u Toma Browna sześć szczęśliwych lat, ucząc się krawieckiego fachu. I wyuczył się go tak dobrze, że pod koniec terminowania Brown złożył mu korzystną ofertę pracy. Lecz Percy miał inne plany. Wielu utalentowanych krawców decydowało się na własną działalność. Percy był pewien, że to by mu pozwoliło brać zamówienia nie tylko od Toma Browna, ale i od innych krawców. A jeśli ktoś był w swoim fachu dobry i nie bał się ciężkiej pracy, to mógł zarobić znacznie więcej niż zwykły pracownik, w dodatku miał niezależność. Najbardziej zachęcał go do tego Herbert.

„Tak rzadko cię widuję, Percy – mówił. – A przecież nie mamy żadnej innej rodziny. – Oboje rodzice zmarli jeszcze przed końcem poprzedniego stulecia. – Dlaczego nie chcesz zamieszkać gdzieś niedaleko mnie i Maisie? Powietrze w Crystal Palace jest dużo lepsze. Może przestałbyś w końcu kasłać”.

Rozebrany po Wielkiej Wystawie ogromny Crystal Palace zakupiła grupa przedsiębiorców, a następnie ustawiła go ponownie na pięknym, długim łańcuchu wzniesień jakieś dziesięć kilometrów na południe od rzeki. Jeszcze niedawno były tu głównie lasy i pola. Niedaleki pagórek nie bez powodu nazywano Gypsy Hill – Cygańskim Wzgórzem. Na południowych stokach łańcucha, zaraz za kilkoma zabudowaniami, zaczynała się otwarta przestrzeń, która ciągnęła się hen, aż okiem sięgnąć, do zalesionych wzgórz Sussexu i Kentu. Jednak tego dnia łańcuch wzniesień – skąd roztaczał się wspaniały widok aż po Hampstead i Highgate – przecinały ulice, przy których stały eleganckie rezydencje, a nieco niżej skromniejsze domy i podmiejskie wille. Powietrze było tu doskonałe, wolne od smogu gromadzącego się w londyńskiej niecce.

Dzielnica nosząca nazwę Crystal Palace stała się bardzo atrakcyjna, Herbert i jego żona Maisie zamieszkali tu zaraz po ślubie.

„Stacja jest niedaleko. Co dzień jeżdżę pociągiem do City – przekonywał Herbert. – Jest też drugi pociąg, którym ty mógłbyś jeździć do Victoria Station. Dojazd z domu na Savile Row nie zabrałby ci nawet godziny".

Herbert miał rację w sprawie kaszlu. Od jakiegoś czasu Percy szczególnie dotkliwie odczuwał skutki londyńskiego smogu. A gdyby odszedł od Toma Browna i pracował w domu, nie musiałby co dzień jeździć do Londynu. Mimo to była to trudna decyzja.

W soboty Herbert kończył pracę wcześniej, o drugiej po południu, więc czasem spotykał się z bratem. Tego dnia zjedli coś w pubie, a ponieważ pogoda była piękna, wybrali się na spacer. Herbert poruszył kwestię przyszłości Percy'ego, dopiero gdy dotarli do dawnego Kamienia Londyńskiego na Cannon Street. „Chyba wiesz, co to jest – powiedział, wskazując duży gmach stacji kolejki podziemnej. Dawno temu na zajmowanym przez nią terenie mieszkali hanzeatyccy kupcy, a jeszcze wcześniej, tysiąc lat przed nimi, stał pałac rzymskiego gubernatora. Ruchliwa stacja miała nawet swój własny żelazny most na drugi brzeg rzeki. – Tutaj wsiadam do pociągu, który jedzie do Crystal Palace".

A potem już nie dawał bratu spokoju. Zbliżali się do Tower, minąwszy Billingsgate.

– Blado wyglądasz, Percy. Musisz się przeprowadzić. Maisie obiecała, że znajdzie ci żonę. Nawet ma już na celu kilka miłych dziewcząt. Ale one chcą tam mieszkać. Daj się przekonać. Mógłbyś nawet więcej zarabiać.

Aż w końcu, gdy szli przez Tower Bridge, zaczął się wygłupiać.

– Dobrze już, dobrze – powiedział Percy. – Zgadzam się.

– Zgodził się! – krzyknął Herbert na cały głos. – Panie i panowie – zwrócił się do gapiów. – Jesteście świadkami. Pan Percy Fleming właśnie postanowił pójść na swoje i przenieść się do zdrowej okolicy. – Teraz już do końca wszedł w rolę rewiowego aktora. – Do okolicy ekskluzywnej, że tak powiem, jasnej i czystej, zamieszkanej przez samą elitę, wręcz śmietankę towarzyską. A mam na myśli oczywiście Crystal Palace…

Bez wątpienia Henry był ekscentrykiem.

Percy zerknął na boki i z ulgą zauważył, że gapie się uśmiechają. Lecz Herbert jeszcze nie skończył.

– Szanowna pani. – Podszedł do dziewczyny, którą Percy wcześniej zauważył. – Czy będzie pani świadkiem, że ten oto mój brat, człowiek bardzo przyzwoity i – zniżył głos do teatralnego szeptu – szukający żony, zgodził się zamieszkać w Crystal Palace i że nie ma już od tego odwrotu?

Dziewczyna się uśmiechnęła.

– Dobrze.

Herbert wydał triumfalny okrzyk.

– Niech mu pani poda rękę – nalegał. A gdy z wahaniem wyciągnęła dłoń w rękawiczce, zawołał: – Właśnie, Percy. I o to chodzi!

Herbert odwrócił się, żeby porozmawiać z innym gapiem – to dziwne, ale robił to w taki sposób, że ludzie nigdy nie mieli mu tego za złe – i Percy został z dziewczyną sam.

– Przepraszam za mojego brata – powiedział. – Mam nadzieję, że nie poczuła się pani dotknięta.

– Ależ skąd. To żarty.

– Właśnie. On już taki jest. – Nie bardzo wiedział, co mógłby jeszcze dodać. Zauważył, że dziewczyna ma ładne, ciemne oczy. Nie była śmiała jak niektóre dziewczęta, raczej spokojna i wyciszona. I wyglądało też, że nie miała lekkiego życia. – Ja nie jestem taki gadatliwy jak on – dorzucił.

– To widać – powiedziała.

– Mieszka pani gdzieś niedaleko? – zapytał.

– Nie. – Zawahała się. – W Hampstead.

– Aha.

– Kawał drogi z Crystal Palace.

– Owszem. – Spuścił wzrok. – Często tu przychodzę w soboty. Spaceruję, czasem zaglądam do Tower – skłamał. – Na ogół jestem sam.

– O, to miłe – przyznała.

Herbert skończył swoje występy, więc należało ruszać dalej. Percy chciał powiedzieć na pożegnanie: „Może się jeszcze kiedyś zobaczymy”, ale uznał, że byłaby to impertynencja.

Edward Bull doskonale znał szkolne obyczaje. Wystarczył krótki spacer z wnukiem, a wszystko wyszło na jaw. Dokuczali mu nieustannie. „Jak się miewa premier?” albo „Czy twoja matka trafiła już do aresztu? Będzie udawać niepoczytalną?”. A kiedyś znalazł nad łóżkiem duży plakat z napisem: „Prawa wyborcze dla kobiet”.

– Nie jest łatwo, co? – zagadnął Bull.

– Z jednym musiałem się nawet bić – przyznał Henry żałośnie. I chociaż nie powiedział tego wprost, najwyraźniej nie uważał, aby powód był wart tej walki.

Ale gdy Bull zaproponował, że zaprosi czterech chłopców na podwieczorek, chętnych zgłosiło się aż nadto. Żaden uczeń w Charterhouse nie odmówiłby sobie okazji do zjedzenia czegoś. Bull ugościł wszystkich w herbaciarni.

Po dwudziestu latach życia w Bocton potężna sylwetka Edwarda Bulla wyglądała jeszcze bardziej władczo niż wcześniej. Dla młodych chłopców bogaty właściciel ziemski z Kentu był osobistością niezwykłą. A on szybko ich rozgryzł. Od razu zauważył, który wśród nich jest przywódcą.

– Mówisz, że masz na nazwisko Millward? Znam pewnego brokera, George’a Millwarda. To jakaś twoja rodzina?

– To mój stryj, proszę pana.

– Hm. W takim razie przekaż mu ode mnie pozdrowienia. – Ton głosu jednoznacznie wskazywał, że Bull zdobył się na wspaniałomyślny gest.

Opowiedział im trochę o Charterhouse z czasów, gdy był tutaj uczniem, a przy okazji usłyszał, że ojciec jednego z chłopców brał udział w polowaniach na lisa w zachodnim Kencie, gdzie syn Bulla miał pod opieką sfory psów myśliwskich. Ale najlepsze posunięcie zachował na sam koniec obfitego podwieczorku. Przechylił się nad stołem i z uśmiechem zadumy na twarzy powiedział do wnuka:

– Tęsknię za twoim ojcem, Henry. – Potem zwrócił się do chłopców: – Bo musicie wiedzieć, że pułkownik Meredith odnosił sukcesy we wszystkich dyscyplinach sportowych. – Pokiwał głową z podziwem. – W całym imperium brytyjskim nikt nie ustrzelił tylu tygrysów co on.

Dla chłopców był prawdziwym bohaterem. Na pożegnanie Bull wręczył każdemu po pół korony, a Henry’emu dał całą. Słusznie podejrzewał, że po jego wyjeździe Henry nie będzie miał już w szkole żadnych kłopotów.

Jenny Ducket miała wrażenie, że zstępuje do brzucha Ziemi. Co jej przyszło do głowy? I to w taki zimny dzień. Ale w metrze nie było wcale zimno.

Arnold Silversleeves nie doczekał się spełnienia marzeń o elektrycznej kolei podziemnej. Po roku prób zebrania odpowiednich funduszy Gorham Dogget doszedł do wniosku: „Pospieszyliśmy się o dekadę”. Rzeczywiście, dopiero na początku nowego stulecia inny amerykański przedsiębiorca, niejaki pan Yerkes z Chicago, zbudował londyńskie metro. I tak jak przewidział to Arnold Silversleeves, elektryczne pociągi poprowadzono

w głębokich tunelach. A na wzniesieniach takich jak Hampstead szyb windowy był tak długi jak w kopalniach.

Jenny pojechała z Hampstead na Euston Station i przesiadła się do innego pociągu, który dowiózł ją do Bank of England. Stamtąd poszła pieszo. Będę wyglądała jak idiotka, chodząc w tę i z powrotem po Tower Bridge, a do tego zmarznie mi tyłek, powtarzała w myślach.

Od jakiegoś czasu pani Silversleeves rzadko wychodziła z domu, ale gdy tylko siły jej pozwalały, lubiła odwiedzać dwa miejsca. Pierwszym był cmentarz Highgate, gdzie pochowano Arnolda Silversleevesa – zgodnie z jego życzeniem i w wymyślonym przez niego żeliwnym grobowcu. Drugim miejscem był Tower Bridge. Arnold pomagał zaprojektować uchylne przęsła z przeciwwagami i ten wspaniały mechanizm dawał mu pod koniec życia tak wielkie poczucie dumy, że Esther, jadąc powozem wzdłuż Tamizy i patrząc na most, mówiła: „Oto jest prawdziwy pomnik mojego męża”.

Jednak w poprzednim tygodniu czuła się zbyt słaba na taką wyprawę, więc przykazała Jenny: „Pojedziesz tam w moim imieniu. Weź powóz. Potem przejdziesz się pieszo i powiesz mi, jak wygląda most”. I właśnie podczas tamtego spaceru Jenny poznała braci Flemingów.

Kochana pani Silversleeves. Jenny doskonale pamiętała ten dzień, gdy po raz pierwszy zjawiła się w dużym domu ze spadzistym dachem i szczytową ścianą od frontu. Była bardzo zdenerwowana – musiała pamiętać o swoim nowym nazwisku Ducket, a ostrzeżenia i instrukcje babki cały czas dźwięczały jej w uszach. „Ale przynajmniej dadzą ci dom”, powtarzała Lucy. I w pewnym sensie tak się stało.

Życie na służbie nie było lekkie. O piątej rano Jenny wychodziła ze swojego maleńkiego pokoiku na poddaszu. Była najmłodsza, więc spadały na nią najgorsze obowiązki. Wnosiła na górę wiadra z węglem, czyściła

ruszty, polerowała mosiężne naczynia i szorowała podłogi. Wieczorem padała wyczerpana na łóżko. Ale w porównaniu z życiem, które wiodła na East Endzie, tutaj miała raj. Czyste ubrania, czystą pościel, jedzenia do syta. Co niedziela musiała chodzić z całą rodziną do kościoła, ale nawet jej się to podobało. Wprawdzie na początku zapominała czasem dygnąć przed panią Silversleeves albo nie odnosiła się z odpowiednim szacunkiem do gospodyni, ale uznała to za naturalną kolej rzeczy.

„Pamiętaj, Jenny – przykazywała jej pani Silversleeves – że ani ty, ani nikt inny nie powinien wynosić się ponad swój stan”.

Powoli zachodziły drobne zmiany. Na Boże Narodzenie zawsze pojawiał się jakiś prezent. Pan Silversleeves pokazał jej, co powinna zrobić ze skromnymi oszczędnościami, i od czasu do czasu dokładał do nich gwineę lub dwie. Po paru latach Jenny awansowała na służącą, a gdy w końcu została osobistą pokojówką pani domu, zauważyła, że starsza dama darzy ją wielką sympatią. Czasem mówiła na przykład: „Może przyda ci się ten jedwabny szalik, jak będziesz miała wychodne”. Albo rękawiczki. Albo płaszcz. Często rzeczy były prawie nowe, a kilka razy podejrzewała wręcz, że kupiono je z myślą o niej. Po śmierci męża pani Silversleeves często chciała mieć Jenny przy sobie w salonie, prosiła o przeczytanie artykułu w gazecie napisanego drobnym drukiem albo po prostu z nią rozmawiała. Ale jeden temat był zakazany. Dwa razy w roku Jenny odwiedzała ojca i brata na East Endzie, lecz nigdy nie wspominała o tym swojej chlebodawczyni. Gdy jej się to raz zdarzyło, starsza dama zesztywniała i powiedziała chłodno: „Nie chcę o tym słyszeć, Jenny”.

Nie związała się z żadnym mężczyzną. Gdy była jeszcze młodą dziewczyną, flirtowało z nią kilku dostawców, ale odprawiła ich z kwitkiem. Za pośrednictwem pracujących w domu mężczyzn poznała paru zalotników, którzy chętnie się z nią umawiali. Młody stangret,

sprzedawca ze sklepu warzywnego, tramwajarz – wszyscy byli nią poważnie zainteresowani. „Zupełnie nie rozumiem, co oni we mnie widzą – zwierzyła się kiedyś kucharce. – Spójrz tylko, jak ja wyglądam, jestem blada i chuda”. I szybko odrzucała zaloty. Miała ku temu powody. Już od kilku lat pani Silversleeves była tak od niej uzależniona, że miałaby wyrzuty sumienia, odchodząc ze służby.

Po co więc poszła na Tower Bridge? We wklęsłej twarzy Percy’ego, trochę smutnej, ale pełnej determinacji, było coś budzącego zaufanie. A gdy jego brat wspomniał, że Percy szuka żony, pomyślała sobie: „Czemu nie?”. W piątek postanowiła, że w wolną sobotę pójdzie na spacer po Hampstead Heath. Porządnie oczyściła płaszcz, w końcu powinna była to zrobić już wcześniej. A idąc teraz w kierunku Tower Bridge, przekonywała samą siebie, że to nie ma znaczenia. „I tak go nie spotkam”.

Dlatego bardzo się zdziwiła, zobaczywszy go na środku mostu. Udawał, że właśnie tędy przechodził i wcale nie zmarzł po długim wyczekiwaniu.

– Witaj – powiedziała Jenny. – Nie spodziewałam się, że cię tu spotkam.

Violet zabierała dzieci do kilku miejsc, które uważała za odpowiednie. Jedne miejsca dzieci lubiły bardziej, inne mniej. Ogród botaniczny w Kew odwiedzali latem, bo mogli dopłynąć tam rzecznym statkiem. Chętnie bywali też w gabinecie figur woskowych madame Tussaud. Oglądanie obrazów w Galerii Narodowej było obowiązkiem, ale już karmienie gołębi na Trafalgar Square należało do przyjemności. Jednak dzieci najbardziej lubiły jeździć do South Kensington.

Dochody z Wielkiej Wystawy księcia Alberta, która odbyła się w 1851 roku, były tak duże, że pozwoliły rządowi na zakup całego terenu od Hyde Parku do South Kensington, gdzie po obu stronach szerokiej alei nazwanej Exhibition Road wzniesiono kilka wspaniałych muzeów. Oprócz Albert Hall powstało Muzeum Wiktorii i Alberta, a naprzeciwko niego ogromny,

podobny do katedry gmach Muzeum Historii Naturalnej. Zgromadzone w nim skamieniałości, próbki skał i wspaniałe rysunki roślin stanowiły potwierdzenie odkryć naukowych i twierdzeń Darwina, które już od dwóch pokoleń zmieniały sposób myślenia o świecie. Dzieciom szczególnie podobały się ogromne rekonstrukcje szkieletów dawno wymarłych dinozaurów.

Violet też miała swój ulubiony cel rodzinnych wycieczek, w jej oczach przewyższający wszystkie inne. Może dlatego, że znajdował się w samym sercu Bloomsbury, spokojnej georgiańskiej dzielnicy na wschód od Tottenham Court Road. Stało tu wiele budynków londyńskiego uniwersytetu, na którym kiedyś chciała studiować i którego zbiory starożytnych zabytków nie miały sobie równych na całym świecie. Dlatego przynajmniej raz w ciągu każdych wakacji dzieci mogły podziwiać wspaniałości Muzeum Brytyjskiego.

Akurat tego grudniowego dnia, gdy oglądali egipskie mumie i sarkofagi – dzieci zawsze to lubiły – Henry rzucił od niechcenia:

– Mamo, ty już nie będziesz dłużej sufrażystką, prawda?

Violet spojrzała na niego ze zdziwieniem. Jak większość rodziców w epoce edwardiańskiej uważała, że dzieci trwają w stanie uległego dziecięcego posłuszeństwa, dopóki nagle nie staną się dorosłymi. Nawet z Henrym nigdy nie rozmawiała o swojej działalności, wspomniała jedynie, że kobiety bardzo cierpią z powodu wielkiej niesprawiedliwości i że ona wraz z innymi dzielnymi towarzyszkami chce to zmienić.

Dwoje młodszych dzieci wierzyło jej bezgranicznie. Mała Helen chciała naśladować matkę pod każdym względem, ale gdy niania odprowadzała ją jesienią do szkoły, kilka razy zauważyła, że opiekunki innych dzieci dziwnie na nią patrzą. A do ośmioletniego Fredericka, którego posłano do prywatnej szkoły podstawowej z internatem, nie docierały żadne wieści

o wyczynach matki. Dla niego Violet była aniołem, dobrym snem, który nawiedzał go w internacie w chwilach samotności. Ale jednocześnie, co było naturalne, ubóstwiał swojego starszego brata. Dlatego gdy Henry zaczynał się z matką spierać, udawał, że nie słyszy.

– To zależy od tego, co zrobi rząd – odparła Violet.

– Wolałbym, żebyś dała sobie spokój – powiedział Henry.

Violet się zawahała. Jako samotna matka nie bardzo wiedziała, jak powinna zareagować na taką oczywistą impertynencję.

– Twój ojciec popierał przyznanie praw wyborczych kobietom – powiedziała ostrożnie.

– Nie wątpię. Ale czy pozwoliłby ci biegać po ulicach i nękać premiera?

O, teraz już posunął się za daleko. Tym bardziej że przysłuchiwała się temu pozostała dwójka dzieci.

– Nie wolno ci się tak do mnie odzywać!

– W takim razie może powinnaś usłyszeć, co mówią o tobie w mojej szkole – mruknął ponuro.

– Tym gorzej dla nich – odparła kategorycznie. – Wiesz przecież, że chodzi o słuszną sprawę.

– Jakoś nikt tak nie uważa – stwierdził z goryczą. – Nie możesz im pomagać tak, żeby nie pisali o tobie w gazetach?

– Ta działalność to mój moralny obowiązek. Szkoda, że tego nie widzisz. Ale może za jakiś czas zmienisz zdanie.

– Nigdy nie zmienię zdania, mamo – odpowiedział z powagą. I gdy odwrócił twarz, Violet zdała sobie sprawę, że łącząca ich więź nagle

i niespodziewanie pękła na zawsze. Gdyby jego ojciec żył, wszystko wyglądałoby inaczej, pomyślała z rozpaczą.

Rok 1910

Niewiele osób kupujących garnitury na West Endzie wiedziało, że każdą część kompletu szyje inna osoba. W pracowni Toma Browna jedni krawcy specjalizowali się w marynarkach, inni szyli kamizelki, a jeszcze inni tylko spodnie.

Percy Fleming szył spodnie i trzeba przyznać, że osiągnął w tym wielką biegłość.

– Nie mam pojęcia, jak ty to robisz – zauważył niedawno pan Brown – ale w ciągu ostatniego roku żadne z twoich spodni nie wymagały poprawek, nawet przy ostatniej przymiarce.

W kilku innych pracowniach mówili to samo, więc Percy rzeczywiście sporo zarabiał. I całe szczęście, bo zamierzał się ożenić.

Ani on, ani Jenny się nie spieszyli. Oboje byli rozważni, a ponieważ mogli się spotykać najwyżej raz w tygodniu, przez pierwszy miesiąc Percy nie był nawet pewny, czy udało im się nawiązać przyjacielskie stosunki. Ale był wytrwały, a jesienią Jenny tak się rozluźniła i nabrała śmiałości, że sama zaproponowała spotkanie.

– Nigdy jeszcze nie byłam w zoo – powiedziała. – Może poszlibyśmy tam w przyszłym tygodniu?

Mimo to przez kolejne trzy tygodnie wymawiała się od spotkania, tłumacząc, że ma dużo pracy.

– Ona udaje nieprzystępną – oznajmił Herbert, gdy Percy poprosił go o radę. Jednak Percy’emu wydawało się, że za niezobowiązującą przyjaźnią Jenny skrywa jakiś lęk.

Mieszkanie Percy’ego znajdowało się na najwyższym piętrze domu stojącego na zboczu niedaleko Crystal Palace. Roztaczał się stamtąd widok na stację Gipsy Hill i park otaczający podmiejską wioskę Dulwich. Sypialnia była maleńka, ale do mieszkania należało też duże widne poddasze, w którym Percy urządził sobie pracownię. Krojąc, szyjąc i prasując, podnosił często głowę i spoglądał przez okno hen, daleko, aż po wzgórza Highgate i Hampstead po drugiej stronie rzeki. Kawał drogi, nie ma co mówić. Większość ludzi uznałaby to za dwa odrębne światy. Epoka wiktoriańska przyniosła ze sobą postęp materialny, ale także mocno podzieliła Londyn. Rozróżnienie na bogaty West End i biedny East End pojawiło się już w czasach Stuartów, ale w ciągu ostatnich kilku dziesięcioleci zarysował się nowy podział na dzielnice leżące na północ i na południe od rzeki.

Stało się to za sprawą mostów i kolei. Przez wieki Tamiza była ważną arterią komunikacyjną Londynu. Brzegi łączył tylko jeden most, ale po rzece pływały dosłownie tysiące łodzi i promów przewożących ludzi do teatrów, ogrodów publicznych i innych atrakcji leżących na południowym brzegu. Gdy jednak w XIX wieku budowano kolejne mosty, przewoźnicy znikli, a rzeka powoli straciła koloryt. Potem pojawiły się koleje, rozwożąc coraz większą liczbę mieszkańców do coraz dalej położonych przedmieść – Highgate na północy i Crystal Palace na południu. Usytuowane wzdłuż Tamizy stacje metra – Waterloo, Victoria, Cannon Street, London Bridge – zajęły dawne tereny Bankside i Vauxhall i pokryły je siecią torów. W miarę jak wielka metropolia rozrastała się coraz dalej, pojawiły się też dwa oddzielne światy. Klasa średnia i urzędnicy przyjeżdżali z południowych przedmieść do pracy w City i na West Endzie, a potem szybko do nich wracali. Natomiast robotnicy, mimo że istniały tanie bilety ułatwiające im

przemieszczanie się, zazwyczaj mieszkali niedaleko miejsc pracy, w jednym albo w drugim świecie. Linią podziału była Tamiza.

Gdy popołudniowe światło bladło, a odległe wzgórza Hampstead zabarwiały się na fioletowo i brązowo, Percy'ego ogarniał smutek. Tak pragnął mieć przy sobie Jenny, widzieć jej bladą twarz, czuć na sobie spojrzenie jej oczu, po prostu przy niej być. Ale musiał czekać na spotkanie tydzień, a czasem nawet dwa lub trzy.

Zawsze spotykali się w centrum Londynu. Kiedyś zaproponował, żeby poszli na spacer do Hampstead Heath, ale Jenny pokręciła stanowczo głową.

– Nie. To za daleko na przechadzkę.

Zrozumiał: było to naruszenie jej terytorium oznaczające jakieś zobowiązania. Potem zawsze spotykali się na neutralnym, bezpiecznym gruncie.

Trudno powiedzieć, kiedy zauważył zmianę. Może wtedy w Hyde Parku, gdy po raz pierwszy wzięła go pod rękę. Zawsze widywali się w ciągu dnia: chodzili na spacer, zaglądali do Tower, przysiadali w herbaciarni, ale wraz z nadejściem lata postanowił zdobyć się na śmiałość i zaprosić ją dokądś wieczorem. Nie bardzo jednak wiedział, gdzie mogliby pójść, ale Herbert chętnie pospieszył z radą.

– Palladium, Percy – zawyrokował. – To ostatni krzyk mody.

Cóż to był za wieczór! W wielkim, nowym teatrze, który niedawno otwarto przy Piccadilly Circus, wystawiano najgłośniejsze i najlepsze musicale w mieście. Jeszcze nigdy nie widział Jenny tak ożywionej. Nawet śpiewała niektóre piosenki razem z publicznością. Zarumieniona i rozradowana pozwoliła się odwieźć dorożką do domu.

A pod bramą wysokiego domu ze spadzistym dachem pozwoliła mu pocałować się w policzek na pożegnanie. Potem Percy poszedł na piechotę

aż do Victoria Station, a gdy okazało się, że spóźnił się na ostatni pociąg, nie tracąc dobrego humoru, położył się na ławce i poczekał do świtu.

Przez cały tydzień pogoda była cudowna. Co dzień wstawał z samego rana i spoglądał na drugi kraniec Londynu, gdzie setki dachów lśniło od rosy, a odległe wzgórza Hampstead były tak zielone i tak świetliście wyraźne, że wydawało się, że można ich niemal dotknąć. Pomagając sobie mapą, wyznaczył na horyzoncie miejsce, w którym mógł stać dom Silversleevesów. Wyobrażał sobie, jak Jenny wstaje, a potem zajmuje się swoimi obowiązkami. A czasem nawet, patrząc w dal, pomrukiwał: „Będę na ciebie czekał, dziewczyno".

Ale tamtego cudownego wieczoru wydarzyła się jeszcze jedna ważna rzecz. Zanim pożegnali się w Hampstead, Percy wymógł na niej przyrzeczenie, że w następną niedzielę odwiedzi go w Crystal Palace.

– Herbert i Maisie zaprosili nas na obiad – powiedział. – Wyjdę po ciebie na stację.

Jenny zawahała się, ale tylko na chwilę.

– Dobrze, przyjdę – zgodziła się.

Był pewien, że wszystko potoczy się gładko.

East End. Szare, ponure ulice bez numerów domów, ulice bez znaczenia, całymi kilometrami ciągnące się pod posępnym, matowym niebem, jedna za drugą, aby daleko za dokami rozpłynąć się jak ujście rzeki w morzu nicości. East End nie był miejscem, lecz stanem umysłu.

Rodzina Jenny mieszkała obecnie przy krótkiej ulicy zabudowanej po obu stronach rzędami domków szeregowych, które kończyły się nagle wysoką ścianą magazynu. W trzech pokoikach na parterze gnieździł się brat Jenny z żoną i trójką dzieci oraz ojcem, który w wieku pięćdziesięciu sześciu lat stwierdził, że nie może już pracować.

Zawsze wyglądało to tak samo. Przy każdej wizycie Jenny dawała ojcu kilka szylingów, bratu trochę więcej. Ojciec mówił wtedy z pijackim rozrzewnieniem: „Widzicie, ona zawsze o nas pamięta”. Brat nie odzywał się, ale jego myśli niemal dźwięczały w powietrzu: „Niektórym to musi wystarczyć”.

Brat zarabiał w dokach – czasem miał pracę, a czasem nie. Ale powodziło mu się lepiej niż innym, bo przyjaźń, którą nawiązał z nieznośnymi żydowskimi chłopakami i której Lucy nie pochwalała, okazała się bardzo korzystna.

Kwitł handel używaną odzieżą. Zamożne sfery szyły sobie ubrania na miarę, a większość londyńskiej biedoty nosiła rzeczy używane, więc wielu mieszkańców East Endu, zwłaszcza Żydów, umiało na tym zarobić. Brat Jenny przynosił do domu dodatkowy grosz, rozwożąc towar albo pilnując sklepu swojego przyjaciela. Stary, gruby płaszcz ojca musiał należeć kiedyś do jakiegoś kapitana statku. A dzieciaki brata przynajmniej dostawały buty odpowiednich rozmiarów. Brat miał też inne, nie do końca legalne źródła dochodu, ale Jenny doskonale wiedziała, że oboje z żoną – która chwytała się każdego zajęcia – uważają, że nie mają innego wyjścia.

Kiedy bratowa, w zwyczajnej bluzce i postrzępionej spódnicy, widziała ubrania, które Jenny dostała od pani Silversleeves, porządnie uprane i wykrochmalone, kiedy czuła od Jenny czysty zapach – „Od niej jedzie wodą lawendową”, zauważyła smętnie – a potem spoglądała na swoje szorstkie dłonie i połamane paznokcie, kiedy próbowała sobie wyobrazić dom, w którym mieszka Jenny, i rozglądała się po swoich ciasnych pokoikach z podłogą przykrytą wytartym dywanem, nie umiała stłumić zazdrości. A brat, witając siostrę w progu, nawet nie próbował ukryć złośliwości w głosie: „O, przyszła szanowna pani Jenny”.

Nie miała do nich żalu, ale czuła się niezręcznie. Nie umiała stłumić odrazy. Zatęchły zapach długo gotowanej kapusty wypełniający całe mieszkanie; smród wychodka na podwórku, z którego korzystały trzy rodziny; wszechobecna nędza i najgorsza ze wszystkiego akceptacja takiego stanu rzeczy. O, nie, nie zapomniała, jak to jest mieszkać na East Endzie. Pamiętała nieszczęsną babkę Lucy pochyloną nad żałosnymi stosami pudełek do zapałek. Pamiętała uczucie głodu, a więc życie dużo gorsze niż to. Ale przede wszystkim pamiętała ostatnie słowa babki, pospieszne i naglące: „Nie wracaj tutaj, Jenny. Nigdy, przenigdy nie wracaj do tego miejsca”.

Szanowna pani? Dla ludzi takich jak Jenny bycie „szanowną panią” oznaczało czystą pościel i czyste ubrania; męża ze stałą pracą, jedzenie na stole. Szacunek wiązał się z moralnością, a moralność z porządkiem. Szacunek był równoznaczny z przetrwaniem. Nic dziwnego, że był tak wysoko ceniony wśród robotników.

Sobotnia wizyta przebiegła jak wszystkie inne. Usiedli przy stole, trochę rozmawiali. Przyniosła drobne prezenty dla sześcioletniego bratanka i jego młodszej siostry. Potem pobawiła się z najmniejszą bratanicą, zaledwie dwulatką. Zastanawiała się, czy nie wspomnieć im o Percym, ale choć miała następnego dnia poznać jego rodzinę w Crystal Palace, uznała, że nie ma jeszcze o czym opowiadać. I pewnie spotkanie poszłoby w niepamięć jak wiele innych, gdyby nie blada, wychudła kobieta, która pojawiła się w drzwiach tuż przed wyjściem Jenny.

Miała przyciągające uwagę rude włosy, brudne i potargane. Ale na Jenny największe wrażenie wywarły oczy, zapadnięte ze zmęczenia, o tępym wejrzeniu. Kobieta trzymała za rękę rozwrzeszczane brudne dziecko, które się skaleczyło. Szybko okazało się, że skaleczenie nie jest groźne, ale kobieta nie miała czym zabandażować rany. Znaleźli kawałek szmatki,

uspokoili dziecko, w pewnej chwili dołączyła do niego dwójka rodzeństwa. Wszystkie dzieci wyglądały na niedożywione.

– Dwa lata temu zmarł jej mąż – wyjaśnił brat, gdy kobieta z czeredką wyszła. – Wszyscy jej po trochu pomagamy, ale… – Wzruszył ramionami.

– Co ona robi? Pudełka na zapałki?

– Nie. Więcej można zarobić na wypychaniu materacy. Ale to ciężka praca. Bardzo męcząca. – Pokręcił głową. – Straciła męża, rozumiesz?

Zaraz potem Jenny wyszła, pożegnawszy się z ojcem i dziećmi. Brat – co było dość niezwykłe – odprowadził ją kawałek drogi. Przez jakiś czas szli w milczeniu.

– Dobrze się urządziłaś, Jenny – powiedział w końcu. – Wiesz, że ci tego nie zazdroszczę. Słusznie postąpiłaś.

– Z czym słusznie postąpiłam?

– Że nie wyszłaś za mąż. – Pokręcił głową. – Ta kobieta, którą widziałaś. Jej mąż miał dobrą pracę. Był tynkarzem. A od kiedy nie żyje…

Nie odezwała się.

– Gdyby przytrafiło mi się coś złego, zaopiekujesz się moimi dziećmi? Żeby miały co jeść i w ogóle? O ile oczywiście nie wyjdziesz za mąż. Zaopiekujesz się nimi?

– Tak. Zrobię, co będę mogła – powiedziała powoli.

Ależ to było wesołe przyjęcie! Percy, szczęśliwy i radosny, wyszedł po nią wcześniej na stację Crystal Palace. Jenny miała na sobie mały słomkowy kapelusz, który kupiła sobie sama, i ładną zielono-białą sukienkę, prostą, ale uszytą z dobrego materiału, którą dostała od pani Silversleeves. Wzięła nawet małą parasolkę, nigdy wcześniej tego nie zrobiła.

Percy jest ze mnie dumny, pomyślała.

Herbert mieszkał w ładnym małym domu z kilkoma kamiennymi schodkami prowadzącymi do drzwi. Od frontu był niewielki trawnik

otoczony ligustrowym żywopłotem. W sąsiednim ogródku rosło duże drzewo, które zasłaniało sporo światła, ale w środku mieszkanie było bardzo przytulne. Wprawne oko Jenny od razu zauważyło, że wszystko lśni czystością. A gdy zobaczyła Maisie, od razu zrozumiała dlaczego.

Największa zmiana społeczna, którą przyniosła do Londynu epoka przemysłowa, dotyczyła przedmieść. Operacje handlowe na wielką skalę, rozwijające się banki, towarzystwa ubezpieczeniowe, imperialna administracja wiktoriańskiego, a potem edwardiańskiego Londynu, wszystko to wymagało armii urzędników. A ponieważ kursowało metro, a rozrastające się przedmieścia były tańsze i zdrowsze, dziesiątki tysięcy urzędników co dzień dojeżdżało do pracy. Ludzie tacy jak Herbert Fleming, których rodzice byli sklepikarzami albo rzemieślnikami, wkładali rano garnitury i wsiadali do pociągu w drodze do biura. Ich żony, które dawniej mieszkałyby obok warsztatu albo pomagały w sklepie, teraz zostawały w domu i uważając się za lepsze od kobiet pracujących, na różne sposoby starały się naśladować maniery i zwyczaje wielkich dam.

Maisie była dość niska. Miała małe znamię na szyi, co Jenny od razu zauważyła, czerwone usta i drobne, ostre zęby. Zatrudniała pokojówkę, która pracowała ponad siły, i drugą dziewczynę do pomocy. Na wszystkich krzesłach w salonie leżały pokrowce, na oknie stał duży kwiat w doniczce, a na honorowym miejscu wisiał obraz przedstawiający górę, który – jak nie omieszkała wyjaśnić Maisie – jej ojciec kupił w Brighton. „Czy Jenny była kiedyś w Brighton?”, zapytała uprzejmie, gdy siadali do obiadu. Jenny przyznała, że nie.

Jadalnia była dość mała. Środek zajmował okrągły stół; Jenny z trudem wcisnęła się na swoje miejsce.

– Zawsze podobały mi się okrągłe stoły. Ten nasza rodzina miała, kiedy byłam jeszcze dzieckiem, ale wtedy stał w większym pokoju – oznajmiła

Maisie. – A tobie podobają się okrągłe stoły?

Jenny przyznała, że owszem, tak, podobają.

Na obiad był pieczony kurczak z dodatkami. Herbert pokroił go kilkoma teatralnymi ruchami noża.

Herbert i Maisie mogli się pochwalić nie tylko eleganckim domem, ale też poczuciem humoru. Ponadto raz w miesiącu chodzili do teatru rewiowego.

– A następnego dnia Herbert jeszcze raz przedstawia mi cały spektakl – śmiała się Maisie.

– Ona jest świetna w kółku dramatycznym – odwzajemnił się Herbert.

– I do tego pięknie śpiewa – dorzucił Percy.

Najbardziej lubili – jak dowiedziała się Jenny – rowerowe przejażdżki w sobotnie popołudnia.

– Próbowałaś jeździć na rowerze? – spytała Maisie. – My z Herbertem potrafimy przejechać wiele kilometrów. Naprawdę bardzo polecam.

Jenny od razu zauważyła, że Maisie uważnie przygląda się jej ubraniu. I najwyraźniej uznała, że po dojedzeniu kurczaka i podaniu placka z owocami może zadać kilka pytań.

– Percy mówił, że mieszkasz w Hampstead – zagadnęła lekko.

– To prawda – potaknęła Jenny.

– Bardzo tam ładnie.

– Owszem.

– Wcześniej, zanim kupiliśmy ten dom – powiedziała Maisie, kładąc nieznaczny nacisk na słowo „kupiliśmy”, aby Jenny nie miała wątpliwości co do ich położenia finansowego – nie planowaliśmy, że tu zamieszkamy. – Tuż przed ślubem Maisie odziedziczyła pięćset funtów. Może nie był to majątek, ale wystarczyło, aby kupić dom i odłożyć coś na czarną godzinę.

Ona i Herbert byli dobrze zabezpieczeni na przyszłość. – Twoja rodzina zawsze tam mieszkała? – ciągnęła.

Jenny zdała sobie nagle sprawę, że oni nic o niej nie wiedzą, bo Percy nie był gadatliwy. Zerknęła na niego, czekając na jakąś podpowiedź, ale jedynie się uśmiechnął.

– Nie, nie mieszkaliśmy tam – przyznała szczerze.

Dotąd Percy nigdy nie przedstawił swoim bliskim żadnej kobiety. Teraz miał nadzieję, że tych troje przypadnie sobie do gustu. Oczywiście zdawał sobie sprawę, że w oczach Maisie Jenny nie jest dobrą partią, ale nie przypuszczał, że będzie to miało wpływ na cokolwiek. Maisie miała skromne ambicje towarzyskie, a ładny dom i lubiany przez wszystkich mąż niemal w całości je zaspokajały. Ale gdyby szwagier, który przecież mieszkał w pobliżu, ożenił się z wybranką z niższych sfer, pozycja Flemingów w lokalnej społeczności mogłaby się zachwiać. Dlatego Maisie zamierzała – i to był właśnie jej mały plan – znaleźć mu sympatyczną dziewczynę, którą wszyscy troje mogliby się chwalić. Teraz musiała się upewnić, że ta tajemnicza znajoma z Hampstead nie sprawi im problemów.

– Co cię zatem trzyma w Hampstead? – naciskała.

– O to samo ją pytam – wtrącił Percy sprytnie, przynajmniej tak mu się wydawało. – Bo mieszka tak daleko i za rzadko się widujemy. – W szczegółach opisał, jak to tydzień wcześniej spóźnił się na ostatnie metro do domu. Śmiali się z tego z Herbertem do rozpuku. Ale Maisie milczała.

Jenny była bliska rozpaczy. Czyżby Percy starał się ukryć przed rodziną jej pochodzenie? Ale po co?

Po obiedzie bracia wyszli na dwór i kobiety zostały same.

– Wiem, czym się zajmujesz – powiedziała Maisie cicho. – Jesteś na służbie, prawda?

– Zgadza się.

– Tak właśnie myślałam. Te ubrania. – Maisie pokiwała głową. – W mojej rodzinie nikt nigdy nie był na służbie. W Herberta rodzinie też nie.

– No cóż. Pewnie to się nigdy nie zdarzy – powiedziała Jenny spokojnie.

Maisie spojrzała jej w oczy.

– W takim razie nie mam się czego obawiać.

Gdy godzinę później w pięknym parku otaczającym Crystal Palace Percy poprosił Jenny o rękę, przyjęła to ze smutkiem.

– Nie dam ci teraz odpowiedzi. Potrzebuję trochę czasu.

– Oczywiście. A jak długo będę musiał czekać?

– Nie wiem. Przykro mi, ale chcę już wracać do domu.

Esther Silversleeves odczekała dwa tygodnie, dopiero potem postanowiła porozmawiać z Jenny. Martwiła się o nią.

– Mieszkasz u mnie od dziecka. Dlatego powiedz mi, co się dzieje. – Czekała cierpliwie, aż dziewczyna zacznie mówić.

Jenny miała kilka przyjaciółek, ale żadnej nie ufała na tyle, aby się jej zwierzyć. Od dwóch tygodni sama się z tym zmagała. A im dłużej się zastanawiała, tym większe ogarniało ją przygnębienie. Po pierwsze, sam Percy. Zapewne Herbert i Maisie zdążyli mu już wybić z głowy ten ślub. I teraz na pewno żałuje, że się w ogóle oświadczył. Po co Percy’emu starsza od niego żona, i to bez pieniędzy?, powtarzała sobie w myślach. Maisie na pewno znajdzie mu kogoś bardziej odpowiedniego. Po drugie, jej brat i jego dzieci. Może i nie mam grosza, myślała, ale dopóki jestem na służbie, to w razie jakiegoś nieszczęścia mogłabym zapewnić dzieciakom przynajmniej chleb powszedni. Poza tym pani Silversleeves naprawdę mnie potrzebuje. Nie mogę jej opuścić.

– To nic takiego, naprawdę – odparła w końcu.

– Dobrze. Kim on jest? – spytała łagodnie starsza dama. A widząc zdziwione spojrzenie Jenny, dodała: – Wychodzisz w sobotę wieczorem, do tego pięknie wystrojona. A w następną niedzielę wkładasz słomkowy kapelusik i bierzesz parasolkę. Musiałabym być idiotką, żeby się nie zorientować.

Jenny spojrzała na nią ze smutkiem, a potem zaczęła mówić. Nie wspomniała o bracie i jego rodzinie, bo to był temat zakazany, ale opowiedziała trochę o Percym, jego rodzinie i swoich wątpliwościach.

– Nie mogłabym pani zostawić, pani Silversleeves. Tyle pani zawdzięczam.

– Ty mi coś zawdzięczasz? – Esther spojrzała na nią uważnie, a potem pokręciła głową. – Posłuchaj mnie, moje dziecko. Nie musisz mi się niczym odpłacać. Dobrze wiesz, że zostało mi już najwyżej kilka lat. I mam dobrą opiekę. A jeśli chodzi o Percy’ego, to nie wiesz, czy on ma jakieś wątpliwości. Jeśli on cię naprawdę kocha, to nie będzie zwracał uwagi na to, co mówi Maisie.

– Ale to jego rodzina.

– Do diabła z jego rodziną! – oznajmiła stanowczo pani Silversleeves. Obie były tak zaskoczone tymi słowami, że aż się roześmiały. – To wszystko, co cię trapi? – spytała Esther.

Nie, to nie było wszystko. Każdego dnia nawiedzały ją wspomnienia: kobieta, którą widziała u brata, samotne dzieciństwo, ostatnie słowa Lucy: „Nigdy tu nie wracaj”. Niewesoła przyszłość wydawała się sprawą przesądzoną. Wyjdzie za mąż, może urodzi dzieci. Ale co będzie, jeśli Percy umrze? Czeka ją takie samo życie jak biedoty na East Endzie? No, może nie tak straszne, ale ciężkie. Bardzo. Jej brat miał rację. To dobrze, że nie znalazła sobie dotąd męża. Zatrudnienie u Silversleevesów dawało jej poczucie bezpieczeństwa, miała trochę oszczędności i dobre referencje. Po

śmierci pani Esther znajdzie sobie inną pracę. Może nawet jako gospodyni albo pokojówka w jakiejś rezydencji.

Młode dziewczęta wychodziły za mąż bez zastanowienia. Kobiety pokroju Jenny znajdowały się w innej sytuacji. A jednak boleśnie pragnęła Percy'ego i małżeństwa.

Tydzień wcześniej zaczął ją boleć brzuch. Czasem wydawało jej się, że czuje w środku jakiś węzeł. Wymiotowała dwa razy i bardzo zbladła. Dlatego nie zdziwiła się, gdy pani Silversleeves oznajmiła:

– Jenny, nie wyglądasz najlepiej. Zaraz wezwę lekarza.

Mayfair zawsze uchodziło za elegancką dzielnicę mieszkaniową, ale ulice powyżej Oxford Street miał inny, bardziej śródmiejski charakter. Conan Doyle zapewnił wieczną sławę Baker Street, gdzie miał mieszkanie Sherlock Holmes, bohater jego książek. Lecz Harley Street sama zapracowała na swoją renomę. Za sprawą lekarzy.

Tak jak na Savile Row nie szyli zwykli krawcy, tak na Harley Street nie praktykowali zwykli lekarze, lecz najwybitniejsi specjaliści, którzy nawet nie musieli dodawać sobie przed nazwiskiem tytułu „doktor", zadowalając się zwykłym „panem". Do tego byli niemili i gburowaci, a to z prostej przyczyny: uchodziło im to na sucho. Bo w końcu jeśli ktoś cię leczy na zwykłe przeziębienie, to nie musisz znosić jego humorów, ale gdy ma ci wyciąć kawałek wątroby, to lepiej mu się nie narażać.

Tydzień później Jenny znalazła się na Harley Street i z pewnym niepokojem stanęła przed drzwiami z mosiężną tabliczką informującą, że jest to sanktuarium pana Algernona Tyrrella-Forda.

Rodzinny lekarz Silversleevesów nie zdiagnozował nic poważnego, ale wspomniał pani Silversleeves, że gdyby Jenny było na to stać, to chętnie wysłałby ją na konsultacje do specjalisty. „Ależ oczywiście! – oznajmiła

stanowczo Esther. – A rachunki proszę przysyłać do mnie”. I mimo swych protestów Jenny została wysłana do lekarza powozem.

Pan Tyrrell-Ford okazał się potężnym, tęgim i opryskliwym mężczyzną. Polecił burkliwie, żeby się rozebrała, a potem ją zbadał. Jenny czuła się zawstydzona i upokorzona.

– Nic ci nie jest – oznajmił obojętnie. – Prześlę diagnozę twojemu lekarzowi.

– To dobrze – powiedziała słabo.

Chciała dodać słowa podziękowania, ale doktor bynajmniej nie słuchał. A gdy już się ubrała, rzucił zdawkowo:

– Nie będziesz mogła mieć dzieci, ale to już pewnie wiesz.

Spojrzała na niego z przerażeniem.

– Ale dlaczego? – wyjąkała.

Lekarz wzruszył ramionami, uznawszy widocznie, że szkoda czasu na wyjaśnienia, bo ta prosta kobieta i tak niczego nie pojmie.

– Już po prostu taka jesteś – odpowiedział.

Percy zaproponował w liście, żeby spotkali się na Tower Bridge. Zgodziła się. Zapewne myślał, że to miejsce przyniesie mu szczęście.

Od jakiegoś czasu wiedziała, co ma zrobić, i to przyniosło jej pewną ulgę. Zwierzyła się ze wszystkiego pani Silversleeves, ale starsza dama miała wątpliwości. „Przecież dla niego to nie musi być takie ważne”, oponowała. Lecz Jenny już podjęła decyzję. „Mówił mi, że chce mieć rodzinę. A ja go znam. Jeśli wyznam mu teraz prawdę, to powie, że mu to nie przeszkadza. Ale wiem, że będzie cierpiał”.

Esther westchnęła bezradnie.

Mimo lata dzień był pochmurny. Zgodnie z oczekiwaniami czekał na nią jak zwykle pośrodku mostu. Uśmiechnęła się do niego, wzięła go po przyjacielsku pod rękę i intuicyjnie poprowadziła na południowy brzeg,

jakby chciała, aby wrócił na swój teren. Przeszli kawałek w kierunku Tower Bridge Road, a potem skręcili do stacji London Bridge, gdzie była mała herbaciarnia.

– No i co postanowiłaś? – spytał.

– Poproszę o herbatę – odpowiedziała szybko.

Złożył zamówienie, a potem rozmawiali przez chwilę zdawkowo, dopóki nie podano im imbryka.

– Co postanowiłaś, Jenny? – spytał ponownie, tym razem patrząc jej głęboko w oczy.

– Przykro mi, Percy – zaczęła z wahaniem. – Bardzo mi to pochlebiło, naprawdę poczułam się zaszczycona. Ale nie mogę za ciebie wyjść.

Był wstrząśnięty.

– Dlaczego? Czy Maisie coś…

– Nie – przerwała mu. – Bardzo lubię się z tobą spotykać, naprawdę. Ale dobrze mi tu, gdzie jestem. Nie chcę wychodzić za mąż. Za nikogo. – Zamierzała mu powiedzieć, że kogoś ma, aby nie zostawiać mu żadnych nadziei, ale wiedziała, że to nonsens.

– Może uda mi się jakoś ciebie przekonać.

– Nie. – Pokręciła głową. – I chyba nie powinniśmy się przez jakiś czas widywać.

– Ale przecież moglibyśmy… – zaczął.

– Percy, ja nie chcę wyjść za ciebie za mąż – przerwała mu zniecierpliwionym tonem, który ćwiczyła w myślach już od paru dni. – Nigdy nie chciałam i to się nie zmieni. Przykro mi.

Wyszła z herbaciarni, zanim się zorientował, co się dzieje.

Ruszyła szybkim krokiem w kierunku Tower Bridge. Była już w połowie mostu, gdy zauważyła nadpływający statek. Lada moment most się

otworzy. Udało jej się przebiec na drugą stronę, lecz nagle usłyszała okrzyk dobiegający z oddali.

Percy biegł za nią. W herbaciarni potrzebował dłuższej chwili, żeby ochłonąć, potem wyskoczył na ulicę, ale zapomniał zapłacić rachunek i musiał zawrócić. A teraz popędził na most.

– Jenny! – krzyknął, wbiegając na podnoszące się przęsło, ale zatrzymał go krzepki policjant.

– Przykro mi, chłopie, nie możesz przejść – powiedział. – Most już się otwiera.

Percy patrzył bezradnie, jak potężny mechanizm wymyślony przez Arnolda Silversleevesa unosi fragment mostu.

Był to rzeczywiście wspaniały widok. Można go było obserwować dwadzieścia razy dziennie. Percy miał wrażenie, że wyrasta przed nim ogromna trzydziestometrowa ściana, która ostatecznie i nieodwołalnie oddziela go od ukochanej.

– Ja muszę przejść na drugą stronę! – krzyknął jak dziecko.

– Możesz spróbować tamtędy. – Policjant wskazał biegnącą u góry kładkę dla pieszych. Percy popędził z powrotem ku południowej wieży mostu.

Pokonał ponad dwieście stopni, tracąc oddech. Następnie pognał metalową kładką, która ciągnęła się jak nieskończenie długi tunel. Na drugim końcu zeskoczył ze schodów.

Jenny przepadła. Po prostu rozpłynęła się w powietrzu. Za drzewami po lewej stronie majaczyła potężna sylwetka Tower, a po prawej płynęły szare wody Tamizy.

Wysłał do niej trzy listy. Na żaden nie dostał odpowiedzi. Maisie poznała go z inną dziewczyną, ale nic z tego nie wynikło. Wyglądając przez okno, patrząc na północne krańce Londynu, wciąż czuł smutek w sercu.

Rok 1911

Helen Meredith jeszcze nigdy nie była tak podekscytowana. Oczywiście już wcześniej ubierała się elegancko. Jak większość dziewcząt z jej warstwy społecznej nawet na spacer po Hyde Parku wkładała płaszcz i białe rękawiczki. Ale tego dnia wyglądała wyjątkowo. Patrząc na swoje odbicie w lustrze, na długą białą suknię i fioletowo-biało-zieloną szarfę, czuła dumę: wyglądała tak samo jak mama. Miały pójść razem, ramię w ramię, w kobiecej paradzie koronacyjnej.

Epoka edwardiańska, choć niezapomniana, trwała zaledwie jedną dekadę. Król Edward VII, który po panowaniu swojej matki, królowej Wiktorii, zasiadł na tronie w dość późnym wieku, chorował już od jakiegoś czasu, więc jego śmierć nie była zaskoczeniem. A teraz, po stosownym okresie żałoby, miała się odbyć uroczysta koronacja jego syna Jerzego V – obowiązkowego, sumiennego i monogamicznego mężczyzny – oraz jego oddanej żony Marii.

Działaczki ruchu kobiecego postanowiły zorganizować własną paradę koronacyjną w sobotę 17 czerwca, tydzień przed oficjalną ceremonią. I miała to być naprawdę wielka parada.

Nikt nie miał wątpliwości, że w ciągu ostatnich trzech lat ruch kobiecy odniósł zaskakujące sukcesy. Jedne metody sufrażystek budziły oburzenie, inne świadczyły o sprycie. Pomysł przykuwania się do balustrad w publicznych miejscach nie tylko zapewnił im rozgłos, ale także pozwolił na wygłaszanie długich przemówień, podczas gdy policja przepiłowywała łańcuchy. Kiedy maszerowały ulicami, zatrzymywano je za utrudnianie

ruchu. Dlatego zaczęły chodzić z transparentami przy rynsztokach, skrajem jezdni, więc policja nie mogła nic zrobić. Aresztowano najbardziej zapalczywe aktywistki – wybijały szyby, gdy władze odmawiały przyjmowania kobiecych delegacji. Niektórzy ludzie uważali, że strajk głodowy ogłoszony przez uwięzione działaczki jest nie na miejscu. Ale gdy w prasie ukazały się wiarygodne doniesienia o nękaniu, a nawet biciu demonstrantek przez policję i o okrutnym przymusowym karmieniu ich w więzieniach, opinia publiczna była wzburzona. Sukces ruchu kobiecego należało mierzyć nie tylko rozgłosem. Zaczęto opracowywać szczegółowy plan wprowadzenia umiarkowanych zmian w prawie, więc na okres przygotowań ogłoszono zawieszenie nielegalnych działań protestacyjnych.

Najważniejsze jednak, że w ciągu tych kilku lat ruch kobiecy zdobył znaczną liczbę zwolenników. Rozrósł się i sprofesjonalizował – miał siedzibę na Strandzie i własne wydawnictwo przy Charing Cross Road: Women’s Press. W całym kraju powstawały kolejne oddziały organizacji. A tego dnia, symbolicznie zaznaczając początek panowania nowego władcy, sufrażystki chciały pokazać całemu światu, że ich ruch dojrzał.

– No chodź już – powiedziała matka z uśmiechem.

Helen czuła wielką dumę, gdy szły razem w kierunku stacji Sloan Square.

Dzielnicę Belgravia, należącą do bogatego rodu Grosvenor, pokrywały zaprojektowane przez Cubitta ulice i place zabudowane białymi domami. Pod względem architektonicznym wszystko wyglądało tak samo, wszystko było drogie i duże. A najwspanialej prezentował się Belgrave Square, z nieco skromniejszym Eaton Terrace na wschodnim skraju. To właśnie tu przeprowadziła się Violet po śmierci pułkownika Mereditha. Sloane Square ze stacją metra, wyznaczający granicę między Belgravią a Chelsea, leżał niedaleko, zaledwie kawałek drogi piechotą.

Część mieszkańców tej eleganckiej dzielnicy przyglądała się im z niechęcią. Helen nigdy wcześniej nie przeżyła czegoś takiego.

– Ludzie patrzą na nas z wrogością – szepnęła do matki.

Nigdy potem nie zapomniała jej odpowiedzi:

– Naprawdę? – Violet uśmiechnęła się nonszalancko. – Mnie to nie przeszkadza. A tobie?

Helen wydało się to tak cudowne – tak zabawne i wyzwalające – że aż wybuchnęła śmiechem.

– Według mnie oni wszyscy wyglądają idiotycznie – powiedziała Violet wesoło, gdy schodziły do metra.

Helen jeszcze nigdy nie widziała takiego pochodu. Sufrażystki szybko przekonały się, że eleganckie stroje są najlepszym sposobem na wyciszenie oskarżeń o „niekobiecy wygląd”. Tego dnia dziesiątki tysięcy kobiet miało na sobie długie suknie, głównie białe – można je było wziąć za stateczne matrony albo ich córki z najsurowszych czasów rzymskiej republiki. Jedyny wyjątek stanowiła postać na koniu przebrana za Joannę d’Arc, uznaną przez ruch kobiecy za patronkę. Na paradzie były platformy i delegacje nie tylko z całej Anglii, ale także z Walii i Szkocji, a nawet z Indii i innych części imperium. Cały pochód miał ponad sześć i pół kilometra długości. Przeszedł od City i minąwszy Big Bena i parlament, dotarł do Hyde Parku. Zakończeniem parady miał być wielki wiec w Royal Albert Hall, na który bilety zostały dawno wyprzedane.

– I zapamiętaj sobie na zawsze – powiedziała Violet do córki, gdy pochód ruszał. – Występujemy w słusznej sprawie. Musisz być gotowa walczyć o to, w co wierzysz, moje dziecko. Idziemy w tym pochodzie dla ojczyzny i dla lepszej przyszłości.

Helen nigdy nie zapomniała ani tych słów, ani niezwykłego widoku tysięcy kobiet w białych sukniach, z szarfami i transparentami. Ale

najbardziej utkwiło jej w pamięci poczucie wspólnoty – marsz kobiet w słusznej sprawie, gdy szły razem z matką, żeby wywalczyć lepszy świat.

W tamtych latach miały miejsce też inne wydarzenia zwiastujące nadejście nowej epoki. W tym samym roku, gdy zmarł Edward VII, pojawiła się kometa Halleya, ale uznano to jedynie za zwykłe zjawisko astronomiczne. Dużo bardziej znaczący był rozwój motoryzacji.

Anglicy bardzo powoli przekonywali się do silnika spalinowego. Owszem, kursowały już nieliczne autobusy oraz taksówki, ale na samochody mogli sobie pozwolić jedynie najbogatsi. Rolls-royce'y jeździły po ulicach zaledwie od kilku lat – Penny sprawił sobie takie auto i rankiem 17 czerwca 1911 roku zajechał po Edwarda Bulla.

Zawsze utrzymywał bliskie stosunki z Bullami. A dzięki jego małżeństwu z córką Gorhama Doggeta, Nancy, oraz ogromnym sukcesom Penny Insurance Company był niemal tak bogaty jak stary Edward. Umówili się wcześniej, że pojadą do Charterhouse po dwóch wnuków Bulla, synów Mereditha, i zabiorą ich do Bocton, a następnego dnia po południu Penny odwiezie ich z powrotem. I nawet Edward, który rzadko miał okazję jeździć samochodem, w skrytości ducha był podekscytowany tą wyprawą.

– Chociaż nie wiem, czy przy twojej krótkowzroczności powinienem pozwolić ci kierować tym wynalazkiem – zażartował.

Dzień był pogodny i jechali przez uroczą okolicę. Udało im się osiągnąć średnią prędkość trzydziestu kilometrów na godzinę; do Charterhouse dotarli dobrze przed obiadem. Mimo swojego zaawansowanego wieku Edward wcale nie był zmęczony, więc wyraźnie się zmartwił, gdy opiekun chłopców przekazał im odebraną przez telefon wiadomość, że Penny musi wracać do Londynu.

Chłopcy też posmutnieli. Już wydawało się, że przejażdżka autem i wypad na wieś przepadną, ale Henry wychylił się do przodu.

– Czy mógłbym coś zaproponować, dziadku? – spytał grzecznie.

Gdy dwie godziny później rolls-royce wjeżdżał do Londynu, Bull myślał z zadowoleniem, że Henry Meredith wyrasta na wspaniałego mężczyznę. Wiedział, że chłopak sporo wycierpiał w szkole, i to nie tylko ze swojej winy. Wdawał się w bójki w obronie młodszego brata, któremu niemiłosiernie dokuczano, gdy nazwisko i zdjęcie ich matki pojawiało się w gazetach. W końcu Henry oświadczył, że popiera sufrażystki – choć wcale ich nie popierał – i każdy, komu się to nie podoba, będzie musiał stanąć z nim do walki. Ponieważ był duży i silny, niewielu odważyło się z nim zadzierać.

– Szanuję mamę za to, że wierzy w to, co robi – powiedział kiedyś dziadkowi. – I może rzeczywiście kobiety powinny mieć prawo głosu. Nie znoszę metod sufrażystek, ale gdy mama mówi, że łagodnymi, staroświeckimi sposobami nic nie udało im się wskórać, trudno mi się z nią spierać. Wolałbym, żeby od nich odeszła albo przynajmniej wspierała je po cichu, ale ona mówi, że tak by nie potrafiła. Czyli właściwie popieram ją dlatego, że jest moją matką.

– Skoro i tak musisz wracać do Londynu, to może wybralibyśmy się z tobą? – zaproponował, gdy okazało się, że nie pojadą do Bocton. – Przenocowalibyśmy w domu, a jutro pojechalibyśmy do szkoły pociągiem. – Rzucił dziadkowi przeciągłe spojrzenie. – Widzieliśmy gazety i wiemy, że mama pójdzie dziś na paradę. Może zrobimy Helen niespodziankę? A potem moglibyśmy ją zabrać gdzieś na herbatę.

Dotarły do domu wczesnym wieczorem. Helen miała obolałe stopy. Ale mimo to nie opuszczało jej poczucie triumfu: brała udział w sławnym

pochodzie. Zdziwiła się więc, widząc, że pokojówka, która otworzyła im drzwi, z lekkim przestrachem szepce coś matce do ucha. Po chwili z salonu dobiegł znajomy głos.

– Helen, idź do swojego pokoju – nakazała matka cicho.

Ale ona nie posłuchała. Niezauważona stanęła za otwartymi drzwiami.

W środku siedzieli dziadek i Henry. Frederick, o ile z nimi przyjechał, musiał być w innej części domu. Dziadek budził strach już samym swoim wyglądem, a Henry był dziwnie zasępiony. Pierwszy przemówił dziadek:

– Czy mam rozumieć, że przebrałaś córkę, to niewinne dziecko, za sufrażystkę?

– Owszem – odpowiedziała matka wyzywająco.

– I zabrałaś ją na demonstrację, która mogła przerodzić się w zamieszki?

– Wszystko przebiegło bardzo spokojnie.

– Ale wcześniej takie historie kończyły się rozruchami. Tak czy inaczej, dla dziecka najodpowiedniejszym miejscem jest pokój dziecięcy. Nie powinnaś jej w to wciągać. To nie są sprawy dla dzieci. Nawet nie powinna o czymś takim słyszeć.

– Mamo, ona ma dopiero osiem lat – dorzucił cicho Henry.

– Chcecie mi powiedzieć, że nie powinnam wspominać własnej córce o prawach wyborczych dla kobiet?

– Nie ma takiej potrzeby – powiedział Bull spokojnie.

– Tak mówisz, bo masz inne zdanie.

– Nieprawda. Ale niech pewnego dnia ona sama zdecyduje. Na razie jest jeszcze dzieckiem. Dzieciom nie należy wtłaczać żadnych poglądów ani idei.

– W takim razie nie powinnam jej też zabierać do kościoła. Mogłaby się tam zarazić jakimiś ideami.

– To bluźnierstwo – powiedział Bull cicho. – Mówisz o naszej religii. Uprzedzam cię, Violet, że jeśli jeszcze raz tak niegodnie posłużysz się córką, to ci ją odbiorę. Zamieszka ze mną w Bocton.

– Nie zrobisz tego!

– Owszem, zrobię.

– Pozwę cię do sądu.

– A sąd chętnie przyzna mi rację, że należy ci odebrać prawa rodzicielskie.

– Przecież to nonsens! Henry, powiedz coś.

– Mamo, jeśli to się jeszcze raz powtórzy, będę zeznawał przeciwko tobie. Przykro mi. – Chłopak wybuchnął płaczem.

Helen patrzyła na to z przerażeniem. W końcu jakieś ręce chwyciły ją od tyłu i zaniosły bezpiecznie do pokoju na górze.

Takiego ranka nie pamiętał nikt w pracowni Toma Browna. A najgorsze, że akurat wtedy w przymierzalni był nie kto inny, jak sam hrabia St James. Co będzie, jeśli zechce wyjść?

Bo do pracowni weszła dama.

Była już mocno wiekowa. I z pewnością bardzo szacowna. Cała w czerni, podpierała się laską z kości słoniowej. Zapytała o pana Fleminga, który właśnie tego ranka miał dostarczyć parę spodni.

– A może schować ją w innej przymierzalni? – szepnął jeden z subiektów.

– Ani mi się waż – odpowiedział spokojnie pan Brown. – Podaj jej krzesło i dopilnuj, żeby jego lordowska mość wyszedł z przymierzalni całkowicie ubrany.

Esther Silversleeves długo zastanawiała się, co zrobić. Szanowała decyzję Jenny, a gdy po kilku miesiącach listy od Percy’ego w końcu przestały przychodzić, jedynie westchnęła ciężko i uznała, że widać los tak

chciał. Latem wysłała Jenny na tydzień do Brighton, żeby ją rozweselić. I właściwie plan się powiódł. Ale tydzień temu przyszedł kolejny list, który najwyraźniej poruszył Jenny do głębi.

– To od Percy'ego – wyjaśniła. – Pisze, że czekał z tym rok, a teraz chciałby się ze mną spotkać. Po przyjacielsku. Pisze, że był chory, ale nie mówi na co, więc nie wiem, czy to coś poważnego.

– W takim razie spotkaj się z nim.

– Sama nie wiem. Chyba to dla mnie za trudne. – W oczach Jenny miała łzy.

Esther Silversleeves od jakiegoś czasu wybierała się na West End. Dwa lata wcześniej pewien amerykański dżentelmen nazwiskiem Selfridge otworzył na Oxford Street duży dom towarowy. Gdy Esther była młodsza, lubiła chodzić przed Bożym Narodzeniem do magazynu Harrods na Knightsbridge. A mówiono, że dom towarowy Selfridges może się z nim równać, a na dodatek ma tyle działów, w tym także restaurację, że na zakupy można poświęcić cały dzień. Poleciła więc stangretowi, żeby zawiózł ją tam na dziesiątą rano i wrócił po nią o trzeciej po południu. Gdy tylko powóz zniknął, ruszyła sztywno w głąb Regent Street, kierując się do pracowni Toma Browna.

Gdy hrabia St James wyłonił się z przymierzalni, ani on, ani starsza dama nie wiedzieli, z kim mają do czynienia. Arystokrata rzucił jej rozbawione spojrzenie, a potem udał się do swojego kawalerskiego apartamentu w Albany, eleganckim kompleksie mieszkaniowym przy Piccadilly.

Percy, gdy pojawił się o wpół do dwunastej, bardzo się zdziwił na widok pani Esther Silversleeves, której wcześniej nie miał okazji poznać. Na jej prośbę odprowadził ją do restauracji w Selfridges, gdzie starsza dama zamówiła sobie małe ciastko i filiżankę herbaty. A potem zadała mu kilka

pytań o zdrowie i kiwając głową, zapytała, czy wciąż zależy mu na Jenny. Odpowiedź najwyraźniej musiała ją zadowolić, bo dopiero wtedy wyjaśniła powód swojej wizyty.

– Panie Fleming, Jenny nie wie o naszym spotkaniu. I wolałabym, żeby tak zostało. Ale muszę panu o czymś powiedzieć. A co pan zrobi z tą informacją, to już zależy od pana.

Esther Silversleeves musiała się trochę wysilić, żeby namówić Jenny na spotkanie z Percym. W drugim liście napisał, że z powodu choroby będzie musiał wyjechać na całą zimę. „Jeśli dasz radę, to powinnaś go zobaczyć z dobroci serca”, oświadczyła Esther, gdy Jenny poprosiła ją o radę. I tak dwa tygodnie później Jenny usiadła naprzeciw Percy’ego w małej kawiarni Ivy niedaleko Charing Cross Road.

Percy był w dobrym nastroju, ale wyglądał blado. Wymienili uprzejme pytania i odpowiedzi. Jej życie biegło jak dawniej. Była w Brighton. Pani Silversleeves czuje się dobrze. Maisie i Herbert przygotowują świąteczne przedstawienie w kółku teatralnym. Wciąż dobrze mu się mieszka w Crystal Palace. Dopiero po pierwszej filiżance kawy Jenny odważyła się poruszyć ważny temat.

– A więc wyjeżdżasz.

– Owszem. – Pokręcił głową z zadumą. – To głupie, ale doktor bardzo mi to doradzał. – Uśmiechnął się smutno. – Wszystko przez ten mój kaszel. Bali się nawet, że to gruźlica. – Ta choroba była w owych czasach przekleństwem. – Na szczęście tak nie jest, ale lekarz powiedział, że jeśli naprawdę chcę wyzdrowieć, to muszę wyjechać na zimę w jakieś ciepłe miejsce.

– Zupełnie jak jakiś bogacz. Oni wszyscy jeżdżą na południe Francji.

– Wiem. – Uśmiechnął się. – To zabawne, ale ja też tam jadę. Okazuje się, że pokój w małym pensjonacie jest tańszy we Francji niż w Anglii.

Udało mi się zaoszczędzić sporo pieniędzy. A ponieważ nie jestem żonaty – uśmiechnął się smętnie – to nie mam ich na co wydawać. Dlatego w przyszłym tygodniu – zakończył już nieco weselej – wyjeżdżam na pięć miesięcy na wakacje do Francji. Mówią, że jak wrócę, będę zdrowy jak koń.

– *Parlez-vous*, Percy?

– Ani słowa. Ale będę musiał się nauczyć.

– Na pewno poznasz jakieś ładne Francuzki. – Zdołała roześmiać się swobodnie. – Przywieziesz sobie żonę z Francji.

Percy zmarszczył brwi, jakby się zawahał.

– Nie jestem tego taki pewien, Jenny. – Umilkł na chwilę. – Chyba dobrze zrobiłaś, odrzucając moje oświadczyny. Bo przy okazji tych różnych badań okazało się, że raczej nie będę mógł mieć dzieci. Szkoda, ale co zrobić. – Pokiwał smutno głową.

– Aha – powiedziała krótko.

Było już ciemno, gdy Edward Bull wyszedł z loży i ruszył z Wallbrook w kierunku katedry Świętego Pawła. Zamierzał przenocować w klubie.

W londyńskim City zawsze było dużo masonów. Jedni uważali wolnomularskie ceremonie, inicjacje i owiane tajemnicą członkostwo za złowieszcze. Jednak Edward Bull nie widział w tym nic nagannego. Już w młodości został masonem, poznał dzięki temu wiele osobistości i traktował tę organizację jako swoisty klub, który wprawdzie rządził się dość osobliwymi średniowiecznymi zasadami, ale skupiał się przede wszystkim na działalności dobroczynnej jak średniowieczne miejskie gildie. I właśnie posiedzenie loży sprowadziło go tego wiosennego dnia 1912 roku do Londynu.

Skręcił w Watling Street, wziął ze stoiska gazetę i zobaczył tytuł.

Violet siedziała w celi. Policjanci potraktowali go bardzo uprzejmie, od razu go do niej zaprowadzili, a nawet zaproponowali filiżankę herbaty. Najwyraźniej bardzo żałowali, że tak szanowanemu człowiekowi przytrafiła się taka córka.

Zdziwiła się na jego widok.

– Próbowałam przekazać wiadomość prawnikom, ale gdy mnie tu przywieziono, już skończyli pracę – wyjaśniła. – Musisz wpłacić za mnie kaucję, ojcze. Helen czeka na mnie w domu.

– Mam rozumieć, że wybijałaś szyby? – zapytał spokojnie.

W listopadzie poprzedniego roku, po tym jak liberalny rząd, wspierany przez szlachetnego, ale konserwatywnego króla Jerzego, zrezygnował z reform proponowanych przez ruch kobiecy, a na dodatek dolał oliwy do ognia, poszerzając prawa wyborcze dla robotników, oczywiście z wyłączeniem kobiet, sufrażystki na nowo podjęły akcję wybijania szyb i niszczenia pól golfowych – posuwały się też do podpaleń, choć miejsca takich działań wybierano starannie, aby uniknąć ofiar. „Skoro rząd postępuje oburzająco, to my odpowiemy tym samym”, tłumaczyła kiedyś Violet.

Sama nie angażowała się w te akcje, tego dnia też nie miała takiego zamiaru. Ale gdy wracała z mityngu i zobaczyła, że policja brutalnie traktuje kobiety, które z dużą ostrożnością wybiły właśnie jedną z szyb wystawowych, nie wytrzymała. W przypływie złości uderzyła parasolką w rozbitą wystawę. To wystarczyło, aby po krótkiej utarczce z policją trafiła do aresztu.

– Na pewno udałoby ci się ich przekonać, żeby wypuścili mnie na noc – powiedziała.

– Owszem – odparł Bull ponuro. – To całkiem możliwe. – Pokręcił głową. – Obawiam się jednak, Violet, że tego nie zrobię.

– Ależ ojcze! Przecież Helen…

– Przykro mi, ale nie będę tego dłużej tolerował. Zabieram Helen do Bocton.

– Zaraz po nią przyjadę! – krzyknęła.

– Wątpię. Dużo bardziej prawdopodobne jest, że trafisz na dłużej za kratki.

Miał rację. Została skazana na trzy miesiące więzienia.

Ślub Percy’ego Fleminga i Jenny Ducket – choć ku jego zdziwieniu w dokumentach widniało nazwisko Dogget – odbył się latem. Na uroczystość zjawili się goście: Herbert z niezbyt zadowoloną Maisie oraz pani Silversleeves. To właśnie z jej powodu Jenny nie zaprosiła ojca ani brata, przynajmniej tak to sobie tłumaczyła. Do ołtarza poprowadził ją, na prośbę Esther, młodszy pan Silversleeves, prawnik.

Gdy starsza dama odjechała, prawnik poprosił młodą parę na stronę.

– Za moim pośrednictwem matka przekazuje wam ślubny prezent – wyjaśnił. – Mam go wam wręczyć osobiście. To czek.

Na sześćset funtów.

– Ale… Ja nie mogę go przyjąć! – zawołała Jenny. – To za dużo, nawet jak na moją pracę przez tyle lat.

– Otrzymałem jasne instrukcje. Mam go pani przekazać i tyle – powiedział młody Silversleeves. Posłał jej szczególny uśmiech, który byłby bardzo wymowny, gdyby wiedziała, co usłyszał od starszej damy, kiedy tak samo zaprotestował na widok niebotycznej sumy.

Państwo młodzi kupili mały dom w Crystal Palace. Jenny szczególną przyjemność sprawiało to, że mogła spoglądać przez okno na drugą stronę Londynu, gdzie zaznała tyle dobra od Esther Silversleeves.

Jeszcze większa niespodzianka spotkała ich następnej wiosny. Początkowo Jenny nie puszczała pary z ust. Gdy minął kolejny miesiąc,

nieco zaniepokojona poszła do lekarza. Próbowała zaprotestować, przecież to niemożliwe, ale był pewien. Gdy wieczorem zwierzyła się Percy’emu, najpierw utkwił w niej zdziwione spojrzenie, a potem wybuchnął śmiechem.

Nie było prawdą, że nie mogą mieć dzieci. Jesienią urodził im się syn.

Znakomity doktor Tyrrell-Ford z Harley Street mówił bzdury.

Nalot

Rok 1940

RANEK

– Chyba jestem w czepku urodzony. – Tak naprawdę Charlie Dogget powinien nie żyć od kilku godzin.

Słońce zdążyło wzejść. Niebo miało bladoniebieski kolor. Gdy przejeżdżali przez Tower Bridge, Charlie spojrzał w górę, gdzie dziesiątki mew krążyły nad rzeką, wypełniając powietrze ochrypłymi krzykami. On i inni strażacy z ulgą zdjęli hełmy po długiej nocnej służbie i wystawili twarze na chłodne powietrze. Nad całym East Endem i City wciąż unosiły się dymy pożarów. Mieli za sobą kolejną noc niemieckich nalotów. A Charlie mógł powiedzieć, że tej nocy spotkał go prawdziwy cud.

Chociaż gdy się nad tym głębiej zastanowić, ten wesoły cockney z pasmem białych włosów zawsze spadał na cztery łapy. Życie na East Endzie nigdy nie było łatwe, mimo to zachowywał pogodę ducha. No bo weźmy na przykład jego ojca i ciotkę Jenny. „Twoja bogata ciotka nie chce mieć z nami nic wspólnego. Nawet nie zaprosiła nas na swój ślub”, zrzędził ojciec. Te słowa były jak refren, który Charlie słyszał tysiące razy. Ale ciotka zawsze przysyłała im prezenty na Boże Narodzenie, a sama świadomość jej istnienia była dla Charliego zachętą i inspiracją. Jeśli komuś z rodziny udało się wyrwać z East Endu, to jemu też się uda.

Doskonale rozumiał, skąd bierze się rozgoryczenie ojca i wielu znanych mu mężczyzn. W dokach brakowało stałej pracy, a nawet gdy złapało się jakieś zajęcie, to łatwo je można było stracić. Któregoś dnia ojca wyrzucono tylko za to, że patrzył na brygadzistę. „No i co się na mnie gapisz? – wrzasnął. – Zwalniam cię!”. Potem ojciec już nigdy nie dostał pracy w stoczni. We wszystkich dokach było tak samo, choć krążyły słuchy, że w innych gałęziach przemysłu, choćby w kopalniach, robotnicy mają jeszcze gorzej.

Oczywiście jeśli ktoś miał jakieś kwalifikacje, to i lepiej zarabiał. Najbliższy przyjaciel Charliego z dzieciństwa wyuczył się na tynkarza. Miał w tym fachu wuja, który pomógł mu dostać się na praktyki do jednej z firm budowlanych. Dobrze mu się powiodło i wyprowadził się z East Endu. Ale Charlie nigdy nie miał cierpliwości do nauki. „Zaryzykuję w dokach”, stwierdził. „I zostaniesz tam już na zawsze”, ostrzegał przyjaciel. Ale mylił się. „Wywalili mnie. I właściwie dobrze”, oznajmił wesoło.

No i jego ślub z Ruth – cóż to była za awantura! Ojciec miał przyjaciół wśród Żydów mieszkających w Whitechapel, lecz synowa Żydówka to zupełnie co innego. Nawet koledzy ostrzegali Charliego: „Oni są obcy. W ogóle do nas nie pasują”. Ale najtrudniejszą przeszkodą okazał się ojciec Ruth – niski, łysy mężczyzna o jasnoniebieskich oczach, który prowadził mały interes. Wcześniej traktował Charliego bardzo przyjaźnie, ale teraz krzyczał na jego widok.

– Wyzwał mnie od złodziei – opowiadał Charlie. – Mówi, że wykradłem Ruth z ich religii.

– No i ma rację – stwierdził ojciec. – Lepiej zostaw ją w spokoju, synu. Wtrącasz się tam, gdzie nie powinieneś.

– Ruth jakoś to nie przeszkadza.

Po ślubie rodzina nie chciała jej znać. Nawet przyjaciółki z dzieciństwa ją opuściły. „Charlie, musimy się stąd wynieść”, mówiła żałośnie. I wtedy przyjaciel Charliego, ten tynkarz, przypomniał sobie, że jego znajomy ma mieszkanie w Battersea: trzy pokoiki na piętrze domu stojącego u stóp wzgórza, które jeszcze jedno pokolenie wstecz porastały pola lawendy. Początkowo Charlie myślał z niepokojem o przeprowadzce do dzielnicy, w której nie znał nikogo i w której nie było żydowskiej społeczności, ale okazało się, że Ruth, ze swoimi jasnymi włosami i niebieskimi oczami, dobrze się tam odnalazła.

Po raz kolejny poczuł, że szczęście się do niego uśmiechnęło. Ruth znalazła pracę w pobliskiej wytwórni fortepianów, a on w zajezdni autobusowej. Po dwóch latach stać ich było na wynajęcie ładnego domku w bezpieczniejszej okolicy. Shaftesbury Estate był dobrze utrzymanym osiedlem zbudowanym przez lorda Shaftesbury i przeznaczonym dla szanowanych robotników i rzemieślników. Wiodło im się coraz lepiej i w końcu urodziło się pierwsze dziecko.

Ogólna sytuacja robotników nie była taka dobra. Wprawdzie związki zawodowe powoli wymuszały korzystne zmiany, a Partia Pracy miała w parlamencie tylu posłów, że była w stanie stworzyć rząd, to jednak w ciężkich latach po zakończeniu Wielkiej Wojny wciąż brakowało pracy i pieniędzy. Część ludzi miała nadzieję na całkowitą zmianę i powstanie państwa socjalistycznego; Charlie usłyszał kiedyś wspaniałą przemowę niejakiego Carpentera z Towarzystwa Fabiańskiego [35], który obiecywał nowy wspaniały świat. Jednak jak większość londyńskich robotników Charlie patrzył na to sceptycznie. „Niepotrzebna mi rewolucja – mawiał. – Ale chciałbym, żeby robotnicy dostawali lepsze płace i pracowali w lepszych warunkach”.

Tylko raz wziął udział w strajku; był to strajk generalny w 1926 roku. Ogłosiły go wszystkie związki zawodowe jako wyraz solidarności z górnikami, którzy byli podle traktowani. „Dołączymy się do strajku – oznajmił w domu Ruth – bo nie mamy wyjścia". Przeczuwał jednak, że nie przyniesie to nic dobrego. Był wtedy konduktorem w autobusie linii 137, który kursował z centralnego Londynu aż do Crystal Palace. Dzień przed strajkiem wiózł dwóch braci. Pamiętał, że jeden był krawcem, a drugi urzędnikiem.

„Jeśli zastrajkujecie, będziemy chodzić do roboty piechotą – oświadczyli. – Nie powstrzymacie nas". Dlatego Charlie uznał, że skoro krawcy, urzędnicy i inni ludzie pracy nie popierają strajku, to wiele nie uda im się zdziałać. Młodzież też próbowała złamać strajk. Akurat wyszedł z innym autobusiarzem na Clapham Common, gdy zobaczył, jak skwer okrąża autobus linii 137. Za kierownicą siedział jakiś młokos, a przez balustradę na tylnym pomoście wychylała się beztrosko jasnowłosa konduktorka. „Nie mają żadnych pasażerów – zauważył przyjaciel. – Ludzie są z nami solidarni". Ale Charlie nie był tego taki pewien. Powód był inny. Przecież dopóki ten idiota siedzi za kierownicą, nikt przy zdrowych zmysłach nie wsiądzie do autobusu.

Strajk generalny nie trwał nawet dziesięciu dni. Ale położenie robotników powoli się poprawiało. Dzięki nowoczesnym fabrykom Hoovera i Ford Motor w Londynie pojawiły się nowe miejsca pracy i stabilne płace. W domach zakładano elektryczność, drogi na prowincji zyskiwały dobre nawierzchnie, coraz więcej ludzi jeździło samochodami, chociaż unoszący się na londyńskich ulicach smród dowodził, że wciąż powszechnie korzystano z zaprzęgów konnych. Postęp szedł na przód, ale powoli. Na masztach nadal powiewała flaga Union Jack, nadal istniało

imperium, na tronie zasiadał król. „No i to nie jest takie złe”, mawiał Charlie.

Tego wrześniowego poranka zjechali z Tower Bridge na południowy brzeg Tamizy i skręcili na zachód. Mijając Westminster, spojrzeli na wciąż stojącą wielką wieżę Big Bena. Gdy dotarli do Lambeth, mieli przed sobą tory kolejowe i stocznie towarowe Vauxhall, a za nimi, w odległości niecałego kilometra, cztery potężne kominy elektrowni Battersea.

Jechali jedną z londyńskich taksówek, które podczas nalotów pełniły funkcję wozów strażackich.

Kształtem i wielkością auto przypominało dawną dorożkę i właściwie stanowiło jej zmotoryzowaną wersję. Teraz miało na dachu drabiny i ciągnęło za sobą przyczepę z pompą. Takie pojazdy strażackie dobrze się sprawdzały, zresztą pomocnicza straż pożarna nie miała nic lepszego. Ochotnicy tacy jak Charlie przeszli wcześniej staranne przeszkolenie, więc po wybuchu wojny część z nich dołączyła do regularnej służby za trzy funty tygodniowo. Początkowo były pewne problemy: zakwaterowano ich na jakiś czas w starym budynku niedaleko Vauxhall, gdzie złapali pchły i świerzb. Ale dużo bardziej przykre były oskarżenia, że Charlie i jemu podobni zgłosili się do straży pożarnej, żeby uniknąć poboru do armii. Zarzuty te tak nadszarpnęły morale, że wielu strażaków odeszło. Lecz w ciągu ostatnich dni pogardzana straż pomocnicza mogła wykazać się odwagą i hartem ducha. Oto bowiem we wrześniu 1940 roku, rok po wypowiedzeniu wojny, Hitler rozpoczął ofensywę, która miała rzucić Anglię na kolana: naloty na Londyn.

Charlie doskonale pamiętał wojnę rozpętaną przez kajzera. Londyn przeżył wtedy kilka rajdów zeppelinów, które wzbudziły wielki strach. Oczywiście wszyscy wiedzieli, że tym razem będzie zupełnie inaczej, ale mimo to nikt nie był przygotowany na takie piekło. Noc w noc bomby

spadały na doki. Cukrownie, rafinerie, składy drewna – wszystko to wybuchało słupami ognia, wobec których strażacy w przerobionych taksówkach byli praktycznie bezradni. Jednak najstraszniejsze były pożary ogromnych cylindrycznych zbiorników ropy naftowej, z których przez wiele dni unosił się czarny dym widoczny z odległości stu pięćdziesięciu kilometrów.

Poprzedniej nocy Charlie, stojąc na dachu jednego z tych zbiorników, nie usłyszał ostrzegawczego krzyku kolegów. Po chwili w odległości pięciuset metrów zobaczył nadlatującego messerschmitta. Instynktownie postąpił jak wariat: wycelował w pilota ze strażackiego węża. Nikt nie wiedział, jak to się stało, ale trzy sekundy później Charlie wciąż stał na dachu zbiornika, a myśliwiec krążył wysoko na niebie.

„Dziwne, ale zawsze mi się wydawało, że służba w straży pożarnej jest bezpieczniejsza niż w wojsku”, zauważył wesoło, gdy w końcu zszedł na ziemię. W drodze powrotnej do Battersea jego towarzysze uznali, że tej nocy Charlie w dużej mierze wykorzystał swój przydział szczęścia.

POPOŁUDNIE

– Coś się stało? – Zazwyczaj Helen spała po południu jeszcze godzinę, więc gdy o drugiej pojawiła się w salonie domu przy Eaton Terrace, matka spojrzała na nią uważnie. – Powinnaś trochę odpocząć.

– Nie mogę spać. – Miała podkrążone oczy.

– Rozumiem. – Violet milczała przez chwilę, a potem spytała łagodnie: – To samo co wczoraj?

Jeżdżenie karetką pośród tylu potworności musiało pozostawić po sobie ślad. Nic dziwnego, że Helen od czasu do czasu nawiedzało przeczucie śmierci. Na ogół była tak zajęta, że nie miała czasu się w to zagłębiać, ale

gdy ogarniały ją złe myśli, żegnała matkę przy wyjściu dodatkowym czułym uściśnięciem dłoni.

– Już wcześniej to cię trapiło – powiedziała Violet łagodnie. – I proszę, nadal żyjesz.

– Wiem. Chyba pójdę na spacer. Nie będzie ci to przeszkadzać?

– Ależ skąd, idź.

Po chwili rozległo się trzaśnięcie drzwiami. Violet siedziała nieruchomo. Dopiero po długiej chwili, kiedy nie słyszała nic poza cichym tykaniem zegara, pozwoliła sobie na westchnienie.

Jedno dziecko już straciła. Czy teraz straci kolejne?

Henry. Nigdy nie wybaczył jej działalności, przez którą tyle wycierpiał w szkole. Stanął przeciwko niej, po stronie Edwarda, który na półtora roku zabrał do siebie Helen, podczas gdy ona kilkakrotnie trafiała do więzienia. „Stworzył nam dom – mówił Henry z goryczą. – On, nie ty”. Ale to Henry, jako jedyny z całej rodziny, odwiedzał ją w więzieniu.

Od tamtych dni minęło ponad ćwierć wieku, ale Violet wciąż wydawało się, że to było tak niedawno. Wiele działaczek ogarnęła wtedy jakaś gorączka. Doprowadzone do wściekłości cyniczną pogardą okazywaną im nawet przez liberałów, coraz częściej decydowały się na akty przemocy. Podpalono kilka domów, między innymi Lloyda George’a. Podczas wyścigów Emily Wilding Davidson rzuciła się pod kopyta królewskiego konia – zginęła na miejscu. „Równie dobrze mogą mnie powiesić za niewinność”, powiedziała Violet do swojej towarzyszki, gdy odsiadywała pierwszy wyrok. Ojciec był nieprzejednany, synowie zwrócili się przeciwko niej. Aresztowano ją ponownie miesiąc później. Znów spędziła w celi trzy miesiące, ale przynajmniej w towarzystwie kilkunastu znajomych kobiet. Ależ czuły się sobie bliskie! Wypuszczono je, a wkrótce zatrzymano znowu

– sześć bladych, zdeterminowanych kobiet, haniebnie potraktowanych z powodu walki z okrutną niesprawiedliwością.

Odwiedził ją wtedy Henry. Tydzień później – Boże, będzie to pamiętać do końca swoich dni – ogłosiły strajk głodowy. Nie miała pojęcia, czym jest prawdziwy głód. A potem to straszliwe przymusowe karmienie: czyjeś dłonie z żelazną siłą rozwierają jej szczęki, o mało nie wyłamując zębów. Rura wpychana siłą do gardła, potworne męczarnie, zdławiony krzyk, palący ból w przełyku odczuwany godzinami i znów to samo, od początku. Za trzecim razem zemdlała.

Gdy w końcu wyszła na wolność fizycznie wyniszczona, zauważyła ze zdziwieniem, że kraj zmierza ku wojnie. Był to dla niej szok. Wprawdzie Niemcy rywalizowały z Wielką Brytanią o imperialną dominację, ale zarazem uchodziły za jej naturalnego sojusznika. Króla i niemieckiego cesarza łączyły więzy krwi. Owszem, Niemcy były zawistne i agresywne, polityka państw środkowej Europy przypominała igranie z ogniem, ale spory można było jakoś załagodzić. Nikt nie przypuszczał, że ten chaos w postaci nieudolnej dyplomacji i nieporozumień doprowadzi do tego, że europejskie państwa będą musiały wypowiedzieć sobie wojnę, której żadne tak naprawdę nie chciało. I nikomu nie przyszło do głowy, że wojna nie skończy się po kilku miesiącach i kilku drobnych bitwach.

Był koniec lipca 1914 roku, tydzień przed ogłoszeniem wojny. Jesienią Henry miał zacząć studia w Oksfordzie i wszyscy byli pewni, że nawet wojna mu w tym nie przeszkodzi. Po wyjściu Violet z więzienia w rodzinie zapanował rozejm. Wiekowy już Edward Bull, wstrząśnięty traktowaniem córki w więzieniu, pragnął jedynie, aby jego bliscy żyli w spokoju. Zjechali się więc wszyscy do Bocton i przez następne miesiące Violet bardzo rzadko wyprawiała się do Londynu. Podczas jednego z takich wyjazdów

postanowiła zabrać dzieci do Muzeum Brytyjskiego. Jak zwykle podeszli do wspaniałych portali, gdzie jednak odmówiono im wstępu.

– Przykro mi, madame, ale nie wpuszczamy kobiet – wyjaśnił odźwierny. – To z powodu tych okropnych sufrażystek – dodał. – Obawiamy się, że podpalą muzeum albo zaczną rozbijać gabloty.

– Biorę odpowiedzialność za tę panią – powiedział Henry, na co odźwierny zawahał się, a po chwili ich wpuścił. – Właśnie, mamo – odezwał się, gdy tylko znaleźli się w środku. – Od której gabloty chcesz zacząć?

Kochany Henry. Miesiąc później zgłosił się na ochotnika do wojska.

Zwolniono go z powodów zdrowotnych w 1915 roku, po bitwie pod Ypres. Violet dowiedziała się wówczas, czym jest gaz musztardowy. „Powinienem się cieszyć, że w ogóle żyję”, powiedział cierpko. Rzeczywiście, ocalił go jedynie młody wiek. „Serca tych niedorostków zniosą wszystko”, wyjaśnił jej lekarz. Ale z pełnego werwy młodzieńca został jedynie cień. Henry przetrwał w tym stanie kolejne lata Wielkiej Wojny, podczas gdy śmierć zbierała ogromne, bezsensowne żniwo w okopach. Violet nie znała chyba ani jednej rodziny, która nie straciłaby kogoś bliskiego.

Wojna przyniosła jeszcze jedną istotną zmianę. W kraju do tego stopnia brakowało mężczyzn, że ich prace zaczęły wykonywać kobiety. Zatrudniano je chętnie w fabrykach amunicji i na kolei, stawały za sklepowymi ladami, były telefonistkami, wykonywały najcięższe prace. Sufrażystki zawiesiły swoje protesty na czas wojny. Jak się miało niedługo okazać, ich ofiarność dla kraju przysłużyła się ich sprawie. Gdy ludzie przekonali się, do czego kobiety są zdolne, opór wobec przyznania im praw wyborczych zaczął topnieć nawet wśród zatwardziałych konserwatystów. Violet przeżyła prawdziwą chwilę triumfu, gdy ojciec, który musiał spędzić

kilka dni w szpitalu, przyznał: „Tu pracują same kobiety! Jako portierzy, kierowcy karetek, no dosłownie robią wszystko, nie są jedynie lekarzami. I świetnie im to wychodzi”.

W 1917 roku, jedynie przy niewielkim sprzeciwie, premier Asquith przyznał prawa wyborcze kobietom ze słowami: „Zasłużyły sobie na to”.

Rok później wojna się skończyła, ale śmierć nadal zbierała przerażające żniwo.

Pandemia grypy hiszpanki z końca 1918 roku szerzyła się z zatrważającą szybkością. Nie wiadomo, czy wirus był tak groźny, czy też ludzie osłabieni wojną łatwiej na nią zapadali, w każdym razie w ciągu pół roku na całym świecie na grypę zmarło więcej osób, niż zginęło na frontach Wielkiej Wojny. W Anglii hiszpanka zabrała dwieście tysięcy ludzi. Jedną z ofiar był Henry.

Wspomnienie tamtej zimy rozpłynęło się w jej pamięci, zostawiając po sobie jedynie obraz jego bladej, wymizerowanej twarzy. Przez kolejne lata zadręczała się pytaniami: może za bardzo się zaangażowała politycznie? Dlaczego sprawiła tyle bólu swemu synowi? Teraz już go nie ma wśród żywych.

Siedząc samotnie w salonie po wyjściu Helen, zmagała się z ponurą myślą, do której nie miała odwagi się przyznać. Nie tylko Helen przeczuwała zbliżającą się śmierć. Ona też.

Helen przeszła przez Sloane Square, a potem skręciła w Sloane Street w kierunku Knightsbridge i Hyde Parku. Nie mogła przywyknąć do widoku znajomych ulic z pozaklejanymi oknami i workami z piaskiem przy każdych drzwiach. Miasto było dziwnie ciche, jak w niedzielę.

Gdy minęła Pont Street, zaczęło padać. A gdy dotarła do Knightsbridge, rozpętała się ulewa. Schroniła się w hotelu Basil Street. Czekała, patrząc,

jak krople deszczu spływają po okiennej szybie, czując coraz większy smutek.

Nie chciała umierać. Miała poczucie, że na to za wcześnie. Przecież przez całe życie starała się służyć jakiejś dobrej sprawie. Zawsze wiedziała, że jej matka ma rację bez względu na to, co mówili inni. Gdy jako dziecko została zabrana do Bocton, dziadek udawał, że matka jest w jakiejś tajemniczej podróży, ale przecież wiedziała od braci, że siedzi w więzieniu. Nie umniejszyło to jej szacunku do niego. Poważanie, którym się cieszył, dowodziło, że miał właściwe poglądy, mimo że nie zgadzał się z jej matką. A czasem, z braku innego towarzystwa, rozmawiał z nią o różnych sprawach, gdy siadywali w otoczonym murem ogrodzie albo chodzili podglądać jelenie. Do dziś miała w uszach jego głos, tak wyraźny, jakby stał tuż obok – tłumaczył jej łagodnie: „Prawdziwym zagrożeniem są dla nas socjaliści, znacznie większym niż Niemcy. Zapamiętaj sobie moje słowa, bo będziesz świadkiem tej bitwy. Będzie się ona toczyć nie tylko w Anglii, ale i na całym świecie”.

Gdyby tylko doczekał końca wojny, przekonałby się o słuszności swoich słów. Bolszewicy. Rewolucja w Rosji. Gdy doszło do okropności, była jeszcze w szkole. Zamordowanie cara i jego dzieci. Przez całą Europę przetoczyła się fala współczucia i potępienia. Gdy skończył się wojenny koszmar, gdy minęło przygnębienie po epidemii grypy, bolszewickie zagrożenie stało się tematem wszystkich poważnych rozmów. Czy rewolucja, jak z dużą pewnością siebie zapowiadali bolszewicy, przyjdzie także do Wielkiej Brytanii i zniszczy wszystko, co znane i umiłowane?

Rewolucja w angielskim społeczeństwie – tak mówiła matka, tak mówili inni – już się zaczęła. Podatek spadkowy wprowadzony przez Lloyda George’a dotyczył głównie klas wyższych. Gdy Edward Bull zmarł w Bocton, jego spadkobiercy zapłacili ogromne taksy. Szlachta i arystokraci

często byli zmuszeni do sprzedaży majątków. A gdy zdemobilizowani żołnierze wrócili do kraju, domagając się lepszego życia po wojnie, Partia Pracy wspierana przez związki zawodowe tak urosła w siłę, że w 1924 roku jej przywódca Ramsay Macdonald otrzymał na krótko misję sformowania rządu. „Albo czeka nas krwawa rewolucja, albo nas tylko wywłaszczą”, przewidywała Violet.

Niektórzy świadomie lekceważyli to zagrożenie. Wielu przyjaciół Helen uważało, że w powietrzu unosi się duch przygody. Wojna się skończyła. Ci, którzy przeżyli, mogli się cieszyć. Ci, którzy byli za młodzi, aby walczyć, jak jej brat Frederick, za wszelką cenę chcieli się czymś wykazać. A rodzice pragnęli znów uwierzyć, że świat powoli wraca do normalności. Helen zaczęła prowadzić życie towarzyskie. Było to dość dziwne, ale uznała, że matka, pogrążona w smutku po śmierci Henry’ego, chce zapewnić swoim dzieciom rozrywkę. Trochę się obawiała, że wskutek wojowniczej przeszłości Violet inne matki będą źle na nich patrzeć, ale okazało się, że dawne dni poszły w niepamięć. Młody przystojny Frederick Meredith był miło witany na każdym przyjęciu, tym bardziej że wojna zabrała wielu mężczyzn. Dlatego Helen, jako jego młodsza siostra, z sukcesem „zadebiutowała” w towarzystwie, jak mawiano w wyższych sferach.

Co to był za debiut! Naturalnie odbywały się tradycyjne bale, ale nowe pokolenie debiutantek z lat dwudziestych nie było tak skromne jak ich matki. Młodzi mężczyźni pozwalali sobie na rzeczy wcześniej nie do pomyślenia. Helen nie znała właściwie dziewcząt, które „poszły na całość”, ale to nie znaczyło, że nie posunęły się rzeczywiście bardzo daleko. Sama była ładna – po ojcu odziedziczyła urodę, a po przodkach ze strony Bullów niebieskie oczy i jasne włosy. Była też pełna życia i inteligentna. Jeszcze zanim skończył się sezon, dostała trzy małżeńskie propozycje, z czego dwie

rzeczywiście były bardzo korzystne. Jednak problem polegał na tym, że młodzi mężczyźni jej nie interesowali. „Są pozbawieni wyrazu”, ubolewała.

– Naprawdę mogłaś trafić gorzej – stwierdziła Violet. – A ja bym tylko chciała, żebyś była szczęśliwa.

– Ty wybrałaś sobie mężczyznę interesującego – zauważyła Helen.

Ale gdzie takiego znaleźć? Był pewien Francuz. Poznała go dzięki Frederickowi, który zainteresował się lataniem. Poleciał z nią przez Kanał Angielski na lotnisko we Francji – i tam właśnie, w pewien niezwykły letni dzień, poznała owego Francuza. Miał własny samolot. I château. Spędziła cudowne lato. I tyle. Potem w jej życiu pojawiali się inni ciekawi mężczyźni.

– Tylko że tacy nie chcą się żenić – wyznała ze smutkiem matce.

– Ty ciągle jesteś chłopczycą, Helen – żartował z niej dobrotliwie Frederick. – Ciągle szukasz ekscytacji.

Chłopczycami nazywano w latach dwudziestych niezależne młode kobiety.

– A co w tym złego? – odpowiadała. – Ty jesteś taki sam.

Frederick wstąpił do armii; w mundurze wyglądał jak dziarski huzar, podejrzewała jednak, że za jego wypadami do Europy kryje się sekretne drugie życie. Jednak jej nie chodziło tylko o przygodę: chciała poświęcić się jakiejś słusznej sprawie.

Wydawało się, że taką okazją może być strajk z 1926 roku. „To jest właśnie rewolucja, na którą czekali bolszewicy – stwierdziła Violet. – Musimy ich pokonać”. Helen nie znała nikogo, kto myślałby inaczej. Jakże oni wtedy ciężko pracowali! Była konduktorką w autobusie, którym kierował jej znajomy z Oksfordu. Jeździli na trasie linii 137 od Sloane Square do Crystal Palace. Różni znajomi pracowali w metrze albo w innych usługach publicznych. Na szczęście to jest Wielka Brytania, myślała wtedy

często, a tutejsi ludzie zachowują się przyzwoicie. Nie dochodziło do aktów przemocy. Strajk się załamał. A cały kraj odsunął od siebie komunistyczne zagrożenie.

Potem żyła trochę bez celu. Zatrudniła się jako sekretarka jednego z posłów do parlamentu. Była to ciężka praca, ale przynajmniej miała wrażenie, że robi coś pożytecznego. Jednak z czasem zrodziło się w niej rozczarowanie. Przed światem stały wielkie wyzwania. Helen miała uznanie dla Ligi Narodów, której celem było wykorzenienie wojen i konfliktów, ale okazało się, że Liga kruszy się i słabnie. Przyglądała się z uznaniem, jak Ameryka rozwiązuje kryzys ekonomiczny za pomocą Nowego Ładu. Ale brytyjski parlament nie występował z żadnymi nowymi inicjatywami. Sprytny, lecz mało porywający premier Baldwin miał tylko jedną strategię: korzystając z zamieszania, forsować swoje pomysły i utrzymać imperium brytyjskie – trwające tylko dzięki sile woli – z dala od wszelkich problemów. „Ty służyłaś ważnej sprawie – powiedziała kiedyś do matki. – Ja nic takiego nie mam”.

Sens życia zapewnił jej Frederick.

Kiedy Hitler doszedł w Niemczech do władzy, Helen uważała – zresztą nie tylko ona – że może się to obrócić na dobre. „Zwolennicy Hitlera nie są może sympatyczni – mawiali ludzie podzielający jej poglądy – ale on obroni nas przed komunistyczną Rosją”. Gdy Hitler wzmacniał swoje rządy i coraz częściej dochodziły wieści o prawdziwym obliczu jego reżimu, Helen nie dawała im wiary. A gdy awanturniczy polityk Churchill, wciąż niemogący się pogodzić z odsunięciem od wysokich partyjnych stanowisk, rozpoczął kampanię na rzecz remilitaryzacji, zgodziła się ze zdaniem swojego pracodawcy. „Churchill oszalał – mówił poseł. – Niemcy nie będą gotowe do wojny jeszcze przez najbliższe dwadzieścia lat”.

Dopiero Frederick, podczas jednej z krótkich wizyt w Londynie, otworzył jej oczy. Rok wcześniej został wysłany jak attaché wojskowy do Polski i wtedy poznał prawdę. „Po pierwsze, Churchill ma rację. Hitler zaczął się zbroić i prze do wojny. Po drugie, jest to nowość jedynie dla Anglików w kraju. Wiedzą o tym wszystkie ambasady w całej Europie. Każdy attaché wojskowy, także ja, przysyłał szczegółowe raporty, które Londyn uporczywie ignorował. Attaché w Berlinie został właśnie zwolniony za to, że doniósł o ruchach niemieckich wojsk. A politycy, którzy o tym wiedzą, albo myślą, że opinia publiczna nie zniesie prawdy, albo łudzą się, że dobili z Hitlerem targu. To jest jeden wielki skandal!”.

„Poseł, u którego pracuję, twierdzi, że Niemcy nie będą gotowe do wojny jeszcze przez dwadzieścia lat”, zaprotestowała Helen.

„Ta dość powszechna opinia jest oparta na raporcie sporządzonym przez Ministerstwo Wojny. Jest tylko jeden problem: raport powstał w 1919 roku”.

Po tej rozmowie zaczęła sama zdobywać informacje. Znajomi w wojsku, zaprzyjaźniony dyplomata, nawet kilka sympatycznych osób z Westminsteru – wszyscy dysponowali informacjami potwierdzającymi zarzuty brata. Razem z Violet napisały szczegółowy raport. Kilkoro przyjaciół uważało je za szalone, inni, pamiętając przeszłość Violet, uśmiechali się i wzruszali ramionami. A sekretarki w Westminsterze, które w większości pochodziły z takich samych rodzin jak ona, zaczęły nazywać jej działania „krucjatą Helen”. Ale wkrótce się okazało, że kilka z nich ma krewnych w służbie dyplomatycznej, wyznających podobny pogląd. „Powinnaś porozmawiać o tym ze swoim szefem tak jak ja – mówiła im. – Przecież on jest posłem, a ty widujesz go codziennie”. A kiedyś nawet próbowała porozmawiać z premierem. Gdy w 1936 roku doszło do kryzysu abdykacyjnego i wszyscy mówili tylko o młodym królu i pani Simpson,

Helen wzruszała jedynie ramionami. „Oczywiście współczuję mu, ale jeśli Hitler wypowie nam wojnę, to wszystko okaże się nieważne”.

Nic dziwnego, że zaczęto się na nią skarżyć. „Denerwujesz ludzi i podburzasz inne dziewczęta – upominał ją szef. – Proszę cię, żebyś dała sobie z tym spokój”.

„Nie mogę”, odpowiedziała krótko.

Straciła pracę. Chciała sobie znaleźć inne zajęcie w Westminsterze, ale bez powodzenia. Postanowiła wyjechać na kilka miesięcy w podróż po Europie, zwłaszcza po Niemczech. Zamierzała napisać o tym książkę, ale miesiąc po jej powrocie do Anglii zaczął się w Europie wielki kryzys i tak jak się obawiała, kraj zmierzał ku wojnie.

Kiedy wojna wybuchła, Helen zgłosiła się do pracy jako kierowca karetki. Było to niebezpieczne zajęcie i dość przerażające, ale nie zwracała na to uwagi. „Jestem osobą samotną, mamo – powiedziała nie dalej jak tydzień wcześniej. – Więc jeśli ktoś ma zginąć, to równie dobrze może trafić na mnie”.

Nigdy Londyn nie doświadczył czegoś tak strasznego jak hitlerowskie naloty. Wiele osób uważało, że dzięki zastosowaniu nowoczesnej broni wojna szybko dobiegnie końca, ale jej wydawało się, że jeśli potrwa jeszcze trochę, to z miasta pozostaną jedynie ruiny. Wychodząc co dzień do pracy, starała się o tym nie myśleć.

Gdy deszcz nieco ustał, wyszła z hotelu i skręciła w stronę Hyde Parku. Zazwyczaj lubiła spacerować wzdłuż Serpentine, ale tego dnia zawróciła w lewo i ruszyła na zachód w kierunku Kensington Gardens.

Ze swoimi szerokimi alejami i rozległymi trawnikami park zachował wiele z osiemnastowiecznej atmosfery epoki Stuartów. Patrząc na pałacyk, który stał skromnie pod bladym niebem, i na błyszczący od deszczu trawnik, z łatwością mogła sobie wyobrazić, jak z bramy wyłania się powóz

i znika wśród drzew. Jednak wystarczyło spojrzeć uważniej, aby zobaczyć brutalne ślady dwudziestowiecznej wojny. Wszędzie były okopy. Minęła nawet działo przeciwlotnicze. A gdy wyszła na otwarty teren przy stawie, zauważyła dziesiątki balonów zaporowych. Jednak najbardziej osobliwy widok stanowił olbrzymi trawnik zamieniony w jedno wielkie pole kapusty. Należało za wszelką cenę zapewnić dostawy – nawet gdyby każdy park trzeba było zamienić w warzywnik.

Musiała już wracać. Jeszcze raz obiegła wzrokiem spokojną scenerię, rozkoszując się nią być może po raz ostatni. Westchnęła ze smutkiem.

WIECZÓR

Okolica nadal nosiła nazwę Crystal Palace, chociaż ogromny pałac ze szkła spłonął cztery lata wcześniej. Z ogrodu Jenny i Percy’ego roztaczał się widok aż na drugi kraniec Londynu. Stali tam teraz z Herbertem i Maisie, patrząc na odległe Hampstead.

Niebo na zachodzie było czerwone, jakby zapowiadało horror nadchodzących godzin. Od wschodu, znad ujścia rzeki, nadciągał ciemny cień nocy. W tym pejzażu brakowało migotliwych świateł wielkiej metropolii – mieszkańcy ściśle przestrzegali nakazu zaciemnienia. Londyn był ogromną czernią, która już niedługo miała stać się niewidzialna.

Było ich tylko czworo. Herbert i Maisie nie doczekali się dzieci. Syn Percy’ego i Jenny służył w wojsku, a córka po wyjściu za mąż przeniosła się do Kentu. I chociaż Jenny i Maisie nigdy nie były sobie szczególnie bliskie, nauczyły się zachowywać poprawne stosunki, a tego dnia po południu, chcąc odegnać myśli od nalotów, wybrały się na *Przeminęło z wiatrem*. Poprzedniego wieczoru też stali w ogrodzie, patrząc na nadlatujące samoloty, na czerwony blask pożarów, które migotały nierównymi płomieniami albo wystrzeliwały w czerń nieba ogromnymi

chmurami rozżarzonych węgli. Wczoraj East End znów mocno ucierpiał. Gdzie dzisiaj spadną bomby?

– Zostaniesz u nas? – spytała Jenny.

– Nie, dziś nie – odpowiedziała Maisie.

– Na nas już czas – zauważył Percy.

On i Herbert, obaj już po sześćdziesiątce, pomagali podczas nocnych dyżurów na pobliskim posterunku straży pożarnej. „Nie mogłem tak siedzieć bezczynnie", tłumaczył Percy. Maisie wolała, żeby Herbert zostawał z nią w domu. „Im będzie lepiej we dwóch", przekonywała ją Jenny.

– No to w drogę – powiedział Herbert.

Charlie wyszedł z domu punktualnie o szóstej. I jak zwykle nie obyło się bez kłótni. Od kiedy trójka starszych dzieci została ewakuowana, a Ruth nie zgodziła się zostawić Charliego, powód ich sprzeczek zawsze był ten sam. Charlie martwił się o nią i o najmłodsze dziecko.

– Gdzie będziesz nocować?

Ruth mogła pójść do trzech miejsc. Pierwszym był schron. W śródmieściu byłaby to stacja metra albo jakieś inne pomieszczenie pod ziemią. Jednak w Battersea był to zwykły budynek obłożony workami z piaskiem, gdzie ludzie razem przeczekiwali zagrożenie. Chybiony zrzut i byli bezpieczni. Jedna celna bomba i ginęli wszyscy. „Dla każdego coś miłego", mawiała cierpko Ruth. Drugim miejscem był schron Andersona. Tego rodzaju schrony stanowiły dość skuteczną ochronę. Była to właściwie półokrągła puszka z blachy falistej, na tyle duża, że mógł w niej stać przygarbiony człowiek – można ją było wkopać w ogrodzie albo obłożyć workami z paskiem czy ziemią. Było bezpiecznie, o ile bomba nie spadła wprost na schron.

Niewielki ogródek przy domku wynajmowanym przez Doggetów poniżej Lawendowego Wzgórza też został przystosowany do wojennych okoliczności. Przy betonowej ścieżce zamiast strawy rosły warzywa. Zaraz obok była maleńka zagroda dla trzech kur, które dawały jajka. A z tyłu znajdował się schron Andersona.

Ruth go nienawidziła. „Nie jestem w stanie wytrzymać w takim zamknięciu – narzekała. – Poza tym jest tam wilgoć, bardzo niedobra dla dziecka", twierdziła uparcie, choć według Charliego schron był suchy. Ale Ruth była zawzięta i nikomu nie dała się przekonać. Pozostawała jeszcze trzecia możliwość: przeczekać nalot w domu pod schodami. Charlie obłożył wcześniej workami z piaskiem kuchenne drzwi i okno. Więcej nie dało się zrobić. „Jeśli na bombie są nasze nazwiska, to nic na to nie poradzimy", przekonywała go Ruth. Sześciu londyńczyków na siedmiu myślało podobnie. Mimo to każdego wieczoru przed wyjściem próbował ją przekonać, aby poszła do schronu.

– Nie mogę się już dłużej z tobą kłócić – powiedział w końcu.

– Wiem. Nic nam nie będzie.

Charlie wziął więc hełm i wyszedł. Czekała go niebezpieczna nocna służba.

Kwadrans po szóstej Helen Meredith pocałowała matkę na dobranoc. Świetnie wyglądała w mundurze, z włosami spiętymi pod czapką.

– Nie dałabym ci więcej niż dwadzieścia pięć lat, przysięgam – powiedziała Violet z uśmiechem.

Helen też się uśmiechnęła.

– Dziękuję. – Skinęła głową.

– Helen. – Matka wzięła ją ostatni raz za rękę. – Nie martw się. Nic mi się nie stanie.

Neville Silversleeves był człowiekiem, który nieustannie brał na swoje barki różne obowiązki. Właściwie to nie była jego wina – po prostu ludzie go o coś prosili, a on świetnie się z tego wywiązywał. W młodym wieku zastąpił ojca na stanowisku dyrektora starej i szanowanej kancelarii prawniczej Odstock, Alderbury i Silversleeves. Gdy wstępował do jakiegoś stowarzyszenia, po kilku latach nieuchronnie proponowano mu stanowisko sekretarza. Był wysoki, miał przerzedzone ciemne włosy i długi nos. „Taki nos świadczy o skłonności do despotyzmu”, stwierdził kiedyś pewien złośliwy adwokat.

Jako człowiek religijny, którego firma zrobiła wiele dla dobra diecezji, Neville był zakrystianem w katedrze Świętego Pawła, a dzięki swojemu stanowisku został jednym ze strażników cywilnej obrony przeciwlotniczej w okręgu City i Holborn. Od kilku miesięcy funkcjonariusze tej służby nie cieszyli się sympatią mieszkańców, a to z racji bezwzględnego egzekwowania nakazu nocnego zaciemnienia. Narzucili ten nakaz, gdyż powiedziano im – wprowadziwszy ich w błąd – że pilot niemieckiego bombowca jest w stanie zobaczyć z wysokości tysiąca pięciuset metrów nawet żar papierosa. W samym City liczba mieszkańców była niewielka, ale ochrony wymagały banki, biura i kościoły, więc strażnicy mieli ważną misję do wypełnienia. Sami też narażali się na wielkie niebezpieczeństwo. Ale dla Neville’a Silversleevesa był to jeszcze jeden obowiązek zesłany mu przez przeznaczenie.

Tego wieczoru Neville pełnił służbę.

Posterunek braci Flemingów znajdował się w osiemdziesiątej czwartej sekcji. Mieścił się w opuszczonej szkole. Ich sprzęt składał się z czterech taksówek wyposażonych w drabiny, trzech pomp na przyczepach, samochodu dostawczego i dwóch motocykli.

Wszystkie załogi zjawiały się na miejscu o szóstej, ale czasem dopiero po kilku godzinach były wzywane do wsparcia strażaków niedających sobie rady z pożarami w centrum. Przy telefonach dyżurowały dwie kobiety. Dowódcą posterunku był zawodowy strażak. Percy i Herbert wykonywali zadania pomocnicze – Percy najczęściej zajmował się kuchnią.

Mężczyźni mieli w dużej sali tablicę do rzutek. Herbert szybko stał się bardzo popularną postacią, bo całymi wieczorami zabawiał wszystkich, śpiewając piosenki ze starych musicali i akompaniując sobie na starym pianinie. Jedynym problemem, tak przynajmniej uważał Percy, było jedzenie.

Cywilna służba przeciwlotnicza nie zadbała odpowiednio o zapasy. Percy miał jedynie trochę ryżu i kapusty oraz tacę z puszkowaną wołowiną, która zdążyła już zzielenieć.

– Kiepska z tego będzie kolacja – stwierdził.

Nie pozostawało mu jednak nic innego, jak ugotować ryż i czekać na grzmot pierwszych niemieckich samolotów, przelatujących im nad głowami w drodze do śródmieścia. Ciemność już dawno zapadła, Herbert wyśpiewywał jakiś musicalowy numer, a Percy podszedł do drzwi, żeby wyjrzeć na zewnątrz. I wtedy usłyszał huk silnika, zobaczył dwa światła, a po chwili rozkwitło coś ogromnego i ogniście czerwonego.

– Dobry Boże! – jęknął.

Admirał William Barnikel miał sto dziewięćdziesiąt centymetrów wzrostu. Jego pierś przypominała dziób okrętu wojennego, do tego nosił wielką rudą brodę. Był potomkiem wikingów i tak też wyglądał. „Mój dziadek Jonas był zwykłym kapitanem statku – przyznawał szczerze. – A wcześniej nasza rodzina handlowała rybami”. Admirał miał niewielką wiedzę o City, więc nie zdawał sobie sprawy, jaką pozycję w dawnym Londynie miała gildia

handlarzy ryb. Ale bez względu na przodków Barnikel, stanąwszy na kapitańskim mostku, ujawniał niezwykłe zdolności przywódcze.

Władze podjęły świadome ryzyko, powierzając mu kierowanie większą częścią londyńskiej pomocniczej straży pożarnej. „On nie umie postępować dyplomatycznie", oponowali niektórzy biurokraci. Jego ryk potrafił postawić na nogi całą fregatę. „Tylko że my nie potrzebujemy dyplomaty – stwierdził Churchill – ale człowieka, który będzie umiał podnieść morale". I tak ogromne serce admirała Barnikela oraz jego nieposkromiony temperament przejęły władzę nad siłami pomocniczej straży pożarnej.

Percy patrzył teraz na jego rudą brodę. Oto bowiem admirał pojawił się niespodziewanie, żeby dokonać, jak to miał w zwyczaju, inspekcji małego posterunku na swoich ogromnych włościach.

– Dobry Boże – powtórzył.

Wszyscy strażacy podążyli za admirałem na obchód.

– Przy tych drzwiach więcej worków z piaskiem – rozkazał jowialnie. A widząc pianino, ryknął: – Zaśpiewajcie mi coś! – Gdy Herbert zaintonował *Nellie Dean*, zaczął wtórować na cały głos. – Świetna robota – orzekł na koniec i poklepał Herberta po plecach. – Na żadnym posterunku tak dobrze nie śpiewają. Ale czy to pianino jest nastrojone?

– Nie za bardzo – przyznał Herbert.

– No to trzeba je nastroić! – ryknął admirał.

Potem przejrzał ich mundury i buty, uderzył pięścią w pęknięty hełm, aż ten rozleciał się na kawałki, przyniósł nowy ze swojego samochodu i powiedział im, że są bohaterami. A potem wszedł do kuchni.

– Kto jest tu szefem? – spytał.

– Chyba ja – odparł zdenerwowany Percy.

– I gotujesz z tego, co ci dadzą, tak?

– Tak jest, panie admirale.

Barnikel obrzucił ryż i kapustę pełnym niechęci spojrzeniem, a potem zaczął oglądać wołowinę. Bo na czym jak na czym, ale na racjach żołnierskich znał się doskonale. Wiedział, że dobrze karmiona załoga to dobra załoga. I wiedział też, że wielu strażaków było przekonanych, że nikt o nich nie dba. Nabił na widelec kawałek pozieleniałej wołowiny, obejrzał ją i powąchał. Odgryzł kęs, zaczął żuć, skrzywił się i wypluł.

– Przecież to jest zepsute! – ryknął. – Takie jedzenie dostarczają twoim ludziom? Przecież wy się tym potrujecie!

Admirał Barnikel wpadł w prawdziwą złość. Wygiął widelec prawie w supeł. Potężna pięść spadła na stół z taką siłą, że odpadła jedna noga. Chwycił tacę z puszkowaną wołowiną i rzucił ją ponad dachem posterunku – równie dobrze mogła dolecieć aż do Berlina, bo nigdy jej nie znaleziono. Potem podszedł do telefonu, kazał się połączyć z kwaterą, polecił załadować do służbowego auta odpowiednie jedzenie na kolację i natychmiast przywieźć je do Crystal Palace.

– A jak będzie trzeba, to przyślijcie też moje racje żywnościowe. – Odwrócił się do Percy’ego. – Jak się nazywasz?

– Fleming.

Rudobrody admirał wbił palec w pierś Percy’ego.

– Jeśli kiedykolwiek dadzą wam takie jedzenie, to masz zadzwonić do kwatery i osobiście poprosić mnie do telefonu. Jeśli się będą sprzeciwiać, to powiedz, że dałem ci taki rozkaz. Rozumiesz?

– Rozumiem, panie admirale.

– Świetnie. A następnym razem pośpiewamy sobie razem przy pianinie. – Spojrzał na Herberta. – Z tobą zjem kolację.

Zamieniwszy kilka słów na osobności z dowódcą posterunku, admirał ruszył dalej, żeby wnieść otuchę i podnieść morale na kolejnej niczego niespodziewającej się placówce.

Charlie słuchał uważnie: dudnienie narastało. Niedługo potem zamieniło się w ryk, a nad miasto zaczęły nadlatywać kolejne fale heinkli i dornierów eskortowanych przez chmary messerschmittów. Rozpoczął się już ogień zaporowy, donośna kanonada huków i wystrzałów, wybuchy światła na nocnym niebie. Smugi reflektorów kołysały się we wszystkie strony, przeczesując ciemność jak magiczne różdżki. Przez kilka pierwszych nocy ogień przeciwlotniczy przypominał raczej hałaśliwe ćwiczenia, które miały przekonać londyńczyków, że obrona miasta w ogóle istnieje. Jednak ostrzał był coraz bardziej skuteczny; udało się strącić kilka samolotów.

Zaraz potem usłyszał huk bomb burzących. Spadły bliżej niż poprzedniej nocy. Kilka minut później zadzwonił telefon z pierwszym wezwaniem.

– Poważny pożar niedaleko Ludgate. Do roboty, chłopaki!

Pożary dzieliły się na dwie kategorie. Największy, obejmujący całą przecznicę, określano terminem „wielki pożar”. Drugą kategorią był tak zwany poważny pożar, ale i on wymagał ponad trzydziestu pomp, co oznaczało, że strażacy ze służby pomocniczej będą zjeżdżać taksówkami na pomoc dużym wozom strażackim.

Załoga Charliego ruszyła na drugi brzeg po moście Vauxhall, minęła budynki parlamentu i Whitehall, a potem wjechała na Strand. Mignął im po drodze kościół St Clement Danes. A potem dołączyli do innych podobnych pojazdów, które powoli zbliżały się do kościoła St Bride.

Co za widok! Pojedyncza bomba burząca dosłownie wyrwała wnętrza z dwóch domów. Ale oprócz niej spadł też rój bomb zapalających i to właśnie one wyrządzały największe szkody. Wprawdzie same w sobie nie były groźne – paliły się jak duże rzymskie fajerwerki i tak naprawdę można je było kopnąć albo odrzucić gdzieś dalej – jednak najczęściej wpadały w jakieś niedostępne miejsca i zanim strażacy mogli ich dosięgnąć, pożar wybuchał z wielką siłą. Teraz stało w ogniu sześć domów. Ostatni budynek

jeszcze się nie zajął płomieniami, ale tam na dach też spadła bomba zapalająca.

– Węże! – krzyknął oficer dowodzący akcją. – Dajcie więcej węży!

Byli na tyle blisko, że za pomocą węży mogli czerpać wodę prosto z Tamizy. Do tej pory udało im się uruchomić kilkanaście sikawek.

– Chodźmy na dach! – powiedział Charlie. Podczas gdy inni zajęli się ustawianiem drabiny, on i najbardziej doświadczony strażak z jego załogi wbiegli na wąskie schody. Słyszeli głośne trzaski z sąsiedniego budynku, ale ściany były dość grube. I nawet gdyby ogień przeniósł się przez parter, to i tak udałoby im się uciec po dachu albo zejść na dół po drabinie.

Bez trudu znaleźli bombę zapalającą. Utknęła za kominem.

– Trafię ją kotwiczką na linie! – krzyknął Charlie.

Zaczął się wspinać. W pewnym momencie dachówka pękła pod stopą, ale zdążył chwycić się komina i odzyskał równowagę.

– Ale piękny widok! – krzyknął i na znak jednego z towarzyszy zamachnął się i jednym celnym rzutem strącił bombę na ulicę.

Byli prawie na dole, gdy poczuli dziwny zapach. Przez chwilę patrzyli na siebie ze zdziwieniem, aż nagle towarzysz Charliego zacisnął dłoń na poręczy.

– Kręci mi się w głowie! – krzyknął. Charlie potrzymał go, a potem wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

– Weź się w garść i chodź za mną – syknął.

Zeszli po schodach do samej piwnicy, która – jak to się często w Londynie zdarzało – ciągnęła się pod kilkoma domami. Od razu zauważyli, że parter sąsiedniego budynku stoi w ogniu. Spadające rozżarzone węgle mogły za chwilę rozpętać piekło. Odurzająca woń była niemal nie do zniesienia.

– To alkohol – stwierdził Charlie.

Na parterze sąsiedniego domu mieścił się sklep monopolowy, a opary pochodziły z rozbitych butelek. Z góry dochodził odgłos pękającego szkła, to samo mogło zacząć się lada chwila w piwnicy, gdzie zmagazynowano całe skrzynki alkoholu.

– Nie damy rady tego uratować – szepnął towarzysz Charliego.

– Nie damy rady. Ale spójrz tam!

Nie dalej jak pięć metrów dalej stała otwarta skrzynka wypełniona miniaturowymi butelkami. Podeszli bez słowa.

Strażackie buty były szerokie i miały wysokie cholewy. Buteleczki świetnie się w nich mieściły. Tuż obok zapadł się kawałek podłogi, ale nie zwracali na to uwagi, dopóki nie skończyli.

– Ty to masz szczęście, Charlie – szepnął drugi strażak.

Helen jechała przez Morgate. Dziwne, ale nawet jeśli na jednej ulicy szalał pożar, na sąsiedniej było ciemno choć oko wykol. Musieli zatrzymać się dwa razy, żeby ominąć lej po bombie. Za drugim razem zauważyli go w ostatniej chwili. Było ich dwoje. Za ambulans służyła stara, wytrzymała furgonetka z wyblakłymi oznaczeniami po bokach. Wyglądała dość prymitywnie, ale w środku mieli nosze i pełen zestaw pierwszej pomocy medycznej. Była to naprawdę znaczna poprawa w porównaniu z tym, co zastała kilka miesięcy wcześniej, kiedy musiała jeździć swoim własnym mini morrisem na poszukiwanie nożyczek i bandaży.

Bombardowanie ustało. Reflektory nadal przeczesywały niebo, ale grzmot bombowców umilkł w oddali. Lecz ten spokój z pewnością nie potrwa długo. Wprawdzie po niebie krążyły spitfire’y, wypatrując zdobyczy, jednak większość bombowców nie tylko dolatywała do celu, ale wracała do bazy, brała nowy ładunek i atakowała znowu.

Zobaczyli przed sobą czynszową kamienicę. Strażacy polewali wodą róg budynku, z którego bomba zerwała ścianę, odsłaniając wnętrze,

wyglądające teraz jak dziecięcy dom dla lalek. Jeden ze strażaków wyniósł ze środka starszą kobietę i ułożył ją na kocu, żeby czekała na karetkę. Helen od razu zorientowała się, że kobieta ma złamaną nogę. Musiało ją bardzo boleć. Ale jej słowa zabrzmiały dość nieoczekiwanie:

– Kochana, przepraszam, że sprawiam tyle kłopotu. – Uśmiechnęła się z trudem. – Trzeba mi było zejść do schronu.

Helen unieruchomiła złamaną nogę w łubkach i przeniosła kobietę na nosze, gdy usłyszała dudnienie nadlatujących bombowców.

– Lepiej się pospieszyć, panienko – powiedział strażak.

Schyliła się po nosze. Kobieta dawała jej gorączkowe znaki.

– Bardzo cię proszę, kochana – powiedziała błagalnie. – Ale jeśli mam jechać do szpitala… Zapomniałam zabrać ze sobą…

Nie musiała nawet kończyć.

– Sztuczną szczękę – wpadła jej w słowo Helen.

Zawsze to samo. Zawsze chcieli mieć ze sobą sztuczną szczękę. Prawie zawsze zostawiali ją na kominku, a impet wybuchu odrzucał ją w inne miejsce. I zawsze gdy było to możliwe, wracała, żeby jej poszukać. Sztuczna szczęka pozwalała im zachować resztki godności. „Poza tym jest wojna, więc gdzie ja sobie zrobię nową?”, słusznie zauważył pewien staruszek.

– Które piętro? – westchnęła.

– Nalot się zaczyna! – zawołał ostrzegawczo strażak.

– Bomby nigdy nie spadają dwa razy w to samo miejsce – odpowiedziała spokojnie, choć przecież to była tylko teoria.

Gdy dudnienie bombowców przeszło w ryk i rozległa się kanonada dział przeciwlotniczych, Helen weszła do kamienicy.

Przeczucie, które nawiedzało Violet, było mgliste i nieokreślone. Nie miała wizji, w których widziałaby Helen martwą albo ranną. Chodziło raczej

o dziwny głos wewnętrzny mówiący, że coś ważnego – nie wiedziała dokładnie co – musi odejść. Gdy po wyjściu córki siedziała w fotelu z zamkniętymi oczami, nagle usłyszała dziwny, ostry dźwięk, jakby ktoś gwałtownie zamknął książkę. Powtarzała sobie, że to bez znaczenia, ale jednocześnie miała wrażenie, że w chwilach życiowych przełomów w ludziach odzywają się zdolności parapsychiczne. A po wyjściu Helen to poczucie jeszcze się nasiliło.

Dopiero po pierwszej fali nalotów przeszło jej przez myśl, że być może to jej życie, a nie życie Helen, zostanie zdmuchnięte. Wprawdzie na Belgravię spadło do tej pory tylko kilka bomb, których celem i tak był pałac Buckingham, ale przecież nie dało się tego wykluczyć. Przez chwilę zastanawiała się, czy powinna się jakoś zabezpieczyć. Westchnęła. Ma już ponad siedemdziesiąt lat. I coraz mniej energii.

Powodem nie mogła być zepsuta wołowina, bo nikt jej nawet nie tknął, ale tak czy inaczej o północy okazało się, że strażak Clark nie jest zdolny do służby. W załodze numer trzy brakowało jednego człowieka.

Gdy nadeszła wiadomość, że bomba trafiła w browar Bulla, dowódca posterunku rozejrzał się w poszukiwaniu zastępcy. Niechętnie wysyłał do akcji starszych ochotników. A obaj Flemingowie byli już po sześćdziesiątce i tak naprawdę powinni raczej służyć w obronie terytorialnej. Dowódca nikomu o tym nie wspominał, lecz trzymał ich u siebie tylko dlatego, że wesołe usposobienie Herberta i jego występy przy pianinie poprawiały morale. Teraz jednak brakowało mu jednego człowieka, a do tego zanosiło się na wielki pożar. Spojrzał na Percy’ego uważnie.

– Pewnie nie masz ochoty z nami jechać, co?

– Chodź, Percy! – krzyknęli pozostali. – Wysyłają nas do browaru. Zrobimy sobie popijawę!

– Dobra, jadę – zgodził się.

Leciały ze wszystkich stron. Bomby zapalające. Jedne wypełnione magnezem, inne benzyną i naftą. Co chwila rozlegało się wycie, a potem potworny huk bomby burzącej. Jedna spadła na Blackfriars, inna gdzieś niedaleko, w okolicach Guildhall. Niebo rozświetlały jaskrawe wybuchy, jakby byli świadkami wielkiego pokazu fajerwerków sterowanego przez szaleńca. Huk wystrzałów i eksplozji był ogłuszający.

Załogę Charliego wysłano z Ludgate do szpitala Świętego Bartłomieja. Po drodze minęli wysoką kopułę sądu Old Bailey. Nad tą częścią miasta od trzydziestu lat królowała piękna figura Temidy z wagą. Charlie i jego kompan uśmiechnęli się na jej widok, myśląc o ukrytych w cholewach buteleczkach z alkoholem.

Pożar szpitala nie był groźny, uporali się z nim dość łatwo. Ale nie mogli sobie pozwolić na bezczynność. Po kilku minutach kurier na motocyklu kazał im pojechać za katedrę Świętego Pawła. Zapaliło się jakieś biuro między Watling Street a St Mary-le-Bow. Pędziło już tam kilka innych załóg.

Chwilę później Charlie, siedzący za kierownicą, zauważył błyszczący biały kształt, który niczym anioł spływał ku nim ponad kopułą Old Bailey.

– No i proszę – mruknął. – Znów mamy szczęście.

Największym zagrożeniem spadającym z nieba podczas nalotów były miny lądowe. Opadały łagodnie na spadochronach i wybuchały, nie wbijając się w ziemię. Jedna mina mogła zmieść prawie pół ulicy. I zbierała straszne żniwo. A mimo to ludzie, widząc te anioły śmierci, nie uciekali, lecz biegli w ich kierunku.

Powodem tego pędu był jedwabny spadochron. Jeśli ktoś zachował odpowiednią odległość, poza zasięgiem eksplozji, a potem wyprzedził innych, to stawał się posiadaczem całkiem pokaźnego kawałka jedwabiu, który można było przerobić na sukienki i koszule.

Tej nocy szczęście sprzyjało Charliemu. Ukryli się, a mina posłusznie wylądowała na otwartym terenie Smithfield, gdzie wyrwała w ziemi wielką dziurę, nie wyrządzając poważnych szkód. W ciągu paru minut spadochron zniknął w bagażniku strażackiej taksówki, a Charlie i jego ludzie ruszyli dalej, aby znów gdzieś ryzykować życie.

Maisie zasypiała dopiero o świcie, gdy rozlegał się sygnał oznaczający odwołanie alarmu lotniczego. A teraz żałowała, choć nigdy by się do tego nie przyznała, że nie została na noc u Jenny.

O pierwszej w nocy wymknęła się z domu i ruszyła ulicą pod górę. Wiedziała, że nawet gdyby Jenny spała, to i tak drzwi wejściowe będą otwarte. Zatrzymała się na szczycie wzgórza, skąd droga schodziła ku Gipsy Hill.

Widoczny w dali Londyn pulsował rozżarzonym czerwonym światłem, jakby za sprawą jakiejś wielkiej geologicznej metamorfozy płytka niecka zamieniła się w krater wulkanu.

Gdzieś w górze rozległ się warkot nieprzyjacielskich samolotów. Nie przestraszyła się, bo z pewnością leciały ku centrum miasta. Działo przeciwlotnicze odezwało się za późno. Miała zamiar ruszyć ulicą w dół, gdy nagle dobiegł ją dziwny jazgot.

Myśliwce. Sylwetki pikujących samolotów były ledwie zauważalne na tle ciemnego nieba, ale widziała błyski z ich działek. Messerschmitty broniły nieprzyjacielskich bombowców jak rój wściekłych szerszeni. Robiły pętle, zataczały kręgi, ziejąc w ciemności śmiercią. W pewien sposób był to ekscytujący widok.

Patrzyła, jak lecą w kierunku Vauxhall. A potem dwa samoloty – a może nawet więcej, nie widziała przecież dokładnie – odłączyły się od reszty i wróciły nad Crystal Palace. Zaczęły krążyć kilkaset metrów nad nią, niewyraźne kształty na tle poczerwieniałego nieba, wzbijały się w górę,

potem opadały, wyrównywały wysokość niemal tuż nad jej głową i krążąc, odlatywały na wschód.

Gdzież one są? Wpatrywała się jak zauroczona w niebo, gdzie piloci toczyli śmiertelną walkę. Nie zdając sobie sprawy, co robi, zaczęła machać rękami i krzyczeć:

– Dalej! Dołóż mu! Wal w niego!

Nad wzgórze nadleciała kolejna fala bombowców. Wybuchła wściekła kanonada dział przeciwlotniczych. Maisie obracała się na wszystkie strony, wyciągając szyję, wypatrując myśliwców. Może wrócą? Migotało już całe niebo. Nie zobaczyła ani nawet nie poczuła gradu odłamków, które wbiły się w tył jej głowy, rozpryskując ją jak wiśnię.

Charlie wiedział, że gdy robi się gorąco tak jak teraz, należy trzymać pochyloną głowę. Żar był tak wielki, że niechętnie wyjął z butów butelki z alkoholem i wrzucił je do jakiejś dziury – w każdej chwili mogły pęknąć i zająć się ogniem.

Poza walącymi się murami największym zagrożeniem były iskry i rozżarzone węgle. Płonący pył mógł spowodować bolesne oparzenia oczu. Już dwa razy go na to leczyli. Charlie Dogget pozwalał sobie czasem na mały szaber, ale gdy już był na służbie, trudno było o odważniejszego strażaka. Niezmordowanie biegał po drabinie w tę i z powrotem w pierwszej linii walki z pożarem, aż po półgodzinie oficer dowodzący akcją kazał mu odpocząć.

Na ulicy leżały rozwinięte węże. Charlie ruszył obok nich w kierunku St Mary-le-Bow, a potem skręcił w lewo w kierunku narożnika Cheapside. Z ulgą poczuł na twarzy chłodniejszy powiew. Wbrew zasadom zdjął hełm. Na rogu ział wielki krater, pozostały po dwóch domach zbombardowanych poprzedniej nocy. Miał prawie siedem metrów głębokości. Charlie

przysiadł na krawędzi. Odetchnął kilka razy, patrząc na zachód ku katedrze Świętego Pawła.

Był to naprawdę niezwykły widok. Ogromna kopuła Wrena wciąż stała nietknięta. Wokół rozlewało się czerwone jezioro płonących dachów, a majestatyczna świątynia unosiła się na nim nieruchoma, milcząca i obojętna. Charliemu przyszło do głowy, że stara katedra głosi w ten sposób całemu światu, że nawet hitlerowskie naloty nie zniszczą duszy i serca Londynu.

Po dłuższej chwili zerknął na dno leja. Krater wydawał się większy i głębszy niż inne, ale poza tym nie miał w sobie nic szczególnego. Bomba musiała przebić się przez fundamenty domów. Zauważył też zarys dużo wcześniejszych fundamentów z kamienia. W migotliwym świetle pobliskich pożarów dostrzegł nawet, tak mu się wydawało, coś w rodzaju pokrytej kafelkami podłogi. Czerwonawe światło eksplozji w sąsiednim budynku sięgnęło na moment głębiej, wydobywając z głębi leja nikły błysk. Charlie rozejrzał się na boki i upewniwszy się, że nikt go nie widzi, zszedł z krawędzi i zaczął po omacku zsuwać się w dół. Błysk wydobywał się spod pokrytego gruzem wieka. Wymacał i sięgnął głębiej. Szarpnął. Zmarszczył brwi i aż gwizdnął cicho. Monety były ciężkie. Domyślił się, że są złote, ale było za ciemno, aby mieć pewność.

Nagle z góry wystrzelił snop silnego światła. Charlie błyskawicznie zorientował się, że trzyma szczerozłote monety, a metalowe wieko jest częścią skrzyni wypełnionej większą ilością kruszcu. Obok dostrzegł jeszcze kilka kufrów. Oto Charlie Dogget, zupełnie o tym nie wiedząc, znalazł skarb ukryty tutaj pewnego słonecznego popołudnia siedemnaście stuleci wcześniej przez rzymskich żołnierzy.

– Co ty tam robisz?

Właścicielem latarki był wysoki mężczyzna w hełmie strażnika cywilnej obrony przeciwlotniczej. Jego długi nos widać było nawet w słabym świetle pożaru.

– Szabrujesz! To wbrew prawu! – zawołał Neville Silversleeves.

– Nie szabruję. Tu był zakopany skarb – odparł Charlie. – Mam do niego prawo.

– Tak się składa, że ten budynek jest własnością Kościoła – oznajmił Silversleeves urzędowym tonem. – Do niczego nie masz prawa. Wychodź stamtąd, ale już!

– A ja ci radzę uciekać, bo właśnie zaczyna się jeszcze jeden cholerny nalot – powiedział Charlie nieustępliwie.

Ze wszystkich stron rozległ się nagle klekot dział przeciwlotniczych, a w górze zadudniły nadlatujące bombowce.

Charlie nie miał zamiaru odejść od swojego złota, a Silversleeves z równą determinacją pragnął trwać na posterunku i dopilnować, żeby strażak niczego nie wyniósł. Żaden z nich się nie poruszył, choć wybuchy były coraz głośniejsze.

– Doniosę na ciebie! – krzyknął Silversleeves.

– Jak sobie chcesz – mruknął Charlie.

I wtedy spadła bomba. Jakieś sto metrów za Silversleevesem. Błysk i huk były tak potężne, że Charliego ogłuszyło na dobre dwadzieścia sekund. A potem w połowie wysokości leja zauważył nieprzytomnego Silversleevesa. Podmuch rzucił go na drugą stronę.

– No i dobrze ci tak. Obyś złamał swój cholerny kark – warknął pod nosem.

Sięgnął po monety i zaczął je gorączkowo upychać w butach. Dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści. I wtedy nagle zdał sobie sprawę, że za chwilę zginie.

Spadające bomby burzące wydawały charakterystyczny świst. W ciągu ostatnich dwóch tygodni Charlie wiele razy słyszał ten dźwięk. Nauczył się nawet bezbłędnie wyczuwać, w którym miejscu spadnie bomba. Ale ten świdrujący odgłos był nieco inny. Spadała wprost na niego.

Rzucił się rozpaczliwie na drugą stronę leja. Obciążony złotymi monetami w cholewach, zaczął się wspinać jak szalony. Gruz usuwał mu się spod palców. Bomba uderzyła dokładnie w skrzynię z monetami, ale on cały czas gramolił się niezdarnie ku górze, aż wreszcie dosięgnął krawędzi.

Nie ma wybuchu.

Charlie Dogget usiadł i spojrzał. Trząsł się na całym ciele. Czterystukilogramowa bomba zaryła się do połowy. Silversleeves wciąż leżał nieprzytomny tam, gdzie rzucił go podmuch. Charlie wpatrywał się w bombę, spodziewając się eksplozji. Ale nic się nie działo. Lecz przecież wybuch mógł nastąpić w każdej chwili. Charlie wstał powoli, zastanawiając się, co robić. Z pewnością należało wezwać pomoc dla Silversleevesa, ale z drugiej strony złoto… Bomba zasypała wszystko. Czy da się jeszcze coś wydobyć?

– Skoro nie zabił mnie ani messerschmitt, ani ta bomba, to znaczy, że szczęście mi sprzyja – mruknął pod nosem.

Zrobiło się trochę widniej. Najwyraźniej pożar ogarnął pobliskie budynki, bo nagle z tyłu na niebie wyrosła ściana ognia. W blasku płomieni zauważył obok bomby złotą monetę. „Już wszystko rozumiem – pomyślał. – Bóg ocalił mi życie, ale odsunął ode mnie pokusę. Już mi się wydawało, że doszedłem do bogactwa, a on, proszę, spuszcza zatracenie na ten skarb”. Powoli schylił się po monetę, gdy nagle w górze rozległ się przerażający ryk. Charlie odwrócił się błyskawicznie. Jego oczom ukazał się niezwykły widok.

Na skraju leja stała ogromna postać, która na tle wypełniającej niebo ściany ognia wydawała się jeszcze większa. Ruda broda wyglądała, jakby stała w płomieniach. Admirał William Barnikel spoglądał w dół. Uniósł ramię niczym nordycki bóg zemsty, wskazując ręką Charliego.

– Dobry Boże – mruknął Charlie. – Przyłapał mnie na gorącym uczynku.

Admirał Barnikel nie miał pojęcia o rzymskim złocie. Gdy przejeżdżał samochodem obok katedry Świętego Pawła, widział jedynie, jak podmuch wrzuca Silversleevesa do leja. A teraz miał przed oczami dzielnego strażaka z pasmem białych włosów, który obchodził niewybuch, żeby dostać się do nieprzytomnego mężczyzny.

– Świetna robota, człowieku! – zagrzmiał. – Na Boga, zasługujesz na medal. Trzymaj się, już do ciebie idę. – Admirał ruszył raźno w dół. – Sam go nie wyciągniesz! – krzyknął. – Dalej, razem.

Charlie chwycił nieprzytomnego Silversleevesa za nogi, Barnikel za ręce i wspólnymi siłami wyciągnęli go na jezdnię. Admirał zatrzymał przejeżdżający ambulans i nakazał załodze – dwóm kobietom – zabrać strażnika obrony cywilnej do szpitala Świętego Bartłomieja. Chwilę później wciąż nieprzytomny Silversleeves leżał na noszach w karetce Helen.

– A ty pojedziesz ze mną – zwrócił się admirał jowialnie do Charliego. – Twoje nazwisko i numer posterunku. Poza tym – zniżył nieco głos – lepiej się stąd wynośmy. To paskudztwo może w każdej chwili wybuchnąć.

Bomba eksplodowała pół minuty później.

Wyczerpany Percy wrócił do domu po gaszeniu pożaru w browarze dopiero o dziewiątej rano. Jenny nie powiedziała mu o Maisie.

„Nie było go przez całą noc. Niech się lepiej prześpi”, przekonywał ją Herbert.

Dopiero wieczorem bracia mogli wspólnie przeżywać żałobę.

Helen, wróciwszy z nocnej służby, była wstrząśnięta. Bomba całkowicie zburzyła dom przy Eaton Terrace. Wystarczyło jedno spojrzenie, aby pozbyć się wszelkich złudzeń: nikt nie przeżył. Stała wśród ruin, wciąż nie mogąc uwierzyć w to, co się stało, gdy nagle zza rogu wyłoniła się Violet.

– To naprawdę przedziwne – tłumaczyła. – Miałam silne przeczucie, że coś mi grozi, więc poszłam do schronu na stacji metra Sloane Square. Muszę przyznać – dodała nieco poufale – że rzeczywiście było blisko. – Uśmiechnęła się, patrząc na osmolone ruiny domu. – Miałam jednak szczęście, prawda?

Słynny Krzyż Wiktorii, nadawany za waleczność na polu bitwy, przez długi czas nie miał swojego odpowiednika w służbie cywilnej. Ale to miało się zmienić dzięki ustanowieniu Krzyża Jerzego i Medalu Jerzego.

Przyznanie wielu strażakom tych odznaczeń było wymownym potwierdzeniem odwagi członków pomocniczej straży pożarnej podczas nalotów niemieckiego lotnictwa. Jednym z udekorowanych – a wniosek złożył osobiście admirał Barnikel – był Charlie Dogget.

Charlie czuł się trochę nieswojo. Wprawdzie jego koledzy mogli zaświadczyć, że zasłużył na takie wyróżnienie niejeden raz, wiedział jednak, że tym razem wyróżnienie mu się nie należy. Ale siedział cicho. Nawet Silversleeves, który nie pamiętał nic z tego, co się wydarzyło przed wybuchem, chciał go odwiedzić i podziękować mu osobiście. A ciocia Jenny, gdy dowiedziała się o wszystkim z gazet, przysłała mu list.

Powodowany ciekawością, poszedł w tamto miejsce jeszcze raz, ale nie znalazł nawet śladu złota. Schował swoje monety do małej skrzynki, a potem dał je swoim synom.

Rzeka

Rok 1997

Sir Eugene Penny, prezes potężnej Penny Insurance Company, członek kilkunastu rad nadzorczych oraz radny Londynu, miał prawo uważać się za szlachetnego człowieka. Kolekcja rzecznych pejzaży oraz kilka obrazów Moneta, które jego ojciec zakupił zaraz po drugiej wojnie światowej z majątku ostatniego lorda St James, zawsze uchodziły w jego rodzinie za najcenniejszy skarb. A on pozbył się dziś tego zbioru.

Zasiadanie w radach nadzorczych organizacji dobroczynnych, jak zauważył kiedyś cierpko, niosło ze sobą pewien problem: prędzej czy później trzeba było do tego dopłacać. Jako członek zarządu Tate Gallery był oczywiście podekscytowany wielkimi planami, dotyczącymi zarówno pierwotnego muzeum sztuki nowoczesnej mieszczącego się w pięknym klasycystycznym budynku nad rzeką, jak i ogromnej nowej galerii, która miała być otwarta w dawnym gmachu elektrowni Bankside na południowym brzegu Tamizy, tuż obok zrekonstruowanego teatru Globe. Gdy któryś z członków zarządu zasugerował, że co jak co, ale te obrazy Moneta należałoby pokazać szerszej publiczności, nie pozostało nic innego, jak się zgodzić. I tak tego ranka Eugene Penny przekazał oficjalnie dzieła nowej galerii, potem udał się do Chelsea na doroczną wystawę kwiatów, zjadł lunch w swoim klubie i odwiedził Toma Browna, swojego krawca. Nic dziwnego, że po południu był w doskonałym nastroju.

Już od kilku lat interesował się Museum of London. Wszystko zaczęło się od wystawy o hugenotach. Sam był hugenotem, więc miał już pewną wiedzę o francuskiej społeczności w Londynie, która wciąż prowadziła różne stowarzyszenia i organizacje dobroczynne. Wiedział nawet, że trzy czwarte Brytyjczyków ma wśród swoich przodków jakiegoś hugenota. Wystawa okazała się rewelacją. Tkacze jedwabiu i generałowie, artyści, zegarmistrze, słynni jubilerzy, firmy takie jak jego – ekspozycja nie tylko pokazywała wspaniałe dzieła sztuki i wyroby rzemieślnicze, ale przywoływała hugenocki rodowód wielu firm uważanych za typowo brytyjskie. Wystawa tak mu się spodobała, że zaczął więcej czytać o samym muzeum, a niedługo potem zawitał tam jeszcze raz z nadzieją, że odnajdzie więcej dowodów geniuszu swoich przodków.

Wystawa zatytułowana „Ludność Londynu” była nie tylko świetnie zrobiona, ale dostarczała też zaskakujących informacji.

– Wydawało mi się, że coś wiem o moim brytyjskim dziedzictwie – opowiadał żonie. – Okazuje się jednak, że nie wiem o nim prawie nic.

Za jego szkolnych lat historia Anglii, a nawet całej Wielkiej Brytanii, sprowadzała się do Anglosasów.

– Oczywiście coś tam wiedzieliśmy o Celtach. I że potem byli tu też Duńczycy i książęta z Normandii.

Jednak eksponaty na wystawie opowiadały coś zupełnie innego. Owszem, w Londynie mieszkali Anglowie, Sasi, Duńczycy, ludy celtyckie. Ale już w czasach budowy Tower w mieście żyli kupcy włoscy i normandzcy, Flamandowie i Niemcy.

– Flamandowie przybywali tu przez cały czas, osiedlali się zresztą na całej wyspie, docierali aż do Szkocji i Walii.

W dużo późniejszych czasach powstała społeczność żydowska, potem irlandzka, a jeszcze później pojawili się przybysze z różnych zakątków

byłego imperium – z subkontynentu indyjskiego, z Karaibów, z Azji.

– A najbardziej uderzające jest to – zakończył Penny – że już od średniowiecza Londyn był miastem obcych, którzy szybko się asymilowali. W sensie historycznym miasto było takim samym tyglem narodów jak, powiedzmy, Nowy Jork. – Uśmiechnął się szeroko. – Wiedziałem, że pochodzę od imigrantów, ale okazuje się, że wszyscy inni też!

– A więc ci tak wychwalani i wywyższani Anglosasi…

– To mit. Północna połowa Wielkiej Brytanii jest bardziej duńska i celtycka. I wątpię, żeby nawet na południu – wzruszył ramionami – Anglosasi stanowili więcej niż jedną czwartą przodków. Tak naprawdę jesteśmy narodem europejskich imigrantów, do którego ciągle dodawane są nowe szczepy. Jesteśmy jak genetyczna rzeka dokarmiana przez liczne dopływy.

W muzeum powstała książka na ten temat. Penny trzymał ją w salonie i pokazywał gościom

– Jak byś zatem zdefiniował londyńczyka? – spytała z ciekawością lady Penny.

– To ktoś, kto tu mieszka. Podobnie jest z definicją cockneya: to ktoś, kto urodził się w zasięgu bicia dzwonów St Mary-le-Bow. A cudzoziemiec – dorzucił z uśmiechem – to każdy mieszkający poza Londynem.

Gdy się nad tym zastanawiał, widział podobny proces w ogromnych biurach Penny Insurance Company. W pierwszych dziesięcioleciach po drugiej wojnie światowej do Londynu napływały potężne fale imigrantów z Karaibów i Indii. W wielu miejscach – w Notting Hill Gate na północ od Kensington, w Brixton na południowym brzegu – wywoływało to silne napięcia, które doprowadzały czasem do zamieszek. Ale gdy niedawno obchodził swoje biura i rozmawiał z pokoleniem dwudziestoparolatków, zauważył, że wszyscy – biali, czarni, żółci – nie tylko mówią z miejscowym

akcentem, ale uprawiają te same sporty, mają podobne poglądy i wykazują się tym samym, nieco bezczelnym cockneyowskim poczuciem humoru jak ludzie, których znał w dzieciństwie.

– Oni wszyscy są londyńczykami – stwierdził.

W wykopie panowała cisza. Sarah Bull zerknęła na swoich kolegów z uśmiechem. Pracowała już przy wielu wykopaliskach, ale na tych zależało jej szczególnie, bo kierował nimi doktor John Dogget.

John Dogget był londyńczykiem z dziada pradziada. Kiedyś wyznał jej, że podczas nalotów jego dziadek służył w straży pożarnej. Był też kuratorem Museum of London, w którym Sarah od niedawna pracowała.

Kochała to muzeum. Usadowione na terenie przeznaczonym tylko dla pieszych, zaledwie kilka minut spacerem od katedry Świętego Pawła, miało okna wychodzące na duży fragment starych rzymskich murów. Przyciągało coraz więcej turystów i było uwielbiane przez dzieci. Cała ekspozycja stanowiła wędrówkę przez dzieje miasta, od czasów prehistorycznych po współczesność. Kuratorzy odtworzyli całe sceny z odpowiednią oprawą dźwiękową – zwiedzający mogli dosłownie wejść w dawny świat: prehistoryczny obóz, komnata z XVI wieku, osiemnastowieczna ulica, wiktoriańskie sklepy, a nawet model starego Londynu, który zaczyna płonąć, gdy z głośników słychać fragmenty dzienników Pepysa. A do tego autentyczne przedmioty z tamtych czasów, od krzemiennych grotów po prawdziwą załadowaną rybami taczkę handlarza.

Sarah zdawała sobie sprawę, że wymagało to wielkiej wiedzy i żmudnych badań naukowych. A ponieważ skończyła archeologię, właśnie to ją najbardziej pociągało. Nadal dokonywano nowych odkryć: najpierw mała świątynia Mitry, a kilka lat później okazało się, że stara Guildhall stoi na miejscu rzymskiego amfiteatru. Odkopywano rzymskie drogi i średniowieczne budynki. A niedawno przy dawnych murach natrafiono na

monety i formy do monet używane przez rzymskiego fałszerza – wszystko wskazywało, że pozbyto się ich w dużym pośpiechu. Odpowiedzialny za to kurator był nawet w stanie pokazać, w jaki sposób monety fałszowano w tych zamierzchłych czasach.

No i sam doktor Dogget. Miał wesołe usposobienie i białe pasmo włosów, przez co był lubiany i łatwo rozpoznawany. A co dziwne, miał też błonę między palcami. „Przydaje się przy pływaniu i kopaniu", poinformował ją cierpko. Był bardzo zajęty, ona dopiero zaczęła pracę jako młodsza stażystka, ale mimo to miała nadzieję, że przy tych wykopaliskach zwróci na siebie jego uwagę. Pozostawało pytanie: czy poza rzymskimi artefaktami John Dogget dostrzega też niebieskookie blondynki?

Wykop znajdował się na niewielkim terenie wychodzącym nad Tamizę. Taka gratka jak wykopaliska w londyńskim City rzadko zdarzała się archeologom, więc gdy wyburzano jedne budynki, aby w ich miejsce postawić nowe, naukowcy korzystali z takiej okazji. Zniszczenia z czasów wojny w City i East End szybko naprawiono, czasem ze szkodą dla jakości. Niektóre inwestycje, jak przeniesienie portu niżej ujścia rzeki i przekształcenie dawnych doków w dzielnicę mieszkaniowo-biurową, Sarah uważała za trafione. Ale budynek stojący w miejscu, w którym teraz prowadzili badania, był bardzo złej jakości, więc tym bardziej cieszyło ją, że powstanie coś nowego. Jego właściciele obiecali nawet, że jeśli archeolodzy odkryją coś naprawdę interesującego, to każą zbudować atrium, aby znaleziska były dostępne dla publiczności. Wykop sięgał już trzy metry poniżej starej piwnicy, co oznaczało, że stojąc na samym dole, miała przed oczami warstwę będącą w czasach Juliusa Cezara na powierzchni.

Późnym popołudniem, gdy na błękitnym niebie płynęło kilka puszystych obłoków, przybyła delegacja, której przewodził Eugene Penny. Uważnie

obejrzeli teren prac, a Penny zszedł do wykopu, z zainteresowaniem wysłuchał objaśnień doktora Doggeta, zadał kilka pytań – Sarah zadbała o to, aby były inteligentne – podziękował wszystkim i się pożegnał. Gdy przedstawiano mu członków zespołu, uprzejmie uścisnął Sarah dłoń, ale potem nie zwracał już na nią uwagi.

Nikt w muzeum nie miał pojęcia, że do jej rodziny należy znany browar ani że Eugene Penny jest jej kuzynem. I wolała, żeby tak zostało. Ale muzeum, jak wszystkim tego rodzaju instytucjom, zawsze brakowało pieniędzy na ambitne projekty, a kto lepiej nadawałby się do zebrania odpowiednich funduszy jak nie Penny?

Po jego wyjściu Sarah wybrała się na małą przechadzkę nad rzeką. Woda w Tamizie nareszcie znów była czysta. Dało się w niej nawet łowić ryby. W poprzek nurtu wybudowano piękną barierę przeciwpowodziową, która miała przeciwdziałać obserwowanemu od wielu stuleci podnoszeniu się poziomu wody wywołanemu powolnym przechylaniem się wyspy. Może i Londyn był podobny pod paroma względami do Wenecji, ale nie zamierzał utonąć. Sarah spojrzała najpierw ku Tower Bridge, a potem ku katedrze Świętego Pawła, po czym wróciła do wykopu.

To niesamowite, jak cichy bywał czasem Londyn. W parkach, na ogrodzonych murami dziedzińcach, we wnętrzach starych kościołów panowała cisza, która niemal przenosiła wszystko w przeszłość o kilka stuleci. Nawet tutaj, w City, wysokie biurowce przy wąskich ulicach stanowiły zasłonę, przez którą z trudem przebijał się londyński hałas. Spojrzała na niebo. Wciąż było błękitne.

Dogget zniknął. W wykopie pozostała tylko jedna archeolog. Sarah zeszła niżej. Przypomniała sobie pogadankę, którą Dogget wygłosił dla uczniów. Opisał im działalność muzeum i pracę archeologów, a żeby ją bardziej przybliżyć, powiedział coś, co bardzo jej się spodobało.

„Wyobraźcie sobie – mówił – że jest koniec lata. Liście zaczynają opadać. Leżą na ziemi. Rozkładają się, ale nie do końca. Następnego roku dzieje się to samo. I znowu, i znowu. Powstają kolejne warstwy ubitych liści i resztek roślinności. To jest naturalny proces. Coś podobnego dzieje się z ludźmi, zwłaszcza w dużych miastach. Każdy rok, każda epoka coś po sobie zostawia. Te resztki są ugniatane, znikają pod powierzchnią, ale mimo to coś z ludzkiego życia pozostaje. Rzymska dachówka, moneta, gliniana fajka z czasów Shakespeare'a. Ktoś to tam zostawił. Znajdujemy takie rzeczy podczas wykopalisk i potem możemy je pokazać w gablocie. Ale nie myślcie o nich tylko jak o przedmiotach. Bo ta moneta czy fajka należały do kogoś, kto żył, kochał i każdego dnia patrzył na niebo i na rzekę jak ja czy ty".

Sarah uśmiechnęła się pod nosem. Ładnie powiedziane. Stojąc w wykopie, wyciągnęła rękę i dotknęła miejsca, na którym kiedyś stał być może Juliusz Cezar.

Podziękowania

Jestem dozgonnie wdzięczny wszystkim wymienionym niżej osobom – każda z nich jest ekspertem w swojej dziedzinie – za to, że mi doradzały, dostarczały potrzebnych informacji, a często czytały mój tekst i pomagały mi go poprawiać. Wszelkie błędy należy przypisać jedynie mnie. Te osoby to: Susan Banks z Museum of London Archeology Service; David Bentley z Museum of London Archeology Service; John Clark, kurator w Museum of London; wielebny K. Cunningham z parafii Świętej Eteldredy w Ely Place; krawiec Tom Brown; Jenny Hall, kuratorka w Museum of London; Lily Moody; Geoffrrey Parnel, kurator w Tower of London; H. Pearce; Richard Shaw z Lavender Hill Reference Library; Ken Thoma, archiwista w Courage Breweries; Rosemary Weinstein, kuratorka w Museum of London; Alex Werner, kurator w Museum of London; R.J.M. Willoughby.

Dziękuję kierownictwu i pracownikom Guildhall Library, Museum of London Library i jak zawsze London Library za ich niewyczerpaną uprzejmość i pomoc.

Żadne słowa nie wyrażą mojej wdzięczności do Eimeara Hannafina i Gill Redmon z Magpie Audio Visual za ich bezcenną pomoc i poczucie humoru przy przepisywaniu i nieustannym poprawianiu maszynopisu.

Specjalne podziękowania należą się Davidowi Bentleyowi i Susan Banks za przygotowanie map oraz Andrew Thompsonowi z Siena Artworks, London, za projekt graficzny map i ich wykonanie.

Jak zawsze nic bym nie wskórał bez mojej agentki Gill Coleridge i moich dwóch redaktorek, Kate Parkin z Century i Betty A. Prashker z Crown Publishers. Dziękuję im za otuchę i niesłabnące wsparcie.

Mojej żonie Susan dziękuję za cierpliwość, moim dzieciom Edwardowi i Elizabeth za wsparcie, a mojej Mamie za gościnność.

Przede wszystkim chciałbym jednak stwierdzić, że książka nie powstałaby bez pracowników i kuratorów Museum of London, zwłaszcza Johna Clarka i Rosemary Weinstein. Wasze muzeum było dla mnie źródłem nieustannej inspiracji.

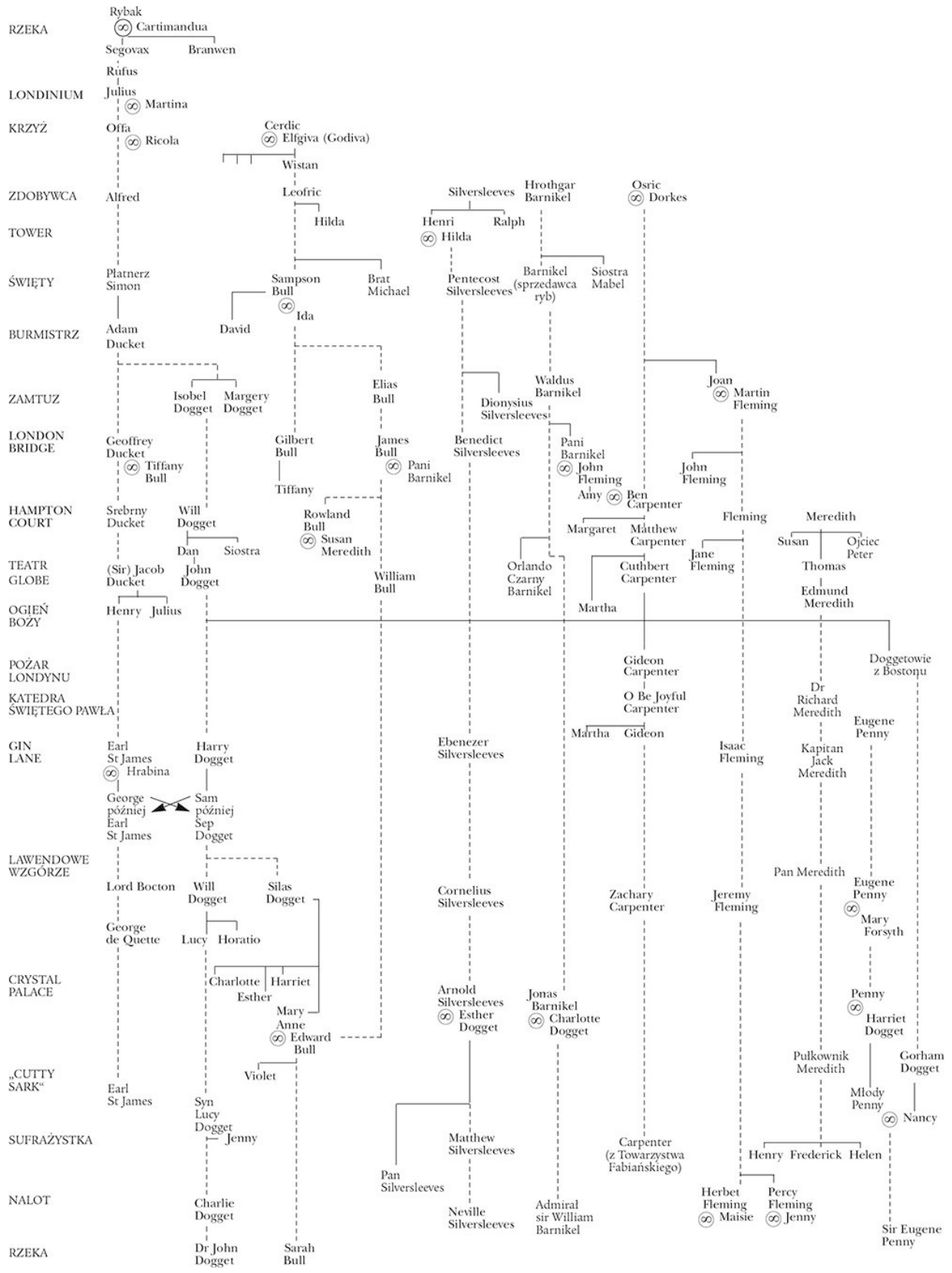
RZEKA
LONDINIUM
KRZYŻ
ZDOBYWCA
TOWER
ŚWIĘTY
BURMISTRZ
ZAMTUZ
LONDON BRIDGE
HAMPTON COURT
TEATR GLOBE
OGIEŃ BOŻY
POŻAR LONDYNU
KATEDRA ŚWIĘTEGO PAWŁA
GIN LANE
LAWENDOWE WZGÓRZE
CRYSTAL PALACE
„CUTTY SARK"
SUFRAŻYSTKA
NALOT
RZEKA
Rybak
∞ Cartimandua
Segovax
Branwen
Rufus
Julius
∞ Martina
Offa
∞ Ricola
Cerdic
∞ Elfgiva (Godiva)
Wistan
Alfred
Leofric
Hilda
Silversleeves
Hrothgar Barnikel
Osric
∞ Dorkes
Henri
Ralph
∞ Hilda
Płatnerz Simon
Sampson Bull
∞ Ida
Brat Michael
Pentecost Silversleeves
Barnikel (sprzedawca ryb)
Siostra Mabel
David
Adam Ducket
Isobel Dogget
Margery Dogget
Elias Bull
Dionysius Silversleeves
Waldus Barnikel
Joan
∞ Martin Fleming
Geoffrey Ducket
∞ Tiffany Bull
Gilbert Bull
Tiffany
James Bull
∞ Pani Barnikel
Benedict Silversleeves
Pani Barnikel
∞ John Fleming
Amy
∞ Ben Carpenter
John Fleming
Srebrny Ducket
Will Dogget
Dan
Siostra
Rowland Bull
∞ Susan Meredith
Margaret
Matthew Carpenter
Fleming
Meredith
Susan
Ojciec Peter
Jane Fleming
Thomas
(Sir) Jacob Ducket
John Dogget
William Bull
Orlando Czarny Barnikel
Cuthbert Carpenter
Martha
Edmund Meredith
Henry
Julius
Gideon Carpenter
Doggetowie z Bostonu
O Be Joyful Carpenter
Dr Richard Meredith
Eugene Penny
Martha
Gideon
Earl St James
∞ Hrabina
Harry Dogget
Ebenezer Silversleeves
Isaac Fleming
Kapitan Jack Meredith
George później Earl St James
Sam później Sep Dogget
Lord Bocton
Will Dogget
Silas Dogget
Cornelius Silversleeves
Zachary Carpenter
Jeremy Fleming
Pan Meredith
Eugene Penny
∞ Mary Forsyth
George de Quette
Lucy
Horatio
Charlotte
Harriet
Esther
Mary Anne
∞ Edward Bull
Arnold Silversleeves
∞ Esther Dogget
Jonas Barnikel
∞ Charlotte Dogget
Penny
∞
Harriet Dogget
Violet
Pułkownik Meredith
Gorham Dogget
Młody Penny
∞ Nancy
Earl St James
Syn Lucy Dogget
Jenny
Matthew Silversleeves
Carpenter (z Towarzystwa Fabiańskiego)
Henry
Frederick
Helen
Pan Silversleeves
Herbet Fleming
∞ Maisie
Percy Fleming
∞ Jenny
Charlie Dogget
Neville Silversleeves
Admiral sir William Barnikel
Sir Eugene Penny
Dr John Dogget
Sarah Bull

DANIA
Morze Północne
YORK
Anglia Wschodnia
COLCHESTER
HATFIELD
OKSFORD
LONDYN
ROCHESTER
CANTERBURY
ETON
GREENWICH
DOVER
Tamiza
WINDSOR
Kent
CALAIS
Flandria
NIEMCY
SARUM
WINCHESTER
Burgundia
Kanał Angielski
ROUEN
PARYŻ
CAEN
Normandia
Bretania

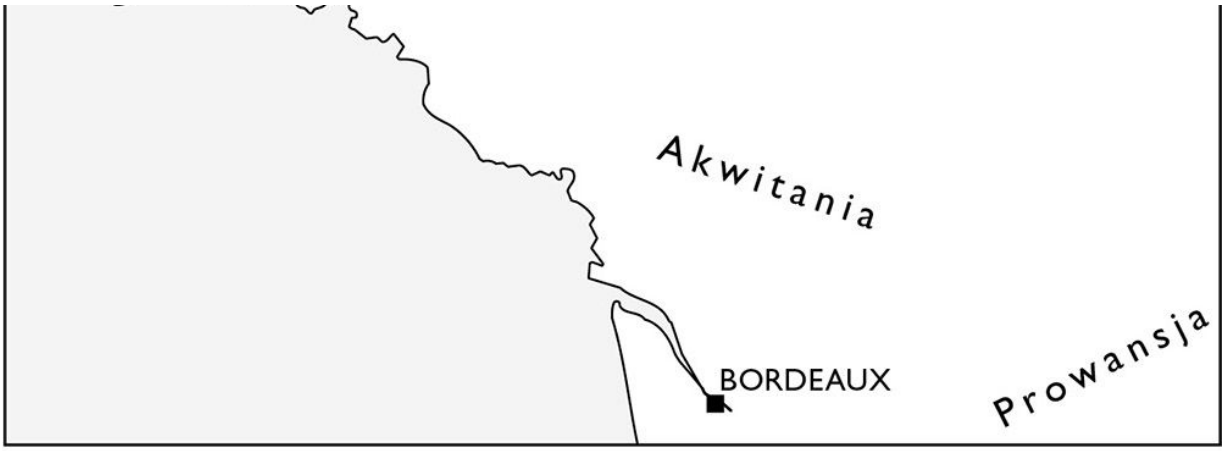
Akwitania
BORDEAUX
Prowansja

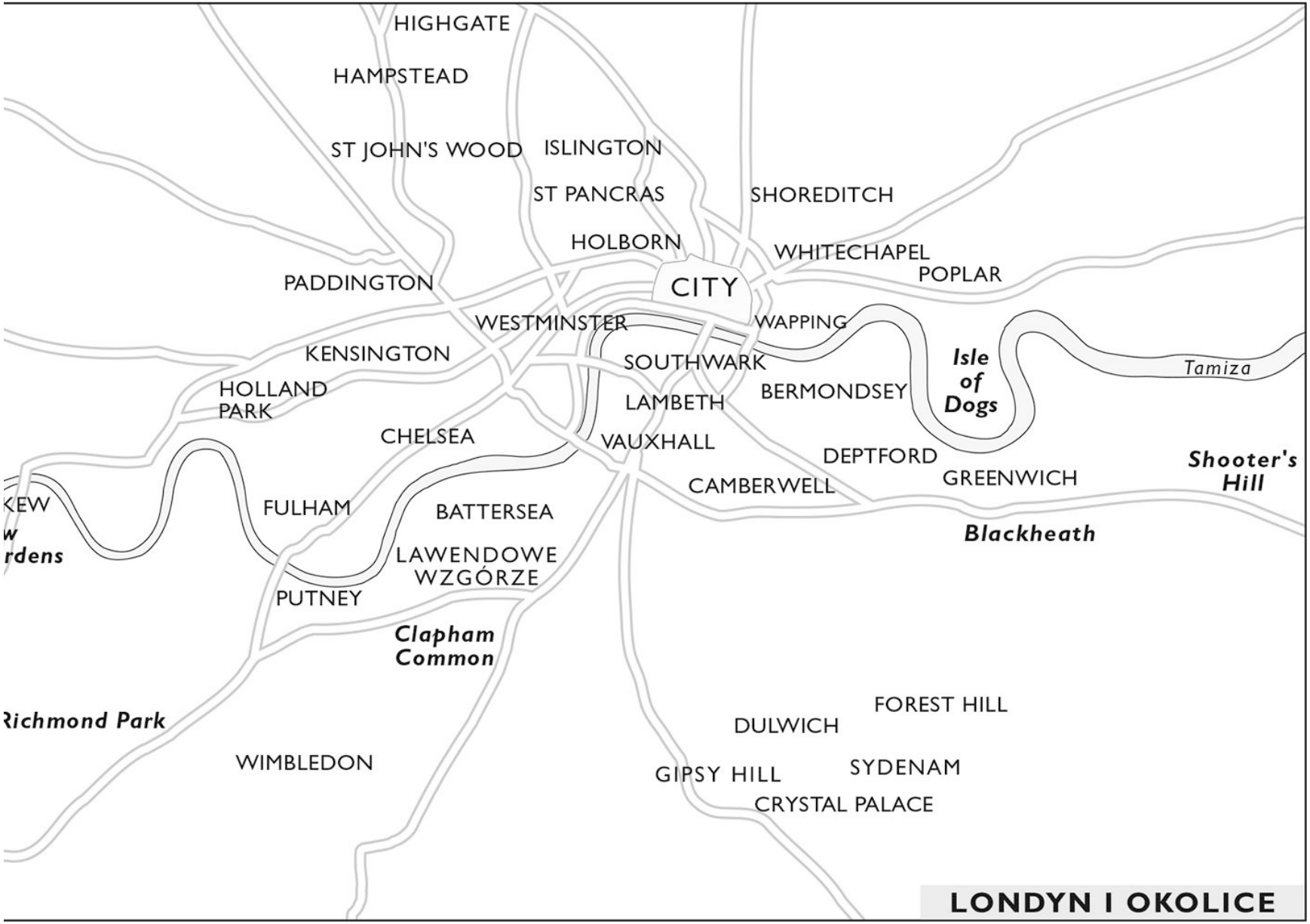
HIGHGATE
HAMPSTEAD
ST JOHN'S WOOD
ISLINGTON
ST PANCRAS
SHOREDITCH
HOLBORN
WHITECHAPEL
POPLAR
PADDINGTON
CITY
WESTMINSTER
WAPPING
KENSINGTON
SOUTHWARK
Isle of Dogs
Tamiza
HOLLAND PARK
BERMONDSEY
LAMBETH
CHELSEA
VAUXHALL
DEPTFORD
Shooter's Hill
CAMBERWELL
GREENWICH
KEW
FULHAM
BATTERSEA
Blackheath
LAWENDOWE WZGÓRZE
PUTNEY
Clapham Common
FOREST HILL
DULWICH
Richmond Park
WIMBLEDON
GIPSY HILL
SYDENAM
CRYSTAL PALACE
LONDYN I OKOLICE

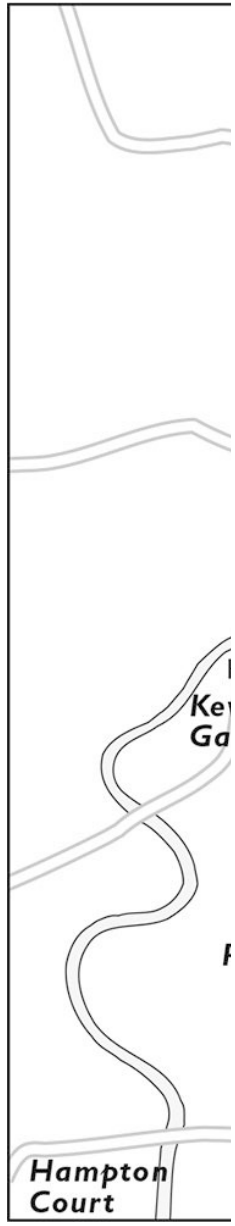
Hampton
Court

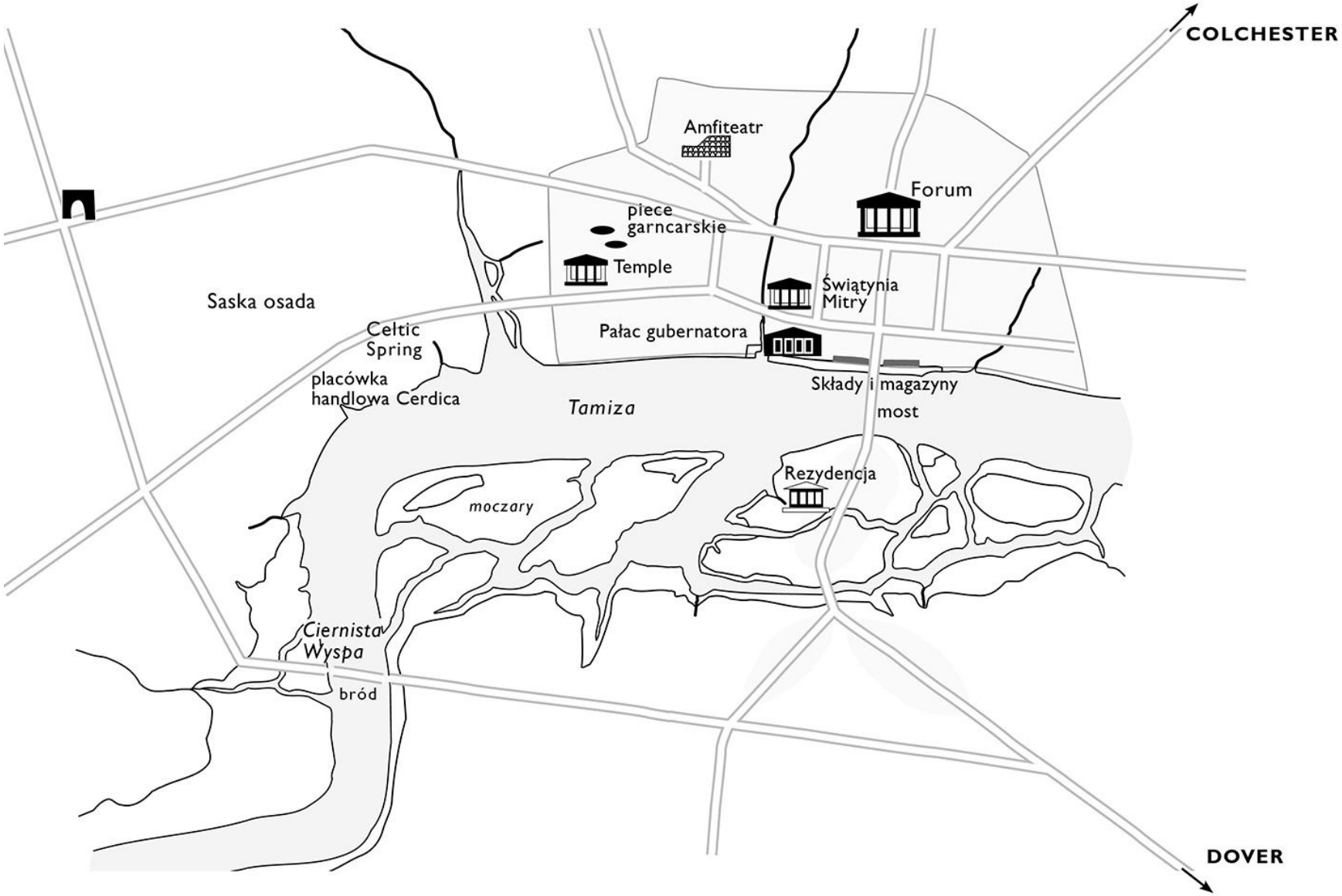

LONDYN W CZASACH RZYMSKICH I SASKICH

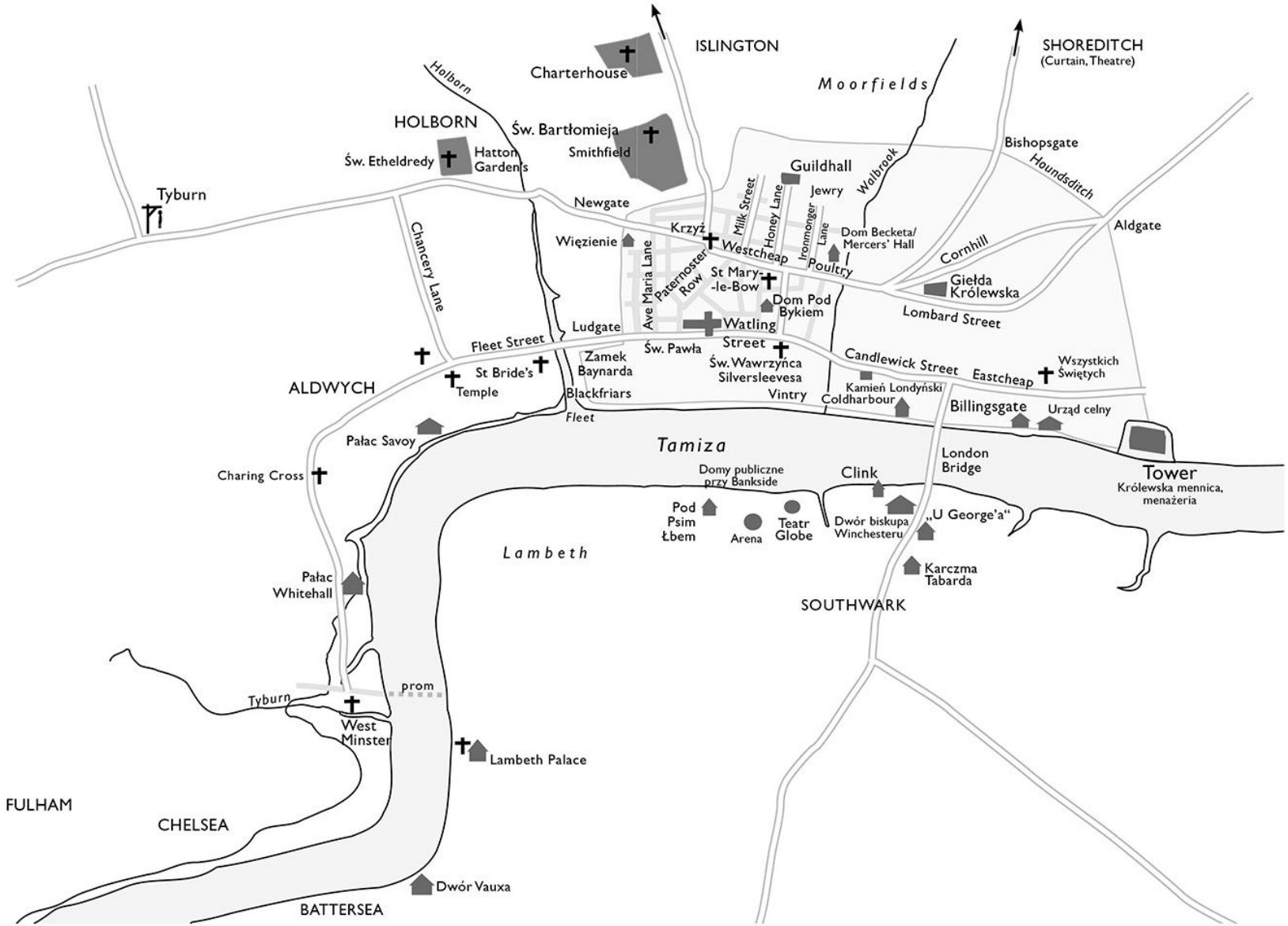

LONDYN W ŚREDNIOWIECZU I CZASACH TUDORÓW

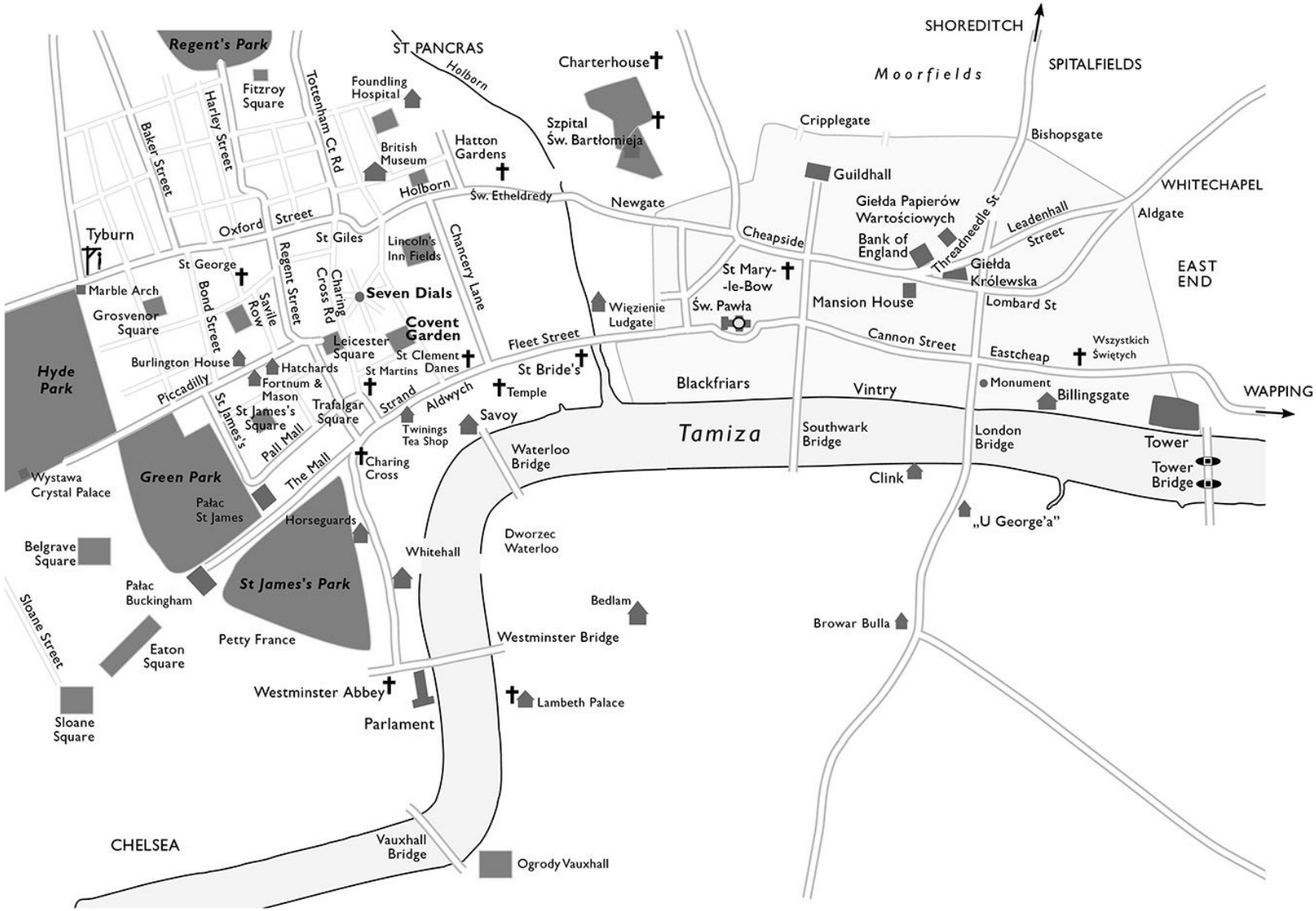

LONDYN W CZASACH GEORGIAŃSKICH I WIKTORIAŃSKICH

Przypisy końcowe

1. *Carpenter*, *baker*, *painter*, *tailor* to angielskie nazwy zawodów: stolarz, piekarz, malarz, krawiec (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki). [wróć]
2. Kanał Angielski, czyli kanał La Manche. [wróć]
3. Cassivelaunus – postać historyczna. Dowodził połączonymi siłami Celtów, broniącymi się przed Rzymianami podczas drugiej wyprawy Juliusza Cezara w 54 r. p.n.e. [wróć]
4. Numidia – starożytne państwo Berberów w północnej Afryce, na terytorium dzisiejszej Algierii i częściowo Tunezji. [wróć]
5. Etelbert – postać historyczna, jeden z królów tzw. heptarchii anglosaskiej, czyli koalicji siedmiu państw germańskich na podbitych terenach Brytanii. [wróć]
6. Święty Mellit – postać historyczna, z rozkazu papieża Grzegorza I miał pomagać Augustynowi w chrystianizacji Wysp Brytyjskich; późniejszy biskup Londynu. [wróć]
7. Frejr – nordycki bóg płodności, urodzaju i bogactwa, bóstwo pokoju i radości. [wróć]
8. Eostre – anglosaska bogini wiosny. Od jej imienia wywodzi się angielska nazwa świąt wielkanocnych *Easter*. [wróć]
9. Setka (ang. *hundred*) – jednostka podziału administracyjnego. Jej nazwa oznaczała terytorium, które miało obowiązek wystawić stu zbrojnych mężczyzn, albo terytorium zawierające sto gospodarstw rolnych. [wróć]
10. Domesday (ang.) – „dzień rozliczeń”; Domesday Book – rejestr gruntowy sporządzony na żądanie Wilhelma Zdobywcy. [wróć]
11. Exchequer – najwyższy organ skarbowy Anglii. Jego nazwa pochodzi od słowa *chequers* oznaczającego warcaby. Do dziś angielski minister finansów nosi oficjalny tytuł Chancellor of the Exchequer. [wróć]
12. *Bull* – (ang.) byk. [wróć]
13. Trybunał Spraw Pospolitych – sąd zajmujący się sprawami cywilnymi; Trybunał Ławy Królewskiej rozpatrywał sprawy karne i odwołania od wyroków Trybunału

Spraw Pospolitych. [wróć]

14. Stary król Cole (ang. Old King Cole) – postać z bajek i legend, która przetrwała do dziś głównie w wierszykach dla dzieci. [wróć]
15. Dogget – od angielskiego *the Dog's Head girls*, czyli „dziewczyny z Psiego Łba". [wróć]
16. Richard Whittington – kupiec i polityk, był czterokrotnie burmistrzem Londynu, szeryfem i posłem do parlamentu. Finansował wiele publicznych przedsięwzięć, m.in. kanalizację w ubogich dzielnicach, szpital dla niezamężnych matek. [wróć]
17. Carpenter – po angielsku stolarz/cieśla. [wróć]
18. Bar – po angielsku rogatka. [wróć]
19. Lollardzi – ruch plebejsko-religijny powstały w XIV wieku pod wpływem nauk Johna Wyclifa. Nazwa pochodzi od holenderskiego słowa *pollen* – mamrotać. [wróć]
20. Wielki Herold Clarenceux (ang. Clarenceux King of Arms) – jeden z heroldów podległych Wielkiemu Heroldowi Anglii, odpowiadający za tereny na południe od rzeki Trent. [wróć]
21. Indentura – umowa, na podstawie której przybywający do Ameryki robotnicy i rzemieślnicy odpracowywali na miejscu koszty podróży lub inne zobowiązania, otrzymując od właściciela gospodarstwa jedynie dach nad głową i wyżywienie. [wróć]
22. Izba Gwiaździsta (ang. Star Chamber) – sąd o specjalnych uprawnieniach, zajmujący się głównie przestępstwami przeciwko władcy i państwu. [wróć]
23. *Charity*, *hope*, *faith*, *patience*, *perseverance* – (ang.) miłosierdzie, nadzieja, wiara, cierpliwość i wytrwałość. [wróć]
24. *O be joyful* – (ang.) weselcie się. [wróć]
25. Wielkie Napomnienie lub Wielka Remonstracja (ang. *Gran Remonstrance*) – dokument uchwalony przez Izbę Gmin. Zawierał listę nadużyć władzy królewskiej, żądania reformy Kościoła anglikańskiego oraz propozycje zmian w systemie sprawowania władzy. [wróć]
26. Ustawa o wykluczeniu (ang. Exclusion Bill) – uchwalona przez Izbę Gmin ustawa pozbawiała księcia Yorku Jakuba prawa do korony. [wróć]
27. Earl (w Europie jego odpowiednikiem jest hrabia) – trzeci najwyższy tytuł arystokratyczny w Anglii, po księciu i markizie. [wróć]
28. Deklaracja o tolerancji religijnej – ang. *Declaration of Indulgence*. [wróć]
29. Protestanci nonkonformistyczni – odłamy protestanckie (m.in. purytanie), które oddzieliły się od Kościoła anglikańskiego. [wróć]

30. Seven Dials – plac, w którym zbiegało się siedem ulic, i jego okolice (teren obecnego Covent Garden). W pierwotnym zamierzeniu mieli tam mieszkać ludzie bogaci, lecz rejon ten szybko podupadł. [wróć]
31. Slang cockney polega na zastępowaniu niektórych słów wyrazami, które się z nimi rymują. [wróć]
32. Bow Street Runners – pierwsza zawodowa formacja policyjna w Londynie, założona w 1749 roku. [wróć]
33. *Bride* po angielsku oznacza też pannę młodą. [wróć]
34. Pierre de la Rue – założyciel firmy produkującej banknoty i inne papiery wymagające zabezpieczeń. [wróć]
35. Towarzystwo Fabiańskie (ang. Fabian Society) – angielskie stowarzyszenie dążące do wprowadzenia ustroju socjalistycznego. [wróć]